miesięcznik społeczno-kulturalny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej

Zwrot

1/2005



TACY BYLIŚMY



Związek Młodzieży (polskiej) w Nydku 17. 6. 1934

I rząd siedzący na ziemi (od lewej strony):
1. Turoń, 2. Śliwka, 3. Krzyżanek, 4. Szturc Jan

II rząd siedzący (od lewej):
5. Sikora Józef, 6. Borski Jan, 7. Taska Paweł, 8. Wojnar Adam, 9. Wójcik Rudolf, nauczyciel, 10. Rychlik Tadeusz, nauczyciel, 11. Szturc Paweł, 12. Kajfosz Andrzej, 13. Konderla Jerzy,

III rząd od dołu (stojący):
14. Fizkówna Ewa, 15. Szlauerówna, 16. ..., 17. ..., 18. Raszkówna, 19. Bartulcówna Zuzanna, 20. Szolona Anna, 21. Konderlówna Zuzanna, 22. Pezdówna, 23. Pezdówna, 24. Kajfosz Paweł,

IV rząd (u góry):
25. Niedoba Rudolf, 26. Rykała Józef, 27. Łamaczowa Ewa (po mężu), 28. Goryczka, 29. Sikorzanka, 30. Szturc Karol, 31. Sikorzanka, 32. Mitręga Michał, 33. ..., 34. Wrzecionko.

Zdjęcie udostępnił redakcji p. Jan Noga z Nydku.

BIBLIOTEKA CIESZYŃSKA
Cz. III 6

RAMOWY KALENDARZ IMPREZ SPORTOWYCH NA ZAOLZIU NA ROK 2005

KONKURENCJA	TERMIN	ORGANIZATOR	MIEJSCE
Tenis stołowy	8.1 młodzież 9.1 dorośli	MK PZKO Gródek + UM Gródek	Gródek
Zjazd Gwiaździsty	29.1	PSP Wędrynia	Mosty k. Jabłon.
Biały Rajd	19.2	PTTS Beskid Śląski + Klub Kult. Trzyniec	Kamienite
XXIX Bieg Piastów	4-6.3	Stowarzyszenie Bieg Piastów	Szklarska Poręba
Tenis stołowy seniorzy	12.3	PTTS Beskid Śląski	Wędrynia
Szachy błyskawiczne	26.3	MK PZKO	Trzyniec
XXX Otwarte Mistrzostwa PZKO		Trzyniec Kanada	Kanada
Pływanie mistrzostwa PSP	marzec-kwiecień	PSP Bystrzyca	Bystrzyca
Majowa poprzeczka	1. tydzień maja	PSP Trzyniec 1	Trzyniec
100-lecie Akademii Gimnastyków	21.5	MK PZKO Wędrynia	Wędrynia
XXIII Igrzyska LA PSP	3.6	PSP Sucha Górna	Trzyniec
Pięciobój LA weteranów	czerwiec	PTTS Beskid Śląski Sekcja Sportowa	Trzyniec
XXIX Puchar Lata Mini piłka nożna	1. tydzień lipca	MK PZKO Leszna Dolna	Wędrynia
Polonijne Igrzyska Sportowe	6-14 sierpnia	Wspólnota Polska + TV Polonia	Warszawa
Bieg o Gliniany Dzbanek	6.8	MK PZKO Jabłonków	Jabłonków
Bieg o Kierpce Macieja	6.8	PTTS Beskid Śląski	Jabłonków
Festyn Górski	wrzesień	RMiS Macierz Szkolna	Koszarzyska
Mistrzostwa PSP piłka nożna			
eliminacje	wrzesień		
finał	początek października		
Biegi przełajowe	2.10	MK PZKO	Mistrzowice
XXIX Memoriał W. Delong		Mistrzowice	
Florbal mistrzostwa PSP	27.10	PSP Karwina	Karwina
Tenis stołowy młodzież	12.11	PTTS Beskid Śląski	Cz. Cieszyn
Tenis stołowy mistrzostwa PSP 4-5 kl.	23.11	PSP Cz. Cieszyn	Cz. Cieszyn
Skok wzwyż mistrzostwa PSP	19.12	PSP Cz. Cieszyn	Cz. Cieszyn

Uwaga: Uściślenia (zwłaszcza terminów) lub ewentualne zmiany będą podane z odpowiednim wyprzedzeniem w Głosie Ludu.

Zwrot

Rok LVI, Nr 662
Cena numeru 20,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 27,00 Kč

1/2005

W NUMERZE

3	Stowarzyszenie Przyjaciół Polskiej Książki	CZESŁAWA RUDNIK
8	Mniejszość polska w CSRS w 1968 roku w oczach władz PRL	ŁUKASZ KAMIŃSKI
15	Niewielu wróciło	FRANCISZEK SZOPA
22	Wspomnienia z lat drugiej wojny światowej (1)	KAROL BARTULEC
32	Koncert na rozpoczęcie adwentu	KRYSTYNA SUSZKA
39	Kronika: Cieszynianka dla prof. Janusza Guziura, Działalność darkowskich pezetkaowców w roku 2004, 220 lat szkoły i 75 lat przedszkola w Nawsiu, Tacy jesteśmy, Wystawa Józefa Dronga	
48	Poezja Renaty Putzlacher	
50	M. Magdalena Starzycka: Maria bez ziemi	
54	Aforyzmy Lecha Przeczka	
55	Okruchy literackie	
58	Na półkach księgarskich	
61	Na naszej scenie	CZESŁAWA RUDNIK
65	Z dorobku Leona Derlicha	
67	Ze starych kalendarzy	
72	Opowiadania na szarą godzinę	DAR. JOCHEL
75	Mozaika	ANNA BOSZCZYK

Numer zamknięto 20. 12. 2004

STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ POLSKIEJ KSIĄŻKI

Stowarzyszenie Przyjaciół Polskiej Książki (SPPK) to jedna z najmłodszych organizacji na Zaolziu. Założona została w marcu 1999 roku. Mimo krótkiego stażu i małej bazy członkowskiej (niespełna sześćdziesięciu członków) pełni ważną rolę w życiu społecznym i kulturalnym Zaolzia. Głównym jej celem statutowym jest rozwój i propagacja czytelnictwa polskiego, udostępnianie polskiej produkcji wydawniczej oraz promocja twórczości literackiej i wydawniczej Zaolzia.

Założyliśmy nasze Stowarzyszenie - mówi prezes SPPK i kierownik Oddziału Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie Helena Legowicz - *gdyż uważaliśmy, że czytelnictwo, polska książka na Zaolziu potrzebują wsparcia. Nie tylko zaplecza bibliotecznego, które mają bardzo dobre, ale także wsparcia finansowego, które umożliwiałoby promocję i propagację polskiej książki. Tradycje czytelnicze na Zaolziu istnieją, ale żeby je kontynuować, rozwijać i pielęgnować, trzeba jakiejś działalności organizacyjnej. I pracy od podstaw. Pracę tę trzeba zacząć od młodzieży, żeby wszyscy młodzi ludzie nauczyli się korzystać z książki i by ten swój stosunek do książki pielęgnowali od wieku młodzieńczego. Bo czego się Jaś nie nauczył, tego Jan nie będzie umiał. A polska książka szczególnie w naszym środowisku, środowisku pogranicza, gdzie styka się wiele kultur, gdzie mamy kontakt z językiem czeskim, z gwarą, jest bardzo ważna, bo zapewnia kontakt z językiem macierzystym w tej najczystszej formie, formie literackiej.*

Stowarzyszenie Przyjaciół Polskiej Książki nawiązuje do działalności Sekcji Bibliotekarsko-Czytelniczej ZG PZKO. Na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku powstał przy Zarządzie Głównym PZKO Aktyw Czytelniczo-Bibliotekarski, którego zadaniem była współpraca z polskimi oddziałami bibliotek publicznych i propagowanie czytelnictwa wśród członków PZKO i młodzieży szkolnej. *Od początku lat siedemdziesiątych* - czytamy w Leksykonie PZKO - *Sekcja Bibliotekarsko-Czytelnicza współpracuje z Oddziałem Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie. Do jej głównych zadań należy przygotowanie konkursów czytelniczych, organizacja szkoleń i seminariów dokształcających dla bibliotekarzy polskich oddziałów bibliotek publicznych, przygotowanie spotkań autorskich i wieczorów literackich w terenie oraz pomoc przy organizacji kiermaszów książki. Zaangażowani w jej działal-*

ność byli przede wszystkim bibliotekarze, nauczyciele i pracownicy kulturalno-oświatowi z całego terenu.

Pierwsze kółka czytelnicze - wspomina Helena Legowicz - *prowadził bibliofil i muzykolog Józef Stebel. Jest on takim naszym wzorem czytelnictwa i umiłowania książki na Zaolziu, jego konkursy czytelnicze dla dorosłych, pogadanki były wtedy znane w szeregu Kół PZKO. Ze zmianą warunków zmieniały się formy pracy. Książka stała się bardziej dostępna niż w pierwszych latach powojennych, dorośli już sami sięgali po książkę, więc Sekcja Bibliotekarsko-Czytelnicza skierowała swoje działania przede wszystkim na młodzież. Co roku regularnie odbywały się konkursy czytelnicze dla kilku kategorii uczniów szkół podstawowych, spotkania autorskie. Myślę, że wkład bibliotekarzy czy osób pracujących z książką w szerzenie czytelnictwa w tym okresie był ogromny. Dopiero załamanie finansowe na początku lat dziewięćdziesiątych przyniosło potrzebę założenia osobnego stowarzyszenia ze względów ekonomicznych. Przewodniczącymi Sekcji byli: Halina Molin, dzisiejsza dyrektor Biblioteki Regionalnej w Karwinie, Wanda Kozdra, obecnie kierownik filii Biblioteki Miejskiej w Czeskim Cieszynie, a od połowy lat osiemdziesiątych ja.*

Zmiany warunków społeczno-ekonomicznych, rozwój nowych technologii nie pozostały bez wpływu na mentalność potencjalnego czytelnika. *Tak jak zmienia się życie społeczne i polityczne naszego społeczeństwa* - tłumaczy Helena Legowicz - *tak zmienia się także podejście czytelników do książki. Pracuję w bibliotece ponad 25 lat i główne załamanie, które zauważyłam, to przełom lat dziewięćdziesiątych, kiedy zmiany społeczno-polityczne ukierunkowały społeczeństwo na informację bieżącą, na wiadomości o tym, co dzieje się w danej chwili i jak te zmiany wpływają na nasze życie, a tu najszybszą informacją była informacja w gazetach. Wtedy spadło zainteresowanie książką. Ale już w połowie lat dziewięćdziesiątych to zainteresowanie wróciło. W bibliotekach zauważyliśmy napływ czytelników, którzy dotychczas woleli kupować książki i mieć je na własność. I ceny, i ilość książek, i spektrum oferowane przez wydawnictwa uniemożliwiały kupienie wszystkiego. Biblioteka stała się źródłem dotarcia do tych publikacji, których nie można było czy ze względów ekonomicznych, czy ze względu na brak miejsca w domu nabyć na własność. Inna sprawa to dzieci i młodzież. Wiadomo, że komputery w pewnym momencie wtargnęły w nasze życie i odciągnęły młodzież od czytania. I tu bardzo dobrą sprawą jest inicjatywa, która przyszła do nas z Polski i którą my także się kierujemy, pod hasłem „Cała Polska czyta dzieciom". Ponieważ jeżeli w małym dziecku, w przedszkolaku, w pierwszoklasiście ukształtujemy zasadę czytania codziennego, to nawet najlepszy komputer, najlepsza informacja komputerowa nie zastąpi tej bliskości, która się będzie kojarzyła z bliskością rodzinną, więzią z rodzicami, dziadkami czy z inną osobą, w każdym razie z kontaktem osobistym z człowiekiem, a nie z maszyną.*

Członkowie SPPK spotykają się co roku na Walnym Zgromadzeniu. Prezesem zarządu organizacji jest od początku Helena Legowicz, pracami komisji rewizyjnej kieruje Irena Mierzwa. Mimo że Stowarzyszenie nie ma szerokiej bazy członkowskiej, to jednak, jak stwierdza prezes, na każdego członka można liczyć. *Możemy liczyć także na grono osób wspierających nas, ponieważ na wszystkich wystawach, na wszystkich imprezach pojawiają się czytelnicy, nasi sympatycy, którzy bez książki nie wyobrażają sobie życia* - dodaje.

Główną coroczną imprezą organizowaną przez SPPK jest Wystawa Polskiej Książki. Wystawy i kiermasze polskiej książki na Zaolziu mają bogatą tradycję. Od czterech lat SPPK, dzięki wsparciu finansowemu wielu instytucji z polskiej i czeskiej strony, zaprasza w listopadzie zaolziańskich czytelników na Wystawę do Czeskiego Cieszyna, potem do Jabłonkowa, od trzech lat także do Trzyńca, a na zakończenie do Karwiny. *Książki, które wydawnictwa przekazują na wystawę* - wyjaśnia Helena Legowicz - *są potem przekazywane do bibliotek i szkół na nagrody w konkursach, natomiast księgarz Zenon Wirth przyjmuje zamówienia na wszystkie publikacje, które są na wystawie. Czasami są one trudne do zdobycia, ponieważ nie wszystkie znajdują się w ofercie hurtowni Matras, z którą księgarnia współpracuje. Wprowadziliśmy także nową zasadę, którą będziemy chcieli kontynuować, a mianowicie zapraszać jedno z wydawnictw jako gościa honorowego. W tym roku było to wydawnictwo Literatura z Łodzi, wydawnictwo, które wydaje przede wszystkim książki dla dzieci oraz publikacje o Łodzi. Większość pisarzy zapraszanych na nasze spotkania autorskie towarzyszące wszystkim edycjom wystawy wydaje w tym wydawnictwie swoje książki.*

Oprócz Wystawy do dyspozycji zwiedzających są także książki sprzedawane na kiermaszu. Organizowane są też imprezy towarzyszące. *Wystawa nie może zaprezentować wszystkich publikacji, które zostały wydane - mówi* Helena Legowicz - *jest to tylko wycinek tego, co ukazuje się na polskim rynku wydawniczym, natomiast naszym celem jest także zapraszanie autorów, żeby jak najwięcej z nich odwiedziło nasz teren, spotkało się z młodzieżą, bo ten kontakt z pisarzem, dotknięcie go, otrzymanie autografu do książki jest dla dziecka bardzo ważny.*

Na Zaolzie przyjeżdżają głównie autorzy książek dla dzieci, ale nie tylko. Na Wystawie w latach poprzednich gościli Joanna Papuzińska, Wanda Chotomska, Ewa Nowacka, Joanna Olech, Joanna Siedlecka, Grzegorz Kasdepke, Edward Lutczyn i inni. Na otwarciu ostatniej Wystawy w Czeskim Cieszynie obecny był dyrektor Biblioteki Narodowej w Warszawie Michał Jagiełło, także w roli pisarza, autora książki „Zbójnicka sonata", oraz autorka książek dla dzieci Anna Onichimowska i ilustratorka Krystyna Lipka-Sztarbałło, a do Karwiny zawitała Beata Ostrowicka.

SPPK współpracuje z Oddziałem Literatury Polskiej Biblioteki Regional-

nej w Karwinie jako głównym organizatorem konkursów czytelniczych dla młodzieży. Bibliotekarki tego oddziału przygotowują te konkursy od lat, dawniej wspólnie z Sekcją Bibliotekarsko-Czytelniczą ZG PZKO. Obecnie konkursy organizowane są już tylko dla jednej kategorii wiekowej uczniów polskich szkół, ponieważ, jak tłumaczy Helena Legowicz, *zaplecze społeczników jest o wiele mniejsze, a konkurs wymaga dużej pracy przygotowawczej.* Po raz pierwszy w tym roku na spotkanie z uczestnikami konkursu czytelniczego przybyła też autorka książki, która była książką konkursową.

Nową inicjatywą SPPK jest wydawanie książek. Do tej pory udało się wydać książkę Otylii Toboły „Lutyńskie tango", SPPK wspierało również wydanie książki Agaty Szczuki „Oczy zachodnie, oczy wschodnie". Stowarzyszenie organizuje też, corocznie już, dla swoich członków i sympatyków wycieczkę na Targi Książki w Krakowie.

Na stronach internetowych http://sppk.polonica.cz, które aktualizowane są zazwyczaj raz w roku w czasie Wystawy Polskiej Książki, znajdują się wiadomości o imprezach organizowanych przez SPPK. Pod hasłem Wystawcy 2002 umieszczone zostały wydawnictwa, które w 2002 roku brały udział w Wystawie, i tu można dotrzeć na strony internetowe danego wydawnictwa, zapoznać się z jego ofertą, ewentualnie zamówić książkę w księgarni internetowej. *Ubiegłorocznych wystawców będziemy się starali zaprezentować w ten sam sposób* - zapewnia Helena Legowicz.

Jesienią ubiegłego roku Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie z okazji swego trzydziestolecia przygotował we współpracy ze Stowarzyszeniem Przyjaciół Polskiej Książki akcję pod nazwą Ulubiona książka Zaolziaków. Wśród czytelników do lat 15 (głosowało 320 osób) zwyciężyła książka „Harry Potter" J. K. Rowling, na drugim miejscu znalazł się „Władca pierścieni" J. R. R. Tolkiena, za nim „Ania z Zielonego Wzgórza" L. M. Montgomery, a dopiero czwarte miejsce zajął autor polski Henryk Sienkiewicz i jego powieść „W pustyni i w puszczy". Młodzież głosowała też na książki Alfreda Szklarskiego, Beaty Ostrowickiej, Adama Mickiewicza, Astrid Lindgren, A. A. Milne, Wandę Chotomską, a nawet Gustawa Morcinka. Wśród dorosłych czytelników (głosowało 256 osób w wieku ponad 15 lat) na pierwszym miejscu uplasowała się „Biblia" i powieść Henryka Sienkiewicza „Quo vadis" (zdobyły tę samą ilość głosów), na dalszych miejscach był „Władca pierścieni" J. R. R. Tolkiena, „Egipcjanin Sinuhe" Miki Waltari'ego, następne miejsca zajęły książki J. K. Rowling, Adama Mickiewicza, a także np. Doroty Terakowskiej, Anny Onichimowskiej, Katarzyny Grocholi, A. de Saint-Exupéry'ego, A. A. Marqueza, Paulo Coelho, nie zabrakło książek autorów rodzimych: „Z Adamowej dzichty" Adama Wawrosza, „Czarnej Julki" Gustawa Morcinka, „Lutyńskiego tanga" Otylii Toboły.

CZESŁAWA RUDNIK



Fot. FRANCISZEK BAŁON

MNIEJSZOŚĆ POLSKA W CSRS W 1968 ROKU W OCZACH WŁADZ PRL

Władze Polski Ludowej, zwłaszcza od przełomu październikowego w 1956 r., znacznie więcej uwagi poświęcały Polakom mieszkającym w krajach zachodnich, niż środowiskom mniejszości w krajach bloku sowieckiego, o samym Kraju Rad nie wspominając. Postawa ta wynikała z chęci unikania zadrażnień w stosunkach z sojusznikami. De facto akceptowano więc wiele działań, które uznać można za zmierzające do asymilacji lub wręcz wynarodowienia Polaków. Konstatacja ta odnosi się także do położenia mniejszości polskiej w Czechosłowacji. Po krótkim okresie lat 1945-1946, kiedy to istniał ostry konflikt graniczny z południowym sąsiadem, komunistyczne władze straciły zainteresowanie dla mieszkańców Zaolzia. Wyjątkowym okresem, kiedy więcej uwagi poświęcono położeniu i postawie mniejszości polskiej w Czechosłowacji, był rok 1968, gdy u południowego sąsiada Polski rozpoczął się proces demokratycznych przemian, przerwanych brutalną agresją wojsk pięciu państw Układu Warszawskiego[1].

Rozpracowywaniem postawy mniejszości polskiej w Czechosłowacji zajmowała się katowicka Służba Bezpieczeństwa. Systematyczne gromadzenie informacji rozpoczęto w drugiej połowie kwietnia 1968 r.[2] Początkowo były to przede wszystkim dane nt. ożywienia politycznego mniejszości, tworzenia nowych organizacji, uchwalanych rezolucji i petycji. W tym czasie (maj 1968 r.) oceniano jeszcze, że „Stosunek Polaków na Zaolziu do Polski jest jak najbardziej pozytywny, oczekują jednak od Rządu Polskiego opieki i pomocy, której dotychczas nie otrzymywali, a problem Polonii w Czechosłowacji był wstydliwie przemilczany". W raportach SB pojawiały się również informacje o rzekomych „szowinistycznych" wystąpieniach ludności czeskiej. W aktach sekretariatu Władysława Gomułki zachował się odpis listu do I sekretarza KC PZPR, podpisanego przez „ciemiężonych Polaków z Zaolzia". Jego autor (autorzy?) apelował do „Wiesława", by stał się „drugim Łokietkiem" i prosił o „wyzwolenie spod obecnego jarzma". Odwoływał się przy tym nie tylko do kwestii prześladowań Polaków, lecz także do aktualnej sytuacji w Czechosłowacji, sugerując, że „cały szereg elementów w kraju i za granicą chciałoby włączyć te ziemie razem z Zaolziem do obozu kapitalistycznego"[3].

Wbrew nadziejom autora listu i innych podobnie myślących osób, jak się wydaje, władze PRL, przy całej swej krytyce dla reform Praskiej Wiosny, nawet przez chwilę nie rozważały możliwości wykorzystania zaistniałej sytuacji dla poprawy położenia mniejszości polskiej czy wręcz korekty granicy.

„Neutralna" postawa władz PRL w stosunku do mniejszości polskiej w Czechosłowacji zmieniła się po 21 VIII 1968 r. Liderzy Polaków mieszkających w CSRS, a wraz z nimi znaczna część polskiej społeczności, zajęli zdecydowanie negatywne stanowisko w stosunku do interwencji wojsk Układu Warszawskiego. Organizacje polskie wystosowały oficjalne protesty, Polacy występowali w radiu i telewizji w obronie Praskiej Wiosny, główna polskojęzyczna gazeta Głos Ludu zamieszczała liczne apele, odezwy i artykuły potępiające inwazję. Doszło do tego, iż pismo to, organ Północnomorawskiego Komitetu Komunistycznej Partii Czechosłowacji, stało się na terenie PRL pilnie ściganym przez SB prohibitem! Po 21 sierpnia nasiliły się także działania operacyjne w środowisku mniejszości polskiej. Skrupulatnie zbierano informacje o postawach poszczególnych osób i środowisk, podejmowanych działaniach, zebraniach i naradach. Za szczególnie niepokojące uznawano wypadki sporządzania i powielania przez Polaków mieszkających w Czechosłowacji ulotek adresowanych do rodaków[4]. Kolportowano je następnie na terenie PRL oraz wśród żołnierzy WP stacjonujących na terenie CSRS[5].

Katowicka SB posiadała co najmniej kilka „osobowych źródeł informacji" w środowisku polskiej mniejszości[6]. Do KP MO w Cieszynie wpływały także „doniesienia obywatelskie", demaskujące „wrogą działalność" niektórych przedstawicieli mniejszości polskiej, pozostających „na usługach czeskiej kontrrewolucji od października ub. r." [1967 - Ł.K.]. Szczególnie gorliwy donosiciel opisał na czterech stronach maszynopisu postawę Henryka Jasiczka, zarzucając mu m.in. „tchórzostwo" w czasie wojny, „schematyczność" utworów poetyckich, „brudne ręce w likwidacji poety Pawła Kubisza", negatywny stosunek do Polski w „manierze pisarskiej" oraz „uprawianie psychozy antyradzieckiej". Celem rozpracowywania poszczególnych osób na teren Czechosłowacji wysyłano także agenturę werbowaną w kraju, a posiadającą kontakty w środowisku mniejszości polskiej. Szczególnie cennym źródłem informacji był kontakt obywatelski[7] „Beskid", zbierający informacje przede wszystkim wśród polskich literatów i dziennikarzy w CSRS[8].

Po wkroczeniu wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji Służba Bezpieczeństwa przystąpiła do opracowywania charakterystyk poszczególnych działaczy mniejszościowych oraz Polaków zajmujących stanowiska kierownicze. Dzielono ich według zajętego stanowiska wobec interwencji na „pozytywnych" oraz „negatywnych". Szczególną uwagę poświęcano grupie działaczy PZKO i dziennikarzy polskich prowadzących „wrogą propagandę przeciw Polsce i ZSRR" oraz „w sposób perfidny szczujących Polaków na Zaolziu przeciwko władzom PRL" (zob. niżej)[9].

Władze PRL podejmowały także aktywne działania w środowisku polskiej mniejszości. Z uwagą odnotowywano pojawiające się opinie wśród części

członków Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, głoszące, że „zarząd PZKO występuje jako wyraziciel całej społeczności polskiej zamieszkałej na Zaolziu, nie pytając się ich o zdanie - jak na przykład nie pytali się, czy wszyscy członkowie związku solidaryzują się z zajmowanym obecnie stanowiskiem zarządu PZKO w związku z wkroczeniem wojsk Układu Warszawskiego". Takie opinie wynikały m.in. z obaw, iż postawa liderów mniejszości może doprowadzić do braku zainteresowania losami Polaków w Czechosłowacji przez władze PRL, a co za tym idzie „wzmożenia represji ze strony władz administracyjnych CSRS oraz ludności czechosłowackiej". Wykorzystując tego typu nastroje, istniejące animozje pomiędzy poszczególnymi działaczami, a także działania tajnych współpracowników SB, prowadzono szereg poczynań zmierzających do dezintegracji środowiska mniejszości polskiej i zmiany jego postawy politycznej. Jak pisano w jednym z opracowań, „po kilkunastu tygodniach naszej pracy w terenie" udało się doprowadzić do częściowej izolacji jednego z liderów mniejszości, Henryka Jasiczka. Zainspirowano akcje zwracania mu książek jego autorstwa, a także wystąpienia, w czasie których „zarzuca mu się w oczy karierowiczostwo, tendencyjnie wrogi stosunek do Polski, której faktycznie zawdzięcza swoją karierę". Zarząd Główny PZKO „inspirowano", aby nie powierzał Jasiczkowi oficjalnych wystąpień[10]. Z drugiej strony przygotowywano się na wypadek konieczności ewakuacji z terytorium Czechosłowacji niektórych Polaków, w razie „niekorzystnego rozwoju sytuacji CSRS". Sporządzenie odpowiedniego wykazu okazało się jednak nie lada problemem, ponieważ „osoby, które dotychczas były nam znane, w ostatnich wydarzeniach zajęły postawę negatywną"[11].

Dziesięciu dziennikarzy Głosu Ludu w grudniu 1968 r. pozbawiono prawa przekraczania granicy PRL. Obowiązywało ono do 1970 r.[12] Dodatkową, szczególnie bolesną represją było objęcie niektórych osób (np. Henryka Jasiczka i Władysławy Krumniklowej) zakazem druku w PRL[13].

W początkach 1969 roku powstała obszerna, licząca 31 stron „Charakterystyka niektórych przedstawicieli środowiska polonijnego w Czechosłowacji po wkroczeniu wojsk sojuszniczych". Przedstawiono w niej sylwetki dziesięciu działaczy mniejszości polskiej w CSRS: Henryka Jasiczka, Władysławy Krumniklowej, Wilhelma Przeczka, Władysława Sikory, Adama Bergera, Stefana Mamonia, Janusza Gaudyna, Tadeusza Siwka, Jana Szymika i Bolesława Duławy[14]. Jak się wydaje, głównym kryterium doboru wymienionych osób był fakt publikowania przez nich po 21 VIII 1968 r. artykułów w Głosie Ludu i innych pismach. „Charakterystyka" została odnaleziona w zasobach archiwalnych Wydziału Kultury KC PZPR, aczkolwiek najprawdopodobniej powstała ona w MSW. Przy jej sporządzaniu obszernie wykorzystywano zgromadzone przez SB donosy i meldunki.

Dokument ten stanowi podsumowanie stosunku władz PRL do liderów polskiej mniejszości w CSRS.

Najwięcej miejsca, blisko sześć stron, poświęcono Henrykowi Jasiczkowi. Obciążał go już sam fakt narodzin, bowiem jego ojciec miał być Żydem. Wbrew pozorom „szczegół ten jest dość istotny", „rzutuje on bowiem na stosunek Jasiczka do wydarzeń marcowych w Polsce". W czasie wojny nawiązał kontakt z ruchem oporu, jednakże „nie odegrał w nim żadnego aktywnego udziału". Nie wiedzieć czemu stawiano mu zarzut, iż po wyzwoleniu „demonstracyjnie witał żołnierzy radzieckich". Zapewne czytelnik dokumentu miał się domyślać, iż ta „demonstracyjność" była nieszczera. W oczach autora tekstu nie pomógł mu nawet fakt, iż Jasiczek podjął pracę w Komitecie Powiatowym KPC w Czeskim Cieszynie. Zajmował się tam zbieraniem relacji partyzantów, przy czym rzekomo miał „przypisywać sobie ich bojowe zasługi". Następnie wspólnie z Andrzejem Kubiszem założył Głos Ludu, skąd jednak szybko przy pomocy „różnych intryg i donosów do władz czeskich" usunął pierwszego redaktora naczelnego pisma i sam zajął jego miejsce. Pozbawienie Jasiczka tej funkcji w 1958 r., które wg samego zainteresowanego nastąpiło na skutek jego poparcia dla przemian październikowych, miało być efektem złego stanu zdrowia oraz nadużyć finansowych. Uzasadnienia tego ostatniego twierdzenia trudno nie uznać za kuriozalne: „jest [ono] prawdziwe, ponieważ przy bliższej ocenie sylwetki Jasiczka okazuje się, że nie zrobił on dotychczas nic w sposób bezinteresowny, społeczny". Pozbawienie funkcji nie zaszkodziło jednak Jasiczkowi, skoro wkrótce „dzięki pewnym osobistym zdolnościom i skłonnościom do intryg oraz poparciu władz konsularnych w Ostrawie umiejętnie opanował wszystkie płatne stanowiska", a także usunął w cień dotychczasowego lidera środowiska kulturalnego mniejszości polskiej Pawła Kubisza i został „monopolistycznym reprezentantem polskiego środowiska literackiego". Jako taki otrzymuje dużą pomoc materialną z PRL, a nawet zostaje odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Zapewne zdołałby się dalej „skrzętnie maskować", jednakże przemiany Praskiej Wiosny „zmusiły również Jasiczka do jakiegoś samookreślenia się". Aczkolwiek „jako człowiek o elementach karierowiczowskich" unikał aż do sierpnia publicznych wystąpień, to jednak „w terenie, wśród ludzi mniej zorientowanych szkalował czołowych przedstawicieli PZPR, a szczególnie tow. Gomułkę". „Szkalowanie" miało polegać na obronie „rzekomo prześladowanych żydów i studentów" oraz krytyce PRL-owskiej pracy i cenzury. W dalszej części opisu sylwetki Jasiczka podano szereg przykładów z jego publicznych wystąpień i artykułów z okresu po 21 VIII 1968 r., uznając, że „są wielce wymowne i nie wymagają szerszych komentarzy"[15].

Sylwetki pozostałych osób przedstawiono znacznie bardziej skrótowo.

Głównymi dowodami ich „antypolskiej postawy" były licznie cytowane fragmenty wypowiedzi i publikacji po 21 VIII 1968 r., protestujących przeciwko interwencji „warszawskiej piątki" w Czechosłowacji. Nie zaniedbano jednak także budowania negatywnego obrazu działaczy mniejszości polskiej. I tak W. Krumniklowa została scharakteryzowana jako osoba „z natury bezczelna, cechuje ją duży tupet, posiada wrodzone skłonności do intryg i rozróbek". Podkreślano także, iż jest ona „pochodzenia żydowskiego" i „spotyka się często z osobami narodowości żydowskiej z terenu Bielska-Białej i Gliwic". Z kolei Wilhelm Przeczek w swojej twórczości „literackiej" (cudzysłów w oryginale) miał pisać „wiersze dość początkowo naiwne w treści" oraz „wzorować się i kopiować przede wszystkim pisarzy radzieckich". Dlaczego to ostatnie miało stanowić zarzut, trudno powiedzieć. Pracując w Komitecie okręgowym KPC, miał rzekomo „wykorzystywać zajmowane stanowisko w aparacie partyjnym do uzyskiwania osobistych korzyści". Wynikało to zapewne z „ujemnych cech jego charakteru jak zarozumialstwo, brak koleżeńskości, wrodzone tendencje do rozróbek i wykańczania współtowarzyszy pracy". Równie niesympatycznie kreślono postać Władysława Sikory, który nie tylko wstąpił do partii dla osobistych korzyści, a nie z „pobudek ideowych", ale w dodatku „z Polską był dotychczas mało związany". Publikowanie przez Sikorę swoich utworów z polskich pismach tłumaczono „względami materialnymi". Nie dość, iż miał on dysponować „pokaźnym zbiorem utworów antysocjalistycznych", to jeszcze był „typem drobnomieszczańskim ze wszystkimi stąd wynikającymi konsekwencjami, a przy tym jest pochodzenia robotniczego".

Kolejny bohater „Charakterystyki", Adam Wiesław Berger, nie dość, iż rzekomo „w czasie okupacji służył w wojsku niemieckim", to w dodatku zajmował „stanowisko antypolskie i antysocjalistyczne". Najbardziej obciążać miał go jednak fakt, iż wraz z Przeczkiem i Sikorą rzekomo był autorem „plugawego paszkwila oczerniającego przedstawicieli najwyższych polskich władz partyjnych i państwowych", zawieszonego na miejscu gablotki przed konsulatem PRL w Ostrawie[16].

„Był premier, co życie wstrzemięźliwe pędził,
Był sekretarz, który nigdy zbyt długo nie ględził,
Był Komitet Centralny, co szanował kulturę,
I członkowie komitetu, którzy mieli maturę,
Była partia, w której nie było już karierowiczów,
I rząd, który nie oszukiwał klasy robotniczej,
Była milicja, która nie prała pałkami po głowach
Studentów, co nie chcieli wierzyć w wolność słowa,
Pytasz, co w tym dziwnego -
Wszystko to prawdą być może,
Jednakże ja to między bajki włożę".

Równie nieciekawą postacią był Stefan Mamoń, „polityczny kameleon" i „działacz społeczny o zabarwieniu karierowiczowskim". Podobnie Janusz Gaudyn, który od marca 1968 r. „zmienił swoje dotychczasowe poglądy i stanął zdecydowanie na stanowisku antypolskim". Przejawiało się to w tym, iż „osobiście rozlepiał afisze, pisał antypolskie hasła oraz zajmował stanowisko antypolskie w prasie polskiej ukazującej się na terenie Zaolzia". Podobne zarzuty stawiano pozostałym osobom, dodając (zapewne dla wzmocnienia efektu) także frazy o „braku zasad moralnych i pijaństwie"[17].

Zapewne nie jest przypadkiem, iż osoby wymienione w „Charakterystyce" w początkach 1970 r. usunięto z redakcji Zwrotu (H. Jasiczek) i Głosu Ludu (W. Krumniklowa, S. Mamoń, W. Przeczek, T. Siwek, W. Sikora)[18]. Nie sposób sobie wyobrazić, aby na krok ten czechosłowacka ekipa „normalizatorów" zdobyła się bez zgody, a najprawdopodobniej i bez inspiracji władz PRL. Wiosną 1969 r. Służba Bezpieczeństwa zbierała informacje na temat rodziny Henryka Jasiczka zamieszkałej w Polsce[19].

Podobne działania, jak wobec mniejszości polskiej w CSRS, podejmowano także w stosunku do Czechów i Słowaków mieszkających w Polsce. Jest to już jednak zagadnienie zasługujące na odrębną analizę[20].

Mniejszość polska w Czechosłowacji zapisała w 1968 r. chlubną kartę swojej historii. Mimo istniejących, narosłych przez lata animozji i żalów, nie skorzystano z okazji, by interwencję wojsk Układu Warszawskiego wykorzystać dla poprawy własnego położenia. Wprost przeciwnie - narażając się na represje, Polacy stanęli obok Czechów i Słowaków w obronie Praskiej Wiosny. Na przeciwległym biegunie usadowiły się władze PRL, które nie tylko były gorącymi orędownikami zduszenia demokratycznych przemian u południowych sąsiadów[21], lecz także prowadziły działania wymierzone we własnych rodaków mieszkających w CSRS.

ŁUKASZ KAMIŃSKI

[1] W interwencji w Czechosłowacji uczestniczyły armie ZSRR, PRL, LRB, WRD i NRD, przy czym te ostatnie, na prośbę promoskiewskiej grupy działaczy KPC ostatecznie nie przekroczyły granic CSRS.

[2] Meldunki Naczelnika Wydziału KRG KW MO w Katowicach, AIPN Katowice, syng. 0103/192 t. 6 cz. 1, bp (także w: AIPN Katowice, syng. 0103/192 t. 1 cz. 3, bp).

[3] Zob. np. Informacja, AIPN Katowice, syng. 0103/192 t. 1 cz. 3, bp; Odpis listu, AAN, KC PZPR, syng. 237/V-736, k. 3-4.

[4] W meldunkach podawano treść poszczególnych ulotek. Jedna z nich, „zredagowana przez osobę, względnie grupę osób ze środowiska PZKO", miała formę wierszowaną: „1. Hej dziewczyno, hej niebogo / jakieś wojsko idzie drogą. / Skryj się za ścianę, schowaj zegarek, / skryj się, skryj. / Ja myślałam, że to śmieci, / że to jakieś gówno leci, / a to sowieci, sowieci, sowieci. / 2. Strzeż się tego, co na przedzie / co w szarej pobiedzie jedzie. / Aficyjera, podpa-

łkownika, / strzeż się, strzeż. / Ja myślałam, że to chlewik, / że to jakiś zgniły trzewik, / a to bolszewik, bolszewik, bolszewik" (AIPN Katowice, sygn. 0103/192, t. 6, cz. 2, bp).

[5] Notatki służbowe i meldunki, AIPN Katowice, sygn. 0103/192, t. 6, cz. 2, bp.

[6] Wykaz osób wykorzystywanych w toku akcji „Podhale", AIPN Katowice, sygn. 0103/192 t. 1 cz. 1, bp; Raport dot. weryfikacji źródeł informacji wykorzystywanych do akcji „Podhale", ibidem.

[7] Kontakt obywatelski (kontakt poufny, pomoc obywatelska) - niższa kategoria agentury, do 1970 r. niepodlegająca rejestracji.

[8] Doniesienia obywatelskie, AIPN Katowice, sygn. 0103/192, t. 8, cz. 3, bp; Doniesienie obywatelskie, AIPN Katowice, sygn. 0103/192, t. 6, cz. 2, bp; Informacja, AIPN Katowice, sygn. 0103/192 t. 1 cz. 1, bp.

[9] Notatki służbowe i informacje, AIPN Katowice, sygn. 0103/192, t. 8, cz. 3, bp. Zob. też Notatki służbowe i meldunki informacyjne, AIPN Katowice, sygn. 0103/192, t. 6, cz. 2, bp.

[10] Meldunek dot. akcji kryptonim „Podhale", AIPN Katowice, sygn. 0103/192, t. 6, cz. 2, bp; Charakterystyka niektórych przedstawicieli środowiska polonijnego w Czechosłowacji po wkroczeniu wojsk sojuszniczych, AAN, KC PZPR, sygn. 237/XVIII-325, k. 27.

[11] Raport dot. realizacji poleceń wiceministra spraw wewnętrznych gen. bryg. Fr. Szlachcica z 24 sierpnia 1968 r., AIPN Katowice, sygn. 0103/192, t. 1 cz. 1, bp.

[12] Byli to: Henryk Jasiczek, Władysława Krumniklowa, Tadeusz Siwek, Bolesław Dulawa, Władysław Niedoba, Wilhelm Przeczek, Janusz Gaudyn (był on obywatelem PRL!), Adam Wiesław Berger, Stefan Mamoń i Władysław Sikora. Poza tą listą zastrzeżeniem przyjazdów do PRL obejmowano także inne osoby. Spotkało to np. Franciszka Parchańskiego z Karwiny, który w rozmowie z byłym (aczkolwiek w dalszym ciągu wykorzystywanym) tajnym współpracownikiem SB ps. „Nikodem" wyraził się „wy zbrodniarze przyszliście tu mordować i mordujecie tu ludzi", w związku z czym został pozbawiony prawa przekraczania granicy na okres 1 roku (Wniosek o niewpuszczenie do PRL obywatela CSRS Parchańskiego Franciszka zam. w Karwinie, pow. Frysztat, AIPN Katowice, sygn. 0103/192, t. 8, cz. 3, bp.).

[13] Wykaz osób zastrzeżonych, AIPN Katowice, sygn. 0103/192, t. 8, cz. 3, bp; J. Rusnok, Henryk Jasiczek (1919-1976), Głos Ludu nr 9 z 20 I 1990, s. 4; K. Kaszper, Powrót do życia, Głos Ludu nr 24 z 24 II 1990, s. 4.

[14] Charakterystyka niektórych przedstawicieli środowiska polonijnego w Czechosłowacji po wkroczeniu wojsk sojuszniczych, AAN, KC PZPR, sygn. 237/XVIII-325, k. 23-53.

[15] Ibidem, k. 23-29.

[16] Autorzy „Charakterystyki" nie zauważyli, iż jest to popularna w Marcu '68 trawestacja wiersza Ignacego Krasickiego „Wstęp do bajek".

[17] Charakterystyka niektórych przedstawicieli środowiska polonijnego w Czechosłowacji po wkroczeniu wojsk sojuszniczych, AAN, KC PZPR, sygn. 237/XVIII-325, k. 29-53.

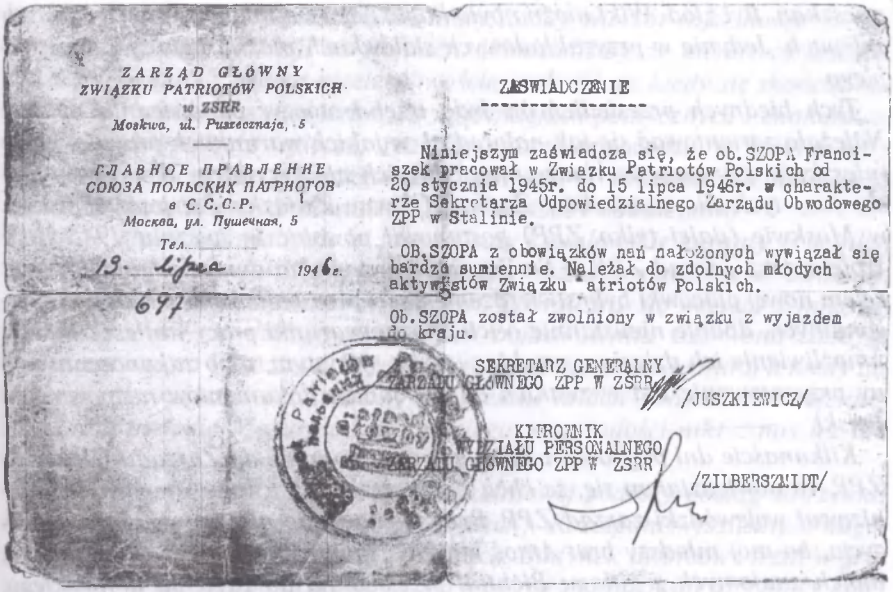
[18] K. Kaszper, op. cit., s. 4.

[19] Notatka służbowa, AIPN Katowice, sygn. 0103/192, t. 1 cz. 1, bp; Informacja dot. członków rodziny literata Jasiczek Henryk, ibidem.

[20] Por. plan operacyjnego działania akcji krypt. „Podhale", AIPN Kraków, sygn. 08/84, k. 327.

[21] Por. A. Paczkowski, Władysław Gomułka versus Praska Wiosna, „Politicus" 1994, nr 1-2, s. 39-45.

Przedruk za zgodą autora z: „Wokół historii i polityki. Studia z dziejów XIX i XX wieku" pod redakcją S. Ciesielskiego, T. Kulak, K. Ruchniewicza, J. Tyszkiewicza, Toruń 2004.



ZARZĄD GŁÓWNY
ZWIĄZKU PATRIOTÓW POLSKICH
w ZSRR
Moskwa, ul. Puszeczaja, 5

ГЛАВНОЕ ПРАВЛЕНИЕ
СОЮЗА ПОЛЬСКИХ ПАТРИОТОВ
в С.С.С.Р.
Москва, ул. Пушечная, 5

Тел.

13. Lipca 1946 r.

697

ZAŚWIADCZENIE

Niniejszym zaświadcza się, że ob. SZOPA Franciszek pracował w Związku Patriotów Polskich od 20 stycznia 1945r. do 15 lipca 1946r. w charakterze Sekretarza Odpowiedzialnego Zarządu Obwodowego ZPP w Stalinie.

OB. SZOPA z obowiązków nań nałożonych wywiązał się bardzo sumiennie. Należał do zdolnych młodych aktywistów Związku Patriotów Polskich.

Ob. SZOPA został zwolniony w związku z wyjazdem do kraju.

SEKRETARZ GENERALNY
ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZPP W ZSRR
/JUSZKIEWICZ/

KIEROWNIK
WYDZIAŁU PERSONALNEGO
ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZPP W ZSRR
/ZILBERSZTAJDT/

NIEWIELU WRÓCIŁO

(wspomnienia sprzed sześćdziesięciu lat)

Jesienią 1944 roku, po czterech latach katorgi, wyraziły władze radzieckie zgodę na przesiedlenie polskich zesłańców z Syberii i Kazachstanu do zagłębia donieckiego. Nie był to z ich strony gest przyjaźni ani też jakiś przejaw miłosierdzia lub łaski. Główną przyczyną tej decyzji był wielki brak siły roboczej w Donbasie. Zniszczenia wojenne były tam ogromne. Faszyści niemieccy pozostawili po sobie zgliszcza i ruiny. Trzeba było uruchomić rozbite fabryki i kopalnie, a ludzi do pracy nie było. Mężczyźni w sile wieku walczyli jeszcze na frontach, a setki tysięcy mieszkańców zagłębia wymordowano. W Stalino była jedna kopalnia, jęczącą ją nazwano. W latach wojennych Niemcy wrzucali do niej żywych ludzi, a ci, padając na trupy, długo jęczeli z bólu, dopóki nie wyzionęli ducha. Po wyzwoleniu była w zagłębiu bardzo trudna sytuacja i dlatego też nic dziwnego, że władze miejscowe przywitały z wielką radością przesiedleńców z dalekiej Syberii i Kazachstanu. Niestety po ich przyjeździe nie potrafiły im zapewnić odpowiednich

mieszkań. Był głód. Wikt można było kupić tylko na talony w przydzielonych sklepach. Jedynie w przyzakładowych stołówkach można było zjeść coś ciepłego.

Tych biednych przesiedleńców było trzeba otoczyć odpowiednią opieką. Należało zorientować się jak najprędzej, w jakich warunkach pracują, gdzie mieszkają, czy czasem władze miejscowe ich nie krzywdzą. W trosce o dalsze losy tych nieszczęśników Zarząd Główny Związku Patriotów Polskich w Moskwie (dalej tylko ZPP) postanowił powołać w styczniu 1945 roku Wojewódzki Zarząd ZPP w Stalino, stolicy zagłębia donieckiego. Głównym celem nowej placówki było stwierdzenie ilości przesiedleńców, ich danych personalnych, dbanie nieustannie o ich znośne warunki pracy i mieszkaniowe, umożliwienie ich dzieciom nauki w języku ojczystym, a po zakończeniu wojny przygotowanie dla wszystkich odpowiednich dokumentów na powrót do Polski.

Kilkanaście dni po Nowym Roku zawezwano mnie do Zarządu Głównego ZPP. Tu dowiedziałem się, że chcą mnie wysłać do Lwowa, bym tam zorganizował wojewódzki zarząd ZPP. Była to dla mnie niezadowalająca propozycja, bo mój młodszy brat Antoś w jesieni napisał mi, że jego i wszystkich moich znajomych z gułagu Bichtuil przesiedlają do zagłębia donieckiego. Wobec takiej sytuacji poprosiłem kierownika personalnego, by mi pozwolono spotkać się po dwóch latach rozłąki z ukochanym bratem i z dawnymi znajomymi. Kierownik, po krótkiej naradzie, zmienił swoją pierwotną decyzję i zgodził się, bym pojechał do Stalino.

Starszy ode mnie o dwadzieścia lat inż. Stanisław Niewiński otrzymał dekret na przewodniczącego Wojewódzkiego Zarządu ZPP, a mnie mianowano sekretarzem odpowiedzialnym.

Wojna jeszcze się nie skończyła. Wszędzie były bardzo trudne warunki życiowe. W sklepach można było coś kupić tylko na talony żywnościowe, a na bazarach, gdzie było prawie wszystko, nawet i lekarstwa, chciano za każde głupstwo horrendalne sumy. Na ulicach Moskwy było umieszczonych kilkadziesiąt dużych map Europy, a na nich wyznaczano każdy dzień czerwoną wstążką przebiegające w danym dniu linie frontów. W miarę jak zbliżał się do siebie zachodni front sprzymierzeńców i wschodni front Armii Czerwonej, ludzie stojący przed mapami żywo dyskutowali i przepowiadali chwilę długo oczekiwanego dnia zwycięstwa.

Był 17 styczeń 1945 roku. Po załatwieniu wszystkich formalności zjedliśmy kolację w stołówce ZG ZPP. W trakcie posiłku i picia czarnej kawy, w trakcie opowiadania o swych losach zaprzyjaźniłem się z inżynierem Staśkiem na tyle, że przeszliśmy na ty. Straszne lata wojenne, a przede wszystkim nieludzkie chwile przeżyte w gułagach zatarły między nami znaczną różnicę wiekową. Nie poszliśmy od razu do hotelu, bo chcieliśmy jeszcze

posłuchać radia, tzw. kołchoznika, który każdy wieczór informował co godzinę o aktualnej sytuacji na frontach. Wiedzieliśmy, że niemieccy faszyści już dogorywają, i z wielką niecierpliwością czekaliśmy, kiedy się skończy nareszcie ta przeklęta poniewierka. Po informacjach politycznych i ekonomicznych nadawano każdy wieczór rozkazy naczelnego wodza, w których były oceniane sukcesy na poszczególnych frontach, a równocześnie udzielano podziękowania głównym dowódcom za ofiarność i bohaterstwo.

Każde wieczorne wiadomości poprzedzały kremlowskie kuranty, a po nich spiker Lewitan czytał spokojnym głosem rozkazy naczelnego dowódcy. Nagle, jakby oparzeni jakimś wrzątkiem, zerwaliśmy się wszyscy z miejsca, bo spiker głosił, że dziś po zwycięskich bojach Armia Czerwona zdobyła szturmem miasto Warszawę. W jadalni rozległo się gromkie hura, a kiedy na zakończenie rozkazu usłyszeliśmy po sześciu latach poniewierki wojennej ukochaną melodię Mazurka Dąbrowskiego, to z radości nikt z nas łez nie utrzymał.

Rano wyjechaliśmy z Moskwy. Po dwudniowej podróży pociąg zatrzymał się na dworcu w Stalino (dzisiejszy Donieck). Rozespani wyszliśmy z wagonu i pierwsze wrażenia były przygniatające. Budynek dworcowy leżał w gruzach, a w nierozbitej doszczętnie jednej jego części pracowali urzędnicy kolei i tam też można było zakupić bilety. Z niewielkim bagażem wsiedliśmy do trolejbusu i pojechaliśmy do centrum miasta. Widok z okna był żałosny. Wszędzie zgliszcza i ruiny. Gdzieniegdzie wyrastały nowe fabryki, kopalnie i budynki mieszkalne. Po przejechaniu kilku przystanków motorniczy poinformował nas, że teraz byłoby dobrze wysiąść, bo stąd najkrótsza droga do oblispolkomu (Wojewódzkiej Rady Narodowej). Po wyjściu z ciepłego wagonu dokuczliwy mróz zaczął nas szczypać w policzki. Nogi nam nie ziębły, bo przed mrozem chroniły je ciepłe buty, tzw. walonki, natomiast brak ciepłych rękawic zmuszał nas do stałego przerzucania walizek z ręki do ręki. Po kilkunastu minutach intensywnego marszu stanęliśmy przed nowo wybudowanym gmachem oblispolkomu. W portierni milicjant skontrolował dokładnie nasze dokumenty i wydał nam przepustki do kancelarii przewodniczącego.

Na pierwszym piętrze zapukaliśmy do drzwi i nieśmiało weszliśmy do środka. Sekretarka, widocznie powiadomiona przez milicjanta z portierni, przywitała nas z uśmiechem i bez zwłoki zaprosiła do kancelarii swego szefa. Za biurkiem siedział przystojny młodzian w mundurze pułkownika. Kiedy z trudem wstał, by przywitać się z nami, zrozumieliśmy od razu, dlaczego taki, stosunkowo młody jeszcze mężczyzna, nie walczy na froncie. Był bez jednej nogi.

„Jestem Piotr Pawłowicz Kuwyczko" - przedstawił się, podając nam równocześnie rękę na powitanie. - „Czekam już na was drugi dzień. Mam z oblkomu (skrót wojewódzkiego komitetu partii) dokładne informacje o celu waszego przybycia. Cieszę się bardzo i jestem głęboko przekonany, że współ-

praca z wami będzie na medal. Zagłębie nasze, jak już na pewno zdążyliście zauważyć, jest rozbite, fabryki i kopalnie leżą w gruzach. Muszę się jednak trochę pochwalić, że za półtora roku od wyzwolenia zdążyliśmy już coś niecoś wykonać. Odbudowaliśmy gmach naszego urzędu i oblkomu, stoi też nowy teatr i kino. Nie ma jeszcze nowego hotelu, więc przepraszam was bardzo, że będziecie musieli na razie zamieszkać w prowizorium na trzeciej linii".

Przy czarnej kawie opowiadał o swoich przeżyciach na froncie, o długim pobycie w szpitalu z ciężko poranioną nogą, której jednak nie udało się uratować. Wiele uwagi poświęcił teraźniejszym problemom z odbudową zagłębia. Nie ukrywał wielkiej radości, że jesienią zeszłego roku przyjechały tu tysiące Polaków ze Syberii i Kazachstanu, by pomóc w kopalniach, przemyśle i w sowchozach.

Pod koniec rozmowy sekretarka przyniosła nam kartki żywnościowe i przepustki do stołówki Wojewódzkiej Rady Narodowej oraz skierowanie do hotelu. Swemu zastępcy przewodniczący polecił, by natychmiast w gmachu województwa przygotował dla nas lokal biurowy. Nam zaś życzył wszelkiej pomyślności w pracy organizacyjnej. Chcąc podkreślić jej znaczenie dla zagłębia, dał nam list, w którym żądał wszystkie urzędy powiatowe i miejskie oraz dyrekcję sowchozów o okazywanie nam wszechstronnej pomocy. Pierwsze spotkanie z przewodniczącym oblispolkomu wywarło na nas dosyć dobre wrażenie. Wyczuliśmy, że tysiące polskich przesiedleńców mają dla rozwoju zagłębia donieckiego niebagatelne znaczenie.

Początki naszej pracy były bardzo trudne. Wymagały głębokich przemyśleń, dyplomacji oraz taktyki i cierpliwości. Przywiezieni zesłańcy byli rozproszeni po całym województwie stalińskim. Oprócz organów NKWD państwowe urzędy niewiele o nich wiedziały i było trzeba poświęcić wiele czasu i różnorodnych zabiegów, by zyskać potrzebne materiały do rozpoczęcia intensywnej pracy organizacyjnej. Codziennie wyjeżdżaliśmy do urzędów powiatowych i miejskich. Znajdowały się one w Gorłówce, Jenakiejewie, Makiejewce, Charcysku, Kramatorsku, Mariupolu, Sławiańsku oraz w dalszych jeszcze miejscowościach, których nazw już dzisiaj dobrze nie pamiętam. Najpierw było trzeba w każdym rejonie zorganizować podstawowe organizacje ZPP, ich przewodniczących dokooptować do zarządu wojewódzkiego i w ten sposób wybudować aktyw bardzo potrzebnych współpracowników.

Pomimo braku doświadczenia i znajomości terenu zdołaliśmy w ciągu paru tygodni zorganizować w szesnastu miejscowościach rejonowe i sowchozowe zarządy ZPP, które odtąd ułatwiały nam realizację poszczególnych zadań. Cieszyło nas bardzo, że w większych ośrodkach uzyskaliśmy zgodę władz miejscowych, by nasze dzieci uczyły się w szkole w języku ojczystym. Pierwsza taka szkoła powstała w Makiejewce. Nauczycieli szukaliśmy wśród naszych członków ZPP. W marcu otrzymaliśmy z Moskwy kilkaset podręczników do

różnych przedmiotów, a do nauczania języka i literatury polskiej służyły dwie niewielkie książeczki, wydane w 1943 roku przez Zarząd Główny ZPP. Był to „Wybór pism" z twórczości Adama Mickiewicza oraz „Opowiadania" Henryka Sienkiewicza. Obydwie te książeczki mam do dziś w domu. Są bardzo zniszczone, bo miałem je przez dwa lata na froncie w tornistrze i w chwilach odpoczynku otwierałem je, by stłumić tęsknotę i pokrzepić zbolałą duszę. Wiersze Adama tak polubiłem, że wiele z nich mogę jeszcze dziś zarecytować.

Siarczyste mrozy ustępowały. Zima powoli kończyła swe panowanie. Dnia coraz bardziej przybywało, a z nim i nadziei na lepsze jutro. Przyroda budziła się do nowego życia, nareszcie nadeszła upragniona wiosna. W niedzielę, jak tylko czas pozwolił, wyjeżdżałem do sowchozu w Charcysku. Tam pracowali moi przyjaciele z gułagu Bichtuil, a przede wszystkim mogłem po dwóch latach służby wojskowej znów spotykać się z moim bratem Antosiem i razem z nim marzyć o nadchodzącej radośniejszej przyszłości.

Od chwili rozpoczęcia prac wiosennych w charcyskim sowchodzie wiele zastrzeżeń budził we mnie nieodpowiedni, a często nawet i wrogi stosunek dyrektora względem naszych pracowników. Przestał dbać o ulepszanie ich warunków mieszkaniowych, nawet chorych i wycieńczonych ludzi wysyłał do najgorszej i najmniej płatnej pracy, a w razie jakichkolwiek interwencji krzyczał i odpowiadał ordynarnie. Zachowywał się jak zawzięty nacjonalista ukraiński. Do wszystkiego, co polskie, miał negatywny stosunek. Podczas jednej sprzeczki nie utrzymał się i w pełni odkrył swe nacjonalistyczne poglądy, krzycząc, że wszyscy Polacy mieli raczej wyzdychać na Syberii niż teraz zawracać mu głowę swymi żądaniami.

Po otrzymaniu tej strasznej wiadomości zrazu nie chciałem uwierzyć, że na kierowniczym miejscu może być człowiek z takim charakterem. Lecz kiedy liczni naoczni świadkowie, łącznie z Antosiem i panem Nowakiem, potwierdzili tę rzeczywistość, postanowiłem natychmiast działać. Zaistniałą sytuację przedstawiłem pisemnie w oblkomie sekretarzowi Dymidence, a ten po przeczytaniu mej skargi, patrząc mi w oczy, zapytał krótko:

„I to wszystko prawda, co teraz przeczytałem? Niczego nie zmyśliłeś, niczego nie dodałeś? Zapamiętaj sobie, że za oszczerstwo czeka cię sąd!"

Wytłumaczyłem sekretarzowi, że na wszystko mam kilkunastu świadków, że tak może postępować tylko człowiek o wrogich poglądach nacjonalistycznych. Sekretarz, by uspokoić swoje nerwy, zapalił papierosa i, nie przedłużając dalej spotkania, podniósł słuchawkę, wykręcił numer naczelnika milicji i rozkazującym tonem powiedział tylko jedno zdanie:

„Natychmiast zamknąć dyrektora sowchozu w Charcysku". Zmianę na kierowniczym stanowisku w sowchozie przywitali nasi przesiedleńcy z wielką radością.

W pierwszej połowie kwietnia, kiedy stwierdziłem, że Armia Czerwona jest już niedaleko Cieszyna, postanowiłem wysłać od nas pierwszą wiadomość do stron rodzinnych. Lecz uświadamiając sobie, jakich barbarzyńskich czynów dopuszczali się faszyści w krajach przez siebie okupowanych, nie miałem najmniejszej nadziei, że nasi rodzice, którzy przed wojną angażowali się społecznie, są jeszcze między żywymi. Po naradzie z Antosiem wysłałem kartkę korespondencyjną, nie do domu rodzinnego, bo ten mógł być pusty, ale do Urzędu Gminnego w Końskiej. Prosiłem Zarząd o informacje, dokąd wywieźli rodziców, a jeżeli rodzice ocaleli, to prosiłem, by Zarząd ich powiadomił, że synkowie żyją i wkrótce powrócą do domu. Kartka ta raz szybciej, to znowu wolniej podążała za frontem. Długo trwało, nim przekro-czyła granicę państwową, bo dopiero przed świętami godowymi doszła do Zarządu Gminnego, a w wigilię Bożego Narodzenia wujek Dominik przyniósł ją naszym rodzicom. Są na niej dwie pieczątki. Jedna rosyjska „wojennaja cenzura", a druga polska „sprawdzono przez cenzurę wojskową". Po powrocie do domu dowiedziałem się od matki, że wiadomość od nas była dla nich wielkim szokiem, prawdziwym gromem z jasnego nieba. Po tylu latach naszego milczenia stracili już jakąkolwiek nadzieję, że jeszcze żyjemy i pogodzili się z wolą bożą. Nawet ksiądz służył kilka razy za nas żałobną mszę świętą, a tu niespodziewana wiadomość o zmartwychwstaniu obu synów. Serce ojca, który po nieludzkich przeżyciach wojennych leżał ciężko chory, nie wytrzymało tak wielkiej radości. Dokładnie za miesiąc po świętach odszedł od nas na zawsze. Kiedy Antoś wrócił do domu, na grobie ojca leżały jeszcze zwiędłe kwiaty i wieńce.

Z każdym dniem zbliżał się koniec wojny. Armie sprzymierzone spotkały się na Łabie. Berlin okrążyła razem z Wojskiem Polskim Armia Czerwona, a generał Świerczewski skierował swe siły do północnych Czech. Nad zdobytym Berlinem radziecka i polska chorągiew oznajmiały całemu światu zwycięstwo nad faszyzmem. Kilka dni później podpisano bezwarunkową kapitulację Niemiec i zakończyła się druga wojna światowa w Europie.

Dziewiątego maja na ulicach Stalino słońce uśmiechało się do świętujących tłumów. Orkiestry grały, wszędzie rozlegały się śpiewy i wiwaty. Całkiem nieznajomi ludzie obłapiali się i ze słowami MIR - POBIEDA nie żałowali nawet gorących pocałunków. Wódki w tym dniu nigdzie nie brakowało. Ta spontaniczna radość na ulicach była zrozumiała. Wszyscy bowiem wiedzieli, że jeżeli najbliżsi ich sercu jeszcze żyją, to wkrótce nadejdzie szczęśliwa chwila spotkania.

FRANCISZEK SZOPA

(dokończenie w następnym numerze)


Sprawdzono przez cenzurę wojskową
1587
ПОЧТОВАЯ КАРТОЧКА
CARTE POSTALE
M
Куда
Наименование место, где находится получатель (область, край, а для станции — наименование железной дороги.
Район, село или деревня.
Узлице, № дома и квартиры.
Кому
Подробное наименование адресата.
НА КАЖДОМ ПОЧТОВОМ ОТПРАВЛЕНИИ ПИШИТЕ СВОЙ ОБРАТНЫЙ АДРЕС
Адрес отправителя
Adresse de l'expéditeur
На правой стороне

Stalino, dnia 20 [illegible]

Szanowny Zarządzie!

Po pięciu latach żywiacam się do Was z gorącą prośbą, odszukania i podania mi adresu moich Rodziców i Krewnych. Proszę ich zawiadomić, że żyję i stroicę powodzę. Bardzo się im ma to bardzo proszę, zawiadomić mnie, gdyż posiadł wyniszczeni. Adres mój: Stalino - Obliopotkom Związek Polskich Patriotów. Żyopa Franciszek

Jeszcze raz proszę gorąco, załatwić moją prośbę.

Z poważaniem

Żyopa Franciszek

WSPOMNIENIA Z LAT DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ (1)

Od wielu lat nosiłem się z zamiarem opisania moich przeżyć wojennych. Powstrzymywała mnie jednak obawa, czy po tylu latach potrafię wiernie oddać odczucia i myśli młodego człowieka, czy nie ulegną one, pod wpływem wieloletnich życiowych doświadczeń, przekształceniom. Niemniej jednak myślę, że warto spróbować uchwycić atmosferę tamtych dni i lat i w formie wspomnienia przekazać potomnym.

Piękny, ciepły słoneczny ranek pierwszego września 1939 roku był jak gdyby zaprzeczeniem mających nastąpić ponurych dni, miesięcy i lat wojny. Wycie syren na karwińskich kopalniach, przelatujące ponad głowami samoloty, wstrząsy i odgłosy wysadzanych w powietrze mostów rozwiały resztki nadziei na pokój. Jednak nikt z nas nie przewidywał tak długiej zawieruchy wojennej i tak ogromnych zniszczeń i strat, które spowodowała. Nikt też nie przeczuwał takiej liczby ofiar, niezmiernych cierpień, masowego ludobójstwa i ofiar bomb atomowych.

W ów pamiętny piękny wrześniowy poranek obudziło mnie wycie syren i monotonny głuchy pomruk przelatujących samolotów. Z mieszanymi uczuciami wybiegłem na podwórko i, spojrzawszy w górę, zobaczyłem trzy klucze samolotów z czarnymi krzyżami lecące w głąb Polski. Matka, szykująca właśnie karmę dla bydła, powiedziała, że to chyba początek wojny, chociaż nikt nam tego nie potwierdził, nie mieliśmy bowiem radia, a ojciec nie wrócił jeszcze z nocnej zmiany. Rozglądając się po okolicy, zauważyłem tu i ówdzie ludzi z walizkami, spieszących w kierunku przystanku kolejowego w Łąkach. Odruchowo i bez namysłu chciałem do nich dołączyć. Po kilki krokach opamiętałem się, że tak bez najniezbędniejszych do podróży rzeczy i bez słowa pożegnania nie mogę opuścić rodzinnego domu, i zrezygnowałem z ucieczki w nieznane.

Przed południem w pierwszym dniu wojny oprócz wstrząsów i odgłosów wysadzanych w powietrze mostów nie słyszałem żadnej strzelaniny z karabinów maszynowych czy pojedynczych strzałów, huku dział lub ryku motorów. Natomiast po południu byłem świadkiem pierwszej obserwowanej przeze mnie potyczki powietrznej. Dwa niemieckie samoloty, które wracały znad Polski i leciały w kierunku Ostrawy, zostały niespodziewanie zaatakowane z góry przez polski samolot dwupłatowiec. Po serii z karabinu maszynowego jeden z nich zaczął dymić i rozbił się w okolicach wioski Hažlach, drugi zaś nie podjął walki i salwował się ucieczką.

Ze zwycięstwa polskiego lotnika miałem ogromną radość i satysfakcję, uważałem to za znak, że dopiero co rozpoczęta wojna skończy się pomyślnie dla nas. Jak się później okazało, wiara w siłę polskiego oręża była oparta na jakże złudnych hasłach Obozu Zjednoczenia Narodowego „Silni, zwarci, gotowi" i na wojskowych sojuszach Polski z Anglią i Francją. Pierwsze wieści o działaniach wojennych były przeciwstawne. Niemieckie komunikaty ogłaszały zwycięski marsz na wszystkich odcinkach frontu, zaś polskie radio nadawało wiadomości o zaciętych walkach i zwycięsko stoczonych bitwach. Niestety z upływem czasu dobrych wiadomości ubywało, a kapitulacja Warszawy po jej heroicznej obronie ostatecznie rozwiała resztki nadziei na pomyślny dla Polski przebieg wojny. Niczym nieudokumentowane wieści o rozpoczęciu działań wojennych przez sojuszników na zachodzie okazały się również ułudą, nastał długi okres przygnębienia, frustracji i niepewności jutra.

Już w pierwszych tygodniach miejscowi Niemcy i sympatycy Hitlera zaczęli współpracować z władzami okupacyjnymi. Donosy i wyrównywanie osobistych porachunków były na porządku dziennym. Wynikiem tego były liczne aresztowania, przeważnie polskiej inteligencji. Były też i pierwsze ofiary niemieckiego terroru. Doktor Olszak, burmistrz Karwiny, został śmiertelnie pobity podczas przesłuchania. W lesie na pograniczu karwińsko-suskim rozstrzelano bez jakiegokolwiek sądu dwunastu przypadkowo aresztowanych Polaków. Dla uczczenia ich pamięci po wojnie umieszczono na budynku administracyjnym kopalni Barbara, znajdującym się w pobliżu miejsca dokonania zbrodni, tablicę pamiątkową z nazwiskami niewinnie pomordowanych ofiar.

Cały obszar Śląska łącznie z Zaolziem został administracyjnie wcielony do Rzeszy Niemieckiej z wszystkimi tego kroku konsekwencjami. Przeprowadzony spis ludności pozwolił władzom okupacyjnym na zorientowanie się w strukturze społeczeństwa tego regionu i jego narodowościowego podziału. Potencjał gospodarczy całego Śląska zaczął pracować na korzyść niemieckiej machiny wojennej. Niemcy, powołując rezerwistów do wojska, odczuwały brak rąk do pracy. Władze administracyjne na terenach okupowanych zarządziły obowiązkową rejestrację ludności w urzędach pracy z zamiarem wysłania jak największej liczby na przymusowe roboty w głąb Rzeszy. Niewypełnienie tego nakazu groziło aresztowaniem. Bezrobotni w obawie przed przymusowym wyjazdem na roboty do Niemiec sami szukali zatrudnienia w miejscowych fabrykach, kopalniach lub transporcie i nawet jako pomoce domowe.

Mnie jako czternastoletniego chłopca bezpośrednio nie dotyczył obowiązek zgłoszenia się w urzędzie pracy, rodzice jednak postanowili znaleźć mi za-

trudnienie, bym w ten sposób w przyszłości uniknął przymusowego wyjazdu na roboty do Niemiec.

Na początku 1940 roku ojciec zaprowadził mnie na szyb Głęboki w Karwinie, gdzie przyjęto mnie do pracy na powierzchni. Również i on pracował w tej samej kopalni. Na powierzchni pracowałem do ukończenia szesnastego roku życia na różnych posterunkach pracy. W sortowni węgla wybierałem na „tabulkach" z grubego węgla kamień, z płuczki odwoziłem wypłukany kamień w „kolibach" na hałdę, zaś przy szybie wyciągowym z braku mechanizacji w dwójkę wypychaliśmy z windy pełne urobku wózki, a w ich miejsce wciągaliśmy do windy puste. Była to jak na mój wiek praca ciężka, lecz z czasem przyzwyczaiłem się do niej i zyskałem potrzebną tężyznę fizyczną.

O wiele gorzej było z moim stanem psychicznym. Był to dla mnie, i nie tylko dla mnie, okres duchowej frustracji, wewnętrznej rozterki, przygnębienia. Już po skończeniu kampanii wrześniowej i rozpoczęciu okupacji Polski przez wojska niemieckie i radzieckie zaczynałem jakby tracić grunt pod nogami i moje mrzonki o rychłym zwycięstwie rozpłynęły się na dobre. Klęska wojsk sojuszniczych na zachodzie i zajęcie przez wojska niemieckie Francji, Belgii, Holandii, Danii i Norwegii, na południu zaś Jugosławii i Grecji pogłębiły moje uczucie bezsilności i beznadziejności. Pewną nadzieję na klęskę Niemiec wzbudziła we mnie rozpoczęta w czerwcu 1941 roku wojna Niemiec ze Związkiem Radzieckim, lecz szybki postęp wojsk hitlerowskich w głąb Rosji zniweczył i tę moją wizję.

Na domiar złego władze hitlerowskie, oprócz wspomnianych już aresztowań i zsyłek do obozów koncentracyjnych przeważnie polskiej inteligencji i Żydów, rozpoczęły nagonkę i szykany również w stosunku do prostych ludzi, którzy jednak w dokumencie zwanym palcówka (Fingerabdruck) przyznali się do narodowości polskiej. Polacy, właściciele domów, gospodarstw, byli wywłaszczani, a ich majątki przydzielano Niemcom przesiedlanym z Besarabii. Polaków całymi rodzinami Niemcy wywozili najpierw do obozów zbiorczych, a stamtąd po selekcji wysyłali w głąb Rzeszy na roboty rolne do tzw. Bauerów, tych zaś, którzy pracowali w kopalniach, posiadali piękne i dobrze wyposażone domki rodzinne, przesiedlali do starych, gorzej wyposażonych domków po wywiezionych polskich rodzinach.

Również nas, jako Polaków, wywłaszczono. Otrzymaliśmy odpowiedni dekret, a ponieważ mieszkaliśmy w starym stuletnim domku, a obaj z ojcem pracowaliśmy w kopalni, nie musieliśmy się z niego wyprowadzać, tylko płaciliśmy czynsz. W Stonawie przesiedlono w ten sposób około pięćdziesięciu rodzin. Z najbliższej okolicy wywieziono rodziny Motyków, Lankoczów, Domasłowskich, Wygrysów, właścicieli gruntów rolnych - Wałoszków, Głąbków i Delągów. Najbliżsi nam sąsiedzi państwo Motykowie i Lankoczowie,

wiedząc, że nie zostaniemy wywiezieni, ukryli u nas najcenniejsze rzeczy i zboże, by w odpowiednim dla nich czasie mogli z nich korzystać.

Byłem świadkiem tego, jak o czwartej nad ranem przyjechał pod dom państwa Motyków wóz drabiniasty i z wielkim krzykiem i hałasem SS-manów wyniesiono na prześcieradle sparaliżowanego sześćdziesięciopięcioletniego sąsiada, zaś jego żona, córka i syn mogli zabrać tylko pierzynę i kilka osobistych rzeczy. Inni dwaj synowie Motyków zginęli wcześniej. Alojzy w obozie koncentracyjnym w Dachau, a Józef jako polski policjant w Katyniu.

Wracając do opisu mego zatrudnienia na kopalni, pragnę podkreślić, że chociaż praca jak na mój wiek była ciężka, sam wysiłek fizyczny nie był dla mnie nowością. Już jako dziewięcioletnie dziecko pomagałem rodzicom w miarę swych sił i możliwości w pracach w dwuhektarowym gospodarstwie. Wyprowadzałem i pasłem krowę, zbierałem paszę dla bydła, pomagałem przy pracach żniwnych i przy wykopkach ziemniaków. Za cichą zgodą kierownika szkoły ludowej pana Morysa pasterze krów chodzili do szkoły na godzinę dziesiąta, więc i ja korzystałem z tego przywileju. Jako rekompensatę za stracony czas nauki szkolnej zyskiwałem wśród pasterzy o wiele ważniejszą wiedzę „życiową" i doświadczenie starszych ode mnie kolegów.

Gdy ukończyłem szesnaście lat, przeszeregowano mnie do pracy pod powierzchnią. Pamiętam tę pierwszą „dołową" zmianę, po której byłem, nie tyle fizycznie, ile psychicznie, zupełnie wyczerpany. Powodem był lęk przed nieokreślonym niebezpieczeństwem w podziemiu. Nie była to klaustrofobia, gdyż nigdy jej nie odczuwałem. Charakter pracy pod ziemią znałem z opowiadań ojca i innych górników, łącznie z ich skłonnościami do specyficznych żartów, jak na przykład wysyłanie młodych adeptów sztuki górniczej po tzw. „bindloch". Byłem jednak przekonany, że będę pracował w podziemiu w większej grupie ludzi, a tu raptem dowiaduję się od sztygara, że przydziela mnie wraz z osiemnastoletnim kamratem do transportowania drewna na obudowę do resztek eksploatowanego dwudziestego piątego pokładu pod piątym poziomem. Od kamrata zaś dowiedziałem się, iż tylko my dwaj zjeżdżamy na poziom szósty, który przedtem z powodu pożaru w dziewiętnastym pokładzie został zamknięty, a teraz w celu przewietrzenia go i transportu materiałów ponownie otwarty. Oczywiście wiadomość ta nieprzyjemnie mnie zaskoczyła i chociaż na zewnątrz tego nie okazałem, strach nie opuszczał mnie przez całą pierwszą zmianę. Po paru dniach opustoszałe wyrobiska i opalone stemple nie czyniły już na mnie żadnego wrażenia. Pracowałem tam kilka tygodni. Potem sztygar przydzielił mnie do transportu materiałów na obudowę w dwudziestym trzecim pokładzie na siódmym poziomie, ale już w kolektywie pięciu moich rówieśników.

W ciągu dwuletniego okresu pracy pod ziemią przechodziłem przez różne roboty, począwszy od transportu, „taczkowania" urobku, wypełniania wyrobisk suchą podsadzką, aż do prac związanych z drążeniem chodników i prac przy urabianiu węgla wrębiarką. Wynagrodzenie za górniczy trud, które otrzymywałem jako Polak zaniżone o 15% aż 25%, oddawałem rodzicom. Ci zaś dawali mi kieszonkowe. Tak było do końca 1942 roku, kiedy to ojciec, ulegając naciskowi ze strony władz niemieckich, przyjął tzw. Volkslistę nr 3. Ja sam jako niepełnoletni nie miałem wpływu na decyzję ojca. Wiedziałem, że w następstwie tej dla mnie niezrozumiałej decyzji rodziców będę po osiągnięciu osiemnastu lat powołany do niemieckiego wojska.

Zanim jednak tak się stało, zostałem w kwietniu 1943 roku wezwany na czterotygodniowy obóz tzw. Wehrertuechtigungslager w Goczałkowicach - Zdroju. Tam pod okiem wojskowych instruktorów zaznajamialiśmy się ze strzelaniem z małokalibrówek, z umiejętnością korzystania z map i kompasu w terenie oraz uprawialiśmy różne dyscypliny sportowe, na przykład rzuty granatem, skoki i biegi. Były też i pogadanki na tematy strategii i taktyki wojskowej, oczywiście w duchu ideologii hitlerowskiej. Uczestnikami obozu byli młodzi ludzie do osiemnastu lat z terenu Górnego Śląska i Zaolzia, których rodzice przyjęli Volkslistę nr 3. Posiadacze Volkslisty nr 1 i 2 byli zazwyczaj członkami Hitlerjugend i tam przechodzili przysposobienie wojskowe. Pomimo oficjalnego zakazu rozmawialiśmy między sobą naszą i górnośląską gwarą. Tych, którzy mieli opanowany język niemiecki, było bardzo niewielu. Większość z nas coś tam po niemiecku rozumiała, reszty instrukcji raczej domyślaliśmy się.

W ostatnim tygodniu pobytu w obozie przysposobienia wojskowego przeżyłem ogromny stres. W późno popołudniowych godzinach przyjechało dwunastu SS-manów różnych stopni, rozkazali zwołać na apel wszystkich uczestników kursu, a było nas około stu pięćdziesięciu, i ustawić się w pięciu szeregach. Potem chodzili wśród nas i według własnego rozeznania wskazywali na tych, którzy musieli wystąpić z szeregu. Ja również znalazłem się wśród wytypowanych. Było nas około pięćdziesięciu. Nie wiedzieliśmy, dlaczego nas wybrano, i dopiero po odprowadzeniu nas do oddzielnego pawilonu w krótkiej pogadance oznajmiono nam, że zostaliśmy „wyróżnieni" i wybrani do pełnienia „zaszczytnej" służby w formacjach SS. Wówczas pierwszy raz w życiu przeżyłem prawdziwy szok, gdyż wiedziałem o zbrodniczej działalności tych oddziałów. Serce zaczęło mi gwałtownie bić, krew uderzyła mi do głowy i poczułem się bardzo źle. Stojący obok mnie SS-man zauważył, że znajduję się w nienormalnym stanie, i zapytał, co mi jest? Odpowiedziałem gwarą, że nie czuję się dobrze, że nie rozumiem po niemiecku i nie wiem, o co

chodzi. Pech chciał, że SS-man odpowiedział mi górnośląskim dialektem, „karlus", ty się nauczysz, a my potrzebujemy uzupełnić formacje SS. Te słowa jeszcze bardziej mnie przeraziły. Zacząłem gorączkowo rozmyślać, jak wydostać się z tej matni. Wypadki potoczyły się zbyt szybko, by w danej chwili coś rozsądnego wymyślić i coś postanowić. Wręczono nam numerki i druki, ustawiliśmy się w szeregu i posuwaliśmy się wzdłuż ściany. Okazało się, że to właściwie zebrała się komisja poborowa. Najpierw wpisano do druku wzrost, wagę, przeprowadzono lekarski przegląd, a potem dopiero na samym końcu kolejki u drzwi wyjściowych zapisywano dane personalne do przedtem wypełnionego druku.

Znajdowałem się w środku rzędu, więc stale gorączkowo rozmyślałem, co zrobić, by uniknąć takiego wstydu i hańby, za jaką uważałem członkostwo w formacjach SS. Nic lepszego nie przychodziło mi na myśl, jak tylko, bez względu na dalsze konsekwencje, otwarcie odmówić podpisu, którego na końcu kolejki SS-mani żądali od poborowych.

Gdy znajdowałem się blisko stołu z rejestracją danych personalnych, odwołano pilnującego drzwi wyjściowych SS-mana. Ten zostawił je na wpół otwarte i ja bez namysłu dałem susa w stronę drzwi i w okamgnieniu znalazłem się w zdrojowym parku. Rozpocząłem ucieczkę w stronę Czechowic-Dziedzic. Początkowo słyszałem krzyki i ktoś wybiegł za mną, lecz ja całą energię włożyłem w ucieczkę i zatrzymałem się dopiero po utracie tchu w szuwarach Goczałkowickiego Jeziora. Jestem pewien, że gdyby ktoś ze stoperem zmierzył czas ucieczki i odległość, to chyba należałbym do czołówki średniodystansowców. Dopiero w szuwarach zacząłem rozmyślać o następstwach tego kroku. Jednego byłem pewien, że nie znają mego nazwiska, bo druk kurczowo trzymałem w ręku i jeszcze w nim nie było danych personalnych. Usilnie starałem przypomnieć sobie, kto stał obok mnie i czy był to ktoś ze znajomych. W szuwarach przeczekałem do zupełnego zmroku. Zziębnięty i wyczerpany duchowo i fizycznie zdecydowałem się powrócić do obozu. W pawilonie, gdzie SS-mani przeprowadzali pobory, było już ciemno, z czego wywnioskowałem, że komisja już odjechała. Przy wejściu do głównego budynku starałem się zachować ostrożność. Zapytałem wartownika tak niby od niechcenia, która godzina, a gdy ten odpowiedział zupełnie normalnie, postanowiłem pójść do swego pokoju. Tam od współlokatorów padło tylko pytanie, gdzie się szwendam i dlaczego nie byłem na kolacji. Odpowiedziałem krótko, że nie czułem się dobrze i musiałem wyjść. Po tej wymianie zdań doszedłem do wniosku, że nikt mnie nie szukał, a SS-mani nie starali się stwierdzić tożsamości uciekiniera. Tej nocy, będąc głodny, nie mogłem zasnąć i jeszcze raz przeżywałem koszmar grożącego mi i moim bliskim niebezpie-

czeństwa w wypadku odmowy członkostwa w jednostkach SS. Za dwa dni po tym incydencie obóz się zakończył i z wielką ulgą wróciłem do domu, by nadal pracować w kopalni.

18 lipca 1943 roku ukończyłem osiemnaście lat i wkrótce potem otrzymałem rozkaz mobilizacyjny do jednostki stacjonującej w Koźlu na 25 sierpień, czyli, innymi słowy, zostałem powołany do niemieckiej armii. Dziś po pięćdziesięciu latach trudno mi opisać i odtworzyć moje odczucia i obawy. Wiem, że wówczas nie zdawałem sobie jeszcze w pełni sprawy z czekających mnie trudów i z grożących mi niebezpieczeństw.

Owego pamiętnego 25 sierpnia 1943 roku opuszczałem rodzinny dom pełen obaw i niepewności jutra. Ze łzami w oczach pożegnałem się z matką i siostrą, zaś ojciec towarzyszył mi aż do koszar w Koźlu. Po wzruszającym pożegnaniu z ojcem znalazłem się za bramą koszar wśród kilkuset młodych ludzi. Traf chciał, iż przy pierwszych rozmowach natknąłem się na stonawianina Bronka Kalinę, z którym później przeszedłem cały szlak bojowy w niemieckim i polskim wojsku aż do zakończenia wojny w Niemczech.

W Koźlu jeszcze tego samego dnia przeprowadzono podział poborowych na tych, których rodzice posiadali Volkslistę nr 3, a była ich większość, oraz na tych, których rodzice byli zapisani na Volksliście nr 1 lub 2. Jak się okazało, podział miał swą logikę. Posiadacze Volkslisty nr 1 byli tzw. Reichsdeutschami, właściciele Volkslist nr 2 pochodzili z rodzin z naszego terenu, które zadeklarowały swą przynależność do narodu niemieckiego zaraz przy pierwszym spisie ludności. Tzw. „trójkorze" należeli do tych, którzy na początku wojny przyznawali się do narodowości polskiej lub czeskiej, a dopiero później zmuszeni różnymi okolicznościami przyjęli Volkslistę. Uważani więc byli za element niepewny i nie nazbyt lojalny wobec Niemców, przyznano im tylko tymczasowe obywatelstwo, aby pozyskać tzw. Kanonenfutter. Po umundurowaniu i wyposażeniu „jedynkorze" i dwójkorze" zostali wysłani na front wschodni, zaś resztę skierowano do Francji.

Po tygodniowym pobycie w Koźlu załadowano nas do kilkunastu towarowych wagonów i podłączono do dużego transportu podążającego na zachód. Dziesięciodniowa podróż z Koźla do Montauban we Francji odbyła się bez większych zakłóceń. Otrzymaliśmy suchy prowiant - chleb, sery, marmoladę, konserwy, a w uprzednio wyznaczonych miejscach postoju podawano nam ciepłe jedzenie, tzw. „Eintopf", i herbatę. Jednakowoż tak było tylko na terenie Niemiec. We Francji byliśmy zdani tylko na suchy prowiant. Spaliśmy we wyścielonych słomą wagonach. Gorzej już było z toaletą. Gdy pociąg zatrzymał się, żołnierze wyskakiwali z wagonów i w przytorowych rowach lub w szczerym polu załatwiali swoje potrzeby. Czasami zdarzało się i tak, że ktoś

z niedopiętymi spodniami wskakiwał do ruszającego pociągu, chociaż przedtem maszynista dawał sygnał do odjazdu.

Trasa transportu na terenie Niemiec przebiegała z Cieszyna przez Racibórz, Koźle, Opole, Wrocław, Drezden, Zwikau, Meinheim, Karlsruhe, Strassburg, Muehlhausen i trwała siedem dni. Były częste i długie postoje, zaś we Francji trasa prowadziła przez Dijon, Lyon, St. Etienne i centralny masyw górski z licznymi tunelami. Zatrzymywaliśmy się na krótko i po trzech dniach naszą jednostkę wyładowano w Montauban. Miasto Montauban, założone w XII wieku, znajduje się w południowo-zachodniej Francji nad rzeką Tarn i w czasie wojny miało około 35 000 mieszkańców. Było ważnym węzłem kolejowym i drogowym z przemysłem włókienniczym, spożywczym i obuwniczym.

Tutaj zakwaterowano nasz pułk piechoty na terenie byłych francuskich koszar. Razem z Bronkiem Kaliną i innymi kolegami z naszego terenu znaleźliśmy się w tej samej kompanii, co dla nas miało ogromne znaczenie. Pomagaliśmy sobie nawzajem i wspierali jeden drugiego duchowo, ale pomimo to tęsknota za domem ogarniała nas coraz bardziej. Staraliśmy się ją zwalczać, pisząc dużo listów i kartek pocztowych do rodziców, krewnych, znajomych. Czasami w wieczornych godzinach po capstrzyku były i łzy w oczach.

Na obszernym koszarowym dziedzińcu rozpoczęliśmy ćwiczenia musztrą wojskową, zaznajamialiśmy się z bronią, kompasem i mapami. Dopiero po miesięcznym pobycie wolno nam było opuścić koszary i na przepustkę pójść do miasta pod warunkiem, że wychodziliśmy uzbrojeni w karabin z ostrymi nabojami. Większość ludności francuskiej odnosiła się wrogo do okupanta. Czasami, gdy batalion szedł do kina, z przodu i z tyłu jako ochrona kroczyła drużyna uzbrojona w broń maszynową. Zdarzały się wypadki, że w koszarach na szybko tworzono tzw. Jagdkommando (oddział gończy), którego zadaniem było ścigać członków francuskiego ruchu oporu, którzy przeprowadzali różne akcje dywersyjne przeciwko Niemcom. Najczęściej oddział wracał z pustymi rękami, czasem tylko przyprowadzono kilku cywilów i myślę, że byli to ludzie niewinni, którzy całkiem przypadkowo znaleźli się w łapankach, jakie Niemcy często urządzali w krajach podbitych. Z koszar wywożono ich w nieznane.

Ja z Bronkiem Kaliną byłem na przepustce tylko raz. Dzień ten zapamiętałem również dlatego, ponieważ wtedy właśnie przejadłem się dużą ilością winogron, które były tam bardzo tanie. Był to okres zbiorów tego owocu. Efektem tego „obżarstwa" był rozstrój mego przewodu pokarmowego i pobyt w izbie chorych, gdzie spędziłem przeszło dwa tygodnie. W czasie mojej choroby Bronek, będąc na następnej przepustce w mieście, przeżył bardzo dziw-

ną przygodę, która mogła decydująco zaważyć na naszych losach. Otóż, wstąpił do sklepu piekarza i chciał zakupić pół bochenka białego francuskiego chleba. Oczywiście nie umiał po francusku ani po niemiecku, więc wskazał tylko na chleb i powiedział o naszemu „pół". Stojący obok człowiek zareagował na to słowo, przetłumaczył sprzedawcy, o co chodzi, i po polsku zwrócił się do Bronka z zapytaniem, skąd pochodzi i dlaczego nosi mundur niemieckiego żołnierza. Zaskoczony tym pytaniem Bronek w pierwszej chwili oniemiał, gdy tymczasem polski Francuz, jak go nazwał Bronek, relacjonując mi tę przygodę, ponowił pytanie, chcąc się upewnić, czy się czasem nie przesłyszał. Bronek z radości, że ma możliwość porozmawiać z kimś „ludzką mową", chętnie udzielił odpowiedzi i wytłumaczył mu w krótkich słowach, dlaczego znalazł się w niemieckim mundurze. Tymczasem przysłuchujący się zza lady piekarz nie wychodził z podziwu, że w tak krótkim czasie została nawiązana znajomość Francuza z „Niemcem", i nie wiedział, w jakim języku prowadzono rozmowę. Nieznajomy, który nie przedstawił się, wypytywał Bronka o jednostkę wojskową, w której służyliśmy, jej organizację, dowódców i numer poczty polowej itp. Bronek zaś starał się wyjawić mu nasz niechętny i wręcz wrogi stosunek do Wehrmachtu. Pod koniec tej rozmowy nieznajomy zaproponował Bronkowi ponowne spotkanie w tym samym sklepie za dwa tygodnie, to jest w piątek, pod warunkiem, że przyjdzie z karabinem i amunicją, a on pomoże mu w ucieczce z Wehrmachtu i skontaktuje go z francuskim ruchem oporu. Bronek przyjął propozycję z zastrzeżeniem, że przyprowadzi również kolegę pochodzącego z tej samej co on wsi i o takich samych poglądach i zamiarach. Gość zgodził się, przypominając termin spotkania i warunek „broń", po czym szybko wyszedł i zniknął w tłumie przechodniów. Po powrocie do koszar Bronek opowiedział mi wszystko. Mieliśmy dwa tygodnie na podjęcie tej jakże trudnej decyzji. Rozważaliśmy wszystkie możliwe następstwa tego kroku, przede wszystkim mając na względzie nasze rodziny. Bronek był obustronnym sierotą wychowywanym u dziadków ze strony matki i bał się przysporzyć dziadkom kłopotów, tak samo jak i ja rodzicom. Negatywnie ocenialiśmy i ten fakt, iż nie znaliśmy żadnych obcych języków, łącznie z francuskim. Mimo wszystko zdecydowaliśmy się uciec. Odważyć się na taki krok i zdać się na łaskę losu, podjąć taką decyzję mogli tylko osiemnastoletni chłopcy bez żadnych życiowych doświadczeń i znajomości świata. Nasz zamiar dezercji nie doszedł jednak do skutku. Rozwiązało tę sprawę, jak mówią, „samo życie". Otóż na początku tygodnia, pod koniec którego mieliśmy zdezerterować, doszły nas słuchy, iż nasz batalion zostanie odkomenderowany do innego miasta, i tak też się stało. W przededniu planowanej ucieczki w pełnym rynsztunku bojowym załadowano nas tym razem do wa-

gonów osobowych i odjechaliśmy na południe Francji do miasta Anttibes niedaleko Nicei. W ten sposób los znów zadecydował o nas bez nas.

Jechaliśmy przez Toulouse, Carcassone, Montpellier, Marseille i stąd wzdłuż wybrzeża przez Toulon, Cannes do Antibes. Już z okiem pociągu była zauważalna zmiana krajobrazu i klimatu. Antibes jest małym miastem nad morzem Śródziemnym na południu Francji, umiejscowionym na małym półwyspie, na końcu którego jest zabytkowy zamek Grimaldi z końca XIV wieku. Tam właśnie zostaliśmy zakwaterowani, oczywiście nie w komnatach, lecz w pomieszczeniach dla służby i w zabudowaniach gospodarskich.

W Antibes oprócz służby wartowniczej i porządkowej rozpoczęliśmy szkolenie, a następnie ćwiczenie zakończone ostrym strzelaniem ze starej francuskiej armaty kalibru 105 milimetrów. Działo z wielkimi drewnianymi kołami umieszczono z boku zatoki w kierunku wschodnim na Niceę i okopano. Rozrzut armaty był znaczny, gdyż przy ostrym strzelaniu do celu umieszczonego w zatoce morskiej, nie trafiliśmy ani razu. Tory kolejowe łączące Antibes z Niceą przebiegały wzdłuż wybrzeża, a kilka kilometrów przed Niceą przechodziły przez most nad zatoką. Pomimo silnej obrony przeciwlotniczej na wzgórzach koło Nicei most był kilkakrotnie bombardowany przez angielskie samoloty startujące z niedalekiej Korsyki. Samoloty te latały na bardzo niskim pułapie, prawie nad zwierciadłem morza. Po bombardowaniach mostu skutki nalotów były szybko usuwane, gdyż był to główny szlak komunikacyjny z Francji do Włoch.

Inną niespodzianką, jaką nam sprawili Anglicy, była inspekcja naszego „fortu", jak zwykliśmy mawiać na nasz kwaterunek. Sztab batalionu oczekiwał inspekcji wyższych organów wojska, toteż gdy generał przyjechał z kilkoma oficerami, nikt z pełniących wartę żołnierzy nie skontrolował jego tożsamości i karty delegacyjnej. Przy wizytacji generał interesował się uzbrojeniem, zwiedził składy amunicji i pytał o liczebny stan załogi. Po godzinie ukończył inspekcję i odjechał. Jakież było zdziwienie, a później i przerażenie warty, gdy w niespełna pół godziny po poprzedniej wizytacji przyjechała druga inspekcja na czele z generałem. Tym razem dowódca warty legitymował generała i jego adiutantów. Okazało się, że tym razem była to ta właściwa delegacja. Na następstwa poprzedniej inspekcji nie było trzeba zbyt długo czekać, bo już po czterech godzinach zostaliśmy zbombardowani przez alianckie samoloty. Odbyło się jednak bez strat w ludziach, zburzeniu uległo tylko kilka pomieszczeń w górnej części zamku.

W Antibes przeżywaliśmy pierwsze Święta Bożego Narodzenia poza domem. W wojsku nie było tej tradycyjnej przedświątecznej krzątaniny, niemniej jednak stół wigilijny i potrawy były cośkolwiek bogatsze od codzienne-

go menu. Zaś przebieg i nastroje bardzo się różniły od wigilijnych obrzędów pielęgnowanych w naszych domach. Przede wszystkim brak było opłatka i wzajemnych życzeń. Oficjalnie wieczerzę zagaił dowódca, nie modlitwą, ale krótkim przemówieniem z życzeniami i wzniesieniem toastu lampką wina „za zwycięstwo Fuehrera i ojczyzny". Potem zaczęto śpiewać po niemiecku „Stille Nacht", ale tych, co znali tę kolędę, było niewielu, więc „nasi" bez słów próbowali ją nucić. Po tak „uroczystej i sutej" wigilijnej wieczerzy każdy z nas myślami uciekał do swoich najbliższych i wspominał jakże inne, odmienne w nastroju wigilie w rodzinnym gronie. Święta i Nowy Rok od dni powszednich różniły się tym, że oprócz służby wartowniczej, służby porządkowej zamiast ćwiczeń mieliśmy wolny czas. Sprzyjający jak na tę porę roku śródziemnomorski klimat, ciepłą i słoneczną pogodę wykorzystaliśmy do kąpieli w morzu. Były to jedyne niezapomniane chwile i jasne punkty w naszym codziennym szarym wojennym życiu.

KAROL BARTULEC

cdn.

KONCERT NA ROZPOCZĘCIE ADWENTU

Zapadający zmierzch wczesnego zimowego wieczoru pogrążył w ciemnościach pokój gościnny. Adwent osiągnął swój zenit, dlatego w środku pokoju na stole położono wieniec adwentowy z zapalonymi czterema świecami. Światło ich promyków rozświetlało ciemności, napełniając pokój ciepłym blaskiem. Lecz wtem nagle powiew mroźnego wiatru poruszył firankę na niedomkniętym oknie i w następnym silniejszym podmuchu, otwierając na oścież okiennice, wpadł do środka pokoju. Trwożliwie zamigotały światełka czterech świeczek, z których każda nosiła nazwę, mając wypisane swe imię zgodnie z biblijnymi pojęciami zawierającymi w sobie obietnice wypełnienia, która była darowizną Boga. Pierwsza świeca była nazwana pokojem, druga wiarą, trzecia nadzieją, a czwarta miłością... Oto fragment tekstu (nagranego na taśmie dźwiękowej), który intonowany ciepłym i spokojnym głosem księdza Kokotka, dochodzącym jakby z innej przestrzeni, wprowadził przybyłych 28 listopada do kościoła na Niwach w Czeskim Cieszynie w nastrój pierwszej niedzieli adwentowej, w czas zadumy i oczekiwania. Przyćmione światła, nabożne skupienie.... I nagle jasność i dzwony, i urealniona już postać seniora księdza Bogusława Kokotka, gospodarza tejże świątyni. *Adwent powrócił* -



przywitał licznie zebranych - *by rozniecić na nowo i rozpalić światło wiary i nadziei...*

Przypomniał tradycję koncertów adwentowych zapoczątkowanych 15 lat temu w nawsiańskim kościele. Sam zresztą jest inicjatorem tychże akcji, prowadząc je w sposób wysoce profesjonalny, zawsze doskonale wyczuwał miejsce, gdzie odbywa się koncert, dla kogo i z kim. Stąd jego świetne wyczucie doboru repertuaru i wykonawców. Mówi co prawda o rzeczach boskich, sięgających sfer mistycyzmu, ale ujmuje je w proste słowa sprowadzające się do spraw nam bliskich, realnych. Koncerty adwentowe stały się imprezą ponadregionalną w kontekście społeczności zaolziańskiej i, co jest godne podkreślenia, stworzyły wzór ekumenizmu, pojednania i przywrócenia jedności chrześcijan. „Muzyka i słowo" stały się przewodnią ideą tychże spotkań. Przez owych kilkanaście lat objawiło się na koncertach adwentowych wiele ciekawych osobowości, aktorów i recytatorów, renomowanych zespołów śpiewaczych i instrumentalnych.

Dominującym momentem jest zawsze zapalanie świec, symboli przesłania adwentowego, któremu towarzyszą modlitwy. W listopadową niedzielę słowa modlitwy przekazali kolejno: ks. radca Janusz Sikora, prezes Towarzystwa Ewangelickiego w Polsce, ks. bp Vladislav Volný ze Śląskiego



Kościoła Ewangelickiego Augsburskiego Wyznania, przewodniczący Ekumenicznej Rady Kościołów w Pradze, oraz ks. bp Wilhelm Stonawski z Luterańskiego Kościoła Ewangelickiego.

Część artystyczną, której pragnę poświęcić więcej uwagi, zainaugurował młodzieżowy chór Collegium Iuvenum Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie. Kierownikiem artystycznym i dyrygentem jest Leszek Kalina, pedagog tejże szkoły. Iuvenum utrwaliło się już w świadomości zaolziańskiego społeczeństwa jako zespół wysokiej klasy, sięgający po ambitne pozycje światowej literatury chóralnej. Chór urzeka świeżością głosów, śpiewając z umiarem, z frazowaniem powściągliwym, bez skłonności do przerysowywania kontrastów dynamicznych. W jego repertuarze znajdziemy dzieła z różnych epok. Wydaje się jednak, że dominuje forma polifoniczna o tematyce religijnej. I głównie takiego charakteru pozycje usłyszeliśmy na omawianym koncercie. Zaśpiewano: „Rorate, caeli, desuper" Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego, „Haec dies" Mikołaja Zieleńskiego, anonimowy hymn „Bogurodzica", „Suscepimus Deus" Leoša Janáčka, „Locus iste" Antoniego Brucknera, „Parce Domine" Feliksa Nowowiejskiego, „Domine, quis habitabit" Macieja Zielińskiego, „Jubilate Deo" Pawła Łukaszewskiego.



Przyznam, że adwentowy występ chóru rozczarował mnie. Ciężkie pozycje, niedopracowane jeszcze technicznie i niedojrzałe muzycznie, o monotonnym wyrazie artystycznym. Polifonia - choć na ogół czytelna, z zaznaczonymi wyraźnie wejściami głosów - pozostała płaska, neutralna w swym wyrazie, dynamicznie utrzymana w biegunach dwóch opozycyjnych kategorii: forte - piano, a przecież tekst religijny również ma swoją dramaturgię, napięcia, różnego rodzaju nastroje.

Zwłaszcza interpretacja motetu Brucknera „Locus iste" wzbudziła we mnie spory niedosyt. Była po prostu bezbarwna, wyczuwało się brak wewnętrznego napięcia, ekspresji tak typowej dla tego austriackiego kompozytora. Zatraciła się nie tylko metafizyka, ale architektonika tej pięknej kompozycji.

Pewniej już wybrzmiały utwory współczesnych twórców opatrzone tytułami „Domine..." i „Jubilate deo", śpiewane były pod koniec występu, zespół był już z pewnością bardziej rozśpiewany i rozluźniony. Sprostał technicznie poprawną intonacją nabrzmiałych współbrzmień dysonansowych, nabrał większej płynności w prowadzeniu fraz, ożywiając wyrazowo formę omawianych opusów. Zwłaszcza „Domine" urzekło subtelnością partytury, oddając w sposób skupiony gęstą szatą dźwiękową, narastającą szeroko i dynamicznie, by końcowym „habitabit" wygasnąć do zupełnego piana.

Wszystkie przedstawione utwory sakralne odtwarzane były w języku łacińskim, co dzisiaj, kiedy nawet obrzędy liturgiczne odprawiane są w rodzinnej mowie, staje się obcym i oderwanym od naszej rzeczywistości. Czy nie należało dopełnić programu pozycjami swojskimi, w języku polskim, aby przybliżyć i wspólnie przeżyć zetknięcie materii słownej i dźwiękowej. Wszak naszemu społeczeństwu dedykowany był ów adwentowy koncert...

Nie przekonało mnie zupełnie odśpiewanie „Bogurodzicy". Ten czternastowieczny hymn, śpiewany przez polskie rycerstwo pod Grunwaldem, określany też słowami Jana Długosza jako „patrium carmen", wymaga w realizacji uwzględnienia pewnych pierwiastków autentyzmu. A więc specyficznej emisji o średniowiecznym posmaku, idealnie wyrównanego i wyważonego brzmienia. Tymczasem młode głosy Iuvenum jeszcze niewykrystalizowane w jednolitym kolorycie, jeszcze mało spójne, nie oddały oczekiwanego efektu surowości chorału gregoriańskiego. I chyba lepiej byłoby na razie zrezygnować z publicznego eksponowania tejże pozycji.

Ujmując syntetycznie występ Iuvenum, nasuwa się jednoznaczna refleksja, czy realizowany program nie przerasta możliwości młodocianego zespołu? Są to w większości bardzo ambitne, o zaawansowanym stopniu trudności dzieła literatury chóralnej, wymagają dużej koncentracji, dojrzalszej edukacji muzycznej i głębokiego, świadomego wniknięcia w styl epoki. Chór szkolny jest tworem rotacyjnym, rokrocznie nieuchronnie zmienia się jego skład osobowy. Odchodzą doświadczeni śpiewacy, przychodzą nowi, nie zawsze wystarczająco przygotowani solfeżowo, nie zawsze jeszcze „wtajemniczeni" w sztukę wspólnego śpiewu. Zbudowanie dobrego zespołu o jednolitym wolumie brzmieniowym, z własną estetyką stylistyczną, wymaga żmudnej i konsekwentnej pracy. Mając na uwadze krótki okres współdziałania dyrygenta ze świeżo zorganizowanym zespołem, należy mieć nadzieję, iż ich dalsze poczynania artystyczne przyniosą widoczne efekty dojrzałego wykonawstwa. Niejednokrotnie przecież w swej długo już trwającej pracy artystycznej chór potwierdził wysoką klasę, zdobywając czołowe, a często najwyższe lokaty w polskich, czeskich i europejskich konkursach śpiewaczych.

Klimatem nastrojowej poezji i muzyki powiało, gdy pojawili się artyści: harfistka Ewa Jaślar-Walicka i Karol Suszka, odtwórca wierszy religijnych. Wspólnie stworzyli swego rodzaju spektakl, który był spójną i przemyślaną koncepcją, atrakcyjną, o oryginalnej formule.

Ewa Jaślar to wysokiego lotu instrumentalistka, z bogatym, międzynarodowym stażem koncertowym. W niedzielę adwentową Ewa Jaślar przedstawiła różnorakie w charakterze pozycje literatury harfowej, które na tym subtelnym, o czarującym kolorycie instrumencie, zabrzmiały nader szlachetnie. Najpierw usłyszeliśmy „Wariacje" Johna Thomasa, najbardziej po-



Fotografie FRANCISZEK BAŁON

ważanego harfisty walijskiego. Poważny w charakterze, statyczny temat utworu rozwinęły cztery wariacje, urozmaicone pod względem tempa, dynamiki i środków technicznych, od piana po mocniejsze crescenda, od prostych akordów do szerokich, brawurowych pasaży. Następna kompozycja „Ojcze nasz" Alberta Hay Malotte zabrzmiała jak prawdziwa modlitwa, co zwłaszcza w akustyce kościelnych sklepień zyskało dużą wymowność. A potem utwory podkreślające nastrój sezonu, np. „Liście jesienne" słynnego wirtuoza harfy Alfonsa Hasselmansa, dalej pełna gęstych, sytych akordów solowa część „Interlude" z kompozycji wokalno-instrumentalnej „A Ceremony of Carols" Beniamina Brittena, w której to odzywają się Bożonarodzeniowe dzwony, czy „Taniec wokół choinki" Richarda Krentzlina, eksponujący protestancki hymn „O du fröhliche" i słynną „Stiele Nacht.

Gra Ewy Jaślar, delikatna, koronkowa, chciałoby się powiedzieć: migotliwa, jakby pełna półświateł i półcieni, skrząca się bogatymi pasażami, efektownymi arpeggiami, potwierdziła wysoki profesjonalizm artystki, jej błyskotliwą wirtuozerię i kulturę muzyczną. Z wielkim wyczuciem towarzyszyła recytacjom, czasem wtapiając dźwięk w słowa poezji, tworząc delikatne tło, to znów nabrzmiewając pełnią szaty dźwiękowej.

Karol Suszka, aktor, reżyser, od kilku lat pełniący funkcję dyrektora tea-

tru czeskocieszyńskiego, tradycyjnie już współtworzy oprawę artystyczną adwentowych spotkań. W jego interpretacji usłyszeliśmy wiersze polskich poetów: Juliana Tuwima, ks. Jana Twardowskiego i Stanisława Malinowskiego. Są to utwory o głębokiej, kontemplacyjnej wymowie, poruszające istotę bytu ludzkiego, miejsca człowieka na ziemi, jego stosunku do wieczności, do drugiego człowieka, do samego siebie. Poezja w interpretacji Karola Suszki jest żywym, uteatralnionym słowem: odpowiednie intonacje, wyważenie środków ekspresywnych i dynamicznych - a wszystko to stonowane jest z wielkim umiarem i pozbawione jakiejkolwiek sztucznej ekstazy. Słowo staje się głównym żywiołem, wielce kreatywnym środkiem przybliżenia i zrozumienia materii poetyckiej, uwikłanej częstokroć w bardziej skomplikowane metafory i odległe punkty odniesienia. Idea połączenia muzyki z poezją odsłoniła rozległe możliwości zetknięcia słowa i dźwięku, kształtu literackiego i muzycznego. Ujawniła się tu jakaś lotność - lotność myśli, kojarzeń, ujawniły się liczne więzy i stopnie pokrewieństwa - bliższe i dalsze. Owa integralność wytworzyła pewien magiczny fluid między wykonawcami, a żywym odbiorcą, pogłębiła wspólną kontemplację na poły muzycznych, na poły religijnych przeżyć.

Trzecia część koncertu przyniosła nutę radości, atmosferę polskich kolęd. „Lulajże Jezuniu", „Mizerna cicha", „Oj maluśki", „O pójdźcie dziś wszyscy" i „Gdy się Chrystus rodzi" - oto kolędowe pozycje, które zabrzmiały w wykonaniu Haliny Młynkowej-Nowickiej, rodem z Nawsia, byłej solistki słynnego, hitowego zespołu Brathanki. Dobrane zostały pod kątem różnic nastroju i tempa, oddane z wysoką kulturą wokalną w sposób prosty, naturalny, co na tle dyskretnego akompaniamentu altówki (wyk. Krystyna Przyhoda) i fortepianu (wyk. Alicja Węgorz) wniosło złudzenie bezpośredniego kontaktu z oryginalnym folklorem kolędowym. Głos Haliny Młynek jest jasny, dźwięczny i czysty już w założeniu, którym włada swobodnie zarówno w wyższych jak i niższych rejestrach, nie tracąc swej nośności. Głos pełen życia i blasku, o nienagannej intonacji i precyzyjnej dykcji, wolny jest od jakichkolwiek manier, solistka wykazała wiele autentycznych intuicji w sposobie prowadzenia głosu, frazowania, stosowania dyskretnych niuansów dynamicznych.

Zapalono ostatnią świecę - symbol miłości. Gospodarz ks. B. Kokotek przypomniał tekst jednego z adwentowych chorałów: *Wiarę w serca wszczep głęboko, nadzieję nas nieś wysoko, lecz największe z tych trzech, Panie, miłość niech ma panowanie.* Koncert adwentowy dobiegł końca. Zabrzmiała muzyka organowa, powoli opróżniały się ławy kościelne. Ludzie bez pośpiechu, ze skupieniem opuszczali świątynię. Ich oczekiwania zostały hojnie nagrodzone. *Było pięknie* - powtarzano.

KRYSTYNA SUSZKA

ZA UMIŁOWANIE MAŁEJ OJCZYZNY CIESZYNIANKA DLA PROF. JANUSZA GUZIURA



Narodowe Święto Niepodległości 11 listopada w regionie cieszyńskim obchodzone jest szczególnie uroczyście. Po wspólnym ekumenicznym nabożeństwie w intencji niepodległości Ojczyzny, które odbywa się w kościele Jezusowym, uczestnicy uroczystości składają kwiaty pod Pomnikiem Niepodległości, a następnie przechodzą w asyście orkiestry na Rynek pod tablicę upamiętniającą powołanie Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego.

W ramach obchodów Święta Niepodległości tradycyjnie już po raz ósmy Związek Komunalny Ziemi Cieszyńskiej organizuje w Teatrze im. A. Mickiewicza w Cieszynie Uroczystą Sesję Rad Gmin Ziemi Cieszyńskiej, na której osoby szczególnie zasłużone dla lokalnych społeczności regionu cieszyńskiego, które łączy wspólna cecha – umiłowanie swojej małej ojczyzny, uhonorowane zostają laurami ziemi cieszyńskiej: Srebrną oraz Honorową Złotą Cieszynianką. W myśl

przyjętej w 1997 r. uchwały samorządy ziemi cieszyńskiej corocznie wyłaniają osoby, które wnoszą nowe, pozytywne wartości lub działania. Do roku 2001 spośród nominowanych przez gminy laureatów kapituła wybierała jednego, któremu wręczano laur Srebrnej Cieszynianki. W 2000 r. wprowadzono do regulaminu możliwość przyznania Honorowej Złotej Cieszynianki. Dotychczas Zgromadzenie przyznało laur Honorowej Złotej Cieszynianki Jerzemu Buzkowi, premierowi RP, Janowi Olbrychtowi, marszałkowi województwa śląskiego, profesorowi Danielowi Kadłubcowi z Zaolzia oraz lekarzowi Antoniemu Michałkowi. W sumie Cieszynianki do tej pory otrzymało 118 osób.

11 listopada 2004 roku laureatem Złotej Cieszynianki został prof. Janusz Guziur *za organizowanie oraz inicjowanie działalności regionalnej i kulturalno-popularyzatorskiej w kole Macierzy Ziemi Cieszyńskiej przy Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie.* Przypomnijmy, iż tegoroczny laureat pochodzi z nadolziańskiego grodu, jest synem znanego również na Zaolziu w okresie międzywojennym i powojennym naczelnego dyrygenta i działacza społecznego, pierwszego redaktora naczelnego Głosu Ziemi Cieszyńskiej Emanuela Guziura. Prof. Janusz Guziur od 40 lat mieszka w Olsztynie, gdzie pracuje na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim, zajmując od 1996 roku stanowisko dziekana Wydziału Ochrony Środowiska i Rybactwa Akademii Rolniczo-Technicznej.

To dla mnie szczególnie zaszczytne wyróżnienie. Chcę jednak podkreślić, iż wyróżnienie to traktuję jako wyraz uznania za naszą działalność macierzową na warmińsko-mazurskiej ziemi. Opiera się ona na tradycjach wyniesionych znad Olzy, do których jesteśmy ogromnie przywiązani. Pomimo znacznej odległości utrzymujemy stale żywy kontakt z Macierzą, z regionem po obu stronach Olzy – powiedział po otrzymaniu Złotej Cieszynianki Janusz Guziur.

JÓZEF WIERZGOŃ

DZIAŁALNOŚĆ DARKOWSKICH PEZETKAOWCÓW W ROKU 2004

Zaproszenia na liczne imprezy Miejscowego Koła PZKO w Karwinie Darkowie, którego Zarząd działa pod kierownictwem prezesa Stanisława Sztuły i jego zastępcy Leona Macury, docierają dzięki rzetelnej pracy rejonowych do odległych miejsc zamieszkania członków nie tylko w Karwinie, ale nawet w Cz. Cieszynie, Rzece, Rychwałdzie czy Pradze. Tam wszędzie na skutek migracji spowodowanej szkodami górniczymi rozproszeni są pezetkaowcy z Darkowa.

Wymienię najważniejsze imprezy roku 2004: Bal PZKO, Powitanie wiosny, Maj nad Olzą, Wianki, Pożegnanie lata, udana wycieczka w okolice Małej Fatry dla działaczy MK PZKO. Niemal na wszystkich imprezach śpiewał chór Lira pod kierownictwem artystycznym Beaty Pilśniak-Hojki, jesienią 2005 roku zespół świętować będzie 95 lat zorganizowanego śpiewactwa w Darkowie. Koordynatorem wszelkiej działalności kulturalno-oświatowej Koła jest Bolesław Mrózek.

Ostatnim przedsięwzięciem ub. r. była trzecia edycja imprezy Darkowska Jesień. Odbyła się w niedzielę 24 października w sali Domu Zdrojowego w Darkowie. W programie oprócz darkowskiej Liry wystąpili goście, jednym z nich był zespół uczniów PSA B. Smetany w Karwinie. Słuchacze gromkimi brawami nagrodzili wszystkie występy, przede wszystkim zaś poziom artystyczny gimnazjalnego zespołu chóralnego Collegium Iuvenum pod kierownictwem Leszka Kaliny.

Przy ocenie aktywności darkowskiego Koła PZKO nie sposób pominąć Klubu Kobiet pod kierownictwem Danieli Stryi. Właśnie kobietki swoją ofiarnością i harówką przed i w czasie trwania imprez starają się o zaspakajanie potrzeb cielesnych uczestników w myśl hasła: przez żołądek do serca.

W nadchodzącym 2005 roku aktywność darkowskich działaczy nie zmaleje, a nasi członkowie i sympatycy swoim udziałem i konkretną pomocą ponownie zadokumentują swoje przywiązanie do Koła.

J.G.



Fot. JÓZEF CHMIEL

220 LAT SZKOŁY I 75 LAT PRZEDSZKOLA W NAWSIU

Polska szkoła w Nawsiu powstała w roku 1784, przedszkole zaś w roku 1929. Rok 2004 był więc rokiem dwu jubileuszy – 220 lat szkoły i 75 lat przedszkola.

W publikacji wydanej z tej okazji możemy przeczytać, między innymi, że w pierwszym roku szkolnym było w nawsiańskiej szkole od 101 do 107 uczniów, najwięcej, bo 334, było ich w tej placówce w roku szkolnym 1919/20.

Od 1 stycznia 2003 jest szkoła w Nawsiu, połączona z przedszkolem, samodzielnym podmiotem prawnym. W roku jubileuszowym 2003/04 w pięciu rocznikach rozdzielonych do dwu klas miała szkoła 25 uczniów, w przedszkolu było 15 dzieci.

W szkole czynna była przez dwa dni wystawa przybliżająca jej historię. Uroczyste obchody jubileuszy odbyły się w wypełnionym po brzegi Domu PZKO w Nawsiu 4 grudnia 2004. W zabawnym i ciekawie przygotowanym przez nauczycielki programie wzięły udział wszystkie dzieci zarówno ze szkoły jak i przedszkola. Po zagajeniu przez dyrektor Halinę Wacławek scena zamieniła się w żywe wspomnienia z lat dawnych i bliższych (szczególnie zabawna była inscenizacja lekcji w szkole w czasach austriackich, komunistycznych i współczesnych), potem była krainą bajek, miejscem prezentacji zacnych postaci Nawsia, a na zakończenie przesunął się przez nią cały szereg byłych i aktualnych pedagogów szkoły i gości z życzeniami jubileuszowymi, wśród których nie zabrakło konsul Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie Grażyny Kostrusiak.

Po programie odbyło się spotkanie towarzyskie.

F.B.












75 Przeds:



Kategoria C – Chóralistyka – CHÓR STUDENCKI COLLEGIUM IUVENUM – za zdobycie 1 miejsca z wyróżnieniem Cum laude na Międzynarodowym Konkursie Chórów Młodzieżowych w Neerpelt w Belgii oraz Złotego kamertona w 24. finale Konkursu Chórów Szkolnych w Bydgoszczy

TACY JESTEŚMY 2004

UROCZYSTY KONCERT
w sobotę 11 grudnia
w Teatrze Cieszyńskim

ZWYCIĘZCY

KOMIKSOWO...



Kategoria E – Wydawnictwa – FRANCISZEK BAŁON – za wydanie książki „Spotkania z przyrodą"



Kategoria D – Literatura – RENATA PUTZLACHER – za scenariusz do spektaklu „Těšínské nebo – Cieszyńskie nebe"





Kategoria F – Teatr – ZESPÓŁ TEATRALNY MK PZKO w WĘDRYNI
– za wystawienie sztuki Zwariować można





Kategoria G – Plastyka i fotografia – DARINA KRYGIEL – za zwycięski projekt pomalowania samochodu w ramach ruchu „Klaun" oraz za ożywienie działalności Stowarzyszenia Plastyków Polskich w RC

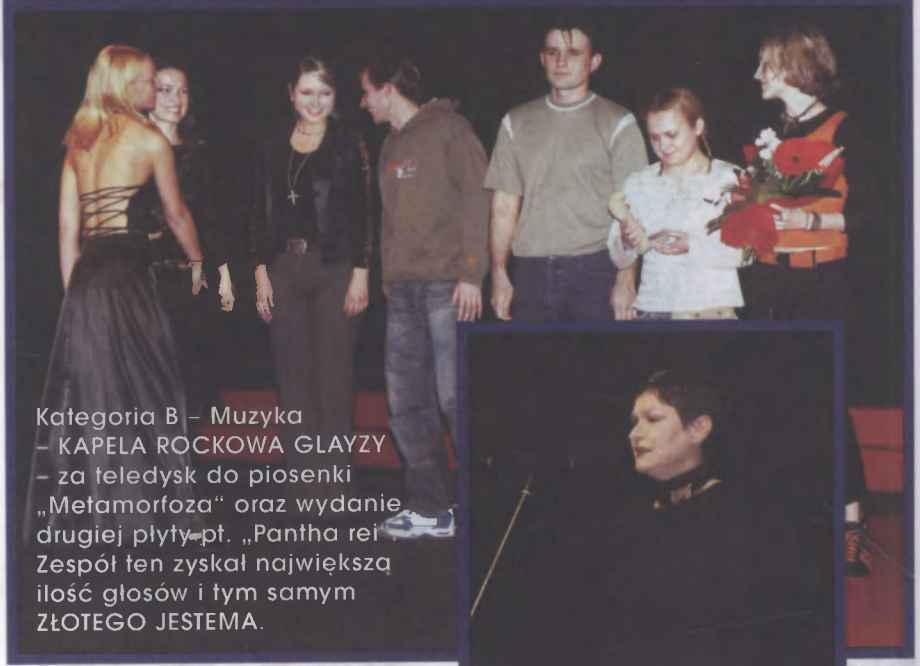




Kategoria A – Folklor – ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA SUSZANIE
- za koncert jubileuszowy



Kategoria H – Sport – MARCIN CZUDEK – za zajęcie 1. miejsca w Mistrzostwach Republiki Czeskiej w narciarstwie



Kategoria B – Muzyka – KAPELA ROCKOWA GLAYZY – za teledysk do piosenki „Metamorfoza" oraz wydanie drugiej płyty pt. „Pantha rei". Zespół ten zyskał największą ilość głosów i tym samym ZŁOTEGO JESTEMA.

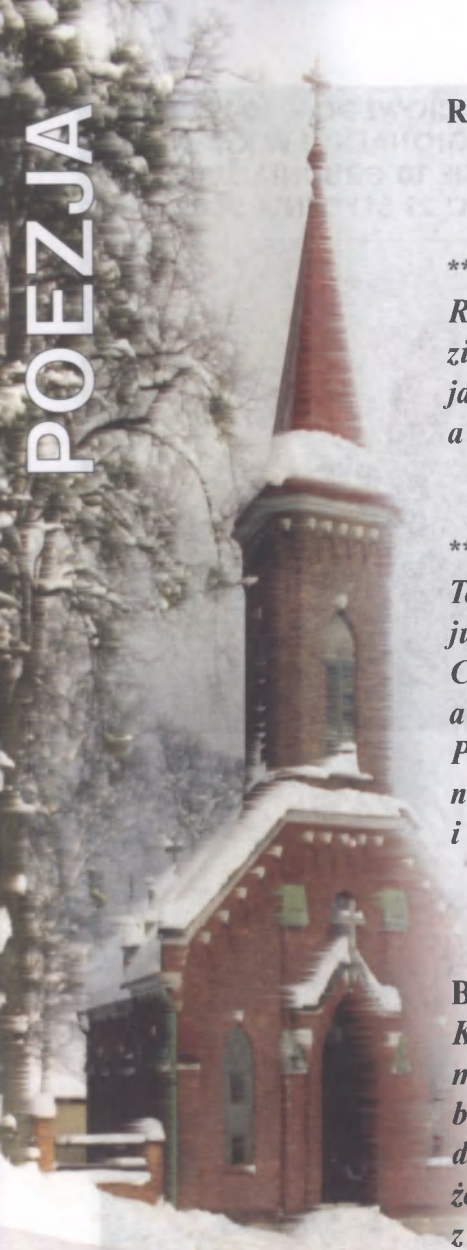
W drugiej części programu ze swym recitalem wystąpiła Dagmar Foniok.

WYSTAWA Z OKAZJI JUBILEUSZU ŻYCIOWEGO – 60-LECIA – JÓZEFA DRONGA W BIBLIOTECE REGIONALNEJ W KARWINIE FRYSZTACIE. WERNISAŻ ODBYŁ SIĘ 10 GRUDNIA 2004. WYSTAWĘ MOŻNA OGLĄDAĆ DO 21 STYCZNIA 2005.





Niepodpisane fotografie w Kronice FRANCISZEK BAŁON (str. 42–47), 2 fot. (na str. 44 i 46) MAREK SANTARIUS



RENATA PUTZLACHER

***

Rewia zający zaśnieżone pola
zima znów żegna się ze mną jak wczoraj
jak zawsze zwierzęta zrzucają swe futra
a życie ma limit od wczoraj do jutra

***

Ten kościół błyszczał wśród pól
już tkwi we mnie
Chusteczką dla duszy są wiersze
a czasem zimnym kompresem
Przepływa przeze mnie to coś
nie rozumiem
i tego właśnie opisać nie umiem

BIAŁY TORNISTER

Kiedy miałam sześć lat
marzyłam o białym tornistrze
bo kiedy gnałam uskrzydlona
do szkoły wierzyłam
że jestem tamtym aniołem
z jasełek Długowłosym
z dobrą nowiną na ustach
i pierzastym bagażem
na przydługich szelkach

OJCOWIE

Dlaczego wyobrażamy sobie
że zestarzeją nam się godnie
w melonikach z fajkami na zapiecku
Dlaczego liczymy na to
że na ich wątłe barki
przerzucimy ciężar pytań
na które nie ma odpowiedzi
A przecież takie najczęściej
zadają nam wścibskie pociechy
Dlaczego myślimy że będą stukać
na maszynach rozprawy o kwestii smaku
Proustowskiej magdalenki
nam pozostawiając martwe światło
ekranów komputerowych
Dlaczego naiwnie wierzymy
że zawsze nam się będą dwoić i troić
że będą tańczyć swój łabędzi taniec
jak czarno-biali starsi panowie
Starsi Panowie dwaj

RUMIENIEC

On lubi kiedy się rumienię
choć nie wiem co mu mój rumieniec
przypomina Może czerwień
z której wyszedł Lata które stracił
Być może w takiej chwili
jestem jego małą dziewczynką
która coś przeskrobała lub była
nadświadoma Warta jestem kary
i stąd ten dermatologiczny przeżytek
To oczekiwanie po obu stronach
barykady Pewność że nadpłynie
purpurowa fala bólu Że to mnie
w jakiś sposób będzie kosztowało
On lubi kiedy się rumienię Wie
że będzie z tego czerpał do woli

M. MAGDALENA STARZYCKA

MARIA BEZ ZIEMI

Sama nie wiem, co było bardziej męczące: przygotowania do wyjazdu z tego kraju, niemiłosierny skwar, spowolniający myśli i aż wysuszający ślinę w ustach, czy też torturujący uszy harmider jarmarku.

Przystanek autobusowy po drugiej stronie placu obiecywał nieco spokoju i odpoczynku w cieniu wielkich eukaliptusów, a także trochę wilgoci od bliskiego oceanu. Chciałam dotrzeć tam jak najprędzej, pobyć w jego odświeżającym, wilgotnym zapachu. Najkrócej będzie wejść w tę zgiełkliwą uliczkę między straganami, a potem na ukos przez plac. Cyganki krzyczały i wymachiwały mi przed oczyma kolorowymi szmatami. Usiłując wyminąć jakąś rozgadaną grupę kobiet, spojrzałam w kierunku następnego straganu - zobaczyłam tkwiącą tam nieruchomo starą, siwą kobietę o rysach bardzo swojskich i pospolitych, ale nie pod tą szerokością geograficzną, z niezwykłymi w tej okolicy błękitnymi oczami: - Ach, to ta Polka, o której ktoś mi opowiadał! - pomyślałam. Przechodząc obok, zauważyłam jej wzrok utkwiony we mnie, mimo woli powiedziałam po polsku:

- Dzień dobry!

Stara drgnęła.

- Oj, pani! Ja zara wiedziała, że to ktoś od naszych stron, skąd ta pani jesteście?

Pokrótce wyjaśniłam, co tu robiłam, że niedługo wracam już do kraju i że ksiądz Andrzej mi o niej opowiadał.

- Oj, pani, ile ja światów zeszła, ile sia naponiewierała po obcych, a zawsze tak było, że swój swego najdzie! Oj, pani, ja by to chciała, żeby moje dzieci mowe polsko znali, a ony nic a nic naszy mowy nie rozumio, o nie! A wyglądajo jak Polaki, to wyglądajo!

Śpiewnie z wileńska, z domieszką czegoś zupełnie obcego w intonacji angielskiej, niespodziewanie potoczyła się, niczym spowiedź, opowieść o jej życiu. Patrzyła gdzieś w siność oceanu i miałam wrażenie, że widzi tam swój Niemen, nad którym mąż miał młyn, a ona była kimś! Młynarzową!

- Pani, co za życie my mieli, ptasiego mlieka nam nie trza była: chłopy co dnia zjeżdzali sia od rana i prosieli, żeby mlieć, bo młynów w okolicy nie było duża. To młyn szedł od rana do wieczora, a żarna mełły a mełły, a parobki ino te wory mąki odstawiali rzędem, bo chłopy piniędzy nie miali i płacili mąko. Pani, to był piniądz! Chlieb piekli my sami, masła sami robili. Uszanowanie ludzi było też, wiadomo: młynarzowa ja była, dom był, a i dzieciaczek pierwy przy piersi.

Kobieta pogrążyła się w opowieści, jakby tylko sobie to swoje życie przepowiadała, jakby bała się, że je zapomni, bo w tym miejscu i czasie wydawało się nieprawdziwe, jakby zmyślone.

Popłynęły opowieści o poniewierce w kołchozach w Kazachstanie, rozłące z więzionym mężem, o chorobach i mieszkaniu w ziemiance...

- Pani, wreszcie męża puścili, to bez pół kraja szedł i znaszedł nas, i zabrał. Do wojska szedł, bo powiedali, że Anders wojsko polskie robi. To ja szła snim. W drodze dzieciaczek nam pomarł. Pogrzabali my go w tej ziemi i poszli daliej. Rozeszły się jakieś choróbska. Mój też zachorzał, na tyfus. Od tego tyfusa zeszedł z tego świata. A ja z brzuchem! Zostałam samusieńka jak ten palec. Nie ja jedna miała tako dolę. Urodziła ja chłopaczka. Potem, jak mieli my sia wybrać z tym wojskiem do Iranu, to powiadziali, że im bab ani dziciaczków nia trza, że to wojsko, a nie inne tam... Nie wiedzieć ta, co robić było. Wreszcie przez morze przepłynęli my do tego Iranu. Tam nas nie puszczajo, tylko przy plaży trzymajo, a gorąc straszny, głód, szczęściem dziecko karmione piersio wyżyło. Ulitował sia nad nami taki jedyn Irańczyk, nie chrześcijanin, no a po chrześcijańsku zrobił! Zabrał kobiety i dzieci do wielkiego domu. Czekały my tak, nie wiedziać na co, od dobrych ludzi jedzenie wziali. Potem mówio, że Czerwony Krzyż do Indyj nas wysyła. Matko Przenajświętsza, to jeszcze dalij i dalij od doma iść? Oj, dolo, dolo! Wreszcie załadowali nas na statek, wielki był. Na nim tyż strach, żeby Niemce nie bombardowali, żeby burza nas nie przewróciła, żeby min nie znachodzić. Ile to okrętów z ludźmi uciekającymi, słyszało sia, miny porozrywały! To my do Pani Ostrobramskiej sia modliły i nas uchowała.

W Indyjach też straszno. Mówio do mnie, a ja nic a nic nie rozumiem, aj, ta ich mowa angielska trudno! Nic to, ja chciała do jakiejś prostej pracy iść. Sprzątać gdzie, a oni na to, że ni, że ni wolno. Biała kobieta nie może tu robić takich rzeczy. Kazali uczyć sia. Pani, ja młynarzowo, ja prosta kobieta w szkołach nie uczona i teraz jeszcze ta męka, jeszcze uczyć sia! Mało to ja nieszczęść przeszła? Ale jak mus,

to mus. Poszła ja do ty szkoły, uczyła sia, a trudno strasznie było, pozdawała ja w końcu te egzamina i była za pielęgniarkę w szpitalu. Potem spotkała ja dobrego człowieka, też jak ja, wszystka rodzina wojna mu wytraciła. Polak był, to my sia pożenili. Miała ja od niego dwie dziewczynki i chłopaczka i tak ta czwórka, z tym od pierwszego męża, sia razem chowali. Potem pomarł ten drugi mąż, a ja była sama z dziećmi, ale już starsze podrośnięte, po angielsku gadali, jak same Angliki, uczyły sia w szkołach. Jakoś ta sia żyło, renta była. Córka starsza spotkała takiego Portugalczyka. Grzeczny był i strasznie chciał sia żenić. Córka poszła za niego i dzieciątko snim miała. Potem ten mąż nic, ino do Portugaliji, do rodziny, do kraja. I pojachali. Po roku znachodzę ja list od niej: Mamo ratuj, mąż mnie odszedł i ja sama, bez piniędzy, ani z nikim pogwarzyć, bo po portugalsku nie umiem. To ja co miała, posprzedawała i na statek z wszystkimi dziećmi. W Lizbonie co było robić? Wszystkie piniądze poszły na bilety na statek, a tu ni ma na chlieb. To ja kupiła kilka spinaczów do włosów, trocha koralików kolorowych i tak co dzień, chodząc po tym rynku, miała na chlieb. Trudno było, ani słowa po portugalsku ja nie umiała. A dziś też tak niespecjalnie, już wola po angielsku... Potem ja ten kram kupiła i już jakoś ta była. Syn starszy i córki dobro robotę majo, bo tu liczy sia, jak kto angielski umie, a oni jak Angliki mówio. Młodsza pomaga. I tak życie płynie... Pani, co ja przeżyła i za co mnie to spotkało, za co od swojej ziemi iść kazali na poniewierkę?

Na takie pytania nie oczekuje się odpowiedzi. Chyba dla pokrycia wzruszenia zapytałam głupio:

- Nie myśli pani wrócić do Polski?

- Do Polski? Nii, po co mi Polska? Tam, gdzie był mój dom, to tera nie Polska. U mnie w Polsce nikogo a nikogo, nikt nie czeka. Na co mi Polska? Ja już tak, bez swojego miejsca na tym świecie. Niewiela mi życia ostało...

Zapomniałam o upale i pośpiechu. Kobieta zanurzyła się w przeszłość, nawet klientki były jakby intruzami z innego świata. Stałyśmy tak obie, inne od otaczających ludzi. Kupiłam u niej skarbonkę - miniaturę portugalskiej skrzynki pocztowej, której sekretu otwarcia dotąd nie odkryłam.

Przed kilkoma miesiącami odwiedził mnie ktoś z Lizbony i wiem już, że młynarzowa zakończyła swą wędrówkę.

Tygiel Kultury, nr 1-3/2004

Fot. FRANCISZEK BAŁON ▶

LECH PRZECZEK



- W stosunku do ilości szarych komórek posiadał nieproporcjonalnie dużą głowę.
- Jeśli już być piątym kołem u wozu, to przynajmniej u mercedesa.
- Uzyskała posadę sekretarki, ponieważ miała ze wszystkich kandydatek najdłuższe nogi i najkrótszą spódniczkę.
- Założył spółkę ze znaczeniem ograniczonym.
- Wszystkie próby zrozumienia głupca są z góry skazane na niepowodzenie.
- Czego nauczysz się w młodości, o tym na starość i tak nie będziesz pamiętał.
- Większość jego pomysłów pochodziła widocznie z wyprzedaży.
- Nawet na ogół mądre kobiety zadają czasami nad wyraz głupie pytania.
- Anielskie piękno miewa często diabelskie pochodzenie.
- Jego przemówienia stanowiły typowy przykład zbędnego nadużywania słów.
- Wielokrotnemu milionerowi trudno wytłumaczyć, że „co za dużo, to niezdrowo".
- Nie wiedziała, co ma na siebie włożyć, nawet kiedy szła na plażę dla naturystów.
- Przyszedł na policję zgłosić, że nieznany sprawca skradł mu jego dobrą reputację.
- Nie zachwalaj kobiety przed małżeństwem.

W OPAWIE DYSKUTOWANO TAKŻE O LITERATURZE NA ZAOLZIU

Czesko-polskie konferencje literacko-naukowe organizowane przez Zakład Bohemistyki i Bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Śląskiego w Opawie mają już swoją zauważalną tradycję. Pierwsze spotkanie odbyło się z inicjatywy badacza literatury Śląska Cieszyńskiego prof. Edmunda Rosnera (1930–1998) już w roku 1995. Ostatnia konferencja miała miejsce 10–11 listopada 2004 roku, a jej tematem była czeska i polska poezja po roku 1989. Od roku 1998 współorganizatorem opawskich spotkań czeskich i polskich literaturoznawców jest Instytut Filologii Polskiej w Opolu.

Na listopadowe spotkanie przyjechała do Opawy liczna delegacja naukowców z różnych polskich uniwersytetów i wyższych uczelni (Opole, Katowice, Łódź, Poznań, Cieszyn), prof. Galina Kurylenko z Mińska, która niestety nie dostała wizy (!), swój przyczynek na konferencję przysłała w polskim tłumaczeniu.

Wśród wielu wartościowych referatów bezsprzecznie zainteresowanie wzbudziły również te mówiące o literaturze na Zaolziu. Katarzyna Tałuć z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach zajęła się w swoim wystąpieniu „Poetycka percepcja rodzinnej ziemi młodych Polaków z Zaolzia" przede wszystkim poezją Renaty Putzlacher. Opawski historyk literatury Libor Martinek przybliżył problematykę recepcji i przekładów polskiej poezji z Zaolzia po roku 1989 w jej zróżnicowaniu pokoleniowym od generacji almanachu „Pierwszy lot" aż po autorów najmłodszych. Kolega Martinka z ostrawskiej bohemistyki Jan Heczko, który na stałe mieszka w Trzyńcu, zwrócił swoją uwagę na poezję Bogdana Trojaka. Do pewnego stopnia dotyczył Zaolzia także referat historyka literatury z Brna Drahomíry Vlašínovej, która podsumowała dotychczasową działalność poetycką i przekładową Libora Martinka, którego tłumaczenia istotne są dla Zaolzia, a którego wiersze na język polski tłumaczyli także Zaolziacy (K. Kaszper, F. Nastulczyk, L. Przeczek, W. Przeczek, W. Sikora, J. Pyszko).

Dodajmy, że kilka referatów dotyczyło twórczości poetyckiej na Górnym Śląsku. Krystyna Heska-Kwaśniewicz przedstawiła referat „Ks. Jerzego Szymika refleksje o kapłaństwie, poezji i Śląsku", opawski bohemista Libor Pavera poruszył problematykę gatunków, recepcji i stylów

współczesnej młodej poezji na Górnym Śląsku. Joanna Maksym-Benczew, bohemistka z Raciborza, mówiła o polskiej poezji w wydawnictwach ołomunieckich po roku 1989 i w związku z tym należy przypomnieć, że w ołomunieckim wydawnictwie Votobia wydany został też wybór poezji jabłonkowskiego poety Jana Pyszki „Puklá pečeť polibku - Pęknięta pieczęć pocałunku" w przekładzie Františka Všetički. Referaty z konferencji ukażą się w formie publikacji.

Wzmiankowany Libor Martinek przygotował dla gości konferencji, studentów Uniwersytetu Śląskiego i opawskiej społeczności czesko-polski wieczór literacki „B+B", podczas którego przedstawił młodego opawskiego poetę Davida Bátora (nominowanego w roku 2004 za debiut poetycki do prestiżowej nagrody literackiej Cena Magnesia Literaria) i polskiego poetę Michała Bukowskiego (rodem z Poznania, ale mieszkającego na stałe w Wiedniu) w tłumaczeniach własnych, Lucyny Waszkowej i Wilhelma Przeczka. Wielkim zainteresowaniem wśród polskich gości cieszyły się także wejściówki na przedstawienie operetki Oskara Nedbala „Polska krew" w Teatrze Śląskim w Opawie.

tłum. M.R.

„DÍLO WŁADYSŁAWA SIKORY"

Pod takim tytułem w kwietniu 2004 roku ukazała się praca dyplomowa Jana Volfa, studenta bohemistyki i historii Fakultetu Filozoficzno-Przyrodoznawczego Uniwersytetu Śląskiego w Opawie, pod kierunkiem dr. Libora Martinka.

Praca o objętości 80 stron poza wstępem zawiera takie rozdziały jak: Zwięzły zarys historii czeskiego Śląska Cieszyńskiego, Zarys rozwoju polskiej literatury na czeskim Śląsku Cieszyńskim (z podrozdziałami: Najmłodsza generacja polskich poetów z czeskiego Śląska Cieszyńskiego, Twórczość ludowa, Twórczość dla dzieci), Życie i twórczość Władysława Sikory, Nad twórczością Władysława Sikory, O charakterystycznych motywach w poezji i prozie Władysław Sikory oraz Zakończenie.

Uważam, iż dorobek twórczy czeskocieszyńskiego poety, prozaika i eseisty zasługuje na tego rodzaju promocję w czeskim środowisku uniwersyteckim. Naturalnie chodzi tu tylko o wewnętrzne sprawy uniwersytetu opawskiego, ale praca ta w przyszłości może posłużyć jej autorowi lub zainteresowanym do bardziej dostępnych opracowań życia i twórczości naszego twórcy oraz naszego środowiska literackiego.

(kaja)



Fot. FRANCISZEK BAŁON

S.237 il 32955

ROPICA - DZIEJE GMINY

Jesienią br. trafiła do rąk czytelników książka Stanisława Zahradnika „Ropice - Ropica". Dwujęzyczne, czesko-polskie opracowanie popularnonaukowe dziejów gminy przygotowane zostało z okazji zbliżającego się 700-lecia wsi (2005). I było tyleż trudnym, co odważnym przedsięwzięciem. Jest to bowiem pierwsza próba dokonania zapisu ważniejszych zdarzeń, jakie miały miejsce w tym zakątku kraju.

Książka składa się z 4 rozdziałów tematycznych, których układ wewnętrzny jest chronologiczny; 22 załączników dokumentujących treść; serwisu fotograficznego; spisu treści; 16 stron kolorowych reklam. Poprzedzona została wstępem Jana Bazgiera, wójta gminy Ropica, oraz wstępem samego autora. W pięknie wydanej na kredowym papierze publikacji zastosowano układ dwuszpaltowy, biegnie więc równolegle tekst czeski i polski, a towarzyszące mu elementy graficzne i fotograficzne ożywiają i uzupełniają stronice, wtapiając się swym czarno-białym kolorytem w wyraźny, czysty druk. Autor zadał sobie trud szczegółowego podziału rozdziałów na mniejsze cząstki, można więc bez trudu odnaleźć interesujące nas fragmenty. Cały wywód dokumentują źródła oraz część materiałowa: rozdział piąty zawierający odbitki wybranych dokumentów i kolorowe zdjęcia (28). Ogólnie książka jest ciekawa, atrakcyjna, proporcjonalnie zbudowana (tekst i materiał graficzny) i daje wyobrażenie o wielkiej aktywności mieszkańców wsi, szczególnie w XX wieku.

Jako podstawa do opracowania posłużyło 20 kronik, 1 zbiór dokumentów, 1 pamiętnik, książki historyczne, socjologiczne, językoznawcze, kulturoznawcze, artykuły prasowe, różnego typu sprawozdania oraz tzw. druki życia społecznego, tj. afisze, ogłoszenia, zaproszenia, ulotki itp. Ten obfity i bardzo zróżnicowany materiał zaważył zarówno na kompozycji, jak i na języku całego przedsięwzięcia. Opracowanie takich materiałów jest niezwykle trudne: mamy do czynienia z kilkoma językami, z kilkoma opcjami. Autor wykonał gigantyczną pracę, przedzierając się przez rękopisy kronik i dokumentów. Przedstawiane fakty starał się obiektywizować, co, moim zdaniem, powiodło się w dużej mierze. De facto tak rozległy okres dziejowy przerasta możliwości badawcze jednej osoby. Autor, zdając sobie z twego sprawę, wspomina o tym we wstępie. Jestem pełna szacunku, że mimo wszystko podjął się tego zadania.

Książka, która powstała, jest więc wynikiem dobrej woli i ofiarności histo-

ryka, lecz także mieszkańców Ropicy, którzy uważali, że powstać powinna. W opracowaniu udało się wskazać, że Ropica była gminą o znacznym stopniu samodzielności i że tę samodzielność potrafiła odzyskać. Była też wsią rozbudowującą się i tak jest nadal, choć liczba mieszkańców już nie rośnie, a obiektów mieszkalnych w niewielkim stopniu. Skupiała ludzi podejmujących rozliczne wyzwania i wydaje się, że ta cecha również została zachowana. Ropica była także miejscem egzystencji kilku zasiedziałych rodów. Same tylko losy poszczególnych rodzin złożyć by się mogły na niejedną ciekawą publikację.

Prezentowana książka zawiera następujące rozdziały: I Ogólne dane; II Wytwórczość, handel, usługi; III Instytucje wychowawcze i oświatowe; IV Organizacje i stowarzyszenia. W zasadzie w każdym z nich mamy do czynienia z prezentacją „od początku do końca", tj. do współczesności. Rozumiejąc przesłanki, które skłoniły autora do takiego układu, nie sposób jednak nie zauważyć, że w miarę czytania staje się trochę męczący: ostatnie dwieście lat przesuwa się nam przed oczyma to w przód, to w tył. Wydaje się, że bardziej przejrzysty w odbiorze byłby nadrzędny układ chronologiczny, porządkujący historię gminy wraz z rozwojem społecznym (w tym wyznaniem, zatrudnieniem, oświatą, szkolnictwem etc.) w obrębie struktur politycznych i stąd wypływających podziałów. Powstałyby wówczas części przedstawiające według przytoczonych źródeł 9 różnych kontekstów przynależności i funkcjonowania gminy, zapewne z dodatkowym wewnętrznym podziałem co najmniej okresu panowania Habsburgów. Uniknięto by wówczas powtarzania niektórych informacji, a zwłaszcza przetasowania niektórych faktów. Ale to nie takie proste. Podsumowując uwagi tyczące wykorzystanych materiałów, dodajmy więc tylko, że stanowiły one wystarczającą bazę do napisania książki, a zarazem ukazały istotne braki.

Trzeba też nadmienić, że często nieprzetłumaczalny język owych zapisów zaważył w kilku miejscach na języku relacji, lecz poza dwoma ewidentnymi czechizmami znaczeniowymi, funkcjonującymi w miejscowym języku (zastępstwo = zastupitelstvo; płatny = platny), w zasadzie nie obciąża tekstu. Czasem zdarza się brak jakiegoś słówka, czasem niezręczność stylistyczna, wynikają one jednak głównie z języka źródeł.

Czeski tekst czyta się gładko, język jest prosty, styl klarowny. Zastosowano korzystną dla książki zasadę tłumaczenia nazw lub wprowadzania oryginalnych nazw w uzasadnionych przypadkach (np. czeskich w polskim tekście i odwrotnie). Konsultacja językowa Pavla i Kazimierz Jaworscy. Powstała więc książka ładna, wartościowa, staranna, potrzebna i inspirująca. Spodziewam się, że znajdzie oddźwięk nie tylko wśród mieszkańców Ropicy.

ALEKSANDRA HUMEL

32956

LITERATURA NIEMIECKA NA CZESKIM ŚLĄSKU

Fenomen literatury sudeckoniemieckiej na ziemiach czeskich był zawsze problemem bardzo delikatnym. Jednak dzisiaj, ze względu na zmieniające się realia europejskie, kwestia ta jest już postrzegana inaczej, wręcz zyskuje na aktualności nie tylko w Czechach, ale i w Niemczech. Czas zatem spojrzeć na jej dokonania z różnych punktów widzenia. Zacząć zaś trzeba od sprawy podstawowej, zawartej w pytaniu: Jak nazwać tę literaturę? „Sudeckość" jeszcze stale wywołuje skojarzenia ideologiczne. Rzecz jasna ma to związek z historią, szczególnie międzywojenną, stwarzającą jednak możliwości twórczościom różnojęzycznym, w tym i w języku niemieckim. Niestety, nie doczekała się ona gruntowniejszych opracowań, jakkolwiek na nie zasługiwała choćby z racji swej poczytności. Trafiała bowiem do czytelników od północnych Beskidów i Jesioników, przez Karkonosze i Góry Izerskie po Szumawę. Autor, zdając sobie sprawę ze słabej znajomości poruszanej przez siebie problematyki, postanawia, i słusznie, wyjaśnić pojęcia podstawowe, np. genezę Niemców sudeckich, ich dzieje, również kulturowe, ich współżycie z etnikum polskim i czeskim na terenie Śląska itp., przy czym kompetentnie i w miarę szczegółowo omawia dzieje tej dzielnicy w aspekcie czesko-niemiecko-polskich stosunków, i to od głębokiego średniowiecza po wiek XX włącznie. One to wyciskały wyraźne piętno i na literaturze śląskoniemieckiej, rozwijającej się w ośrodkach, które z wiadomych powodów opustoszały, wręcz zamarły po II wojnie światowej.

Różne orientacje ideologiczne omawianej literatury manifestowały się w jej różnorodności gatunkowej, przy czym ranga artystyczna tych wysiłków była nierówna. Wśród autorów widzimy nazwiska znaczące (np. A. Scholtis, M. Lichnowski) i mierne (np. L. Rochowanski, H. Teichman), wszystkie jednak tworzą mozaikę bardzo interesującą, ze znawstwem przez autora prezentowaną.

Literaturze małych ojczyzn poświęca się coraz więcej uwagi nie tylko z racji unijnoeuropejskich, ale także jako przeciwwadze tendencjom globalizacyjnym, unifikującym m. in. obraz kulturowy, czyli zacierającym specyfiki narodowe, regionalne i lokalne. Małe ojczyzny są swoistym sprzeciwem, reakcją, podnoszącą wartości lokalne, bogate i różnorodne. Praca I. Stupka unaocznia to bardzo wyraziście, podkreślając szerokie konteksty i uwarunkowania tego bogactwa pisarskiego na Śląsku. Jak już wspomniano, literaturze niemieckiej na tym obszarze poświęcono dotychczas niewiele artykułów czasopiśmienniczych, trudno osiągalnych, takich autorów, jak np. König, Nadler, Lubos, Rusinský, Václavek, Richter itp., natomiast oglądu syntetycznego nie było. Tego trudnego i bardzo ambitnego zadania podjął się germa-

nista Uniwersytetu Ostrawskiego, dr Ivan Stupek, CSc., dając rozległy, osadzony w niezbędnym kontekście społeczno-polityczno-etnicznym obraz epoki, sprzyjającej również śląskiej niemieckojęzycznej twórczości literackiej, interpretowanej ciekawie z punktu widzenia artystycznego i społeczno-kulturowego.

Autor odpowiada na pytania dotyczące nie tylko tego, jaka ona była, ale i czemu służyła. Praca jest niewątpliwie ważnym dokonaniem śląskoznawczym, usuwającym kolejne głuche miejsca w historii Śląska, pisanej nieraz przez mistrzów słowa niemieckiego, toteż ma ona znaczenie pionierskie, warte kontynuacji, gdyż niejeden problem został w niej ledwie zasygnalizowany. Zresztą sam autor wytycza kolejne perspektywy badawcze, a jedną z nich byłaby monografia różnojęzycznych literatur, w tym i polskiej, których ziemia śląska była ojczyzną.

DANIEL KADŁUBIEC

Ivan STUPEK: *Deutsche Literatur der Zwischenkriegszeit im tschechischen Schlesien. 1918-1938* (Niemiecka literatura okresu międzywojennego na czeskim Śląsku. 1918-1938), 240 stron, wydał Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Ostrawskiego w r. 2004.

NA NASZEJ SCENIE

IV FESTIWAL TEATRÓW MORAW I ŚLĄSKA

Najlepsze przedstawienia minionych sezonów, jakie pojawiły się w teatrach Moraw i Śląska, oraz gościnne występy innych teatrów, także zza północnej i wschodniej granicy RC, obiecał widzom IV Festiwalu Teatrów Moraw i Śląska (9-13.11.2004) jego pomysłodawca i dyrektor Karol Suszka, jednocześnie dyrektor Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie. Na deskach tego teatru wystąpiły prawie wszystkie zespoły uczestniczące w Festiwalu. Festiwal odbywał się pod patronatem marszałka województwa morawsko-śląskiego Evžena Tošenovskiego, zaś honorowym przewodniczącym był Henryk Sznapka, starosta miasta Czeskiego Cieszyna, partnera Festiwalu.

Pierwszym z gości spoza wpisanego w nazwę Festiwalu regionu był teatr z Hradca Kralowe - Klicperovo divadlo, który przywiózł śpiewogrę komiczną „Sprzedana narzeczona" Bedřicha Smetany i Karla Sabiny. Reżyser

Vladimír Morávek wziął na warsztat pierwszą wersję libretta znanej opery, która zawierała także dialogi nieśpiewane, i zaprezentował, w tym wypadku śląskiej publiczności, wzorcowy obrazek dawnej czeskiej wsi. Ze słowackiego Martina przyjechał zespół teatru kameralnego Slovenské komorné divadlo ze sztuką obyczajową klasyka słowackiej literatury dramatycznej Jozefa Gregora Tajovskiego „Nowe życie" (w oryginale „Nový život (oprašovačka)") w adaptacji i reżyserii Doda Gombára. Gościem z Polski był Teatr im. J. Kochanowskiego z Opola, który zaprezentował sztukę popularnego współczesnego dramatopisarza rosyjskiego Nikołaja Kolady „Merylin Mongoł" w reżyserii Krzysztofa Rekowskiego. (Na innym cieszyńskim festiwalu teatralnym, Bez Granic, można było ostatnio obejrzeć „Martwą królewnę" Nikołaja Kolady z Teatru Polskiego w Poznaniu.) Szkoda, że publiczność nie skorzystała z okazji przyjścia na zespół teatralny z Polski, wszak nieczęsto nadarza się taka okazja.

Do współzawodnictwa konkursowego stanęły teatry z Ostrawy, Opawy oraz gospodarze z Czeskiego Cieszyna. Opawski Teatr Śląski przywiózł „Śmierć komiwojażera" Arthura Millera w reżyserii Zdeňka Černína. Zmianą w ostatniej chwili w programie festiwalowym było przedstawienie Towarzystwa Teatralnego P. Bezruča z Ostrawy, który zamiast zapowiadanej „Szklanej menażerii" Tennessee'a Williamsa, tę notabene cieszyńscy teatromani widzieli już kiedyś na Festiwalu Na Granicy, zaprezentował rzecz współczesną i na wskroś aktualną, sztukę brytyjskiego pisarza i reżysera Bena Eltona „Popcorn", poruszającą problem utożsamiania się z rzeczywistością medialną, mówiącą o wpływie filmu na sposób zachowania młodego pokolenia. Teatr Lalek z Ostrawy w przedstawieniu „Ogród" Jiřígo Trnki i Petry Vrtilovej-Štefanovej, która także reżyserowała to przedstawienie, i Teatr Lalek Bajka w „Kozalince" Aleny Tomásovej-Radokovej w reżyserii Pawła Niedoby wprowadziły widzów do świata bajki.

Pozostałe spektakle konkursowe zostały wyróżnione przez jury. Festiwalowe jury w składzie Marie Boková z praskiej DAMU, Zuzana Jindrová z praskiego Instytutu Teatralnego, Jan Hyvnar z Uniwersytetu Karola, Kazimierz Kaszper, Jiří P. Kříž z dziennika Právo i Emil Orzechowski z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie uzgodniło, że nagrodę indywidualną otrzyma Zdena Przebindová za wspaniałą kreację Matki w sztuce Petra Zelenki „Opowieści o zwyczajnym szaleństwie" ("Příběhy obyčejného šílenství"). Spektakl reżyserował Václav Klemens w ostrawskim teatrze kameralnym Komorní scéna Aréna. Jury przyznało też nagrodę Konserwatorium Janáčka z Ostrawy za oryginalną interpretację sztuki Moliera „Mieszczanin szlachcicem", za dynamiczne i zabawne przedstawienie, w którym studenci w sposób odpowiedni, a zarazem swobodny wykorzystali nabyte w szkole umiejętności. Jury podkreśliło także rolę pedagogów Alexandry Gasnárkovej

i Bedřicha Jansy. Nagrodę za najlepszą inscenizację otrzymało „Těšínské niebo - Cieszyńskie nebe" w reżyserii Radovana Lipusa, gdyż w ocenie jury chodziło o jedyny w swoim rodzaju wspólny dramaturgiczno-inscenizacyjny projekt Sceny Czeskiej i Polskiej Teatru Cieszyńskiego w wielokulturowym regionie, w specyficzny sposób prezentujący stosunki polsko-czeskie i czesko-polskie. Dla zespołu Sceny Polskiej zaś jury wyraziło uznanie za odwagę repertuarową, inscenizacyjną, a przede wszystkim aktorską oraz, z uwagi na charakter widowni tej Sceny, za decyzję wprowadzenia do repertuaru czegoś tak ryzykownego jak „Polaroidy" Marka Ravenhilla. Po doświadczeniach z wielu innych festiwali jury postanowiło podziękować również fotografowi Wiesławowi Przeczkowi za szybką, dobrą i kompleksową fotodokumentację Festiwalu, co jest niezwykle ważne dla reklamowania Festiwalu, a, jak podkreśliło, nie zawsze spotykane.

CZESŁAWA RUDNIK

CIESZYŃSKIE NIEBO NA PŁYCIE

Cztery nazwiska autorów - Jaromír Nohavica, Tomáš Kočko, Renata Putzlacher, Radovan Lipus - widnieją na okładce płyty kompaktowej, której promocja odbyła się 15 listopada 2004 roku w nietypowej scenerii Mostu Przyjaźni w Czeskim Cieszynie na granicy polsko-czeskiej. Płyta „Těšínské niebo - Cieszyńskie nebe" oblana została wodą zaczerpniętą wiaderkiem z rzeki Olzy przez Halinę Pasekovą, aktorkę Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego, która w spektaklu muzycznym pod tym samym tytułem kreuje postać Olzy. Przedstawienie „Těšínské niebo - Cieszyńskie nebe", przygotowane jako wspólny projekt Czeskiej i Polskiej Sceny Teatru Cieszyńskiego, grane jest w Czeskim Cieszynie, z sukcesem, od połowy maja ubiegłego roku. Na płycie kompaktowej znalazły się piosenki z tego przedstawienia. Dwie z nich zabrzmiały na cieszyńskim moście podczas promocji płyty.

Spektakl mówiący o ziemi cieszyńskiej i wyrastający z niej, również z tego powodu, że jego autorzy związani są z tym regionem, powstał w oparciu o pieśni Jaromíra Nohavicy, scenariusz napisała i teksty piosenek na język polski przetłumaczyła Renata Putzlacher, reżyserem i współautorem scenariusza był Radovan Lipus, a aranżacji muzycznej dokonał Tomáš Kočko. Zagrali i zaśpiewali aktorzy obu scen Teatru Cieszyńskiego: Halina Paseková, Karel Čepek, Ryszard Malinowski, Zdeněk Hrabal, Markéta Tichá, Małgorzata Pikus, Barbara Szotek-Stonawski, Barbora Niedobová, Dariusz Waraksa, Michal Stalmach, Kajetán Písařovic, Klaudiusz Szymiczek oraz Jaromír Nohavica i Tomáš Kočko.

Płyta ukazała się w wydawnictwie muzycznym Indies Records w Brnie, autorem projektu okładki i rysunków jest Ladislav Szpyrc, zdjęcia wykonał Wiesław Przeczek, nie zabrakło książeczki z tekstami piosenek, słowem wprowadzającym Renaty Putzlacher i fragmentami pochlebnych recenzji. Płyta zawiera 22 piosenki. Pierwsza, „Nebe je tu", w wykonaniu autorskim Jaromira Nohavicy, i ostatnia, „Plebs-blues", nie znalazły się w przedstawieniu. Zaś „Kalina" to piosenka ludowa, którą wprowadził do swojego repertuaru także Nohavica. I tak jak reszta pieśni na tej płycie ("Cieszyńska", „Vilém", „Kometa", „Weselna", „Litania pod koniec stulecia", „Bal maskowy", „Gdy jutro skoro świt", „Jacek", „Pomylona Gosia", „Myszka Miki", „Dopóty żyję", „Panie prezydencie", „Hymn HC Oceláři Třinec", „Sarajewo", „Petersburg", „Danse macabre", „Wielka woda", „Każdy dźwiga swe brzemię", „Muzeum") śpiewana jest w spektaklu „Cieszyńskie niebo". Płyta nie jest jednak bezpośrednim zapisem ze spektaklu, ale nagraniem studyjnym.

C.R.



Fot. FRANCISZEK BAŁON

POKŁOSIE
PRZYSŁOWIA I POWIEDZENIA LUDOWE ZE ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO

Szafuje z pinióndzami jak z wodóm przi studni.
Świat byłby moc piekniejszy, dyby nie ty ludzki jynzyki.
Dzierż galana na linie, aż sie drugi nawinie.
Myśli se, że drugi je taki głupi, jak ón je móndry.
Jak ludzie moc pogdokujóm, to dycki cosi wygdoczóm.
To tu po nim, co po psie w kościele.
Umrzytego sie nima co boć - żywi ludzie sóm źli.
Tela wiy, wiela zjy.
Nikiery je nimocny, jak mo co zrobić, a nikiery je nimocny, jak nimo co robić.
Ludzióm gymby nie zawrze.
Co by sie człowiek staroł - dyć zaś jakosi bydzie.
Gabie, aż se roz spoli.
Sześciocolowy gwóźdź zjod, a nic mu nie było.
Tobie już też śniyg na głowe popaduje.
Fulała wyfuloł, drzistok dali drzistoł.
Gdo do małymu dziecku kwitu, tego obiesić za obie nogi.
Nimoc naroz wlezie do człowieka, a potym pómału wylazuje.
Brzitwe, babe i koło sie nie pojczuje.
Jo nima twój błozyn.
Miedza miedzóm, a kamiyń granicóm.
Połowiczno robota sie rada mści.
Kierómsi te koróne trzeba mieć dycki w rynkach.
Niechej se, to ci bydóm na głowie drzewo rómbać.
Rozumie - pódź ku mie.

zebrał LECH, 1955



Fot. FRANCISZEK BAŁON

SIOSTRZYCZKI

Było to niedaleko tej dziedziny, co ją to wolatym Wiedniem nazywają. Żyły tam dwie siostry, jedna wdowa a drugo staro dziywka. Cało dziedzina wiedziała, że te dwie już więcej jak dwacet roków są ze sobą we złości. Już tela jedna drugij nadokuczały, aż se przysiągły, że powiel dychać będą, jedna z drugą słowa nie przemówi.

Hana Ciyrpkula mieszkała ze swoją cerą Jewką na moczorkach, a ta drugo, Zuza Cupoczce, miała chałupe na podlesiu. Dzierżała se dwie kozy i capa, pore kur, kierysi zogón też miała i tak gospodarzyła. W zimie to przędła wełne ludziom, robiła kopyca i rękawice, ściskała grejcar do grejcarka a ludzie poszczyrkowali, że jest zimno od piniędzy. Ciyrpkula z cerą też robiły i gazdowały co mógły, ale jaksi nielza było przejść do grejcara. Jewka już zaczyna zdreć, tóż co jaki halyrz utarżyły, to szło na lónty do nij, aby była szumno i coby sie przeca jaki ten wydoj trefił. Dziywcze było jak szóstka, ale jaksi porwiska nimiała. Matka ji też co chwila przykazowała, aby sie hledziała komu spodobać: – Nadbedziesz, jak to plugastwo z podlesio a potem bedziesz siedziała ze smrodlawym capiskem jak ona i ani pies sie po cie nie spyto. Ale Jewka jako dziewczacko, przebiyrzyczno godnie była, lecy jaki to ji tam nie wónioł. Dziepro jak zaczynało być źle, to sie chytła jakigosi holca, niebardzo tam haraśnego i już go nie puściła, aby też jyny, broń Boże nie musiała gnoty na Czantoryj kulać.

Trzeja było o wiesielu rozmyślać, a tu w chałupie ani kąska hrubszego grejcara. Ciyrpkula całą noc nie spała i rozmyślała. Jewce bedzie trzeja hyrniejsze wiesieli odprawić, dyć też mo jyny te jedną, a potem, dyć by ją babska na językach rozniysły i poszklabki robiły. Ale skąd tu wziąść? Choćby bai Kwiatule sprzedała, to tego nie starczy, a iść pojczać, toby mioł świat co obszczekować i zgańby by zgorała. A tu rano, jak se dały do radzenio, to Jewka, o sprzedaniu krowy ani słyszeć nie chciała: Ludzie by prawili: dzisz, halyrzem nie smerdzą i krowe muszą sprzedować, bo inaczy musiałoby wiesielo nie być. Po drugich naradach stanęło na tem, że trzeja bedzie, wólki nie wólki, iść na podlesi pojczać. Staro sie długo opierała ale kiej inszego po-

gięcio nie było, zgodziła sie w końcu. Zaproszą ciotkę na wiesieli, to chyba zmięknie i pojczo, a może już tego nie bedzie chcieć ani naspadek.

Na śćmiywku Ciyrpkula sie wybrała na podlesi. Zuzka, jako dzieucha opaterno, jak sie jyny przyćmiło, już siyń zapiyrała, bo światu nima co wierzyć, mógłby sie jaki hycel dać zawrzyć, óna sama w chałupie, cóżby se z nim poczyna. Hanie serce biło, aż nią posturkowało, bo jak też Zuza mietłe weźnie na nią, abo ji do kudeł skoczy! Jak se troche ten strach wydyszała, zaburzyła na dwiyrze. Po chwili Zuza ze szczypóm wylazuje do siyni i pyto sie, - kto jest. Jak usłyszała głos Hany, to hnet szewiecko do nij wlazła, ale kiej pieknie dobry wieczór powiedziała, tóż ją wpuściła. Zmierzyły sie oczami, staro złość sie nie do tak odrazu wymazać, zaczyny sie do siebie uśmiechać, ale ten uśmieszek był taki, jakby zęby wraziły do płonki.

- Święci pańscy, na ciebie każ tu świnia przyniysła? na pódź dali, toć bych se była prędzej śmierci pozdała niż ciebie, siednij a zostow spani - przywitała Zuza siostrę.

- Dejcie siedzieć, aż możecie spać - odrzekła Hana starym zwyczajem, a wduchu se myślała: joby ci dała świnie, ty kwaku zimowy, dyby nie ty piniądze!

- Cóż tam u was nowego, zdrowiście? - pyto sie Zuza, a w tem se myśli, jako już to ta hyrno Hana przystarzała, zdrowio już tam wiela nie widać i śmierć już isto kose na nią brusi.

- Na tak po kapce - dyć mie już tak zabyło teschno po ciebie, Zuzanko, żech przyszła na ciebie zozdrzyć - i tu się Hana rozbeczała i zwuczy, aż hruza.

- Dzisz, potworo, jak ci dojyno - pomyślała Zuza, ale głośno prawiła: - Dyćżysz nie becz! Jak cie było teschno, toś już downo mógła przyjść. Cie tu żoden nie wyganio. A teraz już sie nie szklab, a wyłóż też co! - Zuzie zaś pichła do głowy myśl: beczy... po kigo djobła też przyszła? naostatku na piniądze! Oho, cało szuro!

- Na dyćżech jaksi nimiała odwogi, myślałach, że mosz jakąsi uraze do mnie, na dyć to aż grzych telki czasy sie gniywać jedna na drugą i tóż żeby temu koniec zrobić, tóżech piyrszo popuściła i przyszła.

- Toć, bo cie isto biyda przycisko - pomyślała Zuza, a głośno prawi: Słósznie, słósznie, jako młodszo, jużeś to downo zrobić miała.

- Dyby nie ty przegrzeszone piniądze, tobyś wiedziała, ty staro latarnio, jesi by tu moi nogi były - pomyślała Hana, ale słodko sie uśmiychnęła i prawi - Tóż widzisz, Zuzaneczko, joch piyrszo przyszła a teraz ty przyjdź, boch cie przyszła pytać na wiesieli. Jewka się wydowo i niechała cie pieknie pozdrowić

i też cie pyto, cobyś też isto na jeji wiesieli przyszła, bo prawi, że bez ciotuszki wiesieli się odbyć nimoże. Tóż też isto przyjdź, bedzie to od jutra za sztyry tydnie.

- Nale, nale, tóż wydowosz cere! Na dyć by sie tam wiesieli aji bezemnie odbyło. Ale kiedy se tego Jewka życzy, tóż przyjdę. Na kogóż też kansi biere, dyć wyłóż!

Tu musiała Hana od kwioteczka do kwioteczka opowiedzieć wszystko, a było tego coniemiara, kiej telki roki ze sobą nie mówiły i tóż se pomściły na tych trzepaczkach. A przy tem Zuzka odpytowała Hane w duchu, że ją skrzywdziła z tem podejrzenim o piniądzach. Ale Hanie już też było trzeja napomknóć o tych piniądzach, tóż, aby to mieć z głowy, prawi:

- Nale wiysz, Zuzaneczko złoto, cobych cie też jeszcze pytała, na nie pojczała byś mi też ze dwie stówki, bo jo też jakisi grejcar móm, ale mi tego bedzie chybiać. Joby ci to zaś wróciła, byś sie tam nie musiała boć!

- No wiycie, djobli zyjok, dy jo to przeca dobrze czuła, że ona na grejcary sie do mnie wybrała. O ja, hónem, doczkosz! - tak sie w duchu Zuza śmioła i z nejniewinniejszą miną w świecie powiado:

-Moja kurzyczko, ze serca bych ci pojczała, dybych miała, ale dyć jo też żyję wloł wyloł, hrubszego grejcara znikąd nimóm, a po tym capie i tych kurach tam wiela nie zdziedzim. Już sie tam bedziesz musieć kańsi indzi łobezdrzyć, bo jo, jako prawim, piniędzy nimóm.

Hana, jak to usłyszała, to aż rzecz w nij zaciyno, rzecy: ten zdechły cygón, bodejby cie ty piniądze zadusiły! Nejraczy by sie w ty pięty była zwiyzła po nij, ale zahamowała sie, boby Zuza hnet wiedziała, co ją tu do nij przygnało, a tego przeca nie do po sobie znać:

- Tóż nimosz, prawisz, a w dziedzinie tam rządzą, żeś je aż zimno od piniędzy. Joch to hnet prawiła, że nie bedziesz miała, bo z czego? A potym, choćbyś miała, tobyś sie boła, jako cie znóm, mieć ich na kupie, bo sie snanno ten czorny do chałupy skludzi i pozbyć sie go, to nima szpas.

- Czorny prawisz? dlo bości, dyćżysz nie rządz, do prowdy?

- Dzisz, djoble zowisny, jak sie ci duszyczka trzepie - triumfowała Hana w duchu. - Na toć prowda! Czy nie wiesz jako tata powiadowali, że u Kaszpera w tróhle na górze siedzi djoboł na piniądzach a całe życi mu rozkazowoł a potem i duszyczke jego do piekła zebroł?

- Już ani nie pamiętóm. Jo sie tam nie obowom, bo do mnie nimo poco przyjść. Ale się już godnie zećmiło na polu, pojcom ci latarnie, a przyjdź zaś kapke porządzić,.

Hana widziała, że sie ji Zuza chce pozbyć, porwała sie jak drak i gnała do

chałupy. Omało ji żółć nie pukła po chodniku, rzecy, tóż na wiesieli plugastwo przyjdzie, ale piniędzy nie pojczo, toby już jednego rozerwało. A wiedziała na isto, że piniądze mo, dyć przeca dostała największą tolkę, na lónty nie wydowo a tarży fórt.

Doma długo rozmyślały, jakby Zuzie wytańcować ty piniądze, aż przeca naszły sposób. Hana porwała jejich czornego kocura, wraziła do miecha i hajdy wieczór na podlesi. Opaternie ku chałupie sie skrodała, otewrzyła pocichutku chlyw, kaj były kozy, wysuła kocura i wnogi.

Zuza w powiarki strasznie wierzyła i strach na nią piznył, jak ji Hana o czornym spominała. Piniędzy było pół garca pod nolepą i przeca krwawo uzbieranych ryńszczoków nie do, ani Hanie, ani djobłowi, choćby spleśnieć miały. Wieczór szła kozom z polocim i doić i chce postawić latarnie na okienku. A tu cosi czornego wyblyszczo na nią oczyska, fuczy i jeży sie. Zuza skrzykła, hóp ku capowi, cap sie zląk, buch do latarnie, szkło sie zesuło, ćma! W okienku jak dwa wągle kocurzy oczy świeciły. Zuza wystraszono sie ani z miejsca giąć nimógła, a czorny siedzoł w okienku i dziwoł sie na nią. Pomaluśku, macający kole ściany, brzynk do pola, buch do siyni, zapore zaprzyła i dziepro wytchła. W izbie prędko nolepe deską zatkała i gnotkem przycisła, aby ji tam czorny nie wloz, Kozy nie podojone, chlyw nie zawrzyty, wszystko zostało tak. Zuza sie już do pola nie pokozała, a w nocy ani oka nie zmrużyła. Kocur uciyk, a Hana na drugi wieczór zaś śnim szmarowała ku podlesiu. Zakiel Zuza z wielkim strachem kozy doiła, puściła ji Hana kocura do izby. Kocur dziwoki w cudzej izbie lotoł jak strzelony, hópnył na półke, z półki na godziny i tam został siedzieć.

Zuza szczęśliwie odbyła, czorny sie nie pokozoł. Zabiyro się do lyganio, rozmyślo, że sie ji to isto wczora jyny cosi na oczy stawiało, aż sie naroz spomniała, że trzeja jeszcze godziny naciągnóć. Biere woge i szkyrk do góry. A tu cosi fuczy na nią. Podziwała sie do góry - i omało ji serce nie stanęło: czorny siedzi na godzinach i warczy na nią. Odchynóło ją aż ku łóżku. Wtym złość straszno do nij wlazła a równocześnie wielko łopowoga, jako u wszystkich sknyrów jak sie rozchodzi o jejich piniądze. Drap mietłe i ryp po godzinach. Cyferblot został goły, ale kocur siedzi furt i plugawie miałczy. Dziepro strach na Zuze piznył, rzła mietłą, buch do dwiyrzy i na przejmo do Hany. Cało zdyszano opowiado, że czorny sie do nij skludził. Hana z Jewką puczą sie od śmiechu ale nic nie dowają znać po sobie.

- Na bodejże, na każ sie tam wzión u ciebie?

- To sie pytej, inaczy ni, jyny przyszeł po piniądze, coch ich wczora naszła w losku pod bukem. Siedzi ci na godzinach czorny kocur i szkarednie wrzesz-

czy. Chciałach go mietłą przegnać, ale sie ani nie gión i tak strasznie wywalił na mnie oczyska żech wszystkim rypła i do ciebie uciykła.

- Tóżeś piniądze, prawisz, naszła? To bedą beztak jego, kiej ci przyszeł do chałupy i bedziesz mu ich musieć dać naspadek, bobyś spokoju nimiała. A moc ich też było?

- Na dość szwarnie, żeby to tak aspóń połówke mógł se człowiek zostawić, toby się i Jewce na wiesieli dostało. Poródź Hanko, co robić?

- Na jo na twoim miejscu, tobych bai połówke dała na to miejsce, kajś to naszła, a drugą bych podzierżała. Trzeba sprubować, może sie czert straci.

- Tak prawisz, Haniczko, no to bai spróbuję. Ale jak on też piniądze zbiere, a mnie bedzie furt prześladowoł, a z chałupy sie go nie pozbedem.

- Nic sie nie bój! Jo pujdę teraz z tobą, weznę święconej wody, wykropimy całą chałupe, to nie będzie mieć czorny więcej prawa pod dach ci przyjść.

- Ale jednak tych piniędzy szkoda dować czertu naspadek, na dybyś ich też tak ty wziyna. Hanko, zamiast ich dować pod buk, a kiedy ci tak piniędzy na wiesieli trzeba - co myślisz, nimiałabyś strachu?

- Wiysz, dziewucho, skyrs pore koron to nie stoi za to z djobłem się ogawić, milejszo mi je moja czysto dusza, niż potem kiejsi w piekle się smażyć.

- Ale dyć tego je szwarnie, babo, dobrze z jaki dwie stówki, jo też tego naspadek nie bedem chciała, jyny mi też pumóż siostrzyczko, a pójdź ze mną, a weź to kropidło, boch je na poły mortwo ze strachu.

- Jak prawisz, że tego jest godnie, to doprowdy szkoda plugastwu to wracać. Pódźmy, a zróbmy z tem porządek, aż mosz święty spokój.

I poszły. Kocura w chałupie już nie było. Zuza wsuła Hanie pół kapsy ryńszczoków, ale ta musiała zato cały tydzień u Zuzy nocować. Chałupe wykadziły, wykropiły, a czorny już więcej nie przyszeł. Hana aż odmłodła z radości, że tak Zuze wyfikała, ale Zuza zato cało zżółkła od żalu po grejcarach, bo na co tak szporowała i nic se nie życzyła? Miała kiejsi synka szykownego, ale że nimioł nic, tóż se go nie wziyna, a inkszi już po nią nie przyszeł. Jakoby se to była żyła szykownie śnim, a tu człowiek na stare roki żodnej pomocy, a tych pore grejcarów, co se odłożył na czorną godzine, to jeszcze czorny chce wydrzyć.

Wiesieli było jak rzemień. Zuza była za starościną, wszyscy się cieszyli, a nejlepi to sie już mioł kocur, bo choć w chlywku zawrzyty, to mioł tela przysmaczków, że mu aż po fusach kapało.

WILCZYCA
PRAWO LUDU 24.1.1935

JAK FRANCIK DEJRYBKA PRZISZOŁ O CHOLEWIOKI

Roztomili ludeczkowie. W okolicy szachty Dukla w Suchej sóm piekne stawy, w kierych je dość ryb, kiere idzie chycić na wyndke. A tóż, jak to bywo nikiedy przi chytaniu ryb pomiyndzy rybiorzami, stowajóm se rozmańte przigody. Zaś nikierzi ludzie, jak widzóm chłopa, jak siedzi nad wyndkami, mówióm: Widzicie cichego błozna, jak se gapi na wode. Zaś rybiorze powiadajóm tak: Lepszy być cichym błoznym na świyżym powietrzu niż chytrym mondralóm w zakurzónej gospodzie.

To też jedyn przechodzóncy koło rybiorza pyto se go: Bieróm, bieróm, panoczku? A ón na to: Bieróm. Wczora mi zebrali koło, a dzisio odłożóny kabot. Jak żech już spominoł, przi tym chytaniu se nikiedy zdarzajóm dziwne wiecy. A nima ich mało. To, co wóm opowiym, jest prowda. Co se roz zdarziło przi jednym z tych stawów pod Duklóm. To wóm było tak:

Starszy już hawiyrz, isty Francik Dejrybka, był ogrómnie zażartym rybiorzym. Dyć to sportowe rzemiosło robił od synka. Było to chłopisko wyższej postawy. Kościska na nim było znać, oczyska mioł wielki, taki wytrzeszczóne. Pod nosym mioł takigo fusa, jak kiejsik mioł pón cysorz Franc Jozef. Na głowie kaszkiet z wielkim szyltym, aby mu na nos nie padało. Galaty tzw. cajgocze (dzisio ryfle). Chodził we skórzannych cholewiokach, takich jak downi nosili policajci. Ku wodzie jeździł na starym kole. Do pyndzyje mu już moc nie chybiało. Do roboty chodzowoł wiynkszościóm na noczne szychty, co mu pasowało, aby móg być rano na rybach. Przi wodzie dycki siadowoł na swojim oblubiónym fleku. Ciynżko znoszoł, jak go kiery podsiednył.

Jednego istego ranka Francik Dejrybka przijechoł jak zwykle na swojim kole ku wodzie. Skómpletowoł swoji rybiorski insztrumynta. Na hoczki nałożył to swoji tajne, na co mu ryby nejlepszy brały. Naciepoł należycie do wody. Patyki położył na widliczki (z grubszego drótu zrobione widełki, które zapichnie się do ziemi). Na silony powiesił miyn-

dzy dwa oczka na patyku policajty. Ni taki, co chodzóm po mieście, ale taki rozmańte kółka albo szpónciki. Silon se pociónghie troche w dół i tak se powiesi tego tzw. policajta. Jak ryba zabiere, silon se napnie, a policajt se dźwignie pod prynt. Opisujym to tymu, bo mocka ludzi ni mo pojyncia o chytaniu ryb, to już nie mówiym, jak rybiorze gotujóm dóma ty rozmańte szpecyality, ciasta, nudle atd. Ni mocie pojyncio, co taki rybiorz wszystko musi znać i umieć, niż se mu udo rybe chycić. Roz wóm też jedyn rybiorz delszóm dobe ni a ni rybe przyniyś do dómu. Żóna, jak se gotowoł iść na ryby, mu powiado: Karlik, jak dzisio przidziesz bez ryby, tak ci połómiym ty twoji fidlatka, a bydzie kóniec z chytanim ryb! Ón na to: Nic se nie bój, dzisio bydzie kaper! Jak tak szoł na ryby, szoł kole sklepu z rybami. Tak tam wloz i kupił żywego kapra. Doł go do sićki na ryby. Posiedzioł w gospodzie na piwie, kapra mioł w pojczanym kiblu z wodóm od gospodzki. Wypił pore piw i szoł do chałupy. Hnet we dwiyrzach baba se go pyto: Mosz tego kapra? Móm, je tam w sitce. Óna wycióngo kapra, a na ocasie była przilepióno kartka, a na ni napisane: 18,90. Co to znaczy ta kartka z tym 18,90, pyto se Karlika. A ón spokojnie na to: Wiysz, babeczko, to je czas, o kierej żech go chycił, bo to se dzisio musi pisać do rybiorskich papiórów. Troche żech odskoczył od tego stawu, kaj Francik chytoł.

Jak mioł wszystko Francik narychtowane, tak se zezuł cholewioki, żeby se też troche wyluftowały, to robił każdy roz, co był przi wodzie. Siednył se na własnorynchie wyrobióny drajfus (trzynożyczkowy stołek) i czakoł, aż ryba zabiere. Wiater mu fukoł spoza pleców, na kiere świyciło ciepłe słónko. Jak na ujme ryby dzisio żodnymu nie brały. Jakby se domówiły. A tak było słychać opowiadani rybiorzi kole wody. W tyn poranek chytoł wedle Francika Janek Murga, przeokropny figlorz, kiery jak jyny móg kómu co wybaranić, tak był na swojim kóniu. Janek se podziwoł na Francika, jak tak fajnie siedzi na stołeczku, a spokojnie se chrapie, a fusisko jyny podskakuje. Tóż Janek nic nie czakoł. Wzión jedyn Francików prynt. Po cichutku stoczył silon. Z hoczka ściepoł nałożónóm gliste. Na hoczek zapichnył jedyn z francikowych cholewioków, do niego doł kamiyń, żeby go zaciynżył tak, aby szykownie pływoł po wodzie. Wiater go odfukoł na postrzodek stawu. Potym Janek zaciónghył silon, a cholewiok zaczón nabiyrać wode i szoł ku dnu. Potym wyndke doł na swoji miejsce, a policajta powiesił pod pa-

tyk. O to ostatni se postarali drudzy. Zaczli wołać na Francika: Francek! Stowej, nie chrapej, rybe mosz na patyku! Dejrybka wyskoczył, łap prynt do rynki, fusisko se mu z radości otoczyło do wyrchu. Zasieknył patykym jak należy i uczuł dość silny opór nieznajomej mu dotychczas ryby. Wyndka se ogła, Francik pomału opaternie nawijoł silon na nawijok, aby rybe nie spuścił. Tańcowoł po brzegu chudymi bosymi nogami jak bocian w moczale. Ciónęnie, powoluje, dowo do tego wszystki swój um. Cholewiok we wodzie robił dziwy. Toczył se na wszystki strony jak prowdziwo ryba. Jak prziciónęnył ku brzegu tóm przedziwnóm rybe, był cały zdziwiony. Na hoczku widzi wisieć cholewiok. Nic nie czakoł, odhoczył go i buchnył z nim do prostrzodka stawu. A to wóm była przi wodzie gotowo estrada. Wszyscy se ze śmiychu kulali i śmioli se jak z cyrkusowego klauna. A to wóm jeszcze nie był kóniec tej sumeryje. Naroz Dejrybka stwierdził, że to był jego cholewiok, co był na hoczku, co chynył go do wody. Łap drugi cholewiok cały rozzłoszczony i prask, a już lecioł do stawu drugi cholewiok. Swoji rybiorski norychta wartko pozbiyroł, jak głodno kura rozsypanóm przynice. Siednył boso na koło i wartko jechoł od stawu ku chałupie. Dłógi czas se Dejrybka nie pokozoł przi wodzie. Ciynżko przeżywoł tyn figel, co mu Janek wywiód. Jak prziszoł ku wodzie, tak mu kamraci dali pół litra dobrej gruszkowice na udobrzyni.

I widzicie, moji roztomili ludeczkowie, tak Francik Dejrybka prziszoł o swoji policajtski cholewioki. Powtarzóm, to wóm je prowda!

DAR. JOCHEL



CESTA KU OŁTORZU

Trzi roki był Kotula wdowcym sóm z osmiletnią Milką, ale marne, na grącie chybiało gospodynie. Moc sie mu uż też do tej żyniaczki nie chciało, bo i sześćdziesiątka sie bliżyła, ale naszła sie staro dziywka, co sztyrycet roków miała, słożyła we dworze i posłała swoją krześniaczke, aż sie spyto Kotule, czy by ją chcioł za gospodyń. Słowo dało słowo i Kotula sie ożynił, a Milka sie cieszyła, że bydzie mieć mame. W dniu, kiedy macocha przyszła do ich dómu, Milka przywitała ją mamulką i jakosi tak nieśmiało niezgrabnie, ale prawdziwie a z radością w duszy chciała uściskać i przitulić sie jako do prawdziwej mamy, ale ta zrobiła sie sztywno, jeji ręce chyciły Milke za ramiona i odsunóła ją od siebie ze słowami: „Co nima spod serca, nie idzie ku sercu". Ty słowa Milka do kónca żywota fort pamiętała, a dycki ji było markotno. Po tych słowach też jakby wydorośłała i o życiu zaczyna poważnie rozmyślać, a do osoby, co miała być ji matką, czuła w skrytu dusze uraze, wstręt i nienawiść, ale nigdy nie dała tego znać ani ojcu, ani macosze, była dycki posłuszną, pracowitą Milką, a zwracała sie do obóch mamulko, tatulku. Nigdy więcej sie do nikogo z nich nie przituliła, jej dusza była głęboko zraniona, a ojcu miała za złe to, że milczoł i słowa z gęby nie wypuścił na jeją obróne, dyć w tyn czas jeszcze była dzieckym, miała jedynost roków.

Tego wieczoru ledwo co zlyźli z pola i zasiedli do wieczerze, a Kotulka naloła na mise bryje ze zimniokami, co zbyła od obiadu, pies na polu zaharwosił, to już we dwiyrzach z czopką w ręce stoł sąsiod Jyndrys. „Na cóż cie żynie tak wieczór", spytoł sie Kotula. „Nale kopię też zimioki tóż nie móm czasu przez dziyń, tak se prawim, wieczorym skoczym załatwić tóm sprawe. Abych wóm prowde rzyk, bedym sie żynić, a bierym se swobodną dziywke, a ona chocioż mo trzicet roków, chce mieć na wiesielu drużbów, ona mo brata a jo przyszeł popytać was jako sąsiadów, abyście byli tak dobrzi, a puścili waszą Milke za drużke". „No, jo tam nic przeciw nimom, a co ty, babo, prawisz na to", prawił Kotula. Kotulka jyny cosi pod nosym zabączała, tak jakoby rzekła ehm nó. „Tak mogę spolygać, że drużka bydzie", jeszcze roz sie uiścił Jyndrys. „Je to iste", prawił Kotula, zaś Kotulka schyliła sie nad miską i zaczyna wartko chlipać bryje. Jyndrys se ani nie siednół, podziękowoł, a gibko

spichoł ku chałupie. Onymu sie w żywocie moc nie darziło, był uż dwa razy żónaty. Po piyrszyj babie mu zustały sztyry dziecka, a po tej drugi dwa. Ta piyrwszo umrzyła na łązok, a ta drugo przi porodzie. Nejstarszo córka Helynka mo dwanost roków, to ji ni może całą gospodarke i dziecka poniechać. Chybio mu gospodynie i matki dlo dziecek, bo on musi do hawiyrnie, ani na kole nie umi jeździć, a pieszo z Grodziszcza na Gabryele do Karwine je daleko, tak tam je cały tydziyń na kasarni. Nima inszy rady, musi sie żynić.

Jyndrys poszeł... U Kotulów jakosi cicho sie zrobiło, jyny chlipani bryje było słyszeć. Milka rozmowe słyszała, wierziła słowóm ojca, co powiedzioł, tak bydzie, ale milczyni macochy wzbudzało niepewność.

Mijały dnie, bliżył sie czas wiesielo, już za sztyrnost dni Milka miała być drużką, a tu żodyn ni słowym nie spómnioł, że trzeba suknie szyć albo i strzewiki kupić. Odwożyła sie spytać macochy: „Mamulko, gdo mi uszyje suknie, a strzewiki by sie też przidały". „Co sie starosz! Suknia je na powale, co jo sie w ni tatulka brała, bydzie ci dobro, a strzewiki na co? Dyć mosz bótki, a jeśli są wyszmatłane, to suknia je dłógo aż po ziym, a nie myśli se, że cie drużba hned za żóne bedzie chcioł". Cały czas czuła Milka, że cosi niedobrego wisi w powietrzu, ale że to tak skónczy, nie przipuszczała. Milczała. Poszła do chlywa, siedła na żłobie między krowy i cicho płakała.

Przyszła sobota, dziyń drużbowanio, macocha patnost roków starą suknie z powału zniósła, niemodno, siwej barwy, u karku z upnótym stojatym lymcym, poszyto na przodku zamkami i korąkami, zaś u dołu naszyto borta z okrągłymi kućkami, a botki wyszmatłane z wyższymi cholewkami, sznórowane, a to już strzewiki były w modzie. Milka siedła na ławie, a łzy se ji cisły do oczy. Ojciec Kotula bez słowa siedzioł za stołym i żol mu było cery, ale słowym sie nie odezwoł, bo nie chcioł krawalu.

„Oblykej ty lónty", wrzeszczała Kotulka, „bo kolasa z drużbą już wjechała do placu!" Posłechła, ale łez zadzierżeć sie nie dało. Do kolasy wsiedła, w kątku sie skuliła, a drużba widzioł łzy w oczach, ze swoji kapsy wyciągnół sznuptychle, podoł Milce ze słowami: „Nie płacz, nie płacz, wszystko bydzie dobre".

U niewiasty, jak to na wiesielu bywo, dycki pełno ludzi, pieknie Milke drużką prziwitali, żodyn sie obleczynio nie wszymoł ani sie też żodyn z ni nie wyśmiywoł. Czuła sie między gościami dobrze i na swój kryzys wartko zapómniała. Drużba gościom kwit i piwo nalywol, a Milce wspólniczką była Karolowa ciotka, bo tak drużbowi było na miano. Jak sie zbliżył wieczór, ozwała sie ciotka: „wiesieli je dwa dni, tak dzisio do

dómu nie pujdziesz, a bedymy społym spać, bo jo też tu je sama". Strużok na łóżku w izbeczce był nowóm słomóm naćpany, wónioł sianym tak, że obie hned spały. W nocy Milka na jedno oko wyspano poznała, że tyn, co jeji ramie pierziną przikrywo, a cicho powolutku sie sunie do łóżka, ni ma ciotka, ale leżała cicho i prubowała zasnóc.

Rano słońce już świyciło, a na wyspaną Milke sie dziwały piwne oczy, a szczyrziły sie dwa rzędy biołych zębów, wedle ni zamiast ciotki drużba leżoł.

Ci dwa sie do siebie tak zamiłowali, że Milka całe dwa roki, co Kareł był przi wojsku, na niego czakała. Też ojciec Kotula mioł Karła rod i w duszy sie życzył, aby był jego ziyńciym, jyny Kotulka zadądrano chodziła, bo wiedziała, jak Milka z dómu odęndzie, to cudzą osobe bedzie trzeba do pómocy pozwać i płacić, a Milke łacnóm robotnice miała, a nigdy ją jako córke nie poważowała, złorzeczyła sama sobie, że przeklynty je tyn dziyń, jak pozwoliła być za drużke, niechżeby zowitką zustała, to by ją z dzieckym można żodyn nie chcioł, taki myśli w sobie całe dwa roki nosiła. Tak sie nie stało, dwa roki przeszły, Kareł z wojska przyszeł i, jak troche piniędzy zarobił, mówił o żyniaczce. Ojciec że umrzył, matka schorowano, on sie chce żynić i Milke wziąść do swoji chałupy.

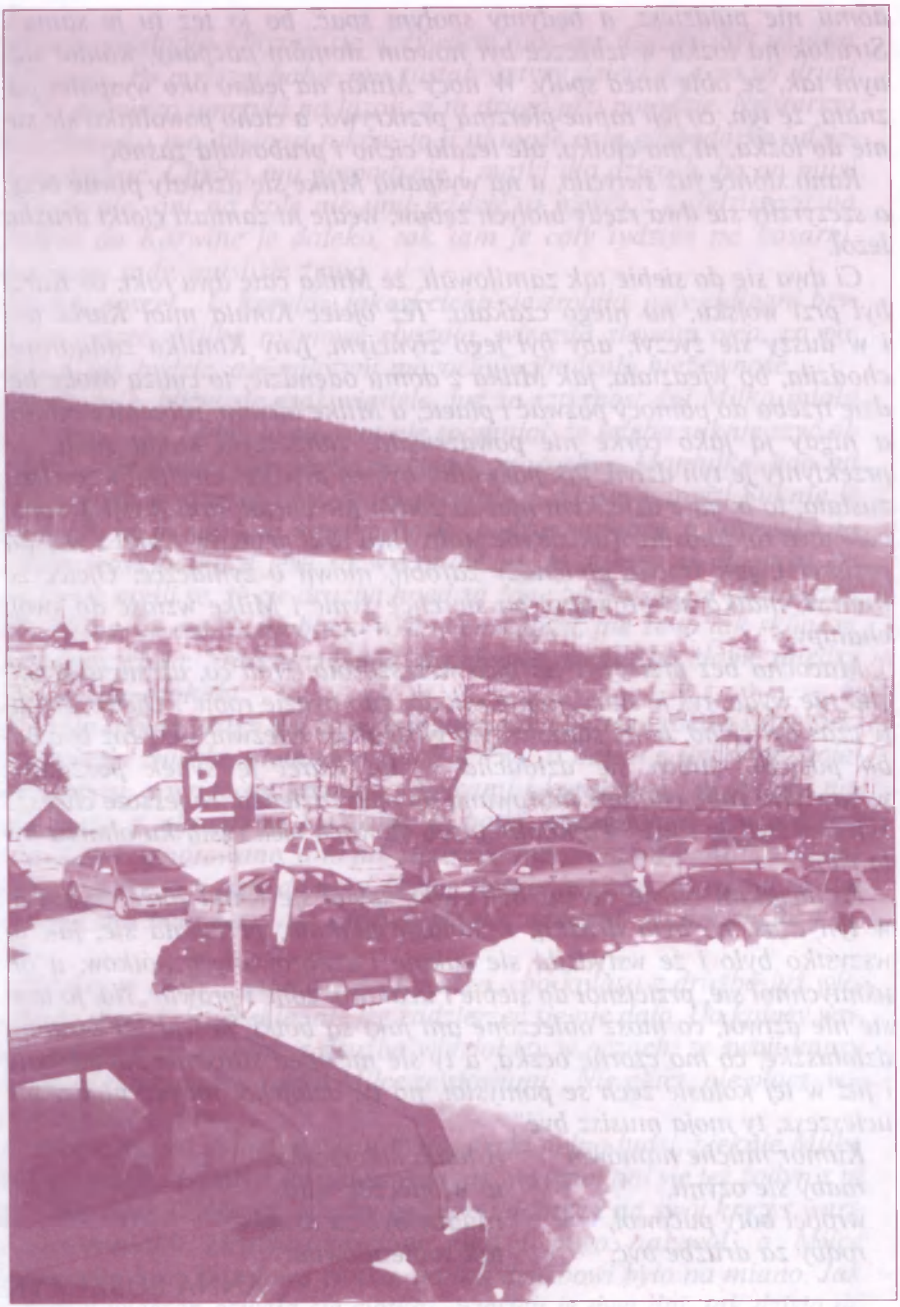
Macocha bez prziczyny na ojca wrzeszczała: „rób co, aż sie ta dziołcha nie wydo, tyś je stary, jo nie młodo, gdo bydzie robić". Ojciec, co cały czas był cicho, teraz stanowczym głosym sie odezwoł: „Uż roz być babo pocichu, niech sie dzioucha wydo, Kareł je synek porządny, w hawiyrni robi, chałupe murowaną po ojcu zdziedził, co jeszcze chcesz? Wiesieli bydzie i już!" Po konkretnych słowach ojca cesta ku ołtorzu była isto.

Po niejakim czasie, co już byli swoji, spytoł sie Kareł żóny, czymu to w tyn czas, co była drużką, w kolasie płakała, przizнała sie, jak to wszystko było i że wstydziła sie suknie i sznórowanych bótków, a ón uśmiychnół sie, przicisnół do siebie i ucałowoł żóne i prawił: „Na, jo tam sie nie dziwoł, co mosz obleczóne ani jaki są bótki, jo widzioł zgrabną dziołuszke, co mo czorne oczka, a ty sie mi hned strasznie zapodobały i już w tej kolasie żech se pomyśloł, no ty, dziołcho, mi już nigdzi nie ucieszesz, ty moja musisz być".

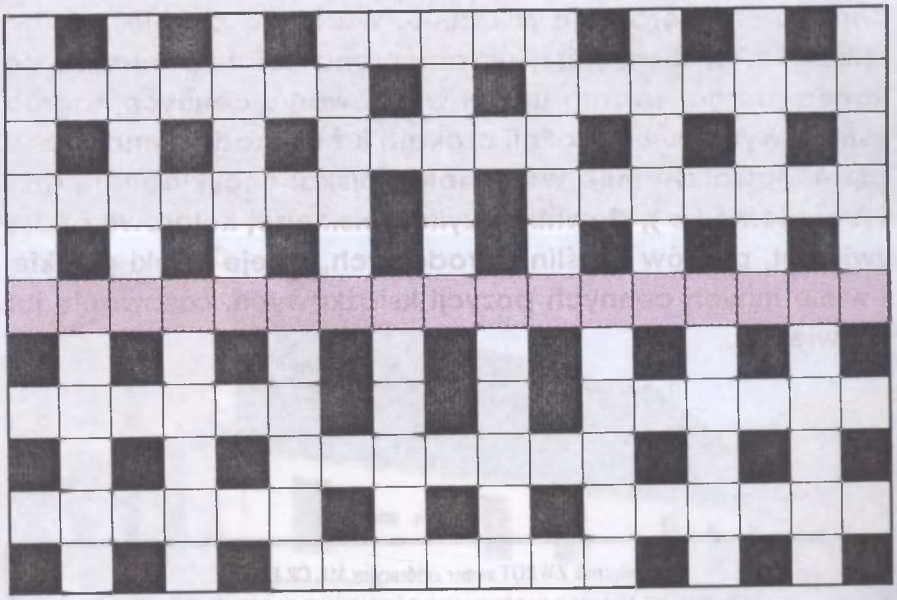
Kumor muche namówoł,
rodby sie ożynił,
wróbel bóty pucowoł,
rodby za drużbe być.

A mała sikoreczka,
ta wióneczek wiła,
radaby być za drużke,
tak sobie mówiła.

ANNA BOSZCZYK



Fot. FRANCISZEK BAŁON



SYNTEZA KRZYŻÓWKI

Logika to - ... *(rozwiązanie dodatkowe)*
Novalis - poeta niemiecki (1772-1801)
(właściwie Friedrich Leopold van Hardenberg)

Poniżej podajemy zestaw odpowiednio dobranych wyrazów, z których można ułożyć krzyżówkę z rozwiązaniem dodatkowym.

Wyrazy 5-literowe: BRZEG, TANGO.

Wyrazy 6-literowe: ABSCES, BATORY, ETRUSK, GROZNY, INKRET, KASZUB, KIELCE, KWARTA, MAŃKUT, MOWGLI, PARTIA, PSTRĄG, ROLNIK, SERIAL, SZOGUN, ŚLIWKA, ŚLUZAK, TRAPEZ, UDRĘKA, WIOSNA, ZENDRA.

Wyrazy 7-literowe: PRZEKAZ, RISOTTO, RZESZÓW, SPIRALA, ZABYTEK, ZWINGER.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe.

Rozwiązania prosimy przesyłać do końca stycznia.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru listopadowego: **ROZUM JEST WZROKIEM DUSZY**

Nagrody książkowe wylosowali: **Wanda Kalinowa** - Sucha Górna
Andrzej Kondziołka - Trzyniec

Drodzy Państwo,

wraz z tym numerem Zwrotu otrzymaliście czeki na opłacenie prenumeraty na rok 2005. Warto się pospieszyć, bo tylko Ci z Państwa, którzy opłacą prenumeratę w terminie do końca marca, wezmą udział w losowaniu cennych nagród książkowych. A w redakcji czekają już nagrody ufundowane przez Stowarzyszenie Wspólnota Polska: encyklopedie (trzy i jednotomowe), słowniki języka polskiego, kolorowe atlasy zwierząt, ptaków i roślin ogrodowych, dzieje sztuki polskiej i wiele innych cennych pozycji książkowych. Losowanie już w kwietniu.

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Strzelnicza 28, P.O.Box 97, 737 01 CZESKI CIESZYN,
tel. i fax: 558 712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI,
Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK,
Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – Infiniti art, s. r. o., Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 240 Kč, z wysyłką pocztową 324 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02
z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE DOMY PZKO



DOM PZKO
w Jabłonkowie

Książnica Cieszyńska
CZ III 6

Odes.: Redakce ZWROT
Střelniční 28
737 01 Český Těšín

O.P.
P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE SZKOŁY

NAWSIE

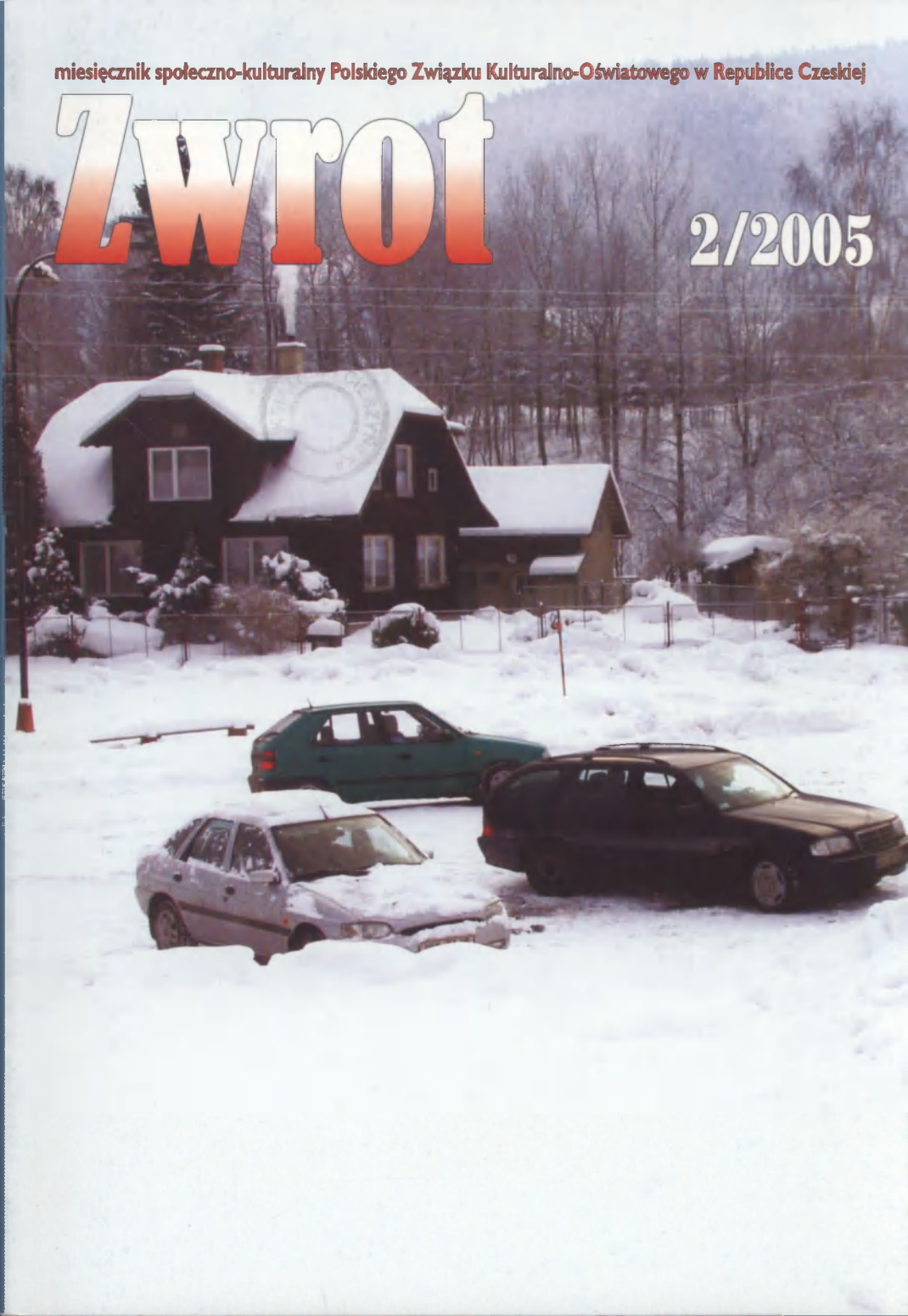


ISSN 0139-6277

miesięcznik społeczno-kulturalny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej

Zwrot

2/2005



TACY BYLIŚMY



Szkółka Niedzielna w Nydku 22. 4. 1935
Kościoła Ewangelickiego a.w. w Bystrzycy (klasa polska)

I rząd siedzący na ziemi (od lewej):
1. Wojnar Adolf, 2. Pilch, 3. Turoń, 4. Śliż Paweł,

II rząd (siedzący):
5. Wojnarówna Emilia, 6. Mitrężanka Anna, 7. Gajdzicówna Ewa, 8. Młynkówna Anna, 9. Heczkówna Ewa, 10. ks. Czyż Jerzy, 11. Boszczykówna Wanda, 12. Szturcówna Helena, 13. Hudzieczkówna, 14. Raszkówna Wanda, 15. Raszkówna Aniela,

III rząd od dołu (stojący):
16. Noga Jan, 17. Gajdzicówna Helena, 18. Szymeczkówna, 19. Wojnarówna, 20. Szymeczkówna Helena, 21. Raszkówna Emilia, 22. Glajcarówna, 23. Hudzieczek Jan,

IV rząd stojący (u góry):
24. Morcinek, 25. Hudzieczek Rudolf, 26. Łamacz, 27. Szymeczek Józef, 28. Rucki Janusz, 29. Kantor Józef, 30. Mitręga Karol, 31. Konderla Paweł, 32. Szlauer Józef, 33. Kostka Franciszek, 34. Czyż Karol.

Zdjęcie udostępnił redakcji p. Jan Noga z Nydku.

JANUSZ GAUDYN

ŚLĄSKIE DZIEWCZYNY

Są u nas na Śląsku
dziewczyny pięknookie
i pięknowłose.
Są u nas na Śląsku dziewczyny
jak maliny słodkie
czarnookie i wiotkie.

Są u nas dziewczyny jak łanie,
zaśnione i trzpiotki.

Są na Śląsku dziewczyny,
że drugich takich szukać ze świecą.
Są u nas dziewczyny,
co jak gwiazdy
na szczęście nam świecą.

Zwrot

Rok LVI, Nr 663
Cena numeru 20,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 27,00 Kč

2/2005

KSIĄŻNICA CIESZYŃSKA
cz III 6

W NUMERZE

3	Zespół Śpiewaczo-Muzyczny Przyjaźń	CZESŁAWA RUDNIK
8	Wspomnienia z lat drugiej wojny światowej (2)	KAROL BARTULEC
17	Niewielu wróciło	FRANCISZEK SZOPA
25	Z dorobku Leona Derlicha: Dziennik czasu wojny	
29	Działalność SHR w 2004 roku i zamierzenia na rok 2005	STANISŁAW ZAHRADNIK
31	O kresowym stole – czyli białostockie spotkanie z recytacją po raz trzynasty	WŁADYSŁAW KUBIEŃ
35	Kronika: Koncert Świąteczny, Bal Gorolski, Babski Bal, Nowe władze PTM, Teatr Lalek Bajka gra także z Wielką Orkiestrą Świątecznej Pomocy, Olza na zamku w Pszczynie	
46	Poezja Wiesława Janusza Mikulskiego	
49	Na naszej scenie	CZESŁAWA RUDNIK
52	Bożena Boczarska: Anna już tu nie mieszka (fragment)	
55	Na półkach księgarskich: Z naszych wydawnictw w roku 2004	KAZIMIERZ JAWORSKI
59	Bibliografia Stanisława Zahradnika	
60	Przemyślenia nad wynikami Konkursu Poetyckiego o Skrzydło Ikara	LIBOR MARTINEK
62	Młode pióro: Katarzyna Krzyżok	
64	Echo wydarzeń muzycznych	JÓZEF WIERZGOŃ
66	Trybuna czytelników	
69	„Plosoczek" ze Skoczowa	KAROL KAJZER
71	Sennik dla zakochanych	
73	Opowiadania na szarą godzinę	DAR. JOCHEL

Numer zamknięto 18. 1. 2005

ZESPÓŁ ŚPIEWACZO-MUZYCZNY PRZYJAŹŃ

Wśród stowarzyszeń, które zgłosiły swój akces do Kongresu Polaków w RC, znajduje się działający od czterdziestu siedmiu lat w Karwinie Zespół Śpiewaczo-Muzyczny Przyjaźń. Jego założycielem, dyrygentem i kierownikiem artystycznym jest dr Józef Wierzgoń.

Jakie były początki zespołu?

W Karwinie Frysztacie pracował chór mieszany Olza, który był kontynuatorem przedwojennej działalności dwóch chórów mieszanych założonych w Karwinie, w roku 1919 Chóru Młodzieży Katolickiej przy I Kole Macierzy Szkolnej, w roku 1928 chóru przy II Kole Macierzy Szkolnej, których pracę przerwała druga wojna światowa. Po wojnie najpierw reaktywowany został chór męski Hejnał, a w 1947 roku po utworzeniu Miejscowego Koła PZKO we Frysztacie chór mieszany, który przyjął nazwę Olza. Długoletnim dyrygentem tak chóru mieszanego jak męskiego był dyrektor PSP Franciszek Chowaniec. Ja sam byłem śpiewakiem chórów Hejnał i Olza. Kiedy wróciłem po studiach w 1957 roku, zwrócił się do mnie pan dyrektor Chowaniec, czy nie chciałbym poprowadzić chóru mieszanego. Podjąłem się tego zadania. Moim marzeniem była praca zespołu chóralnego z akompaniamentem orkiestry, inspiracją dla mnie był ZPiT Górnik, który w początkach swojej działalności miał aż dziewięćdziesięcioosobowy chór mieszany i dużą orkiestrę, oraz zespołów Śląsk i Mazowsze. Ale w Olzie było za mało członków, liczyła niespełna trzydzieści osób. Podjąłem się także prowadzenia darkowskiej Liry, za namową prezesa chóru Wilhelma Sembola; Lira liczyła wtedy ponad siedemdziesiąt członków, a średnia wieku wynosiła trzydzieści lat. Darkowska Lira, zespół bardzo ambitny, nie marzyła o połączeniu z frysztacką Olzą. I wtedy tak się stało, że w 1958 roku opuścił nowo utworzony chór mieszany MK PZKO w Karwinie Nowym Mieście Karol Gąsior i ja rozpocząłem pracę również z tym chórem. Po roku doszło do połączenia tego chóru z Olzą i pierwszego koncertu, bo miały wspólny repertuar, chór przybrał nazwę Przyjaźń i w takim samym mniej więcej składzie pracuje do dnia dzisiejszego. Wtedy był to właściwie chór młodzieżowy, gdyż średnia wieku wahała się w granicach dwudziestu siedmiu, dwudziestu ośmiu lat.

Zespół pracuje do dnia dzisiejszego, ale dziś granica wiekowa wynosi sześćdziesiąt lat. Ze względu na wzrastającą średnią wieku chór nie ma zbytniej perspektywy długoletniego kontynuowania dalszej pracy. Chyba, że przyszliby nowi członkowie, ale to jest niestety bardzo mało prawdopodobne.

Dziś Przyjaźń jest niezależną organizacją z własnym statutem?

W latach 1958-1966 zespół należał pod Miejscowe Koła PZKO w Karwinie Frysztacie i Nowym Mieście. Potem przeszedł pod egidę klubu zakładowego Kopalni Armii Czechosłowackiej, wielu członków zespołu pracowało wtedy w tej kopalni. W roku 1993, kiedy kopalnia oświadczyła, że nie może już dalej zespołu utrzymywać, opracowaliśmy nasz statut, został on zatwierdzony przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i staliśmy się samodzielnym zespołem, tzw. stowarzyszeniem obywatelskim. Naszym głównym celem statutowym jest propagowanie pieśni chóralnej. Został utworzony zarząd Przyjaźni, wcześniej długoletnim (17 lat) prezesem zespołu był Władysław Ćmiel, od 1991 roku funkcję tę pełni Tadeusz Bizoń, sześcioosobowy zarząd schodzi się według potrzeby, kiedy trzeba uzgodnić jakieś sprawy artystyczne i organizacyjne. Zespół otrzymuje skromne dotacje z Funduszu Kultury miasta Karwiny, ale na razie jest to ilość wystarczająca, gdyż i za występy dostajemy jakieś honorarium. Korzystamy też z pomocy finansowej Stowarzyszenia Wspólnota Polska w Warszawie. Tak więc, o ile chodzi o sprawy finansowe, to nie odgrywają one takiej roli, żeby zespół nie mógł istnieć.

Przyjaźń nie jest jedynym polskim chórem w Karwinie?

Karwina jest jeszcze do tej pory najbardziej rozśpiewanym miastem na Zaolziu. Przy Kole PZKO we Frysztacie istnieją dwa chóry: chór żeński Kalina, który w roku 2006 będzie obchodził dwudziestopięciolecie, oraz chór męski Hejnał-Echo, który powstał w 1964 roku z połączenia frysztackiego Hejnału, założonego w roku 1935, z karwińskim Echem, założonym w roku 1920, w roku bieżącym będzie więc obchodzić osiemdziesięciopięciolecie i siedemdziesięciolecie, jubileusz planowany jest jesienią. Oprócz tych chórów nadal pracuje darkowska Lira, chór mieszany, dziś ponad trzydziestoosobowy, oraz w Raju chór mieszany Dźwięk, kontynuator tradycji śpiewaczej chóru w starej Karwinie na Granicach, który ma pewne perspektywy rozwoju, ponieważ członkowie chóru Dźwięczek, w którym angażują się młodzi ludzie, mogą zasilić w najbliższej przyszłości szeregi dojrzałego Dźwięku. Niektórzy chórzyści śpiewają w kilku chórach, np. w chórze Hejnał-Echo, w Lirze, w Przyjaźni, a do tego jeszcze w czesko-polskim chórze kościelnym, który istnieje przy kościele parafialnym Podwyż-

szenia Krzyża Świętego, ale, jak widać, dają radę. Niestety są to już raczej ludzie w podeszłym wieku i nie wiadomo, jak długo zdrowie pozwoli im na kontynuowanie tej pracy.

Ilu członków liczy Przyjaźń, czy wszyscy mieszkają w Karwinie, kto jest solistą Przyjaźni?

W tej chwili chór liczy pięćdziesięciu śpiewaków, chociaż w najlepszym okresie, mniej więcej do dwudziestopięciolecia zespołu, było to stu czterech śpiewaków. Prawie wszyscy członkowie mieszkają w Karwinie, jedynie pięć osób, jednocześnie członków chóru mieszanego Sucha, przyjeżdża od kilku lat na próby z Suchej Górnej. Próby mamy raz w tygodniu. W początkach działalności solistką karwińskiej Przyjaźni była Matylda Szebesta, nauczycielka PSP w Piotrowicach. Potem solistą został Edward Salamon, który śpiewał także w chórze Hejnał-Echo, i Erwin Masłowski z Piotrowic. W 1973 roku przyszła do nas jako solistka i po raz pierwszy zaśpiewała „Ondraszka" Adelajda Pasz, która potem była długoletnią członkinią ZPiT Górnik, a po rozsypce Górnika przeszła definitywnie do Przyjaźni i pozostała tam do dnia dzisiejszego. Od kilku lat śpiewa z nami Grażyna Wilk, absolwentka Uniwersytetu Ostrawskiego, która w tej chwili przeprowadziła się do Pragi, ale utrzymuje z nami kontakt. Członkiem chóru mieszanego Przełęcz w Mostach koło Jabłonkowa jest Władysław Czepiec, który występuje jako solista także w Polskim Zespole Śpiewaczym Hutnik w Trzyńcu i w naszej Przyjaźni. Tak więc mamy solistów na bardzo dobrym poziomie.

Śpiewacy chóru są najczęściej amatorami. Jaki wpływ ma to na dobór repertuaru?

Przyjaźń różni się od innych zespołów tym, że śpiewa z orkiestrą. W związku z tym jesteśmy może w wygodniejszej sytuacji, bo śpiewamy repertuar lepiej wpadający w ucho słuchaczy. Mamy pieśni sakralne z orkiestrą, mamy repertuar klasyczny, ale także obejmujący pieśni operowe, operetkowe, musicalowe. To wszystko może spowodowało, że Przyjaźń nigdy nie miała problemu ze słuchaczami. Sale koncertowe zawsze, nie tylko na jubileusze, są pełne. Potwierdził to może i niedawny koncert w karwińskim kościele parafialnym. Wprowadziliśmy też zasadę śpiewania bez nut.

Co uważa Pan za największe osiągnięcia Przyjaźni?

Raczej nie zgłaszaliśmy się do konkursów, ponieważ tam najczęściej dopuszczane są wyłącznie chóry śpiewające a cappella. W roku 1966 braliśmy udział w Konkursie Twórczości Młodzieży, śpiewając nawet z orkiestrą, i największym naszym osiągnięciem było drugie miejsce w eliminacjach wojewódzkich w Ołomuńcu. A o ile chodzi o wy-

stępy, to śpiewaliśmy nie tylko na Zaolziu, ale także dosyć często w Polsce. Za największy sukces uważamy udział karwińskiej Przyjaźni w 1988 roku w VII Światowym Festiwalu Chórów Polonijnych w Koszalinie. Część orkiestry nie mogła pojechać i wtedy nawiązaliśmy kontakt z Filharmonią Koszalińską, i ich muzycy zagrali w naszej orkiestrze. Bliższe kontakty nawiązaliśmy też z zespołem Wilija z Wilna. W roku 1992 występowaliśmy w Krakowie na Zjeździe Polonii i Polaków z Zagranicy. Koncertowaliśmy w województwie bydgoskim. Obecnie utrzymujemy kontakty z bardzo dobrym śląskim chórem górniczym Polonia-Harmonia z Piekar Śląskich, gdzie gościliśmy po raz pierwszy w 1996 roku, a w roku ubiegłym zaprosiliśmy chór do nas, z okazji wejścia do Unii Europejskiej zaśpiewaliśmy wspólnie trzy pieśni. Ponadto niedawno trzykrotnie śpiewaliśmy w Bielsku, koncerty w Towarzystwie Pomocy im. św. Brata Alberta miały charakter charytatywny. Dwukrotnie braliśmy udział w Trojoku Śląskim, w roku 1997 w Katowicach i w roku 2002 w Ostrawie.

W okresie, kiedy powstawała Przyjaźń, śpiewanie w chórze było nie tylko rozwijaniem własnych zainteresowań muzyką i pieśnią, ale także sposobem na spędzanie wolnego czasu. Jak według Pana zmieniły się pod tym względem zapatrywania społeczeństwa na nasz amatorski ruch śpiewaczy?

W okresie powojennym Przyjaźń i inne chóry były, można powiedzieć, chórami młodzieżowymi. Kiedy istniało Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, większość chórów zaolziańskich była chórami tego stowarzyszenia. Po likwidacji SMP chóry z konieczności przeszły pod PZKO. Wiele z nich przetrwało do dnia dzisiejszego, chociaż największy rozkwit śpiewactwa zaolziańskiego po wojnie był mniej więcej do 1954 roku, kiedy na naszym terenie istniało ponad osiemdziesiąt zespołów chóralnych. Obecnie mamy dwadzieścia sześć zespołów chóralnych, niektóre na wysokim poziomie. Celem amatorskiego ruchu śpiewaczego nie jest tylko osiąganie jakiegoś nadzwyczajnego poziomu artystycznego, ale chór spełnia tak samo cele towarzyskie. W okresie powojennym, pamiętam, wiele małżeństw skojarzyło się właśnie w chórach, ale tę rolę towarzyską chóry pełnią do dnia dzisiejszego. Trzeba przyznać, że dziś życie towarzyskie przybrało trochę inny charakter, ludzie spotykają się w mniejszych kolektywach, młodzież może obarczona jest i innymi obowiązkami, nauką języków obcych itd. Z drugiej strony, co ciekawe, mamy tyle utalentowanej młodzieży, tylu świetnych śpiewaków, laureatów różnych konkursów, np. Festiwalu Piosenki Dziecięcej, konkursów pieśni ludowej, ale z chwilą opuszczenia murów szkol-

nych ci młodzi ludzie gdzieś znikają, giną.

Często powtarza Pan zdanie, że naród, który przestaje śpiewać, przestaje żyć. Dotyczy to także śpiewactwa na Zaolziu, bo przecież chóry spełniają tu również rolę patriotyczną?

Wydaje mi się, że jeśli chodzi o rozbudzanie uczuć patriotycznych, pieśń spełnia tak samo ważną rolę jak język, poezja, proza. I tu miał rację Oskar Kolberg, kiedy powiedział, że naród, który przestaje śpiewać, może zatracić swoją tożsamość. Einstein podobno na pytanie, kiedy zaginie ludzkość, odpowiedział, że wtedy, kiedy ludzie przestaną śpiewać. I może coś w tym jest. Smutne to, że dziś młodzi ludzie, kiedy np. jadą na wycieczkę, spotykają się, nie potrafią zaśpiewać nawet tych najprostszych pieśni. Młodzież, która po opuszczeniu szkoły nie ma kontaktu z polskim społeczeństwem poprzez zespoły taneczne, poprzez chóry, prędzej, może nawet nieświadomie, zatraca swoją tożsamość narodową, prędzej się asymiluje, obojętnieje.

Dziękuję za rozmowę.

CZESŁAWA RUDNIK



Fot. FRANCISZEK BAŁON

WSPOMNIENIA Z LAT DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ (2)

W połowie stycznia 1944 roku naszą kompanię odkomenderowano na kurs saperski do miasta Bayone, koło słynnego nadmorskiego kurortu Biaritz nad Antlantykiem. Trasa prowadziła tym samym szlakiem jak z Montauban, tylko w Toullose skręciliśmy na zachód, przez Tarbus i Pau do położonego u podnóży Pirenejów Bayone. Tam zakwaterowano nas w drewnianych barakach, w których jedynym komfortem był kurek z zimną wodą, żelazny piecyk i "wancki", to znaczy czerwone pluskwy, które nam "umilały" monotonię żołnierskiego życia. Zmieniły się również rygory i sposób ćwiczeń. W bardzo krótkim czasie chciano nas przeszkolić ze zwykłych piechurów na pełnowartościowych saperów z wszystkimi specjalizacjami. Oprócz teoretycznych wykładów na tematy budowy mostów, bunkrów, zakładania i rozbrajania pól minowych przebiegały równolegle i ćwiczenia praktyczne. Pogoda, w odróżnieniu od śródziemnomorskiego, ciepłego jak na ową porę roku klimatu w Antibes, była fatalna.

Zimno, deszcze i błoto były naszym codziennym udziałem. Po ćwiczeniach wyglądaliśmy jak nieprzymierzając utytłane w błocie świnie. Co gorsza, dowództwo kompanii i kierownictwo kursu wymagało od nas na drugi dzień nienagannie czystego munduru i wyczyszczonych butów. Buty czyściliśmy pod kurkiem z wodą, ubranie po części praliśmy i suszyli, a następnie szczotkowali. Pamiętam, że w czasie jednego z ćwiczeń przeprawy desantu przez rzekę Adour jako ostatni z drużyny miałem za zadanie odbić desantowy ponton od brzegu i wskoczyć nań. Pierwszą część wykonałem bez zarzutu, natomiast z drugą było gorzej. Zamiast na ponton, który pchnąłem dosyć mocno, skoczyłem do wody. Całe szczęście, że zdążyłem chwycić za imak pontonu, inaczej groziło mi utonięcie, ponieważ nie umiałem pływać. Nasza drużyna została zdyskwalifikowana, ponieważ ćwiczenie było prowadzone w formie współzawodnictwa. Ja stałem się zakałą drużyny, która przeze mnie nie wypełniła zadania. Jeszcze dwa dni po tym wydarzeniu chodziłem w wilgotnym mundurze, bo przy piecyku trudno było go wysuszyć za jedną noc. Wilgoć, brud i nienajlepsze warunki sanitarne przyczyniły się do tego, że po trzymiesięcznym pobycie oprócz już wspomnianych pluskiew byliśmy także zawszeni. Dowództwo na zakończenie kursu postanowiło poddać całą kompanię zabiegowi tzw. Entlausungu, czyli odwszania. Musieliśmy zabrać wszystkie rzeczy, łącznie z hełmami, i pojechaliśmy do ośrodka odwszania. Tam w dwu grupach przeprowadzono dezynsekcję w stosownym do tego urządzeniu przy bardzo wysokiej temperaturze bez dostępu powietrza. Do odwszania nie od-

daliśmy tylko hełmu, skórzanego pasa i butów. Po dokładnej kąpieli pod prysznicem czekaliśmy na odbiór własnych ponumerowanych rzeczy. Po otwarciu komory pierwsza grupa odebrała swoje rzeczy i przygotowywała się do odjazdu. Natomiast po drugim otwarciu komory, w której i ja miałem swoje rzeczy, wybuchł pożar i wszystko doszczętnie spłonęło. Przyczyny nie udało się ustalić, posądzono nas o sabotaż, że ktoś z nas zostawił w kieszeni zapałki. Zostaliśmy nagusieńcy, "jak nas Pan Bóg stworzył", z wyjątkiem butów, pasa i hełmu. Z pierwszej grupy pożyczono każdemu "pogorzelcowi" koc, którym owinęliśmy nasze grzeszne ciało, opasaliśmy się pasem, włożyliśmy buty na bose nogi, a głowę przykryliśmy hełmem. Nie wiem, czy był to przypadek, czy pech, ale z powrotem odwoziła nas cywilna otwarta ciężarówka o napędzie na gaz drzewny. W drodze pod górkę w środku miasta, nazwy nie pamiętam, Francuz zatrzymał ciężarówkę, kazał zejść z samochodu i pójść na kopiec piechotą. Uzasadnił to niskim ciśnieniem gazu i ciężarem załadunku. W wypadku odmowy mieliśmy stać i czekać, nie wiadomo jak długo, na zastępczy samochód. Tego dnia Francuzi mieli niezły ubaw, widząc, jak niezwyciężona armia niemiecka ubrana w koce, buty i hełmy maszeruje pod górkę, od czasu do czasu przeświecając golizną tyłka i nóg. Na kopcu przy wsiadaniu ponownie słychać było z ulicy uzasadniony chichot, nam zziębniętym było to już obojętne, byle tylko jak najprędzej dojechać do koszar. Wróciliśmy już nie do zawszonych i zapluskwionych baraków, ale do murowanych komunalnych zabudowań. Dwa dni trwało wyposażanie nas w nową bieliznę i mundury. Tak niechlubnie zakończył się nasz trzymiesięczny kurs saperski.

Odtąd, wyposażeni w rowery, codziennie jeździliśmy do pobliskiego Biaritz, gdzie nabyte saperskie umiejętności wykorzystywaliśmy w praktyce. Otóż położone bezpośrednio nad plażą opuszczone domy mieszkalne na znacznej długości zatoki wysadzaliśmy w powietrze. Była to bardzo ciężka i żmudna praca. Wykuwaliśmy otwory na załadunek materiałów wybuchowych, a po wybuchu wyrównywaliśmy teren. Aż się serce krajało na myśl, jakie to piękne wille w porównaniu z moim małym stuletnim domkiem rodzinnym są bezpowrotnie i bezmyślnie niszczone. Jakie były powody tego wandalizmu - obawa przed desantem czy zemsta - tego nam nigdy nie powiedziano. Przy tych niszczycielskich działaniach zaskoczyła nas wiadomość o inwazji wojsk alianckich w Normandii 6 czerwca 1944 roku. Było to długo oczekiwane otwarcie tzw. drugiego frontu. W jednostce ogłoszono ostre pogotowie i w ciągu dwóch dni wyruszyliśmy na północ. Nasza kompania, tzw. Pionerzug, czyli saperski oddział, odbywała marsz na rowerach, na których wieźliśmy na bagażniku całe nasze wyposażenie, łącznie ze skrzynką amunicji i karabinem przewieszonym przez plecy.

Nie był to normalny przemarsz jednostki wojskowej, ale w moim odczuciu, z pewną satysfakcją, nocny pochód ściganych złodziei, odbywający się tylko po bocznych i polnych drogach. Alianci od momentu inwazji opanowali i kontrolowali przestrzeń powietrzną nad Francją, ostrzeliwując i bombardując przesuwające się na północ wojska niemieckie. Dlatego posuwaliśmy się tylko nocą, a w ciągu dnia przesypialiśmy ukryci w stodołach i zabudowaniach gospodarskich Francuzów. Chyba nie muszę opisywać, jak uciążliwa była jazda nocą na przeładowanym rowerze w nieznanym nam terenie. Pewnej nocy obydwaj z Bronkiem złapaliśmy gumę - uciekło powietrze z tylnego koła. Nasza jednostka posuwała się dalej, my zostaliśmy w przydrożnym rowie. Na szczęście w owe pamiętne dni czerwcowe także noce były ciepłe, a pogoda bezdeszczowa. Rano o świcie stwierdziliśmy, że awaria naszych rowerów jest poważna - dętki przecięte tak, iż o naprawie nie było mowy. Przetransportowaliśmy nasze bagaże i rowery do najbliższego gospodarstwa. Początkowo Francuzi patrzyli na nas nieufnie. My, nie znając języka francuskiego, nie mogliśmy im wytłumaczyć naszego położenia, również i my mieliśmy obawy o swoje gardła. Tak więc pierwszego dnia na zmianę jeden pilnował rowerów i bagażu, a drugi czekał przy drodze, czy nie zjawi się jakaś pomoc wojskowa. W nocy spaliśmy w stodole, gdzie nam gospodarz przygotował nocleg. Rano nieufność gospodarzy gdzieś zniknęła i po toalecie przy studni zaproszono nas na śniadanie. Biały chleb, kawałek słoniny i szklanka dobrego czerwonego wina wprawiły nas z Bronkiem w dobry nastrój. Przemknęło nam przez myśl, że wytrzymalibyśmy tam do zakończenia wojny. Dopiero wieczorem nadjechała jakaś zmotoryzowana jednostka, zatrzymaliśmy ją i po identyfikacji zabrali nas wraz z rowerami i bagażem.

Do naszej kompanii dołączyliśmy w jakimś mieście, którego nazwy nie zapamiętałem. Wiem natomiast, że wieczorem na horyzoncie były już stamtąd widoczne błyski i łuny, chociaż odgłosy huku dział były jeszcze bardzo słabe. To były pierwsze oznaki działań wojennych i zbliżającego się frontu. Drugim bezspornym znakiem były często przejeżdżające karetki pogotowia. Nasze rowery w większości wypadków były na tyle sfatygowane i niezdolne do dalszej jazdy, że zrezygnowano z nich jako środka transportu. Bagaże wraz z amunicją nałożono na przydzielone nam pojazdy, a my dalej nocą jako piechurzy maszerowaliśmy w kierunku szalejącej krwawej walki. O tym przekonaliśmy się w najbliższych dniach. Okazało się, że na froncie zmienialiśmy doborową zmotoryzowaną jednostkę SS, która zdziesiątkowana wracała na tyły. Huk dział, strzelających z krążowników z morza, a osłaniających zdobyty przyczółek, był już bardzo wyraźny. Byliśmy bardzo zdziwieni, że napotkaliśmy rozbite angielskie czołgi typu Sherman, co znaczyło, że wojsko nie-

mieckie odrzuciło daleko posuniętą aliancką ofensywę. O walkach świadczyła także duża ilość zabitych krów, a z ich rozkładających się ciał unosił się nieznośny fetor. Znaleźliśmy się na przedpolu walk, gdzie oprócz obstrzału z dalekonośnych dział gnębiły nas obstrzałem i bombami bezkarnie nisko latające alianckie samoloty. Pierwszym naszym zadaniem jako saperów miało być wybudowanie bunkrów dla sztabu. Przedtem jednak sami musieliśmy się okopać. Ja miałem wykopać schron dla siebie i dowódcy naszej drużyny podoficera Falkensteina, który stale odgrażał się, że zastrzeli każdego, kto na froncie pokusi się o dezercję. Do czasu wybudowania schronu spałem w prowizorycznej, przez Francuza wykopanej jamie, przykrytej chrustem i ziemią. Podoficer spał w łóżku w domu Francuza. Pewnej nocy po warcie zasnąłem twardo i nagle obudziłem się, czując w powietrzu zapach siarki. Szybko wyskoczyłem z jamy i pobiegłem do kolegów, którzy mieli obok głęboko wykopany podziemny schron. Wejście do schronu mieli zabezpieczone pierzyną i po moim wejściu bardzo się zdziwili, że żyję. Na moje pytanie, co się stało, odpowiedzieli, że był huraganowy ogień z ciężkich dział i nawierzchnia mego schronu jest rozrzucona, a jeden z pocisków trafił w budynek. Spałem widać wyjątkowo twardo, bo nic nie słyszałem. O świcie poszliśmy do domku, po drodze obejrzeliśmy mój schron, z którego poszycie zostało porozrzucane podmuchem wybuchu. W domku zastaliśmy martwego Falkensteina, którego pocisk zabił w chwili, gdy schylał się, by obuć buty. Była to pierwsza śmiertelna ofiara w naszej jednostce i pomimo jego gróźb pod naszym adresem, wcale nie odczuwaliśmy satysfakcji, na odwrót, byliśmy przygnębieni. Ponury nastrój i pesymizm, jaki nas ogarnął, zmienił się pod wpływem sydru (sok jabłeczny) i kalwadosu (wódka wysoko procentowa), jaki znaleźliśmy w piwnicy zburzonego domku.

Nasze przemieszczanie się z Bayone do Normandii trwało około czterech tygodni. Wnioskuję tak na podstawie listu z życzeniami urodzinowymi dla mnie (18 lipca), który otrzymałem już na froncie w Normandii. Z listu dowiedziałem się też o narodzinach moich braciszków bliźniaków, z których jeden zmarł. Pomyślałem sobie, że rodzice będą mieli zastępcę, gdybym nie wrócił z wojny.

Za dwa dni po huraganowym ogniu nasza kompania została skierowana na opuszczony odcinek frontu. Po trwającym pół dnia marszu na linię, to znaczy powolnym posuwaniu się pod ochroną drzew i zagajników przed patrolującymi samolotami, dotarliśmy na opuszczony przez wojska niemieckie odcinek. Świadczyła o tym porzucona broń i wyposażenie. Jeszcze nie zostaliśmy z marszu rozmieszczeni, a już zaskoczył nas ogień z karabinu maszynowego z bezpośredniej bliskości. Znajdowałem się właśnie na gnojowisku

i nic innego nie pozostawało mi, jak upaść do gnoju i szukać w nim schronienia, zakopując się jak najgłębiej. Z naszej strony ktoś z tyłu odpowiedział również ogniem z niemieckiego MG ("Maschinengewehr"), tak więc byliśmy pod obstrzałem dwu karabinów maszynowych. Po kilkunastominutowej strzelaninie przerwano ogień. Potem dokończono rozmieszczanie nas na poszczególne posterunki. Podoficer Lauer przydzielił mi miejsce obok jakiejś szopy i wyznaczył mi wycinek między szopą, a 50 m od niej na lewo oddalonym drzewem jako obszar do obserwacji; w razie jakiegokolwiek ruchu powinienem w tym kierunku strzelać. Miałem tylko karabin. Próbowałem się trochę okopać, ale grunt był bardzo twardy i udało mi się wyżłobić jamę zaledwie 40 cm głęboką. Dwóch innych żołnierzy podoficer umieścił w budynku gospodarczym po mojej prawej stronie, a z lewej nie miałem z nikim kontaktu. W ogóle nie wiadomo było, gdzie przebiega linia frontu. Słyszałem odgłosy rozmawiających na przeciw mnie rozmieszczonych Anglików. Z ich strony nie było żadnego obstrzału. Rozmyślałem, jak z nimi bez strzelaniny nawiązać kontakt, a tym samym rozwiązać problem ucieczki. Dowiedziałem się od kontrolującego nasze stanowiska "unteroficjera" Lauera, że w odległości 100 m w budynku mieszkalnym nieprzyjaciel wziął do niewoli dwu naszych żołnierzy. Byli to Bronek Kalina i Jan Kantor, syn wdowy z Dolnej Suchej, który później w mundurze polskiego żołnierza zginął na bojowym szlaku 1. Dywizji Pancernej generała Maczka. Po tej wiadomości nie muszę podkreślać, jak bardzo im zazdrościłem, że problem ucieczki mają już za sobą. Dowiedziałem się również, że strzelającym z MG z naszej strony był Łabuda z Ropicy, którego Lauer nazwał bohaterem, a ja, leżący w gnojowisku, nazwałbym go całkiem odmiennie, co najmniej durniem. Przy tej strzelaninie było w naszej kompanii kilku rannych, wśród nich i sympatyczny Adam Krzyżanek z Mostów koło Jabłonkowa, który został ranny w piętę.

Dwa i pół dnia spędzone bezpośrednio na pierwszej linii frontu owocowały też w dalsze niespodzianki. Ze strony Anglików, oprócz kilku pojedynczych strzałów, nie było otwartej walki. Na naszej natomiast stronie po wieczornym obchodzie stanowisk podoficer Lauer stwierdził, że dwaj nasi żołnierze, moi sąsiedzi z prawej strony, opuścili stanowisko i zniknęli. Pieklił się, jakbym ja miał z tym coś wspólnego, i groził nam wszystkim, a miał na myśli Ślązaków i poznaniaków, że postawi nas przed "Kriegsgericht", czyli sąd wojenny. Nic nie odpowiedziałem, a na pytanie, dlaczego nie odpowiedziałem na pojedyncze strzały Anglików, zasugerowałem mu, że nie chciałem zdradzić mego stanowiska. W ogóle po niemieckiej stronie frontu, również później, nie oddałem ani jednego strzału. Zastanawiałem się, jak udało się zniknąć mym kolegom z prawej strony, bo przy jakimkolwiek ruchu odzywały się z prze-

ciwnej strony pojedyncze strzały. Noc przespałem w mej wydrążonej jamce, śniąc o tym, że bez większych kłopotów znalazłem się w niewoli. Największym jednak dla mnie zaskoczeniem było odnalezienie się rano kolegów, którzy uprzednio zniknęli z wyznaczonego posterunku, a których Lauer oskarżył o dezercję. W żywe oczy mu twierdzili, że nie opuścili posterunku, a odeszli tylko za ludzką potrzebą. Lauer nie dał wiary ich tłumaczeniom i zapowiedział, że poda wniosek, by nas wszystkich postawiono przed sąd wojenny za pasywną postawą wobec wroga. Pod wieczór ściągnięto nas z tego odcinka frontu i wróciliśmy do naszej bazy, gdzie mieliśmy budować bunkry dla sztabu. Jaki był cel tej całej eskapady na opuszczoną przez wojska niemieckie linię frontu i ponowne jej opuszczenie bez ataku nieprzyjaciela, tego nie wiem. Było to jak na mój "chłopski rozum" całkiem niezrozumiałe. Od rzekomych "dezerterów" później dowiedziałem się, że był to fatalny błąd z ich strony, gdyż wobec panującej ciszy myśleli, że już opuściliśmy stanowiska i wyszli z ukrycia w najmniej odpowiedniej chwili - to jest podczas kontroli stanowisk. Byli ukryci w dużej beczce po winie.

Największą jednak niespodzianką był nagły i bardzo celny atak artylerii na naszą bazę. Po półgodzinnym huraganowym ogniu artyleryjskim zostało zniszczone wszystko, co było na powierzchni ziemi, łącznie z kuchnią polową. Na skutek tego ataku część kompanii miała zniszczoną broń i wyposażenie, ale na szczęście nikt nie zginął i było tylko kilku lżej rannych. Uprzednio wykopane schrony spełniły swoją rolę. Nazajutrz, pomimo gróźb Lauera postawienia nas przed sądem polowym, otrzymaliśmy wszyscy rozkaz wymarszu na inny odcinek frontu. Ponieważ część była bez broni, wśród nich i ja, musieliśmy spełniać rolę tragarzy amunicji. W owe gorące lipcowe dni 1944 roku niedożywieni - kuchnia polowa rozbita, posileni tylko kalwadosem, ze znacznym wysiłkiem fizycznym posuwaliśmy się gęsiego wzdłuż wąwozu i w nim umieszczonych torów kolejowych. Nad nami bezkarnie latał angielski dwupłatowiec, pełniący rolę artyleryjskiego obserwatora. Na wyniki jego zadania nie czekaliśmy długo. Nawałnica artyleryjskiego ognia spadła na nas niczym grad w upalne lato. Część pocisków spadła wprost na przód kolumny, skąd odezwały się nie do opisania krzyki rannych, tylną część dosięgły tylko odłamki pocisków, które eksplodowały w wąskim wąwozie bądź na jego krawędzi lub na torze kolejowym. Pamiętam tylko, że leżałem w rowie obok toru, a wśród krzyku rannych i eksplodujących pocisków straciłem przytomność. Nie wiem, czy spowodował to szok nerwowy, czy fizyczne zmęczenie, czy też "kropelka" kalwadosu, raczej wszystko razem wzięte. Z tej pozycji ocucił mnie ktoś, kto zatrząsł mną i z wyrzutem zapytał mnie, dlaczego nie dołączyłem do kompanii. Był to jakiś obcy żołnierz, którego nie znałem.

Za mną leżało jeszcze innych trzech z naszej kompanii. Byli to Chytrowski z Poznania, Fusik Bolek z Górnej Suchej i Galusek z Bogumina. Nieznany żołnierz wskazał nam, w którym kierunku udała się nasza kompania. Było już późne popołudnie i ruszyliśmy we wskazanym kierunku. Po wyjściu z wąwozu znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni, gdzie o zmianę kierunku nie było trudno. Były to kiedyś łąki i zagajniki, obecnie rozryta bombami i granatami ziemia, a z drzew od wybuchających szrapneli sterczały tylko gołe, okaleczone kikuty. Zaczęło się ściemniać, postanowiliśmy więc przenocować w napotkanych okopach. Po niezbyt wygodnie przespanej nocy skierowaliśmy nasze kroki w podanym nam kierunku. Po drodze natknęliśmy się na punkt opatrunkowy wojsk SS. Tam po wyjaśnieniu, do jakiej jednostki zmierzamy, otrzymaliśmy garnek ciepłej herbaty i wskazano nam, gdzie miała znajdować się nasza jednostka. Właściwie to byliśmy na linii frontu. Świadczyła o tym obustronna strzelanina z broni maszynowej i często szukaliśmy schronienia w lejach i jakichkolwiek wgłębieniach w ziemi. Po przejściu paruset metrów w bezpośredniej bliskości za groblą zasłaniającą widoczność rozległo się szczekanie angielskiego karabinu maszynowego. Zaległiśmy do najbliższego okopu przed groblą i czekaliśmy. Wiedzieliśmy, że za groblą są Anglicy, ale w tej strzelaninie nikt nie chciał wystawić głowy na szwank. Wyszedłem z okopu, aby się zorientować, czy nie udałoby się przebiec, a tu z prawej strony wzdłuż grobli schyleni wycofywali się żołnierze naszej kompanii, do której staraliśmy się od poprzedniego dnia dołączyć.

Przechodzący obok mnie dowódca kompanii zauważył mnie i zwrócił się do mnie, bym zabrał amunicję i dołączył do nich. Potwierdziłem rozkaz skinieniem głowy, ale w mojej myśli dojrzewała decyzja ucieczki. Od Anglików dzieliła nas tylko grobla, a na niej kilka okaleczonych drzew. Koledzy w schronie, których uciekający dowódca nawet nie zauważył, o moim zamiarze na razie nie wiedzieli. Ja, niby to przygotowując się do odwrotu, patrzyłem za uciekającymi, dopóki nie zniknęli mi z oczu. Wówczas oznajmiłem kolegom, że zdecydowałem się "przeskoczyć" groblę i przejść na stronę Anglików. W tym celu wyjąłem z chlebaka biały ręcznik i dwoma skokami znalazłem się po drugiej stronie grobli. Patrzyłem przed siebie i chociaż nikogo nie zauważyłem, podniosłem ręce do góry, trzymając w nich biały ręcznik. Skierowałem wzrok na prawo i, o zgrozo, w odległości około 10 m zobaczyłem angielski czołg. Włosy zjeżyły mi się na głowie tak, że odczuwałem, jak pasek podtrzymujący hełm naciska mi na brodę. Bowiem wydawało mi się, że lufa działa skierowała się w mym kierunku, i myślałem, że to już mój koniec. Dopiero kiedy zobaczyłem, że z wieżyczki czołgu wysunęła się ręka i wskazuje mi kierunek naprzód przed siebie, hełm stuknięciem o głowę wró-

cił na swe miejsce. Stwierdziłem też, że lufa działa wcale nie była skierowana w moją stronę, a zmiana jej kierunku była dziełem mojej wyobraźni.

Wtedy to, nie zmieniając pozycji, głośno zawołałem do moich współtowarzyszy niedoli, że obok stoi cudzy "tank" i nie zrobię już kroku wstecz, o ile chcą, to mogą mnie naśladować. Nie czekając na ich decyzję, ruszyłem wolno naprzód, trzymając ciągle ręce w górze, a w nich biały ręcznik. Po chwili koledzy dołączyli do mnie. Po przejściu kilkudziesięciu metrów, gdy czołg zniknął nam z pola widzenia, zaczęliśmy rozważać naszą sytuację. Wokoło nas było kilka trupów, a rozrzucona niemiecka broń świadczyła o niedawnych walkach. Przede wszystkim nie wiedzieliśmy, jak przebiega linia frontu i obawialiśmy się, by przypadkowo nie natknąć się znowu na Niemców. Mieliśmy nawet przygotowaną na ten przypadek wersję ucieczki od Anglików. Zdecydowaliśmy się iść dalej w kierunku odgłosu strzelającej artylerii. Po przejściu kilkuset metrów nagle jeden z nas zauważył, że z boku z lewej strony znajduje się obcy karabin maszynowy. Podeszliśmy do niego jakby od tyłu i zastanawialiśmy się, dlaczego został opuszczony, aż tu ze zamaskowanego schronu wychodzi czterech angielskich żołnierzy i zaskoczeni naszą obecnością podnoszą ręce do góry. Paradoksalna sytuacja! Nam nieuzbrojonym poddało się czterech uzbrojonych Anglików. Oczywiście ani przez myśl nam nie przeszło brać ich do niewoli, na odwrót, również my podnieśliśmy ręce do góry. Widząc patową sytuację, jeden z nich skoczył do erkaemu (ręcznego karabinu maszynowego) i bez uzasadnienia zaczął coś na nas krzyczeć, a równocześnie skierował lufę w naszą stronę. Ja starałem się wytłumaczyć, że jesteśmy Polakami, po francusku "Polone", po niemiecku "Polen", którzy chcą dobrowolnie pójść do niewoli, nic jednak do niego nie docierało, przeciwnie, zaczął mi lufą jeździć po żebrach, krzycząc "come in, come in". W tej chwili ogarnęła mnie wielka złość. Żałowałem, że to nie my odprowadziliśmy ich pod ich własną bronią do angielskiego dowódcy, który, jak się okazało, miał niedaleko stąd stanowisko. Z podniesionymi rękami i popędzani przez angielskiego żołnierza zostaliśmy doprowadzeni do ich dowódcy, któremu eskortujący coś bardzo energicznie meldował i tłumaczył. Dowódca w randze porucznika był człowiekiem średniego wieku, kazał nam opuścić ręce i położyć hełmy i chlebaki. W międzyczasie starałem się ponownie wytłumaczyć mu, że jesteśmy Polakami i dobrowolnie idziemy do niewoli. Zrozumiał to i nawet się uśmiechał. Żałowałem, że nie umiem po angielsku, by mu opowiedzieć o sytuacji zaistniałej przed kilkoma minutami przy schronie. Chociaż w danej chwili było to nieważne.

Chciałem się napić z manierki, którą miałem w chlebaku, nie pozwolił mi i kazał mi ją opróżnić. Żołnierzowi dał rozkaz, by przyniósł nam herbatę. Po

ugaszeniu pragnienia wyruszyliśmy w asyście uzbrojonego żołnierza, zabierając tylko chlebaki, w których mieliśmy osobiste rzeczy. Ponownie z podniesionymi rękami i gołymi głowami prowadził nas do punktu zbiorczego jeńców. Punkt ten był ulokowany w dużym gospodarstwie, gdzie z frontu był duży budynek mieszkalny, z boków zabudowania gospodarcze i stodoły, a z tyłu obok bramy wjazdowej duże gnojowisko. Było to naturalne ogrodzenie obozu jenieckiego. Na dworze zgromadzono przeszło stu jeńców różnych stopni i narodowości. Tutaj Anglicy ograbili nas z wszystkich osobistych rzeczy łącznie z zegarkami. Bardzo się zdziwiłem, gdy ktoś z jeńców rzucił w gnojowisko kilka drobnych monet, a Anglik bez wstydu, grzebiąc w gnoju, starał się je znaleźć. Z tego punktu zbiorczego po skompletowaniu kolumny jeszcze tego samego dnia przesunięto nas do innego obozu, który był umieszczony w szczerym polu i otoczony tylko kolczastym drutem. Tutaj wśród jeńców nastał podział na tych, którzy zrzucili niemieckie dystynkcje i naramienniki (a była nas większość), oraz tych, którzy tego nie zrobili. Wieczorem położyliśmy się na gołą ziemię, ale o śnie nie było mowy. Przede wszystkim po tych dwudniowych przeżyciach, pełnych napięć nerwowych i stresów, po raz pierwszy odczułem głód, który nie pozwalał na spokojny sen. Rozmyślałem o sytuacji, w jakiej się znajduję. Byłem zadowolony, że bez uszczerbku na zdrowiu znalazłem się w niewoli, o czym marzyłem od samego przyjazdu do Francji. Rano przywieziono jedzenie i picie - paczkę sucharów-biskwitów i kakao. Picie rozdzielali jeńcy - na nasze nieszczęście "prawowierni" Niemcy. Tym, którzy przyszli bez naramienników, dawali tylko połowę porcji, to jest połowę puszki po "kornetbeefie". Zaczęliśmy głośno protestować i burzyć się. Niemcy, umiejący po angielsku, tłumaczyli Anglikom, że jesteśmy niezadowoleni z małego przydziału jedzenia i picia. Anglicy nas "niezadowolonych" umiejscowili bezpośrednio przy kolczastych drutach i postawili żołnierza z karabinem maszynowym, który nas pilnował. Jeńcy z naramiennikami na nasz widok szyderczo uśmiechali się, nie szczędząc nam złośliwych uwag. W południe uformowano kolumnę i wyruszyliśmy w kierunku na północ, to znaczy ku morzu. Wioski, przez które przechodziliśmy, były zupełnie zniszczone, a miasto Caen leżało w gruzach. Był to teren walk, na którym wojska alianckie przeprowadziły morski desant i uchwycenie przyczółku, zaś niemiecka strona kontratak w celu jego likwidacji. W czasie przemarszu zostaliśmy obrzuceni kamieniami przez ludność cywilną, wykrzykującą pod naszym adresem najgorsze wyzwiska, czemu się wcale nie dziwiłem. Mój szlak bojowy na francuskiej ziemi w mundurze niemieckiego żołnierza zakończył się w chwili zaokrętowania nas na amerykańską barkę desantową. Ulokowano nas pod pokładem w pomieszczeniach przeznaczonych do transportu czołgów

lub ciężkiego sprzętu bojowego. Amerykański marynarz, jak się później okazało, również Polak, przechodząc obok nas, Ślązaków, rozmawiających ze sobą po polsku, wdał się z nami w rozmowę. Zapytał nas, jak znaleźliśmy się w niemieckich mundurach. Wytłumaczyliśmy mu, jak do tego doszło. Opowiedzieliśmy mu również, jak potraktowali nas Niemcy z naramiennikami przy rozdziale jedzenia. Marynarz polskiego pochodzenia przyrzekł nam, że obecnie posiłki rozdzielać będziemy my. Potraktowaliśmy Niemców tak jak oni nas przedtem, dając im tylko połowę porcji. Nie odważyli się protestować, wiedząc, za co ich to spotkało. Na drugi dzień rano po przedrzemanej pod pokładem nocy znaleźliśmy się na brytyjskiej ziemi. Zdaje mi się, że zacumowaliśmy w porcie Portsmouth.

KAROL BARTULEC

cdn.

NIEWIELU WRÓCIŁO (2)

(wspomnienia sprzed sześćdziesięciu lat)

Koniec wojny zmienił do pewnego stopnia styl i treść naszej pracy. Nadal organizowaliśmy życie związkowe, uzupełnialiśmy nasze kartoteki, w których mieliśmy już dane przeszło pięciu tysięcy ludzi. Obecnie głównym naszym zadaniem było przygotowanie dla nich jak najszybszej repatriacji do wolnej ojczyzny.

Na podstawie umowy międzyrządowej z 6 lipca 1945 roku powołano do życia polsko-radziecką komisję mieszaną do spraw ewakuacji osób narodowości polskiej i żydowskiej. W ostatnich dniach lipca inż. Niewiński został mianowany pełnomocnikiem delegacji polskiej, a ja otrzymałem dekret na stanowisko sekretarza odpowiedzialnego tej komisji. Od początku sierpnia zaczęliśmy przygotowywać dwujęzyczne zaświadczenia na wyjazd do kraju.

W tym samym czasie zaskoczyła nas radosna wiadomość. Do Władywostoku przycumował amerykański okręt i przywiózł pierwszą pomoc UNRRY. (UNRRA była to organizacja utworzona z inicjatywy USA, Wielkiej Brytanii, ZSRR i Chin. Jej celem było po zakończeniu wojny przyjść z pomocą krajom alianckim najbardziej dotkniętym działaniami wojennymi.) W październiku otrzymaliśmy z Moskwy pięć wagonów odzieży, bielizny, butów oraz kilkanaście tysięcy mięsnych i rybnych konserw. Pomoc ta miała dla biednych przesiedleńców ogromne znaczenie. Większość z nich nie tylko cierpiała głód, lecz po tylu latach tułaczki była w podartych łachmanach, chodziła w dziurawych butach, a często nie miała żadnej bielizny.

W sowchozie Charcysk, jak już wspominałem, pracował z moim bratem Antosiem Jan Nowak. Był on przedwojennym kapitanem wojska polskiego, obrońcą Warszawy w 1920 roku, osadnikiem wojskowym, którego NKWD wywiozło w czerwcu 1940 roku razem z trzema nieletnimi synami na Syberię i który tam razem ze mną i Antosiem cierpiał przez dwa lata w gułagu, a po zwolnieniu pracował w tamtejszym kołchozie. Znałem jego straszną biedę i kiedy nadszedł pierwszy transport UNRRY, zaprosiłem go do naszego biura. Przyjechał w podartych spodniach i dziurawej marynarce, był nieogolony i wynędzniały, bez zębów, słowem prawdziwa ruina. Kiedy stanął w drzwiach, nie poznałem go. Spojrzałem na niego obojętnie, bo podobnych nędzników przychodziło tu wiele. Lecz kiedy pozdrowił i wypowiedział pierwsze słowa, podbiegłem do niego, wziąłem go w objęcia i ze łzami w oczach przytuliłem do siebie. Wierzyć się nie chciało, że kilka lat nędzy i biedy tak bardzo może zmienić człowieka. Wspominaliśmy wspólnie przeżyte lata katorgi syberyjskiej, opowiadał mi o przeżyciach swej żony, którą NKWD w 1940 roku wywiozło z najstarszym synem na Ural i o teraźniejszych warunkach w charcyskim sowchozie. Podziwiałem jego twardy charakter i prawdziwe bohaterstwo, przejawiające się w trosce o życie swych dorastających synów. Postanowiłem chociaż trochę złagodzić jego nieopisaną biedę. Pojechaliśmy do hotelu, kazałem mu się porządnie umyć, ogolić i zrzucić z siebie wszystkie łachmany. Kiedy ubrał czystą bieliznę, nowe spodnie i marynarkę, wdział porządne buty i spojrzał w lustro, to ten stary żołnierz rozpłakał się jak małe dziecko.

Z wielkim zadowoleniem przyjęliśmy wiadomość, że pełnomocnikiem komisji mieszanej do spraw ewakuacji ze strony radzieckiej został mianowany przewodniczący oblispolkomu Kuwyczko. On, nie mając wiele czasu, zwolnił z większości obowiązków swoją sekretarkę, uroczą, młodą Ormiankę Sonię Grigoriewnę Arekian, która odtąd razem z nami wypełniała po kilka godzin dziennie tekst rosyjski dwudziałowych zaświadczeń na wyjazd do Polski. W tym wyjątkowym czasie ani ona, ani też my nie braliśmy względu na godziny urzędowe. Pracowaliśmy od wczesnego ranka do późnej nocy, bo uświadamialiśmy sobie, że każde jeszcze dziś wypełnione zaświadczenie to powrót następnego szczęśliwego zesłańca do Polski. Nierzadko się zdarzało, że wielu petentów odchodziło z biura późną nocą, wielu z bardziej odległych stron spędzało nawet noc na podłodze w naszym pokoju hotelowym.

Wśród zesłańców było wiele osób narodowości żydowskiej. Wielu samotnych Żydów wkrótce stwierdziło, że po zawarciu ślubu z obywatelką radziecką może razem z nim wyjechać za granicę nie tylko przyszła żona, ale i jej rodzice. Spryciarze zaczęli szybko działać i wkrótce władze radzieckie zwróciły nam uwagę, że w ubiegłych tygodniach znacznie wzrosła ilość mieszanych ślubów. Prawa jednak nikt nie naruszał i nie mogliśmy wchodzić w sed-

no sprawy. Byliśmy jednak przekonani, że tylko niektóre z tych ślubów są usankcjonowaniem miłości, a większość z nich to dla polskich Żydów chęć zarobienia niemałych pieniędzy lub też złota, a dla obywateli radzieckich narodowości żydowskiej to bardzo rzadka możliwość wyjazdu ze Związku Radzieckiego.

Kiedy już mowa o małżeństwach mieszanych zawartych w Związku Radzieckim, to przypomniało mi się jedno niecodzienne zdarzenie. Pewnego dnia zapukała do naszego biura kobieta w średnim wieku z małym chłopcem na ręku w bardzo zaawansowanej ciąży.

- Zdrawstwujtie - pozdrowiła i zapytała - Zdzieś polskoje posolstwo? (Tak większość przybyszów nazywała nasze biuro.)

Kiedy otrzymała pozytywną odpowiedź, zapytała, czy na wyjazd do Polski jest zarejestrowany obywatel Józef Błajda. Zajrzałem do kartoteki i po chwili szukania wyciągnąłem dokumenty Józefa Błajdy. Kiedy przeczytałem jego imię i nazwisko oraz datę i miejsce urodzenia, to podenerwowana Rosjanka krzyknęła:

- To on, to mój mąż, a to jego chłopiec i, jak sami widzicie, dalsze jego dziecko w drodze. Jesteśmy już dwa lata po ślubie. Wyciągnęłam go ze straszliwej nędzy, dwa lata troszczę się o niego i wątpię, czy on beze mnie żyłby jeszcze dzisiaj, a teraz ten niewdzięcznik nie chce mnie zabrać ze sobą do Polski.

Wyciągnęła z torebki akt ślubny, na podstawie którego stwierdziłem, że są już małżeństwem przeszło dwa lata. Nie kryjąc słów oburzenia, potępiłem przed nią jego niewłaściwe zachowanie się. Przyrzekłem wszystko naprawić i dałem jej dla męża pisemne wezwanie do biura. Nazajutrz Józef Błajda, smutny i mocno skruszony, zapukał do drzwi. Pozdrowił i zanim zdążył wypowiedzieć pierwsze słowa, wyskoczyłem spoza biurka i, używając często nawet niecenzuralnych wyrazów, wylałem na niego moje głębokie niezadowolenie.

- Wstyd robicie takim postępowaniem naszej ojczyźnie! - krzyczałem. - Czy w ten sposób postępuje prawdziwy mężczyzna, w dodatku Polak? Czy wy już nie macie nawet uczucia wdzięczności?!

Kiedy skończyłem moje twarde kazanie, Błajda, trzymając w ręku jakiś list, podszedł do mnie nieśmiało.

- Ja wiem - zaczął się jąkać - że wobec Nataszy postępuję niegodnie, ale powiedzcie mi, co wy byście zrobili na moim miejscu. Przed miesiącem otrzymałem z Polski oto ten list. W nim moja ukochana ślubna żona pisze, że ocalała w tej przeklętej wojnie, że gospodarzy razem z dwoma synami, pisze również, że ten mój najstarszy zginął w partyzantce. Błaga, bym jak najszybciej przyjechał, bo bez ręki gospodarza wszystko się marnuje i że bardzo tęskni za mną. A Natasza - poznaliśmy się w pracy, była bez męża, bo zginął na froncie. Umizgiwała się do mnie, po kilku tygodniach wciągnęła mnie do

łóżka. Wprawdzie miałem wtedy wyrzuty sumienia, lecz uległem złej pokusie, bo nie wierzyłem, że przeżyję wojnę i jeszcze kiedyś wrócę do domu. I co ja teraz biedny mam robić? Tam w Polsce żona prawdziwa, kościelna, a tu kobieta wprawdzie sercu też nieobojętna, lecz nie moja małżonka, bo ja ślubów w urzędzie cywilnym nie uznaję.

Zdeterminowany i mocno zaskoczony taką wiadomością usiadłem na krześle i zapaliłem papierosa. Nie chciałem sam zadecydować o dalszym losie Błajdy, byłem całkowicie bezradny. Zabrać czy też zostawić mu dokumenty. Po naradzie ze Staśkiem Niewińskim nie odebraliśmy mu zaświadczenia i Błajda wrócił do ślubnej żony.

Takich i podobnych wydarzeń było w tym okresie więcej. Przytoczę jeszcze przynajmniej dwa.

W listopadzie wcześnie rano zapukał do naszych drzwi w hotelu mężczyzna w średnim wieku. Kiedy stwierdził, że znalazł właściwych adresatów, ukląkł i, przepraszając za nieodpowiednią porę odwiedzin, zaczął błagać o pomoc. Dowiedzieliśmy się, że po wyzwoleniu Wilna on i jego przyjaciele zostali aresztowani przez NKWD i obecnie są internowani w obozie kontrolno-filtracyjnym nr 240 tutaj w Stalino. Za drutami jest ich tam około stu pięćdziesięciu. Przed wojną wszyscy ukończyli studia. Są między nimi lekarze, prawnicy, inżynierowie, nauczyciele, a nawet księża. Do dziś nikt im nie powiedział, za co ich zamknięto.

Postanowiliśmy niezwłocznie działać. Kiedy poruszyliśmy sprawę u przewodniczącego Kuwyczki, ten najpierw bardzo się zdziwił, skąd o tym wiemy, i stwierdził tylko tyle, że oni nie są objęci umową i wobec tego nie mogą wyjechać do Polski. Odważyłem się pójść do sekretarza obkomu partii Dymidenki, a kiedy i ten nie chciał nawet dyskutować na ten temat, zwróciliśmy się do polskiego ambasadora w Moskwie Zygmunta Modzelewskiego, lecz i tu od razu i kategorycznie odrzucano jakąkolwiek dyskusję w tej sprawie. Jaki dalszy los spotkał tych więźniów, może odkryły już dzisiejsze badania naukowe.

Odwiedziła nas również przeszło osiemdziesięcioletnia babunia, by zarejestrować się na wyjazd do Polski. Po krótkiej rozmowie stwierdziłem, że urodziła się w zeszłym stuleciu w carskiej Rosji, że była wnuczką zesłańca po powstaniu listopadowym i niestety, że zbędne są jej starania, bo na podstawie niedawno zawartej umowy do kraju mogą wyjeżdżać tylko zesłańcy z roku 1940. Kiedy babuni wytłumaczyłem istotę całej sprawy i odmówiłem pozytywnego załatwienia jej prośby, rozpłakała się i prosiła o litość.

- Chcę umrzeć na polskiej ziemi - błagała, ocierając łzy. - W pierwszych dniach wojny syn z synową zginęli podczas bombardowania, a ja zostałam tu tylko z ukochaną wnuczką.

Żal mi było tej wielkiej patriotki, lecz nie widziałem żadnych możliwości wyjścia z tej nieszczęsnej sytuacji. Na drugi dzień przyszła znowu, tym razem z uroczą osiemnastoletnią wnuczką Heleną i, głaszcząc Staśka i mnie po rękach, znów prosiła o zlitowanie. Helenka nic nie mówiła, tylko niebieskimi oczyma prosiła o pomoc. Nie widząc wyjścia z trudnej sytuacji, byłem dosłownie zdruzgotany. Nagle zbawienna myśl zaświtała mi w głowie. Niczego jeszcze nie obiecując babuni, poprosiłem ją, by w przyszłym tygodniu przyszła ponownie do biura. Niezmiernie żal mi było tej sympatycznej babuni, która poprawną polszczyzną prosiła o zmiłowanie i po długiej naradzie ze Staśkiem postanowiłem formalnie ożenić się z Helenką Panecką, bo tak się ta ślicznotka nazywała i przewieźć ją razem z babcią do Polski. Kiedy po kilku dniach babunia ponownie przyszła do biura, to po rozmowie z nią stwierdziłem, że w czasie wojny wnuczka jej została wywieziona do Niemiec, a takie osoby, o ile chciały zawrzeć ślub z Polakiem, musiały przed wyjazdem zostać zweryfikowane przez NKWD, czy w czasie wojny pojechały do Niemiec przymusowo, czy też dobrowolnie, bowiem za kolaborację z Niemcami groziło kilkuletnie więzienie. Weryfikacja trwała nawet kilka miesięcy. Wobec takiej sytuacji mój ślub z Helenką był nieaktualny.

Były jeszcze mniej ważne, a czasem i śmieszne zdarzenia. Raz stary Żyd chciał nam zapłacić, by mógł wyjechać pierwszym, a nie czwartym transportem. Kiedy stwierdził, że ani pieniądze nie załatwią jego sprawy, zaczął nam tłumaczyć, że jego dom stał w Warszawie, którą, jak się dowiedział, zaczynają odbudowywać, a on w piwnicy zakopał znaczną ilość złota. Jaka to wielka szkoda będzie, jeśli się spóźni, a na jego złocie wybudują nowy dom.

Przygotowanie do repatriacji dobiegało końca. Prawie wszyscy przesiedleńcy, którzy zgłosili się na wyjazd do Polski, mieli już potrzebne zaświadczenie. Do biura przychodzili jeszcze ci, którzy pierwotnie z różnych powodów, przeważnie rodzinnych, zdecydowali się pozostać, lecz w ostatniej chwili zmienili decyzję. Teraz pojawiało się coraz więcej Polaków urodzonych w Rosji lub ZSRR, by uzyskać dokumenty do repatriacji. Wżywając się w ich trudną sytuację, nie reagowaliśmy na ich prośby w sposób zdawkowy, lecz staraliśmy się różnymi sposobami, a przede wszystkim cierpliwie wytłumaczyć im, że niestety umowa z lipca 1945 roku ich nie obejmuje. Żal nam było wszystkich, a najbardziej inżyniera Jankowskiego z Mariupola, który był nie tylko bardzo zacnym człowiekiem, ale przede wszystkim wielkim fachowcem, mającym w swym dorobku kilkanaście wynalazków i różnych ulepszeń. W czasie odwiedzin jego rodziny w Mariupolu przekonaliśmy się, że tak żona jak i synkowie, którzy nigdy Polski nie widzieli, znają dobrze jej historię i kulturę. O wszystkim potrafią mówić poprawnie po polsku. Niestety nie pomogły żadne starania i perswazje, by uzyskać dla tych osób przynajmniej kilka zezwo-

leń na wyjazd w drodze wyjątku. Stanowisko władz radzieckich było nieugięte i w żadnym wypadku nie uznawało najmniejszych ustępstw.

Słonko w południe coraz niżej świeciło. Liście drzew zaczęły przybierać różne kolory i spadać na ziemię, okrywając ją szeleszczącym dywanem. Nadeszła jesień, a niebawem śnieg przykrył wszystko białym całunem. Zbliżała się z kolei siódma już zima wojennej tułaczki. Nadszedł grudzień, a z nim i koniec roku. W noc sylwestrową wszyscy, którzy dożyli tej chwili, wierząc w nadchodzące lepsze, pokojowe czasy, witali Nowy Rok z niezmierną radością i entuzjazmem. Każdy w swej podświadomości odczuwał wielką ulgę i szczęście. Każdy był przekonany, że wkrótce powróci do wolnej ojczyzny i nareszcie skończą się lata pełne niebezpieczeństw, lęku i nieludzkich cierpień.

Wszyscy z niecierpliwością czekaliśmy na dzień wyjazdu. Minął styczeń i luty 1946 roku. Na początku marca zaprosił nas do siebie przewodniczący oblispolkomu Kuwyczko, otworzył butelkę wódki i uroczyście oznajmił, że ma już terminy wyjazdów. Uzgodnił z nami, że każdy transport będzie się składał z pięćdziesięciu wagonów bydlęcych, co oznaczało, że będzie trzeba wyprawić sześć transportów.

Po dokładnym przemyśleniu sprawnej organizacji wyjazdu sześciu tysięcy przesiedleńców postanowiliśmy mianować z najbardziej doświadczonych i rzutkich współpracowników sześciu kierowników poszczególnych transportów, ich zastępców oraz służbę zdrowotną na czele z odpowiedzialnym lekarzem.

Pierwszy transport był przygotowany do wyjazdu w drugiej połowie marca. Samochodem przewodniczącego Kuwyczki przyjechaliśmy w południe na dworzec kolejowy, by skontrolować, czy w każdym wagonie jest żelazny piecyk, czy wszyscy odjeżdżający mają zaświadczenia, by na granicy nie było żadnych problemów oraz czy we wszystkich wagonach jest dostatek wiktu na drogę. Kontrola nasza nie trwała długo, bo kierownictwo transportu już od rana rozmieszczało ludzi do poszczególnych wagonów i w każdym wagonie ustanowiło starszych, których obowiązkiem było załatwianie wszelkich próśb i życzeń podopiecznych. Po naszym przyjeździe kierownik transportu podał dokładny meldunek o ilości odjeżdżających, równocześnie oznajmił, że nie stwierdzono żadnych braków. Nasza kontrola przeprowadzona w kilkunastu wagonach stwierdziła, że meldunek kierownika transportu był wiarygodny. Na zakończenie odprawy przewodniczący oblispolkomu Kuwyczko w zorganizowanym na szybko mityngu podziękował odjeżdżającym za dwuletnią pomoc i, życząc wszystkim szczęśliwej podróży oraz wszelkiej pomyślności w wolnym kraju, wyraził zgodę na wyjazd.

W tym transporcie wyjechał, po siedmiu latach poniewierki, mój kochany brat Antoś, wspominany pan Nowak z trzema chłopcami oraz wszyscy zesłańcy z gułagu Bichtuil, z którymi dwa lata wspólnie cierpiałem głód, chłód

i poniżenie. Chcę przypomnieć, że z tysiąca pięciuset zesłańców przywiezionych do Bichtuilu w 1940 roku większość nie przeżyła, o czym już pisałem w swych wspomnieniach przed pięcioma laty, w sześćdziesiątą rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej. W 1946 roku, po latach syberyjskiej katorgi, niewielu wróciło, a ci, którzy dożyli tej radosnej chwili, wracali do stron rodzinnych z nadwerężonym zdrowiem.

Wszystkie transporty z zagłębia donieckiego były skierowane na ziemie odzyskane, przeważnie w okolice Kłodzka i Wrocławia, a ci, którzy mieli swe rodziny w różnych miejscowościach Polski, opuszczali transport po drodze i, korzystając z pomocy placówek Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, podążali do swych najbliższych.

Wysłanie sześciu transportów do Polski było dla Staśka Niewińskiego, który niestety zmarł w Szczecinie przed piętnastoma laty, oraz dla mnie nie tylko zakończeniem żmudnej i bardzo odpowiedzialnej pracy, za którą najwyższą zapłatą był widok szczęśliwych i z radości płaczących ludzi, lecz także poczuciem wewnętrznego zadowolenia, że coś dobrego zrobiło się dla ojczyzny.

Ostatni transport wyprawiliśmy w czerwcu. Potrzebowaliśmy jeszcze kilku dni, by załatwić niecierpiącą zwłoki korespondencję, by podziękować osobiście w urzędach rejonowych i dyrekcjach sowchozów za współpracę i opiekę nad przesiedleńcami. Serdecznie pożegnaliśmy się z przewodniczącym Kuwyczką, który, będąc inwalidą, podchodził z empatią do cierpiących ludzi i w miarę swych możliwości zawsze nam wszechstronnie pomagał. Trzeba było również spakować grube teczki z agendą i wysłać je do ZG ZPP. Dopiero 10 lipca wyjechaliśmy do Moskwy, a początkiem sierpnia wróciłem do Polski, gdzie rysowała się dla mnie ciekawa perspektywa. W tym czasie ale już wiedziałem, że matka żyje. Otrzymałem od niej kilka listów, lecz w żadnym z nich mi nie napisała o śmierci ojca. Z rozbitej Warszawy pojechałem ze Staśkiem Niewińskim do Łodzi, gdzie mieszkało kilku jego znajomych. Stale nie mogłem jeszcze zadecydować o dalszym moim życiu. Były dni, że chciałem pozostać, lecz po kilku nieprzespanych nocach tęsknota za domem rodzinnym tak mnie zaczęła gryźć, że, nie zwlekając więcej, postanowiłem wyjechać z Polski i wrócić na Zaolzie. Po męsku pożegnałem się ze Staśkiem i jego przyjaciółmi i w ostatnich dniach sierpnia 1946 roku byłem już w domu, a za tydzień, pierwszego września, siedziałem w ławce ósmej klasy Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie.

FRANCISZEK SZOPA

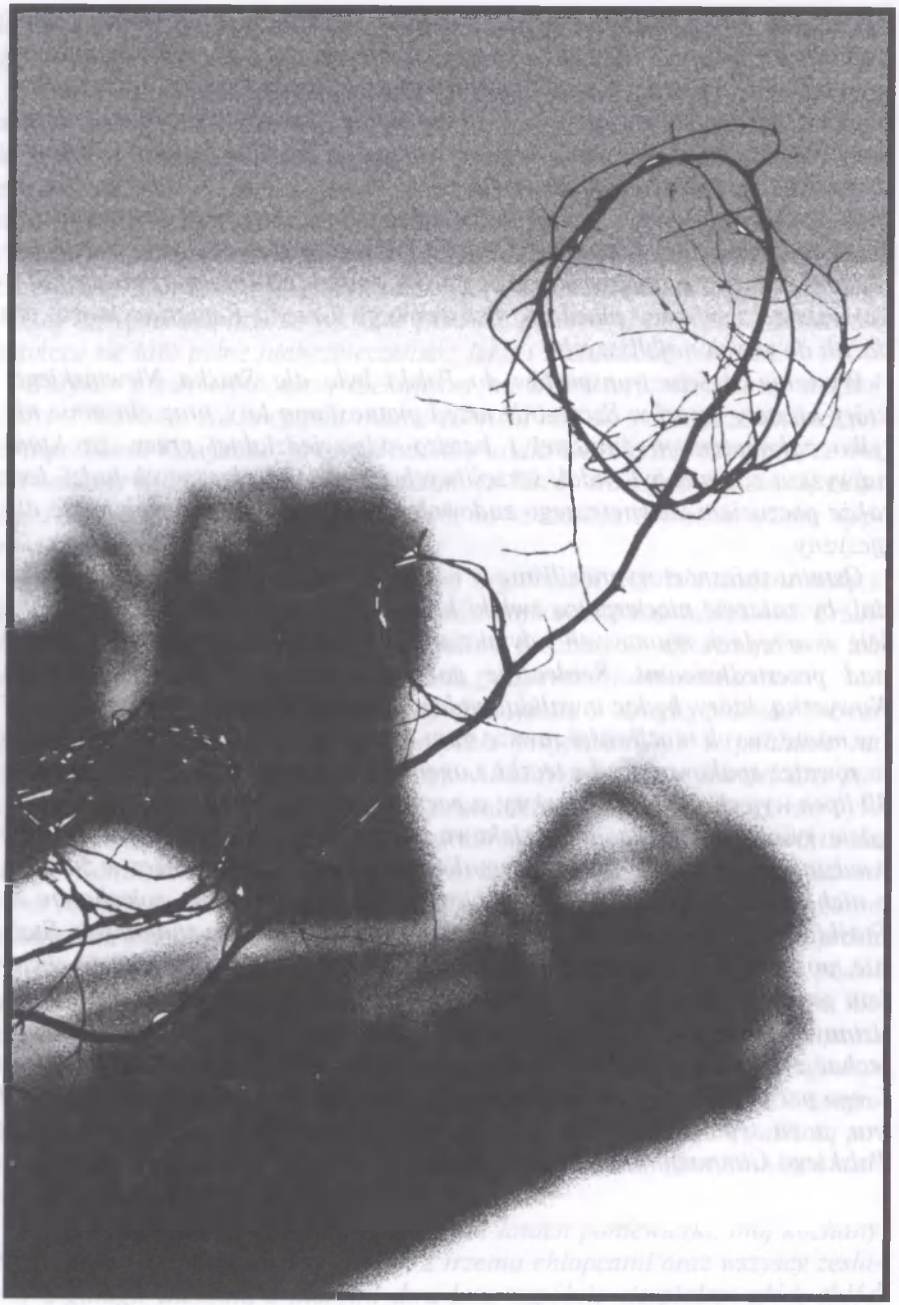


Foto-grafika FRANCISZEK BAŁON

DZIENNIK CZASU WOJNY

(fragmenty)

Piątek 18.10.1940

Ludność wieśniaczą, w barbarzyński sposób wysiedloną z Wadowickiego, nad Sanem napędzają do kopania rowów, robienia zasieków. Przed rokiem w Gdańsku i Berlinie objaśniał światu łotr, że było konieczne rozprawić się z Polską, aby raz na zawsze przestała zakłócać odwieczną przyjaźń niemiecko-rosyjską i pokój europejski. W tym też celu na tysiąc lat poprzez obszar krwią zbroczonej Polski "Internengrenze"... I oto ci prawie z Polaków, których brutal germański najstraszliwiej ukrzywdził, żywicieli rodzin pomordował lub w niewolę straszną pojmał, niewiasty hańbi, ziemię i strony rodzinne zabrał, chaty burzy i zaorywuje, ci właśnie najstraszliwiej dotknięci, pod grozą śmierci głodowej oraz rozstrzeliwującego za byle błahostkę "prawa" germańskiego, w rok po zbrodniczym rozbiorze hitlerowsko-komunistycznym Polski, ratować mają ową sławną granicę interesów niemiecko-rosyjskiej odwiecznej przyjaźni, czyli z nożem w sercu zabezpieczać łup jednego bandyty przed pożądliwością drugiego zbója. Czy jest język na świecie i znajdzie się kiedy człowiek, co słowami ujmie istotę zapędów tych iście apokaliptycznych bestii, ohydę najpiekielniejszej w dziejach narodów na polskim narodzie popełnianej zbrodni?!

Zaduszki, sobota 2.11.1940

"Za żołnierzy poległych w boju i zmarłych z odniesionych ran, za zmarłych w obozach jeńców, za dziesiątki tysięcy zabitych przez bomby mieszkańców miast i wsi, za zamęczonych w więzieniach i obozach koncentracyjnych, za tysiące rozstrzelanych, za zamarznięte na śmierć w wagonach wysiedleńczych kobiety i dzieci, za zmarłych z zimna na Syberii, z głodu w stepach Turkiestanu, za wszystkich, co życie położyli, walcząc za ojczyznę - dziś uroczyste nabożeństwo żałobne, w kościele polskim w Londynie, ksiądz biskup polowy Gawlina..." Więc także za Łukosza Augustyna, kolejarza z Łąk, komisarza staromiejskiego, posła na sejm śląski, przez długie lata patriotycznego działacza wewnątrz PSPR. Po udrękach skrochowickiego koncentrzaku

ponownie wywieziony, tym razem ze stacją końcową Mordhausen, odszedł za swą żoną, której trud życiowy i cierpienia więzienne ks. Taska zimą nad grobem i szpiclom w oczy głośno podniósłszy, zwiał, ku zmartwieniu Gestapo, do guberni czy gdzieś.

Poniedziałek 4.11.1940

Wbrew oficjalnemu na drzwiach ogłoszeniu "Polen - 31. Oktober" Polski w tym dniu jeszcze nie było. Za to odbyło się w budynku starostwa, obecnie kozigrodecki "Rathaus", wielkie zgromadzenie polskie, zdumiewająco liczne wobec przechwałek, jakoby Kozigródek miał przeszło 80% "Fingerabdrucków" z datą narodowościową "volksdeutsch". Może nawet procent nie fałszywy, ale w odniesieniu do "mniejszości" słowiańskiej; tak mniej więcej 55% Polaków plus 25% "Czechów" i innych. Zgromadzenie przeciągło się do dziś, kiedy to także matka otrzymała jej przypadające "P" - "Kleiderkarty", wszystko obrzezane. Nawiasem mówiąc, jeśli obrzezanie o 45 ze 150 punktów poniektórych zabolało, to samo mające zawstydzać "P" przyjęte zostało z humorem, rzekomo jako ostemplowanie na przydział dodatkowej pary papuci, czyli filcowych butów na zimę. Według bowiem odnośnej anegdoty, z prawdziwego zdarzenia, szły z urzędu aprowizacyjnego dwie przyjaciółki, gdy jedna z nich, "volksdeutsch", zauważyła u drugiej na kartach odzieżowych potężne pięciocentymetrowe "P". "Co to mosz za litere?" - pyta po naszemu. "Ale nic, toch se dała posztymplować na papucie!" - rzecze najspokojniej druga. "Jej, jo nimóm, to zaroz lecym, aby mi też dali!" - i pobiegła do "amtu", gdzie dopiero kobiecinę objaśnili, że to jeno Polaków tak malują, a na papucie trza osobno "Bezugschein".

Czwartek 19.12.1940

W nocy na niedzielę mróz dziesięciostopniowy pokrył swoim białym kwieciem okno pokojowe ponad werandą; zwietrzywszy na kominie, że piec odpoczywa, a właściciel pod pierzyną, nabrał odwagi i złożeniem takiej właśnie "jak śnieg białej" wizytówki podał śpiącemu urzędowo do wiadomości, że rozpoczyna tęgozimowe oblężenie. Wnet też, dysponując widocznie zaraz na wstępie posiłkami syberyjskimi, rozpoczął bez chwili wytchnienia ataki, dochodzące np. wczoraj w południe do minus czternastu stopni, zaś w nocy na dziś do minus dwudziestu. Wieje od ścian chłód, ale sam mróz, dzięki zapasom w piwnicy i srożącemu się w kącie piecowi, za murami wścieka się, skrzypi i strzela, a tak będzie chyba do wiosny. Lecz... ile w Narodzie Polskim

tej strasznej zimy, już drugiej zimy wojenno-okupacyjnej, takich szczęśliwców, co syci i nie bici wojną ani barbarzyńską okupacją doświadczać mogą zalet pierzyny, rozpalonego pieca, wreszcie wolności, mimo wszystko nie byle jakiej, bo w obrębie własnego pokoju i zasięgu jakich dwóch tysięcy kilometrów radiofoniczno-odbiorczych na zawołanie.

Sobota 21.12.1940

Przegrzeszone mrozisko w dalszym ciągu gwiżdże najbezczelniej na biadania ludzkie, na jęki, ból i płacz milionów marznących. Całą duszą bolszewik chyba ten mróz zeszło i tegoroczny, bo z jego postępowania widno, że Hitlerowi wygranej nie życzy i, zarazem, już w najlepszej z barbarzyńcą komitywie, o jak największe sponiewieranie i umniejszenie niebezpiecznej nacji polskiej usiłuje. Ale Bóg na niebie widzi śmiertelne zmaganie i cierpienia ludzi bezbronnych policzy, wspomoże słabe ramiona, wszystkiemu na przekór, walczące z wszystkich sił i środków. Gdyby tak jeszcze pewność, że niniejsza zima jest ostatnią zimą klęsk wojennych, mróz by wnet wespół z głodem mniej dolegał...

Sobota 26.4.1941

Ubiegłej jesieni grozili karą za mowę o nieuniknionej wojnie z Bolszewią, obecnie sami rozgadują się o konieczności, o bliskim dniu i jak to pójdzie łatwo, składnie; "Binnen zwei Wochen sind wir in Moskau!" - prowokują różne Parteigaunery i SA-manny. Tam zresztą zadowolą się osadzeniem rządu faszystowskiego i ustaw norymberskich, a dla siebie wezmą tylko Ukrainę, Kaukaz, Bałtyk, no i kolej transsyberyjską, euroazjaci. Jeno, że tam po drugiej stronie, prócz komunizmu i żydów, imperator rosyjski, ogromne przestrzenie i wolne ręce, niezatrudnione wojną z Anglosasami; więc dla ludzkiego oka nie ma na wschodzie widoków ani kompromisu, ani zakończenia "Feldzugu". Po prostu wojna na dwa fronty i centrum pod gradem bomb angloamerykańskich... O ile, ma się rozumieć, sami bolszewicy nie usadowią się np. w Prusach Wschodnich, choćby na jaki ten tydzień ewakuacyjno-dewastacyjny, żeby kiedyś Polsce snadniej było zaczynać pracę już konstruktywną; później mogłyby obydwa smoki poprzetrząsać sobie nawzajem kręgosłupy raczej gdzieś pod Moskwą.

Niedziela 6.7.1941

Teraz coś o tej drugiej, na największą historyczną miarę, agresji. Od chwi-

li jawnego wstrętu Sowietów wobec wkroczenia wojsk niemieckich do Bułgarii każdy trzeźwo myślący człowiek musiał wojnę niemiecko-rosyjską rozumieć jako rzecz obustronnie postanowioną. Kogo zaskoczył błyskawiczny spad wypadków bałkańskich, ale nie namówił na bajki o inwazji Anglii lub wielkim zagrożeniu Suezu, kto czytał między rządkami ostatnich wynurzeń gromowładnego Führera i widział na koniec, jak, dokąd przetaczają się kły, pazury niemieckiej machiny wojennej, ten mógł, jak to czyniłem ja, wbrew wszystkim innym sposobom palcem pokazywać na mapie i w kalendarzu. Wprawdzie mój termin opiewał na koniec maja i musiałem go z tygodnia na tydzień przesuwać; mimo to moment, w którym złapałem spoza wody wieść o wybuchu wojny, był jedyny dla mnie; radosny, słoneczny, nowonarodzeniowy! Jeno dla kontroli przełączyłem na Breslau, może to był "Sonder Donau", wszystko w porządku! Wprost rozkosznie było słuchać Ribbentropa, jak pośpiesznie, głosem dychawicznym i coś speszonym odczytywał straszne prawdy, o które z Führerem przez całe 22 miesiące swój głupiutki Herrenvolk okłamywali. Ale miast uważnie połykać zgorzkniałe, plugawe "Ribbentropfen" dobywam ze skrzynki wszystkie możliwe rejestry bolszewickie, rżną marsze, poza tym jakby nic; gonię wtedy własne myśli, aż oto i z duszy zaśpiewałem "Kiedy ranne..." Prawdę mówiąc, "historycznej" proklamacji Hitlera, pomimo jej powtarzania, nie słyszałem; najzupełniej wystarczyli mi na obiad Mołotów, zaś wieczór na "Dobranoc" - Churchill, złotousty reżyser!

Przez rozciekawionymi niemożliwie ludźmi zasłaniałem się tej pamiętnej niedzieli (22 czerwca) i przez szereg dni następnych takim oto obrazem alegorycznym: Leżała umęczona Polska, pozornie tylko martwa, w ciemnym grobie, "na zawsze" przywalona ogromnym kamieniem, w połowie brunatnym, w połowie czerwonym. "Polen wird nie! nie! nie auferstehn!", aż oto kamień srogi wzdłuż granicy swoich kolorów nagle pękł na dwoje, a jego czerwona połowa jęła się rozpadać w proch: pył... Niewątpliwie brunatni stróżowie Grobu będą usiłowali swoją połową otwór cały szczelnie zamknąć - na próżno! W letarg Pogrążonej nie grozi już uduszenie! Poprzez obszerne otwory Budząca się ze strasznego odrętwienia dostrzeże i niebo, i słońce! Przetrze tedy oczy, tchu w młodą nabierze pierś, kamień odwali i nogą na nim stanie Zwycięska, Potężna, Opromieniona! - W przedstawianiu zmienionej sytuacji, objaśnianiu wypadków, także deklaracji generała Sikorskiego z postulatami polskimi, przy stawianiu horoskopów powracałem nałogowo do tego obrazu. I na ogół podobał się.

DZIAŁALNOŚĆ SHR W 2004 ROKU I ZAMIERZENIA NA ROK 2005

Sekcja Historii Regionu ZG PZKO liczy 16 członków, w tym 13 aktywnych i 3 wspierających. W ciągu roku zrezygnowało dwóch (Radek Kupcza i Bronisław Walicki), nowym członkiem stał się Roman Baselides, redaktor Głosu Ludu. Funkcję prezesa pełnił Stanisław Zahradnik, protokoły pisał początkowo Józef Kula, od kwietnia Marian Steffek. Administrację załatwiał sekretariat ZG PZKO, częściowo Marian Steffek i Stanisław Zahradnik.

Programowe założenia SHR na rok 2004 w zasadzie spełniono. Szczegółowe dane i oceny zawierają protokoły zebrań, które otrzymują wszyscy członkowie SHR. Odbyło się 8 zebrań w pełnym składzie i dwa w węższym gronie, obecność w pierwszym wypadku 62%, w drugim 100%.

Na zebraniach wygłoszono 6 krótkich referatów, a następnie opublikowano je na łamach Zwrotu: Stanisław Zahradnik "Józef Chlebowczyk", Marian Steffek "Ernest Farnik", Stanisław Zahradnik "Emanuel Chobot", Józef Kula "Ernest Sembol", Józef Chmiel "Polska Szkoła Górnicza w Dąbrowie", Władysław Gałuszka "Dom Robotniczy w Stonawie".

24 V odbyło się Uroczyste Spotkanie z Otokarem Matuszkiem w związku z jego rezygnacją z długoletniego prowadzenia SHR z powodów zdrowotnych. Sekcja zapewniła mu z tej okazji Członkostwo Honorowe Macierzy Ziemi Cieszyńskiej oraz Dyplom Honorowy ZG PZKO.

27 IX miało miejsce wyjazdowe zebranie SHR w Stonawie. Po roboczej części Władysław Gałuszka przygotował zwiedzanie miejscowych cmentarzy katolickiego i ewangelickiego, Domu PZKO i Domu Robotniczego, a następnie pogawędkę przy ognisku w jego ogrodzie. Udane i miłe spotkanie, pierwsze tego rodzaju w SHR.

11 XI członkowie SHR wzięli udział w uroczystości odsłonięcia tablicy pamiątkowej Władysława Sikorskiego na budynku szkolnym w Nawsiu, Lidia Przeczek wygłosiła na ten temat referat.

Najpoważniejszą imprezą SHR, 13 XI, w Polskim Gimnazjum filii w Karwinie było seminarium nt. Grono profesorów i wychowawców Polskiego Gimnazjum Realnego im. J. Słowackiego w Orłowej oczyma uczniów i społeczeństwa. Dużym osiągnięciem było przygotowanie i wydanie z pomocą PCP w Czeskim Cieszynie materiałów sesji. Dyrektor

Ewa Hrnčíř dobrze przygotowała pod względem organizacyjnym spotkanie, Koło Macierzy Szkolnej zafundowało poczęstunek, obecnych - niespełna trzydziestka, brak absolwentów i przedstawicieli naszego społeczeństwa. Włożony trud nie przyniósł spodziewanych wyników.

W celu zaktywizowania kronikarzy PZKO opracował Stanisław Zahradnik zmodyfikowane instrukcje i opublikował w Zwrocie (10/2004).

Większość członków SHR kontynuowała swoją bogatą działalność społeczną i twórczą również poza sekcją. Podziękowania za pomoc i współpracę kierujemy pod adresem prezesa ZG PZKO inż. Zygmunta Stopy, sekretarki ZG PZKO Moniki Fójcik, Zwrotu, PCP i MUDr. Bogusława Chwajoła.

SHR jest przekonana, że działalność, której ciężar spoczywał na wąskim gronie jej członków, była pożyteczna, a obecnie, kiedy jej znaczenie jest nagminnie niedostrzegane, również bardzo potrzebna. Osiągano ją przy minimalnym obciążeniu budżetu związkowego, głównie własnym moralnym i materialnym wysiłkiem.

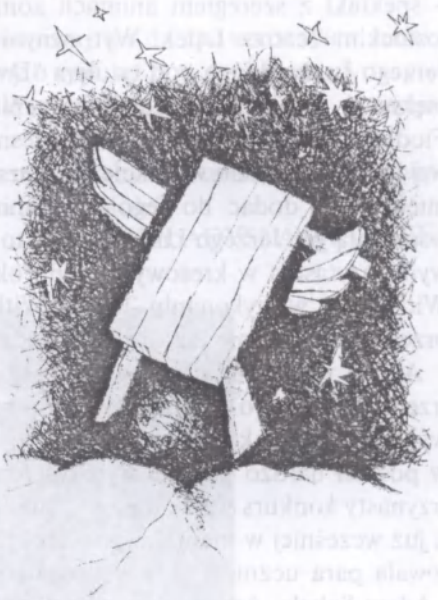
Ramowy program działania SHR PZKO w 2005 roku:

1. Jubileusz 40-lecia SHR, główna impreza, powinien obejmować:
   a/ seminarium z międzynarodowym udziałem;
   b/ wydanie publikacji jubileuszowej, obejmującej 40-letni dorobek SHR;
   c/ wniosek na odznaczenia członków SHR.
2. 4-5 krótkich referatów, z okazji okrągłych rocznic pomijanych zasłużonych działaczy i organizacji zaolziańskich, wygłoszonych na zebraniach SHR i publikowanych w Zwrocie.
3. Dwie wycieczki krajoznawcze.
4. Nabór nowych członków SHR i usprawnienie działalności.
5. Współpraca z Sekcją Ludoznawczą ZG PZKO, Ośrodkiem Dokumentacyjnym KP, Zwrotem, Głosem Ludu i innymi organizacjami.
6. Służenie ZG PZKO według aktualnych potrzeb i możliwości SHR.

Warunkiem wcielenia w życie wytyczonego programu jest przychylność władz związkowych, niezbędna pomoc administracyjno-organizacyjna sekretariatu ZG PZKO i oczywiście kondycja członków SHR.

STANISŁAW ZAHRADNIK

O KRESOWYM STOLE - CZYLI BIAŁOSTOCKIE SPOTKANIE Z RECYTACJĄ PO RAZ TRZYNASTY



Duży, surowy. Zbity z masywnych desek. Towarzyszy recytatorskim zmaganiom już trzynasty rok. Może lekko się postarzał, ale emanuje z niego nadal wewnętrzny blask wzajemnego pojednania i zrozumienia. W odróżnieniu od milionów innych - bardziej lub mniej mu podobnych - posiada jedną cechę szczególną, bardzo niecodzienny jak dla tego typu mebla atrybut - SKRZYDŁA.

Mowa tu o symbolu Kresów "Stole-Pegazie", który na różne sposoby był już wykorzystywany przez młodych miłośników poezji w czasie grudniowych spotkań w Białymstoku.

W tym trzynastym już z kolei finale zasiadło przy nim wraz ze swoimi opiekunami i instruktorami dwudziestu sześciu recytatorów z dziesięciu krajów.

Dania na stole były przeróżne i przebogate. Do ciekawszych trzeba zaliczyć inaugurujące imprezę spotkanie ze Świętym Mikołajem, wieczór ze studentami drugiego roku Wydziału Sztuki Lalkarskiej Akademii Teatralnej im. A. Zelwerowicza, którzy pokazali kresowiakom fragmenty opracowywanych aktualnie etiud, elementy zajęć szkolnych i dodali też coś dla ciała - pyszny bigos i arcypikantny barszczyk. Interesującymi daniami były również wycieczka do Tykocina, spektakl pod tytułem "Et cetera" w wykonaniu Teatru K3. Tradycyjna Wigilia Polska w salach Muzeum Podlaskiego, dzielenie się kresowym opłatkiem wywołało falę wspomnień, zaostrzyło apetyty i kulminowało wspólnym kolędowaniem. Powiało iście świąteczną atmosferą.

Następnego dnia karta dań odkryła przed uczestnikami kolejne niespodzianki. Bardzo smaczny okazał się "Sklep z zabawkami" Alexandra Popescu

- spektakl z szeregiem animacji komputerowych, zaprezentowany w Białostockim Teatrze Lalek. Wytrawnym smakołykiem okazał się monodram Jerzego Łazewskiego pod tytułem "Dwa razy dwa cztery, czyli wszystko co piękne i wzniosłe". Zderzenie genialnych psychologicznych portretów Fiodora Dostojewskiego ze współczesnością, zwłaszcza w warstwie dźwiękowej i wizualnej, dało w efekcie majstersztyk, który na długo pozostanie w pamięci. Jeśli dodać do tego spontaniczną, wyrazistą, ... jednym słowem wspaniałą grę Jerzego Łazewskiego, to po prostu "palce lizać". Ale prawdziwym rarytasem w kresowym menu okazał się "Caligula" Alberta Camusa. Widowisko w wykonaniu Teatru Witkacego z Zakopanego. Widowisko - przeżycie. Wrażenie tak duże, że trudno go ująć w słowa.

Ale to jeszcze nie koniec wybranych dań na kresowym stole. Przecież trzeba pamiętać o najważniejszym - recytatorach. Więc były też spotkania, wykłady, próby, konkursowe emocje, spotkanie z jurorami i świetny finał w postaci bardzo pięknie wyreżyserowanego koncertu galowego. Tak więc trzynasty konkurs wcale nie był pechowy. Widocznie organizatorzy odpukali już wcześniej w niemalowane dechy opisywanego stołu. Zaolzie reprezentowała para uczniów czeskocieszyńskiego gimnazjum - Marysia Molenda i Adam Sabela. Adam widocznie ze względu na to, iż jest: "wątły i nieatrakcyjny dla kobiet", jak twierdzi w wybranym przez siebie tekście Mrożka, podbił serca widzów i zdobył nagrodę publiczności oraz wyróżnienie. Marysia Molenda stanęła na podium i zajęła trzecie miejsce. Dała znać o sobie dobrymi tekstami oraz ambitnym i dojrzałym wykonaniem. Grand Prix XIII Kresów za sprawą Weroniki Łakis powędrowało na Litwę.

Ale czas szybko mija. Przy suto zastawionym stole i w dobrym towarzystwie nawet odrobinę za szybko. Na zakończenie pragnę jeszcze dodać kilka okruchów:

Okruch pierwszy.

Stół, to przede wszystkim element otwartości, pojednania, wspólnoty. Niechaj łączy on kresowiaków tak, jak łączy ich sama pierwotna idea Kresów, jak łączy ich skarbnica polskiej poezji. Skarbnica otwarta na oścież, otwarta na teksty ulotne, liryczne, poważne, ale też na wiersze trudne, drażniące i polemiczne.

Okruch drugi.

To przy stole najczęściej zapadają decyzje, postanowienia i werdykty. Niechaj te "kresowe" będą zawsze rzetelne, bez podtekstów i "polityki". Bowiem w recytacji ważna jest szczerość i naturalność, ważna jest treść, a nie zewnętrzna otoczka. Ważne jest to, co trafi do odbiorcy. A wiadomo, że najpełniejsze emocje wywoła czyste, niczym nieskalane słowo.

Okruch trzeci.

Jeżeli darzymy szacunkiem stół, powinniśmy też darzyć szacunkiem ludzi, którzy się przy nim zbierają. Pamiętajmy o tym, że przy tym Kresowym spotykają się najczęściej ludzie myślący. Wysłuchajmy uważnie tego, co mają nam do powiedzenia.

Życzę więc organizatorom w Białymstoku, żeby na Kresach pod każdym względem i zawsze było "równo, równo jak po stole".

WŁADYSŁAW KUBIEŃ



Mikołaj na Kresach



W czasie kresowej Wigilii

Ilustracja i fotografie autor



Przed wejściem na scenę

Jurorzy i publiczność



Marysia Molenda



Adam Sabela z nagrodą publiczności

KONCERT ŚWIĄTECZNY

Grudniowe dni do Świąt Bożego Narodzenia na Zaolziu obfitowały w akcje kulturalne. I mimo ich obfitości i gorącego okresu przedświątecznego nigdzie nie zabrakło ludzi chętnych do pomocy i publiczności.

Tuż przed świętami 19 grudnia w Domu Kultury Trisia w Trzyńcu odbył się tradycyjnie już Koncert Świąteczny z udziałem naszych zespołów folklorystycznych. Trzeba szczerze powiedzieć, że warto było poświęcić czas i poddać się wzruszeniu, którego przysporzył wszystkim jego uczestnikom. Wielka w tym zasługa Zespołu Pieśni i Tańca Olza, a przede wszystkim jego kierowniczki organizacyjnej (wszystkich do-



tychczasowych edycji koncertów) Urszuli Niedoby-Szczepaniak. Bo nie ulega wątpliwości, że bez jej bezgranicznego zaangażowania w organizację, ale i reżyserię całości, koncert nie miałby tej niezwykłej ekspresji i atmosfery. Kompozycję całości udało się organizatorce zamknąć w klamry widowiska, w którym zaprezentowane zostały różnorodne stylistycznie pokazy dorobku wszystkich naszych zaolziańskich zespołów. Wystąpili Błędowianie z Błędowic, Bystrzyca i Łączka z Bystrzycy, Górole z Mostów k. Jabłonkowa, Oldrzychowice i Tyrka z Oldrzychowic, Olza z Czeskiego Cieszyna, Skotnica z Orłowej, Suszanie z Suchej Górnej, Zaolzi i Zaolzioczek z Jabłonkowa, kapele zespołów i Kamraci. Całość poprowadził Tadeusz Filipczyk. Śpiewano kolędy, a jedną z najpiękniejszych, "Ej maluśki, maluśki", zaśpiewała z akompaniamentem kapeli Góroli Urszula Niedoba-Szczepaniak.

W przerwie w foyer sali koncertowej można było nabyć płyty zespołów i świąteczne smakołyki przygotowane przez zespoły. Wszystkie były smaczne i zachwycające estetyką, ale nie sposób nie wyróżnić piernikowych ozdób na choinkę sprzedawanych na stoisku Olzy, które wzbudzały podziw wirtuozerią wykonania.

Na zakończenie koncertu tradycyjnie łamano się opłatkiem, a wszyscy śpiewali kolędę "Cicha noc".

E.S.















BAL GOROLSKI

„Zaś tu je ciasno" – usłyszałem, próbując się w sobotę 8 stycznia przedostać do wnętrza Domu Kasowego – teraz PZKO – w Mostach koło Jabłonkowa ładnych kilka minut przed oficjalnym rozpoczęciem przeglądu zespołów, poprzedzającego ten wielki, już prawdziwie międzynarodowy Bal.

Kiedy wreszcie przedarłem się za scenę – już grali. Na kartce na ścianie przeczytałem kolejność występujących zespołów: Polynica, P. Capek, Górole, Friš, Zemplin, Nowina, Šmyknia, Wałasi, Zakopane, Vtáčník, Polana, Zemplin. Zauważyłem, że słowacki zespół Zemplin, który przyjechał do Mostów z najdalszych stron, i po raz pierwszy, jest w spisie dwa razy. Jak się potem przekonałem, w pełni na to zasłużył. I jak mawiają – „to najlepsze na koniec" – też się potwierdziło, w oklaskach bez końca.









Kapele nie występowały tylko w przeglądzie, grały potem, jak zawsze, we wszystkich zakątkach Domu PZKO. Grały do rana, wszystkim, bez różnicy, skąd przyszli, kim są. Jak wiadomo, Bal Gorolski jest balem w strojach ludowych. I w tym roku można było zauważyć, że przybywa strojów z prawdziwego zdarzenia, nie pożyczanych, a coraz częściej (wcale nie tanio) szytych według oryginalnych wzorów, kupowanych dla siebie. W pięknych strojach regionalnych pokazali się na balu nie tylko członkowie i kierownicy naszych zespołów, lecz także znaczący przedstawiciele branży, które z folklorem nie mają nic wspólnego, bo tu chyba nie o branże chodzi, ale o ludzi właśnie. Tak więc między innymi był w stroju góralskim dyrektor huty trzynieckiej Jerzy Cienciała z żoną, a z drugiego końca Zaolzia w stroju orłowskim znany lekarz, ordyna-







tor Bogusław Chwajol z żoną, również lekarką, i również w stroju ludowym.

I w tym roku ewenementem przeglądu przed balem była obecność naszej przyszłości – dzieci w strojach ludowych. One też były gwiazdami obiektywów licznych reporterów i kamerzystów.

O Balu Gorolskim było w tym roku jeszcze głośniej niż zwykle. Obok wielu relacji w Głosie Ludu dużo miejsca poświęciła mu ostrawska rozgłośnia Czeskiego Radia, telewizja, też prasa czeska. Zanim ta piękna, pełna tańca, muzyki i tradycji, jakże kolorowa impreza mogła się znaleźć w waszym miesięczniku, upłynął miesiąc. Ci, którzy byli, nie zapomną, kto nie był, usłyszał, przeczytał. Więc znowu tylko zacytuję: „Co tu mówić, to trzeba widzieć". Więc popatrzcie, chociaż na to niewiele, co może pokazać w swej kronice naszych wydarzeń Zwrot.

F.B.







BABSKI BAL

Sezon balowy zaczął od pewnego czasu ubożeć. Ubywa balów, a jednak są bale, i do tego inne, niezwykłe. Jeden z tradycyjnych i jakże ciekawych balów zaistniał na nowo w ubiegłym roku w Błędowicach.

Obszernych informacji o Babskim Balu udzielił Zwrotowi Stanisław Kołorz: *Tradycja Babskich Balów rozpoczęła się w Datyniach w roku 1928. Wtedy organizowała je Macierz Szkolna. Od tamtego roku odbywały się regularnie aż do wybuchu drugiej wojny światowej. Po wojnie, w roku 1949, tradycję tych datyńskich balów wznowiło nowo powstałe Miejscowe Koło PZKO. Odbywały się potem znowu co roku aż do połowy lat osiemdziesiątych, kiedy to warunki lokalowe i liczebne datyńskiego Koła PZKO nie pozwalały już na ich organizowanie. Nie przestała jednak istnieć grupa zapaleńców, którzy czują potrzebę utrzymywania tradycji dziadków. Wywodzą się z MK PZKO w Datyniach, Błędowicach i okolicy, także z Macierzy Szkolnej.*

Dzięki tej grupie Babski Bal zaistniał po długiej przerwie na nowo, w roku 2004, w błędowickim Domu PZKO.

Można go nazwać kameralnym, a jednak robi furorę, przyciąga młodych i starszych nie tylko z bliskiej okolicy. Na pewno ucieszyłby niezmiernie i założycieli tej tradycji. Na tym balu jest bowiem wszystko, co bywało na dawnych balach. Wieść o Babskim Balu dotarła i do Telewizji Katowickiej, której ekipa także gościła na imprezie.

W sobotę 15 stycznia w Domu PZKO w Błędowicach wrzało. Babski Bal jest inny, też pięknie inny dla panów: cały czas do tańca proszą panie, panowie mieli szansę zaprosić panie po raz pierwszy dopiero o godzinie 23.00. Zaczęło się odśpiewanym przez panów-organizatorów „hejnałem balu". Program prowadziły panie-wodzirejki. Na balu wystąpił zespół Błędowianie ze swym programem balowym. Wszyscy niecierpliwie czekali na występ znanego z balu przed rokiem „zespołu baletowego" z pamiętnym kankanem z Molin Rouge. W tym roku ten męski ansamble zapowiedział występ Baletu Teatru Bolszoj z Moskwy. I „dotarli", i pokazali „Jezioro łabędzie". Określenie, że wszyscy ryczeli ze śmiechu i ręce bolały od oklasków, nie jest bynajmniej przesadą. Wtajemniczeni może wiedzą, że już zaistniało męskie wykonanie tego baletu przez Anglików. W Błędowicach to jednak byli inni panowie, nieco starsi i potężniejsi, i na pewno umiejący urządzić zabawę nie lada! Oklaski im się w pełni należały nie tylko za niezwykły pomysł, również za swobodę i odwagę.

Do głównych atrakcji balu należał dzwon spuszczany na tańczące pary, pod którym panowie mogli dostać całusa i zyskać bon. Największa ilość zebranych bonów dawała tytuł Lwa Balu, którego wybrano o godzinie 23.













Nie zabrakło na Babskim Balu poczęstunku – bar w piwnicy (gdzie, zdaje się, było więcej gości) nazwano Kremlem, ten na piętrze zaś Białym Domem. Nie zabrakło ciastek i bardzo smacznych, naprawdę domowych pączków. W kuchni krzątały się zasłużone panie. Kolację można było wybierać z czterech proponowanych dań. Obok tradycyjnych, jak kotlet panierowany czy kurczak, była „datyńska róża" z wołowiny, z świetnie podanymi ziemniakami i surówkami. Obawiający się choroby wściekłych krów niech żałują, bo to danie było „wściekle" smaczne już dla oka, a co dopiero dla podniebienia.

Staro-nowy Babski Bal można gorąco polecić jako wzór świetnej zabawy, która była tu już dawno temu i może być nadal.

F.B.













NOWE WŁADZE PTM

3 grudnia odbyło się w Czeskim Cieszynie zebranie sprawozdawczo-wyborcze Polskiego Towarzystwa Medycznego w RC. Ważnym punktem obrad był wybór nowego zarządu tej organizacji na następną czteroletnią kadencję. Na czele nowej Rady PTM stanął Jan Karczmarczyk, wiceprezesem został Józef Słowik, w skład Rady weszli ponadto: Maria Suchanek (skarbnik) oraz dotychczasowy prezes Romuald Gąsior i Irena Martinek.

(red)

TEATR LALEK BAJKA GRA TAKŻE Z WIELKĄ ORKIESTRĄ ŚWIĄTECZNEJ POMOCY

Teatr Lalek Bajka, znany od dziesięcioleci małym i dużym mieszkańcom Zaolzia, występuje na swojej macierzystej scenie na poddaszu budynku Zarządu Głównego PZKO w Czeskim Cieszynie przy ulicy Strzelniczej oraz jeździ do szkół i przedszkoli rozrzuconych po całym regionie zaolziańskim. Na zaproszenie Miejscowych Kół PZKO także umila prezentowaniem swoich spektakli imprezy pezetkaowskie. W tym sezonie zagrał przedstawienie "Wyrwidąb i Waligóra" 24 października w MK PZKO w Karwinie Starym Mieście, 21 listopada w MK PZKO w Bystrzycy, 2 grudnia dla Klubu Kobiet MK PZKO w Karwinie Raju, 9 grudnia w PZKO w Cierlicku, a 8 stycznia w PZKO w Kocobędzu Ligocie.

Ponadto widzowie IV Festiwalu Teatrów Moraw i Śląska obejrzeli 12 listopada przedstawienie Bajki "Kozalinka". Pod koniec tego samego miesiąca czekał Bajkę wyjazd do Pragi na zaproszenie Klubu Polskiego, 26 listopada zaprezentowała tam przedstawienie "Wyrwidąb i Waligóra". Tę samą sztukę wystawiła na macierzystej scenie 3 grudnia podczas wieczornego spotkania z Bajką połączonego z imprezą mikołajkową. A 7 grudnia zagrała dla rodziców przedszkolaków z Trzyńca. To wszystko były przedstawienia dla widzów, którzy na co dzień nie korzystają z abonamentu Bajki.

Ale Teatr Lalek Bajka dokłada również wszelkich starań, by poznali go widzowie z drugiej strony Olzy. Że są tacy, którzy znają Bajkę i chcą ponownie obejrzeć, tam na miejscu u siebie, świadczą zaproszenia, które płyną do teatru z Polski.

Niedługo przed pierwszą w tym sezonie premierą, którą 12 października było przedstawienie "Wyrwidąb i Waligóra", zagrał Teatr Lalek Bajka w Cieszynie. 4 października w Teatrze im. A. Mickiewicza dwukrotnie wystawił "Pinokia". 7 listopada pokazał "Kozalinkę" w Rybniku, a 25 listopada "Pinokia" w Katowicach. W okresie świątecznym zawitała Bajka do Żywca, gdzie 27 grudnia w Klubie Śrubka zagrała przedstawienie "Wyrwidąb i Waligóra". Nie zabrakło Bajki 9 stycznia podczas XII Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, zagrała razem z nią w Domu Kultury w Oleśnie, prezentując "Wyrwidęba i Waligórę". Rybnik gościł Bajkę ponownie 16 stycznia, kiedy w Teatrze Ziemi Rybnickiej zaproponowała widzom "Pinokia". Zaś w ostatnią niedzielę stycznia zagrał teatr "Kozalinkę" w Domu Zdrojowym w Jastrzębiu.

C.R.





WIESŁAW JANUSZ MIKULSKI

z cyklu „Wiry słońca"

OGRÓD Z OLIWNYMI DRZEWAMI

Twoje ogrody
zroszone są deszczem
nieba owoce Twoich
ogrodów o smaku samotności
rumienią się w gorącym słońcu
i Twoje zmęczone Serce
cieszy się ich cieniem
i Twoje zmęczone nogi
chłodzą skały wśród
zroszonych drzew ...

. . . MIŁOŚĆ

tyle miłości
jesiennych liści
gwiazd dalekich roje

tyle miłości
pospieszny liścik
i każdy mówi swoje

tyle miłości
błędów uniesień pustych
jak po młocce kłosy
tyle miłości
gwiazd dalekich roje
jak kropel rosy ...

z cyklu „Wodospady miłości"

* * *
na dworze deszcz
na dworze wiatr
muzykę grają rzewną

na dworze wiatr
płaczliwy wiatr
i deszcz łkający nade mną

na dworze deszcz
na dworze łzy
i smutek płynie z nieba

na dworze wiatr
rozprasza sny
i niesie je ulewa ...

* * *
wypijam kielichy światła
jedne po drugich
- dni złotą słodycz

dla Ciebie

* * *
I

dzielą nas
kamienne kręgi lęków
nie gwiazd
dzielą nas
kamienne kręgi bólów
zadanych otrzymanych

II

mostem jest prawda
i miłość

PAMIĘTAJ ŻE

pogrzeb jednego z nas
nie zatrzymuje życia świata

ale życie poświęcone światu
jest Twoim wiecznym życiem - -

BOŻE (II)

Jeśli odnajdziemy własną miłość
to tylko w Tobie

jeśli odnajdziemy życia
tego sprawiedliwość
to tylko w Tobie

jeśli odnajdziemy własne
szczęście
- to tylko jedynie w Tobie ...





Fot. TC - WIESŁAW PRZECZEK

CHŁOP Z MORGAMI I PROFILEM JANOSIKA

Niecodziennie zdarza się, by widzowie Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie oglądali w swoim przedstawieniu abonamentowym prawdziwą "gwiazdę". Gwiazdę, czyli aktora nie tylko utalentowanego, ale przede wszystkim popularnego, występującego w telewizji i znanego dzięki temu szerokiemu ogółowi społeczeństwa. By mieli okazję porównać wizerunek ekranowy aktora, często utożsamianego z postacią z filmu, a zwłaszcza serialu, w którym grał, i swoje wyobrażenia o tym aktorze z nim samym na scenie, żywym, z krwi i kości, nie na ruchomym obrazku, lecz oddzielonym od widzów jedynie rampą, umowną czwartą ścianą.

Taka okazja nadarzyła się w tym sezonie, nie lada gratka dla mieszkańców Zaolzia, widzów abonamentowych i takich, których byle przedstawienie i byle aktor Sceny Polskiej nie ruszy z wygodnego fotela przed telewizorem i nie zaciągnie do teatru prowincjonalnego, a także ich rodaków z prawego brzegu Olzy, którym nie jest nieznana droga do polskiego teatru w Czeskim Cieszynie albo którzy ją właśnie odkryli. W przedstawieniu "Dwie morgi utrapienia" Marka Rębacza (premiera 8.1.2005) zaprezentował się widzom Sceny Polskiej Marek Perepeczko.

Marka Perepeczkę nazwał kiedyś wybitny, nieżyjący już krytyk filmowy Konrad Eberhardt aktorem, który budzi w ludziach zaufanie i sympatię. Pozytywne postacie przeważają w jego filmowej biografii. Potwierdzającym pewnie tę regułę wyjątkiem wśród głównych ról jest gwałciciel i morderca w powtarzanym często, ku przestrodze, w telewizji czeskim filmie "Śmierć autostopowiczek". Perepeczko zapisał się w pamięci szerokich rzesz kinomanów i telemaniaków wieloma rolami drugoplanowymi w filmach współczesnych i historycznych, ale najczęściej kojarzony jest z serialem o Janosiku, gdzie zagrał postać tytułową. Węższemu, siłą faktu, gronu widzów znany jest jako aktor teatralny, między innymi także widzom teatru w Czeskim Cieszynie, gdzie w czerwcu 2002 roku gościł Teatr im. A. Mickiewicza z Częstochowy, wystawiając "Rewizora" Mikołaja Gogola z Markiem Perepeczką w roli głównej.

Warunki fizyczne zawsze predysponowały Marka Perepeczkę do ról silnych mężczyzn. W roli Mariana Koseli w przedstawieniu "Dwie morgi

utrapienia" siła fizyczna bohatera idzie w parze z tęgim umysłem, który pozwala brać udział w nierównej i bezwzględnej walce z obcym kapitałem, przechytrzyć go i odnieść zwycięstwo. "Chłopski rozum" to jednak potęga i nie trzeba się obawiać o jego właściciela. Sztuka jest współczesną komedią satyryczną, zawiera wiele trafnych obserwacji obyczajowych, ważnym jej tematem są stosunki, jakie łączą dorosłe już dzieci z rodzicami.

Sztuka Marka Rębacza miała swoją prapremierę na scenie Teatru Kwadrat w Warszawie w 1997 roku w reżyserii Jana Kobuszewskiego z Janem Kobuszewskim, Hanną Zembrzuską, Pawłem Wawrzeckim w rolach głównych, potem było wystawienie za granicą - w Słowenii, a przed dwoma laty pod opieką reżyserską Jana Kobuszewskiego w teatrze w Częstochowie z Markiem Perepeczką, asystentem reżysera, w roli Mariana Koseli. Do Czeskiego Cieszyna przeniósł ją Marek Perepeczko z Częstochowy, podjąwszy się roli reżysera spektaklu i głównego protagonisty. Wcześniej zrobił to także w Płocku. Stało się tak trochę po starej znajomości, gdyż Marek Perepeczko kończył studia aktorskie w Warszawie razem z dyrektorującym w Teatrze im. Szaniawskiego w Płocku Markiem Mokrowieckim, szefującym w Teatrze Cieszyńskim Karolem Suszką, jak również z grającą w przedstawieniu czeskocieszyńskim Genowefę, żonę Mariana Koseli, Janiną Buławą. A było to przed czterdziestoma laty.

Pod kloszem wielkiej szklarni rozgrywają się zdarzenia będące treścią komedii. Za oknami obok ruchliwej jezdni stoi stacja benzynowa tajemniczego Greka Papasa. Stół z krzesłami, kanapa, na której mieści się (na siedząco) cała rodzina, kredens z barkiem, na którym leży walizka z dokumentami i pieniędzmi, to wystarczające umeblowanie miejsca akcji. Scenografię i kostiumy do przedstawienia wymyślił Jerzy Gorazdowski, autorem opracowania muzycznego jest Zdzisław Zubziakowski.

W sztuce występuje sześć postaci. Prym wiedzie ojciec rodziny Marian Kosela, chłop, mówiący chrapliwym, nieznoszącym sprzeciwu głosem, przywiązany do swoich mórg, który uknuł misterny plan, jak sprowadzić do domu niesforne, dorosłe już dzieci. Sekunduje mu żona Genia, popierająca go w tych planach, wierna w sprawach zasadniczych, niby posłuszna i wpatrzona w męża. Marzenia dzieci są zupełnie inne. Czekają, kiedy ojciec zapisze im majątek, by móc sprzedać tę ziemię w środku miasta, bo kupcy już czekają. Syn Józek (Janusz Kaczmarski) to lekarz ginekolog lubiący damskie towarzystwo, porywczy i gwałtowny, ale gotowy ustatkować się, by tylko osiągnąć cel. Córka Zosia (Lidia Chrzanówna), sekretarka, chciałaby wyjechać za granicę, ale nade wszystko pragnie wreszcie mieć męża. W rodzinie tej znajdzie swe miejsce także adwokat

Mytnik (Mariusz Osmelak), który jako pełnomocnik Papasa przychodzi, by kupić morgi Koseli. Najmłodszą osobą, ale równie jak inni w tym gronie przebiegłą, jest Krysia (debiutująca w Scenie Polskiej Katarzyna Anna Małolepsza), daleka krewna Koselów, która przybywa do nich, by pomóc w pracy na roli. Intryga Koseli oczywiście powiedzie się, ale widz może się czuć nieco zaskoczony niespodziewanym finałem.

Cały urok tej komedii mieści się w dialogach. Gdy płyną one wartko, a riposty celnie trafiają w przeciwnika, przedstawienie odnosi sukces. Podczas czeskocieszyńskiej premiery było trochę pustych miejsc, przejęzyczeń, jakby onieśmielenia w kontakcie z "gwiazdą", a Marek Perepeczko jak dobroduszny ojciec patrzył na to z wyrozumiałością i pewnie nadzieją, że to szybko minie. Bo nie ma w tym przedstawieniu źle zagranych ról i warte jest obejrzenia, nie tylko przez właścicieli mórg czy ich potencjalnych nabywców, ale także przez rodziców, a przede wszystkim dorosłe dzieci, którymi przecież wszyscy jesteśmy.

CZESŁAWA RUDNIK

OLZA NA ZAMKU W PSZCZYNIE

W ramach Roku Niepodległości Czynu Zbrojnego Wojska Polskiego prezydium Zarządu Okręgu Śląskiego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Katowicach zorganizowało 7 stycznia b.r. opłatek kombatancki w Sali Lustrzanej Muzeum Zamkowego w Pszczynie. Wśród zaproszonych kombatantów znalazła się delegacja z Zaolzia w osobach Bronisława Firli i Jana Gazura. Na uroczystości gościł kierownik Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, minister Jan Turski z Warszawy oraz konsul generalny Republiki Czeskiej w Katowicach Josef Byrtus. Uroczyste spotkanie na zamku weteranów, byłych żołnierzy AK, uświetniły występy ZPiT Olza, które mogły dojść do skutku dzięki prezesowi Górnośląskiego Oddziału Stowarzyszenia Wspólnota Polska w Katowicach Stefanowi Gajdzie. Olza wzbudziła zachwyt. I nie po raz pierwszy okazało się, że mimo bliskości i otwartości granicy kulturalny dorobek Zaolzia jest wciąż mało znany.

E.S.

BOŻENA BOCZARSKA

ANNA JUŻ TU NIE MIESZKA

(fragment)

Rozdział 11

Poród przebiegał nadspodziewanie sprawnie, ale Anna rozczarowana była zarówno płcią dziecka, jak i jego wyglądem. Czekała na śliczną dziewczynkę, a tymczasem urodził się chłopczyk z oczami jak szparki, bez brwi i rzęs, chudy, pomarszczony i łysy.

Mający za sobą doświadczenie ojcowskie Wojciech pocieszał ją, że te, jak mówi Anna „worki" pod oczami, to cecha większości noworodków. Najładniejsze są te, które przychodzą na świat drogą cesarskiego cięcia.

- Zobaczysz Aniu na jakiego przystojniaka wyrośnie nasz Marcinek - powiedział, nadając tym samym imię dziecku, które Anna z radością zaakceptowała.

Pani Helena, kiedy otrzymała od syna telegram, przyjechała natychmiast pełnić opiekę nad matką i dzieckiem, ale okazało się, że zdrowie pozwala jej jedynie na ugotowanie obiadu, wydanie kolacji i śniadania i udzielanie dobrych, serdecznych rad dotyczących pielęgnacji noworodka.

Teściowa przekroczyła już siedemdziesiątkę, jednak jej kondycja fizyczna była o wiele gorsza niż kondycja mamy.

Za to psychicznie i emocjonalnie - „Och" - marzyła Anna - „dlaczego moja mama nigdy nie była taka otwarta na świat, ludzi, czuła i kochająca?" Anna nie tylko polubiła teściową, ale pokochała ją całym sercem, zresztą z wzajemnością. Podziwiała u matki Wojciecha jej życiowy optymizm, szczerą uśmiechniętą twarz i życiową mądrość. Wiedziała, że starsza pani jest poważnie chora na serce (obydwoje zadbali tu, w Bielcu, o opiekę lekarską), a mimo wszystko nigdy nie narzekała i nie męczyła otoczenia swoimi dolegliwościami. Gdy tylko minęło najgorsze i Anna uzyskała pełnię sił, a Marcinek zakończył nocne „koncerty", to ona wzięła pod opiekę teściową, wystarczyło jej miłe towarzystwo starszej pani i jej ciekawe opowieści wzięte z życia.

Od rodziny miała skąpe wieści, wprawdzie rodzice przysłali tele-

gram gratulacyjny z okazji narodzin wnuka i nadesłali jeden list, ale to było wszystko, co dali Annie.

Basia zadzwoniła raz i mimo serdecznych zaproszeń ze strony młodszej siostry nigdy się w Bielcu nie pojawiła.

Anna po raz kolejny przekonała się, że w życiu musi liczyć przede wszystkim na siebie, ale teraz było jej łatwiej, miała kochającego męża i jego matkę.

Jednak wizyta pani Heleny dobiegała końca, była pełnia wiosny, a ona chciała uporządkować swój ogródek i wrócić na swoje kąty, bo starsi ludzie najlepiej czują się na własnych śmieciach, choćby były gorsze od tych, które im inni oferują.

Zarówno Wojciech jak i Anna próbowali odwlec termin powrotu i to nie z pobudek egoistycznych, lecz szczerej troski o matkę.

Martwili się o jej samotną egzystencję, jednocześnie wiedząc, że mama nie jest sama, ma wokół zaprzyjaźnionych ludzi, w tym dwie bliskie sąsiadki, toteż Wojciech po dłuższym naleganiu odwiózł ją do Puław, miasta, w którym mieszkała całe swoje życie.

* * *

Marcinek, kiedy miał trzy miesiące, stał się ładnym bobaskiem. Pora roku i pogoda sprzyjały długim spacerom i Anna z dumą pchała przed sobą wózek z dzieckiem, mając uczucie, że tylko ona urodziła takie cudo.

Któregoś dnia w telefonie usłyszała głos ojca. Serce skoczyło jej z radości, ale ton nie był przyjazny.

– Co, zapomniałaś o matce? Nie łaska nas odwiedzać? Jak Boga kocham, macie samochód i żeby się nie pofatygować!

Odebrało jej mowę, nie wiedziała, jak zareagować, ale latami wpojone posłuszeństwo wzięło górę nad buntem.

– Porozmawiam z Wojtkiem, ustalimy termin.

– Tylko jak najprędzej. Myśleliśmy, że przyjedziecie na święta, a wy tylko wysłaliście kartkę.

Rzeczywiście wysłała wielkanocną kartkę, zarówno rodzicom jak i rodzinie Basi, ale żadnego rewanżu nie było. Zresztą tegoroczne święta wielkanocne spędzili w rodzinnym gronie bardzo skromnie i mało uroczyście, tylko pani Helena poświęciła w kościele koszyczek, a w Wielką Niedzielę wczesnym rankiem modliła się na rezurekcjach.

Ojciec powoli kończył rozmowę, z której Anna zapamiętała tyle, „że chłop przesłonił jej świat, że jest ważną profesorową i że... stała się kuchtą domową".

– Dlaczego oni tacy są? – pytała siebie półgłosem, była tak zdenerwowana, że nakarmiony piersią Marcinek darł się przez całą długą noc.

– Napisz do nich list i powiedz, że zajrzymy w wakacje, już po letniej sesji egzaminacyjnej i egzaminach wstępnych – poradził jej Wojtek, zbulwersowany reakcją Anny – i bądź twarda, inaczej wejdą nam na głowę – i dodał – pojedziemy, kiedy nam będzie odpowiadało.

* * *

I znowu wizyta w Niezgodzie. Ojciec ani myślał przeprosić za nietakt. Rodzice przygotowali poczęstunek, wmuszali w młodych jedzenie, które chcieli, by było zjedzone, co do ostatka. Pozachwycali się Marcinkiem, choć mama nie wykonała żadnego pomocnego gestu. Wciąż była najbardziej zajęta sobą i wsłuchana we własne zdrowie. Fizycznie kwitła, a ojciec jej nadskakiwał, spełniając wszystkie polecenia i nakazy swojej żony.

Basia mimo wakacji była bardzo zajęta szkołą, pełniła funkcję dyrektora, szwagier przyjeżdżał do domu z Torsławia późno, a w wolnym czasie pielęgnował swój ogród, wymuskany na wzór ogrodów francuskich. Nie spotkali Dorotki, którą Anna najbardziej lubiła z całej swojej rodziny. Dorotka spędzała wakacje na obozie nad morzem.

Wojciech ze zdumieniem zauważył, że do domu teściów nikt poza inkasentami, krawcową i listonoszem nie zagląda. Państwo Tokarzewscy na co dzień nie utrzymywali z nikim bliższych kontaktów towarzyskich, coraz bardziej kurczowo trzymali się rodziny. Osiedli na dobre w miasteczku, nigdzie się z niego nie ruszając, najlepszym towarzyszem mamy był telewizor. Zaniedbali też grób Jacusia, bo mama twierdziła, że na cmentarz zbyt daleko, choć było to tylko pół kilometra.

Po tygodniu młodzi Majkowscy mieli dosyć wizyty, a i oni zapewne byli uciążliwymi gośćmi z powodu popłakiwań Marcinka i różnych czynionych wokół niego zabiegów.

– Pojedziemy na Lubelszczyznę? – zapytał Wojtek.

– Jasne – do twojej mamy zawsze – odpowiedziała z entuzjazmem.

I rzeczywiście w domu pani Heleny odreagowali całą wizytę w Niezgodzie. W ciepłe letnie wieczory siedzieli w trójkę, lub większym gronie przyjaciół, w przytulnym ogródku przy jakimś chłodnym napoju lub cocktailu owocowo-mlecznym, tocząc długie, przemiłe rozmowy, śmiejąc się i żartując.

A potem jeszcze pojechali do Muszyny, po górskie powietrze dla Marcinka, jak zażartował Wojciech.

Z NASZYCH WYDAWNICTW W ROKU 2004

Jest to przegląd wydawnictw lub druków okolicznościowych, które ukazały się w roku 2004 lub pod koniec roku 2003 w naszym regionie oraz w Polsce lub Czechach. Chodzi o te pozycje, które w jakiś sposób związane są z naszym terenem, naszymi sprawami, które po prostu wzbogacają naszą wiedzę o tej ziemi. Publikacji tych jest sporo, chociaż materiał ten nie zawiera wszystkiego, co zasługiwałoby na odnotowanie, zwłaszcza jeśli chodzi o drobne druki różnych instytucji i organizacji na Zaolziu, do których autorowi tego materiału nie udało się dotrzeć. W przyszłości można by, jeżeli komu na tym zależy, takie druki lub informacje na ich temat wysyłać do autora lub redakcji Zwrotu.

PUBLIKACJE NAUKOWE I POPULARNONAUKOWE

HELENA FUJCIKOWA, **Tak lata leciały... Z zapisków zebrzydowianki**, Zebrzydowice 2003, ss. 182, il.

KAZIMIERZ GAJDZICA (redakcja), **Kalendarz Śląski 2005**, rocznik XXXI, ZG PZKO, Czeski Cieszyn 2004, ss. 224, il.

ALICJA GALAS, ARTUR GALAS, **Dzieje Śląska w datach**, CADUS, Wrocław 2004, ss. 388.

RYSZARD KACZMAREK, MAREK MASNYK, **Konsulaty na pograniczu polsko-niemieckim i polsko-czechosłowackim w latach 1918–1939**, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2004, ss. 205.

BRONISŁAW KALINA, **Belin i Piewalice. Część pierwsza. Pieśni ludowe z fortepianem**, Centrum Pedagogiczne dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego w RC, Czeski Cieszyn 2004, ss. 51.

KRYSTYNA KARDYNI-PELIKÁNOVÁ, **Uwiedzeni przez polską literaturę. Czeska polonistyka literacka**, Instytut Badań Literackich PAN, Wydawnictwo, Warszawa 2003, ss. 285.

GRZEGORZ KASZTURA (przewodniczący kolegium redakcyjnego), **Kalendarz Cieszyński 2005**, Macierz Ziemi Cieszyńskiej, Cieszyn 2004, ss. 266, il.

MICHAŁ M. KOWALSKI, **Śląsk Cieszyński. Po obu stronach Olzy. Przewodnik turystyczny po Śląsku Cieszyńskim oraz gminach Godów i Jastrzębie Zdrój**, Wydawnictwo Bezdroża, 2004, ss. 144, il.

ANNA MACHEJ, MARIUSZ MAKOWSKI, KRZYSZTOF NOWAK, IDZI PANIC (redakcja), **Pamiętnik Cieszyński T. 18:2003**, Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Cieszynie, Cieszyn 2003, ss. 167.

WŁADYSŁAW MOTYKA, komentarze i opracowanie całości, CZESŁAW WĘGLARZ, MARCELI KOLASKA, KRZYSZTOF TREBUNIA-TUTKA, WŁADYSŁAW MOTYKA, opracowanie muzyczne **Śpiewnik górali polskich**, Beskidzkie Towarzystwo Oświatowe, Milówka 2004, ss. 424.

KRZYSZTOW NOWAK, **Zaolzie w opiniach konsulów polskich (1948-1960). Raporty dyplomatyczne**, Cieszyn 2003, ss. 66.

PAWEŁ STANIECZEK, TOMASZ JASZOWSKI (redakcja), **Kalendarz Goleszowski 2005**, Skoczów 2004, ss. 200, il.

LEOPOLD JAN SZERSZNIK, (wydał Wacław Gojniczek), **Materiały genealogiczno-heraldyczne do dziejów szlachty Księstwa Cieszyńskiego**, Książnica Cieszyńska, Ośrodek Dokumentacyjny Kongresu Polaków w RC, Cieszyn 2004, ss. 391, il.

DARIUSZ TABOR CR, **Iluminacje Cysterskich Kodeksów Śląskich XIII wieku**, Księgarnia Akademicka, Kraków 2004, ss. 219, il.

STANISŁAW ZAHRADNIK, **Ropice. Ropica**, Urząd Gminny, Ropica 2004, ss. 232, il.

STANISŁAW ZAHRADNIK, **Bibliografia Stanisława Zahradnika 1954-2004**, Trzyniec grudzień 2004, ss. 50.

STANISŁAW ZAHRADNIK (przygotowanie), MARIAN STEFFEK (redakcja), **Grono profesorów i wychowawców Polskiego Gimnazjum Realnego im. Juliusza Słowackiego oczyma uczniów i społeczeństwa. Seminarium SHR - 13 listopada 2004**, Sekcja Historii Regionu ZG PZKO, Gimnazjum z Polskim Językiem Nauczania w Czeskim Cieszynie, filia w Karwinie, Centrum Pedagogiczne dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego w Czeskim Cieszynie, Czeski Cieszyn październik 2004, ss. 63, il.

OSKAR ZAWISZA, ks., **Bajki o utopcach z okolic Strumienia spisane przez ks. Oskara Zawiszę**, Macierz Ziemi Cieszyńskiej, Towarzystwo Miłośników Regionu w Strumieniu, Strumień 2004, ss. 24, il.

UTWORY LITERACKIE

FRANCISZEK BAŁON, **Spotkanie z przyrodą. Zielona książka**, Centrum Pedagogiczne dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego, Czeski Cieszyn 2004, ss. 320, il.

MARIA BRODA, MAŁGORZATA ORAWSKA, ROBERT ORAWSKI (redakcja), **Roztomili ludeczkowie**, Zbiór opowiadań nagrodzonych w IV Konkursie Znajomości Gwary na Śląsku Cieszyńskim, Towarzystwo Miłośników Skoczowa, Skoczów 2004, ss. 40, il.

DAREK JEDZOK, **Pusto**, Spolek-Towarzystwo AVION, Czeski Cieszyn 2004, wiersze czesko-polskie, ss. 54, il.

TADEUSZ KIJONKA, MARIAN KISIEL (wybór), **Pod znakiem Ikara. Antologia poetycka**, Górnośląskie Towarzystwo Literackie, Katowice 2004, ss. 127.

TADEUSZ KOPOCZEK, **Humoreski znad Olzy, czyli to się musi w głowie zmieścić**, Cieszyn 2004, ss. 96.

TADEUSZ KOPOCZEK (zebrał, spisał i ... ustatkował), **Dowcipy sprośne (ale ujęte w cugle) (Tylko dla dorosłych)**, Cieszyn 2004, ss. 48.

AGATA SZCZUKA, **Oczy zachodnie, oczy wschodnie albo U nich nie tak kak u nas**, ilustracje Blanka Szczuka, Kongres Polaków w RC, Czeski Cieszyn 2004, ss. 84, il.

JAN PYSZKO, **Strzałą zieloną po...**, wybór wierszy, Agencja Reklamowa Insomnia, Kraków 2004, ss. 103, il.

PUBLIKACJE OKOLICZNOŚCIOWE

Kronika Skoczowska (nr 18), Towarzystwo Miłośników Skoczowa, Skoczów 2004, ss. 48, il.

BRONISŁAW FIRLA, **Iluzje pod różne wartości**, Koło Polskich Kombatantów w RC, Czeski Cieszyn 2004, ss. 35, il.

STANISŁAW FOLWARCZNY, ILONA FRYDA, JANINA NOŻKA (redakcja), **Doroczne sprawozdanie z działalności Szkoły Podstawowej z Polskim Językiem Nauczania w Czeskim Cieszynie w roku szkolnym 2003/2004**, Czeski Cieszyn 2004, ss. 8, il.

RENATA GILL; GRZEGORZ ŁUŃSKI, RENATA PRZECZEK, WANDA TOMČALA (redakcja), **Jak minął rok... 2003/2004**, Szkoła Podstawowa im. S. Hadyny z Polskim Językiem Nauczania w Bystrzycy, Bystrzyca 2004, ss. 28.

KAZIMIERZ KASZPER, **Tu jest mój dom. 50 lat Polskiego Zespołu Śpiewaczego HUTNIK w Trzyńcu Republika Czeska - publikacja jubileuszowa**, Dom Kultury, Trzyniec 2004, ss. 48, il.

MAŁGORZATA I ZYGMUNT RAKOWSCY, **150-lecie polskiego szkolnictwa w Gnojniku**, Seminarium z okazji 150-lecia polskiej szkoły w Gnojniku, Czeski Cieszyn 2003, ss. 80, il.

TADEUSZ TOMAN (redakcja), **Biuletyn nr 13 Stowarzyszenia Elektrotechników Polskich w Republice Czeskiej**, Czeski Cieszyn luty 2004, ss. 24, il.

Kronika Skoczowska (nr 18), Towarzystwo Miłośników Skoczowa, Skoczów 2004, ss. 48, il.

Oferta doskonalenia nauczycieli 2003/2004, Centrum Pedagogiczne dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego, luty 2004, ss. 27.

Sukcesy i osiągnięcia uczniów Polskiej Szkoły Podstawowej w Wędryni 2003/2004, Wędrynia 2004, ss. 36, il.

PUBLIKACJE W RÓŻNYCH JĘZYKACH

MEČISLAV BORÁK, MIROSLAV TYRLÍK, **Moravskoslezský kalendář 2005**, Syndikát novinářů, Ostrava 2004, ss. 257, il.

JUSTYNA BRANNA, opracowanie, **Polacy w Czechach,** Wybór dokumentów prawnych dotyczących mniejszości narodowych. Tom VI (wersja polsko-czeska), Stowarzyszenie Wspólnota Polska, Warszawa 2004, ss. 216.

IRENA CICHÁ, JINDŘICH TESARCZYK (redakcja), Izabela Kraus-Żur (polskie tłumaczenie), **Stonávka od pramene po ústí. Stonawka od źródła do ujścia**, Region Czeski Cieszyn 2004, ss. 168, il.

STANISŁAW GAWLIK (redakcja), **Spis ludności - 1.3.2001. Kryterium: narodowość**, Organizacja Wyższej Użyteczności Publicznej, Czeski Cieszyn czerwiec 2004, ss. 45.

DAN GAWRECKI, **Dějiny českého Slezska 1740-2000 I**, Opawa 2003, ss. 264.

LADISLAV HOSÁK, **Historický místopis země moravskoslezské**, Academia, reprint I wydania z roku 1938, ss. 1148.

GABRIELA CHROMCOVÁ, **Noviny Těšínské. Písmo posvěcené českému lidu ve Východním Slezsku 1894-2004 (k 110. výročí založení)**, Czeski Cieszyn 2004, ss. 16, il.

KOLEKTYW AUTORÓW, **Vendryně. Wędrynia. 1305-2005**, Gmina Wędrynia, Wydawnictwo Beskidy, 2004, ss. 176, il.

ANDĚLA KUFOVÁ, **Doteky mého života**, Trzyniec 2004, ss. 271, il.

LIBOR MARTINEK, **Polská literatura českého Těšínska po roce 1945, Soubor studií**, Slezská univerzita v Opavě, Filozoficko-přírodovědecká fakulta, Ústav bohemistiky a knihovnictví, Opawa 2004, ss. 200.

LECH PRZECZEK, **Na okraj**, Žár, Ostrawa 2004, il.

JAROSLAV ŠTIKA, KAROL DANIEL KADŁUBIEC, ANDREJ SULITKA, **Těšínsko 5. díl, (Těšínská lidová kultura a polská národnostní menšina, K otázce motivace národnostního hnutí, Lidová kultura na Těšínsku - závěry, Názvy Lach, Valach, Gorol a název regionu)**, Muzeum Těšínska, Valašské muzeum v přírodě, Nakladatelství Tilia, 2003, ss. 198, il.

JÓZEF SZYMECZEK, edytor, **Katechetika - historie - teologie**, Ostrawa 2003, ss. 262.

JÓZEF SZYMECZEK, edytor, **Stát, církev a národ v československé části Těšínského Slezska (1945-1953)**, Bibliotheca Tessinensis II Seria Bohemica, Czeski Cieszyn 2004, ss. 255.

TADEUSZ TOMAN (redakcja), **Wybory do Parlamentu Europejskiego w dniach 10-13.6.2004. Coexistentia-Wspólnota przed zebraniem Rady Republikowej w dniu 18.9.2004. Dokumenty ruchu politycznego Coexistentia-Wspólnota za okres 20.3.-9.9.2004,** wrzesień 2004, ss. 61, il.

TADEUSZ TOMAN (redakcja), **Archiwum Ruchu Politycznego Coexistentia-Wspólnota. Dokumenty za okres 12.4.2003-20.3.2004**, Coexistentia-Wspólnota 2004, ss. 43.

JAN VOLF, **Dílo Władysława Sikory**, praca dyplomowa, Slezská univerzita v Opavě, Filozoficko-přírodovědecká fakulta, Ústav bohemistiky a knihovnictví, Český jazyk - dějepis, Opawa 2004, ss. 80.

HENRYK WAWRECZKA, **Třinec a okolí včera a dnes**, wersja czesko-polsko-niemiecko-angielska, tekst i zdjęcia Henryk Wawreczka, adiustacja Paula Jaworska, tłumaczenia na język: polski Kazimierz Jaworski, niemiecki Karina Szücs, angielski Tamara Wheeler, WART, Niebory 2004, ss. 160, il.

Dzioł 2004. Zpěvník. Śpiewnik, Trzyniec 2004, ss. 43, il.

KAZIMIERZ JAWORSKI

32957

BIBLIOGRAFIA STANISŁAWA ZAHRADNIKA

Swój pięćdziesięcioletni dorobek opracował, a była to niewątpliwie mrówcza robota, dr Stanisław Zahradnik. W bibliografii tej zawarł on dorobek z lat 1954-2004. Podkreślić tu wypada, iż zawarte w tym opracowaniu pozycje naukowe, publicystyczne, recenzenckie, popularyzatorskie i inne były realizowane poza obowiązkami zawodowymi archiwisty zakładowego w Hucie Trzynieckiej.

Stanisław Zahradnik, dziś siedemdziesięciotrzyletni historyk z Trzyńca, należy niewątpliwie do najpłodniejszych historyków na Zaolziu, a jego dorobek jest niebagatelny, ale niech mówią za siebie fakty, w tym wypadku liczby przede wszystkim.

Stanisław Zahradnik może się poszczycić aż 33 pozycjami książkowymi, w tym 15 w języku polskim, 3 w wersji polsko-czeskiej oraz 15 w języku czeskim, poza tym jest to 113 opracowań w 75 pracach zbiorowych, z tego najwięcej 71 w wydawnictwach polskich, 10 w polsko-czeskich i 32 w czeskich. Zaś artykuły rozproszone w prasie, czasopismach, kalendarzach itp. osiągnęły liczbę 500 pozycji, z tego 479 w języku polskim, 2 po polsku i po czesku oraz 19 w języku czeskim. Poza tym 163 artykuły zostały opublikowane na łamach Głosu Ludu, 142 Zwrotu, 88 Hutnika Trzynieckiego, 30 Kalendarza Śląskiego, 15 Kalendarza Cieszyńskiego, 7 Kalendarza Beskidzkiego.

Autor uwzględnił w swej bibliografii także 203 materiały niepublikowane (141 w języku polskim, 8 polskim i czeskim oraz 50 w języku czeskim). Chodzi głównie o opracowania pomocnicze, referaty, scenariusze wystaw, korespondencję itd.

Ogółem pięćdziesięcioletni dorobek Stanisława Zahradnika to 845 pozycji, 710 w języku polskim, 23 polskim i czeskim oraz 116 w języku czeskim. Tu wypada jeszcze dołączyć dwadzieścia kilka pozycji dotyczących życia i pracy historyka.

Z tego ogromnego dorobku dwie trzecie materiałów mają charakter historyczny (Śląsk Cieszyński, Zaolzie, Huta Trzyniecka, przede wszystkim zaś dotyczą one spraw Polaków na Zaolziu), reszta to materiały publicystyczne na różne tematy. Dalej, jak wynika z przeglądu opublikowanych materiałów, najwięcej, bo aż 490 prac, powstało w latach 1991-2004, a więc po zmianach ustrojowych w naszym kraju, to jest w czasach sprzyjających badaniom tematów, które w latach tzw. realnego socjalizmu stanowiły swoiste tabu.

Należy mieć nadzieję, że bibliografia Stanisława Zahradnika zostanie opublikowana i udostępniona badaczom naszego regionu, bo jest rzeczywiście z czego czerpać.

(kaja)

PRZEMYŚLENIA NAD WYNIKAMI KONKURSU POETYCKIEGO O SKRZYDŁO IKARA

10 grudnia ub. roku odbyło się w Domu Polskim Żwirki i Wigury w Cierlicku uroczyste ogłoszenie wyników polsko-czeskiego konkursu poetyckiego O Skrzydło Ikara - O Ikarovo křídlo. Konkurs poświęcony jest uczczeniu pamięci polskiego lotnika Franciszka Żwirki i konstruktora Stanisława Wigury, którzy zginęli tu w katastrofie lotniczej 11 września 1932 roku podczas lotu z Warszawy do Brna na konkurs lotniczy w Pradze. Historię tego wydarzenia i pomysłu konkursu opisuje Tadeusz Kijonka we wstępie do antologii poetyckiej "Pod znakiem Ikara" (2004 Katowice), która obejmuje wybór nagrodzonych wierszy i poematów z pięciu edycji konkursu O Nagrodę Skrzydła Ikara - O Cenu Ikarova křídla pod staranną redakcją Mariana Kisiela. Należy podkreślić, że chodzi naprawdę o wybór, jako że niektóre z nagrodzonych czeskich prac konkursowych w ogóle nie weszły do antologii. Wszystkie wybrane fragmenty poezji czeskiej zostały przetłumaczone na język polski, toteż antologia z językowego punktu widzenia przeznaczona jest przede wszystkim dla polskiego czytelnika. A przecież przynajmniej w trzech edycjach, w których uczestniczyłem jako członek Gminy Pisarzy, apelowano z polskiej strony, by popularyzować konkurs w większym stopniu także po czeskiej stronie. W przeciwieństwie do Polaków w świadomości społeczeństwa czeskiego nie ma zakodowanego faktu, że na terenie Republiki Czeskiej istnieje pomnik dwóch wybitnych polskich lotników, zwycięzców trzeciego rocznika międzynarodowych zawodów lotniczych Challenge w 1932 roku, pomnik jest dziełem ołomunieckiego rzeźbiarza Juliusa Pelikána.

Nie rozumiem, dlaczego twórcy antologii i organizatorzy konkursu nie zwrócili się do Gminy Pisarzy, aby miała również swój udział w powstaniu publikacji, która reprezentuje czeską gminę literacką po czeskiej i polskiej stronie granicy. Nie wątpię, że czeskie wiersze przetłumaczone zostały przez Kazimierza Kaszpera, Renatę Putzlacher i Jana Pyszkę na celująco, tym niemniej dwujęzyczna edycja z tłumaczeniami polskich wierszy na język czeski i na odwrót czeskich wierszy na język polski zyskałaby większy rozgłos czytelniczy jako udokumentowanie prawdy, że poezja "nie zna granic". Nie rozumiem także, dlaczego strona polska, ewentualnie wyznaczony oddział cieszyński Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach, nie wykorzystała materialnego wsparcia Urzędu Wojewódzkiego w Ostrawie w wysokości 15 000 koron. Za starania w celu pozyskania tych środków należą się podziękowania konsulowi Józefowi Byrtusowi, który przekazał chociaż Renacie Putzlacher, nagrodzonej za wiersze w języku polskim, nagrodę specjalną konsula generalnego RC w Katowicach. Organizatorzy z szeregów polskiej mniejszości narodowej z Zaolzia nie mogą się więc tłumaczyć, jak usłyszałem na miejscu, że dla czeskich finalistów zabrakło nagród finansowych lub rzeczowych, jeśli Urząd Wojewódzki w Ostrawie wydzielił na ten konkurs relatywnie znaczne środki ze swego budżetu. (Dla wyja-

śnienia: Urząd Wojewódzki po wyborach nie mógł uchwalić przelania kwoty finansowej, ponieważ nie istniała jeszcze rada wojewódzka, dopiero powstawała. Urząd Wojewódzki niemniej chciał ofiarować dar rzeczowy, co podlega kompetencji samych urzędników, bez uchwalenia przez radę, lecz dr Kaszper nie odpowiedział nawet na powtórny apel prezesa ostrawskiego oddziału Gminy Pisarzy doc. Jiřígo Urbanca, czy taki dar rzeczowy przyjmą i jaki najbardziej by im odpowiadał.

W piątej edycji konkursu O Skrzydło Ikara - O Ikarovo křídlo do finału zakwalifikowali się Stanisław Gola z Bielska-Białej (1 miejsce), Janusz Koryl z Rzeszowa (2 miejsce) i Marcin Hałaś z Bytomia (3 miejsce). Cztery równorzędne nagrody otrzymali Bogdan Widera z Katowic, Bolesław Niezgoda z Jastrzębia-Zdroju, Józef J. Rojek z Olsztyna i Zofia Mardula z Rudy Śląskiej. Nagrody specjalne otrzymali: Stanisław Gola (nagroda wojewody śląskiego), Janusz Koryl (nagroda marszałka województwa opolskiego), Juliusz Wątroba z Rudzicy (nagroda senator Krystyny Doktorowicz), Jadwiga Wojaczek z Grodziszcza (nagroda prezydenta Bielska-Białej) i wspominana Renata Putzlacher.

Z czeskich poetów 1 nagrodę otrzymał Karel Vůjtek z Ostrawy, 2 nagrodę Bogdan Trojak z Pařezovic, a nagrodę specjalną Hanna Rybicka z Czeskiego Cieszyna.

Zanotujmy także to, że w jury konkursu, która oceniała także czeskie prace, nie zasiadał ani jeden czeski poeta czy krytyk literacki. Prawdziwy czy tylko domniemany bilingwizm jednego z członków jury nie jest moim zdaniem dostatecznym wyjaśnieniem.

Nie do przyjęcia ze społecznego punktu widzenia wydaje mi się także fakt, że w programie finałowym konkursu o tak szlachetnym posłannictwie udział wzięli zasłużeni polscy lotnicy, nawet weterani drugiej wojny światowej, natomiast z czeskiej strony nie zaproszono nikogo. Tymczasem niewątpliwe są wspólne waleczne zasługi polskich i czeskich pilotów, jak przypomniał w dyskusji jeden z polskich lotników, jeśli podczas wojny latali "skrzydło obok skrzydła".

Chciałbym wiedzieć, ile właściwie zostało rozesłanych ulotek informacyjnych o konkursie i dokąd, jeśli okazało się, że dowiedziało się o nim tylko kilku czeskich poetów. W biuletynie Gminy Pisarzy "Dokořán", ale ani w żadnym ze znaczących czeskich czasopism literackim nie pojawiła się notatka o przygotowywanym konkursie i jego warunkach, zapewne dlatego, że żadna informacja tam nie dotarła.

Dodajmy, że chodziło o finał ostatniej edycji konkursu, następne decyzją Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach nie będą już organizowane. Chodziło o zakończenie dostojne, lecz z punktu widzenia strony czeskiej mało reprezentatywne. I tego najbardziej mi żal.

LIBOR MARTINEK

Tłum. M.R.

KATARZYNA KRZYŻOK

OGIEŃ

Ogień jest jak pragnienie,
które bardzo szybko ogarnia organizm,
niespodziewanie zaczyna panować nad codziennością,
nie pozwala zasnąć w nocy.

Kiedy słyszysz go w oddali,
zastanawiasz się jak długo będziesz go słyszeć
zanim cię dopadnie
i jak długo to jeszcze potrwa.

Najgorszy jest strach przed tym,
czego nie da się opanować.
Bezradność znieczula,
paraliżuje,
unieruchamia zmysły.

Przestajesz być sobą,
przestajesz poznawać swoje dawne JA.
Wszystko jest takie obce i traci swój kształt.

Boisz się zajrzeć w głąb siebie,
boisz się pochodni w twych oczach,
boisz się płomieni, których jęzory spalają cię od środka,
i wreszcie boisz się, że poczujesz zapach palonego ciała.

Nie trać czasu,
bo zima jest długa,
zima jest mroźna.

Nie doczekają twojego ciepła,
nie zdążą się ogrzać
- zginą pod warstwą zmarzniętego śniegu.

UKRYTE PRAGNIENIA

Uwielbiam zapach długopisu
lekko tańczącego po kartce w linie.
To niesamowite jak swobodne stają się słowa.

Uwielbiam strużki wody
spadające na nagie ciało.
To niewiarygodne ile energii może dać woda.

Uwielbiam muzykę
skłaniającą nie tylko do słuchania.
To dziwne jaką moc mogą nieść w sobie dźwięki.

Uwielbiam głębię ludzkich oczu
penetrujących nieznany teren.
To zaskakujące jaką tajemnicę kryje w sobie spojrzenie.

Uwielbiam letni deszcz
padający na świeżo skoszoną trawę.
To zadziwiające ile piękna jest w zwyczajności.

Uwielbiam romantyczne filmy
kończące się happy-end'em.
To dziwne, jak łatwo można sztucznie wywołać emocje.

Nie lubię zimna...
Zimna, które jest najgorszym objawem człowieczeństwa.

***

Czarodziej złudzeń przyszedł wyszeptać mi kołysankę.
Stoi samotnie, obserwuje każde drgnięcie mojej powieki.
Łzy mają smak gorzki - czuję to bardzo dokładnie.
Zamknął mi oczy, przysłonił swym płaszczem to, co tak boli.
Czerń jego myśli zabiera mnie gdzieś w otchłań kończącą się niewiadomym.

Wszystko gaśnie, wszystko znika, widzę swoje wnętrze - jest puste.
Wielka ogromna przestrzeń gdzie odcięte głowy odnalazły swój dom.
Niezależnie, swobodnie odcinam się od tego, co oczywiste.
Szukam przestrzeni, wolności nieograniczonej, zakazanej od zawsze.
Czarodziej złudzeń szepcze cicho swój hymn żałobny.

Czerń mniej otula i tak jest dobrze, tak jest wygodnie.
Boję się, choć nie czuję już strachu, bo nie znam też uczuć.
Nie rozpoznaję własnego ja, boję się siebie, boję się jego pustki.
Ja - kolejny manekin w jego pustym teatrze.
Stojąc na scenie życia przed obumarłą widownią, której płaci się za oklaski

Sprzedaję siebie tak zwyczajnie, choć to wbrew wszelkim zasadom.
Wiem, że już nigdy nie wrócę, wiem to na pewno.
Czarodziej złudzeń nie przestaje mnie poić prawdą o tym, co kiedyś było takie oczywiste.
Nie chcę już dłużej być niewolnikiem.
Chcę z nim odejść i nie wrócić już nigdy.

Nic się nie liczy a jednak wszystko ma swoje znaczenie.
Nie mogę tak dłużej.
To koniec.
Nic nie ma.
Wierzę w to, co nigdy nie będzie miało miejsca.

WŁADYSŁAW BALICKI (1924-2004)
WSPOMNIENIE

29 grudnia 2004 roku odbył się w Warszawie pogrzeb prezesa Zarządu Głównego Polskiego Związku Chórów i Orkiestr pułkownika Władysława Balickiego, absolwenta Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, który w latach 80. wybrany został na Krajowym Zjeździe Delegatów w Katowicach na dyrektora artystycznego Zarządu Głównego PZChiO. Zainicjował szkolenie dyrygentów orkiestr oraz wiele imprez muzycznych, wśród nich Euroorchestries w Świeradowie Zdroju (1989). W roku ubiegłym inicjował pielgrzymkę chórów i orkiestr do Lichenia. Dla tego przedsięwzięcia pozyskał nie tylko wiele chórów, wśród nich również dwa zespoły zaolziańskie, chór mieszany Sucha z Suchej Górnej i Przełęcz z Mostów - ale także najwyższe państwowe protektoraty. Niestety nie dożył już realizacji tego przedsięwzięcia, które zobowiązali się jednak zrealizować działacze Zarządu Głównego i Oddziału Śląskiego PZChiO.

Zmarłego prezesa śp. Władysława Balickiego poznałem osobiście w roku 1988 na VII Światowym Festiwalu Chórów Polonijnych w Koszalinie, w którym udział wziął m.in. prowadzony przeze mnie Zespół Śpiewaczo-Muzyczny Przyjaźń. Władysław Balicki zasiadał wtedy w komisji, która oceniała prezentacje artystyczne poszczególnych śpiewaczych zespołów polonijnych i wybierała zespoły do galowego koncertu na zakończenie Festiwalu. Ocenę karwińskiej Przyjaźni przeprowadził Władysław Balicki. Był mocno usatysfakcjonowany "zgodnym i pięknym współbrzmieniem" chóru z orkiestrą. A na koncert galowy zaproponował Przyjaźni wykonanie pieśni "Zagrajcie nam wszystkie srebrne dzwony" z oratorium Katarzyny Gaertner.

To było moje pierwsze osobiste zetknięcie się z panem Władysławem, który jako dyrektor artystyczny Zarządu Głównego Polskiego Związku Chórów i Orkiestr przyjeżdżał także na Zaolzie i zasłynął tu ze swej niezakłamanej serdeczności, szarmanckiej uprzejmości i subtelnego humoru.

Dwukrotnie też potem - już jako prezes Zarządu Głównego PZChiO - przyjechał pan Władysław do Cieszyna. Pierwszy raz było to w grudniu 2002 roku, kiedy przybył pożegnać długoletniego członka ZG PZChiO i jego honorowego prezesa Kazimierza Fobera. Przyjechał wtedy, by oddać hołd człowiekowi, patriocie, który umiał kochać śpiew w szeroko pojętym szczerym i najgłębszym kontekście społecznym. Cztery miesiące później przyjechał prezes Balicki do Cieszyna ponownie, by w Teatrze im. A. Mickiewicza uczestniczyć w jubileuszowym koncercie z okazji 45-lecia zespołu Przyjaźń.

Składając życzenia i wręczając odznaczenia zespołowi jubilatowi i dyrygentowi, był mocno usatysfakcjonowany faktem, iż polskość na czeskim Zaolziu to również śpiew i muzyka, trwałe piękno, które na pewno najwymowniej łączy i brata ludzi również ponad granicami. A jesienią tegoż roku, 25 października, prezes Balicki wspólnie z prezesem Oddziału Bielskiego PZChiO Piotrem Jakóbcem, zagaił w Bielskim Centrum Kultury - Domu Muzyki VIII Święto Pieśni Gaude Cantem, które odtąd przybrało imię Kazimierza Fobera, pasjonata śpiewu chóralnego na polskim i czeskim Śląsku Cieszyńskim, działacza, z którego inicjatywy się zrodziło. Cieszył się prezes Balicki niezmiernie z wielkiej ilości zespołów przybyłych na to święto pieśni, które w swej ośmioletniej historii przekształciło się w wymowny symbol śpiewaczego zbratania, bowiem obok chórów polskich z rejonów Śląska i Podbeskidzia uczestniczą w nim również chóry z Zaolzia, które tym razem wykonały na zakończenie przeglądu dostojny i głęboki w swej treści "Hymn Trzeciego Tysiąclecia" M. Gałęskiego.

18 kwietnia 2004 roku w Państwowej Szkole Muzycznej im. Mieczysława Karłowicza w Katowicach sygnałem orkiestrowym oznajmiono koncert z okazji 80-lecia urodzin druha Władysława Balickiego, prezesa Zarządu Głównego PZChiO w Warszawie. Tego dnia Orkiestra Dęta KWK Murcki koncertowała pod dyrekcją Szczepana Kurzei i ... Solenizanta, pułkownika w stanie spoczynku, będącego niekwestionowanym autorytetem dla wszystkich krajowych orkiestr, zwłaszcza wojskowych i strażackich. Poproszono go, by bez specjalnego przygotowania wykonał z orkiestrą "Laudate Dominum" Gounoda i - jak zawsze - batuta okazała się niezawodna. A z twarzy koncertujących muzyków z łatwością było można odczytać radość i satysfakcję. Było potem mnóstwo listów gratulacyjnych z wielu Oddziałów PZChiO. Przyjechał też z Trzyńca do Katowic prezes Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego Jan Hławiczka, który podkreślił zasługi prezesa Balickiego dla rozwoju śpiewactwa polskiego na Zaolziu.

Niecałe dwa tygodnie później - 29 maja, w biurze na Nowym Świecie w Warszawie - składaliśmy, członkowie Zarządu Głównego PZChiO, szczere życzenia urodzinowe młodo wyglądającemu Prezesowi Władysławowi. Wyjeżdżając z Warszawy na Zaolzie i żegnając się z Prezesem, nie przypuszczałem, że pana Władysława mocny i serdeczny uścisk mojej dłoni jest w ogóle ostatnim.

Non omnis moriar - nie wszystek, drogi Prezesie, umarłeś... Dziękujemy Ci za to, że do dnia dzisiejszego możemy zbierać plony kwitnącego zespołami chóralnymi i orkiestralnymi pola naszego Związku. Piękne zbieramy plony, bo wyrosły z ofiarności i pracy ludzi, do których Ty należałeś. Ludzi poświęcających się dla satysfakcji, jaką utrudzonemu twórcy sprawia świadomość dobrze wykonanego dzieła.

JÓZEF WIERZGOŃ

TAK BYŁO JESZCZE PRZED 30 LATY

Miejscowe Koło PZKO Końska Podlesie w pierwszych latach tzw. normalizacji znacznie obniżyło swe loty w porównaniu z poprzednim okresem. Wśród starszych działaczy zaczęło przeważać zobojętnienie, zespołów nie było, baza członkowska liczyła jeszcze ponad 160 członków, ale na walne zebrania przychodziło najwyżej 30 osób. Podobnie było po drugiej stronie Końskiej w Osówkach. Wtedy to w roku 1974 zgodziłem się na Podlesiu objąć funkcję prezesa. Skoncentrowałem się na pracy z młodzieżą i na polu sportu i turystyki. Bo jeszcze w latach 60. prowadziłem tu przez kilka lat mały klub sportowy, chcąc w ten sposób nawiązać do tradycji KS Piast Końska z przełomu lat 40. i 50. Były znów wycieczki do Polski i na Morawy, przejściowo nawet mały chór i zespół teatralny. Korzystaliśmy ze szkolnej sali gimnastycznej, którą udało nam się wyposażyć w potrzebny sprzęt. Powstało boisko do mini-piłki nożnej i siatkówki. Przez kilka lat organizowano dla całej dzielnicy całoroczny konkurs na najlepszego sportowca Podlesia - biegi przełajowe, kolarstwo, badminton, tenis stołowy, szachy... Braliśmy udział w ogólnozwiązkowych zawodach lekkoatletycznych i turniejach siatkówki. Przybyło kilkunastu członków. W zarządzie pracował student czeskiego gimnazjum.

W tym miejscu chcę przypomnieć, jak wtedy wyglądała nasza dzielnica pod względem językowym. Pracując z dziećmi, nie robiłem różnicy między polską, a czeską szkołą. Były wspólne zawody sportowe, występy na festynach, wycieczki. Nie przypominam sobie, by ktoś nie chciał ze mną mówić gwarą, afisze i różne ulotki były zawsze dwujęzyczne. Może się to komuś nie podobało, ale na zewnątrz była zgoda.

Nie chciałem zbyt długo przeciągać mego prezesowania i przez kilka jeszcze lat koło dawało sobie rady. Niestety zmiany prezesa były potem dość częste i po zmianach polityczno-społecznych w roku 1989 wiele się zepsuło, podobnie jak w innych organizacjach. Teraz jest znów nieco lepiej, choć członków ubyło, ale przynajmniej są tradycyjne imprezy, a nawet mały chór Zgoda, choć przeważają w nim członkowie z sąsiednich Kół. Natomiast nie ma już drugi rok polskiej szkoły, dawne inicjatywy poszły w zapomnienie, do budynku szkolnego dowożone są dzieci z Trzyńca i nowe pokolenie już stara się nie rozumieć mowy dziadów. Starania o dwujęzyczność mają z naszej strony już tylko propagandowy charakter. Robimy to niestety bardzo nieudolnie i raczej się ośmieszamy. Naturalnie możemy narzekać na kształt ustawy, ale co zrobili w ostatnich dwóch latach nasi przedstawiciele w różnych komisjach... Zapominamy o atmosferze społecznej, jaka wytworzyła się pod tym względem w warunkach liberalnego kapitalizmu, brak nam wyobra-

żni, nie potrafimy przeforsować tak potrzebnej oświaty historycznej w społeczeństwie większościowym, za dużo i zbyt otwarcie gadamy o walce o polskość, o naszą tożsamość itp. Znam bardzo dużo ludzi, których uważam za Polaków, ale których te sprawy nie interesują, do naszej prasy prawie nie zaglądają, o Kongresie Polaków czy o Wspólnocie prawie niczego nie wiedzą i sytuacja im raczej odpowiada. Naturalnie widzę zaangażowanie kilkunastu, a w mniejszym stopniu i kilkuset osób pracujących w licznych, często prawie nic nieznaczących organizacjach polskich, w zespołach czy nawet w niezorganizowanych grupach. To wszystko jest niby naukowo analizowane, odbywają się konferencje, wychodzą publikacje. Nie widzę w tych działaniach myśli przewodniej obliczonej na najbliższą przyszłość, starań, by nie dopuścić do dalszej izolacji naszego języka. Polskie słowa na szyldach urzędów czy instytucji, drogowskazach itp. w obecnej sytuacji nam w niektórych miejscach przysporzą kłopotów i niechęci.

Czy może być lepiej? To prawdopodobnie miały na myśli pracownice Centrum Pedagogicznego dla naszego szkolnictwa, podejmując inicjatywę edukacji regionalnej, tak można to ująć w skrócie. Były na ten temat artykuły w Głosie Ludu, ale jakoś trudno było się z nich dowiedzieć więcej na temat zaangażowania czeskich pedagogów i ostatecznego celu projektu. Chcąc dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat, dałem się chętnie zaprosić do szkoły podstawowej w Krasnej za Cieszynem. Po drugiej stronie granicy mam wielu przyjaciół i krewnych i często w tamte strony zaglądam. W Krasnej mogłem wglądnąć do pięknie opracowanego programu edukacyjnego wydanego przez CP i Macierz Ziemi Cieszyńskiej. Wydaje mi się ten obszerny, bogato ilustrowany materiał zbyt piękny, by stał się częścią programu nauczania, zwłaszcza w czeskich szkołach. Zwłaszcza jeśli chodzi o obiektywne przedstawianie miejscowej historii, zwyczajów i wychowania dla poszanowania gwary i języka sąsiadów. Może się to zakończyć na jeszcze wieloletnich spotkaniach, konferencjach, wycieczkach, pokazowych lekcjach. Obym się mylił. Znam trochę sytuację w czeskich szkołach, więc będę się mógł dowiedzieć, czy się w nich coś zmienia. Jeżeli się teraz mylę, to chętnie przeproszę za te moje wątpliwości.

Przy okazji spotkałem się w Krasnej z dziećmi starszych klas. Było bardzo miło, były pamiątkowe zdjęcia, wpisy do kroniki. Byłem zaskoczony szeroko zakrojonymi inicjatywami międzynarodowymi tej małej szkoły. Są kontakty z polską szkołą w Czeskim Cieszynie, były wspólne zawody sportowe, ale była i wycieczka dzieci, ich rodziców i pedagogów do Finlandii! To w wielkiej mierze zasługa dyrektora szkoły Jerzego Gałuszki, który niestety odchodzi na przedwczesną emeryturę. Ale jest doświadczone grono pedagogiczne, jest też zapalona do spraw regionalnych nauczycielka Zofia Zięba. W tej szkole na pewno będzie dobrze pod względem wychowania dzieci dla idei wspólnoty europejskiej i naszej bliskiej ponadgranicznej. Nawet gdyby zabrakło jakichś odgórnych rozporządzeń.

OSKAR LANC

Pod koniec ubiegłego roku wpłynął do naszej redakcji list ks. Józefa Kaszpera z prośbą o wydrukowanie, co niniejszym czynimy.

Podziękowanie

Pragnę podziękować wszystkim za udział w poświęceniu 7 sierpnia ub. r. naszej prywatnej kaplicy na Osówkach. Szczególnie wicestaroście p. RNDr Palkovskiej za słowa zachęty, redakcji za artykuł kolegi Jaworskiego, jemu osobiście, dalej miejscowej policji za bezpieczeństwo, telewizji miasta Trzyńca i Ostrawy. Pani Irena Szymonik za przygotowanie całości. Miłym osówczanom za okazaną pomoc. Koledze z lat szkolnych Piotrowi Stecowi za napisanie następującego wiersza:

Na osówczańskim wzgórzu
na wapiennej skale
stoi kaplica ku czci
Panny Maryi chwale

Beskidów szczyty, Olzy wstęga
otacza kołysanką i modlitwą
trójbraci uporne mozolenie
by dać ludowi zbawienie

Ona będzie świadectwem przeszłości
co odeszła tak prędko w niepamięć
i stać będzie przez lata ku radości
gdzie można w skupieniu zmówić
modlitwy różaniec

Kiedy ciężko na duszy ostanie
popłyną stąd prośby błagalne
niejedna łza po policzku spłynie
niejedne dzięki wyszepną usta
by potwierdzić Trójcy tu władanie
więc Tobie należą się ukłony Panie

„PLOSOCZEK" ZE SKOCZOWA



Rys. Dorota Noszka

Jak wygląda utopiec, tak naprawdę nikt nie wie. Jako postać baśniowa, demoniczna, utopiec zwany też wodnikiem stanowi wytwór dawnych wierzeń ludów europejskich, popularny zwłaszcza wśród Słowian, a zatem i ludu polskiego. Stwór ten, według wierzeń, wywodzi się od dusz ludzi potępionych, samobójców, głównie topielców, pozbawionych chrześcijańskiego pochówku.

Fantastyczne opowieści ludowe nadawały utopcom różne postacie, wygląd i charakter. Zamieszkiwały one głębokie rzeki, potoki, występujące w nich plosa, jeziora i stawy, a także mokradła i bagna. Zatem wygląd ich kojarzony był z wodą i stworzeniami występującymi w wodzie. Na ogół utopiec to postać drobna, z ociekającym wodą ubiorem, z kolorowymi szczegółami, na przykład zielonym kubraczkiem lub spodenkami, czerwoną czapeczką, z mordką podobną do żabiej i palcami połączonymi błoną jak u żaby. Choć najczęściej taka postać występowała w opowieściach, utopiec potrafił się zmieniać i przybierać inne postacie, na przykład czarnego psa, ryby, dużej paskudnej ropuchy lub wstążki płynącej w potoku albo też eleganckiego panoczka, a jeśli to była topielica, występowała często jako dorodna, piękna dziewczyna, kusząca nadobnymi wdziękami, by uwieść swoją ofiarę ku topieli. Bo też znajomości z utopcami kończyły się najczęściej dla ludzi tragicznie. Jak bowiem na demony przystało, stworzenia te czyhały tylko, aby krzywdę człowiekowi wyrządzić i kogoś utopić. Wszakże w opowieściach utopiec występuje również często jako stworek dość sympatyczny, nawet pomagający ludziom w trudnych chwilach. Biada jednak człowiekowi, jeśli mu się w jakiś sposób naraził. Mściwe bowiem były te diablątka bardzo i nikomu nie darowały doznanej zniewagi.

Ziemia cieszyńska pełna była niegdyś tego rodzaju bajkowych stworów, zamieszkujących wody Wisły, Olzy, ich dopływów oraz licznych stawów rozmieszczonych na obszarze Żabiego Kraju i okolic Skoczowa.

Opowieści ludu o utopcach z okolic Strumienia spisał kiedyś strumieński wikary, etnograf, późniejszy proboszcz w Cierlicku, ks. Oskar Zawisza. Bardzo sugestywnie i obrazowo opisywał utopców Gustaw Morcinek w "Powiarkach śląskich" i opowiadaniach, np. "Zuzanka i utopce", a także Zofia Kossak i inni pisarze i folkloryści.

Obecnie, od pewnego czasu, obserwujemy swoisty renesans zainteresowania ludowym folklorem, gwarą, strojem, obyczajami, w tym również postacią utopca jako najpopularniejszego elementu baśniowej sfery ludowych wierzeń. Szczególne zainteresowanie wzbudził utopiec wśród - zawsze pełnych inwencji - działaczy Towarzystwa Miłośników Skoczowa, już to z tej przyczyny, że obok Strumienia okolice Skoczowa utopiec bardzo sobie upodobał, ze względu na liczne stawy, rzekę Wisłę, Brennicę, a nawet małą Bajerkę i Bładnicę. I oczywiście z powodu Morcinkowego pisania. Działacze ci postanowili w swoim mieście ustawić pomnikową figurę utopca nad brzegiem Bładnicy lub Wisły. Kłopot wszakże polegał na tym, że nie było jednomyślności, jak taki stwór miał w rzeczywistości wyglądać. Długo też toczyły się dyskusje nad wyglądem utopca. Znaleźli się nawet tacy, którzy rzekomo mieli "na własne oczy go widzieć", ale każdy opisywał go nieco inaczej. Najczęściej jednak sięgano do fantazyjnych opisów morcinkowych. Postanowiono w końcu ogłosić konkurs malarsko-plastyczny skierowany głównie do młodzieży szkół pod nazwą "Jak wyobrażam sobie utopca". Adres był niezwykle celny, gdyż kto jak kto, ale młodzież posiada najbardziej rozwiniętą wyobraźnię. Rezultat okazał się też nieoczekiwany. Napłynęła bowiem ponad setka prac, głównie malarskich, ale także figurek wykonanych z różnego tworzywa w tym również z plasteliny. W skoczowskim domu kultury urządzono wystawę prac ze szczególnym wyeksponowaniem najlepszych. Wśród nagrodzonych przez jury wybrany został modelowy malunek służący jako prototyp pomnikowej postaci, a zarazem projekt maskotki skoczowskiego utopca. Za najbardziej trafną uznano "podobiznę" utopca namalowaną przez uczennicę Dorotę Noszkę na podstawie opowiadania Gustawa Morcinka.

Jeśli już zdecydowano się na reklamową maskotkę, wypadało ją jakoś nazwać. Wprawdzie utopiec to utopiec, nigdy żadnego indywidualnego imienia nie posiadał i wszędzie, czy to w Skoczowie, czy Strumieniu, czy nad Wisłą, czy nad Olzą, zawsze mówiło się tylko o utopcu; tym razem jednak uznano, że musi on mieć jakieś konkretne imię. Ogłoszono zatem po raz pierwszy (rzecz bez precedensu) plebiscyt na imię dla skoczowskiego utopca. Plebiscyt urządzono podczas ubiegłorocznych, trzydziestych siódmych obchodów Dni Skoczowa, a wzięło w nim udział ponad 320 osób. Jak na tylu uczestników plebiscytu zgłoszono niezbyt imponującą liczbę, trzydzieści dwie propozycje nazwy utopca. Lista była jednak i tak na tyle pokaźna, że członkowie zarządu Towarzystwa Miłośników Skoczowa z prezesem Robertem Orawskim, którzy dokonywali eliminacji i wyboru, mieli nie lada

kłopot, aby wybrać to jedno, najbardziej trafne imię. Takie, które pozbawione byłoby charakteru demonicznego, miałoby brzmienie w miarę sympatyczne i oczywiście podkreślałoby związek z wodą. A wśród proponowanych znalazły się takie określenia jak na przykład: Barzyniok, Bachroczek, Podciepek, Chlupoczek, Bładniczek, Wiślaczek, Stawoczek, Plosoczek, Żabioczek, Kowiorek, Topieluszek, Szuwarek i inne. Po długich dyskusjach przyjęto dla utopca imię Plosoczek, nawiązujące do głębiny w rzece, w gwarze nazywanej plosem. Propozycję imienia Plosoczka zgłosiła uczennica Szkoły Podstawowej w Skoczowie jedenastoletnia Alicja Fedelińska ze Skoczowa.

W taki to sposób skoczowski utopiec otrzymał swoje imię i wizerunek, a miasto będzie miało, obok symbolicznego Trytona, również maskotkę i pomnik utopca Plosoczka. Może to uchroni przed wypadkami utonięć w tych okolicach?

KAROL KAJZER

SENNIK DLA ZAKOCHANYCH

Bar nocny odwiedzać - przed tobą trudna decyzja o wyborze prezentu dla kochanej osoby, szczególnie gdy na horyzoncie walentynki.

Flagą wymachiwać - pragniesz czułości, bliskości i prawdziwego ciepła, a tymczasem wciąż nieobecny partner próbuje siebie zastąpić e-mailami lub sms-ami, które są przecież tylko jego namiastką.

Wino pić - przed tobą wybór, co ważniejsze - związek czy kariera zawodowa na najwyższym szczeblu.

Znaleźć coś cennego - przed tobą sytuacja, w której gorzko pożałujesz, że nie możesz nagle zapaść się pod ziemię.

Krem wklepywać w twarz - nie maskuj swych prawdziwych pragnień - jeśli naprawdę kocha, zrozumie nawet te najdziwaczniejsze.

Wysypkę mieć - tak zwani życzliwi oplotkowują was niemiłosiernie. Nie przejmuj się, to po prostu zazdrość.

Ręce wyciągać - nie proś partnera o coś, co kłóci się z jego zasadami, bo poczuje się z tym źle i choć może tego nie okaże, stracisz nieco w jego oczach.

Banany jeść - popełnisz z zazdrości jakieś głupstwo, nagadasz komuś porządnie lub nawet uciekniesz się do rękoczynów.

Kapłana wzywać - potrzeba zalegalizowania związku, poczucia pewności, że na pewno do siebie należycie i nic już tego nie zmieni.

Naczynia myć - zachęta do spokojnego przemyślenia pretensji, jakie masz do partnera.

Kaktusy hodować - niepostrzeżenie upodabniasz się do tych kłujących roślin. Złośliwiejesz strasznie, a to nie pomaga w żadnym związku.

Pożar widzieć - pożar uczuć prawdopodobnie, bo to dobry czas na finalizowanie pewnych platonicznych zauroczeń.

Jęki słyszeć - pragniesz zwrócić na siebie uwagę partnera lub partnerki, ale zupełnie nie wiesz, jak to zrobić.

Hamburgery jeść - nie dopuść do tego, by twój związek stał się właśnie jak hamburger, zawsze taki sam, przewidywalny, bez fantazji.

Młodnieć we śnie - dla osób, które zapomniały już o swoim okresie dojrzewania, to moment kryzysu wieku średniego.

Pływanie w basenie - dla skłóconych par oznacza rychłe pogodzenie się, dla zgodnych zapowiada wytęskniony wolny weekend.

Słoń - spełnią się wasze marzenia o egzotycznych podróżach.

Włosy - wróżą niestety czas nieporozumień, braku czasu dla siebie nawzajem czy nawet ucieczkę w pracę.

Rękawiczki - symbol siły więzi, jakie was łączą.

Smok - zakochani mogą liczyć w najbliższym czasie na poprawę sytuacji finansowej.

Mróz - oby nie przepowiadał zamrożenia waszych uczuć.

Sad - często ostatnio uciekasz wspomnieniami do dzieciństwa.

Pies - stan zakochania, oprócz mnóstwa innych korzyści, daje ci coś, na czym szczególnie ci zależało - poczucie bezpieczeństwa i przynależności.

Galaretka owocowa - potrzeba wyżycia się, wyładowania negatywnych emocji, które zaczynają nad tobą dominować.

Poduszki - nie przepadacie wzajemnie za swoimi rodzinami. To jednak nie powód, żeby przenosić negatywne uczucia na siebie nawzajem.

Więcej na temat interpretacji snów przeczytać można w "Senniku dla zakochanych" Anny Marii Krauze wydanym przez Wydawnictwo Astrum we Wrocławiu.

OPOWIADANIA NA SZARĄ GODZINĘ

CZORNO RÓŻA STAREGO HAWIYRSKIGO PYNDZYJÓNISTY ANTONIEGO GŁUCHA

Bioło kolónija na Szustym we starej Karwinie przi Hańdrych szachcie to już dzisio je legenda. Tam istnioł żywot, tam ludzie se rodzili i umiyrali, a szachty dowały im żywobyci i niejedno ciyrpiyni. Było to miejsce miyndzy Górskim dworym pod Hoheneggerym a szachtóm Hańdrych. Szachtóm, kieróm hrabia Larysz Mönnich wroz z szachtóm Franciszkóm postawił w 1856 roku. Nad Biołóm kolonijóm w prawo była Czyrwiono Kolonija. Bioło se mówiło tymu, bo dómy były opucowane i były biołe. Czyrwiono zaś tymu, bo były stawiane z czyrwiónych cegieł i nie były opucowane. Kolónije powstawały wroz ze szachtóm, bo ta potrzebowała ludzi do roboty. Przichodzili z rozmańtych strón i było ich trzeba zakwartyrować. Biegiem czasu domy se przepadywały, bo były potkopane i tak było trzeba ludzi zaś przekludzać do tych moderniejszych panelokowych kolóniji. Dzisio po nich, a po szachcie Hańdrych, Franciszce, Tif-bau szachcie (Głymboki) ni ma ani śladu. Zustała jyny ziymia pokryto hołdowinóm, smutno se dziwać na to, bo to wyglóndo jak na Miesiónczku, albo na jakisi nóm nieznanej planecie. Ludzie w kolo-

nijach żyli skromnie, ale mieli se radzi. Ogródki koło domów były osadzóne ziymiokami, kapustóm albo innóm jarzynóm. Nie były taki wygody w tych kwartyrach, jak dzisio majóm w tych panelokach, kaj jedyn drugigo prawie nie zno. W żodnej zogrodzie nie chybiało kwiotków. Telewizorów, a im podobnych pudeł nie było. Sym tam w dómu było radio, a w niedziele po połedniu było słychać muzyke z gramofónów, albo kierysikej groł na werandzie na harmónice. Ale za to dziecek było pełno. Karwiński szkoły praskały we szwach od telkich dziecek. Dzisio dziecek z roku na rok ubywo, ale autów wypuszczajóncych smród mómy pełne cesty, a kole paneloków nie uwidzicie kwiotka, jynym trowsko a dziwoki krzoki, a kole pudlic tela nieporzóndku, że szkoda mówić.

Wiycie, mili ludkowie, też żech je już pore roków na tej pyndzyji i tak nikiedy na to wszystko spóminóm, na moji młode roki, jak żech zaczynoł w hawiyrni, na starych kamratów, kierych już wiela nima miyndzy nami. I tak w tym 2004 roku spómiołech se na rok 1894, kiedy to była wielko katastrofa na Laryszowych szachtach w Karwinie. Było tymu 110 roków. Moc se koło tego nie namówiło. Troche se o tym napisało w ponikierych gazetach, panowie ze szachet położyli kwiotki przi pómniku poległym hawiyrzóm w dole, ludzi prawie żodnych u tego. Tyn pómnik, abyście wiedzieli, je przi uniwersytecie we Frysztocie. I to wóm tak było wszystko, może żech na cosikej zapómnioł, bo s tóm mójóm głowóm to idzie z kopca. Przeszło to tak zwanie cichym duchym. Nikierzi powiadajóm, co fórt bydymy ludzi z tym straszyć. Dyć my tych ludzi, co zustali na dole, już prawie nie znómy, atd. Stydzym se za takich ludzi w głymbi dusze, że tak o tym myślóm. Spómiołech se na jednego starego człowieka z Karwiny ze Szustego, co miyszkoł w Biołej kolóniji. Co przeżył tóm strasznóm katastrofe, przi kierej padło 235 ludzi. Znołech go i pamiyntóm, kaj w tej koloniji miyszkoł. Niejedyn roz żech go słyszoł opowiadać o tej katastrofie i o swojim nielekim żywocie. Porobiłech se z jego opowiadania pore notatek na kartki papiyru. Tak mi pozwólcie, że poodchylym troche ksiynge spóminek z żywota tak zocnego dobrego człowieka, jakim był Antoni Głuch.

W Galicyji przi Krakowie je dziedzina Trzebiónka. Na farze w zażółtłych strónach w matryce z roku 1868 je napisane, że se narodził synek w rodzinie Głuchów, kierymu dali na miano Antoni. W rodzinie było już dziecek pore, a dóma było biydy dość. Jak troche synek Antoni podrosnył, już musioł u siedloka gynsi, a nieskorzi krowy paść, żeby tela głodnych karków dóma nie było. Do szkoły go żodyn nie posyłoł, zustoł niegramotnym. Bo pón cysorz to tak chcioł i powiadoł: ...my nie potrzebujymy poddanych sztudowanych, my potrzebujymy poddanych grzecznych i posłósznych nóm... W tej istej dobie na zachód od Krakowa, w Karwinie, powstowoły szachty i brali tam ludzi do roboty. W Galicyji było sporo takich ludzi, kierzi za robotóm odchodzili do świa-

ta. Troche bogatsi albo ci, co sprzedali swoji majóntki, pojechali do Ameryki. Kiery chcioł być bliży dómu, tak szoł harować do Karwiny. Ojciec Antoniego też szoł za robotóm do Karwiny. Jak se tam troche zapracowoł, poszli za nim jego synowie. Jednym z nich był i Antoni, kiery w piyrszych dniach lutego 1883 roku szoł za tatóm do Karwiny. Starzik Głuch pamiyntoł se to dobrze.

Było to 9 lutego - powiadoł starzik. - Ojciec prziszoł na szachte do kancnaryje pana zawodnigo z czopkóm pod parzóm i prosił go, żeby synka wzión na szachte. Zawodni starego Głucha dobrze znoł i mioł o nim dobróm sprawe i tak żech se dostoł na szachte. Młodzi na szachcie ni mieli żodnych wygód, prziwilejów. Musieli posłóchać na każde słowo i robić wszystko, co im było nakozane. Żodne odmówiani, żodne wymówki, bo jak ni, tak za bramóm je dalszych dość. Młody Głuch zaczón na szachcie robić te najgorszóm robote, karowani. To byli ci ostatni na szachcie. Jak se karowało do kopca do swoźni, tak przi karach robili dwa. Jedyn kary cisnył, a drugi ich szerkóm ciónġnył i przi tym se zmjyniali. Nikiedy siła nóg nie starczyła, musiało se spocznyć, wydychać se. W niejednej taki chwili było czuć boleść w plecach. Ni roz przi spoczywaniu uczuli na plecach kónsek wynglo, jak nim po nich hajer chynył i słowa: Na co czakocie? Hibejcie sobóm!

W tych czasach, jak starzik Głuch spóminoł, był problem z faranim na dół i z wyfaranim. Szolóm mógli jeździć jyny panowie a oberhajerzi. Ostatnio luza schodziła i wychodziła po drabinach, tzw. "fartach", na kierych se mijali, jak jedni lyźli na dół, a drudzy na wyrch. Szłapali jedyn drugimu po palcach rónk. Oczy były pełne prochu z tych drabin, szkoda mówić!

Mioł roz młody Tonik taki wypadek w robocie, że go rynka bolała. Pod szachtóm wcis se do szole miyndzy hajerów, wtym go uwidzioł pón obersztajger. Chycił go za kabot i wyciónġył go ze szole. I hnet spuścił na niego, gdo mu to pozwolił wciść se do szole. Biydaczysko nie umioł powiedzieć w tej chwili żodnego słowa, a tóż obersztajger na niego. Ty pierónski giździe, nie umisz mówić? I już leciała jedna facka z jednej strony, a drugo z drugi strony: Hibej sobóm po fartach na wyrch! Wyciyrpioł boleściom, niż wyloz na wyrch. Caluśkóm noc ani nie społ. Rano rynka go bolała, w głowie to trzeszczało. Nic innego mu nie zbywało, niż iść rano na szychte i zaś tymi przeklyntymi fartami na dół.

Dóma w kwartyrze ich było dość, patnoście albo szesnoście. Z tego było piyncioro domowych, a reszta kwartyrników. Spało se na strużokach na ziymi. Na szachcie kómpieli nie było, a tak se myło w jednym wielkim drzewiannym żberze napuszczónym ciepłóm wodóm, kieróm se nagrzoło na blasze w kuchyni. Nejgorszy to było w zimie - powiadoł Głuch. Wyloz człowiek po fartach cały mokry, spocóny i szoł do dómu. Ci, co to mieli blisko, ś nimi było dobrze. Gorszy to było z tymi, co musieli nikiedy całymi godzinami iść pieszo zmazani do chałupy. Dóma sobóm buchli na pryczo, a wczas rano zaś na

szychte. W lecie to było lepszy, bo se sym tam przespali we stodole u siedloka. Taki to był żywot, powiadoł stary Tonik: wszystko my musieli przeżyć. Dźwignył siwóm głowe, przimrużył oczy... tak jakby to ani prowda nie była.

Był skoro pół roku żónaty, jak była ta okropno hawaryja w tym 1894 r., robił wtedy na Franciszce. Na dole, jak usłyszeli ogromny wybuch, tak wszyscy zaczli uciekać ku szachcie. Byli kónsek od szachty. Przeciwko nim se zaczón walić czorny dym. Cofli se, żeby z innej strony innymi chodnikami se dostali ku szachcie. Było to w lecie, tak na dole robili wszyscy boso. Tak se jaksi stało, że ón jedyny z całej tej grupy pobłóndził. Olejowóm lampke, kiero dogorywała, stracił cestóm. Tak se błónkoł po dole po ślepu. Chodził za światełkami uciekajóncych ludzi, kiere se przed nim migotały. Doszoł pod szachte, nogi mioł całe pokaleczóne. Wszystkimi siłami wyloz po fartach na wyrch. Koło szachty był wielki bałagan, znoszali ludzi raniónych do cechowni. Policajtów było pełno. I tak se przepchoł miyndzy nimi, szukoł jakigosi opatrunku, doktora. Chcioł wlyść do sali cechownie, tam go nie puścili. Powiedzieli - ty jesz-cze żyjesz. Zrozumioł to, bo i tam doktora nie było. Pón hrabia głównie se postaroł o dwóch faroży, kierzi umierajóncym dowali ostatni pomazani. Aspón ludzie o Laryszowi mógli powiedzieć, że był krześcianin.

Za jakisi czas postawili na Hańdrychowie na rozdrożu cest ku szachtóm Hańdrych, Franciszka, Głymboki kapliczke, bo w tym miejscu w podziymiach zustało najwiyncyj nieboszczyków, a po dziyń dzisiejszy żodyn ich nie naszoł. Opowiadali hawiyrze, że w tych miejscach w dole straszyło, wózki jeździły tam a spatki same i dzioły se tam rozmańte cudaczne wiecy. Po postawiyniu tej kapliczki to straszyni w dole przestało. Ta kapliczka je tam po dziyń dzisiejszy w bardzo opłakanym stanie. Barabi figure Paniynki Maryje rozbili, co mógli, poniszczyli, żodyn se o to nie staro, żodnego to nie boli. Tak samo je to na karwińskim kierchowie, kaj rok po katastrofie była postawióno spólno mogiła z krzyżym i z napisami poległych wszystkich hawiyrzi przi tej katastrofie. Napisy mian sóm skoro nieczytelne, krzyż je stargany, też to żodnymu dzisio nie przeszkadzo.

Na szachcie Antoni Głuch robił do 1925 roku. Przeszoł wszystki Laryszowe szachty, Henryka, Franciszke, Głymboki i Jana. Jednego dnia zawołoł pón zawodni do swej kancnaryje starego Głucha i powiado mu: Dłógo chcecie jeszcze na tej szachcie robić. Głuchowi jakby mu kiery dech wyraził, nie poradził odpowiedzieć panu zawodnimu, tak jak wtedy tymu oberszta jgrowi pod szachtóm na dole. Tóż zawodni to ukóńczył sóm: Ni ma to za moc z jednej rodziny, aby sztyrzej robili na dole? Pujdziecie wy, bo szachta starych już nie potrzebuje. Potrzebuje młodych ludzi do roboty. Antoniego dali robić na wyrch

na plac. Smutnie spoglóndoł na tych, co mógli robić na dole. I tam przerobił jeszcze 5 roków.

Może dzierżeliście kiedy w rynkach stare zbite hawiyrski kładziwo, 50 może wjyncyj roków stare. Tak to było ze starym Głuchym.

A starziczek stary Głuch opowiadoł dali o swym dzieciństwie. Dodoł takóm przigode. Powiadoł, że jak mioł koło trzech roków, stracił se ojcóm z dómu. Wszyscy go chledali. Nikierzi se myśleli, że se beztak w pobliskim stawie utopił. Naszli go aż ku wieczoru - usłyszeli go śpiywać. Chodził po łanach obilo. Jak go zawołali, tak wyloz z tego obilo, a w rynkach mioł pełnóm naryncz czyrwiónych maków i ciemnoniebieskich chabrów. Śmioł se, nie rozumioł, czymu na niego wrzeszczóm i nadowajóm mu i czymu dostoł dóma. Óni nie rozumieli, jakóm mioł radość z tych kwiotków. Ta radość z kwiotków u niego nie była jyny chwilowo. Umiłowani do kwiotków mioł przez całe swoji życi. Mocka od tego czasu przeżył wszystkigo, ale miłość do kwiotków go nigdy nie opuściła. Ni mioł rod, jak nikiery targoł kwiotki tak jyny do zabawy. Powiadoł, że każdy kwiotek mo swój żywot, a każdy urwany kwiotek je urwanym żywotym. Kiery mo dooprowdy rod kwiotki, tak ich nie targo, ale staro se o nich, żeby były piekne, żeby se podobały. Teraz już nie chodził zbjyrać maki i bławatki, stoł se z niego taki mały kolónijny ogrodnik. Jak robił na szachcie, tak we swojim ogródku mioł przes 70 gatunków kwiotków, głównie róży. Trzi wielki obłónki nad chodnikym do jego dómu były pełne róż. Mioł ich pożegnanie. Nieroz nas kludził ku nim. Każdo jego różyczka miała swoji miano, do każdej mówił jak do człowieka, przyklynknył, powónioł, pooglóndoł, czy jóm jaki chroboczysko nie żere. Ty miana były rozmańte: Pawlinka, papież Pius, Helenka, Piłsudski, Zośka, Wanda itd. Nejwjynkszóm mioł radość, jak óny miały swoji pónczki, jak rozkwitały, nimóg se im nadziwać. Ta wónia tych kwiotków, szkoda mówić, każdy, kiery przechodził koło jego ogródku, se zastawowoł, by sie pokochoł tym widokym, tóm pieknościóm. Jaki to z tego Głucha był malyrz. Wystarczyło mu kónsek wolnej ziymie, ryjaczka, kopaczuszka, troche nawozu i jego pracowite rynce a dobre serce. I był z tego taki obraz, kiery by żodyn nie poradził namalować. I powiadoł, że był jednego dnia na torgu i uwidzioł tam niebieskóm róże, że se mo po nióm przijechać do ogrodnika do Radwonic. I doł tej róży na miano generał Sztefanik. Nie wiym, czy jóm przywiós i czakoł, jaki bydzie miała kwiotki, ale myślym, że ja. Wiedzioł wszystko o kwiotkach jyny z ustnego podanio, bo z rozmańtej lektury nie poradził skorzystać, dyć był analfabetym. Roz usłyszoł, że kierysikej wypiastowoł czornóm róże, hawiyrskóm, i zaczón se tym interesować. Że to se musi wychledać młody dómb, jak mo czyrwióne listki, i musi se do niego zaszczypić czyrwónóm róże. W tym czasie w koloniji wysadzowali małe dymby i przi jego dómu były dwa. Tak na jednym to

sprubowoł, nie udało se, na drugim też se nie udało. Zrezygnowoł z tego, bo snoci musi tyn dymb mieć moc dobre warunki i to se mało kierymu udo. Pokozoł na ty dwa dymby, były już wielkimi strómami, przyszoł ku nim, pogładził swojóm upracowanóm rynkóm i podziwoł se do jejich korony. Rany po szczypiyniu se downo zagoiły.

Powiadał, że mo jeszcze jedyn dłóg u kwiotków, tóm czornóm hawiyrskóm róże. A jo se myślym, mili ludkowie, że tyn cud Antoni Głuch dokozoł. Tam w podziymiach na dole wykrzosoł klinym a kładziwym we wynglu tóm swojóm czornóm hawiyrskóm róże i tysiónce dalszych pieknych kwiotków. Doł je wszystki ludzióm, by se im lepszy żyło, żeby nigdy nie poznali, co je zima a głód, żeby żyli w lepszym świecie.

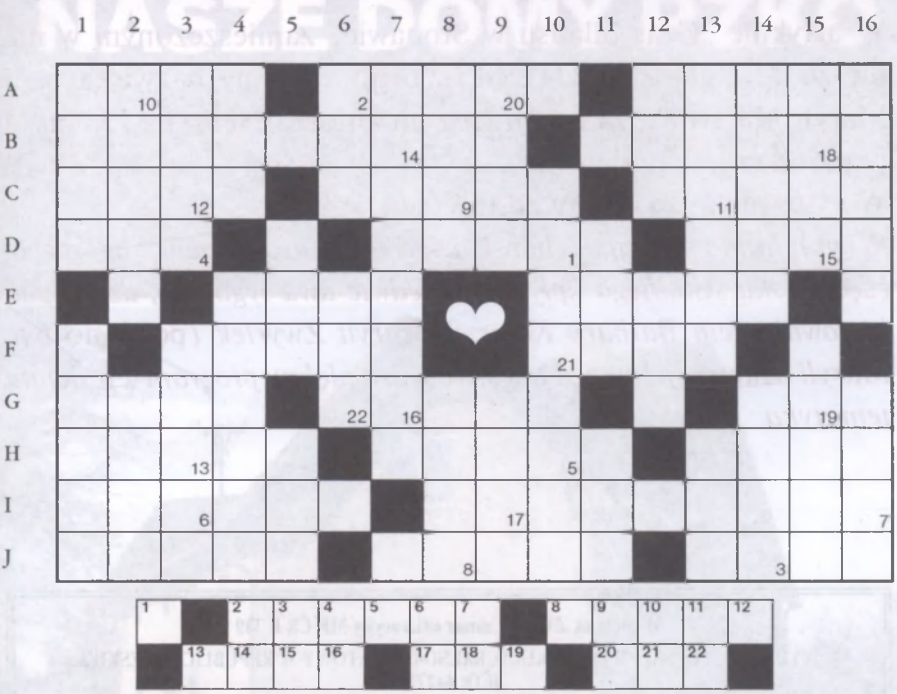
Pisoł se rok 1968. Wszyscy, co go znali, se do niego gotowali, żeby razym osławili jego setne urodziny. I muzykanci na szachcie sztelowali te nejpiekniejsze melodyje na jego cześć. Niestety, miesiónc przed swojóm stówkóm przestało bić szlachetne serce staruszka Antoniego Głucha.

Moc, przeokropnie moc ludzi se zeszło na jego pogrzebie, jego grób był zasypany kwiotkami, żegnali se z nim słowami: Dziynkujymy ci, Toniku, za tóm twojóm czornóm róże! Śpij w spokoju!

DAR. JOCHEL



Antoni Głuch
na obrazie Rudolfa Żebroka



KRZYŻÓWKA Z PRZYSŁOWIEM

POZIOMO: A. Statek Noego; australijski niedźwiadek; miasto w Indiach. - **B.** Grzeczność; obszar między zwrotnikami. - **C.** Dzieło; uczeń; ... Polska TC. - **D.** Antonim wyżu; region turystyczny na Słowacji; jego stolicą jest Teheran. - **E.** Nacięcie; obraz religijny. - **F.** Armata po naszymu; wulkan na Sycylii. - **G.** Ryba wód arktycznych; halny; gdzie ..., tam klin. - **H.** Potocznie obóz koncentracyjny; wyznanie wiary; córka Kroka. - **I.** Dezawantaż; siedziba prymasa Węgier. - **J.** Małpa wąskonosa; ma symbol At; przyprawa korzenna.

PIONOWO: 1. Skrót dla Akcji Odra Nysa; miejsce. - **2.** Indyjska złotówka; lud sudański. - **3.** Rodzaj dzbana; mały konik. - **4.** Skrót austriackiej waluty; założyciel kwartetu smyczkowego w Trzyńcu. - **5.** Imię Mistrza z Czarnolasu; drzewo tropikalne. - **6.** Wąż z „Księgi dżungli"; ściek. - **7.** Ornament. - **8.** Tatarak; grecki Mars. - **9.** Przylądek w Indonezji; sprawdzian. - **10.** Forteca, warownia. - **11.** Może być dziełem sztuki; czeski prawnik (Emil). - **12.** „Sztuka" po łacinie; tytuł powieści Witkiewicza. - **13.** Pieszczotliwie o kocie; największa wyspa Chorwacji. - **14.** „Manru" Padarewskiego; opowieść. - **15.** Gruby powróz; krowi język. - **16.** Roślina, pierwowzór ornamentu; miasto w Grecji.

Wyrazy trudne i mniej znane: AKOLA, KIMI, ŁAPA, MABA, OTT.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań (wystarczy podać rozwiązanie dodatkowe - przysłowie osmańskie i armeńskie) przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe.

Rozwiązania prosimy przesyłać do końca lutego.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru grudniowego: OPOWIEŚĆ WIGILIJNA

Nagrody książkowe wylosowali: **Danuta Białożyt** - Gródek
Alfred Lotter - Sucha Górna

W artykule „Czas bilansu w Stonawie" zamieszczonym w numerze 12/2004 ZWROTU doszło do zamiany nazwiska pani Maryli Martynek, za co niniejszym autorka Henryka Żabińska przeprasza.

W cytowanym ze strony 28 fragmencie:

W *programie wystąpił chór i dzieci szkolne. Chociaż od rozpoczęcia roku szkolnego upłynęły zaledwie dwa tygodnie, dzieci pod kierownictwem Barbary Kołorz i Maryli Zwyrtek (*powinno być *Maryli* ***Martynek****) przygotowały bardzo piękny program z jesienną tematyką.*

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Strzelnicza 28, P.O.Box 97, 737 01 CZESKI CIESZYN,
tel. i fax: 558 712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI,
Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK,
Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – Infiniti art, s. r. o., Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 240 Kč, z wysyłką pocztową 324 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02
z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE DOMY PZKO



DOM PZKO
w Olbrachcicach

Odes.: Redakce ZWROT
Střelniční 28
737 01 Český Těšín

O.P. P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE SZKOŁY

STONAWA

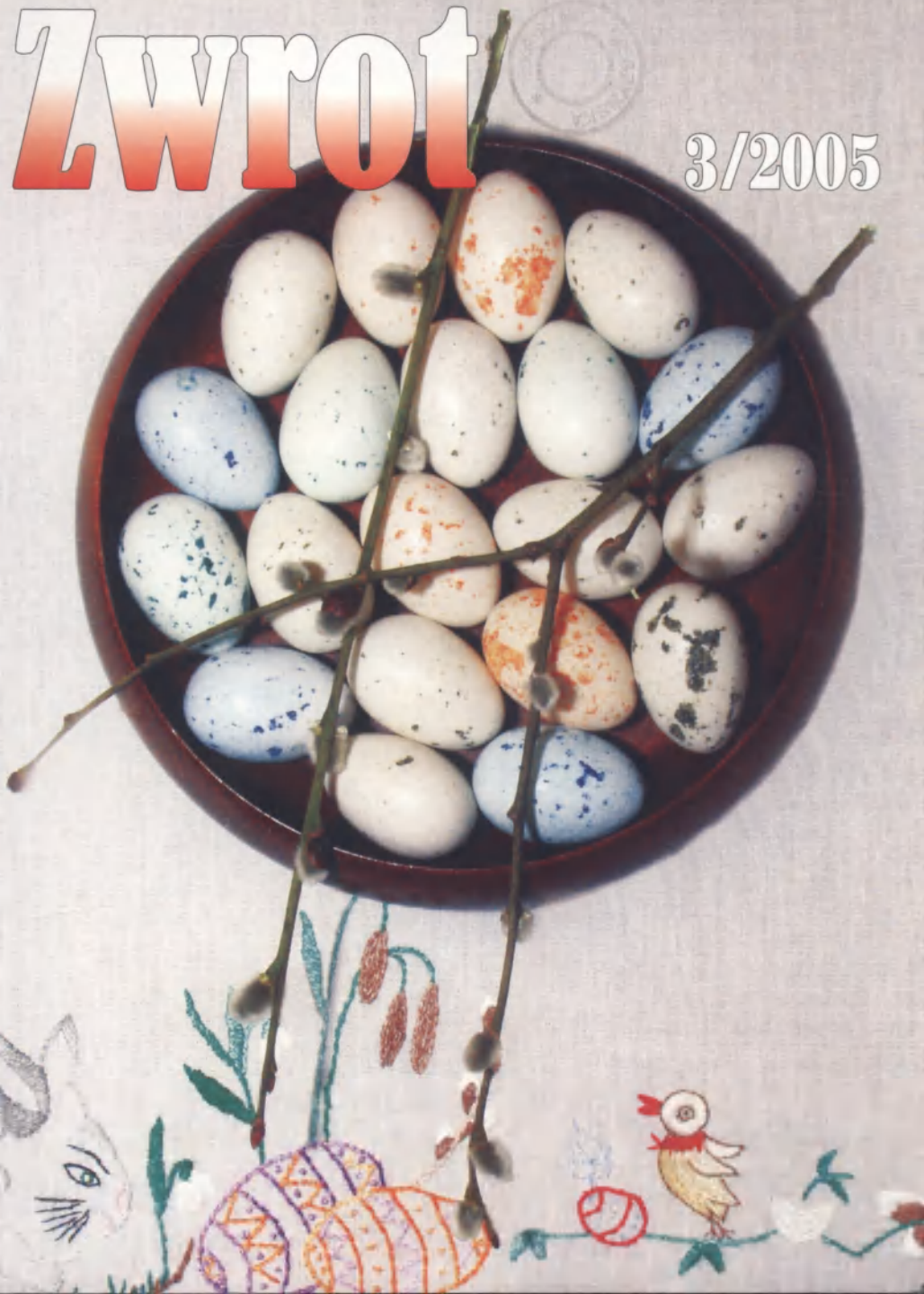


ISSN 0139-6277

miesięcznik społeczno-kulturalny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej

Zwrot

3/2005



TACY BYLIŚMY



Kółko Amatorskie Stowarzyszenia Siła w Polskiej Ostrawie podczas obchodów grunwaldzkich 10. 7. 1910

W trzecim rzędzie od dołu szósty (od lewej strony) przewodniczący Stowarzyszenia Siła w Polskiej Ostrawie Kubowicz, dwie osoby dalej w tym rzędzie skarbnik Wiecerzak.
Na dole w pozycji półleżącej pierwszy po lewej stronie sekretarz Kęsek, z prawej strony Salamon, w rzędzie najwyżej stojących trzeci od lewej Jarosz.

Zdjęcie udostępnił redakcji dr Stanisław Zahradnik.

ŚWIĄTYNIA
POD HADASZCZOKIEM W SAŁAJCE
Z DROGĄ KRZYŻOWĄ

Na zboczu doliny
Źródło wody cudownej od dawien dawna
tryska...
Nad nim -
miejsce święte - Sanktuarium Ojca Syna Matki Jego
pw. Krzyża Świętego
siłą woli ducha modlitwą dłoni słoną w kamieniu na skale
pośród lasu stanęło

W kręgu
Droga Krzyżowa
medytacje głębokie nad istotą Tajemnicy życia i śmierci
staraniem usilnym Karmelitów Bosych stanowione
Progi
dla Syna Twego Boże i Ojcze nasz

Tu - Ciebie chwalimy Prośby i modły śpiewy
dziękczynne zanosimy
Zbawiciela naszego i Matkę Jego Opłatkiem spowiedzi
o odpuszczenie grzechów prosimy
Wysłuchaj nas Panie...

Krzyż Twój Nocą Wielką zwycięstwo nad Śmiercią
głosi
Dzwony
sercami Twego Słowa Panie o nasze serca biją
Na chwałę Twoją biją biją biją...

JAN PYSZKO
Łomna Górna, 6.5.2001

KSIĄŻNICA CIESZYŃSKA
Cz III 6

Zwrot

Rok LVI, Nr 664
Cena numeru 20,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 27,00 Kč

3/2005

W NUMERZE

3	Organizacje literatów zaolziańskich	CZESŁAWA RUDNIK
10	Polacy na Zaolziu w 2. połowie lat pięćdziesiątych XX wieku	JURAJ MARUŠIAK
18	Wspomnienia z lat drugiej wojny światowej (2)	KAROL BARTULEC
26	Polsko-czechosłowackie stosunki polityczne w czasie drugiej wojny światowej oczami czeskiego historyka	ROMAN BARON
34	Kronika: Cieszynianka, Aktywni elektrycy, Zjazd Gwiaździsty 2005, Działalność Polskiego Stowarzyszenia Artystów Plastyków w RC	
38	Aforyzmy Bohdana Małysza	
42	Na naszej scenie	CZESŁAWA RUDNIK
47	Opowiadania na szarą godzinę	DAR. JOCHEL
48	Poezja Franciszka Nastulczyka	
50	Andrzej Stasiuk: Jak zostałem pisarzem (fragment)	
53	Próba autobiografii literackiej, czyli Jak Andrzej Stasiuk został pisarzem	LIBOR MARTINEK
54	Wizerunk poćciwego ślachcica polskiego Mikołaja Reja z Nagłowic	KRYSTYNA KARDYNI-PELIKÁNOVÁ
59	Polemiki	KAZIMIERZ KASZPER
63	Z dorobku Leona Derlicha	
65	Na półkach księgarskich	
68	Na osiemdziesięciolecie Otokara Matuszka	STANISŁAW ZAHRADNIK
71	Echo wydarzeń muzycznych	JÓZEF WIERZGOŃ
74	Pożegnania: Jan Rucki	
76	Mozaika	ANNA BOSZCZYK

Numer zamknięto 16. 2. 2005

ORGANIZACJE LITERATÓW ZAOLZIAŃSKICH

Pierwszy związek pisarzy zaolziańskich założony został w 1937 roku. *Po raz pierwszy myśl o powołaniu do życia organizacji literacko-artystycznej na Śląsku Cieszyńskim w granicach Czechosłowacji rzucona została w grudniu 1936 roku* - czytamy w Zwrocie (1/1967) w artykule Ludwika Brożka „Przyczynek do dziejów SLA". Było to podczas „Wieczoru literatów śląskich" w Karwinie, w którym wzięli udział: Karol Berger, Adolf Fierla, Paweł Kubisz, Józef Niemiec i Jerzy Stanisław Polaczek. Już w lutym następnego roku Dziennik Polski (47/1937) napisał: *Literaci, malarze i rzeźbiarze polscy u nas na Śląsku nie byli dotąd zrzeszeni w żadnej organizacji. Poszczególni pracownicy literaccy i artystyczni, o ile nie należeli do Zawodowych Związków Literatów Polskich, chodzili odosobnieni. Obecnie wszyscy oni zostaną ujęci w organizację, a pracy ich nada się pewien pozytywnie wytyczony kierunek. Założony tu bowiem został w tych dniach Polski Związek Literacko-Artystyczny z siedzibą w Czeskim Cieszynie, w skład którego weszło od razu 17 pracowników kulturalnych mniejszości polskiej w Czechosłowacji, a to z zakresu literatury, malarstwa, muzyki, badań regionalistycznych i architektury ludowej.* Prezesem tymczasowym związku, który przyjął nazwę **Śląski Związek Literacko-Artystyczny**, został Karol Berger. Po zatwierdzeniu przez władze państwowe statutu organizacji odbyło się pierwsze walne zebranie. 29 czerwca 1937 roku w sali hotelu Polonia w Czeskim Cieszynie wybrano zarząd, który obradował potem po raz pierwszy 3 lipca. Prezesem ŚZLA został Paweł Kubisz, wiceprezesem Gustaw Fierla, sekretarzem Władysław Pasz, zastępcą sekretarza Karol Berger, skarbnikiem Jerzy Trombik, bibliotekarzem Adolf Fierla, a gospodarzem Karol Piegza, w komisji rewizyjnej pracowali Emanuel Guziur i Eugeniusz Fierla, członkami sądu koleżeńskiego wybrani zostali Józef Niemiec i Józef Tomoszek. Prezes Paweł Kubisz na łamach Ogniwa (16/1937) wyłuszczył cele organizacji: *Przede wszystkim Związek ten jest organizacją apolityczną, bezpartyjną, gwarantującą każdemu członkowi wolność poglądów twórczych. Prócz obrony praw zawodowych Związek jest skupieniem ludzi,*

którzy albo sami tworzą, albo przynajmniej w sposób widoczny przyczyniają się do pomnożenia kultury śląsko-polskiej. Ten sam Związek powinien przeciwdziałać wszelkim tendencyjnym i umyślnym próbom fałszowania prapolskiej gwary śląskiej. Organizacja ta, skupiająca ludzi wyrosłych na Śląsku, miała być według Kubisza *pomostem zbliżeniowym między literaturą słowiańską w Czechosłowacji, a społeczeństwem polskim,* miała też prowadzić działalność wydawniczą i translatorską. *Śląsk nie przeżył jeszcze epoki wielkiego Podhala, Śląsk tę epokę musi dopiero stwarzać pilnie i wytrwale, uczciwie i sumiennie* - zakończył Kubisz. Śląski Związek Literacko-Artystyczny, w którym znaleźli się plastycy, literaci i publicyści oraz działacze ruchu muzycznego, organizował wieczory literackie, wystawy plastyków, wydał „Przednówek" Pawła Kubisza z ilustracjami Franciszka Świdra i opowiadania Adolfa Fierli „Kamień w polu" z ilustracją Gustawa Fierli. Pracę Związku przerwał wybuch drugiej wojny światowej.

Po wojnie władze państwowe nie zezwoliły na wznowienie działalności przedwojennych polskich organizacji. W 1947 roku powstał Polski Związek Kulturalno-Oświatowy, w jego ramach organizacyjnych mogli zrzeszać się także literaci. Inicjatywę utworzenia **Sekcji Literacko-Artystycznej (SLA)** przy PZKO podjęli przedwojenni działacze Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego. 7 października 1947 roku spotkali się w Domu Śląskim w Czeskim Cieszynie Paweł Kubisz, Władysław Pasz, Franciszek Świder, Gustaw Przeczek, Gustaw Fierla, Dominik Figurny, Paweł Rdacz, Rudolf Żebrok i Karol Piegza, który prowadził zebranie. Tydzień później, 14 października, odbyło się zebranie konstytuujące, na którym ustalono nazwę stowarzyszenia i najważniejsze zasady działania. Na czele Sekcji Literacko-Artystycznej stanął Paweł Kubisz. Jego zastępcą został Gustaw Fierla, sekretarzem Gustaw Przeczek. W protokole z zebrania umieszczono informację, że *odpowiednio przerobiony i dopełniony* statut przedwojennego ŚZLA stanie się obowiązującym regulaminem SLA. Jednak, co podkreślają literaturoznawcy, badacze pisarstwa zaolziańskiego, i uważają za błąd, działacze SLA nie stworzyli, ani na początku, ani później, żadnego programu ideowo-artystycznego, pełnili w swoim stowarzyszeniu jedynie zadania organizacyjne i szkoleniowe. Pierwszymi były: stworzenie podstaw zabezpieczenia zawodowego, wydawanie opinii w sprawach literacko-artystycznych i rozwijanie ruchu wydawniczego.

Jeszcze przed powstaniem SLA w marcu 1947 roku udało się Pawłowi Kubiszowi wraz z redaktorami Głosu Ludu Andrzejem Kubiszem

i Henrykiem Jasiczkiem stworzyć dodatek kulturalny gazety nazwany Szyndzioły. Zaś w grudniu 1949 został Paweł Kubisz redaktorem nowo powstałego miesięcznika społeczno-kulturalnego PZKO Zwrot. Na łamach Zwrotu drukowali pisarze zaolziańscy swoje wiersze i opowiadania, Zwrot był miejscem wymiany poglądów na tematy artystyczne, donosił też o wydarzeniach kulturalnych w regionie. Jego kolejni redaktorzy naczelni nadzorowali działania SLA. Autorami pierwszych publikacji książkowych wydanych przez SLA zostali Paweł Kubisz, Henryk Jasiczek, Gustaw Przeczek, Adam Wawrosz, Józef Ondrusz. W 1956 roku wyodrębniono w Sekcji Literacko-Artystycznej pion literacki, plastyczny i muzyczny, później doszedł jeszcze pion fotograficzny. Kierownikami pionu literackiego, czytamy w „Leksykonie PZKO", byli Józef Ondrusz, Henryk Jasiczek, Gustaw Przeczek, Janusz Gaudyn, Gustaw Sajdok, Jan Daniel Zolich, Kazimierz Kaszper, Kazimierz Jawoski, Jacek Sikora.

Pierwszy okres istnienia Sekcji Literacko-Artystycznej z punktu widzenia wartości wniesionych do literatury rodzimej podsumował Bolesław Zarzeczny (Kazimierz Kaszper) w publikacji „Suita zaolziańska" w sposób następujący: *Na czele Sekcji Literacko-Artystycznej stanął w 1947 roku Paweł Kubisz, określając profil i kierunki jej działalności. Premiowana była twórczość „awangardowa", o silnym zabarwieniu społecznym i narodowym. Początkowo jedynym rzecznikiem tego programu był sam autor oraz sekundujący mu malarz i rzeźbiarz Franciszek Świder. Wkrótce nowe, oryginalne w kontekście cieszyńskiego regionalizmu wartości wniósł do literatury młody poeta Henryk Jasiczek.* (...) *Kubisz i Jasiczek nadali cieszyńskiemu regionalizmowi zupełnie inny wymiar: deklaratywność patriotycznych, budzicielskich wierszy ustąpiła miejsca rzeczywistym, egzystencyjnym problemom losu jednostki i zbiorowości.* (...) *Zostały wyznaczone drogi, z których następne pokolenia poetów nie mogły już zejść. Cieszyński, instrumentalny i zwrócony do siebie, zamknięty regionalizm został „otwarty" na problemy artystyczne i praktycznie przestał istnieć. Zaczęła się zaolziańska literatura.*

Wydaną przez SLA w 1959 roku antologią poetycką „Pierwszy lot" wkroczyli do literatury na Zaolziu przedstawiciele nowego pokolenia poetyckiego. W tomiku znalazły się wiersze Władysława Sikory, Wilhelma Przeczka, Adolfa Dostala, Janusza Gaudyna, Gustawa Pyszki, Bronisława Bielana, Wandy Pribulowej, Danuty Siwek, Józefa Raszyka. Po stronie poetów „Pierwszego lotu" stanęli też m.in. Gabriel Palowski, Jan Pyszko, Gustaw Sajdok, przeciwstawiając się generacji debiutującej

wcześniej, wyznającej zasadę, że trzeba pisać dla miejscowego czytelnika i to tak, by tematyka była mu bliska, oraz autorom, dla których regionalizm był jedyną normą literacką, obowiązkiem narodowym (Karol Piegza, Adam Wawrosz, Józef Ondrusz). Pisarze „Pierwszego lotu", jak stwierdził prof. Edmund Rosner w szkicu „Polska literatura na czeskim Śląsku w latach 1956-1968", *chcieli wyzwolić się z ciążącej im miejscowej tradycji literackiej, dążyli do odnowy rodzimego pisarstwa, zbliżenia z aktualnymi kierunkami artystycznymi w Polsce i przekroczenia literackich opłotków regionu.*

Sekcja Literacko-Artystyczna, oprócz zadania podnoszenia świadomości ideowej swoich członków, obowiązującego w tamtej rzeczywistości politycznej wszystkie instytucje i organizacje, miała być pomocna w tworzeniu warunków do wymiany doświadczeń pisarskich, miała opiekować się młodymi talentami, organizować imprezy literackie oraz nawiązywać kontakty ze środowiskami literackimi i artystycznymi w Polsce i Czechosłowacji. W 1961 roku odbyło się w Łomnej Górnej pierwsze seminarium SLA. Na coroczne seminaria zapraszano pisarzy i krytyków literackich polskich i czeskich, dyskutowano o problemach literatury współczesnej. Na Zaolzie, a seminaria organizowano np. w Jabłonkowie, Czeskim Cieszynie, Trzyńcu, Gutach, Koszarzyskach, ale także w Ostrawie, przyjechali np. Melchior Wańkowicz, Kornel Filipowicz, Zdzisław Hierowski, Tadeusz Śliwiak, Bogusław Sławomir Kunda, Leszek Bakuła, Jan Pilař, Erich Sojka i wielu innych. Od 1974 organizowano seminaria wiosenne o poezji, jesienne o prozie i konkursy jednego wiersza, w których wyróżniono np. Wilhelma Przeczka, Janusza Gaudyna, Kazimierza Kaszpera, Władysława Sikorę, Wiesława Adama Bergera, Władysława Młynka, Gustawa Sajdoka, Tadeusza Wantułę, Jana Daniela Zolicha, Annę Filipek, Franciszka Nastulczyka. Pisarze i krytycy z Polski byli też najczęściej jurorami konkursów literackich, które SLA ogłaszało z okazji ważnych rocznic, w latach 1952-1975 odbyło się czternaście takich konkursów, ich laureatami byli m.in. Paweł Kubisz, Władysław Sikora, Henryk Jasiczek, Teofil Stolarz, Karol Piegza, Wilhelm Przeczek, Janusz Gaudyn, Gustaw Sajdok, Kazimierz Kaszper. Ale nie tylko poezją i prozą zajmowali się pisarze Zaolzia. Bogaty amatorski ruch teatralny korzystał z repertuaru tworzonego przez związanych z SLA autorów sztuk scenicznych, np. Adama Wawrosza, Gustawa Przeczka, Władysława Młynka, Wilhelma Przeczka, Gustawa Sajdoka.

Ważne znaczenie miała wieloletnia współpraca SLA ze środowiskami literackimi w Polsce, ale także prywatne kontakty pisarzy zaolziańskich z ich kolegami po piórze po drugiej stronie granicy. Paweł Kubisz pro-

wadził korespondencję z Gustawem Morcinkiem, Julianem Tuwimem, Julianem Przybosiem. Członkowie SLA uczestniczyli w imprezach, konkursach organizowanych przez Związek Literatów Polskich. Utrzymywali kontakty z Klubem Literackim w Rybniku, z Oddziałem Związku Literatów Polskich w Katowicach, z Klubem Literackim Związku Nauczycieli Polskich w Cieszynie, Kujawsko-Pomorskim Towarzystwem Kulturalnym w Bydgoszczy, ośrodkami literackimi w Olsztynie, Słupsku, Opolu, Kielcach, Toruniu, Krakowie itd. Był to dobry sposób na propagowanie swojej twórczości w Polsce, literatom z Zaolzia udawało się zamieszczać swoje utwory w polskiej prasie regionalnej i pismach kulturalnych, drukowali swoje książki w polskich wydawnictwach (m.in. pisarze, którzy w pewnym okresie mieli zakaz druku po czeskiej stronie, np. Wilhelm Przeczek, Władysław Sikora, Wiesław Adam Berger). Na Zaolzie przyjeżdżali znani pisarze polscy, np. Tadeusz Nowak, Wojciech Żukrowski. Trochę inny charakter miały kontakty z pisarzami czeskimi i słowackimi, współpraca przebiegała na płaszczyźnie Związku Pisarzy Czechosłowackich, członkowie SLA mieli swój udział w tłumaczeniach z języka czeskiego i słowackiego (Kazimierz Jaworski, Wilhelm Przeczek, Władysław Sikora i in.).

Działania SLA odegrały ważną rolę w życiu literackim Zaolzia, nie potrafiły jednak całkowicie zintegrować środowiska. Próbą wyzwolenia się spod opieki pezetkaowskiej Sekcji Literacko-Artystycznej było założenie już w 1963 roku **Grupy Literackiej 63** (GL-63). Jednak GL-63 podobnie jak SLA nie sformułowała programu artystycznego, jej zasługą było pozyskanie bogatego mecenasa, jakim była Huta Trzyniecka. GL-63 organizowała spotkania warsztatowe, seminaria literackie, konkursy, wydawała publikacje. Członkami GL-63 byli m.in. Bronisław Bielan, Janusz Gaudyn, Alojzy Mainka, Gabriel Palowski, Wilhelm Przeczek, Jan Pyszko, Gustaw Sajdok, Adam Wawrosz, Kazimierz Jaworski, Władysław Młynek, Ewa Milerska.

Następnym rokiem zmian był rok 1968. Nie powiodła się próba zmiany nazwy SLA na **Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne**, krótko trwało istnienie grupy twórczej **H-68**, do której należeli literaci Władysław Sikora i Wilhelm Przeczek oraz plastycy, m.in. Tadeusz Berger, Bronisław Firla, Bronisław Liberda, a która za najważniejszy punkt swojego programu artystycznego uznała wartości estetyczne. Grupa H-68 organizowała happeningi.

Antologiami generacyjnymi nazwane zostały wydane w roku 1976 „Światłocienie" absolwentów krakowskiej polonistyki Kazimierza

Kaszpera, Tadeusza Wantuły i Jana Daniela Zolicha oraz wydane w roku 1985 „Spotkanie. Almanach poezji i prozy", w którym znalazły się krótkie życiorysy i próbki twórczości aż dwudziestu dwóch autorów: Janiny Borowskiej, Franciszka Hennera, Piotra Horzyka, Józefa Jarco, Stanisława Jedzoka, Haliny Klimszy, Urszuli Klimszy, Tani Kufy, Bohdana Matwikowa, Franciszka Nastulczyka, Lecha Nierostka, Ireny Orszulik, Lecha Przeczka, Lucyny Przeczek, Penaty Putzlacher, Jacka Sikory, Barbary Siwek, Janiny Špaňur, Krystyny Szymonik, Otylii Toboły, Leszka Wronki i Jolanty Żabińskiej, wielu z nich z powodzeniem rozwija nadal, indywidualnie, swoją twórczość. Książki te ukazały się nakładem polskiej edycji ostrawskiego wydawnictwa Profil, już w latach sześćdziesiątych Ostrawa przejęła druk wielu publikacji autorów zaolziańskich.

Rozpatrując znaczenie utworzonej w 1947 roku Sekcji Literacko-Artystycznej przy PZKO - podsumował działalność SLA w swojej publikacji „Literatura polska z czeskiego Śląska" Edmund Rosner - *trzeba dojść do przekonania, że na jej działalności zaważyły niejasno sformułowane założenia programowe i organizacyjne. Brak ściśle określonego programu ideowego i artystycznego w momencie powołania do życia sekcji zaciążył na przeszło trzydziestoletnim jej istnieniu. Ani Paweł Kubisz, ani jego następcy nie uświadomili sobie konsekwencji wynikających z tego faktu. Ostatecznie SLA funkcjonowała przede wszystkim jako jedna z agend PZKO, realizując prawie wyłącznie zadania stworzenia zaolziańskim twórcom możliwości wymiany poglądów na sprawy warsztatowe i to w znaczeniu własnego środowiska, jak i w konfrontacji ze środowiskami w Polsce i w Czechosłowacji. Pod tym względem zrobiono wiele. Zaprzepaszczona została natomiast sprawa upowszechnienia pracy rodzimych pisarzy i w konsekwencji zachwiany został ważny element prawidłowo rozwijającego się życia literackiego - szeroko pojmowany kontakt z czytelnikiem, z odbiorcą dzieła sztuki.*

Początek lat dziewięćdziesiątych przyniósł nowe możliwości zrzeszania się twórców. Jak donosi „Leksykon PZKO", *ostatnie Walne Zebranie SLA (9.3.1991) odrzuciło dotychczasowy model organizacji, inicjatywna grupa założycielska (Franciszek Nastulczyk, Jacek Sikora, Halina Szkopek, Adam Szop) nowego nie utworzyła.* Wcześniej, bo już 7 marca 1990 roku staraniem pisarzy Wiesława Adama Bergera, Wilhelma Przeczka, Władysława Sikory i Gustawa Sajdoka doszło do założenia **Zrzeszenia Literatów Polskich** w CSRF (ZLPC), związanego z czeską Gminą Pisarzy.

Lata najnowsze poddał krytyce w swoim referacie „Życie literacko-artystyczne na Zaolziu", wygłoszonym na konferencji naukowej „Polacy na Zaolziu 1920-2000" w Czeskim Cieszynie w październiku 2000 ro-

ku, jeden z najaktywniejszych od kilkudziesięciu lat i najbardziej kompetentnych pisarzy Zaolzia Władysław Sikora. Powiedział m.in.: *Środowisko, po swym wieloletnim stosowaniu się do uchwał i nakazów w jednej jedynej organizacji, tj. PZKO, w ostatnim dziesięcioleciu bodaj utraciło jakiś ośrodek dyspozycyjny, jaki dawniej stanowiły spięte z sobą SLA i redakcja Zwrotu. (...) Po upadku SLA, związanej z jedną, jak się rzekło, dozwoloną przez komunistów organizacją, z różnych powodów rozczarowało Zrzeszenie Literatów Polskich w RC i na razie pewnie nie ma ono szans na odzyskanie swej początkowej witalnej energii. Nie zdradza potrzeby utrzymania dawniejszych dążeń do wspólnego reprezentowania środowiska pisarskiego. Rozluźniają się też mocne niegdyś więzi koleżeńskie literacko-plastyczne. Twórcy indywidualizują się, rozpychają. Ów proces rozpoczął się już w SLA, w okresie tzw. biegu przez płotki po nagrody w konkursach jednego wiersza. Wszystko to prowadzi dziś do rozpraszania się środowiska - mimo pojawiania się niepowszednich talentów zdobywających nowe, niedostępne dotąd tereny. Nastał czas zindywidualizowanych grup czy grupek koleżeńskich. Czas unikania terenowego zadufania drogą „ucieczek" poza region bądź we własne wnętrze.*

26 maja 1989 roku rozpoczęła działalność literacka **Kawiarenka Pod Pegazem** w Jabłonkowie. Prowadzili ją Jan Pyszko, który zresztą opisał jej pracę w książce „Kawiarenka Pod Pegazem 1989-2002", Wilhelm Przeczek, Kazimierz Kaszper, Marek Słowiaczek, gośćmi jej było wielu pisarzy zaolziańskich, twórców i krytyków z Polski, Czech i innych krajów. 25 czerwca 1993 roku powołane zostało do życia **Koło Cieszyńsko-Zaolziańskie Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego** z prezesem Kazimierzem Kaszperem, które organizowało polsko-czeskie konkursy literackie O Nagrodę Skrzydła Ikara. W lutym 1996 powstała w Czeskim Cieszynie literacka **Kawiarnia Avion, której nie ma...** Stworzyli ją poetka Renata Putzlacher i pieśniarz Jaromír Nohavica, w 2000 roku zawiązało się Towarzystwo Avion. Spotkania poświęcone były np. Kolumbom rocznik ...6, kulturze żydowskiej, pisarzom Wiesławowi Adamowi Bergerowi, Władysławowi Sikorze, Bogdanowi Trojakowi, założycielowi **Wędryńskiego Towarzystwa Literackiego** i kwartalnika Weles. Avion prezentował się poza Zaolziem, program „Genius loci Śląska" obejrzeli także widzowie w Pradze i w Brnie. Towarzystwo Avion objęło patronatem najmłodszych twórców Zaolzia, podczas spotkania Młodzi górą zaprezentowali się młodzi adepci pióra, pędzla i piosenki: Hanna Rybicka, Darek Jedzok, którego czesko-polski tomik „Pusto" ukazał się w roku ubiegłym, Roman Krop, Tomek Ryłko, Barbara Humel, Jacek Rybicki.

CZESŁAWA RUDNIK

POLACY NA ZAOLZIU W 2. POŁOWIE LAT PIĘĆDZIESIĄTYCH XX WIEKU (I)

Podczas III Zjazdu Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego (2 maja 1953), odbywającego się w czasie krótkotrwałej odwilży politycznej (lata 1953-1954), doszło do uchwalenia, bez uprzedniej zgody Ministerstwa Spraw Wewnętrznych CSR, nowego Statutu Związku. Znalazły się w nim między innymi zapisy, iż PZKO jest częścią Frontu Narodowego, a obszar geograficzny jego działalności nie ogranicza się jedynie do okręgu ostrawskiego. Zjazd wysunął również postulat objęcia działalnością związku młodzieży. Przed wyborami do rad narodowych oraz Zgromadzenia Narodowego komitety powiatowe Komunistycznej Partii Czechosłowacji (KPC) w Karwinie i Czeskim Cieszynie uznały zasadność skarg obywateli narodowości polskiej na przypadki dyskryminacji nie tylko w sprawach językowych, lecz również w kwestii przydziałów mieszkań, kultury, nauki i szkolnictwa. Równocześnie Okręgowa Rada Narodowa w Ostrawie 14 marca 1955 r. podjęła uchwałę o wprowadzeniu dwujęzyczności w miejscowościach mieszanych narodowościowo. Ostateczną decyzję pozostawiono jednak w gestii właściwych powiatowych rad narodowych (powiaty Czeski Cieszyn, Karwina, Ostrawa-Wieś, rejon Bogumin). Dwujęzyczność miała być wprowadzana na podstawie rzeczywistych stosunków narodowościowych *tak, by nie doszło do zaburzenia zasad współżycia obywateli narodowości czeskiej i polskiej*. Taki zapis spowodował jednak niejednokrotnie w następnych miesiącach i latach samowolną interpretację uchwały o dwujęzyczności, co z kolei stało się przyczyną animozji pomiędzy ludnością polską a czeską. Wkrótce po wyborach PZKO spotkało się też z falą krytyki, że jego młodzi członkowie nie są zainteresowani działalnością w ramach Czechosłowackiego Związku Młodzieży (Československý svaz mládeže, ČSM).

Rok 1956 na Śląsku Cieszyńskim

Ta linia programowa była kontynuowana również w przeciągu lat 1955-1956. Na początku 1956 r. ponownie zaczęły ujawniać się nastroje antypolskie. Spory narodowościowe odżyły przede wszystkim w Pietwałdzie (powiat karwiński), gdzie pojawiły się oskarżenia, że Polska ponownie zgłasza pretensje do karwińskiego. Część ludności narodowości czeskiej mówiła o rzekomej ekspansji Polaków kosztem miejscowych

Czechów. Jako argumentu używano na przykład danych, według których w dyrekcji przedsiębiorstwa Pramen (sklepy z artykułami spożywczymi) 80% stanowili Polacy, którzy zwalniali nawet czeskich kierowników sklepów. Podobna sytuacja miała istnieć, według tych pogłosek, w dyrekcji RaJ, służbie zdrowia czy w oddziałach zakładu ubezpieczeń emerytalnych, gdzie Polacy stanowili ponad 50% zatrudnionych. Wzburzenie polskiej społeczności wywołał natomiast chociażby przypadek nauczyciela Sochora, zatwierdzonego przez ostrawską Okręgową Radę Narodową (Krajský národní výbor, KNV) na stanowisko dyrektora szkoły muzycznej. Kiedy jednak przewodniczący Miejscowej Rady Narodowej Blach dowiedział się, że jest on Polakiem, zablokował jego nominację. Swoje stanowisko zmienił dopiero wówczas, gdy Sochor dostarczył dokument zaświadczający, że jego rodzina w latach trzydziestych uznawała się za Czechów. Podobne działania zostały podczas konferencji ideologicznej, zorganizowanej przez Komitet Powiatowy (Okresní výbor, OV) KPC w Karwinie 27 lutego 1956 r., porównane do działań nazistowskich.

Gwałtowny sprzeciw wywołało wprowadzanie w życie uchwały ostrawskiej KNV w sprawie dwujęzyczności. W Pietwałdzie ludzie upatrywali w dwujęzycznych napisach „zapowiedzi nowej polskiej okupacji", mówili o linii demarkacyjnej, która ciągnęła się za Pietwałdem i żądali przyłączenia miasta do powiatu Ostrawa-Wieś. W tamtejszej, jak również w karwińskiej Miejskiej Radzie Narodowej, odmawiano przyjmowania podań w języku polskim. W Pietwałdzie przeciwko dwujęzyczności protestowali również komuniści. W memorandum wystosowanym przeciwko uchwale podawano, że jej wprowadzenie w życie zagroziłoby planowi wydobycia węgla. W lecie 1955 r. w Pietwałdzie podczas obchodów dnia górnika w kopalni Fučík II zostały, decyzją działaczy Revolučního odborového hnutí (ROH, Rewolucyjnego Ruchu Związków Zawodowych) zamalowane polskie napisy na stoiskach handlowych. Działacze miejskiego szczebla obawiali się nawet zwiększonego zainteresowania polskich dzieci nauką w szkołach średnich oraz studiami w szkołach wyższych, co, ich zdaniem, *świadczyło o przygotowaniach do przejęcia wszystkich funkcji kierowniczych w życiu gospodarczym i publicznym.*

Mimo że na konferencji ideologicznej Komitetu Powiatowego KPC w Karwinie potępiono postępowanie tego typu, z falą krytyki spotkały się również działania mniejszości polskiej. Zastrzeżenia przedstawicieli władz komunistycznych skierowane były np. wobec przypadków, kiedy polska flaga zajmowała uprzywilejowaną pozycję w stosunku do flag innych państw ludowo-demokratycznych, bądź też była wywieszana współ-

nie z czechosłowacką i radziecką, a także w stosunku do odgrywania polskiego hymnu narodowego podczas uroczystości: *Flagą naszej polskiej mniejszości jest czechosłowacka flaga państwowa i żadna inna. Hymnem naszej polskiej mniejszości jest czechosłowacki hymn państwowy*. Takie praktyki uznano za przejaw „teorii dwóch ojczyzn", którą w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych oficjalnie głosili przedstawiciele PZKO. Zgodnie z nią dla tutejszych Polaków materialną ojczyzną była Czechosłowacja, podczas gdy duchową ojczyzną pozostawała Polska. Miejscowi Polacy mieli w ten sposób obowiązki wobec narodu polskiego, którego są częścią, jak również wobec narodu czeskiego i słowackiego, z którymi wspólnie zamieszkują. Przeciwko tej koncepcji nie zgłaszano zastrzeżeń nawet w momencie likwidacji tzw. platformy Cieślara. Sytuacja zmieniła się dopiero po wyborach w 1954 roku. Wówczas za główny priorytet polityki narodowościowej w regionie ogłoszono jedność Czechów i Polaków.

W związku z teorią dwóch ojczyzn, której założenia pojawiły się między innymi w kalendarzu miesięcznika Zwrot na rok 1956, krytykowano między innymi sekretarza PZKO Bogumiła Goja. „Teoria dwóch ojczyzn" jako *niesprawiedliwa i wprowadzająca zamieszanie* została również potępiona podczas obrad Biura Rady Powiatowej KPC w Czeskim Cieszynie w dniu 24 lutego 1956 r.

Działania podejmowane przez przedstawicieli polskiej mniejszości zostały krytycznie ocenione przez ministerstwo kultury CSR. Co charakterystyczne, linia programowa ministerstwa była zgodna z poglądami znacznej części miejscowych działaczy KPC i rad narodowych, za pośrednictwem których ministerstwo „sterowało" polską kulturą. W piśmie wiceministra kultury CSR Zdislava Buřivala do kierownika wydziału agitacji i propagandy Komitetu Centralnego KPC Václava Slavíka ostro skrytykowano linię programową miesięcznika Zwrot. Artykuły, które zamieszczał on, zdaniem wiceministra *...nie wychowują* [polskich ludzi pracy - przyp. aut.] *do braterskiej przyjaźni z czeskimi ludźmi pracy, w czasopiśmie nie wskazuje się na szkodliwość nacjonalizmu burżuazyjnego, nie zauważa się w nim poważnych starań zmierzających do wychowania czytelników w kierunku nacjonalizmu proletariackiego*. PZKO było krytykowane za to, że, zamiast współpracy z klubami oświatowymi, starało się prowadzić niezależne działania. Jasno można w tym dostrzec próby wzmocnienia kontroli nad PZKO, gdyż kluby oświatowe, zorientowane przede wszystkim na społeczeństwo większościowe, były kierowane bezpośrednio przez rady narodowe.

Zgodnie z założeniami kampanii wymierzonej w tzw. „teorię dwóch ojczyzn" Z. Buřival za szkodliwy uznawał również tzw. mały ruch granicz-

ny z Polską. Jego zdaniem w przypadku obywateli czechosłowackich narodowości polskiej, którzy *jeszcze nie wyzbyli się całkowicie wirusa nacjonalizmu burżuazyjnego, [...] częstsze pobyty po polskiej stronie granicy czechosłowacko-polskiej nie mogą wzmacniać pełnej świadomości, że są oni obywatelami Czechosłowacji.* Jednak jeszcze większe polityczne zagrożenie, jego zdaniem, stanowiły wycieczki mniejszościowych zespołów artystycznych do Polski. Dlatego zażądał, by dokładnie badano wnioski *o wydanie przepustek do Polski, które miały być wydawane tylko w przypadkach, w których istnieje pewność, że nasze państwo nie będzie w jakikolwiek sposób poszkodowane.* Buřival opowiadał się również przeciwko zatrudnianiu polskich obywateli na terytorium Czechosłowacji i odwrotnie, gdyż to również przyczyniało się, jego zdaniem, do rozprzestrzeniania się nastrojów burżuazyjno-nacjonalistycznych. Ministerstwo kultury zgłaszało również zastrzeżenia wobec działalności polskiego konsulatu w Ostrawie. Tamtejszy konsul uczestniczył bowiem w niektórych działaniach PZKO, z drugiej strony przedstawiciele polskiej mniejszości nieraz zwracali się do konsulatu z prośbami o poparcie mniejszościowych inicjatyw kulturalnych. Miejscowe urzędy uznawały takie postępowanie za mieszanie się w wewnętrzne sprawy Czechosłowacji.

W piśmie Buřivala pojawiły się również pewne nowe elementy. Jednym z nich było nazwanie redaktora naczelnego miesięcznika Zwrot i przewodniczącego Sekcji Literacko-Artystycznej PZKO (SLA PZKO) Pawła Kubisza „burżuazyjnym nacjonalistą" w związku z wydaniem zakazu rozpowszechniania jego książki „Czas ludzkiej krzywdy". W związku z tym ministerstwo kultury podjęło, w przeciągu lata 1956 r., w czasie okresu urlopowego, decyzję o odwołaniu Kubisza z funkcji redaktora naczelnego oraz ze SLA. Ministerstwo wystąpiło również z krytyką czołowych działaczy PZKO z powodu ich niewystarczającego wpływu na polskich intelektualistów, na przykład na sekretarza generalnego PZKO B. Goja, którego członkowie obwiniali, że „zaprzedał się Czechom". Posłowi Gustawowi Przeczkowi zarzucano z kolei niezdecydowanie w popieraniu oficjalnej linii programowej KPC. Nowym elementem było jednak wystąpienie skierowane przeciw istnieniu PZKO w ogóle. Zdaniem Z. Buřivala to właśnie *istnienie PZKO stoi na przeszkodzie, by walka o usunięcie pozostałości nacjonalizmu burżuazyjnego ze świadomości obywateli narodowości polskiej mogła odnieść pełny sukces.*

Krótkotrwały okres liberalizacji stosunków politycznych i mniej skrępowanej wymiany poglądów w Czechosłowacji w początkowych miesiącach 1956 roku, a zwłaszcza wydarzenia polityczne w sąsiedniej Polsce

przyczyniły się do aktywizacji polskiej mniejszości na Zaolziu. Znaczna część członków tamtejszej mniejszości polskiej pozytywnie oceniała wydarzenia w Polsce, zwłaszcza sprzeciw wobec przymusowej kolektywizacji, a także możliwość występowania z rolniczych spółdzielni produkcyjnych oraz obniżenie wysokości dostaw obowiązkowych. W zakresie polityki narodowościowej krytykowano zwłaszcza niestosowanie zapisów uchwały o dwujęzyczności w miejscowościach mieszanych narodowościowo, lecz również likwidację autonomii kulturalnej, stowarzyszeniowej i sportowej polskiej mniejszości po 1945 roku. Pojawiały się żądania reaktywacji niezależnych polskich klubów sportowych, PZKO starało się w większym stopniu o związanie ze sobą miejscowej młodzieży polskiej. Młoda polska inteligencja zgłaszała postulat powołania niezależnych średnich i zawodowych szkół z polskim językiem wykładowym w powiatach mieszanych. PZKO starało się dotrzeć również do zakładów pracy i szkół, gdzie planowało tworzyć własne „koła". Czechosłowackie urzędy uznały to jednak za próbę *odciągania członków od uczestniczenia w budowie socjalizmu*. Przedstawiciele PZKO wyrażali zainteresowanie nawiązaniem kontaktów ze stowarzyszeniem kulturalnym członków narodowości węgierskiej w CSR, Csemadokiem. Przedstawiciel PZKO odwiedził Komitet Centralny Csemadoku, lecz oferta współpracy została przez tę organizację odrzucona. Równie negatywnie oceniano wnioski o zniesienie obowiązkowego nauczania języka rosyjskiego w szkołach z polskim językiem wykładowym, co wnioskodawcy argumentowali koniecznością poprawy jakości nauczania języka czeskiego. Ten postulat został później uznany za wyraz antyradzieckości, a Ministerstwo Szkolnictwa i Kultury ostrzegało przed jej rozprzestrzenieniem się również na czeskie szkoły.

Działacze polskiej mniejszości w zasadzie zgadzali się również z postulatami, jakie pojawiły się podczas II zjazdu czeskich pisarzy, chociaż oficjalne stanowisko pozostało inne. Na przykład poseł Zgromadzenia Narodowego Gustaw Przeczek na łamach miesięcznika Zwrot obrady skomentował w następujący sposób: *Zjazd potwierdził, że pisarz czechosłowacki stoi po stronie ludu i chce szczerze wyśpiewać jego zmartwienia, radości, smutki, wzloty i upadki [...] Często z samozaparciem należy szukać tej* [właściwej - przyp. aut.] *drogi, a po stwierdzeniu, że znaleźliśmy się na złej drodze, z nową wiarą szukać jedynej twórczej prawdy*. Mimo że kierownictwo KPC negatywnie oceniało zmiany, które miały miejsce na VIII plenum KC PZPR w październiku 1956 i wybór W. Gomułki na stanowisko I Sekretarza KC PZPR, a popierało planowaną interwencję radziecką, polska mniejszość, lecz również czołowi przedstawiciele PZKO zajmo-

wali odmienne stanowisko. Stosunkowo długo takie stanowisko pozostawało niezmienne. Na przykład B. Goj w listopadowym numerze miesięcznika Zwrot za przyczynę wydarzeń w Polsce uznał fakt, że *lud zaczął głośno domagać się poprawy stosunków* w *kraju* [...] *Towarzysz W. Gomułka wspólnie z nowym Komitetem Centralnym potrafił znaleźć porozumienie z narodem. W zamian za to naród obdarzył go zaufaniem. Towarzysz Gomułka umiał powiedzieć narodowi prawdę, mimo że ta prawda jest gorzka.* Podobnie również polskojęzyczny dziennik Głos Ludu, który był jednak wydawany przez KPC, uznał w artykule z 9 grudnia 1956 tzw. Polski Październik za rewolucję.

Stanowisko polskich intelektualistów stało się jedną z przyczyn nacisków na wprowadzenie represji wobec działaczy mniejszości polskiej. Na przykład pracownik Ministerstwa Szkolnictwa i Kultury Rudolf Tomis pisał do wydziału agitacji i propagandy KC KPC w grudniu 1956 r., że podczas gdy klasa robotnicza zajęła pozytywne stanowisko wobec socjalistycznej CSR, *nasza polska inteligencja w tych ważnych dniach zachowała milczenie.* O tym, że członków polskiej mniejszości na jesieni 1956 r. uważano za niewiarygodnych ze względu na poziom lojalności w stosunku do polityki KPC, świadczy również fakt, że kiedy, w związku z rewolucją węgierską i kryzysem sueskim, na początku listopada 1956 roku powołano na ćwiczenia wojskowe część rezerwistów, zasadniczo rozkaz ten nie obejmował rezerwistów wywodzących się z mniejszości polskiej i węgierskiej. Niewykluczone, że miało to związek również z wytycznymi radzieckiego dowództwa na temat interwencji wojskowej w Polsce, przy czym czechosłowackie kierownictwo nie musiało posiadać dokładnych informacji na temat ewolucji radzieckiego stanowiska w stosunku do wydarzeń w Polsce w październiku 1956 r.

Działalność mniejszości polskiej, nawet w okresie częściowej odwilży politycznej podczas tak zwanej dyskusji na wiosnę 1956 r., była wciąż oceniana negatywnie. Mimo iż komunistyczna władza nie zdecydowała się przystąpić w tym czasie do otwartych represji, miejscowa administracja państwowa, a zwłaszcza ministerstwo kultury, już w marcu i w lipcu 1956 r. rozpoczęło przygotowania reprezentantów polskiej mniejszości na możliwość rozwiązania siłowego. Rozwiązanie to miała stanowić likwidacja PZKO i ostateczne podporządkowanie całego życia polskiej mniejszości narodowej administracji państwowej. Pracownicy ministerstwa odpowiadali za politykę prowadzoną w stosunku do mniejszości narodowych, te kwestie konsultowali z funkcjonariuszami Rady Okręgowej KPC w Ostrawie, Komitetu Powiatowego KPC w Czeskim Cieszynie

oraz z pracownikami wydziału kultury Okręgowej Rady Narodowej w Ostrawie, lecz również z przedstawicielami mniejszości polskiej, konkretnie z sekretarzami Zarządu Głównego PZKO Bogumiłem Gojem oraz Eugeniuszem Suchankiem. Dla atmosfery, która panowała ówcześnie w Czechosłowacji i w regionie Śląska Cieszyńskiego, jest znamienne, że działacze ci zgadzali się z przedstawianymi pomysłami, jedynym zgłaszanym przez nich zastrzeżeniem był postulat, by ich realizacja została rozłożona w dłuższej perspektywie czasowej.

Ministerstwo Szkolnictwa i Kultury CSR ponownie wytknęło nacjonalizm w szeregach polskiej mniejszości w grudniu 1956. Starania o wprowadzenie dwujęzyczności w gminach mieszanych etnicznie uznano za przejaw *aktywności polskich żywiołów szowinistycznych* zmierzający do izolacji życia kulturalnego społeczeństwa polskiego od społeczeństwa większościowego. Ministerstwo określało PZKO jako miejsce schronienia i bazę dla *grupek polskich szowinistów*, zwłaszcza spośród szeregów tzw. starej inteligencji. *W tej sytuacji uwypukla się coraz pilniejsza potrzeba, by aktywność kulturalna polskich ludzi pracy została przeniesiona do klubów zawodowych oraz oświatowych i w ten sposób doszło do spełnienia warunków do likwidacji PZKO jako samodzielnej narodowościowej organizacji kulturalnej polskich ludzi pracy* - napisano w piśmie wspominanego już R. Tomisa. Likwidację PZKO planowano zrealizować w przeciągu 3-4 lat, warunki do podjęcia tej decyzji miano jednak stworzyć bezzwłocznie. Jednym z pierwszych kroków miała być zmiana statutu (notabene niezatwierdzonego przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych CSR), dzięki któremu PZKO z masowej organizacji zmieniłoby się w stowarzyszenie kulturalne. Działania zmierzające w tym kierunku popierali również sekretarz Komitetu Powiatowego KPC w Czeskim Cieszynie, kierownik wydziału agitacji i propagandy Komitetu Okręgowego KPC Ostrawa Emerich Mistecký, poparcie dla tych kroków wyrazili także działacze PZKO E. Suchanek i Tadeusz Siwek. Najważniejsze zastrzeżenia Ministerstwa Szkolnictwa i Kultury w stosunku do statutu PZKO dotyczyły tego, że mimo, iż Związek był podporządkowany Komitetowi Centralnemu Frontu Narodowego, to w związku z zasięgiem działania ograniczonym do trzech powiatów (Ostrawa-Wieś, Czeski Cieszyn, Karwina), wymknął się spod kontroli wydziału kultury Okręgowej Rady Narodowej w Ostrawie, a więc również Ministerstwa Szkolnictwa i Kultury.

Działalność kulturalna polskiej mniejszości miała się, zgodnie z propozycją ministerstwa, przenieść do klubów oświatowych i zawodowych, polskie zespoły artystyczne powinny działać we wspólnych placówkach. Efektem takich przedsięwzięć byłaby de facto definitywna likwidacja

przejawów życia kulturalnego mniejszości w regionie, a nawet marginalizacja kultury mniejszościowej, co wynikało również z negatywnego stosunku znacznej części większościowego społeczeństwa do aktywności kulturalnej mniejszości polskiej. W ostatecznym efekcie faktyczna likwidacja jedynej polskiej instytucji mniejszościowej prowadziłaby do przyspieszenia asymilacji polskiej mniejszości na Zaolziu.

Ministerstwo Szkolnictwa i Kultury ponownie zaprezentowało swoje poglądy w lutym 1957 r. w dokumencie „Niektóre wnioski z prac nad projektem statutu PZKO", którego autorem był znów wspomniany wyżej R. Tomis. Reagując na oświadczenia centralnych i regionalnych struktur KPC w sprawie sytuacji na Zaolziu w poprzednich latach, w których za najpoważniejsze zagrożenie uznał on nacjonalizm miejscowej ludności czeskiej, ministerstwo stwierdzało, że *nacjonalistyczne i szowinistyczne wystąpienia miejscowych obywateli polskich są* [...] *na rękę czeskim elementom szowinistycznym i stanowią jedną z głównych przyczyn tego, że dochodzi do nacjonalistycznych utarczek również ze strony obywateli czeskich.*

Kierownictwo i miejscowe organizacje PZKO oskarżał tym razem nie tylko o nacjonalizm i szowinizm, lecz również o „tendencje separatystyczne". „Polskie żywioły intelektualne", które zajmowały znaczącą pozycję w tej organizacji, rzekomo odwodziły obywateli od wysiłku budowy przemysłu i rolnictwa. Mimo że oskarżenia te nie zostały poparte dowodami, Tomis stwierdził, że *lepsze wyniki w wychowywaniu polskich i czeskich ludzi pracy w kierunku proletariackiego internacjonalizmu* uda się osiągnąć w momencie wstrzymania działalności PZKO w przeciągu kilku lat. Natychmiastowo miano jednak ograniczyć szkodliwe tendencje w Związku. Konkretnie Tomis wyobrażał sobie, że w okresie przejściowym obszarami zainteresowań PZKO pozostałaby działalność wydawnicza i kontrolowany import literatury z Polski, PZKO nie mogłoby jednocześnie prowadzić oddziałów dla młodzieży. Kolejnym proponowanym krokiem miała być likwidacja samodzielnych polskich księgarń, które Zarząd Główny PZKO prowadził w Czeskim Cieszynie i Karwinie, jak również sklepów z polskojęzycznymi książkami w Trzyńcu, Karwinie i Orłowej. W ich miejsce planowano stworzenie polskich kącików w księgarniach Knihy. Polskie zespoły artystyczne, zamiast wyjazdów do Polski, miały się koncentrować na występach na całym terytorium Czech i Moraw i prezentowaniu twórczości ludowo-artystycznej. Podobne regulacje miały objąć również organizacje mniejszości węgierskiej i ukraińskiej.

JURAJ MARUŠIAK

Autor jest pracownikiem Słowackiej Akademii Nauk w Bratysławie. Wykaz dokumentów i literatury, z której korzystał, opublikujemy wraz z III cz. tekstu.

WSPOMNIENIA Z LAT DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ (3)

Po zejściu na ląd bezpośrednio w porcie czekali na nas oficerowie łącznikowi formacji różnych narodów. Byli tam przedstawiciele wojska polskiego, czechosłowackiego, a nawet Austrii i Ukrainy. Każdy z nas mógł dobrowolnie zgłosić się do którejś z alianckich formacji albo pozostać w niewoli. Większość tych, którzy nie czuli się Niemcami, zgłosiła się do polskiego wojska, kilku do czeskiego, a reszta poszła do niewoli. Nas, którzy zgłosiliśmy się do polskiego wojska, oficer łącznikowy zaprowadził do pobliskiego punktu zbiorczego. Wchodząc na teren tej placówki, usłyszałem, że ktoś woła moje imię: „Karol, Karol", spojrzałem w tym kierunku i ku memu zdumieniu zobaczyłem w oknie Bronka Kalinę wymachującego rękami i wołającego mnie. Nie potrafię opisać naszej radości z ponownego spotkania.

Później Bronek opowiedział mi, jak dostał się do niewoli. Jeszcze przed strzelaniną mieli zająć wraz z J. Kantorem posterunek w wyznaczonym budynku i obserwować przedpole. Po wejściu do piwnicy zabrali się do czytania otrzymanej poczty, gdy przy piwnicznym oknie usłyszeli kroki i rozmowę angielskich żołnierzy. Uskoczyli od okna w kąt, zaś Anglicy wpuścili do piwnicy serię z pistoletu maszynowego. Z podniesionymi rękoma i odłamkami naboi w tyłkach wyszli z piwnicy i poddali się. W punkcie opatrunkowym wyciągnięto im odłamki i założono opatrunki. Obaj zgłosili, że są Polakami, i okazali zadowolenie z sytuacji, w jakiej się znaleźli. Chętnie też wskazali na mapie, gdzie znajdowała się nasza baza. Stąd wziął się ten celny ogień artyleryjski. Odtąd znowu aż do zakończenia wojny w Niemczech byliśmy z Bronkiem razem i wspólnie przeżywaliśmy naszą żołnierską tułaczkę.

Z ochotników, choć byli jeszcze w niemieckich mundurach, utworzono marszową „jednostkę" liczącą około stu osób i pociągiem przewieziono ją do Szkocji. W każdym pulmanowskim wagonie eskortę pełnił angielski żołnierz. Stale byliśmy jeszcze jeńcami. Dopiero w czasie tej podróży mogliśmy obserwować angielski, a później również szkocki krajobraz. Mijane wsie i miasta nie miały żadnych zniszczeń wojennych. Po przybyciu do Szkocji, nazwy miejscowości nie zapamiętałem, zakwaterowano nas w namiotach. Przywitał nas dowódca obozu w randze kapitana. Jego przemówienie określiłbym jako serdeczne, bez jakichkolwiek aluzji do naszej przeszłości. Potraktował nas jako ochotników chcących walczyć w polskim wojsku przeciw znienawidzonemu wrogowi - hitlerowskim Niemcom. Wieczorem przed udaniem się na spoczynek odbył się capstrzyk. Zgromadziliśmy się przy wieczornej modlitwie

i odśpiewaliśmy „Pod Twą obronę, Ojcze na niebie". Byłem bardzo wzruszony, myślę, że nie tylko ja. Na drugi dzień, po wykąpaniu się w polowej łaźni, zrzuciliśmy niemieckie mundury i na czystą bieliznę włożyliśmy angielski mundur z napisem Poland na górnej części rękawów. Moje samopoczucie uległo znacznej poprawie, gdy zrzuciłem znienawidzony mundur niemiecki. Z drugiej jednak strony uświadomiłem sobie, że znów mnie czeka powrót na front i kolejne niebezpieczeństwa. Z przemówienia dowódcy wywnioskowałem, że nasza jednostka, 1. Dywizja Pancerna gen. Maczka, wzięła już czynny udział w walkach we Francji, poniosła straty w ludziach i potrzebuje uzupełnień. Nie było czasu na rozważania, gdyż wypadki potoczyły się szybkim tempem. Tego samego dnia zmieniono nam dane personalne. Było to konieczne ze względu na możliwość dostania się do niewoli niemieckiej. W ten sposób byliśmy zabezpieczeni przed zidentyfikowaniem nas jako byłych żołnierzy niemieckich. Przede wszystkim zmieniono nasze nazwiska i miejsce zamieszkania. Ja zdecydowałem się na pseudonim Malinowski Karol zamieszkały w Baranowiczach, gdyż tereny te były już pod kontrolą wojsk sowieckich. Bronek Kalina przyjął pseudonim Klus. Po zmianie nazwisk otrzymaliśmy znaczki tożsamości i brytyjskie książeczki wojskowe. Z tego obozu odkomenderowano nas do polskich koszar, tu wyposażono w hełm i broń. Próbowałem stanąć do raportu, by zgłosić się do gimnazjum, o którym dowiedziałem się jeszcze w Anglii od oficera łącznikowego. Nic z tego nie wyszło i razem z innymi, po otrzymaniu trzymiesięcznego żołdu w wysokości 300 nowych franków, odjechaliśmy do południowej Anglii. Przed zaokrętowaniem odbyliśmy wraz z jednostkami kanadyjskimi i francuskimi defiladę przed miejskim ratuszem. Pamiętam, że nie potrafiliśmy dostosować kroku do taktu muzyki, gdyż nie byliśmy przyzwyczajeni do tak szybkiego tempa. Ludzie w czasie defilady okazywali nam oklaskami sympatię, a gdy weszliśmy na statek i przy dźwiękach orkiestry wypływaliśmy z portu, żegnali nas aliantów gromkimi okrzykami „hura", powiewem chustek, a może i niejedną niewidoczną łezką. Podróż towarowym statkiem w asyście ochrony trzech kontrtorpedowców trwała bez zakłóceń niespełna dwa dni. W czasie podróży mi i Bronkowi ktoś ukradł z plecaków nasz trzymiesięczny żołd. Byłem również zaskoczony, gdy stwierdziłem, że wpływamy do tego samego sztucznego portu na francuskim wybrzeżu, gdzie przed dwoma tygodniami jako jeniec wstępowałem do amerykańskiej barki desantowej. Teraz Francuzi witali nas z entuzjazmem, tym bardziej, że razem z nami lądowała również francuska jednostka. Dziwne są losu koleje. Dzięki zmianie munduru z „feldgrau" na „battledress" ten sam człowiek raz bywa obrzucany kamieniami, a innym razem kwiatami.

Z portu, gdzie czekały samochody, odwieziono nas przez leżące w gruzach

miasto Caen na punkt rozdzielczy polskiej 1. Dywizji Pancernej. Tutaj kryterium przydziału do poszczególnych jednostek były specjalizacje zyskane w wehrmachcie. A więc artylerzyści, czołgiści, saperzy, sanitariusze, łączność i piechurzy. My z Bronkiem postanowiliśmy, że do naszego saperskiego wyszkolenia nie przyznamy się i zgłosimy się jako piechurzy. Połowę piechurów zaszeregowano do tzw. piechoty zmotoryzowanej 3. brygady strzelców, a drugą połowę, w której ja z Bronkiem się znalazłem, do 10. pułku dragonów w ramach 10. brygady kawalerii pancernej. Nasz pułk składał się z czterech szwadronów - trzech liniowych i czwartego szwadronu wsparcia. Ten ostatni znowu dzielił się na pluton cekaemów (ciężkie karabiny maszynowe), pluton moździerzy i pluton pepanców, tj. działek przeciwpancernych. Uzupełniono przede wszystkim szwadrony liniowe, które poniosły w bitwie pod Falaise i Chamboix największe straty. My z Bronkiem zostaliśmy przydzieleni do szwadronu wsparcia, plutonu pepanców drugiej drużyny.

W drużynie zastaliśmy tylko trzech z pięcioosobowej załogi. Byli to dowódca drużyny kapral Piotr Pawłowski z Kresów Wschodnich, kierowca ciągnika na gąsienicach typu cariers loyd starszy strzelec Ludwik Dembczyński, również z Kresów i celowniczy Kazio Tycholis, ochotnik z Argentyny. Dziś po pięćdziesięciu latach trudno opisać odczucia i wrażenia pierwszych kontaktów z załogą działka przeciwpancernego. Nasze obawy o ich uprzedzeniu do nas, jako byłych żołnierzy wehrmachtu, na szczęście nie spełniły się. Na powitanie uścisnęliśmy sobie dłonie, my przedstawiliśmy się naszymi nowymi nazwiskami, po czym dowódca załogi Pietrek Pawłowski prostymi słowami przywitał nas i zaznajomił z zadaniami, jakie mieliśmy pełnić w drużynie. Jeden z nas miał pełnić funkcję ładowniczego, zaś drugi miał obsługiwać ręczny karabin maszynowy. Służbę wartowniczą pełniliśmy wszyscy bez wyjątku. Do naszych wspólnych obowiązków należało przygotowywanie posiłków. Otrzymywaliśmy tylko suchy prowiant, a gotowanie herbaty, kawy czy zupy, jak również podgrzewanie i przyprawianie konserw mięsnych lub fasoli na kuchence polowej (paliwo - denaturowany spirytus), należało do obowiązków każdego z nas. Początkowo byliśmy z Bronkiem traktowani jako goście, zanim nie nabraliśmy wprawy do „kucharskiego" rzemiosła.

My ze swej strony skrótowo opowiedzieliśmy, skąd pochodzimy, jak znaleźliśmy się w wojsku niemieckim, jakie mieliśmy przeżycia wojenne, a wspomnieliśmy również, jak nam ukradziono trzymiesięczny żołd. Na to Argentyńczyk Kazio Tycholis gdzieś odbiegł i po chwili mi i Bronkowi wręczył po 3000 nowych franków jako rekompensatę za poniesioną stratę. My ze swej strony nie chcieliśmy zaciągać tak wysokiej pożyczki, bo prawdę powiedziawszy na froncie pieniądze te nie były nam potrzebne. Okazało się, że chce je nam darować, co nas wprawiło w zdumienie, a zarazem w zakłopotanie,

kiedy upierał się, by traktować to jako dar. Na niedyskretne z naszej strony pytanie, czy obrabował bank, odpowiedział z uśmiechem, że coś w tym rodzaju. I tu zaczęło się opowiadanie załogi o ich udziale w dotychczasowych walkach, specjalnie dokładnie opowiadali o bitwie pod Falaise i Chamboix. Była mowa o tym, jak ich pułk rozbił niemiecki sztab korpusu i wziął do niewoli generała Elfeldta. Byli przy tym, jak rozbito kasę pancerną korpusu, i stąd źródło trofeów wojennych. W kasie oprócz francuskich franków znaleźli niemieckie marki, holenderskie guldeny, a nawet amerykańskie dolary. Całe mienie każdy z nich przechowywał w swym wojskowym worku. Te kilka tysięcy franków dla nich nie przedstawiało dużej wartości.

Opis walk z ust naszych kolegów wybrzmiał nie jako skarga, nie miał pesymistycznego zabarwienia, wręcz przeciwnie, była w nim duma, że polscy żołnierze wykazali hart ducha i wolę walki, wytrzymując zaciekłe ataki doborowych dywizji niemieckich, przez dwa dni całkowicie odcięci od zaopatrzenia i możliwości ewakuacji rannych żołnierzy. Z ich opowiadania wynikało również i to, że nabrali doświadczenia bojowego i pewności siebie. My ze swej strony rozumieliśmy ich wysokie morale bojowe, lecz i my mieliśmy swoje przeżycia i doświadczenia bojowe i nie czuliśmy się o nic gorszymi od nich żołnierzami. Z takim przekonaniem staliśmy się częścią załogi działka przeciwpancernego, z którą przeszliśmy cały szlak bojowy 1. Dywizji Pancernej począwszy od Normandii we Francji, przez Belgię, Holandię i Niemcy aż pod Wilhelmshaven, gdzie nas zastał koniec wojny.

Nasze zżywanie się z załogą przez następne dni przebiegało w całkiem odmiennych niż dotychczas warunkach. Dywizja w ciągu kilkudniowego wypoczynku uzupełniła stany osobowe i sprzęt. 31 sierpnia 1944 roku oddziały 1. Polskiej Dywizji Pancernej przeszły po moście Warszawa zbudowanym przez własnych saperów na prawy brzeg Sekwany i zgodnie z zadaniem bojowym rozpoczęły pościg za wycofującymi się hitlerowcami. Miało to miejsce dokładnie w piątą rocznicę niemieckiego najazdu na Polskę i od razu w ciągu tak znaczącego dnia 1 września wzmocniony 10. pułk strzelców konnych - idący przed czołem obydwu brygad - pokonał 90 km przestrzeni, sforsował przez zaskoczenie rzekę Bresle i w miasteczku Blangy nad przeprawą wziął 250 jeńców. Nocą z 1 na 2 września cała dywizja pancerna rozwinęła się na pozycjach wyjściowych do sforsowania Sommy, 3 września Polacy byli na prawym brzegu tej historycznej rzeki, w zdobytym przez siebie Abbeville, którego mieszkańcy wylegli na ulice, witając z entuzjazmem wyzwolicieli.

Owe objawy radości i wdzięczności okazywane w żywiołowy sposób przez mieszkańców każdego osiedla zdobytego po przekroczeniu Sekwany były dla nas, żołnierzy dywizji, zjawiskiem zupełnie nowym, niespotykanym w poprzednich tygodniach tej wojny. Na dotychczasowych szlakach bojowych lud-

ność miejscowa kojarzyła nam się z tłumem przerażonych uciekinierów szukających schronienia. Tak było i na polach bitew w Normandii, skąd miejscową ludność ewakuowano. Tym razem w odwrocie byli hitlerowcy i po raz pierwszy żołnierze 1. Dywizji Pancernej brali udział w pościgu. Dopiero wtedy zobaczyli, że wyzwolenie to także uśmiechy i łzy radości, kwiaty, wino i pocałunki dziewczyn. Nad wszystkim jednak górowało poczucie dumy żołnierskiej i te emocje miały ogromny wpływ na wzrost zapału bojowego wszystkich żołnierzy.

Wojska niemieckie usiłowały oczywiście maksymalnie wykorzystać warunki topograficzne do opóźnienia pościgu, wysadzając mosty i obsadzając wydzielonymi oddziałami przeprawy. Tempo pościgu było jednak tak szybkie, że nie zdołali zniszczyć ani obronić wszystkich przepraw na rzekach i kanałach na terenie Francji. Już 6 września 1944 roku czoło dywizji opuściło Francję i wkroczyło do Belgii. Po przekroczeniu granicy warunki terenowe nie poprawiły się. Przed dywizją rozciągała się nadal depresyjna równina Flandrii, poprzegradzana co kilka kilometrów przeszkodami wodnymi. W takich samych, albo i gorszych warunkach terenowych, dywizja operowała do ostatniego dnia wojny.

Wyzwalanie leżącego na szlaku ataku Polaków obszaru Belgii rozpoczęło się od zdobycia miasta Ypres. Pierwszy był tam 9. batalion strzelców, zdobywając je w walkach ulicznych, który w nagrodę za Ypres dostał od regenta Belgii zbiorowe odznaczenie bojowe - sznury naramienne o barwach wstążki Krzyża Wojennego, tzw. fourragere, wraz z tytułem strzelców flandryjskich, zaś sam generał Maczek złożył w księdze pamiątkowej miasta swój podpis tuż po autografie marszałka Focha, opatrzonym datą listopad 1918 roku.

W kolejnych walkach na terenie Belgii żołnierze 1. Dywizji Pancernej odczuli, że opór nieprzyjaciela stawał się bardziej zdecydowany. Nastąpiła jakby fizyczna i psychiczna regeneracja jednostek armii niemieckiej wstrząśniętych klęską w Normandii i pościgiem prowadzonym przez polską i brytyjskie dywizje pancerne. Wszystkie następne wsie i osiedla trzeba już było zdobywać w formie zorganizowanych ataków i przy znacznych stratach. W taki właśnie sposób opanowano w ciągu następnych dni wspólnym wysiłkiem czołgów, piechoty, artylerii i saperów miasteczka Roulers, Hooglede, Ruysslede i miasto Thielt.

Polskiej dywizji powierzono opanowanie i ubezpieczenie magistrali Gandawa - Antwerpia, która stanowiła bardzo ważną arterię komunikacyjną i zaopatrzeniową. Opanowanie i ubezpieczanie magistrali nie polegało oczywiście na obecności polskich żołnierzy i czołgów na samej tylko szosie w tych miejscowościach, przez które ona przebiegała, ale na konieczności odsunięcia nieprzyjaciela na taką odległość po obu stronach magistrali, aby nie mógł jej skutecznie ostrzeliwać. Południową naturalną granicą była Skalda, północną zaś wybrzeże ujścia Skaldy.

Sama Gandawa - bardzo ważny węzeł komunikacyjny, stanowiący wyjściowy punkt magistrali, była miastem poprzecinanym kanałami, której północną część trzymało zgrupowanie nieprzyjaciela na tyle silne, że zatrzymało atak brygady 7. angielskiej dywizji pancernej. Nakazano gen. Maczkowi zluzowanie Anglików w Gandawie, opanowanie pozostałej północnej części miasta i odrzucenie nieprzyjaciela w kierunku północnym na taką odległość, aby jego artyleria nie mogła ostrzeliwać miasta. Dalej obejść Gandawę od południa, wyjść na magistralę pod Lokeren, następnie opanować St. Nikolas i oczyścić od nieprzyjaciela aż do Skaldy pas terenu położony na południe od szosy oraz rozpoznać i oczyścić do granicy holenderskiej północny pas korytarza. Wszystkie te zadania zostały wykonane.

Okres pościgu za wrogiem na terenach Francji i początkowo Belgii bardzo sprzyjał lepszemu wzajemnemu poznaniu się załogi naszego pepanca, jak skrótowo nazywano działko przeciwpancerne kalibru 67 mm. Przyczyniło się do tego przede wszystkim przychylne nastawienie witających nas mieszkańców wyzwolonych miast i osiedli. Przejeżdżaliśmy pomiędzy szpalerami tłumu, czasami ludzie śmiali się i płakali, krzyczeli jak wariaci. Przy postojach, kiedy kolumna zatrzymała się choćby na chwilę, dziewczyny wskakiwały na maszyny, rzucając się żołnierzom na szyje, obsypując ich pocałunkami. Starsi niejeden raz wlewali w żołnierskie gardła wyczarowane skądś szklanki wina. W czasie jazdy musieliśmy się mieć na baczności, by owoce i kwiaty rzucane na nasze pojazdy nas nie poraniły lub nie zostawiły guza na czole. Do końca życia będą wspominać romantyczną Gandawę żołnierze 3. brygady strzelców pierwszej dywizji pancernej. W ciągu paru dni zawarto wiele przyjaźni polsko-belgijskich, a co więcej, niejedna z nich dotycząca przeciwnej płci zakończyła się małżeństwem.

Po otrzymaniu nowych zadań gen. Maczek przegrupował swoje siły frontem ku północy i uderzył. W rezultacie tego ataku 1. pułk pancerny zdobył St. Gilles - Waes, 10. pułk dragonów La Trompe, a batalion podhalański Stekene. Rubieże te stały się podstawą do następnego ataku na „wyspę" Axel. Głównym celem ataku było przełamanie obrony niemieckiej na kanale Axel - Hulst, zdobycie portu Terneuzen i opanowanie brzegu Skaldy od Terneuzen do granicy belgijskiej na zachód od Antwerpii. Obszar ten jest enklawą holenderską, jest on depresją poprzecinaną mnóstwem kanałów, zamknięty od północy i północnego wschodu przez ujście Skaldy, od zachodu, przez kanał Gandawa - Terneuzen i od południa przez kanał Axel - Hulst.

Do obrony tej naturalnej twierdzy dowództwo niemieckie wyznaczyło zgrupowanie gen. Neumana z 15 armii i z grupami 712 i 52 dywizji piechoty, batalionem przeciwpancernym i kilka dywizjonów artylerii lekkiej. Ponadto w walkach wzięła udział artyleria nadbrzeżna rozmieszczona na północnym brzegu Skaldy.

Trzecia brygada strzelców rozpoczęła atak z rejonu Lokeren w kierunku północnym dwoma zgrupowaniami jednocześnie na dwie przeprawy na kanale Axel - Hulst. Dziewiąty batalion strzelców wzmocniony czołgami nacierał na Axel i został powstrzymany przez silny opór wroga i warunki terenowe. Natomiast 10. pułk dragonów sforsował kanał pod Dubosch szwadronami liniowymi bez czołgów i broni przeciwpancernej i znalazł się na północnym brzegu kanału Axel - Hulst. Saperzy przystąpili do budowy mostu, nie zdążyli jednak zakończył budowy przed świtem, a tym samym przeprawić czołgów i artylerii.

Zapamiętałem tamte walki z dwu powodów. Po pierwsze dlatego, że nasza załoga razem z całym szwadronem brała czynny udział w wsparciu ogniowym z działek, moździerzy i cekaemów przeprawy szwadronów liniowych. Drugi szwadron rotmistrza Bojanowskiego został powstrzymany przez ogień z północnego brzegu, gdy tymczasem pierwszy szwadron rotmistrza Giery przeprawił się na łódkach szturmowych pod Dubosch i natychmiastowym atakiem przepędził niemieckie placówki strzegące tego rejonu. Wykorzystując powodzenie przeprawy 1. szwadronu, dowódca pułku przerzucił na północny brzeg najpierw 3. szwadron, a później 2. szwadron ściągnięty po nieudanej przeprawie pod Absdale. W tym czasie saperzy zmontowali na kanale kładkę z kapoków dla pieszych, która oczywiście była lepszym środkiem komunikacji pomiędzy brzegami, niż łódki szturmowe, ale nie można było po niej przerzucić ciężkiego sprzętu ogniowego, w pierwszym rzędzie działek przeciwpancernych. Toteż nasze działka wspierały przeprawę z południowego brzegu kanału. Podczas gdy szwadrony drugi i trzeci zajęły stanowiska wyczekiwania prawie bezpośrednio nad kanałem na wschód i zachód od miejsca przeprawy, pierwszy szwadron poszedł w kierunku północnym, a w dodatku urwała się łączność między nim, a dowódcą pułku. Niezmiernie istotnym zadaniem 10. pułku dragonów dla manewrów całej brygady było zabezpieczenie pracy saperów, którzy mieli w ciągu nocy zbudować dla czołgów most przez kanał. Zabezpieczenie rejonu budowy mostu miało przebiegać zwartym półkolem w takiej odległości, by odebrać nieprzyjacielowi możliwość obserwacji i rażenia saperów bezpośrednim ogniem broni maszynowej czy też dział strzelających wprost. Niemcy skoncentrowali ogień z moździerzy, artylerii polowej oraz ciężkiej artylerii nadbrzeżnej z Beveland na obszar przyczółku i udało im się, bez wizualnej obserwacji terenu, zniszczyć dwa „carriersy" przeprawiające się na promie na północny brzeg. Saperzy pracowali pod ciężkim ostrzałem, tracąc kilkunastu żołnierzy, rannych i zabitych. Były to najbardziej bolesne straty, jednocześnie pociski niemieckie zniszczyły zgromadzony na placu budowy sprzęt przeprawy, obracając w niwecz odważną i pełną poświęcenia pracę saperów.

Rano 17 września kontratakowało niemieckie zgrupowanie bojowe w sile dwóch batalionów grenadierów, wsparte wozami bojowymi typu Panter. Uderzony w skrzydło 2. szwadron został dosłownie zepchnięty na 3. szwadron, po czym głównie przez kładkę, ale częściowo nawet wpław obydwa szwadrony wycofały się na południowy brzeg kanału. W czasie bezładnego odwrotu odnalazł się i 1. szwadron, który pod wpływem odgłosu boju toczącego się nad kanałem, wracając, natknął się na hitlerowców i zupełnie zaskoczony poniósł poważne straty. Rotmistrz Giera, widząc, że jest odcięty od kładki przeprawy, przesunął szwadron ku zachodowi i przeprawił się na południowy brzeg przeważnie wpław na odcinek zajmowany przez 9. batalion strzelców. Do rejonu walk włączyły się dwie kompanie strzelców podhalańskich i czołgi 10. pułku strzelców, które miały zapewnić dragonom obronę przeciwpancerną ogniem armat strzelających przez kanał. Był to „czarny" dzień dla dragonów i co tu ukrywać, pułk stracił pod Dubosch prawie stu żołnierzy, rannych i poległych. Do dziś w tym miejscu znajduje się „Krzyż Dragonów".

I tu chciałbym zaznaczyć drugi powód pamiętnej dla mnie akcji nad kanałem Axel - Hulst. Większość szwadronów liniowych była uzupełniona ludźmi, którzy byli w wehrmachcie, zaś niektórzy z nich dostali się ponownie do niewoli tym razem niemieckiej. O ich dalszych losach dowiedziałem się dopiero po zakończeniu wojny, spotykając w Anglii zwolnionego z obozu jenieckiego w Niemczech dragona. Jego nazwiska nie zapamiętałem, ale według jego opowiadania było tak: Początkowo Niemcy traktowali wszystkich jeńców jednakowo, nie orientowali się, z kim mają do czynienia i odesłali ich do zbiorczego obozu na terenie Holandii. Tam zaczęli coś podejrzewać, ponieważ część jeńców rozumiała, a nawet umiała rozmawiać po niemiecku, inni nie. Przycisnęli jednego z nich „do muru", a ten „wyśpiewał", skąd to zróżnicowanie w znajomości języka niemieckiego i tłumaczył to pochodzeniem z terenów zajętych przez III Rzeszę. Od tej chwili wszystkich rozumiejących język niemiecki oddzielili od reszty jeńców. Po przesłuchaniu, w którym jednak nikt nie przyznał się do służby w wehrmachcie, pod ścisłą eskortą odesłali ich do Niemiec w celu dalszej konfrontacji. Jak już to w życiu bywa, mieli szczęście w nieszczęściu. W czasie drogi do Niemiec transport był kilkakrotnie bombardowany i w tym zamieszaniu zagubiły się gdzieś papiery, a eskortujący ich konwojenci nie znali przyczyny ich separacji. W Niemczech umieszczono ich w dużym obozie jenieckim razem z Anglikami, zaś żaden z nich już nie popisywał się znajomością języka okupanta. Tam przetrwali do końca wojny i doczekali się zwolnienia.

KAROL BARTULEC

cdn.

POLSKO-CZECHOSŁOWACKIE STOSUNKI POLITYCZNE W CZASIE DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ OCZAMI CZESKIEGO HISTORYKA

(J. Němeček, OD SPOJENECTVÍ K ROZTRŽCE. VZTAHY ČESKOSLOVENSKÉ A POLSKÉ EXILOVÉ REPREZENTACE 1939-1945, Praha 2003, 373 s.)

W prestiżowym wydawnictwie naukowym Academia ukazała się przed rokiem monografia poświęcona czechosłowacko-polskim stosunkom politycznym podczas drugiej wojny światowej. Jej autorem jest pracownik Instytutu Historii Akademii Nauk RC (obecnie kierownik Zakładu Historii XX w.) o znaczącym już dorobku naukowym. Dotychczasowe badania Jana Němečka skoncentrowane na okresie drugiej wojny światowej - poruszające dla przykładu problematykę czechosłowackiej akcji wyzwoleńczej w Polsce, Francji i Wielkiej Brytanii, zagadnienie nawiązania czechosłowacko-polskich kontaktów politycznych na emigracji oraz kwestię kształtowania się stosunków czechosłowacko-sowieckich - stanowiły bardzo dobrą podstawę do podjęcia próby syntetycznego ujęcia problemu stosunków pomiędzy przebywającymi w latach 1939-1945 na uchodźstwie przedstawicielami Czechosłowacji i Polski.

Według słów autora przyjęte w pracy cezury wyznaczają okres *od października 1939, kiedy po klęsce Polski i po internowaniu polskiego rządu Felicjana Sławoja Składkowskiego oraz prezydenta Ignacego Mościckiego w Rumunii powstał w Paryżu nowy polski rząd premiera Władysława Sikorskiego, a także Czechosłowacki Komitet Narodowy jako najwyższy organ czechosłowackiej emigracji politycznej pod przewodnictwem Eduarda Beneša, aż po całkowity rozdźwięk między obydwoma rządami emigracyjnymi po tym, jak rząd czechosłowacki uznał 30 stycznia 1945 roku warszawski rząd tymczasowy, co oznaczało ostateczny koniec w staraniach o zbliżenie pomiędzy rządami emigracyjnymi Czechosłowacji i Polski* (s. 347).

Aczkolwiek został wydany niejeden zbiór dokumentów oraz istnieje już ogromna literatura przedmiotu zarówno na temat sprawy polskiej jak i czechosłowackiej (z uwzględnieniem kwestii wzajemnych stosunków czesko-słowackich) w czasie II wojny światowej, a nawet powstało niemało prac

podejmujących zagadnienie polsko-czechosłowackiej współpracy w tym okresie - dotyczącej głównie planów obu rządów utworzenia po wojnie ścisłego związku państw (polsko-czechosłowaciej konfederacji) - jak zauważył w uwagach dotyczących wykorzystanych źródeł i literatury sam autor, *dotąd nie zostało opublikowane żadne całościowe opracowanie na temat czechosłowacko-polskich stosunków podczas wojny* (s. 306). Chodzi zatem o pierwsze w dotychczasowej historiografii przedstawienie tej problematyki w tak szerokim zakresie. Już chociażby z tego względu prezentowana praca zasługuje na uwagę.

Omawiana monografia została oparta na niezwykle szerokiej bazie źródłowej. Autor przeprowadził kwerendę w ośmiu archiwach w Pradze, dwu w Warszawie oraz Londynie, jednym w Bratysławie, Moskwie, Paryżu i Waszyngtonie, a ponadto w kilku bibliotekach i instytucjach - szczególnie w Stanach Zjednoczonych i Anglii.

Nie pomniejszając znaczenia odpowiednich zespołów znajdujących się w powyższych zbiorach archiwalnych, szczególną zasługą autora w poszerzeniu dotychczasowego stanu wiedzy na temat poruszanej problematyki było wykorzystanie bogatych materiałów źródłowych (kilkaset kartonów) w kalifornijskim Hoover Institution Library and Archives w Stanfordzie. Dotychczasowe badania nad dziejami stosunków polsko-czechosłowackich w czasie drugiej wojny światowej właściwie nie objęły bowiem tych ważnych zbiorów, ograniczając się na ogół do uwzględniania opublikowanych dokumentów czechosłowackich oraz niepublikowanych polskich z IPMS (s. 300, 355, 365).

Całość rozpoczyna część nazwana *Na wstępie*. Jej tematem są, ogólnie rzecz biorąc, stosunki polsko-czechosłowackie w okresie bezpośrednio poprzedzającym wybuch drugiej wojny światowej (1938-1939). Na tle ówczesnej sytuacji politycznej, począwszy od kryzysu monachijskiego, została szerzej zarysowana problematyka czechosłowackich placówek dyplomatycznych oraz czechosłowackiej emigracji politycznej w Polsce po dacie 15 marca 1939 roku. W związku z tym przedstawiono bliżej działalność i postawę ostatniego przedwojennego czechosłowackiego posła w Warszawie Juraja Slávika oraz czołowego przedstawiciela czechosłowackiej akcji wyzwoleńczej w Polsce, dowódcy Legionu czechosłowackiego (względnie czeskiego i słowackiego) oraz polonofila generała Lva Prchali. Němeček podkreślił, iż czechosłowacka jednostka wojskowa pomimo znikomej liczebności i niedouzbrojenia była jedyną, która wzięła udział w kampanii wrześniowej u boku armii polskiej (s. 30).

Rozdział pierwszy nosi tytuł *Od Czechosłowackiego Komitetu Narodowego w Paryżu do uznania czechosłowackiego rządu tymczasowego w Londynie (paź-*

dziernik 1939 - lipiec 1940). Wbrew temu tytułowi treści nie stanowi wyłącznie problematyka czechosłowackiej akcji wyzwoleńczej i ewentualnie jej stosunek do władz polskich na uchodźstwie. Autor nierzadko dokonuje bowiem również analizy wewnętrznych stosunków wśród polskiej emigracji. Pod względem chronologicznym można mówić o okresie, w którym po obu stronach wyciągano wnioski z upadku Czechosłowacji i klęski militarnej Polski. Refleksje te prowadziły między innymi do podjęcia idei wspólnego związku. Zarazem już od pierwszych nieoficjalnych kontaktów uwidoczniły się różnice interesów politycznych, a także nierówność w pozycji międzynarodowej na korzyść strony polskiej. Autor pokazuje, jak trudna droga prowadziła do utworzenia tymczasowego rządu czechosłowackiego i jego uznania przez rząd brytyjski (21 lipca 1940 r.), a następnie polski (wśród autorów nie ma zgodności w kwestii daty polskiego uznania). Stwierdza, iż ten ostatni fakt oznaczał zasadniczą zmianę w stosunkach czechosłowacko-polskich, które osiągnęły najwyższy poziom od 1919 roku (s. 78), czyli innymi słowy były najlepsze w całej dotychczasowej historii kontaktów dwustronnych.

Kolejne ważne wydarzenia we wzajemnych relacjach znalazły odzwierciedlenie w nazwie drugiego rozdziału - *Przygotowanie czechosłowacko-polskich planów konfederacyjnych. Od deklaracji do przystąpienia Związku Sowieckiego do wojny (sierpień 1940-czerwiec 1941).* W wymienionym okresie doszło do szeregu rozmów czołowych przedstawicieli obu stron oraz do nawiązania korespondencji pomiędzy prezydentem Benešem i premierem Sikorskim. Wynikiem było zacieśnienie współpracy na arenie międzynarodowej, które znalazło symboliczny wyraz w znanej deklaracji z 11 listopada 1940 r. Następnie kontynuowano rozmowy na temat utworzenia przyszłego związku oraz bieżącej współpracy dyplomatycznej i wojskowej. W tym celu powstały również dwustronne komisje, względnie komitety (s. 107-109). Warto w tym miejscu nadmienić, iż szybką orientację w ich składzie osobowym umożliwia zamieszczony w książce aneks (s. 303-305). Němeček nadmienia, iż dochodziło z biegiem czasu do zmian personalnych, niemniej pewne różnice widać już wyraźnie, porównując ten spis z dwoma dodatkami protokołu z drugiego posiedzenia Czechosłowacko-Polskiego Komitetu Koordynacyjnego z dnia 12 lutego 1941 roku. Sądzę, że poza dyskusją jest stwierdzenie, iż napaść Niemiec na Związek Sowiecki oznaczała przełom nie tylko w przebiegu wojny, ale do pewnego stopnia również w czechosłowacko-polskich stosunkach (s. 128, 347, 359).

Rozdział trzeci został nazwany *Opracowanie czechosłowacko-polskich planów konfederacyjnych. Od napaści Związku Sowieckiego do sowieckiego weta (lipiec 1941-sierpień 1942).* Niezamierzone wkroczenie Związku Socjali-

stycznych Republik Sowieckich (dalej ZSRS) do działań wojennych przeciwko III Rzeszy wzmocniło pozycję strony czechosłowackiej, która w odróżnieniu od strony polskiej nie miała trudności w nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z nowym „naturalnym" sojusznikiem Wielkiej Brytanii. Pertraktacje nad utworzeniem po wojnie polsko-czechosłowackiej konfederacji toczyły się nadal, ale rosnący stopniowo sprzeciw Związku Sowieckiego wobec tych planów zadecydował ostatecznie o ich niepowodzeniu. W ten sposób zagadnienie to ujmuje zdecydowana większość autorów. Różnice poglądów ujawniają się w innym rozkładaniu akcentów i dotyczą głównie oceny polityki czechosłowackiej, polskiej, brytyjskiej, sowieckiej, amerykańskiej czy francuskiej. Na przykład Němeček dowodzi, iż Benešowi nadal zależało na bliskiej czechosłowacko-polskiej współpracy - opartej jednak na dobrych stosunkach polsko-sowieckich (s. 146, 159-160, 297, 352-353). Rozpoczęta pod koniec stycznia 1942 r. (czyli już po ogłoszeniu deklaracji o przyszłej unii bałkańskiej i konfederacji środkowoeuropejskiej) ofensywa dyplomacji sowieckiej wobec władz czechosłowackich (s. 162-163, 172) została w końcu uwieńczona sukcesem, który oznaczał odstąpienie strony czechosłowackiej od planów konfederacyjnych z Polską (s. 181-182).

Czwarty rozdział pt. *Droga do układu trójstronnego czechosłowacko-polsko-sowieckiego. Od sowieckiego weta do rozkładu polsko-sowieckich stosunków (wrzesień 1942-czerwiec 1943)* śledzi stopniowe pogarszanie się stosunków czechosłowacko-polskich. Powodem był wzrost znaczenia ZSRS na arenie międzynarodowej, sprzeciw władz sowieckich wobec jakiegokolwiek organizowania Europy Środkowo-Wschodniej bez ich udziału oraz zerwanie stosunków dyplomatycznych z rządem polskim, do czego posłużyła zbrodnia katyńska. Na ochładzanie relacji czechosłowacko-polskich zaczął też coraz bardziej wpływać spór terytorialny o Zaolzie. Kwestia ta była co prawda obecna już od początku wzajemnych pertraktacji, ale dopiero w tym czasie wystąpiła z całą mocą. Podłoże tych wydarzeń należy widzieć również w osiąganiu przez przedstawicieli Czechosłowacji jednego z głównych celów, którym było anulowanie układu monachijskiego (s. 184-186). Wyraźny już rozdźwięk znalazł odbicie w rezolucji czechosłowackiej Rady Państwowej (19 maja 1943 r.) oraz w reakcji na tę rezolucję kierownika polskiej dyplomacji Edwarda Raczyńskiego na posiedzeniu Rady Narodowej (25 maja 1943 r.) (s. 217-222). W przeciwieństwie do polityków żołnierze mieli na ogół nieco inny punkt widzenia rzeczywistości (zwłaszcza wspólne zagrożenie ze strony Niemiec), co skłaniało ich do bliskiej współpracy. Nie było zatem kwestią przypadku, iż najdłużej ze wszystkich dwustronnych komisji czechosłowacko-polskich funkcjonowała komisja wojskowa (s. 207). Dwaj jej członkowie zginęli razem z premierem i naczelnym wo-

dzem gen. Sikorskim w katastrofie gibraltarskiej (byli to: szef sztabu naczelnego wodza gen. Tadeusz Klimecki i płk dypl. Andrzej Marecki).

Ochładzanie i stopniowy rozpad wzajemnych stosunków. Od sowiecko-polskiego rozdźwięku do utworzenia „Komitetu Lubelskiego" (czerwiec 1943-lipiec 1944) to nazwa piątego rozdziału. Autor przedstawia w nim stopniowe odsuwanie się strony czechosłowackiej od polskiego partnera na skutek impasu w stosunkach polsko-sowieckich. Po uprzednim załamaniu się koncepcji trójstronnego układu czechosłowacko-polsko-radzieckiego (wspólnym mianownikiem miało być ostateczne uniemożliwienie *Drang nach Osten* poprzez utworzenie bloku państw słowiańskich), realnym celem polityki zagranicznej prezydenta Beneša stał się układ dwustronny ze Związkiem Sowieckim. Pokonując pierwotne opory ze strony brytyjskiej, udało mu się doprowadzić do podpisania czechosłowacko-radzieckiego układu o przyjaźni, wzajemnej pomocy i współpracy powojennej (12 grudnia 1943 r.). W czasie ówczesnej wizyty w Moskwie Beneš wystąpił też w roli pośrednika w sporze polsko-sowieckim. Sądzę, że jego rozmowa ze Stalinem dotycząca również polskiego rządu słusznie budzi dyskusje, jak o tym świadczą wypowiedzi autora omawianej monografii (s. 246-247). Němeček uważa, iż z zapisu całej rozmowy wynika usiłowanie Beneša o to, aby wobec władz sowieckich przedstawić premiera Mikołajczyka w jak najlepszym świetle, jako człowieka zdolnego również na terytorium Polski utworzyć rząd całego narodu polskiego. Abstrahując od tego stwierdzenia, w moim przekonaniu prezydent Czechosłowacji, przewidując w dużym stopniu dalszy rozwój wypadków na arenie międzynarodowej (m.in. ustępliwość Wielkiej Brytanii wobec żądań ZSRS w sprawie wschodniej granicy Polski - linia Curzona), chciał uzyskać jak najlepszą pozycję dla własnego kraju i dlatego stał po stronie sowieckiej. Z tego samego powodu chciał zachować dla odbudowanego państwa czechosłowackiego rolę pośrednika między Wschodem i Zachodem. Polityka wielkich mocarstw zaczęła jednak zmierzać w innym kierunku, zwłaszcza odkąd Londyn zaczął tracić na znaczeniu na rzecz Waszyngtonu i Moskwy.

Ostatni rozdział nosi również wymowny tytuł: *Związek Sowiecki przeciw sojuszowi czechosłowackiego i polskiego rządu emigracyjnego. Od powstania „Komitetu Lubelskiego" do uznania polskiego rządu tymczasowego (lipiec 1944-styczeń 1945).* Przyjęte cezury stanowią uznanie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego przez ZSRS oraz zerwanie przez rząd czechosłowacki stosunków dyplomatycznych z rządem polskim w Londynie na skutek uznania powstałego z PKWN Rządu Tymczasowego. Wraz z postępującą ofensywą Armii Czerwonej polityka Kremla odgrywała coraz bardziej decydującą rolę w całokształcie czechosłowacko-polskich stosunków. Autor

dokonuje porównania stosunku Stalina do dwu niemal jednoczesnych zrywów narodowych, czyli do powstania warszawskiego i słowackiego powstania narodowego. Pomimo wielu różnic na niekorzyść Polaków wynik był ten sam, gdyż w pojmowaniu kierownictwa sowieckiego wyzwolenie nie było wyzwoleniem, o ile nie było dziełem jego samego (s. 270). Również sposób, w jaki ZSRS przejmował kontrolę nad Rusią Zakarpacką (jak wiadomo, przed konferencją monachijską część składowa Czechosłowacji), zaczął budzić uzasadniony niepokój prezydenta Beneša i jego współpracowników. Był bowiem sprzeczny z zawartymi wcześniej czechosłowacko-sowieckimi układami (s. 277–278). Dobre stosunki ze Związkiem Sowieckim były jednak kluczowe dla realizacji podstawowych celów politycznych Czechosłowacji, jak przywrócenie przedmonachijskich granic z Niemcami, Węgrami oraz Polską (liczono się jedynie z utratą Rusi Zakarpackiej – wyłącznie na rzecz ZSRS), a także wysiedlenie (transfer) większości Niemców sudeckich (zob. P. Majewski, *Edvard Beneš i kwestia niemiecka w Czechach*, Warszawa 2001, s. 308) i Węgrów (s. 279). Przedstawiciele Polski znaleźli się w jeszcze o wiele trudniejszym położeniu, które symbolizował z jednej strony tracący poparcie sojuszników rząd narodowego protestu oraz z drugiej strony były premier Mikołajczyk usiłujący porozumieć się ze Stalinem w celu możliwości dalszego wpływania na bieg wydarzeń w kraju (ratowania go przed sowietyzacją). Pod koniec stycznia 1945 r. rząd czechosłowacki ugiął się pod presją dyplomacji sowieckiej i nawiązał stosunki dyplomatyczne z powstałym z PKWN Rządem Tymczasowym w Warszawie (s. 286). Oznaczało to faktyczny kres oficjalnych stosunków pomiędzy przebywającymi na obczyźnie przedstawicielami Polski i Czechosłowacji.

Epilog stanowią: zakończenie działalności czechosłowackiego rządu i Rady Państwowej w Londynie (luty 1945 r.), rozmowy w Moskwie na temat nowego rządu i jego powołanie w Koszycach (4 kwietnia 1945 r.) oraz trwanie rządu polskiego w Londynie, z którym jednak zerwały stosunki dyplomatyczne sojusznicze rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, gdyż uznały one Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej w Warszawie (5 lipca 1945 r.) (s. 294). Trafnie i lakonicznie ujął to zagadnienie cytowany przez autora niemiecki historyk Johann Wolfgang Brügel, stwierdzając, iż: *Mikołajczyk jechał do Moskwy i do Warszawy, Beneš do Moskwy i do Pragi.* (s. 298). Dalszy rozwój wydarzeń pokazał, że ani wybór tej drogi nie uchronił na dłuższą metę Czechosłowacji oraz Polski przed włączeniem w sferę wpływów ZSRS, o czym współzadecydowała również polityka pozostałych dwu wielkich mocarstw.

Patrząc całościowo na prezentowaną pracę, nie można pominąć jednego z istotnych celów badawczych autora. Tym celem była próba kompleksowe-

go przedstawienia wspierania „opozycji antybeneszowskiej" („protibenešovská opozice") przez stronę polską (s. 301). Chodziło przy tym zarówno o opozycję czeską jak i słowacką (zob. J. Kuklík, J. Němeček, *Proti Benešovi! Česká a slovenská protibenešovská opozice v Londýně 1939-1945*, Praha 2004). Ze względu na wagę polityczną szczególne znaczenie posiadały - zwłaszcza w początkowym okresie wojny - kontakty ze Słowakami opowiadającymi się na przyszłość za autonomią Słowacji w ramach jednego państwa czecho-słowackiego. Dualistyczny charakter odbudowanego państwa natomiast zdecydowanie odrzucali skupieni wokół byłego prezydenta Beneša zwolennicy czechosłowakizmu. Po klęsce Francji Benešovi udało się ostatecznie wyeliminować zarówno wpływy czechosłowackiego posła w Paryżu Štefana Osusky'ego, jak również stojącego na czele Słowackiej Rady Narodowej, a potem Czecho-Słowackiej Rady Narodowej byłego premiera Milana Hodży. Po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z tymczasowym rządem czechosłowackim kontakty z opozycją zostały przez premiera Sikorskiego ograniczone, aczkolwiek nie ustały one całkowicie (np. s. 118-120). Chociaż kwestii posługiwania się „słowacką kartą" w pertraktacjach z Benešem poświęcono już uwagę w dotychczasowej literaturze, jednak dopiero praca Němečka czyni to w sposób szczegółowy, i to w oparciu o szereg dotąd niewykorzystywanych źródeł. Przynosi ponadto czechosłowacki punkt widzenia tego problemu, co pozwala lepiej zrozumieć poglądy, postawę i podejmowane kroki ówczesnych czechosłowackich elit politycznych na emigracji. Wspieraniu opozycji - szczególnie widocznym ze strony ministra, a później ambasadora w ZSRS Stanisława Kota - przeciwstawia autor postępowanie rządu czechosłowackiego, który nie wykorzystywał rozbieżności w środowisku emigracji polskiej (s. 301).

Nasuwa się jednak pytanie, czy w ogóle istniała realna podstawa do prowadzenia takiej polityki ze strony czechosłowackiej, względnie, czy byłaby ona zgodna z czechosłowacką racją stanu. Sądzę, że raczej nie. Zgadzam się bowiem z innym stwierdzeniem Němečka mówiącym o tym, iż: *oba rządy, zarówno polski jak i czechosłowacki, twardo broniły interesów swoich państw i ani jeden nie ustąpił w ważnej dla siebie sprawie, czy to chodziło o restytucję granic sprzed Monachium (zatem włącznie z Zaolziem) w przypadku Czechosłowacji czy przywrócenie granic sprzed 1 września 1939 r. (zatem również włącznie z Zaolziem) w przypadku Polski. W forsowaniu własnych postulatów stosowały oba rządy podobne metody, kiedy porównamy polskie stanowisko wobec francuskiego, względnie brytyjskiego odczynienia Monachium bądź podobny stosunek wobec brytyjskiego uznania czechosłowackiego rządu* tymczasowego oraz tak samo zdecydowanie negatywne *stanowisko rządu czechosłowackiego wobec poparcia strony polskiej w kwestii granicy polsko-so-*

wieckiej bądź wobec późniejszego pragmatycznego uznania "lubelskiego" rządu (s. 295, 350, 361). Co prawda rzadko które porównanie jest rzeczywiście adekwatne, niemniej pozwala często lepiej zrozumieć postępowanie innych. Němeček nie stroni od tego typu prezentacji niejednego zagadnienia czechosłowacko-polskich stosunków omawianego okresu, posługując się również częstokroć metodą komparatystyczną. Pod tym względem prezentowana praca (szczególnie zaś jej niektóre wnioski końcowe) zdaje się być nawet bardziej skierowana do czytelnika polskiego, aniżeli czeskiego.

Zakres wykorzystanej przez autora literatury oraz materiałów źródłowych zasługuje bez wątpienia na uznanie. Już pobieżna lektura pozwala stwierdzić, iż tylko część opracowań znajdzie Czytelnik w bibliografii. Moim zdaniem, wszystkie zasadnicze dla danego tematu prace zostały wzięte pod uwagę. Z pozostałych subiektywnie brakowało mi jedynie uwzględnienia opracowań Stefanii Stanisławskiej, Włodzimierza T. Kowalskiego i Mariana Kukiela oraz opublikowanych wspomnień polskiego ambasadora w Stanach Zjednoczonych Jana Ciechanowskiego (pod wiele mówiącym tytułem *Defeat in victory*). Przyjęte ramy chronologiczne poszczególnych rozdziałów znajdują, jak sądzę, uzasadnienie w opisywanych wydarzeniach historycznych. Można jedynie zastanawiać się na tym, czy nie warto by w następnym wydaniu poszerzyć pracę o wstępny rozdział poświęcony czechosłowacko-polskim stosunkom w całym okresie międzywojennym. Natomiast pewne drobne zastrzeżenia można mieć pod adresem korekty - chodzi o słownictwo w języku polskim. Zdarza się też niejednolita pisownia imion. Jest to jednak szerszy problem dotyczący zdecydowanej większości prac historycznych zarówno polskich, jak czeskich, które nie przykładają należnej uwagi pisowni północnego, względnie południowego sąsiada (w odróżnieniu np. od zasad ortografii w języku angielskim czy niemieckim).

Nie ulega wątpliwości, iż w przypadku recenzowanej monografii mamy do czynienia z ważkim głosem w międzynarodowej dyskusji historyków na temat różnorodnych aspektów polsko-czechosłowackich stosunków politycznych podczas drugiej wojny światowej. Dodajmy, iż autor dostrzega możliwość stawiania całkiem nowych pytań badawczych, a także w oparciu o bogaty materiał źródłowy szukania na nie odpowiedzi (s. 300, 355, 365).

Na zakończenie niniejszej próby przybliżenia omawianej monografii warto wspomnieć o tym, iż przyniosła ona jej autorowi nie tylko uznanie w kraju, ale również za granicą. 13 grudnia 2003 r. Jan Němeček otrzymał z rąk rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie prof. Franciszka Ziejki Nagrodę Główną w Konkursie im. W. Felczaka i H. Wereszyckiego.

ROMAN BARON

„ROZŚPIEWAŁY SIĘ OBŁOKI“

Rozśpiewały się 21 stycznia w sali Miejskiego Ośrodka Kultury Strzelnica w Czeskim Cieszynie. Obłoki były pomysłowo zrobione z białych baloników, zaś w śpiewające aniołki wcieliły się dzieci czesko-cieszyńskich przedszkoli i PSP, zrzeszone w jakże dobrze znanym zespole dziecięcym Cieszynianka. Wypełniona po brzegi sala rozbrzmiała śpiewem kolęd – przypomnieniem raz jeszcze niedawnych Świąt. Obok śpiewających aniołków na scenie pojawiły się też aniołki tańczące – z Rytmiki.

F.B.



Fot. FRANCISZEK BAŁON

AKTYWNI ELEKTRYCY

Jednym z aktywniejszych stowarzyszeń obywatelskich polskiej mniejszości narodowej w Republice Czeskiej jest Stowarzyszenie Elektrotechników Polskich w RC. Pomyślnie rozwija się współpraca stowarzyszenia z podobnymi organizacjami w Polsce, szczególnie z Oddziałem Gliwickim Stowarzyszenia Elektryków Polskich. W wyniku tej współpracy gościli już na Zaolziu wykładowcy – członkowie SEP z prelekcjami tematycznymi.

21 września ub. r. SEP gościł w Czeskim Cieszynie profesora Politechniki Śląskiej w Gliwicach Tadeusz Skubisa z wykładem na temat nowych technologii w elektrotechnice i ich zastosowania w urządzeniach domowych, medycynie, kosmonautyce, militarystyce itp.

17 listopada ub. r. odbyło się w Cierlicku Kościelcu spotkanie elektryków polskich w RC. Prelekcje wygłosili członkowie SEP Tadeusz Toman (temat: Rewizje urządzeń elektrycznych), Karol Guńka (temat: Elektrownie wiatrowe) i Stanisław Feber (temat: Produkcja kształtek szamotowych przy pomocy wibroprasowania). Dziekan Wydziału Elektrycznego Politechniki Śląskiej profesor Bogusław Grzesik przedstawił aktualne możliwości szkoły, jej strukturę, liczbę studentów i nauczycieli. Dziekanowi Wydziału towarzyszyli profesor Kazimierz Gierlotka, dyrektor Zakładu Napędu Elektrycznego i Elektroenergetyki Instytutu Elektrotechniki Teoretycznej i Przemysłowej, i Kazimierz Nabzdyk, emerytowany wykładowca Wydziału Górniczego Politechniki i pracownik Biura Projektów Hutniczych w Gliwicach. Ciekawa dyskusja na spotkaniu dotyczyła rozwoju przedsiębiorczości w dziedzinie elektryki, podejmowania pracy w krajach Unii Europejskiej po jej poszerzeniu i możliwości studiów na Politechnice przez studentów z Zaolzia.

W poniedziałek 10 stycznia br. odbyło się w Gliwicach tradycyjne spotkanie noworoczne Oddziału Gliwickiego SEP. Na zaproszenie prezesa Oddziału Tadeusza Lipińskiego wzięła w nim udział delegacja Stowarzyszenia Elektrotechników Polskich w RC w składzie: Tadeusz Toman (przewodniczący), Zygmunt Stopa i Władysław Niedoba. Imprezę zagaił występ zespołu wokalno-tanecznego Ychtis z Piekar Śląskich. W ramach spotkania prezes Zarządu Głównego SEP z Warszawy Stanisław Bolkowski wręczył odznaczenia i medale zasłużonym członkom SEP oraz studentom Politechniki Śląskiej za najlepszą pracę dyplomową z elektryki. Wśród odznaczonych dyplomem nadania Medalu Honorowego im prof. Jana Obrapalskiego był Zygmunt Stopa. Medal ten ustanowiono przez gliwicki oddział SEP i Wydział Elektryczny Politechniki Śląskiej w 1981 roku w stulecie urodzin profesora, twórcy polskiej nauki w dziedzinie napędu elektrycznego w przemyśle ciężkim, przede wszystkim w górnictwie i hutnictwie. Po programie oficjalnym i toaście noworocznym odbyło się spotkanie koleżeńskie.

T.T.

XXXIV ZJAZD GWIAŹDZISTY

W sobotę 29 stycznia br. na stokach nartostrady w Mostach koło Jabłonkowa odbyła się jedna z największych szkolnych imprez sportowych na Zaolziu – XXXIV Zjazd Gwiaździsty. Organizatorem tegorocznej edycji była szkoła podstawowa i Macierz Szkolna w Wędryni. W XXXIV Zjeździe Gwiaździstym uczestniczyło 472 dziewcząt i chłopców z 26 szkół od Lutyni po Mosty. W slalomie startowało 296 zawodników. W biegach udział wzięło 176.

W tym roku, podobnie zresztą jak w latach ubiegłych, do dyspozycji uczestników Zjazdu były bufety z gorącą herbatą czy kawą oraz kuchnie polowe z bigosem, grochówką. Warto podkreślić, że każdy z młodych uczestników otrzymał jeszcze przed startem termos z gorącą herbatą.

W czasie, kiedy ekipa komputerowa musiała podliczać punkty, dla najmłodszych przygotowano szereg zabaw i gier. Były piosenki i konkursy, które prowadził znany wodzirej Stanisław Sielicki. Nie zabrakło też słodkich nagród, a więc lizaków, cukierków itd.

Nastała długo oczekiwana chwila – ogłoszenie wyników i dekoracja zwycięzców. W tym roku pomyślano także o pozostałych uczestnikach, którzy nie uplasowali się na czołowych pozycjach. Spośród wszystkich uczestników zawodów losowano bowiem osoby, które otrzymały nagrody. Dla trzech pierwszych w każdej kategorii przewidziano medale, dla sześciu najlepszych zaś puchary. Nagrody otrzymali także najmłodsza uczestniczka i najmłodszy uczestnik Zjazdu, którzy pokonali trasę.

BJK









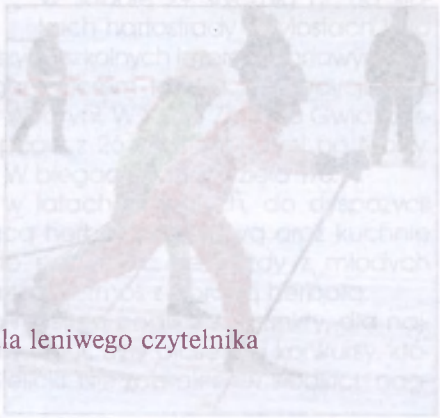




Fot. JAN KUBICZEK (opracowanie graficzne F. Bałon)

BOHDAN MAŁYSZ

AFORYZMY



Słowniczek

Aforyzm - utwór leniwego pisarza dla leniwego czytelnika

Antykwariat - stary szaleniec

Babilon - stolica kobiet

Bestseller - najlepszy do zupy

CD-Rom - Cygan z przyszłością

Ewangelia - osobliwy rodzaj opowieści, w której śmierć głównego bohatera nie przeczy ostatecznemu happy-endowi

Inkaust - narodowy napój Inków

Judo - narodowy sport Żydów

Synoptyk - syn optyka

Aforyzmy, maksymy, myśli

Poprawka do Machiawellego: Szlachetny cel uświęca nieszlachetne środki stosowane wobec nieszlachetnych ludzi.

Poprawka do Mickiewicza: Miej rozum i patrzaj w serce.

Okazja czyni lenia.

Jeżeli ktoś uderzy cię w prawy policzek, podstaw mu lewą nogę.

Pantoflarz to bardzo odważny człowiek - nie boi się mężczyzn, którzy będą go wyśmiewać.

Młodym mężczyznom podobają się młode kobiety. Starym także podobają się młode. Któż więc śmie powiedzieć, że mężczyźni nie są stali w uczuciach?

W miłości mężczyzna robi pierwszy ruch, kobieta - pierwsze spojrzenie.

Istnieją dwojakiego rodzaju moraliści: jedni za wzór podają tradycję ojców, drudzy świetlaną przyszłość. Być może właśnie dlatego teraźniejszość jest zawsze taka zaniedbana.

Komplement komplementarny: Jesteś tak wspaniała, że jesteś mnie warta!

Miłość jest dawaniem najwyższego dobra, lecz równocześnie jego braniem. A skoro tak, to jakże uwierzyć, że pierwszą pobudką z tych dwojga jest właśnie dawanie?

Książki, które najczęściej opróżniają kieszeń czytelnika, najrzadziej napełniają jego duszę.

Szczęście to jedyny towar na świecie, który może podarować nawet ten, który sam go nie ma.

Nieszczęśliwie się składa, że większość wolnych ludzi korzysta z własnej wolności jedynie w celu swobodnego dopasowania się do innych wolnych ludzi.

Gdyby Chrystus nie zmartwychwstał, zapewne przewracałby się teraz w grobie.

W czasach feudalizmu ludzie rodzili się nierówni, za to owa nierówność wytrzymała im przez całe życie. My dzisiaj rodzimy się równi, lecz cóż z tego, skoro trwanie owej równości zdaje się ograniczać wyłącznie do samego momentu narodzin.

Pytanie o głupotę ludzką jest pytaniem tak samo łatwym jak trudnym. Zazwyczaj bardzo łatwo znaleźć na nie odpowiedź, lecz znacznie trudniej udzielić jej ludziom prosto w twarz.

DZIAŁALNOŚĆ POLSKIEGO STOWARZYSZENIA ARTYSTÓW PLASTYKÓW W RC

Aktywnie rozpoczęli w 2005 roku swoją działalność plastycy z Polskiego Stowarzyszenia Artystów Plastyków w RC. Najpierw w Radlinie (koło Wodzisławia Śląskiego) w Miejskim Ośrodku Kultury 18 stycznia w obecności 5 zaolziańskich plastyków zagajono wystawę 34 prac – obrazów, rzeźb, grafik i rysunków 14 członków Stowarzyszenia. O działalności i organizacji życia artystycznego naszej grupy narodowej opowiedział podczas wernisażu Władysław Owczarzy.

Tydzień później (22 stycznia) w Wielkiej Galerii Teatru Cieszyńskiego swoje prace przedstawiło 15 członków PSAP w RC. Obrazy, grafikę i rzeźby przedstawili Edgar Baran, Alicja Bartulec, Władysław Ćmiel, Józef Drong, Barbara Kowalczyk, Darina Krygiel, Monika Milerska, Oskar Pawlas, Jan Rusnok, Blanka Szczuka, Romana Taszek, Walter Taszek, Paweł Wałach i Tadeusz Wratny. Warto również odnotować, że Ania Krygiel podczas wernisażu zaśpiewała dwie piosenki, wzbudzając podziw i uznanie.

W. O.







Prace Dariny Krygiel
Barbary Kowalczyk





Foto WIESŁAW PRZECZEK (2), FRANCISZEK BAŁON (2)

POSTMODERNISTYCZNA WIZJA DYGRESYJNA RUDOLFA KOWALEWSKIEGO

Trudnej rzeczy dokonują w Scenie Polskiej Teatru Cieszyńskiego realizatorzy „Szalonych nożyczek" (premiera 29.1.2005). Wciągają widzów w akcję w dosłownym tego słowa znaczeniu. Nie można tym razem, kiedy gaśnie światło na widowni, rozłożyć się wygodnie w fotelu i może nawet zdrzemnąć. No chyba że przez chwilę na początku przedstawienia. Ale taka nieuwaga może się potem zemścić. Bo widz jest przepytywany, czy dobrze zapamiętał to, co działo się na scenie, i musi wydać wyrok. Po prostu w pewnej chwili: pstryk, na widowni zapala się światło i ze sceny kilka par oczu kieruje się w stronę publiczności. To postacie sceniczne zaplątane w brutalne morderstwo - bo właśnie w mieszkaniu sławnej pianistki nad salonem fryzjerskim, który rozlokował się na scenie, zadźgano właścicielkę - zwracają się do widzów, by rozwiązali zagadkę kryminalną. Przymilnie, by przekabacić widza na swoją stronę, ale i agresywnie: spróbuj tylko, widzu, powiedzieć, że to ja jestem mordercą... A dla widzów najgorsze jest to, że oglądali, owszem, co dzieje się u fryzjera, gdzie ciągle ktoś wchodzi i wychodzi, ale nie mieli okazji zajrzeć choćby na moment piętro wyżej. Muszą drogą eliminacji i dedukcji odkryć mordercę. Albo też wskazać i skazać osobę, która wydaje im się najmniej sympatyczna. W tym przedstawieniu jedynie widzowie decydują o tym, kto zabił. Policjanci potrzebni są po to, by inteligentnie przeprowadzić śledztwo.

W „Szalonych nożyczkach" niemieckiego pisarza Paula Pörtnera (à propos plotek, których w przedstawieniu nie brakuje, bo fryzjer to podobno najlepsze miejsce do plotek, co za zbieg okoliczności, Pörtner urodził się w tym samym mieście, co ileś lat później najsłynniejszy obecnie w Polsce Niemiec, w Wuppertalu - i w ten sposób przy okazji udało mi się wspomnieć o najpopularniejszym obecnie polskim serialu, w którym ów Niemiec gra, o innych za chwilę), przerobionych przez amerykańskich ludzi teatru Bruce Jordan i Marylin Abrams na komedię kryminalną, przeniesionych, w polskim przekładzie Elżbiety Woźniak, do teatru w Czeskim Cieszynie przez Rudolfa Molińskiego (reżyseria, opracowanie tekstu i wybór muzyki) przy współpracy Małgorzaty Komorowskiej (scenografia i kostiumy) i Izabeli

Dzidowskiej (kostiumy), widz czuje się niepewnie już przy wkraczaniu do sali teatralnej. Nie ma bowiem pewności, czy nie spóźnił się na spektakl. Na scenie, czyli w salonie fryzjerskim, wre praca. Właściciel salonu Szalone Nożyczki fryzjer Tonio Grzebiński (Klaudiusz Szymiczek), który czesze i lubi panów, oraz fryzjerka Barbara Markowska (Barbara Szotek-Stonawski), młodzi i pełni życia, nie muszą długo czekać na klientów. Umyć głowę przychodzi Michał Tomasiak (Dariusz Waraksa), jak się później okaże, prawa ręka inspektora policji, choć niezbyt tęga głowa, po co się więc chwalić, że się chodziło do polskiego gimpla. Ściskając teczkę, siada w kącie, znudzony i jakby nieobecny, handlarz antykami Edward Wurzel (Ryszard Malinowski). Golenie zamawia wspomniany już inspektor policji, na razie incognito, Dominik Kowalewski (Rudolf Moliński), z Wędryni, w której dla niego jest naprawdę pięknie, lecz która według innych należy do najbrzydszych peryferii Trzyńca. Trochę zamieszania wnosi energiczna pani Dąbek (Anna Paprzyca), określona jako dama ze „sfer" z domem i trzema garażami w Żukowie Górnym. Śpieszy się, bo wieczorem leci do Pragi. Chciałbym polecieć do Złotopolic - tym wyrokiem fryzjer Tonio zmienia się w niespełnionego aktora (a przecież może o sobie mówić „Ja, Klaudiusz"), który chce dorównać „naszemu" Jasiowi Monczce z Chawirzowa, Tulipanowi-Pipie polskiego ekranu, i który podobno denerwuje się od czasu, kiedy dowiedział się, że nie gra Ondraszka w „Ondraszku", chociaż nie od dziś wiadomo, że najlepszym musicalem zbójnickim i tak na zawsze pozostanie „Na szkle malowane". Tonio może się chociaż pochwalić przed tymi, którzy nie mieli abonamentu Sceny Polskiej, że grał w „Mayday" tego sąsiada z góry. Grał i grał dobrze, podobnie jak dziś. Och, jak ona pięknie umierała - rozmarza się pani Dąbek, wspominając z kolei „naszą" Tereskę Branną w serialu „Na dobre i na złe". Gdyby tak sięgnąć pamięcią, to i tam grał Monczka, i też podrywacza. Z wrodzonej skromności (cytat z przedstawienia: Pan przecież jest z Wędryni, a to wszystko wyjaśnia!) zapewne pomija autor opracowania tekstu sztuki swoje epizody telewizyjne, kiedy to na przykład jako świadek „Świętej wojny" gościł w Katowicach na Korfantego u Bercika albo udawał Szwejka w „Śląskiej labie", nic nie mówiąc (z fajką w zębach się nie da), ale za to jak się prezentując.

Kiedy dojdzie do morderstwa i Kowalewski z Tomasiakiem rozpoczynają śledztwo, Toniowi nie pozostaje nic innego, jak tylko westchnąć. Jego żal potęguje myśl o spalonym (może ze wstydu) gulaszu gotowanym według przepisu z „Zaolzia od kuchni". Logicznie rozumujący policjanci eliminują siebie z kręgu podejrzanych. Poza podejrzeniem jest też pani Dąbek, bo nie opuszczała lokalu. Ale taka całkiem niewinna nie jest. Ukradła woniawke - wołają z widowni, która stała się w międzyczasie tłumem świadków i została włączona w śledztwo, spostrzegawczy uczniowie polskiego gimnazjum. Pani







Fot. TC - WIESŁAW PRZECZEK

Dąbek oddaje perfumy. Pozostaje trzech podejrzanych, z których nikt nie ma alibi, a jak się okazuje po analizie detektywistycznej, każdy miał motyw. Zdenerwowanie daje się we znaki i nie ma się co dziwić, że może dojść do przejęzyczeń, i tak fortepian zamordowanej staje się Igorem zamiast Petrovem. Świadkowie-widzowie dostają czas do namysłu i zadania ewentualnych pytań, na stronie, bo inspektor, a może reżyser, w każdym razie kierownik spektaklu, ogłasza przerwę. Podejrzani jednak nie mogą opuścić lokalu fryzjerskiego, mają za zadanie nie wypaść z roli, bo ludzie patrzą.

Radio w postaci autentycznego głosu Haliny Drabek nadaje komunikat o zbrodni. Jest czas na odpowiedzi na pytania widowni, na ostatnie wyjaśnienia. Zostają wybrani fotelowi, tak chyba wzorem stołowych z różnych zebrań wyborczych, wspomina się zresztą zarządzenia Rady Polaków, podpowiedzi PZKO, należałoby tu nazwać wyznaczonych do liczenia głosów widzów. Następuje głosowanie przez podniesienie ręki, pani Dąbek skrzętnie zapisuje podyktowane przez fotelowych głosy, zlicza i wydaje werdykt.

Przy okazji wspomina się też w przedstawieniu o pani recenzent. Oj, sroga ci ona jest, właśnie wpadł mi w ręce fragment jej krytyki, pisanej chyba w myśl zasady: co podoba się widzom, nie może mieć dobrych recenzji. Cytuję: *Przedstawienie jest nudne, oglądamy trzy razy to samo. Najpierw samą akcję, potem jej powtórkę z podpowiedziami i objaśnieniami z colombowsko-kojakowskim zacięciem, a na koniec w iście brechtowskim stylu opowieść o wydarzeniach z uzasadnieniem motywów zbrodni. Improwizacja jest wbrew pozorom wielką sztuką i nie każdego na nią stać. Reżyser zaryzykował i... wypadł najgorzej. Nie wiadomo, czy jest policjantem, czy reżyserem, czy może kimś innym, w każdym razie zachowuje się bardzo prywatnie. A co stało się z utalentowanym odtwórcą młodego poety znad Łucyny i śpiewającego zbójnika z Koloczawy? Ponieważ tak naprawdę nie chodził do polskiego gimpla w Czeskim Cieszynie, radzę mu jak najszybciej zmienić klimat. Nim całkiem skapcanieje na tym Zaolziu...* Oj! Chyba starczy tego cytatu, steku kłamstw i pomówień.

Pewnie też uważają, że Unia Wolności wygra wreszcie jakieś wybory - takie niby bez sensu zdanie również pada w tym przedstawieniu. Kto nie śledził ostatnich wyborów, nie zrozumie, o co chodzi. Jak chcecie wygrać, to popatrzcie, drodzy politycy z UW, kogo macie w swoich kierownictwach i do kogo, wbrew programowi, przyczepiliście się, by mieć władzę. Żebym wreszcie miała na kogo głosować i żeby mój głos nie był z góry stracony. Dobrze?!?

Twórcy przedstawienia „Szalone nożyczki", każąc widzom aktywnie uczestniczyć w zabawie i zacierając granicę między aktorami i publicznością, nie wzięli pod uwagę jednego: A jeśli zabił ktoś z widzów? Dorobić klucze do drzwi od podwórza to pestka!

CZESŁAWA RUDNIK

W CYRKUSIE

Roz do starej Karwiny przijechoł cyrkus. Gustlik, jak poczytoł o tym na plagacie, powiado swoji Marylce, że pujdóm do cyrkusu.

I tak se stało. Przichodzóm ku cyrkusu, a przed tym szapitym wykrzikowoł pryncypoł, jaki to ni ma fajny program i co wszystko mogóm ludzie za 15 korón uwidzieć. A gdo mo ochote, a je silny, tak może sprubować szczyńścio i w trakcie programu może zapasić z niedźwiedziym. Jak położy niedźwiedzia na łopatki, to dostanie 5000 korón. Marylce ta informacyja nie dowała spokoju, bo Gustlik przecaż był chłop nie byle jaki, a siły mo do pieróna. I tak go zaczła namowiać, aby to z tym niedźwiedziym sprubowoł: "Tóż Gustliczku, co ty na to? Sprubuj szczyńścio, dyć rynke mosz jak dwie zeszwajsowane łopaty, a w gospodzie u Altmana cie jeszcze żodyn nie przeproł. Dyć tyn niedźwidź ni ma moc wiynkszy od naszego Azora!" Gustlik se doł rzyc i tak se przigłosił.

Ludzie, jak se dowiedzieli, że Gustlik od Marylki se bydzie bić z tym niedźwiedziym, tak se zaczli do tej cyrkusowej budy ćpać jak błechy do ciepłego kożucha. Jak sie Gustlik pojawił w arenie, było pełno oklasków i rozmaitych pokrzików, jako: Ukryńć mu głowe! Złómej mu kark! I dalsze insze. Jeszcze przed tym, niż wloz do tej areny, posilił se trzyma piwami, kiere podeprził wielkimi rómami. W arenie zaczli dować dookoła żelazne krota, tóż Gustlik se powiado, że to beztak tymu, aby tyn niedźwidź, jak go uwidzi, nie uciyk. Jak to wszystko było gotowe, tak se ozwoł góng, a do areny puścili niedźwiedzia. Jak szoł po sztyrech, nie był wiynkszy niż tyn jego Azor, ale jak se postawił na dwie zadni nogi, to był wiynkszy od niego o głowe. Niedźwiydź ryknył na Gustlika, ale ón o niczym inszym nie rozmyśloł, jyny o tych 5 tysiącach. Gustlik go zmierził oczami, zagnoł se lewóm rynkóm na niego ..., ale ta chłupato potwora ryp Gustlika obiyma łapami po uszach i już leżoł na ziymi, a rzaziny z czyrwiónóm mu leciały z nosa. Potym niedźwiydź siednył se mu na brzuch i z Gustlika to cykło - wyrchym aji spodkym. Syndzia zaczón rachować do dziesiynci. W tym se Gustlik spamiyntoł. Ugryz niedźwiedzia pod pażóm. Niedźwiydź wyskoczył i uklejzła mu noga. Rypnył sobóm tak nieszykownie, że głowa se mu wpresowała miyndzy krota. To już Gustlik na nic nie czakoł, skoczył na niedźwiedzia i położył go na łopatki. Cyrkusowo buda, kiero była pełno po brzegi, szalała z radości. Gustlik wygroł 5 tysięcy, a Marylka płakała z radości.

Wieczór, jak leżoł z Marylkóm w łóżku, a óna fórt rachowała ty pinióndze, tak Gustlik ji powiado: "Ty, Marylka, żodnymu to ani nie pipnij, na czym tyn niedźwiydź uklejznół, bo nie być tego, tak bych tu z tobóm nie leżoł, a ty byś ni miała co rachować".

DAR. JOCHEL



FRANCISZEK NASTULCZYK
z tomiku „Przewodnik ślepego psa”

początkujący

sobotni wieczór w granicznym mieście
psy prowadzą na smyczy właścicieli
leniwie toczy się woda w Olzie
i rozmowy w pustawych knajpach
„Fortuna imperatrix mundi” Orffa w radiu
przypomina o samobójcy który napisał
że dla tej pieśni warto żyć

słyszę muzykę i czuję ból
zęba
gdy piję zimne piwo
bez starych przyjaciół i nowych miłości
bez wiary w siebie

czy mogę teraz powiedzieć coś
o ludzkości
o Bogu

nie
wciąż jestem początkującym
człowiekiem

stary adres

czas zaschnięty
jak kropla atramentu
niskie domy przedmieścia
zakurzone ogródki

to było wczoraj

niedzielne popołudnie
spłowiałe jak tynk na murze

twoje imię w adresów
zeszycie

wycieczka
na Kozubową i Kamienity
(M.S.)

szliśmy w piękno tak oczywiste
że nie było słów tylko obrazy
skrzętnie chowane w ciemność
aparatu fotograficznego

oszczędność gestu
była obowiązkiem
w tych stronach

w dolinie piliśmy
czarne piwo

więc jednak
żałoba

to życie

tyle nie zapisanych kartek
tyle nie spotkanych ludzi

tyle złamanych przyrzeczeń
zmienionych planów

to życie zaniechane
gdzie ono jest

to życie rzeczywiste
wypełnione pakułami
codziennej krzątaniny

te przypadki które dziś
wydają się oczywiste

czy to było warte tego
żeby robić cokolwiek

ANDRZEJ STASIUK

JAK ZOSTAŁEM PISARZEM

(PRÓBA AUTOBIOGRAFII INTELEKTUALNEJ)

fragment

Pękaliśmy od pomysłów. Było za mało czasu, żeby je realizować. Nie starczało dwudziestu czterech godzin, by zrealizować chociaż połowę. Powinniśmy to wszystko zapisywać. Teraz byłoby jak znalazł. Od rana do wieczora kombinowaliśmy. Nieustająca mentalna kostka Rubika, jeśli jeszcze w ogóle ktoś pamięta, co to była kostka Rubika. Wymyśliliśmy wtedy ze setkę książek i przynajmniej ze dwie setki płyt. Zastanawiające jest to, że nigdy nie wymyśliliśmy radykalnych zmian rzeczywistości. Co najwyżej, żeby tu i tam można było dostać piwo, a nie latać po całym mieście. Świat kulał w szczegółach, ale nikt przecież nie obiecywał, że będzie łatwo. Stale byliśmy gotowi ponosić jakieś ofiary. Jeden Ostas przez te niemieckie wyjazdy uważał, że świat jest mu coś winien. Chociażby z tymi chodnikami właśnie. Tak, to był jakiś całkiem arystokratyczny etos. Jedną z zasad dżentelmena jest to, że nigdy nie domaga się swoich praw. Lud powoli przestawał być naszym idolem. Wychodził na ulice i wciąż było mu mało. Nam jakimś cudem starczało. Za cholerę nie chcieliśmy być ludem. I tak w jakiś niejasny sposób czuliśmy się wybrani. Dość plemienne prawa tym rządziły. Kiedyś napiszę strukturalną analizę tego zjawiska. Albo fenomenologiczną syntezę. Nasz język był metajęzykiem. Czasami spotykaliśmy innych ludzi i za cholerę nie szło się dogadać. My swoje, oni swoje. Brak dekodera. Przeczytałem „Nieznośną lekkość bytu". Najbardziej podobało mi się zdanie: „Zwyczajem wszystkich czeskich lekarzy odłałem się do umywalki" czy jakoś tak, ale całość specjalnie mnie nie powaliła. Trochę powaliła, ale po legendzie człowiek spodziewa się trochę więcej. Tak, podstawowy błąd recepcji dzieła literackiego. W telewizji puszczali pierwszą profesjonalną polską reklamę. Tleniona blondyna namawiała, żeby kupować Prusakolep. Ślicznie się uśmiechała i pokazywała wstydliwie pudełko z tym muchotłukiem. Świat nie nadążał za Kunderą. Świąt wciąż był wierny Jarosławowi Haškowi. My zresztą też. Mieliśmy swoją prywatną mitologię. Na przykład, że jak położyć pięciokoronówkę na pianie ze Złotego Bażanta, to ta pięciokoronówka się utrzyma. Nikt z nas nie widział na oczy Złotego Bażanta, ale wierzyli wszyscy. Nie wiadomo dlaczego, ale właśnie Czechy jakoś nas kręciły. Ameryka, ow-

szem, ale Czechy jakoś bardziej realnie. Czesi to byli dla nas tacy Polacy, ale trochę lepsi. W końcu to nie Dariusz Kozakiewicz pojechał grać z Patti Smith, ale Ivan Kral. My mieliśmy parę doskonałych kapel, ale tylko Czesi mieli Plastic People of the Universe i te zajebiste apokaliptyczne jasełka. Czesi to w ogóle był jakiś odjazd. Tak nam się zdawało. No i jeszcze Warhol. Nie wiedzieliśmy wprawdzie, że był słowackim Rusinem, ale wiedzieliśmy, że był Czechem i kumplował się z Lou Reedem. I tak dalej, i tak dalej, że o „Locie nad kukułczym gniazdem" nie wspomnę. W chwilach nagłych zrywów chcieliśmy być Czechami. Palić czeskie papierosy, pić czeskie piwo i legendarną becherovkę. I rum. Czesi wszędzie i przy każdej okazji pili rum. My niby mieliśmy te parę kilometrów morskiego wybrzeża oraz fregatę Dar Pomorza, ale rum nie przyjął się jako narodowy trunek. Podobała nam się czeska dezynwoltura. Amfetamina ani grzybki nie były jeszcze popularne. Hasz należał do towarów luksusowych. Pod Pewexami wciąż stali cinkciarze. Na postojach taksówek wciąż stały kolejki pasażerów. Można było wyjeżdżać za granicę, ale nie za bardzo. W kioskach pojawiły się kalendarze z gołymi babami. Na każdy miesiąc jedna goła baba. Pojawiły się też broszury z wydrukami biorytmów dla każdego. Też w kioskach. To były pierwsze sygnały, że społeczeństwo zaczyna się hedonizować. Ale film „Emanuelle" wciąż pozostawał legendą. „Ostatnie tango..." tak, „Emanuelle" nie. Pornosy kupowało się na Różyckiego. Na wierzchu leżały „Burdy", „Playboye" i „Brava", ale wystarczyło podejść, zagadać i zawsze coś się znalazło. Na straganach z używanymi książkami leżały powielaczowe odbitki „Królewny Pizdolonej" i „XIII księgi Pana Tadeusza". To był właściwy trzeci obieg, zanim pojawiły się fanziny. W domu towarowym Sezam otwarto stoisko, w którym skupowano zagraniczne alkohole. Zwłaszcza napoleony. Przychodzili tam głównie lekarze, ponieważ napoleon był podstawową formą wyrażania wdzięczności przez pacjentów. Jak ktoś miał dużo pacjentów, to chociażby pił dzień i noc, to wszystkiego by nie wypił. No i państwo się zlitowało. To też był symptom rozkładu, lecz nie zwróciliśmy na to uwagi. Napoleony były po prostu poza naszym zasięgiem, a poza tym zgodnie z mitem miały cuchnąć myszami. Tak jak whisky. W tym mniej więcej czasie porzuciliśmy starowin lubuski i zaczęliśmy pić Złotą Jesień. Jak zwykle na początku była wyśmienita. Piliśmy ten nasz calvados i wyobrażaliśmy sobie, że jest „Noc w Lizbonie" albo że Pluszowy jest Rawik, a ja ten drugi i odwrotnie. Czasami musieliśmy odetchnąć od tych wszystkich ambitnych lektur i nieco zbliżyć się do życia. Z tytoniów fajkowych były kolejno: przedni, najprzedniejszy, bosman, neptun i kapitan oraz amphora w czterech odmianach - zielona, czerwona, brązowa i niebieska. Biały ser był w dwóch odmianach: tłustej i chudej. Twarożki homogenizowane chyba w czterech: normalny, waniliowy, truskawkowy i kawowy. Niestety, nie jestem w stanie przypomnieć sobie cen, ponieważ

zmieniały się nienormalnie często. Wędzony łosoś jak zwykle był diabelnie drogi. Ale na ruskiego szampana stać było każdego. Najgorsza była herbatka gruzińska. Popularna była tańsza, ale lepsza. Niestety, ruski szampan pojawiał się zazwyczaj w okolicach sylwestra. Latem - pustynia. Piwo na ogół podawali ciepłe, ale i tak się człowiek cieszył, że dostał. Najrzadziej bywaliśmy na Woli. Nic tam nie było. Wylotówka na Poznań i tyle. Zresztą nikt z nas nie jeździł do Poznania. Nie było po co. Żoliborz też nas specjalnie nie kusił. Wylotówka na Gdańsk i tyle. Ochota przez pewien czas owszem. Trochę tam się działo, ale to akurat nie należy do porządku tej opowieści. No i wylotówka na Kraków na południe. Poza lubelską zdecydowanie najwyższe notowania. Południe i wschód. Znów się jakaś metafora tutaj szykuje, ale nie skorzystam. Nie mieliśmy wtedy żadnej płyty The Ramones. Jakieś pojedyncze kawałki. Niewykluczone, że gdybyśmy mieli, losy wszystkich potoczyłyby się zupełnie inaczej. Kto to może wiedzieć? W czym nos Kleopatry jest lepszy od Ramonesów? W niczym. Albo gdyby pisma Maxa Webera były dostępne tak jak dzisiaj. Albo gdyby pokazali wtedy w kinie Palladium „Dym". Wayne Wang musiałby go tylko wcześnie nakręcić. Natomiast jest pewne, że Derrida nie miałby na nas wpływu. Ni chu-chu by nie miał. Tak samo jak nikomu z nas w najczarniejszych wizjach nie przychodziło do głowy, żeby wybrać się na Śląsk. Tylko pozornie wiedliśmy życie bez zasad. Któregoś wieczoru postanowiliśmy z Karolem coś zrobić. Pojechaliśmy w tym celu z Grochowa do Śródmieścia. Zabawiliśmy tu i tam, jak zwykle. Pokręciliśmy się po Centralnym, ale rzeczywistość nie wysyłała jakichś specjalnie zachęcających sygnałów. Ot, noc jak noc. Wtedy miałem dobrą pamięć i nie musiałem nosić żadnych notesów. Pamiętałem wszystkie telefony, a przynajmniej te, które były mi potrzebne. Dzwoniliśmy raz ja, raz Karol. I też nic specjalnego. Wszyscy owszem, ale nie za bardzo. Więc sobie wyszliśmy na Marszałkowską i włożyliśmy ręce do kieszeni. Czas sobie leciał, był czerwiec i za godzinkę miało się zrobić jasno. I wtedy Karol powiedział: „Może wejdziemy na dźwig?". „Przecież już byliśmy" - odpowiedziałem. „Ale na ten" - odrzekł Karol. Budowali akurat Marriott i postawili sobie tam dźwig. Wyglądał przyzwoicie. To znaczy nie całkiem go było widać, bo góra znikała gdzieś w ciemnościach. W każdym razie od Marriotta musiał być wyższy. Tak nakazywała budowlana logika. Powiedziałem, że możemy wejść. Szliśmy i szliśmy. Chyba z godzinę, bo się jasno zrobiło. Po takich szczebelkach. W końcu doszliśmy. Fajnie na górze bujało. Centralny wyglądał jak paczka papierosów. Patrzyłem sobie z góry na moje miasto i wiedziałem, że wyżej już nie zajdę. I wtedy właśnie pomyślałem, że może jednak wyjadę i zostanę w końcu tym pisarzem. Miesiąc później to zrobiłem. Aha, chciałbym dodać, że zanim zaczęliśmy się wspinać, podjęliśmy decyzję o tym, że nie zabieramy flaszki na górę, tylko zostawiamy na dole.

PRÓBA AUTOBIOGRAFII LITERACKIEJ, CZYLI JAK ANDRZEJ STASIUK ZOSTAŁ PISARZEM

W roku 2004 praskie wydawnictwo Prostor rzuciło na rynek kilka interesujących powieści i tomów esejów. Na szczególną uwagę zasługuje książka polskiego pisarza Andrzeja Stasiuka „Jak jsem se stal spisovatelem (Pokus o intelektuální autobiografii)", która opisuje Polskę przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Powieść ukazała się w czeskim przekładzie Václava Buriana, tytuł oryginału „Jak zostałem pisarzem (Próba autobiografii intelektualnej)", Wydawnictwo Czarne 1998.

Nie dajmy się jednak wprowadzić w błąd tytułem książki, który jest jedynie ironiczną aluzją do atmosfery lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, o których Stasiuk, znany w Republice Czeskiej przede wszystkim jako autor przychylnie przyjętych „Opowieści galicyjskich" („Haličské povídky", czeskie wydanie 2001), pisze. W rzeczywistości chodzi o zgrabnie stylizowane świadectwo o stylu życia paczki młodych ludzi, o ich zainteresowaniach muzycznych, miłościach literackich i prawdziwych, a także o alkoholu na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w kraju, który był biedniejszy od ówczesnej Czechosłowacji. O tym, jak Stasiuk (ur. 1960), dezerter, więzień i członek warszawskiego undergroundu, został jednym z najbardziej cenionych polskich prozaików, oczywiście w książce nie przeczytamy. Stasiuk bowiem nie pisze sam o sobie. Konsekwentnie używa kolektywnego i pokoleniowego „my", a jego tekst jest raczej wielką układanką realiów zwyrodniałych czasów, które jednak, jak każda przeżyta przeszłość, stopniowo stają się coraz „piękniejsze", bo życie w nich, na tzw. marginesie i poza oficjalnym życiem społecznym, znaczyło prawdziwość, bezpośredniość każdego spotkania, rozmowy i drogi, bo wartości dane przez wewnętrzną wolność były niezwykle trwałe.

„Autobiografia" Stasiuka, łatwa w odbiorze, wydaje się trochę przedwczesna, przecież ten genre uprawiają pisarze u schyłku swego żywota, kiedy nadchodzi czas bilansu zysków i strat, stąd ten cudzysłów. Warto jednak zwrócić uwagę, jak generacja Stasiuka otwarta była na czeską kulturę. Autor wyznaje nawet, że w chwilach nieoczekiwanych wzlotów jego rówieśnicy chcieli być Czechami. Palić czeskie papierosy, pić czeskie piwo, legendarną becherovkę i rum. Czesi podobno ciągle i przy każdej okazji pili rum. Stasiuka dziwi to tym bardziej, że Polacy mają parę kilometrów wybrzeża morskiego i fregatę Dar Pomorza, ale rum nie przyjął się jako narodowy trunek.

Dodajmy, że książka posiada posłowie czeskiego pisarza Jáchyma Topola

(ur. 1962), który także rozpoczynał od undergroundu i który od dawna przyjaźni się ze Stasiukiem. Posłowie jest opisem podróży Topola i trzech jego przyjaciół do Wołowca, pociągiem na wschodnią Słowację, a potem piechotą do Polski przez wąwóz, nie zabrakło więc wielu interesujących przeżyć „Wełtawian". Dobrze się stało, że edytor włączył do książki Stasiuka „posłowie" Topola, obydwa teksty dobrze się uzupełniają. Na koniec cytat z posłowia Topola, dotyczący niedawnej przeszłości: *Polskie psy biegały do Czech, by się nażreć, my biegaliśmy do Polski szczekać. Węszyć wolność.* Tak, tak to wtedy było, przyjaciele, ale nie tylko dlatego warto książkę, w oryginale czy w czeskim wydaniu, przeczytać.

LIBOR MARTINEK
Tłum. M.R.

WIZERUNK POCCIWEGO ŚLACHCICA POLSKIEGO MIKOŁAJA REJA Z NAGŁOWIC (1505-1569)

W roku bieżącym, a ściślej 4 lutego, minęło 500 lat od narodzin „ojca piśmiennictwa polskiego", jak o Mikołaju Reju piszą, i słusznie, podręczniki szkolne. Rodzina Rejów według legendy wywodziła się ze staroczeskiego rodu Vršovców, którzy po związaniu się z polskimi Piastami zostali wygnani z Czech, a po powrocie w r. 1108 wygubieni doszczętnie. Były też domysły upatrujące w Vršovcach założycieli Warszawy.

A i z tym pana-Rejowym „ojcostwem piśmiennictwa" to trochę *licentia poetica* - czyli pewna dowolność w przedstawianiu rzeczy. Przed Rejem byli już inni, zwłaszcza twórcy mieszczańscy, którzy usiłowali pisać po polsku, ale i w tym wypadku jednak, jak często w życiu, zwyciężyła zasada: nieważne, kto przychodzi pierwszy, ważne, kto przychodzi we właściwym czasie. On przyszedł i dlatego w szkole wtłukuje się żaczkom w głowę jego słynny, pełen godności i dumy narodowej dwuwiersz:

A niechaj narodowie wżdy postronni znają,
Iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają.

Miał nim uzasadnić żądanie używania języka polskiego i własne polskojęzyczne pisma, których zebrało się wiele tomów. Po kilku wiekach Ludwik Hieronim Morstin napisał sztukę zatytułowaną *Polacy nie gęsi* (wystawioną w 1953 r.), utrwalając niesłuszną wykładnię owego dystychu. Rej nie mówi w nim przecież, że Polacy nie są gęsiami, ale że mają swój własny, nie gęsi, język.

Literatura polska nie rozpoczyna się od Reja. Pisarza poprzedzało kilka wieków rozwoju literatury polsko-łacińskiej, choć początki jej są ubogie: *jakieś zapisy w Rocznikach (Annales)* dokonywane przez obcych księży czy zakonników typu: „965. Dobrawka przybywa do Mieszka. 966. Mieszko, książę polski, chrzci się". Potem powstają łacińskie kroniki (Gall Anonim, Wincenty Kadłubek i in.). Łacina w nich piękna, znajomość kultury europejskiej również wysoka, ale treści (zwłaszcza dotyczące legendarnych początków) poeta i historyk Oświecenia Adam Naruszewicz określił jako „plotliwych starców bajanie". Z XIII wieku zachowała się do dziś śpiewana w chwilach uroczystych *Bogurodzica*, wspaniała pieśń bojowa rycerstwa polskiego, której autorstwo przypisywano św. Wojciechowi. W prozie powstają - jeszcze nie utwory literackie, ale wczesne zabytki języka polskiego. Są to żywoty świętych, apokryfy, kazania, no i tłumaczenia z łaciny, jak *Psałterz floriański*, w którym wspomagano niewyrobioną jeszcze polszczyznę przekładem czeskim.

Język czeski, obok łaciny i języka niemieckiego (kolonizacja niemiecka i zniemczenie miast!), zaznaczył swój wpływ na język polski już w dobie przyjęcia chrztu, ale także w dobie panowania Wacława w Polsce. Tak swojskie na pozór słowa, jak np. „wesele" czy „obywatel" to pamiątki tamtych czasów. Zjawisko językowego wpływu czeskiego związane było również z peregrynacjami polskich żaków na uniwersytet w Pradze, który powstał wcześniej niż Akademia Krakowska.

Polszczyzna jednak zaczyna się przebijać i do poezji, zwłaszcza religijnej. Ale pojawiają się i utwory świeckie, jak ów wiersz niejakiego Słoty o zachowaniu się przy stole:

A mnogi idzie za stół,
Siądzie za nim jako wół,
Jakoby w ziemię wetknął kół.
• • •
A je z mnogą twarzą cudną (= płcią piękną)
A mieć będzie rękę brudną.

Jak widać kultura z literaturą szła już wówczas pod rękę...

Prawdziwa emancypacja języka polskiego zaczęła się w wieku XV i na początku wieku XVI. Liczne jej przejawy odnotowali skrybowie. A to w r. 1402 żacy krakowscy ślą petycję o dostarczenie im nauczyciela „dobrego Polaka, któryby umiał w języku ojczystym naszym księgi wykładać", a to Jan Ostroróg około 1475 r. domaga się kazań w języku polskim, argumentując: „Niech się nauczy mówić po polsku, kto chce w Polsce mieszkać". Polszczyzna zdobywa sobie pozycję w sądownictwie, oratorstwie, epistolografii. W sławnym (a dlaczego - o tym za chwilę) 1543 roku zapisano po polsku pierwszą konstytucję sejmową. Wkrótce zaczynają ukazywać się prace słownikarskie (leksykografia). Jakub Parkoszowic († 1452) trudzi się, by uładzić ortografię (jak tu oddać łacińskim alfabetem głoski-dźwięki, których łacina nie miała, jak zapisać

choćby to słowo „dźwięk"? - oto problemy naszych przodków). I znów wzorem stawali się Czesi, Jan Hus trzydzieści lat wcześniej, pisząc traktat o języku czeskim, rozwiązywał ten sam dylemat.

W ciągu wieku XV rosła potęga państwa polskiego. Polska staje się wówczas państwem parlamentarnym. Odnowiona przez świętą królową Jadwigę Akademia Krakowska ma sławnych profesorów. Proza polsko-łacińska jest świetna, wypolerowana. I poezja łacińska osiąga ówczesne szczyty w osobie Klemensa Janickiego, który w Padwie otrzymał wieniec sławy: pierwszy nasz *poeta laureatus.*

Twórczość Mikołaja Reja związana jest z życiem szlachty polskiej, która domaga się reform państwowych. Rozpoczyna się doba Odrodzenia, Humanizmu, Reformacji. Prądy te przynoszą kolejno: przybliżenie starożytności z jej filozofią, literaturą (wszak kultura grecka i prawo rzymskie wraz z chrześcijaństwem stoją u kolebki kultury europejskiej). Humanizm każe zwrócić uwagę na człowieka. Reformacja nie tylko chce ograniczyć duchowieństwo w jego pozycjach ekonomicznych, ale również odważa się interpretować na nowo Biblię. By zyskać zwolenników, trzeba do walki idei zaprząc języki narodowe.

To wówczas pojawiają się obrony - apologie języków narodowych. Istotą powstawania apologii jest dążenie do zrównania w prawach dialektów narodowych, oznaczanych jako wulgarne czy barbarzyńskie, z panującym ponad nimi językiem kultury wyższej, którym w wiekach średnich była łacina. Walka podwójnej normy językowej o pierwszeństwo obejmowała stopniowo w dobie Renesansu i Humanizmu główne ośrodki kulturalne Europy, gdzie obrony języka powstawały.

Prądy te nie odrzucały całkowicie łaciny, a nawet przeciwnie, obdarzały ją nowym prestiżem języka pośredniczącego przy uczestnictwie w antycznym dorobku kulturalnym i literackim, jednocześnie wszakże wskazywały na znaczenie języka narodowego jako wyrazu świadomości narodowej. Zaczęło się to we Włoszech, ale wkrótce objęło i inne rejony kontynentu, w tym Czechy i Polskę.

Takie było tło debiutu Mikołaja Reja, który w r. 1543 ogłosił swój dialog *Krótką rozprawę między panem, wójtem i plebanem.*

Był to ważny dla kultury polskiej rok. Zaczęto zbierać owoce wysiłku zbiorowego. To w tym roku ukazuje się - stanowiące próg nowoczesności - dzieło Mikołaja Kopernika *De revolutionibus orbium coelestium - O obrotach sfer niebieskich,* w którym astronom „wstrzymał słońce, wzruszył ziemię, polskie wydało go plemię". To wówczas zaczyna publikować jeden z największych i najszlachetniejszych myślicieli polskich i europejskich Andrzej Frycz Modrzewski.

Oczywiście dialog Reja nie posiada tegoż formatu, co dzieła naukowe czy filozoficzne wspomnianych gigantów myśli. Jest to wierszowany, zdialogizowany traktat polityczny, w którym autor poddał ostrej krytyce niedowład polskiego sądownictwa, złą organizację wojskową, nieudolność władzy wykonawczej, gospodarkę finansową państwa, słowem - wszystko, co wymagało reformy. Ale zasługa literacka spoczywa nie tylko w treści, lecz i w języku, licznych kolokwializmach, w obrazkach życia codziennego, do których Rej miał szczególnie szczęśliwą rękę.

Jakby chcąc wynagrodzić sobie dość późny debiut, pisze szybko jeden za drugim utwory: *Żywot Józefa* (1545) - spokrewniony gatunkowo z misterium, *Kupca* (1549) - moralitet, kilka dialogów (forma dramatyczna wyraźnie go pociągała), z których jeden - *Warwas z Lupusem* zachował się tylko w przekładzie czeskim.

Przerzuciwszy się na kalwinizm wraz ze szlachtą małopolską i prowincjami litewskimi, skomentował *Pismo święte* w *Postilli,* 1557 (nazwa od: *post illa verba* czyli „po tych słowach"), z której poznać możemy ówczesną obyczajowość, język potoczny współczesnych mu Polaków, inkrustowany przysłowiami. Rok 1562 przyniósł tom ośmiowierszowych epigramów zatytułowany *Zwierzyniec.* Zamieścił w nim portrety ówczesnej elity polskiej. W roku 1574 opublikował *Figliki,* krążące wówczas anegdoty, czasem dość, a czasem nawet bardzo jowialne i rubaszne. Wśród nich i anegdotę o *Czechu, co się Tatarów nie bał.* Ten typ anegdot o poszczególnych nacjach bardzo był modny w ówczesnej Europie. Tworzono nawet całe „katalogi nacji", w rodzaju:

Polski most, mnich morawski,
Rycerz z południa, bawarska mniszka,
Czeska wiara, włoska pobożność,
Pruskie hołdy, rady Rusinów
Niemców posty - wszystko nic nie warte.

(tłum. z łaciny)

Satyryczne charakterystyki nacji chętnie przenosili z miasta do miasta, z kraju do kraju wędrowni studenci - ówczesne mass-media. Do takich charakterystyk należy i figlik Reja:

Czech jeden na Podole jechał kozakować,
I począł się z swym męstwem dziwnie wysławować
Dziwując się: - „Iż się tych boicie szypików,
Abo w tych to kołpaczkoch małych pacholików".
Potym kilka w kołpacech w chróście zasadzili,
A Czecha na przejażdżkę z sobą namówili.
Krzykną oni: „Haj, haj, haj!" - łuki tu trzaskając,
Czech przez staw co najprościej, brodu nie patrząc.

Rok 1558 przyniósł *Wizerunk własny żywota człowieka pocciwego* (co znaczy „portret prawdziwy..."). Pod sam koniec życia pisarza ukazało się *Zwierciadło* (1567-68). „Wizerunek" - „zwierciadło" - „żywot" - „kształt" - to określenia portretu, gatunku literackiego, należącego do tzw. *literatury parenetycznej,* ulubionej w Renesansie. *Speculum vitae* - „zwierciadło życia" zawierało postulatywny obraz człowieka, koncepcję życia, sposób wychowania. Do najsławniejszych europejskich parenez (z greckiego *parainesis* - „pouczenie") należał *Il Principe* Nicolè Machiavelliego oraz *Il Cortegiano,* Baldassare Castiglionego; ten ostatni świetnie literacko spolszczony jako *Dworzanin polski* przez Łukasza Górnickiego.

Zwierciadło Reja nie dotyczyło arystokracji czy dworu, lecz ziemiaństwa pol-

skiego. Było pochwałą i wytyczną jego życia. Składało się z kilku części, z których najważniejszą był *Żywot człowieka poćciwego.* Ale i dalsze części mają swoją wymowę: *Spólne narzekanie wszej Korony na porządną niedbałość naszą; Apoftegmata, tj. krótkie a roztropne powieści; Przemowa krótka do poćciwego Polaka stanu rycerskiego.* Całość zaś kończy *Pożegnanie ze światem.* W *Zwierciadle* autor zamknął uroki i grzechy życia ludzkiego, obrazują je przykłady sfabularyzowane, język pełen jest wyliczeń i zdrobnień, że od razu pozna się styl Reja, a wszystko zamknięte w cyklu biologicznym od urodzin do śmierci. W części *Przemowa krótka...* znów znalazła się charakterystyka Czechów, ale pod koniec wierszyka w innej już tonacji. Oto ona:

Czech, ten chodzi jako paw: tam więcej postawy
Kak a kterak, to przysmak tam do każdej sprawy.
Więcej tam częścią blasku niżli brantu bywa,
[brantu - szczerego złota]
Wszakże piękną postawą każdy to pokrywa.
Dzierżą, gdyby potrzeba, iżby mężni byli,
Bo tego hardym trzeba, aby się zdobili.
To też osobną sztukę iście w sobie mają,
Iż słowo radzi dzierżą, gdy co przyrzekają.
Pierwej, gdy co zacnego i w Polsce zmawiano,
Tedy to czeskim słowem zdzierżać obiecano.

Piękna to charakterystyka mówiąca, iż „czeskie słowo" znaczyło w dawnej Polsce tyle, co „słowo honoru", słowo, na którym można polegać. Ponoć istniało nawet porzekadło: „A za ja Czech słowo dzierżeć"?, ale tego już u Reja nie wyczytamy.

Wiele rzeczywiście literatura polska zawdzięczała twórczości Reja. Była to w zasadzie twórczość publicystyczna, choć ówczesna publicystyka przybierała formy traktatu, przemówienia, kazania, dialogu czy moralitetu. Zaglądając do niej, odkrywamy mnóstwo scenek z ówczesnej codzienności, język żywy, jakim mówiono, pełen przysłów i kolokwializmów. Dowcip - może nie przedni, ale i nie złośliwy, raczej humor niż satyrę.

A po Reju?

Po Reju przyszedł ten, którego nazwano „kochaniem wieku swego", „księciem poetów polskich", „największym ówczesnym poetą słowiańskim" - Jan Kochanowski, „znakomity o d r a z u, nie: znakomity w rezultacie skomplikowanej gry wpływów, kulturalnych znaczeń, ale samoistnie, dobitnie, raz na zawsze i nieodwołalnie. Poeta piszący w kamieniu rzymskim, duktem pisma bardzo jasnym i bardzo spokojnym, a są w nim wszystkie odgłosy tej ziemi". To słowa innego poety, dzisiejszego, Zbigniewa Herberta. Ale czy bez tamtego, pana-Rejowego wysiłku mógłby Kochanowski być tak znakomity „od razu", mógłby w języku polskim stworzyć tyle piękna? Każdy profesjonalista historycznoliteracki powie, że jednak nie.

KRYSTYNA KARDYNI-PELIKÁNOVÁ

KULISY IKARA

ODPOWIEDŹ NA ŻAŁOSNY TREN ŻAŁOBNY LIBORA MARTINKA

Polsko-czeski konkurs poetycki O Nagrodę Skrzydła Ikara dokonał żywota po piątej edycji, której finał połączony z wręczeniem nagród odbył się 10 grudnia 2004 w Domu Polskim im. Żwirki i Wigury w Cierlicku Kościelcu. W sali obrad kościeleckiego przybytku przebiegła także dyskusja nad dorobkiem artystycznym konkursu i jego rangą w życiu literackim Polski, Czech i Zaolzia. Dla zabierających głos pisarzy i krytyków z Polski wysoka pozycja artystyczna i instytucjonalna przedsięwzięcia nie podlegała dyskusji, szczerze ubolewał nad zamknięciem konkursu Jan Przywara, jedyny zaolziański uczestnik debaty. Za stronę czeską tematu nie podjął nikt - być może dlatego, że spośród wieloosobowej zaproszonej reprezentacji przybył tylko Libor Martinek. Nie znaczy to jednak, iżby strona czeska nie posiadała własnej opinii w powyższych kwestiach. Posiada. Jej wyrazem mają być, jak się zdaje, „Przemyślenia nad wynikami konkursu poetyckiego O Skrzydło Ikara", ogłoszone przez tegoż L. Martinka w lutowym numerze Zwrotu.

Z tekstu członka zarządu oddziału Gminy Pisarzy w Ostrawie i stałego współpracownika Zwrotu ma wynikać, że konkurs był przedsięwzięciem nadzwyczaj cennym, wartym najwyższej troski, ofiary i poświęcenia, ale za sprawą Koła Cieszyńsko-Zaolziańskiego Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, szczególnie zaś jego przewodniczącego Kazimierza Kaszpera, finalna edycja legła w gruzach. Po pierwsze dlatego, że nie wykorzystaliśmy dotacji Urzędu Wojewódzkiego w wysokości 15 tys. koron, po drugie, że z tego powodu nie zapewniliśmy nagród finansowych „lub rzeczowych" dla czeskich finalistów, po trzecie, że ja osobiście zlekceważyłem sprawę i prezesa ostrawskiego oddziału Gminy Pisarzy doc. Jiřígo Urbanca, nie odpowiadając na jego „powtórny apel" o ustosunkowanie się do złożonej przez UW w Ostrawie propozycji zamiany dotacji finansowej na rzeczową.

Oświadczam zatem, iż:

1. Przyznanie dotacji Urzędu Wojewódzkiego w Ostrawie faktycznie zaproponował i uzgodnił konsul generalny RC w Katowicach Josef Byrtus. Miała ona być przeznaczona na wydanie antologii nagrodzonych i wyróż-

nionych we wszystkich edycjach konkursu tekstów. Jej odbiorcą nie mogło jednak zostać działające na terenie dwóch krajów Koło C-Z GTL, lecz jednostka zarejestrowana i ulokowana w RC. W tej sytuacji konsul J. Byrtus zasugerował, byśmy skorzystali z pośrednictwa oddziału Gminy Pisarzy w Ostrawie. Natychmiast po rozmowie z nim, dnia 26.10.2004, wysłałem oficjalny list do prezesa doc. J. Urbanca z prośbą o podjęcie się tej misji. Po pięciu tygodniach, na kilka dni przed imprezą finalną, zostałem zaalarmowany telefonicznie przez Tadeusza Kijonkę, prezesa GTL w Katowicach, że „z powodów technicznych" (okołowyborcze przetasowania personalne w ostrawskim UW) otrzymanie dotacji jest już prawie nierealne. Niezwłocznie połączyłem się z Urzędem Wojewódzkim. Z rozmowy z panią zastępującą aktualnie kierownika sekretariatu hetmana województwa morawsko-śląskiego Petra Vaňka dowiedziałem się, że list z Gminy Pisarzy w sprawie przekazania dotacji na jej konto (a właściwie na konto Zarządu Głównego GP, jako jedynej uprawnionej do uczestniczenia w podobnych operacjach jednostki) wpłynął do Urzędu... 25.11.2004 i praktycznie nie miał już szans na pozytywne rozpatrzenie. Zasugerowaliśmy panu docentowi Urbancowi możliwość skorzystania z dotacji rzeczowej, ale to go chyba nie interesowało - powiedziała ta dobrze zorientowana w przedmiocie pani (nazwiska nie zanotowałem, niestety).

2. Nagrody finansowe i rzeczowe dla czeskich laureatów konkursu ani przez chwilę nie były uzależnione od dotacji ostrawskiego Urzędu. Jak zawsze, tak i tym razem zostały one zapewnione przez sponsorów polskich i w pełnej wysokości, tudzież asortymencie wręczone laureatom. Finansowe w wysokości 800 (I nagroda), 700 (II) i 300 zł (wyróżnienie) obecni na imprezie finalnej poeci odebrali natychmiast, nieobecni później. Rzeczową, ufundowaną przez konsula generalnego RP w Ostrawie, miał podjąć schorowany Bogdan Trojak dopiero po wyzdrowieniu w Konsulacie (z zamiarem jej wręczenia przybył na Kościelec konsul Piotr Czosnyka).

3. Nigdy, w żadnej formie nie zostałem przez prezesa J. Urbanca poinformowany o tym, że zamiast dotacji finansowej ostrawski UW proponuje rzeczową. Określenie „powtórny apel prezesa" staram się w dobrej wierze zinterpretować jako dwukrotną próbę nawiązania przez pana Urbanca kontaktu ze mną za pośrednictwem poczty elektronicznej. Tak się jednak pechowo złożyło, że akurat na przełomie listopada i grudnia byłem przez trzy tygodnie pozbawiony komputera. Telefon niemniej działał.

Po tym oświadczeniu powinienem uznać odpowiedź za wyczerpującą,

w tekście Martinka utknęło jednak kilka zatrutych strzał, które domagają się usunięcia.

Trucizna nr 1: obłuda

Znając szczególny liberalizm autora w zakresie etyki dziennikarskiej, mam prawo zakładać, iż „zwrotowski" elaborat pojawi się niebawem w oryginale w pismach czeskich, przede wszystkim w Zpravodaju, biuletynie ostrawskiego ośrodka GP, a także w Dokořán, centralnym biuletynie GP. Właśnie ta okoliczność budzi już nie tyle niepokój, ale niesmak i wstręt. Zakładając bowiem na czas pisania żałosnych „Przemyśleń..." maskę głębokiego zatroskania i zaniepokojenia nad losami wartościowej inicjatywy, której efektem mogło być zbliżenie czeskich i polskich środowisk literackich, Martinek przekazuje czeskiemu czytelnikowi jasny komunikat: My, strona czeska, zrobiliśmy wszystko, co w naszych siłach, by ten projekt uratować, niestety, z powodu jednego nieodpowiedzialnego Polaka z Zaolzia został on pogrzebany. Jedynymi wszak bohaterami pozytywnymi kościeleckiej imprezy są wedle autora: konsul generalny RC w Katowicach, prezes ostrawskiego oddziału Gminy Pisarzy, pracownicy ostrawskiego Urzędu Wojewódzkiego i - jakże inaczej - sam tonący w łzach rozpaczy autor, który, wstrzymując dzielnie chlipanie, chlapie wreszcie po męsku: „Chodziło o zakończenie dostojne, lecz z punktu widzenia strony czeskiej mało reprezentatywne. I tego najbardziej żal".

Pomijam fakt, iż według zgodnej oceny stałych uczestników ikaryjskich imprez - idzie o około 30 osób, głównie z Katowic, Bielska-Białej i Cieszyna - ta ostatnia była najciekawsza i najsprawniej zorganizowana, przypomnę tylko, że strona czeska nigdy, nawet w najlepszych czasach prezesury dr. Oldřicha Šuleřa, nie wzniosła się na poziom równorzędnego partnerstwa wobec GTL. Decyzja o ogłoszeniu konkursu „O Nagrodę Skrzydła Ikara" zapadła w Katowicach wiosną 1996 r., pieniądze na nagrody i jurorów, na projekt i odlew statuetek, projekt i druk dyplomów, transport uczestników z Katowic do Cierlicka - łącznie ponad 13 tys. zł na samą pierwszą edycję - zdobył prezes T. Kijonka w ówczesnym Ministerstwie Kultury i Sztuki i w Fundacji Kultury Polskiej. Strona czeska nie partycypowała w tym przedsięwzięciu ani w zakresie organizacyjnym, ani promocyjnym, chociaż przedstawiciele ostrawskiej Gminy Pisarzy brali udział zarówno w sesji popularnonaukowej w Domu Polskim w Ostrawie, jak w uroczystości wręczenia nagród w Cierlicku Kościelcu. Do ściślejszej współpracy doszło podczas drugiej edycji w 1997 r. Niestety, ostrawskiemu ośrodkowi GP udało się pozyskać z praskiej centrali tylko 9 tys. koron, co ledwie pokryło koszty wynajmu sali, kanapek, kawy i napojów w Domu Polskim w Ostrawie (konsumowane tam parówki,

kiełbasy i wędliny otrzymaliśmy w prezencie od Tomasza Wilczka, właściciela sieci sklepów mięsnych w Cieszynie). W porównaniu z obciążeniem finansowym strony polskiej (na same nagrody i wyróżnienia GTL przeznaczało w każdej edycji od 2400 do 3800 zł - decydowała wysokość ministerialnej dotacji), była to kropla w morzu.

Pomimo tak przepastnej różnicy, która od trzeciej edycji miała się jeszcze bardziej pogłębić (GP nie znalazła ani wtedy, ani później nawet przysłowiowej korony; podczas ostatniej uroczystości Martinek nie złożył na Żwirkowisku kwiatów w imieniu GP z powodu... braku pieniędzy), GTL konsekwentnie dotrzymywało przyjętych uzgodnień i regularnie podawało w komunikatach, iż jednym ze współorganizatorów konkursu jest ostrawski ośrodek Gminy Pisarzy. Jednak z upływem czasu i narastającą potrzebą pozyskiwania coraz to nowych sponsorów (m.in. Walmark, Finclub, J. & J. Bojko), potencjał naszej dobrej woli zaczął stopniowo maleć, aż znalazł się w ubiegłym roku na granicy całkowitego wyczerpania. Właśnie ta okoliczność skłoniła konsula Byrtusa - do którego znalazł drogę prezes Kijonka - do fantastycznych, nadzwyczaj sprawnych i skutecznych zabiegów o sponsorów. Zaktywizował on nie tylko decydentów z ostrawskiego Urzędu Wojewódzkiego, ale także z Czesko-Polskiej Izby Handlowej w Ostrawie, której pośrednictwu zawdzięczamy finanse na pokrycie kosztów imprezy w Cierlicku.

Trucizna nr 2: mściwość

Łatwo uchwytna celowość, z jaką Martinek rozkłada w swoich, hm, „Przemyśleniach..." akcenty „dobra" i „zła", pozwala się zorientować w jego rzeczywistych intencjach. Idzie mu o zdyskredytowanie mojej osoby. Nie od dziś wiem, jak wielką przyjemność sprawia niektórym ludziom zniesławianie mnie, zdążyłem nawet przywyknąć. Podejrzewam, że gdyby zabrakło szerszego kontekstu, potrafiłbym przejść do porządku dziennego i nad tym przypadkiem. Niestety, tym razem w szambie kłamstw, fałszerstw, pomówień i insynuacji zostało wraz ze mną pogrążone Górnośląskie Towarzystwo Literackie, jego Koło Cieszyńsko-Zaolziańskie i cała idea konkursu „O Skrzydło Ikara".

Znam dorobek publicystyczny autora i nie od dziś wiem, jak przepastne złoża mściwości i interesowności leżą u podstaw jego znacznego odłamu. Uciekanie się do tak niskich pobudek, permanentne próby wynoszenia ich na piedestał „badawczej" metodologii napawa mnie obrzydzeniem. Dlatego nie będę dalej wyjmował poszczególnych zatrutych grotów, które miały mnie ugodzić. Niech ich jad trawi przemyśliwającego przemyślenia.

KAZIMIERZ KASZPER

DZIENNIK CZASU WOJNY
(fragmenty)

Środa 15.1.1941

Zmarł na tuberkulozę płuc 19-letni Żywczok. Nadwerężył sobie zdrowie w czasie "wycieczki" wrześniowej, tamtej zimy zaziębiał się często, pomagając ojcu w zdobywaniu towaru dla mizerowskiej filii obecnie do Łazów przyłączonej Chrześcijańskiej Spółki Spożywczej, cały rok kaszlał ciężko, aż nagle... Pogrzeb bez słowa głośnego w języku polskim. Byli prosić u Glasera, żeby spowodował zwolnienie ojca z "Schutzhaftu" na pogrzeb przynajmniej, ale ma się rozumieć: "Ausgeschlossen".

Lecz po dwóch nekrologach i trzech w ogóle dziś niezapisywanych wypadkach zasmucających nareszcie promień słońca, wieść radosna. Wujek z Gusen szczęśliwie w domu! Z nim wracało w stronę Polski (tej rzekomo nieistniejącej) trzydziestu czterech. Chwała i dzięki Bogu! Prawie byli po wieczerzy, podczas której herbatę pijali, wspominali zwyczaje, gdy nagle dzwonek i w ciemności otwartych drzwi jakaś pochylona, lękliwa postać... Czyżby rytm dzwonka, umowny, mylił... "Tata!" Okrzyki radości i powitania łzy na twarzach z głębi serca wzruszonych. Uścisnął tylko ręce i prosto do łazienki... „Wody, mydła! Bieliznę! Ostrożnie z odzieżą zdjętą, bo pełna wszy! Już za bramą obozu złapanych jeszcze sto kilkadziesiąt..." W nowym, cichym domku, obok starego, sławnego na całą Karwinę "wędroka", jakby rewolucja. Wszystko biega, nawet mury zdają się drżeć w uniesieniu radosnym; wszak to gospodarz ich wzorowy i ukochany ojciec rodziny wrócił. Tak! Po dziewięciu miesiącach dręczącej niepewności, gorączkowych zabiegów i wyczekiwania tu, a nieopisanych cierpień, udręk cielesnych i duchowych tam!... Pozbywszy się w łazience "kulturträgerskiego" drobiazgu, obmywszy ciało z wszelkiego brudu rzetelnie mydłem i strumieniami wody, dopiero pozwala się uściskać. Jakże wygląda straszliwie zbiedzony! Wychudzony na żywy szkielet, połamany okrutnie przez reumatyzm, na łydce opuchłej nogi opatrują mu ropiejącą ranę, jak dłoń wielką, o głowę niższy, cień-widmo tylko człowieka przed porwaniem do lagru okazałego fizycznie. I narzuca się pytanie: Co musiał wycierpieć, jakąż walkę straszliwą stoczyć z przeznaczeniem, na śmierć powolną skazany, katorżnik, głodem morzony, w łachmanach z pokrzyw, goniony za dnia, garść zmiętej, zawszonej słomy w nocy, pod szopą, za mrozów

do 20 stopni! W jakiż sposób cudowny zdołał w ogóle powrócić, przebyć dwie godziny drogi do dworca kolejowego i z przesiadaniem tysiąc kilometrów w nieopalanych, utykających byle gdzie wagonach!? „Cudem jeno" - powiada, wskazując na obraz Częstochowskiej - „udało mi się wymknąć oględzinom lekarskim... ostatnie tygodnie już mało co jadłem, martwiłem się, czy aby wasze starania nie będą próżne... coraz bliżej widziałem się «brótwany», gdzie odwieziono już tylu spośród nas i ciągle ktoś..." Jak doszedł do dworca, sam sobie nie umie zdać sprawy. Siła jakaś, co przez cały czas poniewierki ciągle na nowo podnosiła go, przy robocie, z choroby i poniżenia, co go wyrywała z ramion rozpaczy, nieustannie szepcąc: „musisz przetrzymać to najgorsze, musisz powrócić", na wieść, że go zwalniają, rozpętała się w duszy huraganem, do członków wlała nowe życie i teraz, bez względu na doskwierającą z bólu nogę, rozkazywała ciągle iść naprzód, same myśli biorąc na skrzydła ptaków. To widział się już w domu, to znów w pamięci układał sprawy i słowa, które wśród łez i uścisków mu poruczali dla swych rodzin najserdeczniejsi w nieszczęściu druhowie. Tak żałośnie płakali, tak ciężko przychodziło się z nimi rozłączać, dawać jak gdyby ostatnie „z Bogiem". W Wiedniu zasłyszeli na własne uszy „...steig herunter, der Gefreiter kann nicht weiter". Zorientowało ich to i ucieszyło niemało, lecz właśnie dla wzmagającego się fermentu i obostrzonej godziny policyjnej musieli, w oczekiwaniu pociągu, noc spędzić pod gołym niebem. Na tę chwilę przynajmniej czuł się usprawiedliwiony za fakt, że nie zostawił swetra swego w obozie... Leżąc w ciepłej, czystej pościeli, z twarzą koloru ziemi, kościstą, pooraną zmarszczkami, na tle białej poduszki, popija herbatę z miodem. Drżący z ogromu przejść, szczęśliwy oglądaniem umiłowanych twarzy ze łzami w oczach odpowiada na ostrożnie zadawane pytania i sam zagaduje. Paczki świątecznej z Kozigródka nie otrzymał. Przepada czekolada, smalec, moje narciarskie skarpetki, ale to mniejsza, nic wobec repatriacji adresata.

Piękne i poniekąd wymagające sprostowania: Ojca z Dachau na pogrzeb nie puścili, lecz za to narodu zebrało się nadzwyczaj dużo, wbrew 10 stopniom mrozu i zaspom śnieżnym. Szczególnie licznie wystąpiła młodzież. W domu i kościele łacina, ale nad grobem ks. Motyka, wziąwszy się na odwagę, przemówił krótko po polsku, a "Ojcze nasz" aż huczało, gdy przedtem "Vater unser" jeno ksiądz i stary Franz solo naprzemian.

Niedziela 16.2.1941

Powietrze pachnie przedwiośniem. Już jeno wąskie pasy śniegu zalegają pod płotami lub gdzieniegdzie w głębszej bruździe. Za to woda przenika do piwnic, pomimo że nie pada i pomimo że ludzie nie przestali jeszcze złorzeczyć zeszłorocznym powodziom. Domowi wczoraj wieczór na gwałt unosili z podłogi piwnicznej ziemniaki, rzepę, kwaki... Te ostatnie, zjadane do niedawna przez bydło

jeno lub w lecie też przez łakome dzieci, uzyskały od wybuchu wojny wolny dostęp do żołądków ludzkich. Zresztą, o ile dobrze przyrządzone jako sałata lub z zaprażką, smakują znakomicie. Dla wielu to zdrowsze niż kapusta kiszona.

Wujek z Gusen pozbywa się świerzbu, rana na nodze też szczęśliwie się goi, lecz w całej nodze ból dotkliwy. Apetyt bez zarzutu, nerwy spokojniejsze, dusza otrząsa się powoli z ciężaru przeżywanej wespół z innymi grozy. Kto wróci, nie zapomni nigdy. Więziennictwo polityczne Trzeciej Rzeszy pozostanie najstraszniejszym wspomnieniem całej ludzkości.

Powrócił w czwartek z Gusen Janas, kierownik olzowej filii „Zaliczki". W ogóle Olzów (Kozigródek) najszczęśliwszy chyba między osadami śląskimi: Wróciło z „letnisk" już coś dwunastu, nie zmarł dotychczas, Bogu dzięki, nikt. Chociaż resztkami sił pono trzyma się dyrektor wydziałówki Marosz. Jego willę, najładniejszą na Mizerowie, raz po raz oglądają różni kopyciarze. Więc pomimo Glaserów szczęśliwy Olzów, oby tak dalej. Za to tym biedniejsze takie Zebrzydowice i Marklowice, gdzie zgodnie z zapewnieniem arcyłotra Thomanna nie powrócił jeszcze nikt. Śpiewacy z 11 listopada 1939 przetransportowani pono do Rawicza.

Zapomniałem też napisać, w środę 5 lutego przyszedł podziękować strzelec - jeniec wojenny, obecnie robotnik w Hamburgu, 19-letni Pala. Za paczki w imieniu swoim, za pieniądze w imieniu brata, też strzelca, który przez Skrochowice, Rawicz, Oranienburg, Dachau dobrnął do obecnej swej stacji w Oświęcimiu. Cztery piece tam pono w ruchu nieustannie. Ziemia gromadzi prochy...

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

VENDRYNĚ WĘDRYNIA 1305-2005
UWAGI METODYCZNO-MERYTORYCZNE

W związku z przypadającą na rok bieżący 700. rocznicą pierwszej historycznej wzmianki o powstaniu szeregu miejscowości cieszyńskich pojawiają się publikacje poświęcone ich dziejom. Pod koniec ur. roku była to historia Wędryni pt. „Vendryně. Wędrynia. 1305-2005" w wersji czeskiej i polskiej, wydana przez gminę Wędrynia przy współpracy z Wydawnictwem Beskydy - Bronisław Ondraszek. Kolektyw 8 autorów i tyluż redaktorów pokusił się na 174 stronach przedstawić czytelnikowi przeszłość i teraźniejszość gminy Wędrynia. Krótką informację o publikacji podał m.in. Głos Ludu (nr 150, 30 XII 2004, s. 11).

Pięknie wydana książka robi na pierwszy rzut oka mocne wrażenie. Takie chwalebne historyczne przedsięwzięcie, wymagające znacznego nakładu sił i pieniędzy, zobowiązuje wydawcę do tego, by końcowy wynik prezentował odpowiedni poziom nie tylko pod względem formy, ale również i treści. Praca powinna rzetelnie przedstawiać pełny obraz przeszłości gminy, ale również godnie uczcić tych, którzy najbardziej zasłużyli się dla jej rozwoju. Książka prezentuje się bardzo ładnie, lecz pod względem treści jej koncepcja i realizacja budzi zastrzeżenia.

Całość składa się z 14 rozdziałów. Ze wstępu wypływa, że zadaniem pracy było przedstawić całokształt zagadnień związanych z przeszłością i teraźniejszością gminy Wędrynia. W pierwszej części - „Historia gminy" - zastosowano układ chronologiczny, dalej tematyczny. Całość robi wrażenie dużego pośpiechu, braku koordynacji poszczególnych części, pójścia na łatwiznę, braku historyka z prawdziwego zdarzenia. W części historycznej charakter kompilacyjny i niedostateczne rozeznanie problematyki przez niektórych autorów spowodowały luki w obrazie przeszłości oraz nierównomierne potraktowanie pod względem objętości poszczególnych dziedzin, albo zbyt szczegółowo i mało funkcyjnie, albo też pominięcie lub znaczne zubożenie. Do tych drugich należą np. życie polityczne, wyznaniowe, procesy demograficzne, rozbudowa gminy, administracja, samorządy i urzędy gminne, życie gospodarcze, czeskie przedszkole, zasłużeni obywatele gminy, Kółko Rolnicze, sklepy CSŁ, Spółkowa Kasa Oszczędności i Pożyczek (Raiffeisenka), Macierz Szkolna, Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, Beskid Śląski, myślistwo, KS Wicher, walka z okupantem hitlerowskim i ofiary (31 osób, wszyscy Polacy, 24 zginęło w obozach koncentracyjnych i więzieniach hitlerowskich). Nie podano faktycznego udziału autorów w temacie i redaktora naczelnego. Brak oceny bazy źródłowej i literatury, przypisów. W niektórych rozdziałach zacierają się różnice narodowościowe, w ten sposób Wędrynia zatraca swój pierwotnie charakter wioski polskiej.

Ocenę pracy pod względem językowym i przekazu materiałów fotograficznych pozostawiam fachowcom. Tłumaczenie polskie z czeskiego oryginału wykazuje miejscami brak większego wyczucia i znajomości przedmiotu. Nie udało się autorom jednoznacznie rozwiązać problemu pisowni imion, nazwisk i nazw w wersji czeskiej i polskiej. Zdjęcia nie zawsze umieszczono na właściwych miejscach w tekście, w dodatku bez niezbędnych podpisów.

Kilka konkretnych uwag do poszczególnych części książki. Rozdział „Historia gminy" niesie wyraźne ślady korzystania głównie z pracy Franciszka Popiołka z 1938 roku. Zbyt dużo miejsca poświęcono sprawom majątkowym i właścicielom gruntów do końca XIX w., mniej zasadniczym przemianom społeczno-politycznym w pierwszej połowie XX wieku.

Zajmujące przeszło 1/3 objętości książki rozdziały „Przyroda gminy Wędrynia", „Etymologia nazwy Wędrynia" oraz „Wędryńskie wędrówki nazewnicze", opracowane z dużą znajomością rzeczy, fachowo, lecz dla celów omawianej publikacji jawią się ponad miarę szczegółowo. Niepełny, w dodatku mocno okaleczony obraz wędryńskiego życia wyznaniowego przedstawił nam autor rozdziału „Kościół św. Katarzyny". Dobry opis w jego początkach zawęża się do zaledwie kilku zdań po 1945 roku. Całkowicie zapomniano tu o istnieniu wędryńskich ewangelikach, którzy od czasów reformacji stanowili tu większość i rodzących się ostatnio nowych wyznaniach. W historii polskiego szkolnictwa znajdujemy liczne nieścisłości, w czeskim szkolnictwie zapomniano o przedszkolu. Skąpo potraktowano rzemiosła, w części o stowarzyszeniach pominięto niektóre znaczące organizacje, o czym była już mowa.

Próba opracowania w jednym ujęciu polskiego i czeskiego ruchu sportowego i straży pożarnej nie zdała egzaminu. Nie uwzględniono samodzielnie istniejących organizacji polskich i czeskich, co w sumie dało nieprzejrzysty, zagmatwany obraz tych przejawów działalności społecznej. W sporcie nie wspomniano o pięknie rozwijającej się sekcji tenisa stołowego w połowie lat 30. ub. wieku, o powojennym klubie Wicher. Po macoszemu potraktowano polską Ochotniczą Straż Pożarną, jedną z pierwszych w tym regionie, o powojennej bez względu na narodowość podano tylko kilka informacji do 1972 roku.

Przytoczona na końcu książki bibliografia budzi także pewne zastrzeżenia. Obejmuje głównie literaturę. Wśród niej znajdują się prace niewiele mające wspólnego z Wędrynią, brak natomiast pozycji, które powinny się tu znaleźć, np. R. Žačka („Pobeskydí od husitství do Bílé Hory", F-M 1986, „Pobeskydí v letech 1618-1848", F-M 1992), J. Lubojackiego („Dzieje kościoła parafialnego w Wędryni", Cieszyn 1913), J. Cienciały („Dzieje amatorskiego ruchu teatralnego w Wędryni 1903-1998", Wędrynia 1998), H. Wawreczki („Trzyniec i okolica na przestrzeni lat", Trzyniec 1997). Szkoda, że wydawca nie wykorzystał nadarzającej się możliwości i nie uwzględnił tu wędryńskiego dorobku wydawniczego w postaci co najmniej 12 pozycji zwartych oraz 18 tomów kronik miejscowych, w tym 4 tomy kroniki gminnej, 8 miejscowych szkół, 3 PZKO, 2 Kółka Amatorskiego i 1 Związku Ewangelickiej Młodzieży w Wędryni.

Należy się cieszyć z kolejnej publikacji regionalnej. Ale czy włożony wysiłek i nakłady pieniężne spełniają zamiary wydawcy i zadawalają jego aspiracje? W każdym razie proklamowane twierdzenie we wstępie: *Niniejsza książka zapewne świetnie sprawdzi się w roli przewodnika,* nie spełnia tej roli w całej pełni.

STANISŁAW ZAHRADNIK

NA OSIEMDZIESIĘCIOLECIE OTOKARA MATUSZKA JUBILEUSZ PEDAGOGA I DZIAŁACZA

Mgr Otokar Matuszek, zasłużony pedagog i działacz społeczny, obchodzi jubileusze - 80-lecia urodzin i przeszło 50-letniego okresu wytężonej pracy na niwie zawodowej i społecznej.

Urodził się 20 marca 1925 roku w Łazach, w rodzinie górniczej. Szkołę ludową ukończył w Suchej Średniej. Dalsze kształcenie uniemożliwiła mu II wojna światowa. Jako Polak, niepełnoletni, był zmuszony pracować w kopalni Suchau, po wojnie Dukla. W 1949 roku pomyślnie ukończył Polskie Gimnazjum w Czeskim Cieszynie, następnie kontynuował studia na Uniwersytecie Palackiego w Ołomuńcu, które ukończył w 1952 roku, uzyskując stopień promowanego pedagoga, później magistra.

Po ukończeniu studiów i zawarciu małżeństwa osiadł na stałe w Suchej Górnej.

Pracę zawodową rozpoczął jako nauczyciel w Polskiej Szkole Podstawowej w Suchej Górnej, której pozostał wierny aż do emerytury. W latach 60.-80. prowadził ponadto zajęcia z metodyki języka polskiego i historii literatury na Wydziale Pedagogicznym w Ostrawie głównie w formie lekcji pokazowych zarówno dla studentów jak i nauczycieli. W pracy zawodowej był nie tylko wzorowym nauczycielem, ale i wychowawcą swych podopiecznych. W swej placówce prowadził szeroką działalność pozaszkolną, zwłaszcza w dziedzinie śpiewu i amatorskiego ruchu teatralnego.

W pracy społecznej poświęcał się przede wszystkim dziedzinom związanym z pracą zawodową. Odpowiednie warunki po temu znalazł przede wszystkim w ramach PZKO, gdzie pełnił szereg funkcji, czy to w Miejscowym Kole, czy w Zarządzie Głównym. W działalności oświatowej wygłosił z zakresu metodyki nauczania, zagadnień szkolnictwa polskiego w Czechosłowacji, historii regionu, śpiewactwa i amatorskiego ruchu teatralnego około setki prelekcji w różnych miejscowościach Zaolzia.

Szczególną uwagę poświęcał Jubilat krzewieniu i podtrzymywaniu tradycji śpiewactwa wśród młodzieży i dorosłych. Od lat młodzieńczych zakładał i prowadził chóry wszędzie tam, gdzie znajdował po temu odpowiednie warunki: w gimnazjum był to gimnazjalny, na studiach chór akademicki, w służbie prezencyjnej wojskowy, następnie chóry szkolne podczas pracy zawodowej, chóry Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej, później chóry i małe zespoły wokalne w MK PZKO w Suchej Górnej i Średniej.

Niemniejsze zasługi położył dla rozwoju ruchu teatru amatorskiego w miejscu zamieszkania i na całym Zaolziu. Przez kilkadziesiąt lat był reżyserem teatru szkolnego i amatorskiego zespołu teatralnego MK PZKO



W środku od lewej O. Matuszek i S. Zahradnik

w Suchej Górnej, członkiem Komisji Teatru i Żywego Słowa ZG PZKO. Oprócz tego inicjował i przygotowywał wiele najróżniejszych imprez kulturalno-oświatowych, był członkiem komisji oceniających konkursy recytacji w powiecie i kraju.

Jego zamiłowanie do przeszłości kraju rodzinnego przejawia się w działalności Sekcji Historii Regionu ZG PZKO, której jest członkiem od roku 1982, a w latach 1985-2003 był jej przewodniczącym. Sekcja pod jego kierownictwem wykazywała najlepsze wyniki działalności. Kiedy zdrowotne problemy uniemożliwiały Jubilatowi w pełni służyć Sekcji i naszemu społeczeństwu, SHR wspólnie z ZG PZKO na uroczystym spotkaniu 24 maja 2004 roku podziękowała Jubilatowi za dotychczasowy dorobek i odpowiednio uhonorowała Go.

Swoją rozległą wiedzę i bogate doświadczenia z pracy zawodowej i społecznej potrafi Otokar Matuszek należycie wykorzystać w działalności twórczej. Pracę tę rozpoczął w latach 60. ub. wieku i kontynuował ją do początku naszego stulecia. Jest autorem, współautorem lub redaktorem około 20 pozycji książkowych i wydawnictw zbiorowych, około 120 artykułów historycznych, publicystycznych i fachowych w miejscowych i pozamiejscowych pismach oraz kalendarzach. Opublikował na przykład 11 artykułów w Kalendarzu Śląskim (w latach 1973-1998), przeszło 20 artykułów w Zwrocie (1970-1998), ponad 80 przyczynków w Głosie Ludu (1961-2002). Oprócz

tego ogłosił drukiem ok. 30 recenzji i haseł encyklopedycznych oraz opracował 14 recenzji prac magisterskich na Wydziale Pedagogicznym w Ostrawie (1970-1990). Jest też w posiadaniu kilkunastu wartościowych materiałów w rękopisie oraz bogatego zbioru dokumentacji związanej z dziedzinami jego zainteresowań.

To są w dużym skrócie dokonania Otokara Matuszka, człowieka, który dobrze przysłużył się naszemu społeczeństwu i regionowi, wzbogacając jego życie społeczno-kulturalne. Żyje skromnie i uczciwie, działa nie dla kariery, korzyści osobistych czy sławy, ale z pobudek patriotycznych, zgodnie ze swymi zasadami życiowymi, którym zawsze pozostaje wierny.

Chociaż zaszczyty Go raczej omijały, doczekał się szeregu odznaczeń i nagród. Przytoczymy te ważniejsze:

Wszystkie odznaczenia PZKO łącznie z wpisem do Złotej Księgi; Medal Komisji Edukacji Narodowej, Warszawa 1991; Złota Odznaka Honorowa z Laurem, ZG PZChiO Warszawa 1988; Medal Zasłużony dla Kultury Polskiej, Warszawa 1995; Członek Honorowy MZC, Cieszyn 2004; Dyplom Honorowy ZG PZKO z uzasadnieniem: „Za długoletnią działalność społeczną i pedagogiczną na polu pracy z młodzieżą, utrzymania tradycji śpiewactwa chóralnego i amatorskiego ruchu teatralnego oraz za długoletnie i owocne prowadzenie Sekcji Historii Regionu przy PZKO", Czeski Cieszyn 2004.

STANISŁAW ZAHRADNIK



RADOSNE KOLĘDOWANIE

Koncerty kolęd w okresie Świąt Bożego Narodzenia należą do najpiękniejszych tradycji muzycznych wśród polskich zespołów chóralnych na Zaolziu.

Niemalże rodzinne Spotkanie z Kolędą zorganizował w sali Ośrodka Społecznego i Kulturalnego Strzelnica chór mieszany Harfa działający przy MK PZKO Centrum w Czeskim Cieszynie. Przy kawie, herbatce i pączkach wysłuchała publiczność bogatej wiązanki kolęd i pastorałek w wykonaniu Harfy pod dyrekcją Tomasza Piwki, który na próby dochodzi do czeskocieszyńskiego chóru z Polski. Natomiast swingowy polot miały kolędy i nastrojowe utwory muzyczne w wykonaniu gościa spotkania - Zespołu Saksofonistów ze zboru Kościoła Braterskiego w Suchej Górnej, który prowadzi Tadeusz Danel, również od lat dyrygent bardzo dobrego chóru mieszanego Kościoła Braterskiego w Suchej Górnej. Miłe przerywniki w czasie koncertu stanowiły wiersze w wykonaniu uczniów miejscowej Polskiej Szkoły Podstawowej. Na zakończenie chórzyści zaprosili publiczność do wspólnego śpiewania kolęd. Podczas nastrojowego kolędowego wieczoru można było nabyć pocztówki z rysunkami dzieci - czytelników miejscowej Biblioteki Miejskiej. Dochód ze sprzedaży przekazany został na konto hospicjum dziecięcego w Malejowicach.

Czeskocieszyński chór koncertował ponadto z kolędami po polskiej stronie granicznej Olzy: w kościele św. Marcina w Ochabach - wspólnie ze świetną harfistką Ewą Jaślar-Walicką - oraz w auli szkolnej w Pielgrzymowicach.

Polski Chór Mieszany Collegium Canticorum wziął udział w dwu polskich konkursach kolęd i pastorałek. Zespół zaprezentował się najpierw 8 stycznia br. na XIV Tyskich Wieczorach Kolędowych w Państwowej Szkole Muzycznej w Tychach. Pod profesjonalną batutą swojej dyrygentki prof. Haliny Goniewicz-Urbaś z Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie zaśpiewał trzy współczesne kolędy i w rywalizacji konkursowej 21 chórów osiągnął najwyższe laury: 1. nagrodę jury i największe uznanie wśród publiczności. W sobotę 15 stycznia chór wystąpił w tyskim kościele św. Marii Magdaleny na koncercie galowym jako laureat konkursowej imprezy.

Tego samego dnia śpiewacy stanęli do finałowej rywalizacji kolejnego konkursu o najwyższej randze krajowej - finału XI Ogólnopolskiego Festiwalu Kolęd i Pastorałek w Będzinie. Przypomnieć należy, iż w tegorocznym

wspólnym kolędowaniu uczestniczyło blisko 17 tysięcy wykonawców: wokalistów i instrumentalistów, chórzystów i solistów, którzy w grudniu 2004 roku uczestniczyli w eliminacjach w 25 miastach na terenie całej Polski i Ukrainy. Dopiero zwycięzcy poszczególnych regionalnych konkursów mogli uczestniczyć w ogólnopolskim finale. Uczestnictwo w nim musiało również wywalczyć Collegium Canticorum, prezentując 13 grudnia w Rybniku swój program konkursowy - polskie kolędy Jana Pasierba-Orlanda, Pawła Łukaszewskiego oraz Franciszka Rylinga. Jury Festiwalu pod przewodnictwem prof. Anny Fiebig z Akademii Muzycznej w Gdańsku przyznało czeskocieszyńskiemu chórowi drugie miejsce ex aequo z chórem Musica Viva z Akademii Muzycznej w Poznaniu (pierwszego miejsca nie przyznano). Pięknych kolęd i pastorałek w wykonaniu będzińskiego laureata z Cz. Cieszyna mogli wysłuchać w okresie bożonarodzeniowym także mieszkańcy Zaolzia na koncertach w Jabłonkowie, Nawsiu i Boguminie, gdzie chórem dyrygowała Danuta Zoń-Ciuk, asystentka prof. Haliny Goniewicz-Urbaś. Collegium Canticorum ma jeszcze jeden powód do dumy: pod koniec ubiegłego roku zakwalifikowano zespół do udziału w renomowanym Światowym Festiwalu Chórów w szwajcarskim Montreux jako reprezentantów nie tylko polskiego społeczeństwa zaolziańskiego, ale Republiki Czeskiej w ogóle.

Działający przy Miejscowym Kole PZKO w Stonawie chór mieszany Stonawa wyjechał z koncertem kolęd do partnerskiej miejscowości tej zaolziańskiej wsi - Marklowic k. Wodzisławia. Koncert świąteczny Stonawy pod batutą Marty Orszulik, absolwentki Polonijnych Kursów Dyrygenckich w Koszalinie, odbył się w kościele św. Stanisława. Z koncertem kolęd wystąpiły ponadto chór miejscowej parafii Spójnia oraz zespół Echo z Bierułtowa.

W Czeskim Cieszynie działa również pod kierownictwem nauczycielki Beaty Brzóski znakomity polski młodzieżowy chór parafialny Ad Dei Gloriam, który był w kościele pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa inicjatorem pięknego koncertu świątecznego pn. Kolędujemy Małemu. Po raz pierwszy zaprezentował się też miejscowym miłośnikom śpiewu chóralnego nowo założony czeskocieszyński Chór Dziecięcy Polskiej Szkoły Podstawowej, który zdecydowała się prowadzić również Beata Brzóska, od paru lat ofiarna i zapalona animatorka śpiewu chóralnego.

Długoletnią tradycję koncertów kolęd podtrzymuje Chór Żeński Melodia w Nawsiu k. Jabłonkowa, należący do ścisłej czołówki zaolziańskich zespołów chóralnych. Chór pod batutą Aleksandry Zeman z Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, wykonując tradycyjne pieśni w opracowaniu P. Gruchela i Z. Bernata, ponownie zaprezentował wysoki poziom wykonawstwa, wzbudzając prawdziwy podziw wśród słuchaczy. Podziw i uznanie wzbudziły również solistki zespołu: Bronisława i Maryla Nowak oraz Magdalena Niedoba.

Koncert chóru-gospodarza poprzedził występ uczniów nawiejskiej podstawówki skupionych w zespole Melodyjka pod kierownictwem nauczycielki

Elżbiety Nagy. Zespół obok piosenek zaprezentował krótką wymowną bajeczkę o tym, jak bardzo nie opłaca się skąpstwo i jak warto żyć w zgodzie z sąsiadami. Świąteczne spotkanie z muzyką i słowem zakończył występ młodziutkiej utalentowanej harfistki Anny Trefon, która wystąpiła w duecie ze skrzypkiem Jackiem Stolarczykiem, również uczniem bielsko-bialskiej szkoły muzycznej. Młoda artystka zebrała liczne brawa również za dowcipną konferansjerkę. Trzeba jeszcze wspomnieć, iż Melodia, której prezesuje dzielnie Lidia Lisztwan, obchodzi w roku bieżącym 50-lecie swego istnienia.

Po sześcioletniej przerwie w kościele parafialnym Podwyższenia Krzyża Świętego w Karwinie Frysztacie wystąpił z Koncertem Kolęd i Muzyki Sakralnej Zespół Śpiewaczo-Muzyczny Przyjaźń. Jako soliści zaprezentowali się Grażyna Wilk-Biernot - sopran, rodem z Karwiny, od dwu lat mieszkająca z mężem w Pradze, obecnie członkini Chóru Filharmonii Czeskiej, z którym pod koniec ubiegłego roku wróciła z tournée artystycznego po Japonii, Władysław Czepiec - tenor, który z Przyjaźnią współpracuje już ponad 10 lat, oraz uczennica II klasy Polskiej Szkoły Podstawowej w Karwinie Frysztacie Joasia Wierzgoń, wnuczka kierownika artystycznego zespołu Józefa Wierzgonia. Oto co po koncercie napisała redaktor Głosu Ludu Irena Stonawska: *W sobotę 8 stycznia po południu frysztacki kościół Podwyższenia Krzyża Świętego okazał się za mały. Tłumy wypełniły go tak, że trudno było nawet o miejsce stojące. Wszyscy w skupieniu wysłuchali kolęd i pieśni sakralnych w wykonaniu 50-osobowego chóru i 18-osobowej orkiestry znanego i lubianego karwińskiego Zespołu Śpiewaczo-Muzycznego Przyjaźń pod dyr. Józefa Wierzgonia. Z zachwytem przyjęto solistów Grażynę Wilk-Biernot i Władysława Czepca. Ze wzruszeniem słuchano kolędy „Oj, maluśki" w wykonaniu młodziutkiej Joasi Wierzgoń. Wielu słuchaczy miało łzy w oczach podczas końcowych, po mistrzowsku wykonanych, pieśni „Ave verum", „Ave Maria", „Czarna Madonna" i „Alleluja". Koncertu wysłuchali m. in. prezes i sekretarz Oddziału Morawsko-Śląskiego Unii Czeskich Zespołów Chóralnych w Ostrawie Zdeněk Děrkas i Stanislav Kuchař oraz emerytowany profesor Uniwersytetu Śląskiego Brunon Rygiel, zasłużony działacz na polu śpiewactwa zaolziańskiego.*

Okres śpiewania kolęd na Zaolziu sfinalizował z powodzeniem trzyniecki Polski Zespół Śpiewaczy Hutnik pod kierownictwem Aleksandry Zeman (tej samej, która prowadzi nawsiańską Melodię). Chór uświetnił najpierw w niedzielę 30 stycznia przedpołudniową Mszę św. w kościele św. Józefa w Jabłonkowie, zaś po nabożeństwie dał koncert pastorałek i kolęd w opracowaniu Józefa Świdra. W kościele przyklasztornym Sióstr Elżbietanek rozbrzmiewały również kolędy czeskie, angielskie i francuskie w solowym wykonaniu Władysława Czepca, na co dzień chórzysty mosteckiego chóru mieszanego Przełęcz. Na fortepianie akompaniowała Daniela Worek, córka chórzystów. Za znakomity śpiew chór i solista nagrodzeni zostali gromkimi brawami.

JÓZEF WIERZGOŃ

MVDR. JAN RUCKI

Janusz - bo tak do Niego mówili przyjaciele - Rucki urodził się 22 maja 1928 roku w Nydku, w pięknej miejscowości u podnóża legendarnej Czantorii. Razem z dwoma starszymi braćmi wychował się w niezwykle patriotycznej atmosferze rodzin Bajtków (z których pochodziła Matka) i Ruckich.

Ojciec Jerzy, nauczyciel szkoły nydeckiej, organizował spotkania polskich nauczycieli, udzielał się też w Macierzy Szkolnej i Rodzinie Opiekuńczej.

Matka Anna, znana przedwojenna działaczka, najmocniej była zaangażowana w pracy Związku Absolwentek Końszczanek (ZAK), którego była współzałożycielką, a także przewodniczącą. Rosnące w tym okresie zainteresowanie kobiet pracą w terenie doprowadziło do wyłonienia się nowej organizacji - Związku Kół Gospodyń z siedzibą w Czeskim Cieszynie. Na przewodniczącą powołano Annę Rucką. Należała ona też do czołowych przedstawicieli Światowego Związku Polaków za Granicą. Po wybuchu II wojny światowej Anna Rucka związała się z ruchem oporu - ze Związkiem Walki Zbrojnej. Świadoma zagrożenia ze strony okupanta opuściła Nydek i udała się na pełną niebezpieczeństw wędrówkę na wschód. Wróciła jednak do domu i jeszcze pod koniec 1939 roku została aresztowana. Zwolniona z więzienia, ponownie aresztowana, zginęła w obozie w Oświęcimiu. Pośmiertnie została odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Najstarszy brat, Stanisław, gorliwy harcerz, wyróżniający się zawsze niezwykłą energią i odwagą harcmistrz Hufca Śląskiego, już w pierwszych tygodniach wojny włączył się do walki z najeźdźcą. Stał się członkiem Związku Odwetu, po reorganizacji ruchu oporu wstąpił w szeregi Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajowej. Był związany z ruchem partyzanckim i pod pseudonimem Żbik wykonywał niezmiernie trudne, odważne bojowe zadania. Niepowiadomiony o przygotowywanej przez gestapo fali aresztowań, został w nocy z 2 na 3 września 1943 r. ujęty podczas obławy i wraz z czterema Polakami stracony na szubienicy podczas publicznej egzekucji w Nawsiu.

Te niezwykle tragiczne wydarzenia wycisnęły niezatarte piętno na całym życiu MVDr. Jana Ruckiego.

Po zakończeniu działań wojennych spotykałem Janusza na dworcu kolejowym w Bystrzycy, kiedy to razem z grupą rówieśników wyjeżdżaliśmy do szkół średnich, by zdobywać wiedzę. Janusz przyjęty został do Gimnazjum im.

A. Osuchowskiego w Cieszynie, gdzie zdał maturę w 1948 roku. Następnie ukończył studia wyższe w Polsce, by wreszcie na stałe osiąść w Ostrawie, gdzie jako szanowany fachowiec, lekarz weterynarii, rozpoczął w trudnych warunkach swoją karierę zawodową.

Pod koniec lat 90. w nieprzewidzianych przeze mnie okolicznościach przyszło mi spotkać się z dr. Januszem Ruckim i do końca Jego życia blisko współpracować w nowo powołanym Polskim Związku Byłych Więźniów Politycznych w RC. Bowiem po śmierci prezesa Klubu Gusenowców Józefa Kazika z inicjatywy sekretarza Klubu prof. Karola Polaka postanowiono powołać nowy związek, który zrzeszałby w swoich szeregach nie tylko więźniów z Gusen, ale także byłych więźniów innych niemieckich obozów zagłady i ich potomków. Oczekiwano, że w ten sposób dojdzie do poszerzenia uszczuplonych już szeregów Klubu i uaktywnienia powoli zanikającej działalności. Związek został zarejestrowany w czeskim MSW 27 listopada 1998 r. Na prezesa wybrano Janusza. Ja, po śmierci Karola Polaka, zostałem sekretarzem PZBWP. Wspólnie postanowiliśmy zebrać wspomnienia byłych więźniów i wydać je drukiem. Niestety, Januszowi nie udało się dokończyć tej publikacji, pracę przerwała śmierć.

MVDr. Jan Rucki zmarł - po ciężkiej chorobie - 7 stycznia 2005 roku.

Przemawiając na pogrzebie, prezes Kongresu Polaków w RC Józef Szymeczek powiedział m.in.: *Jan Rucki nigdy nie żył swojego życia sam dla siebie. Żywo uczestniczył w życiu społecznym, dzieląc się swoimi umiejętnościami i wiedzą. Na szczególne uznanie zasługuje Jego praca i wiedza w dziedzinie ziołolecznictwa. Jako prelegent na zebraniach w licznych Kołach PZKO wygłosił na ten temat wiele odczytów.* Prezes Kongresu podziękował też Zmarłemu za Jego długoletnią pracę w imieniu ZG PZKO, Koła Polskich Kombatantów, Stowarzyszenia Przyjaciół Polskiej Książki oraz Polskiego Towarzystwa Medycznego.

W imieniu kolegów z klasy gimnazjalnej żegnała Jana Ruckiego prof. Maria Kocych-Imielska: *W uczciwych zawodach startowałeś, bieg ukończyłeś. Wierności temu, co wyniosłeś z domu rodzinnego i szkoły, która kształtowała nasze umysły nie tylko wiedzą, ale też zaszczepiła w naszych młodych duszach umiłowanie dobra, piękna i patriotyzmu, dochowałeś... Czyż wówczas, będąc z Tobą w jednej klasie, wiedzieliśmy, co przeżyłeś w czasie okupacji hitlerowskiej? Zawsze byłeś powściągliwy, milczący i skromny. Dopiero na zjeździe koleżeńskim po 50 latach po maturze, gdy zdawaliśmy relację z naszego życia, opowiedziałeś nam o tragedii, jaka dotknęła Ciebie i Twoją rodzinę...*

Januszu, w Nydku, pięknej podgórskiej wiosce, rozpocząłeś swoją drogę życiową, a w mieście Ostrawie, w cieniu kominów fabrycznych zakończyłeś swoje życie.

Będzie nam Ciebie brakowało...

ALOJZY KALETA

DZIEDZIŃSKO CHAŁUPA

Na przełómie 19 a 20 storoczo ludzie sie uż modernizowali i stawiali murowane chałupy. Obyczejną chałupe stawiali bez planów architekta, pozwali skuszónego palera, dwóch mulorzi i dwóch halangrów. Nie było żodnej techniki, wszystko robili ręcznie. Malte miyszali halangrzi w garbowni gracą, a w kajfasie na dwóch patykach nosili mulorzóm na rusztónek. Cegłe też robili z celiny i piosku, a z wysuszónej cegły postawili piec, oblepili go celiną i sami cegłe wypalowali. Cegła, co była w piecu blisko ognia, była twardo jak kamiyń, mówili na taką kónie, a dowali ją do gróntów.

Przez całą szyrzke chałupy była siyń, po jednej strónie siyni była kuchyń i izba, po drugi strónie była izbeczka, tam przeważnie mieszkali starzi gazdowie, mówiło sie, że są na wyminku, albo też sie do izbeczki wziyno cudzych ludzi i mówiło sie na nich kumornicy. Potym była kumora, tam było małe okiynko, a gliniano dłożka, stoł tam młynek na mleci obilo, beczka na kapuste, żber na parząke dlo bydła, siekocz na rzepe i puczok na zimioki, a piekarszczok na sztyry pecynki. Pod chałupą piwnica na rzepe, kwaki i zimioki. Na powale (strychu) suszyli obili, fazole, orzechy, w zimie sie na żerdziach suszyło prodło, na gwoździach wbitych do tramu wisiały cepy, przetaki, drzewianno łopata, mówili na nią wijaczka, bierce, a na ziymi leżały troki, też łopata, grzebło i pomietło było na górze. Na poddaszu był z desek ubity szpyrczok na wędzóne mięso i szpyrke, wisiała też nafukano pacharzina, po wysuszyniu bydzie z ni mioł gazda miyszek na tabake. Na drzewiannej tacy leżało zasolóne, zaczoskowane i pokminkowane zawinóte do podoby pecynka wieprzowe sadło. Tak zależane aspón dwa miesiące sadło dostało żółtawą barwe i mocny ostry szmak, a było na maściyni kwaśnej kapusty. Powoł był dość obszyrny, bo murowane chałupy se stawiały z ramsztykym. Na powoł wiódły drzewiane schody, zaś do piwnice były cegłowe schody.

Kuchyń, blacha kachlowo z trąbóm na pieczyni brótfanioków, a w jesiyni sie też w ni piykły kołocze kapuśnioki, a na plechach stryki ze śliwkami. Wedle blachy szufanek na węgli, hoczek i łopatka. We ścianie bintfel na garce i miski, wedle na ścianie rechla na gorneczki, nad blachą drzewiano korzyniorka i lampka z celindrym wisiała. Okna były dwa, tam stoł stół, co mioł nogi do krziwa wyhoblowane, u stołu dwa stołki z wyrzazowanymi lanochami, między oknami nad stołym obraz Wieczerza Pańska. Było też w kuchyni łóżko szyroki, co mógli dwa w nim spać, przi ścianie ława z lanochym. Za dwiyrzami rechla ze trzyma hocz-

kami na wieszani kabotów. Nad blachóm w powale były zamontowane dwa hoczki, a na drócie zawiesióno żerdka na suszyni ręczników i uciyrek, też pieluch. U blachy też była ława, a na ni drzewiany szkopek na zmywani garców, na blasze zieleźny dwaceci litrzok na wode ciepłą. W kuchyni, izbie a izbeczce były deskowe dłażki, w siyni dłażka była cegłowo.

Izba miała trzi okna, była większo niż kuchyń, na ścianie między oknami obraz dr. Marcina Lutra i Kalwina, na drugi ścianie obraz fusatego Franc Jozefa. Przi piecu ława, na piec mówili cugocz, wysoki był aż pod powoł z brónotnych ozdobnie wypolónych kachli. Na postrzodku stół, we stołach, a lanochach wyrzazowane serduszka. Łóżka miały okrągłe zogłówki z ozdobami po bokach. Pod oknym stoł szrank na biołe prodło, wedle tróhła brónotno na suknie, jupki, hacki, szatki jedbownice i obyczejne kalmuszki. Za dwiyrzami olmaryj na chłopski oblyczki, wisioł w ni ancug, gazda go nosił do kościoła, na wiesiela albo też na pogrzyb, ale i jak w rodzinie było trzeba kierymu dziecku iść za krześniczka, był też kabot ibercyjer ze zametowym lymcym, a kabot guniok krótki na zimowe czasy. Na policy leżoł twardy czorny kłobuk (burzinka), zaś w kiśniczce twarde biołe kragle i manżety z perleciowymi kneflami, westa a śmiźla wisiały na wieszoku.

W postrzodku izby na stole leżała biblija, a książka Dąbrówka, jak sie nieszło w zimie do kościoła, to w niedziele z ni gazda na głos czytoł psalmy i wiersze, a domownicy wszyscy posłóchali, było przijemnie ciepło, bo ogiyń goroł w cugoczu. Dwiyrze ze siyni, co były ku ceście, to miały na wyrchu lufcik ze szkła, aby było widno na siyni, a na szkle namalowane Nro 47. Dwiyrze były z tabulkami różnie ozdobióne, zaś dwiyrze, co szły do placu, były z rownych desek bez ozdoby. Do chałupy wiodły z każdej strony sztyry drzewianne schódki. Na siyni stoły putnie na wode, w kącie oprzyte kluki, miełła pręciónka, maśniczka, był też drzewianny wyzuwocz, na wysoki skórzanne bóty, co sie nazywały sztyblety.

Na placu mioł piesek Nerosz swoją bude, a pod liskowym krzokym grzebały kury. Studnie u chałupy nie było, chodzili po wode sto metrów pod las do źródełka. Na murowani stodoły i chlywa nie zbyło ani cegły, ani piniędzy. Stodoła drzewianno, a chlyw, choć murowany, też już wołały pómocy. Pod dachym stodoły wisiała sześcimetrowo drabina. Chałupa była kryto papiyrym, a dach terowany, na dachu dwa kuminy, między kuminami ławka drzewianno z galandrą dlo kuminiorza. Stodoła a chlyw były kryte doszkami ze słómy. Gazdowie mieli dwóch synków, kierzi jako dziecka fórt upytowali, że chcą mieć gołębie. Ojciec nie pozwolił, bo to darmożrocze, a psułyby dach, boby sie w słómiannych doszkach popieliły, ale pozwolili mieć herliczki, ty były w kuchyni i roz aji młode wysiedziały, zaś gospodyń nadowała, że je z tego pełno kramu i piyrzo. Na wiosne były dane herliczki do chlywa, a że w lecie był chlyw odewrzyty, herliczki uciykły i było po paradzie.

Z jednej strony stodoły była przistawióno szopka na węgli i drzewo, stały też tam toczki, tragacz, piyń na rąbani drzewa, strugaco stolica i brusek. W kącie były kopaczka, łopaty, szufka na gnojówke, fajsel, kliny, zaś siykiyrka były wrąbnóto do pnia. Na ścianie wisiały piłki, kosa i krblik, poprzyk szerka i lancuchy. Z boku chlywa przi gnojowisku był postawiony ze drzewa smrodlawy hajzelek.

Kole chałupy płot sztachetowy tworził zogrode, rosły tam śliwki uherki, gruszka wawrzinionka, jabłoń kwaska, była też jabłón płónka, co jeji małe jabłuszka se dowało do beczki, jak sie deptała kapusta. Rosnół też orzech, śliwka szpyndlik, śliwka rynklota i żółto śliwka, co śni marmelade warzili. W kącie rosło boży drzewko, przistępa na wiosne kwitnół bez.

Ku taki dziedzinski chałupie było pola na jedną albo dwie krowy, pole mierzili na morgi i jochy. Na jesiyń sioli na polu reż i pszynice, we wiośnie zaś owies, jęczmiyń, a sadzili zimioki i rzepe. Do wołków między zimioki dowali fazole, bób, czasym i groch a słónecznik, też i flancki kwaków a kapusty.

Od wychodni strony chałupy w zogrodzie rosnół krzón, na wiosne kwitnół krzok jaśminu, a wedle była postawiono pasieka z ulami pszczół. Tak w maju, jak sie wykluła młodo pszeli królowa, to syncy chodzili ku ulu posłóchać, jak pisko, a też było trzeba potym każdy dziyń dować pozór, jak sie pszczoły bedą rojić. Przed czasym postawili dwie putnie z wodą i sikawke opodal uli, a jak pszczoły wyleciały, to strzikali wodą i óny siedły na trzesznie. Gazda pszczołóm rozumioł i umioł z nimi pracować, a potym, jak już był stary i umrzył, to był taki zwyk, iść zaklepać z lekka na ule i oznajmić pszczołóm, że ich gazda odeszeł na wieczność.

Niedaleko chałupy była też kałuża obrosnóto wiyrbami, gałęzie wiyrbowe sie obrzinały na jesiyń, rąbali ich na drobne kąski, wiązali do ociypek i były w zimie ususzóne pod dachym na podpałke ku blasze.

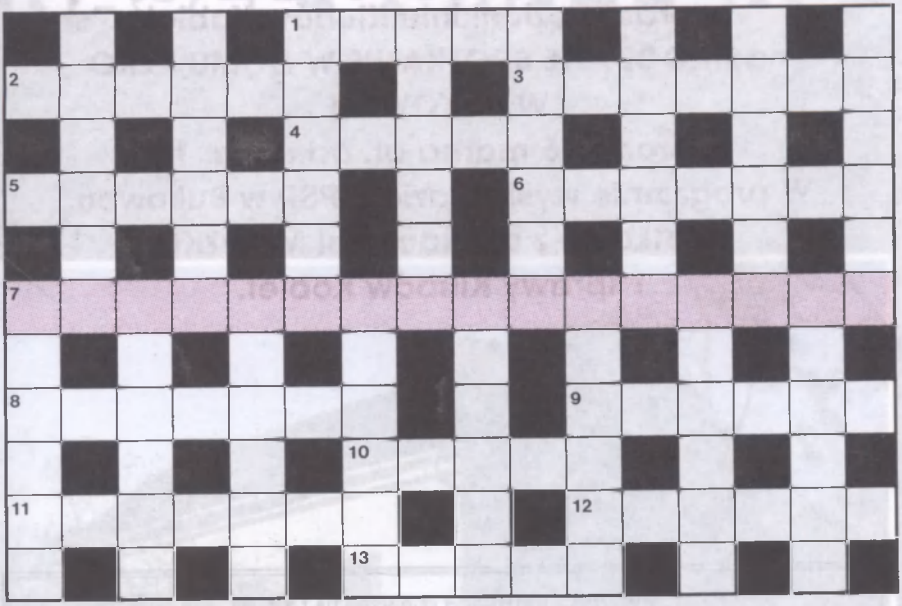
We wodzie przeważnie ku wieczoru koncertowały żaby, czasym tam gdosi chynół bryłe gliny, to na chwile było cicho, a za chwile zaś zaczyny rzegotać. W chałupie sie tak moc na tyn porządek nie dbało, za to w polu musiało być wszystko zrobióne na czas, a dbali, aby sie uroda nie zniszczyła.

Łączko, łączko, łączko zielona,
Gdo cie bydzie łączko kosił,
Jak jo bedym szable nosił,
Łączko, łączko...

Pole, pole, pole zorane,
Gdo ciebie bydzie brónowoł,
Jak jo bedym maszyrowoł,
Pole, pole...

ANNA BOSZCZYK

KRZYŻÓWKA



KRZYŻÓWKA KOMBINOWANA

Prawda zawsze drga dokoła centrum jak...
Karol Irzykowski

Zakończenie powyższego aforyzmu stanowi rozwiązanie dodatkowe krzyżówki.

POZIOMO: 1. Prymas Polski (Józef). - **2.** Pośrednik handlowy na giełdzie. - **3.** Obrabiarka do łupania drewna. - **4.** Polska nazwa rzeki Ems. - **5.** Roślina zielna. - **6.** Państwo w Afryce (stolica Tunis). - **7.** Rozwiązanie dodatkowe. - **8.** Analiza. - **9.** Uzdrowisko i ośrodek wypoczynkowy w Beskidzie Śląskim. - **10.** Przemysł ..., mąż Libuszy. - **11.** Prowitamina A. - **12.** Bursztyn. - **13.** W przysłowiu chatę zamiata.

PIONOWO (w kolejności alfabetycznej): ALUZJA, EDISON, ESZIRA, EUREKA, GAJANE, GRAWER, ILORAZ, KASZEL, OBRONA, OKTANT, OLSZAK, PŁATEW, PRAZEM, SPINET, TEISTA, YAMAHA.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe.

Rozwiązania prosimy przesyłać do końca marca.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru styczniowego: Logika to GRAMATYKA MYŚLENIA

Nagrody książkowe wylosowali: Aleksandra Opiol - Stonawa
Maria Henner - Czeski Cieszyn

ZAPROSZENIE DO BUKOWCA
Sekcja Kobiet ZG PZKO
zaprasza członkinie Klubów Kobiet
na UROCZYSTE SPOTKANIE W DOMU PZKO
W BUKOWCU
w środę 16 marca br. od godz. 14
W programie występ dzieci PSP w Bukowcu,
spotkanie z działaczami MK PZKO
i sprawy Klubów Kobiet.

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor),
ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Strzelnicza 28, P.O.Box 97, 737 01 CZESKI CIESZYN,
tel. i fax: 558 712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI,
Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK,
Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów - Infiniti art, s. r. o., Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 240 Kč, z wysyłką pocztową 324 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02
z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE DOMY PZKO



DOM PZKO
w Gnojniku

Odes.: Redakce ZWROT
Střelniční 28
737 01 Český Těšin

O.P. P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE SZKOŁY

CIERLICKO

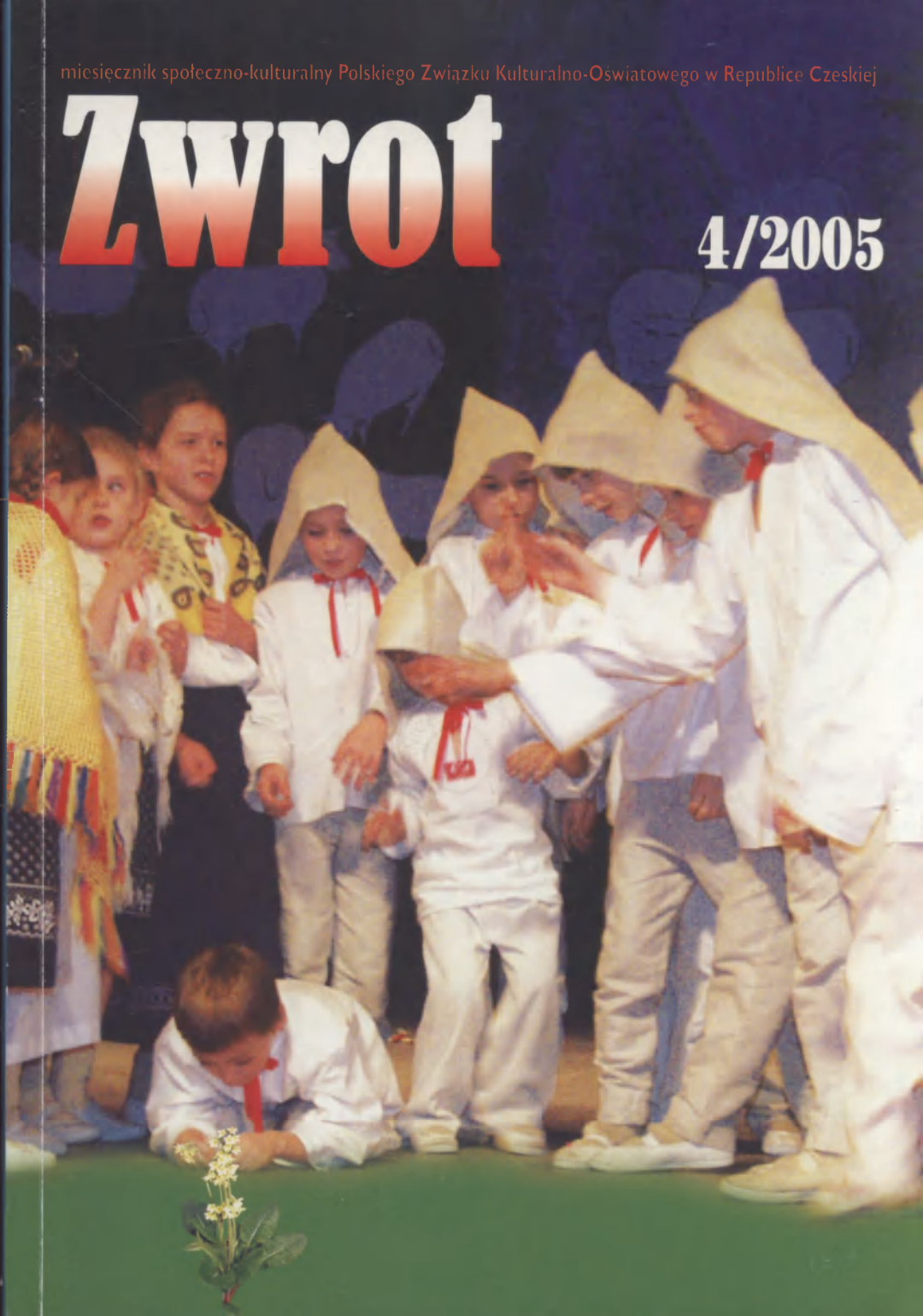


ISSN 0139-6277

miesięcznik społeczno-kulturalny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej

Zwrot

4/2005



TACY BYLIŚMY



Kurs gimnastyki gimnazjum Orłowa r. 1925

Na zdjęciu udostępnionym redakcji przez p. Józefa Franka upamiętnieni zostali:
1. Prymus, 2. Fołwarczny (Błędowice), 3. Stebel, 4. Gojniczek (Łyżbice), 5. Gabzdyl, 6. Szalbot (Śmiłowice), 7. Walek (Kocobędz), 8. Rzehaczek (Stare Miasto), 9. Dziadek, 10. Nemeczek, 11. Bober, 12. Zielina (Orłowa), 13. Baron, 14. Mandrysz, 15. Pustówka (Łazy), 16. Jeżowicz (Stonawa), 17. Kopytko, 18. Żyła, 19. Polak, 20. Franek (Stanisłowice), 21. Pustówka (Oldrzychowice).

WŁADYSŁAW MŁYNEK

JUBILEUSZOWE ROZWAŻANIA

(fragmenty)

Cz. III 6/2005



Jest sprawiedliwość,
bo na krawędzi naszego świata
czas życia wszystkim równo ulata
i nikt nie może sekundy wrócić
ani zatrzymać, ani też skrócić,
nikt go nie kupi przedtem, ni potem
ani brylantem, ani też złotem.

Kogo zapytasz - nikt nie odpowie,
kiedy minęła młodość i zdrowie.
W tych troskach życia zegar ćwierćwieczy
dla wszystkich równo leci i leci...

PANI **ANIELI KUPIEC**

NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA URODZINOWE

ZDROWIA I WSZELKIEJ POMYŚLNOŚCI

SKŁADA REDAKCJA

Zwrot

Rok LVI, Nr 665
Cena numeru 20,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 27,00 Kč

4/2005

W NUMERZE

3	Stowarzyszenie Rodzina Katyńska	CZESŁAWA RUDNIK
5	Zbrodnia katyńska nie zniknie z pamięci	MEČISLAV BORÁK
14	Polacy na Zaolziu w 2. połowie lat pięćdziesiątych XX wieku (II)	JURAJ MARUŠIAK
19	Wspomnienia z lat drugiej wojny światowej (4)	KAROL BARTULEC
26	Wyprzedził swoją epokę	ROBERT DANEL
31	Wzajemne wizerunki polskich i czechosłowackich elit politycznych na emigracji (1939–1945)	ROMAN BARON
37	Kronika: Wystawa Józefa Dronga w teatrze w Czeskim Cieszynie, Powitanie wiosny w Żukowie, Wystawa ekslibrisów, Zebranie sprawozdawczo-wyborcze Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, Walne Zgromadzenie SPPK	
43	Na naszej scenie	CZESŁAWA RUDNIK
48	Poezja Anieli Kupiec	
50	Pamiętniki znalezione w Katyniu (fragmenty)	
56	Polacy poza krajem: Polacy na Litwie	RENATA CHATKIEWICZ
66	Na półkach księgarskich	KAZIMIERZ JAWORSKI
68	Jak sprawny i giętki masz język	
70	Z dorobku Leona Derlicha	
72	Opowiadania na szarą godzinę	DAR. JOCHEL
76	Trybuna czytelników	
77	Mozaika	WŁADYSŁAW KRISTEN

Numer zamknięto 17. 3. 2005

STOWARZYSZENIE RODZINA KATYŃSKA

Pomysł utworzenia także na Zaolziu organizacji o nazwie Rodzina Katyńska, która skupiałaby bliższych i dalszych krewnych ofiar zbrodni katyńskiej z 1940 roku (szerzej o tym wydarzeniu w artykule Mečislava Boráka „Zbrodnia katyńska nie zniknie z pamięci"), zrodził się w kwietniu 1990 roku w Lesie Katyńskim, gdzie powstawały zdjęcia do filmu dokumentalnego „Cienie sumienia", realizowanego przez ostrawską telewizję. Spotkanie z uczestnikami wycieczki Rodzin Katyńskich z Polski stało się inspiracją do założenia podobnego w swych celach stowarzyszenia także na Zaolziu. Przy współpracy Sekcji Historii Regionu ZG PZKO, Rady Polaków w Czechosłowacji, redakcji audycji polskich Czechosłowackiego Radia w Ostrawie oraz Instytutu Śląskiego Czechosłowackiej Akademii Nauk w Opawie zwołane zostało zebranie informacyjne dla osób zainteresowanych tym tematem. Odbyło się ono w Czeskim Cieszynie 15 czerwca 1990 roku.

W książce Mečislava Boráka „Symbol Katynia. Zaolziańskie ofiary obozów i więzień w ZSRR", wydanej przez ZG PZKO w Czeskim Cieszynie w 1991 roku, czytamy: *Nawet nie przypuszczaliśmy, że na to pierwsze spotkanie przybędzie ponad sto osób, sala pękała w szwach. Nie byli to wyłącznie Zaolziacy, przybyli tu również krewni ofiar z Frydeckiego, Ostrawy, Opawy i z odległych wschodnich Czech. Na spotkaniu panowała nadzwyczaj wzruszająca atmosfera, były łzy i po raz pierwszy otwarcie wypowiadane gorzkie słowa prawdy o doznanych krzywdach i bólu, którego nie można było przez tyle lat okazywać. (...) Bogata dyskusja obnażyła mnóstwo dotąd przemilczanych problemów, dotyczących np. stwierdzania i uwierzytelniania śmierci osoby zaginionej, długoletniego negatywnego stosunku urzędów do członków rodzin zaginionych, problemu przyznawania rent wdowom czy wreszcie prawa do ewentualnego odszkodowania itp. Spotkanie było okazją do nazwania krzywd niedawnej przeszłości po raz pierwszy prawdziwym imieniem...*

Dokumenty i pamiątki przekazane przez biorących udział w spotkaniu bliskich ofiar katyńskich stały się następnie częścią przygotowanej przez Sekcję Historii Regionu ZG PZKO w Klubie PZKO w Czeskim Cieszynie wystawy nazwanej Katyń. Eksponaty na wystawę udostępniły także Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach oraz filia Muzeum Górnośląskiego w Sosnowcu. Otwarcie wystawy nastąpiło 31 sierpnia 1990 roku z okazji Światowego Zlotu Zaolziaków, wystawa trwała do 15 września 1990 roku.

Podczas przygotowań do założenia zaolziańskiej Rodziny Katyńskiej organizatorzy korzystali z pomocy merytorycznej członków Stowarzyszenia Katyń z Katowic i jego prezesa Jerzego Żeleskiego. Spotkanie założycielskie odbyło się 9 marca 1991 roku w Czeskim Cieszynie, przyjęto na nim projekt Statutu i wybrano siedmioosobowy zarząd. W pierwszym zarządzie pracowali: Stanisława Ryłko, Maria Szymańska, Teresa Wojnar, Kornel Kalina, Mieczysław Piszczek, Alojzy Waszek i Jan Wöllersdorfer, który został prezesem. W roku 1996, po śmierci Jana Wöllersdorfera, prezesem wybrany został Józef Pilich, który prowadzi Stowarzyszenie do dnia dzisiejszego.

Członkami zwyczajnymi Stowarzyszenia stały się osoby spokrewnione z ofiarami zbrodni. Związek ma też członków wspierających, wspomagających, którymi mogą być osoby fizyczne lub podmioty prawne popierające działalność Rodziny Katyńskiej i wnoszące składki wyższe od ustalonych. Na początku działania organizacji liczba członków wynosiła około 160, naturalną koleją rzeczy stan osobowy zmniejszał się, w chwili obecnej Rodzina Katyńska liczy około 100 członków, w tym wielu w podeszłym wieku.

Statut organizacji, która początkowo nosiła nazwę Stowarzyszenie Katyń w Czechosłowacji, zatwierdzony został przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych 2 lipca 1991 roku. Celem Stowarzyszenia wg Statutu było: *a) poszukiwanie i utrwalanie w pamięci społeczeństwa prawdy o losach osób zaginionych w ZSRR oraz upamiętnianie miejsc kaźni, b) domaganie się zadośćuczynienia dla rodzin, które utraciły swych najbliższych.* Mimo że od czasu powstania tego statutu upłynęło następnych czternaście lat, cele Rodziny Katyńskiej są w wielkiej mierze nadal aktualne. Chociaż na liście ofiar urodzonych lub zamieszkałych na terytorium dzisiejszej Republiki Czeskiej znalazło się już niemal 500 nazwisk, cała prawda o Katyniu nie wyszła jeszcze na jaw, bowiem władze sowieckie nie odtajniły wszystkich dokumentów i nie zostały odnalezione groby wszystkich ofiar. Nie doczekały się też zadośćuczynienia rodziny ofiar zbrodni katyńskiej.

Do zadań, które wytyczyło sobie Stowarzyszenie, należy pomoc krewnym ofiar w zdobywaniu informacji o ich losach, gromadzenie wszelkich materiałów (dokumentów, wspomnień) o dokonanych zbrodniach, przekazywanie społeczeństwu poprzez środki masowego przekazu nowych informacji dotyczących tego tematu, organizowanie spotkań, prelekcji, pogadanek, także w szkołach, wystaw, wycieczek tematycznych. Na pomniku ofiar drugiej wojny światowej w Czeskim Cieszynie na Konteszyńcu wmurowana została tablica pamiątkowa. W roku 2000 delegacja Stowarzyszenia Rodzina Katyńska w RC uczestniczyła w uroczystym otwarciu Polskiego Cmentarza Wojennego w Miednoje. Organizacja współpracuje m.in. z Kołem Polskich Kombatantów w RC i Stowarzyszeniem Rodzina Katyńska w Katowicach i Żorach.

Zarząd Stowarzyszenia zbiera się w każdy pierwszy wtorek miesiąca, ale na swoje spotkania zaprasza także innych członków. Przynajmniej raz w roku zwoływane jest uroczyste zebranie wszystkich członków. Tegoroczne odbyło się 15 lutego w lokalach Kongresu Polaków w Czeskim Cieszynie. Prezes Józef Pilich, przypominając przypadające na ten rok rocznice: 60 lat od zakończenia drugiej wojny światowej i 65 lat od zbrodni katyńskiej, podkreślił rolę Stowarzyszenia w ocalaniu pamięci o ofiarach ideologii totalitarnych. Powiedział m.in.: *Mamy święty obowiązek przekazać naszą wiedzę o tym wszystkim oraz nasze doświadczenia młodszej generacji, dla której te sprawy są już tylko historycznymi dziejami, i jeżeli nie dowiedzą się tego od nas, to ich zaprogramowanemu zapomnieniu nic już nie stanie na przeszkodzie. Wprawdzie historia będzie o nich mówić, ale historii nie dotyczy to, że zamordowano mojego ojca i męża mojej mamy i że całe jej i moje życie naznaczone było jego brakiem. Że musiała całe życie ciężko pracować, aby wyżywić swoje dzieci i jeszcze postarać się o ich wykształcenie. Historia nie będzie opowiadać o biedzie i poniewierce, niebezpieczeństwie i strachu o własne życie. O tym musimy opowiadać sami, dopóki żyjemy, i nigdy nie wolno nam o tym zapomnieć. Nasza organizacja służy temu właśnie celowi.*

CZESŁAWA RUDNIK

ZBRODNIA KATYŃSKA NIE ZNIKNIE Z PAMIĘCI

Katyń, całkiem zwyczajna wioska rosyjska przy szosie ze Smoleńska w kierunku Witebska, położona w pobliżu wysokiego lasu sosnowego nad zakolem Dniepru, stał się symbolem jednej z największych zbrodni wojennych dziejów nowożytnych. Musiało upłynąć pół wieku, by urzędy sowieckie przyznały, że oficerów polskich zakopanych w tych miejscach rozstrzelali w roku 1940 funkcjonariusze organów bezpieczeństwa NKWD. Na początku lat dziewięćdziesiątych odnaleziono następne masowe groby na przedmieściach Charkowa na Ukrainie i w pobliżu rosyjskiego Tweru, tak więc liczba pomordowanych polskich oficerów i policjantów zbliżyła się do niemal 15 tysięcy. Los następnych 10 tysięcy polskich więźniów był równie tragiczny, ich grobów jednak szuka się do tej pory.

Chociaż od popełnionej zbrodni dzieli nas dziś już 65 lat, ciągle nie znika z naszej pamięci. Zmarli z Katynia, Charkowa i Tweru wprawdzie doczekali

się wreszcie godnych cmentarzy, a zbrodnię przypomina już kilka tysięcy książek i prac naukowych, ale sprawiedliwości dziejowej ciągle jeszcze nie stało się zadość. Brakuje nie tylko należytego objaśnienia niektórych okoliczności zbrodni i nazwania wszystkich jej ofiar, ale przede wszystkim określenia i osądzenia wszystkich sprawców i współsprawców mordu, mimo że ze względu na dystans czasowy dzielący te wydarzenia miałoby znaczenie już raczej tylko symboliczne i moralne. Należyte doprowadzenie do końca śledztwa, do którego zobowiązał się rząd rosyjski, postępowało (zapewne celowo) tak opieszale, że większość morderców odeszła już z tego świata śmiercią naturalną. Przedmiotem sporu jest dziś przede wszystkim niechęć strony rosyjskiej do uznania mordów katyńskich za zbrodnię przeciwko ludzkości, która według prawa międzynarodowego nie ulega przedawnieniu. Dlatego rząd polski zdecydował niedawno, że śledztwo w sprawie zbrodni dokończą polskie urzędy, a stwierdzone fakty przekażą do oceny międzynarodowej.

Zbrodnia katyńska szczególnie boleśnie dotknęła również polską społeczność na Zaolziu. Chociaż po wojnie nie wolno było u nas o niej mówić, dziś jest już sprawą stosunkowo znaną. Tegoroczna rocznica tragicznych wydarzeń jest jednak dobrą okazją do krótkiego ich podsumowania i zaprezentowania czytelnikom w historycznych korelacjach.

Korzenie zbrodni

O odkryciu grobów w lesie koło Katynia świat dowiedział się już w kwietniu 1943 roku, kiedy ta część Rosji opanowana była drugi rok przez armię niemiecką, i wiadomość o zbrodni początkowo uważał za wymysł nazistowskiej propagandy. W ośmiu odkrytych grobach leżało ponad cztery tysiące oficerów polskiego wojska, zamordowanych strzałem w tył głowy. Międzynarodowa komisja lekarzy sądowych potwierdziła, a niezależnie od niej uczynili tak i eksperci Polskiego Czerwonego Krzyża, że do zbrodni doszło już wiosną 1940 roku, a więc ponad rok przed nazistowskim atakiem na ZSRR. Podczas ekshumacji znaleziono ponad trzy tysiące dokumentów, umożliwiających identyfikację większości ofiar. Udowodniono, że chodzi o polskich oficerów wziętych do niewoli przez Armię Czerwoną, która na podstawie paktu Ribbentrop-Mołotow w nocy na 17 września 1939 roku wtargnęła do Polski, rozpaczliwie broniącej się już trzeci tydzień przed agresją wojenną niemieckiego okupanta.

Naczelny wódz armii polskiej wydał wtedy rozkaz, aby jego żołnierze nie stawiali oporu Sowietom i starali się przedostać do Rumunii. Mimo że w ogóle nie ogłoszono stanu wojny między Polską a ZSRR, do niewoli wziętych zostało około 250 tysięcy polskich żołnierzy. Zwykli żołnierze zostali od

razu zwolnieni, innym udało się zbiec lub zostali przekazani Niemcom. Około 130 tysięcy jeńców deportowano ostatecznie do obozów w głębi ZSRR. Ogłosili to swoim rodzinom, ale na początku 1940 roku korespondencja z domem rodzinnym została nagle przerwana.

Pół wieku kłamstw

Kiedy w lecie 1941 roku zaczęto w ZSRR organizować polską armię zagraniczną, jeńcy na podstawie amnestii wypuszczeni zostali z obozów. Większości z wziętych do niewoli oficerów jednak brakowało. Na kilkakrotne żądania przedstawicieli polskiego rządu emigracyjnego o sensowne wyjaśnienie losu jeńców nie potrafili działacze sowieccy odpowiedzieć. Część zaginionych znaleźli potem Niemcy w Katyniu.

Oskarżenie o zbrodnię Sowieci z oburzeniem odrzucili i jako sprawców oznaczyli niemieckich okupantów. Miało to udowodnić także śledztwo sowieckiej komisji lekarskiej w styczniu 1944 roku, po wycofaniu się Niemców ze Smoleńska. Starali się za wszelką cenę przeszkodzić w tym, by śledztwo w sprawie zbrodni w Katyniu przeprowadził Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Oskarżyli nawet polski rząd emigracyjny o współpracę z Niemcami i w końcu zerwali z nim stosunki dyplomatyczne. Katyń stał się tak dobrym pretekstem do zaszeregowania Polski do sfery wpływów sowieckich, ponieważ niebawem doszło na Wschodzie do sformowania polskiego rządu o prosowieckiej orientacji. Katyń wpływał jednak także na stosunki między sojusznikami koalicji antyhitlerowskiej. Mocarstwa zachodnie znały wprawdzie z własnych i niezależnych źródeł prawdę o sprawcach mordu, w interesie utrzymania sojuszniczej jedności jednak świadomie milczały. Nie odezwały się ani po skończeniu wojny w Europie, najpierw w celu zyskania sowieckiego sprzymierzeńca w pokonaniu Japonii, później zapewne nie chciały narażać kruchej jedności powstającej ONZ i porozumień kształtujących oblicze powojennego świata. Milczały także podczas próby oskarżenia przez Związek Sowiecki o tę zbrodnię oddziałów niemieckich, do którego doszło przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze w 1946 roku. Oskarżenie zostało odrzucone jako nieprzekonujące, jednak prawdziwi sprawcy nie zostali ujawnieni.

Dopiero po doświadczeniach z wojny koreańskiej i w nowej sytuacji politycznej na świecie doszło do zmiany spojrzenia na zbrodnię katyńską. Specjalna komisja śledcza Kongresu USA w protokole końcowym z roku 1952 po rozległych dochodzeniach potwierdziła, że mord ponad wszelką wątpliwość popełnili funkcjonariusze sowieckich służb bezpieczeństwa. W krajach bloku socjalistycznego z Polską i Czechosłowacją włącznie rozpętała się przeciwko stanowisku Kon-

gresu amerykańskiego ogromna kampania propagandowa i prawda o sprawcach zbrodni była tu przez prawie czterdzieści następnych lat przemilczana lub fałszowana według sowieckiej wersji wydarzeń. Dopiero upadek komunistycznego systemu totalitarnego i rozluźnienie stosunków politycznych po roku 1989 umożliwiły udostępnienie społeczeństwu obiektywnych informacji. Do odpowiedzialności za popełnione przestępstwo przyznał się Związek Sowiecki ustami Michaiła Gorbaczowa dopiero w kwietniu 1990 roku.

Rozkaz mordu

Sowieckie (a następnie rosyjskie) urzędy zaczęły udostępniać, chociaż niezbyt chętnie, dokumenty archiwalne o zbrodni. Okazało się, że zbrodnie popełnione w Katyniu były częścią szerszego zamysłu likwidacji polskich jeńców i że dokonali ich funkcjonariusze sowieckiej NKWD na rozkaz biura politycznego komitetu centralnego sowieckiej partii komunistycznej WKP(b). Protokół z jego posiedzenia z 5 marca 1940 roku z podpisem Stalina i innych członków biura politycznego zlecał NKWD *„rozpatrzenie w trybie nadzwyczajnym"* spraw 14 700 osób zatrzymywanych w obozach dla jeńców wojennych i dalszych 11 000 osób więzionych w zachodnich regionach Ukrainy i Białorusi, *„przy użyciu najwyższej kary - rozstrzelania"*. Obrady miały przebiegać bez wzywania owych *„zażartych wrogów władzy sowieckiej"*, którzy nie mieli się nawet dowiedzieć o wniesionych oskarżeniach. W kwietniu i maju 1940 roku zwieziono ich do najbliższych zarządów obwodowych NKWD, strzałem w potylicę zamordowano i zakopano do grobów masowych, najczęściej na gruntach ośrodków rekreacyjnych NKWD.

Za najbardziej wiarygodną informację o ogólnej liczbie ofiar uważa się obecnie notatkę szefa KGB Aleksandra Szelepina z 3 marca 1959 roku, sporządzoną do sprawozdania dla ówczesnego szefa sowieckiego państwa Chruszczowa. Mowa w niej o zastrzeleniu 21 857 osób *„z byłej burżuazyjnej Polski"*, przy czym 14 552 rozstrzelanych stanowili jeńcy trzech największych obozów. Mniej więcej 4421 polskich oficerów z obozu w Kozielsku rozstrzelano w Smoleńsku i w lesie koło Katynia, gdzie zostali wrzuceni do grobów masowych. Około 3820 oficerów z obozu w Starobielsku na Ukrainie rozstrzelano w Charkowie i zakopano na przedmieściu „Piatichatki". Co najmniej 6311 polskich policjantów, funkcjonariuszy straży granicznej, finansowej i celnej, wywiadowczych i innych służb państwowych, więzionych w obozie w Ostaszkowie na jeziorze Seliger w górnym biegu Wołgi, rozstrzelano w Twerze, ówczesnym Kalininie, i zakopano koło miejscowości Miednoje, dokąd podczas wojny Niemcy w ogóle nie doszli, tak więc ta zbrodnia z całą pewnością nie mogła im zostać przypisana.

Według sprawozdania Szelepina kolejnych 7305 więźniów rozstrzelano w więzieniach zachodniej Ukrainy i Białorusi. Odnaleziony już został rejestr 3435 polskich obywateli rozstrzelanych na Ukrainie, trwają poszukiwania ich grobów koło miejscowości Bykownia koło Kijowa, koło Władzimira na Wołyniu czy koło miasta Cherson w pobliżu Krymu. Należy przypuszczać, że pozostałych 3870 osób rozstrzelanych zostało na Białorusi, zapewne w Mińsku czy w Głębokim w obwodzie witebskim. Jeśli chodzi o los owych prawie 4 tysięcy osób brakujących do ogólnej liczby wymienionej w „wyroku" biura politycznego, przypuszczają historycy możliwość deportacji polskich więźniów do gułagu koło Władywostoku, dokąd wiosną 1940 roku miało zmierzać chyba 7 transportów, każdy z około tysiącem osób, lub szukają ich grobów w związku z następnymi deportacjami, np. w Tomsku czy w Tawdzie na Uralu.

Ofiary z czeskich ziem

Wśród ofiar zbrodni katyńskiej znalazło się jednak także prawie 500 mężczyzn z obszaru dzisiejszej Republiki Czeskiej. Chodziło prawie wyłącznie o Polaków. Mniej więcej połowa z nich to osoby, które tu się urodziły, inni przyszli tu przed wojną z Polski i w czasie wybuchu wojny mieszkali tu i pracowali. Absolutna większość z tych, którzy tu się urodzili, pochodziła z terenu Zaolzia, tylko około 10 oficerów pochodziło z Morawskiej Ostrawy, Hranic, Olszan, Brzecławia, Wilemowa, Wysokiego Myta czy Domażlic. Żołnierze, czy to w służbie czynnej, czy w rezerwie, powołani zostali na końcu lata 1939 roku na front przeciw agresji hitlerowskiej. Inną, jeszcze liczniejszą grupę tworzyli funkcjonariusze polskiej policji (głównie Policji Województwa Śląskiego), żandarmerii i innych oddziałów państwowych, ewakuowani przed frontem na wschód Polski. Tam razem z żołnierzami zostali wzięci do niewoli przez Armię Czerwoną i później rozstrzelani. Niepełne do tej pory statystyki podają imiennie prawie 100 jeńców z obozu w Kozielsku pogrzebanych w Katyniu, 30 jeńców z obozu w Starobielsku pogrzebanych w Charkowie, 340 jeńców z obozu w Ostaszkowie pogrzebanych w Miednoje koło Tweru i koło 30 mężczyzn, którzy zginęli w innych obozach i więzieniach na całym obszarze byłego Związku Sowieckiego lub miejsca ich śmierci nie udało się do tej pory dokładnie ustalić.

Zamordowani oficerowie należeli do czołówki miejscowej polskiej inteligencji, chodziło bowiem w większości wypadków o oficerów w rezerwie, którzy w cywilu byli prawnikami, nauczycielami, lekarzami, przedsiębiorcami, inżynierami itp. Ofiarami Katynia stali się np. urzędnik górniczy Sylwester Burzyk z Karwiny, inżynier leśny Walerian Chromik z Dąbrowy, nauczy-

ciel historii i geografii mgr Józef Antoni Filipowski z Ostrawy-Michałkowic, major Henryk Marian Niemiec z Suchej Górnej, urzędnik hutniczy JUDr Andrzej Rieger z Ostrawy-Witkowic, profesor gimnazjum krakowskiego mgr Henryk Wilczyński ze Śląskiej Ostrawy. W Charkowie zginęli np. nauczyciel Leon Feber ze Stonawy, sędzia sądu powiatowego w Jabłonkowie JUDr Józef Markiel z Orłowej, lekarz MUDr Karol Santarius z Poręby koło Orłowej, lekarz wojskowy ppłk MUDr Adolf Wöllersdorfer z Mostów koło Czeskiego Cieszyna, inżynier Rudolf Głąb z Granic, ppłk Alfons Beseliak z Wysokiego Myta. Najliczniejszą grupę ofiar, pochowaną w Miednoje koło Tweru, tworzyli funkcjonariusze Policji Województwa Śląskiego, którzy tuż przed wojną służyli w miastach i wioskach na Zaolziu. Znamy jednak również dwóch polskich policjantów z miejscowości słowackich Czierne i Skalite, które przed wojną zostały także przyłączone do Polski. Policjantami z małymi wyjątkami byli w większości wypadków młodzi mężczyźni, którzy dopiero niedawno ukończyli zasadniczą służbę wojskową i przyjęcie do policji było dla nich mile widzianym wyjściem z problemów egzystencjalnych. W odróżnieniu od wziętych do niewoli oficerów mieli najczęściej pochodzenie robotnicze, ale sowieckie urzędy mimo to przeznaczyły ich do likwidacji, ponieważ uważani byli za szczególnie niebezpiecznych wrogów reżymu sowieckiego.

Czesi i Słowacy w Katyniu

Zbrodnie katyńskie mają także powiązania czeskie i słowackie. Czesi w protektoracie najczęściej uważali ogromną antybolszewicką kampanię w sprawie Katynia, którą naziści rozpętali także w celu ukrycia własnych olbrzymich zbrodni wojennych, jedynie za sztuczkę goebbelsowskiej propagandy. Słowacy jednak mieli na tę sprawę bardziej obiektywne spojrzenie, spowodowane bezsprzecznie ich większą wówczas samodzielnością państwową. Na żądanie nazistów z obu krajów wysłani zostali w kwietniu 1943 roku do Katynia przedstawiciele do międzynarodowej komisji lekarzy sądowych, która przeprowadzała tam ekspertyzy ekshumacyjne. Protektorat reprezentował prof. František Hájek z Uniwersytetu Karola w Pradze, Słowację prof. František Šubík z Uniwersytetu Komenskiego w Bratysławie (znany także jako poeta Andrej Žarnov). Chociaż obydwaj wspólnie z resztą lekarzy stwierdzili protokolarnie, że według stanu ciał ofiar doszło do zbrodni już w roku 1940, po wojnie musieli swoje twierdzenia oficjalnie odwołać. Hájek wydał wtedy książkę „Katyńskie dowody" („Důkazy katynské").

Z rozkazu urzędów protektoratu został wraz z międzynarodową delegacją pisarzy do Katynia wysłany także ówczesny redaktor praskiego radia František Kožík, który po powrocie upublicznił kilka reportaży. Po wojnie zosta-

ło to ocenione jako kolaboracja z nazistami i dotknęło go pewne ograniczenie działalności. W roku 1952 obydwaj z F. Hájkiem zmuszeni zostali do włączenia się w sowiecką kampanię przeciwko śledztwu Kongresu amerykańskiego (F. Šubík w tym czasie nielegalnie opuścił kraj). Prawdziwe informacje o obchodzeniu się z polskimi jeńcami w ZSRR, przekazywane przez pojedyncze osoby, którym udało się uciec z ZSRR, szerzyły się tylko tajnie. Podczas gdy około dziesięciu takich świadków ze Śląska Cieszyńskiego opublikowało swoje wspomnienia dopiero po roku 1990, słowacki weterynarz Andrej Pardel z Chyżnego na Orawie, który po aneksji tej miejscowości przez Polskę dostał się do armii polskiej, opisał swoją sowiecką niewolę w słowackiej prasie już podczas wojny. Unikalnym świadectwem z Katynia są zdjęcia ówczesnego żołnierza wehrmachtu Stanisława Lorka z Czeskiego Cieszyna, zrobione 2 kwietnia 1943 roku.

Według statystyk NKWD prawie w każdym obozie znajdował się wśród polskich jeńców jakiś Czech. W obozie Kozielsk jako Czech rodem z Czechosłowacji zgłosił się 1 oficer, w obozie Starobielsk był 1 czeski oficer pochodzący z województwa nowogródzkiego w Polsce, w obozie Ostaszków było wśród polskich policjantów 2 Czechów, a w obozie zaporoskim znalazł się wśród podoficerów armii polskiej następny Czech. Do tej pory udało się ustalić jedynie nazwisko oficera zamordowanego w Katyniu. Był nim Kamil Rafael Sýkora, urodzony 4.6.1892 w Pięciokościele na Węgrzech, kapitan piechoty w armii polskiej, który studiował w Pradze, Wiedniu i Brnie. Już przed pierwszą wojną światową był oficerem zawodowym w armii austriackiej, w roku 1918 przeszedł do legionów polskich i służył aż do roku 1939 w Dubnie. Innych Czechów nie udało się dotychczas ustalić.

Sprawiedliwość opóźnia się

Niemal pół wieku fałszowane były u nas na pomnikach i płytach pamiątkowych dane o rzeczywistym czasie śmierci ofiar katyńskich, a jako sprawcy mordu podawani byli okupanci niemieccy. Krewni ofiar mimo to uważani byli za obywateli politycznie niepewnych i różnymi sposobami szykanowano ich i represjonowano, tłumacząc, że pomordowani polscy oficerowie i policjanci we wrześniu 1939 roku walczyli przeciwko Armii Sowieckiej. Chodziło np. o przyznanie rent wdowom i o wysokość tych rent, o zakaz studiów na wyższej uczelni dla dzieci zamordowanych i o inne możliwości wykorzystania zdolności w życiu społecznym. Żadna z tych osób do dnia dzisiejszego nie doczekała się odszkodowania ani publicznych przeprosin, nie pamiętała o nich nawet niedawna ustawa o odszkodowaniach osób deportowanych do ZSRR.

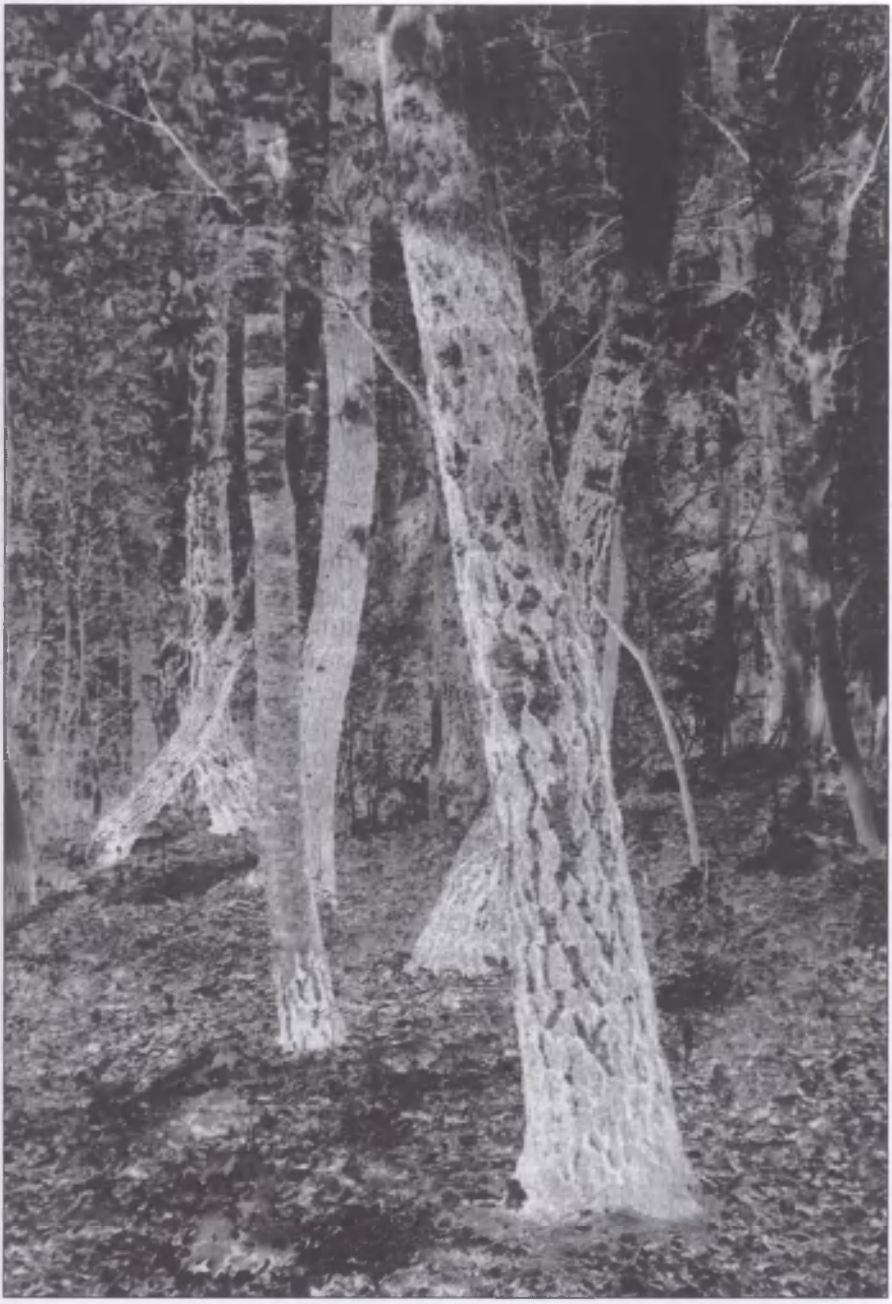
W połowie lat dziewięćdziesiątych odbyły się na wszystkich trzech do tej pory odnalezionych cmentarzyskach - w Katyniu, Miednoje i Charkowie - ekshumacje z udziałem ekspertów sądowych reprezentujących najróżniejsze dziedziny wiedzy, główne słowo należało do archeologów. Aż trudno uwierzyć, że udało się odczytać także notatki i listy, które leżały w grobach ponad pół wieku. Rosyjskie i ukraińskie urzędy w końcu zgodziły się, by na cmentarzyskach powstały polskie cmentarze wojskowe. Zostały udostępnione latem 2000 roku, a wszystkie zostały wybudowane według projektu Zdzisława Pidka z Gdańska. Tworzą je ściana pamiątkowa z głównym krzyżem i mniejszymi krzyżami w miejscach masowych grobów, mosiężne tabliczki z nazwiskami i danymi o wszystkich pomordowanych i podziemny dzwon, którego głęboki głos podczas nabożeństw majestatycznie przepływa po całym cmentarzu i symbolicznie łączy zmarłych z żywymi. We wszystkich trzech miejscach wybudowane zostały także pomniki miejscowym ofiarom sowieckiego reżymu totalitarnego, które spoczywają w niedalekich grobach. W Rosji stało się to podobno po raz pierwszy, by do uczczenia pamięci ofiar stalinizmu doszło na podstawie decyzji państwa, a nie jedynie z inicjatywy stowarzyszeń społecznych, jak to bywało wcześniej. W Katyniu założone zostało nawet muzeum państwowe. Zajmuje się jednak przede wszystkim badaniem ofiar sowieckiego reżymu spośród miejscowej ludności regionu smoleńskiego, które również pochowane zostały w Lesie Katyńskim. Wydaje się, że chodzi tu o próbę włączenia mordu polskich oficerów w ogólne ramy środków represyjnych sowieckiego państwa i w ten sposób zamaskowania jego znaczenia jako nieulegającej przedawnieniu zbrodni przeciwko ludzkości.

Już w roku 1993 powstało w Warszawie Muzeum Katyńskie, które przypomina o wszystkich ofiarach katyńskich i obiektywnie dokumentuje przebieg zbrodni. Nadzwyczajne wrażenie robią zwłaszcza setki przedmiotów wyjętych przy pracach ekshumacyjnych z masowych grobów. Muzeum znajduje się na ulicy Powsińskiej nr 13 w dawnej fortecy Warszawy w dzielnicy zwanej Sadyba, dokąd łatwo dotrzeć z dworca centralnego na końcowy przystanek linii autobusowej nr 131. Jeśli pojedziecie Państwo do Warszawy, proszę nie zapomnieć tam zajrzeć.

Chociaż może zabrzmi to patetycznie i przesadnie, wszystko jednak wskazuje na to, że przyszłość ludzkości zależy w znacznym stopniu od tego, czy potrafi wyciągnąć wnioski z minionych ludobójstw i zbrodni przeciwko ludzkości. Dlatego ani ostrzegawcze orędzie zbrodni katyńskiej nie może zostać zapomniane.

MEČISLAV BORÁK

Tłum. M.R.



Fot. FRANCISZEK BAŁON

POLACY NA ZAOLZIU W 2. POŁOWIE LAT PIĘĆDZIESIĄTYCH XX WIEKU (II)

Na posiedzeniu 19 maja 1957 r. Powiatowa Rada Narodowa w Czeskim Cieszynie ponownie odrzuciła postulaty mniejszości polskiej dotyczące kwestii językowych. Decyzję argumentowano z jednej strony zapisami Protokołu Dodatkowego do Umowy Polsko-Czechosłowackiej z 10 marca 1957 r., regulującymi działania podejmowane w stosunku do mniejszości, które nie zawierały zapisów mówiących, że w kontaktach z Polakami w Czechosłowacji należy używać języka polskiego i odwrotnie. Za podstawową zasadę polityki wobec mniejszości uznano zasadę wzajemności, bez względu na stan liczebny czeskiej mniejszości w Polsce, czyli aktualny stan liczebny, na podstawie którego rady narodowe udzielały odpowiedzi po czesku na podania składane w języku polskim. Zgodnie z uchwałą Powiatowej Rady Narodowej stosowanie języka polskiego w kontaktach urzędowych byłoby uzasadnione w wypadku nieznajomości języka czeskiego przez przedstawicieli mniejszości, a taka sytuacja na Zaolziu nie miała miejsca. Odrzucono również postulat wprowadzenia dwujęzycznych nazw miejscowości.

Również rezultaty obrad V Zjazdu PZKO, który odbył się 21 lipca 1957 r. w Czeskim Cieszynie, nie zostały pozytywnie przyjęte przez władze powiatowe i okręgowe, jak też centralne. Mimo że czołowi przedstawiciele PZKO, chociażby prezes Adolf Kubeczka, negatywnie ustosunkowali się do wystąpienia Karola Ponczy, który *wywołał nieprzyjemne zaskoczenie*, to sam Poncza został członkiem Zarządu Głównego. Zastrzeżenia kierowano również w stosunku do pierwszego wiceprezesa Józefa Mrózka. Mimo iż przedstawiciele KPC już wówczas zdecydowanie odrzucali tzw. teorię dwóch ojczyzn, stojący na czele delegacji polskiego Ministerstwa Kultury G. Kałużny mówił o Polsce jako o matce wszystkich Polaków i zapraszał reprezentantów PZKO oraz polskie zespoły artystyczne do odwiedzania Polski. Stało się tak, chociaż przedstawiciele czeskiego Ministerstwa Szkolnictwa i Kultury deklarowali podczas Zjazdu, że takie wyjazdy można organizować jedynie za ich pośrednictwem. Bez reakcji ze strony delegatów zostało natomiast pozostawione wystąpienie sekretarza Komitetu Okręgowego KPC w Ostrawie Bohuslava Bělovskiego, nawiasem mówiąc

byłego sekretarza powiatowego KPC w Czeskim Cieszynie, który wygłosił krytyczne uwagi pod adresem PZKO.

Materiały Wydziału Agitacji i Propagandy Komitetu Centralnego KPC świadczą o tym, że kierownicze organy KPC, a także Ministerstwo Szkolnictwa i Kultury, negatywnie oceniało przebieg Zjazdu. Według dokumentów, niezawierających co prawda dat ani podpisów, lecz służących bez wątpienia jako materiały przedkładane najwyższym organom KPC, zjazd doprowadził do *umocnienia pozycji sił burżuazyjno-nacjonalistycznych, szowinistycznych i separatystycznych*. Za przejaw tendencji nacjonalistycznych uznano pojawienie się polskich flag obok czechosłowackich czy też próby odegrania podczas zjazdu polskiego hymnu narodowego. W dokumentach tych zarzucano PZKO, że jego działalność skierowana jest jedynie do osób narodowości polskiej i nie włącza się w organizowanie wspólnych polsko-czechosłowackich wieczorów kulturalnych ani imprez masowych. Wyrażano również niezadowolenie w stosunku do działalności grup partyjnych przy radach powiatowych PZKO na rzecz wychowania w duchu czechosłowackiego patriotyzmu socjalistycznego. O tym, że podobnych działań władze nie podejmowały jedynie wobec obywateli narodowości polskiej, świadczy fakt, że dokumenty KC KPC w podobnym duchu krytykują również działalność węgierskiego stowarzyszenia kulturalnego Csemadok, jak również ukraińskiego KSUP, mimo że z jego szeregów z pewnością nigdy nie płynęły pretensje w stosunku do polityki prowadzonej przez KPC. Aktywność stowarzyszeń mniejszości narodowych, według tych dokumentów, *prowadzi, czy to w sposób świadomy, czy też nie, do szkodliwego izolacjonizmu*. Działaczy obwiniano o *zastępowanie uprawnień rad narodowych, innych organizacji masowych, a czasem nawet partii*. Przy tym ostrze krytyki było skierowane tak naprawdę wobec działań zapisanych w statutach tych organizacji.

Zjazd PZKO przyjął również nowy statut, w którym zapisano jego podporządkowanie Okręgowej Radzie Narodowej w Ostrawie i Komitetowi Okręgowemu KPC w Ostrawie. Mimo to krytykowano Związek, że *nigdy w sposób zadowalający nie spełniał i do dnia dzisiejszego nie spełnia* swojego głównego zadania, którym jest *mobilizowanie polskich ludzi pracy do świadomego uczestnictwa w budowie socjalizmu w naszym kraju*. Działalność kulturalno-oświatową PZKO, według dokumentów KC KPC, rozumiał *raczej jako cel sam w sobie, a nie jako środek służący wychowaniu socjalistycznemu obywateli polskiej narodowości*. Ponosił więc odpowiedzialność za to, że *nasi polscy współobywatele wciąż jeszcze nie czują się w naszej ojczyźnie jak w domu*. W związku z tym w pracę na rzecz obywateli narodowości polskiej miała się bardziej zaangażować ostrawska Okręgowa

Rada Narodowa oraz Ministerstwo Szkolnictwa i Kultury CSR. Związek obywateli narodowości polskiej z państwem czechosłowackim planowano również wzmocnić, między innymi ograniczając ilość literatury przywożonej z Polski na rzecz zwiększenia ilości tytułów czeskiej i słowackiej beletrystyki, tłumaczonej na język polski. Komisja Wydawnicza przy Zarządzie Głównym PZKO znalazła się w ogniu krytyki właśnie dlatego, że nie wydawała przekładów dzieł pisarzy czeskich i słowackich i koncentrowała się jedynie na wydawaniu prac miejscowych polskich autorów. W podobnym duchu krytykowano również polskie zespoły teatralne za to, że wystawiały jedynie sztuki związane z życiem Polaków na Śląsku Cieszyńskim.

Kampanię przeciwko polskiemu nacjonalizmowi kontynuowano również na posiedzeniu Komitetu Okręgowego KPC w Ostrawie 5–6 września 1957. Ponownie skrytykowano na nim polskie postulaty *o jasnych tendencjach nacjonalistycznych*, na przykład związane z utworzeniem samodzielnej szkoły muzycznej, dodatkowej klasy w szkole pedagogicznej, włączanie młodzieży w działalność PZKO czy też powołanie (a ściślej mówiąc wznowienie działalności) samodzielnych polskich klubów sportowych. Ponownie wskazywano, że wśród Polaków przejawia się brak jasności w kwestii postrzegania ojczyzny. Prezes Zarządu Głównego PZKO A. Kubeczka odpowiedział stwierdzeniem, że większość członków Zarządu Głównego zrozumiała, że ich ojczyzną jest Czechosłowacja, jednocześnie jednak zwrócił uwagę, że PZKO w ramach swojej działalności kulturalnej i „masowo-politycznej" niezbędne są również materiały pochodzące z Polski. Jako że posiedzenie to miało miejsce już po posiedzeniu KC KPC (odbyło się ono 13–14 czerwca 1957), na którym sekretarz KC KPC Jiří Hendrych wypowiedział wojnę nie tylko rewizjonizmowi, lecz również religii, nowego wymiaru nabrała kwestia tzw. polskiego nacjonalizmu burżuazyjnego. Argumentem przeciwko tzw. teorii dwóch ojczyzn stały się więc dodatkowo dyskusje prowadzone wówczas w Polsce na temat różnych dróg do socjalizmu, a zwłaszcza odmienny stosunek państwa polskiego wobec religii i kościołów. Ważnym argumentem przeciwko przywożeniu czasopism z Polski był fakt, że, zdaniem przedstawiciela STD w okręgu ostrawskim, w 70 procentach przejmowały one wzorce z czasopism zachodnich.

Import polskiej prasy został następnie skrytykowany podczas ogólnokrajowej narady pracowników odpowiedzialnych za pracę z obywatelami innych narodowości, która odbyła się 10 października 1957. Na Zaolzie rzekomo sprowadzano ponad 700 egzemplarzy polskich czasopism, z czego do samej tylko Karwiny miało być kierowanych aż 300 czasopism

o tematyce katolickiej. Krytykowano również przywożenie literatury religijnej dla potrzeb polskich wiernych, a szczególnie, że PZKO zamówiło w Polsce druk 5 tysięcy egzemplarzy śpiewników kościelnych. Zamówienie to nie zostało zresztą w końcu zrealizowane. Przyczyniła się do tego grupa partyjna przy Zarządzie Głównym PZKO i Komitet Okręgowy KPC w Ostrawie. W celu ograniczenia wpływu *zorientowanych prozachodnio czasopism ilustrowanych sprowadzanych z PRL* rozważano zwiększenie ilości tytułów polskiej prasy narodowościowej, na przykład o wydawanie polskiej mutacji Světa sovětů, wydawanie innego czasopisma polskojęzycznego, które nawiązywałoby do relacji ostrawskiej redakcji Radia Czechosłowackiego w języku polskim i ostatecznie o zmianie częstotliwości ukazywania się Głosu Ludu, który miał stać się dziennikiem. Jednak również w tym wypadku nie kierowano się chęcią zaspokojenia postulatów Polaków, lecz za wszelką cenę chciano *przeciwstawiać się wpływom mediów z macierzystej Polski.*

Wkrótce jednak okazało się, że zrealizowanie nieraz przeciwstawnych postulatów wysuwanych przez organy partyjne i miejskie nie będzie rzeczą łatwą. Jako że w niepolskich miejscowościach na Śląsku Cieszyńskim i na ziemi ostrawskiej, a w zasadzie na całych północnych Morawach, panowały silne antypolskie nastroje, polskie zespoły artystyczne nie miały możliwości uczestniczenia w okręgowych konkursach twórczości ludowej czy też występowania w innych czeskich i morawskich okręgach, które z kolei nie przejawiały nimi zainteresowania. Kolejny postulat wysuwany przez Ministerstwo Szkolnictwa i Kultury CSR wobec PZKO stanowił, by w nowym statucie związku zawarty był jednoznaczny zakaz wpływania na dyrektorów szkół z polskim językiem wykładowym, gdyż w przeszłości ZG PZKO był organizatorem ich spotkań, podobnie jak i spotkań klubów polskich studentów na uczelniach wyższych. Ministerstwo w piśmie z 16 grudnia 1957 wyznaczyło nowe zadanie dla Krajowej Rady Narodowej w Ostrawie – pozyskiwanie czeskich nauczycieli w celu wzmocnienia organizacyjnego czeskiej aktywności kulturalnej na Zaolziu. Władzom komunistycznym nadal jednak nie udało się odwołać niewygodnego Pawła Kubisza z prowadzenia Zwrotu i SLA.

Pretekstem do nowych ataków wobec PZKO ze strony Ministerstwa Szkolnictwa i Kultury stały się szkolenia działaczy PZKO w grudniu 1957. Według relacji R. Tomisa dla III Wydziału KC KPC z 20 grudnia 1957, utrzymanej w nadzwyczaj dramatycznym tonie, *zdecydowana większość uczestników szkolenia wyrażała bardzo niebezpieczne rewizjonistyczne i szowinistyczne poglądy*, a tylko dwóch zajmowało *stanowiska partyjne*. Po konflikcie z redaktorem naczelnym Głosu Ludu Tomis rzekomo doszedł do

wniosku, że *polski problem i Śląsk Cieszyński jest jeszcze poważniejszy, niż można było sądzić po przebiegu V Zjazdu PZKO*. Podkreślił, że rzekomo osobiście zapobiegł sprowadzeniu aż 40 tysięcy egzemplarzy książek o treści klerykalnej z Polski, co jednak było mocno zawyżoną liczbą.

Podczas szkoleń ponownie pojawiły się pytania o kwestię rozumienia pojęcia ojczyzna, a także różnicę pomiędzy pojęciem narodu a mniejszości narodowej. Pytania i wystąpienia uczestników dotyczyły kwestii, jaką kulturę tworzy mniejszość narodowa i którego narodu jest ona częścią, na jakich tradycjach narodowych powinna się opierać i w duchu jakich tradycji narodowych powinny być wychowywane dzieci członków mniejszości. Uczestnicy domagali się, by polska kultura była rozumiana jako kultura narodowa. Ponownie poruszano problematykę dwujęzyczności i używania języka polskiego w kontaktach urzędowych. Żądano prawa do posługiwania się językiem polskim podczas każdych obrad i otrzymywania odpowiedzi tylko w swoim języku. Występowano również przeciw samoczynnej asymilacji. Znamienna była argumentacja, że gdyby młodzież miała możliwość działania narodowościowego, możliwe, że nie chodziłaby do kościoła. Krytykowano również działania Czechosłowackiego Związku Młodzieży, który nie poświęcał wystarczającej uwagi polskiej młodzieży, pojawiały się również zastrzeżenia w związku z likwidacją Związku Młodzieży Polskiej w 1948 roku. Rzekomo poruszano również kwestię tzw. Platformy Cieślara, zdaniem uczestników spotkań *Cieślar być może się mylił, lecz potem bez konsultacji go wykluczono*. Krytykowano słabą pozycję Polaków w państwowym aparacie partyjnym, w związku z dwujęzycznością wskazywano, że w przeszłości była ona sprawą oczywistą: *Domagamy się najdrobniejszych rzeczy od czasów austro-węgierskich*. Mówiono również o majątku zlikwidowanych polskich stowarzyszeń, uczestnicy szkoleń żądali, by zostały one przekazane PZKO. Wyrazili również sprzeciw wobec planów odwołania Pawła Kubisza z kierownictwa Zwrotu i SLA, jednocześnie żądając wstrzymania wydawania dzieł czeskich nacjonalistycznych autorów, na przykład Petra Bezruča, czy też A. M. Tilšowej. Zastrzeżenia kierowano również w stosunku do samej polityki KPC: *Co zrobi partia w celu zadośćuczynienia za krzywdy, których Polacy doznawali w przeszłości? (...) Co partia zamierza zrobić z czeskim szowinizmem?*

JURAJ MARUŠIAK

Autor jest pracownikiem Słowackiej Akademii Nauk w Bratysławie. Wykaz dokumentów i literatury, z której korzystał, opublikujemy wraz z III cz. tekstu w następnym numerze.

Następnego dnia, to jest 18 września, po przegrupowaniu strzelcy podhalańscy sforsowali kanał na prawym skrzydle, w rejonie Kijkut, i uchwycili solidny przyczółek. W nocy saperzy zbudowali most, przez który o świcie następnego dnia przeprawiła się cała brygada z 10. pułkiem strzelców konnych na czele. Niemcy ponownie kontratakowali, ale tym razem ich bataliony dostały się pomiędzy szwadrony strzelców konnych uzbrojone w czołgi typu Crommwel i zostały zdziesiątkowane. Natarcie naszych tym razem zakończyło się powodzeniem. Wzmocniony czołgami 9. batalion strzelców opanował Axel, a do wieczora brygada wyszła półkolem na północ, wschód i zachód od miasta. Obydwa pułki artylerii ze stanowisk ogniowych na północ od miasta ostrzeliwały port Terneuzen.

20 września rozbito zgrupowanie gen. Neumana w ujściu Skaldy. Brygada z trzema zgrupowaniami uderzyła w kierunku północnym. Wszystkie zgrupowania dotarły do wybrzeża Skaldy i zdobyły na lewym skrzydle miasto i port Terneuzen. W rejonie de Golete szwadron 10. pułku strzelców konnych podszedł do ujścia Skaldy w momencie, kiedy cztery barki załadowane wycofującymi się Niemcami utknęły na mieliźnie w odległości 1-1,5 km od brzegu. Szwadron zaczął strzelać ze wszystkich dział, do których niebawem dołączyły armaty pułku artylerii. Wszystkie barki zostały rozbite, a przypływ morza dokończył robotę czołgów i dział. Tego samego dnia nasz pułk opanował Hulst.

W tej fazie walk nasza dywizja straciła 329 żołnierzy, biorąc do niewoli 1173 jeńców, niszcząc i zdobywając znaczną ilość bojowego sprzętu. Do 27 września dywizja odpoczywała podobnie jak po operacji pod Falaise.

Nasz pułk po poniesionych przy przeprawie pod Dubosch stratach odpoczywał w nadgranicznej belgijsko-holenderskiej wiosce o nazwie po stronie belgijskiej La Clinge, a po holenderskiej stronie De Clinge. Z tą graniczną wioską wiążą się moje osobiste wspomnienia. Przy porannej toalecie naszej załogi zjawiła się młoda, może szesnastoletnia dziewczyna i z zainteresowaniem przyglądała się naszym czynnościom. Była to ciekawość raczej dziecięca niż panieńska. Ja, przedstawiciel młodszej generacji naszej załogi, nawiązałem z nią rozmowę, jeśli to tak było można nazwać. Dziewczynka na moje pytania w języku niemieckim odpowiadała w swej mowie ojczystej, to jest w języku flandryjskim. Język ten należy do zachodniej grupy języków germańskich i podobieństwo brzmienia niektórych wyrazów było widoczne. Cho-

ciaż moje pytania były proste, na przykład: jak ci na imię, ile masz lat, gdzie mieszkasz, nie zawsze były należycie zrozumiane i często korzystaliśmy z pomocy naszych rąk i mimiki. Dla postronnego obserwatora rozmowa mogła wyglądać komicznie, dla nas była ona, w moim przekonaniu, zalążkiem rodzącej się wzajemnej sympatii, podpartej kilkoma tabliczkami czekolady, które jej wręczyłem. Nazywała się Georgette (Żorżet), była jedynaczką w rodzinie Emila i Marii Brayartów, którzy byli właścicielami małego domku rodzinnego niedaleko miejsca naszego postoju. Wkrótce zjawiła się i jej matka, która, widząc w wiaderku zamoczoną bieliznę, zaofiarowała się, że ją upierze. W zamian za to odwdzięczyliśmy się jej zapasami suchego prowiantu. Tym sposobem była spełniona zasada obopólnej korzyści. Zaś moja krótka, bo zaledwie dwa dni trwająca znajomość z Żorżetą, była założona na innej zasadzie, która jak świat światem wyraża się szeroką paletą odczuć od kokieterii przez sympatię do miłości włącznie, jak to bywa u młodych. Żorżeta, której fotografia znajduje się do dziś w mym rodzinnym albumie, była ładną czarnooką i czarnowłosą dziewczyną, której urok osobisty polegał na pięknym uśmiechu, wrodzonej dziewczęcej nieśmiałości i tajemniczym błysku oka. Nic więc dziwnego, że ja, i nie tylko ja, dziewiętnastoletni „wiarus", uległem jej ni to dziecięcym, ni to panieńskim urokom. Tę krótką znajomość starałem się kontynuować. Niestety 1. dywizja pancerna po kilkudniowym wypoczynku w rejonie na zachód od Antwerpii otrzymała nowe zadanie - przekroczyć kanał Antwerpia - Turnhout i nacierać przez Merxplas w kierunku na Baarle Nassau a później Tilburg. Dla dywizji była to bezpośrednia kontynuacja udziału w bitwie o Antwerpię, a tym samym bojów pod Gandawą i pod Axel z tą różnicą, że nadchodzące natarcie miało zupełnie odmienny charakter od poprzednich walk. Zdecydowany opór nieprzyjaciela, liczne jego kontrataki, leśny i bagnisty teren wymagały nowego podejścia do rozwiązywania konkretnych zadań.

Gen. Maczek zdecydował, że w pierwszym rzucie będzie nacierała 3. brygada strzelców wzmocniona dwoma pułkami pancernymi i wspierana przez całą artylerię dywizji. Drugi rzut stanowiła 10. brygada kawalerii pancernej, w tym i nasz 10. pułk dragonów. Po przygotowaniu artyleryjskim, w którym wzięła udział i artyleria 49. dywizji piechoty, 3. brygada strzelców rozpoczęła w godzinach popołudniowych natarcie i spotkała się ze zdecydowanym oporem części niemieckiej 719. dywizji piechoty, niemniej jednak zdołała przełamać skraj obrony. Po dwóch dniach walk przy zastosowaniu manewru oskrzydlającego wieczorem 30 września brygada zdobyła Merxplas oraz przyczółek na kanałach przegradzających drogę ku północy. Zdobyto sześć dział 155 mm na stanowiskach ogniowych wskutek manewru skierowanego na tyły obrony niemieckiej.

Pierwszego października dowódca dywizji gen. Maczek wprowadził do pierwszego rzutu wprawo od 3. brygady strzelców 10. brygadę kawalerii pancernej, która po odparciu niemieckiego kontrataku opanowała bardzo silnie broniony punkt oporu Zondereigen. Miejscowość ta była następnego dnia parokrotnie, ale bezskutecznie atakowana przez nieprzyjaciela. Od tego dnia dywizja nacierała dwoma brygadami w pierwszym rzucie. W nocnym natarciu z 3 na 4 października zostało opanowane miasto Baarle Nassau. Do wieczora 5 października wyszła wysuniętym klinem na obszar o kształcie trójkąta, napotykając znaczny opór nieprzyjaciela. Dowództwo dywizji zażądało wsparcia lotniczego. Taktyczne lotnictwo zaangażowane na innym odcinku frontu nie od razu udzieliło nam żądanego wsparcia. Nasz 10. pułk dragonów wraz z czołgistami 24. pułku ułanów posunął się do przodu, zdobywając teren walk, na który uprzednio zażądano lotniczego wsparcia. Jakże niemiły i groźny był pomruk samolotów nadlatujących nad nasze głowy. Szybko rozciągaliśmy kolorowe chusty rozpoznawcze i wystrzeliwaliśmy kolorowe rakiety, które miały być znakiem rozpoznawczym dla lotników, iż chodzi o tereny już zajęte przez aliantów. Niestety załogi kilkunastu Spitfireów nie zareagowały na nasze znaki i z żelazną konsekwencją zrzuciły swoją porcję bomb tam, gdzie tego przedtem zażądaliśmy. Szukaliśmy schronienia, gdzie kto mógł. Najwięcej z nas szukało ratunku pod czołgami i pojazdami opancerzonymi, które chroniły przynajmniej przed odłamkami. Wczołgałem się i ja pod czołg typu Sherman i tam, dygocąc ze strachu wśród huku eksplozji i szczękających o gąsienice pojazdu odłamków, przeżyłem na własnej skórze grozę ataku lotniczego. Nie był to pierwszy ani ostatni przypadek ataku lotniczego na własne oddziały. Tym razem jednak błąd tkwił w naszym dowództwie, powinno było powstrzymać naszą ofensywę do czasu nalotu lub operatywnie zawiadomić lotnictwo o zmianie współrzędnych celu bombardowań. Na szczęście ofiar w ludziach nie było poza kilku rannymi i straty materialne były niewielkie.

Po zdobyciu dużej wsi Alphen i opanowaniu gęsto zaminowanych lasów w rejonie Kvalburga nastąpiła przerwa w natarciu. Polska dywizja wyskoczyła daleko naprzód w stosunku do sąsiadów i niebezpiecznie wbiła się klinem w głąb ugrupowania wojsk niemieckich. Otrzymała rozkaz zatrzymania się i zorganizowania obrony zdobytego terenu. Obrona rejonu Baarle Nassau trwała do 25 października. Mimo iż żadna ze stron nie atakowała, dalej trwała ożywiona działalność patroli i ostrzał artyleryjski.

Początek kolejnego natarcia został zsynchronizowany ze wznowieniem działań zaczepnych w pasie 21. Grupy Armii. Pierwszy korpus brytyjski 1. armii kanadyjskiej miał nacierać głównymi siłami przez Roozendaal ku ujściu Mozy. Polska 1. dywizja pancerna jako prawoskrzydłowa miała przeciąć dro-

gi manewru nieprzyjaciela na trasie Breda - Tilburg i opanować Oosterhout. W czasie natarcia zadanie to zostało zmienione i dywizja dostała rozkaz zdobycia przyczółka pod Moerdijk. Fortyfikacje Moerdijku strzegły takiej przeprawy na Mozie, przez którą - jak świat światem - zawsze przetaczały się pochody wojenne. Ale na drodze do Moerdijku Holendrzy, wiele wieków temu, zbudowali w węźle dróg lądowych i wodnych miasto Bredę i wszelkie wojska idące wzdłuż wybrzeża Morza Północnego z południa na północ musiały przed dojściem do Mozy zdobyć przy drodze Bredę. W historii robili to już Francuzi, Hiszpanie, Austriacy i Anglicy. W październiku 1944 roku przyszła kolej na Polaków.

Z rejonu Alphen dywizja obiema brygadami w jednym rzucie posuwała się w trudnym, poprzecinanym kanałami i zaminowanym terenie przez Bavel i Gineken na Bredę. Po drodze trzeba było łamać opór nieprzyjaciela i odpierać jego kontratak na prawym skrzydle dywizji. Do dnia dzisiejszego utkwiło mi w pamięci kilka niecodziennych przeżyć związanych z tym natarciem i walkami o Bredę i Moerdijk. Otóż w czasie akcji w okolicach Bavel nasz szwadron wziął do niewoli kilkudziesięciu jeńców, którzy nie zdążyli wycofać się i podnosili ręce. Była już późna popołudniowa godzina i zaczęło się ściemniać. Cały kłopot polegał na tym, że podczas ataku nie było nikogo, kto mógłby jeńców odprowadzić na tyły. Jeńców rozdzielono między poszczególne drużyny szwadronu. Naszej załodze przydzielono do pilnowania trzech w średnim wieku. Umieściliśmy ich na naszym pojeździe i według rozkazu posuwaliśmy się w kierunku Bredy, gdzie w toczących się na przedmieściach walkach dawaliśmy ogniowe wsparcie. Paradoksalna sytuacja, posuwająca się do przodu jednostka wiozła z sobą potencjalnych nieprzyjaciół, którzy, aczkolwiek w mniejszości i nieuzbrojeni, mogli w razie kontrataku nieprzyjaciela stanowić zagrożenie.

Po zatrzymaniu się kolumny na szerokiej przedmiejskiej ulicy okolonej domkami zdarzył się nieoczekiwanie następujący wypadek. W czasie strzelaniny z karabinów maszynowych w stojący przed nami ciągnik nagle uderzył pocisk. Spadł jakby piorun z jasnego nieba. Potężny huk, a następnie słup ognia rozświetlił ulicę. Na miejscu podniosła śmierć załoga wraz z jeńcami, jedynie kierowca pojazdu niby płonąca pochodnia wyczołgał się i upadł na ziemię. Załoga najbliżej stojącego pojazdu skoczyła mu na pomoc, nie zważając na to, że amunicja, która znajdowała się w płonącym ciągniku, może w każdej chwili wybuchnąć. Ugasiła na nim płonące odzienie i odniosła w bezpieczne miejsce. Jak później dowiedzieliśmy się, kierowca jednak zmarł w szpitalu z powodu odniesionych ran, głównie z powodu ciężkiego poparzenia ciała.

Początkowo myśleliśmy, że pojazd został trafiony pociskiem przeciwpan-

cernym typu pancerfaust przez ukrytego Niemca. Rzuciliśmy się z bronią przygotowaną do strzału do przeszukiwania przydomowych ogródków otoczonych żywopłotami. Nie znaleźliśmy nikogo. Kiedy wracałem w kierunku naszego cariersa, w poświacie płonącego pojazdu zauważyłem za żywopłotem sąsiedniego ogródka sylwetkę człowieka, który nagle zniknął z mego pola widzenia. Mając wtedy nerwy napięte do granic wytrzymałości, zarepetowałem broń i już miałem oddać serię strzałów, gdy postać ponownie wyłoniła się z ciemności. W ostatnim momencie przed naciśnięciem spustu zawołałem jakby odruchowo: Kto tam. Odezwał się znajomy głos kolegi z pierwszej drużyny pepanców. Kazek, bo tak nazywał się ów dragon, podobnie jak ja penetrował teren, a przy okazji załatwił swoją potrzebę. Przykucnął i ponownie powstał. Spocony ze zdenerwowania w duchu podziękowałem Bogu, że w ostatniej chwili powstrzymał mnie od oddania strzałów i zabronił dalszej ludzkiej tragedii. Kazek nawet nie był świadom grożącego mu przed chwilą niebezpieczeństwa. Tylko ja w pełni uświadomiłem sobie swoją odpowiedzialność za czyn, który dla niego mógł oznaczać śmierć lub w najlepszym wypadku kalectwo, a dla mnie, nie mówiąc już o dyscyplinarnym dochodzeniu, wyrzuty sumienia na całe życie. Wróciliśmy wspólnie do naszych pojazdów. Tam już do podstawionych samochodów załadowywano jeńców. Tej nocy nikt nie spał, a wczesnym rankiem po odparciu kontrataku niemieckiego na prawe skrzydło dywizji obydwa zgrupowania wkroczyły z dwóch stron do Bredy, entuzjastycznie witane przez jego mieszkańców. 30 października zakończono oczyszczanie miasta z resztek gniazd oporu, po czym Polacy wyszli na północne i zachodnie przedmieścia Bredy.

Jeszcze jeden epizodyczny wypadek wydarzył się tej nocy i rankiem następnego dnia. Na szosie wiodącej z Bredy do Tilburga w wiosce Dorst pozostawiono mały oddział w sile 1 szwadronu, który miał ubezpieczać prawą flankę postępującej w kierunku Bredy ofensywy. W wiosce, w szarym półmroku, nasi wzięli do niewoli kilkunastu jeńców, nie wiedząc, że po domach, stodołach i zabudowaniach gospodarczych ukryły się większe zgrupowania nieprzyjaciela. Witający nasze oddziały Holendrzy w obawie o swój los i majątek milczeli i nie informowali naszych o ukrytych niemieckich żołnierzach. Rankiem nieprzyjaciel kontratakiem zaskoczył nasze posterunki i wspólnie z ukrytymi żołnierzami prawie bez strzału rozbroił nasz oddział. Żołnierze niemieccy obrabowali naszych dragonów ze wszystkich cenniejszych rzeczy. W tym samym czasie przejeżdżało na motocyklach przez opanowaną przez Niemców wioskę dwu naszych dywizyjnych gońców. Jednemu z nich udało się pomimo ostrzału przedrzeć do Bredy i zameldować w dowództwie o zaistniałej w wiosce sytuacji. Dowództwo natychmiast skierowało tam dwanaście czołgów i kompanię strzelców, którzy okrążyli wioskę i po oddaniu kilkudzie-

sięciu strzałów z dział czołgów i krótkiej, ale zaciętej walce zdobyli wioskę i odbili naszych dragonów, których Niemcy nie zdążyli odsunąć na własne zaplecze. Tym razem było odwrotnie. To nasi nie tylko odebrali swoje przedmioty, ale co cenniejsze rzeczy jeńców niemieckich powędrowały do kieszeni naszych żołnierzy. Najgorzej na tym wyszli mieszkańcy wioski. Kilka budynków zostało zniszczonych i jedna stodoła spalona. Nie musiało to tego dojść, gdyby wcześniej powiedzieli naszym o ukrytych po domach i stodołach nieprzyjacielskich żołnierzach.

Jeszcze tego samego dnia, to jest 30 października, 10. pułk strzelców konnych wyruszył na północny zachód przez Beek z zadaniem rozpoznania przepraw na rzece Mark, na najkrótszej drodze do Moerdijk. Zaraz za nim poszły: 8. batalion strzelców, 2. pułk pancerny i batalion podhalański. Zgrupowanie to pod dowództwem pułkownika Skibińskiego otrzymało zadanie sforsowania rzeki. 31 października 8. batalion strzelców wspierany przez artylerię przeprawił się na północny brzeg i uchwycił przyczółek. Przyczółek był mocny, ponieważ udało się od razu przerzucić szwadron czołgów 2. pułku pancernego. Żołnierze z determinacją odpierali bardzo zajadłe kontrataki niemieckie i przyczółek trzymał się twardo jeszcze przez cały dzień, 1 listopada, jednak pod wieczór tego dnia dowódca 1. korpusu brytyjskiego gen. Crocker nakazał ewakuację północnego brzegu. Strzelcy brabanccy wycofali się więc w ciągu nocy w dużym porządku, ale bardzo zdziwieni i rozczarowani.

Niezbadane są wyroki wysokich dowództw. W każdym razie 3 listopada 10. brygada kawalerii sforsowała ten sam kanał, tyle, że na północny wschód od Bredy, pod Ter Aalst i rozpoczęła atak na Moerdijk. Teren był piekielnie trudny, same bagna i zalewy niepozwalające na przeprowadzenie najskromniejszego nawet manewru, a hitlerowcy stawiali bardzo zacięty opór. Do rana 5 listopada 10. brygada zdołała tylko rozszerzyć przyczółek w kształcie półkola wyznaczonego przez miejscowości Made, Quedekerk, Helkant, Hoogerheide i Wagenberg. Od tego dnia dalsze prowadzenie ataku przejęła 3. brygada strzelców, dysponująca poza własnymi batalionami jeszcze dwoma pułkami czołgów, tj. 10. pułkiem strzelców konnych i 24. pułkiem ułanów, i zmasowanym wsparciem artylerii dywizyjnej i armijnej grupy artylerii. Była to znaczna koncentracja artylerii, która jednakże nie była w stanie wykorzystać całego potencjału, musiała bowiem oszczędzać amunicję. Trzeba było jeszcze czekać ponad trzy tygodnie na otwarcie portu w Antwerpii i dopiero od początku grudnia kanonierzy mogli sobie używać, ile dusza zapragnęła. W boju pod Moerdijkiem spowodowali dość znaczne efekty akustyczne i pirotechniczne, ale jak na taką liczbę luf zabili stosunkowo niewielu hitlerowców chronionych przez żelbetonowe fortyfikacje.

Ciężkie baterie artylerii niemieckiej, szczególnie zaś strzelające z północnego brzegu Mozy, odpowiadały w czasie całego boju niemalże pociskiem na pocisk, rażąc nie tyle żołnierzy atakujących w szczerym polu, ile brodzących w wodzie i błocie. Na domiar złego padał ulewny deszcz, nad polem bitwy zwisały niskie, ciemne chmury i oczywiście lotnictwo nie mogło działać. W tych warunkach 3. brygada strzelców potrzebowała cztery doby na pokonanie 4 kilometrów, które dzieliły ją od Mozy. Takiego ciężkiego boju żołnierze 1. Dywizji Pancernej nie stoczyli jeszcze nigdy od samego 1 września 1939 roku. Wydawało się, że zdobycie fortów Moerdijku przerastało po prostu ludzkie siły i możliwości. Wszelki ruch był możliwy wyłącznie wzdłuż nasypów, po drogach wśród zalewów, może i niezbyt głębokich, ale tak grząskich, że kiedy samochód pancerny 10. pułku usiłował sforsować na kołach lej po bombie lotniczej, natychmiast zagłębił się po wieżę w bagnistej wodzie, a plutonowy Michał Turek i kapral Teofil Kaczorowski znaleźli straszną śmierć, tonąc w błocie. Teren był płaski jak stół, absolutnie pozbawiony zasłon. Każda wydłubana na nasypie wnęka stawała się niecką pełną wody. Woda była na ziemi i nieustannie lała się z nieba. Żołnierze już nie wiedzieli, co było gorsze: nieustanne bytowanie w tym mokrym i lodowatym błocie, czy wyjące i wybuchające nieustannie pociski niemieckie. Przez 4 doby żołnierze nie zaznali ani godziny snu, ani chwili odpoczynku, nie mieli w ustach nawet łyżki gorącej strawy. Po prostu trudno uwierzyć, że ludzie mogli przeżyć w takich warunkach.

W rezultacie rankiem 8 listopada strzelcy konni pociskami przeciwpancernymi wykuli przejście w betonowym wale przeciwpancernym, okalającym pomiędzy zalewami dostęp do przedmieścia. Przez wybite z takim trudem przejście wtargnęły w obręb fortyfikacji czołgi ułanów wraz z kompanią strzelców, no i wreszcie udało się zastosować następny manewr. Wałem przeciwpowodziowym nad samą Mozą od wschodniego skrzydła uderzył w forty Moerdijku również batalion strzelców podhalańskich. Niemiecka piechota morska broniła się jeszcze przez całą noc z 8 na 9 listopada i trzeba było tych marynarzy wydłubywać spod betonu bezpośrednimi strzałami dział czołgowych, granatami ręcznymi i bagnetami. Dopiero 9 listopada ostatni obrońcy wywiesili białą flagę i wynurzyli się ze schronów usmoleni, z opuszczonymi głowami i podniesionymi rękami.

Tak wyglądał finalny moment bitwy o Antwerpię w czasie jej drugiej fazy, pomiędzy kanałem Antwerpia - Turhnout a Mozą. Polacy wzięli do niewoli jeszcze 33 oficerów i 1200 szeregowych, tracąc w zabitych i rannych 66 oficerów i 996 szeregowych.

KAROL BARTULEC

cdn.

WYPRZEDZIŁ SWOJĄ EPOKĘ

Zmarł przed 130 laty, 21 marca 1875 roku. Nazajutrz po jego śmierci zebrała się Rada Miejska Cieszyna, by podczas specjalnej sesji ustalić formę i przebieg uroczystości pogrzebowych. Stały się prawdziwym wydarzeniem. Jak pisała Gwiazdka Cieszyńska, nieczynna była większość sklepów. W kondukcie pogrzebowym szły władze miasta, orkiestra, weterani i strażacy, mnóstwo mieszkańców. Radni nieśli między innymi dyplom honorowego obywatelstwa Cieszyna, Złoty Krzyż Zasługi i wiele innych odznaczeń, którymi został uhonorowany zmarły.

Kim był?

Postacią już za życia bardzo kontrowersyjną, a po śmierci przez jednych wysławianym pod niebiosa, przez innych odsądzanym od czci i wiary. Z upływem dziesięcioleci spory wokół jego postaci wygasły, ale poszedł w całkowite zapomnienie. A przecież jego imię nosiła jedna z głównych ulic Cieszyna, w sali ratusza wisiał jego portret, zaś Frydek i Cieszyn nadały mu honorowe obywatelstwo.

JERZY PRUTEK

bo o nim mowa, urodził się 7 kwietnia 1807 roku na tak zwanym Brandysie w dzisiejszym Czeskim Cieszynie. Jego ojciec, tkacz, z trudem wiązał koniec z końcem. Mimo to zapewnił wykształcenie i wykierował na księży Jerzego, a także jego brata Andrzeja.

Wyjątkowymi walorami intelektu i charakteru obdarzył Bóg jednak właśnie Jerzego. Studiował najpierw filozofię na uniwersytecie wiedeńskim, następnie teologię w Ołomuńcu, który to kierunek kontynuował znów w stolicy austriackiej monarchii. W jednym roku zaliczał dwa lata studiów, mało tego, pokończył również w tym czasie uniwersyteckie kursy pedagogiki, estetyki i historii sztuki, jak również literatury klasyczne.

Z takim to nie byle jakim wyposażeniem intelektualnym wkroczył w samodzielne życie. W 1831 roku otrzymał święcenia kapłańskie i podjął pracę jako katecheta szkolny i pomocnik proboszcza we Frydku. W cztery lata później przeniósł się do rodzinnego miasta. Został tu zastępcą dyrektora zakładu wychowawczego fundacji barona Cselesty, ucząc języków francuskiego i włoskiego. W latach 1837–1845 przebywał

u barona Beessa w Gnojniku, gdzie uczył syna tego dygnitarza, Jerzego. Z powodu choroby chłopak nie mógł uczęszczać do cieszyńskiego gimnazjum, ks. Prutek uczył go więc przedmiotów objętych gimnazjalnym programem. Zdał w tym celu, bagatela, egzamin państwowy ze znajomości wszystkich wykładanych przedmiotów humanistycznych.

Ale i tego było młodemu księdzu mało. Podczas pobytu w Gnojniku obronił pracę doktorską z filozofii, jako student zaoczny wydziału prawa zdał egzaminy z logiki i prawa karnego, a także z języków francuskiego i włoskiego. Jeżeli już o językach mowa, warto dodać, że opanował biegle także łacinę, angielski, niemiecki, polski i czeski.

Doskonała opinia, jaką wystawił J. Prutkowi baron Beess, była zapewne powodem, dla którego zaprosił go do Świtawki na Morawach tamtejszy arystokrata hrabia Strachwitz. Uczył syna możnowładcy trzy lata. W pamiętnym roku Wiosny Ludów powrócił do nadolziańskiego miasta. Z rekomendacji wikariusza generalnego w Księstwie Cieszyńskim księdza Mateusza Opolskiego otrzymał nominację na katechetę w Szkole Głównej, Niższej Szkole Realnej oraz na kursach dla nauczycieli. Bezpłatnie uczył ponadto języków angielskiego i francuskiego w Gimnazjum Katolickim, a w 1852 roku został spowiednikiem sióstr elżbietanek. Szerzej znany stał się jednak przede wszystkim jako „złotousty" kaznodzieja oraz radny i (od 1861 roku) poseł do Sejmu Krajowego (Śląskiego) w Opawie.

Prowadząc

ŻYCIE PROSTE I SKROMNE

Prutek robił, ile mógł, dla współbliźnich, a zwłaszcza dla dzieci i młodzieży. Już w Gnojniku uczył bezinteresownie dzieci wiejskie, w Cieszynie ufundował natomiast stypendia. Pierwsze, dla trzech uczniów, zostało przeznaczone dla najuboższych, bez względu na pochodzenie i wyznanie. Z drugiego mogli korzystać nauczyciele szkół elementarnych, zarówno katoliccy, jak i ewangeliccy. Wreszcie trzecie, ufundowane z okazji przyznania mu honorowego obywatelstwa miasta Cieszyna, zostało pomyślane jako wsparcie nauki gimnastyki i pływania.

Mimo że proponowano mu stanowiska i bardziej prestiżowe, i lepiej płatne, nie zrezygnował z funkcji katechety w prowincjonalnym bądź co bądź Cieszynie. Póki nie musiał zrezygnować...

Ksiądz Prutek był uważnym i krytycznym obserwatorem życia Kościoła rzymskokatolickiego. W 1862 roku skierował list do prymasa Austrii kardynała Rauschera, w którym zawarł szereg propozycji zmian w Kościele. Zwrócił uwagę między innymi na niski, jego zdaniem, poziom wykształcenia księży, który jest powodem, że *starają się oni hamować wszelki postęp i przeszkadzać w dociekaniu prawdy.* Proponował także tolerancję wo-

bec innowierców. Najbardziej nieprawomyślne było jednak stwierdzenie, że *Gwiazda Rzymu zachodzi (...), zamiast niego stolicą chrześcijaństwa powinien stać się Wiedeń.* Wezwał nawet prymasa, by ten utworzył w Austrii *Kościół wzorowy*, czyli niezależny od Rzymu. W sposób jeszcze bardziej dobitny wyraził swoje stanowisko w liście do premiera Austrii Antoniego V. Schmerlinga, przekonując go, że Wiedeń winien stać się religijną stolicą świata obejmującą wszystkie wyznania.

Prymas ZAŻĄDAŁ WYJAŚNIEŃ między innymi od generalnego wikariusza księdza Franciszka Śniegonia. Nie wiadomo dokładnie, co było dalej, ale wikariusz ograniczył się chyba do ustnego upomnienia autora listów. Jest to prawdopodobne tym bardziej, że Śniegoń był od czasów gimnazjalnych kolegą Prutka. Natomiast przełożony prowincji śląskiej biskup Förster zażądał od nieprawomyślnego księdza, by ten zrzekł się funkcji katechety, ale Prutek się do polecenia nie zastosował.

Brnął zresztą dalej. W dwa lata po listach do Wiednia, występując na forum Sejmu Krajowego, postulował, by księża pomagali nauczycielom, szerząc wiedzę zwłaszcza w zakresie rolnictwa. *Ludzi należy uczyć pracy, gospodarności, oszczędności, kler zaś obudzić z dotychczasowej beztroski.* Wystąpił także przeciw wielogodzinnemu odmawianiu brewiarza oraz przeciw urządzaniu pielgrzymek w okresach pilnych prac polowych.

Tym razem biskup Förster zareagował ostrzej, domagając się od Prutka zrzeczenia mandatu poselskiego, na co ten przystał. Odebrano mu także stanowisko szkolnego katechety i zawieszono w wykonywaniu czynności duchownych. Tę ostatnią restrykcję w rok później złagodzono, pozwalając księdzu odprawiać msze w kościele p.w. św. Jerzego.

Prutek był rozgoryczony, materialnie powodziło mu się natomiast wcale nieźle, zaczął bowiem otrzymywać wynagrodzenie za nauczanie języków obcych w gimnazjum, którą to pracę wykonywał poprzednio bezinteresownie.

Nie wykazał najmniejszej skruchy, gdyż był przekonany, że postępuje słusznie. W 1874 roku w drukarni Karola Prochaski w Cieszynie został opublikowany jego zbiór rozpraw pod tytułem „Racjonalny Kościół ojca Prutka". W rozprawie „Posłanie ojca Prutka do ludzi", powtórzywszy nierealny projekt utworzenia czegoś w rodzaju federacji różnych wyznań, domagał się od kleru pójścia w swoje ślady (choć nie formułował tego wprost) i przekazania majątków *w formie fundacji na ubogich, szkoły, na szpitale i inne.*

Bardzo wyraźnie i mocno wyartykułował EKUMENIZM

Miał między innymi odwagę przeciwstawić się antysemityzmowi. *Przed 18 wiekami Żydzi uratowali ludzkość przed upadkiem* - stwierdził. - *Jezus i Jego apostołowie byli Żydami.* Dowodził też, że pod wielu względami Żydzi przewyższają chrześcijan. Na potwierdzenie tej tezy przytoczył dane statystyczne, z których wynikało, że w roku pisania „Posłania" w okręgu cieszyńskim *wśród skazanych za różne przestępstwa przypadał jeden przestępca na 555 ewangelików, jeden na 574 katolików i jeden na 833 żydów".* Na różnych miejscach książki Prutek występuje przeciw religijnej nietolerancji, *jest bowiem* [ona] *trującym owocem sprzecznego z rozsądkiem wychowania.* Od księży domagał się, by *traktować po ojcowsku wszystkich ludzi, bez względu na ich wyznanie.*

Bezpośrednim powodem opublikowania zbioru był ustanowiony w 1870 roku dogmat o nieomylności papieża, z którym to dogmatem Prutek się nie zgadzał. Było to przysłowiowe „postawienie kropki nad i". Biskupstwo we Wrocławiu, biorąc pod uwagę całokształt wyrażonych w broszurze poglądów, wezwało cieszyńskiego księdza do wytłumaczenia się z nich. Mimo jednak, że wezwanie przed Sąd Diecezjalny ponawiano trzykrotnie, Prutek je zignorował. Konsekwencją było ogłoszenie 1 sierpnia 1874 roku

EKSKOMUNIKI

W kilka miesięcy później, jak już wiemy, Jerzy Prutek zmarł. Jego doczesne szczątki spoczęły na cmentarzu przy kościele św. Jerzego w Cieszynie. Życzył sobie, by na jego grobie stanął tylko prosty krzyż, ale władze miejskie ufundowały mu krzyż wielki, marmurowy, z napisem: *Szlachetnemu przyjacielowi ludzkości dr. Jerzemu Prutkowi poświęcają jego czciciele.* W okresie międzywojennym, nawet w czasach kryzysu, miasto przeznaczało co roku pewną sumę na utrzymanie grobu Prutka. Do wybuchu II wojny światowej przetrwał także portret księdza, choć w 1938 roku został przeniesiony z cieszyńskiego ratusza do Czeskiego Cieszyna. Ulicę J. Prutka przemianowano w 1927 roku na ulicę Bolesława Chrobrego.

Jeszcze gorzej było z grobem kapłana. W pierwszych latach PRL-u przystąpiono otóż do niszczenia niemieckich napisów na cmentarzach i w kościołach. Na cmentarzu przy kościele św. Jerzego znakomita większość napisów była niemiecka, gdyż taki obowiązywał wówczas język urzędowy. Zlikwidowano więc także na pomniku zasłużonego mieszkańca Cieszyna, ostało się tylko *Georg Prutek.* Stary cmentarz u zbiegu ulic Hażlaskiej i Liburni stał się poniekąd bezpańskim, zaprzestano bowiem grzebania na nim zmarłych, a kościółek nie miał wtedy jeszcze gospodarza. Władze miejskie, które przywieziono „w teczce", przeważnie z Zagłębia Dąbrowskiego,

NIC NIE WIEDZIAŁY

o Prutku. Nie miał również rozeznania w sprawie pochodzący z Górnego Śląska proboszcz, ksiądz Przewodnik. Kiedy więc w 1959 roku pochodzący z Puńcowa ksiądz Jan Urbaczka zgłosił chęć kupienia marmurowego krzyża do parafii w Katowicach Wełnowcu, której był proboszczem, nikt nie zgłosił sprzeciwu. Usunięto zatem napis *Georg Prutek* i umieszczono nowy: *Christi crux - mea lux* (Krzyż Chrystusa moim światłem).

Krzyż stoi dotąd na wełnowickim cmentarzu, nekropolia przy kościółku św. Jerzego została natomiast przekształcona w park i nie wiadomo, gdzie mieści się grób J. Prutka.

Barbara Poloczkowa, która zamieściła przed piętnastu laty w warszawskim Posłannictwie kompetentny szkic zatytułowany „Sprawa księdza Jerzego Prutka", napisała w podsumowaniu: *W historii regionu niewielu jest ludzi, którzy mogli wykazać się taką wiedzą, hartem ducha, czystością intencji i zasługami wobec społeczeństwa jak ks. Prutek. Był trybunem prostych ludzi, ale także przedstawicielem myślącej części społeczeństwa cieszyńskiego; na tym terenie był prekursorem myśli o zgodnym współdziałaniu ludzi różnych poglądów, zarówno religijnych, jak i narodowościowych. Jako nauczyciel był autorem nowej wówczas koncepcji kształcenia dorosłych. Był orędownikiem pełnego, umysłowego i fizycznego rozwoju osobowości ludzkiej. Jako członek najwyższych w skali regionu władz (Sejm Śląski, Rada Miasta Cieszyna) popierał czynnie gospodarczy jego rozwój - tak rolnictwa, jak rzemiosła i przemysłu. Pragnął, aby ludzie żyli w dobrobycie, pokoju i szczęściu, także doczesnym. W swej idei urzeczywistniania tolerancji i współdziałania różnych wyznań ks. Prutek wyprzedzał o wiek współczesne mu koncepcje chrześcijaństwa.*

Napisałem na początku, że postać księdza Jerzego Prutka była

KONTROWERSYJNA

Pozostała taką do dziś. Ale duch ekumenizmu odnosi coraz większe sukcesy. Jan Paweł II, jako pierwszy papież w dwutysięcznej historii Kościoła rzymskokatolickiego, modlił się w synagodze i w luterańskiej świątyni. Mówił też o potrzebie zrobienia „rachunku sumienia" przez Kościół. Być może, w niektórych sprawach, krytykując na przykład słabe wykształcenie księży przed kilkudziesięciu laty, Prutek miał rację. Inne postulowane przez niego zmiany, choć podyktowane zapewne czystymi intencjami, są zwykłą utopią. Z jeszcze innymi tezami nie można się najzwyczajniej zgodzić. Cóż, wybitny Cieszyniak też nie był nieomylny...

ROBERT DANEL

WZAJEMNE WIZERUNKI POLSKICH I CZECHOSŁOWACKICH ELIT POLITYCZNYCH NA EMIGRACJI (1939-1945)

Zagadnienie wzajemnych wizerunków Polaków i Czechów w historii najnowszej z pewnością nie należy do szerzej podejmowanych tematów w polskiej i czeskiej/czechosłowackiej historiografii. Badania wzajemnych relacji zdominowały bowiem stosunki polityczne, w których decydujące znaczenie miały poszczególne racje stanu czy też interesy narodowe oraz państwowe. Natomiast odpowiednie heterostereotypy nie odgrywały zasadniczej roli w tym względzie. Co więcej można przyjąć, iż było wręcz odwrotnie. To właśnie geopolityka w dużym stopniu decydowała o wzajemnych wyobrażeniach na temat drugiego narodu (świadomie została pominięta w tym szkicu problematyka wzajemnych wizerunków polsko-słowackich, względnie też czesko-słowackich, gdyż z powodów merytorycznych zasługują one na osobne potraktowanie).

Dotychczasowa literatura przedmiotu przynosi przede wszystkim obraz Polski i Polaków w czeskiej opinii publicznej w okresie międzywojennym. Pod tym właśnie tytułem została opublikowana w 1996 r. we Wrocławiu monografia Grażyny Pańko („Polska i Polacy w czeskiej opinii publicznej w okresie międzywojennym", Wrocław 1996). Autorka na podstawie rozległej kwerendy różnorodnych źródeł, a wśród nich w szczególności prasy, wykazała, iż najważniejsze znaczenie w kształtowaniu wizerunku Polski i Polaków w społeczeństwie czeskim w czasie międzywojnia miał aktualny stan stosunków międzypaństwowych. Całkiem naturalne wydaje się również stwierdzenie, iż przyjaźniej patrzyli na Polskę ci Czesi, którzy ten kraj odwiedzali i znali jego polskich mieszkańców już od dłuższego czasu. Także kolejne ustalenia autorki mówiące o tym, że najbardziej negatywne poglądy o Polsce i Polakach wyrażali zwłaszcza czescy komuniści i socjaldemokraci, a z kolei pozytywne katolicy, są z pewnością adekwatne nie tylko dla okresu dwudziestolecia międzywojennego.

W ramach dyskusji na temat stereotypów narodowych w badaniach historycznych (pod koniec 1993 r. w Instytucie Historii PAN w Warszawie została poświęcona tej problematyce międzynarodowa konferencja) miały również miejsce dwie zakrojone na mniejszą skalę próby przedstawienia ogólnego zarysu kształtowania się wizerunków Polaków i Czechów w świadomości zbiorowej obu narodów. Zarówno Tadeusz Kisielewski jak i Jaroslav Valenta wykorzystali w tym celu przede wszystkim własne bada-

nia nad problematyką czechosłowacko-polskich stosunków politycznych w pierwszej połowie XX wieku, prezentując wielopłaszczyznową refleksję nad poruszonym tematem. Zgodnie dostrzegli korzenie współczesnych wzajemnych obrazów obu narodów w dziewiętnastowiecznych społeczeństwach, wymienili zasadnicze w tym kontekście wydarzenia polityczne i niejednokrotne zróżnicowanie w ich percepcji. Poza częstokroć odmiennymi koncepcjami politycznymi, w tej liczbie również innym stosunkiem do Rosji i Związku Sowieckiego, sporami terytorialnymi, poważnymi różnicami w strukturze społecznej i gospodarczej, tradycji narodowej, świadomości historycznej, mentalności czy szeroko pojmowanej kultury należy również podkreślić stosunkowo małą (jeżeli wziąć pod uwagę ogół społeczeństw) wzajemną znajomość obu sąsiednich narodów.

Zdecydowanie negatywny (i to w tzw. „długim trwaniu") wzajemny obraz Polaków i Czechów mieszkających na obszarze będącym głównym przedmiotem polsko-czechosłowackiego sporu terytorialnego poddał analizie - bardzo dobrze znany czytelnikom Zwrotu - wytrawny znawca problematyki społecznej i narodowościowej Śląska Cieszyńskiego, Krzysztof Nowak („Polacy i Czesi na Zaolziu po 1920 roku. Wzajemne postrzeganie i stereotypy", [w:] „Od poznania do zrozumienia. Polacy, Czesi, Słowacy w XX wieku", red. E. Orlof, Rzeszów 1999, s. 53-67).

W ostatnich latach zauważalna jest szersza współpraca czeskich, polskich i słowackich historyków i dydaktyków historii dotycząca kwestii kształtowania się obrazów narodów środkowoeuropejskich poprzez nauczanie historii w szkołach. Jednym z głównych aspektów jest przy tym świadomość roli stereotypów (zarówno tych pozytywnych, jak i negatywnych) w procesie integracji europejskiej (Zob. np. B. Gracová, „Obraz Čechů, Poláků a jejich minulosti u studující mládeže", Ostrava 1998). Obecne młode pokolenia Czechów, Polaków i pozostałych narodów Europy Środkowej będą też w nieodległym już czasie aktywnie współuczestniczyć w życiu społeczno-politycznym Unii Europejskiej. Jak wykazały badania prowadzone w ramach międzynarodowego projektu pod kierownictwem Blaženy Gracovej z Uniwersytetu Ostrawskiego, treści przekazywane uczniom na lekcjach historii - również za pośrednictwem podręczników - mają istotny wpływ na kształtowanie obrazów sąsiednich narodów. Współczesna czeska młodzież na ogół pozytywnie odnosi się do Polski i Polaków, aczkolwiek w porównaniu do pozostałych krajów sąsiednich chodzi raczej o obraz mniej wyraźny i niejednoznaczny (może jedynie z wyjątkiem obszarów przygranicznych). Ogólnie rzecz ujmując, badacze problematyki z Polski, Czech i Słowacji są na ogół zgodni co do tego, iż pozytywne zmiany we wzajemnym postrzeganiu innych narodów środkowoeuropejskich

można osiągnąć poprzez dostarczanie uczniom i studentom znacznie szerszego zakresu wiedzy na temat dziejów kultury i życia codziennego poszczególnych społeczeństw.

Próbę odtworzenia obrazu sąsiadów w polskim szkolnictwie powszechnym okresu międzywojnia stanowi opublikowana niedawno praca monograficzna Karola Sanojcy. Autor na podstawie analizy podręczników do nauczania przedmiotów humanistycznych, a zatem nie tylko historii, starał się również przedstawić wizerunek narodu czeskiego.

Zaledwie zasygnalizowany powyżej stan badań utwierdza nas w przekonaniu, iż całokształt zagadnień związanych z powstawaniem i kształtowaniem się wzajemnych wizerunków Polaków i Czechów na przestrzeni minionego XX wieku z jednej strony należy rozpatrywać w ścisłym powiązaniu z dziejami dwustronnych stosunków politycznych, z drugiej zaś łączyć z podejmowaniem badań interdyscyplinarnych obejmujących dla przykładu literaturoznawstwo, socjologię czy politologię.

Niniejszy szkic nie stawia sobie tak wygórowanych zadań. Jego celem jest co najwyżej próba przybliżonej odpowiedzi na pytanie, jak postrzegali się nawzajem czołowi polscy i czechosłowaccy politycy przebywający w okresie drugiej wojny światowej na emigracji. Co więcej rozważania te ograniczają się przede wszystkim do okresu szczególnie ożywionych wzajemnych kontaktów, związanych z próbami budowania polsko-czechosłowackiego związku, przypadającymi na okres rządów gen. Sikorskiego. Kiedy premierem został Stanisław Mikołajczyk, międzynarodowa sytuacja nie sprzyjała już dobrym stosunkom polsko-czechosłowackim, co odbiło się również na intensywności dwustronnych kontaktów. W tych okolicznościach jest rzeczą całkowicie zrozumiałą, iż najwięcej materiałów do rozważań o wzajemnym wizerunku polskich i czechosłowackich elit politycznych w czasie drugiej wojny światowej można odnaleźć dla okresu do 1943 r.

Nawet jeżeli przyjmiemy za pewnik, że względy wzajemnych polsko-czeskich sympatii, antypatii czy też obojętności nie mogły mieć wpływu na tak istotne kwestie jak interes państwowy i narodowy, czyli innymi słowy na kierunki polityki obu państw, trudno jednocześnie nie zauważyć, iż wizerunek sąsiedniego narodu nierzadko odzwierciedlał emocjonalny stosunek do jego przywódców politycznych. Ponadto takie, a nie inne nastawienie mogło ułatwiać lub utrudniać wzajemne porozumienie czy współpracę. Zwłaszcza zaś w daleko idących projektach systematycznego współdziałania, jakim była dla przykładu koncepcja polsko-czechosłowackiej konfederacji, te częstokroć niedoceniane i spychane na margines niezbędnych warunków czynniki należałoby również wziąć pod uwagę.

Ogólnie można przyjąć, iż przedstawiciele czechosłowackiego zagra-

nicznego ruchu oporu (československý zahraniční odboj), skupieni wokół osoby Edvarda Beneša, postrzegali Polskę i Polaków przede wszystkim przez pryzmat ówczesnych czechosłowacko-polskich stosunków politycznych. Co za tym idzie, w ich wizerunku przejawiały się zarazem negatywne doświadczenia związane z wymuszeniem przez Polskę zmian terytorialnych jesienią 1938 roku, jak również pozytywne, na które składały się generalnie przychylne odnoszenie się Polaków do osób przybywających z Protektoratu Czech i Moraw, utworzenie w Polsce Legionu Czesko-Słowackiego oraz podziw wobec heroicznego oporu Polaków w walce ze wspólnym wrogiem, czyli z hitlerowskimi Niemcami.

Szczególnie od przystąpienia Związku Sowieckiego do wojny z III Rzeszą zasadnicze znaczenie w widzeniu spraw polskich miał jednak wzgląd na stosunki czechosłowacko-sowieckie. W tym świetle Polacy jawili się na ogół jako antyradzieccy, nierealistyczni, romantyczni, nieustępliwi i stwarzający problemy we współdziałaniu antyhitlerowskiej koalicji, a w końcowym etapie wojny w porozumieniu pomiędzy Wschodem i Zachodem (na przykład w trakcie jednej z rozmów z Jaromírem Smutným, która dotyczyła m.in. sporu o Zaolzie, Edvard Beneš mówił: *To jsou lidé (Poláci), kteří neuvažují realisticky, pro ně je to otázka prestiže a tu není možný kompromis. Oni vůbec těžko dovedou dělat kompromisy a bez těch je těžké dohovořování.* Przy innej okazji Beneš do tego samego rozmówcy pod adresem Polaków powiedział: *Jsou příliš zatíženi minulostí, nikdo mezi nimi nemá odvahy být reálním politikem ani nemá přehledu, aby viděl světovou situaci a celý vývoj).* Oczywiście przedstawiciele różnych nurtów politycznych nie byli całkowicie zgodni w tym zakresie. Zdecydowanymi przeciwnikami współpracy z rządem polskim na uchodźstwie byli czechosłowaccy komuniści z przebywającym w Moskwie Klementem Gottwaldem na czele. W myśl antypolskiej polityki sowieckiej, i to czasami nawet wbrew własnemu rządowi, często postępował także socjademokrata Zdeněk Fierlinger, piastujący przy tym w latach 1942–1945 ważny urząd ambasadora w Związku Sowieckim. Niejako na drugim biegunie należy umieścić gen. armii Lva Prchalę, który należał do najbardziej życzliwych Polsce i Polakom osób wśród czechosłowackich elit politycznych na emigracji. W czasie kampanii wrześniowej był dowódcą Legionu Czesko-Słowackiego. W późniejszym okresie nie odegrał jednak znaczącej roli politycznej, gdyż należał do czeskiej opozycji antybeneszowskiej. Z kolei wśród bliskich współpracowników Beneša sympatie wobec Polaków przejawiał były długoletni poseł w Warszawie, a w emigracyjnym rządzie minister spraw wewnętrznych Juraj Slávik. Przychylny stosunek do Polski i Polaków przejawiał także stojący na czele dyplomacji syn pierwszego prezydenta Czechosłowacji Jan

Masaryk. Obaj zresztą mówili nieźle po polsku. Nie ulega jednak przy tym wątpliwości, że ich polonofilizm nie wpływał na kierunki czechosłowackiej polityki zagranicznej wobec Polski. Ta jak wiadomo pozostawała bowiem tradycyjnie pod przemożnym wpływem prezydenta Beneša, którego stosunek do Polski i Polaków można określić jako niechętny i pełen krytycyzmu. W podobny sposób odnosili się też do Beneša Polacy. Jak podaje w swych pamiętnikach Józef Retinger, nawet lubiący Czechów premier Władysław Sikorski nie darzył Beneša sympatią (o ile rzeczywiście w pewnym momencie sądził, że stosunek Beneša do Polski zmienił się na emigracji na korzyść, i to nawet do tego stopnia, że nazwał go polonofilem, z pewnością się pomylił). Zresztą warto pamiętać, iż Beneš jako człowiek nie wzbudzał dodatnich uczuć także wśród samych Czechów, i to nawet w otoczeniu jego bliskich współpracowników (np. Smutný tak charakteryzował swego zwierzchnika: *Beneš je vynikajícím taktikem a stratégem, je největším Machiavellim nynější doby, ale nedovede strhnout davy, dát jim radost z práce, vědomí jednoty, pospolitost v boji, utrpení i radosti. Nevzbuzuje důvěru. Instinktivně lidé, kteří se k němu přibližují, pociťují, že stále je něco nedořeknuto, že Beneš je užívá k nějakému plánu, který jim neřekne (...).* Jednak jak słusznie zauważył Jerzy Tomaszewski, negatywny stosunek wielu polskich polityków do Beneša mógł z kolei niekorzystnie odbić się na wizerunku Polski wśród polityków czeskich. Nie dotyczyło to oczywiście opozycji antybeneszowskiej, która ogólnie rzecz biorąc opowiadała się za bliską współpracą z Polską bez stawiania takich warunków jak Beneš.

Powstały na uchodźstwie rząd gen. Sikorskiego był od samego początku otwarty na bliską współpracę z południowym sąsiadem Polski. Nie oznaczało to oczywiście, że wszyscy ministrowie mieli pochlebne mniemanie o Czechach. Słowa ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego o samych czechofilach w rządzie polskim oraz Slávika o samych polonofilach w tymczasowym rządzie czechosłowackim należy oczywiście traktować jako wzajemną kurtuazję i nic poza tym. Podobnie bowiem jak po stronie czechosłowackiej na ogół przeważała raczej krytyczna postawa naznaczona nieufnością. Największą wagę przykładano zaś do braku porozumienia w sprawie polityki wobec Związku Sowieckiego, którego polski oraz czeski i słowacki obraz różnił się znacząco.

Nie jest bez znaczenia fakt, iż - pomimo to - w kierunkach ówczesnej polskiej polityki zagranicznej znajdowało pewne odzwierciedlenie również przyjazne nastawienie do Czechów i Czechosłowacji, demonstrowane przez niektórych czołowych polskich polityków na uchodźstwie, w tym przez samego premiera i zarazem naczelnego wodza generała Sikorskiego, a także przez pełniącego ważny urząd ambasadora Polski w Wielkiej Bry-

tanii i przez pewien czas kierownika MSZ Edwarda hr. Raczyńskiego, który bodajże najprzychylniej patrzył na czeski naród. A zatem - wobec wspomnianego już nikłego wpływu sympatii propolskich na kierunki polityki czechosłowackiej - można mówić o pewnej asymetryczności w tym względzie.

Edward Raczyński w 1941 roku na łamach londyńskich Wiadomości Polskich przekonywał czytelników o obopólnych korzyściach bliskiej polsko-czechosłowackiej współpracy, które widział nie tylko w zapewnieniu obu krajom bezpieczeństwa i rozwoju, ale również w sferze pozamaterialnej. Również w powojennych czasach sowieckiej dominacji w Europie Środkowo-Wschodniej był zwolennikiem polsko-czechosłowackiej integracji. Różnice, nazwijmy to, cech narodowych charakteryzował następująco: *My to romantycy - nie mówię by zawsze doskonali! - oni, w każdym razie Czesi, to pragmatycy. My rzucamy się nieraz na oślep, oni przystosowują się do możnych tego świata posłusznie, chociaż swego funduszu i praw bronią wytrwale i umiejętnie. My czerpiemy dumę z naszych klęsk, oni nie wstydzą się swego Szwejka. Nie znaczy to wcale, by w głębi duszy nie odczuwali wyższości nad nami jako istoty od nas dojrzalsze, bardziej praktyczne.* Również były minister stanu w MSZ z lat wojny Hubert Ripka trafnie zauważył, że: *Polskiemu kompleksowi mocarstwowości, którym Polacy byli tak obciążeni, przeciwstawiał się kompleks doskonałości demokratycznej, którym szczycili się Czechosłowacy. Arystokratyzm polski, przenikający i do warstw ludowych, z trudnością mógł znaleźć wspólną platformę z demokratyzmem czechosłowackich mieszczan, chłopów i robotników. Różnice psychologiczne, odmienny tok historyczny, ruchy religijne i inna struktura społeczna, wszystko to pogłębione było zupełnym brakiem jakiejkolwiek znajomości roli historycznej i cywilizacyjnej obu narodów. Znacznie więcej wiedzieliśmy o innych narodach, aniżeli o sobie nawzajem. Nieznajomość ta cechowała przeważnie licznych polityków, a ponadto raziło wywyższanie siebie samych przy jednoczesnym niedocenianiu drugich, wzajemne wyszydzania, zazdrość i podejrzliwa nieufność.*

Jaki był zatem wzajemny obraz Polaków i Czechów wśród polskich i czechosłowackich elit politycznych na emigracji w latach drugiej wojny światowej? Raczej na pewno nie można go uznać za pozytywny. Bliższe rzeczywistości będzie mówienie o stosunkowo nieprzychylnym wizerunku drugiego narodu. Sądzę, że ogólne przyczyny takiego właśnie stanu rzeczy zostały już powyżej zarysowane. Natomiast bardziej wyczerpujące odpowiedzi może przynieść dogłębna analiza poszerzonej bazy źródłowej, jak również pokazanie o wiele szerszego tła obejmującego znacznie większą część obu społeczeństw, nie wykluczając przy tym porównania z innymi - zwłaszcza sąsiednimi - państwami i narodami.

ROMAN BARON

WYSTAWA JÓZEFA DRONGA W TEATRZE W CZESKIM CIESZYNIE





Fot. FRANCISZEK BAŁON

Od zarania człowiek tęskni do wolności ducha, do zwycięstwa nad materią. Do swego rodzaju wyzwolenia z szarości codziennego życia, by móc marzyć o szczęściu w niewymiernej przestrzeni fantazji Dobra spowitego pięknem. Analogicznie początkiem lat 60. plastycy zrzeszeni w SLA starali się przekroczyć ten próg codzienności, wyzbyć się postimpresjonistycznej monotonii lansowanej przez socrealizm, który prócz obowiązującej treści narzucał konserwatywną formę, eliminując wszelkie eksperymenty czy ekstrawagancje. Aż dziw bierze, że właśnie w tym okresie grupa młodych plastyków podejmowała próby odnajdywania własnej tożsamości, własnej wizji otaczającej ich rzeczywistości. Na pierwsze próby odejścia od literackiego opisu, czyli realistycznej dosłowności, zwrócił uwagę tak Paweł Kubisz w 1956 r., nazywając je awangardą, jak Henryk Jasiczek w latach 60.

Właśnie wtedy Józef Drong, kończąc zasadniczą służbę wojskową, napisał do mnie list z prośbą o przyjęcie do SLA. Miał ukończony kurs u prof. Gustawa Fierli, który go zresztą polecił ze względu na budzący nadzieje rozwijający się talent. Później cierpliwie i żmudnie dokształcał się w Szkole Plastycznej w Ostrawie, mając takich wykładowców jak Jarosław Kapec, Jarosław Rusek czy Mirosław Karpala. Prawdziwe tajniki sztuki plastycznej zgłębił na plenerach malarskich w Kędzierzynie i Raciborzu. Dzięki kontaktom z polską sztuką staje się dojrzałym artystą o zdecydowanej osobowości twórczej. Jest typowym przykładem twórcy samouka. Ale jest też jednym z najlepszych zaolziańskich profesjonalnych rysowników.

Wracając do początków, kiedy na seminariach podejmowano dyskusje na temat sztuki nieprofesjonalnej, amatorskiej, bo do takiej decydenci zamierzali sprowadzić sztukę slaowską, w sukurs przyszedł z pomocą dr Petr Holý, historyk sztuki, wprowadzając obcojęzyczne wyrażenie autodydakt. Bo przecież takimi byli artyści m.in. najprawdziwsi z prawdziwych Van Gogh i Goguin.

Pragnę zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt. By wyjść z amatorszczyzny i wspiąć się na najwyższe szczyty, którym na imię sztuka profesjonalna, potrzebna jest wiedza i doskonała znajomość warsztatu. Sztuka dla artysty musi stać się chlebem powszednim. Inaczej trzeba się zgodzić na miano artysty amatora, malarza niedzielnego, jak ze swadą tłumaczył nam to krytyk z Katowic Alfred Ligocki. Chcąc osiągnąć indywidualną tożsamość twórczą, trzeba pielęgnować nie tylko talent, ale trzeba do perfekcji opanować rzemiosło. A braku tego ostatniego na pewno nie można Drongowi zarzucić. Całe dotychczasowe życie spędził na zdobywaniu w tym kierunku wiedzy i z prawdziwie śląską upartością szlifował swe umiejętności. Józek wykorzystuje każdą chwilę, by móc swe pióro zanurzyć w tuszu i rysować,

i jeszcze raz rysować. To staje się jego prawdziwą pasją życia. Nieraz miałem prawdziwą przyjemność obserwowania, jak pod wpływem jego zdecydowanych pociągnięć rodzi się czarno-biała kompozycja zaułku, portu czy drewnianego kościółka.

A więc czerń i biel dominują w jego rysunkach. Ta czerń nie jest tylko czernią, ale całą gamą szarości, choć finezyjna kreska pozostaje czarna. Umiejętne jej zastosowanie przez siatkę pionów, poziomów i skosów bezspornie stwarza na obrazie urokliwą poetykę przestrzeni.

Popatrzmy teraz na malarstwo artysty. Oto rozciąga się przed nami magiczny świat czystych kolorowych plam akwareli czy też laserunkowych płaszczyzn prac olejnych. Drong nie przepada za pastiszem. Jest to swego rodzaju ewenement, bo artysta, mając doskonale opanowane rzemiosło rysunku, w malarstwie prawie nie używa konturu danego przedmiotu czy fragmentu pejzażu. Wystarczą mu właśnie barwne plamy do przekazania własnej wizji sprecyzowanej – syntetycznej. Już przed 40 laty opowiedział się zdecydowanie za twórczością w konwencji realistycznej. Jednak jaki to jest realizm? Nie ma bezpośredniego opisu, reportażu. Nawet poprzez dokument tworzy kompozycje pełne wdzięku i niedopowiedzianej tajemnicy rzeczywistości, którą ambitny widz musi sam odkrywać. Na tym polega piękno i siła wyrazu licznych ilustracji autora, o czym świadczą np. wydawane ostatnio jego kalendarze.

Miarą wielkości nie muszą być wielkie formaty, mogą to być jak w przypadku Józefa Dronga skromne, nieduże, ale jakże urocze obrazki. Na pewno na ocenę „wielkich" w pełni zasługują. Nie ma wątpliwości, że to powoduje, iż należy do czołówki zaolziańskich plastyków, zrzeszonych w nowo założonym Polskim Stowarzyszeniu Artystów Plastyków. Niedawny 60-letni jubilat Józef Drong jako dojrzały artysta w swej wielkości pozostał skromnym, ale jakże znaczącym w naszej społeczności twórcą.

Zachęcam do oglądania twórczych poszukiwań i natchnień autora. Do kontemplacji i estetycznych doznań. Zatrzymajcie się w zadumie nie tylko przed pejzażem polskim, holenderskim czy bałkańskim, przed kolorowymi bukietami czy kompozycjami figuralnymi, ale znajdźcie się pod urokiem rodzimych kompozycji architektury wyczarowanych subtelną, precyzyjną kreską.

Plastyk z prawdziwego zdarzenia, pomimo ugruntowanego twórczego ego, wciąż jak wędrowiec, stale szuka i odkrywa coraz to nowe horyzonty. Dlatego pragnę wyrazić życzenie memu długoletniemu przyjacielowi, by dalej na nowo odkrywał te horyzonty z tęsknotą do osiągania doskonałości w plastyce... i niech mu nigdy nie zaschnie tusz w piórze, a farba w pędzlu!

BRONISŁAW FIRLA

POWITANIE WIOSNY W ŻUKOWIE

Do tradycyjnych imprez MK PZKO w Żukowie Dolnym należy „Powitanie wiosny". W tym roku odbyło się w sali restauracji Pod Dzwonkiem 6 marca. Program składał się z występów dzieci, które pod kierunkiem prezes Koła Heleny Gaury zaprezentowały trzy widowiska autorstwa Anny Wacławik zawierające wiosenne obrzędy ludowe: „Topienie Marzanny", „Chodzenie z goiczkiem" oraz wiosenne tańce i zabawy dzieci na łące. Występy dzieci wspomagał śpiewem tercet Żukowianki. W części teatralnej Renata Huppert i Jerzy Polok zaprezentowali dwie jednoaktówki: „Na urzyndzie" oraz „Żukowski szuter", wyreżyserowane przez Halinę Wojnar. Przerwy pomiędzy poszczególnymi punktami programu wypełniała żukowska pieśniarka, odnosząca sukcesy w całej RC, Beata Bocek.

(kor)







Fot. JACEK SIKORA

Ilustracja - przedruk materiału reklamowego Zespołu Śląsk



Zespół Pieśni i Tańca

ŚLĄSK

wystąpi 21 maja o godz. 17.00

w hali Stadionu Zimowego

w Karwinie

TA KSIĄŻKA JEST MOJA

Od 6 lutego do 18 marca br. w Książnicy Cieszyńskiej otwarta była ciekawa wystawa ekslibrisów pt. „Ta książka jest moją własnością – ekslibrisy od XVI wieku do współczesności". Komisarzem wystawy była Jadwiga Picha, eksponaty pochodziły ze zbiorów Książnicy Cieszyńskiej oraz cieszyńskiego drukarza Eugeniusza Kozaka. W ramach wernisażu ogłoszono też wyniki powiatowego konkursu bibliotecznego dla gimnazjów, gdzie najlepszymi okazali się uczniowie gimnazjów w Skoczowie Paweł Gaś i Anna Mucek.

Wystawa była bardzo interesująca, zwłaszcza dla ludzi rozkochanych w książkach – tych posiadających własne ekslibrisy i pozostałych moli książkowych. Ekslibris pojawił się po wynalezieniu druku i wykorzystaniu grafiki do ilustracji książek. Tradycyjne znane dziś ekslibrisy poprzedzały protoekslibrisy, czyli ekslibrisy malowane (na wystawie szesnastowieczne Jana, biskupa Waradynu i Ołomuńca, Jana Turzo, biskupa wrocławskiego, Henryka Birki z Nasiedla, przedstawiciela czeskiej szlachty i starosty opawskiego z 1483 roku) oraz supereksiibrisy wytłaczane w skórzanych oprawach. Tu wspomnieć wypada choćby najstarszy supereksiibris szlachecki na Śląsku Cieszyńskim z XVII wieku Jana Jerzego Cygana ze Słupska, właściciela Frysztatu i Dobrosławic, Jana i Zuzanny z Zastrzizl, przedstawicieli morawskiej szlachty z przełomu XVII i XVIII wieku, polskiego pisarza i filozofa Hugona Kołłątaja z XVII wieku itp.

Poza tym wystawiono tu ekslibrisy: ks. Franciszka Linzera, proboszcza we Frysztacie z XVII w., Jerzego (Jury) Gajdzicy, chłopa z Cisownicy z początku XIX w., ks. Leopolda Jana Szersznika i bardziej nam współczesnych Gustawa Morcinka rodem z Karwiny, Józefa Niemca, profesora gimnazjum orłowskiego, Mariusza Makowskiego, historyka i muzealnika w Cieszynie, i wielu innych. Naturalnie nie mogło zabraknąć artystów tworzących te małe arcydzieła sztuki, jakimi są często ekslibrisy. A więc Wojciech Jakubowski, Konstanty Maria Sopoćko, Antoni Gołębniak i inni. Nasz region prezentował na wystawie Zbigniew Kubeczka, któremu poświęcono aż trzy plansze. Tę część wystawy przygotował kolekcjoner z Cieszyna Eugeniusz Kozak.

(kaja)

OD CZEGO ZDYCHAJĄ KONIE

Lyniu, puść mie, bo dostanymy oba - takie zdanie kazała mi zawsze powtórzyć sobie po kilkakroć moja Mama, kiedy ogarniało mnie lenistwo. I naraz po tylu latach ta sytuacja z dzieciństwa stanęła mi przed oczyma i pozwoliła naocznie, jako widzowi, przekonać się o prawdziwości owej mądrości ludowej. A stało się tak podczas oglądania przedstawienia Teatru Lalek Bajka „Skarb Pusteckigo", w którym taka niezbyt pracowita osoba i jej leń występują.

Właściwie to nie leń, ale *lyń*, bo „Skarb Pusteckigo" autorstwa Andrzeja Żaka w adaptacji, reżyserii i opracowaniu scenograficznym Wandy Michałek oraz muzycznym Zbigniewa Siwka grany jest w gwarze. Nie tylko partie dialogowe, ale również narratorskie wprowadzenie w temat przygotowane zostało w gwarze. Twórcy spektaklu usiłują przekazać widzom bogactwo języka ludu śląskiej ziemi, która na węglu stoi. Bo też akcja dzieje się wśród górników, w głębi kopalni i na powierzchni. Nieważny jest czas akcji. Utopiec pod darkowskim i innymi mostami oraz Pustecki w podziemiach kopalni na pewno nadal czuwają, tylko dziś ludzie ich nie dostrzegają, nie rozumieją i inaczej niż kiedyś tłumaczą sobie ich działania. A leń? Właściwie siedzi w każdym z nas, trzeba go tylko nie dopuścić do głosu.

Przedstawienie Bajki przypomina wierzenia ludowe o skarbniku w kopalni, opowiadając historię górnika, którego credo życiowe opiera się na sentencji, że *od roboty i kónie zdychają*. Pilny Jano Gałuszka nie może zrozumieć swojego kompana Lojzka, którego pasją jest leżenie i nicnierobienie. Pomaga mu jednak dotrzeć do Pusteckiego w podziemiach kopalni, który spełnia życzenie Lojzka i daje mu worek złota. Worek zawsze pozostaje pełny. Jest jednak jeden warunek. Górnikowi nie wolno skalać swoich rąk jakąkolwiek pracą. Żona Lojzka Milka chętnie kładzie swego męża do łóżka, by odpoczywał i w żadnym wypadku nie wykonywał żadnej pracy, bo sama korzysta ze złota, buszując po sklepach i zakładach rzemieślniczych w poszukiwaniu atrakcyjnych strojów i innych towarów. Jednak nawet leniwy górnik ma w pewnej chwili dość leżenia, pozbywa się swego *Lynia*, przezwycięża nawet strach przed Pusteckim i w towarzystwie Jana wraca do pracy.

W przedstawieniu Teatru Lalek Bajka gra cały, niewielki, zespół teatru: Pawełka Niedoba, Wanda Michałek, Krystyna Czech, Jan Szymanik i Jakub Tomoszek. Wspomaga go głosem Pusteckiego Józef Kurek. Józef Kurek jest ponadto autorem lalek, drewnianych pajacyków-górników Jana, Lojzka i jego *Lynia*, trzymanych przez aktorów za uchwyty z tyłu głowy. Ogromną natomiast lalką jest Pustecki, a właściwie jego głowa, ze świecącymi oczami,

i gestykulujące ręce. Na tle ciemnych dekoracji, przedstawiających podziemia kopalni, wśród huku, wydając głos, robi wrażenie. Najbardziej kolorową zaś jest scena pierwsza z utopcem, stawem i sympatycznymi żabkami.

Nie ma w tym przedstawieniu nachalnego morału, który uwieńczyłby dzieło. Nie wiemy, jak zachowa się Pustecki, kiedy Lojzek zjedzie do kopalni. Czy nie będzie się mścił, czy wystarczy mu jako kara dla górnika to, że węgiel w worku zamieniony w złoto stał się na powrót węglem? Co zrobi Milka, kiedy dowie się, że złota już nie ma i że budżet domowy będzie o wiele skromniejszy? A może mali widzowie Bajki, którzy chętnie biorą udział w konkursach, dorysują epilog: pojednanie górnika ze skarbnikiem z podziemi i uznanie żony dla górnika za jego właściwą decyzję! Wszyscy wtedy w stu procentach nabiorą pewności, że bajka dobrze się skończyła.

CZESŁAWA RUDNIK







Fot. FRANCISZEK BAŁON

ZEBRANIE SPRAWOZDAWCZO-WYBORCZE KOŁA NR 1 MACIERZY ZIEMI CIESZYŃSKIEJ

9 marca br. odbyło się zebranie sprawozdawczo-wyborcze cieszyńskiego koła nr 1 Macierzy Ziemi Cieszyńskiej. Jest to największe koło liczące 136 członków, znane z wielu różnych form działalności kulturalnej i społecznej. Do koła należą również członkowie mieszkający na Zaolziu.

W związku ze 120-leciem istnienia Macierzy, przypadającym w jesieni 2005 r., w sprawozdaniu wygłoszonym przez prezesa koła Karola Kajzera przypomniano najważniejsze przedsięwzięcia podejmowane przez koło na przestrzeni minionych lat, takie jak: festyny z loteriami fantowymi, przeglądy i koncerty orkiestr dętych, wystawy malarskie, turnieje szachowe, wycieczki, konkursy wiedzy o ziemi cieszyńskiej dla młodzieży, liczne spotkania z prelekcjami, filmami i przeźroczami o tematyce historycznej, przyrodniczej, spotkania klubowe z udziałem ciekawych, wybitnych osób, animatorów życia społecznego i kulturalnego, a także zespołów artystycznych i inne.

W minionym roku sprawozdawczym z macierzowcami koła spotkali się m.in.: Jerzy Antonik, Tadeusz Wojacki, Władysława Sikora, Władysław Milerski, Władysław i Jadwiga Oszeldowie, Józef Wierzgoń, Teresa Waszut, a także laureaci V Konkursu Znajomości Gwary na Śląsku Cieszyńskim. Koło jest popularyzatorem śpiewu śląskich pieśni ludowych, włącza się w program edukacji regionalnej młodzieży.

Zebranie sprawozdawczo-wyborcze udzieliło zarządowi absolutorium za 2004 rok i zatwierdziło plan działania na rok bieżący. Członkowie dokonali wyboru nowego zarządu, komisji rewizyjnej oraz delegatów na Walny Zjazd Macierzy.

Do zarządu koła wybrani zostali na następną 3-letnią kadencję: Karol Kajzer – prezes, Jadwiga Wąsowicz – wiceprezes, Józef Neter – sekretarz, Zdzisława Mielczarska – skarbnik, oraz Edward Figna, Bożena Hoffman-Lizończyk, Halina Kożusznik, Jerzy Wałga, Teresa Waszut, Alicja Wlach, Henryk Żabicki. Do komisji rewizyjnej weszli: Eugeniusz Raabe – przewodniczący, Henryk Cieńciała i Ferdynand Jarosz.

Walny Zjazd Delegatów Macierzy reprezentować będzie 13 delegatów.

K.K.

WALNE ZGROMADZENIE SPPK

Tegoroczne Walne Zgromadzenie Stowarzyszenia Przyjaciół Polskiej Książki odbyło się w Bibliotece Miejskiej w Czeskim Cieszynie przy ul. Havlíčka w środę 16 marca. Chwilą ciszy uczcili zebrani pamięć zmarłego niedawno członka tej i wielu innych organizacji polskich na Zaolziu Jana Ruckiego.

Prezes SPPK Helena Legowicz przedstawiła sprawozdanie z działalności stowarzyszenia za rok ubiegły. Największą imprezą organizowaną przez SPPK była Wystawa Polskiej Książki w Czeskim Cieszynie, Jabłonkowie, Trzyńcu i Karwinie z kiermaszem, a w ramach imprez towarzyszących spotkania z pisarzami z Polski i konkurs czytelniczy. Członkowie i sympatycy SPPK wyjechali na Targi Książki do Krakowa. Organizacja wspierała wydanie książki Agaty Szczuki „Oczy zachodnie, oczy wschodnie". Ponad pięćset osób wzięło udział w ankiecie „Ulubiona książka Zaolziaków".

Skarbnik Ewa Sikora przedstawiła sprawozdanie kasowe. Budżet liczącej w tej chwili 57 członków organizacji składa się ze składek członkowskich, pieniędzy z grantów i darów sponsorskich. Wszystkie uzyskane w roku ubiegłym granty zostały rozliczone.

W planach SPPK na rok bieżący jest Wystawa Polskiej Książki i imprezy jej towarzyszące, wycieczka na Targi Książki do Krakowa oraz przeprowadzenie ankiety na „Najważniejszą książkę Zaolzia". O szczegółach informować będą media zaolziańskie.

Uczestnicy Walnego Zgromadzenia SPPK wybrali delegatów na Walne Zgromadzenie Kongresu Polaków 2 kwietnia, zostali nimi prezes SPPK Helena Legowicz i wiceprezes Jan Kubiczek.

C.R.



ANIELA KUPIEC

UCZĘ SIE CIEBIE

Przez zieloności łąk
i fantastyczność ciyni,
przez gmatwanine dróg
i złocistość prómiyni,
przez prośby drżących ros
i gwiezdnych nicość tóni,
poprzez sumiynio głos
i ciepło drogich dłóni
uczę sie ciebie
niebo ...

Przez skowrónkowy śpiew,
żniwnego biołość pola,
przez letnij burzy gniew,
dni złe, jak czyjoś dola,
przez uciekani lat
i dziecka ócz iskrzyni,
życio strokaty szmat,
przez dziejów sie wichrzyni
uczę sie ciebie
ziemio ...

Przez niespełnióne sny
i dalekości nieba,
przez mokrość każdej łzy
i dobroć kąska chleba,
i przez piołónki smak,
przez moc i każde trwani,
przez szczęścio mały mak
i ludzki pocieszani
uczę sie ciebie
życi ...

TU SIE RADOŚĆ URODZIŁA

Pól pszynicznych szum falisty,
rężnych śpiywów kolybani,
tu potoków głośnych, czystych
i kóniczków polnych grani.

Zabłąkane w drzewach echa
niesą z pola downe śpiywy,
a pod modrą nieba strzechą
drzymie cichy buk sędziwy.

Tu sie radość urodziła,
zazwóniły strzybnie kosy,
góry tęczą zaświyciły
na szczęśliwsze przisłe losy.

Pujdzie dziecko po pas tęczy,
rączką z czoła złoto zgarnie,
jak mu śląsko pieśń zadźwięczy
znać, nie żyli my tu marnie ...

WIERZĘ

Wierzę swoji ziymi, na kierej żech rosła,
tej ziymi ubogij z gór leśnych garbami,
tej, co miano swoje nad insze wyniosła,
ziymi swoji wierzę wszystkimi siłami -
tej, co weźnie jedyn
a urodzi siedym
wierzę!

Wierzę w miłość czystą, wstającą z płómiyni,
co serca ożywio ogniami co rano,
w miłość taką wierzę, kiero życi zmiyni,
że ludzie już lepsi wokoło sie staną.

Wierzę w uśmiech dziecka, co jest tak prawdziwy,
że dwiyrze do słońca otwiyrać poradzi,
w uśmiech taki wierzę, promienny, szczęśliwy,
ón bycio stokrotke w ludzki jutro wsadzi,
w ten uśmiech dziecięcy,
co szczęścio do więcej -
wierzę!

PAMIĘTNIKI ZNALEZIONE W KATYNIU

(fragmenty)

AUGUSTYN DYJAS

Wrzesień 1939 r.
1.
Oświęcim - nalot, 1 zabity, 1 ciężko ranny (zmarł).
4.-9.
Marsz w kierunku Skawina-Kraków.
18.
Olesko - rozbrojenie i potyczka z czołgami.
19.-22.
Włączenie do 77 p.p. Nowosielski. Marsz na południe.
28.
Wojska rosyjskie nas rozbroiły i doprowadziły do pobliskiej miejscowości. Następnie zabrali nas autami do Lwowa, noc spędziliśmy w komendzie miasta Lwowa.
29.
Śniadanie otrzymaliśmy w koszarach „Orląt", chleb i słoninę, następnie autami przewieziono nas do Tarnopola. Nocleg w poczekalni dworcowej. Zaopatrzyliśmy się w papierosy.
30.
Rano załadowanie do pociągu w kier. na Podwołoczyska - stacja graniczna. Wieczorem przybyliśmy do Wołoczyska - Rosja. Nocleg w stajni.

Październik 1939 r.
1.
Rewizja. Odebrali mi wszystkie pieniądze. Otrzymaliśmy ciepłe jedzenie. Na śniadanie konserwy i chleb, na obiad kasza i kawa, na kolację kasza i kawa. Załadow.(ano nas) do pociągu do Kijowa.

WŁODZIMIERZ WAJDA

Listopad 1939

17.

Po śniadaniu. Jedziemy na stację do wyładowywania drzewa. Ładna pogoda, można użyć przejażdżki. To jest naprawdę szczęście, że dotąd jeszcze nie ma mrozów ani śniegu. Oby to trwało jak najdłużej. Dzisiaj 2 m-ce, jak sowiety napadły na Polskę. Ciekawe, jak długo to potrwa, to ich panowanie. Świat pcha się ku wojnie. Co dzień jakieś nowe państwo jest w tym zainteresowane. Oj będzie gorąco. Oj będą gruzy, a na nich Polska. Powstanie Polska duża, nowa, piękna. Polska - mściciel. Polska, która będzie umiała żyć, bo rządzić (...) nią będziemy my.

19.

Po śniadaniu. Wczoraj byliśmy znowu na stacji - deszcz. Praca wieczorem w deszczu. Dzisiaj niedziela. Z rana była msza w naszym bloku. Jest tu kilku księży. Przedwczoraj wieczorem przypędzili około 500 osób. Nie spotkałem wśród nich żadnego znajomego. W nocy jeden zmarł. A więc już dwóch. Od wczoraj mamy fantastyczne wieści o rządzie polskim, który podobno jest we Francji. Skład jego jest nowy. Zobaczymy. Wieczór - po obiedzie wybieram się do kina. Codziennie nieomal są filmy. Program oczywiście wiadomy.

22.

Wieczór, za chwilę spać. Byliśmy dziś u młocki jęczmienia. Młockarnia-traktor. Jedno partactwo i niechlujstwo. Rzucanie pieniędzy w błoto. Z taką gospodarką daleko nie dojadą. Dziś napisałem list do domu.

25.

Godz. 11. Znowu leżenie. W ogóle, jak się nie pracuje, to śpimy. Cóż robić? Mania wyjazdu wzrasta. W ogóle niektórzy robią wrażenie zupełnie zwariowanych na tym punkcie. Ja to mogę powiedzieć, że jestem szczęśliwy, bo mnie się to nie czepia. Myślę tylko o Staszce i tęsknię. Jednak wierzę, że za niedługo zobaczę ją.

DOBIESŁAW JAKUBOWICZ

23.12.

Dziś wilia Marysieńko - od rana (4 rano) praca na sali, wszyscy przygotowali do wieczerzy potrawy. Ja nie robiłem nic, bo goliłem i ogoliłem 22 kolegów.

Jako delegat składałem życzenia na innych salach, a poza tym byłem złożyć życzenia Sosnowiczanom. Wilia była na naszej sali bardzo uroczysta - 15 panów. Prycza i stół nakryte były prześcieradłem - choinka maleńka, opłatek własnej roboty i siano. Najpierw komendant sali major zagaił, później krótkie przemówienie mecenasa - dzielenie się opłatkiem, kanapki, naparstek wódki, kanapki ze śledziem siekanym, kartofelszot, herbata, ryba smażona, kasza z kisielem, jabłka, kolędy przy choince zapalonej, a potem część humorystyczna - za gardło ściskało, ale bractwo trzymało się. Cały czas myślałem o Tobie, kochanie, i Bożence i życzę Ci, Marysieńko, wszystkiego najlepszego, prędkiego spotkania się ze mną oraz aby nasze życie układało się później jeszcze lepiej i pogodniej niż dotychczas - również i Bożence, by zdrowa była i wyrosła nam na pociechę. Myślę, że Ty również, kochanie, wiesz, że tu jestem, myślałaś o mnie. Przykro mi bardzo, że muszę tutaj spędzać wilię, a nie z Tobą, Marysieńko.

JAN ZIENKIEWICZ

Strona 30.
31.12.
Sylwester - smutno(,) różne plotki krążą: zmienne nastroje jak pogoda w listopadzie, raz jedziemy - to zostajemy. Zabrali nam majorów, serdecznie ich żegnaliśmy. Obrano mnie na starostę sali. Zobaczę, może dam sobie radę. Nie wiem, co się dzieje w domu, nie ma dotychczas listu. Ciekawym, co się tam dzieje! Przybył do nas Mirecki (?) - do sali.
Strona 32.
Przenieśli nas do głównego obozu w Kozielsku. Trafiłem na salę z 20 osobami, korpus X komp. I - 3 drużyna.
10.01.40
Monotonnie płynie czas, dzień podobny do dnia, dzisiaj miałem dyżur - chodziłem po wodę, zupę itd. Obiady pod psem: kapuśniak z wodą i rybki. Napisałem list, ale nie mam odpowiedzi, nie wiem (...) tam czuje Maryś i dzieci.
Strona 33.
Zakochałem się w Niej ponownie z fotografii. Och Ty, Żono!

ADAM SOLSKI

10.01
Mróz. 39 stopni Reumir. (-47 stopni Cel.) Jedzenie marne. Grochówka - groch niedogotowany. Wczoraj na śniadanie kwaśna kapusta i rybki (kilki?),

brak wody. Wszędzie: do wody, wrzątku, *ławoczki* - długie kolejki. Przy pracy odmrażają nogi.
28.01.
Dziś o godzinie 6.00 minęło pięć miesięcy od chwili wyjazdu. (...) Dziś mija cztery miesiące (o godzinie 11.55) od chwili dostania się w ręce wojsk bolszewickich w Tarnogrodzie nad Tanwią. Pobyt nasz bez zmian. Wczoraj (tzn. 27 stycznia 1940 r.) mjr Rogoziński po przesłuchaniu go przez majora bol.(szewickiego) opowiadał, że (ten) upewnił go, iż przed wiosną oddadzą nas Niemcom. Jeszcze doświadczymy niewoli i pastwienia się przez germańców. U nas nic nowego i nic się nie zmienia. Dnie dłuższe. Jedzenie: na odmianę - po kilkach - ryba. Kilki, śledziki na śniadanie i kasza pęcakowa na obiad. Za ostatnią dekadę nie dostaliśmy cukru i herbaty. Pokazały się pluskwy w naszym pokoju. Psy z obozu zabrali. Wywieszono listę niedoręczonej poprzednio poczty (listów od rodzin). Od Danki - z wyjątkiem kilku zdań z Białegostoku nic nie otrzymałem. Jak ona sobie daje radę z Ewuśką i rodzicami w tę ciężką zimę. Czy są ludzie, którzy jej pomagają?

KAZIMIERZ SZCZEKOWSKI

Marzec 1940
4.
161. Zima wciąż nie ustępuje - zamieć trwa od 3 dni bez przerwy. Dziś moje imieniny - jak różnie spędzam je niż w przeszłym roku. Smutno mi, że od Halinki nie mam wiadomości.
5-6.
162-163. Sprawa latrynowa wciąż tragiczna dla mnie, bo muszę chodzić daleko i o 5-ej rano.
7.
164. Dziś pierwszy słoneczny dzień, choć mroźny - wiosny nie widać a i listów do mnie nie ma.
8-9.
165-166. Mnożą się znów pogłoski o wyjeździe do Niemiec - jakoby w końcu marca lub na początek kwietnia, a no zobaczymy! Sądzę, że czeka nas jeszcze niejedna niespodzianka, byleby dobrze się skończyło.
10.
167. Dziś wysłałem list do Halinki. Bardzo niepokoję się brakiem wiadomości od niej, pocieszam się, że może listy nie dochodzą.
11-12.
168-169. Zima tutaj wciąż w całej pełni. Codziennie prawie zamieć - zimno,

chociaż mrozy znacznie spadły - śnieg wciąż pada, wyobrażam sobie, jaka będzie powódź na wiosnę.
13.
170. Dziś kończyłem 40 lat - w niewesołych co prawda warunkach. Wiosna.

MAKSYMILIAN TRZEPAŁKA

Dziś 20.03, tj. pół roku niewoli. Dzień pogodny, mroźny taki jak 20 września, za parę dni święta W(ielkiej) N(ocy), już drugie w niewoli, bardzo przykre chwile - tęsknota straszna z każdym dniem wzrasta za swymi i za krajem wolnym, kiedy to nastąpi??

Dziś 24.03, dzień Pierwszy W(ielkiej) N(ocy) niczym się nie różni od dni poprzednich. Zamiast jajek św(ięconych) mieliśmy chleb i sól i tym dzieliliśmy się w drużynie. Kiełbasy i szynki, i jajek nie było, bo trudno w tym kraju dostać. Mieliśmy to zrobione z drzewa, które imitowały. Boże! Jakież to przykre. Każdy z nas myślą był przy swoich. W obozie był ruch ożywiony - wszyscy odwiedzali się wzajemnie, składając życzenia szczęśliwego powrotu do wolnej Polski. W ciągu dnia trochę czytałem, trochę spałem i tak minął pierwszy dzień.

Dzień 25.3, drugi W(ielkiej) N(ocy), podobny jak pierwszy. Przed południem zrobiliśmy także drugie śniadanie z sałatki, którą zrobiliśmy z kartofli, buraków, śledzi, mięsa oraz oleju. Całość była bardzo smaczna. Obiad był na ogół lepszy jak poprzednie. Dalszą część dnia też przespałem - trochę na spacerze z kolegami i tym kończą się święta.

ZBIGNIEW PRZYSTASZ

31 III 40
W ciągu ostatnich dwóch dni bez zmian na froncie. Pogoda typowo wiosenna: przymrozki, słońce-odwilż. Ciągły przypływ i odpływ ploteczek à propos wyjazdu. Przychodzą listy i paczki z okupacji niemieckiej. Do mnie i Sanoczan nic. Czytam w dalszym ciągu dużo. W dyskusjach udziału nie biorę.
3 IV 40
Pragnąłbym, ażeby Bóg umożliwił mi powrót (wraz ze wszystkimi) do Polski, do normalnych warunków pracy - ażebym skończył prawo, mógł zrealizować zamierzenia swoje odnośnie rodziny - a potem - potem (...) pracować naukowo choć z amatorstwa, a jak będzie to możliwe, fachowo. A przy tym życie moje tak ułożyć, aby ono mi dawało maksimum korzyści moralnych, fizycznych,

materialnych, ażebym mógł rozwijać i swój charakter, swój umysł, swe ciało, ażebym się ożenił z piękną, dobrą i kochaną kobietą, ażebym miał z nią dzieci - takie, o jakich nieraz marzyłem; - proszę Cię, Boże, i o to, bym miał kawałek ziemi swojej z zagrodą gdzieś w swoich kochanych stronach sanockich, gdzie bym mógł odpocząć z daleka od (...) i gwaru miejskiego. Ażebym ten dom swój i otoczenie jego miał według swego wypieszczonego ideału, żeby w nim była piękna, duża biblioteka, przeze mnie urządzona, którą bym w części przekazał na użytek publiczny, a w części swej Rodzinie. Boże! Proszę Cię o to, by Rodzice moi, brat mój i siostra - również kontynuowali swe życie według swych najpiękniejszych zamierzeń i według swych zamysłów i woli. Lecz przede wszystkich proszę Cię o to, by to się działo tylko - jeśli to jest możliwe, Boże - w ramach Wielkiej Nowej i Potężnej Polski!

4 IV 40

Wiosna się robi coraz lepsza. Śniegi giną coraz bardziej. Wiatr świeży. Coraz lepsze nowiny o polityce, armia gen. Weyganda. Turcja, nowe u(...) wiadomości z USA. U nas 3 bm. wywieziono w nieznanym kierunku 60 + 13 ze Skitu, wywołując w całym obozie wielkie poruszenie.

Ma to być początek całej serii, która się skończy około 20 bm. Wyjazd, kilka obozów rozdzielczych na Zachodzie, a stamtąd! Niemcy, państwa neutralne, Rosja. Czekamy na fasunek cukru, tytoniu, herbaty.

12 IV 40

Do dzisiaj codziennie wyjazdy. Trzy dni pod rząd po 200 do 300 (osób), a czwarty dzień *oddych*. W sali z 35 pozostało 24.

Wielka sensacja polityczna w związku z najazdem niemieckim na Danię i Norwegię. Fala pogłosek à propos tego, gdzie pojedziemy. Jutro mamy dostać „talony" i ewent.(ualnie) listy.

20 IV 40

Wyruszyłem i ja. Rewizja. Podjazd samochodami do stacji. Wagon więzienny. Wyjazd o g.(odzinie) 4(16). Smoleńsk jesteśmy (...)

JÓZEF TREPIAK

Kwiecień

21.

Wyjazd z Koz(ielska). „Naloty" od 9. Około 13 wezwano mnie. Około 17 wyjazd do wagonów. Straszna „przyjeżaska" autami. Na bocznicy w Kozielsku do wagonów areszt(anckich) po 14 do przedziału.

22.

Wyjechaliśmy z Kozielska pomiędzy 2 i 3 w nocy.

POLACY NA LITWIE

PRZEKRACZANIE GRANIC WYZNACZONYCH PRZEZ GRUPĘ ETNICZNĄ

Zmiany polityczne i społeczno-kulturowe ostatniego dziesięciolecia zaowocowały badaniami nad tożsamością, grupami etnicznymi i mniejszościami narodowymi. Dokonujące się procesy globalizacji i modernizacji otaczającego nas świata na pierwszy rzut oka niwelują różnice pomiędzy poszczególnymi społecznościami światowymi, w rzeczywistości jednak potęgują eskalację ich odmienności. Ten stan rzeczy, a zwłaszcza fakt coraz mocniejszego uwydatniania się różnic, staje się obiektem poszukiwań przyczyn tego zjawiska. (...) Psychologicznie motywowany mechanizm utożsamiania się jednostki z określoną grupą i chęć bycia przez nią docenionym nie wyklucza jednak możliwości podtrzymywania łączności z większą wspólnotą, choć w mniejszych wspólnotach łatwiej o poczucie bezpieczeństwa oraz o uznanie społeczne. Europa końca XX wieku przybrała postać mozaiki „małych ojczyzn". Niby klocki składają się one w coraz większe grupy wewnątrz państw, narody czy regionalne ugrupowania na skalę kontynentu, zazwyczaj połączone ideą realizacji wspólnych celów.

Moje rozważania nie zmierzają do generalizowania opisywanego zjawiska ostracyzmu czy twierdzenia o jego uniwersalności, lecz mają na celu ukazanie tej tendencji w realiach społeczności wileńskiej, zwartego skupiska Polaków, zamieszkujących okolice stolicy Litwy. Wstępną tezą eseju odwołuję się do wykreowanego przez tę grupę mechanizmu zachowań wobec swojego członka, który świadomie czy nieświadomie występuje przeciwko temu, co przez całą grupę jest uznane za kwintesencje „polskości litewskiej". Następstwem podobnego przekroczenia granic jest skazanie przez wspólnotę na ostracyzm. Jednostka najpierw jest krytykowana, potem poddana presji powrotu do „tradycji" i wreszcie, jeśli poprawa nie nastąpi, zostaje odsunięta od grupy.

Jakie przyczyny powodują, że „swój" staje się „obcym"? Co sprawia, iż więzy słabną, gdy członek owej grupy zaczyna utożsamiać się z narodem i krajem ojczystym tej właśnie *etni?* Dlaczego obywatelska postawa wobec państwa, w którym się zamieszkuje, uznawana jest za zdradę wobec grupy etnicznej? Czy Polak wileński po dłuższym pobycie w Polsce i poznaniu jej rzeczywistego oblicza ma szanse być nadal uznawany za „swego" w środo-

wisku, które zostawił w kraju ojczystym? Przy omawianiu problematyki tożsamości zawsze pojawia się kwestia poszukiwania „obcego", w opozycji do którego dana grupa może określić swoją autonomiczną świadomość, może zaistnieć jako „swoi". Proces stawania się „obcym" niezbyt często jest brany pod uwagę jako jeden z aspektów badań, a wręcz da się zauważyć tylko nieliczne wzmianki o tym, iż zjawisko takie w ogóle istnieje.

Przed rozpoczęciem analizy przydatne wydaje się przybliżenie kilku terminów, do których będę powracać. Jednym z nich jest „grupa etniczna". Posłużę się tu definicją M. S. Szczepańskiego, według którego *to społeczność, której tożsamość kulturowa związana jest z określonym terytorium (terytorium etniczne), posiadająca świadomość własnej odrębności kulturowej, językowej i historycznej, a czasami nawet ekonomicznej, nietworząca wszakże odrębnego narodu, choć wyposażona w pewne jego cechy*. Brakuje tu jeszcze jednego aspektu, zauważonego przez T. Eriksena. Jest nim interakcja, jako warunek powstania grupy etnicznej. Jego zdaniem, więź etniczna może zaistnieć tylko w interakcji z grupą sąsiednią, posiadającą odrębne właściwości kulturowe. Sytuacja Polaków na Wileńszczyźnie ściśle odpowiada wymienionym powyżej kryteriom, a historyczne uwarunkowania w postaci przesunięcia granic po II wojnie światowej uczyniło z nich mniejszościową grupę etniczną, żyjącą na terenie zdominowanym przez kulturę litewską.

Zjawisko ostracyzmu trudno poddaje się analizie i może całkowicie umknąć uwadze osoby z zewnątrz, gdyż jak każda badana grupa tak i Polacy wileńscy pragną roztaczać wokół swojej wspólnoty wizję wewnętrznej solidarności i spójności ponad podziałami. Mimo tego niektórzy badacze zdołali zaobserwować charakterystyczne skazy: *(...) wadą Polaków jest to, że są ze sobą skłóceni, nie mają jednego zdania, każdy chce przepchnąć własną opinię, nie potrafią w sprawach ważnych, gdy trzeba wystąpić wspólnie, utrzymać jednego stanowiska*. Opis ten dotyczy trudności w wypracowaniu wspólnej pozycji wobec jakiejś sprawy, a więc przypadku odmiennego niż wykluczenie kogoś z grona wspólnoty. Tymczasem owo wykluczenie jest zjawiskiem ukrytym i podświadomym, ale dającym się odczuć empirycznie. Najbardziej widocznymi i zarazem nieprzyjemnymi dla osoby dotkniętej ostracyzmem objawami procesu wykluczania z grona wspólnoty są niechęć do podtrzymywania związków towarzyskich, unikanie kontaktu, odsuwanie od wszelkiego rodzaju wspólnych przedsięwzięć, odmowa pomocy w sprawach, w których wspólnota ma wobec swoich członków takie możliwości. Objawem ostatnim ze względu na swoją nieuchwytność i trudność zdefiniowania lub choćby potwierdzenia w badaniach jest wszechmocna plotka i obmowa, oskarżająca o obranie niestosownego kierunku życia.

Sprawą kluczową jest odnalezienie terytorium odrzucenia z grupy etnicznej, a więc wskazanie, kim jest osoba wykluczona ze wspólnoty, wobec której zastosowano mechanizm wewnątrzwspólnotowego ostracyzmu. Często zdarza się bowiem tak, że osoba ta deklaruje własną przynależność do wspólnoty, podczas gdy sama wspólnota nie uznaje jej za „swojego". Dlatego tak istotne okazuje się odszukanie wewnętrznych granic, wyznaczonych przez grupę, i ustalenie w ten sposób momentu, w którym „swój" traci ów cenny status. (...) Ważne jest nie tylko to, jak „my", jako członkowie wspólnoty, określamy siebie, lecz także to, jak określają nas inni, zwłaszcza członkowie wspólnot sąsiednich czy w tym wypadku członkowie wspólnoty, do której przynależność deklarujemy. Właśnie samookreślenie wydaje się podstawową kwestią w poszukiwaniu „wykluczonego" ze wspólnoty. Taki outsider wykazuje się brakiem lojalności wobec grupy etnicznej i brakiem poszanowania dla wyznaczonych przez nią granic.

Ogólnie rzecz biorąc, odrzuconych można podzielić na dwie kategorie. Przedstawiciele pierwszej, mieszkając we wspólnocie, odstąpili od powszechnie uznanych norm zachowania. Drudzy to ci, którzy wrócili do ziemi ojczystej po doświadczeniach pobytu w Polsce, które uwarunkowały zmianę ich sposobu życia, światopoglądu, zachowania.

Proponuję rozpatrzenie uwarunkowań mechanizmu odrzucenia „nieposłusznych członków" przez grupę etniczną. Niezbędna do tego będzie analiza cech tzw. tożsamości wileńskiej (potocznie nazywanej „tutejszą", w celu uniknięcia ścisłej samoidentyfikacji), wraz z próbą wyznaczenia niektórych granic tego, co przystoi, a co nie w owej wspólnocie. Pierwszym problemem, przed którym staje badacz tożsamości wileńskiej, jest sam jej wybór przez określonych ludzi żyjących na terytorium państwa litewskiego i pytanie, czym ów wybór jest warunkowany? Słowo „wybór" pada nieprzypadkowo, ponieważ bycie Polakiem lub Litwinem to akt „dobrej woli". *Polacy urodzeni poza granicami Polski są Polakami z wyboru. Wybierając samoidentyfikację polską, odwołują się, jak można sądzić na podstawie uzyskanych wyników badań, do obiektywnych cech, które trudniej zakwestionować, nie można też posądzać osób je wybierających np. o motywację instrumentalną.* Wpis do paszportu jest dokonywany na podstawie deklaracji narodowości, przy czym żadne dowody na jej potwierdzenie (a więc, polskie korzenie rodziny, znajomość języka czy kultury itp.) nie są potrzebne. Niekiedy o wpis narodowości, o który najczęściej starają się przedstawiciele mniejszości narodowych, trzeba walczyć, ponieważ jest on pomijany przez urzędników. Pieczątka z wpisem narodowości jest fizycznym potwierdzeniem, namacalnym dowodem i jednym z najważniej-

szych atrybutów przynależności do grona grupy etnicznej Polaków litewskich. Ponieważ jednak uzyskanie upragnionej przez niektórych pieczątki wiąże się z pewnymi kłopotami natury biurokratycznej, rytuał jej zdobywania traktowany jest jako jedna z prób inicjacyjnych, poprzedzających członkostwo w owej wspólnocie. Być może w ten sposób wyrażają się tak wielbione przez wszystkich Polaków ciągoty martyrologiczne i przekonanie, że tylko to, co przychodzi z trudem i za co się cierpi, jest naprawdę cenne. Na pewien rys świadomego „męczeństwa" Polaków zabiegających o pieczątkę z deklaracją narodowości może wskazywać także fakt, że jej posiadanie nie zawsze jest dla nich korzystne, co niekiedy twierdzą urzędnicy biura paszportowego, odradzając dokonywanie owego wpisu. Inną możliwością jest deklaracja narodowości w dokonywanym co kilka lat spisie ludności. Nie jest to już akt tak bolesny, ale za to zaliczany przez grupę etniczną do obowiązku społecznego względem wspólnoty kulturowej.

Jak więc na Litwie dokonuje się wyboru, „kim być"? W rodzinach homogenicznych pod względem narodowościowym najczęściej przybiera się narodowość całej rodziny. W rodzinach mieszanych kwestia wyboru jest o wiele bardziej skomplikowana i zależy od tradycji kultywowanych przez ich członków, środowiska, z którym się obcuje, szkoły, w której się uczy (litewskiej, rosyjskiej lub polskiej). Bliski związek z kulturą dominującą (litewską) może zaowocować wyborem drogi dwukulturowości, która tylko na pierwszy rzut oka wydaje się wygodnym rozwiązaniem kompromisowym. *Osoby dwukulturowe częściej podkreślają posiadane kompetencje w zakresie każdej z kultur (np. znajomość języków), postrzegają większe nasilenie konfliktów między kulturami, a partycypacja w dwóch kulturach jest dla nich bardziej problematyczna. Bycie osobą dwukulturową w każdym wypadku jest jednak odbierane jako wartość pozytywna.* Pozytywna wartość dwukulturowości to jednak bardziej hasło i marzenie o pokojowej koegzystencji, niż realny wymiar zjawiska. Wybór tej drogi bywa decyzją bardzo uciążliwą i narażającą na ciągły dyskomfort psychiczny, ponieważ zdeklarowani członkowie poszczególnych grup etnicznych osobę dwukulturową postrzegają jako outsidera. Obie kultury, z którymi pragnie się ona jednocześnie utożsamić, wymagają od niej zdecydowanego wyrzeczenia się jednej na rzecz drugiej, uznając taką jednoznaczną deklarację za warunek *sine qua non* członkostwa w grupie. Wyboru własnej tożsamości nie można traktować też jako jednorazowego aktu, wiążącego na całe życie. Ktoś, kto mieszka na pograniczu kultur, całe życie zmaga się z tym problemem.

Jednym z czynników, ostatecznie korygujących deklarowaną przynależ-

ność do narodowości polskiej, jest pobyt w Polsce. Korekcje takie odbywają się zarówno na korzyść narodowości polskiej, jak i na jej niekorzyść. Prawidłowość tę zauważają także badacze: *(...) osoby w trakcie pobytu w kraju swoich przodków przeżywają takie doświadczenia, które przyczyniają się do przewartościowania ich dotychczasowej samoidentyfikacji i przynależności narodowej na niekorzyść identyfikacji z polskością.*

Kolejnym krokiem będzie odtworzenie nieświadomego mechanizmu wyobcowania członków swojej grupy etnicznej. (...) Chociaż tożsamość narodową Polaków na Litwie możemy określić szeroko pojętym mianem polskości, jednak koniecznie należy podkreślić, że owa symboliczna polskość, teoretycznie łącząca Polaków w Polsce i tych na Litwie, zasadniczo różni się swoją istotą w zależności od kraju stałego zamieszkania. Istnieje więc coś w rodzaju polskości „polskiej" i polskości „litewskiej", czy ściślej „wileńskiej". Pierwszym czynnikiem, odróżniającym je od siebie już na samym starcie, są narody (a więc inne grupy wraz z ich kulturą i własną tożsamością), w opozycji do których kształtowały się obie tożsamości. W wypadku Polski znaczącymi „obcymi" są Rosjanie i Niemcy, podczas gdy dla Polaków litewskich będą to przede wszystkim Litwini i w mniejszym stopniu Rosjanie czy Białorusini mieszkający na Litwie. Nasuwa się wniosek, iż ze względu na samo sąsiedztwo odmiennych narodów obie tożsamości polskie – ta krajowa, i ta wileńska – posiadają u swych podstaw inny zestaw cech dystynktywnych, za pomocą których starają się określić własną autonomię. Innym kryterium przynależności do jakieś grupy narodowej jest wspólnota terytorium, którym dla Polaków będzie państwo polskie, a dla ich litewskich rodaków – Wileńszczyzna. Jak pokazują badania nad tożsamością tych ostatnich, Polskę odbierają oni jako ojczyznę duchową, lecz o wiele bardziej są przywiązani do ziemi wileńskiej. *Polska to kraj, z którym łączy nas język, kultura i historia, pod tym względem czujemy z nią duchową łączność, ale ojczyzna – ziemia to Litwa.* (...) Wynika to z faktu, że Polacy na ziemiach litewskich nie są przesiedleńcami czy imigrantami, ale autochtonami od wieków, lub jak mówią respondenci – „od zawsze", zamieszkującymi dane tereny. Czują się oni „na swojej ziemi", ale z powodu takiej postawy często popadają w konflikt z Litwinami, którzy uważają się za właścicieli wszystkiego, co znajduje się w granicach ich państwa, a mniejszość polską traktują jako spolonizowanych Litwinów. W tym momencie dotykam jednej z najdrażliwszych kwestii, a mianowicie języka. Pomimo iż wydaje się, że właśnie na tej płaszczyźnie Polaków litewskich i polskich coś łączy, to nie jest to tak bardzo oczywiste. Język polski jest, co prawda, częścią składową polskości Polaków litewskich, ale raczej utożsamiają się oni z polszczyzną

w wersji kresowej, przez lingwistów zwaną dialektem północno-kresowym, a potocznie - językiem wileńskim. Używanie tej odmiany polszczyzny umożliwia odróżnienie „swoich" od „obcych". Nawet w języku inteligencji polskiej na Litwie, która doskonale posługuje się polszczyzną literacką, słychać śpiewny akcent oraz wymowę „wileńską". Zresztą ta sama inteligencja w komunikacji codziennej niekiedy posługuje się kresową odmianą polszczyzny wraz ze wszystkimi jej „nieprawidłowościami". Można zaobserwować wręcz dyskomfort psychiczny odczuwany przez Polaka litewskiego, gdy słyszy on „czystą" polszczyznę! Często pierwszym powodem ostracyzmu i wykluczenia z grupy etnicznej staje się właśnie język. Do utraty kontaktu ze wspólnotą i statusu „swojego" może wystarczyć, by ktoś, kto po dłuższym pobycie w Polsce (np. na studiach), wracając do domu, posługiwał się literackim językiem o poprawnej wymowie polskiej. Takiej osobie przypisuje się zazwyczaj złe intencje wynoszenia się ponad współrozmówcę, arogancję, pokazywanie swojej wyższości. Zjawisko takie nie mogłoby zaistnieć, gdyby nie głęboko skrywane poczucie niższości własnej kultury, „kompleks Wileńszczyzny" odczuwanej jako mniej wartościową, gorszą w porównaniu z Polską. Ostracyzm dotykający jednostkę w takich okolicznościach nie ma nic wspólnego z jej obiektywną winą, bo czy można uznać za winę używanie poprawnej polszczyzny? (...) Wileńscy Polacy najlepiej czują się w gronie swojej grupy etnicznej. Można wręcz mówić o pewnej jej hermetyczności, co spowodowane jest uwarunkowaniami historycznymi, a zwłaszcza tkwiącymi w odległej przeszłości korzeniami powstania grupy, jej swoistą archaicznością. Zaangażowanie w różne inicjatywy kulturowe, we wspólnotę kościelną, przynależność do polskich partii politycznych czy organizacji o charakterze apolitycznym gwarantuje jednostce uznanie ze strony pozostałych członków grupy i trwałe miejsce w jej gronie. Często Polacy posiadający wyższe wykształcenie i mogący starać się o zatrudnienie w dowolnym miejscu wolą znaleźć pracę nawet gorzej płatną, ale związaną ze środowiskami polskimi, a przez to bardziej prestiżową - oczywiście z punktu widzenia wspólnoty. Niepisaną zasadą jest zawieranie małżeństw w obrębie swojej grupy etnicznej (...), *nie ma środowiskowej zgody na mieszane małżeństwa, każde takie małżeństwo oznacza utratę dzieci dla polskości.*

Instytucją o ważnym znaczeniu dla utrzymania i krzewienia polskości pozostaje Kościół katolicki. Chociaż katolicyzm jest wyznaniem dominującym na Litwie i - zdawałoby się - łączącym Litwinów, Polaków z Polski oraz ich wileńskich rodaków, jednak także tutaj można odnaleźć przyczyny powstawania kolejnych różnic. Polaków litewskich od Litwinów od-

różnia język religii i liturgii kościelnej, a od Polaków z Polski - archaiczność tradycji kościelnych, które popadły już w zapomnienie, zaś na Wileńszczyźnie wciąż są obecne. Może być to sposób obchodzenia Świąt Wielkiej Nocy. Wileński obyczaj nakazuje siadanie przy wspólnym stole dopiero w niedzielę rano, po poświęceniu pokarmów na porannej mszy i po ściśle przestrzeganym dwudniowym poście. Nie jest to tylko wspomnienie dawnej tradycji, ale obowiązujący wszystkich członków grupy etnicznej obyczaj. Na Wileńszczyźnie nadal powszechne są bardzo bliskie związki pomiędzy kościołem a wspólnotą wiernych, która stała się rodzajem instytucji dbającej m.in. o prawa swej mniejszości. (...) W Wilnie i jego okolicach zachowały się kościoły, w których odprawia się msze polskie. Dla wielu wierzących Polaków jest to rzadka okazja używania „poprawniejszego" języka polskiego, a niekiedy nawet jedyna, ponieważ pozytywny stosunek do kultury litewskiej w życiu codziennym lub zawodowym, czy wręcz asymilacja, nie wpływają na zmianę języka wiary, którym pozostaje polszczyzna. (...)

Nieprzestrzeganie uświęconych tradycją zasad współtworzących tożsamość Polaka wileńskiego czy odstąpienie od kanonu zachowań przyjętych we wspólnocie traktowane są jako próba zerwania więzów emocjonalnych, jako nielojalność jednostki wobec grupy. W takich okolicznościach czuje się ona w pełni usprawiedliwiona, odmawiając dalszego materialnego i duchowego wspierania osoby, która z punktu widzenia wspólnoty jako pierwsza z nią zerwała. Za nieposłuszeństwo wobec grupy, a więc za deklarację zerwania z nią uważane są m.in. decyzje kształcenia dzieci w szkołach litewskich, zaniedbanie wychowania w duchu chrześcijańskim (w tym także pozwolenie dziecku na nieuczęszczanie na lekcje religii), mieszane małżeństwo, studia w Polsce wraz z przejęciem systemu wartości *stricte* polskich, „bratanie się" z kulturą dominującą (w odróżnieniu od nacjonalizmu, który bywa mile widziany), wybór postawy dwukulturowej lub asymilacyjnej, niedeklarowanie narodowości w dowodzie osobistym, zmiana pisowni nazwiska (zwłaszcza dołączenie do niego końcówki litewskiej).

Tak mniej więcej przedstawia się lista najczęstszych powodów odsunięcia jednostki na margines wspólnoty. Tymczasem jasno widać, że owe wymienione przeze mnie odstępstwa od powszechnie przyjętych przez grupę etniczną zachowań najczęściej nie są wynikiem świadomego zamiaru opuszczenia kręgu wspólnoty, lecz stanowią wyraz postawy konformistycznej wobec realiów życia w społeczeństwie, w którym kulturą dominującą jest litewska. Skończenie szkoły litewskiej, według rodziców, daje dziecku możliwość kontynuacji kształcenia się na studiach wyż-

szych, znalezienia lepszej pracy; z kolei małżeństwo mieszane to decyzja czysto emocjonalna (choć oczywiste jest, że wśród 3 milionów Litwinów łatwiej znaleźć partnera, niż wśród 250 tysięcy Polaków wileńskich). Dwukulturowość, a wraz z nią często idąca w parze postawa obywatelska dominuje wśród osób wykształconych, które, nie wyrzekając się swojej polskości, walczą o prawa grupy etnicznej, ale też nie zapominają o dobru wspólnym wszystkich obywateli Litwy. Asymilacja pojawia się najczęściej jako skutek mieszanych małżeństw czy braku dostępu do szkół polskich. Trudno więc nazwać taką asymilację decyzją świadomie podjętą, skoro następuje w okolicznościach, na które jednostka nie ma większego wpływu.

Z mojej własnej perspektywy szczególnie interesujące jest zjawisko ostracyzmu stosowanego wobec członków wspólnoty, którzy na dłuższy czas tracą kontakt z nią i z rzeczywistością Litwy. Największe trudności w powrocie na łono grupy etnicznej czekają tych, którzy będą poczuwać się do tożsamości w „wersji polskiej". O wiele łatwiej przyjdzie włączyć się na powrót do wspólnoty tym, którzy z Polski powracają rozczarowani i zniechęceni, a więc - przekonani o tym, że wileńska „tutejszość", własna tożsamość Polaków litewskich, jest lepsza od wszystkiego, co może zaoferować Polska. Analizując cechy, odróżniające obie te polskości, świadomie uwypuklałam każdą z nich, gdyż tylko w ten sposób można zrozumieć niezwykły podział, który Polakom litewskim każe widzieć siebie („my Polacy") w opozycji nie tylko do Litwinów, ale i do Polaków z Polski („oni Polacy"). (...)

Pomimo wszystkich różnic oddalających grupę etniczną Polaków litewskich od żyjących na wyciągnięcie ręki Polaków z Polski w referendum europejskim decydującym o przystąpieniu Litwy do Unii Europejskiej Wileńszczyzna głośno powiedziała „tak": aby życie było lżejsze, praca lepiej płatna, aby przyszłe pokolenia miały lepsze perspektywy i aby być bliżej Polski. Możliwe, że po wstąpieniu obu krajów do UE i pod wpływem bliższego kontaktu z Macierzą istniejące skrajne formy ostracyzmu zanikną. Pomocne w tym na pewno będzie dalsze budowanie społeczeństwa obywatelskiego, które przestanie uznawać ksenofobiczne i anachroniczne podziały na „my" i „oni" w odniesieniu do wspólnoty narodów, tworzących nową społeczność europejską, ale także wobec członków swojej grupy etnicznej, wyróżniających się innymi poglądami na życie.

RENATA CHATKIEWICZ

Autorka urodzona w Wilnie jest obecnie studentką UJ w Krakowie. Przedruk obszernych fragmentów artykułu z kwartalnika Znad Wilii nr 2/2004 za zgodą wydawcy.

KONKURS JEDNEGO WIERSZA

Kawiarenka Pod Pegazem MK PZKO Jabłonków ogłasza trzecią edycję Konkursu Jednego Wiersza im. Władysława Młynka O PALICĘ HADAMA.

Warunki konkursu:

1. Wiersz o objętości do 30 wersów, oznaczony godłem, napisany w języku literackim lub gwarze cieszyńskiej, dotychczas nigdzie niepublikowany.
   Innojęzyczny wiersz - oryginał wraz z przekładem na język polski z podaniem autora przekładu.
2. Tematyka dowolna.
3. Nagroda główna w wysokości 2000 koron czeskich oraz pięć wyróżnień po 900 koron czeskich. Zwycięskie wiersze zostaną opublikowane w Głosie Ludu, Zwrocie oraz w katowickim miesięczniku Śląsk.
   Nagrody pieniężne zostaną wysłane pocztą.
4. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone podczas Kawiarenki Świętogóralskiej w sobotę 7 sierpnia 2005 roku w Domu PZKO w Jabłonkowie.

Wiersz opatrzony godłem autora należy przesłać na adres MK PZKO Jabłonków, Marianske nam., w pięciu egzemplarzach z dopiskiem na kopercie Konkurs poetycki. Do koperty z utworami należy włożyć drugą kopertę z nazwiskiem autora i miejscem zamieszkania.

Przewodniczący Komisji
Konkursu Jednego Wiersza 2005
mgr Karol Suszka
dyrektor Teatru Cieszyńskiego



DOTKNIĘCIA MEGO ŻYCIA, CZYLI...

„Dotknięcia mego życia" („Doteky mého života") to książka wspomnień. Autorką jest Anděla Kufová z Trzyńca, pochodząca z Mostów koło Jabłonkowa. Publikacja ta (271 stron, plus fotografie) ukazała się nakładem własnym autorki w lipcu 2004 roku.

W ostatnim piętnastoleciu powstało również w naszym regionie co nieco książek, będących swoistym portretami życia autora, jego wspomnieniami, pamiętnikami, po prostu prywatną historią. Książek o różnej wartości, bo subiektywny autoportret lub portrety ludzi, z którymi autorowi wypadło współżyć, nie zawsze muszą być zgodne z prawdą. Subiektywizm może być cenną formą wypowiedzi o życiu, ale także bałamutną, jeżeli autora nie stać na odpowiedni dystans wobec samego siebie i otoczenia.

Autorka swe teksty określa jako opowiadania, podkreślając niemal w każdym, że to rzeczywistość, najprawdziwsza prawda, uważając siebie za wojowniczkę o prawdę, naturalnie swoją, subiektywną. Opowiadaniami w sensie literackim teksty te na pewno nie są, bo opowiadanie to fikcja, chociażby była oparta na prawdziwych przeżyciach autora. Są to zwyczajne wspomnienia, opisy pewnych przeżyć oraz portrety ludzi, którzy mieli to szczęście, w większości wypadków jednak raczej nieszczęście, zjawić się na drodze życiowej autorki.

„Doteky mého života", a uświadomi to sobie czytelnik, jeżeli uda mu się przeczytać całość, są swoistą spowiedzią kobiety raczej nieszczęśliwej z wielu przyczyn, w tym także z własnej winy. Autorka opisuje swoje mosteckie dzieciństwo i młodość, lata szkolne, zaangażowanie kulturalne w ramach czeskiej Macierzy Oświaty Ludowej, wylicza placówki, w których była zatrudniona, dzieje swoich chorób, nie brak tu także zwyczajnych plotkarskich wypowiedzi na temat ludzi, których autorka uważa za swych wrogów, ale także bliźnich.

Nie oszczędza nikogo w swych ocenach, nawet samej siebie. Dla autorki prawie każdy miejscowy Polak to polski szowinista, co siłą rzeczy autorkę szereguje do grona czeskich szowinistów, chociaż uważa siebie za dobrą patriotkę, bo tylko szowinista szasta tak bezmyślnie pojęciem szowinizmu w stosunku do innych nacji. Autorka ma naturalnie prawo w swych wspomnieniach być szowinistką, tak samo jak nasi szowiniści mają na to prawo w swoich wspomnieniach, co jednak ani o jednej, ani o drugiej stronie dobrze nie świadczy. Ma także prawo uważać, że w roku 1938 „nasza piękna śląska ziemia" znalazła się pod polską okupacją, nie powinna też jednak zapominać, iż ta sama „nasza piękna śląska ziemia" w pojęciu większości została wtedy zwrócona Macierzy. Naturalnie autorka mogła widzieć wtedy w Polakach

zawszonych okupantów, mogła także ustami swej matki witać niemieckich okupantów *Guten Tag, schön willkommen* i litować się nad biednymi i spragnionymi młodymi żołnierzami Wehrmachtu 1 września 1939, ale to wszystko o czymś świadczy.

Drugimi dożywotnimi wrogami autorki byli lekarze, rzekomo odpowiedzialni za jej cierpienia, nawet ci, którzy w opinii trzyńczan uchodzili za bardzo dobrych specjalistów. Jednak oskarżanie ich publicznie o to, iż chcieli ją zamordować (czescy lekarze, bo byli fuszerami, polscy, bo chcieli się pozbyć czeskiej patriotki), to już aż prosi się o postępowanie karne - wobec lekarzy, że chcieli mordować, zamiast leczyć, lub wobec autorki za fałszywe pomówienia. Te oskarżenia pojawiają się bardzo często.

Kufová w swych wspomnieniach poza tym oskarża prawie wszystkich, współpracowników, z którymi przypadło jej pracować, szefów, którzy pragnęli ją uwieść lub zgwałcić, szefowe, iż ją, schorowaną, obarczały nadmiarem pracy, malarzy amatorów, bo nie dostrzegali jej talentu (prowadzący kurs malarski w Trzyńcu Gustaw Fierla, chcąc poprawić jej obraz, zepsuł go bezpowrotnie). Nie szczędzi w swych oskarżeniach nawet najbliższej rodziny, krewnych, siostry, nawet matki, jedynie ojciec w jej opinii wyszedł dobrze.

Szukanie prawdy jest cechą zacną, ale jeżeli stanie się ono chorobliwą manią na pograniczu schizofrenii, to wartość tej prawdy staje się wątpliwa, a głosiciel tej prawdy podejrzany. Podejrzany jest też człowiek, który uważa siebie za idealnego, jedynego sprawiedliwego.

Rażą też w książce oceny tych, których autorka nienawidzi, a ci stanowią większość. Epitety, jakie wobec nich stosuje, nie świadczą o niej najlepiej. I nieskrywana satysfakcja, kiedy ktoś z jej wrogów umiera, w czym widzi karę boską za swoje krzywdy.

W sumie książka „Doteky mého života" A. Kufowej jest historią (subiektywną) życia wielu ludzi, przede wszystkim samej autorki. Jest także jej autoportretem, jednak autoportret ten w ostatecznej wymowie nie jest wbrew zamiarom piszącej portretem pięknym. Wzbudza raczej litość i współczucie, czasami oburzenie i nudzi częstym powtarzaniem tych samych przeżyć, cierpień i oskarżeń. A mogła to być w miarę ciekawa książka z życia wzięta. To nic, że Polaków widzi takimi, jak ich opisuje, to też ostatecznie dokument o ludziach, kręgach, w jakich się poruszają, i czasach, w jakich wypadło im i nam wszystkim żyć w naszej wspólnej pięknej śląskiej ziemi.

Gdyby autorka swe teksty przejrzała uważnie i wyeliminowała wszystkie powtarzające się w nieskończoność historie swych cierpień, chorób i oskarżeń lekarzy, książka mogłaby być znacznie szczuplejsza, bardziej przejrzysta i wiarygodniejsza. Przydałaby się także korekta językowa czeskiego tekstu oraz licznych polskich cytatów (dlaczego autorka udaje, iż umie po polsku, skoro ani jedno zdanie, a w niektórych zdaniach nawet ani jedno słowo nie jest zapisane poprawnie?). Tych „gdyby" jest więcej, ale książka jest gotowa i gdybanie nic już nie pomoże.

KAZIMIERZ JAWORSKI

JAK SPRAWNY I GIĘTKI MASZ JĘZYK

BĄK

Spadł bąk na strąk, a strąk na pąk. Pękł pąk, pękł strąk, a bąk się zląkł.

BZYK

Bzyczy bzyk znad Bzury zbzikowane bzdury, bzyczy bzdury, bzdurstwa bzdurzy i nad Bzurą w bzach bajdurzy, bzyczy bzdury, bzdurnie bzyka, bo zbzikował i ma bzika.

CZYŻYK

Czesał czyżyk czarny koczek, czyszcząc w koczku każdy loczek, po czym przykrył koczek toczkiem, lecz część loczków wyszła boczkiem.

DZIĘCIOŁ

Czarny dzięcioł z chęcią pień ciął.

JAMNIK

W grząskich trzcinach i szuwarach kroczy jamnik w szarawarach, szarpie kłącza oczeretu i przytracza do beretu, ważkom pęki skrzypu wręcza, traszkom suchych trzcin naręcza, a gdy zmierzchać się zaczyna, z jaszczurkami sprzeczkę wszczyna, po czym znika w oczerecie w szarawarach i berecie.

KRÓLIK

Kurkiem kranu kręci kruk, kroplą tranu brudząc bruk, a przy kranie, robiąc pranie, królik gra na fortepianie.

KRUK

Za parkanem wśród kur na podwórku kroczył kruk w purpurowym kapturku, raptem strasznie zakrakał i zrobiła się draka, bo mu kura ukradła robaka.

MUSZKA

Mała muszka spod Łopuszki chciała mieć różowe nóżki - różdżką nóżki czarowała, lecz wciąż nóżki czarne miała. - Po cóż czary, moja muszko? Ruszże móżdżkiem, a nie różdżką!

PCHŁA

Na peronie w Poroninie pchła pląsała po pianinie. Przytupnęła, podskoczyła i pianino przewróciła.

SZCZENIAK

W gąszczu szczawiu we Wrzeszczu klaszczą kleszcze na deszczu, szepcze szczygieł w szczelinie, szczeka szczeniak w Szczuczynie, piszczy pszczoła pod Pszczyną, świszczy świerszcz pod leszczyną, a trzy pliszki i liszka taszczą płaszcze w Szypliszkach.

TRZNADLE

W krzakach rzekł do trznadla trznadel: - Możesz mi pożyczyć szpadel? Muszę nim przetrzebić chaszcze, bo w nich straszą straszne paszcze.

Odrzekł na to drugi trznadel: - Niepotrzebny, trznadlu, szpadel! Gdy wytrzeszczysz oczy w chaszczach, z krzykiem pierzchnie każda paszcza!

ŻABA

Warzy żaba smar, pełen smaru gar, z wnętrza gara bucha para, z pieca bucha żar, wrze na żarze smar.

SZKAPINO

Jak sie szło od karwińskigo starego kościoła do dziedziny, z kopieczka kónsek, to przi ceście na przikopie zaroz piyrszo stoła chałupa Kubiynki ogrodnika (ojciec tych Kubiynków był kościelnym, we szkole sie pisali Toboła). A zaroz wedle, w drugi drzewiónce, miyszkała Szkapino, wdowa. Owdowieć musiała óna dość młodo, bo co se jo jóm przipóminóm, jak ech była dzieckym, to óna była już downo wdowóm. Ón, tyn Szkapa, jak powiadali, był golibrodóm i wywołanym tancmajstrym. Chodził do inszych dziedzin daleko ku Ostrawie i Boguminu uczyć tańcować. Nie jyny stare nasze tańce: krziżoka, kowola, kaczoka, kozoka, gorola i tak dali, ale i czardasza, i wszystki nowomodne kónski, co sie tańcowało: polki, walcery, lyndry, szotysze... Jak Szkapa umrzył, tak to przewziyna wdowa po nim, Szkapino. Po drugich dziedzinach już nie chodziła, ale w Karwinej nie dali ji pokuj, pozywali jóm ku muzykóm, żeby kludziła tańcowaczke, żeby ludzie podle nij tańcowali. Była óna tako wysokucno, chudo baba, strasznie wiesioło i ogrómnie rada tańcowała; tak sie nie dała dwa razy pytać. Umiała óna kaj jaki kónski, proste czy nejbardzi sztuczne, a tańcowała, hojej!, że ji żodyn nigdy nie dorownoł. Uczyła óna tańcować synków, młodzioków, a powiadali o nij, że i tego najbulatszego pachołka nauczy za jedno popołedniu tańcować. Bo też musioł taki podle nij tańcować. Jak sie opiyroł albo ruszoł jak niedźwiydź, to nim potrzónsła, zapytlowała abo i na głos wpoliła: „Nie bydziesz posłóchać, podle mie sie kryńcić, jak ci sie myślóm dziełuchy podobać!" Borok synek polił cegłe od gańby, posłóchoł, robił sie miynki jak sprynżyna, a óna ś nim roz na lewo, roz na prawo, do koła, naprzód i zaś spadki, pieknie podle muzyki, i tak jedyn kónsek za drugim. A wieczór potym, jak sie zeszli wiesielowi i zaczyna sie prowdziwo muzyka, to już móg taki synek chodzić po dziełuchy i nie musioł sie boć, że bydzie swoji tanecznicy deptoł po strzewikach, aż go niecho stoć na postrzodku zolu i mu uciecze. Tak to było. A kierych pachołków Szkapino nauczyła tańcować, to każdymu takimu, na wyuczónóm niby, przipiyna na kabot pieknóm pukietke z kwiotków ze swojigo ogrodu; bo óna miywała kole swoji chałupki samuśki kwiotki, cało zegroda była jedyn kwiotek. Narobiła pukietek do garca z wodóm,

przyniosła do gospody i dała babóm pod ławę schować. A potym, gdo se zasłóżył, tymu przipiyna na klape szumnóm wónionczke, nikiedy cały wiecheć.

Pokiel była jeszcze młodszo, to nie jyny popołedniu uczyła tańcować, ale zustała i na wieczór. Wiesielowi chodzili, czynstowali, tóż jak miała pore kieliszków wypite, to dziepro była wiesioło i dziepro dokazowała. Trefiło sie, że muzykańci prawie skóńczyli grać jaki powolniejszy kónsek, a Szkapino już skoczy ku nim i woło:

- Zagrejcie mi abo niechcie, bo mi z bótów tyrczóm wiechcie!

I muzykańci zarozy grali czardasza albo co inszego, nejbardzi żywego i skokanego. Wszystko, wiesielowi i niewiesielowi, toczyło sie, skokało, dómpskało, aże szklónki na stołach po kóntach też podskakowały i brzinczały. Starsi, co siedzieli i dziwali sie, jak młodzi tańcujóm, ni mógli sie nadziwić, skónd sie w tej Szkapinej, wdowie już blisko piyńdziesiónтki, biere tela ognia i kurażu. Óna, dy zezdrzyła, że moc oczy na nij pasóm i palcami pokazujóm, wyskoczy se, zawysko i muzykantóm, jak by to musiało tak być do melodyje, śpiywo:

- Szkapino - tako baba jak ino!...

Ludziska sie śmiejóm, a óna już kańsi z taniecznikym na drugim kóńcu zołu. Chudo była jak sto chudych, ale wydzierżała z tymi nejwiynkszymi wiyr-zgułami i wiyr-zgóniami do biołego rana. Tako baba jak inno, ale taniecznice drugi taki nie było w całuśki Karwinie, ba, na siedym dziedzin szyroko.

Po piyrszej wojnie światowej i po plebiscycie to nasza staro znajómo miała już przez osiymdziesiónt roków. Od tego czasu, co sie wysmoliła ta nowo granica za Wrysztotym, jeszcze nie była u swoji cery w Kóńczyc. Ciyngym jóm pozywali, posyłali pisma albo ludziami skazowali. Tóż se Szkapino rzekła, że roz sie tam musi wybrać, powiela jóm jeszcze jako tako nogi posłóchajóm. Powiadali ludzie, że zielónkorze żodnego nie puszczóm przez granice bez przepustki, choćby mioł sto roków i na kolanach pytoł. Że óna też bydzie musiała mieć takóm przepustke, że se bydzie musiała wóli nij sama zóńść do gminy, nejlepszy zaroz prosto do kómisorza Kruty, co zastowo miejsce burmistra.

Tóż sie wybrała jedyn dziyń do tej gminy, do Ratusza ku nowymu kościołu. Mijo dwiyrze, idzie prosto, kaj burmister dycki urzyndowoł. Kłupko na dwiyrze, wchodzi, pozdrowio „Pochwalóny...!". Nie dziwo sie na ludzi, yny mierzi prosto ku stołu.

- Co si przejete? - pyto sie ji kómisorz.

- Przisztach, pieknie proszym, wóli jakisi tej przepustki. Bo sie wybiyróm do rodziny do Kónczyc, na polski stronie tymu terazy powiadajóm!

- Jak se jmenujete? - pyto sie i urzyndowo mierzi spod czoła staróm.

- Jak to, to mie óni nie znajóm?

- Ne!

- Jejku, to skónd óni sóm, pieknie proszym? Skónd przisztli, że mie nie znajóm, starej Szkapinej, co już pómału dziewiyńdziesiónt roków po Karwinej chodzi? Nó, to mi óni sóm ale piekny burmister! Bo kiesi, wiedzóm, jak byli burmistrym Kudziełka abo Dostoł, to óni nas wszystkich karwinioków znali podle miana! To sóm terazy czasy, ludkowie złoci...

Kómisorz sie rozczyrwiynił, widać było go gańba, że go staro babka tak sprawio przed ludziami, karwiniokami. Kiwnół na urzyndnika, a Szkapinej pokozoł rynkóm ku stołu, kaj pisali przepustki.

OPOWIADANIA NA SZARĄ GODZINĘ

JAK FERDA MOCZYGYMBA ZABIŁ...

Roztomili ludeczkowie. Tak jak kiejsik, tak i dzisio to bywo, że po szychcie chodzóm do gospody hawiyrze na piwo. Chodzóm tam ci, co miyszkajóm w mieście, w panelokach, i ci, co miyszkajóm na dziedzinach. To sóm tzw. hawiyrski kapliczki, kaj chodzóm po szychcie spłókować tyn proch, żeby im ta silikoza tak moc nie dokuczała. A jak je na szachcie „forszus" (zaliczka) albo wypłata, tak se w tych „kapliczkach" banty u dwiyrzi pocóm, jak wrota w zimie we chlywie.

Na jednej też dziedzinie mioł isty Ferda Moczygymba swojóm „kapliczke". Był to dziyń wypłaty. Ferda prziszoł do gospody, siednył na swoji stamgastowski miejsce. Piyrsze piwo wypił na eks, bo go pierónsko suszyło. Ty dalsze pił, żeby se tyn proch lepszy odmoczoł. I tak se Ferda dzisio dowoł, było za co, bo premije były wielki. Mioł już w sobie skoro dziesiyńć piw, każde było podeprzite wielkim rómym. Rzeczy mioł już na całóm gospode. Gospodzko Maryjanna se tego nie wszymała. Dyć za tych piyńdziadwacet roków, co stoła za pipóm, słyszała już wszeli co. Dobrze wiedziała, że przi takim dniu trzeba cosi wiyncyj utarżyć.

Ferda był inaczy fajny chłop i dobry tata. Babeczke swojóm mioł przeokropnie rod. Dóma wszystko robił, co ji jyny widzioł na oczach. Ôna mu też przoła. We sklepie mu jyny to najlepsze kupowała. Roz wóm przyszła do masorza i tyn se ji pyto: - Co dobrego dzisio, pani Terezko? - Panie masorz, dejcie mi dzisio za trzi korôny pieknych kości dlo psa, ale ni moc tłóstych, bo to mój stary ni mo rod!

Mieli óni moc chytrego syna Gustlika, we szkole se dobrze uczył. Na rachunkach se go roz pytoł pón nauczyciel: - Gustlik, jak od mamy dostaniesz sztyry króliki, a od taty piyńć, tak kiela bydziesz mioł razym królików? - Gustlik na to: - Piyntnoście, panie nauczycielu! - Nauczyciel powtarzoł mu pore razy pytani, a Gustlik fórt mleł to same. Nauczyciel zdenerwowany pyto se go: - Jak żeś doszoł do tego wyniku? - Panie nauczyciel, wiycie, jo już móm swojich królików sześć, tak to je razym piyntnoście.

Ferda na szachcie robił strzelca. Inaczy był też amatorskim muzykantym, growoł na flihornie i to tak dobrze, że go pón kapelmajster sztelowoł grać na wszystki pogrzeby. Przi swoji chałupie mioł też kónsek pola, na kierym sioł pszynice i sadził ziymioki i inne wiecy. Ferda powiadoł tak: - Kapusta a ziymioki sóm najlepsze wtedy, jak se ich przepuści przez babucia.

Jak żech spóminoł, Ferda już mioł w tyn isty dziyń w gospodzie porzóndnie nabrane. I tak se powiado, że bydzie musioł iść ku chałupie, że go isto Terezka czako z obiadym. Nic mu nie szkodziło, że tyn obiod bydzie jod o 9 albo o 10 wieczór. Zależy, jako bydzie cesta ku chałupie. Woło na gospodzkóm Maryjanne: - Płacym! - Ta mu to tak fajnie zrachowała aji z dzisiejszym datumym w kalyndorzu. I tak se Ferda postawił na swoji chude nogi i powiado kamratóm, że idzie na obiod do chałupy. Jak wyloz z gospody, była już ćma, tak po ceście kroczoł roz po prawej, roz po lewej strónie. Zależało, kaj se jego nogóm lepszy szło. W głowie to mioł jak po dwóch Sylwestrach. Cesta asfaltówka już skóńczyła. Teraz było trzeba kroczać polnimi cestami, a po miedzy ku chałupie. Ćma było jak w pytlu. Jak szoł miedzóm, tak mu strzeliło w głowie, co bydzie tela obchodzoł, dyć może iść przez swoji ziymioczysko rowno ku chałupie. I tak zrobił. Kroczo przez ty ziymioki i tu se dziwo, jakisi chłop stoji w jego ziymiokach z rozcióngnytymi rynkami, jakby chcioł Ferde chycić. Ferda se go nie zlynknył, dyć chłopa go było dość. Aby mu nie zawadzoł w ceście, tak do chłopa rynkóm żduchnył. Chłop se otoczył i rypnył plechowóm bańkóm, kieróm mioł w rynce, Ferde przez pleca. W tym momencie se Ferdowi włosy na

głowie najeżyły jak kocurowi grzbiet, jak widzi psa, i już wkurził do chłopa i powiado: - Jo cie rynkóm, a ty mie bańkóm! - Chycił chłopa, powalił go na ziym, dusił go, prol ś nim o ziym. Naroz stwierdził, że chłop se już nie ruszo. W głowie mu pizło, że go isto przizabił, tego przecyż Ferda nie chcioł. Nic innego mu nie przyszło do głowy, jyny spatki do gospody prziwołać ratunek chłopowi. Wlecioł do gospody jak pierón do stodoły i woło na całóm gospode: - Maryjanno! Wołej po sanitke, bo se mi zdać, żech przizabił chłopa, tam w mojich ziymiokach.

Cało sprawa nabrała takigo szwóngu, że niż se Ferda nazdoł, była tam sanitka z dochtorym i przijechali też policajci. - Co se takigo stało - pytajóm se Ferdy policajci. Ferda powiado: - Idym ku chałupie po polni ceście, potym miedzami i abych se ceste skrócił, szołech przez swoji ziymioki. A tu se dziwóm, jakisikej chłop z rozcióngnytymi rynkami przedy mnóm. Jo go jyny troche rynkóm żduchnył, aby mi nie stoł w ceście, a ón mie hnet przez pleca a gymbe bańkóm, co mioł w rynce, rypnył. Tak żech se do niego puścił i tak se myślym, że już mu ku św. Pietrowi moc nie chybi, bo se przestoł ruszać. Jo mu przeca nie chcioł tak moc ubliżyć. Policajci powiadajóm, że ich tam musi teraz wartko zakludzić. Tak Ferda kroczoł naprzód, za nim policajci i pón dochtór. Przizli do ziymioczyska. Za nimi szła cało gospoda aji z Maryjannóm. To wiycie, cosikej takigo se nie trefio każdy dziyń. Ziymioczysko było pierónsko zrajtowane, jak by tam tańcowoł sóm Lucyfer ze swojóm zgrajóm. Policajci świycóm i widzóm, że tam cosikej leży. Przichodzóm bliży i stwierdzajóm przeokropnóm wiec! Że Ferda Moczygymba we swojich ziymiokach zabił straszoka, kierego tam nie tak downo sóm postawił, żeby szkodno nie robiła paskudy.

Co se działo potym, szkoda mówić. Ferda hnet wykrziwioł. Co go to kosztowało? Musioł zapłacić pokute policajtóm i tóm sanitke z dochtorym. A dóma, szkoda mówić, dostoł to pieknie od swoji Terezki. Ani dwiyrze od starej olmaryje ś nim dwa miesiónce nie chciały mówić. W swoji „kapliczce" długi czas se nie pokozoł. A na szachcie, kaj Ferda robił strzelca, to jyny hóczało: - Jo cie rynkóm, a ty mie bańkóm! - Pośmiywoków było wiela, a Ferda by był ochotny każdego z nich tak wydusić, jak tego swojigo straszoka. To se ciónglo ś nim, aż poszoł do pynzyje. A w gospodzie u Maryjanny, jak zawołocie na głos jeszcze dzisio „Jo cie rynkóm, a ty mie bańkóm", tak musicie dować dobry pozór, żeby was nie słyszoł Ferdów syn, bo by was tak wydusił, jak jego tata wydusił swojigo straszoka.

DAR. JOCHEL



Fot. FRANCISZEK BAŁON



Tę fotografię, na której uwiecznione zostały dzieci i nauczyciele z polskiej szkoły w Trzyńcu w roku szkolnym 1938/39, przekazała redakcji p. Gabriela Kotajna z Trzyńca, wyrażając nadzieję, że dzięki Czytelnikom Zwrotu uda się kogoś rozpoznać. Jeśli ktoś rozpozna siebie i chciałby tę fotografię mieć, przekażemy, zgodnie z wolą naszej Czytelniczki.

HOHENEGGER

Hawiyrz mo oczy jako kocur, kiery poradzi prziwyknóć do ćmoka. Hajer Minciel wracoł nieskoro w nocy ze szychty, bo był z tych, co bez niego by hawiyrnia nie szła, choć piniónd z tego był procny. Ćma było, że ani nosa przed sebóm nie było widać, bo miesiónczek schowoł se za gynste mroki, i na ceste, kiero krynciła se w dolinie przi Karwińskim Potoku, trzeba było pierónowacie dować pozór.

Szachte Hohenegger każdy nazywo Mirówkóm od saframynckigo lagramyntnika Miry, co tu teraz po nocach w łańcuchach straszy za swoji grzychy. Żodyn nie wiy, skónd se tyn wydrziduch wzión. Tela jyny, że mioł chyntke na grónt, co mioł patrzić siyrotóm, bo jim tatulek i mamulka umrzyli. Dekle z gruntu jim potargoł. Ta drobocina potym z głodu pomrzyła, a ón schyłcił wszystko dlo siebie i stoł se gazdóm. Pole potym dobrze sprzedoł, a dzisio stoji tu szachta.

Minciel miyszkoł na Potyszówce i robił na szachcie już od synka. Wyngli tu je nejlepsze, kupujóm go aji Szwedzi. Dzisio na szychcie - już też podziynkowoł Świyntej Barbórce - z ratki pecyn wyngla wypadnył prawie tam, kaj stoł. Gibko uskoczył i dostoł po nodze, tóż troche kulhynco i opiyro se na krziwaku. A krziwak nosił, bo ceste mioł dalekóm, przez całóm dziedzine aż za solecki kopiec. Już jako szleper nie był żodyn przepijłata, co to po gospodach siedzi, a potym psinco mo. Zarobióne piniónd̄ze naściskoł tak, że se už jako żónaty przekludził do Solce, kaj mioł na Czornym Chodniku kupiónóm chałupe. Samo cesta, był to po prowdzie chodniczek, była w głymboki dolinie. Niży był už jyny Karwiński Potok, kiery wyciykoł spod Honegerki i ciyk ze zachodu na wschód. Podobnie jak Strzybnioczka, kiero ciecze daleko pod Suskim Lasym. Sóm to jedynie karwiński potoki, co dowajóm swojóm wode rzyce Stónawce.

Mijoł w lewo na kopcu Stary Kościół, a poniży szkołe, w kierej miyszkoł rechtor, co to był wszyckimi maściami mazany. Ponikierzi mówióm, że chodził na wysokóm szkołe, ale dach terować. To sóm drzisty. Prowda je isto kajsi indzi, bo co bardży dokuczy, to lepszy nauczy. Co tu mo kiery narzykać? Jo už od szternostego roku harujym, a na sztudyrowani nie były piyńcioki.

W prawo je szachta, kiero stoji na Matuszyńskigo polu pod gruszóm, a nazywo se Gabryjela.

Przyszeł teraz na odludzi, do doliny, kaj Karwiński Potok wlywoł se do stawów. Poczuł ziómb, jakby go zimnóm wodóm poloł. Jak na zawołani miesiónczek wyloz spoza mroku i było naroz widno, jakby rożnył wszystki światła w kościele. Światło miesiónczka odbiło se od kalnej wody i rozjaśniło mgły i szuwary stawu, żebyś jegłe w sianie naszeł. Stary Minciel wybałuszył oczy. Jezeryja! Nie boł se niczego, tóż se bubami straszyć nie doł. Na kraju stawu siedziała dobrze wyfutrowano bioło gyńś. Kisz djas? Może to być wasermón? Opaternie, aby nie wlyźć do bagna, przibliżył se, a bioło liwa pozwoliła se mu dotknóć, nie uciykła. Boroczku, kaj tu bydziesz hledać corek w chruście. Jeszcze cie tu jaki psisko roztargo. Rozglóndnył se dokoła. Nigdzi nic. Dyć żyż tu nie bydziesz nocować. Jak cie weznyć, kiej do kapsy nie wleziesz, a miyszek ani dzichteczke ni móm. Chybać se bydziesz pod rynkóm. Ale kaj też tam. Dała se wzióńć i jakby se z tego cieszyła. Darzy se mi, pomyśloł. Ale je ciynżko. To se bydzie gaździna cieszyć.

Do chałupy mioł jeszcze szykowny kónsek cesty. Ale jako to była cesta. Przystowoł co pore kroków, gyńś przekłodoł spod jednej rynki pod drugóm, a óna była coroz ciynżejszo. Całe szczyńści, że se nie wydziyrała i była zadowolóno, że se niesie. Umrusany, ufultany zastawił se przy ciurczku. Gyńś położył na ziym, cicho leżała. Cały sparzóny obmył se gymbe i napił wody. Postawe mioł drobnóm, bo hawiyrz i koza mo sadło pod kościami. Trza było iść dali i niyść tóm ciynżkóm gawiydź. Czuł jednak, że mu sił ubywo. Leda jóm kansi niechać. Ale tu se przedstawił tóm wielkóm radość, jakóm do dómu niesie.

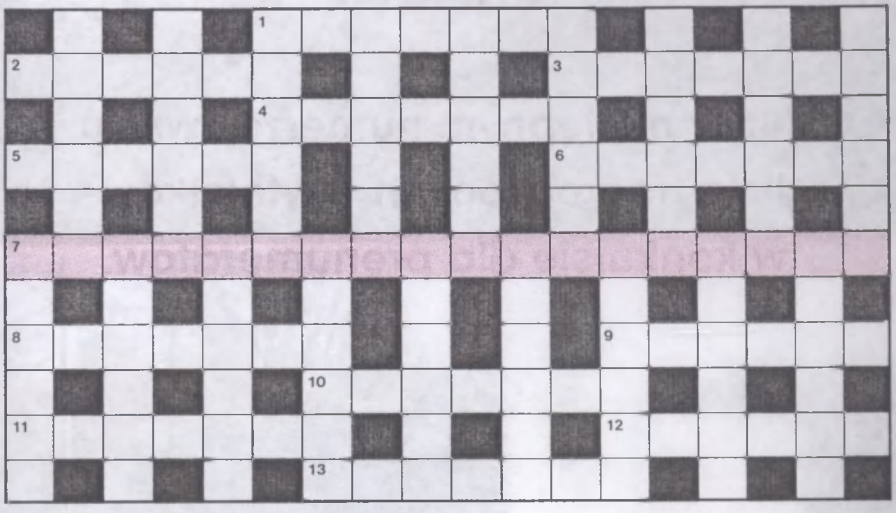
Kiedy już przyszeł do Solce ku Strzybnioczce, to tam stoła chałupa od Dudy. Nigdy miyndzy nimi ostudy nie było. Do jego chałupy był jeszcze szmat cesty. Było to uż koło jednej w nocy. Tóż odewrzył jyny fórtke do zogrody i tam na grzyndzie przikrył gyńś koszym na zimioki. Gyńś se odezwała, co se mu zdało, jakby przez nos - „dziynka".

Rano, róncz se słóneczko wyszkrobało, polecioł do sómsiada. Wrotka były zawrzyte, po gynsi ani słychu-dychu. Burził na dwiyrze i nic. Już myśloł, że ni ma żodnego. Dwiyrze se odewrzyły, a w nich była Dudzino, błyszcze miała czyrwóne, widać było, że mo jakisi sużyni albo mierziónczke.

- Mój chłop, co od wiosny krzipoł i karwiynczoł, dzisio o jednej w nocy umrzył.

Stary Minciel obloł se potym, wiedzioł uż, czymu ta bioło gyńś była tako ciynżko...

WŁADYSŁAW KRISTEN



KRZYŻÓWKA KOMBINOWANA

POZIOMO: 1. Gołąb lub członek zakonu. - **2.** Papuga łatwo naśladująca mowę ludzką. - **3.** Wyspa japońska. - **4.** Francuski chemik i mikrobiolog (Louis, 1822–1895). - **5.** Heterocykliczny związek stosowany w lecznictwie. - **6.** Przetwory z mięsa. - **7.** Rozwiązanie dodatkowe - przysłowie polskie. - **8.** Imię Quinna. - **9.** Przełożony zakonu rycerskiego. - **10.** Śląskie danie wielkanocne. - **11.** Satelita lub samochód. - **12.** Był nim Johann von Larisch. - **13.** Stan w USA na granicy z Meksykiem.

Wyrazy trudne: TIAZOL.

PIONOWO (w kolejności alfabetycznej): ASYSTA, CHEMIA, HINDUS, KORNIK, KUPLET, KWARTA, MANITU, NORWID, OSTRAK, PAKIET, POSTĘP, RIVOLI, SADYBA, WIADRO, YAMAHA, YEOMAN, ZACZEP, ZASTAW.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe.

Rozwiązania prosimy przesyłać do końca kwietnia.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru lutowego: W KAŻDYM SERCU CZAI SIĘ LEW

Nagrody książkowe wylosowali: Zbigniew Ożóg - Bogumin Skrzeczoń

Alojzy Wacławek - Leszna Dolna

UWAGA!

Już w następnym numerze Zwrotu lista nagrodzonych Czytelników w konkursie dla prenumeratów.

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Strzelnicza 28, P.O.Box 97, 737 01 CZESKI CIESZYN,
tel. i fax: 558 712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI,
Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK,
Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – Infiniti art, s. r. o., Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 240 Kč, z wysyłką pocztową 324 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02
z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE DOMY PZKO



DOM PZKO
w Trzanowicach

Odes.: Redakce ZWROT
Střelniční 28
737 01 Český Těšín

O.P. P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE SZKOŁY

BUKOWIEC

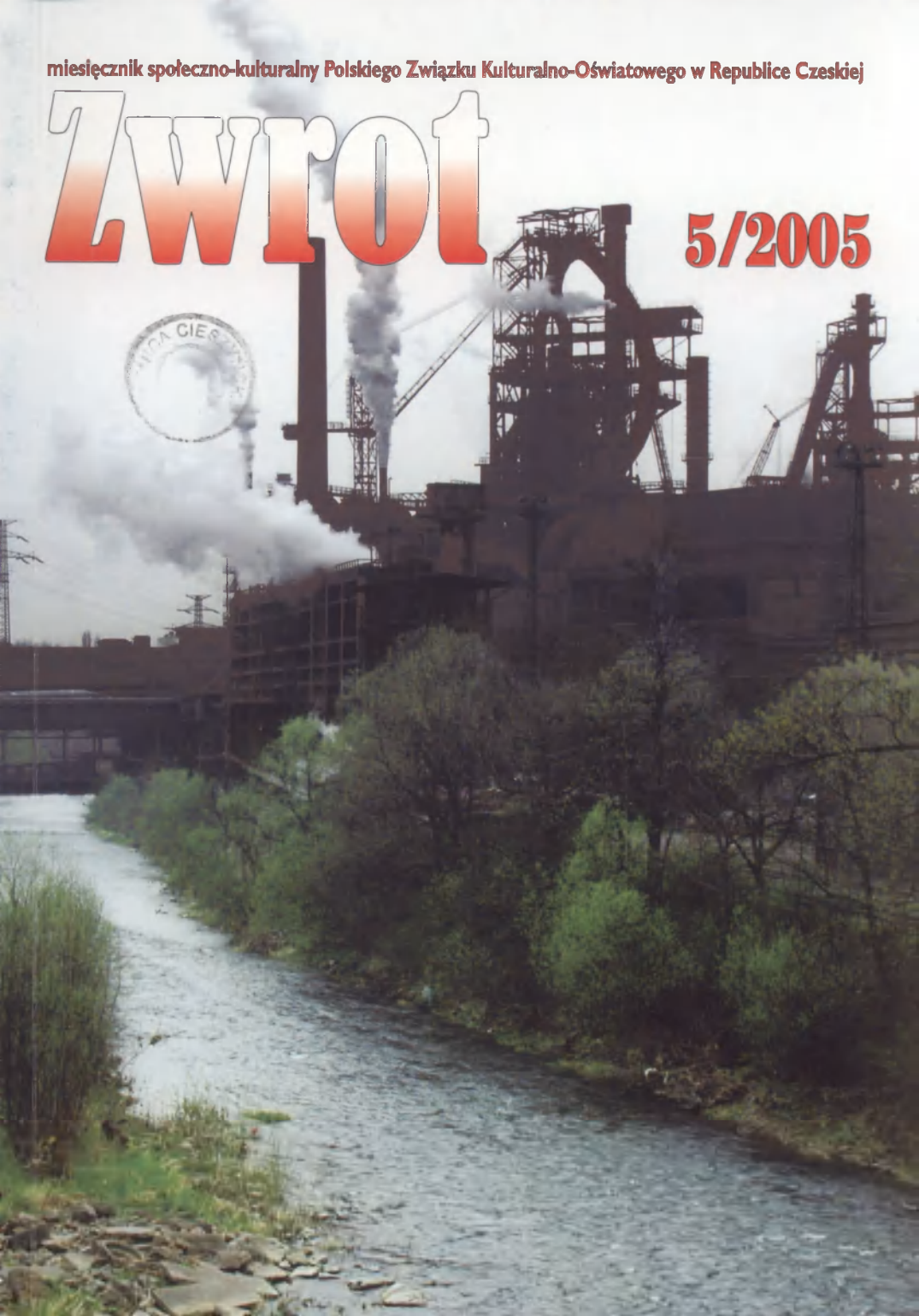


ISSN 0139-6277

miesięcznik społeczno-kulturalny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej

Zwrot

5/2005



TACY BYLIŚMY



Stowarzyszenie Siła w Skrzeczoniu w połowie lat dwudziestych ubiegłego wieku. Na dole mały chłopczyk to właściciel fotografii p. Edward Solich, a obok jego ojciec również Edward.

Rok LVI, Nr 666
Cena numeru 20,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 27,00 Kč

Zwrot

KSIĄŻNICA CIESZYŃSKA

5/2005

W NUMERZE

2	Jan Paweł II: Tryptyk rzymski (fragment)	
4	Związek byłych więźniów politycznych	CZESŁAWA RUDNIK
6	W obronie ojczyzny. W 60. rocznicę zwycięstwa nad faszyzmem	FRANCISZEK SZOPA
10	Wspomnienia z lat drugiej wojny światowej (5)	KAROL BARTULEC
17	Polacy na Zaolziu w 2. połowie lat pięćdziesiątych XX wieku (III)	JURAJ MARUŠIAK
26	Czeska recepcja twórczości poetyckiej Karola Wojtyły	KRYSTYNA KARDYNI-PELIKÁNOVÁ
32	Karol kardynał Wojtyła: Ojczyzna (fragment)	
34	Kronika: Na cześć jubilatki Anieli Kupiec, Na jarmarku w Grodkowie, Wielkanoc z teatrem w Milikowie, Poranek poetycki w gimnazjum, IX Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC, Olsztyńscy Cieszyniacy z wizytą na Litwie, Elektroniczny słownik	
48	Poezja Wacława Kostrzewy	
50	Młode pióro: Joanna Rudnik	
52	Na półkach księgarskich	
57	Pasja działania (Kazimierz Wyszomirski)	
61	Polemiki	
65	Z dorobku Leona Derlicha	
69	Pożegnania: Rudolf Juranek	
72	Wspomnienia ze Skrzeczonia	ELŻBIETA WALUSZCZYKOWA
74	Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej w pierwszej połowie 2005 roku	M.P.
75	Opowiadania na szarą godzinę	DAR. JOCHEL
77	Mozaika	ANNA BOSZCZYK

Numer zamknięto 18. 4. 2005

Na okładce: Olza pod Trzyńcem

JAN PAWEŁ II
(1920–2005)

TRYPTYK RZYMSKI
(fragment)

Spełnienie – Apocalypsis
Kres jest tak niewidzialny, jak początek.
Wszechświat wyłonił się ze Słowa i do Słowa też powraca.
W samym centrum Sykstyny artysta ten niewidzialny kres
wyraził
w widzialnym dramacie Sądu –
I ten niewidzialny kres stał się widzialny jakby szczyt
przejrzystości:
omnia nuda et aperta ante oculos Eius!
Słowa zapisane u Mateusza, tutaj zamienione w malarską wizję:
„Pójdźcie błogosławieni... idźcie przeklęci"...

Pamiętasz, Adamie? On na początku ciebie pytał „gdzie
jesteś?"
A ty odrzekłeś: „Ukryłem się przed Tobą, bo jestem nagi".
„Któż ci powiedział, że jesteś nagi?"...
„Niewiasta, którą mi dałeś" podała mi owoc...

Ci wszyscy, którzy zaludniają ścianę centralną
sykstyńskiej polichromii,
niosą w sobie dziedzictwo twojej wówczas odpowiedzi!
Tego pytania i tej odpowiedzi!
Taki jest kres waszej drogi.

Posłowie
I tu właśnie u stóp tej przedziwnej sykstyńskiej polichromii
zbierają się kardynałowie –
wspólnota odpowiedzialna za dziedzictwo kluczy Królestwa.
Przychodzi właśnie tu.
I Michał Anioł znów ogarnia ich widzeniem.
„W Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy"...

I tak przechodzą pokolenia –
Nadzy przychodzą na świat i nadzy wracają do ziemi,
z której zostali wzięci.
„Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz".
To co było kształtne w bezkształtne.
To co było żywe – oto teraz martwe.

To co było piękne – oto teraz brzydota spustoszenia.
A przecież nie cały umieram,
to co we mnie niezniszczalne trwa!

4. Sąd
W Kaplicy Sykstyńskiej artysta umieścił Sąd.
W tym wnętrzu Sąd dominuje nad wszystkim.
Oto kres niewidzialny stał się tutaj przejmująco widzialny.
Kres i zarazem szczyt przejrzystości –
Taka jest droga pokoleń.

Non omnis moriar –
To co we mnie niezniszczalne,
teraz staje twarzą w twarz z Tym, który Jest!
Tak zaludniła się ściana centralna sykstyńskiej polichromii.

Kim jest On?
Oto dłoń stwarzająca Wszechmogącego Starca skierowana
w stronę Adama...
Na początku Bóg stworzył...
On wszystko widzący...

Sykstyńska polichromia przemawia wówczas Słowem Pana:
Tu es Petrus – usłyszał Szymon, syn Jony.
"Tobie dam klucze Królestwa".
Ludzie, którym troskę o dziedzictwo kluczy powierzono,
zbierają się tutaj, pozwalają się ogarnąć sykstyńskiej
polichromii,
wizji, którą Michał Anioł pozostawił –
Tak było w sierpniu, a potem w październiku pamiętnego
roku dwóch konklawe,
i tak będzie znów, gdy zajdzie potrzeba,
po mojej śmierci.
Trzeba, by przemawiała do nich wizja Michała Anioła.
"Con-clave": wspólna troska o dziedzictwo kluczy,
kluczy Królestwa.
Oto widzą siebie pomiędzy Początkiem i Kresem,
pomiędzy Dniem Stworzenia i Dniem Sądu...
Postanowiono człowiekowi raz umrzeć, a potem Sąd!

Ostateczna przejrzystość i światło.
Przejrzystość dziejów –
Przejrzystość sumień –
Potrzeba, aby w czasie konklawe Michał Anioł uświadomił
ludziom –
Nie zapominajcie: *Omnia nuda et aperta sunt ante oculos Eius.*
Ty, który wszystko przenikasz – wskaż!
On wskaże...

ZWIĄZEK BYŁYCH WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH

Klub Gusenowców

W 1947 roku założony został w Czeskim Cieszynie Klub Gusenowców. Jego nazwa pochodziła od nazwy hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w kamieniołomach Gusen w Austrii, który jako jeden z podobozów Konzentrationslager Mauthausen wybudowany został dla polskich więźniów. W 1940 roku po masowych aresztowaniach na Śląsku Cieszyńskim trafiła do niego także spora grupa mieszkańców Zaolzia. Po zakończeniu drugiej wojny światowej byli więźniowie Gusen, którym udało się przeżyć noc okupacyjną i wrócić na zaolziańską ziemię, postanowili organizować co jakiś czas spotkania w swoim gronie, by zachować pamięć o tamtych dniach. W ten sposób powstał Klub Gusenowców. Jego prezesem został Józef Kazik. Tak po latach oceniał jeden z celów Klubu: *Należymy do tych szczęśliwych ludzi, którzy po upływie pół wieku, tworząc jak gdyby jedną rodzinę, mogą spotykać się dziś, aby wrócić myślami wstecz do radosnej chwili, kiedy zrzucili wreszcie pasiaste łachmany z naszytym numerem... i znowu stali się ludźmi z własnym imieniem i nazwiskiem.*

Działalność Klubu Gusenowców trwała pięćdziesiąt lat. Organizowano uroczyste spotkania świąteczne i noworoczne, wycieczki w Beskidy, rozwijała się współpraca z podobnymi stowarzyszeniami w Polsce, utrzymywano kontakty z grupą czeskich więźniów obozu Mauthausen. Z okazji czterdziestej rocznicy wyzwolenia obozu Mauthausen-Gusen ukazała się staraniem Klubu Gusenowców wydana przez ZG PZKO jednodniówka „Pamiętamy", w której znalazły się wspomnienia, a także spis zaolziańskich więźniów obozu w Gusen. Z okazji pięćdziesiątej rocznicy założenia Klubu Gusenowców odbyła się w Bibliotece Regionalnej w Karwinie wystawa dokumentów i literatury ze zbiorów Józefa Kazika nazwana „Obóz zagłady Gusen".

Z upływem lat naturalną koleją rzeczy malała liczba członków Klubu Gusenowców wywodzących się z szeregów więźniów z Gusen i zaczęto myśleć o reorganizacji stowarzyszenia w taki sposób, by objęło także byłych więźniów wszystkich innych hitlerowskich obozów koncentracyjnych. W latach dziewięćdziesiątych dziewięcioosobowy zarząd opuściło pięciu członków, w roku 1997 zmarł też prezes Józef Kazik.

Polski Związek Byłych Więźniów Politycznych

Z inicjatywy sekretarza Klubu Gusenowców, najstarszego, bo 95-letniego wówczas jego członka Karola Polaka, który od lat gromadził m.in. doku-

menty dotyczące martyrologii i ruchu oporu tego regionu, rozpoczęto w pierwszej połowie 1998 prace przygotowawcze do powołania nowej organizacji, która byłaby kontynuatorką działań Klubu Gusenowców i skupiałaby byłych więźniów obozów koncentracyjnych drugiej wojny światowej. Dwudziestu kilku z owych więźniów wzięło udział w konstytuującym zebraniu 30 sierpnia 1998 roku w Czeskim Cieszynie. Wśród gości byli przedstawiciele Koła Polskich Kombatantów w RC i Rodziny Katyńskiej, Czeskiego Związku Bojowników o Wolność, Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych. Roboczą nazwę stowarzyszenia Polski Związek Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych w RC skrócono i powstała organizacja o nazwie Polski Związek Byłych Więźniów Politycznych w RC (PZBWP) z siedzibą w Czeskim Cieszynie. Jego działalność miała być zgodna z założeniami Czeskiego Związku Bojowników o Wolność. W skład zarządu weszli Jan Rucki (prezes), Janina Lasota, Karol Polak, Anna Sedlaczek, Krystyna Wardas, Monika Zahradnik, Jan Pytlik, Stanisława Duda, komisję rewizyjną tworzyli Karol Probosz, Zofia Wronka, Leon Wronka. 27 listopada 1998 roku Związek został zarejestrowany w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych RC. 16 grudnia tego samego roku odbyło się pierwsze zebranie nowego zarządu. Związek zgłosił akces do Kongresu Polaków.

W 1999 roku na spotkaniach PZBWP Karol Polak przedstawił trzy prelekcje na tematy związane z życiem w obozach. Poza tym działalność organizacji ograniczała się do odwiedzin chorych i sporadycznych spotkań. Sekretarz Karol Polak pomagał też byłym więźniom i ich rodzinom w składaniu wniosków o odszkodowania. Zmarł w roku 2000.

Prezes Jan Rucki reprezentował już w PZBWP pokolenie dzieci więźniów obozów koncentracyjnych, jego matka Anna Rucka, działaczka ruchu oporu, zginęła w Oświęcimiu. Zaś nowym sekretarzem został po śmierci Karola Polaka zięć zmarłego Alojzy Kaleta.

Apel

Dylematy związane z zadaniami organizacji, których członków łączą przeżycia wojenne, rozwiązywał już wcześniej Józef Kazik. Pisał: *Często spotykamy się z pytaniem, jak długo jeszcze można wspominać wojnę i doznane krzywdy? Odpowiadamy: Wspominać trzeba stale, gdyż pokolenie naocznych świadków zbrodni przeciw ludzkości wykrusza się, zaś nowa generacja, żyjąca w dostatku i nieznająca tragicznych doświadczeń wojny, skłonna jest do lekceważenia tej przeszłości.* Podobne pytania zadawano też następcom Józefa Kazika.

Na zebraniu zarządu PZBWP 10 maja 2001 roku uchwalono, że nadal ma sens kontynuowanie działalności organizacji. Wystosowano apel, w którym czytamy: *Zwracamy się do byłych więźniów politycznych, do rodzin tych, którzy*

z powodu wieku i chorób nie mogą uczestniczyć w aktywnej działalności, i do rodzin nieżyjących już więźniów o ogólne poparcie i zadeklarowanie chęci współpracy i aktywnej pomocy przy reaktywowaniu założeń Klubu Gusenowców i napełnieniu założeń Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych dla uzyskania celu, jakim jest „ocalenie od zapomnienia".

Na początku bieżącego roku Związek poniósł kolejną dotkliwą stratę, zmarł prezes Jan Rucki. Nie zdążył wydać przygotowywanej wespół z Alojzym Kaletą książki wspomnień byłych więźniów. Temat publikacji pozostał jednak aktualny. Dotychczasowy sekretarz Alojzy Kaleta pragnie w tym roku uzupełnić zebrane materiały, a w roku następnym, jeśli uda się zyskać fundusze na ten cel, wydać je drukiem.

Jakie inne zadania ma przed sobą Związek? Pierwszym jest w tej chwili wybór nowego prezesa. Ważną sprawą jest utrzymywanie kontaktów z osobami w podeszłym wieku, odwiedzanie ich i pomaganie w miarę swoich możliwości oraz odznaczenie żyjących jeszcze więźniów i kombatantów. Inne zadanie to troska o pomniki, ochrona wszystkich miejsc kaźni. Na Zaolziu znajduje się wiele pomników, trzeba by je, we współpracy z innymi polskimi organizacjami, także młodzieżowymi, np. z harcerzami, opisać, odnowić i ustanowić, kto będzie odpowiedzialny za ich utrzymanie.

Przyszłość Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych to dzieci i wnuki tych więźniów. Jeśli one nie zainteresują się tematem losów wojennych swoich przodków i nie będą chciały ocalić je od niepamięci, Związek straci rację bytu. Tak więc cytowany powyżej apel pozostaje aktualny.

CZESŁAWA RUDNIK

W OBRONIE OJCZYZNY

(W sześćdziesiątą rocznicę zwycięstwa nad faszyzmem)

Polacy, po 123 latach niewoli, po heroicznych zmaganiach o wolność w pierwszej wojnie światowej, mogli znów żyć w niepodległym państwie. Niestety po dwudziestu latach zostali 1 września 1939 roku napadnięci przez odwiecznych wrogów z zachodu, a 17 września ze wschodu. W tysiącletniej historii polskiego narodu wojna ta należała do najtragiczniejszych, bowiem zagrożone w niej zostało tym razem samo biologiczne jego istnienie.

Polskie siły zbrojne przeciwstawiły się pierwsze w Europie Wehrmachtowi, mającemu przeszło dwukrotną przewagę w ludziach, wielokrotną w czołgach i samolotach oraz blisko czterokrotnie silniejszą flotę wojen-

ną. We wrześniu 1939 roku, w czasie wojny obronnej, polskie siły zbrojne stoczyły szereg bohaterskich walk, jak obrona Westerplatte, Warszawy, Modlina, Gdyni i Helu oraz szereg bitew o charakterze manewrowym, z których największą była bitwa nad Bzurą. W końcowej fazie kampanii wrześniowej niektóre jednostki nie złożyły broni, przekształcając się w oddziały partyzanckie. Do najsłynniejszych należał oddział Hubala, który Niemcy zlikwidowali dopiero wiosną 1940 roku.

Na podstawie umowy polsko-francuskiej z 1939 roku przystąpiono we Francji do formowania armii polskiej. W czerwcu 1940 roku liczyła ona 83 000 żołnierzy. Niektóre jej dywizje wzięły udział w kampanii w 1940 roku we Francji, a Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich walczyła w składzie alianckiego korpusu ekspedycyjnego pod Narwikiem w Norwegii w 1940 roku. Podstawę sił polskiej marynarki wojennej tworzyły trzy niszczyciele oraz dwa okręty podwodne. W kampanii francusko-niemieckiej polskie lotnictwo myśliwskie wzięło udział w kluczach przydzielonych do lotnictwa francuskiego. Po klęsce Francji w 1940 roku część oddziałów polskich, które przedostały się do Wielkiej Brytanii, weszły tam w skład armii polskiej. Utworzone na terytorium Wielkiej Brytanii dywizjony polskiego lotnictwa oraz piloci polscy w jednostkach RAF-u odznaczyli się w bitwie o Anglię w sierpniu 1940 roku. Ponad 10 % strat niemieckich w bitwach lotniczych mają na swym koncie polscy piloci, przede wszystkim z dywizjonu 303.

Na terytorium Wielkiej Brytanii znalazły się także ewakuowane z Francji naczelne polskie władze wojskowe, a następnie organizował się tam szereg formacji wchodzących w skład I Korpusu Polskiego. W tym okresie w Afryce, w okrążonym Tobruku i pod El-Ghazą, walczyła Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich, sformowana w 1940 roku w Syrii.

Na podstawie układu między rządem emigracyjnym gen. Sikorskiego, a rządem ZSRR zostały utworzone jednostki polskie w Związku Radzieckim, potocznie zwane armią Andersa. Po wielu interwencjach armię tę Anders ewakuował w 1942 roku na Iranu, potem do Iraku. W końcu 1943 roku armia Andersa została jako II Korpus Polski ewakuowana przez Palestynę do Włoch, gdzie brała czynny udział w kampanii włoskiej. Okryła się nieśmiertelną chwałą w maju 1944 roku w bitwie pod Monte Cassino, brała udział w zdobyciu Ankony, a w 1945 roku pomagała wyzwolić Bolonię. Z wielką dumą trzeba wspomnieć również o 1 Dywizji Pancernej, która pod dowództwem gen. Maczka odgrywała ważną rolę w bitwie pod Falaise, następnie w Belgii i Holandii, oraz o Samodzielnej Brygadzie Spadochronowej, uczestniczącej w największej operacji powietrzno-desantowej w tej wojnie pod Arnhem w 1944 roku.

Po ewakuacji oddziałów polskich gen. Andersa ze Związku Radzieckiego powstała z inicjatywy Związku Patriotów Polskich w Sielcach nad

Oką 1 Polska Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, która pod koniec września wyrusza na swój szlak bojowy i razem z 1 Pułkiem Czołgów im. Bohaterów Westerplatte bierze udział w październiku 1943 roku w krwawej bitwie pod Lenino. Po tej bitwie zapada decyzja o utworzeniu I Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. W obozie sieleckim powstały wtedy: 2 Dywizja Piechoty im. H. Dąbrowskiego, 3 Dywizja Piechoty im. R. Traugutta, Brygada Artylerii im. J. Bema, 1 Brygada Pancerna im. Bohaterów Westerplatte, 1 Pułk Lotnictwa Myśliwskiego Warszawa oraz różne jednostki Korpusu. Po upływie kilku miesięcy armia polska w ZSRR liczyła już około 40 000 żołnierzy. W ofensywie styczniowej 1945 roku, w wyzwalaniu Warszawy, w bojach o Pomorze Zachodnie, w zdobywaniu Wału Pomorskiego uczestniczy razem z Armią Radziecką bohaterskie wojsko polskie. Jego stan liczebny powiększał się z każdym dniem i w finale wojny, kiedy w połowie kwietnia jedenaście armii przekroczyło Odrę i Nysę i stanęło na przedpolach Berlina, to dwie z nich były polskie. Zajmowały 12 % pasa radzieckiego natarcia. Polacy bohatersko przełamywali zaciekłą obronę faszystowską i pomimo wielkich strat z godziny na godzinę przybliżali się do Berlina. 1 Armia, wsparta przez Korpus Lotnictwa, pomyślnie odparła z północy wojska Steinera, a 2 Armia z Korpusem Pancernym i z 2 Dywizją Artylerii odparła po wielodniowej bitwie pod Budziszynem bardzo silne kontruderzenie armii marszałka Schoernera, który za każdą cenę starał się przedrzeć na pomoc Hitlerowi. Z wszystkich sił alianckich tylko żołnierz polski zdobywał wraz z Armią Radziecką stolicę Niemiec. 1 Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki razem z 2 Brygadą Artylerii Haubic i 1 Brygada Moździerzy zakończyły swój szlak bojowy zatknięciem biało-czerwonych sztandarów na Bramie Brandenburskiej i Kolumnie Zwycięstwa.

Gdy ucichła kanonada w Berlinie, dywizja 2 Armii i straże przednie 1 Korpusu Pancernego, dowodzone przez gen. Świerczewskiego, ruszyły na pomoc Czechom i doszły aż do Mielnika.

Historia obrony ojczyzny w drugiej wojnie światowej byłaby mocno zawężona, gdyby brakło w niej opisu sytuacji w okupowanym kraju. Po kapitulacji w wojnie obronnej, po klęsce wrześniowej, od razu powstają konspiracyjne organizacje patriotyczne. Ruch oporu był organizowany w powszechnej samoobronie, w walce konspiracyjnej, którą charakteryzowały sabotaże, dywersja, wywiad i propaganda, w rozwijaniu tajnego nauczania oraz życia kulturalnego i w jawnej walce oddziałów partyzanckich. Utworzona jeszcze w oblężonej Warszawie Służba Zwycięstwa Polski wkrótce przekształca się w Związek Walki Zbrojnej, a od 1942 roku w Armię Krajową. Obok niej powstaje Gwardia Ludowa, przekształcona później w Armię Ludową. Z każdym dniem powstają w miastach i wioskach nowe grupy bojowe, które razem z Batalionami Chłopskimi bronią

w codziennej walce majątki przed grabieżą, a ludność polską przed całkowitą zagładą. Latem 1944 roku w szeregach różnych organizacji podziemnych znajduje się przeszło 700 tysięcy zaprzysiężonych żołnierzy, nie licząc dziesiątek tysięcy osób biorących udział w pracy konspiracyjnej, w wywiadzie, w zaopatrzeniu, w szpitalnictwie i w tajnym nauczaniu.

Ruch oporu, organizując codziennie na okupowanych ziemiach polskich pomyślne akcje zbrojnej dywersji, zmuszał Niemców do stałego powiększania kontyngentów wojskowych, liczących w roku 1944 równowartość 50 liniowych dywizji. Krótką relację o ruchu oporu należy uzupełnić stwierdzeniem, że po kapitulacji w wojnie obronnej Polska była jedynym krajem w okupowanej Europie, w którym faszyści nie znaleźli do współpracy z nimi żadnej kolaborującej grupy politycznej.

Hitlerowcy, przerażeni zbliżającą się klęską, pogłębiali stale proces eksterminacji narodu polskiego. W egzekucjach publicznych, w więzieniach i w obozach śmierci ginęły codziennie tysiące Polaków. W walce od 1 września 1939 roku do 8 maja 1945 roku poległo na wszystkich frontach około 150 tysięcy żołnierzy i partyzantów, a 5 milionów 850 tysięcy Polaków wymordowali faszyści, chociaż te niewinne ofiary nie miały żadnego związku z walką zbrojną. Ci ludzie musieli oddać swe życie tylko za to, że byli Polakami, że w dniu napaści mieli odwagę stanąć w obronie swej ukochanej ojczyzny.

Ze wszystkich krajów Europy, które walczyły z Niemcami, Polska walczyła najdłużej, bo bez przerwy od 1 września 1939 roku do 8 maja 1945, razem przez 2007 dni. Głęboki patriotyzm całego narodu i wola walki sprawiły, że opór w okupowanej Polsce był, jak w żadnym innym kraju Europy, zjawiskiem powszechnym. Brały w nim udział wszystkie warstwy społeczne, setki tysięcy żołnierzy i miliony zagrożonych ludzi. Niezwykłe też były różnorodne formy tej walki i nie sposób w krótkim przyczynku podsumować wysiłku żołnierzy i całego narodu polskiego w tragicznych latach wojennych. Walka prowadzona w najróżniejszych formach ani na chwilę nie ustawała. Żołnierz polski bohatersko walczył na wszystkich frontach, krew przelewało polskie podziemie.

Rozpętana przez Hitlera druga wojna światowa żądała codziennie tysięcy ofiar, była okresem głodu, bólu, łez i cierpień, groziła narodowi polskiemu biologiczną zagładą, lecz nie potrafiła, pomimo wszystko, złamać dumy, woli walki i miłości do ukochanej ojczyzny. Ciężkie lata wojenne były przejawem i przykładem postawy patriotycznej i niezłomnej woli zwycięstwa wszystkich Polaków i o tym powinny pamiętać powojenne pokolenia, które znają te tragiczne, a zarazem heroiczne czasy tylko z opowiadania, historii lub też z kształcenia szkolnego.

FRANCISZEK SZOPA

WSPOMNIENIA Z LAT DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ (5)

Zdobycie Moerdijku zakończyło trzymiesięczny okres intensywnych walk dywizji o charakterze zaczepnym. Od 9 listopada pierwsza dywizja pancerna przeszła na długotrwałe patrolowanie i obronę Mozy. Przerwa była dla dywizji konieczna ze względu na przemęczenie żołnierzy i z powodu niskich stanów sprzętu bojowego i ludzi, głównie w brygadzie strzeleckiej. Wojska dywizji rozmieszczono w Bredzie i jej okolicach.

Nasz 10. zmotoryzowany pułk dragonów został rozlokowany w miasteczku Oosterhout oddalonym o 8 km na północny wschód od Bredy. Poszczególne szwadrony rozmieszczano w budynkach szkolnych, salach gimnastycznych i prywatnych domach tak, by w razie potrzeby były natychmiast zdolne do podjęcia akcji. Naszej pięcioosobowej załodze pepanca przydzielono kwaterunek w małym rodzinnym domu, w którym mieszkało starsze bezdzietne małżeństwo. Dwa pokoje, kuchnia, ustęp i zimna woda z wodociągu to wyposażenie tego domku. Staruszkowie uwolnili nam gościnny pokój, sami korzystali tylko z sypialni i kuchni. W pokoju o rozmiarach 4 x 3,5 m w ciągu dnia mieliśmy zwinięte koce ułożone pod ścianą, zaś na noc kładliśmy się na położonych na gołej podłodze pelerynach i przykrywali się kocami. Za zagłówek służyły nam plecaki wypełnione bielizną. W pierwszych dniach podczas snu odczuwaliśmy twardość podłogi, ale później przyzwyczailiśmy się do niej. W pokoju mieliśmy również umieszczony prowiant i broń osobistą. Reszta wyposażenia została w „carriersie" stojącym na podwórku.

W tym samym miasteczku stacjonowała również jednostka wojsk brytyjskich, z którą nawiązaliśmy nienajlepsze kontakty. O co poszło? Jak w wielu wsiach i miastach, ludzie okazywali swą radość z wyzwolenia, organizując różne potańcówki i zabawy. Nie inaczej było i w naszej mieścinie. Codziennie wieczorem w miasteczkowej gospodzie urządzano zabawę taneczną, w której tłumnie uczestniczyli oprócz cywilów żołnierze polscy i angielscy. Nasi żołnierze mieli większe powodzenie u miejscowej płci pięknej, którą pozyskiwali sobie swym szarmanckim zachowaniem, jak również szczodrością w częstowaniu czekoladkami, czego nie robili Anglicy. To się bardzo nie podobało Anglikom i po dwóch dniach postanowili pozbyć się konkurentów, nie wpuszczając ich na salę. Tego było dla naszych „wiarusów" za wiele. Poczuli się obrażeni i postanowili zdobyć salę szturmem. Żeby sobie dodać animuszu, poszli najpierw do szynku, gol-

nęli sobie parę głębszych i ruszyli ławą na salę strzeżoną przed wejściem przez Anglików. Wtargnęli do sali i strzałami z pistoletów pogasili światła. Powstał nie do opisania wrzask, pisk i zamieszanie, rozpoczęła się bójka, w której poszkodowanymi byli właściwie wszyscy łącznie z cywilami pragnącymi wydostać się z sali. Kilkunastu poszkodowanych odwiozło pogotowie do szpitala. Resztę poturbowanych opatrzono na miejscu, zaś przywołana żandarmeria polowa zabrała kilku naszych prowodyrów zajścia. Dowództwa po przeprowadzeniu śledztwa postanowiły wycofać jednostkę brytyjską z tego miasteczka, uznając, że żołnierze brytyjscy bezpodstawnie zabronili naszym wstępu na salę.

Po tej niefortunnej „burdzie" na zabawie tanecznej, jaką wywołali nasi żołnierze, a która wśród miejscowej ludności wywołała o nas negatywną opinię, nastał prawie dwumiesięczny okres, w czasie którego w pełnym tego słowa znaczeniu zrehabilitowaliśmy się. W tak krótkim czasie naszego pobytu w miasteczku zawarto kilkanaście polsko-holenderskich małżeństw, nie mówiąc już o nawiązanych znajomościach i wzajemnych sympatiach. Zabawy taneczne odbywały się nadal, już nie każdego dnia, i były jedyną rozrywką i luksusem w naszym żołnierskim codziennym trudzie.

W czasie miesięcy spędzonych nad Mozą dywizja skompletowała zarówno stan osobowy jak i sprzęt. Na uzupełnienie ludzi złożyli się powracający ze szpitala ranni żołnierze dywizji oraz Polacy, którym udało się zbiec z Wehrmachtu. W dziedzinie uzupełnienia sprzętu trzeba odnotować przezbrojenie brygady pancernej w czołgi Shermany z armatą 76 mm o dużej prędkości początkowej pocisku. Dziesiąty pułk strzelców konnych dostał na każdy pluton swoich Crommweli jeden czołg Challanger z armatą przeciwpancerną 76,2 mm. Wszystkie bataliony strzeleckie otrzymały po plutonie miotaczy ognia na małych transporterach opancerzonych. W zależności od sytuacji bojowej odbywało się dość intensywne szkolenie, szczególnie w opanowywaniu nowych umiejętności, tj. dla batalionów strzeleckich - użycie miotaczy ognia, dla pułków pancernych - strzelanie z nowych dział zarówno na wprost jak i ogniem pośrednim.

Działalność bojowa dywizji polegała przede wszystkim na wymianie ognia artyleryjskiego przez rzekę, a ponadto w zwalczaniu niemieckich bomb latających V-1. Dywizyjny oddział artylerii przeciwlotniczej brał udział w zaporze ogniowej armii i zapisał na swym koncie znaczną liczbę zestrzelonych pocisków V-1. Równie ważną czynnością były walki z patrolami niemieckimi, które stale i z wielkim uporem przechodziły na południowy brzeg i czasami wdzierały się daleko w głąb lądu.

W owym czasie nasz pułk dragonów na oddalonym o 5 km od Ooster-

hout odcinku pełnił służbę patrolową i wartowniczą. Co drugi dzień na zmianę w dzień i noc szwadrony liniowe i wsparcia obsadzały poszczególne stanowiska i posterunki. Była to służba bardzo męcząca i wyczerpująca, ponieważ stanowiska obserwacyjne były obsadzane tylko przez 3 osoby, które dzień i noc, zmieniając się co 2 godziny, pilnowały powierzonego im obszaru. Codziennie zmieniano hasło i odzew, a bez ich znajomości nikt nie mógł podejść do pełniącego wartę żołnierza bez narażenia się na niebezpieczeństwo oddania strzału przez wartownika w jego kierunku.

Przypominam sobie, jak pewien porucznik - służbista - nie będąc dowódcą warty, przy kontroli posterunków zamiast hasła ogłaszał tylko, że idzie porucznik taki a taki, i, nie czekając nawet na odzew, wchodził do pilnowanego obszaru. Czasem udało mu się podejść wartownika, że ten nie zdążył zapytać o hasło, wówczas porucznik pieklił się o nienależyte pełnienie służby i oznajmiał to dowódcy warty w celu dyscyplinarnego ukarania wartownika. Innym razem, a było już późne listopadowe popołudnie i ściemniało się, ukarany wartownik usłyszał, że ktoś podchodzi. Zawołał: „Stój, kto idzie - hasło", usłyszał znany mu głos, porucznik taki a taki. Wówczas żołnierz, na nic nie czekając, zarepetował broń i krzyknął: „Padnij". Porucznik, nie pamiętając hasła, położył się na ziemi i błagał, by wartownik podszedł do niego i stwierdził jego tożsamość. Ten zaś nieubłaganie trzymał go na ziemi do czasu zmiany warty. Potem pod bronią odprowadził porucznika do dowódcy warty, by ten zidentyfikował jego tożsamość. Tym razem wartownik otrzymał od dowódcy warty pochwałę za należyte pełnienie służby wartowniczej. Od tego czasu butny porucznik spokorniał i więcej nie uprawiał niecnych sztuczek.

Wspominałem już, że niemieckie patrole przechodziły na naszą stronę, również i nasza dywizja wysyłała za rzekę patrole, które niekiedy przyprowadzały „języka". W jednym z takich patroli wziąłem udział i ja. Nie wiem, i do dnia dzisiejszego nie mam logicznego uzasadnienia, dlaczego po ogłoszeniu przez dowódcę szwadronu organizowania patrolu, zgłosiłem się na ochotnika, chociaż wiedziałem, że nie umiem pływać. Wybrano tylko sześciu z ośmiu zgłoszonych ze względu na zakres działania i wielkość łódki, którą mieliśmy przepłynąć na drugi brzeg. Naszym zadaniem miało być ujęcie i przyprowadzenie jeńca. Przygotowania do wyprawy trwały krótko. Na wyznaczone miejsce przeprawy w dniu poprzedzającym naszą nocną eskapadę artyleria miała się „wstrzelać", by w razie potrzeby dać nam wsparcie ogniem zaporowym. My zaś, wyposażeni w kamizelki ratunkowe, obładowani zapasowymi magazynkami do ręcznego karabinu maszynowego i pistoletów maszynowych tzw. stenów, mieliśmy w ciągu no-

cy czatować na niemiecki patrol i przyprowadzić jeńca. Zgodnie ze scenariuszem przeprawy około godziny 9 wieczorem przywieziono nas wyposażonych w potrzebne atrybuty na miejsce akcji. Niebo było bezchmurne i noc jasna. Księżyc był w pełni i w związku z tym widoczność też była bardzo dobra. Na ogół panowała cisza, tylko gdzieś w oddali na przeciwnym brzegu było słychać odgłosy jakiejś krzątaniny. W miejscu przeprawy panowała cisza i bezruch. Spoza wału przeciwpowodziowego przenieśliśmy łódkę na rzekę i zajęliśmy w niej z góry ustalone miejsca. Czterech chwyciło za wiosła, piąty na przedzie z ręcznym karabinem maszynowym wycelowanym w przeciwny brzeg, w tyle łodzi sternik z „latarką", której promienie podczerwone widoczne były jedynie przez odpowiedni wziernik umieszczony na naszym brzegu.

Wydano nam rozkaz, by w razie wpadki latarkę bezwarunkowo zniszczyć lub zatopić, by nie dostała się w ręce nieprzyjaciela. Po wejściu do łodzi i pierwszym plusku wioseł dopiero w pełni uświadomiłem sobie grożące mi niebezpieczeństwa: mogłem utonąć, bo nie umiałem pływać, mogłem zostać ranny lub dostać się do niewoli. Moza w miejscu przeprawy była około 100 m szeroka, mnie zaś wydawało się, że jej szerokość wynosi co najmniej kilometr. Zaledwie przepłynęliśmy trzecią część drogi, ze strony niemieckiej wystrzelono białą rakietę, która oświetliła całe przedpole przeprawy i zdawało nam się, że jesteśmy widoczni jak na dłoni. Automatycznie zalegliśmy na dno łodzi i czekaliśmy, co się będzie działo. Po chwili rakieta zgasła i tylko białe światło księżyca odbijało się w lustrze rzeki. Dowódca patrolu przez chwilę zastanawiał się, czy mamy popłynąć dalej, czy też zawrócić. Nie wiadomo było, czy wystrzelenie rakiety było celowe, czy przypadkowe. Dowódca zadecydował, by płynąć dalej. Posuwaliśmy się powoli, a prąd rzeki znosił nas z wyznaczonego kierunku miejsca lądowania. Po kilkunastu minutach, a mnie pod wpływem strachu wydawało się, że to wieczność, przybliżyliśmy się do brzegu. Po uderzeniu łodzi o ląd wskakiwaliśmy do wody i staraliśmy się łódkę popchnąć jak najdalej na brzeg. Na brzegu dowódca po rozpoznaniu terenu w najbliższej okolicy przydzielił każdemu z nas zadania. Ja z karabinem maszynowym zostałem przy łodzi, miałem ubezpieczać lewą stronę przeprawy i wytrwać na tym stanowisku do powrotu reszty załogi. O 50 metrów w bok na prawo umiejscowił innego uczestnika z zadaniem ubezpieczenia patrolu z prawej strony. Pozostałe dwie pary zwiadowców udały się na podchody do nieprzyjacielskich stanowisk, gdzie mieli czekać na przechodzące po groblach patrole. Uzgodniono, że czatowanie „na języka" potrwa do godziny czwartej rano, potem zbiórka przy łodzi i odwrót.

Myślę, że ta noc w mym życiu była bodaj nocą najdłuższą. Od około dziesiątej wieczorem do czwartej rano w przemoczonych spodniach i butach, w listopadowej aurze, sam na sam, miałem czas przemyśleć wiele wydarzeń i rzeczy z mego dziewiętnastoletniego życia. Początkowo moja uwaga była skierowana przede wszystkim na najbliższą okolicę, gdzie w lekkim powiewie nadbrzeżnych szuwarów od czasu do czasu coś się poruszało. Być może było tam jakieś zwierzątko lub też w poczuciu zagrożenia pracowała moja wyobraźnia, podobnie jak wówczas, gdy podnosiłem ręce do góry. Po jakimś czasie oswoiłem się z tymi szmerami i zacząłem odczuwać zimno. Przy zachowaniu największej ostrożności zacząłem przedeptywać i trzeć zdrętwiałe z zimna ręce. Ciszy nie przerwał najmniejszy dźwięk aż do czasu powrotu moich współuczestników wyprawy.

Ściągnęliśmy łódź na wodę, tym razem z latarką na przedzie, która była jedynym łącznikiem z naszymi, i zaczęliśmy wiosłować. Gdy przypłynęliśmy do środka rzeki, odezwał się huk naszej dyżurującej artylerii, pociski padały częściowo na brzeg nieprzyjaciela, po części do wody i mieliśmy wielkie szczęście, że nikt nie został ranny lub zabity, bo wokół nas padał deszcz odłamków. Szczęśliwie dobiliśmy do brzegu, gdzie na nas czekał dowódca szwadronu wraz z obserwatorem artyleryjskim. Ogień zaporowy, jaki nam miała zabezpieczyć artyleria, był stanowczo za krótki.

Po zdaniu raportu przez dowódcę patrolu dowódca szwadronu podziękował nam za wykonanie zadania pomimo tego, że nie przyprowadziliśmy jeńca. Ważne było to, że nie zdradziliśmy naszej obecności na terenie nieprzyjaciela, a tym samym nie pobudziliśmy go do zwiększonej czujności. Przygotowano dla nas posiłek, zaś na rozgrzewkę podano gorącą herbatę z rumem, a raczej rum z herbatą. Po jej wypiciu świat i jego problemy wyglądały zupełnie inaczej niż przed kilkoma godzinami. Jeszcze jeden drobny wypadek zdarzył się tego ranka. Jeden z uczestników wyprawy trącił pistoletem maszynowym o kant stołu i z lufy skierowanej w dół wyszedł strzał, i właściciel „stena" przestrzelił sobie but, raniąc mały palec u nogi. Przygotowana dla nas karetka pogotowia odwiozła go do punktu opatrunkowego. Na tym drobnym wypadku zakończyła się szczęśliwie przygoda pójścia na ochotnika, której już więcej nie powtórzyłem.

Wobec statycznego charakteru zadań dywizji - obrony nad Mozą - parokrotnie zmieniały się takie elementy jak szerokość pasa obronnego dywizji, sąsiedzi i aktywność nieprzyjaciela. Ewolucja tych czynników zależała od zamiarów i zachowania się Niemców oraz od zamiarów dowódcy 1. armii kanadyjskiej. Najgroźniejszą akcją Niemców w tym okresie było przeciwnatarcie niemieckiej grupy armii B w Ardenach, rozpoczęte 16

grudnia 1944 roku, a zlikwidowane ostatecznie w końcu stycznia 1945 roku. Tylko pozornie nie było żadnego związku między wydarzeniami w Ardenach i przy ujściu Mozy. Po pierwsze, w związku z tą ofensywą na szczeblu grupy armii zaistniała potrzeba przesuwania sił na południowe skrzydło - kosztem tego skrzydła, na którym znajdowała się polska dywizja. Prostą konsekwencją osłabienia sił u ujścia Mozy stało się rozciągnięcie do maksimum pasa 1. dywizji pancernej nad Mozą. Pas działań dywizji leżał na północ od Bredy - między Moerdijk na zachodzie, a Lithoijen na wschodzie. W tych właśnie granicach pas dywizji zwężał się lub rozszerzał ku północnemu wschodowi, w zależności od położenia. W optymalnej sytuacji z punktu widzenia dywizji szerokość pasa wynosiła 15 km, a w najgorszej 50 km.

Po drugie, stojąc na północnym brzegu rzeki naprzeciw 1. dywizji pancernej, jednostki armii gen. Kurta Studenta przygotowywały się do uderzenia przez Mozę, czyli w pas polskiej dywizji na Bredę i ku ujściu Skaldy, aby pod Antwerpią zamknąć we współdziałaniu z Grupą Armii B pierścień okrążenia.

Wiadomości o tych przygotowaniach wpłynęły w oczywisty sposób na stan pogotowia dywizji oraz na jej przegrupowania. W związku z zaistniałą sytuacją początkiem grudnia nasz 10. pułk dragonów został na czas przemieszczony z Oosterhout w okolice Hertogenbosch, a nasz szwadron do miasteczka Rosmalen 5 km na północny wschód od tego miasta. W Rosmalen nasz pluton pepanców umieszczono w miejscowej szkole. Kwaterunek podobny jak w Oosterhout, spanie w klasie na podłodze, kurek z zimną wodą na korytarzu, no i szkolne ustępy, to cały komfort, jakim cieszyliśmy się, nie wliczając w to pełnienia służby wartowniczej. A jednak w tych warunkach miałem i jasne punkty, które jakby łagodziły twardość mego żołnierskiego bytu. Tym łagodzącym dla mnie promykiem była osiemnastoletnia Holenderka, która w szkole pracowała jako sprzątaczka. Jak się to mówi, od pierwszego wejrzenia byliśmy sobie sympatyczni i staraliśmy się nawiązać bliższy kontakt. Porozumiewaliśmy się, jak się dało, częściowo mową, częściowo na migi. Tiny, bo tak się nazywała moja sympatia, niebieskooka, czerwonolica szatynka w pełnym panieńskim rozkwicie, była najmłodszą z czterech córek miejscowego rolnika Kerstena. Już po dwóch dniach miałem okazję poznać jej rodziców i siostry. Rozmowy z nimi były raczej kurtuazyjne i część zdań z mej strony była podparta gestami. Mile wspominam te chwile. Raz w niedzielę po południu byłem zaproszony do jej domu, tam również poznałem narzeczonych jej starszych sióstr. Dom był niby pełen ludzi, a jednak panowała

tam niemal cisza. Bardzo spokojne zachowanie się kawalerów dawało mi wiele do myślenia. W dużym pokoju narzeczeni siedzieli z jednej strony stołu, z przeciwnej ich wybranki, zaś rodzice naprzeciw siebie. Tylko ja z Tiną siedzieliśmy razem w kącie na kanapie. Narzeczeni rozmawiali przeważnie z rodzicami swych narzeczonych i rzadko któraś z sióstr wtrącała swoje zdanie. Tematem rozmowy, jak się orientowałem, były sprawy gospodarskie. Uważali bowiem, że wojna dla nich jakby się skończyła. Nie wtrącałem się do ich rozmowy, ale, chcąc nie chcąc, musiałem się dostosować do poważnej rodzinnej atmosfery, chociaż korciło mnie, patrząc Tinie w oczy, uścisnąć ją lub ukraść pocałunek. Poskromiłem jednak swoje zapędy i powiedziałem sobie trudno, co kraj to obyczaj. Moja sielanka i znajomość z Tiną została nieoczekiwanie przerwana. Po południu 24 grudnia w czasie przygotowań w szwadronie do wieczerzy wigilijnej przyszedł z dowództwa dywizji rozkaz natychmiastowego przemieszczenia się w inny rejon. Ów natychmiastowy wymarsz miał ścisły związek z ofensywą wojsk niemieckich w Ardenach i spodziewanym zrzutem spadochroniarzy niemieckich na obszar nad Mozą, kontrolowany przez naszą dywizję. W ciągu godziny już o zmroku wyruszyliśmy w kierunku północnym i gdzieś około północy zatrzymaliśmy się w nowym miejscu postoju. Zakwaterowano nas znowu w szkole i pozwolono nam, by z sąsiadujących ze szkołą stodół, oczywiście za zgodą właścicieli, zabrać trochę słomy na pościel. Była już późna pora i choć pukaliśmy do drzwi gospodarzy, nikt nie otwierał, więc po prostu bez ich zgody po wojskowemu „zarekwirowaliśmy" trochę słomy. Po przygotowaniu noclegu, gdzieś koło godziny 3 nad ranem, szwadron zebrał się w sali gimnastycznej i tam odbył się wieczór wigilijny. Była to moja druga wigilia poza domem rodzinnym, ale w jakże odmiennych od poprzedniej warunkach. Było krótkie przemówienie dowódcy wraz z życzeniami, modlitwa, łamanie się opłatkiem i odśpiewaliśmy kolędę „Cicha noc". Kuchnia polowa szwadronu przygotowała posiłek - struclę i kakao, i po zjedzeniu tej skromnej wigilijnej wieczerzy, i odśpiewaniu kolędy „Gdy się Chrystus rodzi" udaliśmy się na spoczynek. W następnych dniach kilkakrotnie zmienialiśmy miejsca postoju i dopiero w połowie stycznia 1945 roku, po ostatecznej likwidacji ofensywy Niemców w Ardenach, powróciliśmy do Oosterhout. Zamieszkaliśmy znowu na kwaterach, które przed miesiącem opuściliśmy. Już więcej nie spotkałem się z Tiny Kersten. Dopiero po powrocie do domu w roku 1947 napisałem do niej list. Odpowiedziała mi listem i przesłała mi fotografię z dedykacją. Mam ją schowaną do dziś.

KAROL BARTULEC

cdn.

POLACY NA ZAOLZIU W 2. POŁOWIE LAT PIĘĆDZIESIĄTYCH XX WIEKU (III)

Kulminacja prześladowań

Działania represyjne wobec polskiej mniejszości osiągnęły apogeum na przełomie lat 1957–1958. Impulsem stała się decyzja SLA PZKO z 27 grudnia 1957 r. o wydaniu „Przysłów górniczych" Teofila Stolarza. Pozycja ta była jedną z wyróżnionych prac w konkursie literackim SLA, zorganizowanym w 1954 roku. Już po podjęciu decyzji o wydaniu i rozpoczęciu druku w Hucie Trzynieckiej cenzura uznała za antypaństwowe kilkadziesiąt przysłów wchodzących w skład publikacji. Nakład został skonfiskowany. Po interwencji „organów zwierzchnich" ZG PZKO 18 marca 1958 r. zdecydował o odwołaniu P. Kubisza z funkcji redaktora naczelnego Zwrotu i kierownika SLA. Jednocześnie zniesiono autonomię SLA. Odwołano również i ukarano zakazem publikacji w dziedzinie folklorystyki szefa sekcji literackiej SLA i recenzenta publikacji Józefa Ondrusza. Obok Kubisza i Ondrusza decyzję o skierowaniu tekstu do druku podpisał również sekretarz generalny PZKO B. Goj, w jego wypadku poprzestano jednak na ostrej krytyce. Nowym redaktorem naczelnym Zwrotu został Tadeusz Siwek, kierowanie SLA przejął J. Mrózek. Momentem, który wywołał poruszenie polskiej mniejszości, była demonstracyjna decyzja P. Kubisza o odrzuceniu, zaoferowanej w ramach rekompensaty, propozycji podjęcia zatrudnienia w bibliotece, bądź w archiwum Powiatowej Rady Narodowej i rozpoczęcie przez niego pracy w stalowni huty w Trzyńcu. Biuro Komitetu Okręgowego KPC w Ostrawie w swoim komunikacie, który przygotowano równocześnie jako projekt sprawozdania i rezolucji dla KC KPC bezpośrednio po tym wydarzeniu 24 marca 1958 r., zauważyło *w gronie niektórych drobnomieszczańskich elementów w polskiej grupie narodowościowej* symptomy nacjonalizmu burżuazyjnego, którego nosicielami była drobna burżuazja, część inteligencji drobnomieszczańskiej oraz kler. Według oceny Komitetu Okręgowego KPC *głosiciele nacjonalizmu burżuazyjnego i rewizjonizmu wśród obywateli czechosłowackich narodowości polskiej uzyskali, zwłaszcza w ciągu ostatniego roku, poparcie reprezentantów podobnych kierunków w PRL.* Polską inteligencję oskarżano również o poglądy rewizjonistyczne, szczególnie w sprawach demokracji, wolności i kwestionowania nauczania marskistowsko-leninowskiego na tematy narodowościowe. Dodatkowo do głównych niebezpieczeństw zaliczono działalność Kościoła ewangelickiego, sekt religijnych i młodzieży. Zwrócono także uwagę na wy-

soką religijność panującą wśród Polaków. W 1953 roku na lekcje religii uczęszczało 98% uczniów. W powiecie Czeski Cieszyn za niewierzących uznawało się wówczas tylko 1,4% obywateli. Również w latach 1957/58 w nauczaniu religii uczestniczyło 72% uczniów narodowości polskiej, podczas gdy w przypadku uczniów narodowości czeskiej - tylko 48%.

Spośród 219 polskich nauczycieli było 164 członków któregoś z kościołów, 55 niewierzących, pięciu nauczycieli wysyłało dzieci na naukę religii. Mimo że wielu spośród nauczycieli deklarujących się jako wierzący nie uczestniczyło w praktykach religijnych, to jednak, w porównaniu do nauczycieli czeskich, było ich znacznie więcej. Tradycyjnie też spośród członków polskiej mniejszości procentowo więcej uczniów uczęszczało na naukę religii. Ogółem w okręgu ostrawskim na lekcje religii przychodziło 47,9% uczniów narodowości czeskiej i 71,2% uczniów narodowości polskiej. Stosunek ten kształtował się podobnie we wszystkich powiatach.

Uspokojenie sytuacji

Radykalne pomysły rozwiązania problemów, jakie narosły wokół polskiej mniejszości, forsowane zwłaszcza przez regionalnych działaczy Okręgowej Rady Narodowej, a w mniejszym stopniu również KPC, nie zostały wprowadzone w życie. Prawdopodobnie zaważył na tym między innymi fakt, że KPC posiadała wśród polskiej mniejszości stosunkowo silną pozycję. Wpływ na takie rozwiązanie sprawy miały prawdopodobnie również obawy związane z możliwą eskalacją napięć na tle narodowościowym. Ponadto PZKO z biegiem czasu przystosowywało swoją działalność do oczekiwań władz komunistycznych. Miesięcznik Zwrot w numerze z grudnia 1958 r. opublikował artykuł I sekretarza Komitetu Powiatowego KPC w Czeskim Cieszynie E. Morkesa. Autor wysunął w nim oficjalne postulaty pod adresem PZKO. Powtórzył wygłaszane już wcześniej zastrzeżenia, zgodnie z którymi aktywność PZKO w dziedzinie kultury jest przez Związek rozumiana jako cel sam w sobie, zbyt mało zaś miejsca poświęca on pracy ideologicznej wśród obywateli polskich, w niedostateczny sposób współpracuje z ROH, ČSM oraz Klubami Oświatowymi w kwestii organizowania wspólnych polsko-czeskich imprez kulturalnych. Równocześnie Morkes podkreślił potrzebę podjęcia przez organy PZKO aktywnych działań propagandowych w celu zwalczania *wstecznictwa religijnego*.

Niespodziewanie jednak, nawet pomimo odmiennego stanowiska wypracowanego przez biuro Komitetu Wojewódzkiego KPC w Ostrawie, na pierwszy plan wysunęła się kwestia walki przeciw czeskiemu nacjonalizmowi w regionie. Niewykluczone, że kierownictwo KPC znów wróciło do zasady głoszącej, iż bardziej niebezpieczny jest ten nacjonalizm, z którym się nie walczy. W każdym wypadku jednak z opracowania na temat polity-

ki narodowościowej w Czechosłowacji, przygotowanego po XI zjeździe KPC przez pracownika III wydziału KC KPC Oskara Zemana wykreślono zdanie: *Imperializm proletariacki zapuścił swoje głębokie korzenie również w Ostrawskiem.* Z drugiej strony dokument wymienia fakty świadczące o nieprzestrzeganiu zarządzenia w sprawie dwujęzyczności, które obowiązywało w 63 miejscowościach regionu. Wspomina też o nastrojach antypolskich, wypowiedziach stwierdzających, że *prawa obywateli narodowości polskiej są u nas zbyt rozbudowane*, [Polacy] *uzyskują więcej, niż na to sami zasługują*, a także o *teorii dwóch ojczyzn.*

Biuro Polityczne KC KPC po raz pierwszy dyskutowało na temat stosunku do obywateli narodowości polskiej 4 marca 1958 r. Projekt uchwały przedłożył sekretarz KC KPC Vladimír Koucký. Kierownictwo KPC żądało w nim przeprowadzenia analizy działalności wydawniczej czasopism Zwrot i Głos Ludu. Koucký proponował, podobnie jak to miało miejsce w wypadku mniejszości węgierskiej, poszerzenie ilości tytułów i nakładu polskiej prasy mniejszościowej. Celem tych działań miało być osłabienie wpływu mediów z Polski. Po obradach Sekretariatu KC KPC propozycje wróciły pod obrady Biura Politycznego 27 stycznia 1959 r.

Kierownictwo KPC nie podzieliło też pomysłów Ministerstwa Szkolnictwa i Kultury zmierzających do całkowitej likwidacji polskich instytucji mniejszościowych. Przeciwnie, zdecydowało się na bardziej wyważone podejście do aktów ekstremizmu po obydwu stronach. Mimo iż centralnym punktem sprawozdania oraz rezolucji była próba przezwyciężenia rzekomej izolacji, w jakiej znalazła się aktywność kulturalna Polaków w stosunku do społeczeństwa większościowego, w rzeczywistości zmierzały one w kierunku poparcia mniej otwartych form naturalnej asymilacji mniejszości polskiej, której udział w całkowitej liczbie mieszkańców Śląska Cieszyńskiego, pod wpływem migracji z całej Czechosłowacji, zmniejszał się. W dokumencie potwierdza się również istnienie *różnych form nacjonalizmu burżuazyjnego, szowinizmu oraz separatyzmu z polskiej i czeskiej strony.* W stosunku do polskiej mniejszości krytycznie wskazywano, iż jej *zorganizowana działalność kulturalna i społeczna (...) jest wciąż w znacznej mierze oddzielona od działalności kulturalnej i społecznej czeskich ludzi pracy.* Za grupy uniemożliwiające pogłębianie zbliżenia czeskich i polskich ludzi pracy uznano *kler katolicki i ewangelicki oraz sekty religijne*, głównie zaś polski kler – ze względu na jego wpływ na większość Polaków, charakteryzujących się większą religijnością. Sprawozdanie zawiera również dane na temat religijności polskich uczniów i nauczycieli, uznając zastane dane za zjawisko negatywne.

W związku z postulatami uznania PZKO za jedynego reprezentanta wszystkich obywateli narodowości polskiej w regionie ostrawskim ponow-

nie wspominano o tzw. Platformie Cieślara. Kierownictwo KPC podkreśliło, iż monopol polityczny w kraju przysługuje partii komunistycznej, która jest więc *głównym reprezentantem wszystkich narodowości w Czechosłowacji*. Podobnie jak w wypadku innych organizacji narodowościowych (chodziło o węgierski Csemadok) również w wypadku PZKO kierownictwo KPC podkreśliło, że związki tego typu mają wyłącznie charakter kulturalny, w żadnym zaś wypadku nie polityczny. Jednocześnie Biuro Polityczne KC KPC potwierdziło obowiązywanie zasady, zgodnie z którymi PZKO mogło prowadzić działalność wyłącznie w granicach administracyjnych okręgu ostrawskiego, w ramach tamtejszej Okręgowej Rady Narodowej, za pośrednictwem której miałoby się odbywać jego finansowanie. Ministerstwu Szkolnictwa i Kultury nie udało się jednak w pełni podporządkować sobie związku. Ministrowi Szkolnictwa i Kultury Františkowi Kahudowi powierzono jedynie zadanie systematycznej obserwacji działalności PZKO, współpracę w ramach *rozwiązywania podstawowych problemów związanych z działalnością kulturalną na rzecz obywateli narodowości polskiej oraz kierowania i kontroli nad działalnością PZKO*. Ministerstwo miało odtąd poświęcać więcej uwagi mniejszości polskiej. Działania te planowano powierzyć jednemu z wiceministrów.

W odróżnieniu od dokumentów przygotowywanych przez struktury regionalne rewizjonizm uznano za problem obydwu narodowości – Czechów i Polaków. Raport w duchu postulowanej *moralno-politycznej jedności ludu* krytykował wpływ czasopism przywożonych z Polski, podobnie jak żywy, słabo kontrolowany mały ruch graniczny. Polski i czeski nacjonalizm postawiono jednak na jednym poziomie: *Walczyć należy zarówno przeciw nacjonalizmowi czeskiemu, jak również polskiemu, odkrywać powody ich powstania i zapobiegać tworzeniu się warunków, w których mógłby on* oddziaływać. W ten sposób z jednej strony odrzucono więc tzw. teorię dwóch ojczyzn, z drugiej zaś strony raport w negatywnym świetle stawiał czeski nacjonalizm, polegający na oskarżeniach w sprawie wydarzeń na Zaolziu w 1938 roku, stwierdzeniach o nadmiernych przywilejach przysługujących Polakom oraz postulatach zniesienia polskich szkół oraz dwujęzyczności. Konkretnie wskazano na brak polskich napisów w Czeskim Cieszynie i niektórych innych miejscowościach dwujęzycznych, w których tablice urzędowe, oznaczenia budynków użyteczności publicznej, okólniki i zarządzenia powstawały jedynie w języku czeskim. Raport jednoznacznie odrzucił argumenty, którymi posługiwała się np. Powiatowa Rada Narodowa w Czeskim Cieszynie – zdaniem Rady polski problem narodowościowy nie istniał, gdyż wszyscy obywatele znają język czeski. Jednocześnie jednak komunistom – członkom polskiej mniejszości – polecono walczyć przeciw nacjonalizmom, które *chciałyby wykorzystywać regu-*

lacje dwujęzyczne i prawo do języka ojczystego w celu odrywania się i izolacji od zgodnej socjalistycznej współpracy z obywatelami czeskimi. Ministerstwo Szkolnictwa i Kultury skutecznie realizowało swoje postulaty zmierzające do zminimalizowania wpływu na działalność organizacji mniejszościowych ze strony państwa polskiego. Biuro Polityczne KC KPC odrzuciło podczas rozmów na temat umowy kulturalnej pomiędzy Czechosłowacją a Polską żądania strony polskiej zmierzające do przejęcia przez polskie Ministerstwo Kultury troski nad zaspokojeniem potrzeb kulturalnych Polaków w Czechosłowacji. Troskę o obywateli narodowości polskiej pozostawiono jednak *w wyłącznych kompetencjach państwa czechosłowackiego.*

Za naczelną regułę polityki narodowościowej KPC uznano zasadę proletariackiego internacjonalizmu. Specyfikę poszczególnych grup narodowościowych zredukowano praktycznie wyłącznie do kwestii językowych lub różnic kulturowych: *Różnorodność języków nigdzie nie może stać się przeszkodą w umacnianiu moralno-politycznej jedności całego naszego społeczeństwa, bez względu na narodowość.* Rozwiązanie kwestii narodowościowych miało więc być podporządkowane głównemu zadaniu - *ukończeniu budowy socjalizmu. By osiągnąć ten cel, konieczne jest dalsze wzmacnianie moralno-politycznej jedności całego ludu pracującego. Dlatego należy w pełni popierać wszystko, co pomaga osiągać i wzmacniać tę jedność* - głosi dokument.

W duchu rozumianej w ten sposób jedności główny obszar aktywności obywateli narodowości polskiej miał się przesunąć z działalności w strukturach mniejszościowych i skupić na *procesie produkcyjnym.* Obywatele narodowości polskiej mieli w większym stopniu włączać się w działalność publiczną, co miało zapewnić im perspektywę awansu społecznego. Dzięki temu działalność w ramach PZKO, czyli wspólnoty mniejszościowej, stałaby się mniej atrakcyjna. *Zakłady pracy, Rolnicze Spółdzielnie Produkcyjne, organy i komisje rad narodowych, a także organizacje masowe, zwłaszcza ROH i ČSM, muszą stać się głównymi centrami tworzenia się i wzmacniania współpracy ludzi pracujących narodowości czeskiej i polskiej.*

Przykładem działań zmierzających w tym kierunku mogła być np. decyzja o przyjmowaniu większej liczby *wzorowych pracowników narodowości polskiej* na kandydatów KPC i *przekazywaniu im konkretnych zadań do wykonania w środowisku polskiej społeczności.* Większa ilość członków i działaczy polskiej mniejszości narodowej miała również zostać włączona w działalność ROH, podobnie sytuacja wyglądała w wypadku ČSM, gdyż kierownictwo KPC wykazywało niezadowolenie w związku z niskim stopniem zorganizowania polskiej młodzieży. Jego prezesowi Miroslavowi Veckerowi powierzono zadanie *uzyskania warunków umożliwiających najściślejszą współpracę czeskiej i polskiej młodzieży w ramach ČSM.* Jednocześnie jednak odrzucono starania zmierzające do utworzenia niezależ-

nych polskich struktur organizacyjnych, nawet poprzez zakładanie podstawowych organizacji w ramach monopolistycznej organizacji młodzieżowej, jaką było ČSM. Szczególną uwagę kierownictwo KPC przykładało do tego, by absolwentom szkół z polskim językiem wykładowym umożliwić podejmowanie pracy na terenie całej Czechosłowacji, w tym również na ważnych stanowiskach. Osobiście podczas obrad Biura Politycznego KC KPC konieczność taką podkreślała jego członkini Ludmila Jankovcová.

Biuro Polityczne KC KPC równocześnie podjęło decyzję o konieczności doprowadzenia do zmian w pochodzeniu klasowym nauczycieli. Wydawanie beletrystyki i literatury politycznej w języku polskim scentralizowano, podobnie jak import z Polski literatury i materiałów na potrzeby zespołów ludowych. W miejsce pierwotnie planowanego wydawania nowych tytułów czasopism w języku polskim przyjęto inne rozwiązanie - na postawie decyzji Biura Politycznego KC KPC czasopisma zakładowe, wydawane w wersjach dwujęzycznych, miały publikować większą ilość artykułów w języku polskim. Organizowanie polskich zespołów artystycznych miało zostać przeniesione spod kurateli PZKO do klubów zakładowych ROH.

Kierownictwo KPC przejęło również postulat miejscowej administracji państwowej i zażądało, by PZKO w większym stopniu angażowało się w organizowanie czesko-polskich wieczorów kulturalnych, koncertów i imprez. Przyjęto regulacje zmierzające w kierunku wzmocnienia kontroli nad działalnością PZKO ze strony KPC. Szczególne zainteresowanie poświecono dystrybucji na obszarze Zaolzia prasy katolickiej z Polski wśród wiernych narodowości polskiej, na co nalegał również premier Viliam Široký. Księgarnie, pozostające własnością PZKO, określono mianem *propagatorów wstecznictwa religijnego i innych przeżytków burżuazyjnych*. Za alarmujący uznano fakt, że podczas gdy polskie czasopismo Przewodnik Katolicki, zawierające obszerne materiały na temat życia religijnego w Ostrawskiem, PZKO sprowadzał w nakładzie 1117 egzemplarzy, to dziennika komunistów polskich, Trybuny Ludu, przywożono jedynie 8 sztuk.

Jednocześnie kierownictwo KPC zdecydowało o zwołaniu VI Zjazdu PZKO w celu zapisania nowej strategii w stosunku do mniejszości polskiej w dokumentach statutowych tej organizacji mniejszościowej. Kierownictwo PZKO zaakceptowało postulaty Biura Politycznego KC KPC. Prezes Zarządu Głównego PZKO Adolf Kubeczka publicznie skrytykował twierdzenia mówiące o *rzekomym ignorowaniu praw językowych społeczności polskiej*. Przeciwnie, za główny problem uznał niedostateczne zaangażowanie mniejszości polskiej, łącznie z członkami PZKO, w działalność rad narodowych. Podczas konferencji powiatowych w wiosennych miesiącach 1959 roku pojawiły się jedynie pojedyncze głosy krytyczne, np. popierające odwołanego i wykluczonego P. Kubisza. Prezes PZKO Kubeczka wszyst-

kich krytykujących optymistyczną ocenę sytuacji mniejszości polskiej uznał za ludzi, *jeśli nie nieprzyjaznych naszemu związkowi, to przynajmniej mających wobec niego wiele nieuprawnionych zastrzeżeń i* postulatów. Podobnie sekretarz generalny PZKO B. Goj w przededniu zjazdu skrytykował działalność własnej organizacji za zbytnie oderwanie od wydarzeń zachodzących w społeczności czeskiej i *zamknięcie w sprawach dotyczących społeczności polskiej*. Jego zdaniem właśnie te tendencje są *pretekstem do sporów narodowościowych i przejawami nacjonalizmu burżuazyjnego*. Podkreślił, że *jeśli (...) chcemy budować socjalizm (...), to musimy „nasze polskie" sprawy podporządkować sprawom zasadniczym - właśnie budowie socjalizmu.*

W tonie podobnym do postanowienia Biura Politycznego KC KPC ze stycznia 1959 roku i w duchu oficjalnie głoszonego (i postulowanego) optymizmu odbył się VI Zjazd PZKO (23-24 maja 1959 r.). Nowym prezesem organizacji został B. Goj, mimo że jeszcze przed rokiem został poddany krytyce i nałożono na niego karę partyjną za zgodę na wydanie „Przysłów górniczych", nowym sekretarzem został Eugeniusz Suchanek. Nagrodą za przedzjazdowe lojalistyczne wystąpienia przedstawicieli PZKO była wysoka ocena działalności związku, jaka padła z ust sekretarza okręgowego KPC Drahomíra Koldera w mowie inaugurującej zjazd. Ze zrozumiałych względów wkrótce po słowach pochwały nastąpiły krytyczne uwagi w stosunku do działalności związku, zgodnie z tym, jak je sformułowało KPC. Zjazd zaakceptował postulaty kierownictwa KPC. Zgodził się na uznanie wiodącej roli KPC i potwierdził, że zadania PZKO *nie mogą być inne od zadań, jakie partia wyznaczyła całemu społeczeństwu*. Celem działalności PZKO miała stać się *wszelka pomoc w realizacji zadań gospodarczych*, prowadzenie członków do uczestnictwa we współzawodnictwie socjalistycznym, ścisła współpraca z ROH i ČSM, wychowywanie członków w duchu patriotyzmu czechosłowackiego i miłości do Czechosłowacji, jak również walka przeciwko *nacjonalizmowi burżuazyjnemu*. Działalność związku miała być zorientowana na ścisłą współpracę z miejscowymi Klubami Oświatowymi, jednocześnie PZKO miało w większym stopniu poświęcać się głoszeniu propagandy ateistycznej. Uchwała nie zawierała żadnego postanowienia, które by dotyczyło problematyki specyficznie mniejszościowej.

Po uchwale Biura Politycznego KC KPC ze stycznia 1959 r. i VI Zjeździe PZKO na początku lat sześćdziesiątych przyszła kolej na następne kroki. Przystąpiono do łączenia miejscowych bibliotek, utworzono wspólne polsko-czeskie przedszkola. Działalność wydawniczą PZKO przeniesiono do Wydawnictwa Okręgowego w Ostrawie. Komunikat Komitetu Okręgowego KPC w Ostrawie z 22 stycznia 1962 r. stwierdza, że problem rzekomo *szkodliwego, burżuazyjno-nacjonalistycznego sposobu* postrzegania PZKO

jako reprezentanta politycznego *został usunięty*. Z drugiej zaś strony dodaje, że działalność PZKO i komunistów w tej organizacji nabiera w znacznej mierze charakteru formalnego. Pozytywnie oceniono ograniczenie małego ruchu granicznego, a więc również możliwości wycieczek różnych grup PZKO do Polski. Podobnie ustały również *problemy* związane z prasą mniejszościową. Komunikat Komitetu Okręgowego KPC twierdza, że z kart Głosu Ludu i Zwrotu *w zasadzie usunięto* teorię dwóch ojczyzn. Z drugiej strony nadal mówiono o trwającej izolacji aktywności kulturalnej miejscowych Polaków wobec populacji większościowej. Nie udało się też doprowadzić do całkowitego przerwania kontaktów kulturalnych z Polską: *na zamówienia na czasopisma i książki z PRL ma wpływ jednak zwłaszcza popyt ze strony kupujących, a nie potrzeby i zadania działań polityczno-wychowawczych.*

Zakończenie

Komunistyczna władza w Czechosłowacji drugiej połowy lat pięćdziesiątych opowiadała się przeciwko otwartemu nacjonalizmowi skierowanemu wobec mniejszości i nie zdecydowała się na radykalne formy represji w postaci całkowitej likwidacji organizacji kulturalnej polskiej mniejszości - PZKO. Równocześnie jednak, podobnie jak w przypadku innych mniejszości narodowych - węgierskiej, niemieckiej i ukraińskiej - starała się w maksymalnym stopniu przejąć kontrolę nad ich aktywnością kulturalną i społeczną.

Stosunkowo tolerancyjne stanowisko w stosunku do mniejszości w Czechosłowacji, zwłaszcza gdy porówna się je z innymi państwami komunistycznymi, nie było wynikiem zamierzonej polityki kierownictwa KPC. Pewną rolę odegrał tu również prawdopodobnie czynnik zewnętrzny - obawy, że ewentualny otwarty konflikt z mniejszościami narodowymi mógłby zagrozić wewnątrzpolitycznej stabilności państwa i jej pozycji międzynarodowej. Z drugiej jednak strony, pomimo pewnych symptomów świadczących o pozytywnym stosunku członków polskiej mniejszości wobec wydarzeń roku 1956 w Polsce i wysokiego poziomu religijności polskiej społeczności na Zaolziu, włączając w to jej elity, odznaczało się ono stosunkowo mocnym poparciem dla polityki prowadzonej przez KPC. Było to spowodowane zwłaszcza negatywnymi doświadczeniami związanymi ze stosunkiem sił niekomunistycznych wobec polskiej mniejszości przed 1948 rokiem.

Charakterystycznym celem reżimu komunistycznego w Czechosłowacji były starania zmierzające do minimalizowania kulturalnych, politycznych, ekonomicznych, socjalnych, a nieraz nawet osobistych kontaktów mniejszości z państwami, w których ich grupa etniczna miała dominującą pozycję. Mniejszości narodowe nie były postrzegane jako polityczne i spo-

łeczne podmioty, ze swoimi postulatami nie tylko w kwestii szkolnictwa, ale też w obszarze polityki, samorządu, kultury, nauki i kwestiach socjalno-ekonomicznych. Podobna sytuacja nie była jednak wyłącznie specyfiką czechosłowacką, w szerokim zakresie wcielano ją również w innych państwach bloku sowieckiego, zwłaszcza na początku lat sześćdziesiątych. Opisana polityka spotykała się z cichą tolerancją, a nawet poparciem ze strony ZSRR (również w przypadku wschodniosłowiańskich mniejszości narodowych). Działo się tak w państwach bloku sowieckiego w ramach tolerowanej polityki, czyli respektowania autonomicznego stosunku w specyficznych kwestiach wewnątrzpaństwowych w zamian za bezwarunkową akceptację dominacji ZSRR i zgodę na wprowadzenie podstawowych zasad systemu radzieckiego w polityce wewnętrznej - to jest centralnie sterowanej gospodarki i dominującej pozycji partii komunistycznych.

Decyzje podjęte przez kierownictwo KPC na początku 1959 roku przyczyniały się do marginalizacji polskiej mniejszości na Zaolziu, a zwłaszcza jej aktywności kulturalnej i społecznej. Z jednej strony efektem popierania migracji pracowników narodowości polskiej z terenów Zaolzia do innych regionów Czechosłowacji był niewątpliwy awans socjalny i materialny jednostek, z drugiej jednak strony dochodziło również do osłabienia jedności terytorialnej polskiej mniejszości, powodowanej zwłaszcza odpływem jej młodych i wykształconych członków.

Działania kierownictwa KPC, redukując problematykę mniejszości do kwestii języka, ewentualnie miejscowej kultury, zmierzały nie tylko w kierunku *państwowej asymilacji* członków mniejszości polskiej, czyli zwiększenia ich stopnia identyfikacji z państwem czechosłowackim, lecz w efekcie wspierały i przyspieszały również proces asymilacji naturalnej. Pozycję polskiej mniejszości na Zaolziu dodatkowo wyraźnie osłabiła zwłaszcza reforma administracyjna z 1960 roku.

JURAJ MARUŠIAK

BIBLIOGRAFIA WYBRANA

Publikacje książkowe: Zbigniew Brzezinski, Sovětský blok - jednota a rozpor, Praha, Svoboda 1970, Krzysztof Persak, Kríza poľsko-sovietskych vzťahov v r. 1956 [w:], Krízy režimov sovietskeho bloku, red. Michal Štefanský, Marta Zágoršeková, Banská Bystrica, 1997, Jan Pešek, Maďarské udalosti roku 1956 a Slovensko, Magda Plačková, T. zv. teorie dvou vlastí Poláků na Těšínsku v 50. letech, Vlastivědné listy, nr 2, 1997, R. XXIII, Tadeusz Siwek, Stanisław Zahradnik, Józef Szymeczek, Polská národní menšina v Československu 1945-1954. Praha 2001.

Prasa: Zwrot, R. VIII-XI, 1956-1959, Głos Ludu, 1959.

Dokumenty archiwalne: Státní ústřední archiv v Praze, (SÚA Praha) [Centralne Archiwum Państwowe w Pradze]



Papież Jan Paweł II w Czechach... *fot. FRANCISZEK BAŁON*

CZESKA RECEPCJA TWÓRCZOŚCI POETYCKIEJ KAROLA WOJTYŁY

Wszyscy odczuwamy głęboki smutek z powodu śmierci Jana Pawła II, Papieża-Polaka, zakotwiczonego niezwykle głęboko w kulturze polskiej i umiejącego jej najcenniejsze walory przypominać światu. Wystarczy choćby zacytować jego słowa z wywiadu-rzeki *Przekroczyć próg nadziei* (1994), podnoszące wysoko polskie postawy tolerancji i otwartości na innego, ukształtowane w Polsce jagiellońskiej, o których nie tylko świat, ale i my sami, zdajemy się nie pamiętać:

Przez wieki swej tysiącletniej historii Polska była państwem wielu narodów i wielu wyznań chrześcijańskich i nie tylko chrześcijańskich. Tradycja ta sprawiła i chyba nadal sprawia, że właściwa umysłowości Polaków jest raczej tolerancja i otwartość na ludzi inaczej myślących, mówiących innymi językami, czy też inaczej wierzących i inaczej modlących się, inaczej sprawujących te same tajemnice wiary (s.116).

Wiemy też o jego dogłębnej znajomości literatury polskiej (studiował przecież rok polonistykę), z której i jego własna twórczość poetycka i dra-

matyczna wyrastała. Warto więc chyba - choćby przelotnie - zatrzymać uwagę czytelników naszego miesięcznika na czeskiej recepcji jego utworów (o sprawach tych pisałam szerzej w czasopiśmie Slavia z 2000 r.).

Ostatnie dziesięciolecie XX i pierwsze lata XXI wieku są dla polskiej i czeskiej literatury niezwykle znamienne. W tym czasie bowiem nie tylko weszły do ich kanonu dzieła nowego pokolenia pisarzy, ale także dochodziło do wielkich przewartościowań przeszłości oraz do przywracania dziejom literackim twórczości znakomitej, której poznawanie ze względów politycznych było wcześniej ograniczone czy wręcz niemożliwe. W tym też czasie po raz pierwszy po II wojnie światowej połączyły się trzy nurty w polskiej i czeskiej twórczości: nurt literatury „krajowej" czy „oficjalnej", nurt literatury „drugiego obiegu", w Czechach zwanej „samizdatową", oraz literatury emigracyjnej. Dotychczasowe „białe plamy", miejsca puste, przemilczane w historii literatury i krytyce literackiej z powodów politycznych czy z racji odmienności założeń filozoficznych, niewygodnych lub wręcz nieuznawanych przez kręgi oficjalne, nabierają barw, zadziwiają swym bogactwem i różnorodnością. Dochodzić też zaczyna do zmian w dotychczasowej hierarchii wartości poszczególnych dzieł czy nawet całych nurtów literackich. Procesy powyższe, obserwowane w obydwu literaturach: polskiej i czeskiej, mają również swe znaczenie dla wzajemnych kontaktów obu naszych literatur.

W takiej oto sytuacji historycznoliterackiej zaczęły ukazywać się najpierw tłumaczenia poszczególnych dramatów i części poematów Karola Wojtyły, które wyszły z pracowni translatorskiej doskonałej tłumaczki i propagatorki literatury polskiej Heleny Stachovej (Wojtyła, K.: *Vyzařování otcovství.* Mystérium Svatého Otce Jana Pavla II, Praga 1990; tenże: *Píseň o třpytu vody.* Verše a scenická meditace [*Před zlatnickým krámem.* Meditace o manželské svátosti, přecházející v drama], Praga 1990, w 1995 roku wydawnictwo Velehrad opublikowało pokaźny wybór jego poezji nazwany *Prameny a ruce,* w czeskim przekładzie I. Mikešovej i V. Buriana, zaś w r. 2003 wyszedł *Římský triptych.* Zaistniały więc konkretne fakty literackie, wiążące po raz któryś z kolei obie nasze kultury.

Pierwsze, nasuwające się w związku z tym pytanie, będzie pytaniem o genezę owych dokonań translatorskich: czy szukać jej wypada jedynie w sensacyjnym fakcie (zaktualizowanym poprzez pielgrzymki Ojca Świętego do Czech), iż oto poeta polski powołany został na tron Piotrowy? Czy może uwarunkowań trzeba by poszukiwać w mającym na terenie Czech swe głębokie tradycje kulcie Słowiańszczyzny, który wielokrotnie w dziejach kontaktów literackich między oboma naszymi narodami był wystarczającym argumentem na rzecz dokonania przekładu? Czy wreszcie po-

ezja Karola Wojtyły wkomponowuje się w jakiś nurt literatury czeskiej, przynosząc jednocześnie wartości ważne i oczekiwane, a nawet upragnione dla czeskiego odbiorcy?

Zapewne działały tu wszystkie trzy wymienione czynniki. Bez wątpienia rację miał Jarosław Iwaszkiewicz, mówiąc, iż z Janem Pawłem II „weszła na orbitę wszechświatowej polityki i globalnych zagadnień historia i kultura polska". Tradycja tłumaczeń z literatury polskiej jest w Czechach długa, nie przerwały jej, a może nawet wzmocniły, dziesięciolecia po II wojnie światowej, kiedy to literatura i nauka polska dla Czechów (znajdujących się pod silniejszą niż Polacy presją wymagań „poprawności politycznej" i chyba łatwiej - niż z natury przekorni Polacy - ulegających tej ostatniej) bywały nierzadko przysłowiowym „oknem na świat". Nas interesować będzie przede wszystkim motywacja trzecia, owo pytanie, jak twórczość Karola Wojtyły wrasta w czeskie życie literackie, czyli, mówiąc ściślej, pytanie o warunki i możliwości recepcji tej twórczości w czeskim środowisku.

Badanie recepcji czy, jak w naszym przypadku, raczej swoiste jej prognozowanie, będzie więc nakreśleniem krzywej możliwości odbioru w Czechach dzieła literackiego stworzonego przez Karola Wojtyłę, ustaleniem, w jakiej mierze może być ono na tym obszarze żywą wartością literacką pod względem ideowym, filozoficznym, estetycznym, a także w jakich kręgach i w oparciu o jakie tradycje może ono liczyć na rezonans.

Na wytworzenie pewnej „normy literackiej" odbioru poezji w Czechach wywarło wpływ nie tylko niemal pół wieku panowania metodologii marksistowskiej, kiedy to głównymi czynnościami waloryzującymi poezję było dzielenie jej na *pozemšťanskou* oraz *spirituální,* przy czym znakiem dodatnim zazwyczaj krytyka obdarzała tę pierwszą, druga bowiem uważana była za zjawisko wsteczne lub przynajmniej drugorzędne (mimo iż w tej grupie mieściła się twórczość cenna, np. znaczna część utworów Halasa, nie mówiąc już o poetach takich jak Jakub Deml, Jan Záhradníček, Václav Renč, by wymienić nazwiska, które się niemal automatycznie nasuwają).

Jeśli cofniemy się jeszcze dalej, do okresu międzywojennego, do czasów poetyzmu jako kierunku poetyckiego i strukturalizmu jako metodologii badań, stwierdzimy, że i tutaj owa „norma" budzi nastawienie przede wszystkim estetyczne, skupianie uwagi na odrębnościach języka poetyckiego.

Oba wspomniane okresy, zaledwie zasygnalizowane, ale przecież tkwiące głęboko w czeskiej świadomości literackiej, trzeba wziąć pod uwagę przy rozważaniu możliwości recepcji poezji Karola Wojtyły na tym obszarze, bowiem sytuacja kulturalna z pewnością projektuje w odbiorcy jego odczytywanie dzieła, jego wzorce konkretyzacji czy style odbioru.

Recepcji tej twórczości zdaje się nie sprzyjać także obecna, „cywilizacja mediatyczna", prowadząca do wyraźnej trywializacji języka i percepcji. Również współczesna, postmodernistyczna, dość często spotykana redukcja języka literatury do konceptualnej gry różnorodną tradycją prowadzić może do braku mocy rozbudzania przez dzieło wrażliwości aksjologicznej (zauważenia zawartych w nim wartości), a nawet - do niezdolności wypowiadania się na temat głębszych przeżyć egzystencjalnych i estetycznych. A przecież jest to problematyka dla poezji K. Wojtyły pierwszorzędna, najistotniejsza.

Pewne opory w czeskiej, zlaicyzowanej społeczności, pielęgnującej jednocześnie swe głębokie tradycje reformacyjne (którym nauka marksistowska nie przeciwstawiała się zbytnio w określonych celach politycznych), może wywołać powierzchowny odbiór dzieł omawianego poety, zaszeregowanie ich *a priori* do twórczości li tylko katolickiej, a więc ściśle wyznaniowej, pojmowanej zazwyczaj jako twórczość retoryczno-dydaktyczna przeznaczona dla określonego kręgu odbiorców.

O tym, że nie są to obawy płonne, świadczyć mogą nie tak znów dawne spory wokół beatyfikacji Jana Sarkandra oraz dyskusja na temat katolicyzmu, toczona choćby na łamach pisma Literární listy z 1995 r., w której w obronie katolicyzmu zabrał głos z Toronta znany pisarz Josef Škvorecký. Dlatego tak ważne jest wczytanie się w twórczość Wojtyły, która, jak to zauważyli jej badacze, nie mieści się w żadnym wąskim zbiorze ani poezji „kapłańskiej", bogato zresztą w Polsce rozwijającej się, ani w zbiorze poezji „katolickiej", jeśli pod tym terminem rozumieć będziemy wyłącznie sprawy dogmatów, wykorzystanie określonych tematów czy też twórczość katolików lub dla katolików przeznaczoną. Najwłaściwsze chyba będzie określenie jej jako **medytacyjnej poezji ekumenicznej o podłożu chrześcijańskim** (Jan Błoński nazywa ten typ dzieł twórczością *chrystianoidalną*). Jest ona bowiem próbą inicjacji, wprowadzenia w doświadczenie tej rzeczywistości, która ewokuje transcendencję, świętość i otwiera się - by użyć słów Jana Pawła II w odniesieniu do sztuki w ogóle - „na głębię, na wielkość i niepojętość istnienia", która sakralizuje pełnię ludzkiej egzystencji, scala głębokie rozdarcie współczesnej kultury na strefę *sacrum* i *profanum* (świętości i pospolitości), odpowiada więc na pojawiające się w kulturze doby dzisiejszej jakieś niepokoje czy tęsknoty religijne i mistyczne.

Nie powinno natomiast, jak mniemam, być na ogół przeszkodą w recepcji zakotwiczenie dzieła K. Wojtyły w kulturze polskiej, która to kultura przecież w znakomitej większości swych dokonań była Czechom uprzystępniona (łącznie z tak trudnymi utworami jak *Król-Duch* Słowa-

ckiego, którego przekład wyszedł przed ponad sześćdziesięciu laty). Nieobce więc odbiorcy czeskiemu powinno być, tak właściwe kulturze polskiej, a obecne w dziełach K. Wojtyły, rozumienie twórczości jako powołania. Poezja, a nawet szerzej: literatura polska starała się być nie tylko oddaniem się sztuce z celem realizowania zadań estetycznych czy ludycznych (zabawnych), stawiała sobie ona bowiem w swych najlepszych dziełach zadania służebne (a przynajmniej do tych postulatów systematycznie wracała), i to nie tylko, jak się często upraszcza, w odniesieniu do problematyki niepodległości (słynne trawestowane i wyśmiewane: „słoń a sprawa polska"), ale przede wszystkim wracała do realizacji swego pragnienia, by nie być wyłączoną z życia społeczeństwa, by podtrzymywać w nim uniwersalne wartości humanistyczne.

Tę funkcję literatury określił pięknie Jan Paweł II jako „posługę słowa". Nie znaczy to oczywiście, by taka koncepcja literatury była jedynie koncepcją twórczości o zamierzeniu instrumentalnym, nachalnie dydaktycznym, twórczości głuchej na piękno. Wystarczy tu przywołać na świadka świetny polski romantyzm, ale i okresy późniejsze, eksponujące, obok aksjologii (wartości), także problemy języka artystycznego.

Tradycje tłumaczeń polskiej literatury religijnej są w Czechach długowieczne, choć nie wszystkie przekłady spotkał szczęśliwy los pieśni *Czego chcesz od nas, Panie* Jana Kochanowskiego, która, przetłumaczona przez Jana Amosa Komenskiego, weszła do kancjonałów czeskich, a poprzez nie dostała się aż do Ameryki, by w dalszym ciągu swych dziejów stać się bezimienną morawską pieśnią ludową i jako taka zostać odnotowaną przez etnografów.

Takich szans twórczość Karola Wojtyły nie ma, jest to bowiem twórczość wysokoartystyczna w odmienny sposób. Na poezję tę wywarł, jak wiadomo, wpływ nie tylko romantyzm, symbolizm, ale i awangardowe koncepcje języka poetyckiego. Poezja ta korzysta często z monologu alirycznego, mało zsubiektywizowanego, o niezmiernie dyskretnej emocjonalności. Duży wpływ wywarła też na nią europejska tradycja mistyczna, zwłaszcza dzieła św. Jana od Krzyża, którego dorobek pisarski Karol Wojtyła analizował w swojej rozprawie doktorskiej.

Jeśli za warunek szerszej recepcji przyjmiemy inicjację-wprowadzenie w nieznane poprzez znane, to stwierdzić wypadnie, że twórczość poetycka K. Wojtyły wkomponowuje się w czeski nurt poezji refleksyjnej, podejmującej fundamentalne sprawy ludzkiego istnienia. Dla odczytywania jej symbolizmu przewodnika szukać można w czeskim symbolizmie, w twórczości O. Březiny dla zrozumienia technik poetyckich poety, a więc ekspresji pośredniej, ekwiwalentyzacji uczuć, koncepcji poezji aktywnej, za-

kładającej równie aktywną percepcję dla pojęcia tych technik pomocą może być i sztuka czeskiego poetyzmu, zdecydowanie łamiącego utarte asocjacje, wymagająca wysiłku wyobraźni od odbiorcy.

Poezja ta wkomponowuje się też w ten nurt twórczości europejskiego kręgu kulturowego, który usiłowała przybliżać Czechom częściowo Moderna Katolicka, ale głównie czynność wydawnicza Josefa Floriana, prowadzona w miejscowości Stará Říše, realizowana w jego słynnych seriach wydawniczych: "Studium", „Kurs", „Dobré dílo", „Archy", „Nova et vetera". Dzieła owe (a wyszło ich ponad 400 tomów, wśród nich tłumaczenia z Norwida czy Słowackiego) adresowane były do tych kręgów odbiorców i twórców, którzy w utworze literackim usiłowali doszukiwać się metafizycznego sensu istnienia, choć wielu z nich nie było związanych bezpośrednio z chrześcijaństwem (np. J. Čapek, V. Holan). Mimo więc wymienionych na początku trudności poezja Karola Wojtyły ma ogromne szanse zadomowienia się na obszarze kulturowym Czech.

Pamiętajmy wszakże, że poezja to tylko część tej twórczości. Drugą jej część stanowią utwory dramatyczne, które Bolesław Taborski trafnie określił jako „teatr wnętrza". Ich geneza i określenie gatunkowe są niezwykle interesujące, jest to bowiem „teatr słowa", będący kontynuacją i rozwinięciem koncepcji krakowskiego Teatru Rapsodycznego Mieczysława Kotlarczyka, teatru, w którego powstaniu i działalności Karol Wojtyła miał swój ważny udział zrazu jako współtwórca i aktor, a później jako krytyk towarzyszący i obrońca tegoż teatru, skazanego na zanik ze względów politycznych.

Twórczość dramatyczna Karola Wojtyły tkwi równie głęboko w polskiej kulturze jak jego poezja i podobnie jak ta ostatnia nosi w sobie ideę twórczej wzajemności w stosunkach międzyludzkich, odpowiada na pytania o problem działania Boga w historii. Wydaje się jednakże, że dla czeskiego odbiorcy ważne będą nie tyle polskie korzenie tej twórczości, ile jej uniwersalizm, stawiane przez nią pytania o tożsamość człowieka, zyskiwaną w kontakcie z drugim. A także pytania o istotę miłości, nie tylko tej, płynącej z *Erosa*, lecz głównie tej dbającej o odpowiedzialność, o współczucie, pochodzącej z *Caritas*. Ważne też są w niej romantyczne jeszcze pytania już nie – jak w Oświeceniu – o naturę rzeczy, lecz o ich sens, cel, związek. Karol Wojtyła podejmuje i rozszerza tę problematykę. Jego poezja jest odbiciem doświadczenia duchowego, doświadczenia egzystencjalnego. Odsłania mistyczny wymiar istnienia i skierowuje nań uwagę czytelnika. Są w niej pytania, na które świadomość refleksyjna człowieka poszukiwała i poszukuje odpowiedzi, choć obleka je w różne formuły literackie.

KRYSTYNA KARDYNI-PELIKÁNOVÁ

KAROL KARDYNAŁ WOJTYŁA

OJCZYZNA

(fragment)

Myśląc Ojczyzna...

Ojczyzna - kiedy myślę - wówczas wyrażam siebie i zakorzeniam,
mówi mi o tym serce, jakby ukryta granica, która ze mnie przebiega
ku innym,
aby wszystkich ogarniać w przeszłość dawniejszą niż każdy z nas:
z niej się wyłaniam... gdy myślę Ojczyzna - by zamknąć ją w sobie jak
skarb.
Pytam wciąż, jak go pomnożyć, jak poszerzyć tę przestrzeń,
którą wypełnia.

Gdy dokoła mówią językami...

1. Gdy dokoła mówią językami, słyszę, jak narastały pokolenia, wnosząc do skarbca swej ziemi rzeczy stare i nowe -

Ziemia stała się łożyskiem świateł zapalonych głęboko w ludziach, płynęły wciąż jednakowo te same rzeki i wciąż na nowo opływał ziemię strumień mowy wzbierający historią.

Wody rzek zbiegały ku dołowi, strumień mowy dążył w stronę szczytu.

Szczytem był każdy człowiek wyrastający z tej ziemi i każdy nim jest - równocześnie szczyt wznosi się ponad każdym i ponad wszystkimi, wznosi się coraz stromiej i coraz głębiej zapada w sumienia.

2. Gdy dokoła mówią językami, dźwięczy pośród nich jeden: nasz własny. Zagłębia się w myśli pokoleń i ziemię naszą opływa i staje się dachem domu, w którym jesteśmy razem -

poza nim dźwięczy rzadko -

(w grupach ludzi, którzy mówią wokoło, jakby wyspy opłynięte oceanem powszechnej ludzkiej mowy, nie znajduję własnej fali) -

nie rozszerzyły się zasoby mej ziemi; jeśli nawet odpłynęła mowa, to żeby zanikać powoli w wysychających łożyskach -

nie podjęły mowy moich ojców języki narodów, tłumacząc - „za trudna" lub „zbędna" -

na wielkim zgromadzeniu ludów mówimy nie swoim językiem.

Język własny zamyka nas w sobie: zawiera, a nie otwiera.

3. Tak zwarci wśród siebie jedną mową, istniejemy w głąb własnych korzeni, czekając na owoc dojrzewań i przesileń.

Ogarnięci na co dzień pięknem własnej mowy, nie czujemy goryczy, chociaż na rynkach świata nie kupują naszej myśli z powodu drożyzny słów.

Czyż nie żywimy pragnienia głębszej jeszcze wymiany?

Lud żyjący w sercu własnej mowy pozostaje poprzez pokolenia tajemnicą myśli nie przejrzanej do końca.

Słyszę jeszcze dźwięk kosy...

Ojczyzna - kiedy myślę - słyszę jeszcze dźwięk kosy, gdy uderza o ścianę pszenicy, łącząc się w jeden profil z jasnością nieboskłonu.

Lecz oto nadciągają kosiarki, zapuszczając do wnętrza tej ściany i dźwięków monotonię i ruchów gwałtowne pętle, i tną...

(...)

Kiedy myślę: Ojczyzna, szukam drogi, która zbocza przecina jakby prąd wysokiego napięcia, biegnąc górą - tak ona biegnie stromo w każdym z nas i nie pozwala ustać.

Droga biegnie po tych samych zboczach, powraca na miejsca te same, staje się wielkim milczeniem, które nawiedza co wieczór zmęczone płuca mej ziemi.

Myśląc Ojczyzna, powracam w stronę drzewa...

1. Drzewo wiadomości dobrego i złego wyrastało nad brzegami rzek naszej ziemi, wyrastało wraz z nami przez wieki, wrastało w Kościół korzeniami sumień.

Nieśliśmy owoce, które ciążą i które wzbogacają. Czuliśmy, jak głęboko rozszczepia się pień, choć korzenie wrastają w jeden grunt...

Historia warstwą wydarzeń powleka zmagania sumień. W warstwie tej drgają zwycięstwa i upadki. Historia ich nie pokrywa, lecz uwydatnia...

Czyż może historia popłynąć przeciw prądowi sumień?

(...)

5. Więc schodzimy ku tobie, ziemio, by poszerzyć cię we wszystkich ludziach - Ziemio naszych upadków i zwycięstw, która wznosisz się we wszystkich sercach tajemnicą paschalną. -

Ziemio, która nie przestajesz być cząstką naszego czasu.

Ucząc się nowej nadziei, idziemy przez ten czas ku ziemi nowej. I wznosimy ciebie, ziemio dawna, jak owoc miłości pokoleń, która przerosła nienawiść.

NA CZEŚĆ JUBILATKI ANIELI KUPIEC

Wiele życzeń i kwiatów otrzymała poetka ludowa z Nydku Aniela Kupiec podczas spotkania jubileuszowego z okazji jej 85. urodzin. Zorganizował je Zarząd Główny PZKO, Kongres Polaków i czeskocieszyński Klub Propozycji. Program nazwany „U Kupców na Farce", który zaprezentowany został licznie zgromadzonej publiczności, a przede wszystkim jubilatce Anieli Kupiec w sali ośrodka kultury Strzelnica w Czeskim Cieszynie w dniu urodzin poetki 5 kwietnia, rozpoczął Chór Nauczycieli Polskich pieśnią „O ziemio ojców". Do tematu tej ziemi, z której wyrosła i którą nade wszystko ukochała także Aniela Kupiec, nawiązał w swoich słowach o poetce Daniel Kadłubiec. Mówił o fenomenie cieszyńskości, oznaczającej przywiązanie do ziemi nad Olzą, ziemi, której najważniejszym wyznacznikiem jest kult słowa. Słowo jest tu czymś niezwykłym, ma ma-





giczną moc i słowo, w tym wypadku wypowiadane w gwarze, stało się też tworzywem dla Anieli Kupiec.

W dedykowanym poetce programie kulturalnym oprócz Chóru Nauczycieli Polskich i Haliny Pasekovej, prezentującej wiersze Anieli Kupiec „Mowo moja ojczysto", „Wio koniczki" i „Mój nejlepszy placek", wystąpiły przede wszystkim dzieci. Wiersz Anieli Kupiec „Bojka prawdziwo" zarecytował przedstawiciel harcerskiej drużyny Opty, zaś uczennica PSP im. St. Hadyny w Bystrzycy mówiła wiersz Anieli Kupiec „Pamięci profesora Hadyny". Piosenkę Stanisława Hadyny zaśpiewała Natalka Bajger. Razem z dziećmi w widowisku „Wiosna" wystąpiły członkinie zespołu Żukowianka. Piosenki ludowe zabrzmiały w wykonaniu dzieci z polskich szkół w Bystrzycy i Wędryni, a członkowie zespołu Torka dodali także tańce ludowe. Program zakończył Władysław Kristen wierszem Anieli Kupiec „Niedowiarkom". Chleb ze smalcem i biała kawa dla wszystkich uzupełniały przeżycia artystyczne.

C.R.











NA JARMARKU W GRODKOWIE

W Niedzielę Palmową, czyli ostatnią przed świętami Wielkiej Nocy, w wielu miejscach w Polsce odbywają się jarmarki, na których można obejrzeć i zakupić świąteczne smakołyki i ozdoby na świąteczny stół. W Grodkowie na Opolszczyźnie zorganizowano po raz pierwszy Jarmark Polsko-Czeskiej Tradycji Wielkanocnej. A stało się to nie bez przyczyny, bowiem od kilkudziesięciu lat kwitnie współpraca na płaszczyźnie kultury, przypieczętowana stosowną umową, pomiędzy Towarzystwem Miłośników Ziemi Grodkowskiej a Miejscowym Kołem PZKO w Skrzeczoniu. Współpraca na poziomie organizacji społecznych owocuje również kontaktami pomiędzy władzami Grodkowa i Bogumina. Na tegorocznym jarmarku, podczas którego swoje wytwory prezentowały Koła Gospodyń Wiejskich i indywidualni wytwórcy z Grodkowa i okolicy, swój sektor posiadali również przedstawiciele MK PZKO w Skrzeczoniu, prezentując i sprzedając (cieszące się powodzeniem) kołacze wykonane przez członkinie Klubu Kobiet, miodowe pierniczki w kształcie wielkanocnych pisanek (dzieło Marii Gałuszki) oraz Andrusowską miodulę, sprzedawaną w butelkach z oryginalną etykietą z podobizną jednego z Andrusów. Swój kram z pisankami miała także Eva Holesz z Bogumina, nieustannie oblegany przez kupujących, wykonane własnoręcznie pisanki (wydmuszki z jaj) malowane i białe dziurkowane, przypominające misterną koronkę. Swoje książki o gotowaniu



i przyrodzie podpisywał Franciszek Bałon, a zwiedzających i kupujących na grodkowskim rynku pod ratuszem zabawiał zespół estradowo-kabaretowy Andrusi pod kierownictwem Czesława Bugdola. Na zakończenie jarmarku organizatorzy nagrodzili najciekawsze stoiska i produkty. Nagrodę burmistrza Grodkowa Marka Antoniewicza uzyskał zespół Andrusi i ich produkt Andrusowska miodula. Porcelanowa zastawa stołowa do deseru będzie stanowiła wyposażenie Domu PZKO w Skrzeczoniu.

W przeddzień jarmarku zespół Andrusi wystąpił w Domu Emerytów w Grodkowie, bawiąc tutejszych pensjonariuszy skrzeczońskimi piosenkami, górniczym i żydowskim humorem. I tu, i podczas porannego występu w niedzielę dla więźniów w Zakładzie Karnym w Grodkowie, furorę robił Albert Grzebień, jako odtwórca postaci skrzeczonianki i Bogusław Czapek jako Żyd. Folklor miejski prezentowany w piosenkach przez Andrusów, zresztą nie po raz pierwszy w tych miejscach, podobał się wszystkim, a jako że świat nie jest tak wiel-ki, nawet w Grodkowie w Domu Emerytów znalazł się pensjonariusz, którego lata młodości związane były z Zaolziem.

Jarmark i występy Andrusów to część oficjalnego pobytu przedstawicieli Koła PZKO Skrzeczoń w Grodkowie. Były też rzeczowe rozmowy z władzami miasta i Towarzystwa Miłośników Ziemi Grodkowskiej potwierdzające wzajemną współpracę, której konkretne efekty będą widoczne już wkrótce – udział zespołów w Muzycznej Jesieni w Grodkowie i nagranie płyty Andrusów z okazji 50-lecia ich istnienia.

E.S.



WIELKANOC Z TEATREM W MILIKOWIE

MK PZKO Milików Centrum przygotowało na tegoroczną Wielkanoc dla miłośników swojego teatru dwie jednoaktówki: Władysława Niedoby „Babski raj" i Władysława Młynka „Fatalne spodnie" w reżyserii Hynka Czeczotki, który od lat jest podporą milikowskiego teatrzyku. Dba również o kolejne pokolenie aktorów amatorów i ci po raz pierwszy zaprezentowali się na milikowskiej scenie. W pierwszej sztuce na scenie pokazali swoje umiejętności: Michał Czeczotka (syn aktora i reżysera Hynka), Monika Haratyk, Dana Kantor, Urszula Mazur, Krystyna Sikora, Kazimierz Sikora. W obsadzie jednoaktówki Niedoby można było obejrzeć Annę Cieślar, Monikę Haratyk, Danę Kantor, Marię Sikorę i Hynka Czeczotkę.

W przerwie między komediami publiczność zabawiali młodzi z odradzającego się Klubu Młodych. Swój talent kabaretowo-aktorski zaprezentowali Marek Wacławek, Tomasz Cyhan i Michał Czeczotka, a Teresa Kapsia zaśpiewała utwór „Hej góry" z repertuaru „Brathanków".

Jedenasta już z kolei premiera w milikowskim Domu PZKO jak zwykle przyciągnęła wszystkie pokolenia mieszkańców wsi, którzy w sobotę i niedzielę wielkanocną wspólnie z aktorami mają swoje święto. A że władze gminy cenią sobie amatorski teatr w Milkowie, świadczy o tym obecność wójta i jego zastępcy podczas tegorocznego przedstawienia.

Kiedy, wjeżdżając do Milikowa Centrum, widzi się polską szkołę z tradycyjną wieżyczką, a obok obszerny budynek PZKO, który nigdy nie świeci pustkami, widać, że tu o polskich korzeniach nie zapomina się. A tegoroczne popisy młodzieży napawają optymizmem.

E.S.







PORANEK POETYCKI W GIMNAZJUM

Spotkaniem nad Olzą nazwany został przez organizatora, Bibliotekę Miejską w Czeskim Cieszynie, której dyrektor Jana Galášová powitała obecnych, poranek poetycki z udziałem polskiego poety Wacława Kostrzewy z Pszczyny i tłumacza jego wierszy na język czeski Libora Martinka z Opawy. Spotkanie odbyło się 21 marca br. w auli Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie. Słuchaczami wierszy Wacława Kostrzewy, prezentowanych po polsku przez autora oraz po czesku przez tłumacza, byli uczniowie polskich i czeskich szkół średnich z Czeskiego Cieszyna.

Wacław Kostrzewa (ur. 1951) pochodzi z Sandomierskiego, ukończył Technikum Górnicze w Zabrzu, pracował w kopalni węgla kamiennego, gdzie był górnikiem, a potem sztygarem. Mieszka w Pszczynie. Wiersze zaczął pisać już w wieku dziewiętnastu lat, zafascynowany poezją Juliana Tuwima, a przede wszystkim Siergieja Jesienina, i przez dwadzieścia lat robił to dla własnej satysfakcji – do szuflady. Kiedy odważył się wysłać swoje wiersze na konkurs poetycki i wygrał, otrzymał propozycję wydania ich drukiem. Debiutancki tomik poetycki „Ta jedyna" ukazał się w roku 1995, następne to „Uspokój moje wzburzone morze" (2000), „Pragnienie" (2003), „Pszczyńskie noce" (2003), „Wąskotorówka" (2004) oraz lustrzany czesko-polski wybór z dotychczasowej twórczości „Bílé tango – Białe tango", wydany w Republice Czeskiej przez wydawnictwo Literatura & Sciences w roku 2004. Wierszy z tego tomiku wysłuchali uczestnicy Spotkania nad Olzą. Próbkę twórczości poetyckiej Wacława Kostrzewy z tomiku „Białe tango" przedstawiamy też w tym numerze Zwrotu.

Po co, w jakim celu pisze wiersze, zapytali Wacława Kostrzewę młodzi słuchacze. Bo poezja zwraca uwagę na to, czego nie dostrzegamy, co jest zakryte, odpowiedział pisarz. Poezja nie stawia sobie pragmatycznych celów, uzupełnił jego wypowiedź Libor Martinek, który sam także pisze wiersze, poezja odsłania nasz stosunek do życia, do rzeczywistości. Wiersze Wacława Kostrzewy mówią o tym, co go otacza, o sprawach codziennych. Uwagę czytelników zwracają poetyckie powroty do krainy dzieciństwa, ale przede wszystkim nasycona zmysłowością liryka miłosna. Na pytanie, dlaczego nie pisze o górnictwie, Wacław Kostrzewa odpowiedział, że chodzi o ciężki zawód, w którym nie ma miejsca na poezję.

W dyskusji porównywano stosunek mieszkańców Polski i Czech do poezji. Okazało się, że w Polsce żyje dziesięć tysięcy poetów i przybywa piszącej młodzieży, natomiast w RC na odwrót, coraz mniej młodych ludzi chwyta za pióro.

Tłumacz wierszy Libor Martinek, bohemista, krytyk literacki i nauczyciel akademicki w Instytucie Bohemistyki i Bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Śląskiego w Opawie, wyjaśnił, że poznał Wacława Kostrzewę poprzez wspólnego znajomego, jakim jest poeta polski Józef Baran. Spotkali się też w Cierlicku podczas konkursu literackiego O Skrzydło Ikara. Libor Martinek mówił o nikłej znajomości współczesnej literatury polskiej w RC, o tłumaczach polskiej literatury na język czeski, o trudnościach z przekładaniem wierszy, z którymi tłumacz nie potrafi się identyfikować i musi znaleźć dla nich kod stylistyczny. Nie miał takich problemów przy tłumaczeniu wierszy Wacława Kostrzewy.

Do studiów na Uniwersytecie Śląskim w Opawie, gdzie nie brakuje studentów ze Śląska Cieszyńskiego, zachęcił tegorocznych maturzystów Libor Martinek na końcu spotkania. Jego zainteresowanie Zaolziem i literaturą polską tu powstającą zaczęło się od stażu doktoranckiego u prof. Edmunda Rosnera w Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. W swej pracy „Polská literatura českého Těšínska po roce 1945" (Uniwersytet Śląski, Opawa 2004) nawiązał do publikacji Edmunda Rosnera „Literatura polska z czeskiego Śląska" z 1995 roku. W tej chwili pisze o polskiej poezji na czeskim Śląsku Cieszyńskim po roku 1920.

C.R.

IX ZGROMADZENIE OGÓLNE KONGRESU POLAKÓW W RC

IX Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC z udziałem 145 delegatów (107 z nich wybranych zostało podczas sejmików gminnych, 38 było przedstawicielami organizacji zrzeszonych w Kongresie Polaków) odbyło się 2 kwietnia br. w sali ośrodka kultury Strzelnica w Czeskim Cieszynie. Najważniejszymi punktami programu Zgromadzenia był wybór nowej Rady Kongresu Polaków i Komisji Kontrolnej oraz przyjęcie uchwały.

Rozpoczęto od hymnu „Gaude Mater Polonia", dwie pieśni zaśpiewała Kompania Osób Prywatnych Amici Cantionis Antiquae pod kierownictwem Leszka Kaliny. Delegatów przywitał prezes Rady Kongresu Polaków Józef Szymeczek. Obrady prowadził przewodniczący Rady Przedstawicieli Kongresu Polaków Tadeusz Wantuła. Wśród gości znaleźli się m.in.: wicemarszałek Senatu RP Jolanta Danielak, senator RP Władysław Bułka, ambasador RP w Pradze Andrzej Krawczyk, konsul Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie Grażyna Kostrusiak, wicemarszałek województwa śląskiego Marian Jarosz, prezes Oddziału Bielskiego Stowarzyszenia Wspólnota Polska Wojciech Dębowski, se-

natorzy RC Andrzej Feber i Edward Matykiewicz, Antonín Liberda z Ministerstwa Sprawiedliwości RC, szef Kancelarii Rady Rządu ds. Mniejszości Narodowych w Pradze Andrej Sulitka, wicemarszałek województwa morawsko-śląskiego Jiří Carbol i delegacje innych instytucji i organizacji z obu stron Olzy.

Po wystąpieniach gości wysłuchali delegaci sprawozdania prezesa Rady KP Józefa Szymeczka, Rady Przedstawicieli Tadeusza Wantuły, Komisji Kontrolnej Tadeusza Kędziery z działalności w poprzedniej kadencji. W dyskusji plenarnej wystąpili m.in. przedstawiciele organizacji należących do Kongresu. Dziewięciu członków do nowej Rady Kongresu Polaków wybierali delegaci spośród dwudziestu kandydatów. Najwięcej głosów otrzymał dotychczasowy prezes Józef Szymeczek i on też będzie przewodniczyć Radzie w następnej kadencji. Obok niego w Radzie KP zasiądą: Rudolf Moliński, Tadeusz Wantuła, Marek Słowiaczek, Bohdan Małysz, Dariusz Branny, Roman Kaszper, Wawrzyniec Fójcik, Władysław Adamiec, rezerwowymi są Kazimierz Grochol i Michał Chrząstowski. Nową Komisję Kontrolną tworzą: Kazimierz Branny, Stanisław Fierla, Tadeusz Kędziera, Jerzy Stala, Władysław Szkopek, rezerwowym jest Stanisław Przyhoda. Podjęta przez Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków uchwała zawiera szereg szczegółowo ujętych zadań, które realizować będzie przez następne trzy lata jego organ wykonawczy Rada Kongresu Polaków.

Szerzej o Kongresie Polaków napiszemy w następnym numerze Zwrotu.

C.R.

OLSZTYŃSCY CIESZYNIACY Z WIZYTĄ NA LITWIE

Staraniem Zarządu Warmińsko-Mazurskiego Koła Macierzy Ziemi Cieszyńskiej w Olsztynie na czele z Januszem Adamusem (członkiem zarządu) w dniach 18–20 marca 2005 zorganizowana była wycieczka członków Koła i jego sympatyków na Litwę. Poza celami turystycznymi i obrzędowymi (niedziela Palmowa w Wilnie) – celem wyprawy była tradycyjna wizyta z darami i paczkami dla polskiej szkoły podstawowej w podwileńskich Ojranach oraz spotkanie z Polakami w Wilnie i Trokach. Tego typu wyjazdy turystyczno-świąteczne organizowane są już przez J. Adamusa na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim od sześciu lat. Olsztyniacy co roku wyjeżdżają na Litwę z różnymi darami, pomocami szkolnymi, komputerami, kserokopiarkami i faksami włącznie, a odwiedzani są uczniowie i nauczyciele wspomnianej polskiej szkoły w Ojranach. Wspomnieć tu należy, że dzięki przywożonym darom i pomocom szkolnym czteroklasowa dotąd szkoła w Ojranach w 2003 roku jako jedna z nielicznych uzyskała status pełnoprawnej polskiej szkoły podstawowej na Litwie.

W tegorocznej wycieczce na Litwę udział wzięła rekordowa, bo 48-osobowa grupa Cieszyniaków i „wilniuków", m.in. nestorka olsztyńskich przewodników turystycznych PTTK Anna Andruśkiewicz, urodzona w Wilnie. W przestronnych lukach ba-

gażowych potężnego autobusu uczestnicy przywieźli dla dzieci z Ojran setkę kartonów polskich książek, przyborów i programów szkolnych, dwie kserokopiarki i faksy wraz z oprzyrządowaniem technicznym, a także 80 paczek wielkanocnych słodyczy. Część tych darów, głównie polskiej literatury klasycznej, ofiarowano polskiemu liceum w Wilnie. Jak zwykle goście z Olsztyna już na progu byli serdecznie witani przez uczniów ubranych w stroje ludowe krakowskie i łowickie. Dla zziębniętych gości z Olsztyna (było wtedy -18°C i syberyjski wiatr) młodzież przygotowała półtoragodzinny koncert szkolnego chóru, po czym każdy został obdarowany własnoręcznie wykonaną słynną palmą wileńską. Na zakończenie wszyscy goście zaproszeni zostali na poczęstunek do świetlicy szkolnej, gdzie przy słynnych nalewkach wileńskich kosztowano regionalne specjały: pierogi, kartacze, cepeliny i ciasta. Pożegnaniom nie było końca...

Kilku uczestników wyprawy, w tym i autor reportażu, po wycieczce pozostało w Wilnie, gdzie spotkało się z pracownikami gazety polskiej Nasz Czas, na czele z redaktorem naczelnym czasopisma Ryszardem Maciejkiańcem. Omawiano aktualne niełatwe problemy polskiej mniejszości narodowej na Litwie.

Redaktor R. Maciejkianiec został zaproszony do Cieszyniaków MZC w Olsztynie oraz na uroczystości wmurowania tablicy pamiątkowej byłej Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Cieszynie, przeniesionej w 1950 r. do Olsztyna (obecnie Uniwersytet Warmińsko-Mazurski).

JANUSZ GUZIUR
MZC Olsztyn



Występ polskich dzieci



Goście z Olsztyna w świetlicy szkolnej w Ojranach (Litwa) Foto autor

ELEKTRONICZNY SŁOWNIK

31 marca br. w Książnicy Cieszyńskiej odbył się wernisaż wystawy Cieszyńskie biografie w ramach promocji Elektronicznego Słownika Biograficznego Śląska Cieszyńskiego, który został udostępniony w Internecie. Inicjatywa to bardzo cenna dla wszystkich zainteresowanych historią i współczesnością naszego regionu.

Z inicjatywy Książnicy Cieszyńskiej we współpracy z Biblioteką Regionalną w Karwinie i dzięki dofinansowaniu przez Unię Europejską zapewniony został nowoczesny sposób docierania do danych biograficznych. Internauci znajdą tu (dane będą na bieżąco uzupełniane) 5700 haseł dotyczących ludzi w jakikolwiek sposób związanych ze Śląskiem Cieszyńskim. Czerpano je z ponad 80 słowników polskich, czeskich i niemieckich, z których większość stanowiła eksponaty wspomnianej wystawy.

Wystawę przygotowały: Ewa Mrowiec i Anna Gojniczek. Redaktorami słownika i autorami folderu są Małgorzata Szelong i Janusz Spyra. W składzie redakcji słownika znalazły się także: Ewa Mrowiec, Jadwiga Picha, Jolanta Sztuchlik, Halina Mrowiec i Gabriela Hałas.

Baza danych Słownika dostępna jest na internetowej witrynie Książnicy Cieszyńskiej pod adresem www.kc-cieszyn.pl/biografie. W słowniku można szukać za pośrednictwem osób (nazwiska, imiona, pseudonimy, kryptonimy we wszystkich wersjach językowych), roku urodzenia, roku śmierci, miejsca urodzenia, miejsca śmierci, miejsca działalności, działalności, instytucji itp.

Sposoby te zostały zaprezentowane w ramach promocji. Dla nieposiadających Internetu Słownik ma zostać wydany w formie płyt CD.

To dopiero początek bardzo cennej inicjatywy i miejmy nadzieję, iż z czasem dane te będą się rozrastać, a badacze łatwiej i szybciej dotrą do potrzebnych im informacji.

(kaja)



Sponsorzy Festiwalu PZKO

TŘINECKÉ ŽELEZÁRNY

ENERGETIKA TŘINEC
AKCIOVÁ SPOLEČNOST

D5 AKCIOVÁ SPOLEČNOST TŘINEC

WALMARK®

Autel

unix®
KOMPLETNÍ ZPRACOVÁNÍ DOKUMENTŮ
spol.s r.o

SIEMENS

REFRASIL
S.R.O.

ACword

Autoservis Czudek s.r.o.

ŠKODA AUTO

Polski Związek Kulturalno-Oświatowy
w Republice Czeskiej

serdecznie zaprasza na

FESTIWAL PZKO 2005

pod patronatem honorowym:

Konsula Generalnego RP w Ostrawie
Rady Miasta Trzyńca

28 maja 2005
kompleks sportowy - ul. Leśna w TRZYŃCU

PROGRAM FESTIWALU

Imprezy towarzyszące:

10.00 - 12.00 koncert orkiestry dętej na ulicy Leśnej
11.00 Dom Kultury TRISIA
Wernisaż wystawy plastyków czwórki wyszehradzkiej

Stadion Zimowy:

13.00 hymny (czeski, polski), Gaude Mater Polonia
połączone chóry
13.30 przemówienia gości
13.50 blok programowy zespołów tanecznych,
solistów i młodzieży szkolnej
15.30 *przerwa*
18.00 Apogeum
19.15 Gimnastycy z Wędryni
20.00 LADY PANK

Estrada pod lasem:

12.00 zespoły dziecięce
14.00 młodzieżowe zespoły rockowe
17.00 Čučoriedky, zespół Gminy Słowaków
17.30 Kabaret Masztalskich
18.30 *przerwa*, muzykowanie kapel ludowych
22.00 dyskoteka M. Bartnickiego

Cena biletu wstępu 130 Kč lub 20 zł,
dzieci do lat 12 w towarzystwie rodziców - wstęp wolny



WACŁAW KOSTRZEWA

BIAŁE TANGO

Orkiestra gra białe tango
na parkiecie tańczą piękne kobiety
o słowiańskich rysach
mężczyźni tu nadal polują
kobiety łowią
przy bufecie łysy Toni
martini sączy
dziewczęta mówią o nim
że to prawdziwy mężczyzna
ma gruby portfel
i dynamit w spodniach

wszyscy tańczą ja nie tańczę

przy oknie zamroczona Ola
wystawiła piersi na licytację
zawiedziona pudruje nos
wczoraj zapłaciła sobą za siebie
i reszty jej nie wydano

wszyscy tańczą ja nie tańczę

ta blondynka obok
o nogach długich jak Rita H.
wiesza na mnie swe spojrzenie
grają białe tango

wszyscy tańczą
i ja z Ritą tańczę

KONIK BUJANY

Na strych dziadka
jak zawsze
ze spiżarni
drewniane schody
w rogu
drewniany kołowrotek
na kominie żółknie
portret babci
na gontach fajerwerki
w plewach stare buty
a obok konik bujany
ma siedemdziesiąt lat
dotykam go
on buja się
jak dawniej

PRAGNIENIE

Zamykam oczy moje
ale myśli zamknąć nie mogę
tam gdzieś moja Małgorzata
rozbiera się do snu
składa bluzkę na poręczy wieczoru
w łazience krople wody
całują jej piersi na dobranoc
znów twarz jej skserowałem
w kilku kopiach
ona usypia przy
otwartym balkonie
choć na chwilę
chciałbym być
księżycem

JESTEM CHŁOPCEM Z MAŁEGO MIASTECZKA

Jestem chłopcem z małego miasteczka
w kopalni już nie pracuję
z odległości kilometra
odróżniam kobietę od mężczyzny
nie jestem strasznym grzesznikiem
choć nieraz słyszę chichoty szatana
lubię Grecję i Hiszpanię i piwo tyskie
lubię słuchać „Dance me"
Leonarda Cohena
ostatnio czytam Hemingwaya i Harasymowicza
czasem nocą toczę pojedynek
z resztą świata
czasem piję wódkę ze zgryzoty
popołudniami podziwiam kobiety w parku
które nie noszą biustonoszy
jeszcze coś więcej wie o mnie mój pies

AUTOSTOPEM DO RZYMU

Autostopem do Rzymu... Normalnie taką wyprawę trzeba by zaplanować, zasięgnąć informacji, jak jechać, gdzie spać, jeść, jak się porozumiewać, skompletować sprzęt itd., jednak są takie sytuacje w życiu, kiedy jakoś wszystko wydaje się takie proste, a potrzeba zaplanowania i uporządkowania pewnych spraw jest nieodczuwalna....

Papież umarł. Moją pierwszą myślą było, że nareszcie już się nie męczy, że jest w niebie... No tak, a my tu na ziemi? Cóż, poradzimy sobie jakoś, przecież on jest teraz święty, można się do niego modlić, on to wszystko słyszy, widzi, jest u Boga.

Tak, a my tu na ziemi...

Studiuję w Krakowie, więc zaraz po śmierci Papieża brałam udział w mszach, pochodach, spotkaniach, które odbywały się w tym mieście, i to wszystko jakoś cały czas podsycało we mnie myśl, że nigdy go przecież nie widziałam żywego. Papież po prostu był i dużo mówił, ale to wszystko, co wiedziałam na ten temat. Nigdy nie byłam na żadnej pielgrzymce ani na spotkaniu z nim, nawet nie całkiem dokładnie wiedziałam, o czym mówił.

To było we wtorek 5 kwietnia, wykład z pedagogiki czasu wolnego dla studentów II roku turystyki i rekreacji w krakowskiej Akademii Wychowania Fizycznego, słoneczne popołudnie, rozpoczęłam cichą rozmowę z kolegą i ni stąd ni zowąd doszliśmy do wniosku, że następnego dnia rano jedziemy autostopem do Rzymu.

Środa, 5 rano, droga wylotowa z Krakowa na południe, spakowane śpiwory, przewodnik po Rzymie, trochę jedzenia, 50 euro, tabliczka z napisem Watykan i optymizm, że się uda. I udało się – z Krakowa prosto do Bratysławy, tam, czekając na następny samochód, stajemy się obiektem zainteresowania pewnej hiszpańskiej telewizji, która filmuje nas i prowadzi z nami krótką rozmowę. Dalej Wiedeń, wieczorna jazda przez Alpy, nocleg pod Wenecją u bardzo miłego kierowcy z Litwy, w tirze, a następnego dnia droga przez Padwę, Bolonię i Florencję w kierunku Rzymu. Pod Bolonią na parkingu spotkałam znajomych z liceum, a chwilę później z Krakowa, którzy też jechali do Rzymu. Z Florencji zabrał nas bardzo miły człowiek – George, który z pochodzenia jest Rumunem, jednak od wielu lat mieszka pod Rzymem w Tivoli, z żoną Ukrainką... jechaliśmy razem 4 godziny, po drodze mijało nas więcej samochodów z polską rejestracją niż włoskich,

rozmowa w języku ogólnosłowiańskim bardzo miło płynęła i w efekcie zostaliśmy zaproszeni do niego do domu na piątek wieczór.

I Rzym! Dojeżdżamy metrem pod Watykan, a tam Polacy i Polacy, polskie flagi i bardzo miła atmosfera. Dowiadujemy się, że możemy zanocować na trawce w okolicy Stadion di Olimpico, więc wybieramy się tam, rozkładamy śpiwory i zmęczeni zasypiamy otoczeni polskimi namiotami. Rano zauważamy kolegów z akademika... jak miło. Kierujemy się razem do Watykanu, ale postanawiamy nie wchodzić na Plac św. Piotra, ale zostać dokładnie u wrót Watykanu, przy telebimie. Msza pogrzebowa. Łzy lecą mi z oczu, kiedy widzę trumnę Papieża, wydaje mi się, że ona jest pusta, że jest tam tylko coś, jakaś rzecz, jakaś materia, bo Papież jest przecież w niebie i widzi to wszystko, nas...

Około godziny 14 zaczynamy zwiedzać Rzym. Łazimy po tym ogromnym mieście, które ma tyle zabytków, że trudno je wszystkie zapamiętać. Kończymy nasza kilkugodzinną wędrówkę pod Coloseum i jedziemy do Georga do Tivoli, do Villa Adrianna. A tam naprawdę czeka na nas nie tylko prysznic i łóżko, ale obfita kolacja i bardzo miła rozmowa do późnych godzin. Przekonani, że w sobotę rano skierujemy się na północ, chcemy położyć się spać, ale słyszymy, że jutro nie pojedziemy, że dopiero w niedzielę, że na pewno zdążymy.

I tak mija sobota, Tivoli, jeszcze raz pogrzeb Papieża na wideo, miłe rozmowy, jedzenie, a w niedzielę koło godz. 12 zostajemy odwiezieni na stację benzynową, skąd wszyscy jadą na północ. Jednak jest niedziela, więc schodzi nam godzina, zanim nas ktoś zabierze. Udaje się jednak wyśmienicie, kierowca z Sycylii wiezie pomidory do Austrii. I zabiera nas przez Asyż, Perugię, Wenecję na granicę austriacką. Częstuje nas jedzeniem z Sycylii, rozmowa (po niemiecku) bardzo miło się toczy. Jedziemy razem dziesięć godzin aż na granicę, a tam zaraz mamy transport dalej na północ. Grek jadący do Irlandii gorąco nas zaprasza, my jednak dochodzimy do wniosku, że we wtorek rano musimy już być na ćwiczeniach, więc w końcu wysiadamy o godz. 6 rano w Monachium. A stamtąd przez Salzburg, Linz, Czeskie Budziejowice do Pragi. Łazimy sobie po Pradze, która wydaje się być puściutka.

A dalej już... Kraków. Przejechaliśmy ponad 4000 kilometrów, zwiedziliśmy Rzym, Watykan, Florencję, Wenecję, Monachium, Salzburg, Pragę... i byliśmy na pogrzebie największego człowieka w naszej historii. Śmierć Papieża wpłynęła na nas wszystkich. Jadąc autostopem, poznawaliśmy ludzi różnych narodowości, różnych religii i o różnych poglądach. I nieważne, czy byli to muzułmanie, ateiści czy wierzący katolicy, dla każdego Papież był człowiekiem wielkim, godnym szacunku.

JOANNA RUDNIK

STRYJ TROJAKA KAICH ŻENI SIĘ

Pochodzący z Zaolzia Bogdan Trojak (ur.1975) jest znanym autorem należącym do młodszej części średniej generacji poetów. Jego pierwsze próbki poetyckie, w czasie nauki w Polskim Gimnazjum w Czeskim Cieszynie, zrealizowane zostały po polsku w almanachach „Łaski bez" (1993) i „Budka psa Burka" (1994). Debiutował po czesku tomikiem poetyckim „Kuním štětcem" (Brno 1996), który został pozytywnie przyjęty przez czeską krytykę. Następne zbiorki to „Pan Twardowski" (Brno 1998) oraz tom poezji i prozy „Jezernice" (Brno 2001). Obecnie mieszka Trojak z żoną Lenką i synem Kajetánem na południowych Morawach w Bořeticach, gdzie podobno uprawia winorośl. Dlaczego jednak nie pisze w swoim ojczystym języku?

Język najmłodszego pokolenia Polaków żyjących na Zaolziu, od przedszkoli po szkoły średnie, był przedmiotem badań Ireny Bogocz z Instytutu ds. Badań Polskiego Etnikum na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Ostrawskiego. Punktem wyjścia do badań językowych było określenie źródeł języka młodzieży cieszyńskiej. Z badań wynika, że język polskiej młodzieży tego regionu jednoznacznie wyraźniej powiązany jest z gwarą cieszyńską niż z językiem polskim, mimo że polszczyzna jest przez respondentów uważana za język ojczysty. Poprzez swój kod językowy, dialekt lokalny, odróżniają się młodzi Polacy z czeskiego Śląska Cieszyńskiego podczas wyjazdów do Polski od członków narodu, do którego się przyznają. Czeskie środowisko jest młodym Polakom z Zaolzia bliższe, co więcej, respondenci interesują się życiem w RC o wiele bardziej niż wydarzeniami w Polsce. Z używaniem na dłuższą metę standardowej polszczyzny mają problemy. Wyrażanie się w swoim środowisku w polskim języku literackim uważają za nienaturalne. Wyraz językowy najmłodszej generacji miejscowych Polaków będzie obecnie nadal pod wpływem ekspansywnego większościowego języka czeskiego, sądzi Irena Bogocz. Czeską twórczość Bogdana Trojaka można umotywować wyżej wymienionymi przyczynami językowo-asymilacyjnymi. Po czesku pisane utwory literackie średniej i młodszej generacji polskich autorów oceniane są przez własną (polską) krytykę w lepszym wypadku jako zmierzanie ku idei europejskości i jedności ogólnoludzkiej, w gorszym przypadku jako przejaw serwilizmu, jak w swoim referacie na konferencji w UAM w Poznaniu stwierdził Wilhelm Przeczek.

Pogódźmy się więc z tym, że także najnowszy zbiór wierszy Trojaka „Stryc Kaich se žení" (wyd. Petrov, Brno 2004) pisany jest po czesku. Należy do-

dać, że językiem pełnym wirtuozerii. Podstawy poetyki autorskiej rozpoznawalne były już w jego pierwocinie, a podstawowym znakiem rozpoznawczym stała się nowatorska metaforyka, wyczucie rytmu wiersza, ogólna elegancja słowa, mimo że autor posługuje się często egzotycznie dla czeskiego ucha brzmiącymi regionalizmami, wyrażeniami gwarowymi i interesującymi neologizmami (Trojak nie zaczął jednak pisać pod wpływem czeskiego poety Holana, którego lirykę cechowała również bogata metaforyka i liczne neologizmy, podzielałbym raczej pogląd, że Trojak z biblioteczki rodziców wybierał jako lekturę polskich romantyków, a być może i Leśmiana). Dlatego też i w swoim ostatnim tomiku występuje Trojak jako poeta pełen kultury stylistycznej, dysponujący bogatą leksyką i aż niebywałą u tak młodego autora wirtuozerią, z jaką opanował poetyckie rzemiosło.

Twórczość Trojaka wprawdzie zmienia się w czasie, kiedy autor zyskuje doświadczenie i ma za sobą więcej lektur, ale są to raczej zmiany tematyczne niż radykalne przemiany poetyki autorskiej. Stałą tematyczną jest dla poety kraj ojczysty, który przemierza przez stulecia. Jedynie w zbiorku „Pan Twardowski" pozwolił sobie na opuszczenie Śląska Cieszyńskiego i udał się w nieprzebadane gąszcza i labirynty bibliotek, by zdmuchnąć kurz z mocno romantycznego tematu polskiej poezji. Była nim opowieść o panu Twardowskim, jakimś polskim Fauście. (Podobny temat opracował także czeski parnasistyczny poeta Jaroslav Vrchlický w poemacie „Twardowski", 1885.) Oprócz dialogu Twardowskiego z Borutą warto ze zbiorku „Pan Twardowski" wymienić dialog Dedala z Korą w części „Gutský Daidalos". Tutaj chodzi już o pewną transformację antycznego mitu nie tylko w mit śląski, ale wręcz lokalny - gucki.

Podmiot liryczny Trojaka w ostatnim zbiorku przemierza ziemię ojczystą w różnych stuleciach. Poeta czerpie ze źródeł piśmiennictwa ludowego i zarazem z twórczości na wpół ludowej. Pomogło tu Trojakowi bezsprzecznie doświadczenie związane z redagowaniem wędryńskiego pisma Weles, w którym znajdujemy twórczość lokalną - opowieści, pieśni, baśnie, historyjki. W tomiku prateksty tego typu stylizuje Trojak na język poetycki, w czym poniekąd przypomina innego czeskiego poetę Miloša Doležala, dla którego podobną inspirację stanowią lokalne historyjki z Vysočiny. Ludowe tworzywo przeplata następnie własnymi wspomnieniami, przypomnieniami, przeżyciami i ta ogólna anamneza dzieciństwa i młodości poety formowana jest z niewiarygodną wprost suwerennością w różne gatunki i style - raz pieśni, raz prozę, raz wiersz wolny, innym razem wiązany. Trojak zapewne chce tym zbiorkiem dotrzeć nie tylko do własnych korzeni, ale usiłuje odpowiedzieć na pytanie, co właściwie miał z tym wszystkim wspólnego Bóg, ten *szczupły, wysoki, siwowłosy dziad z żelaznym pionem zawieszonym na długiej brodzie (štíhlý, vysoký, šedovlasý děd se železnou olovnicí zavěšenou na dlouhé bradě).*

Tomik nosi podtytuł „memorabilia" (co odpowiada), ale też „kameralne horrory" (co pasuje już mniej). Najbardziej podobny do horroru jest pewnie

wiersz „Něco" (parafraza ballady Juliusza Słowackiego, 1832), lecz chodzi przecież o „parafrazę", o intertekstowe nawiązanie do - powiedzmy - budzącego grozę pratekstu. Ciaski nie przeszły mi po skórze. Próba Trojaka wydaje mi się raczej nieco komiczna. Co z romantycznym inwentarzem (omal nie napisałem rupieciami) na początku XXI wieku? Jeśli nawet śliczna adeptka w finale Miss Universe zwierza się, że najbardziej lubi nowoczesne horrory? Tutaj Trojak trochę nie nadąża za estetycznym horyzontem oczekiwań czytelników, tak więc może następnym razem i inaczej. Tomik działa bardzo rozluźniająco, od czasu do czasu elegijnie, niekiedy idyllicznie, poeta zamknął się w arkadyjskim środowisku dzieciństwa, gdzie dobrze się czuje. Będzie tam dobrze także czytelnikowi, który od Trojaka dziś może ani niczego innego nie oczekuje. Żaden traumatyzm, ani opętanie czy żądza (znów w odróżnieniu od romantyków!) nie przenikają wyraźnie na powierzchnię wierszy. Czy to jednak w wypadku Trojaka, laureata nagrody Ortena za poezję, wystarczy? Na to pytanie musi już sobie czytelnik i poeta sam odpowiedzieć.

LIBOR MARTINEK
Tłum. M.R.

CZESKI SPOSÓB FAŁSZOWANIA PRAWDY

Czeski w tym wypadku, o którym za chwilę, ale także polski w innych wypadkach. Czytając niedawno wspaniały „Dziennik" wybitnego węgierskiego pisarza (emigracyjnego) Sándora Márai (1900-1989), urodzonego w Kassie, czyli obecnych Koszycach, natrafiłem na tekst, który pragnę tu przytoczyć, ponieważ ilustruje dawne socjalistyczne metody fałszowania historii, które zresztą dziś jeszcze miejscami pokutują w myśleniu i pisaniu niektórych nacjonalistów. Przepraszam za obszerny cytat, ale on najbardziej właściwie odda te sprawy, o jakich pisał wówczas siedemdziesięcioczteroletni pisarz w Stanach Zjednoczonych.

Poczta przynosi książkę, jej tytuł: „Košice". Znajduje się w niej dwieście dwadzieścia jeden fotografii, niektóre barwne, wszystkie bardzo ciekawe. Wydała ją Edicia obrazových publikacii. Fotografie poprzedza słowackie słowo wstępne. Ten pięknie wydany, starannie zaprojektowany i wykonany album ukazał się w 1973 roku. Kartkuję książkę i pojawiają się fragmenty znajomych ulic, fasad budynków, wspomnienia rodzinnego miasta, fatamorgany dzieciństwa. Wspaniała katedra, której renowację przed dwoma

stuleciami wspomagali przodkowie mego ojca. Gotyckie, renesansowe, barokowe fasady domów, bramy i podwórka śródmiejskiej części miasta. Pokoje o łukowych sklepieniach, w jakich mieszkaliśmy. Ratusz Miejski i Urząd Komitacki, wyważona w proporcjach szlachetność linii Domu Lewoczańskiego, rozwijający się przez stulecia według wewnętrznej logiki miejski organizm - wszystko to ukazuje się na kartach książki. Jakże szlachetne było to miasto! Jak bardzo było miastem, Urbs, siedzibą patrycjatu - i jak rzadko spotykało się takie miasto na Węgrzech! Czesi nie mieli żadnego udziału w budowie Kassy. Te domy budowali przez wieki mieszkańcy miasta - Węgrzy i zmadziaryzowani spiscy osadnicy niemieccy, których nazywano Cipserami. I ludzie, którzy urodzili się tu, w cieniu gotyckiej katedry, byli „mieszczanami" w inny sposób niż gdziekolwiek indziej na Węgrzech - pozostawali w swej patrycjuszowskiej formie życia bardziej zamknięci niż ziemianie czy arystokracja. Byli patrycjuszami i nie chcieli być niczym więcej ani udawać nikogo innego. Rodzili się i umierali w tej gotyckiej, renesansowej i barokowej scenerii. Mieli inny sposób myślenia, Kassa była „inna". A teraz wydany w 1973 roku album fotograficzny przedstawia to piękne węgierskie miasto tak, jakby jego twórcy, Węgrzy i Cipserzy, nigdy tu nie mieszkali. Jakby to arcydzieło, w którego powstaniu czeska umiejętność budowania miast nie miała przez stulecia żadnego udziału, wszak nie było ich w mieście ani śladu - była dziełem czeskim! Propaganda czeska - od 1919 roku stale, nawet w 1973 roku - pokazuje Kassę w taki sposób, jakby Košice były dziełem i osiedlem Czechów i Słowaków. Kłamstwo ukrywa węgierski charakter miasta, w książce nie wspomina się ani słowem o tym, że Kassa była przez stulecia jednym z ośrodków węgierskich walk o wolność. Przemilcza się, że grób Franciszka Rakoczego znajduje się w Katedrze, nie nadmienia się, że „obywatele Kassy" przeciwstawili się oligarchom. Nic nie mówi się o węgierskich pisarzach i poetach, którzy tworzyli w tym mieście i pisali po węgiersku w czasach, gdy Czesi i Słowacy nie mieszkali nawet w okolicach miasta. Fotografia przedstawia tablicę pamiątkową „pisarzy słowackich" R. U. Podtatranskiego i J. Záborskiego jako literackich znakomitości Kassy, ale nie podaje ani jednego nazwiska pisarza węgierskiego spośród tych, którzy tu się urodzili i tworzyli. Ten cyniczny przykład fałszowania historii jest czymś wyjątkowo rzadkim nawet w pełnych fałszerstw powojennych archiwach czeskiej propagandy. Niebezpieczni polityczni szulerzy europejscy, Beneš i jego potomkowie, agenci czeskiej propagandy, za pomocą tego albumu fotograficznego starali się oszukać świat, twierdząc, jakoby Kassa była dziełem Czechów. Ale Czesi nie mają nic wspólnego z tym miejskim arcydziełem. Wszystko, co doń dodali, to to, że niedawno z ulicy Głównej zrobili cygański gościniec i obudowali miasto koszmarnymi betonowymi domisz-

czami, zasiedlając w nich napływową ludność czeską i słowacką, której zadaniem jest zatrzeć węgierski charakter miasta. Gwałt, jaki ta książka zadaje prawdzie na oczach świata, sprawia mi taki ból jak nieoczekiwanie wymierzony cios.

No cóż, potrafimy chyba zrozumieć gorycz człowieka, któremu historia zabrała nie tylko rodzinny dom i miasto, ale także jego węgierskość, co dla pisarza węgierskiego w tym wypadku jest bardzo bolesne. Znamy się co nieco na tym, tego rodzaju praktyki są typowym przejawem nacjonalizmu i komunizmu, które swe „prawdy" zawsze budują na micie i fałszerstwie, a mity także można fałszować i przystosowywać do własnych potrzeb. Zresztą Słowacy, bo w tym wypadku bardziej o nich chodzi, po dziś dzień mają z tym kłopoty. W roku ubiegłym ukazała się w wydawnictwie Region Poprad (autor inż. Július Cmorej, redakcja inż. Bronisław Ondraszek i PhDr Eva Potočná) wartościowa publikacja, album starych widokówek „Bratislava svedectvo historických pohľadnic - Pressburg Zeugnis historischer Ansichtskarten - Rozsony régi képeslapok Tanga", którą jednak słowackie ministerstwo kultury odrzuciło, nie zamówiło, bo zdaniem jego pracowników nie będą zmieniać historii... W czym rzecz? W tym naturalnie, że stare widokówki wyraźnie wskazywały, kto tu dawniej żył, budował i drukował te widokówki...

Swoją drogą ciekawe, co obecnie Słowacy zrobią, kiedy Sándor Márai został dla naszego świata odkryty, jego książki ukazują się po polsku, po czesku, nie wiem, czy także po słowacku, i na pewno o Kassie-Koszycach mówią, chociażby tylko we wspomnianym tu „Dzienniku"? Przyznają, że Koszyce były dawniej węgierskie i zbudują ich słynnemu rodakowi pomnik, czy nadal będą chować głowę w piasek jak struś?

Dlaczego o tym piszę? Bo niestety nas także tak często traktowano i czasami nadal się traktuje. Po prostu, pisząc o tym regionie, pomija się jego polskie korzenie, a jeżeli my się o te korzenie upominamy, oskarża się nas o nacjonalizm - a nacjonalizmem właśnie jest tamto przemilczanie i tym samym fałszowanie prawdy historycznej. Fałszowaniem historii i przejawem ignorancji oraz nacjonalistycznych skłonności jest także negowanie w tym regionie dwujęzyczności.

U nas już ukazują się publikacje, w których autorzy w sposób obiektywny piszą o przeszłości tego regionu, a więc dostrzegają jego polską przeszłość, chociaż jeszcze nie wszyscy to zrozumieli i nadal piszą buble historyczne, fałszujące przeszłość. Jednak centralne wydawnictwa nadal starają się o nas nie wiedzieć. Chociażby przewodniki turystyczne itp.

KAZIMIERZ JAWORSKI

PASJA DZIAŁANIA

Kazimierz Wyszomirski (1902-1965), pochodzący z Warszawy nauczyciel, publicysta, działacz ruchu ludowego, był założycielem i wieloletnim prezesem Spółdzielni Turystyczno-Wypoczynkowej Gromada, organizatorem wielu stowarzyszeń wiejskich, spółdzielni zdrowia, oświaty rolniczej, wychowawcą młodzieży. Uważany jest za prekursora turystyki ludowej. Koleje jego życia opisane zostały w książce zatytułowanej „Pasja działania", opracowanej przez Stanisławę Jarecką-Kimlowską, wydanej przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą w Warszawie w 1970 roku.

Książkę tę przyniosła do naszej redakcji pani Wanda Klimek. Poznała jej bohatera kiedyś przed laty w Karlowych Warach. Kiedy Kazimierz Wyszomirski usłyszał, że ma do czynienia z mieszkanką Zaolzia, ucieszył się bardzo i opowiedział o swym sentymencie do tego regionu.

Publikacja zawiera szkic biograficzny, wspomnienia o Kazimierzu Wyszomirskim oraz artykuły. Dokładna lektura książki pozwala na znalezienie fragmentów o Śląsku Cieszyńskim i ludziach tu żyjących.

Pierwszy fragment mówi o rocznym pobycie Kazimierza Wyszomirskiego w Cieszynie:

W jesieni 1929 r. wyjechał do Cieszyna, gdzie wstąpił do Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego na roczne Studium Instruktorsko-Nauczycielskie. Zawsze czynny i tu nie ograniczał się tylko do pogłębiania własnych wiadomości. W Kole Polskiej Akademickiej Młodzieży Ludowej w Cieszynie od razu dał się poznać jako człowiek, który w każdych okolicznościach potrafi działać społecznie i znaleźć kontakt ze wsią. Jako działacz o lewicowych poglądach miał tutaj starcie „zbrojne" na krzesła z korporantami - skrajnie prawicową młodzieżą endecką. Na szczęście obeszło się bez poważniejszych obrażeń cielesnych.

Koło PAML w Cieszynie, korzystając z możliwości uzyskania przepustek turystycznych (1 złoty od osoby) dających możliwość poruszania się w obrębie 40 km na terenie Czechosłowacji, organizowało wycieczki na drugą stronę Tatr. Od tamtej pory datują się kontakty Wyszomirskiego ze wsią czechosłowacką.

Koło PAML w Cieszynie skupiało w swych szeregach w tym czasie młodzież studencką, poczynając od ludowców, a kończąc na komunistach.

Okres pobytu Wyszomirskiego w Cieszynie - to początek największego rozkwitu Koła PAML. Organizacja ta, licząca wtedy około 100 członków, rozwinęła szeroką działalność na uczelni, w mieście i na wsi, po obu stronach

granicy. W pracy tej najczęściej można było zobaczyć bardzo nam bliskiego, starszego i doświadczonego w działalności społecznej K. Wyszomirskiego.

Największą imprezą w czasie pobytu K. Wyszomirskiego w Cieszynie było zorganizowanie dwutygodniowej wycieczki do Danii. Uczestniczyli w niej głównie pracownicy oświaty rolniczej z całej Polski w liczbie 104 osób. Wśród uczestników największą grupę stanowiły słuchaczki Seminarium dla Nauczycielek Szkół Rolniczych w Sokołówku i nauczyciele szkół powszechnych z kursu społeczno-rolniczego w Brodach. Z funduszy, jakie na ten cel zebraliśmy, mogliśmy zapewnić bezpłatny udział w wycieczce niezamożnym kolegom, a nawet stworzyć zaczątek naszego organizacyjnego funduszu stypendialnego.

Wycieczka ta była ostatnim akcentem owocnego wkładu pracy K. Wyszomirskiego w działalność koła PAML. Wkrótce potem opuścił on Cieszyn. Żałowaliśmy, że tak krótko był z nami. Pamięć o nim pozostała na długo wśród wszystkich, którzyśmy z nim współpracowali.

Kolejny fragment pochodzi ze sprawozdania Kazimierza Wyszomirskiego z wycieczki zorganizowanej przez Komisję Rolną Centralnego Związku Młodzieży Wiejskiej w 1927 roku:

W Cieszynie, dokąd przybyliśmy nad wieczorem, spożyliśmy kolację, podczas której jedna z koleżanek obraziła się śmiertelnie na kierownika wycieczki o to, iż powiedział jej, że ona jest najsmutniejsza i należałoby ją sfotografować. Postanowiła więc opuścić nasze grono wycieczki, ale dzięki perswazjom pozostała.

Dnia 3 lipca o 4 rano wyjechaliśmy autami do wzorowego majątku w Kostkowicach. Tam zwiedziliśmy dobrze urządzoną chlewnię, hodowlę bydła i dobrą robotę w polu. Mogliśmy się też przekonać o wartości mleczarni, zjadając dobry ser i masło, popijając mleczkiem przy śniadaniu.

Wracając z Kostkowic, spotkaliśmy w lesie orkiestrę miejscową, która przygrywała na zabawie. Nie pozostaliśmy nieczuli na tony muzyki. Puściliśmy się w pląsy, które jednak krótko trwały, bo trzeba było odjeżdżać. Rano na drugi dzień byliśmy już na ziemi czeskiej. W Cieszynie czeskim zwiedziliśmy biura Towarzystwa Rolniczo-Handlowego Ziemia, prowadzonego tylko przez Polaków, oraz mleczarnię mechaniczną. Przekonaliśmy się, co można wyrabiać z mleka.

Wiedzieliśmy, że mleko daje się suszyć na proszek, ale nie przypuszczaliśmy, że można z niego wyrabiać cygarniczki, łyżeczki itp. Z mleczarni udaliśmy się do wzorowych gospodarstw rolnych Polaków po stronie czeskiej. W Żukowie Dolnym pierwsze gospodarstwo zwiedziliśmy u p. Zieliny. Właściciel ten obecnie posiada 4 morgi ziemi, które stanowią sad, a w nim wa-

rzywa i kwiaty. Posiadał on dawniej 7 morgów ziemi, lecz część sprzedał, dowodząc, że nie wydołałby w pracy.

Pan Zielina mieszka zamożnie, ma 4 pokoiki ślicznie umeblowane, całą masę pism codziennych i fachowych, a w jedzeniu nie szczędzi sobie jaj i mięsa. Wzruszające było przemówienie gospodarza, którego słowa, jako obywatela czeskiego - Polaka, muszą nam długo pozostać w pamięci, gdyż uczą one nas, jak kochać swój kraj. Jeszcze bardziej wzruszające było przywitanie wójta, p. Matuli, który płakał ze wzruszenia.

Byliśmy bardzo serdecznie przyjmowani przez naszych braci w Czechosłowacji. Witano nas jak swą rodzinę, której się dawno nie widziało. Przy obiedzie wydanym w Sibicy na nasz przyjazd p. Lipa ze swą małżonką zaczęli śpiewać „Jeszcze Polska", co zaraz podchwyciliśmy i śpiewaliśmy bez końca różne piosenki, a wreszcie „Sto lat". Miłe to były chwile tego posiłku w tym serdecznym nastroju naszych gospodarzy.

Z Sibicy udaliśmy się do Końskiej, zwiedzając kilka drobnych gospodarstw. Po zwiedzeniu szkoły gospodarstwa kobiecego zaproszono nas na wino, gdzie w szerszym gronie działaczy społecznych tamtejszego społeczeństwa spędziliśmy miłe chwile. Pan Buzek na pożegnanie przemówił do nas serdecznie, prosząc, byśmy pamiętali, że i tu są Polacy, którzy myślą o Polsce.

Ostatni fragment nie dotyczy bezpośrednio Zaolzia, ale znalazł się w książce o Kazimierzu Wyszomirskim wśród przedruków prasowych na temat wsi polskiej i organizacji rolniczych. Pochodzi z 1935 roku.

KOBIETY CZESKIE A POLSKIE

Jeżeli chodzi o robotę społeczną i gospodarczą, to o kobietach zwykło się u nas mówić lekceważąco. Jest ogólne przekonanie, że kobieta wiejska nie jest w stanie nic twórczego zrobić. Czechosłowacka kobieta wiejska zdaje sobie całkowicie sprawę z tego, że bez jej pomocy w pracach gospodarczych, politycznych czy oświatowych ciężko byłoby coś na dłuższą metę wypracować.

Przy Republikańskiej Stranie (Stronnictwie Ludowym) została utworzona Sekcja Kół Gospodyń Wiejskich (Odbor Venkowskich Žen). W całej Republice Czechosłowackiej na terenie wsi nie ma innej organizacji gospodyń wiejskich, jak tylko Odbor Venkowskich Žen. Obecnie liczba członkiń wynosi około 75 tysięcy.

Program Venkowskich Žen nakreśla prace: oświatę, higienę, gotowanie, spółdzielczość, szycie, hodowlę, uświadomienie polityczne, walkę z alkoholizmem itp. Dla tych celów Republikańska Strana utrzymuje w centrali 4 inspektorki oraz Ministerstwo Oświaty opłaca jedną instruktorkę do spraw ogólnych.

Odbor Venkowskich Żen organizuje całą masę kursów, poświęconych gotowaniu, przetworom owocowym, szyciu, pielęgnowaniu dzieci itp. Oczywiście, że owych 5 inspektorek nie jest w stanie wykonać tego ogromu prac, przeto wykonanie tych prac spada najczęściej pod względem fachowym na żeńskie szkoły rolnicze. Szkoły te swoimi siłami przeprowadzają krótsze czy dłuższe kursy, czy też odczyty, służą tak ludowi swojej okolicy.

W organizacjach wiejskich są nie tylko te kobiety, które siedzą na wsi, lecz dużo też jest tych, które wyszły za mąż do miasta. Tutaj muszę powiedzieć, że czechosłowacka kobieta, im większe ma wykształcenie, im jest większą „paniusią", tym więcej czuje się ze wsią związana. Nie wstydzi się tego, że dawała świniom żreć, czy też, że krowy doiła.

Dla przykładu opowiem takie zdarzenie.

Jeżeli się studiuje, to trzeba poznać wszystko. Nie mogłem więc nie ulec namowom, żeby, będąc w Pradze podczas karnawału, nie pójść na tak zwany bal. Już na sali spotkałem jednego z panów, który w zastępstwie ministra rolnictwa Czechosłowacji był u nas, w Polsce, na Kongresie Rolniczym, a miałem szczęście pokazywać mu wiciowe konkursy rolnicze w Witkach, w pow. błońskim, i w Retkach, w pow. łowickim. Znajomy mój przedstawił mnie swojej żonie, no i zaraz - w tany. Walczyk dość długo był grany, przeto prowadziliśmy wzajemną rozmowę. Jak się to złożyło, dość, że - o zgrozo, na nasze wielkomiejskie stosunki! - opowiadaliśmy o hodowli prosiątek, o kulturze wiejskiej itp. Kiedy ją zapytałem w trakcie rozmowy, skąd ma tak dobre wiadomości o wsi, p. doktorowa, wysokiego dygnitarza żona, mówi mi: „Ja, pane inspektore, jsem selska dcera. (Jestem chłopska córka)".

Podobnych przykładów później spotykałem co niemiara. Ale jeszcze jeden przykład z pobytu mojego na wsi u jednej z wiejskich rodzin.

Przyjechał tu do rodziców syn z żoną. Syn jest doktorem weterynarii. Gdy przyjechali, była akurat pora dojenia krów. I co widzę? Pani doktorowa momentalnie odbiera szkopek teściowej, zakłada łapcie na nogi i duży fartuch na siebie, siada pod krową i doi.

Mógłbym podać przykładów więcej, ale i tych wystarczy, by przekonać, jak tutejsza wieś potrafi wychować swoje dziecko.

One się nie wstydzą swego pochodzenia. Dziecko chłopskie z wykształceniem przy każdej okazji mówi, że ze wsi pochodzi.

Do jakich smutnych wniosków przychodzi się, porównując nasze stosunki. Np. tacy księża czy nauczyciele po wsiach. To przecież w 90% ludzie ze wsi! A co dla tej wsi robią, czy się czują jej synami? Niestety, najczęściej nie! A jak dziś całą siłą pary pracują najczęściej przeciwko wsi, otumaniając ją politycznie.

Temu się jednak trudno dziwić, bo przecież przy wychowaniu przez samych

rodziców dawane im było tylko gorące serce i potem zapracowany chleb, lecz nie dane było dzieciom uświadomienie polityczne i społeczne. Nic dziwnego, że jeżeli rodzice byli nijacy, to i dzieci ich stają się często nawet szkodliwymi dla swoich braci wsiowych.

I dlatego twierdzić można, że ważniejsze nawet niż wykształcenie jest takie wychowanie dziecka, by czuło ono po chłopsku, by miało swoją godność osobistą i charakter.

A któż tego może dokonać?

Chyba nikt lepiej niż matka nie potrafi wpoić gorącej miłości i przywiązania do Ziemi-Karmicielki.

Odbor Venkowskich Žen jest jedną z najważniejszych organizacji, przez którą wieś czechosłowacka zdobyła ster swojej demokratycznej Republiki. Czas byłby, by i nasze kobiety nabrały więcej odwagi i wzięły się do organizacji, do pracy nad sobą, do uświadomienia swoich dzieci o tym, że ich miejsce jest nie w „zielonych", „siewowych", „strzeleckich" czy „patronackich" organizacjach, lecz w swojej własnej szczerze ludowej organizacji młodzieży wiejskiej - w Wiciach i w samodzielnych kołach gospodyń.

Jeżeli do współpracy z mężczyznami nie staną kobiety wiejskie, to zamiast wychowawcy będziemy mieli nahajkę i policjanta, zamiast szkół - więzienie, zamiast wolności - niewolę!

Opr. C.R.

POLEMIKI

MITU CIĄG DALSZY, PRAWDA JEST PRZEMILCZANA ODPOWIEDŹ NA POLEMIKĘ KAZIMIERZA KASZPERA

W Zwrocie nr 3/2005 doczekałem się polemicznej odpowiedzi dr. Kazimierza Kaszpera na „Przemyślenia nad wynikami konkursu poetyckiego O Skrzydło Ikara" (Zwrot nr 2/2005). Wypowiedź Kaszpera to, jak się obawiałem, zbiór półprawd i całkowitych kłamstw, do tego insynuacji osobistych. Ale od początku.

1. To nieprawda, że w sali Domu Polskiego Żwirki i Wigury przebiegła dyskusja na temat znaczenia konkursu w życiu literackim Czech, czyli w czeskiej literaturze. Mówiono tu tylko i wyłącznie o znaczeniu polskim i zaolziańskim. Nie wziąłem udziału w dyskusji, nie mając po wystąpieniach niektórych mówców, których przyczynki nie były związane z tematem dyskursu lub mówiły o sprawach dla mnie odległych, ani ochoty, ani odwagi. Nieprawdą jest również, że Czechy, czyli czeską litera-

turę, reprezentował tylko Libor Martinek, jako że już od momentu składania kwiatów pod pomnikiem lotników uczestniczył w programie także nagrodzony w konkursie poeta Karel Vůjtek.

2. W swoich przemyśleniach nie sformułowałem tak ostrej opinii, jakoby z winy Koła Cieszyńsko-Zaolziańskiego GTL, a zwłaszcza jego prezesa K. Kaszpera dosłownie *finalna edycja legła w gruzach.* Niemniej faktem jest, że strona polska nie wykorzystała wsparcia finansowego Urzędu Wojewódzkiego w Ostrawie na sumę 15 000 koron, a K. Kaszper nie zareagował na apel prezesa Oddziału Ostrawskiego Gminy Pisarzy doc. Urbanca, aby to uczynić. Na odwrót, polemizujący ze mną przez przytaczanie szczegółów rozmów z urzędnikami Urzędu Wojewódzkiego de facto, a właściwie i de iure potwierdza to, co już zostało powiedziane! Ignorował przez cały czas tę szansę, a winę za swoją nieudolność zrzuca wręcz na wymienionego prezesa.

(...)

5. Jeśli chodzi o zatrute rzekomo strzały, którymi mierzyłem w Kaszpera, dziwne, że znajduje jakieś wady w mojej etyce dziennikarskiej. Oczywiście, że moja polemika pojawi się w innych pismach, ale na nie także Kaszper może reagować! Nie zakładałem jednak żadnej maski, ponieważ tak samo jak ja zachowaniem mojego oponenta oburzeni byli także inni członkowie zarządu Ostrawskiego Oddziału GP. Tak, my naprawdę uczyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy, jeden niekompetentny członek Gminy Pisarzy ze Śląska Cieszyńskiego zignorował oferowaną pomoc. Z tego powodu wyraziłem swój szczery żal. Swoje łzy właściwie może sobie otrzeć jedynie sam pan Kaszper, który nie odpowiedział na inne moje zarzuty, dotyczące: a) składu narodowościowego jury konkursu, b) niewyważonej ilości zaproszonych gości honorowych z czeskiej strony, c) praktycznie żadnej popularyzacji konkursu w czeskich mediach, nawet specjalistycznych, zajmujących się literaturą, d) bardzo wątpliwej koncepcji antologii prac konkursowych, e) włączenia polskich tekstów (młodej - sic!) polskiej poetki Hanny Rybickiej do czeskiej części konkursu.

6. Następny zarzut K. Kaszpera dotyczył przebiegu poprzednich roczników konkursu. Poprosiłem JUDr. Šuleřa, aby w imieniu Gminy Pisarzy wypowiedział się w sprawie uczestnictwa w konkursie w przeszłości. Niemniej jednak sytuacja w ośrodkach literackich w RC jest od dłuższego czasu gorsza niż w Polsce, a jeśli inicjatywa wychodzi z czeskiej strony - jak w wypadku międzynarodowego spotkania pisarzy w Luhaczowicach - strona polska partycypuje w niej zawsze tylko symbolicznie, np. za pośrednictwem Instytutu Kultury Polskiej w Pradze.

(...)

8. K. Kaszper ma ewidentne urojenia, kiedy myśli, że chodziło mi o dyskredytację jego osoby. Na odwrót, z Kazkiem zawsze łączyły mnie dobre stosunki. To on zajął się redakcją mojego dwujęzycznego tomiku wierszy „Co patří Večernici - Sekrety Gwiazdy Wieczornej" i do tej pory nie było między nami konfliktu, nigdzie go nie oczerniałem. To ja zaproponowałem członkostwo dr. Kaszpera w Gminie Pisarzy i napisałem opinię o jego twórczości literackiej. (...) Jeśli Kaszper zna tak dobrze moją pracę publicystyczną i naukową, jak twierdzi, mógłby wiedzieć i to, że do tej pory

nie spotkała się z krytyką za brak obiektywizmu czy nieścisłość metodologiczną ani z polskiej, ani z czeskiej strony. Moja wina jest tylko tego rodzaju, że nie poświęcałem dotychczas Kaszperowi i jego przyjaciołom w jego mniemaniu większej uwagi jako krytyk, i to nawet w zbiorze swych opracowań „Polská literatura českého Těšínska po roce 1945" (Opava, Slezská univerzita 2004), który doczekał się pozytywnych opinii (m.in. od prof. Iva Pospíšila, prof. B. Bakuły, dr. Hansa-Christiana Trepte i innych) i nie został podważony żaden z jego elementów (recenzentami książki byli prof. J. Damborský, doc. I. Bogocz i doc. P. Poslední). Lecz zajmowałem się dokładniej twórczością H. Jasiczka, W. Przeczka i R. Putzlacher. W roku bieżącym otrzymałem grant Uniwersytetu Śląskiego na książkę na temat polskiej poezji czeskiego Śląska Cieszyńskiego po roku 1920, w której poświęcę poecie Kaszperowi sine ira et studio zdecydowanie więcej należnej mu uwagi niż do tej pory. Oddałem także na brneńskiej slawistyce monograficzną, komparatystycznie ujętą pracę doktorancką o polskiej literaturze Zaolzia po drugiej wojnie światowej. O wynikach egzaminu doktoranckiego dowie się dr Kaszper jako pierwszy. (...)

Zaś metafizyczną problematykę „dobra" i „zła" zostawię na inną okazję.

LIBOR MARTINEK, Ph.D.

Tłum. M.R.

AUGUSTYN ŁUKOSZ (1884-1940)

Wybitny działacz społeczny, polityczny i narodowy, urodził się 17 sierpnia 1884 roku w Stonawie, po zawarciu małżeństwa z Teresą z Szewczyków przenosi się na stałe do Łąk n/Olzą. W Stonawie ukończył trzyklasową polską szkołę ludową. Dalsze kształcenie zdobywał wyłącznie jako samouk.

W wieku 15 lat rozpoczyna pracę w kopalni Gabriela jako tacznik (ślepер). W kopalni nie pracował długo. Bardziej odpowiadała mu praca na kolei koszycko-bogumińskiej, gdzie po odbyciu służby na niższych stopniach doszedł do funkcji zwrotniczego na stacji w Łąkach n/Olzą. Po wybuchu I wojny światowej został zmobilizowany i wysłany na front wschodni, gdzie osiągnął szarżę starszego sierżanta, najwyższy stopień, który jako żołnierz bez wykształcenia średniego mógł otrzymać, oraz 3 odznaczenia za waleczność.

Po ukończeniu zawieruchy wojennej Augustyn Łukosz rozpoczyna aktywną działalność społeczną, polityczną i narodową. Wywodził się ze środowiska robotniczego i od wczesnej młodości pochłaniały go nowe idee socjalistyczne w walce z kapitalistycznym uciskiem i wyzyskiem. Współpracuje ściśle z cenionym działaczem robotniczym Alojzem Bonczkiem ze Stonawy. W ruchu socjalistycznym pełnił wysokie funkcje we władzach powstałej w 1921 roku Polskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej jako przewodniczący i zastępca przewodniczącego. Równocześnie należał do założycieli i głów-



Augustyn Łukosz



Teresa Łukosz

nych działaczy Polskiego Stowarzyszenia Oświatowo-Gimnastycznego Siła. Był współpracownikiem Robotnika Śląskiego, a z ramienia PSPR działał również w miejscowych organach samorządu terytorialnego, m.in. jako zastępca burmistrza.

Duże zasługi ma w polskim ruchu spółdzielczym. Był członkiem Rady Nadzorczej Centralnego Stowarzyszenia Spożywczego w Łazach, członkiem Spółdzielni Spożywców w Stonawie i Konsumu Kolejarzy w Czeskim Cieszynie. Z jego inicjatywy założono Kasę Raiffeisena w Łąkach, walnie przyczynił się do elektryfikacji wsi i założenia cmentarza. Razem z żoną Teresą ofiarnie pracowali w Rodzinie Opiekuńczej i Macierzy Szkolnej.

Boleśnie przeżywał kryzys w łonie kierownictwa PSPR. Stanął na czele nurtu prawicowego, lansowanego przez Konsulat RP w Ostrawie. Większość kierownictwa PSPR z E. Chobotem i J. Badurą na czele była za ścisłą współpracą z czeską partią socjaldemokratyczną. Łukosz, wykluczony w sierpniu 1934 r. z PSPR, założył wraz z innymi Polską Partię Socjaldemokratyczną, której trzonem stała się miejscowa organizacja PSPR w Łąkach oraz założył organ partyjny Naprzód, wychodzący od marca do lipca 1935 roku. Nieco później partia PPSD weszła w skład Polskiego Stronnictwa Ludowego.

Po tych wydarzeniach był Łukosz prześladowany przez władze państwowe. Był trzykrotnie przeniesiony w głąb Czech, powracał, lecz po raz czwarty musiał przyjąć pracę zwrotniczego na stacji w Przerowie. Tym razem nie po-

mogła ani interwencja posła Leona Wolfa. W związku z dojazdami do Łąk za rodziną nabawił się rwy kulszowej (ischiasu) i przeszedł w 1937 roku na emeryturę.

Po przyłączeniu Zaolzia do Polski z nową energią rozpoczyna swą aktywność polityczno-narodową. Na podstawie dekretu prezydenta RP został mianowany 23 października 1938 r. posłem do Sejmu Śląskiego. Doczekał się również uznania, otrzymał Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi oraz Krzyż Oficerski Orderu Polonia Restituta.

Od początku okupacji hitlerowskiej był pod bacznym okiem hitlerowskich oprawców, w szczególności miejscowych sługusów faszystowskich ideologii. Już 16 września 1939 r. zostaje aresztowany i osadzony najpierw w więzieniu frysztackim, potem w Skrochowicach koło Opawy. W trzy dni później podobny los spotkał jego żonę, młodszą córkę i zięcia Józefa Burka.

Okrutny dramat rodziny Łukoszów zbliża się ku końcowi. Najpierw 16 kwietnia 1940 r. z wycieńczenia wskutek pobytu w karwińskim więzieniu umiera żona Teresa, młodszą córkę wysłano przymusowo na poniewierkę do Opawy. Augustyna Łukosza podczas masowych aresztowań inteligencji polskiej 23 kwietnia 1940 r. razem z zięciem Józefem Burkiem wywieziono do obozu koncentracyjnego w Dachau, później do Mauthausen-Gusen i tam, wycieńczony do ostateczności w nieludzkich warunkach pracy w kamieniołomach, Augustyn Łukosz 27 października 1940 roku umiera.

JÓZEF KULA

Z DOROBKU LEONA DERLICHA

W kwestii cieszyńskiej LIST OTWARTY
Do Prezydenta Republiki Czechosłowackiej
prof. dra Eduarda Beneša

Dostojny Panie Prezydencie!

W czasie, gdy Naród Polski po swym najofiarniejszym w dziejach nowoczesnych pochodzie, 5 lat i 8 miesięcy, zatykał słowiańskie sztandary na gruzach Berlina i podążał z odsieczą powstałej na koniec i o pomoc wołającej Pradze, w tym czasie partyzanci czescy okręgu ostrawskiego dobyli broni, ażeby z rąk oficerów i żołnierzy bohaterskiej armii czerwonej wziąć w czeski chwilowy zarząd ziemię polskiego męczeństwa narodowego, powiaty frysztacki i zachodniocieszyński, obszar przyznany Polakom w trzech na przestrzeni stu lat ugodach polsko-czeskich.

Najpilniejszym i bodajże głównym zamiarem inscenizowanej w obu powiatach po dniu 3 maja 1945 roku administracji okazał się niestety zamiar złowrogi pośpiesznej likwidacji tej polskości, jaka tu jeszcze pozostała po ubiegłych okresach eksterminacji. Nie bacząc na wagę moralną spraw ludzkich, zaczęto robić możliwie wszystko, aby miejscowe społeczeństwo polskie nie mogło po okresie konspiracji i śmiertelnej walki z hitleryzmem zreorganizować się, by żywioł polski nie podniósł się z niemocy, do której wtrąciła go najokrutniejsza represja. Nie dopuszczono też, aby lud polski własnym wolnym słowem mógł dopominać się swoich odwiecznych, krwawą ofiarą świeżo okupionych praw.

Ale była to właśnie samorodna prasa polska, która za „wiosny ludów" 1848 roku zaczęła głosić prawa narodowe Ziemi Cieszyńskiej. Jako dziennikarz przeto i syn tej Ziemi mam obowiązek ujawniania tego, co obserwuję, co odczuwam jako bolesną niewymownie rzeczywistość mego Nadolzia. Ponieważ w zasięgu czeskich „národních výborů" nie zaistniała możność wznowienia wolnej prasy polskiej, przypuszczam, że Pan, Panie Prezydencie, wybaczy mi niniejszą bezpośrednią, prostą drogę listu otwartego w sprawach zasadniczych kwestii cieszyńskiej. Nie roszczę sobie z racji mego kroku żadnych wyjątkowych praw do nietykalności osobistej.

(...)

Za najtragiczniejszy w dziejach stosunków polsko-czeskich uważają Polacy dzień, w którym wojskowość pierwszej CSR, łamiąc aktem zbrojnym wolną ugodę polsko-czeską z 5 listopada 1918, unicestwiła faktycznie demokratyczną konstytucję Ziemi Cieszyńskiej. Dziś z perspektywy czasu można powiedzieć, że w styczniu 1919 spadł na nas nad Olzą początek drugiej wojny światowej.

(...)

Pierwsza republika, galwanizacją martwych praw historycznych, wojną plebiscytową i usilną czechizacją obu powiatów ciężko, politycznie i gospodarczo, ukrzywdziła zaborcami spustoszoną Polskę. Kiedy więc Warszawa ogłosiła, że nie chce mieć nic wspólnego z obradującą w Monachium konferencją, ale domaga się zdecydowanie powrotu Zaolzia do Macierzy, przyjęliśmy fakt nowej ugody granicznej między rządami obu zainteresowanych republik jako formalne stwierdzenie należącego się Polsce ustępstwa. Czechosłowacja dawała Polsce jeno to, czego by nie była obroniła w Monachium przed apetytem Hitlera. A oddając nasze powiaty w chwilach dla siebie najtragiczniejszych, zobowiązywała moralnie Naród Polski do nieustępliwości nad Bałtykiem, więc do wojny i ofiar, które miały zapewnić Narodowi Czeskiemu wolność.

Powrót naszego kraju w granice RP, in merito słuszny, mógł być najśmielszą spekulacją i na nową wolność czechosłowacką, i na nową po wojnie erę w stosunkach europejskich. Lud Stalmacha i Cinciały wyczuwał te perspektywy i dlatego tak żywiołowo, cały i moralnie silny, przeszedł w jesieni 1938 r. pod bojowe sztandary Rzeczypospolitej Polskiej, uzyskując wreszcie automatycznie prawo obywatelstwa państwowego tejże.

Zresztą niedługo miał nastać dla całej Europy czas obowiązkowego udziału w śmiertelnym zapasie z hitlerofaszystowską okupacją. Obydwie ideologie państwowe, polska i czechosłowacka, mogły były w kraju nad Olzą (w dogodniejszych dla Czechów warunkach) współzawodniczyć w ruchu oporu o palmę pierwszeństwa, świadome tego, że tylko walka i ofiary dokumentują prawo do własnej państwowości. Czesi, których tak wysoki procent wykazały u nas czeskie spisy ludności, powinni byli, w miarę prześladowania ludności polskiej i polskich strat, akcentować swe istnienie wzmożeniem czeskiego antyhitlerowskiego oporu, tak jak zresztą domagano się tego poprzez radiostacje ZSRR i Londynu. Tymczasem żadnego zorganizowanego ruchu oporu wśród Czechów w naszych powiatach (poza partią komunistyczną) nie było. Nie zaznaczył się taki ruch za cały czas okupacji niemieckiej żadną akcją ani większą stratą. I tak się stało, że społeczeństwo polskie, rzekomo mniej narodowo uświadomione i, według czechosłowackich spisów, jakoby mniejszością będące, poniosło ponad 90 procent ogółu ofiar walki z hitleryzmem o honor i wolność powiatów frysztackiego i zachodniocieszyńskiego. (...)

Czasokres krwawych rządów gestapo, tudzież walki Nadolzia z nawałą germańską należy już do historii. Żaden najusilniejszy retusz administracyjny ani żaden najbezwzględniejszy choćby gwałt nie odbierze Narodowi Polskiemu pełnego moralnego prawa do politycznego posiadania obu nadolziańskich powiatów. Z determinacji Narodu przeobfita ofiara krwi, przelanej „za naszą i Waszą wolność", przekreśliła nieodwołalnie arbitraż rady ambasadorów 1920 r., aktualizując uprawnienia polskie, wynikające z polsko-czeskich aktów ugody 1848, 1918 i 1938 roku.

(...)

Ja, jako długoletni obserwator stosunków polsko-czeskich na pograniczu, stwierdzam, iż zagadnienie cieszyńskie w roku 1946 sprowadza się z hamletowskim tragizmem do pytania: będzie w przyszłości jednolita na świecie moralność dominować nad energią atomu albo mizerne strzępy moralności stanowić będą jeno cel dla atomowej bomby?

(...)

Jako były czechosłowacki, od dnia 1.10.1938 polski obywatel, a od chwili

wybuchu wojny między Niemcami a Polską podziemny działacz państwowy RP niniejszym: w imieniu poległych w walce lub zamęczonych Braci-Sióstr, w imieniu Polaków-Zaolzian, co do swych jeszcze nie wrócili stron, i w imieniu tych, co, szykanowani, musieli kraj rodzinny w ciągu ostatniego roku opuścić, protestuję przeciwko bezprawnym i niemoralnym usiłowaniom petryfikacji panowania czeskiego nad obu nadolziańskimi powiatami, nad krajem kultury polskiej i polskiego męczeństwa narodowego za okupacji niemieckiej. Oświadczam, że forsowane gwałtem wybory czesko-administracyjno-czechizacyjne w granicach powiatów Frysztat i Cieszyn Zachodni (Č. Těšín) będą nielegalne; krzywdzą Ziemię Cieszyńską i świeżą pamięć milionów Poległych polskich, oskarżają trzecią CSR, ośmieszają dobre imię demokracji - grożą utworzeniem niebezpiecznej zapory w procesie konsolidacji stosunków międzynarodowych, szczególnie środkowoeuropejskich. (...)

Apeluję do wszystkich ludzi dobrej woli po obu stronach śląskiej barykady, by zgodnym wysiłkiem skorygowali fatalny stan stosunków między Polską a Czechosłowacją, fatalniejszy, niż jaki był po pierwszej wojnie światowej. Zmieńmy tragiczne sąsiedztwo na prawdziwe, szczere braterstwo! Nie bójcie się Bracia-Czesi polskiego Zaolzia: potrzebnego Wam węgla z naszych kopalń nikt Wam nigdy nie odmówi. Płacąc dewizami szczęśliwie ocalałego i dobrze zagospodarowanego kraju za urobek karwińskiego górnika, sprawiedliwie umożliwicie Polsce nabywanie produktów czechosłowackiego przemysłu. A jeżdżąc przez złączony znowu w jedno Cieszyn, będziecie mogli stwierdzać na pewno rzetelność staropolskiego przysłowia „Gość w dom - Bóg w dom!".

List niniejszy niech mi będzie wolno zakończyć podaniem konkretnego, pozytywnego wniosku. Należy, sądzę, pilnie zalecić rodzinom bohatersko poległych i wyzwolonym więźniom ideowo-politycznym Nadolzia wolne, demokratyczno-kulturalne zrzeszenie się, a temu zrzeszeniu powierzyć główny ciężar politycznego zorganizowania obu powiatów. W ten sposób, śmiem twierdzić, wróci władza do prawowitych rąk ludu Ziemi Cieszyńskiej, w stosunkach polsko-czeskich nastanie radykalny zwrot, zacznie się nareszcie era upragniona zgodnej, owocnej, twórczej współpracy.

(...)

Leon Derlich
Wojenny Kierownik Informacji
i Opieki Społecznej we Frysztacie

We Frysztacie, dnia 20 maja 1946 r.

Z KARPĘTNEJ DO OLSZTYNA
PAMIĘCI RUDOLFA JURANKA (1916-2005)

22 lutego br. olsztyńska społeczność akademicka żegnała śp. Rudolfa Juranka - cieszyniaka z Zaolzia, ostatniego przedwojennego pracownika Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego WSGW w Cieszynie i WSR-ART w Olsztynie, pierwszego Członka Honorowego olsztyńskiego Koła Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, człowieka niezwykłego i zacnego, o życzliwym i patriotycznym sercu i jeszcze większym harcie ducha polskości.

Urodził się podczas I wojny światowej w podbeskidzkiej wiosce Karpętnej, w rodzinie o wieloletnich i na wskroś polskich tradycjach patriotycznych. Po ukończeniu polskiej ludówki i wydziałówki w latach 1930-1934 studiował w Państwowej Wyższej Szkole Przemysłowej w Bielsku na Wydziale Chemiczno-Farbiarskim. Po ukończeniu jej uzyskał stopień zawodowy inżyniera chemika i powrócił na rodzinne Zaolzie, gdzie niestety z uwagi na polską narodowość nie otrzymał zatrudnienia, nawet w rozbudowującej się hucie trzynieckiej, gdzie mu otwarcie powiedziano: *My vás tady nechceme, běžte si do Polska!*

Od 1937 roku aż do wojny był asystentem chemikiem w Doświadczalnej Stacji Serowarskiej cieszyńskiej Państwowej Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Bażanowicach pod Cieszynem. Pod nadzorem wybitnych naukowców i technologów mleczarstwa profesorów PWSGW Feliksa i Haliny Karnickich, Józefa Budsławskiego, Tadeusza Rylskiego, Tomasza Dziamy i wielu innych tworzył podwaliny naukowe świetności późniejszego Wydziału Mleczarskiego WSR - obecnego Wydziału Nauk o Żywności Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Także po wojnie aż do 1950 roku Rudolf Juranek pracował w bażanowickiej mleczarni doświadczalnej, produkującej przemysłowo od 1933 roku pierwsze polskie słynne ementalery!

Po przeniesieniu WSGW z Cieszyna do Olsztyna (1950) Rudolf Juranek także przenosi się wraz z rodziną do Kortowa. Z Cieszyna do Olsztyna, obok większości świetnej kadry naukowej (87% stanu), wyjeżdża większość studentów, w tym także rodowici cieszyniacy i Zaolzianie, m.in. dobra znajoma Juranka „zza miedzy" dr inż. Helena Cieńciała-Nowak (*1923) z Bystrzycy n/Olzą, niezwykle popularna gaździna w olsztyńskim Kole MZC. Przez ówczesnego rektora WSGW Cieszyn prof. Mariana Gotowca Rudolf Juranek mianowany zostaje pełnomocnikiem d/s inwentaryzacji i transportu do Olsztyna uczelnianego mienia, urządzeń, aparatury, sprzętu i dokumentacji szkoły. Pomimo chronicznego po wojnie braku taboru kolejowego, dzięki osobistemu wkładowi i ingerencji u śląskich kolejarzy, udaje mu się szczęśliwie i termino-

wo przetransportować do odległego o ponad 600 km Olsztyna większość uczelnianego majątku.

W Olsztynie pracuje w „echt cieszyńskiej" Katedrze Mikrobiologii Żywności WSR-ART pod naukowym kierownictwem prof. Haliny Karnickiej (1908-1999), wdowie po przedwojennym prof. Feliksie Szczęsnym Karnickim, wybitnym technologu mleczarskim WSW, zamordowanym w Katyniu, a następnie jej współpracowników, b. studentów WSGW - prof. Tadeusza Knautha (1921-1989), prof. Bożeny Roczniakowej (1923-1996), a także żyjącej dotąd w Olsztynie mgr inż. Danuty Warzybok, absolwentki WSW, córki przedwojennego dowódcy cieszyńskiego garnizonu wojskowego.

W 1981 roku Rudolf Juranek przechodzi na emeryturę, ale przez wiele następnych lat nadal utrzymuje żywe kontakty z macierzystym wydziałem Technologii Żywności ART, a zwłaszcza profesorami okresu cieszyńskiego, m.in. z prof. Józefem Budsławskim, Władysławem Damiczem, Tadeuszem Dzianą, Janem Kiszą. Rudolfa Juranka dobrze pamiętają także liczni cieszyńscy studenci tego renomowanego wydziału olsztyńskiej Alma Mater, m.in. Gabriel Sztwiertnia, Marian i Klementyna Tomasikowie, Margita Szarzec-Małysz, Hanna Budsławska-Czernik, Jerzy Gajdzica czy Marek Branny-Rduch.

W październiku 1983 roku Rudolf Juranek był jednym z członków-założycieli Warmińsko-Mazurskiego Koła Macierzy Ziemi Cieszyńskiej w Olsztynie, najdalej wysuniętego na północ bastionu cieszyniaków w kraju. W Zarządzie tego Koła przez wiele lat piastował funkcję wiceprezesa oraz archiwisty Głosu Ziemi Cieszyńskiej, Głosu Ludu, Zwrotu i innych silesiaków. Przez wiele lat był także silnie zaangażowany w świecką działalność ewangelickiej diecezji mazurskiej, zarówno w Olsztynie jak i w Warszawie i regionie Śląska Cieszyńskiego.

Swoją postawą i zaangażowaniem Rudolf Juranek miłość do rodzinnej ziemi cieszyńskiej i jej tradycji zaszczepił także swojej rodzinie - swojej małżonce Stefanii oraz dwóm uzdolnionym muzycznie córkom: Lidii (śpiewaczka oratoryjna w Warszawie), Krystynie Juranek-Berndt (obecnie w Anglii), synowi Janowi, Tadeuszowi i jego żonie anglistce Lidii Leyk-Juranek oraz wnukowi Pawłowi Berndtowi, tworząc w Kole MZC swoisty klan Juranków. Dzięki Jego zaangażowaniu w sprawy cieszyńskie i Macierzowe Kołu MZC przybywa nowych członków, w większości b. studentów WSGW pochodzących z ościennych regionów Śląska Cieszyńskiego, a zarazem sympatyków ziemi cieszyńskiej: profesorów mleczarstwa Władysława Damicza, Bożenę Roczniakową, Tadeusza Knautha, Danutę Warzybok, małżeństwo Tomasików oraz rolników i ekonomistów - prof. Teofila Mazura, Krystynę Blok-Kusiorską, Kazimierza i Helenę Majkowskich, Kazimierę Zawiślakową, Mariana Rząsę. Dzięki Rudolfowi Jurankowi w Kole następuje serdeczne zbliżenie i owocna współpraca olsztyńskich Macierzowców z diecezją mazurską i ostatnimi Mazurami (prof. Bohdan Wilamowski z żoną Bożeną i córką Marzeną). Dotyczy to zwłaszcza współpracy z obecnym bp.

Rudolfem Bażanowskim (rodem spod Skoczowa, członkiem honorowym Macierzy) i cieszyńskimi pastorami, którzy w znacznej części zostają członkami Koła MZC: emer. prob. ks. Władysław Pilch-Pilchowski (*1913) z córką Ireną, ks. Franciszek Czudek (Mikołajki), ks. Jerzy Otello, ks. Roland Zagóra, diakon mgr Halina Płoszek-Radacz (Nidzica, obecnie w Żyrardowie), emeryt. ks. Franciszek Duda (Olsztyn), a wcześniej senior ks. Paweł Kubiczek (Szczytno), rodem z podbeskidzkich Gutów.

W uznaniu zasług i ponad 60-letniej społecznej aktywności w 1990 roku zostaje Rudolf Juranek pierwszym w Kole MZC Honorowym Członkiem Macierzy, godności nadawanej w Cieszynie na corocznych Zjazdach Delegatów 24 Kół terenowych MZC. Z czasem uzyskuje kolejne wyróżnienia: dwukrotnie Dyplom uznania oraz prestiżowy medal im. Pawła Stalmacha.

Odszedł jeden z ostatnich świadków śląskiego szkolnictwa akademickiego okresu przedwojennego, wybitny i doświadczony specjalista nowoczesnego mleczarstwa, gorący zaolziański patriota. Był też Zmarły ostatnim żyjącym w Olsztynie pracownikiem cieszyńskiej uczelni - Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego, zalążka późniejszej WSR-ART, a dzisiejszego UWM.

Cześć Jego pamięci!

prof. JANUSZ GUZIUR
prezes MZC Olsztyn



WSPOMNIENIA ZE SKRZECZONIA

Muszę Wóm napisać z opowiadanio mojej mamy Franciszki Holeszowej, jak za Austryje moja mama chodziła do polski szkoły na kopiec. W ten czas była zwykło chałupa, z przodku wchód, tam była sień, po prawej stróonie wielko klasa, a po lewej było mieszkanie nauczyciela - kuchynka, mały kabinet a sypialnia. Mieszkał tam nauczyciel, nazywoł sie Muzyczka. Tam też była na kopcu gospoda, a on se rod wypił, moja mama sie dobrze uczyła, on zadoł lekcyję, a mama musiała douczyć. Latoś by miała mama 101 rok. W ten czas ji było 11 lat. Potem postawili wedle nową szkołe, to był burmistrz Wolf Wincenty, jeszcze żyje najmłodszy syn Josef a dwie najmłodsze córki. Jak ją poświęcali, to mama mówiła wiersz. Zawsze spóminała, w prawym rogu są zamurowane austryjacki pieniądze, ale wiela to nie wiedziała. To sie potym mówiło, staro szkoła a nowo. Potem mama wyszła za mąż. Było nas dziewięciu, a wszyscy my do tej szkoły chodzili. My mieszkali koło kierchowa, to my tam mieli blisko. Tam była polsko szkoła, a na dole w dziedzinie nimiecko.

W roku 1914 wypukła austryjacko wojna, a skóńczyła sie rok 1918. To jo miała osiem roków, cosi se aji pamiętóm, na przykład, jak w 1919 roku wypisali Poloków z gminy, co by jim szkodzili. Dali jim koło cmentarza na sztrekym wagóny, taki byczoki bez dachu, wyznaczyli dzień, a wszyscy sie musieli wykludzić za jeden dzień. Niktórzi mieli już swoji domki, musieli zostawić, tylko meble zabrać, to nie były meble jako teraz! To były 2 łóżka, 1 łolmaryj, stół, ława, 2 stoliki a kolebka. Ale dzięki Bogu okropnie pieknie jim świeciło słóneczko, a na drugi dzień już żodnego nie było.

Jak zrobili Republikym, to zustało we Skrzeczoniu dziewięć Czechów. Byli Czechami: Sokol, Zetka, Haluzka, Dworzak, Veczerza, Nowotny, Lichy. Lichy wylazowoł po drabinie, aby ściepać tabule na gminie, bo była pisano po nimiecku a po polsku, spod, złómoł se obie nogi i do śmierci chodził o dwuch krzywokach! A Nowotna szła do szkoły na dole, do nimiecki, ściepować krzyże ze ściany, też spadła, złamała jednóm noge i też do śmierci chodziła o jednym krziwoku. Dożyli sie dość wysokigo wieku oba, ale jako kalecy.

We Skrzeczoniu za stare Czeskoslowenski Republiki byli:

Siedlocy: Wolf Wincenty, ten mioł 10 dzieci, jeszcze trzej najmłodsi żyją, Wolf Josef, Milka Wranowa i Helka Seberowa, 7 zemrzyło, same dziewuchy; Skulina Alojzy, ten mioł 3 cery, 1 syna; Jeżyszek Alojzy mioł 5 cer, 3 synów, jeszcze jedna cera żyje, nazywo sie Pantowa, koło cmentarza; Kwaśnica Alojzy pod bagińcami; Hanusek Josef, koło cmentarza, 9 dzieci; Benda, na

kopcu koło polskij szkoły i więcej o nim nie wiem, to był najstarszy obywatel.

Stolorze: Kolybacz; Dluhy; Klisz Jakub, to był dobry rzemieśnik, miał największy warsztat, ten robił od stoliczki aż do trumny, to był majster i dobry rzemieśnik w jednej osobie, w Dolnej Lutyni miał skład, trumny i wozy z końmi czarnymi, stykło, jak kto umarł, ogłosić, a on sie o wszystko postarał, mioł 2 umorcze wozy, 1 klasa ze szkłym i gumowe koła, 2 klasa bez szkła a obyczejne koła.

Szewcy: Langer Józef na Now. Wsi to był dobry rzemieśnik, szył nowe buty i naprawiał; Węglarz, mówiło sie pod mostym Bogumina, naprawiał buty i szył nowe; Gajzler naprawiał.

Krawcy: Holesz najstarszy, 1 syn jeszcze żyje; Gospodarczyk; Kosza; Stawowczyk; Kokotek; Szpaczek koło gminy; największy był Dluhy Leo, ten szył ubrania, płaszcze, kostiumy, a był specialista na uniformy, dustojnikóm, policajtóm, czetnikóm.

Piekarze: Himmler na kopcu; Zwinger; pod mostym Wechperk, był to żyd, ale dobry majster i rzemieśnik, mioł 3 towarysze i 2 ucznie, a on w nocy zarówno z nimi, jak było 6 godz., to już rożki i chleb rozwożali, albo na drzewianych wózkach, a rożki w takich wysokich koszach na plecach, to kosz sięgał aż 25 cm nad głowym, bo auta a motory nie były; stary majster jeździł każdy dzień ku Olzie do czerwine sie kąpać, ale na kole, bo miał możne ze 120 kilo. Piekorze ty rożki a chleby sie starali zrobić i upiec, bo by ni mieli kszeftu, to chrupiało a wóniało, w ten czas by sie pudlica nieupłatniła, nie był żodyn rożek spolóny ani gumowy.

Obchodnicy: Ehler; Prachowski; Bróner; Miler; Tiberger, Sajtman, Dijamant, Hamerschlag, Winarek, Adamczykowa (Now. Wieś). Szewczyk Gabriel to był największy i najlepszy obchodnik, ten miał od jegły, ołówków, zeszyty, wszystko, od tekstilu wszystko, żywność, jak kto stawioł budynek, to sie wszystko obstaroł, wopno, cement, terpapier, gwoździe, a to na spłatki, każdy miesiąc.

Cegielnie były dwie. Jaworek na koczyndowcu, cegła tam była z dobrej gliny i dobrze wypolóno, jak furmonowi spadła, to ją podniós, były dwa poły. Cegielnia drugo u Kwaśnice pod mostym, tam była gorszo glina, jak cegła furmanowi spadła, to nie było co podnoszać, bo sie rozsypała.

Kowole: Prymula to był taki mały chłopek, potem odjechoł do Polski z całą rodziną; drugi był Guziur, to był dobry majster i dobry rzemieśnik, a wartki, my mieli kónie, to zawsze na poczkaniu okuł, bo kóń nie śmioł być bez podkowy, żelazko ku płógu poklepoł zaroz na doczkaniu za 3 Kčs, majster był w kuźni cały dzień.

Fryzyjer: Opitek; Jung; Gajzler.

Żydów: Wechsperk piekorz; Wechsperk Lili mioł mangiel; Lajtman;

Dijamand; Hamerszlag; Rajcher; gosp. Miler; Tiberger; Zanker; Gutman (rzeźnik).

Rzeźniki: Jeziorski; Rettek; Rettkowa; Majola; Alfred; Majola R.

Now. Wieś: Greger: gospoda i rozwożoł strokatymi kóniczkami mlyko ze dwora Marcinowa po sklepach.

Gospody: Tomasz; Gebaer; Rajcher; na kopcu Greger (Now. Wieś); Gebaer pod mostym; Zanker pod mostym.

W takim małym Skrzeczoniu tela sklepów, gospód, a wszyscy żyli, nie musiało sie loć, ale kapać... nie byli naroczni.

ELŻBIETA WALUSZCZYKOWA (HANUSKOWA, ur. 1911)

STOWARZYSZENIE MŁODZIEŻY POLSKIEJ W PIERWSZEJ POŁOWIE 2005 ROKU

Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej wbrew pozorom nie śpi. Lekka stagnacja działalności pod koniec 2004 roku (zwłaszcza październik i listopad) była spowodowana brakiem środków finansowych – niestety nie udało się pozyskać funduszy z różnych grantów. Jednak wraz z nadejściem nowego roku esempowcy znowu zabrali się do pracy. Zarząd Główny spotyka się regularnie, przynajmniej raz w miesiącu. 11 lutego odbył się Bal Gałganiarzy w Trzyńcu w Domu PZKO na Tarasie.

ZG SMP ma zamiar również w tym roku zrealizować kilka ciekawych projektów, np. **Warsztaty Plastyczne, Przegląd Filmów Amatorskich** czy **Rajd Filipka.** Nie zabraknie także sztandarowej imprezy SMP – **Dni Kultury Studenckiej** (DKS 2005), **które odbędą się po raz czwarty 10–11 czerwca w Domu PZKO w Bystrzycy.** Jak zawsze, w piątek zabrzmi rock, jazz, funky, ska czy punk. Udział wezmą nie tylko młode grupy z naszego regionu, ale także z Ostrawy i z Polski. Sobota jest natomiast przeznaczona na teatr i film amatorski, będzie wystawa obrazów i fotografii, będą różne prelekcje.

Wszystkich serdecznie zapraszamy – studentów, osoby pracujące, bezrobotnych, rodziców, emerytów i rencistów, pezetkaowców, kombatantów... Szczegółowe informacje podane będą w lokalnej prasie i na www.smp.wz.cz

M.P.

JAK MÓJ STARZIK UMIOŁ LYCZYĆ

Moji złoci ludeczkowie. W mojim pokolyniu było wiela rozmańtych ludzi. Zależało to od tego, jak i jakigo kómu z nich Pónbóczek raczył tego oleja naloć do palice.

Jakigo mi naloł, to wóm nie powiym, ani to nimóm zaznaczóne w rodnym liście. Ale sym tam czujym, jak se mi tam w tej moji głowie cosikej przelywo a żblucho.

Chciołbych wóm, ludkowie, opowiedzieć o mojim starzikowi. Jaki to był chłop i co wszystko umioł! Mój starzik był kiejsik za Austryje u Larysza ogrodnikym w parku. Jako dobry ogrodnik umioł rozpoznać wszystki roślinki, korzónki i wiedzioł, kiero zielinka do jakigo lyczynio se godzi. Tyn wóm tego umioł! Umioł też rozpoznać dwa ptoki, mysz i żabe. Zaś starka nigdy nie chodziła ze swojimi dziołchami po dochtorach, a miała ich siedym. Była przeokropnie szporobliwo. Dóma zastawowała godziny i zygorki i to tymu, aby se koluszka nie drzyły. Każdy grosz dwa aji trzi razy otoczyła w palcach, niż go wypuściła.

A starzik? Tyn umioł wylyczyć wszystki nimoce, jak na kogo jako siadła. Ku przikładu: Jak kierém dziołche bolało ucho, tak nación na ciynki plasterki ziymiok, ułożył do chusteczki, poloł to szpyrytusym, przilożył na bolawe ucho, obwiónzoł szatkóm kole głowy i na drugi dziyń było wszystko w porzóndku. Umioł też naprawiać pokaleczóne rynce i nogi. To wóm we złómanej rynce albo nodze kości palcami swoji rynki fajnie porychtowoł, potym narobił takich drzewianych szczypek, przilożył ku pokaleczónej rynce albo nodze, owinył bandażym i za pore tydni było wszystko w porzóndku. Nie potrzebowoł żodnego gipsu. Jak starka dycki spóminała, powiadała moja mama, to na ty rozmańte lykarski sztudyje chodziła ku nimu dzisio już nieżyjónco staro Szwachułka, może jóm nikierzi starzi ludzie jeszcze pamiyntajóm.

Starzik se tej rozmańtej medycyny nauczył, jak był siedym roków za pana cysorza przi wojsku felczerym. Lyczył wojoków snoci lepszy niż ci sztudyrowani wojskowi doktorzy.

Co se mu roz przitrefiło: Mieli u jednej wojskowej kómpanije istego pana majora, a tyn mioł kónia. Pón major każduśki rano rod dowoł swoji kómpaniji musztre na koszarowym placu. Siedzioł przi tym na kóniu. Swoji befele - rozkazy - wykrzikowoł tak głośno, że go było słychać na ulicy za trzymetrowym murowanym płotym. Nikiedy przechodzóncy cywile po chodniku myśleli, że se ich to tyczy, i prali sobóm o ziym, jak ci w tych kasarniach. Ta ceremónija wóm była każde rano, w piónteк czy we świóntek, czy świyciło słónko albo padoł deszcz.

Każde rano było szyroko daleko słychać majorów przeraźliwy głos. „Kómpanijoo haptak! Kómpanijoo hinlegen! Kómpanijoo aufszen!" - atd. atd. Wojsko miało już tego pełne zymby, ale nie wiedziało se, jak tej drezurze zapobiyc. Starzik nie musioł w tych musztrach brać udziału, bo był przeca we wojskowym lazarecie felczerym, a to już cosikej znaczyło! Nie wiadomo mi, jak se ku tymu fachu dostoł. Tak se nikiedy myślym, że już wtedy musiała istnieć jakosikej protekcja, może to była domowo dobrze wypieczóno gyńś, a ku tymu flaszka dobrego sznapsu. Ón to poniewiyrani wojokami widywoł z okna lazaretu i było mu strasznie luto tych swojich kamratów, jak tyn potwora major z nimi poniewiyro.

Jednego dnia przyszoł pón major ze swojim kóniym za starzikym i powiado mu: „Wy, her felczer, wy mie teraz dobrze posłóchać". Starzik se hnet przed majorym postawił do baczności, major powiado dali: „Jo iść na dwa miesiónce na zasłóżóny orlab. Jo wóm tego majne kónia tu niechać, bo ón se jakosi ciynżko ruszać, cosikej mu brakuje. Niech ta kóń, jak jo przijść z orlabu, być ganc rychtik. A jak ni, to jo wóm pokozać, jak wygląndo marszkómpanija - wy potym uwidzieć, co to je wojna!" Starzik na to: „Rozkaz, her pan major." To wiycie, ludeczkowie. Wojskowy felczer musioł umieć lyczyć ni jyny wojoków - głównie klistyrem, ale i wojskowe kónie, no wszystko, co przyszło pod rynke. Starzik podziwoł se na kónia i tak w duchu se powiado: „Jo cie, kóniczku, pieknie wylyczym, to se bydóm pón major dziwić, jaki ty bydziesz szykowny i ruszać se bydziesz jak ciasto pod pierzinóm". Przi tej sposobności hnet stwierdził, że kónisko je pierońsko wypasióne, bo wygląndo jak wielko beczka na gnojówke na sztyrech nogach albo jak piekny wielki prosiok przed zabijaczkóm.

Ku tymu lyczyniu majorowego kónia wyreklamowoł u kapitana swojigo kamrata Lojzika, kiery przed wojskym był pachołkym we dworze przi laryszowych kóniach. Powiadoł kapitanowi, że z takóm baniatóm kóńskóm potworóm nie do sóm rady, głównie przi jego otoczaniu. Tak doszło do tego, że starzik z Lojzkym zaczli z kuracyjóm kónia. Piyrwsze zrobili w masztali dlo niego taki mały szpecyjelni, ale porzóndnie silny corek, aby se nimóg do boków moc ruszać. Żrać mu dowali roz za dziyń, wode po każdej taki oto kuracyji, kieróm ś nim robili piyńć i szejść razy za dziyń, czy to był świóntek czy pióntek, tak jak to robił pón major ze swojóm kómpanijóm. Kuracyja to była tako: Starzik chycił kónia za uzde na krótko i wrzeszczoł mu do uszy wszystki majorowe befele, kiere dowoł major wojokóm na placu. Lojzik zaś przi każdym takim befelu rznół kónia łopatóm porzóndnie po zadku albo go pichnył szykownie widłami, a to pieknie spoza winkla, jak se powiado, żeby go kón ni móg kopnyć. Nikiedy kónia też przegnali w małej zagrodzie z wielkim biczym. Kóń przi taki kuracyji stowoł roz na przedni, roz na zadni nogi, kierymi chledoł tej łopaty albo wideł. Tak to szło przez cały majorów orlab. Kóń dostoł aji pieknóm figure i pieknie se wartko ruszoł. To se moc podobało panowi majorowi, jak se wrócił z tego orlabu. Starzik z Lojzikym dostali od majora za to pochwałe.

Na drugi dziyń major wyjechoł z kóniym na plac przed swojóm kómpanije, by

robić zaś tóm swojóm ulubiónóm musztre. Wojsko już tam stoło przigotowane. Plac wojskowy był same bagno, sama woda, bo caluśkóm noc loło jak z cebra. Pón major w siodle swojigo wylyczónego kónia spuścił swoji: „Kómpanijoo ...", to dalsze już nie dopowiedzioł. Bo jak kóń usłyszoł tyn befel, zarżoł, postawił se na przedni nogi, a tymi zadnimi zaś chledoł tej łopaty i wideł, jak był nauczóny podczas tej kuracyje. A pón major? Ludeczkowie, tyn wylecioł ze siodła jak rakieta i dopadnył gymbiskym na ziym do tej nejwiynszej kałuże z bagnym. Cało kómpanija przi tym cyrkusowym widowisku śmioła se jak klaunowi w cyrkusie. Możecie se przedstawić, jaki to było dlo wojoków halo!

Pón major, tyn musioł hnet odjechać na dalszy rehabilitacyjny orlab. Starzik z Lojzikym za pore dni dosłóżyli siedmiorocznóm wojne i byli puszczóni do cywilu.

Mili ludeczkowie. Sami widzicie i uznejcie, czy jo pochodzym z bela jaki rodziny?

Tak czasami wieczorami siedzym przed tym telewizorym i rozmyślóm nad tóm starzikowóm kuracyjóm i przichodzi mi do głowy tako medytacyja: Czy by dzisio nikierzi w tym tzw. demokratycznym społeczeństwie też nie potrzebowali taki porzóndnej starzikowej kuracyje jak tyn wypasióny kón i pón major. Myślym se (może głupio), żeby to nikierym moc pumógło i wczas se spamiyntali, jak majóm robić tóm prowdziwóm demokracyje, dlo nas wszystkich jednakowóm i sprawiedliwóm. Żeby my byli wszyscy z ni zadowolóni - ni jynym ponikierzi.

Mojigo starzika już ni ma na świecie, może by se naszoł kajsi taki dobry felczer i pómóg by, aby my w tej Europie, do kierej my wlyźli (ni ma mi jasne skónd), wyglóndali jak prowdziwi słószni ludzie. Szczynśliwi! Tego chyba wszyscy chcymy!

DAR. JOCHEL

MOZAIKA

TEŻ BOHATER

Jako to w tych rokach było zwykym, że na murowane chałupy ludzie se sami cegły narobili i wypalowali. Harężlok se też pozwoł kamrata i wykopali grąta, a z tej celiny a prziwiezionego piosku narobili cegieł, postawili z ni piec i ogiyń goroł, a dym sie unosił doliną aż ku dziedzinie. Jednego dnia ku wieczoru gdosi na dwiyrze bantuje. Harężlok wyszeł na pole, a tu szantar.

- Widzim, że wóm dobrze idzie, bo nową chałupe chcecie stawiać, ale tyn piec mocie postawióny blizko tej drzewionki, jak sie chytnie, to z ni żywi nie ucieczecie.

Harężlok sie prubowoł bronić, żeby musioł drzewionke bynzynym poloć, aby gorała, bo uż je cało zgniło. Szantar zaś na to:

- A mocie wy pozwolyni, że możecie wypalować cegłe?

Harężlok sie po głowie poszkroboł zrozpaczony i pokręcił nieśmiało głową, że żodnego pozwolynio ni mo.

- No tóż zapłacicie pokute, a jak nimocie piniędzy, tóż pujdziecie siedzieć trzi dni do harestu - odezwoł sie szantar.

- Nic nie bedym płacić, dejcie papiyr, że pujdym do harestu.

Harężloczka zaczła lamyntować, że to bedzie straszno gańba, że chłop je w hareszcie jak jaki mordyrz, ona ani do dziedziny se nie bedzie mogła z gańby ukozać. Nie dało sie nic robić, chłop sie uwzión, że do harestu pujdzie i basta.

Było po żniwach, a uż trzeci dziyń deszcz padoł, jak sie Harężlok wybroł na ceste ku Cieszynu, fajfke styrczył do kapsy, czopke na głowe, wzion parazol i wyszeł. Przi Cieszynie pod Zielónóm stawił sie do gospody wypić na kuraż, pore grejcarów mioł bokym, co baba nie wiedziała. Przepił więcej, niż kosztowała pokuta, a jak kapsa była próżno, a uż też se i ćmiło, wyszeł z gospody, w głowie mu sie kręciło, a nogi sie motały, uszeł pore kroków, spod do przikopy i usnół.

Nie trwało dłógo, a tu go gdosi szkubie za ramie:

- Stowejcie, foter, idźcie se wyspać do chałupy, a nie róbcie tu ostudy.

Odewrzył Harężlok oczy, a widzi, że to szantar, tóż se spómnioł, że idzie do harestu, tak zaczón:

- To je dobrze, panoczku, że was widzim, na tóż was tu sóm Pón Bóg zesłoł, bo jo idym do harestu, a nie wiym, kaj to je, byćcie tak dobry a zakludzcie mie tam.

Szantar zrobił mine urzędową i tak powiedzioł:

- Nie róbcie sie, foter, zy mnie błozny, bo jo je urzędowo osoba, stowejcie, a pakujcie ku chałupie.

Tu Harężlok kartke z kapsy wyciągnół i podoł szantarowi, tyn uwidzioł, że to prowda, zmięknół i zakludził go do harestu, eszcze mu pómóg z krzipopy wylyźć. Jak portyr odewrzył cele, to Harężlok nie wiy, czy go tam do postrzodka pocis albo ón do proga zakopnół, jyny jak dłógi tak rypnół sebą na ziym i zaroz usnół.

Z roboty przyszli haresztanci i zaś chłopa budzili:

- Foter, stowejcie, a idzcie prycz tu stela, bo my mómy wszy.

Harężlok ani oczy nie odewrził, jyny tak sie odezwoł:

- Do rana mie nie zeżerą, jo przyszeł do harestu, tak tu musim być.

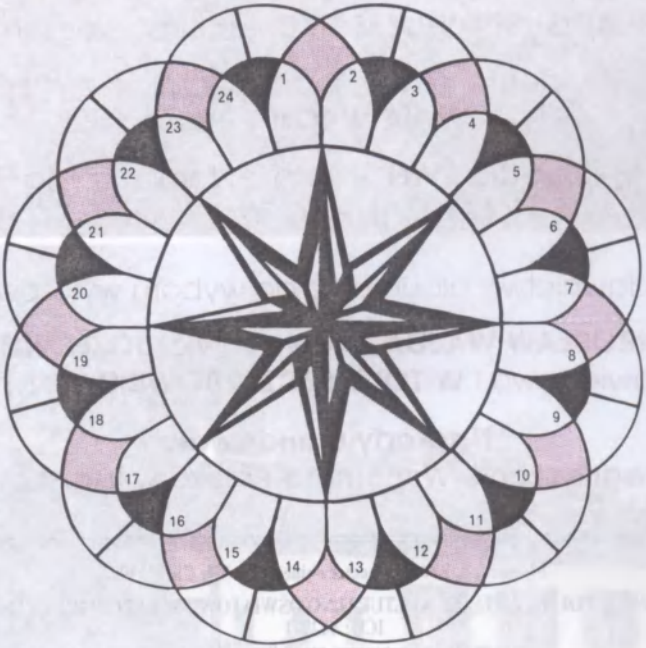
Rano sie obudził i zaś żodnego nie było, poszli do roboty. Z głowy mu uż też wyhóczało, siednył na stołek i dziwo sie, okno malutki, sześć łóżek i myśli se, co też bedzie dali sie robić. Za chwile klucz w zamku zaszkyrczoł, a dozorca mu gornek kawy i krajiczek chleba podoł, zaś poszeł, a dwiyrze zamknół. Za pół godziny zaś dozorca wloz do celi i podowoł mu posztęplowaną kartke, że jako uż tyn harest mo za sobą.

- Tu mocie, foter, papiyr, a możecie iść do chałupy. Wyście sie tu przyszeł jyny wyspać.

Harężlokowi sie to nie podobało, bo ón chcioł tam być całe trzi dni.

Lepszy było zapłacić pokute, bo w gospodzie paryzol zapómnioł i fajfke stracił, jak leżoł we szkarpie. Harężlino nadowała do brzidoków i ożralców, a Harężlok do gospody chodził, a kamratóm opowiadoł, a historyjki rozmajte wymyśloł, bo ón w hareszcie był i wiy najlepszy, jaki to tam je. Chłopi posłóchali, głowami kiwali, a Harężlok sie czuł jako bohater między kamratami, co ani nie wiedzą, kaj tyn harest je.

ANNA BOSZCZYK



LOGOGRYF ŁUKOWATY

Rozwiązanie dodatkowe: Tytuł jednej z ksiąg „Pana Tadeusza" Adama Mickiewicza

1-4. Stan metalu po walcowaniu lub kuciu na zimno. - **3-6.** Imię Zana (1796-1855), poety i założyciela Towarzystwa Filaretów. - **5-8.** Pobudka, zachęta, pretekst. - **7-10.** Antonim prologu. - **9-12.** Pieśń śpiewana w okresie Świąt Bożego Narodzenia. - **11-14.** Uczestnictwo. - **13-16.** Choroba oczu (glaukoma). - **15-18.** Świt, początek ranka. - **17-20.** Orszak, eskorta. - **19-22.** Pokarm, pożywienie. - **21-24.** Imię Miklaszewskiego. - **23-2.** Przyjaciel, kamrat.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe.

Rozwiązania prosimy przesyłać do końca maja.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru marcowego: ELEKTRONY W ATOMIE

Nagrody książkowe wylosowali: **Cecylia Jośkowa** -Trzyniec Końska
Leszek Łakota - Hawierzów Podlesie

Wśród czytelników, którzy opłacili prenumeratę Zwrotu na rok 2005, zostały rozlosowane następujące nagrody:

Encyklopedia PWN w trzech tomach
– **BOGUSŁAW CZAPEK** Bogumin Skrzeczoń

Encyklopedia PWN w jednym tomie z płytą CD
– **IVANA WRONA** Piosek

Encyklopedia PWN w jednym tomie z płytą CD
– **KAROL FILIPIEC** Trzanowice

Wydawnictwa albumowe do wyboru wylosowali:

MIROSŁAW WAJDA z Wierzniowic, **JÓZEF WITA** z Hawierzowa i **WITOLD SZCZERBOWSKI** z Trzyńca

Nagrody ufundowało Stowarzyszenie Wspólnota Polska w Warszawie

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Strzelnicza 28, P.O.Box 97, 737 01 CZESKI CIESZYN,
tel. i fax: 558 712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI,
Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK,
Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – Infiniti art, s. r. o., Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 240 Kč, z wysyłką pocztową 324 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02
z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE DOMY PZKO



DOM PZKO
w Nieborach

Odes.: Redakce ZWROT
Střelniční 28
737 01 Český Těšín

O.P.
P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE SZKOŁY

NIEBORY

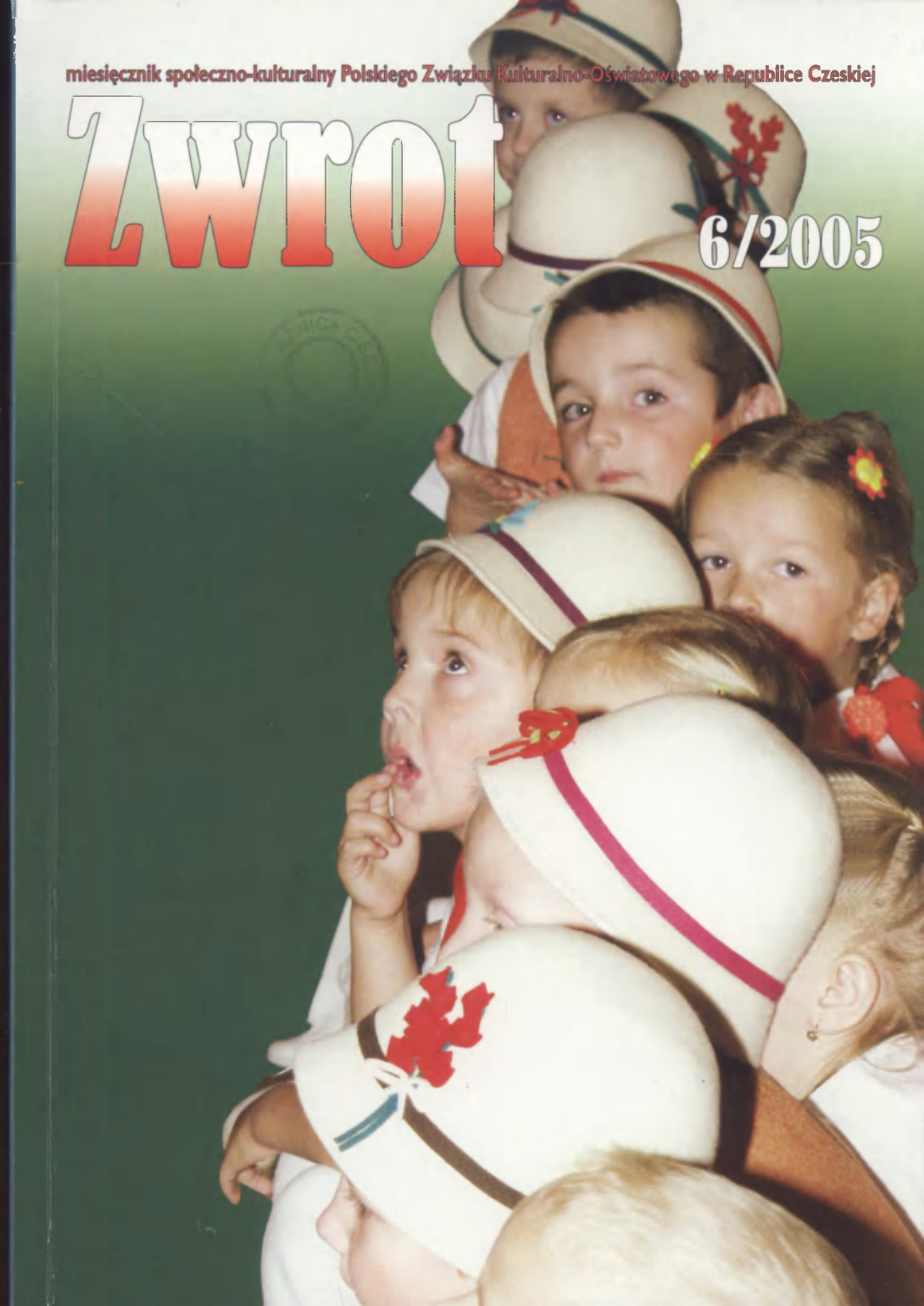


ISSN 0139-6277

miesięcznik społeczno-kulturalny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej

Zwrot

6/2005



TACY BYLIŚMY



Państwo Anna i Jerzy Kaletowie w dniu ślubu 5 października 1919 roku przed swoim domostwem w Wędryni Zaolziu pod nr 100.
Obok goście weselni, a poniżej kilkanaście lat później ze swoimi dziećmi.
Fotografie udostępnił redakcji p. Alojzy Kaleta z Czeskiego Cieszyna – najmłodszy syn.





CZ III 6

Zwrot

Rok LVI, Nr 667
Cena numeru 20,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 27,00 Kč

6/2005

KSIĄŻNICA CIESZYŃSKA

W NUMERZE

4	Kongres Polaków	CZESŁAWA RUDNIK
10	Skutki hitleryzmu i stalinizmu na Zaolziu	STANISŁAW ZAHRADNIK
16	Wspomnienia z lat drugiej wojny światowej (6)	KAROL BARTULEC
23	Ksiądz Leopold Bitko	JÓZEF CHMIEL
29	Językowe pogranicze cieszyńsko-laskie (1)	WŁADYSŁAW MILERSKI
34	Kronika: Oskar Pawlas w Szczyrku, Wiosenne spotkania z piosenką w Nieborach, Wędryńska „Droga do Dover", Kino na Granicy, Nowe władze TNP, Bogdan Trojak laureatem, IX Festiwal Piosenki Dziecięcej, Kombatanckie uroczystości, Miyszani owiec	
50	Poezja - Wiersze nie tylko dla dzieci	
52	Aleksander Kaczorowski: Gra w życie. Opowieść o Bohumilu Hrabalu (fragment)	
57	O Bohumilu Hrabalu i czeskiej mentalnościi. Spotkanie z dziennikarzem Aleksandrem Kaczorowskim	C. R.
60	Penetracja zaolziańskiej części Śląska Cieszyńskiego. Problemy związane z archiwizacją i transkrypcją zebranego materialu muzycznego	MAGDALENA SZYNDLER
64	Na naszej scenie	CZESŁAWA RUDNIK
66	Jak nas słyszą, tak nas piszą	WŁADYSŁAW KUBIEŃ
70	Z dorobku Leona Derlicha	
73	Echo wydarzeń muzycznych: Sto lat śpiewu chóralnego w Stonawie	JÓZEF WIERZGOŃ
76	U sąsiadów - skansen mało znany	LESZEK ŁAKOTA

Numer zamknięto 17. 5. 2005

ANIELA KUPIEC

ŚWIĘTOJAŃSKO NOC

Po mlycznej drodze noc czerwcowo błądzi,
gwiozdy stracóne do zopaski zbiyro,
jak wszystki nóndzie, to sama osądzi,
kómu ich mo rozdać – za siebie spoziyro.

Na Wielkim Wozie cicho przijechała,
przed sobą lechko strzybny miesiąc toczy.
Kaj go zakulać? Isto zapómniała!
Modrą hacką światu przisłóniła oczy.

Szal jeji mięki mie oczy nie zakrył,
sen mój sie jeszcze po manowcach błąko,
listkym łopucha skrzipce swoje nakrył,
przigląd̨o sie tobie, nieuśpióno łąko.

Użycz mi, łąko, użycz, nocko blado,
tego uśmiychu, co z lica nie schodzi.
Każdy go kansi, każdy indzi chlado,
a ón sie tu możne na tym miejscu zrodzi.

Nie chladóm szczęścio po miastach we świecie,
choć na dziedzinie skrómniejsze móm życi,
óno sie kwiotkym w moją biyde wplecie
i już mi chroboczkym świętojańskim świyci.

Jak mi noc kiejsi wieczne podo ramie,
to ze trzi gwiozdki wypytóm dlo ziymie,
jedną dóm tobie, drugą zaś dóm mamie,
trzecią tymu, co je smutniejszy ody mnie.

KONGRES POLAKÓW

Kongres Polaków w Republice Czeskiej jest stowarzyszeniem obywatelskim, które zrzesza na równych prawach podmioty prawne zarejestrowane w RC i osoby fizyczne biorące udział w działalności terenowych struktur Kongresu. *Najwyższym posłannictwem Kongresu Polaków jest* - według statutu - *łączenie działań prowadzących do realizacji wspólnych celów społeczności polskiej w RC, ochrona jej praw i interesów.* Kongres reprezentuje mniejszość polską na zewnątrz, tworzy pomost między państwami i narodami RC i RP, ma na celu utrwalanie stosunków z Macierzą, a także pielęgnowanie i pomnażanie dziedzictwa kultury narodowej. Do jego głównych zadań należy troska o interesy społeczności polskiej, szczególnie w zakresie prawa do edukacji, do informacji, środków masowego przekazu i wydawnictw w języku polskim, oraz prawa do używania języka ojczystego w życiu publicznym. Siedziba Kongresu Polaków w RC mieści się w Czeskim Cieszynie (ul. Komenskiego 4).

Stowarzyszenie działa od piętnastu lat. Do jego założenia - pod nazwą Rada Polaków, którą po kilku latach zmieniono na Kongres Polaków - doszło 3 marca 1990 roku podczas Zlotu Polaków. Organem wykonawczym stało się dziewięcioosobowe gremium. Powołano też Radę Przedstawicieli jako organ doradczy i koordynacyjny. Pierwszym prezesem Rady Polaków został Tadeusz Wantuła. Na II Kongresie Polaków jego miejsce zajął Bogusław Chwajol, a następnie Danuta Branna, Jerzy Jura, Wawrzyniec Fójcik i Józef Szymeczek.

Na ostatnim Zgromadzeniu Ogólnym Kongresu Polaków, które odbyło się w Czeskim Cieszynie 2 kwietnia br., wybrano Radę Kongresu Polaków w składzie: Józef Szymeczek, Rudolf Moliński, Tadeusz Wantuła, Marek Słowiaczek, Bohdan Małysz, Dariusz Branny, Roman Kaszper, Wawrzyniec Fójcik, Władysław Adamiec. Prezesem został po raz drugi **Józef Szymeczek**. Do niego też kierujemy nasze pytania.

Jakby Pan podsumował działalność Kongresu Polaków w poprzedniej kadencji?

Kongres Polaków ma ambicje, by reprezentować interesy wszystkich Polaków. Nie ingeruje w żadnym wypadku w działalność poszczególnych organizacji, ale reprezentuje interesy wspólne, jakimi są na przykład szkolnictwo, media, reprezentacja mniejszości wobec władz itd. Problemów jest wiele. Wiele jest też potrzeb, ale Kongres nie może ich wszystkich spełnić, bo ma bardzo ograniczone możliwości. Dlatego też w każdej kadencji wybiera priorytety, dwa, trzy zadania, które stara się zrealizować. W minionej kadencji były dwa tematy wiodące: brzmienie nowej ustawy szkolnej i próba wprowadzenia polskich programów do czeskiej telewizji. Obydwie te sprawy udało się załatwić. Powołano komisję szkolną przy Kongresie Polaków, w skład której weszli przedstawiciele wszystkich placówek związanych ze szkolnictwem, czyli Towarzystwa Nauczycieli Polskich, Macierzy Szkolnej, Centrum Pedagogicznego dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego, oraz inspektor szkolny i osoby prywatne. Do ustawy szkolnej wniesiono aż dziewięć poprawek. Najważniejszym osiągnięciem jest to, że w ustawie zapisane są niższe limity uczniów w klasach, w szkołach pełnych jest to 12 uczniów, niepełnych 10, a w przedszkolach 8. Programy polskie w czeskiej telewizji to też długa historia, dyskutowano o tym na każdym Zgromadzeniu Ogólnym i w każdej Radzie Kongresu Polaków. Teraz nastała sprzyjająca konstelacja i udało się to załatwić, bo na odpowiednich stanowiskach znaleźli się ludzie przychylnie do nas nastawieni, przede wszystkim były wicepremier Petr Mareš i dyrektor ostrawskiego studia Telewizji Czeskiej Ilja Racek, pomógł też m.in. konsul generalny RP w Ostrawie Andrzej Kaczorowski.

Co jeszcze uważa Pan za sukces Rady Kongresu Polaków poprzedniej kadencji?

Ostatecznie została zakończona sprawa odszkodowań za roboty przymusowe, którą pilotowaliśmy. Inna sprawa to wywalczonych 25 stypendiów na studia w Polsce dla Zaolziaków. Oby zostały dobrze spożytkowane. Uważam to za wielki sukces, trzeba tylko, by przełożyło się to na sukces kształcenia młodych Polaków z Zaolzia. Następnym sukcesem jest przywrócenie programów o Zaolziu w telewizji katowickiej, w załatwianiu tej sprawy pomagał nam prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa,

wielkie zasługi ma konsul Andrzej Kaczorowski. Program ten nadawany jest w TVP 3, pół godziny raz w miesiącu, ale emituje go także Telewizja Polonia, czyli że można go oglądać na całym świecie. Kongres pomógł też w uruchomieniu polskiej księgarni w Czeskim Cieszynie i wspiera ją w opłatach czynszu. Księgarnię prowadzi Zenon Wirth, a hurtownia Matras daje tam książki w komis. Uważam, że ważny jest łatwy dostęp do polskiej książki, z usług księgarni korzystają również szkoły i biblioteki, które mogą tu kupić książki na czeską fakturę. Następna sprawa to remont pomieszczeń, w których ma siedzibę Kongres Polaków, dokończyliśmy remont korytarza i wielkiej sali, którą udostępniamy za darmo na akcje polskich organizacji. Jest tu miejsce na organizowanie wystaw plastycznych, fotograficznych czy historycznych, te ostatnie przygotowuje Ośrodek Dokumentacyjny KP. Kancelaria KP zapewnia serwis organizacjom, które mają siedzibę w pomieszczeniach KP, w tej chwili jest to już kilkanaście organizacji. Chodzi o dostęp do Internetu, ksero, itd. Wiele energii włożono do poprawy osłony wydawniczej Głosu Ludu. Złożyły się na to likwidacja spółki Olza, która miała zapewnić gazecie dochody w czasie, kiedy nie było dotacji, a została założona nowa spółka Pol-Press. Działa o wiele sprawniej, czego przykładem może być fakt, że od roku 2003 kontrole finansowe nie znalazły żadnych uchybień. Obecne problemy Głosu Ludu, związane z nałożoną karą finansową, mają swe źródło w rozliczeniach z roku 2002. Po wyjaśnieniach i ta sprawa jest załatwiona. Udało się przeprowadzić redakcję do Czeskiego Cieszyna, zakupić nowy sprzęt, komputery itd., gazeta łamana jest elektronicznie w Czeskim Cieszynie, a w Ostrawie została tylko filia redakcji, po to, by nie likwidować tam polskiej placówki, i tam też drukowana jest gazeta.

Działalność Kongresu Polaków to przede wszystkim praca społeczna?

W Kongresie Polaków zatrudnieni są na etacie sekretarka i szef kancelarii KP, trzeci etat to pracownik w Ośrodku Dokumentacyjnym KP. Funkcje w Radzie Kongresu Polaków, funkcje wybieralne, są społeczne, czyli bezpłatne. Tym bardziej chylę czoła przed poprzednią Radą, bo byli tam ludzie nieprzeciętni, kompetentni, ofiarni. Członkami Rady było wielu przedsiębiorców, którzy poświęcali swój wolny czas i poprzez

swoje firmy niejednokrotnie sponsorowali działania Kongresu.

A jaka będzie nowa Rada Kongresu Polaków?

Nowa Rada Kongresu Polaków będzie inna, bo znalazło się w niej kilku bardzo młodych ludzi. Warto w tym miejscu podkreślić, że w nowej dziewięcioosobowej Radzie KP dwie trzecie stanowią absolwenci polskich uczelni. A to oznacza, że można po skończeniu studiów w Polsce wrócić na Zaolzie i nie tylko znaleźć tu satysfakcjonującą pracę zawodową, ale mieć także posłuch społeczny. W chwili obecnej, kiedy ponownie zaistniała możliwość studiowania w Polsce i korzystania ze stypendium rządu RP, jest to dobra wskazówka dla maturzystów i ich młodszych kolegów, którzy zastanawiają się, czy warto studiować w Polsce.

Jakie najważniejsze zadania stoją przed Kongresem Polaków?

Jednym z tematów dla nowej Rady KP, który powraca, jest zwrot majątków. W chwili obecnej istnieje sprzyjający klimat i z różnych stron napływają sygnały, że można by te sprawy załatwić. Istnieje kilka dróg, kilka pomysłów, ale może jeszcze przedwcześnie, by o tym mówić. Na razie mogę powiedzieć tyle, że ten temat zostanie poruszony. Uchwała Zgromadzenia Ogólnego Kongresu Polaków z 2 kwietnia br. zobowiązuje nas do wielu nowych zadań, a przecież utrzymanie obecnego stanu, czyli wydawanie Głosu Ludu, obsługa kancelarii KP, już wymaga wiele pracy. Jeśli chodzi o cele na najbliższą przyszłość, to przede wszystkim trzeba by mądrze i skutecznie doprowadzić do końca sprawę dwujęzycznych napisów. Już poszły do czeskiego parlamentu, rządu i Rady Rządu ds. Mniejszości Narodowych pisma w sprawie zmiany w ustawie. Konieczna jest też lepsza informacja, pokazywanie prawdziwej historii, żeby czeska większość zrozumiała, że nie chodzi nam o wygórowane żądania polityczne, ale o podkreślenie naszej tożsamości. Nikomu nie powinno przeszkadzać, że Polacy, którzy tu żyją, utożsamiają się z tym regionem i chcą tę tożsamość podkreślić i na zewnątrz, a nie tylko nosić ją w swoim sercu. To będzie wielkie wyzwanie do nowej Rady KP.

Cały czas mówimy o zadaniach Rady Kongresu Polaków, a jaką rolę ma do spełnienia Rada Przedstawicieli?

Nim odpowiem na to pytanie,

może jeszcze raz przypomnę strukturę organizacyjną Kongresu Polaków. Naczelnym organem Kongresu jest Zgromadzenie Ogólne, które składa się z delegatów. Delegaci wybierani są z dwóch puli. Z gmin, w których żyją Polacy, za pośrednictwem tzw. sejmików gminnych, i tu hasło demokratyczne brzmi: aby z każdej wioski, gdzie żyją Polacy, był delegat. Jednak według uchwały Zgromadzenia Ogólnego ma się to zmienić, czy będą w przyszłości sejmiki regionalne, obwodowe czy inne, na razie nie wiemy. Druga pula to organizacje zrzeszone w Kongresie Polaków, a jest ich w tej chwili już 27, które delegują na Zgromadzenie Ogólne po dwóch przedstawicieli. Zgromadzenie wybiera dziewięcioosobową Radę KP, która jest organem wykonawczym Kongresu i reprezentuje Kongres na zewnątrz, a spośród siebie wybiera prezesa. Kolejnym organem, który schodzi się między Zgromadzeniami i należy do struktury Kongresu, jest Rada Przedstawicieli. Jest to organ, do którego deleguje swych przedstawicieli każda zrzeszona w Kongresie Polaków organizacja i każda gmina, w której żyją Polacy. Rada Przedstawicieli stanowi jakby taki zaolziański parlament, schodzi się cztery razy w roku. Do jej zadań należy śledzenie kroków Rady KP w realizacji uchwał ZO KP. Ma prawo decydowania o inwestycjach finansowych powyżej 200 tys. koron i o odwołaniu członka Rady KP. Powinna też wytyczać linię programową w okresie szczególnym, jakim jest np. okres przed wyborami do wszystkich szczebli władz w RC. Jej status w naszym społeczeństwie i siła w znacznym stopniu zależy od osoby, która jej przewodniczy.

Największą organizacją zrzeszoną w Kongresie Polaków jest Polski Związek Kulturalno-Oświatowy. Jak układają się stosunki między tymi stowarzyszeniami?

Ostatnio doszło do wielkiej poprawy układów między Kongresem i PZKO. Kongres Polaków podpisał z PZKO umowę o współdziałaniu. Wśród członków PZKO słychać jednak narzekania, że nie w pełni zadowala ich jej realizacja. Niemniej ona działa i przejawia się np. w nominacji przedstawicieli polskiej grupy narodowej do centralnych organów różnych rad i komisji. Każdy członek, który zasiada w Radzie Rządu ds. Mniejszości Narodowych, jest wybierany konsensualnie, jedno miejsce ma Kongres, jedno PZKO, a jedno Polonia praska. Tak dzieje się już trzy kadencje. O współdziałaniu

możemy mówić także w wypadku sejmików, które najczęściej odbywały się w Domach PZKO. Na zewnątrz my, Polacy, wyglądamy jako grupa zwarta i jednolita, co bardzo pozytywnie odbierane jest w Warszawie i w Pradze. Jesteśmy wzorem dla Polonii w innych krajach. Ale gdyby tak zajrzeć pod tę skorupkę światka zaolziańskiego, to w środku jest wulkan, w którym są ruchy i napięcia. Nie wszyscy zmienili swój sposób myślenia, ale klimat się poprawił, stosunki w porównaniu z początkiem lat dziewięćdziesiątych uspokoiły się. Stało się tak moim zdaniem dlatego, że ludzie zrozumieli, o co Kongresowi Polaków chodzi, że nie ingeruje w sprawy pezetkaowskie ani niczego nie odebrał PZKO, bo to nie Kongres spowodował zmianę systemu dotacyjnego w RC, ale państwo zmieniło politykę. Ważne jest, byśmy wszyscy sobie uświadomili, że na Zaolziu polskość musi stać się rzeczą pospolitą, dla społeczeństwa polskiego musi być ważne, kto je reprezentuje, kto przemawia w jego imieniu. Polacy na Zaolziu powinni przynajmniej raz na trzy lata przyjść na sejmik, wypowiedzieć tam swoje zdanie i wybrać swoją reprezentację. Nasze zobojętnienie może spowodować, że podetniemy korzenie, z których wyrośliśmy. Musimy walczyć ze zobojętnieniem, wytworzyć z polskości wartość, nie wstydzić się polskości, ale uczynić z niej powód do dumy.

Dziękuję za rozmowę.

CZESŁAWA RUDNIK

SKUTKI HITLERYZMU I STALINIZMU NA ZAOLZIU

Niespełna sześcioletni okres okupacji hitlerowskiej, drugiej wojny światowej i stalinizmu w byłych powiatach czeskocieszyńskim i frysztackim, czyli na Zaolziu, był niezmiernie brzemienny w skutki. Oznaczał dla miejscowej ludności olbrzymie spustoszenia na każdym odcinku działalności społecznej, a szczególnie dotkliwe były straty w ludziach. Obszar ten należy niewątpliwie do najciężej doświadczonych w wyniku II wojny światowej w całej Republice Czeskiej.

Chociaż o sprawach tych sporo już napisano, nie doczekały się jednak pełnego i rzetelnego opracowania historycznego. Uwagę skoncentrujemy na martyrologii spowodowanej hitleryzmem, stalinizmem i II wojną światową. Zagadnienia związane z hitleryzmem i stalinizmem są na ogół dobrze opracowane. Problem zaolziańskich ofiar II wojny światowej poległych w mundurach Wehrmachtu pragniemy tu tylko zasygnalizować.

Istotną sprawą przy opracowaniu danych o ofiarach omawianego okresu było ścisłe określenie pojęcia i kryteriów ofiary. Różne są bowiem sposoby interpretowania pojęcia ofiary reżymu okupacyjnego. Odmienną treść nadają mu zainteresowane tą problematyką gremia czy instytucje, np. Związek Bojowników Antyfaszystowskich, a prawnicy czy historycy. Podejście metodyczne i oceny faktów historyków czeskich i polskich znacznie się różnią. Przejawia się to głównie w wypadku ofiar hitleryzmu.

Ofiary hitleryzmu

Stanowią najliczniejszą grupę osób dramatu Zaolzia. Za ofiarę uważamy osobę, która poniosła śmierć w jakikolwiek sposób z rąk hitlerowców, wskutek działań wojennych i walki z faszyzmem. A więc były to ofiary polityki eksterminacyjnej okupanta, przeznaczone do likwidacji fizycznej - inteligencja polska, wybitni działacze społeczni, członkowie ruchu komunistycznego i socjalistycznego, straceni głównie w pierwszym okresie okupacji; ofiary uczestnictwa w szeroko pojętym ruchu oporu; ofiary walki z faszyzmem na frontach; ofiary przypadkowe działań wojennych; ofiary nalotów; osoby zaginione.

Nasze rozważania nie obejmują Żydów, którzy ponieśli najdotkliwsze straty w ludziach. Jest już dziś wszakże rzeczą niemożliwą stwierdzić dokładnie, ilu miejscowych Żydów zdołało umknąć przed Hitlerem i przeżyło zawieruchę wojenną, a ilu rzeczywiście zginęło. Ci, którzy przeżyli, nie wracali po wojnie do swych domów. Jedno jest pewne, że większość zaolziańskich Żydów została wymordowana przez hitlerowców. W naszym wypadku będą uwzględnione tylko szacunkowo w ogólnych ujęciach. Problem wymaga oddzielnego opracowania.

Najwięcej problemów wyłania się przy ustalaniu pochodzenia i narodowości ofiary. W wypadku pochodzenia przyjęto zasadę, że ofiara albo miała stałe zamieszkanie na Zaolziu, albo była z nim związana silnymi więzami rodzinnymi, pracy zawodowej i to przez dłuższy okres czasu. Natomiast nie uwzględniono osób pochodzących spoza badanego terenu, chociaż tutaj straciły życie. Jeszcze bardziej skomplikowaną była sprawa ustalenia narodowości ofiar. W dotychczasowych pracach zwłaszcza autorów czeskich, poświęconych martyrologii, do narodowości ofiar nie przywiązywano należytej uwagi, najczęściej ją pomijano.

Większość ludności miejscowej szukała możliwości przetrwania, zgłaszając narodowość „śląską" ze wszystkimi wypływającymi z tego faktu konsekwencjami. Spośród nich wywodzi się znaczna część ofiar. Przeważnie ginęli ci, którzy wytrwali przy narodowości polskiej. Trudności przy ustalaniu narodowości pomordowanych narastają z upływem lat, bowiem informacje od potomnych często nie są zgodne z rzeczywistością.

Podjąłem się zadania określenia narodowości ofiar, czego efektem jest praca „Zaolziańskie ofiary okupacji hitlerowskiej 1939–1945", która zawiera imienną listę ofiar oddającą zgodnie z wytyczonymi kryteriami straty w ludziach według poszczególnych miejscowości zaolziańskich. Każda jednostka posiada krótką notkę biograficzną. Również i w tym wypadku nie udało mi się jednak przedstawić pełnego zestawu ofiar, ale zgromadzony materiał jest o tyle reprezentatywny, że można wyciągać z niego odpowiednie wnioski.

Ogółem udało mi się zarejestrować 1852 ofiary. Uwzględniając przyjęte kryteria, podsumowanie przedstawia się następująco:

	Polacy	Czesi	Nie ustalono	Razem
Ofiary ogółem	1467	223	162	1852
Mężczyźni	1292	193	128	1613
Kobiety	152	23	28	203
Dzieci (do 18 lat)	23	7	6	36
Obozy, więzienia	986	141	91	1218
Egzekucje, masowe mordy	144	15	6	165
Polegli w walce z faszyzmem	153	15	11	179
Działania wojenne	56	28	4	86
Naloty	65	24	47	136
Zaginięcia	63	2	3	68

Spośród 80 ówczesnych miejscowości zlokalizowanych na tym terenie tylko cztery (Boconowice, Piersna, Toszonowice Górne i Wielopole) nie wykazują strat w ludziach. Tylko w czterech miejscowościach (Dziećmorowice, Sobieszowice, Zabłocie i Zawada) ofiary narodowości czeskiej przeważały. Największe straty w stosunku do ogólnej liczby mieszkańców z 1939 r. poniosły Żywocice (6,5%), Ligotka Kameralna (2,3%), Łąki n. Olzą (2,1%), Łomna Dolna (2%) itd. W liczbach absolutnych najwięcej zginęło w Karwinie - 230 osób.

Zastanawia stosunkowo niski odsetek ofiar narodowości czeskiej, chociaż w 1939 r. przy „palcówce" zgłosiło ją niewiele mniej aniżeli narodowość polską. Przyczyn tego zjawiska należy szukać w dobrowolnym lub przymusowym opuszczeniu Zaolzia w 1938 r. znacznej części aktywnych i uświadomionych narodowo Czechów, głównie inteligencji i fachowców. Dzięki temu uniknęła ona w znacznej mierze losu inteligencji polskiej. Nie bez znaczenia był tu też łagodniejszy kurs hitlerowców względem Czechów oraz mniejszy ich udział w ruchu oporu.

Najwięcej zginęło górników (ok. 400), hutników (ok. 200), robotników innych zawodów (ok. 450), urzędników i sił fachowych (ok. 160), 132 nauczycieli szkół podstawowych i średnich, w tym 119 narodowości polskiej, 41 z wyższym wykształceniem, w tym 35 Polaków i kilkudziesięciu studentów szkół średnich i wyższych. O zamordowanych policjantach i wojskowych będzie mowa przy omawianiu ofiar stalinizmu.

Liczba ofiar w każdym kolejnym roku okupacji wzrastała. W początkach ginęli ludzie głównie wskutek działań wojennych i pierwszych form prześladowań faszystów. Największe nasilenie terroru nastało w pierwszych miesiącach 1945 roku również w związku ze strasznymi „marszami śmierci" osób z obozów koncentracyjnych.

Podana liczba 1852 ofiar hitlerowskich nie jest pełna. Doliczyć do niej należy co najmniej 2,5 tys. ofiar miejscowej ludności żydowskiej oraz ponad sto osób, których autor z różnych powodów nie był w stanie uwzględnić.

Ofiary stalinizmu

Zagadnienie ofiar stalinizmu na Zaolziu jest dla historyka zadaniem prostszym, ułatwionym. Nie było tu takich kontrowersyjnych spraw jak w wypadku ofiar hitleryzmu. Przede wszystkim dlatego, że był to problem specyficzny dla Zaolzia, pod względem narodowościowym chodziło niemal wyłącznie o Polaków - policjantów zawodowych, częściowo wojskowych, zaś pod względem pochodzenia o osoby urodzone na Zaolziu, lub w momencie wybuchu II wojny światowej tu mieszkające.

Również rodzaj i miejsce śmierci nie nastręczały większych kłopotów, bowiem ginęli na rozkaz Stalina jako jeńcy wojenni w pobliżu obozów je-

nieckich w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie. Wywodzili się głównie z warstwy inteligencji urzędników państwowych. Około 20 tys. jeńców wojennych z całej Polski zginęło bestialsko zamordowanych strzałem w tym głowy. Natomiast duże kłopoty były z dotarciem do odpowiednich źródeł umożliwiających identyfikację pomordowanych. Na autora czekała żmudna, czasochłonna praca, spotęgowana faktem, że dopiero na początku lat 90. XX wieku oficjalnie podano, że jest to zbrodnia dokonana przez były Związek Radziecki.

Zadania tego podjął się w pierwszym rzędzie czeski historyk Mečislav Borák, który miał już doświadczenia z tą tematyką, bowiem od lat 70. ub. wieku zajmował się gromadzeniem i ewidencją ofiar hitleryzmu na Śląsku Opawskim i Cieszyńskim. Wykazał tu dużą erudycję, doświadczenie i obiektywizm w ocenach i do czasów obecnych wciąż pogłębia badaną problematykę. Wydał kilka prac naukowych, z których dla naszych rozważań najważniejszą jest „Symbol Katynia". Przytoczę tylko, że w publikacji tej wymienia 270 ofiar stalinizmu, w tym 254 (94%) było urodzonych lub mieszkających w chwili odejścia na Zaolziu. M. Borák w miarę docierania do nowych źródeł znacznie poszerzył liczbę Zaolziaków zamordowanych przez NKWD (Narodnyj Komisariat Wnutriennych Dieł - Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych, czyli radziecką policję państwową). Sprawa nie jest jeszcze zamknięta z powodu problemów z dotarciem do właściwych źródeł w Rosji.

Polegli na frontach

Sądzę, iż dojrzewa powoli czas po temu, by większą uwagę zwrócić na Zaolziaków poległych na frontach II wojny światowej w mundurach niemieckich. Nasuwa się tu pewna analogia z sytuacją po I wojnie światowej, kiedy to we wszystkich niemalże miejscowościach naszego obszaru pojawiły się tablice czy pomniki upamiętniające poległych w walce z nieprzyjacielem, uważając ich za bohaterów. A my dotąd uważamy, moim zdaniem niesłusznie, owych poległych za zdrajców i faszystów.

Ironią losu, a zarazem tragedią społeczeństwa zaolziańskiego jest fakt, że jedna z najliczniejszych grup ofiar II wojny światowej nie jest uwzględniania w opracowaniach ofiar faszyzmu, bo polegli jako żołnierze niemieccy, chociaż w zdecydowanej większości wkładali mundur Wehrmachtu pod przymusem, z powodów egzystencjalnych, i ginęli w interesie znienawidzonego wroga. Zapominamy, że gdyby nie było II wojny światowej rozpętanej przez hitlerowców, nie byłoby tego problemu. Są w tej grupie poległych nawet tacy, którzy mieli za sobą lata pobytu w obozie koncentracyjnym, a do wojska niemieckiego zostali wcieleni po podpisaniu przez nich bądź członków ich rodziny niemieckiej listy narodowej (Volkslisty). Natomiast zaliczamy do ofiar faszyzmu takich, którzy wal-

czyli przez pewien czas w armii niemieckiej, ale po znalezieniu się w niewoli zaciągnęli się do wojska aliantów i zginęli w walce. Jest w tym pewien paradoks, który czeka na rzetelne opracowanie i zmianę świadomości społecznej. Moim celem było zasygnalizować ten problem.

Podsumowanie

W podsumowaniu podam ogólny, szacunkowy stan ofiar na Zaolziu: 4,5 tys. ofiar hitlerowskich, w tym ok. 2,5 tys. Żydów, ok. 500 ofiar stalinizmu i kilkanaście setek poległych na frontach w mundurach niemieckich. Szacunkowo można przyjąć, że zginęło w związku z zawieruchą wojenną około 6 tys. Zaolziaków. Obszar ten liczył w 1930 roku 227,4 tys. osób, czyli ofiary stanowiły 2,6% tego stanu. Przy czym należy pamiętać, że część ludności stanowili Niemcy, wśród których ofiary były minimalne. Tak wysokiej daniny krwi z czasów okrutnej niewoli nie wykazują żadne inne tereny Republiki Czeskiej.

Omawiane straty w ludziach nie były jedynym złem tych czasów. Setki obywateli miejscowych powróciły po wyzwoleniu z obozów koncentracyjnych, więzień faszystowskich, z pola walki z mocno nadszarpniętym zdrowiem. Chociaż teren ten nie ucierpiał zbytnio ani wskutek działań wojennych, ani nalotów, szkody materialne spowodowane bezwzględną eksploatacyjną gospodarką stosowaną przez okupanta oraz przez wojska radzieckie były znaczne. Niepowetowane szkody moralne poniosła miejscowa ludność słowiańska na polu kultury w szerokim słowa tego znaczeniu. Szczególnie ucierpiało szkolnictwo - budynki, wyposażenie zniszczone, duża ilość pomordowanych nauczycieli, młodzież polska, częściowo czeska przez sześć lat wychowywana w duchu ideologii faszystowskiej.

Bezsprzecznie największe straty w ludziach, szkody materialne i moralne poniosła miejscowa ludność polska. Skutki owych poniesionych strat odczuło boleśnie społeczeństwo zaolziańskie po wyzwoleniu, kiedy to w nowych warunkach społeczno-politycznych państwowości czechosłowackiej należało tworzyć podstawy nowego bytu narodowego.

Na koniec moja refleksja. Fakt, że zdecydowana większość ofiar to miejscowi Polacy, nakłada na nas moralny obowiązek zachowania o nich pamięci dla potomnych. Chodzi mi o uwzględnianie narodowości ofiar. Przecież pomordowani ginęli z konkretnych przyczyn, w imię jakichś idei, przekonań ideologicznych, dla swej ojczyzny. Jednakże okazyjne uroczystości oficjalne na ten temat nie wspominają o tych zagadnieniach, a dla niezorientowanych jest rzeczą naturalną, że chodzi o obywateli czechosłowackich, czyli Czechów. Dlatego uważam za moralne przestępstwo wobec tych ofiar, kiedy my o tym zapominamy. Kilka konkretnych przykładów.

9 IX 2004 odbyła się na trzynieckim cmentarzu doniosła uroczystość odsłonięcia tablic pamiątkowych z nazwiskami pomordowanych trzyńczan. Z zaproszenia wynika, że z 322 ofiar było „53 naszych obywateli", którzy zginęli w Oświęcimiu, 78 obywateli narodowości żydowskiej itd. Uważam, że należało podać ofiary według narodowości, przynajmniej tych „naszych". Podczas uroczystości nie padło na ten temat ani jedno słowo. Rzecznik władz centralnych z Pragi skoncentrował się głównie na atakach wobec Kościoła rzymskokatolickiego, a niedoceniony, najbardziej zasłużony w staraniach o tablice, Polak, przemawiał tylko po czesku! Nie tylko ja opuszczałem uroczystość mocno przygnębiony, zasmucony. Głos Ludu (nr 12, 29 I 2005) podaje : *(...) wg dostępnych danych w obozie Auschwitz-Birkenau zamordowano blisko 500 Zaolziaków.* W „pięciominutówce polskiej" 27 I 2005 p. Borák przytacza: zginęło w obozach 2000 Żydów i 1200 osób z Zaolzia; p. Bilan: wg obliczeń zginęło w Oświęcimiu około 500 Zaolziaków. Przykłady można byłoby mnożyć.

Wydaje mi się, że przynajmniej my, potomkowie tych ofiar, powinniśmy pamiętać, że ginęli jako Polacy.

Nasuwa się również pytanie, czy wyzwolenie spod okupacji hitlerowskiej było rzeczywiście wyzwoleniem dla wszystkich. Ale to już inny temat.

Ważniejsze źródła i literatura

Głos Ludu 1945-1950; W Obronie Prawdy 1946-1949; Mazurek Józef: Zbiory i dokumentacja ofiar; Biłko Leopold: Ofiary wojny 1939-1945 na terenie parafii jabłonkowskiej, Jabłonków 1953, 31 s., maszynopis; Borák Mečislav: Symbol Katynia. Zaolziańskie ofiary obozów i więzień w ZSSR. ZG PZKO, Czeski Cieszyn 1991, 201 s.; Kožuch Vladislav: Almanach obětí nacismu v letech 1939-1945 v okrese Frýdek-Místek, OV ČSBzS, Frýdek-Místek 1991, 75 s.; Macura Józef: Lista strat nauczycielstwa polskiego czechosłowackiej części Śląska Cieszyńskiego w okresie II wojny światowej; Przegląd Historyczny nr 4/1974; Oběti hitlerovské okupace a války 1939-1945 v okrese Karviná - Ofiary okupacji hitlerowskiej i wojny 1939-1945 w powiecie Karviná. OV ČSB za svobodu v Karviné, Karviná 1995, 318 s.; Okupacja hitlerowska na Śląsku Cieszyńskim. Praca zbiorowa pod redakcją Jana Rusnoka, ZG i SHR PZKO, Cz. Cieszyn 1993, 59 s.; Popiołek Franciszek: Ofiary okupacji hitlerowskiej, w: Zwrot nr 10/1950; Vávrovský Emil: Oběti nacistické okupace v Karviné, w: Karviná 1268-1968. Karviná 1968; Zahradnik Stanisław: Problemy związane z opracowaniem martyrologii ludności zaolziańskiej, w: Zwrot nr 5/1995, s. 12-17; Zahradnik Stanisław: Zaolziańskie ofiary okupacji hitlerowskiej (w byłych powiatach czeskocieszyńskim i frysztackim) 1939-1945, Instytut Śląski w Opolu, Opole 1988, 301 s.

STANISŁAW ZAHRADNIK

WSPOMNIENIA Z LAT DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ (6)

Tak jak poprzednio po powrocie do Oosterhout nasz pułk aż do połowy marca 1945 roku pełnił nadal nad Mozą służbę wartowniczo-patrolową. Inne jednostki dywizji oprócz przeszkolenia brały udział w akcjach, które nie zawsze kończyły się dla nas pomyślnie. 5 stycznia 1945 roku na rozkaz dowódcy korpusu dywizja wykonała pozorowane forsowanie Mozy. Artyleria dywizji i korpusu wykonała potężne przygotowanie ogniowe, później postawiła na całym brzegu zasłonę dymną, pod osłoną której przeprawiły się na drugi brzeg dwa silne patrole oficerskie. Prowadziły one do nocy walkę ogniową, w której zginęło kilku ludzi, po czym wróciły. Akcja ta miała na celu sprowokowanie artylerii niemieckiej do zdekonspirowania stanowisk ogniowych, jednak nie przyniosła oczekiwanych efektów. Jednostki dywizji uczestniczyły również w ciężkiej i krwawej walce o Kaapelsche-Veer, wyspę, którą tworzyła Moza i jej odgałęzienie Oodje na północ od wsi Kapelle, Waspik, Raamsdonk. Zarówno brzeg Mozy jak i obydwa brzegi kanału Oddje-Maasje były otoczone potężnymi wałami, które Niemcy wykorzystali do okopania się, tworząc w ten sposób z wyspy niedostępny fort, będący jednocześnie przedmościem na południowym brzegu Mozy na przypuszczalnym kierunku natarcia armii gen. Studenta. Wyspę tę atakowały nasze jednostki - 9. batalion strzelców, 10. pułk strzelców konnych, kompania strzelców podhalańskich - i próbowały aż czterokrotnie zdobyć przy silnym i długotrwałym ogniowym wsparciu artylerii, zawsze jednak bezskutecznie i przy dużych stratach, w sumie 104 poległych i rannych.

Krwawą wyspę Kaapelsche-Veer opanowano dopiero w dwa tygodnie później, podczas operacji Elephant. Dowódca armii wyznaczył do jej przeprowadzenia 10. kanadyjską brygadę strzelców, wzmocnioną dwoma batalionami czołgów pływających Buffalo i miotaczami ognia oraz silnie wspieraną przez artylerię i lotnictwo. Jednostka kanadyjska toczyła nieprzerwanie bój od 26 do 31 stycznia. Dopiero tego dnia, po wdarciu się czołgów na wały nad Mozą, wyspa została zdobyta. Sukces ten okupiono ogromnymi stratami.

Po powrocie do Oosterhout w miasteczku zastaliśmy pewne zmiany. Na ulicach pojawili się członkowie holenderskiego ruchu oporu, którzy z różowymi opaskami na rękawach z napisem Oranije pełnili funkcję strażników porządku publicznego wśród ludności cywilnej. Wzmiankuję o tym, bo zdarzył się pewien dla nas niemiły incydent. Na zabawie tanecznej, ale w innym lokalu niż miała miejsce burda z Brytyjczykami, podchmielony kapral Bronek

Górski dostał kosza od ładnej Holenderki, która notabene była w towarzystwie Holendrów. W jej obronie stanął jeden z Holendrów, którego Bronek uderzył w twarz, i rozpoczęła się bójka. Holendrzy wezwali przechodzący obok lokalu holenderski partyzancki patrol. Po wejściu do lokalu jeden z nich zdjął karabin i wycelował w kierunku kaprala. Ten, nie czekając, podskoczył, chwycił lufę karabinu i zaskoczonemu Holendrowi wyrwał go z rąk, po czym zaczął nim niby cepem wywijać dokoła. Kilku pierwszych, którzy nie zdążyli z zasięgu karabinu odskoczyć, uderzył, w dodatku byli to nasi żołnierze. Kilku dragonów doń doskoczyło, wyrwało mu karabin z ręki i obezwładniło go. Jak później stwierdziliśmy, karabin nie był nabity, ale mimo to zwróciliśmy niefortunnemu partyzantowi uwagę, że skierowanie karabinu przeciw komukolwiek bez uzasadnienia obrony własnej było fatalnym błędem. Na szczęście incydent zakończył się kilkoma siniakami bez dalszych dyscyplinarnych następstw.

Zanim wyruszyliśmy z Oosterhout do dalszych bojowych działań, godne odnotowania było zawarcie ślubu dwu sióstr z naszymi dragonami - Romkiem Smolarzem i Ryszardem Gradkiem. W uroczystości zawarcia ślubu w miejscowym katolickim kościele wziął udział prawie cały nasz szwadron ubrany w odświętne mundury, a utworzony przy gratulacjach szpaler wyglądał imponująco. Niestety dla jednej z par małżeństwo zakończyło się tragicznie. Po wymarszu 1. dywizji pancernej z rejonu Bredy przy pięknej, słonecznej pogodzie w czasie krótkiego postoju kolumny Rysiek Gradek chciał odpocząć w cieniu carriersa, położył się niefortunnie na ziemi przed pojazdem pod gąsienicami i przypuszczalnie zdrzemnął się. Właściwie to wszyscy zeszliśmy z pojazdów, by rozprostować kości i załatwić ludzkie potrzeby. Po krótkim postoju kolumna ruszyła i Romek Smolarz nawet nie zauważył, że na ich carriersie brakuje Ryszarda. Wprawił pojazd w ruch i przejechał śpiącego szwagra. Nasza załoga jechała bezpośrednio za ich pojazdem i byliśmy naocznymi świadkami tego tragicznego wypadku. Do dziś dnia pamiętam, jak byliśmy zaszokowani widokiem, gdy tamten podniósł się jeszcze i zakrzyczał „mój carriers, mój carriers mnie przejechał", po czym upadł na ziemię i skonał. Wszyscy zgodnie stwierdziliśmy, że był to nieszczęśliwy wypadek, nieumyślna, ale i niepotrzebna śmierć. Największy jednak szok przeżywał Romek, który nie był zdolny do dalszego prowadzenia pojazdu. Myślę, że wciąż miał wyrzuty sumienia, że nie sprawdził przed odjazdem, czy załoga jest w komplecie, chociaż to nie należało do jego obowiązków.

Sytuacja wojskowa w Holandii na początku kwietnia 1945 roku według publikacji „Polski czyn zbrojny w II wojnie światowej. Walki formacji polskich na zachodzie 1939-45", wyglądała następująco: 21. grupa armii ominęła północną część Holandii od południa i od wschodu, odcinając znajdu-

jące się tam wojska niemieckiego generała Blaskowitza. 2. armia brytyjska w natarciu na Bremę osiągnęła Wezerę. 1. armia kanadyjska wykonała manewr mający na celu odcięcie armii niemieckich w Holandii oraz likwidację wojsk hitlerowskich pozostałych w obszarze pomiędzy skrzydłem 1. armii, a Morzem Północnym. Armia ta posuwała się wolno od Renu wzdłuż wschodniej granicy Holandii w kierunku północno-wschodnim na Emden i Wilhelmshaven.

Pierwsza polska dywizja pancerna została ponownie włączona do 2. korpusu kanadyjskiego i otrzymała następujące zadanie: całością sił dywizji przejść przez Mozę i Ren, w ciągu dwóch dni - 7 i 8 kwietnia - dotrzeć do rejonu Goor, Neede, Borkulo, Lochen. Następnie po skoncentrowaniu się na gotowości do natarcia w kierunku północnym miała wysłać dwa oddziały wydzielone: jeden złożony z 10. pułku dragonów wzmocnionego przez 10. pułk strzelców konnych, dywizjon przeciwpancerny i dywizjon 2. pułku artylerii - z zadaniem zluzowania w Coevorden batalionu spadochroniarzy belgijskich i przeprowadzenia rozpoznania na Emmen, drugi w składzie batalion strzelców podhalańskich wzmocniony szwadronem strzelców konnych, dywizjonem 2. pułku artylerii i batalionem saperów, z zadaniem uchwycenia przedmościa Goor.

Oddziały te wyruszyły z rejonu Bredy 7 kwietnia wieczorem, a główne siły dywizji z 7 na 8 kwietnia. W ciągu 18 godzin dywizja wykonała 250 km marszu, przechodząc po drodze Mozę pod Gennep i Ren pod Rees. Historyczny moment wkroczenia polskiej dywizji na ziemię niemiecką nastąpił 8 kwietnia 1945 roku rano pod niemieckim miastem Goch. Następnego dnia dywizja skoncentrowała się w wyznaczonym rejonie. Oddział wydzielony z pułku dragonów był już w Coevorden i wysłał patrole do Emmen. Batalion podhalański zorganizował przyczółek pod Goor. Nowe zadanie brzmiało: dywizja wzmocniona kanadyjskim pułkiem artylerii, zmotoryzowanym pułkiem spadochroniarzy belgijskich uderzy w kierunku portu wojennego w Emden. Lewy sąsiad, kanadyjska 2. dywizja piechoty, miał się kierować na Groningen, a prawy, kanadyjska 4. dywizja pancerna, przebijać się na Wilhelmshaven. O nieprzyjacielu było wiadomo, że we Fryzji na lewym brzegu rzeki Ems bronią się grupy bojowe złożone z żołnierzy 363 i 366 pułku piechoty morskiej.

W związku z wymarszem pułku z Oosterhout zapamiętałem, że wielu naszych żołnierzy czule żegnało się z miejscowymi sympatiami. Ja w tym miasteczku nie zawarłem żadnych znajomości z płcią piękną, zachowałem „wierność" sympatycznej Belgijce Georgette z de Clinge i nieco późniejszej sympatii Holenderce Tiny z Rosmalen. Z naszymi staruszkami, jak ich wówczas nasza załoga nazywała (chociaż według mego dzisiejszego rozeznania wcale nie tak starych, bo mieli około 50 lat), pożegnaliśmy się, dziękując im za go-

ścinność i cierpliwe znoszenie niedogodności związanych z naszym pobytem w ich mieszkaniu. Zostawiliśmy im trochę naszych zapasów suchego prowiantu, które w owych wojennych czasach przedstawiały pewną wartość aprowizacyjną.

Kiedy nasza dywizja skoncentrowała się według rozkazu korpusu w rejonie wyznaczonym do natarcia, nasz 10 pułk dragonów już zluzował w mieście Coevorden batalion belgijskich spadochroniarzy i rozpoczął rozpoznanie i zaczepne akcje w kierunku na Emmen. W działaniach tych uczestniczył i nasz szwadron. Pewnego razu w czasie krótkiego postoju jedna z załóg pepanców, widząc w zagrodzie stadko kur, wpadła na pomysł, by nasze zbyt jednostronne „menu" wzbogacić dobrym kurzym rosołem i smacznym udkiem. Gonić kury po ogrodzie i łapać je wydawało się kolegom zajęciem niegodnym żołnierza. Postanowili więc skorzystać z myśliwskich sposobów - po prostu kury postrzelać. W tym celu dwóch dragonów z jednej strony ogrodu napędzało „ofiary" w przeciwną stronę, gdzie z przygotowanymi do strzału pistoletami maszynowymi oczekiwało dwóch strzelców. Reszta plutonu z boku przypatrywała się tej operacji. Gdy tylko stadko kur znajdowało się w połowie ogrodu, strzelcy nie wytrzymali nerwowo i rozpoczęli rzeź. Ku naszemu zaskoczeniu zamiast kur padli na ziemię naganiacze, bo kule odbite rykoszetem zaczęły im świstać koło uszu, zaś kury, z wielkim krzykiem podskakując i fruwając, rozpierzchły się po ogrodzie bez strat we własnej gromadzie. Rozkaz do odjazdu zakończył nieudaną przygodę, ale myśl o smakowitym mięsku nadal kiełkowała w głowach pechowych myśliwych. Niedługo po tym wydarzeniu nadarzyła się nowa okazja.

Po krótkich starciach z nieprzyjacielem nasz pluton pepanców pod wieczór zatrzymał się przy dużym gospodarstwie rolnym. Wówczas ożyła znowu myśl o smacznym rosole i pieczonym kurzym udku. Tym razem zmieniono strategię i taktykę. Postanowiono o zmroku po prostu zdobyć kilka kur z kurnika, oczywiście bez zgody właściciela. Chcieliśmy, aby akcja udała się bez rozgłosu, bo nie uchodziło okradać sojuszników, tym bardziej, że nie robiliśmy tego z głodu. Rozdzielono funkcje do wykonania tego zadania następująco: z każdej załogi jeden uczestnik miał wziąć udział w jego realizacji. Taktyka polegała na tym, że dwóch uczestników eskapady, wyposażonych w czekolady i inne smakołyki, miało zabawiać gospodarzy w ich mieszkaniu, gdy tymczasem dwóch innych miało wybrać kury z kurnika. Z naszej załogi właśnie na mnie padł los, byłem z tego nieszczęśliwy, bo mnie wyznaczono do działań w kurniku. Po uprzednich oględzinach kurnika weszliśmy o zmroku z dwu stron i każdy z nas po omacku na grzędzie starał się złapać kurę. Oczywiście przestraszone kury zaczęły skakać po kurniku i swoim gdakaniem robiły niesamowity hałas. Jakoś udało mi się złapać jedną, chwyciłem ją za dziób i uty-

tłany zwycięsko wykroczyłem z kurnika. Jakież było moje zaskoczenie i zdziwienie, kiedy zobaczyłem czekającego na mnie drugiego dragona trzymającego w każdej ręce po dwie kury ze skręconymi karkami. Pomyślałem sobie, że chyba już w cywilu musiał uprawiać ten proceder, gdyż z jego strony kurnika nie było słychać żadnego hałasu. No cóż, fachowiec to fachowiec, westchnąłem i żywą kurę zaniosłem kolegom do dalszej obróbki. Brzmi to paradoksalnie, ale w życiu nie zabiłem żadnej kury. Rano wyruszyliśmy z tego miejsca, a po całodziennych potyczkach z nieprzyjacielem dopiero pod wieczór już w innym miejscu korzystaliśmy z kurzych przysmaków. Jaka była reakcja okradzionych gospodarzy po stwierdzeniu ubytku w żywym inwentarzu, mogę się tylko domyślać. Ja natomiast pomimo uczestnictwa w konsumpcji wojennego „łupu" miałem pewne wyrzuty sumienia.

Nawiązując do dalszych bojowych działań 1. dywizji pancernej, należy dodać, że były prowadzone w niezwykle trudnym terenie Niziny Fryzyjskiej. Obszar ten jest położony nisko, często w depresji, bagnisty, poprzecinany licznymi rzekami, kanałami i zalewami. Poruszać się można było wyłącznie po drogach, najczęściej nasypowych. Te przeszkody wodne stanowiły główny czynnik powstrzymujący natarcie dywizji. Saperzy musieli codziennie budować po kilka mostów, ponieważ wycofujący się Niemcy wysadzali przeprawy i drogi. Teren ten również sprzyjał rozbudowie zapor minowych, czego w najszerszym zakresie nie omieszkał wykorzystać nieprzyjaciel. Niedobitki niemieckiej 1 armii spadochronowej, które wycofywały się w rejon Emden i Wilhelmshaven, walczyły zdecydowanie aż do kapitulacji.

10 kwietnia późnym wieczorem czołowe oddziały dywizji opanowały Emmen, a następnego dnia batalion podhalański zdobył węzeł drogowy Ter Apel. Przepychanie się wydzielonymi oddziałami po groblach, przez wysadzone mosty, bronione uporczywie przez nieprzyjaciela, trwało do 13 kwietnia 1945 roku. Tego dnia po zaciętej walce z batalionami niemieckiej piechoty morskiej i niedobitkami 1. armii spadochronowej czoło naszej 3. brygady strzelców zbliżyło się do Winschoten, gdzie wreszcie można było wykorzystać 10. brygadę kawalerii pancernej do równoległego natarcia wzdłuż wschodniego brzegu rzeki Ems.

W tym natarciu jeszcze na terenie Holandii, w którym nasz 10 pułk dragonów brał udział, załoga naszego pepanca poniosła dotkliwą stratę. Nasz gąsienicowy ciągnik został trafiony i zniszczony przez pocisk wystrzelony z pancerfausta, chociaż wcale do tego nie musiało dojść. Wydarzenie to miało następujący przebieg:

W okolicach wioski Oranijedorp, leżącej nad kanałem Oranija Kanaal, nasz szwadron wsparcia wraz ze szwadronem czołgów 24. pułku ułanów brał udział w akcji zapobiegającej wycofywaniu się Niemców po wschodniej stro-

nie kanału. Po obu stronach kanału były łagodne wzniesienia i gołym okiem można było zobaczyć na przeciwległym wzniesieniu wycofujące się oddziały nieprzyjaciela. Czołgi 24. pułku ułanów zatrzymały się na drodze wiodącej prostopadle do kanału, zaś nasze działka przeciwpancerne, cekaemy i moździerze na lżejszych pojazdach mechanicznych zajęły stanowiska po obu stronach drogi i ogniem zaporowym raziliśmy przeciwległe wzgórze. Dowódca szwadronu umieścił nasze działo w nienajlepszym miejscu, skąd widoczność na przeciwległą stronę była ograniczona drzewami z rozciągającego się przed nami ogrodu. Ledwie oddaliśmy z naszego działka kilkanaście strzałów, zjawił się dragon (ten sam fachowiec od kur) z rozkazem od dowódcy szwadronu. Rozkaz brzmiał następująco: Mamy wstrzymać ogień i pojechać za kanał. Na moje pytanie, czy most jest w porządku, odpowiedział wymijająco, że niby tak, a na pytanie Bronka Kaliny, dlaczego tam nie jedzie ich działo, ponownie powtórzył, że ich działko zostaje przed kanałem, a nasze ma pojechać za kanał, że taki jest rozkaz dowódcy szwadronu. Dowódca naszej załogi Pietrek nie powiedział nic, tylko dał rozkaz do odjazdu. Wstrzymaliśmy ogień, podłączyli działko do carriersa i wyruszyliśmy w kierunku drogi. Już w czasie jazdy świtało mi w głowie, że coś nie jest w porządku. Po pierwsze, dlaczego akurat nasza armatka miała pojechać za kanał. Gdyby most był w porządku, mogłyby to zrobić o wiele bezpieczniej Shermany. Po drugie, przejeżdżając koło czołgów, musieliśmy sygnalizować naszą obecność, by przestali strzelać. No i wreszcie warta zastanowienia się była dwustumetrowa odległość pierwszego czołgu od mostu na kanale. O mych wątpliwościach nic Pietrkowi nie mówiłem, bo mógłby pomyśleć, że mam stracha, chociaż nie byłby daleko od prawdy. Tymczasem czołgiści patrzyli z góry na nas jak na wariatów, specjalnie ci z pierwszego czołgu od strony kanału. Coś tam machali rękoma, ale wśród huku dział nic do nas nie docierało. Zjeżdżając w kierunku kanału, zauważyliśmy po prawej stronie zbocza drogi kryjących się kilkunastu naszych żołnierzy, ale cała nasza uwaga była skoncentrowana na most. Z większej odległości wyglądało, że jest w porządku, dopiero po przyjeździe bezpośrednio ku niemu stwierdziliśmy, że jest wysadzony i tylko nieduża szerokość kanału (10 do 15 metrów), stwarzała to pozorne optyczne złudzenie. Na konstrukcji mostu leżał zabity nasz żołnierz. Ja, siedząc z lewej strony kierowcy pojazdu, miałem przygotowany do strzału karabin maszynowy, ale za późno zauważyłem, że jakieś 15 metrów na lewo od mostu po drugiej stronie kanału jest betonowy bunkier, i zobaczyłem obok niego twarz celującego do nas z pancerfausta Niemca. Zanim zdążyłem skierować erkaem w jego kierunku, a były to ułamki sekundy, nasz ciągnik został trafiony pociskiem. Zapamiętałem tylko potężny huk i cała nasza piątka wyleciała w powietrze, by wylądować na prawym zboczu drogi, gdzie znaleźliśmy się wśród

leżących tam dragonów. Nasz pojazd już się palił i musieliśmy się wszyscy od niego na bezpieczną odległość wycofać, by uniknąć zranienia przez wybuchającą na nim amunicję. Mieliśmy szczęście w nieszczęściu, bo pocisk trafił tylko w przednie koło napędowe, a nie w bak z benzyną. Nikt z naszej załogi nie odniósł poważniejszych obrażeń, dosięgły nas tylko nieliczne odłamki, z którymi sanitariusze poradzili sobie. Ja z Bronkiem nie ponieśliśmy właściwie zbyt wielkich strat materialnych, ponieważ spalił się nam tylko ekwipunek służbowy. W ciągu dwóch dni otrzymaliśmy nowe wyposażenie, a kierowca Ludwik trzeciego dnia przyjechał w nowym carriersie. O wiele większe straty ponieśli nasi koledzy z załogi, Pietrek, Ludwik i Kazio. W ich pojęciu były to straty nie do powetowania. W ich workach spaliły się nie tylko franki, guldeny i dolary, ale również zegarki i inne kosztowności, których potem szukali w spalonym ciągniku. Przychodzi mi na myśl nasze śląskie przysłowie: Jakie nabycie takie pozbycie... Jak już zaznaczyłem, do wypadku wcale nie musiało dojść, gdyby nasz działonowy Piotr Pawłowski nie dał wiary nielogicznie brzmiącemu rozkazowi dowódcy szwadronu, przekazanemu nam przez na wpół głuchego dragona. Dowódca szwadronu wcale nie wydał dla nas rozkazu jazdy za kanał, ale polecił dragonowi powiedzieć nam, by nasz działon zmienił stanowisko ogniowe i przesunął się na drugą stronę drogi, gdzie widoczność na przeciwległe wzniesienie była lepsza i możliwość skuteczniejszego rażenia ogniem zaporowym była większa.

14 kwietnia dywizja wprowadziła do pierwszego rzutu obydwie brygady i uderzyła zgodnie z jej zadaniem po obu stronach rzeki Ems. Nacierająca bez przerwy na zachodnim brzegu 3. brygada strzelców zepchnęła nieprzyjaciela do morza w rejonie na północ od Winschoten. Zadanie to wykonała w trudnym terenie, pokonując zdecydowany opór przeciwnika, który często przechodził do kontrataków. Ważnym momentem było dotarcie patrolu brygady już 15 kwietnia do zatoki Dollart. 10. brygada kawalerii pancernej już 14 kwietnia przeprawiła się przez rzekę Ems pod Haren i na wschodnim brzegu skręciła ku północy w kierunku na Aschendorf, Papenburg i Leer. Próba sforsowania z marszu, przez zaskoczenie, poważnej przeszkody wodnej - bronionego przez nieprzyjaciela kanału Kuesten - nie powiodła się, ale dostarczyła danych o terenie, sile i zgrupowaniu nieprzyjaciela. Natarcie 15 kwietnia również zostało zatrzymane, brygada poniosła znaczne straty. Zapadła wówczas decyzja poważnego jej wzmocnienia artylerią i przeprowadzenia ponownego forsowania kanału. Do wykonania tego zadania przystąpiły dwa bataliony strzeleckie i dwa pułki pancerne z brytyjskim szwadronem czołgów miotaczy ognia, wspierane przez trzy pułki artylerii. Po przygotowaniu lotniczym siły te opanowały przyczółek. Gdy saperzy zbudowali most, wzmocniony 1. pułk pancerny wyruszył na północny brzeg kana-

łu. Zdobył przez zaskoczenie most na rzece Dever i wyszedł na północny skraj lasu pod Aschendorf.

Warte podkreślenia jest, że na wyzwolonym przez dywizję obszarze zostały uwolnione obozy koncentracyjne jeńców w Ober i Niederlangen, gdzie znajdowało się około 1700 polskich kobiet - uczestniczek powstania warszawskiego. O radości, uściskach i łzach nie będę się rozpisywał, bo i tak nie oddałbym tej właściwej atmosfery i obustronnej radości, jaka zapanowała wśród więźniarek i żołnierzy.

KAROL BARTULEC

cdn.

KSIĄDZ LEOPOLD BIŁKO

Do zasłużonych kapłanów katolickich na Śląsku Cieszyńskim należy ks. prałat Leopold Biłko (krypt. i pseud.: B., Elbe, Elka, Leb., L. Śląz.), społecznik, redaktor, kompozytor i proboszcz w Karwinie, więzień obozów koncentracyjnych i więzień polityczny w latach powojennych.

Urodził się 15.10.1892 w Końskiej, był synem Józefa i Elżbiety z Cellarów. Ukończył gimnazjum w Cieszynie. W 1911 roku wstąpił do Seminarium Duchownego w Widnawie, gdzie alumni Biskupiego Wikariatu Generalnego Cieszyńskiego odbywali studia teologiczne. Święcenia kapłańskie przyjął 26.7.1915.

Podjął pracę duszpasterską jako wikary w Dziedzicach. Po dwóch latach 1.7.1917 został wikarym w Cieszynie. Tutaj zorganizował i jako dyrygent prowadził w latach 1919-1922 chór Towarzystwa Śpiewaczego Harmonia. Wydał drukiem „Nuty do jasełek śląskich" oraz „Melodie antyfon, psalmów i pieśni pogrzebowych". Był współorganizatorem Katolickiej Rodziny Sierocej i Związku Kapłanów Unitas. Włączył się w redagowanie zasłużonego pisma Gwiazdka Cieszyńska i publikował w nim artykuły (niepodpisane). We wrześniu 1920 roku, pragnąc objąć samodzielną parafię, złożył egzamin proboszczowski.

Najbardziej jednak odpowiadała mu praca z młodzieżą. Chętnie przyjął 1.8.1919 nominację na generalnego sekretarza katolickich towarzystw kulturalno-oświatowych na Śląsku Cieszyńskim. Wszedł



wówczas w bliskie kontakty z ogólnokrajową centralą katolickich stowarzyszeń młodzieży, którą zorganizowano 20.5.1919 w Poznaniu na zjeździe generalnych sekretarzy diecezjalnych. Ogólnokrajowy sekretarz generalny Zjednoczenia Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej ks. Walery Adamski zwrócił uwagę na owocną działalność ks. Leopolda Biłki i nalegał na abpa Edmunda Dalbora, by pozyskał go do pracy w poznańskiej centrali. Biskupi Wikariat Generalny Cieszyński, zadowolony z działalności duszpasterskiej i społecznej ks. Leopolda Biłki, 1.4.1922 roku udzielił mu bezterminowego urlopu z rodzimej diecezji.

W Poznaniu ks. Leopold Biłko otrzymał stanowisko dyrektora Zjednoczenia Młodzieży Polskiej i wspólnie z ks. Walerym Adamskim został jego odpowiedzialnym kierownikiem. Objął redakcję Przyjaciela Młodzieży, ukazującego się od 1910 roku. Zachowując pierwotny, katolicki i patriotyczny program czasopisma, wzbogacił jego treść, ogłaszając artykuły dotyczące moralności chrześcijańskiej i różnych form religijności. Na łamach tego pisma wiele uwagi poświęcał nauce społecznej kościoła, dziejom misji, także uczył zawodu, zwłaszcza rolnika, informował o nowo ukazujących się książkach, drukował reportaże i felietony o aktualnych sprawach kraju i świata i także wiersze. Z funkcji redaktora naczelnego zrezygnował w 1930 r., ale pozostał redaktorem odpowiedzialnym pisma. W latach 1924–1930 redagował także Kierownika Stowarzyszeń Młodzieży (miesięcznik dla zarządów Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej). Przedstawiał w nim sprawy organizacyjne i zagadnienia wychowawczo-religijne, omawiał nowe książki i materiały do wykładów na tematy religijne, społeczne i kulturalne. Doceniał ważną rolę kapłanów jako patronów stowarzyszeń młodzieżowych. Popierał więc wydawany w Tarnowie Okólnik dla patronatów Związku Stowarzyszeń Młodzieży Męskiej, nazwany później Duszpas-

terzem Młodzieży. Przez krótki czas - w 1929 r. - był jego redaktorem odpowiedzialnym. Należał do zarządu Spółki Akcyjnej Ostoja w Poznaniu, która powstała w celu wydawania tanich czasopism i książek Zjednoczenia Młodzieży Polskiej. Wspólnie z ks. Walerym Adamskim miał decydujący wpływ na jej profil wydawniczy. Sam pisał artykuły i broszury o działalności i organizacji Stowarzyszeń Młodzieży. Swoim nazwiskiem podpisał około 200 artykułów, lecz nie jest to jego pełny dorobek pisarski okresu poznańskiego.

Swoją znajomością zagadnień duszpasterskich ks. Leopold Biłko służył kapłanom na konferencjach i kursach pastoralnych, głosząc referaty. Wydelegowany przez kardynała Augusta Hlonda na kurs duszpasterski w Czerniowicach (18-21.7.1932), wygłosił dwa referaty i dalsze dwa na kursie katechetycznym dla nauczycieli religii w polskich środowiskach w Rumunii. Pośredniczył w nabywaniu przez nich książek z Księgarni św. Wojciecha i Ostoi oraz pomógł w zorganizowaniu Polskiego Związku Szkolnego w Rumunii.

Za ofiarną pracę uzyskał godność tajnego szambelana papieskiego w 1931 roku. Szambelan to honorowy tytuł dla zasłużonych kapłanów. Gdy szeroki rozwój Akcji Katolickiej stwarzał konieczność powierzenia funkcji w tym ruchu osobom świeckim, ks. Leopold Biłko zrezygnował 1.12.1937 ze stanowiska dyrektora Katolickiego Związku Młodzieży Męskiej i Katolickiego Związku Młodzieży Żeńskiej - tak nazwano w 1934 roku Zjednoczenie Młodzieży Polskiej. Otrzymał zaś stanowisko asystenta Katolickiego Związku Młodzieży Męskiej, co jednak ograniczało jego wpływ na organizację pracy w centrali Związku.

Ks. Leopold Biłko zaczął wówczas aktywną działalność w dziedzinie muzyki kościelnej. W 1938 roku został prezesem Związku Chórów Kościelnych Archidiecezji Gnieźnieńskiej i Poznańskiej. Skomponował muzykę do kilku nowych pieśni, m.in. do „Pieśni ku czci św. Teresy" na chór męski i żeński i „Przychodzisz do nas". Wydał w trzech tomikach „Młody śpiew" oraz modlitewnik „Chwalmy Pana" z pieśniami.

Po przyłączeniu Zaolzia do Macierzy w 1938 roku i oddaniu go w administrację kościelną biskupa katowickiego sprawiło, że ks. Leopold Biłko został niespodziewanie wezwany w rodzinne strony. Poznań pożegnał go 24.11.1938. Katolicki Związek Młodzieży Męskiej wystąpił do kardynała Augusta Hlonda z prośbą, by udzielił mu nominacji na honorowego członka zarządu. Z tej okazji w centrali katolickich organizacji młodzieżowych dokonano podsumowania jego siedemnastoletniej działalności. Stwierdzono, że Zjednoczenie Młodzieży Polskiej w 1925 ro-

ku liczyło 41 tysięcy młodzieży męskiej i 26 tysięcy młodzieży żeńskiej. Natomiast w 1937 roku Katolicki Związek Młodzieży Męskiej skupiał 113 tysięcy, zaś Katolicki Związek Młodzieży Żeńskiej 150 tysięcy osób. W sekretariacie Zjednoczenia ks. L. Biłko zorganizował 21 referatów. Do najaktywniejszych należały referaty: oświatowy i naukowy, wydawniczy, spółdzielczy, przysposobienia rolniczego, wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego. W podsumowaniu podkreślono organizatorskie umiejętności ks. Biłki, jego umiłowanie pracy i talent w pozyskiwaniu sobie ludzi.

Po powrocie na Śląsk Cieszyński został proboszczem w Karwinie. Organizował tam pracę duszpasterską. W 1938 roku został referentem Wikariatu Generalnego w Cieszynie, który to urząd pełnił do czasu zajęcia Zaolzia przez Niemców. 1.12.1938 objął funkcję administratora w Karwinie, a od 1.1.1939 był tam proboszczem. W styczniu tego samego roku otrzymał Złoty Krzyż za zasługi na polu pracy społecznej.

19.9.1939 został aresztowany przez gestapo w Karwinie. Najpierw był więziony w Skrochowicach, następnie w obozach Mauthausen i Dachau. Tam odmówił w 1943 roku podpisania volkslisty i został zaszczepiony szczepionką doświadczalną flegmony, i był tzw. królikiem doświadczalnym. W Dachau poznał pisarza Gustawa Morcinka, z którym się bardzo zaprzyjaźnił. W czerwcu 1945 roku, schorowany, powrócił do Karwiny. W marcu 1949 roku był redaktorem odpowiedzialnym dwóch ostatnich numerów wychodzącego we Frysztacie tygodnika religijnego dla ludności katolickiej polskiej W obronie prawdy. Za ratowanie nowego kościoła p. w. św. Henryka w Karwinie i innych zabytków kościelnych w Karwińskiem przed szkodami górniczymi został przez władze czechosłowackie skazany na rok więzienia, z którego wrócił ciężko chory. Był wikariuszem w Jabłonkowie i Orłowej. Tam nieoczekiwanie zmarł 17.5.1955. Jest pochowany na cmentarzu w Orłowej.

Księdza prałata Leopolda Biłkę wspomina jego bliski powojenny współpracownik ksiądz prałat Miłosław Klisz (wypowiedź nagrana została 27.1.2003):

Spotkaliśmy się, kiedy ks. Biłko wrócił z obozu koncentracyjnego do starej Karwiny na probostwo. Było tam wówczas pięciu księży, m. in. późniejszy dziekan ks. Adolf Wałoszek, który siedział z nim podczas wojny w obozie, ks. Lenart, ks. Nogol. Jeździłem tam za nim na rowerze na pogawędkę albo po radę, bo byłem wówczas młodym księdzem. Jedno mnie pewnego razu zaskoczyło. Zapytał, kiedy zostałem wyświęcony na kapła-



Pogrzeb księdza Leopolda Biłki na cmentarzu komunalnym w Orłowej.

na. Odpowiedziałem, że 31 marca 1940 roku. I wtedy tak zamilkł na chwilę, zamyślił się głęboko i powiada mi: „To w 1940 roku jeszcze święciło się na kapłanów"? Bo on był w tym czasie w obozie w Mauthausen, w jednym z najstraszniejszych obozów. „Myśmy tam myśleli w tym czasie, że na świecie jest tylko szatan i jego królestwo, i żeby jeszcze kapłanów święcono, to nie do wiary". Kiedy go poznałem, zauważyłem, że jest bardzo wykształconym człowiekiem. Starał się uświadamiać nam, że kapłan powinien troszczyć się o sprawy duszpasterstwa i moralności ludzi. Były to dla nas ciekawe tematy i nowe poglądy.

Ks. Leopold Biłko współpracował z ks. Józefem Nogolem, zacnym kapłanem, nad utrzymaniem nowego kościoła w Karwinie i innych zabytków sakralnych. Było to już po tzw. zwycięskim lutym 1948 roku i nie mieli na coś tam tzw. pozwolenia państwowego, czego wówczas władze bardzo pilnowały, szczególnie w sprawach kościołów. Obydwaj zostali aresztowani. Postawiono ich przed sądem. Ks. Leopold Biłko, ponieważ spędził całą wojnę w obozie, otrzymał tylko rok więzienia, a ks. Józef Nogol dziewięć lat. Kiedy ks. Biłko wrócił z więzienia, zwrócił się do górników: „Wiecie, jaką macie moc. Napiszcie petycję do prezydenta republi-

ki o zwolnienie ks. Nogola z więzienia, bo on tam nie przeżyje". Wtedy był już prezydentem Antonín Zápotocký. I znalazł się stary górnik, nazwiska już nie pamiętam, któremu ktoś pomógł napisać urzędowy list. I ów górnik chodził i zbierał podpisy po domach. Kiedy miał już blisko tysiąc podpisów, dowiedziała się o tym tajna policja (StB). On widząc, że petycję chcą mu zabrać i zniszczyć, poszedł z nią szybko na pocztę i wysłał jako list polecony. Kiedy powrócił do domu, czekali już na niego tajniacy: „Wyście zbierali podpisy na obronę ks. Nogola? Wiecie, że to jest nielegalne?!" „Nie wiem" - udał głupiego. Nie przyznał się, z której poczty wysłał list, i rzeczywiście doszło to do prezydenta. Jak mi później osobiście opowiadał ks. Nogol, naraz wyprowadzono go z celi i zaprowadzono do dyrektora więzienia. Przyszedł tam i zobaczył, że jego ubranie cywilne leży na krześle. Został zwolniony. W ten sposób ks. Biłko pomógł ks. Nogolowi opuścić więzienie. Jednakże władze państwowe nie pozwoliły, aby obaj księża pozostali w Karwinie. Ks. Leopold Biłko został wikarym w Trzyńcu. Tam stał się bardzo szybko popularny, co nie podobało się urzędnikom państwowym. Został przeniesiony na probostwo do Orłowej i tam zmarł. Ks. Józef Nogol zmarł w Widnawie.

Opracował JÓZEF CHMIEL



JĘZYKOWE POGRANICZE CIESZYŃSKO-LASKIE (1)

DIALEKT LUDOWY I GWARY

Z codziennych kontaktów z ludźmi pochodzącymi z różnych miejscowości kraju morawsko-śląskiego dobrze wiemy, że istnieją różnice w mowie poszczególnych mieszkańców. Inaczej mówi prosty wieśniak, a nawet człowiek wykształcony, z okolic Czeskiego Cieszyna, inaczej góral jabłonkowski, a jeszcze inaczej mieszkaniec miejscowości położonych na zachód od rzeki Ostrawicy. Wszyscy twierdzą, że mówią „po naszemu", ale ich mowa jest odmienna. Przybysze z głębi krajów czeskich twierdzą, że tutejszej mowy „po naszemu" nie mogą często zrozumieć, ponieważ jest im pod wielu względami obca. W takich wypadkach nasz rodak potrafiący się posługiwać dwoma lub trzema językami zaczyna mówić, a przynajmniej usiłuje mówić inaczej, niż mówi w swoim środowisku rodzinnym, zaczyna mówić potocznym językiem czeskim.

Jesteśmy zatem świadkami wzajemnego oddziaływania w naszym regionie dwu języków, czeskiego i polskiego, oraz różnych gwar. Języki czeski i polski mają współcześnie zasięg ogólnonarodowy, lecz nie zawsze tak było. W zamierzchłej przeszłości plemiona zachodniosłowiańskie posługiwały się różnymi wariantami komunikatywnymi, które w ciągu wieków przekształciły się w **dialekty ludowe** (z greckiego *diálektos* 'sposób mówienia'). Na terenie dzisiejszej Polski południowej i północno-wschodniej części Republiki Czeskiej istniały skupienia plemienne Wiślan, Opolan, Gołęszyców, Ślężan, Trzebowian, Dziadoszan i Bobrzan. Głównym ośrodkiem Ślężan była zapewne góra Ślęża, położona na południe od Wrocławia, której biskup merseburski Thietmar (975–1018) przypisywał rolę pogańskiego ośrodka kultowego dla całego Śląska. Był to najstarszy znany na ziemiach słowiańskich ośrodek kultu pogańskiego związany z kulturą łużycką. Kontynuacją dawnego języka przedpiastowskiego skupiska etniczno-plemiennego w dorzeczu górnej Odry jest **dialekt śląski**. Jego terytorium obejmowało pierwotnie duży obszar rozciągający się na północ od pasm górskich Beskidów Śląskich i Jesioników, a na północy sięgało poza dzisiejsze miasta Kluczbork, Syców, Namysłów. Na czeskim obszarze językowym istniały pierwotnie **dialekty czeskie i hanackie** (środkowomorawskie). Te ostatnie graniczyły na północnym wschodzie (za miastem Hranice) z dialektem śląskim. Od początku państwowości polskiej dialekt śląski służył zaspokojeniu potrzeb komunikatywnych społeczności dzielnicy śląskiej wchodzącej w skład piastowskiego państwa polskiego. Jeszcze wcześniej był podstawowym środkiem porozumiewania się etnicz-

nych społeczności plemiennych, zanim stosunkowo jednorodna pierwotnie Słowiańszczyzna podzieliła się na państwa i narodowości o feudalnej strukturze społecznej. Zgodnie z późniejszymi czynnikami historycznymi, granicznymi, migracyjnymi i kulturowymi południowo-zachodnia część obszaru dialektu śląskiego uległa w ciągu swej ponad tysiącletniej historii przekształceniom, wpływom morawskim, a jej język mówiony jest obecnie nazywany **dialektem laskim**. Dialekt laski sięga na północy po rzekę Cynę i miasto Baborów (już na terenie Polski).

Ograniczony terytorialnie mniejszy obszar dialektu, jego wariant językowy, jest współcześnie nazywany **gwarą**. Gwara jest więc jednostką klasyfikacyjną podrzędną wobec dialektu, który jest zespołem gwar.

Na terenie czeskiej części Śląska Cieszyńskiego rozróżniamy obecnie następujące gwary: 1) **cieszyńską** (właściwą gwarę cieszyńską albo zachodniocieszyńską), 2) **jabłonkowską**, 3) **bogumińską**, 4) **ostrawicką** (w części południowo-zachodniej Śląska Cieszyńskiego). Niektórzy czescy językoznawcy wyróżniają w obrębie gwary cieszyńskiej jeszcze część północną, karwińską, a na zachodzie peryferyjny pas mieszany (*„polsko-český smíšený pruh", „okrajový, západní pruh"* według Běliča). Językoznawcy polscy gwar cieszyńskich w tym stopniu nie rozdrabniają, uważają bowiem, że przydawka przymiotna „mieszany" odnosi się raczej do orientacji narodowej użytkowników tej samej gwary. Przedłużeniem gwar cieszyńskiej, jabłonkowskiej i częściowo małopolskiej jest na południu, na terenie Słowacji, gwara czadecka.

Gwary cieszyńskie zaliczamy (tak samo jak np. *Šembera (1864), Bystroń (1885), Nitsch (1939), Lotko (1964), Zaręba (1969, 1973, 1974), Dejna (1973), Bąk (1974), Basara (1975), Skulina (1979), Bogocz (1997)* do **południowej grupy polskich dialektów śląskich**.

W dialekcie laskim są rozróżniane gwary: 1) **opawska** (hulczyńsko-opawska), 2) **ostrawska**, 3) **ostrawicka** (górnoostrawska), 4) **morawsko-laska** (przyborsko-sztramberska).

O gwarach tych będzie mowa w dalszych odcinkach. Ale wpierw będzie trzeba przedstawić krótki zarys historyczny obszaru cieszyńsko-laskiego, ponieważ wydarzenia historyczne były głównymi czynnikami determinującymi kierunki rozwoju gwar na tym pogranicznym terenie.

GOŁĘSZYCE I WIŚLANIE

W miejscowości Podobora, części gminy Kocobędz, znajduje się grodzisko, zwane przez lud *Cieszyniskiem* albo *Starym Cieszynem*. Jest to zespół wałów i rowów, stanowiących pozostałości po obronnym grodzie pochodzącym z fazy przedpiastowskiej okresu wczesnośredniowiecznego.

Gród ten należał albo do najbardziej na południowy wschód wysuniętego plemienia śląskiego *Gołęszyców*, albo też do plemienia *Wiślan* zamieszkujące-

go nad górną Wisłą. Nie można tego stwierdzić, ponieważ nie posiadamy na ten temat żadnych źródeł historycznych, a zdania historyków i archeologów na ten temat są podzielone.

Po roku 843 jakiś nikomu nieznany skryba frankoński, którego później zaczęto nazywać w literaturze nieściśle „Geografem Bawarskim", sporządził w Ratyzbonie nad Dunajem cenny tekst nazwany „Opis grodów i krain z północnej strony Dunaju" *(Sescriptio civitatum et regionum ad septentrionalem plagam Danubii)*. Były to dość dokładne dane o plemionach, głównie słowiańskich, zdobyte zapewne przez wywiad państwa Franków. Zapisek ten zawiera m.in. informacje o mieszkańcach dorzecza górnej Odry, gdzie mieszkało plemię Gołęszyców (zapisane w tym łacińskim tekście jako *„Golensizi"*) i dorzecza górnej Wisły, zamieszkiwanego przez Wiślan (*„Uuislane"*). Skoro dokument spisany został zaraz po roku 843, to jasne jest, że wszystkie wymienione w nim plemiona (zobacz mapkę) musiały się zorganizować i obwarować grubo wcześniej, co najmniej w VIII stuleciu. Na terytorium gołęszyckim został później wymieniony w roku 1155 Grodziec Gołęszycki (*Gradice Golensiceske*), dziś Hradec nad Moravicí, oddalony o 10 km na południe od miasta Opawy. Niektórzy historycy (np. Paweł Jasienica) twierdzą, że w skład państwa Wiślan wchodziły ludy zamieszkujące Lubelszczyznę, Sandomierszczyznę, niektóre obszary mazowieckie oraz Opolanie i Gołęszyce.

Pogląd uczonych na przynależność plemienną omawianego terytorium uległ ostatnio zmianie. W monografii „Slezsko", wydanej w Opawie w r. 1992 autorzy Pavel Kouřil, Jaroslav Bakala i Dan Gawrecki piszą na str. 40: „Aż dotychczas przeważał pogląd, że możemy je [to terytorium] mniej więcej całe przyznać plemieniu Gołęszyców. Na podstawie ostatnich badań jednak wydaje się, że nasz Śląsk Cieszyński należał raczej do sfery Opolan". Należy się z tym poglądem zgodzić.

Prawdopodobnie około roku 875 wojowniczy władca morawski Świętopełk (Swatopluk) zaczął zajmować sąsiadujące z Morawami terytoria. W ramach swej ekspansji postanowił też opanować kraje położone na północny wschód od miasta Hranice, w pierwszym rzędzie Gołęszyce, kraj Opolan i Wiślan. Miał do tego poważne powody. Państwo Wielkomorawskie utrzymywało ożywione stosunki handlowe z Rusią Kijowską. Towary musiały być przewożone przez kraje Gołęszyców i Wiślan, ponieważ Karpaty Wschodnie były bardzo zalesione i trudno dostępne. Chcąc więc, by handel rozwijał się prawidłowo, Morawianie byli zainteresowani zabezpieczeniem tranzytu przez terytoria gołęszyckie i wiślańskie. Do tego dołączyła się chęć kontroli nad podkrakowskimi złożami soli (w Wieliczce), skoro dostawy soli z terenów Austrii zostały odcięte z powodu konfliktów religijnych Wielkich Moraw z episkopatem bawarskim. (Wiadomo, że w Państwie Wielkomorawskim misjonarze Cyryl (Konstantyn) i Metody wprowadzili język słowiański do liturgii i tworzyli

kadry przyszłego duchowieństwa dla kościoła słowiańskiego, co groziło wyrwaniem tych krajów spod wpływów niemieckich.) Kiedy zabiegi i naciski dyplomatyczne na Gołęszyców i Wiślan nie przyniosły pożądanych przez Morawian skutków, bo ani Gołęszyce, ani Wiślanie nie chcieli uznać zwierzchnictwa morawskiego i przyjąć wiary chrześcijańskiej, Świętopełk, który w r. 874 zobowiązał się do wierności wobec Niemiec, rozwinął szeroką ekspansję na sąsiadujące terytoria, podporządkowując sobie na zachodzie plemiona czeskie, na południu Panonię i Pocisie, a na północy Gołęszyce, Górny Śląsk i kraj Wiślan. Najazd zbrojny wojsk księcia wielkomorawskiego w kierunku północnym spowodował spalenie i zniszczenie grodów Gołęszyców i Wiślan, opanowanie ich krajów i przymusowe ochrzczenie księcia Wiślan. Działo się to prawdopodobnie około roku 875–880. W tym czasie, a więc mniej więcej przed 1130 laty, został zburzony i spalony gród plemienny w Podoborze.

Członkowie warstwy sprawującej dotychczas rządy w krajach Gołęszyców i Wiślan zostali bądź wymordowani, bądź też uprowadzeni. Nawet (cytuję) „pogański książę silny bardzo, siedzący na Wiślech" został wzięty do niewoli morawskiej. Poświadcza to jakiś chrześcijański duchowny w IX wieku albo na początku X wieku w tekście *Żywot Metodego*, znanym z odpisu dwunastowiecznego.

Po śmierci Świętopełka w 894 roku państwo wielkomorawskie podupadło z powodu waśni dynastycznych.

Kraje Wiślan, Gołęszyców i innych plemion śląskich pozostawały pod luźną zwierzchnością morawską tylko około 26–30 lat, ponieważ około 907 roku najazdy Madziarów (Węgrów) rozbiły Wielką Morawę na drobne, zapewne uzależnione od Węgrów księstwa plemienne.

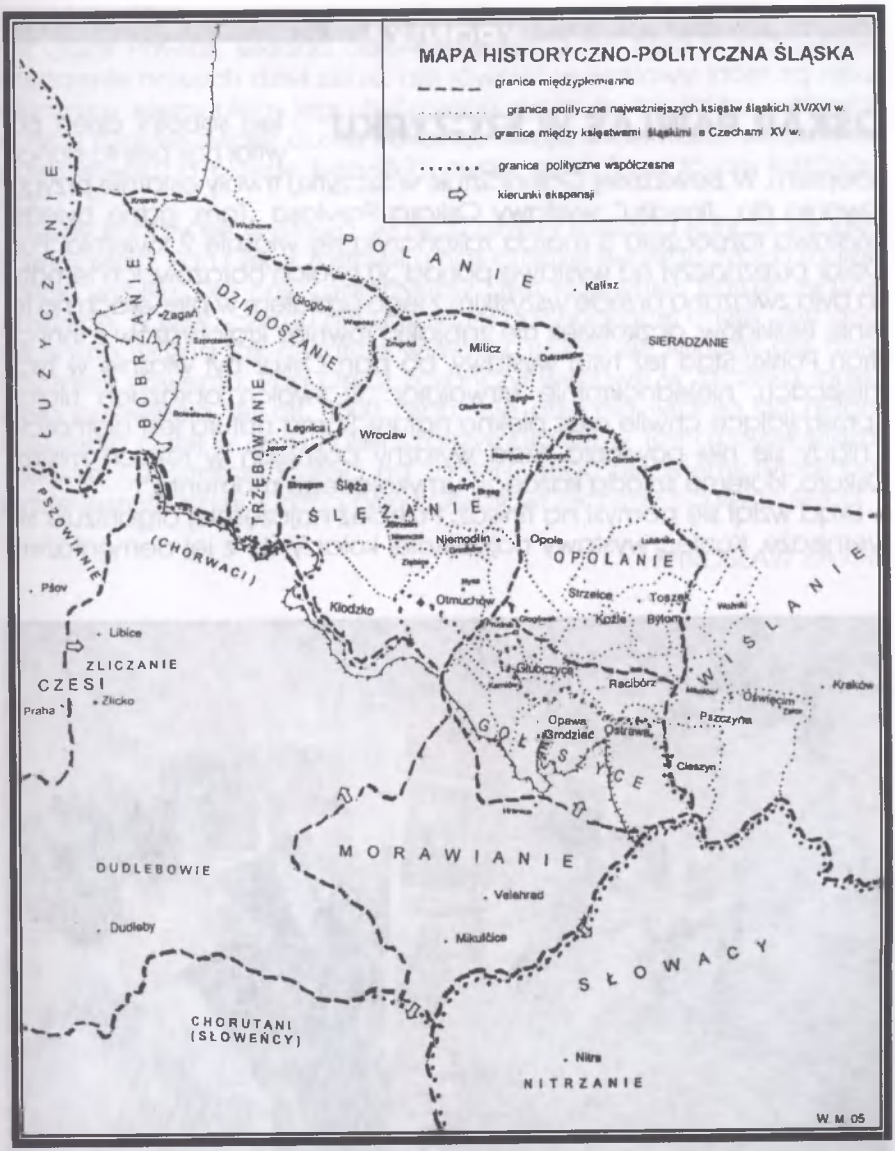
Pomimo zniknięcia dominacji morawskiej ani Wiślanie, ani Gołęszycy nigdy już nie potrafili odbudować własnej plemiennej organizacji terytorialnej ani swoich grodów. Ich siły organizacyjne (dziś powiedzielibyśmy państwowotwórcze) zostały przez Morawian całkowicie zniszczone. Zaistniała tu próżnia polityczna, do której będą wkraczały w ciągu X wieku nowe siły zewnętrzne. Były nimi najpierw Czesi, a wkrótce potem Polanie.

Jeszcze w tym samym X stuleciu ziemie Wiślan zawojował ekspansywny książę praski Bolesław I Srogi. Prastary okrągły kościółek w Krakowie na Wawelu, zwany obecnie rotundą Feliksa i Adaukta, wzniesiony w latach 973–989, upamiętnia to krótkie panowanie czeskie na południu Polski.

Z powodu braku źródeł historycznych nie znamy wydarzeń, jakie się rozegrały po rozpadzie Wielkiej Morawy na obszarach plemiennych Gołęszyców, Opolan i Wiślan. Jedno jest pewne, że Śląsk i ziemie Wiślan stały się terenem rywalizacji czeskich książąt praskich oraz polskiego plemienia Polan.

WŁADYSŁAW MILERSKI

(cdn.)


MAPA HISTORYCZNO-POLITYCZNA ŚLĄSKA
granice międzypaństwowe
granice polityczne najważniejszych księstw śląskich XV/XVI w.
granice między księstwami śląskimi a Czechami XV w.
granice polityczne współczesne
kierunki ekspansji
ŁUŻYCZANIE
BOBRZANIE
DZIADOSZANIE
TRZEBOWIANIE
POLANIE
SIERADZANIE
ŚLĘŻANIE
OPOLANIE
WISLANIE
GOŁĘSZYCE
MORAWIANIE
SŁOWACY
NITRZANIE
ZLICZANIE
CZESI
DUDLEBOWIE
CHORUTANI (SŁOWEŃCY)
(CHORWACI)
PSZOWIANIE
Kalisz
Milicz
Zagań
Głogów
Legnica
Wrocław
Ślęża
Niemodlin
Opole
Strzelce
Toszek
Kozle
Bytom
Otmuchów
Kłodzko
Racibórz
Głubczyce
Opawa
Krnov
Ostrawa
Cieszyn
Oświęcim
Kraków
Pszczyna
Velehrad
Mikulčice
Nitra
Dudleby
Libice
Žlicko
Praha
Pšov
W M 05

OSKAR PAWLAS W SZCZYRKU

Ten sobotni dzień powitał nas pełnią słońca i ciepłem. W Beskidzkiej Galerii Sztuki w Szczyrku trwały ostatnie przygotowania do „finisażu" wystawy Oskara Pawlasa „Tam, gdzie byłem". Wystawa rozpoczęta 5 marca zakończyła się właśnie 2 kwietnia. Pan Oskar przeznaczył na wystawę ponad 30 swoich obrazów. Ich tematyka była związana przede wszystkim z jego udziałem w plenerach na terenie Beskidów, aczkolwiek nie zabrakło również krajobrazów z innych stron Polski. Stąd też tytuł wystawy, bo pan Oskar był właśnie w tych miejscach, niejednokrotnie utrwalając w swoich obrazach ulotne i przemijające chwile oraz piękno natury. Sama natura jest ulotnością i nigdy się nie powtarza. Stąd wyraźny pośpiech w rękach mistrza Oskara, któremu szkoda każdego umykającego momentu.

Skąd wziął się pomysł na finisaż. Przecież najczęściej organizuje się wernisaże. Koniec wystawy najczęściej kojarzy się z jej demontażem



i ogólnym rozgardiaszem. Ale tak wcale nie musi być. Jeśli taki malarz, jak Oskar Pawlas, wkłada całe swoje serce nie tylko w malowanie i tworzenie nowych dzieł sztuki, ale również w wystawy, które są nieodłącznym elementem jego twórczego życia, to tak jakby zostawiał w nich cząstkę swojej duszy. Pokazuje swoją wrażliwość, wzruszenia, przemyślenia, a przede wszystkim swoje *ego*. A na to nie każdego stać.

Kiedy kończy się wystawa, w życiu artysty malarza kończy się jakiś kolejny etap. Pan Oskar zostawił u nas cząstkę swojego życia i malarskiego wysiłku. Dla nas, „galerzystów", jest to również bardzo ważne przeżycie. A więc czemu nie uczcić tej odchodzącej chwili. Jest ona tak samo ważna jak otwarcie wystawy. Tu coś się kończy, ale daje początek nowemu. Pan Oskar zakończył wystawę w Szczyrku, przez którą przewinęło się ok. 1500 osób, ale ona nie wróciła do niego. Pojechała dalej w głąb Polski i zatrzymała się w Tomaszowie Mazowieckim. Czy stamtąd wróci na Zaolzie? Tego nie wiemy. Może pojedzie jeszcze dalej. Czego panu Oskarowi życzymy z całego serca.

MIROSŁAW BATOR



WIOSENNE SPOTKANIE Z PIOSENKĄ

16 kwietnia br. w Domu PZKO w Nieborach odbyło się Wiosenne Spotkanie z Piosenką z udziałem dwu chórów. A mianowicie trzynieckiego Chóru Mieszanego Zgoda, który pod batutą Ireny Małysz zrzesza aktualnie 20 chórzystów z Kanady, Końskiej i Nieborów, oraz Chóru Mieszanego Lutnia z Zabrza-Pawłowa pod batutą Jana Cygana. Ten ostatni chór obchodził w marcu br. 85-lecie istnienia i posiada 38 chórzystów. Oba chóry współpracują już 18 lat. Współpraca ta polega przede wszystkim na wzajemnych spotkaniach i wspólnych koncertowaniach - wiosną u nas, jesienią w Zabrzu-Pawłowie.

Podczas wspomnianego koncertu najpierw wystąpił chór Lutnia, który na wstępie w związku z niedawną śmiercią Papieża Jana Pawła II przedstawił poświęconą Mu wiązankę pieśni oraz Jego wierszy. Potem chórzyści przedstawili część swego repertuaru. Następnym punktem programu był występ solisty (byłego członka Operetki Gliwickiej) Jana Marii Dygi, który z akompaniamentem Krystyny Stryi odśpiewał kilka arii z polskiego repertuaru operowego.

Chór Zgoda zaprezentował m.in. pieśni naszych twórców, autorów i kompozytorów oraz pieśni polskie. Na zakończenie oba chóry zaśpiewały wspólnie kilka pieśni, zamykając występ unijną już „Odą do radości" Ludwika van Beethovena.

Po programie miało miejsce wspólne biesiadowanie chórzystów i uczestników koncertu.

(kaja)



Wspólne zdjęcie obu chórów przed koncertem Fot. KAZIMIERZ JAWORSKI



DROGA DO DOVER

Ambitny zespół teatralny z Wędryni i w tym roku zaskoczył swoich widzów sztuką niezwykłą. Kierownik zespołu i reżyser w jednej osobie sięgnął po sztukę angielską, napisaną przez niezwykle popularnego na całym świecie pisarza Alana Artura Milne, autora czytanego od wielu pokoleń „Kubusia Puchatka" i „Chatki Puchatka". Milne, dziennikarz, dramaturg, pisarz i poeta żył w Anglii w latach 1882–1956. Podczas I wojny światowej walczył na froncie zachodnim, i lecząc rany, napisał swoją pierwszą sztukę teatralną. Później napisał wiele komedii, które z powodzeniem grane były na scenach nie tylko londyńskich. W roku 1923 powstała sztuka „Droga do Dover", po którą sięgnął Janusz Ondraszek. Ta sztuka, podobnie jak i inne sztuki Milne, mimo swego sentymentalizmu, urzeka ciepłym, pełnym wyrozumiałości stosunkiem autora do ludzkich słabości, a jej humanitarna wymowa idzie w parze z właściwym autorowi pogodnym humorem.

Trzeba przyznać, że reżyser i aktorzy wędryńskiej trupy teatralnej stanęli przed trudnym zadaniem, bowiem sztuka wymaga opanowania długich fraz tekstowych i kondycji, bo jest długa. Ale doświadczeni już przez lata wspólnej pracy aktorzy poradzili sobie z tym na pozór przekraczającym amatorów zadaniem. W obsadzie

przedstawienia zaprezentowali się: Janusz Ondraszek, Janina Hlavka, Daniel Kujawa, Katarzyna Witos, Mariusz Czader, Marek Kaszper, Irena Janik, Jan Biłko. Przy scenografii współpracowali Antoni Benek, Janusz Ondraszek i Mariusz Czader, a suflerką była Anna Wojnar.

Sztuką A. A. Milne „Droga do Dover", która była 176 premierą w ponad stuletnich dziejach zespołu, zespół teatralny przy MK PZKO w Wędryni uczcił 700-lecie gminy Wędrynia. Przedstawienia 23 i 24 kwietnia br. w wędryńskiej Czytelni dedykowane były przez zespół aktorski panu Jerzemu Cienciale, wieloletniemu aktorowi, kierownikowi zespołu i reżyserowi, z okazji jego 85 urodzin. Te uroczyste chwile spędzone z zespołem teatralnym dały okazję publiczności obejrzenia po raz pierwszy na własnej scenie aktorów w profesjonalnym oświetleniu. Nowe reflektory to dar Stowarzyszenia Wspólnota Polska z Warszawy.

Trud włożony przez wędryński zespół w przygotowanie kolejnej ambitnej premiery z pewnością nie pójdzie na marne i zespół zaprezentuje się również publiczności poza Wędrynią, co zresztą już uczynił, wystawiając sztukę kilkanaście dni po premierze w zaprzyjaźnionym z własną gminą Goleszowem w Polsce.

E.S.













Fot. FRANCISZEK BAŁON

KINO NA GRANICY

Przez pięć dni – od 20 do 24 kwietnia br. – oglądali w Cieszynie i Czeskim Cieszynie kinomani z obu stron Olzy filmy, które złożyły się na VII Przegląd Filmowy Kino na Granicy. Oferta organizatorów, Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej, ośrodka kultury Strzelnica, Telewizji Czeskiej Ostrawa, kina Piast i Teatru im. A. Mickiewicza, zawierała 32 filmy fabularne i krótkometrażowe, na obejrzenie których zarezerwować trzeba było, jak obliczono, 43 godziny. Nie zabrakło imprez towarzyszących w postaci koncertów (np. Mariána Vargi, zespołu Ars Nova, grupy Dg 307), wystaw, spotkań i dyskusji z twórcami filmowymi.

Bohaterami tegorocznego przeglądu retrospektywnego byli nieżyjący już czeski reżyser František Vláčil, urodzony w Czeskim Cieszynie w 1924 roku, i prawie czterdzieści lat młodszy polski twórca Mariusz Grzegorzek, który urodził się w Cieszynie w 1962 roku. Nie tylko miasto, z którego się wywodzą, było tym elementem, który ich łączył. Wspólne cechy obu artystów, na które zwrócili uwagę organizatorzy przeglądu filmowego, to wierność sobie, konsekwencja w realizowaniu własnej drogi artystycznej, nieuleganie komercji, a przede wszystkim wielki talent. W Śląskim Zamku Sztuki i Przedsiębiorczości w Cieszynie otwarto wystawę poświęconą Františkowi Vláčilowi oraz wystawę prac Mariusza Grzegorzka. Odbyło się spotkanie z Mariuszem Grzegorzkiem, oprócz filmów pokazano także jego teledyski.

Na wielbicieli nowego czeskiego kina czekało kilkanaście filmów, których premiery odbyły się w ubiegłym i bieżącym roku („Na złamanie karku" Jana Hřebejka, 2004, „Opowieści o zwyczajnym szaleństwie" Petra Zelenki, koprodukcja czesko-słowacka, 2005, „Tatuś" Jana Svěráka i Martina Dostála, 2004, „Aksamitni mordercy" Jiřígo Svobody, 2004, „Rekin w głowie" Marii Procházkowej, 2005, i inne). Była okazja do dyskusji z reżyserami Martinem Šulíkem, który zaprezentował swój najnowszy film „Słoneczne miasto" (koprodukcja czesko-słowacka, 2005), i Milanem Cieslarem, autorem pokazanych podczas przeglądu filmów „Dusza jak kawior" (2004) i „Krew zaginionego" (2005).

Czyżby czescy kinomani znali już wszystkie przedstawione podczas Kina na Granicy filmy i uznali, że nie warto obejrzeć ich po raz wtóry? To pytanie nurtowało, nie po raz pierwszy zresztą, organizatorów. Nie udało im się przyciągnąć na festiwal widza czeskiego. Gros widowni stanowiła i w tym roku polska młodzież. A przecież polskie filmy stanowiły mniejszość, bo oprócz historycznej już „Pasażerki" Andrzeja Munka wyświetlono tylko filmy Mariusza Grzegorzka. Pokazano film słowacki i węgierski, kilka koprodukcji, ale przeważały filmy czeskie. I to jest największy paradoks tego przeglądu.

C.R.

NOWE WŁADZE TNP

6 maja br. w Czeskim Cieszynie odbył się VI Zjazd Towarzystwa Nauczycieli Polskich w RC, połączony z obchodami Dnia Nauczyciela. Prezes ustępującego zarządu Małgorzata Rakowska podsumowała minioną kadencją w zakresie osiągnięć polskiego szkolnictwa w RC, wskazując wkład TNP w zapisy nowej ustawy szkolnej oraz wydany przez TNP zeszyt do ćwiczeń z zakresu edukacji regionalnej dla uczniów klas I–IV. Konsul generalny RP w Ostrawie uhonorował Medalami Komisji Edukacji Narodowej Mieczysławę Dordę, Elżbietę Gałuszkę i Leszka Kalinę. Dwudziestu pedagogów zaolziańskich szkół otrzymało Akty Uznania TNP. Zjazd dokonał wyboru nowego zarządu, w którego skład weszli: Stanisław Folwarczny, Marek Grycz, Krystyna Herman, Ilona Hudeczek, Marian Nieboras, Tomasz Śmiłowski, Barbara Dawid i Roman Kaderka. Dziewiątym członkiem zarządu jest przedstawiciel Klubu Nauczycieli Emerytów. Na pierwszym posiedzeniu nowy zarząd wybrał prezesa, którym została Barbara Dawid, dyrektor polskiej szkoły w Cierlicku.

(red.)

BOGDAN TROJAK LAUREATEM NAGRODY „MAGNESIA LITERA"

Laureatem ogólnokrajowej nagrody „Magnesia Litera" w kategorii poezji został utalentowany poeta pochodzący z Wędryni, absolwent Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie Bogdan Trojak. Tę prestiżową nagrodę czeską otrzymał za czwarty tom poezji w języku czeskim „Strýc Kaich se žení", który ukazał się pod koniec ubiegłego roku w wydawnictwie Petrov w Brnie.

Przypomnieć jeszcze wypada, iż w roku bieżącym również w wydawnictwie brneńskim, tym razem Host, ukazał się kolejny tom wierszy Bogdana Trojaka, jako jednego z najbardziej utalentowanych młodych poetów, jak pisze czeska prasa, pt. „KumšKabinet". Tom ten jest zbiorem wierszy i zawiera dorobek poprzednich tomików autora: „Kuním štětcem" (1996), „Pan Twardowski" (1998), za który otrzymał Nagrodę J. Ortena, oraz „Jezernice" (2001). W tomie tym znalazł się także utwór autora z roku 2004 „Otto Lilienthal" z równoległym przekładem polskim Renaty Putzlacher. Naturalnie nie ma tu wierszy z nagrodzonego tomu „Strýc Kaich se žení".

Jest to pewien ewenement w twórczości literackiej. Młody, zaledwie trzydziestoletni poeta, wydaje dzieła wybrane. Świadczy to o talencie, ale także o dużym zainteresowaniu jego poezją. Jego pierwsze dwa tomiki są już wyczerpane, co w poezji bywa raczej rzadkością.

Oto jeszcze jeden sukces jednego z nas poza granicami naszego zaolziańskiego światka...

(kaja)

IX FESTIWAL PIOSENKI DZIECIĘCEJ

Koncert finałowy FPD zorganizowany przez ZG Macierzy Szkolnej, PSP i Macierz Szkolną w Hawierzowie Błędowicach, Polskie Towarzystwo Artystyczne Ars Musica oraz Miejski Ośrodek Kultury w Hawierzowie odbył się 30 kwietnia w Domu Kultury im. Petra Bezruča w Hawierzowie. W jury zasiedli: Jiří Pospíšil – przewodniczący, Mirosława Knapik, Jolanta Gałuszka, Leszek Wronka i Leszek Kalina. Solistom (17), duetom (3) i trzem dziewczęcym nonetom towarzyszyła orkiestra Wiesława Farany. Autorką scenariusza i reżyserem koncertu była Lidia Pawlas. Nagrody główne w poszczególnych kategoriach otrzymali: klasy I–III – Michał Firla (PSP Gnojnik), kl. VII–IX – Klaudia Czudek (PSP Czeski Cieszyn), duety – Jolanta Szwed i Adam Farana (PSP Karwina)i Nonet z Czeskiego Cieszyna w kategorii zespoły. Nagrodę publiczności i nagrodę głowną w kategorii II otrzymała Ewa Farna, uczennica PSP w Wędryni. Koncert prowadzili uczniowie Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie: Dorota Molenda, Janina Szlaur, Tomasz Heczko i Krzysztof Kokotek.

(red.)

Michał Firla



Klaudia Czudek





Jolanta Szwed i Adam Farana



Ewa Farna



Nonet PSP w Czeskim Cieszynie



Fot. MAREK SANTARIUS

KOMBATANCKIE UROCZYSTOŚCI

Uroczyście obchodzono 60. rocznicę zakończenia II wojny światowej. Na Zaolziu główne obchody rocznicy miały miejsce w niedzielę 8 maja br. w Czeskim Cieszynie. Patronat nad uroczystością objęli ambasadorzy Rzeczypospolitej Polskiej i Wielkiej Brytanii, konsulowie RP i RC, a także Federacji Rosyjskiej, władze województwa morawsko-śląskiego i miast Czeski Cieszyn i Cieszyn, przedstawiciele Kościołów i parlamentarzyści z Zaolzia.

W godzinach porannych odbył się rajd szlakiem miejsc pamięci narodowej na Zaolziu. O godz. 12 na Konteszyńcu w obecności kombatantów i przedstawicieli innych polskich organizacji, duchowieństwa i Armii Czeskiej odbył się uroczysty apel poległych, któremu przewodził prezes Koła Polskich Kombatantów w RC Bronisław Firla. Okolicznościowe przemówienie wygłosił konsul generalny RP w Ostrawie Andrzej Kaczorowski. Złożono kwiaty.







Po południu w kościele ewangelickim Na Niwach odbyło się nabożeństwo ekumeniczne, któremu przewodzili ks. Piotr Jerzy Badura SJ i ks. senior Bogusław Kokotek. Uroczystościom na Konteszyńcu i w kościele towarzyszył chór męski Gorol z Jabłonkowa. Kulminacyjnym punktem obchodów 60. rocznicy zakończenia II wojny światowej było spotkanie w Teatrze Cieszyńskim, podczas którego konsul generalny RP w Ostrawie Andrzej Kaczorowski uhonorował odznaczeniami tych, którzy troszczą się na Zaolziu o miejsca pamięci narodowej.

Dla kombatantów, ich rodzin i tych, dla których nieobcy jest wkład Zaolzia w majowe zwycięstwo sprzed 60 lat, na scenie Teatru Cieszyńskiego w wiązance wojennej poezji i piosenek zaprezentowali się: Marek Mokrowiecki, Bogdan Kokotek, Anna Paprzyca i Beata Czendlik.

E.S.





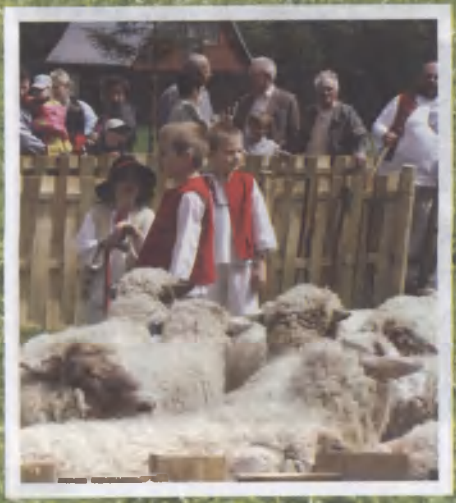




Fot. FRANCISZEK BAŁON















MIYSZANI OWIEC

14 maja w Koszarzyskach licznie zgromadzeni miłośnicy (około trzystu osób) starych ludowych tradycji mogli obejrzeć miyszani owiec, czyli zbieranie owiec w stado i wypędzanie na sałasz. Pokazowi towarzyszył jarmark, podczas którego można było obejrzeć i zakupić wyroby rękodzielnictwa i rzemiosła, a także uczestniczyć w pokazie i degustować wyrabiany na miejscu owczy ser i żeńczycę. W ramach obchodów 40-lecia działalności Sekcji Ludoznawczej odbył się tu także przegląd ludowych instrumentów muzycznych Beskidu Śląskiego i Kisuckiego oraz prezentacja nowej pozycji wydawniczej Sekcji – XV Zeszytu Ludoznawczego poświęconego tematyce sałasznictwa w Beskidach. W programie muzycznym zaprezentowała się kapela Oszczadniczka z Oszczadnicy i Męski Zespół Śpiewaczy Grónie z Wisły. Na trąbicie i rogu pasterskim grał Wojciech Troszok z Wisły. A swoje umiejętności śpiewacze zaprezentowali Otmar Kantor z Jabłonkowa i Filip Kozieł z PSP w Czeskim Cieszynie.

Organizatorami imprezy było Miejscowe Koło PZKO w Koszarzyskach, Izba Regionalna im. Adama Sikory przy Miejscowym Kole PZKO w Jabłonkowie i Sekcja Ludoznawcza przy Zarządzie Głównym PZKO z prezesem Leszkiem Richterem na czele.

E.S.

Fot. FRANCISZEK BAŁON

OŚRODEK OPIEKI SPOŁECZNEJ
w Oldrzychowicach



Projekt Stowarzyszenia Społecznego Filadelfia
Przystań Oldrzychowice
739 61 Oldrzychowice 249

Stowarzyszenie Społeczne Filadelfia – Przystań Oldrzychowice jest organizacją społeczną, która została powołana do życia 17. 3. 2003. Jej działalność jest ukierunkowana na wspieranie rodzin zastępczych. Stowarzyszenie chce być źródłem pozytywnych moralnych, socjalnych i duchowych wartości dla dzieci i młodzieży. Członkami stowarzyszenia są ludzie szanujący zasady chrześcijańskie i dbający o nie we wszystkich aspektach swej działalności. Ośrodek będzie otaczać opieką i wsparciem chrześcijańskim Kościół apostolski w Oldrzychowicach.

W naszym otoczeniu jest wiele dzieci, które nie poznały życia rodzinnego. Według dostępnych danych tylko w województwie morawsko-śląskim jest prawie 400 dzieci umieszczonych w Państwowych

Domach Dziecka, które mimo najlepszych chęci i starań nie są w stanie zastąpić dzieciom rodziny i ciepła domowego. Dlatego chcemy pomagać właśnie dzieciom opuszczonym i osieroconym, które nie mają nadziei na powrót do własnej rodziny. Chcemy dla nich stwo-rzyć rodziny zastępcze, które zapewnią im dobry start do samodzielnego życia. Z taką rodziną mogą też uzyskać swe „babcie i dziadków".

W roku 2003 Stowarzyszenie Społeczne Filadelfia rozpoczęło w pięknym otoczeniu Beskidów w Oldrzychowicach budowę dwu domków rodzinnych. Pełne funkcjonowanie tych obiektów przewidujemy w roku 2006. Kolejne działania to budowa mieszkań, które będą służyły jako przejściowe dla tych, którzy po 18 roku życia opuszczą rodziny zastępcze. W mieszkaniach tych młodzi ludzie będą uczyć się samodzielnego życia pod bacznym okiem przybranej rodziny, służącej im radą i pomocą.

Stowarzyszenie Społeczne Filadelfia zwróciło się do miejscowych firm, którym zaproponowało współuczestnictwo w budowaniu ośrodka formą darów sponsorskich w postaci finansowej czy materiałowej. Stowarzyszenie proponuje wszystkim sponsorom reklamę na wielkoformatowej planszy umieszczonej przy głównej drodze do kolejki linowej na Jaworowy.

Realizator projektu jest pozarządową niekomercyjną organizacją, Stowarzyszenie Społeczne – Občanské sdružení Filadelfie – Středisko Přístav Oldřichovice
Z siedzibą Trzyniec – Oldrzychowice nr 249, kod pocztowy 739 61.

IČO: 711 609 73
Konto bankowe: Česká spořitelna a.s. Třinec,
nr konta: 1687639349/0800
Dyrektor Bruno Heider – tel. kontaktowy: 558 348 209
tel. komórkowy: 777 249 001
e-mail: ddpristav@tiscali.cz
Strony internetowe: http://www.filadelfie.wz.cz
Grupę roboczą tworzą członkowie stowarzyszenia.

Wierzymy, że nasz projekt zainteresował Państwa i zdecydujecie się pomóc przy jego realizacji. Za jakiekolwiek wsparcie finansowe czy rzeczowe z góry dziękujemy. Wszystkich naszych sponsorów i darczyńców będziemy na bieżąco informować o przebiegu realizacji projektu.



WIERSZE NIE TYLKO DLA DZIECI

JOANNA KULMOWA
NIE WYRASTAJ Z MARZEŃ

Podobno z tego się wyrasta,
podobno to z czasem się zmienia.
Ty się nie zmieniaj, już taki zostań,
ty nie wyrastaj z marzenia.

Choćby ci było z nim niewygodnie,
choćby nawet z nim było źle ci,
to je troszkę, odrobinkę odmień,
ale go nie wyrzucaj na śmieci.

Będą mówili, żeś jeszcze dziecinny,
będą się może śmiali,
a ty się z nimi nie licz,
ty bądź taki, jaki jesteś, nie inny.

I gdybyś nawet nie mógł sprostać
światu, co zmienia się i zmienia,
to ty się nie martw, taki już zostań
ty nie wyrastaj z marzenia.

DOROTA GELLNER
W LESIE

Gdy byłam kiedyś w lesie
na ścieżkę nagle skoczył
Strach wielki,
Strach paskudny,
Strach, co miał wielkie oczy.

Co mówisz?
Że to kłamstwo?
Ach, nie mów tak, mój drogi!
Wiem, jak wygląda Kłamstwo,
Kłamstwo ma krótkie nogi.
A Strach miał nogi długie
i wielkie oczy miał,
i wcale mi nie kłamał,
tylko się strasznie bał.

POTWÓR DZIKI

W naszej łazience miejsca jest sporo,
a w białej wannie szumi jezioro.
A w tym jeziorze siedzą wodniki,
żaba zaklęta i potwór dziki.

Ale nie mówię o tym nikomu,
że mam jezioro we własnym domu,
i że czasami ten potwór dziki
pożycza sobie nasze ręczniki.

DANUTA WAWIŁOW

CZEGO MI SIĘ CHCE?

Od samego dzisiaj rana
czegoś mi się chce...
Nie cukierka, nie banana -
może piasku, może siana
albo nawet - nie wiem sama -
muchy tse-tse?

Może powie ktoś przypadkiem,
na co ja mam chęć?
Uszyć krowie suknie w kwiatki?
Wsypać pieprzu do herbatki?
Albo złapać - ciach! - do klatki
krokodyli pięć?

Co w kłopocie mi pomoże?
Jeśli ktoś z was wie,
niech mi zaraz liścik kropnie -
bo nie mogę, tak okropnie,
tak okropnie, tak okropnie
czegoś mi się chce...

JÓZEF RATAJCZAK

STARY KOTEK

Mój kotek,
leniwy już i stary,
zamiast łowić myszy
chodzi na wagary.
Kurę przestraszy,
wróbla pogoni,
w kącie za piecem
łezkę uroni.
Potem szepcze mi
Mój kotek stary:
- Proszę ciebie,
czyż
mogę złapać mysz,
jeśli muszę nosić okulary?

ALEKSANDER KACZOROWSKI

GRA W ŻYCIE
OPOWIEŚĆ O BOHUMILU HRABALU
(fragment)

– To jak w końcu było z tym Hrabalem? Wypadł z okna czy wyskoczył?

Wielu ludzi zadawało mi to pytanie, po czym, widząc moją stropioną minę, sami, z dużą pewnością siebie, na nie sobie odpowiadali.

Też bym tak chciał, ale nie potrafię. Nie byłem przecież przy nim, gdy kilka minut po czternastej, 3 lutego 1997 roku, wychylił się z okna w swoim pokoju na piątym piętrze praskiego szpitala na Bulovce. Nie było przy nim nikogo spośród tych, których ostrzeżenia, by zanadto się nie wychylał (ewentualnie, by wybił sobie z głowy myśl o samobójstwie), mógłby usłuchać.

Już od ośmiu lat nie żył Karel Marysko, serdeczny druh i pierwszy czytelnik jego młodzieńczych wierszy, zapisywanych zielonym atramentem na arkuszach papieru firmowego w opustoszałej kancelarii nymburskiego browaru, którego administratorem był František Hrabal, ojciec przyszłego pisarza. Niedługo przed Maryską zmarła Eliška, żona Hrabala, jego ukochana Pipsi (to Marysko był owym mówcą, któremu łzy wzruszenia nie pozwoliły wygłosić ostatniego słowa nad jej trumną). Kilka miesięcy wcześniej zabrał się na tamten świat brat Hrabala, Břetislav (przez bliskich zwany Slávkiem). Także rodzice pisarza i ukochany stryj Pepin już od lat wiedli pośmiertną egzystencję na kartach jego książek, podobnie jak pakowacz makulatury Jindřich Peukert (pierwowzór Haňti, bohatera „Zbyt głośnej samotności") czy zmarły śmiercią samobójczą (choć znów – można się spierać, czy nie był to wypadek!) malarz i grafik Vladimír Boudník.

3 lutego 1997 roku nie było już na tym świecie nikogo, kto byłby dla Hrabala na tyle ważny, by ten chciał dla niego żyć. Może poza kotami. Ale co tam koty; przecież nigdy wcześniej nie było tak wielu ludzi, którym Hrabal wydawałby się nauczycielem życia! Czy ktoś taki mógłby się sam życia pozbawić?

Lekarze i policja wykluczyli wersję o samobójstwie Hrabala. Za nieprawdopodobną uznał ją także jego rówieśnik i mentor z począt-

ków twórczości Jiří Kolář. Ale tłumaczka Hrabala na język niemiecki Susanne Roth (której zapisał w testamencie prawa do obcojęzycznych wydań swoich dzieł), opublikowała w czeskiej prasie ostry protest przeciw rozpowszechnianiu przez media wersji śmierci pisarza jako wypadku zniedołężniałego staruszka.

Susanne Roth w kilka miesięcy po śmierci Hrabala zmarła na raka. Być może świadomość własnej, nieuchronnej śmierci podyktowała jej tak kategoryczną opinię? Lecz także inni tłumacze i znawcy twórczości pisarza są przekonani, że popełnił samobójstwo.

Z jego książek można czerpać garściami argumenty na poparcie tej tezy; zarówno z tekstów pisanych u schyłku życia, jak i z tych najwcześniejszych. Bohaterowie książek Hrabala to istny klub samobójców: giną z własnej ręki lub przynajmniej usiłują targnąć się na swoje życie. Każdy czyni to z innych powodów: stary Haňťa nie chce żyć w nowych czasach, narwany Vladimírek być może dodusza się zupełnie niechcący, elew Pipka karze się za porażkę miłosną. Na samym początku jest jednak Kain, tytułowy bohater wczesnego opowiadania Hrabala (z 1949 roku), który próbuje się zabić... w zastępstwie samego autora.

Tylko czy z tego wynika, że pół wieku później pisarz dokończył dzieło spaprane przez swoje alter ego? Hrabal, będący już przed wojną na bieżąco ze współczesną literaturą francuską, tuż po wojnie zaczytywał się egzystencjalistami. Jego opowiadanie to literacka wprawka na temat zadany przez jednego z nich: po wojnie nie mogłem się nasycić tekstem Camusa „Obcy", który poruszył mną tak, że pod jego patronatem i z inspiracji napisałem „Kaina" - wspominał po latach. Dla jego bohatera „Obcym" jest on sam; przeciw sobie samemu zwraca ostrze swej zimnej pasji. Odratowany, godzi się z życiem - by tuż po wojnie zginąć od zabłąkanej kuli.

Ten motyw powraca w późniejszych o piętnaście lat „Pociągach pod specjalnym nadzorem": niedoszły samobójca Pipka ginie akurat wtedy, gdy najbardziej chce żyć. Może właśnie ta sekwencja zdarzeń, to - jakże prawdziwe - rozminięcie się pragnień elewa Pipki z rzeczywistością sprawia, że ten naiwny bohater tak mocno zapada w pamięć czytelników.

Próby samobójcze głównych bohaterów to mocny akcent w dramaturgii wielu utworów Hrabala. Tak jest w „Pociągach pod specjalnym nadzorem", „Zbyt głośnej samotności", „Czułym barbarzyńcy". Ale czy z tego wynika, że on sam miał skłonności samobójcze?

- Myślał pan kiedyś o samobójstwie?

- Jako pisarz? Zawsze. Jako pisarz byłem tuż-tuż... Ale żebym sam zdecydował się i poszedł gdzieś nad wodę - o, co to, to nie. Nigdy - powiedział w połowie lat osiemdziesiątych węgierskiemu dziennikarzowi László Szigetiemu.

Więc jak w końcu było?

– Moje życie osiągnęło punkt kulminacyjny – stwierdził w innym wywiadzie na kilka lat przed śmiercią. – Zapewne żyłem i pisałem jedynie po to, by napisać „Głośną samotność" – mówił już w 1989 roku.

Hrabal długo czekał na swoich czytelników. Gotowe składy drukarskie jego debiutanckich tomików wierszy i zbiorów opowiadań raz po raz rozsypywały się na zakrętach historii ojczystej; on sam lądował a to na podrzędnej stacyjce kolejowej, a to znów w składnicy makulatury. Ale takie właśnie – wykolejone – były dzieje jego kraju, taki właśnie – skazany na przemiał – był los wszystkiego, co kochał. Na tym śmietniku odnalazł cudowny lek na historię; w zwyczajnym, powszednim życiu znalazł remedium na rutynę i zobojętnienie. Nie od razu, i może nawet bez takiej intencji, bo przecież żył nie na przekór swoim czasom, i nawet nie obok nich; jego czas biegł w przeciwnym kierunku: gdy w latach pięćdziesiątych jego kraj pędził ku świetlanej przyszłości, on znalazł swój świat w peryferyjnym barze; gdy w latach sześćdziesiątych ojczyzna budowała socjalizm z ludzką twarzą, on pisał o pociągach pod specjalnym nadzorem; a gdy po zdławieniu Praskiej Wiosny 1968 roku Czechosłowacja stała się jednym wielkim „szpitalem na peryferiach", on duchem zamieszkał w browarze – tym samym, w którym przeżył dzieciństwo i młodość. A potem, na kartach pisanej w połowie lat osiemdziesiątych autobiograficznej trylogii „Wesela w domu", przemierzył znów tę samą drogę, lecz w odwrotnym kierunku – z powrotem. W samą porę, by w 1989 roku dogonić historię – tym razem z całym krajem.

Dopiero wtedy, u schyłku życia, spróbował się z nią ścigać, być kronikarzem współczesności. Słał kolejne listy, najpierw do poznanej w gospodzie U Zlatého Tigra – Pod Złotym Tygrysem amerykańskiej bohemistki April Gifford (Kwiecieńki), potem do ulubionego kota Cassiusa (nazwanego tak na cześć słynnego pięściarza Cassiusa Claya – Muhammada Alego), a wreszcie do siebie samego. Ale jak długo można pisać do siebie?

Czytelnicy go uwielbiali, ale trochę tak, jak uwielbia się stareńkiego dziadka, który ma nas rozweselać anegdotkami o dawnych, dobrych czasach. A jemu wcale nie było do śmiechu. Pisał wówczas: Kiedy w końcu bywalcy wyrzucą mnie ze Złotego Tygrysa... Za to, że konsekwentnie posyłam ich do diabła, że nazywam ich debilami, że o bywalcach Złotego Tygrysa i o ludzkości w ogóle powiadam, że to pomiot zły, głupi i występny... choć także stateczny i genialny (...) Ja sam bowiem jestem debilem, jestem zły, głupi i występny... A zatem jestem czeskim pisarzem, spadkobiercą Jaroslava Haška i nie potrafię się zachować, zachowuję się tak, jak ten histeryk McEnroe, kiedy szlag go trafia na korcie, bo wydaje mu się, że gnębią go i sędziowie boczni, i główni, i nawet publiczność, zwłaszcza wtedy, gdy nie wygrywa... Ale na fotografii Andy'ego Warhola McEnroe jest wrażliwym, sympatycznym młodym człowiekiem, jakim i ja bywałem, zanim zacząłem się otaczać, zanim zaczęto mnie otaczać kultem jednostki...

I tak zostałem Aurorą... na mieliźnie. Dobrze mi tak! (esej „US Open 92")

Czytelnicy uwierzyli, że jest tym, kogo sam wymyślił - Bohumilem Hrabalem, bohaterem napisanych przez siebie książek. Może więc i on zapragnął istnieć już tylko w taki sposób i - niczym dziecko, które bez lęku pozwala swemu ciału opaść w dół, bo wie, że huśtawka za chwilę znów porwie je do góry - dołączył do Hańti i Vladimírka?

To przyszło nagle, niemal przez noc: nie mogłem pić. Tak jakby moje ciało i duch zbuntowały się i zmówiły, że od tej pory będą odmawiać sobie tej codziennej łaźni (...) Tak czy inaczej, stwierdziłem, że najmniejsza nawet ilość alkoholu, jeden jedyny łyczek wina - powoduje bunt wątroby i krzyk „dość, dość". Mój przyjaciel, który dotychczas mnie pocieszał, porzucił mnie... odtrącił bez ostrzeżenia, tak więc zostałem sam, bez pomocy... Depresja wskutek nagłej abstynencji.

Nie, to nie fragment eseju Hrabala. Wynotował sobie ten fragment „Widzialnej ciemności" Williama Styrona latem 1993 roku. I dodawał od siebie: Codziennie myślę o samobójstwie... (...) Jest sobota, odłożyłem samobójstwo do jutra...

Ostatnie teksty Hrabala to świadectwo coraz cięższej depresji. Cierpieniom duchowym towarzyszyły bóle całego ciała, nogi odmawiały mu posłuszeństwa (wydają się zbyt oddalone ode mnie, jak drewniane nogi marionetki). Poruszał się już tylko o lasce. Dziś rano, jak zawsze po delirycznej nocy, ogoliłem się, dzisiaj już na siedząco, bo stanie sprawia mi trudność, myślałem o tym, że pan doktor Rypka ma chyba rację, co stwierdził zresztą na podstawie rentgena, że mam zwyrodnienie chrząstek międzykręgowych, toteż prędzej czy później będę jeździć na wózku... („Deliryczne wideo")

W grudniu 1996 roku przewrócił się przed swym domkiem letnim w Kersku. Częściowo sparaliżowany, trafił do szpitala na Bulovce, gdzie spędził także poprzednią zimę. Mijał tydzień za tygodniem, święta, Nowy Rok. Minął styczeń. Odwiedzali go przyjaciele: Tomáš Mazal, tłumaczka Monika Zgustová i inni; kilkoro z nich miało wrażenie, że pożegnał się z nimi na zawsze. Próbowali podtrzymać go na duchu, snuć plany na przyszłość. Hrabal tylko machał na to ręką.

Ale przecież kilka lat wcześniej pisał o swym przyjacielu, profesorze Jaroslavie Kladivie: Memu przyjacielowi Jarulinkowi, temu, który prowadził kondukt i przemawiał nad trumną Palacha, Jarulinkowi za to, że wygłosił mowę żałobną nad trumną Palacha, niebiosa odwdzięczyły się tym, że umierał na raka, a on mimo to w obronie przed niebiosami wykupił sobie kartę wędkarską, choć leżał już w szpitalu na placu Karola, związany w kij umieraniem... ("Deliryczne wideo")

Student filozofii Jan Palach w styczniu 1969 roku podpalił się na praskim placu Wacława. Złożył swoje życie w ofierze, by wstrząsnąć sumienia-

mi rodaków. Zamiast tego przeraził ich tak, że ostatecznie pogodzili się z sowiecką okupacją. W dwudziestą rocznicę jego śmierci Hrabal pisał: Tyle razy chciałem wyskoczyć z okna na piątym piętrze, gdzie mieszkam, nie z tego powodu, ale dlatego, że tak długo patrzyłem, jak umiera moja Pipsi, moja żona (...), [ale] odłożyłem ten swój skok z okna i gdybym miał dość siły, to kupiłbym kanister benzyny i również bym się podpalił, ale ja się boję, nie jestem odważny...

Prawdziwymi championami byli dla niego ludzie tacy jak pan Růžička, który po popisie akrobatycznym skoczył do pustego basenu w Moskwie i połamał sobie kręgosłup, i nie może chodzić, i używa rąk jak płetw, ale ma piękną żonę, a przede wszystkim ma, panie Hrabal, odwagę, żeby żyć, chęć do życia! A niech to szlag, a niech to wszyscy diabli, a niech to dunder świśnie, daj się pan wypchać, panie Hrabal, z tym jojczeniem i szukaniem powodu, żeby nie żyć... Jest pan chodzącą wymówką, panie Hrabal!

Napisał te słowa niespełna sześć lat przed śmiercią, 3 marca 1991 roku.

Gdzie zatem szukać klucza do zagadki jego śmierci: w jego książkach czy w biografii? Zmistyfikował swój życiorys tak, że niemal nie sposób odróżnić prawdy od zmyślenia. Czy w chwili słabości zaprzeczył swemu dziełu, będącemu konsekwentną apologią życia, świadectwem woli istnienia za wszelką cenę? Motywy samobójcze w jego najsłynniejszych utworach to przecież kontrapunkt dla pochwały życia; jak długo pisał, tak długo tylko bawił się myślą o samobójstwie, najpierw swych bohaterów, a potem siebie samego. To okrutna gra, ale takie jest samo życie. Jak długo Hrabal grał w tę grę, tak długo był pisarzem. Gdy jednak jego osiemdziesięciotrzyletnie ciało wymówiło mu posłuszeństwo, gdy jego własny organizm zdradził go, uniemożliwił odprawianie codziennego rytuału zaklinania śmierci, gdy nie mógł już więcej pisać - skończyła się literatura. Pozostał samotny, stary człowiek, który od życia mógł oczekiwać już tylko jednego - powolnego umierania.

Stryj Pepin mawiał: Ten świat jest piękny do obłędu. Nie, żeby taki był, ale ja go takim widzę. Jeśli Hrabal popełnił samobójstwo, to tylko z jednego powodu: by oszczędzić sobie losu stryja Pepina, swej „muzy w przebraniu słodownika", który dokonał żywota w domu starców, robiąc pod siebie i nie poznając nikogo, nawet ukochanego bratanka. By oszczędzić sobie losu swej żony Pipsi, która na jego oczach, miesiącami, umierała na raka. By oszczędzić sobie losu Karla Maryski, brata Slávka, profesora Kladivy i wielu innych.

Czy tak właśnie było? Za każdym razem, gdy sięgniemy po jego książki, Vladimírek będzie wieszał się na klamce, poeta Bondy zatupie ze złości nogami w maleńkich bucikach, stryj Pepin zdradzi nam kolejny sekret dzieła pana Batisty o życiu płciowym. Ale Hrabal nie zdradzi nam sekretu swojej śmierci.

O BOHUMILU HRABALU I CZESKIEJ MENTALNOŚCI
SPOTKANIE Z DZIENNIKARZEM ALEKSANDREM KACZOROWSKIM

W połowie kwietnia odwiedził Zaolzie dziennikarz i tłumacz literatury czeskiej Aleksander Kaczorowski, autor książki „Gra w życie. Opowieść o Bohumilu Hrabalu". 14 kwietnia spotkał się z czytelnikami w Bibliotece Regionalnej w Karwinie, 15 kwietnia rozmawiał z młodzieżą.

Aleksander Kaczorowski urodził się w 1969 roku w Żyrardowie (podobnie jak znany na Zaolziu Paweł Hulka-Laskowski, 1881-1946, autor książki „Księżyc nad Cieszynem", który także tłumaczył dzieła pisarzy czeskich i do dziś w Polsce czytane są „Przygody dobrego wojaka Szwejka" Jaroslava Haška w jego przekładzie). Studiował socjologię na Uniwersytecie Warszawskim i już wtedy zainteresował się książkami czeskich autorów, m.in. Bohumila Hrabala i Milana Kundery, które wychodziły w Polsce w drugim obiegu. W 1998 roku ukończył studia w Instytucie Slawistyki UW. Przetłumaczył m.in. „Czułego barbarzyńcę" Bohumila Hrabala. W roku 2001 ukazała się jego książka „Praski elementarz", zbiór esejów, zamieszczanych wcześniej w Gazecie Wyborczej, o czeskich pisarzach XX wieku i ich utworach (bohaterami byli Bohumil Hrabal, Milan Kundera, Jaroslav Seifert, Ota Pavel i inni). Był dziennikarzem Gazety Wyborczej, pracował w Newsweeku, wydawnictwie Świat Książki, obecnie jest zastępcą redaktora naczelnego tygodnika Forum.

Na spotkaniu w Bibliotece Regionalnej w Karwinie gospodarz wieczoru Helena Legowicz przedstawiła Aleksandra Kaczorowskiego jako człowieka, którego spojrzenie na Czechów jest inne od stereotypów. Gość wyjaśnił, skąd wzięło się jego zainteresowanie Czechami. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych w ramach programu promowania niezależnej czeskiej kultury ukazywało się w Polsce w niezależnych wydawnictwach poza cenzurą wiele książek czeskich autorów, bardzo modny był Milan Kundera, popularny Bohumil Hrabal, znany Josef Škvorecký, Ivan Klíma i inni. Sięgnął po nie także Aleksander Kaczorowski. *Kiedy przeczytałem Hrabala* - stwierdził na spotkaniu - *doszedłem do wniosku, że niczego innego nie chciałbym w życiu robić, tylko tłumaczyć Hrabala.* Do Pragi po raz pierwszy przyjechał w 1990 roku w czasie pielgrzymki Papieża Jana Pawła II do Czechosłowacji. Patrzył na Pragę oczyma książek Hrabala. Chodził po mieście i zwiedzał praskie gospody w poszukiwaniu Hrabalowskiego świata.

Na początku lat dziewięćdziesiątych zmalało w Polsce zainteresowanie kulturą czeską. Ale dla Aleksandra Kaczorowskiego Bohumil Hrabal, którego uważa za jednego z najlepszych pisarzy europejskich XX wieku, pozostał pisarzem najważniejszym. Postanowił zgłębić temat, interesowało go, co spra-

wiło, że w kraju przeciętnym zaistniał taki fenomen jak Hrabal. Hrabal generalnie dobrze zapamiętany został przez ludzi, którzy go znali, co już może wydać się podejrzane. Nie był pisarzem realistycznym, prędzej surrealistycznym, czeska rzeczywistość nie była podobna do świata z opowieści Hrabala, czeski człowiek okazał się inny niż bohaterowie książek Hrabala. Postacie Hrabala to według Kaczorowskiego taki czeski sen.

Aleksander Kaczorowski nie spotkał się osobiście z Bohumilem Hrabalem. Bał się, by pisarz nie wyrzucił go tak samo jak wielu innych dziennikarzy. Śmierć Hrabala, która w Czechach przeszła niemal bez echa, w Polsce stała się wydarzeniem i ponownie rozbudziła zainteresowanie jego twórczością. Oprócz książek, bo Hrabal cały przełożony został na język polski, a parało się tym kilkunastu tłumaczy, w Polsce znane były też filmy zrealizowane na podstawie opowiadań Hrabala, np. „Pociągi pod specjalnym nadzorem", „Postrzyżyny", „Święto przebiśniegów". Aleksander Kaczorowski uważa, że Hrabal tak dobrze przyjął się w Polsce dlatego, że nie narodził się tam pisarz tego rodzaju. W Polsce w literaturze XX wieku najlepsze osiągnięcia były w poezji, nie w prozie. Poza tym Hrabalowi udało się w swej twórczości najlepiej zebrać tradycje galicyjskie, oddać wrażliwość środkowoeuropejską. Hrabal nie skupiał się na martyrologii, ale pokazywał życie z punktu widzenia zwykłego prostego człowieka. Kaczorowski nie czytał Hrabala w oryginale, dobre przekłady sprawiły, że nie czuł takiej potrzeby. Po czesku natomiast czytał Škvoreckiego, którego uważa za najbardziej czeskiego pisarza.

W ostatnich latach odżyło w Polsce zainteresowanie Czechami. I na pewno jest o wiele większe niż zainteresowanie Czechów sprawami Polski. To, że Polacy trochę inaczej niż do niedawna patrzą na Czechów, sprawiło według Kaczorowskiego trzech czeskich pisarzy, oprócz Bohumila Hrabala Milan Kundera i Václav Havel. Popularnością cieszy się w Polsce nowe czeskie kino. Natomiast jeśli chodzi o młodsze pokolenie pisarzy czeskich, to Kaczorowski nie jest pewien, czy jest teraz w RC pisarz, którego należałoby przełożyć na język polski.

Na spotkaniu w Bibliotece Regionalnej pytano także Aleksandra Kaczorowskiego, co podoba mu się w mentalności narodu czeskiego. *Nic* - odpowiedział krótko, dodając, że woli oceniać narody według tego, co potrafią zrobić, jaką mają kulturę. Czesi i Polacy to dwie zupełnie różne nacje. Czesi są realistami, znają swoje miejsce, Polacy natomiast mają skłonność do mesjanizmu, chcą zbawiać świat. Czesi bardziej potrafią cieszyć się życiem, ale zadowolą się byle czym, preferują kulturę piwną, zaś Polacy to chłopskie społeczeństwo ze szlachecką kulturą.

Spotkanie z autorem książki „Gra w życie. Opowieść o Bohumilu Hrabalu" było jednocześnie jej zaolziańską promocją. Publikacja ukazała się w 2004 roku w wydawnictwie Czarne. By jeszcze bardziej zachęcić do sięgnięcia po

nią, przytaczamy na koniec fragment nietypowej recenzji tej książki autorstwa Marka Sobola.

Kochany Panie Alku! Jak Pan zapewne wie, dostałem tę Pana książkę jeszcze przed wydaniem, zanim została wydrukowana, kiedy była jeszcze jak duch, zapisana tylko w komputerze, w elektrycznych impulsach. (...) Dostałem tę Pana książkę w piątek i od razu ucieszyłem się bardzo, bo właśnie zaczynał się weekend i wiedziałem już, że nie będzie musiała długo czekać i odstać swojego w kolejce, wciąż przepychana do tyłu przez różne bardzo ważne sprawy tego świata, więc zaraz następnego dnia wziąłem swojego laptopa i poszedłem do jednej kawiarni, gdzie dają bardzo dobrą kawę i grają bardzo dobrą muzykę, która nie męczy ani duszy, ani uszu, i rozłożyłem ten swój komputer, i usiadłem w pajęczynie kabli zupełnie sam, bo nikogo tam jeszcze nie było oprócz mnie o tak wczesnej godzinie, i zacząłem czytać, a różni ludzie przychodzili, pili swoje kawy i wychodzili, jedli szarlotkę, czytali gazety albo nawet rozmawiali głośno, ale ja ich widziałem tylko kątem oka, kiedy sięgałem po kolejnego papierosa albo szedłem po kolejną kawę, i czytałem, i utopiłem się zupełnie w tej Pana książce, i pluskałem się w niej jak małe dziecko, jakbym w gorące i duszne lato, takie zupełnie nie do wytrzymania, znalazł się w końcu nad wodą i nie mógł się nacieszyć jej chłodem i jej dobrocią, i zapomniał o bożym świecie.

A kiedy po wielu godzinach już kończyłem i przyszły te strony o samotnej starości Pana Bohuška, to mnie zrobiło się jeszcze podwójnie smutno, że ta Pana książka już się kończy, i muszę przyznać, że popłakałem się zupełnie, ale nie tak głośno i krzykliwie jak małe dziecko, bo małe dzieci płaczą po to, żeby wszyscy widzieli, jakie są nieszczęśliwe, a ja płakałem cichutko, tak, żeby nikt tego nie widział. W tej kawiarni było już całkiem dużo ludzi i niektórzy spoglądali na mnie, bo tylko ja siedziałem tam z laptopem, więc musiałem udawać, że mam katar i głośno trąbić w chusteczki, i nawet przez chwilę pomyślałem sobie, że dobrze by było mieć aspirynę, taką rozpuszczalną, którą wrzuciłbym do szklanki z wodą, i wszyscy by widzieli i słyszeli, jak syczy i puszcza bąbelki, i już na pewno by się domyślili, że jestem przeziębiony, i nie myśleliby, że jestem jakimś dziwnym człowiekiem, który nie wiadomo dlaczego płacze do swojego komputera. (...)

Myślę, że udało się Panu w tej książce opisać ducha naszego kochanego Pana Bohuška, Panie Alku, coś, co ja też trochę czułem, odkąd przeczytałem chyba wszystkie jego książki, ale czego sam nigdy nie umiałbym nazwać ani opisać, i za to naprawdę Pana podziwiam i chociaż wiem, że w czeskich sprawach Pan zawsze był championem krytych kortów, że zawsze był Pan mistrzem, to wiem też, że wiedza to nie wszystko, kiedy się pisze o kulturze, że potrzebna jest jeszcze wrażliwość, i takie trzecie oko, którym się widzi więcej, którym zagląda się ludziom w dusze, a Pan, Panie Alku, takie trzecie oko ma i ja wiedziałem o tym, już kiedy czytałem „Praski elementarz", a teraz Pan to potwierdził, więc będę czekał niecierpliwie na następną Pana książkę, bo wiem, że znowu mnie czegoś mądrego nauczy. C.R.

PENETRACJA ZAOLZIAŃSKIEJ CZĘŚCI ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO PROBLEMY ZWIĄZANE Z ARCHIWIZACJĄ I TRANSKRYPCJĄ ZEBRANEGO MATERIAŁU MUZYCZNEGO

Badania terenowe są bez wątpienia podstawą, bez której nie byłoby możliwe dalsze postępowanie naukowe. Podczas tego typu działań uzyskać można specyficzną bazę materiałową, która w przypadku badań etnomuzykologicznych prowadzi do dalszych czynności, jakimi są archiwizacja i transkrypcja zebranego materiału muzycznego. Dopiero wykonanie wyżej wymienionych czynności prowadzi do próby analizy i wyprowadzania wniosków naukowych.

Jak już wspomniałam, badania terenowe są pierwszą i podstawową czynnością, którą powinien wykonać każdy folklorysta (nieodzowny jest stały kontakt z terenem, który się bada). Zebrany materiał jest nieocenionym źródłem wiedzy o badanym obszarze, o jego kulturze, historii, o ludziach, którzy tam żyli i żyją nadal, a szczególnie o kulturze muzycznej, która jest najważniejszym elementem dla etnomuzykologa.

Analizując historię polskiej folklorystyki, można zauważyć, że pierwsze badania terenowe zaczęto prowadzić w początkach XIX wieku, a ich prekursorem był Adam Czarnocki. Działał on pod pseudonimem Zorian Dołęga Chodakowski i jako pierwszy nadał tym badaniom pewien charakter i kierunek. Gromadził pieśni ludowe polskie (około 2000), ukraińskie, rosyjskie, jak również podania, wierzenia i inne przejawy twórczości ludowej. Na pewno warto zacytować słowa zbieracza dotyczące wskazówek badawczych: *Trzeba pójść i zniżyć się pod strzechę wieśniaka w różnych odległych stronach, trzeba spieszyć na jego uczty, zabawy i różne przygody. Tam, w dymie wznoszącym się nad głowami, snują się jeszcze stare obrzędy, nucą się dawne śpiewy...* Sądzę, iż cytat ten, pomimo upływu czasu, jest nadal aktualny i może służyć jako pierwsza wskazówka dla młodego naukowca. Podobną postawę w nieco rozszerzonym zakresie prezentuje Oskar Kolberg, który stał się wzorem nie tylko polskiego folklorysty, ale i antropologa muzyki.

Moim zdaniem zamieszczone powyżej wskazówki nie uległy przedawnieniu, wymagają jednak dostosowania do współczesnej metodologii i metodyki, bowiem również dzisiaj badania empiryczne są podstawą naturalnego rozwoju także etnomuzykologii. Należy gromadzić i analizować współcześnie zastany repertuar muzyczny, którego nosicielami są przedstawiciele starszego pokolenia, jak również średniego i najmłodszego, i dopiero wtedy zebrany materiał poddać odpowiedniej interpretacji.

Integralną część współczesnych badań etnomuzykologicznych, oprócz pozyskiwanego materiału w terenie, jego analizy i interpretacji, stanowią także obserwacje stanów emocjonalnych oraz zachowań informatorów. Obrazują one osobowość twórcy i odzwierciedlają indywidualny stosunek badanych osób do wykonywanego repertuaru. Na problem ten zwrócił uwagę jeden z amerykańskich etnomuzykologów, A. Merriam, którego słowa można przyjąć jako własne motto: *Antropolog nie może ograniczyć się do jednego problemu lub do jednego rodzaju zachowania, którym jest np. muzyka. Powinien widzieć muzykę w kontekście całej kultury.*

Śląsk Cieszyński, a w tym Zaolzie, poprzez swoje przygraniczne położenie, jak i dzieje historyczne i polityczne jest obszarem cennym i ciekawym pod względem badawczym, zarówno dla badacza folklorysty, jak i dla muzykologa.

Pierwsza akcja zbierania folkloru muzycznego na Śląsku Cieszyńskim przeprowadzona została na początku XIX wieku (1819 rok) i związana była z wydaniem apelu przez Towarzystwo Przyjaciół Muzyki Cesarstwa Austriackiego (Společnost přátel hudby rakouského mocnářství) w Wiedniu. W tejże odezwie zalecano zbieranie pieśni i tańców ludowych, co spotkało się z dużym zainteresowaniem wśród osób ze środowiska nauczycielskiego. Między innymi pieśni nadesłał nauczyciel skoczowski Leopold Sajunz (Zając), Paweł Polowski z Pierśćca, Wacław Gerloch z Simoradza, Karol Głośny z Dębowca czy Wincent Soblik z Karwiny. Istniało również dziewiętnaście tekstów pieśni cieszyńskich (wielkanocnych, weselnych, pogrzebowych, tanecznych), które nie posiadały miejsca zapisu. Niektóre z nich znalazły się w czeskich publikacjach oraz zbiorach pieśniowych.

W połowie XIX wieku zaczęły ukazywać się pierwsze śpiewniki. W 1849 roku wydano „Zbiór pieśni sławiańskich" Pawła Stalmacha, który przeznaczony był dla Czytelni Polskiej. W pozycji tej znalazły się pieśni polskie, czeskie, słowiańskie, chorwackie i ukraińskie. Z kolei dr Andrzej Cinciała (1825–1898), który zbierał również pieśni ludowe w latach 1847–1850, wydał je drukiem w 1885 roku jako zbiór pt. „Pieśni ludu śląskiego z okolic Cieszyna". Natomiast Wiktor Kisza (1880–1954) zaczął gromadzić materiał wokalny w latach 1899, 1900, 1903, 1904, 1905 w okolicach Strumienia i Stonawy. Zbierał także pieśni w okolicach Istebnej, Koniakowa, Jaworzynki w latach 1932–1937.

Ogromną rolę na Śląsku Cieszyńskim odegrała rodzina Londzinów z Zabrzega. Jan Londzin (1821–1906) był założycielem i kierownikiem kapeli ludowej, której członkami byli sami Londzinowie (10 osób). Miał pięciu synów, tj. Jana, Andrzeja, Pawła, Józefa i Michała, którzy byli członkami jego zespołu.

Nie sposób nie wspomnieć o Andrzeju Hławiczce (1866–1914), który

zaczął od 1901 roku wydawać „Śpiewniki szkolne", co przyczyniło się do rozwoju nauki śpiewu na Śląsku Cieszyńskim. W kolejnym etapie swojej pracy wydał „Pieśni religijne", „Pieśni śląskie i towarzyskie", zbiory „Harfa" i „Lira", a także „Pieśni okolicznościowe", jak i o jego synu Karolu Hławiczce (1894–1976). Był on muzykologiem, autorem podręczników szkolnych, dyrygentem, kompozytorem. Ogłosił m.in. dwanaście podręczników szkolnych (np. „Śpiewnik szkolny" - I część -1922, II część - 1925) oraz rozprawy na temat polonezów cieszyńskich.

Ogromne zasługi dla folklorystyki muzycznej przypisuje się Janowi Tacinie, zwanemu też beskidzkim Kolbergiem (1909–1990), który zebrał ok. 14 tysięcy pieśni. Niektóre z nich wydał w zbiorach „Gronie nasze gronie" (1959), „Pieśni ludowe Śląska Opolskiego" (1963), „Tańce ludowe Śląska Cieszyńskiego" (1981), „Kolędy beskidzkie" (1987).

Historia zbieractwa folkloru pieśniowego jest bardzo obszerna i bogata, tak że nie sposób ująć jej w całości w tym artykule, dlatego też wymieniłam najważniejsze, według mnie, postacie, które przyczyniły się do zachowania repertuaru pieśniowego dla kolejnych pokoleń. Również w czasach współczesnych warto kontynuować penetracje w terenie i archiwizować materiał, który tam funkcjonuje.

Własne badania terenowe na Zaolziu zaczęłam prowadzić w 2001 roku. W tym okresie odbywałam wywiady zarówno grupowe jak i indywidualne. Przed rozpoczęciem badań wyróżniłam na mapie Zaolzia miejscowości, uważane według wstępnej oceny za reprezentatywne dla tego terenu. Były to zarówno te położone w północnej jego części, środkowej jak i południowej (m.in. Orłowa Poręba, Lutynia Dolna, Lutynia Górna, Olbrachcice, Żuków Dolny, Gnojnik, Ligotka Kameralna, Nydek, Milików, Mosty koło Jabłonkowa, Bukowiec). Podczas wyjazdów rejestrowałam wszystkie przejawy ludowej wokalnej kultury muzycznej, która zachowała się w pamięci respondentów prezentujących głównie pokolenie urodzone w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku. Badania grupowe pozwoliły mi wyłonić respondentów kwalifikujących się do wywiadu indywidualnego. Dzięki PZKO miałam możliwość przeprowadzenia badań podczas spotkań Klubu Kobiet, chórów amatorskich itp. Badania grupowe były doskonałą formą częściowego poznania badanej społeczności oraz wyłonienia z niej jednostek uzdolnionych muzycznie i posiadających szeroki repertuar. W badanych grupach, jeśli istniało duże zróżnicowanie generacyjne, efekty były ograniczone, gdyż zdarzało się, iż starsze osoby rezygnowały ze współpracy, wówczas stosowałam technikę badań indywidualnych. W spotkaniach grupowych pojawiało się charakterystyczne zjawisko asocjacji związane z pamięcią respondentów. Jeśli któraś z badanych osób nie pamiętała szczegółów związanych z obrzędem, melodią czy słowami pieśni, inna dokonywała pewnego ro-

dzaju retrospekcji, przypominając tekst czy dodając wariant. Tworzył się łańcuch pieśni, których konektorem była postać, gatunek czy obrzęd. W jednych z przeprowadzonych przeze mnie badań takim konektorem stała się osoba zbójnika, Ondraszka, w innych był to obrzęd oczepin, przy którym respondenci przypominali sobie inne pieśni związane ze ślubem czy z weselem. Pomocne było przypominanie przez badanych ich własnych obrzędów związanych ze ślubem i weselem. Zauważyłam, iż podczas badań grupowych przeważał repertuar o charakterze biesiadnym, można powiedzieć towarzyskim, który związany był pośrednio z urodzinami, imieninami czy rocznicą ślubu.

Z kolei badania indywidualne ułatwiały nawiązanie bliższego kontaktu z respondentami i pozwalały skupić się na dogłębnej eksploatacji repertuaru. Podczas tych badań częściej prezentowany był dawny repertuar ludowy, jak i repertuar chóralny. W większości przypadków informatorzy wykazywali chęć, a nawet radość z możliwości przekazania swojej wiedzy na dany temat.

Jeśli chodzi o stronę techniczną badań terenowych, jest ona niewątpliwie ułatwiona poprzez rozwój nowoczesnego sprzętu fonograficznego. Jeszcze 150 lat temu, w epoce kolbergowskiej, badania terenowe wymagały od zbieraczy niemałych umiejętności i zdolności, takich jak słuch absolutny, doskonała pamięć muzyczna, a także umiejętność szybkiego zapisu muzycznego. Dzisiaj po części rolę tę spełnia dyktafon będący pomocnym narzędziem pracy, który ulega ciągłym modyfikacjom i ulepszeniom, a dzięki niemu można nagrać interesującą nas melodię bez wielokrotnego jej odtwarzania przez respondenta. Zebrany w ten sposób materiał muzyczny można stranskrybować, to znaczy przepisać melodię za pomocą pisma muzycznego, uwzględniając między innymi tonację i tempo. Tak przygotowany materiał porównuje się i odpowiednio interpretuje. Jest to zajęcie trudne, czasochłonne i wymagające odpowiednio rozległej wiedzy związanej nie tylko z podstawami muzyki, ale też i z kulturą muzyczną badanego obszaru.

Jestem ogromnie wdzięczna wszystkim, którzy umożliwili mi gromadzenie materiałów, szczególnie panu profesorowi Danielowi Kadłubcowi za wszelką pomoc, moim indywidualnym respondentom, tj. pani Zuzannie Czeczotkowej z Milikowa, Anieli Kupcowej z Nydku, Annie Janiczkowej, Pawłowi Pyszce z Milikowa, Annie Nagy z Mostów, Annie Wacławik z Czeskiego Cieszyna, Marii Cieślar, Władysławowi Cieślarowi z Gnojnika, Annie Łysek i Teresie Pietrowej z Bukowca, Halinie Niedobie z Mostów, Marii Szkanderze z Mostów, Helenie Kufie z Mostów, a także wszystkim kierownikom PZKO, którzy pomogli w zorganizowaniu spotkań grupowych, i wszystkim tym, którzy w tych spotkaniach brali udział.

MAGDALENA SZYNDLER

BALLADA DYDAKTYCZNA

Scena Polska Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie zaproponowała swoim widzom spektakl muzyczny „Ondraszek - Pan Łysej Góry" (premiera 2.4.2005), nawiązując w ten sposób do kilku poprzednich realizacji tematyki zbójniczej na tej scenie: „Janosik, czyli Na szkle malowane" (1976), „Karpaccy górale" (1981), „Gorący ziemniak, czyli Przypowieść o Janosiku" (1987), „Ballada dla bandyty" (2003). Po raz pierwszy zajęła się zbójnikiem najbliższym sercu Ślązaka - Ondraszkiem. Nie był to jednak zapowiadany na początku sezonu Ondraszek według prozy Gustawa Morcinka. Autorzy spektaklu Renata Putzlacher, Tomáš Kočko i Bogdan Kokotek przedstawili własną wersję historii o zbójniku spod Łysej Góry. Korzystali z wątków znanych legend, z opracowań literackich oraz źródeł historycznych, dodali osobiste rozważania i powstała opowieść o czasach, w których żył Ondraszek, o ludziach i zdarzeniach tamtej epoki.

Prawdziwy Ondraszek, pierwowzór legendarnego zbójnika, to Ondra Szebesta (1680-1715) z Janowic, syn bogatego wójta. W przedstawieniu mowa jest o wydarzeniach historycznych, które miały wpływ na kształtowanie postawy życiowej bohatera. Uwypuklono wątki religijne, a były to czasy kontrreformacji, Ondraszek jest synem katoliczki i ewangelika. Ale dla niego samego najważniejsza jest wolność w szerokim tego słowa znaczeniu. „Ondraszek - Pan Łysej Góry" to w zamiarze autorów przedstawienie o młodym człowieku, który poszukuje swego miejsca w życiu. I tym nie różni się od współczesnych nam młodych ludzi.

Autorką scenariusza do przedstawienia, a także współautorką tekstów piosenek i tłumaczką tekstów na język polski jest Renata Putzlacher. Partnerował jej Tomáš Kočko, grający na kilku instrumentach kompozytor i kierownik muzyczny całego przedsięwzięcia, jak również obok Ladislava Nezdařila autor czeskich tekstów piosenek. Nad scenariuszem współpracował też Bogdan Kokotek, reżyser i scenograf przedstawienia. Kostiumy zaprojektowała Eva Kotková. Choreografię do spektaklu przygotował Martin Krajňák. Zagrał cały zespół Sceny Polskiej, kilka osób spoza niej i dzieci pracowników teatru. Gościnnie, nie po raz pierwszy zresztą, bo pamiętamy jego Artura Ui, wystąpił także Tomasz Kłaptocz, kiedyś aktor Sceny Polskiej, który wcielił się w postać Ondraszka.

W pechowym okresie grano w Scenie Polskiej przedstawienie „Ondraszek - Pan Łysej Góry". Bo właśnie w Watykanie umierał Papież. Głoszący eku-



Fot. TC - WIESŁAW PRZECZEK

menizm Papież-Polak. Nieprzyjemnie brzmiał ze sceny głos ojca Tempesa (Ryszard Malinowski), nietolerancyjnego księdza katolickiego, rzucającego gromy na innowierców. Mimo iż wiadomo było, że czas akcji scenicznej dzieli od naszej współczesności prawie trzysta lat, to w tym kontekście jeszcze natrętniej nasuwało się pytanie, czy prawda historyczna musiała zostać tak wiernie odtworzona na scenie, czy trzeba było tak mocno rozwijać, kosztem innych, i podkreślać wątek religijny, czy nie należało złagodzić porywczego charakteru księdza, który swymi wykrzyczanymi z ambony wyrokami łacińskimi przesłonił inne ważne sprawy. Pater Tempes nie tylko widzom Sceny Polskiej wydawał się niesympatyczny, także u swoich scenicznych owieczek w janowickiej parafii nie budził sympatii, najwyżej strach, nie można się było więc dziwić, że Ondraszek zamiast na ambonę wolał spoglądać w stronę swojej Dziwej Hany (Małgorzata Pikus), góry, która uosabiała naturę i była dla niego synonimem wolności.

Mocną stroną przedstawienia stały się sceny z muzyką, śpiewem i tańcem. Tomáš Kočko, obeznany w temacie Ondrasza, wszak wydał już o nim płytę, nie zawiódł miłośników zbójnickich ballad, którzy, opuszczając teatr po spektaklu, próbowali nucić melodyjne refreny. Wśród rozśpiewanych i roztańczonych aktorów prym wiodła para młodych bohaterów -

Ondraszek, którego Tomasz Kłaptocz wyposażył w autentyczną radość istnienia, oraz dumna ze swego chłopca, a zarazem pełna godności Dorotka (Katarzyna Małolepsza). Przejmująco zaśpiewał także dyrektor Teatru Cieszyńskiego Karol Suszka w roli wójta Szebesty, inny byłby na pewno Szebesta senior w wykonaniu Pawła Niedoby, któremu choroba nie pozwoliła zakończyć prób do przedstawienia. Symboliczny, tak jak ta właśnie scena śmierci wójta, charakter miało wiele scen spektaklu, ich konwencję podkreślała umowność przestrzeni i dekoracji scenicznej.

Językiem przedstawienia stała się gwara jako mowa ludu i polski język literacki jako język, którym posługują się ludzie wykształceni. Wplecione w dialogi dane historyczne, a także sceny o kolorycie folklorystycznym miały charakter edukacyjny. Toteż niewykorzystaną szansą wydaje się pokazanie „Ondraszka - Pana Łysej Góry" w Scenie Polskiej. Gdyby przedstawienie zagrał zespół Sceny Czeskiej, zaznaczam, że autorzy przedstawienia pozostaliby ci sami, a scenariusz Renata Putzlacher bez trudu napisałaby po czesku, może nawet z elementami gwary, nie trzeba by tłumaczyć na polski piosenek, co kilku fragmentom rytmicznie wyszłoby na dobre, bo nie musiano by na siłę akcentować w wyrażeniach typu „góra wysoka", „woda głęboka" ostatniej sylaby. Nasi bracia Czesi mieszkający na Śląsku Cieszyńskim lepiej poznaliby genius loci, które wybrali na swój dom, jego zawiłości historyczne, tradycje kulturalne. Na przedstawienie Sceny Polskiej przyjdzie niewielu z nich. I znowu tylko my, Polacy, zamkniemy się w swoim gronie, usiłując wmówić sobie, że Ondrasz spod Łysej Góry to nasz śląski Ondraszek, który stawał w obronie pokrzywdzonych.

CZESŁAWA RUDNIK

JAK NAS SŁYSZĄ, TAK NAS PISZĄ LUB SPÓJRZMY NA TO TROCHĘ INACZEJ - CZYLI STYLISTYKA NA WESOŁO

O kondycji naszego języka i naszej gwary można mówić długo, zażarcie dyskutować, polemizować. W ubiegłym roku na łamach tak Głosu Ludu jak i Zwrotu pojawiły się ciekawe przyczynki na ten temat. Wspomnę tu zwłaszcza o rozważaniach Bohdana Małysza o nieporadności językowej Zaolziaka (Zwrot nr 5, 6 i 7). Oprócz kłopotów z dwujęzycznością, rolą i miejscem gwary w naszym życiu poruszyły one pośrednio również temat sprawności językowej, w zakres którego wschodzi także nauka o stylu. Tak więc o poziomie na-

szego obycia językowego świadczy również styl, z jakim posługujemy się danym językiem. W myśl tytułowego powiedzenia – *Jak nas słyszą, tak nas piszą* – warto zwrócić uwagę także na ten aspekt naszych wypowiedzi.

W szkole omawia się najczęściej użytkowe formy stylistyczne, a rzadziej już płaszczyzny i możliwości kształtowania stylu. Mając na uwadze ten fakt, jak również świadomość, że edukacja to proces wieloaspektowy i wielostronny, dajmy uczniom szansę wyboru i możliwość oryginalnego ukształtowania formy wypowiedzi językowej. Ciekawym elementem pracy wychowawczej, który stanowi nie tylko ożywienie i urozmaicenie lekcji, ale daje też szereg innych korzyści, jest próba dokonania przeróbek znanych z lektury szkolnej i innej tekstów. Może to być całość lub tylko ich część. Zabawa jest gwarantowana.

A co przez to zyskujemy?

Wprowadzamy na zasadach gry do zasobu pojęć uczniów takie hasła jak: parodia, pastisz, stylizacja, trawestacja, groteska.

Uczeń własną drogą i wysiłkiem pokonuje dystans dzielący go od utworu, epoki, autora przez to, że buduje na podstawie istniejącego już systemu własny, alternatywny, polemiczny.

Doskonali sprawność rozumienia i komunikowania.

Dla ilustracji powyższych kwestii prezentuję kilka wybranych prac czeskocieszyńskich gimnazjalistów z III C, które wybrało kolegium redakcyjne złożone z uczniów tejże klasy.

Takie działania to przyczynek do tego, by nauczyć młodzież korzystania praktycznie z ogromnego bogactwa środków, jakimi język dysponuje, by mogła ona realizować elegancko i z polotem wszelkie potrzeby komunikacyjne.

WŁADYSŁAW KUBIEŃ

(Język to dzikie mięso – więc trzeba go oswoić)

JULIAN TUWIM

PSTRYK!

Sterczy w ścianie taki pstryczek.
Mały pstryczek- elektryczek.
Jak tym pstryczkiem zrobić pstryk
To się widno robi w mig.
Bardzo łatwo:
Pstryk i światło!
Pstryknąć potem jeszcze raz
Zaraz mrok otoczy nas!

STRYK!

Na patelni smażę stryczek!
Mały stryczek – smaczny stryczek!
Jak na szpyrce zrobię stryk
To się ślina zrobi w mig.
Dym już w sali!
Stryk się pali!
Stryczek zrobię jeszcze raz!
Stary stryk wyrzucę w las!

ROMAN PIECHA

ADAM MICKIEWICZ

ŚWITEZIANKA
Jakiż to chłopiec piękny i młody?
Jaka to obok dziewica?
Brzegami sinej Świteziu wody
Idą przy świetle księżyca.

Każdą noc prawie, o jednej porze,
Pod tym się widzą modrzewiem,
Młody jest strzelcem w tutejszym borze,
Kto jest dziewczyna? - ja nie wiem.

Powiedz mi, piękna, luba dziewczyno -
Na co nam te tajemnice -
Jaką przybiegłaś do mnie drożyną?
Gdzie dom twój, gdzie są rodzice?

CIESZYNIANKA
Cóż to za student piękny i młody
I cóż to jest za studentka.
On wykuł wszystkie na blachę wzory
A ona cienka jak dętka.

Każdy dzień prawie o jednej porze
Pędzą razem do szkoły.
Ona opływa we wszelkie dostatki
A on, choć wkuwa, jest goły.

Powiedz mi piękna, bogata panno
Skąd mnogość u ciebie grosza?
Ja, chociaż pilny, nie dorobiłem się
Ni dziurawego kalosza.

MONIKA JOSIEK

ADAM ASNYK

NA POCZĄTKU

Na początku nic nie było...
Tylko przestrzeń ciemna, pusta -
Wtem jej czarne błysły oczy
I różowe, świeże usta.

Lecz nie istniał jeszcze człowiek,
Tylko martwa gliny bryła -
Aż nareszcie swym płomieniem
Pocałunkiem - mnie stworzyła.

I zbudziłem się do życia
W cudowności jasnym kraju...
Lecz mnie również tak jak innych
Wypędzono z tego raju.

NA POCZĄTKU

Na początku nic nie było...
Tylko głowa szara, pusta -
Lecz do szkoły mnie wysłano
Więc już nie jest jak kapusta.

Tak zaistniał we mnie człowiek,
Już nie martwa gliny bryła -
Bo nareszcie swym płomieniem
Swą mądrością - mnie stworzyła.

I zbudziłem się do życia
W wiadomości pełnym kraju...
Lecz nie łatwo jest każdemu
Do mądrości dotrzeć raju.

DANIEL SAMIEC

ADAM MICKIEWICZ

NIEPEWNOŚĆ

Gdy cię nie widzę, nie wzdycham, nie płaczę,
Nie tracę zmysłów, kiedy cię zobaczę;
Jednakże gdy cię długo nie oglądam,
Czegoś mi braknie, kogoś widzieć żądam;
I tęskniąc sobie zadaję pytanie:
Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?

MATEMATYKA

Zawsze gdy liczę, to wzdycham i płaczę,
Wnet tracę zmysły, gdy wynik zobaczę;
Staram się ciągle, dodaję od nowa,
Lecz braknie mi sił, już boli mnie głowa;
I licząc sobie zadaję pytanie:
Czy błąd jest we mnie? Czy to złe zadanie?

Z DOROBKU LEONA DERLICHA

OSTATNIA PRZESZKODA

Wspomnienie o profesorze Józefie Biedrawie
(fragment)

Naraz w drzwiach ukazała się postać w średnim wieku o smagłej, wyrazistej twarzy. Zjawił się bezszelestnie prawie, szedł powoli, jakby zamyślony. Powitali się przyjaźnie, uścisnęli dłonie. Dyrektor Piotr Feliks, ukazując gestem ręki na nas, powstałych z krzeseł, wymienił nasze nazwiska i sprawę, o której widocznie już z sobą mówili. Przybyły odwrócił się ku nam, obrzucił obu badawczym spojrzeniem i głosem bardziej miłosiernym niż groźnym polecił nam iść za sobą.

Pozostawił nas na korytarzu przed salą konferencyjną, a sam wszedł do środka, niebawem jednak wrócił, niosąc dużą księgę. Kilka kroków i znaleźliśmy się w cichej sali. Równymi rzędami stały puste ławki. Za oknami na jasnym tle

nieba rysowały się kontury czarne dachu oraz zielone wierzchołki drzew. Profesor zamyślonymi oczyma powiódł po ścianach, zapatrzył się w okna, wreszcie ruchem ręki ukazał nam pustą ławkę. Sam bez pośpiechu usiadł w ławce obok, przed nami położył księgę. Otworzył ją. Był to atlas; nowiusieńki, polski, takiego atlasu nie widziałem jeszcze. Na mapie pstrzyły się żywe kolory: zielone, żółtawo-brunatne, niebieskie i siatka najdziwaczniej powyginanych czarnych kreseczek i kresek. Z przyjemnością poznawałem dobrze mi znane kształty fizycznej Europy. W duchu przestałem się bać. Pan profesor popatrzył na mnie uważnie i, palcem dotykając mapy, zapytał:

- Proszę mi powiedzieć, co oznaczają te oto niebieskie plamki?

- Pojezierze Fińskie! - pośpieszyłem z odpowiedzią.

- A ta duża?

- Ta duża to jest... Zatoka Botnicka!

- A co to jest? - pytając, wolnym ruchem zakreślił nad mapą elipsę.

- Półwysep Skandynawski... Szwecja i Norwegia! - dodałem z cichą pewnością siebie.

- Dobrze, dziękuję!

Z treści oraz tonu ostatnich słów pytającego zrobiło mi się ciepło koło serca. „Sprzyjało ci szczęście" - przeczytałem w niespokojnych oczach kolegi. Profesor przesunął trochę otwarty atlas, żeby kolega lepiej widział. Zapytał go o główne strony świata, potem, jakie zna miasta polskie i gdzie znajdują się na mapie.

Nie upłynęło dwadzieścia minut i staliśmy z powrotem w dyrekcji. My dwaj u drzwi prowadzących do gabinetu sekretarki, podczas gdy nasz profesor, opierając się lekko o biurko, mówił do dyrektora półgłosem; widocznie zdawał głowie zakładu sprawę z przeprowadzonego egzaminu. Obserwująca nas nachmurzona twarz rozpogadzała się, wreszcie i uśmiechnęła.

- Pan profesor mi mówi - zaczął dyrektor z zadowoleniem - że z geografią u was nieźle, twierdzi nawet, że bardzo dobrze. To ładnie, obu nas to cieszy. A jak tam reszta przedmiotów? Jak łacina? Materiał przerobiony, opanowany?

- Tak, proszę! - wyrwałem się pochopnie, choć niepokój ściskał mi gardło.

- No, to moglibyśmy się od razu przekonać! - zaproponował dyrektor, zapraszając profesora gestem jako świadka. A patrząc na mnie, zapytał:

- Jak przetłumaczyłbyś na język łaciński wyrażenie „pracowałem"?

- „Laborabam!"

Szukając u pedagogów oznaki aprobaty dla tej mojej odpowiedzi, tylko w kącikach ust profesora dostrzegłem lekki uśmieszek. Zachmurzony pan dyrektor pytał dalej:

- A jak „będę pracował"?

- „Laborabo" - odpowiedziałem zmieszany.

- Zgoda! Tylko musisz dotrzymać słowa! - rzekł z naciskiem, wymieniając z profesorem dyskretny uśmiech.

Mój kolega i towarzysz miał trochę stracha, jąkał się, otrzymał za to więcej

pytań. Ale w sumie wybrnął z kłopotu i on szczęśliwie. Okazało się, że na tych właśnie zaimprowizowanych pytaniach z gramatyki łacińskiej zakończył się nasz egzamin wstępny. Oświadczył nam to z miną urzędową, choć głosem przyjaznym i ciepłym, sam pan dyrektor, informując równocześnie, że przydzieleni zostajemy do klasy drugiej „a". Dla ostrzeżenia zaraz dodał, że czekają nas niewątpliwie liczne jeszcze trudności, dlatego będziemy się musieli pilnie uczyć, aby im podołać i nadążyć za innymi.

A więc jesteśmy przyjęci! Najbardziej obawialiśmy się pytań z języka polskiego, a te darowano nam! Nie pamiętam, ale zapewne nigdy w życiu nie ukłoniłem się nikomu tak głęboko jak wtenczas, odchodząc, kłanialiśmy się obu naszym egzaminatorom.

Tego samego dnia popołudniu pobiegłem na ulicę Młyńską, aby panu Adamowi opowiedzieć o przebiegu oraz wyniku egzaminu. Od niego dowiedziałem się, że egzaminatorem naszym z geografii był profesor Biedrawa, wielki flegmatyk, ale i ozdoba naukowa gimnazjum.

Rozpoczął się rok szkolny, mój pierwszy rok w murach polskiej szkoły. Była to dla mnie pod każdym względem wielka i wzruszająca zmiana, głęboko odczuwana i przeżywana. Któregoś dnia na pierwszej lekcji niemieckiego zjawił się w naszej klasie pan profesor Biedrawa. Dotychczas każdemu z moich nowych nauczycieli musiałem się osobno przedstawiać, tłumaczyć, com zacz i skąd przychodzę. On złamał regułę. Opanowany w ruchach i słowach zbył formalności zaznajamiania się z klasą, świeżo upieczonych ginazjalistów, przybłędów frysztackich, jak gdyby przy tym nie był zauważył wcale. Tak było i później na jego lekcjach. Stawał zwykle na skraju podium, samą postawą i spokojem swoim budząc posłuch. Rozmawiając z klasą, nie podnosił głosu, nigdy nie krzyknął, tylko jakąś utajoną energią promieniejący podtrzymywał uwagę uczniów. Jak znakomitym był nauczycielem niemieckiego, zrozumieliśmy w drugim półroczu, gdy nas opuścił, a na jego miejsce przyszedł inny wykładowca, złoty człowiek, lecz słabiutki germanista.

W następnych latach pan profesor Biedrawa już mnie nie uczył, zajęty wykładami języków obcych w wyższych klasach gimnazjum. Spotykałem go niekiedy na korytarzu, na podwórzu, widywałem, jak kroczył w swoim zamyśleniu ścieżką pochyłą w stronę bursy albo szedł w towarzystwie pana dyrektora, innych członków grona profesorskiego lub starszych uczniów drogą na dworzec kolejowy. Szkołę orłowską opuściliśmy równocześnie, w czerwcu 1922, i odtąd już go nie widziałem.

Gdy wspominam lata mojej młodości i powracam z rozrzewnieniem do chwil spędzonych w murach gmachu gimnazjum realnego na Obrokach orłowskich, przypomina mi się żywo scena, kiedy siedzieliśmy we trzech w pustej klasie, między nami leżał otwarty duży, nowiutki atlas, na mnie patrzały mądre oczy profesora Józefa Biedrawy, a ja pokonywałem ostatnią przeszkodę na drodze mojej do polskiej szkoły.

STO LAT ŚPIEWU CHÓRALNEGO W STONAWIE DZIESIĘCIOLECIE CHÓRU MIESZANEGO STONAWA

U zarania...

Sto lat upłynęło od chwili, kiedy to w Stonawie powstał pierwszy zespół śpiewu chóralnego. W chórze męskim, który powstał w roku 1905 przy Czytelni Ludowej z inicjatywy nauczyciela Andrzeja Wronki, nie śpiewano jeszcze z nut, chociaż już na cztery głosy. W pięć lat później, po rozwiązaniu Czytelni Ludowej, założono Koło Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego, a przy nim chór mieszany. Prowadził go aż do wybuchu pierwszej wojny światowej Franciszek Jeżowicz.

Chór po wojnie ponownie powołano do życia. Skupiał on w okresie międzywojennym od 30-50 śpiewaków, a prowadził go Henryk Kosarz. W okresie międzywojennym powstały w Stonawie po założeniu na Zaolziu przy Macierzy Szkolnej w r. 1927 Związku Polskich Chórów jeszcze dwa inne chóry: w r. 1930 Chór Mieszany Związku Młodzieży Ewangelickiej, którym dyrygowali Karol Fuzek, Jan Farnik i Korneliusz Niemczyk, oraz w rok później Chór Mieszany Młodzieży Katolickiej, który założył ks. Józef Nowak. Jego dyrygentami byli Józef Kazik, Karol Tomiczek i Henryk Suchanek.

Siła

Działał też w Stonawie od roku 1921 przy Stowarzyszeniu Robotniczym Siła chór męski, którego śpiew rozbrzmiewał na Zaolziu aż do roku 1994. Właśnie Chór Męski Siła, który przeszedł w swej historii wzniosłe wzloty i bolesne upadki, a którego pierwszym dyrygentem był stolarz umiejący grać na skrzypcach Maksymilian Zajic, przeszedł do historii jako symbol siły polskiego śpiewactwa zaolziańskiego. Wielu chórzystów znalazło się w czasie II wojny światowej w obozach koncentracyjnych, więzieniach i na przymusowych robotach w Niemczech. Jednak ci, co przeżyli, już 16 maja 1945 roku spotkali się na pierwszej próbie, by pod batutą Augustyna Kocha kontynuować przerwany przez wojnę zbiorowy śpiew chóralny w Stonawie.

Siła stała się prawdziwą chlubą i filarem działalności nie tylko Miejscowego Koła PZKO w Stonawie, ale polskiego śpiewactwa zaolziańskiego w ogóle. Chór występuje w studiu radiowym w Katowicach i Siemianowicach w popularnej audycji „Przy sobocie po robocie". W roku 1952 chór zajmuje pierwsze miejsce w wojewódzkim Konkursie Twórczości Ludowej oraz konkursie śpiewaczym PZKO. Jako laureat wojewódzkich eliminacji KTL bierze udział w Ogólnokrajowym Festiwalu w Brnie (1953). Otrzymuje liczne odznaczenia, m.in. Srebrną Odznakę Honorową PZChiO oraz Zasłużony dla Związku ZG PZKO. W okresie powojennym chórem dyrygowali Adolf Żyła, Franciszek Kupka, Józef Firla, Wilhelm Budziński, Alojzy Suchanek, Karol Gąsior i Oskar Firut.

Halka

Następną ostoją nie tylko stonawskiego śpiewu chóralnego stał się Chór Żeński Halka. Jego początki sięgają roku 1951, kiedy to powstał chór mieszany, jednak zaraz w roku następnym zreorganizowany został w chór żeński. Trzy lata stanowił chór część składową chlubnego karwińskiego ZPiT PZKO Górnik.

Halka, chociaż o 30 lat młodsza od Siły, zapisała się w dziejach śpiewactwa zaolziańskiego nie mniej chlubnym dorobkiem. Chór reprezentuje śpiewactwo czeskiego Śląska Cieszyńskiego na Festiwalu Chórów Polskich w Poznaniu z okazji 65. rocznicy Wielkopolskiego Związku Śpiewaczego, w tym samym Poznaniu śpiewa jeszcze potem na Uroczystościach Festiwalowych zorganizowanych przez Ogólnopolski Komitet Festiwalu Chórów Amatorskich O laur XX-lecia PRL (1965) i Festiwalu Chórów Polonijnych (1972). Za swoją działalność otrzymuje liczne odznaczenia polskie i czeskie, Złotej Odznaki Honorowej Polskiego Związku Chórów i Orkiestr nie wyłączając (1981). W latach 1951-1974 (za wyjątkiem krótkiego okresu czasu, kiedy dyrygentami byli Walter Wygrys i Alojzy Suchanek) chór prowadził zasłużony działacz na niwie śpiewactwa zaolziańskiego Józef Firla. W latach 1974-1991 chór prowadzi Anna Cyrzyk, potem pałeczkę dyrygencką przejmuje młoda Marta Orszulik.

Widmo zagrożenia

Z upływem lat pierwotny entuzjazm i zapał do śpiewu chóralnego zaczyna stygnąć. Zaczyna brakować przede wszystkim młodych entuzjastów śpiewu chóralnego. Chórom zaczyna zagrażać widmo zawieszenia działalności. Próbują jednak ratować swój długoletni dorobek przez połączenie chórów żeńskich i męskich w chóry mieszane.

Tak też było w Stonawie w roku 1994. Już przedtem Siła i Halka łączyły swe siły, koncertując często również jako chór mieszany. Teraz jednak stanowczo i definitywnie postanowiono połączyć się w jeden zespół. Nie ukrywajmy, decyzja była niełatwa, bowiem trudno było przewidzieć dalsze losy śpiewu chóralnego w Stonawie. Większość śpiewaków przyjęła połączenie się jako jedyną zbawczą decyzję, bo inaczej śpiew chóralny musiałby w Stonawie zamilknąć chyba na zawsze. Stonawscy entuzjaści z zapałem rozpoczęli próby i ćwiczenie nowego repertuaru już jako Chór Mieszany Stonawa.

Przeżył chór jeszcze jedno zagrożenie, kiedy to młoda, zapalona i lubiana przez wszystkich dyrygentka Marta Orszulik odeszła na dłuższy urlop macierzyński. Przyszła jednak chórowi z ofiarną pomocą dyrygent chóru mieszanego Sucha z niedalekiej Suchej Górnej Anna Kiszka, podobnie jak Marta Orszulik absolwentka pięcioletniego Studium Dyrygenckiego Chórów Polonijnych w Koszalinie. Chór mógł więc dalej systematycznie pracować nad sobą.

Na pełnych obrotach

Po powrocie Marty Orszulik do zespołu dołączyła średnia generacja z kameralnego zespołu Allegro i nawet kilku młodych ludzi. *Chór Stonawa przeciętnie dawał*

10 występów w ciągu roku - mówi pani dyrygent - *a ostatnio około 17. Chór koncertuje nie tylko w Stonawie i bliższej okolicy, ale wyjeżdża też do Polski, m.in. do Rud Raciborskich na Zloty Śląskich Chórów i Orkiestr. Tu nawiązuje współpracę z chórem Cecylia z Paniówek, dokąd z chórem Stonawa niejednokrotnie wyjeżdżamy. Nie zapomnimy w roku 2001, wspólnie z Chórem Mieszanym Sucha, wyjazdu do Poznania i okolic, gdzie daliśmy w sumie 4 koncerty. Od roku 2002 chór poszerza swój repertuar o pozycje muzyki sakralnej, z którą występuje w kościołach stonawskich i sąsiednich oraz w Polsce: w Jastrzębiu Zdroju, Raciborzu i Marklowicach Górnych. Wielkim wydarzeniem w 10-letniej historii chóru było wykonanie wspólnie ze stonawskim rodakiem Klemensem Słowioczkiem, długoletnim i bardzo cenionym solistą Opery Komicznej w Berlinie, i chórem Sucha „Hymnu Trzeciego Tysiąclecia" na stonawskim Koncercie Odpustowym w r. 2002 w kościele pw. św. Marii Magdaleny. Do największych osiągnięć, wspólnie z bratnim górnosuskim zespołem chóralnym, należy zajęcie 3. miejsca w konkursowym Święcie Pieśni Gaude Cantem im. Kazimierza Fobera w Bielsku-Białej. Cotygodniowe próby, zgrupowania i występy wymagają wiele wysiłku i wyrzeczeń. Często, choć śpiew jest dla nas wszystkim, stoimy przed dylematem, jak pogodzić sprawy rodzinne, czy też zawodowe z chórem.*

Honorowe odznaczenia

Przed rozpoczęciem Koncertu Jubileuszowego 16 kwietnia br. w miejscowym Domu PZKO odznaczonych zostało na uroczystym spotkaniu wielu najbardziej zasłużonych i najaktywniejszych śpiewaków Stonawy brązowymi i złotymi Odznakami Honorowymi PZChiO oraz wysokimi odznaczeniami i aktami uznania PZKO. Odznaczenia przekazali za Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne i PZChiO Brunon Rygiel i Jadwiga Karolczyk, zaś za ZG PZKO prezes i wiceprezes Zygmunt Stopa i Józef Wierzgoń, który reprezentował również Zarząd Główny i Oddział Śląski PZChiO. Piękne albumy otrzymało też kilku chórzystów z rąk wójta gminy, senatora RC Andrzeja Febra, który kiedyś był śpiewakiem stonawskiej Siły. Zaprezentował też obecnym nagranie audycji, którą z pieśniami w wykonaniu Siły nadała w r. 1984 redakcja polska Radia Ostrawskiego. *Jeżeli głos mi dopisze, to na emeryturze na pewno do waszego chóru powrócę* - zapewnił śpiewaków A. Feber.

Uroczystościom jubileuszowym towarzyszyła też mała wystawa z dziejów polskiego śpiewactwa chóralnego w Stonawie, wydany został też gustowny folderek okolicznościowy.

Koncert Jubileuszowy

Stuletnie dzieje śpiewu chóralnego oraz 10-lecie Chóru Mieszanego Stonawa przybyła uczcić publiczność nie tylko ze Stonawy. Mocnymi oklaskami powitano długoletnią dyrygentkę stonawskiego chóru Halka Annę Cyrzyk, serdecznymi brawami wynagradzano występy chóru-jubilata, zaprzyjaźnionego chóru Sucha oraz zespołu śpiewaczego i solistów PSP w Karwinie.

Po wspólnym odśpiewaniu „Gaude Mater Polonia" słowo oddano gościom. Górnosuscy chórzyści pod dyrekcją Anny Kiszki zaśpiewali pieśni „Grónie, nasze

grónie" w oprac. F. Rylinga, „W mojem ogródeczku" T. Szeligowskiego, „Cyganeria" G. Mouzakisa, „Polonez" z „Szopniady" A. Cwojdzińskiego i „Polskie kwiaty" w oprac. Z. Bittmara. Chórowi akompaniowała na fortepianie Věra Frejowa.

Mocnymi oklaskami nagradzano każdy punkt programu uczniów karwińskiej szkoły: chóru szkolnego z dyrygentkami Ewą Blanik i Beatą Roman, nonetu dziewczęcego oraz solistów, finalistów IX Festiwalu Piosenki Dziecięcej - Izabelę Brodę, Jolantę Szwed i Adama Sikorę. Dwukrotnie przedstawił się zespół muzyczny Podstawowej Szkoły Artystycznej w Karwinie pod kierownictwem Bronisława Jelenia w utworach klasycznych i wariacjach angielskich i cieszyńskich pieśni ludowych.

I wreszcie chór-jubilat, który zaprezentował się dostojnie pod batutą Marty Orszulik w pieśniach T. Maklakiewicza, S. Wiechowicza, K. M. Prosnaka, J. Świdra i M. Banacha (akompaniament fortepianowy Marie Musiolková). Z chórem wystąpiły również dzieci z miejscowej polskiej podstawówki oraz tercet dziewczęcy pod kierownictwem Stefanii Piszczek.

Koncert zakończyły wspólnym śpiewem chóry Stonawa i Sucha utworami „Pieśń" J. Świdra, „Ojczyzna ma droga" A. Emskiego i „Canticorum iubilo", którą dyrygowała Halina Pribula. Całość koncertu prowadziła z wdziękiem nauczycielka Aleksandra Opioł.

JÓZEF WIERZGOŃ

U SĄSIADÓW - SKANSEN MAŁO ZNANY

Moja turystyka „grzybiarska" to nie tylko zbieranie grzybów, to głównie przemierzanie ogromnych terenów górskich po nieoznakowanych ścieżkach, no i tam, gdzie oczy prowadzą. Wiele razy natrafiałem na opuszczone zabudowania, niektóre trzymały się jeszcze, inne były już ruiną i to w takich miejscach, gdzie nikt by się tego nie spodziewał. Domy były dawno opuszczone, wokoło spokojnie rósł sobie las, wśród którego gdzieniegdzie jeszcze walczyły o swój byt drzewa owocowe sadzone ręką człowieka. Tylko resztki dróg i ścieżek zdradzały, że tędy dawno temu chodził człowiek mieszkający w tych niezwykłych miejscach. Wiele razy nocowałem w szałasach, szopach i domach i niekiedy ze znalezionych starych widokówek lub strzępów listów dowiadywałem się, kto tam gospodarował. Zawsze starałem sobie wyobrazić, jak tu, na takim odludziu, można było żyć.

Kiedyś nogi doprowadziły mnie do wsi Wychylowka na Kysucach. Były to raczej narty, na których zjeżdżałem z Wielkiej Rycerzowej przez przełęcz Przysłop do Wychylowki. Tu dowiedziałem się o budowaniu skansenu - Muzeum Wsi Kysuckiej. Potem kilka razy odwiedzałem to miejsce i ciągle jestem pod wrażeniem tego, co zobaczyłem. Domy i zabudowania gospodarcze z wyczuciem wkomponowane w teren, tak jakby tam istniały od lat. Kaplica z cmentarzem, na

którym były żelazne i kamienne pomniki, karczma, rozsiane pod łąkach sienniki i małe daszki przykrywające źródła wody. Oglądałem w jednym miejscu to wszystko, co napotkałem, chodząc groniami w głębokich lasach. Najbardziej zafascynowała mnie kolej żelazna - wąskotorówka, po której do dziś kursuje pociąg, wożąc turystów po krótkim odcinku kiedyś niezwykłej kolei leśnej.

Kysucko-orawska żelazna kolej leśna powstała w 1926 roku przez połączenie dwóch samodzielnych tras, kysuckiej i orawskiej. Kysucka kolej leśna wiodła doliną rzeki Bystricy od magazynu drewna, tartaku w Oszczadnicy do Chmury (Nowa Bystrica - część Wychylowka). Jej budowę rozpoczęto w 1915 roku, a budowali ją włoscy jeńcy wojenni. Kolej z odgałęzieniami w okoliczne doliny liczyła razem 29 kilometrów. Były to odgałęzienia do Klubińskiej Doliny, Skrziżelnego, Riecznicy, Harwelki i Rycierowa.

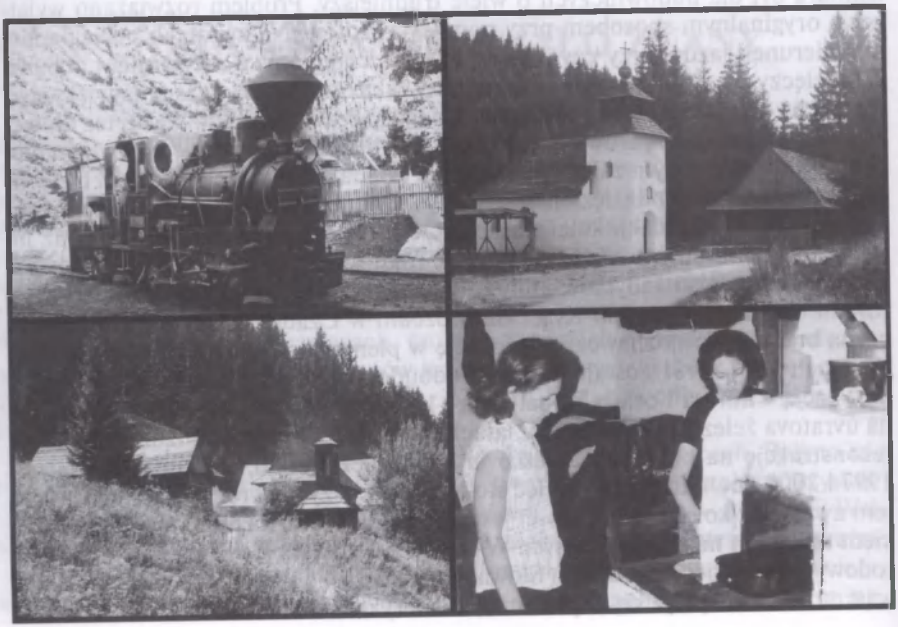
Orawską część budowano w latach 1914-1918. Główna trasa prowadziła z magazynu drewna we wsi Lokca, przez Brezę, Zakamenne, Ustrig, do Podrusnaczki w obszarze wsi Erdutka (Orawska Lesna). Trasa liczyła niecałe 23 km. Orawska kolej leśna nie miała połączenia z „wielką koleją", ponieważ nie został zrealizowany projekt połączenia z publiczną koleją Kralowany - Sucha hora. Transport zaprzęgami konnymi albo spływem Białą Orawą bardzo podnosił cenę drewna. Najlepszym i najkrótszym rozwiązaniem okazało się połączenie wąskotorówek nawzajem. Trasa łącząca wybudowana została w latach 1925-26 o długości 10,5 km. Odcinek z orawskiej strony rozpoczynał się w Gontkuli (część wsi Erdutki) do przełęczy Beskid (w niektórych mapach oznaczona jako Demänová) na wysokości 939 m n. p. m. Drugi odcinek z przełęczy do osady Chmura był dla budowniczych o wiele trudniejszy. Problem rozwiązano wyjątkowo oryginalnym sposobem przy pomocy zwrotów. Na zwrotach pociąg zmieniał kierunek jazdy, przy czym skład jest raz ciągniony, a za zwrotem pchany. Z przełęczy do Chmury wybudowano trzy takie zwroty. W czasie największego rozmachu kolej wąskotorowa osiągnęła długość prawie 110 km. Warto też dodać, że mała lokomotywa parowa ciągnęła lub pchała skład wagonów z drewnem długi aż 200 m, przy czym załoga obsługująca składała się z trzech osób. Z biegiem czasu poszczególne odgałęzienia były likwidowane i w 1971 roku podjęto decyzję o całkowitej likwidacji kolei wąskotorowej. Dzięki kilku zapaleńcom oraz instytucjom kulturalnym udało się w 1972 roku wpisać odcinek kolei Chmura - Tanecznik do spisu zabytków kultury. Nadzór nad zachowanym ośmiokilometrowym odcinkiem przejęło Kysuckie Muzeum w Czadcy, które zarazem rozpoczyna budować krajoznawczą ekspozycję w plenerze - Muzeum Wsi Kysuckiej. W latach 1977-1981 zostaje na nowo odbudowany odcinek wąskotorówki między stacją Chmura i osadą Kubatkovia i kolej otrzymuje nazwę „Historická lesná úvraťova železnica" (Hlúž). W latach 1992-1995 przeprowadzono generalną rekonstrukcję na odcinku Kubatkovia - przełęcz Beskid. Po zimach w latach 1997 i 2000 dochodzi do obsunięć stoku na pierwszym zwrocie. Zachowany system zwrotowy kolei wąskotorowej jest ilością zwrotów, różnicą wysokości i wiekiem unikatem na skalę światową. W roku 1991 został ogłoszony pierwszym narodowym zabytkiem kultury na Słowacji w dziedzinie transportu. Podobna kolej wąskotorowa znajduje się w południowoamerykańskich Andach.

Na niemniejszą uwagę zasługuje reszta ekspozycji skansenu. Jest to rekonstrukcja terenów zamieszkanych oraz środowiska życiowego. Prezentowany jest tu sposób życia oraz kultura ludowa regionu Kysuc w okresie od drugiej połowy XIX wieku i początku XX wieku. Większość zabudowań została przeniesiona z wiosek i osad wschodnich Kysuc. Tu też została przemieszczona większość drewnianych obiektów z obszaru zalanego wodami zapory w Nowej Bystricy. Wszystko, co znajduje się w skansenie, jest warte uwagi. Niezwykle prezentuje się młyn i tartak napędzane wodą, a pochodzi ten obiekt z Klubińskiej Doliny, najpiękniejszej w okolicy Wielkiej Raczy.

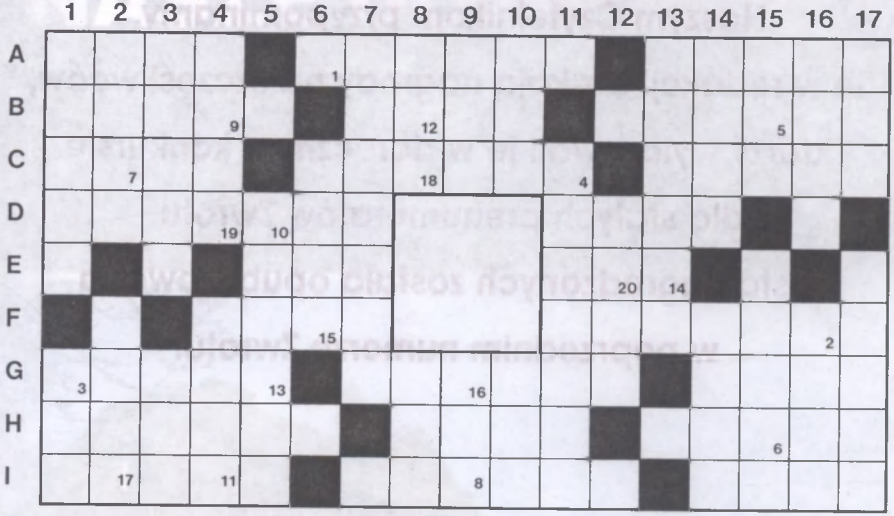
Klubińska Dolina zapisała się w mojej pamięci z tego względu, że tu rozpoczynałem swoje dalekie grzybiarskie podróże. I nie tylko. Każdego oczaruje swym pięknem i rozmaitością przyrody. Początek bierze pod Wielką Raczą (1236 m n. p. m.) na polsko-słowackiej granicy, najwyższym szczytem Kysuckich Beskidów. Do Klubińskiego Potoka, płynącego doliną, spływają wody niezliczonej ilości czyściuteńkich źródeł.

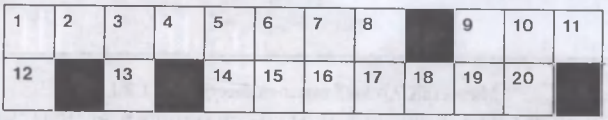
Swoją drogą, tak sobie niekiedy myślę, że grzyby są najstarszymi przewodnikami turysty błądzącego w przyrodzie. Zaprowadzą człowieka do miejsc, w których nadziwić się nie może, jak na tym świecie jest pięknie i ile już z tego piękna przeminęło. I o tym wszystkim opowiada nam przyroda, z którą, zabrawszy ją za przewodniczkę, nigdy nie zabłądzimy. Można też dumać od przeszłości nad przyszłością.

LESZEK ŁAKOTA



KRZYŻÓWKA





POZIOMO: A. Szef; czynnik; kalka ceramiczna. - **B.** Ssak z rodziny żyraf; polityk amerykański (Elihu); miasto w Słowacji. - **C.** Miasto w W. Brytanii; posługuje się lewą ręką; tytuł powieści Gorkiego. - **D.** Mieszkaniec północnego Kaukazu; charakterystyka. - **E.** Antonim wyżu; biblijna Moabitka. - **F.** Morze po łacinie; młode kadry. - **G.** Transport drewna z prądem rzeki; polecenie dowódcy; aktor czeski (Jiří). - **H.** Gruczoł krokowy; broń sieczna; cesarz rzymski (146-211). - **I.** Mała ryba; piętro teatralnej widowni; dopływ Dunaju lub Wisłoki.

PIONOWO: 1. Najwybitniejszy malarz niderlandzki; Szczecińska Stocznia Rzeczna. - **2.** Eksponat; jacht Leonida Teligi. - **3.** Mączka z niektórych storczyków; głowa zwierzęcia. - **4.** Fachowiec; imię Twaina. - **5.** Ekspert. - **6.** Polityk izraelski (Golda). - **7.** Organizator. - **8.** Arab lub anglik; płynie jak Wisła szeroka. - **9.** Klepisko w stodole; roztwór koloidowy. - **10.** Miejscowość w Kolumbii; największa wyspa Chorwacji. - **11.** Trąba powietrzna. - **12.** Jednostka lepkości dynamicznej. - **13.** Syn Iwana Groźnego. - **14.** Inna nazwa Grecji; imię Montanda. - **15.** Służy do umocowania szyb w ramach; strach. - **16.** Piosenkarz kanadyjski (Paul); dawniej uczeń. - **17.** Miejscowość w Austrii; rybka akwariowa.

Wyrazy trudne i mniej znane: LAA, OTU, SALE.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe.

Rozwiązania prosimy przesyłać do końca czerwca.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru kwietniowego: KTO PYTA PRAWDY SZUKA

Nagrody książkowe wylosowali: **Helga Puk** - Czeski Cieszyn
Zdzisław Fierla - Karwina 1

Naszym Czytelnikom przypominamy, że w redakcji czekają nagrody na szczęśliwców, którzy wylosowali je w dorocznym konkursie dla stałych prenumeratów Zwrotu. Lista nagrodzonych została opublikowana w poprzednim numerze Zwrotu.

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Strzelnicza 28, P.O.Box 97, 737 01 CZESKI CIESZYN,
tel. i fax: 558 712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI,
Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK,
Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – Infiniti art, s. r. o., Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 240 Kč, z wysyłką pocztową 324 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02
z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE DOMY PZKO



DOM PZKO
w Wędryni

Odes.: Redakce ZWROT
Střelniční 28
737 01 Český Těšín

O.P.
P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE SZKOŁY

MILIKÓW

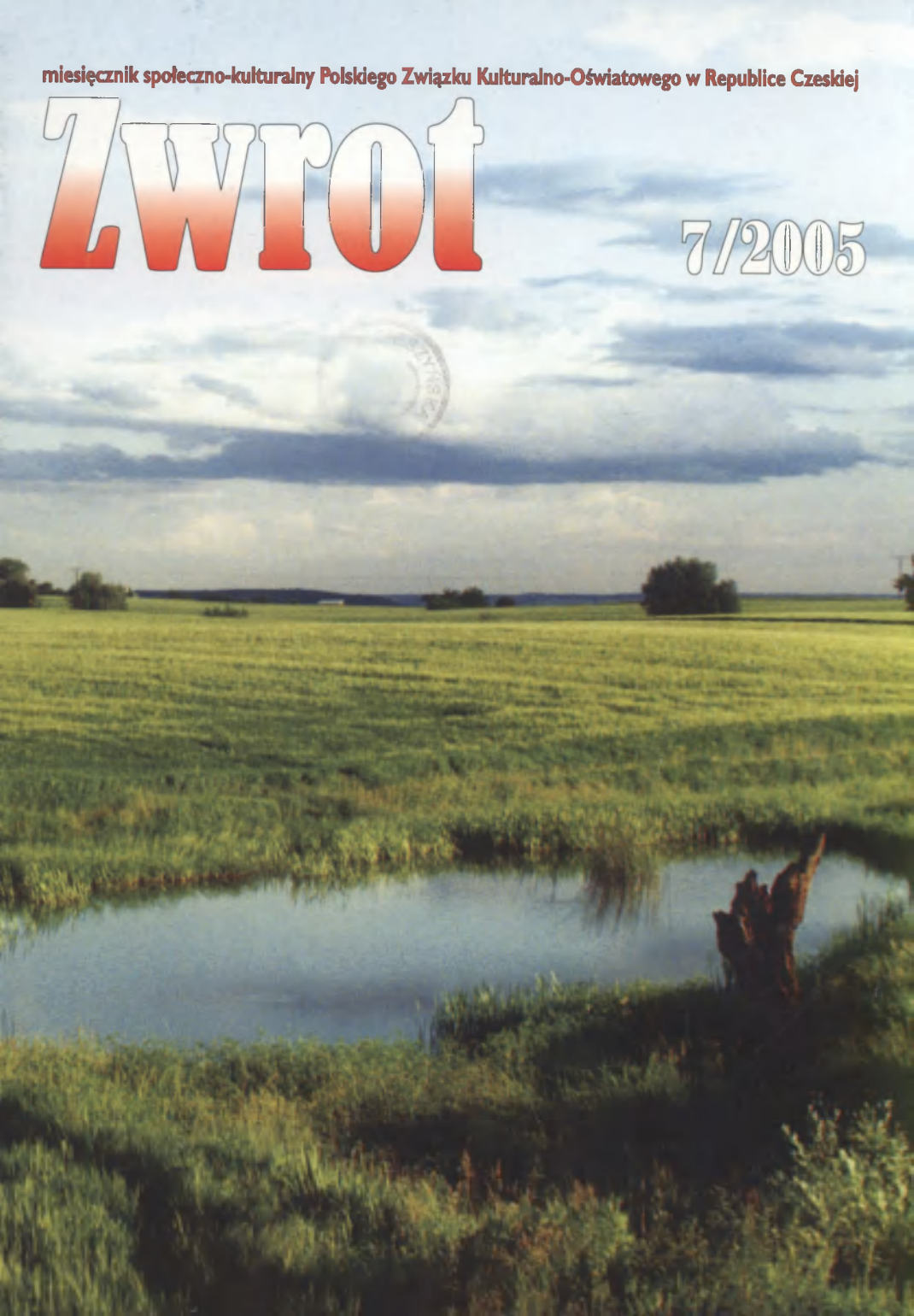


ISSN 0139-6277

miesięcznik społeczno-kulturalny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej

Zwrot

7/2005



TACY BYLIŚMY







Te amatorskie fotografie pochodzą ze zbioru przekazanego redakcji przez p. Władysława Smolarza z Katowic, rodem z Karwiny, nieżyjącego już członka Macierzy Ziemi Cieszyńskiej w Katowicach. Na fotografiach została uwieczniona grupa przyjaciół z Karwiny (Gładysz, Sembol, Kwiczala, Smolarz, Buława) podczas wycieczki na odpust na Kozubową w lipcu 1941 roku.

WILHELM PRZECZEK

Z PSAŁTERZA ZAOLZIAŃSKIEGO

I
modlitwa lasu powstaje z podszycia
w liściach porywy skołowały jesień
łażą Beskidem bukowe ogniska
jałowiec toczy granat z kopców
kopcą ostatnie lampy jarzębiny
w doliny idzie zamaszyście mgła

wszystkie potoki przetaczają wartkość
i niesie woda szał
beskidzki szalej
z Nowiny wołanie
na Ostrym psina stępiła smak trawy

w sinym pejzażu
przestrzeń garby błogosławi

bliska noc

z kozikiem księżyca w plecach
słaniam się w Beskid
ten osobisty skrawek słów
do wiązania

Zwrot

Rok LVI, Nr 668
Cena numeru 20,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 27,00 Kč

7/2005

W NUMERZE

3	Klub Polski w Pradze	CZESŁAWA RUDNIK
8	Wspomnienia z lat drugiej wojny światowej (7)	KAROL BARTULEC
14	Istoty demoniczne w opowieściach wierzeniowych Śląska Cieszyńskiego	WERONIKA GIRYS-CZAGOWIEC
17	Językowe pogranicze cieszyńsko-łaskie (2)	WŁADYSŁAW MILERSKI
21	Przyjaciel Polaków	ROBERT DANEL
24	Bo teatr po to jest, żeby były piękne wieczory... Rozmowa z Markiem Perepeczką	CZESŁAWA RUDNIK
30	Pofestiwalowych parę uwag	DANIEL KADŁUBIEC
36	Kronika: Dzien Oszeldy w Nieborach, Gimnaści, Mistrz krzyżówek Przekroju, Wystawa w Cierlicku, W Śmiłowicach i Łomnej Dolnej na wesoło, Widokówki Karwiny na wystawie	
48	Poezja Bonifacego Miązka	
50	Jerzy Marciniak: Panna wodna	
56	Okruchy literackie	KAZIMIERZ JAWORSKI
59	Na półkach księgarskich	KAZIMIERZ JAWORSKI
60	Na naszej scenie	CZESŁAWA RUDNIK
64	Festiwal teatralny bez granic	CZESŁAWA RUDNIK
67	Upłynęło 50 lat od największej wystawy Śląska Cieszyńskiego	STANISŁAW ZAHRADNIK
71	Zagadka przyrody - kamienne kule	LESZEK ŁAKOTA
73	Trybuna czytelników	
74	Pożegnania: Karol Mrózek	
76	Śmiej się z Masztalskim	
78	Z dorobku Leona Derlicha	

Numer zamknięto 16. 6. 2005

KLUB POLSKI W PRADZE

Klub Polski w Pradze powinien kultywować i popularyzować polski język i literaturę oraz wspierać życie społeczne mieszkających w Pradze Polaków. Takie były główne założenia prowadzące po czechosłowackiej aksamitnej rewolucji praską Polonię do reaktywowania Klubu. Znalazły potem swoje odzwierciedlenie w nowym statucie organizacji. Klub Polski jest jedną z 27 obecnie organizacji zrzeszonych w Kongresie Polaków w RC.

Polacy mieszkający w Pradze i okolicy to przede wszystkim tzw. emigranci z wyboru. Przyjechali z Polski do Czech, bo tam znaleźli satysfakcjonującą pracę, bo tam otwarto przedstawicielstwo firmy, w której byli zatrudnieni. Wielu z nich planowało tylko kilkuletni pobyt za granicą, ale spotkało przyszłego współmałżonka, założyło rodzinę i pozostało. Dzieci z tych małżeństw, mieszanych polsko-czeskich, najczęściej wychowywane są w dwu kulturach, uczą się obydwu języków. W Pradze mieszka też wielu Zaolziaków. Niektórzy przenieśli się za pracą, lepszymi zarobkami, niektórzy pozostali po skończonych tam studiach. Nie wszyscy zerwali kontakt z polskością.

W czasach monarchii

Historia Klubu Polskiego w Pradze rozpoczyna się w połowie lat osiemdziesiątych XIX wieku. 3 maja 1885 roku doszło do pierwszego spotkania piętnastu osób narodowości polskiej, które tworzyły Komitet Przygotowawczy. Powstał projekt statutu organizacji, która jednoczyłaby żyjących w Pradze Polaków, reprezentowałaby ich na zewnątrz, broniła ich interesów, a także organizowała życie kulturalne i towarzyskie. Statut uchwalono na zebraniu 12 grudnia 1886 roku, zatwierdzony został przez c. k. namiestnictwo czeskie 15 stycznia 1887 roku, a zebranie inauguracyjne Klubu Polskiego, które zakończył uroczysty koncert i zabawa taneczna, odbyło się 2 lutego 1887 roku. Prezesem wybrany został urzędnik finansowy Stanisław Towarnicki, wiceprezesem Edward Scholz.

Do Klubu Polskiego należeli robotnicy i rzemieślnicy, ale także urzędnicy i przedsiębiorcy oraz studenci. Warto podkreślić, że Klub od początku swojej działalności nie zamykał się wyłącznie w kręgu osób narodowości polskiej, ale otwarty był także dla osób narodowości czeskiej, warunkiem członkostwa było, jak głosił statut, uiszczenie składek. W roku założenia do Klubu Polskiego należało 48 osób, w roku 1892 - 74 osoby, w roku 1897 - 56 osób. Kierownictwo Klubu prowadziło rozmowy z założonym w Pradze w 1884 roku Ogniskiem

Polskim, miały one doprowadzić do zjednoczenia obu organizacji, ale ostatecznie do połączenia nigdy nie doszło.

Działalność Klubu polegała przede wszystkim na organizowaniu zabaw tanecznych, koncertów, wieczorów literackich, prenumerowaniu polskich gazet, prowadzeniu biblioteki i czytelni. Cotygodniowe zebrania towarzyskie odbywały się w budynku U Bonů, walne gromady i zebrania członkowskie także w Nuselskiej Piwiarni i w hotelu Platýz. Imprezami na większą skalę były np. Uroczystości Mickiewiczowskie w 1890 roku, zorganizowanie pobytu czterystuosobowej wycieczki Sokoła, która przybyła na Wystawę Powszechną w 1891 roku. W roku 1899 powstała, jednak na krótko, szkółka dla polskich dzieci, zgłosiło się do niej 22 uczniów. Od roku 1913 chorym członkom Klubu służyła Kasa Wzajemnej Pomocy.

Zarząd Klubu Polskiego składał się z prezesa, wiceprezesa, sekretarza, skarbnika, gospodarza, bibliotekarza, „zawiadowcy czytelni" i dwóch członków. Stanisław Towarnicki pełnił funkcję prezesa Klubu do roku 1890, a potem jeszcze w latach 1897-1899. Następnymi osobami, które piastowały funkcję prezesa, a o których zachowały się wzmianki w dokumentach, były: Jan Matusz (1891), Twardowski (1892-1894), Oskar Echaust (1895), Władysław Królikowski (1896 i 1900), Izdebski (1905-1909), Kazimierz Hoffman (1905-1922).

Międzywojenna działalność Klubu

Po pierwszej wojnie światowej i powstaniu Republiki Czechosłowackiej działalność Klubu kontynuowano, pomocą służyli pracownicy polskich placówek dyplomatycznych w Pradze, którzy stopniowo przejmowali funkcje w Klubie i wkrótce stanowili większość w zarządzie. W latach 1922-1925 prezesem był kierownik Kancelarii Poselstwa RP w Pradze Wacław Łaciński. W roku 1924 Klub liczył 127 członków, a w Mariańskich Łaźniach powstała filia Klubu, którą prowadził konsul Sadowski.

Udało się odnowić bibliotekę, książki z tej przedwojennej rozdano w czasie wojny w szpitalach rannym polskim żołnierzom. Klub nawiązał współpracę z pracownikami naukowymi, praskimi polonofilami i polskimi czechofilami. Członkowie Klubu wzięli udział w Uroczystościach Sienkiewiczowskich. W latach 1923-1925 odbyło się 60 zebrań i 11 odczytów. W roku 1925 studenci utworzyli Koło Akademików przy Klubie Polskim. Klub współpracował z Towarzyskim Klubem Czesko-Polskim i Akademickim Kołem Przyjaciół Polski, organizowano wspólne imprezy.

W roku 1925 prezesem Klubu został Władysław Mergl (lub Mergel), attaché prasowy Poselstwa RP, od roku 1926 do 1933 radca handlowy Adam Skrowaczewski. Z okazji czterdziestolecia Klub wydał nakładem własnym broszurkę „Czterdzieści lat istnienia Klubu Polskiego w Pradze 1887-1927". Wspólnie z wymienionymi wcześniej organizacjami obchodzono polskie święta państwowe 3 maja i 11 listopada. 13 marca 1932 roku przygotowano uroczystą akademię na cześć marszałka Józefa Piłsudskiego.

Ostatnim prezesem Klubu Polskiego okresu międzywojnia został pracownik Ministerstwa Górnictwa Henryk Baranek, dożywotnim prezesem honorowym Klubu mianowano profesora Mariana Szyjkowskiego. W roku 1936 Klub liczył 165 członków, z czego 126 było obywatelami czeskimi, a 39 polskimi, 141 osób miało polską narodowość. Członkowie Klubu byli bardzo aktywni, organizowali wiele akcji kulturalnych. Do największych należały bale: Bal Śląski, Bal Słowiański. Założone zostało Koło Pań przy Klubie Polskim. Pomocą materialną służyło Klubowi także Poselstwo RP. 20 maja 1937 roku obchodzono uroczyście pięćdziesięciolecie stowarzyszenia. Dalszy rozwój Klubu uniemożliwiły wydarzenia lat 1938 i 1939. Oficjalne rozwiązanie Klubu nastąpiło w sierpniu 1940 roku.

Nowy etap pracy

Pierwszą jaskółką zwiastującą rozpoczęcie nowego etapu działalności organizacji praskich Polonusów była wydana wiosną 1989 roku zgoda władz państwowych na utworzenie w Pradze Miejscowego Koła Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. Członkami mogły zostać osoby polskiej narodowości czy polskiego pochodzenia, warunkiem było czeskie obywatelstwo. Komitet założycielski tworzyli Jerzy Gajdzica, przedwojenny wiceprezes Klubu Polskiego, Bronisław Walicki i Edward Jeżowicz oraz Alicja Skalska i Maria Kapias. Zebranie inauguracyjne odbyło się 3 maja 1989 roku, w skład zarządu Koła weszli członkowie założyciele, prezesem został Jerzy Gajdzica (potem prezes honorowy), po nim przewodnictwo objął Bronisław Walicki, a nowym członkiem zarządu Władysław Kopp. Praskie, dziewięćdziesiąte piąte wtedy, Miejscowe Koło PZKO, liczyło początkowo 23 członków, w ciągu kilku miesięcy liczba ta wzrosła do 90. We wrześniu 1989 roku odbyła się wycieczka autokarowa Koła na Zaolzie.

Po aksamitnej rewolucji, kiedy zaczęły powstawać nowe organizacje społeczne, całkiem realne wydało się również wskrzeszenie Klubu Polskiego w Pradze. W maju 1991 przy poparciu polskich przedstawicielstw dyplomatycznych w Pradze podjęta została decyzja o przekształceniu praskiego Koła PZKO w Klub Polski. Nastąpiło to na zebraniu 29 sierpnia 1991 roku. Statut zatwierdzony został w MSW 4 września i Klub Polski od razu zgłosił swój akces do Rady Polaków. Na zebraniu konstytuującym 26 września 1991 roku, na które przybyły 34 osoby, wybrano zarząd Klubu: Bronisław Walicki - prezes, Alicja Skalska, Władysław Adamiec - zastępcy, Maria Kapias - sekretarz, Halina Bukowska - skarbnik, Krystyna Olaszek-Kotýnek i Krzysztof Jaxa-Rożen - członkowie.

Comiesięczne spotkania czwartkowe i inne akcje klubowe odbywały się najczęściej w salach Ambasady RP czy Ośrodka Kultury Polskiej. 24 listopada 1992 miał miejsce uroczysty koncert z okazji 105 rocznicy założenia Klubu Polskiego. Do stałych imprez Klubu należały wieczory literackie, spotkania z okazji przypadających uroczystości rocznicowych, świąt, np. spotkania opłatkowe, andrzejkowe, ogniska, starano się wykorzystać wizyty w Pradze osobistości życia politycznego, kulturalnego, społecznego z Polski i zapraszać je do Klubu.

W roku 1993 powstało Centrum Koordynacyjne Polonii Okręgu Praskiego, które później zmieniło nazwę na Praskie Centrum Polonijne, skupiało ono prezesów praskich organizacji polonijnych. W początkowym okresie należały tam oprócz Klubu Polskiego takie organizacje jak Kurier Praski, Polmedica, Szkoła Polonijna, Techinpol, Ośrodek Kultury Chrześcijańskiej, przewodniczącym Centrum był Bronisław Walicki, a następnie Michał Chrząstowski. Członkowie Klubu Polskiego uczestniczyli też od początku aktywnie w pracach Kongresu Polaków z siedzibą w Czeskim Cieszynie, członkami Rady Polaków byli Tadeusz Kożdoń, Michał Chrząstowski, po ostatnim Zgromadzeniu Ogólnym Kongresu Polaków 2 kwietnia 2005 roku w skład Rady Kongresu Polaków wszedł Władysław Adamiec.

Władysław Adamiec jest też obecnie prezesem Klubu Polskiego w Pradze. Piastuje tę funkcję od 1996 roku. Wybrany został podczas Walnego Zgromadzenia Klubu Polskiego 29 lutego 1996 roku. W nowo wybranym zarządzie pracowali wtedy oprócz niego Alicja Skalska, Elżbieta Čejka, Maria Kapias, Krystyna Olaszek-Kotýnek, Halina Bukowska, Stanisław Słupicki, Michał Chrząstowski, Krzysztof Jaxa-Rożen, Władysław Krajewski i Bronisław Walicki. To ten zarząd przygotowywał obchody 110 rocznicy założenia Klubu Polskiego, uroczystość odbyła się 23 lutego 1997 roku w Sali Varieté Praga. Z okazji jubileuszu Klub Polski wydał też w nakładzie tysiąca egzemplarzy publikację „Klub Polski w Pradze 1887-1997". Klub liczył wtedy około 120 członków.

W marcu 1998 roku na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym Klubu Polskiego, które odbywa się co dwa lata, wybrano nowe władze. Prezesem pozostał Władysław Adamiec, wiceprezesami były Alicja Skalska i Krystyna Olaszek-Kotýnek, skarbnikiem Halina Bukowska, w skład zarządu weszli ponadto Michał Chrząstowski, Stanisław Gawlik, Krzysztof Jaxa-Rożen, Wiesława Jindrová, Maria Kapias, Krystyna Nýklová, Alicja Szulc-Ach. Klub nie zmienił zakresu działalności. Odbywały się comiesięczne spotkania, nie zabrakło tradycyjnego ogniska w ogrodzie prezesa, pamiętano o rocznicach wielkich Polaków, uroczyście obchodzono Rok Mickiewiczowski, były wieczory muzyczne i literackie poświęcone np. Fryderykowi Chopinowi, Stanisławowi Moniuszce, Juliuszowi Słowackiemu. Członkowie Klubu byli współorganizatorami cyklu Spotkania Kultur, przygotowywanego przez stowarzyszenia mniejszości narodowych, co roku brali też udział w Opłatku Polonijnym w Ambasadzie RP.

Na spotkaniu klubowym 24 czerwca 1999 prezes poinformował zebranych, że Klub rozrósł się o trzy sekcje: Łysą nad Łabą, gdzie od 1995 roku istniało Koło Polonijne Nymburk - Lysá nad Labem, skupiające Polaków na Połabiu, oraz sekcję studentów i sekcję osób, które pracowały w dotychczasowej Polmedice.

Klub w nowym stuleciu

30 marca 2000 odbyło się kolejne zebranie sprawozdawczo-wyborcze, niewielkie zmiany zanotowano w składzie zarządu, w miejsce Marii Kapias i Krystyny Nýklovej weszli Ewa Klosová i Bogumił Kučera.

Na spotkania klubowe praskich Polonusów zapraszani byli niejednokrotnie Zaolziacy. Gościem wieczoru z okazji 114 rocznicy powstania Klubu Polskiego 28 kwietnia 2001 roku był chór Przełęcz z Mostów koło Jabłonkowa. W ognisku klubowym wziął udział Józef Wierzgoń. Znany i lubiany jest w Pradze zapraszany tam niejednokrotnie Teatr Lalek Bajka.

115 rocznica powstania Klubu Polskiego i 10 rocznica istnienia Kuriera Praskiego, miesięcznika o Polonii dla Polonii wydawanego przez Stowarzyszenie Obywatelskie Kurier Praski, były okazją do uroczystego spotkania, które przy współpracy organizacyjnej Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Pradze odbyło się 31 stycznia 2002 roku w Sali Reprezentacyjnej Ambasady, goście wysłuchali m.in. recitalu Renaty Worek-Drössler.

Pod koniec czerwca 2002 roku zorganizowana została w Łysej nad Łabą po raz pierwszy trzydniowa impreza pod nazwą Dni Kultury Polskiej, w której wzięły udział także zespoły z Zaolzia: Gorol i Nowina. Powodzenie, jakim się cieszyła, spowodowało, że postanowiono kontynuować ją jako imprezę cykliczną, co roku w ostatni weekend czerwca. Podczas Dni Kultury Polskiej 2003 odbyła się również wystawa poświęcona pięćdziesięcioleciu Teatru Lalek Bajka, występował chór Przełęcz z Mostów koło Jabłonkowa. Ani w roku ubiegłym nie zabrakło podczas imprezy akcentów zaolziańskich, odbyła się wystawa Stowarzyszenia Artystów Plastyków, śpiewał zespół Małe Ich Troje z Trzyńca.

W sierpniu 2002 roku katastrofalna powódź zniszczyła archiwum i dokumentację Klubu, bibliotekę i wyposażenie biura. Po kilkumiesięcznej tułaczce w kwietniu 2003 roku Klub znalazł dla swoich potrzeb pomieszczenie biurowe na Žižkovie. Dopiero w grudniu 2003 roku mógł powrócić do Karlína na ulicę Vítkovą 13.

W grudniu 2002 roku otwarta została w Zielonym Saloniku Magistratu m. st. Pragi przygotowana przez Klub Polski wystawa Korzenie - Pod jednym dachem, mówiąca o losach życiowych Polaków, którzy w Pradze znaleźli swój drugi dom. Wystawa była częścią szerszego projektu, towarzyszyła odbywającej się 3 i 4 grudnia międzynarodowej konferencji na temat: Polityka Pragi i innych miast czeskich i europejskich w stosunku do mniejszości narodowych. W lutym 2003 roku gościli w Klubie Polskim aktorzy Sceny Polskiej z Czeskiego Cieszyna Halina Paseková, Małgorzata Nartowska i Rudolf Moliński, zaprezentowali mini-spektakl „Wszystko o kobiecie". W październiku 2003 tematem spotkania klubowego było 25-lecie pontyfikatu Papieża Jana Pawła II.

Ostatnie zebranie sprawozdawczo-wyborcze Klubu Polskiego odbyło się 27 kwietnia 2004 roku. Obecnie zarząd pracuje w składzie: Władysław Adamiec - prezes, Alicja Skalska i Krystyna Olaszek-Kotýnek - wiceprezesi, Halina Bukowska - skarbnik-gospodarz, Bibiana Szulc-Ach - sekretarz-protokolant, Krzysztof Jaxa-Rożen - rzecznik prasowy, oraz Stanisław Gawlik, Elżbieta Grosse, Michał Chrząstowski, Bogumił Kučera, Mirosław Lewandowski.

CZESŁAWA RUDNIK

Nasz pułk w ramach 3. brygady strzelców brał udział w jej działaniach na zachodnim brzegu rzeki Ems. Pomagał przy likwidacji oskrzydlonej już grupy nieprzyjaciela, trzymającego miejscowości Rhede, Heede, Walchum i inne. Na tych terenach musieliśmy sprawdzać dom po domu, a raczej piwnicę po piwnicy, w których byli ukryci nie tylko starcy, dzieci i kobiety, ale czasem i żołnierze, którzy nie zdążyli zmienić munduru na ubranie cywilne. W miejscowości Rhede, którą zajęliśmy po ciężkich walkach, zobaczyliśmy powieszonego przez esesmanów miejscowego proboszcza, którego prośbę o opuszczenie przez nich miasteczka potraktowali jako zdradę narodu niemieckiego. Rzeczywiście, miasteczko w czasie walk ulicznych zostało bardzo zniszczone i mnóstwo domów spalonych. Wśród śmiertelnych ofiar oprócz kilku cywilów byli właśnie ci żołnierze formacji SS, którzy powiesili księdza i zaciekle bronili miasteczka. O zaciętych walkach i na innych odcinkach 3. brygady strzelców świadczy fakt, że nieprzyjaciel jeszcze 20 kwietnia wykonał kontratak i nawet uzyskał chwilową przewagą, którą utracił dzięki zorganizowanemu przeciwdziałaniu naszego 10. pułku dragonów. W walkach tych wzięto do niewoli około 700 jeńców i wiele sprzętu wojennego. 21 kwietnia 3. brygada strzelców została zluzowana przez oddziały kanadyjskiej 3. dywizji piechoty i w niezmienionym składzie przeszła na wschodni brzeg rzeki Ems, na którym już od tygodnia walczyła 10. brygada kawalerii pancernej. Przemieściła się na wschodnie skrzydło dywizji do rejonu Holten, Ihren, Kollinghorst, mając przed sobą w najbliższej perspektywie forsowanie Ledy pod Posthausen. Koncentracja całej dywizji na wschodnim brzegu Ems była konsekwencją zmiany jej zadania i miała ona nacierać na Wilhelmshaven. Na lewo od niej na Emden szła kanadyjska 3. dywizja piechoty, prawym sąsiadem była kanadyjska 4. dywizja pancerna.

Generał Maczek zdecydował się na wykonanie natarcia dwoma zgrupowaniami: 3. brygadą strzelców i 10. brygadą kawalerii pancernej.

3. brygada strzelców (bez 9. batalionu) z 24. pułkiem ułanów, 10. pułkiem dragonów, 10. kompanią saperów i 1. pułkiem artylerii mieszanej otrzymała zadanie nacierania w kierunku na Wilhelmshaven po najkrótszej, ale najtrudniejszej drodze. Rozpoczęła natarcie z rejonu Kollinghorst 24 kwietnia o świcie. Wspierała ją cała dywizyjna artyleria, niekiedy (np. podczas forsowania Ledy) także lotnictwo. Forsowanie przeszkód wodnych trwało 8 dni.

10. brygada kawalerii pancernej ruszyła do natarcia bez 24. pułku ułanów, natomiast z 10. pułkiem strzelców konnych, 9. batalionem strzelców,

kompanią 8. batalionu strzelców, 1. pułkiem artylerii motorowej i kompanią saperów. Zadaniem jej było otworzyć drogę dla 3. brygady strzelców przez uderzenie w kierunku Stickhausen, opanować rejon Hasel, skąd pchnąć oddział wydzielony (10. pułk strzelców konnych z kompanią 8. batalionu strzelców) w kierunku Remels i Moorburg. Do 29 kwietnia 10. brygada była zajęta oczyszczaniem terenu w widłach Ledy i Ems od pozostałych tam grup nieprzyjaciela. Kanadyjska 3. dywizja piechoty sforsowała Ledę, utworzyła przyczółek pod Leer i zbudowała most dopiero 30 kwietnia. Tego dnia po południu 10. brygada kawalerii pancernej wyszła na północny brzeg rzeki. Już 1 maja 1945 roku obydwa zadania zostały wykonane, ponieważ 1. pułk spotkał się z 3. brygadą strzelców pod Jumme. Zdobyto również Hasel. 10. pułk strzelców konnych tego samego dnia opanował Remels i uchwycił cztery przeprawy na kanale Nordgeorgsfehner.

W ciągu tych dni 3. brygada strzelców powstrzymywana nie tyle przez nieprzyjaciela, ile przez zniszczenia i bardzo trudny teren, przedzierała się znad Jumme przez Apen do Westertede; przybyła do tego rejonu 4 maja. Tak więc całość dywizji skoncentrowała się w rejonie Moorburg, Halsbek, Westertede, gdzie gen. Maczek wydał rozkaz kontynuowania natarcia w kierunku Wittmund, Jewer, Wilhelmshaven. Ostatecznym celem uderzenia było miasto i port wojenny Wilhelmshaven.

Dywizja rozpoczęła atak w dwóch rzutach. Atak 10. brygady kawalerii pancernej został poprzedzony natarciem 10. pułku strzelców konnych z kompanią 8. batalionu strzelców, który ruszył w kierunku Neudenburg, Wittmund, z zadaniem rozpoznania nieprzyjaciela. Ten oddział wydzielony natknął się na przedni skraj obrony Wilhelmshaven. Pozycja ta leżała poza pasmem grząskich bagien, a wszystkie przejścia (groble) pomiędzy nimi były wysadzone. Cały obszar bronił zorganizowany ogień broni maszynowej, przeciwpancernej, artylerii i moździerzy. Pułk utknął i nie był w stanie ruszyć ani krok naprzód. Taki sam los spotkał atakujące w pierwszym rzucie dwa pułki pancerne brygady. Nie powiodły się próby rozwinięcia i oskrzydlenia czy obejścia jednolitego pasma bagien. Dowódca brygady pułkownik Skibiński został zmuszony do wprowadzenia do pierwszego rzutu batalionów strzeleckich i wycofania pułków pancernych. Zapadła decyzja sforsowania przejść pomiędzy bagnami, utworzenia przyczółków, zbudowania mostów na wysadzonych groblach, a dopiero potem rzucenia pułków pancernych w głąb ugrupowania nieprzyjaciela. Przygotowanie ogniowe forsowania miała zapewnić artyleria dywizji wraz z przydzielonym pułkiem kanadyjskim. Działania te było można rozpocząć dopiero 5 maja ze względu na trudności z rozwinięciem artylerii w bagnistym terenie. W nocy z 4 na 5 maja kompanie strzeleckie zajęły

stanowiska wyjściowe. Na przedpole wyszły patrole piechoty i saperów z zadaniem rozpoznania nieprzyjaciela i charakteru przeszkód.

Podczas tego działania w ostatnią noc wojny zginęło jeszcze kilku żołnierzy. Ale o tym, że jest to ostatnia noc wojny, dowództwo dywizji dowiedziało się już po zapadnięciu ciemności. Otrzymano wówczas rozkazy z korpusu, z których pierwszy nakazywał przerwanie wszelkich działań zaczepnych, a następny informował o mającej nastąpić 5 maja o godzinie ósmej bezwarunkowej kapitulacji wojsk niemieckich przed frontem 1. armii kanadyjskiej.

Po tym encyklopedycznym opisie końcowych walk naszej 1. dywizji pancernej na terenie Niemiec, zaczerpniętym z wydawnictwa MON z r. 1981 "Polski czyn zbrojny w II wojnie światowej" - tom II - "Walki formacji polskich sił zbrojnych na zachodzie 1939-1945", wspomnę jeszcze o moich osobistych przeżyciach z ostatnich dni wojny.

Ciężki teren, częste forsowania wodnych przeszkód, zaminowane pola, nocne warty i brak odpoczynku to wszystko razem wzięte odbiło się na mym pogarszającym się samopoczuciu. Zjawisko to obserwowałem nie tylko u mnie, ale również u kolegów z załogi. Przejawiało się to we wzajemnych kłótniach o drobnostki, rzeczy błahe, o których przedtem nie było mowy. Na przykład dowódca działonu Pietrek przy braku innych argumentów zaczął używać słowa "rozkaz", co z kolei u reszty załogi wywoływało negatywne reakcje, bo nie zawsze jego decyzje były słuszne, ale rozkaz trzeba wykonać, tym bardziej w warunkach frontowych. Inne codzienne sprawy, jak przygotowywanie posiłków, maskowanie armatki, podział nocnych wart i inne czynności, które załoga wykonywała automatycznie bez decyzji dowódcy, obecnie bywały poparte słowem "rozkaz", co wśród załogi stwarzało nienajlepszy klimat. Wszyscy staliśmy się pobudliwi i byle co wyprowadzało nas z równowagi.

Na naszą, a przynajmniej na moją nienajlepszą pogodę ducha wpływał pośrednio również charakter prowadzonych w tym okresie walk na terenach nizinnych, podmokłych, poprzecinanych wodnymi przeszkodami. O skali trudności przeprowadzanych operacji niechaj świadczy kilka przykładów: W rejonie Kollingshorst jedno stanowisko ogniowe nieprzyjaciela powstrzymywało natarcie naszego pułku przez całą dobę. Z tego stanowiska zabito dwóch, a zraniono kilkunastu naszych dragonów, którzy posuwali się wzdłuż jedynej drogi na grobli, jaka prowadziła przez ten teren. Dopiero pod wieczór po kilkunastokilometrowym objeździe tego stanowiska zdołano zajść je od tyłu i zlikwidować tam jednego starego feldfebla, który z karabinem maszynowym w tym błotnistym terenie wstrzymał natarcie całego pułku.

Innym razem kolumna pojazdów naszego szwadronu wpadła w za-

sadzkę nieprzyjaciela. Po wjechaniu do zalesionego terenu w pewnym momencie drzewa za nami położyły się pokotem, uniemożliwiając nam odwrót. Równocześnie z obu stron drogi zaczęła się strzelanina. Kryliśmy się za pancerzami w naszych pojazdach, ale na nasze szczęście za nami jechały czołgi 24. pułku ułanów, które bezpośrednim ogniem swych dział raziły ukrytego w leśnych zaroślach nieprzyjaciela. Również i nasze cekaemy i moździerze swą siłą ognia odegrały tu rolę, zmuszając Niemców do powstrzymania ognia i odwrotu.

Pełniłem także funkcję sanitariusza, kiedy to nasze cekaemy i moździerze brały bezpośredni udział na pierwszej linii. My zaś, pluton pepanców, byliśmy paręset metrów w tyle i nie mogliśmy im dać bezpośredniego ogniowego wsparcia, by ich nie zranić. Drogą radiową proszono nas o pomoc przy odtransportowaniu kilkunastu rannych z pola walki. Dowódca plutonu pepanców wydał działonowym polecenie wyznaczyć po dwóch z każdej załogi, razem ośmiu, do pójścia na pierwszą linię, by pomóc przy przeniesieniu lub przeprowadzeniu na tyły lżej rannych. Pietrek z naszej załogi wyznaczył mnie i Bronka do spełnienia tej zaszczytnej misji niesienia pomocy bliźnim. Teren na przedpolu walki był otwarty, równinny, bez jakichkolwiek zarośli i zabudowań, dlatego dla Niemców okopanych na niewielkim wzniesieniu byliśmy widoczni jak na dłoni. Zostaliśmy ostrzelani z broni maszynowej i moździerzy i dwóch z naszej ósemki zostało rannych, na szczęście niegroźnie. Nie byli jednak zdolni wycofać się o własnych siłach, więc dwaj inni pomagali im przy odwrocie. My pozostali zaległiśmy w rowie i odczekaliśmy, dopóki nawałnica ognia nie minęła. Potem po godzinnym może półtoragodzinnym czołganiu się i podskokach dotarliśmy do naszych. Obstrzał naszych na przedniej linii trwał nadal, chociaż już nie tak gwałtowny, bo nasza dywizyjna artyleria celnym ogniem zaporowym zmusiła chwilowo do przerwania ognia. Wykorzystaliśmy te chwile i ciężej rannych wywieziono na carriersach, zaś lżej rannym, mogącym iść o własnych siłach, pomagaliśmy przy wycofywaniu się. Ja pomagałem rannemu w rękę, wspierając go ze zdrowej strony. Przeszliśmy już prawie dwie trzecie powrotnej drogi, gdy Niemcy ponownie ostrzelali nas z karabinów maszynowych i pech chciał, że mój podopieczny został ranny tym razem w nogę. Założyłem mu opatrunek, jednak nie mógł iść o własnych siłach, więc musiałem go wziąć na plecy. Szedłem mocno schylony, ranny zdrową ręką objął mnie pod brodę, zaś swoją zdrową nogą starał się mi ulżyć, odbijając się od ziemi, i tak jakoś dowlokłem go w bezpieczne miejsce, skąd nasi na noszach przenieśli go do karetki pogotowia.

O tym, jak byłem wyczerpany fizycznie, nie będę się rozwodził, natomiast warto wspomnieć o mym stanie psychicznym. Już sam rozkaz

pójścia po rannych w terenie równinnym pod obstrzałem nieprzyjaciela zabrzmiał złowrogo w mych uszach. Uświadomiłem sobie to niebezpieczeństwo, niemniej jednak poczucie obowiązku wzięło górą nad myślami, jak wykręcić się z akcji. Pełne grozy i niebezpieczeństwa chwile przeżywałem, gdy znaleźliśmy się w polu obstrzału z moździerzy i karabinów maszynowych. Szczere pole i brak jakiejkolwiek osłony przed rozrywającymi się w bezpośredniej bliskości granatami i świszczącymi kulami potęgowały mój strach. Wzywając pomocy Boga, czyniłem już jakby rachunek sumienia przed śmiercią. Myślałem, że żywy z tego piekła nie wyjdę. Okazało się jednak, że nie nadszedł jeszcze mój czas. Z nadszarpniętymi nerwami wraz z trzema pozostałymi doczołgałem się do naszych na przedniej linii. Tam na widok rannych strach w mej psychice uległ zablokowaniu. Zapomniałem o niebezpieczeństwach, o nerwowym rozstroju mego organizmu i jedynym mym pragnieniem i zadaniem było pomóc memu podopiecznemu i wyprowadzić go jak najprędzej w bezpieczne miejsce. Nie było już czasu na rozpamiętywanie własnego losu, a w trudnych i niebezpiecznych warunkach organizm ludzki jest zdolny do nadmiernego wysiłku fizycznego, na jaki zdobyłem się przy niesieniu pomocy rannemu żołnierzowi.

Z tego końcowego okresu walk utkwiło mi w pamięci jeszcze jedno przeżycie. Na tydzień przed zakończeniem wojny dotarła do szwadronu pogłoska o jej zakończeniu. Jakby na jej potwierdzenie na całej linii frontu panowała cisza i artyleria również milczała. Z radości ze szczęśliwego zakończenia wojny wypiliśmy cośkolwiek ponad miarę i udali się na spoczynek do przyległej stodoły. Część załóg położyła się na bogato wyścielonym sianem gumnie, ja i jeszcze paru innych spaliśmy na piętrze. Nie wiem, jak się to stało, czy miałem niespokojny sen, czy też nadmiar alkoholu był tego przyczyną, że stoczyłem się nad otwór włazu na piętro i spadłem na gumno. Całe szczęście, że akurat tam nikt nie spał, a wieczorem zrzuciliśmy większą ilość siana na gumno, więc moje lądowanie było zamortyzowane przez grubą warstwę siana i nic mi się nie stało. Gorzej jednak było rano po przebudzeniu. Nieznośne bóle głowy i w ogóle nasze złe samopoczucie po nadmiernej popijawie zostały nagle spotęgowane odgłosem pierwszych armatnich strzałów. Okazało się, że chwilowe zawieszenie broni było spowodowane chęcią niemieckiej strony zawarcia jednostronnej kapitulacji z zachodnimi aliantami. Mediatorem był działacz szwedzkiego Czerwonego Krzyża hrabia Bernadotte, który próbował pośredniczyć między Himmlerem, a aliantami w sprawie kapitulacji Niemiec na froncie zachodnim. Mediacje skończyły się fiaskiem, czego dowodem był potężny huk naszej dywizyjnej artylerii. Nasze "poświęcenie się" sprawie pokoju poszło na marne.

Następnego dnia pod wieczór zajęliśmy stanowisko ogniowe w bliskości trupa niemieckiego żołnierza. Nikt z nas nie miał ochoty na usunięcie go i wypadło nam w jego towarzystwie trzymać nocną wartę. Noc była jasna, księżyc w pełni, zaś otwarte oczy i wyszczerzone zęby nieboszczyka stwarzały dość makabryczną scenerię. Chociaż całą moją uwagę starałem się skupić na obserwacji przedpola, to chcąc nie chcąc mój wzrok wciąż uciekał w kierunku zabitego, co z kolei pogarszało i tak ponury nastrój. W czasie warty było dość czasu na rozważania o życiu i śmierci i, jak mówi ludowe przysłowie, "o marnościach świata tego". Ranny brzask ostatecznie rozwiał te nocne chimery, a krzątanina koło śniadania stała się balsamem na nadszarpnięte nerwy.

Przez ostatnie dni przed zakończeniem wojny, chociaż o mającej nastąpić w najbliższych dniach bezwarunkowej kapitulacji Niemiec nic nam nie było wiadomo, walki trwały nadal. Nasz pułk przedzierał się znad Jumen przez Apen do rejonu Westerstede. Niemcy oprócz obstrzału artyleryjskiego bronili się też ogniem za sprzężonych moździerzy, które nie tylko miały szeroki zasięg rażenia, ale jeszcze swym wyciem, podobnie jak ruskie katiusze, deprymująco oddziaływały na naszą psychikę. Pamiętam, że raz przy obstrzale z tej broni schroniliśmy się w dolnej części wieży miejskiego kościółka. To ocaliło nas od śmierci lub kalectwa, bowiem na tak małą powierzchnię kościoła spadło co najmniej 8 do 10 granatów, powodując jego całkowite zniszczenie, łącznie z górną częścią wieży. Zaś dla okopanych na groblach Niemców bardzo groźną bronią były nasze miotacze płomieni, które przez wąskie otwory strzelnicze potrafiły wpełznąć do środka okopu. Świadczyły o tym nieludzkie krzyki, jakie słychać było po ataku miotaczy płomieni na ich pozycje.

Wiadomość o całkowitej kapitulacji Niemiec i wstrzymaniu wszelkich działań zaczepnych dotarła do nas 5 maja 1945 roku. Tym razem przyjęliśmy ją z pewną rezerwą, bo mieliśmy w pamięci podobną wiadomość sprzed kilku dni. Jednakowoż następne dni potwierdziły tę nowinę, radosną nie tylko dla nas. Dowodem tego było przeprowadzanie naszej dywizji przez pola minowe przez przewodników niemieckich. Dywizja zajęła Wittmund, Jewer, Wilhelmshaven, Neudenburg i przyległe tereny. Polski dowódca garnizonu Wilhelmshaven pułkownik Grudziński odebrał kapitulację od dowództwa twierdzy i bazy niemieckiej marynarki wojennej oraz dowództwa floty Ostfrisland.

KAROL BARTULEC

cdn.

ISTOTY DEMONICZNE W OPOWIEŚCIACH WIERZENIOWYCH ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO

Według wierzeń ludowych człowiek nieustannie narażony był na kontakt z zagrażającymi mu istotami demonicznymi. Wiele z nich pojawia się także w opowieściach wierzeniowych Śląska Cieszyńskiego. Utopce, nocznice, mory, sotony, strzygi to najbardziej znane postacie tutejszej demonologii ludowej.

Opowieści te powstawały w wyniku prób wytłumaczenia zjawisk niepojętych dla człowieka; wyobrażenia demoniczne *były próbą racjonalizacji świata i jego potęg, które uosabiały; niosły oraz ugruntowywały nakazy moralne, były implifikacją norm przyjętych w danej społeczności, wreszcie stanowiły uzasadnienie licznych tabu.*

Wierzono na przykład, że południca (postać, w którą wciela się dusza kobiety zmarłej po utracie dzieci), błąkająca się po polach w skwarne dni około południa, *zabiera ze sobą napotkanie dzieci, a dorosłych zabija. (...) Gdy zaś spotka na polu śpiące starsze dzieci lub dorosłych, wyciąga z włosów długą cienką szpilkę i wbija ją wprost w serce upatrzonej ofiary.* Opowieści takie, choć z pozoru nieracjonalne, zawierały konkretne przesłania i rady dotyczące postępowania. Z przytoczonych wyżej przekonań wynikała przestroga przed pracą i snem w polu podczas najbardziej upalnych godzin, ponieważ groziło to porażeniem słonecznym.

Z ludzkiej obawy przed żywiołem wody powstały najprawdopodobniej opowieści o utopcach, niewielkich wodnych istotach o długich zielonych włosach, często ubranych na czerwono. Widok palącego się gazu ziemnego, świecącego próchna, robaczków świętojańskich zapewne inspirował ludzi do opowiadania o nocznicach – błędnych ognikach.

Wierzenia owe porządkowały zatem świat, pomagając naszym przodkom go zrozumieć. Niektóre z nich sięgają czasów przedchrześcijańskich; pojawiające się w nich istoty takie jak mory i sotony wywodzą się z pierwotnych wyobrażeń o duszy, która jest niezależna od ciała i może opuszczać je np. w czasie snu. Wspomniane postacie z wierzeń cieszyńskich to dziewczyny, których dusze opuszczały ciała i zamieniały się w zwierzęta, na przykład w koty lub myszy. Okazywały się one szczególnie niebezpieczne nocą, ponieważ dusiły ludzi podczas snu. Jeżeli owa dusza nie wróciła do ciała, dziewczyna umierała. Prawdopodobnie

różnica między morą a sotoną była niegdyś bardziej wyraźna niż obecnie.

Niebezpieczeństwo ze strony istot demonicznych groziło człowiekowi w określonym miejscu i czasie. I tak, mieszkających w jeziorach, stawach, rzekach utopców obawiali się ludzie przemierzający drogi położone w pobliżu zbiorników wodnych i przejeżdżający przez mosty. Obawiano się także uroczącego wzroku strzyg, istot wyjątkowo przerażających, które wstawały z grobu, by zabijać ludzi i wysysać z nich krew. Wracających późno do domu, a zwłaszcza pijaków, zwodziły do bagna i bezdroża nocznice. Śpiącym ludziom zagrażały duszące ich zmory.

Przestrzenią uważaną za teren działania demonów i sił nieczystych były przede wszystkim bagna i trzęsawiska, rozstajne drogi, cmentarze, okolice starych drzew, jezior, rzek. Człowiek narażony był na ich działanie zwłaszcza po zmroku; opowieści ludowe mówią szczególnie o czasie poprzedzającym dzień Wszystkich Świętych i o Zaduszkach, a także o Adwencie, podczas którego szczególnie często pojawiały się nocznice. Obawiano się ich także podczas bicia kościelnych dzwonów.

Kontakty z siłami demonicznymi stanowiły wyjątkowe zagrożenie podczas tak zwanych obrzędów przejścia. Niebezpieczeństwa związane z przyjściem dziecka na świat pojawiały się już w momencie poczęcia, a trwały aż do chrztu. Ciężarnej kobiecie nie wolno było wykonywać niektórych czynności, a także opuszczać domu przez pewien czas, co pozwalało uchronić się od wpływu sił nieczystych. Po urodzeniu dziecka kobieta nie powinna była zostawać sama w domu ani odchodzić od noworodka, ponieważ groziło to porwaniem przez diabła, czarownicę lub morę i podrzuceniem *podciepa* – szpetnego i złośliwego odmieńca. Wiele przesądów i czynności obrzędowych wiązało się także z odejściem człowieka z tego świata.

Jak mówi jedno z ludowych opowiadań, *ze strachami nie było szpasów,* toteż stosowano wiele środków zaradczych, które pomagały uniknąć działania istot demonicznych. Opowieści wierzeniowe zawierają konkretne wskazówki dotyczące ochrony przed różnymi niebezpieczeństwami. Przede wszystkim należało unikać przebywania w pobliżu miejsc zamieszkania groźnych sił, zwłaszcza po zachodzie słońca. Tam, gdzie utopce, strzygi, zmory pojawiały się najczęściej, czyli *nad wodami i na krzyżowych drogach*, stawiano krzyż, *co by odganiał złe, a pod nim zawdy pod kamieniami były wciśnięte jakieś ziela, co miały strzec od uroków.* Przed mocą utopca chroniło specjalne ziele odpędzające złe siły – przytulia; można go też było pokonać podstępem. Zdarzało się jednak, że ludzie żyli w zgodzie z utopcami, które za pożywienie odwdzięczały się pomocą. Przytulia

włożona do kołyski dziecka chroniła je przed porwaniem i zamianą na podciepa. Opowieści ludowe mówią również o tym, jak uniknąć sprowadzenia na manowce przez błędne ogniki, czyli nocznice. Nie mogły one uczynić krzywdy człowiekowi, który szczelnie owinął się gunią, nie miały również *prawa ani mocy wejść do domu pod dach.*

Szczególną kategorię opowieści wierzeniowych stanowią górnicze opowiadania o Pusteckim, który pomagał ludziom pracującym w kopalniach, ostrzegał przed grożącym im niebezpieczeństwem, wspierał biednych, ale także surowo karał za nieprzestrzeganie jego nakazów i gwizdanie w kopalni, którego nie tolerował. Pustecki często ukazywał się w odświętnym stroju górniczym i czapce z pióropuszem, z kilofem i lampą w ręku. Czasem pojawiał się pod postacią małego chłopca, zamieniał się również w zwierzęta, np. w żabę.

Coraz mniej ludzi wierzy dziś w istnienie strzyg czy utopców. Opowieści wierzeniowe, choć zanikają w świecie współczesnym, są jednak niezwykle cennym źródłem wiedzy o ludowym postrzeganiu świata. Ich rolą było dostarczanie praktycznych wskazówek dotyczących postępowania w określonych sytuacjach, a także *podtrzymywanie przekonania o istnieniu "drugiego świata".*

Warto zauważyć, że opowieści ludowe stanowią jedno ze źródeł inspiracji dla literatury pięknej Śląska Cieszyńskiego. Ważną cechą twórczości artystycznej tego obszaru jest osadzenie jej w folklorze regionu, czego dowodzi obecność licznych wątków wywodzących się z literatury ludowej. Tradycyjna wizja świata, której elementem jest wiara w obecność istot nadprzyrodzonych, to jeden z motywów, które można odczytywać w cieszyńskiej literaturze pięknej. Wymienione wyżej istoty demoniczne pojawiają się na przykład w twórczości Gustawa Morcinka czy tworzącego na emigracji Pawła Łyska. W swojej powieści "Przy granicy" (1966) przypomina on wszystkie najważniejsze *strachy*, które podobnie jak w opowieściach ludowych zagrażają człowiekowi i budzą lęk: *Przed jej oczyma przesuwały się widziadła, o których tyle się nasłuchała. Majaczyły się jej chude zmory, nocnice, sotóny, wysysające po nocach krew ludzką (...); widziała utopce o rybich ogonach (...).*

Na uwagę zasługuje fakt, że folklor Śląska Cieszyńskiego, w tym opowieści wierzeniowe, znajduje swe odzwierciedlenie nie tylko w twórczości autorów wywodzących się z tego obszaru, lecz także w utworach pisarzy czasowo związanych z regionem cieszyńskim, na przykład Zofii Kossak.

WERONIKA GIRYS-CZAGOWIEC

JĘZYKOWE POGRANICZE CIESZYŃSKO-LASKIE (2)

POCZĄTEK PAŃSTWOWOŚCI POLSKIEJ

Nie da się zaprzeczyć, że walki o koronę księcia Polan odbywały się w Gnieźnie. Poczynając od Ziemowita, utrwala się tam dziedziczność władzy w rodzinie Piastów. Według anonima nazwanego Gall, autora najstarszej polskiej kroniki, pierwszymi książętami dynastii Piastów byli po Zimowicie kolejno Leszek, Ziemomysł i Mieszko. Nieznana jest data urodzin Mieszka I. Z pewnym prawdopodobieństwem możemy tylko mówić, że było to gdzieś około roku 920. Paweł Jasienica pisze: „Jeśli policzyć czas potrzebny na życie oraz rządy jego ojca, dziada i pradziada, wypadnie, że ród Piastów wstąpił na tron w pierwszej połowie IX wieku.(...) Jedno tylko nie ulega żadnej wątpliwości. To mianowicie, że państwo polskie jest znacznie starsze, niż mniemają ci, co historię jego chcą rachować dopiero od chwili chrztu".

Po 982 roku Mieszko podporządkował sobie prawdopodobnie wszystkie plemiona śląskie (z Gołęszycami włącznie), a około 990 roku również ziemie dawnego związku Wiślan. W schyłkowym okresie jego panowania Polska Piastowska obejmowała zwarte pod względem geograficznym, etnicznym i osadniczym terytorium rozciągające się od Bałtyku i dolnej Odry aż po naturalną granicę górską Sudetów i Karpat. Cały dzisiejszy kraj laski i cieszyński należał do Śląska, a wraz z nim pozostał w granicach państwa polskiego również za panowania następnych władców polskich - Bolesława Chrobrego i Mieszka II. W tych warunkach na obszarze państwa piastowskiego zaczęły się kształtować i ujawniać znamiona narodu polskiego.

BOLESŁAW CHROBRY

Bolesław Chrobry (ok. 967-1025), książę polski od 992, król polski 1025, syn Mieszka I i księżniczki czeskiej Dobrawy, twórca potęgi wczesnofeudalnego państwa polskiego.

Pod koniec swego życia Bolesław Chrobry władał od Bałtyku po Dunaj, od Bugu aż po górny bieg Łaby. Chodziło mu o stworzenie potężnego państwa zachodniosłowiańskiego jednoczącego pod wspólnym berłem Polskę i Czechy. Zamiary te udało mu się tylko w części zrealizować. Na załączonej mapce są podane daty przyłączenia poszczególnych dzielnic peryferyjnych do jego monarchii.

O genialnej przezorności Bolesława Chrobrego świadczą jego pomyślne wyniki starań o założenie w Polsce arcybiskupstwa. W roku 999 uzyskał zgodę papieża na utworzenie arcybiskupstwa w Gnieźnie. Tym samym Polska uniezależniła się pod względem kościelnym od arcybiskupstwa w Moguncji (Mainz). Dla porównania przypomnieć trzeba, że Czechy otrzymały arcybiskupstwo dopiero w roku 1344 dzięki staraniom króla Karola IV, który pochodził z niemieckiego rodu Luksemburgów. Polska wyprzedziła je o 345 lat.

OSTRAWICA GRANICĄ

W 1038 roku książę czeski Brzetysław I (z dynastii Przemyślidów) podjął łupieżczą wyprawę na Polskę, lecz został wyparty z większości zajętych terenów przez Kazimierza I Odnowiciela. Na mocy pokoju zawartego za pośrednictwem potężnego cesarza Niemiec Henryka III w Kwedlinburgu (Quedlinburg) w 1054 roku Brzetysław I musiał się zrzec zagrabionych ziem polskich i zatrzymał sobie z nich tylko ziemię opawską. Wedle orzeczenia cesarskiego Śląsk miał pozostać przy Polsce, jednak władca polski miał płacić Czechom stałą roczną daninę tytułem odszkodowania za wyrzeczenie się posiadania Śląska. Na podjęcie tej decyzji niewątpliwie wpłynął fakt, że Czechy i Morawy były od 929 roku lennikami Królestwa Niemieckiego i znajdowały się tym samym w obrębie Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, podczas gdy zależność trybutarna Polski od Niemiec zanikała. Narzucając takie rozstrzygnięcie, chcieli Niemcy posiać na długie lata ziarno niezgody między bratnimi narodami słowiańskimi, co stworzyłoby im możność ciągłej interwencji. Na skutek tych okoliczności i postanowień granica państwa polskiego cofnęła się w tym południowym regionie od miasta Hranice aż na rzekę Ostrawicę i na północy po linię Racibórz - Głubczyce. Ustalona zachodnia granica ziemi cieszyńskiej odtąd obowiązywała i nie zmieniała się na ogół przez następnych osiem wieków. Jeszcze jednak w pierwszej połowie XIII wieku toczyły się spory między biskupstwem wrocławskim i ołomunieckim o przynależność kościelną Gołęszyckiego.

W ten sposób cały interesujący nas teren laski pozostał odtąd już na zawsze przy Koronie Czeskiej i ulegał wszechstronnym wpływom czeskim. Został on politycznie wcielony do Moraw, zaś w XIII wieku także kościelnie wydzielony z biskupstwa wrocławskiego i włączony do ołomunieckiego. W tych warunkach od końca XII w. następował wyrąb dotychczasowych nieprzebytych lasów dzielących kotlinę opawską od Moraw i rozwój wyraźnej kolonizacji czeskiej tego kraju przeprowadzanej przez biskupstwo ołomunieckie. Równocześnie jednak zaczęto tu osad-

zać kolonistów niemieckich, pochodzących najczęściej z północy, z Śląska Dolnego. Kolonizację niemiecką najbardziej popierał biskup ołomuniecki Bruno (1245 - 81).

NAJAZDY CZESKIE

Książęta czescy, uznający stale zwierzchnictwo cesarzy niemieckich, ale mający pomimo to znaczną swobodę w polityce zewnętrznej i wewnętrznej, mieszali się bardzo często w wewnętrzne sprawy polskie i wielokrotnie najeżdżali zbrojnie Śląsk. Czynili tak zawsze, gdy Polska popadła w jakieś kłopoty.

W czasie zamętu, jaki nastał w Polsce po rządach Mieszka II, wyzyskał słabość Polski książę czeski Brzetysław I i w r. 1038 podjął - jak już wspomniano - wielki łupieżczy najazd na Polskę, który spowodował ogromne spustoszenie Śląska. Kilkakrotne najazdy czeskie skierowane były przeciwko Bolesławowi Krzywoustemu po r. 1102 (wojna trwała 13 lat). Wraz z wojskami cesarza Henryka V napadł na Polskę książę czeski Świętopełk w r. 1109. Odbyły się też trzy kolejne wyprawy czeskie w latach 1132-1134.

W r. 1291 silna armia czeska, którą prowadził w imieniu króla czeskiego Wacława II biskup bamberski Arnold, wkroczyła do Małopolski, jakby po drodze zhołdowała Wacławowi księstwa bytomskie, cieszyńskie i opolskie, opanowała Kraków, później wygnała księcia Władysława I Łokietka z Wielkopolski i Pomorza Gdańskiego. W r. 1300 zniemczony Wacław II (z dynastii Przemyślidów) koronował się w Gnieźnie na króla Polski. Podobnie jak Bolesław Chrobry przed 300 laty usiłował on stworzyć jedno silne państwo obejmujące Czechy i Polskę, lecz tym razem uznające zwierzchnictwo Niemiec.

KSIĘSTWO OPAWSKIE

Książę Mikołaj, nieślubny syn króla czeskiego Przemysła Ottokara II, otrzymał od ojca przed rokiem1278 królewskie majątki ziemskie w regionie opawskim. Krok ten po śmierci króla w r. 1278 prowadził do powstania księstwa opawskiego. Mikołaj stał się założycielem opawskiej przemysłowskiej dynastii książęcej, która panowała do lat sześćdziesiątych XV wieku. W księstwie opawskim odtąd zasiadali na tronie nie polscy Piastowie, jak w innych częściach Śląska, ale czescy książęta z rodu Przemyślidów. Księstwo opawskie nabył potem czeski król Jerzy z Podiebradów i nadał je w r. 1465 jako lenno swoim synom, którzy jednak mało troszczyli się o swe posiadłości. Książę Wiktorin odstąpił w r. 1485 księstwo opawskie królowi węgierskiemu Maciejowi Korwinowi,

ale zarówno król, jak i jego nieślubny syn Jan Korwin odnosili się do swej nowej posiadłości jedynie jako do źródła dochodów. Później został księciem opawskim polski książę jagielloński Zygmunt (od r. 1506 król polski), lecz ten oddał księstwo w zastaw szlachcicowi Mikołajowi Trczkowi z Lipe. W roku 1511 przejął księstwo opawskie jako bezpośredni władca król czeski i węgierski Władysław II Jagiellończyk. W latach 1515–1528 sprawował władzę w księstwie opawskim książę cieszyński Kazimierz II, ale nie jako właściciel, tylko jako naczelny hetman Śląska. Po jego śmierci księstwo opawskie przeszło pod bezpośrednią władzę króla Czech.

W bitwie między armią turecką a wojskami węgierskimi zginął pod Mohaczem (1526) król Ludwik II Jagiellończyk. Jego bezpotomna śmierć oznaczała koniec panowania Jagiellonów w Czechach i na Węgrzech. Na mocy wcześniejszego układu tron objęli Habsburgowie. W Czechach i na Węgrzech Habsburgowie panowali od r. 1526 do 1918.

(cdn.)

WŁADYSŁAW MILERSKI



W. M. 90

PRZYJACIEL POLAKÓW

Nocą z 18 na 19 czerwca 1939 roku zmarł w jednym ze sztokholmskich szpitali 57-letni Karol Gustaw Fellenius. Był wypróbowanym przyjacielem Polski i Polaków, a liczne związki z ziemią cieszyńska uzasadniają jego przypomnienie na łamach Zwrotu.

Pochodził z Loharadu koło Sztokholmu. Był synem proboszcza parafii ewangelickiej w tej miejscowości. Pieniądze na utrzymanie czerpał z pracy w Ministerstwie Finansów, satysfakcję natomiast z rozległej działalności społecznej. Pełnił między innymi funkcję sekretarza Towarzystwa Ewangelickiego i zasiadał we Wszechświatowej Ewangelickiej Pomocy w Genewie.

ZAINTERESOWANIE POLSKĄ

wyrobiła w nim szkoła. Był pod wrażeniem tragedii narodowej, jaką stanowiły dla Polaków rozbiory, i życzył im ziszczenia marzeń o odzyskaniu niepodległości. W 1918 roku, gdy polskie sny się ziściły, podjął naukę języka polskiego. Zaczął dokumentować współpracę i przyjaźń między narodami szwedzkim i polskim.

W 1929 roku został sekretarzem generalnym Towarzystwa Szwedzko-Polskiego Pro Polonia. W Szwecji wygłaszał odczyty o Polsce, natomiast w Polsce miał ponad pięćdziesiąt odczytów o Szwecji – jej kulturze, historii, przyrodzie itp. Popularyzował również ideę przyjaźni polsko-szwedzkiej za pośrednictwem Radia Szwedzkiego.

Ogromny wpływ na poglądy i działalność K. G. Felleniusa wywarł ks. Karol Kulisz – "wielki jałmużnik z Cieszyna", jak o nim niekiedy mówiono. Dzięki wspólnym zainteresowaniom, zwłaszcza w dziedzinie charytatywnej i misyjnej, ich znajomość szybko przerodziła się w prawdziwą przyjaźń. Wspólnie snuli wielkie plany. Zamierzali wykupić popadający w ruinę zamek w Dzięgielowie i przekształcić go w centrum ewangelickiego życia i wychowania. Chcieli też utworzyć szkołę diakonis oraz teatr ludowy i ewangelicką radiostację z redakcją w Cieszynie i anteną nadawczą na jednym z beskidzkich szczytów.

K. G. Fellenius odwiedził osobiście Cieszyn. W kościele Jezusowym wygłosił w 1935 roku odczyt na temat powiązań Śląska Cieszyńskiego ze Szwecją. Miał też udział w utworzeniu koła Towarzystwa Polsko-Szwedzkiego w nadolziańskim mieście.

Jego zasługi, zwłaszcza działalność charytatywna, spotkały się z międzynarodowym uznaniem. Posiadał wysokie odznaczenia szwedzkie, fińskie, łotewskie, francuskie. Został także

ODZNACZONY ORDEREM

Polonia Restituta.

Dowodem znajomości Śląska Cieszyńskiego i sympatii do jego mieszkańców może być między innymi pogadanka K. G. Felleniusa wygłoszona 2 października 1938 roku w Radiu Szwedzkim. Oto jej tłumaczenie:

Podróżujący po Polsce bez trudności zauważy, że kraj ten ma sporo pamiątek z czasów, gdy Szwedzi i Polacy byli z sobą poróżnieni na tle sporów dynastycznych. Znacząca część tych pamiątek ma znaczenie historyczne lub kulturalne. Z czasów panowania Karola XII pozostała pamiątka w postaci kościoła ewangelickiego w Cieszynie, prawdopodobnie największego w Europie, który może pomieścić osiem tysięcy osób.

Podanie mówi, że Karol XII, który toczył wieloletnie wojny z Augustem Mocnym w Polsce, miał podczas przejazdu następujące zdarzenie:

Z przypatrującego się wojskom szwedzkim tłumu wystąpił pewien śląski chłop i prosił króla szwedzkiego o wyjednanie pozwolenia na budowę kościoła ewangelickiego, gdyż katolicka Austria się temu sprzeciwia. Zbadałem dokładnie, czy ludowe podanie ma oparcie w faktach. Stwierdziłem, że Karol XII nigdy Cieszyna nie odwiedził, jest natomiast prawdą, że cieszyńscy ewangelicy wysłali do niego deputację, gdy król bawił w Saksonii w celu zawarcia pokoju w Atranstacie i że król interesował się sprawą. Jest też prawdą, że w tym czasie cesarz zgodził się na budowę cieszyńskiego kościoła, którą podjęto w 1709 roku. Kościół ten stał się z upływem lat ośrodkiem słowiańskich ewangelików ze Śląska, Słowacji i Moraw. Do końca XVIII wieku powstało ponad dwadzieścia nowych, siostrzanych kościołów.

W czasie I wojny światowej (1914-1918) cieszyńscy ewangelicy zostali wystawieni na ciężką próbę. Chociaż ks. Karol Kulisz został

WYBRANY CIESZYŃSKIM PROBOSZCZEM

już w 1907 roku, austriackie władze nie zatwierdziły go na tym stanowisku, gdyż jako polski patriota nie był przez władze mile widziany. W okresie działań wojennych kościół Jezusowy stał się najpierw garnizonem wojsk austriackich. Potem zdjęto, jako haracz, nie tylko miedziany dach i cenne dzwony, ale nawet piszczałki organów.

W 1918 roku cały Śląsk Cieszyński został wcielony do nowo powstałej Polski, ale czara goryczy jeszcze się nie dopełniła. W styczniu 1919 roku wkroczyły znienacka wojska czeskie, rabując miasta i wioski. Mimo liczebnej

przewagi czeskie oddziały zostały jednak, na szczęście, pobite przez wojsko polskie. Działo się to w czasie, gdy miejscowy garnizon walczył na wschodnim froncie, pod Lwowem.

Miłosiernego serca ks. Karol Kulisz (obecnie już senior diecezji cieszyńskiej) nie mógł patrzeć obojętnie na biedę, która zaglądała do chat. Zakupił z własnych pieniędzy starą szopę w Dzięgielowie, w której gromadzono siano, przerobił ją i umieścił tam tymczasowo bezdomne dzieci i sieroty. Takie były początki zakładu dobroczynnego EBEN-EZER, który jest dziś największym zakładem opiekuńczym w Polsce.

Państwo polskie odnosiło się do tego społecznego przedsięwzięcia zawsze życzliwie i wspomagało je materialnie, wypłacając co roku subwencje. Pomoc państwa i społeczeństwa okazała się jednak niedostateczna. Z tego powodu ks. Kulisz odbył w 1928 roku podróż do Stanów Zjednoczonych, gdzie zebrał dary wartości 12 tysięcy dolarów. Dzięki temu mogła ulec rozszerzeniu nie tylko opieka nad dziećmi, ale udało się również stworzyć przytułek dla starców i pomieszczenia diakonatu.

Na konferencji ekumenicznej w Sztokholmie (1925) Kościół w Polsce był reprezentowany przez ks. biskupa doktora Juliusza Bursche, ks. seniora Karola Kulisza i profesora doktora ks. Jana Szerudę. Ten ostatni zaprosił mnie do Cieszyna. Wizyta mogła dojść do skutku dopiero w roku 1933. Zakład Eben-Ezer był już wówczas rozbudowywany; mieścił w swoich murach sto dwadzieścia pięcioro dzieci, siedemdziesięciu pięciu starców i czterdzieści diakonis.

W 1934 roku powstały jednak nowe trudności w związku z reformą rolną. Należało wykupić dzierżawiony teren wraz z gospodarstwem rolnym, które zapewniało wyżywienie blisko trzystu osobom. Ks. senior Karol Kulisz zwrócił się zatem do Protestanckiej Pomocy Światowej w Szwajcarii, uzyskując siedemdziesiąt pięć tysięcy franków pożyczki. Dług wraz z odsetkami uregulowano w ten sposób, że po jednej czwartej należności spłacili: luteranie Danii, polskie Kościoły Ewangelickie, Protestancka Pomoc Światowa oraz szwedzki oddział Światowego Konwentu Luterskiego. Ale

NA TYM NIE KONIEC

W tymże roku 1934 w czasie podróży ks. Karola Kulisza do Szwecji okazało się, że istnieją dalsze wierzytelności w postaci kosztów wpisu własności, stempli do ksiąg wieczystych i tym podobne. Należało te należności bezzwłocznie uregulować. Korzystając z życzliwej pomocy parafii Hedvig Eleonora w Sztokholmie, urządziłem składkę, w której wzięli udział także członkowie Państwowego Związku Obrony Szwedzkości.

Zbiórka pozwoliła na spłacenie wszystkiego, powstała nawet pewna nadwyżka. Sfinansowano z niej odlew popiersia króla Karola XII oraz wykona-

nie kopii jego portretu. Dwudziestego stycznia 1935 roku odbyła się w kościele Jezusowym uroczystość z udziałem szwedzkiego ministra, przedstawicieli polskich władz i ponad pięciu tysięcy cieszyńskich parafian. W czasie uroczystości przekazano kościołowi na Wyższej Bramie kopię popiersia Karola XII (rzeźba Benchardona) i jego portret pędzla Gerdy Hogland według oryginału malarza Kraffta.

Wiosną 1938 roku polskie władze powiadomiły Zarząd Eben-Ezer w Dzięgielowie, by podjął kroki w celu dalszej rozbudowy ośrodka, gdyż istniejące pomieszczenia okazały się za ciasne.

Członkami zakładu opiekuńczego są głównie miejscowi rolnicy, robotnicy, czy rzemieślnicy. Ich ofiarność jest wzruszająca. Na przykład rolnik posiadający małą zagrodę w pobliżu zakładu żyje razem ze swą siostrą niezwykle skromnie, zaś zaoszczędzone pieniądze przekazuje zakładowi. Widziałem mnóstwo ewangelickich rodzin, które w dni kościelnej zbiórki na zakład zrzekały się niedzielnego obiadu, by móc udzielić finansowej pomocy sierotom. Nigdy też nie zapomnę, że małe dzieci z zakładu dodają do codziennej wieczornej modlitwy: Pobłogosław, Boże, naszych dobroczyńców w Szwecji.

ROBERT DANEL

BO TEATR PO TO JEST, ŻEBY BYŁY PIĘKNE WIECZORY...

ROZMOWA Z MARKIEM PEREPECZKĄ

W zakończonym właśnie sezonie teatralnym jednym z występujących na scenie Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie gości był popularny aktor teatralny, filmowy i telewizyjny Marek Perepeczko, który wyreżyserował i zagrał główną rolę w komedii Marka Rębacza „Dwie morgi utrapienia". Po odegraniu serii przedstawień dla zaolziańskiej publiczności udzielił wywiadu naszemu miesięcznikowi.

Przed premierą przedstawienia „Dwie morgi utrapienia" w Scenie Polskiej mówił Pan, że chętnie powróci jeszcze na Zaolzie. Czy nie zmienił Pan zdania?

Nie, zdania nie zmieniłem. Odbiór sztuki zależy od wielu okoliczności. Publiczność wszędzie jest dobra, nie musi być aż tak bogata we frekwencję, to zależy od miejsca. A tutaj jest określone miejsce i określona publiczność. „Dwie morgi utrapienia" to sztuka uniwersalna. Autor Marek Rębacz po-

dejmuje wysiłek tworzenia polskiej komedii, co jest bardzo trudne w naszej dramaturgii teatralnej, bo nie ma dobrych polskich komedii współczesnych, aczkolwiek zaczęły się już pojawiać. A to jest taka próba, która się tutaj sprawdziła, tak mi się wydaje. Treści są nieskomplikowane, a uniwersalne na czas współczesny. I to jest cała tajemnica.

A jak ocenia Pan zespół teatru, partnerów scenicznych?

Gram tę sztukę z rozmaitymi zespołami i nie widzę powodu, żeby te rozmaite zespoły nie reprezentowały dobrego poziomu aktorskiego. Czy w Częstochowie, czy w Płocku, czy teraz tutaj, wszędzie są ludzie sprawni aktorsko i to jest tylko i wyłącznie sprawa umówienia się z aktorami, jak oni to zagrają. Ja rozumiem, że bywają przypadki beznadziejnych zespołów aktorskich. Bywają też tzw. regionalne utyskiwania na własny teatr, własnych aktorów, to jest normalna rzecz, tym się zawsze zajmuje krytyka regionalna i ma do tego pełne prawo, bo po to jest krytyką. Natomiast ja nie miałem tutaj żadnych niespodzianek in minus, raczej na plus, i nie widzę powodu, żeby zbytnio komplementować zespół, żeby to wyglądało, że staram się tutaj podlizywać. Oni są sprawnym zespołem, tekst czytelny, prosty, zrozumiały, i zrobili to dobrze, czego objawem były brawa publiczności.

Czym jest dla Pana teatr?

Teatr nie musi być pasmem nieustających sukcesów, może być pasmem niespodzianek, goryczy, niesprawiedliwości. Wiadomo, że teatr jest miejscem pracy i warsztatem, w którym się wykuwa rozmaite rzeczy, czasami ogromnie interesujące. Nie wykuwa się w teatrze majątku. Teatr jest miejscem, w którym obcuje się z pewnym rodzajem, nazwijmy to patetycznie, posłannictwa społecznego. I inaczej być nie może. Teatr spełnia wielorakie funkcje, wobec młodzieży, wobec osób dorosłych, wobec rozrywki, wobec tzw. tematów bolących, wobec tematów, które mają przyciągać. Wiele zależy od miejsca, w którym ten teatr się znajduje. Tu na Zaolziu na przykład specyfika miejsca, historia tego miejsca wymaga na pewno jakiegoś specjalnego profilu, którym teatr ma się charakteryzować. Kiedy rozmawiałem z dyrektorem tego teatru, moim przyjacielem Karolem Suszką, to powiedziałem mu, że uniwersalność tej komedii, którą ja proponuję, jest taka, że i Zaolzianie przyjmą to z dozą pewnej wdzięczności i rozbawienia. I tak się stało. A ja jestem zadowolony i mam satysfakcję, że zmieściłem się w jakimś fragmencie pracy tego teatru.

A co to jest według Pana teatr współczesny?

Nie umiem odpowiedzieć na py-

tanie, co to jest teatr współczesny. Może ktoś, kto byłby dowcipniejszy, inteligentniejszy, odpowiedziałby, że teatr współczesny to jest coś nienormalnego, bo teatr powinien być tylko dobry. Nie bardzo rozumiem to określenie teatr współczesny. To, że on odpowiada na pewne problemy współczesne, to są tak normalne rzeczy, jak normalne były kiedyś za Szekspira. Więc o czym tutaj tak gawędzić? Teatr prowokuje do cygarowo-kawiarnianej dyskusji pseudointelektualnej, gdzie wszyscy się napawają i jest bardzo słodko i dobrze. Tak sobie pogadają, ponarzekają i idą. A tymczasem w teatrze istnieje także coś takiego jak kasa, jak wywiązywanie się z pewnych zobowiązań natury finansowej, niezależnie od dotacji i tego, co sponsor da. Sponsor chce wiedzieć, co się robi za jego pieniądze, czy te pieniądze zostały odpowiednio spożytkowane. I to jest bolączką współczesnego teatru. Dlatego niektóre teatry, być może, idą na łatwiznę. Arnoldowi Szyfmanowi, twórcy Teatru Polskiego w Warszawie, przed wojną zarzucano, że wystawia krotochwile, farsy, komedie francuskie lekko obyczajowe. Mówiono, że to jest skandal. A no skandal był, bo żeby Leon Schiller mógł zrobić swoje słynne „Dziady", które weszły do piśmiennictwa teatralnego, to pan Arnold musiał zarabiać właśnie tego typu repertuarem, co wcale nie świadczy, że taki repertuar to ma być tandeta, szmira i że to ma być źle zrobione. Farsa nie musi być szmirą, nie musi być tandetą, może być po prostu uczciwie zrobioną sztuką, która dostarcza satysfakcji i widzowi, który przychodzi, i aktorowi, i teatrowi, który na tym zarabia. „Makbet" i wszystkie podniosłe pozycje literackie też mają prawo i powinny mieć miejsce na scenie, to jest rzeczą oczywistą, ale teatr musi też zadbać o frekwencję.

Aktorstwo nie jest zawodem, który przestaje się uprawiać po przejściu na emeryturę. Czy jednak wiek, powiedzmy, dojrzały nie skłania do próby bilansu dotychczasowego życia? Innymi słowy: czy ogląda się Pan za siebie?

Ja się nad sobą zastanawiałem nawet piętnaście lat temu przed premierą... Takie momenty zwątpienia, zastanowienia się nad sensem wykonywania tego zawodu, zatrzymania się przeżywa bardzo wielu ludzi. Chociaż są też w tym zawodzie osoby, które niezmiennie mają dobre samopoczucie i nikt ich z tego nie wyleczy. Jest jeszcze taka bardzo piękna teoria, żeby umrzeć na scenie, co się niektórym udało. To szczęście miał Molier, to szczęście miał Tadeusz Łomnicki... Każdy chce dożyć wieku Ludwika Solskiego i być jeszcze użytecznym w teatrze. Spełnianie tego zawodu w taki sposób świadczy o jakimś sensownie przeżytym życiu. Być może, że mnie się uda, ale pewności nie mam.

Publiczności znany jest Pan przede wszystkim jako Janosik. Wspominał Pan, że ważną dla Pana rolą był Adam Nowowiejski w „Panu Wołodyjowskim"?

To jest takie bardzo silne wspomnienie z młodości. Zagrałem w paru filmach, ale znowu aż tak dużo nie nagrałem się w swoim życiu, nie byłem obrzucany szczodrobliwie propozycjami. Panie Marku, może króla Leara... Nie, nie, Janek Englert, dyrektor Teatru Narodowego, niczego takiego mi nie proponuje. I to nie jest tak w życiu aktora, że aktor ma telefon, może mieć cztery telefony, ale z tego jeszcze nic nie wynika. Więc ja o to do losu pretensji nie mam. Coś tam udało mi się zagrać, są jakieś wspomnienia, od czasu do czasu ludzie przychodzą po autografy, uśmiechają się, rzucają jakąś głębszą lub mniej głęboką refleksję i to jest wszystko, to jest cały ten zawód. Teraz gram powtórnie Horodniczego w „Rewizorze", ale w Płocku, a nie w Teatrze Narodowym w Warszawie, i tak będę to życie jakoś pędził. To nie musi tak być, że dla aktora są stworzone najwybitniejsze role i najbardziej prestiżowe sceny. Może być zupełnie inaczej. I wtedy albo zmieniamy zawód, albo się z tym pogodzimy i gramy tam, gdzie nas chcą.

Po „Janosiku" była w Pańskiej filmografii dosyć długa przerwa?

Wyjechałem do Australii, potem był stan wojenny, wszystko to inaczej wyglądało. To, że wróciłem, że zagrałem w serialu „13 posterunek", że otrzymałem propozycję objęcia dyrekcji teatru w Częstochowie, to przypadek, tak jak szereg rzeczy w naszym życiu, zwłaszcza w życiu aktorskim, jest przypadkiem. Skrzyżowanie paru dróg może spowodować, że ktoś dostanie Oscara najmniej zasłużenie. Na tym pewnie polega wdzięk tego zawodu.

Przypomniał Pan „13 posterunek" Macieja Ślesickiego. Co pan sądzi o tego typu produkcjach telewizyjnych?

Ja najpierw zrobiłem z Maćkiem Ślesickim film „Sara", który jeszcze miał znamiona normalnego filmu, bo to był pastisz, reżyser był zapatrzony w „Leona zawodowca", w ten rodzaj poczucia humoru. Nie przypuszczałem, że będzie potem robił tak zwariowany serial. Co prawda uczciwie wszystkim mówił, że to będzie sitcom, czyli, jak obcojęzyczna nazwa wskazuje, situation comedy, i że nic się od tego gatunku więcej nie wymaga. I rozbawienie na konferencji z dziennikarzami polegało na tym, że oni jakby a priori nie chcieli przyjąć do wiadomości, że to jest sitcom, że to jakaś maksymalna głupawka, która ma doprowadzać ludzi do rechotu i nic nie wnosić. Ktoś, kto nie chce głupawki oglądać, ma prawo wyłączyć telewizor albo przerzucić się

na inny kanał, na którym będzie oglądać „Anhellego". Absolutnie jest to jego wybór i jego prawo. Dziwny ten zawód aktorski czasami rzuca nas w rozmaite sytuacje i rzuca też w zależności od profitów, które z tego mamy. Za udział w serialu miałem płacone pieniądze, nie były to pieniądze, które by obaliły na ziemię, ale były. Mamy teraz w telewizji polskiej zatrzęsienie serialowe. W moim przekonaniu sytuacja zrobiła się taka, że każdy aktor w Polsce marzy, żeby wystąpić w serialu, w jakimkolwiek, nawet bez czytania scenariusza. Albo oczyścić kranik w reklamówce. To jest nie bez znaczenia i to jest bolączka teatru, dlatego że teatr to powinna być taka oaza kultury, dobrego smaku, wdzięku, gdzie wszyscy chodzą prawie że na palcach, są aniołami. A tak nie jest. Aktorzy w teatrach naprawdę mają cienko, zarabiają nieduże pieniądze i oglądają się, co by tu zrobić, żeby coś gdzieś dorobić, ratują się, jak mogą. Zresztą utyskiwanie w tym zawodzie nie jest apetyczne w stosunku do innych dziedzin życia, w których te zarobki są jeszcze gorsze. Aktorzy, którym nie jest dane uciec do serialu, zostają w teatrach i starają się w tych teatrach przeżyć piękne wieczory, bo teatr w moim przekonaniu najszczerszym po to jest, żeby były piękne wieczory. I im więcej tych pięknych wieczorów, tym większa dla nas satysfakcja z godziwie przeżytego życia.

Różnica między teatrem, a telewizją z punktu widzenia widza polega też na tym, że do teatru trzeba wyjść z domu, a telewizor wystarczy włączyć!

Telewizor wystarczy włączyć, ale powiem na pocieszenie, że Warszawa, która ma tyle teatrów, niektórzy mówią, że za dużo, nie narzeka na brak widzów. Ludzie chodzą do teatrów, sale są pełne, jeśli sztuka choć trochę się sprawdza. Natomiast umierają te sztuki, które się u publiczności nie sprawdzają. I prawdopodobnie wraz z postępującym rozwojem systemu kapitalistycznego wracamy do tego, że będzie pełna komercja. Że dotacje będą obejmowały trzy, cztery wiodące teatry polskie, a reszta będzie musiała kombinować, żeby przeżyć.

A jeśli do teatru zaangażuje się aktora, który gra w serialu, to ludzie przyjdą, by obejrzeć go na żywo?

To był też mój przypadek i uważam, że on się w teatrze w Częstochowie trochę sprawdził, dlatego że przyciągnęło to publiczność i mieliśmy 95 procent frekwencji. Ale niektóre osoby zaczęły podejrzewać, że ten sympatyczny człowiek, który jest popularny, nic poza tym intelektualnie sobą nie wnosi. Doświadczyłem tego na własnej skórze. Wykorzystywanie popularności w miejscach teatralnych uważam za sensowny sposób zdobywania sobie kierownictwa.

A jeżeli ten aktor jeszcze coś umie i reprezentuje sobą coś więcej niż popularność... Bo z popularnością to rozmaicie bywa, chociaż przyznaję, że w dużym stopniu pomaga.

Jest Pan warszawiakiem i opuścił Pan to miasto, a przecież, jeśli o aktorów chodzi, to istnieje raczej tendencja odwrotna?

Opuściłem Warszawę i zamieszkałem w Częstochowie, wynająłem tam mieszkanie, bo tam mam bibliotekę, w Warszawie w małym mieszkanku Za Żelazną Bramą książki mi się nie mieszczą. Rzeczywiście nastąpiła tendencja odwrotna, ja poza Warszawę, a wszyscy ciągną do Warszawy. Zresztą, gdzie mogę, to proponuję sztukę kolegom w teatrach poza Warszawą i mówię wprost: Będziecie mieć publiczność, wasi aktorzy będą zarabiać ze mną pieniądze, publiczność będzie wpłacała pieniądze do kasy i będziecie mogli łatać własny budżet. Budżet teatralny to naprawdę trudna rzecz. Ja rozumiem, teatr stoi sztuką, tylko że oprócz sztuki jeszcze jest żołądek i aktorzy powinni zarabiać... Tutaj w Czeskim Cieszynie teatr jakoś sobie radzi, nie dyskutowałem o tym z dyrektorem, ale tu jest specyficzny teatr, który wymyka się jakimkolwiek definicjom. Scena Polska w tym miejscu, w którym jest, utrzymywana z dotacji czeskich, to jest unikat.

W jakich rolach możemy obecnie oglądać Pana na scenie?

Zrobiłem nową sztukę z Markiem Rębaczem. Jeździmy z tym po Polsce. Jest to sztuka dwuosobowa i gram z Zofią Merle. To jest dialog damsko-męski, nazywa się „Płeć przeciwna". Chłop rozmawia z babą, spotykają się przypadkiem, mają sobie coś do zarzucenia. Zabawna komedia, bardzo podoba się publiczności. Premiera odbyła się 18 marca w Przemyślu. Zagrałem też Horodniczego w „Rewizorze" u Marka Mokrowieckiego w teatrze w Płocku.

A czy zobaczymy Pana na ekranie w jakiejś nowej roli? Nie należy Pan do tego pokolenia, które biega na castingi?

Na pewno nie będę biegał na castingi, natomiast faktem jest, że nikt nie ma dla mnie jakiejś propozycji kuszącej. Nie ma się co oszukiwać, film jest domeną ludzi młodych, bo tak powinno być. Od czasu do czasu potrzeba starców. Kiedy więc się zestarzeję, to, mam nadzieję, wrócę do kina.

Dziękuję za rozmowę.

CZESŁAWA RUDNIK

POFESTIWALOWYCH PARĘ UWAG

Mają charakter raczej wybiórczy, bowiem encyklopedyczne potraktowanie tej imprezy (odbyła się w Trzyńcu 28 maja br.) wymagałoby obecności w każdym jej miejscu, co z kolei jest niemożliwe. Więc przynajmniej w punktach na tematy widzianej tam kultury.

- Problem pochodu. Powiedziano już wiele rzeczowych argumentów, dlaczego go nie było. Należy je respektować. Trzeba sobie jednak zdać sprawę z tego, że taka forma (pochodu) inauguracji każdego znaczącego święta (a festiwale takimi są) jest wpisana w jego strukturę, i to od dawności. Pochodem czy korowodem rozpoczynały się i rozpoczynają nadal igrzyska olimpijskie, różnorodne mistrzostwa świata, każde znaczące imprezy kulturalne i nikomu do głowy nie przychodzi posądzać organizatorów o propagandę sukcesu. Przecież i wielkie święta prawosławne czy rzymskokatolickie też coś takiego wprowadzają. Tyle tylko, że nazywa się to procesją. Nie bądźmy zatem bardziej papiescy od papieża. Wyjątkowe imprezy mają swój rytualny porządek, dający do zrozumienia, że z codzienności przenieśliśmy się w niecodzienność, że jesteśmy w czasie niezwykłym, czyli świątecznym. Pochód właśnie jest tym wykładnikiem czy symbolem zmiany, nie mówiąc już o tym, że ma siłę mobilizującą, a przez to i reprezentacyjną: Popatrzcie, co ci Polacy jeszcze potrafią! Jest też prawie pewne, że dostojniejszy i liczniejszy byłby sam festiwalowy początek na stadionie.

- Byłby, gdybyśmy mieli świadomość, że festiwal to nie piknik, co naokoło słyszymy. Taka formuła spowoduje, że stanie się zwykłym festynem czy odpustem. Sądzę, że festiwal powinien mobilizować i zobowiązywać między innymi do tego, że tam trzeba być. Są chwile, kiedy musimy być widoczni, kiedy powinniśmy udowodnić sobie i światu (bez względu na słońce czy deszcz), iż bycie razem jest wyrazem naszej witalności, bowiem wspólnota to nie zbiór indywidualistów, z których każdy sobie rzepkę skrobie. Z takim zbiorem nikt się nie liczy. Niejeden powie, że to niedzisiejsze, bowiem na luzie żyje się dłużej, ale historia uczy, że tylko środowiska zintegrowane mają siłę przetrwania. Nasza wewnętrzna dyscyplina, zwana też świadomością, jak również nasz osob-

liwy szacunek dla wykonawców pięknego programu spowodowały, że więcej ludzi było przy piwie i grilu niż na kulturze. Jak piknik to piknik. Tylko jaki sens miały te setki godzin prób setek śpiewaków, tancerzy, muzyków?

- Zawsze mnie śmieszy, ale i oburza, kiedy ci, którzy powinni być (gdyż deklarują, jak nas cenią, podziwiają etc.), wyręczają się sformalizowanymi epistołami, w których mowa o obowiązkach służbowych, które nie pozwoliły przybyć, ale tym gorętszych życzeniach i podziwach... *W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę* - że przywołamy słowa klasyka. Nie było ani ambasadora, ani konsula generalnego, ani nikogo z centralnej Wspólnoty Polskiej, ani z urzędu rządowego ds. mniejszości narodowych. Czyżby PZKO im nie odpowiadało?

- Można i tak sądzić po braku jakiegokolwiek wsparcia finansowego Festiwalu ze strony Polski (patrz GL z 11 czerwca br.), co może być m. in. konsekwencją fatalnej sprawy hotelu Piast i ciągnącą się stąd niechęcią do naszego Związku. Faktem jednak pozostaje, i z nim trzeba się liczyć, że PZKO jest podstawową siłą polskiej grupy narodowej na Zaolziu, a jego podważanie czy lekceważenie przyspiesza topniejący tutejszy polski stan posiadania.

- Program. Wspólne kilkusetosobowe śpiewanie jest już tradycyjnie znakomitym prologiem, wywołującym emocje. Ot, co znaczy być razem. Siła wspólnoty jest zniewalająca. Wzruszający był też początek w postaci polki wekslowanej (ach, te cieszyńskie stroje i tylu młodych!) i finałowy polonez z wizją wymyślony i przeprowadzony przez niezawodnego O. Jaworka. Pomiędzy tymi najważniejszymi punktami widowiska była raczej składanka, z której jednak widać było, że nie mamy słabych zespołów. Największym zaskoczeniem był staro-nowy zespół Błędowianie, który pod okiem Dagmary Owczarzy i Marcina Pisuli wyrósł na znakomitego reprezentanta NASZEGO folkloru. Rozwiązania choreograficzne i ich wykonanie na wysokim, jak na amatorów, poziomie. To samo można rzec o Olzie, ale to już znana firma. Niestety, i jednym, i drugim towarzyszył playback, co automatycznie obniża rangę prezentacji. I nie tylko im. Podobali się Suszanie z mało znanymi u nas tańcami rozbarskimi, a Oldrzychowice, Skotnica i Bystrzyca przyszły z programem pozaśląskim, sympatycznie zrobionym, a co najważniejsze, z własnymi, młodymi i żywiołowo grającymi kapelami.

- Im trzeba by poświęcić sporo miejsca, gdyż bywają fundamentem śpiewania i tańczenia. Chwała Bogu, że je mamy, ale ciągle w liczbie niewystarczającej. Gdy nie grają np. Kamraci, zespoły z Suchej Górnej czy Błędowic muszą uruchomić taśmę magnetofonową lub inny krążek. Nisko trzeba się kłaniać p. Krystynie Mruzek za wychowanie całej plejady młodych muzykantów, którym wszczepiła prawdziwą, niewykoślawioną duszę cieszyńskiej pieśniczki, roznoszonej po świecie przez Torkę, Lipkę i Nowinę. Tej drugiej przewodzi Chrystian Heczko, śpiewak, narrator, prymista, przyszły herszt Gorolskigo Święta. Wszystko, co robi, robi dobrze, ba i bardzo dobrze, ale powinien, jako skrzypek, wystrzegać się manier rytmiczno-ozdobnikowych obcych cieszyńskiemu graniu, a bliskich wykonawstwu słowacko-południowomorawskiemu. Niby to drobiazg, ale bardzo ważny, bowiem mówi, skąd kto rodem.

- Komentowanie, choćby nie wiem jak sensowne, tego, co dzieje się na estradzie, w trakcie tego dziania, mija się nie tylko z celem, ale i bardzo denerwuje, bowiem zagłusza i dekoncentruje. O tym, kto występuje, skąd jest i jaki jest, trzeba opowiadać przed, potem niech ludzie już tylko patrzą i słuchają bez przeszkód.

- Estrada pod lasem. Nieco odsunięta od festiwalowego epicentrum, ale ciekawa, gdyż była miejscem, gdzie spotkali się my i oni, czyli goście. Podobali się ludyczni Masztalscy, także wierzniowickie Glayzy z Heleną Lugsch, która nie tylko wybornie śpiewa, ale też ciekawie i mądrze gada (w telewizji czeskiej i polskiej) m. in. o zrockowaniu pieśniczek cieszyńskich jako jednej z furtek, przez którą mogą przebić się do młodych.

- Było zapewne wiele innych ważnych i pięknych kulturalnych wydarzeń festiwalowych, ale, jak się rzekło, nie wszędzie da się być, toteż na tym poprzestaniemy.

Konkluzja zaś jest taka: Wyciągnijmy naukę z tego, co nam się udało bardzo, a także z tego, co mniej. W Karwinie zobaczymy, czy jesteśmy pojętnymi uczniami własnego działania.

I na zakończenie jeszcze słowa (w przybliżeniu) senatora i wielkiego polskiego reżysera, Kazimierza Kutza, wypowiedziane w Trzyńcu podczas Festiwalu: *Ludzie, którzy mają swój grunt pod nogami w postaci własnej kultury, są ludźmi szczęśliwymi i obywatelami współczesności.*

DANIEL KADŁUBIEC

... Z FESTIWALU PZKO ...












Silva ART













DZIEŃ OSZELDY W NIEBORACH

Mało kto już dziś kojarzy coroczny majowy festyn w Nieborach, zwany Oszeldówką, z postacią, ku czci której się on odbywa. Paweł Oszelda, lekarz, przywódca ruchu rewolucyjnego w okresie Wiosny Ludów na Śląsku Cieszyńskim, jeden z założycieli Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego, urodził się w Nieborach w roku 1823. Jego postać weszła do literatury pięknej: Karol Berger napisał sztukę, Gustaw Przeczek widowisko ludowe, a Paweł Kubisz poemat „Rapsod o Oszeldzie". A członkowie PZKO w Nieborach ku jego czci postawili dwadzieścia lat temu Dom.

Tegoroczna Oszeldówka poprzedzona została seminarium historycznym, podczas którego prowadzący je Kazimierz Kaszper próbował ująć w ramy literackie konotacje postaci Pawła Oszeldy. 52 Dzień Oszeldy uczczono w sposób szczególny, bo tradycyjnie bogaty program artystyczny tym razem urozmaicony został pokazem Bractwa Kurkowego z Cieszyna, którego przedstawiciele armatnim wystrzałem dali znak, że pora na biesiadę z ludowymi tańcami w tle. Bractwo Kurkowe znane już w Krakowie, Poznaniu i na Śląsku od połowy XIII wieku, dziś kontynuuje







szlachetną tradycję uświetniania ważnych dla miast i społeczności wydarzeń poprzez strzelanie z historycznych armat. W tym roku m.in. Zjednoczenie Kurkowych Bractw Strzeleckich RP (w tym Bractwo z Cieszyna) z okazji uroczystości 3 Maja w Częstochowie dało pokaz historycznej obrony Jasnej Góry przed Szwedami.

W programie artystycznym zaprezentowały się połączone chóry Godulan-Ropica i Zgoda, chór Wrzos z Polski, przedszkolaki i uczniowie, a w bloku folklorystycznym zespół Těrchova ze Słowacji i Błędowianie z Błędowic, nie zabrakło też orkiestry dętej. W Domu PZKO można było obejrzeć obrazy Pawła Wałacha. Prezes Koła PZKO w Nieborach Stanisław Sikora przypomniał dwudziestoletnią już historię budowy Domu i ludzi z nią związanych.

Wieczorem młodzi bawili się na dyskotece. Mimo iż 21 maja, kiedy świętowano w Nieborach Dzień Oszeldy, na Zaolziu miało miejsce wiele innych akcji kulturalnych, jak choćby występ Zespołu Pieśni i Tańca Śląsk w Karwinie czy też obchody stulecia gimnastyków w Wędryni, to nie zabrakło tu stałych wielbicieli dobrej tradycyjnej nieborowskiej kuchni i zawsze interesującego programu artystycznego.

E.S.









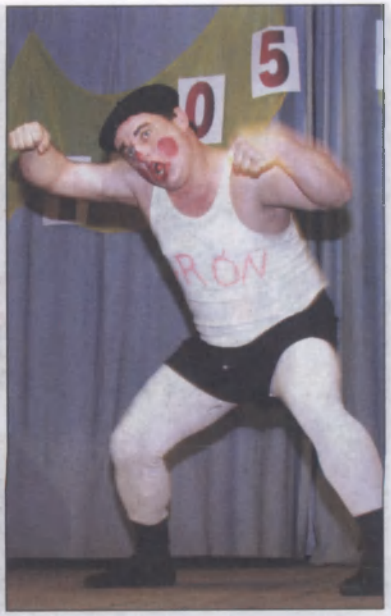


GIMNAŚCI

Nie ma drugiego takiego zespołu w Republice Czeskiej, w Polsce i w Europie, jak Zespół Gimnastyczny Gimnaści z Wędryni, działający obecnie w ramach tutejszego MK PZKO. Wszędzie, gdzie się pojawią, wzbudzają zachwyt, podziw i olbrzymią sympatię widzów. A nie dzieje się to bez przyczyny, bo widzowie, podziwiając niezwykłe układy gimnastyczne, zdają sobie sprawę z olbrzymiego trudu, wysiłku, odwagi i umiejętności zespołu jako całości i poszczególnych jego członków. To nie tylko wielkie show, jak obecnie zwykło się nazywać tego typu widowiska, ale to niezwykły pokaz ludzkiej przyjaźni i wzajemnego zaufania, bez którego piramidy Gimnastów, bo tak w zgodzie z historią się nazywają, nie mogłyby zaistnieć. Ten niezwykły zespół, którego wyczynów nie sposób opisać słowami, a i fotografie również nie oddają istoty budowania piramid, w których powodzenie całości tak mocno uzależnione jest od każdego pojedynczego gimnastyka biorącego w tym budowaniu udział. Gimnastycy wędryńscy to wielka rodzina składająca się z małych rodzin, bo tu występują bracia, kuzyni i ojcowie ze swoimi dziećmi. I tak jest od stu lat.

A wszystko swój początek wzięło od powstałych z początkiem wieku XIX pierwszych towarzystw gimnastycznych w Europie, które dały zalążek Towarzystwu Gimnastycznemu Sokół. Pierwsze gniaz-





do Sokoła na ziemi cieszyńskiej powstało w 1890 roku, a od roku 1901 jego siedzibą był Dom Narodowy w Cieszynie. Polskie Towarzystwo Gimnastyczne Sokół Wędrynia powstało w roku 1905. Jego założycielami byli miejscowi nauczyciele Jagieło i Wojna. Do wybuchu I wojny światowej w zespole było 20 członków. Zebrania odbywały się w szkole, a ćwiczenia w gospodzie Zobawa u Cienciały, ponieważ tylko tu sala miała odpowiednią wysokość. W roku 1910 gimnastycy z Wędryni po raz pierwszy pokazali swój oficjalny program na zlocie Sokoła w Cieszynie. Występowali często w okolicznych gminach. Po przerwie wojennej działalność Sokoła wznowiono w roku 1925 już jako Polskie Towarzystwo Gimnastyczne w Czechosłowacji. Zespół występował na festynach sokolich w okolicy a także w Pradze i w Poznaniu. W roku 1932 prezesem towarzystwa został Jan Ondraszek, który pełnił tę funkcję aż do rozpoczęcia II wojny światowej. Ćwiczenia odbywały się już w Sali Czytelni Katolickiej w Wędryni. W ramach Sokoła w Wędryni działały też inne zespoły sportowe. Po wojnie niezależnie od trudności wynikających z sytuacji politycznej zespół nie zaprzestał swojej aktywności, prezentując się często podczas różnych uroczystości w okolicznych kołach PZKO, w Polsce, jak choćby podczas Polonijnych Igrzysk Sportowych w Krakowie i w Warszawie, pod-





czas Festiwali PZKO, no i jedno z największych wydarzeń Gimnastów – występ w Pradze podczas Dni Śląska Cieszyńskiego w maju 2004. Zespół prowadzi (od roku 1985) Bohdan Ondraszek. I to właśnie rodzina Ondraszków jest tu najliczniej reprezentowana. By jednak poznać naprawdę zespół wędryńskich gimnastyków, nie wystarczy być na ich pokazie, ale przeczytać i obejrzeć książkę poświęconą zespołowi, wydaną przez tychże z okazji tegorocznego jubileuszu, a napisaną przez Bohdana Ondraszka. Książka „Gimnaści 1905–2005" bogato ilustrowana stanowi niezwykły dokument aktywności niezwykłego zespołu. Warto po nią sięgnąć, by poznać historię zespołu i ludzi, którzy przezeń w ciągu tego stulecia się przewinęli.

Niezapomnianym pozostanie na pewno jubileuszowy popis umiejętności gimnastycznych zespołu, który miał miejsce 21 maja br. w Domu PZKO, czyli dawnej wędryńskiej Czytelni, a przygotowany został z okazji 100-lecia istnienia Gimnastów. Składał się z kilku części połączonych opowiadaniem, jak to dawniej było, jednego z byłych już obecnie członków zespołu Jana Biłki (skądinąd aktywnego obecnie w wędryńskim zespole teatralnym, tak jak i wielu innych gimnastyków). Były pokazy w wykonaniu aktualnego zespołu, w którym pracuje ok. 30 gimnastyków, grupy seniorów,





grupy, która już w zespole nie pracuje, ale czyniła to do niedawna, były zabawne scenki gimnastyczne z elementami pantomimy i występ zespołu tanecznego To My, działającego po kierownictwem Ireny Ondraszek. Zespół ten pojawił się po raz pierwszy razem z gimnastykami podczas jubileuszowego pokazu z okazji 90-lecia Gimnastów. Najmłodsi członkowie przedstawili scenkę prezentującą w żartobliwy sposób stosunek ich rodziców do ćwiczeń. Po oficjalnym pokazie była okazja do wspomnień, bowiem prócz wiernych sympatyków Gimnastów zebrali się także licznie byli członkowie zespołu. To oni zawsze byli, jak dziś są i obecni członkowie zespołu, wzorem dla najmłodszego pokolenia wielkiej polskiej rodziny w Wędryni, która w poczuciu dbałości o rozwój fizyczny i patriotyczne wychowanie buduje przyszłość kolejnego pokolenia Polaków na Zaolziu. Bo nic tak nie pociąga jak szlachetny przykład. A przecież członkowie zespołu gimnastyków, to także aktorzy zespołu teatralnego, uczniowie polskiej szkoły, sportowcy odnoszący sukcesy w innych dziedzinach sportu, i wreszcie, a może przede wszystkim członkowie PZKO, z których aż 7 z aktualnego zespołu jest w składzie Zarządu MK PZKO.

E.S.

MISTRZ KRZYŻÓWEK PRZEKROJU

O tytuł Mistrza Krzyżówek Przekroju walczyli już po raz jedenasty uczestnicy konkursu zorganizowanego przez Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie 18 maja br. W ciągu godziny należało rozwiązać jak najwięcej haseł w trzech krzyżówkach z lat 60., 70. i 80. z popularnego krakowskiego niegdyś pisma Przekrój. Zwycięzcą została ponownie Halina Paseková z Czeskiego Cieszyna, drugie miejsce zajęła Zofia Göbel z Jabłonkowa, trzecie Wiesława Branna z Czeskiego Cieszyna. W kategorii par zwyciężyła debiutująca para Władysław Szkopek i Antoni Łacek. Laureaci otrzymali nagrody książkowe ufundowane przez Stowarzyszenie Wspólnota Polska.

C.R.

WYSTAWA W CIERLICKU

Przez dwa dni 4 i 5 czerwca w Domu Polskim im. Żwirki i Wigury w Cierlicku Kościelcu miała miejsce wystawa zatytułowana „W Cierlicku – dawniej i dziś". Jej organizatorami były tradycyjnie już Kluby Kobiet oraz Kluby Seniora przy MK PZKO Cierlicko oraz Stanisłowice. W sobotnie popołudnie na wernisażu zaprezentowały się dzieci z tutejszej polskiej szkoły i przedszkola oraz zespół Olza. Duża sala Domu Polskiego na Kościelcu pozwala organizatorom na wyeksponowanie dużej ilości rozmaitych przedmiotów, począwszy od dzianin poprzez zawsze atrakcyjne, a coraz bardziej unikalne, choć modne hafty ręczne. A gwoli przypomnienia trzeba dodać, że tu niegdyś odbywały się także pokazy mody kreacji przygotowanych przez panie z Klubów Kobiet. Dużym powodzeniem tegorocznej wystawy cieszył się kącik wspomnień, bo tak go można nazwać, gdzie można było obejrzeć stare fotografie i mapy Cierlicka, którego już nie ma, oraz utrwalone na kliszy postacie, które temu skrawkowi zaolziańskiej ziemi nadawały narodowy, polski charakter. Było na co popatrzeć i powspominać przy kawie i dobrym ciastku, którego oczywiście nie mogło zabraknąć jako najbardziej powszechnej produkcji Klubów Kobiet. Miłe otoczenie starych fotografii, pięknych serwet i obrazów Anny Piszkiewicz, artystki z Czeskiego Cieszyna, sprzyjało rozmowom i wspomnieniom odwiedzających wystawę w Domu Polskim w Cierlicku.

E.S.


Čierlicko
dávnej


Čierlicko
dziś









W ŚMIŁOWICACH I ŁOMNEJ DOLNEJ NA WESOŁO

Rzadko się zdarza widzieć publiczność, która przez rok cały niecierpliwie czeka na swój teatr, swoich aktorów. A tak rzecz się ma ze wszystkimi teatrami amatorskimi na Zaolziu. To publiczność przypomina, niemalże zmusza organizatorów teatru, by kolejna premiera odbyła się zgodnie z od lat ustalonym harmonogramem. Toteż na wiosnę obserwujemy urodzaj teatralny w wielu miejscowościach. I dobrze, że tak się dzieje, bo nic tak nie cementuje społeczności lokalnej jak wspólna zabawa, podczas której rola, jaką się w niej spełnia, jest mniej istotna. Satysfakcja jest po obu stronach, publiczność wyraża zadowolenie z serwowanej dawki dobrego, sprawdzonego humoru, a aktorzy, że publiczność pozostaje im wierna.

4 czerwca w sali Urzędu Gminnego w Śmiłowicach tutejszy teatr amatorski działający przy MK PZKO przygotował tym razem dwie jednoaktówki: "Pod pokrywką" Adama Wawrosza i "Babski raj" Władysława Niedoby. Reżyserem i dobrym duchem tutejszego zespołu jest Ewa



Barsony. A trzon teatru tworzy klan rodziny Kowalczyków i Sikorów. Tego wieczoru na scenie pojawili się: Anna Kowalczyk, Kuba Kowalczyk, Henryk Sikora, Maryla Płonka, Urszula Sikora, Ola Kowalczyk, Ryszard Kowalczyk, Mariola Sikora, Zbyszek Łabaj. Trzeba przyznać, że "Babski raj", który grany jest przez teatry amatorskie ostatnio dość często, w Śmiłowicach był bardzo udany, a niemała w tym zasługa Urszuli Sikory, która wcieliła się w postać starki.

Amatorski teatr w Łomnej Dolnej to przede wszystkim zasługa Klubu Młodych tutejszego MK PZKO, których na scenie pojawia się z roku na rok więcej. A że chętnych do wcielania się w postaci z ulubionych sztuk zaolziańskich twórców wielu, toteż rozrastają się czasowo teatralne wieczory w Hotelu Pod Akacjami w Łomnej Dolnej. W tym roku 5 czerwca zaprezentowali się młodzi w trzech jednoaktówkach: "Pofiderny dziyń" Wandy Mrózek, "Sumeryja u Drzązgały" Adama Wawrosza i nieznanego autora "Randka na rymby". Przez dwa miesiące jedenastka młodych ludzi odbywała regularne próby, by nie zawieść swoich zawsze wiernych widzów nie tylko z Łomnej. Ich trud nie





pójdzie szybko na marne, bo chcą się także zaprezentować na nowo przybudowanej scenie Domu PZKO w Jabłonkowie. Trzeba przyznać, że klubowa dolnołomniańska młodzież radzi sobie coraz lepiej na scenie, przy czym dobrze czują się, wygłaszając kwestie w swojej gwarze. A publiczność bawi się doskonale, tu zasiada się całymi rodzinami, by poprzez sceniczny humor oderwać się od codzienności. Reżyserem trzech jednoaktówek był Roman Niedoba, który również obok swoich koleżanek (Jola Sikora, Stanisława Sikora, Wiera Szkandera, Lucyna Sikora, Agata Jopek, Katarzyna Sikora) i kolegów (Daniel Kajzar, Radek Szkandera, Tadeusz Sikora, Adam Szczuka) wystąpił na scenie. W przerwie między jednoaktówkami, czyli podczas wymiany dekoracji (a trzeba przyznać, że dekoracje są tu bardzo precyzyjnie wykonane), tradycyjnie przygrywają muzycy z kapeli Nowina. Słowo wstępne przed przedstawieniem wygłosił Bronisław Procner.

E.S.





Fotografie w Kronice FRANCISZEK BAŁON







WIDOKÓWKI KARWINY NA WYSTAWIE

4 czerwca br., w ramach organizowanych co roku imprez z okazji Dni Karwiny, otwarta została w lokalach Biblioteki Regionalnej w Karwinie Frysztacie wystawa nazwana "Widokówki Karwiny na przestrzeni wieków". Organizatorem wystawy było miasto Karwina i Biblioteka Regionalna. Gości wernisażu zaznajomił z historią widokówki i dziejami widokówek na Śląsku Cieszyńskim autor wystawy, niestrudzony kolekcjoner i znawca wszystkiego, co wiąże się z Karwiną, Władysław Owczarzy. Z jego to bogatych zbiorów pochodziły prezentowane widokówki. A było ich na wystawie ponad 570 sztuk, z tego 320 przedwojennych. Najstarsza z widokiem Karwiny pochodziła z 1898 roku, z widokiem Darkowa z 1899 roku. Wystawę można było zwiedzać do 28 czerwca.

C.R.



BONIFACY MIĄZEK

ROZMYŚLANIE

Idziemy przed i ponad pamięcią
poklejeni zmęczeniem w językach wąwozów
lata łamią nam czoła wargi pieką głodem
niesiemy patos błaznów
złym po drogach wiatrom.

Jak gliniane dzbany w których stare wino
szczelinami wycieka powoli
nie ma dnia nie ma nocy.

Nagle zapadamy po wysokość serca
wiatr otwiera nam pola
morze odchodzi z brzegów przed piaskiem
dalej ciężkie kadłuby statków wpływają
w zatoki.

Nagle porty zdziwienia
dni zielono-trwałe
tam imiona tam miasta jak świerkowy wieniec
i pole garncarzowe krwawi srebrnikami
po cóż było uciekać?

W połowie zdumienia ziemia woła i widzisz
już zapach wieczoru gładzi trawę
cieniami drzew idących po horyzont.

Odłóż pamięć
w tych cieniach wychłodzą nadzieję
i położą nas cicho między zapomnienie
w miejscu przed
i ponad pamięcią.

O PISANIU WIERSZY

Panu baronowi Rudolfowi Jouanne
poświęcam w przyjaźni

Przyjaciele pytają mnie często
dlaczego tak rzadko pisuję wiersze.
Dlaczego? Nie wiem.

Może straciłem wiarę w doskonały liryczny świat,
może już nie ufam trafności metafor,
a może odszedłem zbyt daleko od rodzinnej wioski
zagubionej w polskich lasach
teraz usycham powoli, jak przy płocie
niepotrzebny nikomu chwast.

Mój kolorowy świat,
moje pola rozkołysane majem
noszę jeszcze przy sobie.

Niekiedy, gdy wieczór okryje miasto,
gaszę światło w pokoju,
spoglądam w czarną ramę okna,
widzę daleką drogę między drzewami, niski dom
i matkę w kuchni nad ciepłym stołem pochyloną.

Do tego domu wracam często, do tych drzew wracam,
do łąk pachnących wieczorem
i dymiących jak kościelne kadzidło.

Powracam
więc jestem. I wtedy powstają wiersze.
Ale tak naprawdę,
to już dawno nie byłem w domu.

Z tomiku „Sandomierskie wirydarze"

JERZY MARCINIAK

PANNA WODNA

Janka rozebrała się bardzo szybko i stanęła przede mną. Chciałem coś powiedzieć, ale przytknęła swoje wargi do moich i trwała tak w bezruchu dłuższą chwilę. Ja właściwie nie miałem zbytniej ochoty trwać w tej sytuacji wyłącznie w bezruchu, tylko wprost przeciwnie... wprowadzić sporo elementów ruchowych. Wydawało mi się, że ktoś chodzi brzegiem jeziora. Byłem ubrany i mi to nie przeszkadzało. Janka była rozebrana, ale wyglądało to tak, jakby i jej to nie przeszkadzało. Po chwili odeszła kilka kroków do tyłu i spojrzała na mnie takim zalotnym, uwodzicielskim spojrzeniem, a później równie zalotnym i uwodzicielskim szeptem wyszeptała:

– Ze mną to jest sama rozkosz, zobaczysz!

Wyciągnęła w moją stronę rękę z kilkoma czekoladowymi cukierkami. Firmę Marabou uwielbiałem, więc zjadłem je natychmiast, nie pytając nawet, jak znalazły się one w jej ręce, bowiem, gdy obejmowała mnie za szyję, to nie wyczułem, by cośkolwiek w rękach miała.

– I co?

– Miałaś rację, sama rozkosz.

Ona skoczyła do wody i popłynęła w stronę pomostu. Po chwili stanęła, naga oczywiście, na nim i zaczęła spacerować. Wieczór był ciepły, taki, jaki potrafi być po upalnym, bezwietrznym dniu. Niebo było pogodne, księżyc w pełni i jej sylwetka była widoczna ze szczegółami. Niestety, nie tylko ja jeden mogłem podziwiać te szczegóły, gdyż jakiś mężczyzna co chwilę wychylał się zza drzewa i przykładał rozwartą dłoń do czoła, by lepiej widzieć. Czy był to ten sam, którego widziałem przedtem, czy inny, nie umiałem odpowiedzieć.

– Jutro! – zawołała w moją stronę i wskoczyła do wody.

Resztę zdania dokończyła już na brzegu, wycierając się ręcznikiem.

– ... pójdziesz do tej pracy, nie ukrywajmy, ciężkiej pracy i będziesz tam pracował, nie ukrywajmy, ciężko pracował, a wieczorem po przyjściu z tej pracy oddasz mi połowę pieniędzy, będziesz miły dla mnie i nie będziesz narzekał, że ci było za ciężko albo nie daj Boże, że więcej tam nie pójdziesz.

Podeszła do mnie. Była już sucha, ale jeszcze ciągle naga.

– Bo gdybyś coś, coś nie tak, to... następnym razem, gdybym popły-

nęła znowu na tamten pomost, to tak szybko bym nie wróciła do ciebie, gdyż tam ktoś by na mnie czekał...

- Załatwione! - przerwałem jej, by nie musiała kończyć wyrazu albo dodać kilku innych, które mogłyby być jeszcze mniej strawne. - Będę pracował.

Janka poszperała w torebce i podała mi na wyciągniętej dłoni czekoladowy batonik.

- Masz rację Janka, muszę pracować, skoro tu przyjechałem.

Wziąłem batonik i wsunąłem do ust. Ona uśmiechnęła się i zaczęła ubierać. Wychylony zza drzewa mężczyzna wsunął się z powrotem w cień rzucany przez krzaki dzikich wiśni. Po chwili wzięliśmy się za ręce i poszliśmy w stronę domu.

Jechaliśmy szybko. Mercedes trzymał się dobrze drogi i nawet na zakrętach nie odczuwaliśmy szybkości. Siedziałem z Mikołajem z tyłu, a z przodu, obok Hansa, Hindus.

Hindus ukończył polonistykę na Uniwersytecie im. B. Bieruta we Wrocławiu, napisał pracę magisterską o przekładach z języka pendżabi na polski trzech książek i często wtrącał swoje trzy grosze do naszej rozmowy. Raz nawet, czytając kartkę, którą przykleiłem na drzwiach Mikołaja, podkreślił jakiś wyraz flamastrem i dopisał: ty pisać z błont (written with a misstake). Gdy mu, jako magistrowi filologii polskiej brakowało słów po polsku, to dodawał wyrazy po angielsku, który to język znał trochę lepiej niż my.

Samochód zjechał z głównej drogi i zaczął wspinać się stromym podjazdem pod górę. Po chwili stanęliśmy obok starego domu. Wokoło rosły zdziczałe jabłonie, parę lip i jeden na wpół uschnięty klon. Wczoraj Hans mówił, przez telefon, że będziemy wycinali stare drzewa, ale z tego, co mówił teraz, to wyglądało, że będziemy je karczowali.

Zaczął padać deszcz i Hans schował się do samochodu, ale cały czas patrzył na nas. Jeśli któryś z nas przestawał pracować lub stanął, by wyprostować trochę kości, to Hans stukał w przednią szybę lub wychylał głowę i krzyczał, że mamy cały czas pracować. Widziałem, że Mikołajowi zaczynało brakować sił, zwłaszcza, gdy przychodziła jego kolej, by wbijać młotem kliny do rozłupywania pniaków.

W czasie przerwy śniadaniowej zdjęliśmy koszule, wykręciliśmy z wody i powiesiliśmy pod szopką. Potem było bardzo przyjemnie nałożyć suche ciuchy, które mieliśmy w plecaku. Hans tego dnia nie popisał się śniadaniem. Dał nam co prawda trochę samogonu swojej roboty do kawy, ale puszka z szynką, którą otworzył, była grubo przeterminowana. Mikołaj odezwał się:

- Z rezerw wojskowych... takie same wysyłają do Rumunii czy Afryki jako humanitarną pomoc, bo to dużo taniej niż niszczyć.

Nie odezwałem się. Hindus też nie. Mikołaj pogwizdał trochę pod nosem i zmienił temat:

- Wiesz, robię dzisiaj, tutaj w sercu Europy, w demokratycznym zachodzie, dokładnie tę samą pracę, którą mój ojciec robił w czasie wojny na Syberii jako jeniec... Nawet zapłatę mam mniej więcej na tym samym poziomie. Tak, karczowanie drzew to jest dokładnie Syberia w środku Europy i jej dobrobytu i...

Hindus, który mieszkał w Polsce wiele lat i skończył polonistykę na Uniwersytecie im. B. Bieruta, wtrącił swoje trzy grosze tą swoją magisterską polszczyzną: - Polaki ucieka same na Zachód... Polaki klamac, że prześladować strasznie od komuny, a potem płakać, że na Zachód ciężka praca... dla Polaki niedobrze tam i niedobrze tu...

Hans zastukał w szybę, więc musieliśmy spod dachu wyjść na deszcz i wyrywać z ziemi korzenie.

W przerwie obiadowej Mikołaj nie opowiadał już nic o Syberii, dodał tylko, że gdy więźniowie szli z baraków do karczowania lasu, to mogli zatrzymać się przed mrowiskiem i rzucić ubranie, by mrówki wygryzły wszy.

- Ojciec pisał w liście, że słychać było takie trzaski, jak wszy pękały. Mieli dziennie dziesięć minut na odwszawienie.

Hindus albo nie dosłyszał, albo źle zrozumiał, bo te jego trzy grosze, tą jego polszczyzną na uniwersyteckim poziomie, zabrzmiały trochę jak kwiatek do kożucha: - Polaki nie solidarne, kłócić sa ze sobom, bić ze sobą, trzaskać po mordy...

Nie zwracaliśmy na niego specjalnej uwagi, gdyż był nam potrzebny przy układaniu słomy i siana w stodole. Wchodził na strychu pod sam dach, gdzie temperatura wahała się w granicach czterdziestu stopniu z tendencjami do jej przekraczania i uśmiechał się: temperatura dobry, nie zimna, kurz duża, ale... I widać było po nim, że mimo: duża kurz czuje się dobrze.

Hans rzucił w naszą stronę paczkę papieru toaletowego i zaczęliśmy wycierać pot i wodę z twarzy. Hindus oczywiście pośpieszył ze swoim trzygroszowym komentarzem:

- On papier do dupa a my do gęba... ciekawa, kiedy będzie odwrotnie?

Trochę zjedliśmy, trochę popiliśmy. Potem Mikołaj położył się na podłodze i pod głowę wsadził resztki rolki. Chyba poczuł się lepiej, bo się trochę rozpogodził.

- W tamtym tygodniu, to...

Pokręcił głową, jakby nadal trudno mu było uwierzyć w to, co zaistniało, i pierwszy raz od dłuższego czasu uśmiechnął się.

- To było, gdy tę wykładzinę podłogową zrywałem w piwnicy. Przyszła jakaś kobieta i coś zagadała, a potem spytała, co robiłem w Polsce... To jej powiedziałem, że skończyłem historię sztuki, byłem nauczycielem, a oprócz tego dru-

kowałem trochę prozę, trochę wiersze, bo mam talent poetycki... I ona popatrzyła na mnie i zaczęła się głośno śmiać, potem przyprowadziła jakiegoś mężczyznę, pokazała na mnie palcem i powiedziała, to jest ten z wyższym wykształceniem i do tego z talentem, literackim znaczy się... I oboje patrzyli się na mnie, jak zrywałem tę starą wykładzinę, i zanosili się ze śmiechu, aż im łzy błyszczały w oczach... W końcu już mnie to zaczęło drażnić, bo przecież wszystko, co powiedziałem im, było prawdą, więc z czego tu się tak znowu śmiać?... Z rzeczywistości?... Że ktoś próbował ułożyć sobie lepiej życie? Gdyby mi na tej pracy nie zależało, to bym im co nieco powiedział do słuchu, a ponieważ mi zależało, bo rodzina ciągle pisze o pieniądze, to nie powiedziałem im do słuchu, a nawet nic nie powiedziałem... Chociaż ja trochę źle mówię, bo ona powiedziała, tutaj jest jeden Polak, nauczyciel muzyki, bardzo ładnie gra Chopina, ma talent... I wtedy ja jej powiedziałem, ja też mam talent i piszę wiersze, wtedy ona popatrzyła na mnie i zaniosła się śmiechem, śmiała się chwilę, a potem poszła po tego grubego faceta i śmieli się we dwójkę...

Hindus jakby tylko czekał na te słowa, bo od razu wtrącił swoje złośliwe trzy grosze i to z takim przekonaniem, z taką pewnością siebie, jakby tylko on miał wyższe wykształcenie, zawsze rację po swojej stronie i język polski opanowany jeszcze lepiej niż my.

- Polaki to takie... tak, śmiać się wszystkie ludzie na Polaki... to tylko Polaki po uniwersytet brać praca sprzontać na Zachód Europa, cha, cha, cha... lekarz, inżynier ma miotła i miotła zamiatać, cha, cha, cha... nikt Polaki nie szanować, nikt...

Zbliżał się koniec przerwy, więc wstaliśmy i zaczęliśmy iść w kierunku wystających z ziemi pniaków. Widocznie Hans uznał, że szliśmy zbyt wolno, bo wychylił się z samochodu i krzyknął na nas, a potem wyciągnął rękę w naszą stronę i potarł w charakterystyczny sposób kciukiem o dwa palce, dając nam do zrozumienia, że może obciąć nam dniówkę.

Mniej więcej na godzinę przez zakończeniem pracy Mikołaj zaczął tracić siły. Mimo deszczu zdjął koszulę i szukał orzeźwienia, szukał jakichś rezerw, które być może gdzieś tam jeszcze w nim tkwiły, a może już i nie tkwiły, ale mimo to szukał. Hans musiał zauważyć jego kłopoty, bo prawie nie spuszczał z niego oczu. Hindus ukradkiem zerkał to na Hansa, to na mnie, to na Mikołaja i też na pewno się bał tak jak i my, że może i on przy okazji stracić pracę.

Korzystając z okazji, że Hans poszedł w krzaki za potrzebą, wyprostowaliśmy trochę krzyże, a ja pod nosem zanuciłem: My pierwsza brygada, strzelecka gromada...

Mikołaj uśmiechną się i powiedział:

- Nie bójcie się, te pół godziny to wytrzymam.

Przytaknęliśmy mu głowami.

Siedząc później wygodnie w Mercedesie, patrzyliśmy na rozległe pola buraków, żółte ścierniska po pszenicy czy życie i odległą, ciemną ścianę lasu świerkowego za polami.

– Faktycznie tak było... ojciec pisał do matki, że jak tracili siły tam na Syberii przy karczowaniu, to śpiewali pieśni patriotyczne, a jak ktoś był chory i nic mu już pomóc nie mogło, to na pożegnanie pieśni religijne, bo nie mieli czasu, by uklęknąć i zmówić za odchodzącym pacierz...

Poklepał mnie po ramieniu.

Wieczorem Mikołaj podrzucił do góry zarobiony dzisiaj banknot, chuchnął potem w niego i wsadził do kieszeni. Otworzyliśmy po puszce piwa, założyliśmy nogi na niski stolik i patrzyliśmy w telewizor.

Obok siedziało dwóch krajanów, przeliczali jakieś drobne i narzekali:

– Poszedłem do tej grubej i mówię, sprzątam dobrze, lepiej niż Turcy, do tego Niemcy zamordowali mi w obozie ojca i matkę oraz rozstrzelali na ulicy ciotkę, to jest nieuczciwe, żebym miał mniej od Turka, więc ona dołożyła mi pięćdziesiąt fenigów na godzinę.

Ten drugi pokręcił głową i sapnął przez nos z niezadowolenia.

– A jednemu dali całą markę więcej na godzinę, mimo że jemu zastrzelili tylko matkę i ojca ledwo zranili... Co to, ojca za darmo mi zastrzelili?... Co to, mój ojciec nie jest wart pięćdziesięciu fenigów?... Młody był, przystojny, wyrośnięty, bujna czupryna, śpiewał ładnie w chórze kościelnym.

Teraz obaj pokręcili głowami i obaj sapnęli przez nos z niezadowolenia.

Hindus, absolwent Uniwersytetu im. B. Bieruta, jeszcze raz tego dnia pokazał, że nie uważa, iż mówi gorzej po polsku od nas, bo z dużą pewnością siebie wtrącił swoje trzy grosze po raz kolejny.

– Polaki to ostatnia pieniądz dać na wódka.

Ta „ostatnia pieniądz" musiała trafić Mikołaja w czułe miejsce, bo później, gdy Hindus już poszedł spać, opowiedział mi do końca tę historię, którą w celi więziennej, gdy czekaliśmy na decyzję o wstrzymaniu deportacji, nie zdążył opowiedzieć mi nawet do połowy.

– Ojciec wyszedł z Andersem, bo im ci z US-Army i British Army obiecali złote góry na Zachodzie, wysokie, złote góry i jeszcze bardziej złote i jeszcze bardziej wysokie po wojnie w Ameryce, a na tej Syberii to oni ginęli z głodu i wycieńczenia jak mrówki. Potem w Londynie dostał trzymiesięczną odprawę i powiedziano mu, wracaj do Polski, good bye... On pokazał im swoją sztywną nogę, bo go w Palestynie trafili, rany na piersiach i powiedział, przelewałem krew w interesie Zjednoczonego Królestwa, a oni wzruszyli ramionami, zaśmiali się i wskazali mu drzwi wyjściowe... Pojechał statkiem do Normandii, tą samą trasą, którą szła inwazja na kontynent, i zamieszkał w takim hoteliku, gdy miał

ostatnie sto franków, to pomyślał, że może jeszcze za nie przeżyć kilka dni, pojechać do Paryża do ambasady polskiej i wziąć od Putramenta darmowy bilet do Polski, ale poszedł do knajpy, dał ten banknot pianiście i poprosił go, żeby zagrał mu coś polskiego... W szatni nie miał pieniędzy, więc wziął tylko czapkę i swój płaszcz wojskowy zostawił jako zastaw, z czapki oderwał orzełka i... Potem poszedł w morze w stronę Anglii i z niego już nie wyszedł, zresztą to było w wigilię, w grudniu woda była lodowata.

Popatrzyliśmy po sobie.

Dopiliśmy piwo i położyliśmy się na materacach, by wypocząć przed jutrzejszą pracą u Hansa. Nad ranem postanowiłem, że więcej do tej pracy nie pójdę.

Spodziewałem się, że Janka coś powie. I nie omyliłem się.

- Tutaj jest trochę inaczej, nawet znacznie inaczej, nie będę tego wcale ukrywała, ale tutaj kocha się po prostu inaczej... W Polsce to dziewczyna chodzi z chłopakiem, bo go kocha albo bo on jej się podoba czy czymś jej imponuje, chodzą ze sobą, kochają się, żyją ze sobą... Ale tutaj jest inaczej...

Pokazała palcem na tonący w mroku przeciwległy pomost. W wodzie odbijały się ciemnymi, falującymi plamami boje. Poszedłem wzrokiem za jej palcem. Za drzewem stał chyba ten sam mężczyzna, który podglądał za pierwszym razem.

- Zarobiłeś po prostu za mało pieniędzy, nie wiem dlaczego, może się leniłeś, może cię przyłapali, że paliłeś w pracy papierosy, albo po prostu jesteś za słaby... Gdybyś zarobił więcej, dużo więcej, to byś stał na tamtym pomoście, nagi, a ja bym do ciebie przypłynęła, też naga i byśmy... A tak, to... Sam chyba dobrze rozumiesz?

Rozerwałem szybko podszewkę w marynarce i wyciągnąłem zaszyte tam pieniądze, które w nocy ukradłem Mikołajowi. Podałem jej. Wzięła, rozsunęła trochę w dłoni i przeliczyła wzrokiem.

- No... dobrze... Jak ty w krótkim czasie zarobiłeś tyle pieniędzy, to znaczy, że Zachód jest dobrym miejscem dla ciebie.

Spodziewałem się, że doda, żebym szybko poszedł na przeciwległy pomost, rozebrał się do naga i poczekał na nią, albo, że powie, iż z nią wszystko ma taki świetny smak i poda mi kawałek czekolady na wyciągniętej dłoni, albo...

- Dobrze, wynagrodzę ci to, ale nie tak, jak byś najbardziej pragnął, bo znam twoje myśli, tylko... Albo wiesz co, teraz myślę, że mogłabym z tobą złączyć się na stałe, bo od dawna chciałam skończyć z takim gównianym, nędznym życiem i mieć większą forsę, mieć kogoś zaradnego, uczciwego, a ty do tego jesteś stworzony...

Podeszła do mnie szybko, przytuliła i wbiła się we mnie ustami.

POLSKO-CZESKIE CIEKAWOSTKI LITERACKIE

Do redakcji Zwrotu wpłynął niedawno pierwszy numer (kwiecień 2005) interesującego pisma (półrocznik, bo dwa razy w roku ma się ukazywać) pt. **Almanach Prowincjonalny,** którego wydawcą jest Raciborskie Centrum Kultury. Ze wstępu od redakcji dowiadujemy się, że pismo to jest kontynuacją polsko-czeskiego projektu "Prowincja - Matecznik Słowa". Natomiast ze stopki pisma, że redaktorem naczelnym Almanachu Prowincjonalnego jest Janusz Nowak, zaś stałą współpracę zaoferowali m. in. Václav Burian z Ołomuńca, Miloš Doležal z Pragi (obaj są także współpracownikami krakowskiego Tygodnika Powszechnego), Krzysztof Lisowski z Krakowa, Libor Martinek z Opawy, ks. Jerzy Szymik z Lublina, Wojciech Wencel z Gdańska i inni. Ładny mi prowincjonalizm, do pozazdroszczenia...

Zresztą już pierwszy numer prezentuje się ambitnie. Otwiera go portret Czesława Miłosza (1911-2004), o polskim nobliście także więcej na łamach pisma, oraz wiersz Ewy Lipskiej, są wypowiedzi mieszkańców Raciborza o swoim mieście, a także z wyprzedzeniem o Almanachu. Poza tym są wiersze miejscowych poetów, dalej ks. J. Szymika, który także pisze o swym pobycie w Szwajcarii, są sprawy lokalne, na przykład materiał o raciborskiej Strzesze (1911-1939), najstarszej polskiej instytucji kulturalnej w tym mieście, są wiersze i tekst Miloša Doležala (redaktora Czeskiego Radia 3 - Wełtawa, ambitnej stacji kulturalno-muzycznej), autora m. in. świetnych felietonów i wierszy "České feferony".

W każdym razie sporo tu interesujących tekstów, oby redakcji wystarczyło ich na długie lata. Numer ten zamyka zdjęcie Jana Pawła II (1920-2005). Całość ilustrują piękne czarno-białe fotografie Przemysława Fity.

W ogóle tamten region opawsko-raciborski ma coraz więcej do powiedzenia na temat kultury i współpracy czesko-polskiej w tym zakresie. Sygnalizuje to już wspomniany tu Almanach Prowincjonalny, ale także tłumaczenia poezji polskiej przez opawskiego polonofila Libora Martinka. Ostatnio w wydawnictwie Literature & Sciences w Opawie ukazał się tomik wierszy **ks. Bonifacego Miązka „Návrat"** (tłumaczenie, redakcja i posłowie Libor Martinek, grafika Svatoslav Böhm). Tłumacz korzystał z londyńskiego wydania wierszy B. Miązka "Sandomierskie wirydarze". Ks. Bonifacy Miązek (1935) od roku 1965 żyje w Austrii, jest wykładowcą literatury polskiej na Uniwersytecie Wiedeńskim, jego wiersze były tłumaczone na wiele języków europejskich, obecnie także na język czeski. Miązek należy do sporej grupy

polskich księży poetów, ot chociażby ks. Jan Twardowski, ks. Janusz Stanisław Pasierb, wspominany tu już ks. Jerzy Szymik, a przede wszystkim ks. Karol Wojtyła (papież Jan Paweł II) itd.

Wiersze te czyta się dobrze (wolałbym jednak oryginał), zasługa to niewątpliwie tłumacza. Libor Martinek, pisząc o polskiej literaturze i tłumacząc ją, w tym wypadku wiersze, przybliża czeskiemu czytelnikowi polską literaturę i kulturę, a poprzez to także niejako zbliża oba narody, które nie całkiem się znają.

KAZIMIERZ JAWORSKI

LITERATURA SKAZANA NA ZAGŁADĘ

Gmina Pisarzy (Obec spisovatelů) w roku 2004 wydała ciekawą publikację nazwaną "Literatura skazana na zagładę" (Literatura určená k likvidaci - Sborník příspěvků z konference pořádané v Brně 26.-27. listopadu 2000 k padesátému výročí politických procesů se spisovateli). W publikacji tej 22 autorów przedstawia tragiczne losy czeskich pisarzy, przeważnie katolickich, których komuniści w latach 50. XX wieku mordowali, więzili i skazywali na publiczne nieistnienie. Jest to więc publikacja oskarżająca ten nieludzki system, w którym niestety wypadło nam żyć.

Poza przyczynkami analizującymi dorobek i utwory tych poetów i pisarzy czytelnik znajdzie tu opisy ich tragicznych losów.

Po objęciu władzy przez komunistów już w roku 1948 zamknięty został ks. František Daniel Merth, w roku 1949 Josef Palivec, Zdeněk Rotrekl, Josef Suchý i ks. Anastas Opasek, w roku 1950 skazana została pisarka Nina Svobodová, a w procesie wraz z dr Miladą Horákową na karę śmierci skazany został wybitny historyk międzywojenny Záviš Kalandra.

W roku 1952 miały miejsce dwa kolejne procesy z katolickimi twórcami (w Pradze i Brnie), wówczas na długie lata w więzieniach znalazła się elita czeskiej inteligencji. W tych skonstruowanych i bezprawnych procesach zostali skazani: Jan Zahradníček (13 lat), Václav Renč (25 lat), František Křelina (12 lat), Josef Knap (11 lat), Bedřich Fučík (15 lat), Václav Prokůpek (22 lata), dr Zdeněk Kalista (15 lat), Josef Kostohryz (dożywocie) itd. Procesy te przebiegały w ramach ogólnokrajowych kampanii kolektywizacji wsi i walki z Kościołem katolickim w Czechosłowacji. Tych niewinnych ludzi zmuszano do przyznania się metodami typowymi dla sowieckich komunistów i niemieckich faszystów, ci pierwsi zresztą byli w tych czeskich procesach doradcami.

Pozostali koledzy po piórze, którzy nie wyemigrowali (wśród emigrantów był m. in. bardzo interesujący pisarz Jan Čep), chcąc przeżyć i pisać lub

uwierzywszy nowej ideologii, podporządkowali się zasadom socjalistycznego realizmu, pisząc literackie buble, którymi potem karmiono nas w szkole w ramach lektur obowiązkowych. A niektórzy z nich swym zachowaniem i przyczynkami pomagali likwidować lepszych od siebie twórców.

W kraju pozostał, skazany jednak na twórcze nieistnienie, także Bohuslav Reynek, świetny poeta i jeszcze lepszy grafik, przez wielu odkryty dopiero po roku 1989.

Pamiętam, jak w tamtych latach przypadkowo w antykwariatach natrafiałem na książki ludzi mi nieznanych (Josef Suchý, Josef Kostohryz itp.), których lektura sprawiała mi przyjemność. Zaś po roku 1989 odkrywałem nowy dla mnie świat w wydawanych lub wznawianych dziełach Josefa Knapa, Jana Zábrany, Jana Čepa, Zdeňka Rotrekla i wielu innych ciekawych czeskich pisarzy, których miało nie być.

Naturalnie tamten reżym ingerował także w sprawy literackie, językowe, naukowe, naturalnie w sposób głupi, bo ideologiczny i polityczny. Makabryczne były warunki studiów na wyższych uczelniach, gdzie o wszystkim decydowała ideologia, gdzie usuwano zdolnych pedagogów, a ich miejsce zajmowali czasami idioci w dosłownym znaczeniu, których jedyną kwalifikacją była legitymacja partyjna i pobieżna znajomość marksizmu-leninizmu, gdzie studentów myślących, ale także profesorów usuwali „uświadomieni politycznie" studenci, najgorsi byli, może nie wszyscy, absolwenci z tzw. „dělnické přípravky", którzy swoje braki w wykształceniu zastępowali polityczną gorliwością, donosicielstwem itp. Co nieco z tamtych lat pojawiło się u nas w latach „normalizacji".

We wspomnianej tu publikacji znalazł się także przyczynek o naszej zaolziańskiej literaturze, autorstwa Libora Martinka („Slezská Golgota". K literatuře polských spisovatelů z českého Těšínska v období let 1945-1959).

U nas sytuacja pod tym względem nie była tak tragiczna. Nie mieliśmy wybitych pisarzy katolickich. Na ogół większość ówczesnych piszących przyjęła warunki politycznych zapotrzebowań z przekonania lub swoistego twórczego oportunizmu (to samo powtórzyło się w latach normalizacji). Dyskryminowany ideologicznie i politycznie był jedynie Paweł Kubisz, wyrzucony z redakcji Zwrotu i z szeregów PZKO. W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku podobny los spotkał już większą ilość naszych twórców (przede wszystkim Henryk Jasiczek, poza tym Władysław Sikora, Adam Berger itp.).

W naszych świecie pozaliterackim ofiar procesów politycznych w latach 50. XX wieku nie zabrakło. Byli to przede wszystkim księża katoliccy, więzieni lub wysyłani poza nasz teren, skonstruowany proces ropickiej rodziny Brannych itd.

Żeby zrozumieć tamte lata i nas samych w ich kontekście, powinniśmy czytać tego rodzaju publikacje.

KAZIMIERZ JAWORSKI

SAŁASZNICTWO W BESKIDACH

W pierwszych dniach czerwca pojawił się nowy, piętnasty już z kolei Zeszyt Ludoznawczy "Sałasznictwo w Beskidach". Jest to plon seminarium, jakie odbyło się na dany temat w czerwcu 2003 roku w Jabłonkowie. Jak we wstępie stwierdza prezes Sekcji Ludoznawczej Leszek Richter, który wraz z Janem Szymikiem jest redaktorem publikacji, chodziło o to, by uporządkować w jakiś sposób naszą wiedzę (lub jej brak) na bardzo interesujący temat dotyczący pasterstwa i sałasznictwa w naszych Beskidach i jego wołoskich korzeni.

W tym celu na seminarium zaproszono autorów z Czech, Polski i Słowacji, a w publikacji opublikowano ich teksty w aż w czterech językach: w gwarze góralskiej, po polsku, po czesku i po słowacku.

Naturalnie, o ile filozof ks. Józef Tischner mógł napisać historię filozofii po góralsku, to dlaczego nie mógłby tak postąpić Jan Kufa z Sekcji Ludoznawczej w swym przyczynku nazwanym "Sałasznictwo w Beskidach (łod miyszanio po rozsad)", gdzie swoje rozważania ujął w następujące tematy: Początki sałasznictwa, Spółki sałasznicze, Miyszani łowiec, Dziyń na sałaszu i Rozsad, uzupełniając tekst aparatem źródłowym.

Autorem drugiego przyczynku "Ovčoř na léto i na zimu" jest Jaroslav Štika, były dyrektor Wałaskiego Muzeum w Przyrodzie. Poszerza on tu poprzednie informacje o nowe spostrzeżenia i badania tych spraw u nas i w Rumunii, skąd wywodzą się Wołosi, którzy kolonizowali nasze Karpaty od XV do XVIII wieku i tak dali początki beskidzkiego sałasznictwa (gospodarki i kultury).

Sprawy te jeszcze bardziej pogłębia Tomasz Liboska w materiale "Sałasz na Bukowym Groniu na tle historii gospodarki pasterskiej w Beskidzie Śląskim". Autor pisze kolejno o początkach pasterstwa w Beskidzie Śląskim, organizacji tradycyjnego sałaszu, o sałaszu na Bukowym Groniu z Brennej, który znajduje się w Górnośląskim Parku Etnograficznym w Chorzowie, obrzędowości pasterskiej itp. Autor na koniec zauważa, iż stworzona niedawno spółka sałasznicza w Istebnej może być zapowiedzią powrotu owiec w Beskidy.

Chociaż owce te w Beskidach (słowackich) już są. Pisze o tym była dyrektor Kisuckiego Muzeum w Czadcy Mária Húšťavová w przyczynku "Ovečka, ovečka, trojaký úžitok" i my sami możemy się o tym przekonać, kupując okazyjnie oštiepky lub korbačiky. Ten tekst prezentuje sałasznictwo w Kysucach.

Całość zamyka tekst Jana Szymika z Sekcji Ludoznawczej pt. "Owczarstwo na cieszyńskich dołach", które do połowy XVIII wieku pomyślnie się rozwijało w dobrach takich właścicieli ziemskich, jak Taaftowie, Wilczkowie, Laryszowie, Beesowie i inni. Tutaj hodowla owiec miała poniekąd odmienny charakter.

Ze wspomnianych tu tekstów czytelnik dowie się wiele ciekawych spraw na temat życia i pracy owczarzy, układów między gospodarzami i pasterzami w spółkach sałaszniczych, o rozwoju i upadku hodowli owiec w naszych górach itd.

W języku polskim pisze się szałas, szałaśnictwo, ale autorzy publikacji stosują tu wersję gwarową, więc żeby nie mieszać pojęć, trzymam się tej wersji.

Gdo mo łowce, tyn mo, co chce - twierdzi przysłowie ludowe, a kto nabędzie omawianą tu publikację, będzie miał przynajmniej jakie takie pojęcie o historii, gospodarce i zwyczajach sałaszniczych w naszych Beskidach. Zapewniam, że pozycję tę (44 stronice z ilustracjami) czyta się z dużym zainteresowaniem i satysfakcją. Cenną nowością w tego rodzaju publikacjach jest dodatek w postaci płyty CD, zawierającej kopie fragmentów map katastralnych z sałaszami w Ustroniu, Wiśle, Brennej i Istebnej z roku 1846.

KAZIMIERZ JAWORSKI

NA NASZEJ SCENIE

DZIECI HRABALA

Spektakl "Bambini di Praga" zrealizowany w Scenie Polskiej Teatru Cieszyńskiego kończył 14 maja br. XVI Międzynarodowy Festiwal Teatralny Bez Granic. Była to premiera tego przedstawienia. Nie udało się jednak jego twórcom przekonać jurorów o wyjątkowości swego dzieła i zdobyć nagrody festiwalowej. Jury było międzynarodowe, wśród pięciu jego członków dwóch przyjechało z Polski, po jednym z Czech, Słowacji i Węgier. Być może oglądali inne realizacje tej adaptacji (dokonanej przez Václava Nývlta, której prapremiera odbyła się w 1978 r. w praskim Teatrze na Zabradlí w reżyserii Evalda Schorma, a przetłumaczonej na język polski przez Andrzeja Czcibora-Piotrowskiego) opowiadania Bohumila Hrabala, być może tę warszawską z roku 2001, przygotowaną w Teatrze Współczesnym przez reżyser Agnieszkę Glińską, która odniosła wielki sukces i którą uznano za bardzo Hrabalowską. Może nie dość "czeski" wydał im się spektakl w Czeskim Cieszynie, w którym zagrali oprócz aktorów wywodzących

się z Polski aktorzy urodzeni na Zaolziu, a gościnnie w roli głównej wystąpił stawiający tu kiedyś swoje pierwsze sceniczne kroki Jan Monczka z Hawierzowa, dziś członek zespołu warszawskiej sceny narodowej. Reżyser przedstawienia Marek Mokrowiecki, który uczył się sztuki aktorstwa w Warszawie, a sztuki reżyserii w Pradze i związany jest z Zaolziem od lat wielu, pragnął wziąć na warsztat adaptację powieści Hrabala "Obsługiwałem angielskiego króla". Ale prawa do niej dzierży obecnie Jiří Menzel. Pozostała mu historia o "dzieciach Pragi", adaptacja teatralna opowiadania "Bambini di Praga", w której doszukać się można także wątków i cytatów z innych opowiadań Bohumila Hrabala. Do współpracy zaprosił reżyser Jerzego Gorazdowskiego (scenografia i kostiumy), Zbigniewa Siwka (muzyka), Františka Blatáka (choreografia).

Bohaterowie Hrabala to nie żadni herosi czy wielcy myśliciele, ale prości ludzie, których ich własne słabostki, śmiesznostki, dziwactwa czynią w pewien sposób niezwykłymi. To postacie, które się zapamiętuje, chociaż sytuacje, w których czytelnik ma okazję je poznać, nie wyróżniają się niczym szczególnym. Tak więc książki Hrabala to, mówiąc w uproszczeniu, literatura o codziennych sprawach zwykłych ludzi. Opowiadania Hrabala, które zbudowane zostały głównie z rozmów, są już jakby rozpisane na role i stanowią gotowe dialogi, które można prezentować na scenie. Zaś losy bohaterów stają się dobrym materiałem na tragikomedię.

Galeria barwnych postaci przewija się przez scenę podczas spektaklu "Bambini di Praga". Grupą, która w dużej mierze inscenizuje spotkania z tymi postaciami, jest czterech agentów fikcyjnego towarzystwa ubezpieczeniowego. O tym, że na pewno miejscem akcji jest Praga, świadczą rozwieszone na blejtramach widoki znanych wszystkim praskich wież kościelnych. Czas akcji to godziny przed i po tzw. Nocy Weneckiej, kiedy bawią się wszyscy, rok 1947.

Spektakl rozpoczyna na czarnej pustej scenie mały egzamin: Bucyfał (Jan Monczka) reklamuje swój zakład pogrzebowy i robi to tak przekonująco, że Szef (Karol Suszka) przyjmuje go do swojej spółki ubezpieczeniowej. Razem z Uhdem (Dariusz Waraksa) i Wiktorem (Klaudiusz Szymiczek) wędrują od domu do domu, starają się nakłonić mieszkańców do podpisania umowy ubezpieczeniowej i od razu inkasują pewną sumę pieniędzy.

Dziewczyną, która niby zjawa mija od czasu do czasu agentów, jest kwiaciarka Urszula (Katarzyna Wojczyk). Dłużej zatrzymuje się w ich życiu reklamująca odbarwiacz Tęcza Nadzia (Małgorzata Pikus). Wśród potencjalnych "ofiar" agentów ubezpieczeniowych znajdzie się producent sztucznych kwiatów, jednocześnie filozof-amator Krause (Ryszard Malinowski), malarz-marzyciel Zerko (Mariusz Osmelak) z energiczną Matką (Halina Paseková), lubiący eksperymenty chemiczne Drogista (Janusz Kaczmarski) z Żoną (Lidia Chrzanówna). Gorzej idzie im z niebezpiecznym, ostrzącym noże Rzeźnikiem (Witold Rybicki), choć zyskują przychylność Pani rzeźnikowej (Anna Paprzyca). Na pewno zapamiętają widzowie także epizodyczne, ale właściwie większość osób dra-

matu to postacie pojawiające się na scenie na krótko, role Niewidomej (Katarzyna Anna Małolepsza), dziewczyny, która w zaskakującym tempie wyrzuca z siebie potoki słów, Panny Grudówny (Barbara Szotek-Stonawski), niezbyt urodziwej, ale jakże kochającej byki, Fryzjera (Bogdan Kokotek), Cuca (Adam Mężyk) itd.

W drugiej części spektaklu, której główną oś dramatyczną stanowi lekcja tańca, oczywiście dla starszych i zaawansowanych, i w której podziwiamy cztery pary tańczących panów, a od czasu do czasu występy solowe (Witold Rybicki), oraz fircykowatego Nauczyciela tańca (Ryszard Pochroń), agenci trafiają na nowe osoby (grane przez wymienionych już aktorów, bo niektórzy mają do zagrania aż trzy role) i wysłuchują następnych historii z życia wziętych.

U Hrabala czas płynie powoli, nikomu nigdzie się nie śpieszy. Najważniejsze są właśnie ta chwila i to zdarzenie, które dzieją się tu i teraz, które wydają się sposobem na spędzanie życia i stanowią cel sam w sobie. Toteż kiedy okaże się, że Bucyfał nie jest tym, za kogo się podawał, ale stróżem prawa, i musi aresztować kompanów, nikt nie jest przerażony i nie rozpacza, bo zmieniły się okoliczności, ale życie przecież leniwie płynie dalej.

Nie odchodźcie jeszcze - słychać w kończącej spektakl scenie. A ja mówię: Idźcie już, bo mnie to nie bierze. I mało mnie wasze historie życiowe obchodzą.

CZESŁAWA RUDNIK



Fot. TC - WIESŁAW PRZECZEK

SCENA OTWARTA DLA WSZYSTKICH

Teatr Cieszyński w Czeskim Cieszynie ma swoją Scenę Otwartą. Otwartą dla wszystkich, młodszych i starszych, o czym mogli się przekonać widzowie, których zainteresowała notatka na ten temat w Głosie Ludu czy do których dotarł pomysłowy plakat anonsujący spektakl "Agata szuka pracy". Tłumów na widowni nie było, ale może to też wina niedostatecznej reklamy. Bo nie był to wieczór zmarnowany, ani dla zainteresowanych współczesnym teatrem, ani dla miłośników Piwnicy pod Baranami.

Pierwszą część wieczoru teatralnego wypełniła jednoaktówka debiutantki Danuty Łukasińskiej (ur. 1972) pod tytułem "Agata szuka pracy". Sztuka jest dialogiem telefonicznym matki z córką, a właściwie dwoma monologami. Pojedyncze wypowiedzi do słuchawki nagrywane są i odsłuchiwane później, jakby istniała obawa przed bezpośrednim zetknięciem się i konfrontacją osób przecież najbliższych. Agata robi lalki do przedstawień teatralnych, to jej hobby. Ale na chleb jej widocznie nie starcza, bo dziewczyna szuka pracy. Właściwie robi to za nią Matka, która wyszukuje różne, jej zdaniem interesujące, oferty. Agata górą – taki jest finał sztuki, w którym talent w szyciu lalek zostaje dostrzeżony i nagrodzony.

Jako matka córek w wieku mniej więcej Agaty mogłabym podyskutować z matką Agaty, czy aby na pewno propozycje pracy, które podpowiada swojemu dziecku, uczyniłyby jej córkę szczęśliwą, ale zostawmy każdemu prawo do własnego zdania, zwłaszcza że Agata wydaje się dojrzalsza od swej matki; widoczne to jest także w ich zachowaniu i strojach. Natomiast jako quasi-recenzent muszę zwrócić uwagę na inspiracje, jakie dla polskiej autorki mogły stanowić "Monologi vaginy". Autorką monodramu, a potem publikacji z dziedziny literatury faktu pod tym tytułem jest Amerykanka Eve Ensler. Jej książka powstała w oparciu o ponad dwieście wywiadów z kobietami z całego świata, które opowiadały o swoich przeżyciach intymnych, porażkach i sukcesach. Sukces sceniczny sztuki stał się początkiem globalnego ruchu przeciwko przemocy wobec kobiet. Polska prapremiera sztuki, którą nazwano obrazoburczym manifestem feministycznego teatru, odbyła się w gdańskim Teatrze Wybrzeże w 2002 roku, zaś polski przekład książki ukazał się w 2003 roku.

W spektaklu "Agata szuka pracy" scena w teatrze podzielona została na dwie części, jedna to mieszkanie Agaty, pełne szmatek, lalek, druga to pokój jej matki z biurkiem i laptopem. Pod opieką artystyczną aktorek Sceny Polskiej Małgorzaty Pikus i Katarzyny Wojczyk zagrały: Agatę na

przemian Marzena Lanc z Cieszyna oraz Izabela Sajdok, Matkę Grażyna Miech, obydwie maturzystki karwińskiej Filii Polskiego Gimnazjum. Rola Matki była trudniejsza nie tylko dlatego, że jej odtwórczyni była w wieku córki, ale też z tego powodu, że osoba ta właściwie nie schodziła ze sceny. Wszystkie trzy dziewczyny przekonały się, że niełatwo jest zmieniać ubranie, trzymając przy uchu słuchawkę telefonu. W finale na ekranie pojawiło się męskie oko, wąs i zabrzmiał głos, w którym niektórzy dosłyszeli dyrektora tego teatru Karola Suszkę. A oko dyrektora poszukuje talentów aktorskich do swego teatru. Stąd pomysł młodzieżowego studia teatralnego.

Drugą część wieczoru wypełniły piosenki i skecze, które ujrzały światło dzienne w krakowskim kabarecie Piwnica pod Baranami, a wykonał je zespół studentów cieszyńskiej Filii Uniwersytetu Śląskiego pod nazwą Grupa Animacyjna Patefon. Program "Dobry wieczór, Piotrze" poświęcony był legendzie Piwnicy Piotrowi Skrzyneckiemu i duch jego pewnie unosił się gdzieś nad sceną i trzymał kciuki za odważnych młodych ludzi, bo niełatwe zadania aktorskie i muzyczne wykonali z wdziękiem. Wciąż aktualne, znalezione przed ponad trzystu laty słowa "Dezyderaty", hymnu Piwnicy, zabrzmiały przekonująco: *Przy całej swej złudności, znoju i rozwianych marzeniach jest to piękny świat.*

CZESŁAWA RUDNIK

FESTIWAL TEATRALNY BEZ GRANIC

Już po raz drugi "bezgranicznie" powitali widzów organizatorzy XVI Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego Bez Granic, który odbywał się w Cieszynach od 12 do 14 maja br. Festiwalowi przypisano kolejny od roku 1990 liczony numer, ale trzeba przypomnieć, że czternaście razy był to Festiwal Na Granicy, a dopiero w ubiegłym roku, kiedy Rzeczpospolita Polska i Republika Czeska zostały członkami Unii Europejskiej i zniknęła bariera celna między tymi państwami, nazwany został Festiwalem Bez Granic. Festiwal od początku organizuje Stowarzyszenie Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka (kiedyś Polsko-Czechosłowacka) Oddział Regionalny w Cieszynie, po polskiej stronie współorganizatorami są ośrodek kultury Dom Narodowy i Teatr im. A. Mickiewicza, po czeskiej ośrodek kultury Strzelnica i Teatr Cieszyński. Dyrektor Festiwalu Marian Dembiniok, przypominając rolę Solidarności Polsko-Czechosłowackiej w okresie powstawania Festiwalu, ja-

ką było wtedy budowanie mostów, uznał, że zadanie to zostało przez nią spełnione. Brak barier granicznych jest według niego znakiem czasu. O wiele trudniej jednak przełamać stereotypy i zburzyć mury na płaszczyźnie mentalności ludzkiej. Festiwal teatralny o charakterze międzynarodowym może przyczynić się do lepszego zrozumienia sąsiada.

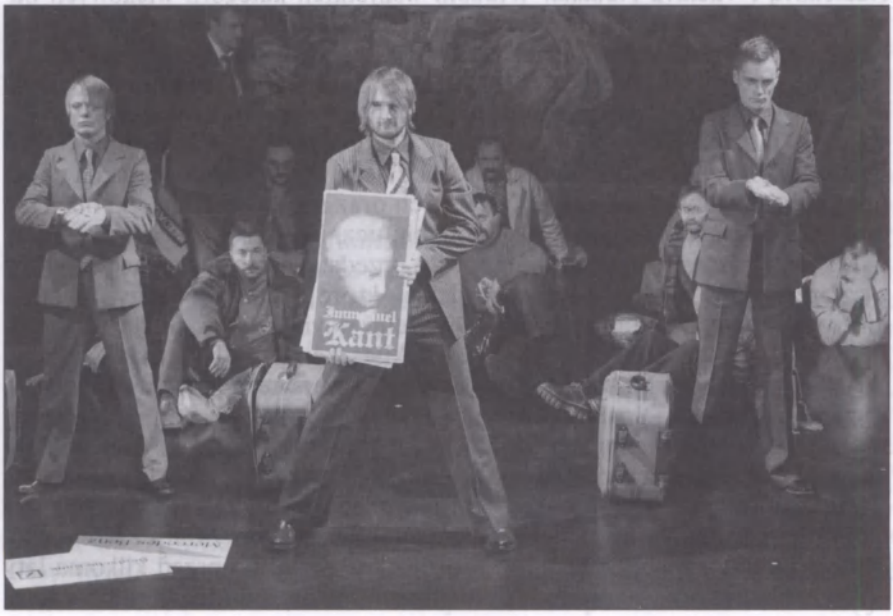
Trzy wieczory festiwalowe wypełniły spektakle teatrów instytucjonalnych, jak co roku szeroka była również oferta programowa Hydeparku. Od "Kabaretonu" w Domu Narodowym w wykonaniu pomysłowych młodych ludzi tworzących kabaret Łowcy.B i ich gości w przeddzień oficjalnego rozpoczęcia Festiwalu do koncertu Tomáša Kočki i jego orkiestry w Teatrze Cieszyńskim na zakończenie Festiwalu.

Festiwalowy Hydepark tworzyły przedstawienia plenerowe na ulicach miasta, na rynku, w przejściu podziemnym, w parku, spektakle i koncerty w piwnicy, w sieni, na strychu i oczywiście w salach ośrodków kultury. Czesi występowali także po polskiej stronie, Polacy po czeskiej. Bliżej dał się poznać teatr z Brna pod nazwą Divadlo v 7 a půl - Kabinet Múz, który przywiózł kilka propozycji repertuarowych, od spektaklu plenerowego na szczudłach przez teatr polityczny po opowieść dla dzieci. Aktorka tego teatru Barbora Milotová wystawiała ponadto swoje fotografie. Zespół występował nie tylko w Hydeparku, ale przedstawił także przedstawienie konkursowe. Była nim "Nora" Henryka Ibsena w reżyserii Jana Antonína Pitínskiego, dostrzeżona przez jury, które nagrodziło odtwórców głównych ról Danę Růžičkovą i Václava Neužila. Widzom wszystkich kategorii wiekowych odpowiadać mógł spektakl plenerowy Studia Old-Mobil z Chodzieży. Do stałych uczestników Festiwalu należy Teatr Księżyc z Cieszyna. Cieszyniacy znają już także Hanę Voříškovą z jej teatrzykiem dla jednego lub dwóch widzów. W ramach Hydeparku odbyły się koncerty Jima Čerta, zespołów Psí vojáci i Hadry z těla, grupy Akurat. W sobotę, która była ostatnim dniem Festiwalu, przygotowano popołudnie dla dzieci. Oprócz malowania na chodniku, zabaw i konkursów dla najmłodszych oraz np. nauki żonglerki obejrzeć można było etiudy sceniczne w wykonaniu uczniów szkół artystycznych.

Główny program Festiwalu stanowiły przedstawienia teatralne zespołów z czterech państw Grupy Wyszehradzkiej, które oceniało międzynarodowe jury w składzie: Vladimír Hulec - Divadelní noviny Praga, Silvia Huszár - Instytut Teatralny Budapeszt, Krzysztof Mieszkowski - Notatnik Teatralny Wrocław, Grzegorz Niziołek - Didaskalia, Uniwersytet Jagielloński Kraków, Zuzana Uličianska - Instytut Teatralny Bratysława. W Teatrze im. A. Mickiewicza w Cieszynie zaprezentował się jako pierwszy Środkowoeuropejski Teatr Tańca z Budapesztu, który zatańczył "Cztery pory roku" z muzyką Vivaldiego w reżyserii i choreografii swojego kierownika artystycznego Horvátha Csaby. Na tej samej scenie zagrał Teatr Provisorium i Kompania Teatr z Lublina, zespół znany już widzom Festiwalu, bo przed kilkoma laty pokazał na nim przedstawienie "Ferdydurke" według Witolda Gombrowicza.

Tym razem wystawił "Trans-Atlantyk" Gombrowicza w reżyserii Janusza Opryńskiego i Witolda Mazurkiewicza, spektakl, którego premiera miała miejsce w październiku 2004 roku. Drugim polskim teatrem, który po roku znów zagościł na deskach scenicznych Cieszyna i znów wygrał, był Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego z Wałbrzycha. Po zeszłorocznym "Rewizorze" wg Gogola zaproponował widzom grany od grudnia 2004 roku spektakl "...córka Fizdejki" według Stanisława Ignacego Witkiewicza w adaptacji i reżyserii Jana Klaty. Ten, jak napisano, *szyderczy pamflet na jednoczącą się Europę* zyskał uznanie publiczności i jury i otrzymał główną nagrodę Festiwalu Złamany Szlaban. Divadlo Pod Palmovkou, reprezentant Pragi, przedstawiło na scenie Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie "Amadeusza" Petera Shaffera w reżyserii Jana Hřebejka w gwiazdorskiej obsadzie z Jiřím Bartošką i Jiřím Langmajerem w rolach głównych. Z powodu choroby aktorki nastąpiła zmiana w programie i bratysławski zespół teatru Astorka-Korzo'90 zagrał kameralne "Odjazdy pociągów", które opracował na podstawie jednoaktówki Michaela Frayna Petr Zelenka. Festiwal zakończyła premiera gospodarzy, Scena Polska Teatru Cieszyńskiego wystawiła "Bambini di Praga" Bohumila Hrabala, adaptację teatralną Václava Nývlta, w reżyserii Marka Mokrowieckiego.

CZESŁAWA RUDNIK



Fot. TC - WIESŁAW PRZECZEK

UPŁYNĘŁO 50 LAT OD NAJWIĘKSZEJ WYSTAWY ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO

Dokładnie przed 50 laty, od 10 do 31 lipca 1955 roku, miała miejsce w Czeskim Cieszynie "Wystawa Śląska Cieszyńskiego". Ponieważ była to wystawa, która swym rozmachem nie miała na naszym terenie sobie równych, przypomnijmy jej cele, treść, sposób realizacji i wartości historyczne.

Pod hasłem "Dziesięć lat pracy - dziesięć lat odbudowy" miała w przekroju przedstawić wysiłek ludu cieszyńskiego, jego osiągnięcia na polu oświaty, kultury, budownictwa socjalistycznego, sukcesy w dziedzinie przemysłowej. Utworzono specjalny Komitet Wystawy, składający się z ośmiu oddziałów i tyluż sekcji. Przygotowania tak szeroko pojętej wystawy zarówno tematycznie jak i czasowo wymagało nie lada wysiłku i kosztów. Wszystko było ustawione pod kątem ówczesnej ideologii marksistowsko-leninowskiej, euforii sukcesu w każdej dziedzinie działalności ludzkiej.

Oto kilka fragmentów z ówczesnej prasy: *Tam* (na wystawie - S.Z.) *się każdy dowie, jak nasz lud żył dawniej - jak żyje dzisiaj, na ile podniosła się jego stopa życiowa, jak scementowało się braterstwo Polaków i Czechów na Śląsku Cieszyńskim we wspólnym wysiłku budowania nowego szczęśliwego jutra, wolnego od wszelkiej dyskryminacji i jakiegokolwiek wyzysku człowieka przez człowieka.* (Zwrot, nr 6/1955, s. 12). Z posłania ówczesnego posła do Zgromadzenia Narodowego Ernesta Sembola cytujemy: *Wystawa Śląska Cieszyńskiego ma bezsprzecznie niezwykłe znaczenie. Według mnie owa niezwykłość spoczywa w tym, że ma zwrócić uwagę wszystkich obywateli naszego państwa na kraj, który jest najważniejszym dostawcą węgla i stali. Bo jeśli przeciętny obywatel dobrze orientuje się w znaczeniu Ostrawy, to już gorzej z jego znajomością Śląska Cieszyńskiego. A przecież Śląsk Cieszyński w warunkach ludowej władzy ogromnie się zmienił. Rozrosły się jego kopalnie, huty, urósł człowiek. Wprawdzie drogie mu słowa wymawia różnymi językami, ale jego serce bije jednakową miłością do wspólnej ludowej ojczyzny. I owa miłość w ciągu 10-lecia wydała na każdym odcinku poważne i piękne owoce. Dlatego z zapałem idźmy do ostatnich dni przygotowań wielkiej wystawy, która pokaże, że tam, gdzie władza ludowa i zgodny wysiłek wszystkich obywateli, tam także potęga gospodarcza i beztroskie jutro.* (Informátor Výstavy Těšínska nr 3, s. 1). Widzimy, że oceny Wystawy były jednostronne, w duchu ówczesnej atmosfery, mające za zadanie przede wszystkim propagować 10-letnie sukcesy.

Wystawę zainstalowano atrakcyjnie w dwunastu obiektach, głównie w budynkach szkolnych skupionych wzdłuż ulicy Frydeckiej w Czeskim Cieszynie. Wystawa od początku cieszyła się ogólnym uznaniem i zainteresowaniem. Zwiedziło ją ok. 150 tys. osób, m.in. liczni goście z zagranicy. Na

powierzchni 10 hektarów rozmieszczono eksponaty 185 wystawiających, z których największe wrażenie wywarła ekspozycja Huty Trzynieckiej oraz niektórych kopalni z Karwińskiego.

Na wystawie codziennie odbywało się szereg imprez towarzyszących: filmy dla dzieci i dorosłych, akcje sportowe, przedstawienia teatralne, wycieczki turystyczne w Beskidy, koncerty orkiestr dętych, występy czołowych czechosłowackich śpiewaków (np. St. Prochaska ze swoją orkiestrą), pokazy mody, zabawy towarzyskie itp.

W ramach wystawy odbył się również w niedzielę 17 lipca 1955 r. Zjazd Polaków i Festiwal PZKO. Występowały tu liczne zespoły PZKO i pozamiejscowe. Podczas obrad Zjazdu dziękowano partii za 10-letnie osiągnięcia, podkreślano bezproblemowe współżycie Polaków i Czechów w duchu proletariackiego internacjonalizmu, a Festiwal imponował rozmiarami, ilością występujących i wysokim poziomem. PZKO posiadało na wystawie własną, dobrze przygotowaną ekspozycję z pewnymi lukami spowodowanymi brakiem niedostatecznej liczby eksponatów głównie z Miejscowych Kół i niektórych zespołów.

Przygotowania wystawy, jej przebieg i oceny były szeroko reklamowane nie tylko w miejscowych mediach. Wydano przy tej okazji kilka publikacji. Oddział Propagacyjny wydał siedem numerów czesko-polskiego folderu pt. "Informátor výstavy Těšínska - Wystawa Śląska Cieszyńskiego", szczegółowo informującego o ważniejszych wydarzeniach związanych z wystawą. Oddział Kulturalno-Oświatowy opublikował 15-stronicową jednodniówkę "Slezská minulost na Výstavě Těšínska", przedstawiającą w sposób niezbyt udany złożoną przeszłość regionu w datach.

Wydana przez Komitet Wystawy publikacja książkowa czesko-polska: "Výstava Těšínska. Průvodce - Wystawa Śląska Cieszyńskiego. Przewodnik" (Czeski Cieszyn 1955, 151+42 s.) nie tylko informuje drobiazgowo o wystawie, ale zawiera też szereg wartościowych artykułów z przeszłości i teraźniejszości Śląska Cieszyńskiego i najważniejszych przejawach życia jego obywateli. Autorami materiałów byli również Polacy: Józef Chlebowczyk, Henryk Jasiczek i Józef Ondrusz.

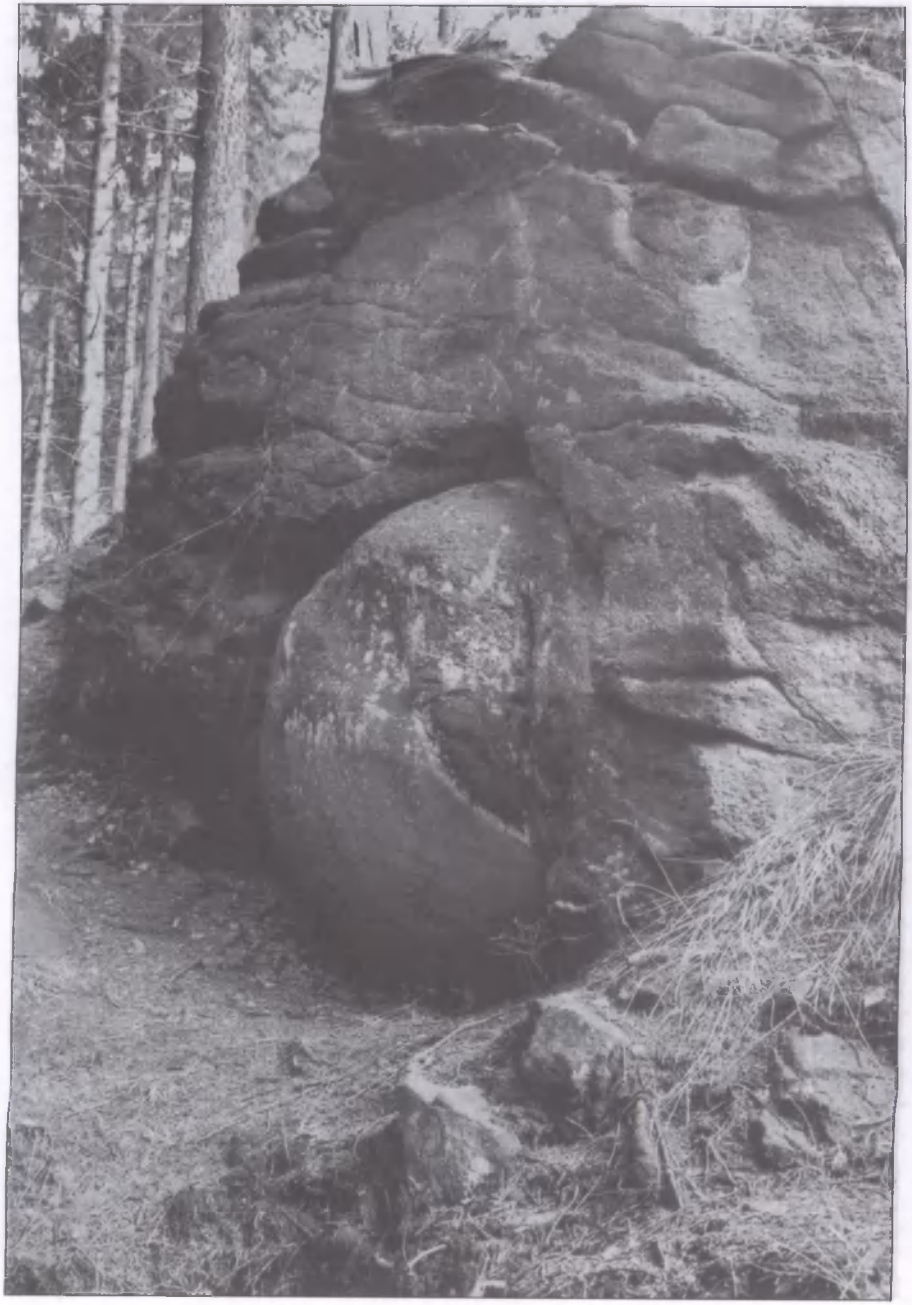
Przeprowadzenia oceny wystawy podjął się członek sztabu prof. Gustaw Fierla. W jego ocenie *(...) była to impreza udana. Spełniła z pewnymi zastrzeżeniami swoje zadanie. Swym zasięgiem, jako całość, przekroczyła zakres normalnej wystawy powiatowej. Przyczyniła się do lepszego poznania kraju, spełniając ważne zadanie propagandowe. Była imprezą, która budziła żywe zainteresowanie wśród szerokich mas ludowych i zdobyła sobie ogólne uznanie, przede wszystkim uznanie dziesiątek tysięcy pracujących. Była odważną imprezą.* (Zwrot, nr 9/1955, s. 7-8).

Można się z tym zgodzić. Szkoda tylko, że w ciągu następnych dziesięcioleci nic podobnego już się nie powtórzyło.

STANISŁAW ZAHRADNIK




Jubilacion



ZAGADKA PRZYRODY - KAMIENNE KULE

Kamień był od pradawna wiernym towarzyszem człowieka. Służył do budowy fundamentów chałup, na sklepienia piwnic, do wykładania studni, do budowy szańców obronnych itp. Aż tu nagle ukazał się w niezwykłej formie ogromnych kul, które przyroda precyzyjnie wymodelowała. Jak do tego doszło, do dziś pozostaje nieobjaśnioną tajemnicą.

A gdzie można natknąć się na te tajemnicze kule? Kilka kroków od granicy czesko-słowackiej w osadzie Vyšné Megoňky, niecałe pół godziny marszu od gospody na Szańcach. Pół kilometra po niebieskim szlaku turystycznym z Szańców na Połom lub Skałkę. Potem leśnymi dróżkami ku granicy, gdzie natrafimy na kamieniołom. Tam można podziwiać te kamienne kule.

Do wielkich zagadek przeszłości należą dokładnie opracowane kamienne kule znajdujące się w dżungli środkowoamerykańskiej Kostaryki. No i mało kto wie, że podobne kule istnieją w pobliżu nas, w słowackiej części Beskidu Morawsko-Śląskiego, tuż za granicą z Czeską Republiką. Kule w Kostaryce budzą emocje wśród archeologów i nie mniejsze wśród łowców zagadek (lub wymyślaczy) i pozaziemskich cywilizacji typu Ericha von Dänikena i im podobnych. Podobieństwo kul w kamieniołomie w Megoňkách jest czysto przypadkowe. Te środkowoamerykańskie ktoś sztucznie wytworzył z twardego granitu przetransportowanego z dużej odległości, beskidzkie są wyłącznie dziełem natury i składają się z takiego samego materiału jak okoliczne skały. Powstały w czasie, kiedy na świecie nie było jeszcze ludzi. Z tego może wypływa spekulacja wyżej wymienionych łowców, że zrobiły je krasnoludki z Marsa (lub skądś). Geologowie szacują wiek tutejszych skał na około 60 milionów lat i nic spoza ziemi. Ogromne kamienne kule powstałe w osadach górotwórczych są bardzo rzadkie, choć są w wielu miejscach na świecie. Znane są np. z Nowej Zelandii, Australii i innych miejsc. I na innych miejscach w Czechach czy na Słowacji znaleziono kule kamienne. W latach 70. przy budowie autostrady koło Hustopečí pono znaleziono takie kamienie. Na Słowacji koło Prievidzy oraz w okolicy Liptovského Mikuláša.

Geologowie nie mają złudzeń co do naturalnego powstania kamiennych kul, ale nie są zgodni co do mechanizmu ich powstawania. Nie można się dziwić. Kula jest w przyrodzie kształtem bardzo rzadkim - przynajmniej na powierzchni planet, gdzie działa grawitacja. W stanie nieważkości w kształt kuli łączą się nie tylko ciecze, ale i cząsteczki stałe. W polu grawitacyjnym jest spontaniczne powstawanie kształtu sferycznego prawie niemożliwe. Tak więc nieprzypadkowo filozofowie antyku uważali ten kształt za boski. Istnieje szereg teorii starających się objaśnić proces powstawania kamiennych kul, a każda z nich jest, z przymrużeniem oka, kanciasta. Według niektórych chodzi tu o jakąś formę krystalizacji w osadach morskich, według innych

o postępujące szlifowanie przypływem morskim, przy czym woda zarazem kamień obracała w odpowiednim kierunku, inne mówią o jakimś nalepianiu górotworu przy powtarzającym się zalaniu i wysuszaniu. Łatwo jest powiedzieć, że górotwór na kule się rozpada.

Od miejscowych górali dowiedziałem się, że w kamieniołomie przeprowadzali badania naukowcy z różnych krajów i jak na razie nic nie wybadali. My - zwykli ludzie - nie musimy mieć złudzeń co do tego, że przyroda potrafi tworzyć rzeczy nie do wiary, łącznie z kamiennymi kulami. Polecam każdemu, kto kocha przyrodę, niech te miejsca odwiedzi. Wystarczy podjechać pociągiem do Mostów koło Jabłonkowa, potem piechotą, rowerem lub autobusem dostać się na Szańce i tam, w karczmie, uzyskać bezpłatnie informacje i wycieczka murowana. Po drodze można nazbierać grzybów lub innych darów lasu. Miłośnicy tajemnic mogą snuć własne spekulacje. Ja pospacerowałem po beskidzkich gróniach, nacieszyłem oczy i duszę przepięknymi widokami i nie jest dla mnie tajemnicą, iż przyroda cuda czyni. Naprawdę jest co oglądać i zastanawiać się nad powstawaniem świata. Są dziwy pod słońcem, o których nie śniło się naszym filozofom. Na koniec pozwolę sobie powtórzyć słowa ks. Józefa Tischnera z „Historii filozofii po góralsku": *Na pocątku wsędy byli górole, a dopiero pote porobiyli się Turcy i Zydzi. Górole byli tyz piyrsymi „filozofami". „Filozof" - to jest pedziane po grecku. Znacy tyle co „mędrol". A to jest pedziane po grecku dlo niepoznaki. Niby, po co mo kto wiedzieć, jak było na pocątku? Ale Grecy to nie byli Grecy, ino górole, co udawali greka. Bo na pocątku nie było Greków, ino wsędy byli górole.*

LESZEK ŁAKOTA

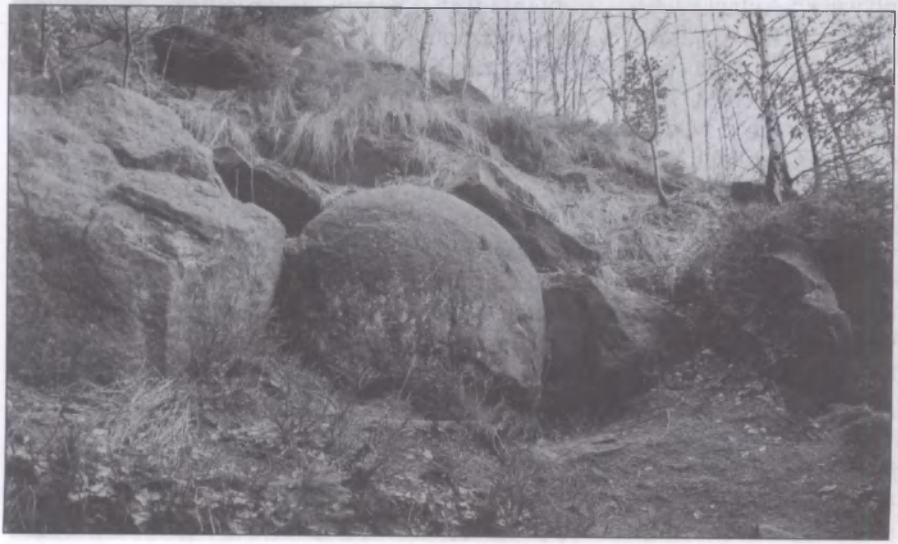


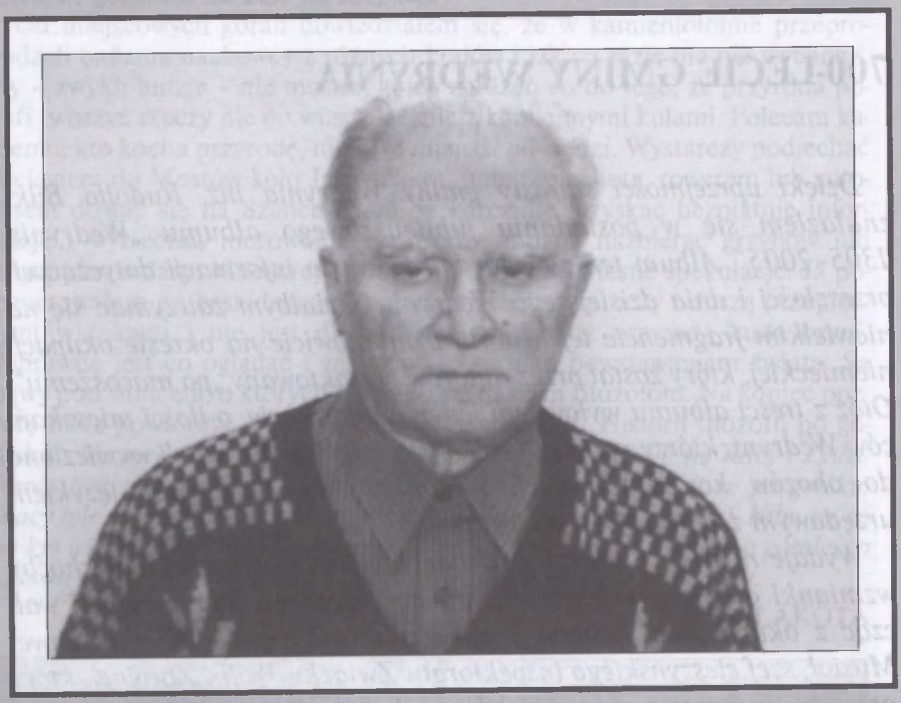
Foto autor

700-LECIE GMINY WĘDRYNIA

Dzięki uprzejmości starosty gminy Wędrynia inż. Rudolfa Biłki znalazłem się w posiadaniu jubileuszowego albumu „Wędrynia 1305-2005". Album ten zawiera bardzo dużo informacji dotyczących przeszłości i dnia dzisiejszego Wędryni. Chciałbym zatrzymać się na niewielkim fragmencie tej historii, a mianowicie na okresie okupacji niemieckiej, który został przez autorów potraktowany „po macoszemu". Otóż z treści albumu wyłowiłem jedynie informacje: o ilości mieszkańców Wędryni, którzy podpisali volkslistę, że część obywateli wywieziono do obozów koncentracyjnych i zamknięto gospody, zaś językiem urzędowym został język niemiecki.

Wydaje mi się, że brak jest w tym jubileuszowym wydaniu choćby wzmianki o bohaterskich mieszkańcach Wędryni, którzy zginęli walcząc z okupantem. Jednym z bohaterów był z pewnością dr Paweł Musioł, szef cieszyńskiego inspektoratu Związku Walki Zbrojnej, który aresztowany przez gestapo zginął na gilotynie 19 lutego 1943 r. Innym bohaterskim mieszkańcem Wędryni był mgr Jan Mrózek, który wiele zdziałał jako szef odcinka południowego wywiadu „Zachód" Komendy Głównej Armii Krajowej. 7 kwietnia 1943 r. został aresztowany w Wiedniu, zabity wiosną 1945 r. w miejscowości Stein nad Dunajem.

STANISŁAW PORADOWSKI
(Kraków)



KONIEC CIERNISTEJ DROGI KAROLA MRÓZKA

5 maja 2005 roku wyprzedził nas do wieczności znany działacz społeczny śp. Karol Mrózek. Urodził się 29 stycznia 1923 roku w Mistrzowicach. Był najstarszym z czworga dzieci Karola i Zuzanny z domu Nikodem. Edukację szkolną rozpoczął w ewangelickiej szkole ludowej, gdzie uczył się w latach 1929–1934. Już w tym czasie aktywnie działał społecznie w Harcerstwie Polskim w Czechosłowacji. W 1935 r. był członkiem delegacji Zaolzia na Zlot Harcerstwa Polskiego w Spale. Ukończył szkołę wydziałową w Cz. Cieszynie, po wojnie szkołę handlową w Cieszynie.

Prawdziwie ciernistą drogę życiową przebył Karol Mrózek podczas okupacji hitlerowskiej. Został aresztowany, był więziony i zesłany na prace przymusowe. Od 9 maja 1940 r. pracował w mosteckiej cegielni. Później jak w kalejdoskopie zmieniały się firmy, zakłady, podobozy i obozy dla „untermenschów". 17 czerwca 1942 r. wyjechał do Gliwic do firmy budowlanej Herberta Krause, 26 lipca 1944 roku udało mu się zbiec i szczęśliwie wrócić w ojczyste strony. W ukryciu doczekał upragnionej wolności.

Po wojnie pracował w zakładach mięsnych w Orłowej, tam poznał swoją przyszłą żonę Ludmiłę, w roku 1960 urodził mu się syn Marian. W 1961 r. przeprowadził się z rodziną do Trzyńca, gdzie mieszkał do końca życia.

Jako działacz społeczny, pełniąc zaszczytne funkcje, pracował w PZKO i w szkole. Jego pasją życiową były szachy, zdobył zaszczytne mistrzostwo w ramach PZKO. Wielce aktywnie udzielał się w Sekcji Historii Regionu przy ZG PZKO, stał u jej kolebki. Dopiero zdradziecka choroba i niespodziewana śmierć przerwały tę działalność społeczną.

Oceniając całokształt dorobku śp. Karola Mrózka, nie sposób nie wspomnieć o jego twórczych inicjatywach pisarskich. Był bystrym obserwatorem życia, bacznie śledził i oceniał wydarzenia polityczno-społeczne, nie tylko z naszego zaolziańskiego podwórka. Swoje poglądy i opinie publikował u nas i w Polsce. Jego wypowiedzi były nieraz twarde i bezkompromisowe. Największym jego sukcesem życiowym stała się niewątpliwie wydana w r. 1998 książka wspomnień „Moja wędrówka przez życie", opis wydarzeń z lat, w których wypadło mu żyć. Ta publiczna spowiedź ze swej ciernistej drogi życia to jego osobisty testament dla potomności.

Dopiero nad otwartą mogiłą uświadamiamy sobie każdorazowo, iż, kiedy śmierć zabiera wartościowego człowieka, ubożeje świat, w którym żył i pracował. Pozostaje bolesny smutek i pustka, lecz także, głęboko w sercach, wielki dług wdzięczności, pamięć i wspomnienie wspólnych dokonań.

Będzie nam go brakowało!

JÓZEF KULA

ŚMIEJ SIĘ Z MASZTALSKIM

Przechodził Masztalski obok koparki i dał się nabrać.

Wchodzi Masztalski do sklepu i nie zamyka drzwi.
- Masztalski, drzwi w domu nie macie? - drze się sprzedawczyni.
- Mom! I taką cholerę jak wy też w domu mom!

Masztalski i Ecik siedzą na ławce w parku.
- Patrz, Ecik, wiosna idzie, drzewa się zielenią, wszystko spod ziemi wyłazi...
- Ty, Masztalski - krzyczy Ecik - głupot nie godej, bo jo miesiąc temu teściowa pochowoł.

Na ulicy Masztalski krzyczy na chłopaka:
- Doczkej, powiem twojej mamie, że rzucosz we mnie kamieniami.
- Czy nie lepiej byłoby o tym powiedzieć ojcu tego malca - pyta przechodząca obok kobieta.
- Głupoty godocie. Ojcem tego synka to jo jest.

Nauczyciel chciał zademonstrować dzieciom szkodliwe działanie alkoholu na organizmy żywe. Do jednej szklanki wlał wodę, do drugiej wódkę. Do obydwu wrzucił dżdżownice. Dżdżownica w alkoholu wyprężyła się i zdechła.
- No więc, Huberciku - pyta nauczyciel - jaki z tego wniosek dla człowieka?
- Kto pije gorzoła, ten nie mo glizd.

Teściowa wrzeszczy na Masztalskiego:
- Takech zło na ciebie, że ze wściekłości mogłabych zębami zgrzytać.
A ten gizd Masztalski spokojnie na to:
- Maryjko, przynieś jej zęby, są na umywalce.

Dowódca kompanii wzywa kaprala:
- Słuchajcie, Masztalskiemu trzeba delikatnie powiedzieć o śmierci ojca.
- Tak jest! Rozkaz!
- Kompania, zbiórka! - woła po chwili kapral. - Kto ma ojca, wystąp!... A ty, Masztalski, gdzie się pchasz, baranie!

- Panie generale, mom czterech jeńców!
- To daj ich tu!
- Ale oni nie chcą mie puścić!

- Panie kapitanie, czy pan wie, że szeregowy Ecik skoczył bez spadochronu?
- Oszalał. To już dzisiaj trzeci raz!

- Maski włóż!... Maski zdejm!... Mówiłem ci, szeregowy Ecik, żebyś zdjął maskę!
- Melduję, panie kapitanie, że zdjąłech, ino jo mom taki głupi pysk...

Francik Kichol i Masztalski pojechali do Niemiec. Po dwóch miesiącach kamraci witają Masztalskiego na lotnisku.
- A gdzie Francik? - pyta Zyguś Materzok.
- On tam zostoł.
- Zostoł? Nie godej!
- Sklep otwarł.
- Po dwóch miesiącach sklep otwarł? - dziwi się Ecik. - Powiedz, jak on to zrobił?
- Zwyczajnie, łomem...

Statek płynący do Argentyny zatonął na oceanie. Masztalski ledwie żywy wylądował na bezludnej wyspie. Siedzi tam rok, drugi, trzeci... siódmy. Nagle widzi statek! Macha, krzyczy, wreszcie dostrzega płynącą w jego kierunku łódź. Łódź dobija do brzegu i wysiada z niej niezwykle seksowna dziewczyna w stroju bikini.
- Toś ty jest Masztalski? - pyta.
- Ja, to jo!
- I wiela lot już tu siedzisz?
- Siedem.
- To musisz być pieronem spragniony? - mówi zalotnie dziewczyna.
Masztalski ożywia się nagle:
- Nie godej, mosz piwo?!

Masztalski i Ecik słuchają opowieści Zygusia Materzoka o jego przygodzie w dżungli.
- Patrzę, a przede mną pieronowo wielki boa! Struchlałech ze strachu. A tu ci wychodzi fakir. Ino gwizdnął i boa zniknął.
- To jeszcze nic - wtrącił Ecik. - Moja staro miała takiego boa i poszli my na dancing. Przewiesiła boa przez krzesło i nikt nie gwizdnął, a boa zniknął...

- Tata, jako jest różnica między wizytą a wizytacją? - pyta syn Masztalskiego.
- Wytłumaczę ci to, synku, na przykładzie. Widzisz, jak my jadymy do mojej teściowej, a twojej, babci, to jest wizyta - odpowiada Masztalski - a jak ona przyjeżdżo do nos, to jest wizytacja.

Kómu zasmerdzi, tyn niech nie wónio.

STRASZYDŁO NOCNE

Opowiadajóm starzi ludzie, że w Olszynie, tam jako sie idzie chodnikym na Kympy, dycki nieskoro straszyło. Jakisi gazda bezma, ze Stónawy był czy ze Suchej, co za swojigo życio babe moc bijoł i chałupe przepił, po śmierci musioł za to wszystko ciynżko pokutować. Tak dycki wieczór, kole nowiu, jak sie nadobrze zećmiło, to go ludzie słyszeli, jak tam chodził w Olszynie po barzelisku, i narzykoł głośno, i jynczoł tak przejmujónco, że gdo go usłyszoł, to mu aż włosy na głowie stowały.

Ale to było downo, isto kiesi za Austryje.

Bydzie tymu kierysi miesiónc, szeł se chodnikym na Kympy jedyn pyndzyjista. Człowiek bardzo porzóndny, sprawiedliwy i lutościwy. Gwiozdy przeświycały na niebie, ale ćma było, że chodnik, choć wydeptany i suchy, tak ledwa sie szarził przed nim. Idzie se chłopisko pómału, był boso, tóż po cichu, nad czymsi zamyślóny, prawie przez Olszyne, kole barzeliska, aż tu nogle w krzokach o pore kroków od niego cosi jynczy, jynczy i stynko... W mig sie mu przipómniało, co ludzie opowiadali o tamtym chłopie, o pokutujóncym tu pijoku-bijoku. Skruszył go całego strach przeogrómny. Ale i lutość poczuł w sercu nad nieszczyńśnikym takim. Ni mo sie go co boć. Przeżegnoł sie do istoty i woło do krzoków:

- Czego ci potrzeba duszyczko ciyrpiónco?

A spoza krzoków zachrapły głos sie odzywo:

- Kónsek papiyru!

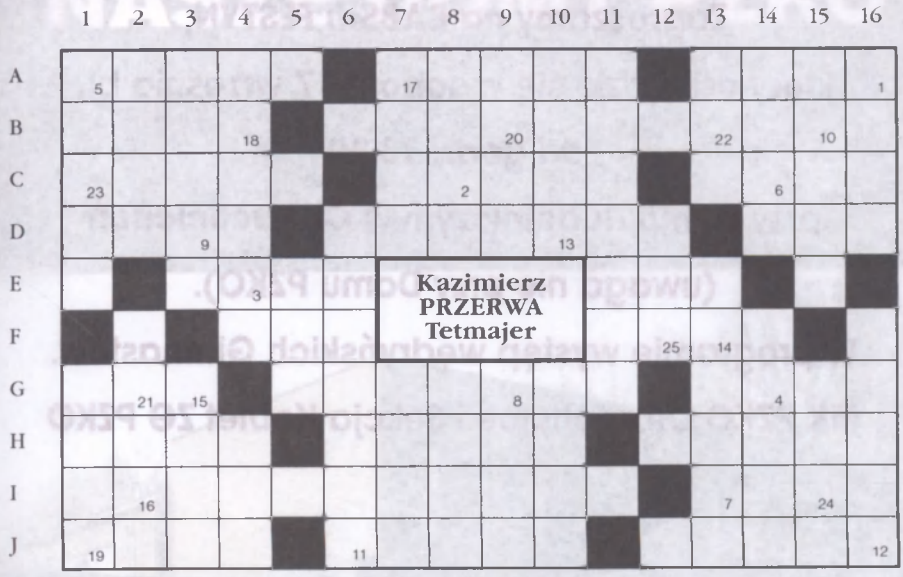
MÓNDRO PLANECIORKA

Starka Kupkula, Boże ji tam dej radość wiecznóm, ogrómnie rada planetowała każdymu z rynki. Jyny musioł to być taki, co mu jeszcze nigdy nie planetowała ani co nigdy nie widzioł, jak planetowała drugim. Tóż, jak sie naszoł taki, co sie doł namówić, co chcioł sie dowiedzieć, jako sie mu bydzie powodziło w życiu, wiela go czako szczyńścio abo nieszczyńścio, tak mu planetowała. Wziyna jego rynke do gorści, rozciónęła dłóń, aby mu było widać na nij kaj jaki zgrzyb, każdziuśkóm kryseczke. Dziwo sie, dziwo sie nachylóno, potym palcym pokazuje i wróży, pómału, słowo za słowym:

- Przez... całe... życi... pujdzie ci... pujdzie ci... para ze rzici... A... po śmierci... nie pujdzie ci!

No, a kierymu tak zaplanetowała, każdymu do literki sie spełniło. Abo sie jeszcze spełni.

KRZYŻÓWKA





KRZYŻÓWKA

POZIOMO: - **A.** Taniec towarzyski; manna; dawniej uczeń. - **B.** Władca Bułgarii; członek zgromadzenia księży świeckich. - **C.** Wizja; rzymska Artemida; składnik powietrza. - **D.** Miasto w Czechach; poemat historyczny Mickiewicza; ma Asa. - **E.** O; odmiana esperanta. - **F.** Przylądek; jest Kłodzka i Łużycka. - **G.** Prosty ma 90°; Ziemia; wiersz lub pieśń żałobna. - **H.** Haracz; miasto w Japonii; brudas. - **I.** Wszystko, co dotyczy życia i twórczości Kopernika; antonim snu. - **J.** Skała osadowa; imię seksbomby Ekberg; pośrednik złodziei sprzedający skradzione przedmioty.

PIONOWO: - **1.** Finlandia; krasnodrzew. - **2.** Dawniej zestawienie dwóch numerów w loterii; chwast zbożowy. - **3.** Utwór muzyczny; grupa plemion Indian. - **4.** Gatunek fiołka; niedopałek papierosa. - **5.** Styl w muzyce pop. - **6.** Postać z Balladyny. - **7.** Klatka taśmy filmowej; związek organiczny pochodny amoniaku. - **8.** Solo w operze; imię Laudy (F1). - **9.** Próbny okres pracy; krewny po kądzieli. - **10.** Strefy; 1000 kg. - **11.** Aminokwas w białku. - **12.** Węgierski poeta (Endre). - **13.** Imię Destinnowej; szlachecki herb polski. - **14.** Imię Minelli; artystyczna tkanina ścienna. - **15.** Narzutka futrzana; szachista holenderski, mistrz świata 1935-37. - **16.** Środek opatrunkowy; zwolennik Mahometa.

Wyrazy trudne i mniej znane: AMINO, TUPI, UMAR.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe.
Rozwiązania prosimy przesyłać do końca lipca.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru majowego: GOSPODARSTWO

Nagrody książkowe wylosowali: Zofia Siuda - Dziećmorowice
Jan Hławiczka - Czeski Krumlow

Zapraszamy na BABSKI FESTYN,
który odbędzie się w sobotę 17 września br.
od godz. 13.30
przy Domu Robotniczym w Olbrachcicach
(uwaga nie przy Domu PZKO).
W programie występ wędryńskich Gimnastów.
MK PZKO Olbrachcice i Sekcja Kobiet ZG PZKO

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
ICO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Strzelnicza 28, P.O.Box 97, 737 01 CZESKI CIESZYN,
tel. i fax: 558 712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI,
Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK,
Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – Infiniti art, s. r. o., Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 240 Kč, z wysyłką pocztową 324 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02 z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE DOMY PZKO



DOM PZKO
w Trzyńcu

Odes.: Redakce ZWROT
Střelniční 28
737 01 Český Těšín

O.P. P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE SZKOŁY

KOSZARZYSKA

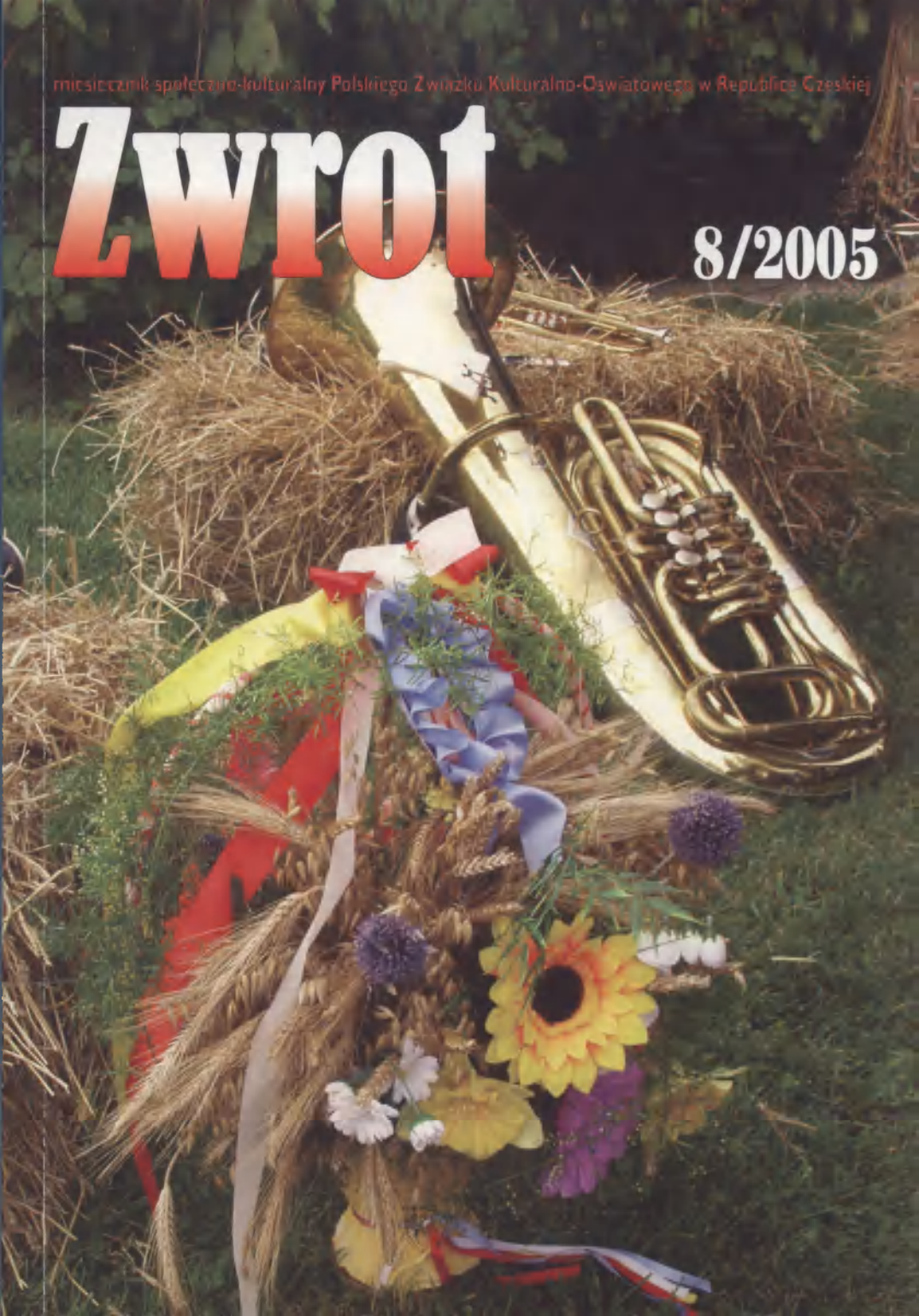


ISSN 0139-6277

miesięcznik społeczno-kulturalny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej

Zwrot

8/2005



TACY BYLIŚMY



Zdjęcie pamiątkowe Stowarzyszenia Siła w Żywocicach wykonane 19 czerwca 1925 roku. U góry piąty od prawej Franciszek Poloczek, ojciec słynnego aktora Bronisława Poloczka.
U dołu trzecia od prawej Franciszka Poloczek – siostra ojca aktora.

ADAM ZIEMIANIN

BLUES SIERPNIOWY

Sierpień kołysze już kłosy do snu
Lato umiera z braku cienia
Dobrze że wiatr ma liście w garści
I czasem szeptem w liściach śpiewa

I jest tęsknota liści wielka
Żarówka jeszcze ćmom rada
W pokoju chińska zapalniczka
Liście na żółto w ogrodzie podpala

Ten mały pokój daleki od wojny
Z oknem na góry sierpniowe
I jest ołówek cienko zastrugany
Na wszystkie nasze niepokoje

I jesteś ty dotknięta latem
Z gęstym ogrodem pełnym sierpnia
Gdy szepczesz cicho mi do ucha
- Warto ten sierpień zapamiętać



C2II 6/2005

Rok LVI, Nr 669
Cena numeru 20,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 27,00 Kč

Zwrot

8/2005

W NUMERZE

3	Polonus - Klub Polski w Brnie	CZESŁAWA RUDNIK
9	Z Sibicy na Warmię i Mazury. W setną rocznicę urodzin Franciszka Sikory	JANUSZ GUZIUR
13	Wspomnienia z lat drugiej wojny światowej (8)	KAROL BARTULEC
21	Językowe pogranicze cieszyńsko-laskie (3)	WŁADYSŁAW MILERSKI
27	Polskie fascynacje literaturą czeską	KRYSTYNA KARDYNI-PELIKÁNOVÁ
32	Kronika: Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne niezależne, Dni Kultury Studenckiej 2005, Kontakty MK PZKO w Skrzeczoniu z Polską, Jubileuszowy Maj nad Olzą, Wianki w Jabłonkowie	
44	Co w lesie szuści. Mionsz	LESZEK ŁAKOTA
48	Poezja Viléma Závady	
50	Katarzyna Grochola: Osobowość ćmy (fragment)	
50	Zmarł polski tłumacz Józef Waczków	LIBOR MARTINEK
54	Nauka, literatura i miłość	ROBERT DANEL
57	Ostatni Łużyczanie walczą o przetrwanie	
61	Na naszej scenie	
64	Wspomnienie o Zofii Wanok	RENATA DROPCZYNSKA
66	Pierwsza Ogólnopaństwowa Spartakiada 1955	WILHELM FRANEK
70	Na półkach księgarskich	
71	Pożegnania: Gustaw Słowik	
72	Trybuna czytelników	
73	Z dorobku Leona Derlicha	

Numer zamknięto 15. 7. 2005

POLONUS - KLUB POLSKI W BRNIE

Do tej samej kategorii co Polaków w Pradze - kategorii emigrantów z wyboru - zaliczyć można Polonusów w Brnie i okolicy. Przyjechali tu z Polski za pracą, zostali, bo założyli rodzinę, nie brakuje też Zaolziaków, którzy kończyli w Brnie studia i w tym mieście pozostali.

Warto może w tym miejscu przypomnieć kilka faktów historycznych, które wiążą się z dłuższym pobytem Polaków w Brnie. Dzieje Polaków w Brnie sięgają aż do epoki wczesnego średniowiecza. Nie można jednak w tym wypadku mówić o stałych mieszkańcach, bo chodziło o kupców, którzy prowadzili handel w tym regionie. Pierwszą postacią historyczną polskiego pochodzenia, która zapisana została w historii Brna, była Elżbieta Ryksa (Reiczka Przemysłówna), córka Przemysła II, księcia wielkopolskiego i króla polskiego, i Ryksy, córki zdetronizowanego króla szwedzkiego Waldemara. Urodziła się 1.9.1288 w Poznaniu, zmarła 19.10.1335 w Brnie i była pierwszą Polką, której dokładne daty narodzin i śmierci są znane. W wieku 15 lat poślubiła Wacława II, króla Czech i Polski, który zmarł w czerwcu 1305, w październiku 1306 została żoną Rudolfa, syna króla rzymskiego Albrechta Habsburga, który zmarł w lipcu 1307. Mieszkała potem w Hradcu Králové, z jej imieniem kojarzona jest historia tamtejszej katedry Ducha Świętego, po czym sprzedała swoje dobra i wyjechała z ukochanym Henrykiem z Lipy do Brna, gdzie w roku 1323 założyła przy kościele parafialnym Panny Marii w Starym Brnie klasztor cystersek zwany Aula Sanctae Mariae (klasztor, od roku 1782 augustianów, i Bazylika Wniebowzięcia Panny Marii znajdują się przy dzisiejszym rynku Mendla). Sama wstąpiła do tego klasztoru w 1329 roku i tam jest pochowana. Innym zabytkiem Brna, w którym znaleźć można ślady Polaków, jest zamek Szpilberg. Nie byli to jednak Polacy, którzy przybyli tu dobrowolnie, w latach 1839-1848 więziono w celach twierdzy Szpilberg prawie dwustu rewolucjonistów z zaboru austriackiego, którzy walczyli o niepodległość Polski.

Prawdziwa Polonia w Brnie to już wiek dwudziesty. W latach 1925-1953 działał w Brnie Klub Czechosłowacko-Polski, założony i prowadzony przez Maksymiliana Kolaję, profesora polonistyki uniwersytetu. Głównym zadaniem Klubu była prezentacja polskiej kultury i tradycji. Klub skupiał

nie tylko przedstawicieli polskiej mniejszości, spotykali się w nim także Czesi, którym bliskie było wszystko, co polskie. Podobne kluby istniały i w innych morawskich miastach, w Ołomuńcu, Znojmie, Ostrawie itd. W Brnie działał też Związek Studentów Polaków, którego kontynuatorem jest Sekcja Akademicka Jedność.

Dopiero w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych, po ponad czterdziestu latach przerwy w pracy klubowej, założona została przez zamieszkałych w Brnie Polaków organizacja polonijna. Polonus - Klub Polski w Brnie, bo tak brzmi oficjalna nazwa stowarzyszenia zarejestrowanego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych 13 stycznia 1997 roku, jako główny swój cel wytyczył wspieranie i kultywowanie tożsamości narodowej swoich członków, wymianę kulturalną między Republiką Czeską i Polską oraz propagowanie polskiej kultury w Brnie. Z około pięciuset Polaków mieszkających w Brnie członkami Klubu zostało około dziewięćdziesięciu. Pierwszym prezesem była Izabela Vašourková, od roku 1998 do dnia dzisiejszego stowarzyszeniem kieruje Roman Madecki, polonista, pracownik naukowy Uniwersytetu Masaryka, którego wybrano po raz pierwszy podczas corocznego walnego zebrania Klubu 3 czerwca 1998 roku. Klub liczył wtedy 55 członków. Od roku 1999 siedziba Klubu mieści się w budynku należącym do Magistratu Miasta Brna przy ulicy Anenskiej 10. Tam w każdy czwartek, tak jak kiedyś obiady czwartkowe u króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, odbywały się spotkania członków Klubu, w niedzielę dzieci i młodzież miały swoją Niedzielną Szkołę Polską, zaś w poniedziałki działał Damski Klub.

Działalność klubu Polonus od początku rozwijała się bardzo pomyślnie. Tradycyjnymi corocznymi imprezami stały się obchody polskich świąt narodowych - 3 maja z okazji rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja i 11 listopada z okazji Święta Niepodległości, a także świąt kościelnych - Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Spotykano się w tzw. tłusty czwartek, ale także np. z okazji Mikołaja, w andrzejki, na Balu Polskim. 11 listopada 1997 roku odbyła się w kościele św. Jana pierwsza polska msza św., która od tej pory odprawiana była regularnie w każdą pierwszą niedzielę miesiąca o godz. 18.00.

Ważne miejsce w działalności klubu Polonus zajmowały zawsze wystawy, które nie tylko wzbogacają życie kulturalne Brna, ale pomagają jego mieszkańcom poznawać bliżej Polskę, jej historię, kulturę i tradycje. Wielkie zainteresowanie wzbudziła otwarta 15 sierpnia 1997 roku w brneńskiej katedrze wystawa pod nazwą „Europa świętego Wojciecha". 14 listopada tego samego roku odbył się w Starym Ratuszu wernisaż wystawy fotoreporterów Gazety Wyborczej „Polska jakiej nie znacie", zaś 8 kwietnia

1998 roku polskich karykaturzystów zaprezentowano na wystawie „Rysownicy Polityki 1957–1997". 27 stycznia 2000 roku na wernisażu wystawy „Polski ekslibris muzyczny" wystąpiła z recitalem muzycznym pochodząca z Zaolzia aktorka scen praskich Renata Worek-Drössler.

Lepszemu poznaniu Polski służyły też spotkania z interesującymi Polakami w ramach cyklu „A to Polska właśnie", który zainaugurowano 12 kwietnia 1999 roku spotkaniem z tłumaczem i poetą Leszkiem Engelkingiem. Następnymi gośćmi byli konsul honorowy RP w Brnie Petr Mrkývka, polonistka, współzałożycielka klubu Polonus Krystyna Kardyni-Pelikánová, konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis. Członkowie klubu wzięli udział w spotkaniu z Adamem Michnikiem na Uniwersytecie Masaryka (24.10.1998). Z brneńskimi Polonusami spotkał się podczas swojej wizyty w Brnie prezydent RP Aleksander Kwaśniewski (23.2.2000).

W sierpniu 1998 roku odbyły się zorganizowane wraz z Instytutem Polskim w Pradze i Centrum Kultury w Brnie I Dni Polskie w Brnie. W listopadzie 2001 roku w ramach kolejnych Dni Polskich gościła w Brnie Scena Polska Teatru Cieszyńskiego. 3 maja 2003 roku zorganizował Polonus w Śródmiejskim Centrum Kultury uroczysty wieczór z okazji Święta Konstytucji i Dnia Polonii i Polaków za Granicą pod patronatem burmistrza dzielnicy Brno-Śródmieście. W programie kulturalnym wystąpił dyrektor Teatru Cieszyńskiego Karol Suszka i chór Przełęcz z Mostów koło Jabłonkowa, który w ramach swojej wizyty w Brnie także dwukrotnie zaprezentował w kościele Św. Janów „Mszę Wielkanocną" Stanisława Boguni.

Od początku istnienia Klubu Polskiego Polonus ważnym elementem jego działalności były wieczory literackie i teatralne. Jeszcze przed oficjalnym zarejestrowaniem klubu, bo 19 grudnia 1996 roku, odbyło się spotkanie poświęcone poezji Wisławy Szymborskiej. Klub Polonus miał swój udział w czeskim wydaniu antologii młodej poezji polskiej pod nazwą „Bílé propasti", której promocja odbyła się w listopadzie 1999. Kiedy do Brna przyjechał polski poeta Ryszard Krynicki, członkowie klubu wzięli udział w jego wieczorze autorskim (27.4.1998). Z okazji wydania polskiego numeru brneńskiego miesięcznika literackiego Host, współfinansowanego przez klub Polonus, odbyło się spotkanie poetyckie „Gościniec, czyli Hosté Hosta" (24.8.1998). 29 listopada 1998 roku aktorzy Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego i autorka Renata Putzlacher przedstawili wieczór poetycko-muzyczny „W kawiarni Avion, której nie ma", 4 listopada 2000 roku „Genius loci Śląska". Po przeprowadzce współzałożycielki czeskocieszyńskiego Avionu Renaty Putzlacher do Brna regularnie zagościły tam pro-

gramy Avionu, a niektóre nawet miały w Brnie swoją premierę. Jako przykład może posłużyć zorganizowany przez Towarzystwo Avion i Klub Polski Polonus 30 października 2003 roku „Dvojhlas - Dwugłos", pierwszy rocznik Czesko-Polskich Konfrontacji Artystycznych, z udziałem m.in. pisarzy Olgi Tokarczuk i Bogdana Trojaka, reżysera Radovana Lipusa. Olga Tokarczuk gościła już wcześniej w Brnie, bo tam miała miejsce promocja czeskiego przekładu jej powieści „Prawiek i inne czasy" (3.4.2000). Renata Putzlacher i Jindřich Zogata, pisarze śląsko-brneńscy, wraz z delegacją Biblioteki Śląskiej w Katowicach byli gośćmi czesko-polskiego spotkania literackiego „Śląsk w zwierciadle poezji czeskiej i polskiej" (18.4.2002). W listopadzie 2004 roku przygotował Polonus II Czesko-Polskie Konfrontacje Artystyczne w Brnie "Dvojhlas - Dwugłos". Tym razem w znanym brneńskim klubie "Stará pekárna" dyskutowali o czeskiej i polskiej literaturze oraz własnej twórczości poetyckiej Petr Hruška i Renata Putzlacher. W części muzycznej wystąpił zaś popularny zarówno w Czechach, jak i w Polsce zespół „Tomáš Kočko a Orchestr".

W tym roku z okazji Święta Niepodległości planuje Polonus występ Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego ze spektaklem „Cieszyńskie Niebo" oraz III rocznik Czesko-Polskich Konfrontacji Artystycznych „Dvojhlas - Dwugłos".

Polacy w Brnie współpracują z przedstawicielami innych mniejszości narodowych przy organizowaniu akcji będących prezentacją działań różnych mniejszości zamieszkałych na terenie Brna. Klub Polski Polonus miał swój udział w wystawie otwartej 26 kwietnia 2001 roku w ramach programu festiwalu „Multikulturní Brno", prezentującego dorobek mniejszości narodowych Brna. Członkinie klubu przygotowały też degustację polskich dań narodowych. W koncercie adwentowym „Żyjemy w jednym mieście" (14.12.2001) wystąpiły m.in. dzieci z Niedzielnej Szkoły Polskiej. Impreza ta stała się imprezą cykliczną. W roku ubiegłym (9.12) w programie piętnastu grup reprezentujących różne mniejszości narodowe Polacy z klubu Polonus przedstawili „Obrazki z Polski". Podobną imprezę organizują brneńskie mniejszości narodowe wraz z województwem południowomorawskim pod nazwą "Powroty do korzeni" także na wiosnę. W tym roku (28 maja) zaprosił Polonus jako swego gościa zespół folklorystyczny Górole z Mostów koło Jabłonkowa. Dużym zainteresowaniem cieszyło się także stoisko z tradycyjnymi polskimi potrawami i trunkami.

Brneńscy Polacy nie zapominają także o kraju swoich przodków. Poznawaniu historii i współczesności Polski służy cykl wyjazdów pt. „Poznajemy ojczyznę naszych rodziców". Po wycieczkach do Krakowa i Wieliczki, Wrocławia i Kotliny Kłodzkiej oraz Zakopanego wybrali się członkowie

i sympatycy klubu w tym roku (18-20 czerwca) do Cieszyna, Pszczyny i Beskidu Śląskiego.

Od roku rozwija swoją działalność również Szkółka Polonijna, nawiązująca do wcześniejszych programów kształcenia młodzieży. Dzięki staraniom studentek polonistyki poznaje najmłodsza generacja brneńskich Polaków polszczyznę, polskie tradycje i obyczaje. Dorośli zaś mogą skorzystać z polskich książek, czasopism, gazet, kaset wideo itp. Od czasu do czasu odbywają się także wykłady poświęcone językowi, literaturze i kulturze polskiej.

W roku 2002 Klub Polski Polonus obchodził swoje pięciolecie. Z tej okazji wydał, przy wsparciu finansowym Stowarzyszenia Wspólnota Polska, zredagowaną przez Renatę Putzlacher i Romana Madeckiego publikację „Polonus - Klub Polski w Brnie - Polský klub v Brně - 1997-2002". Uroczyste obchody małego jubileuszu odbyły się 7 czerwca 2002 roku. Klub liczył wtedy 85 członków, zarząd tworzyli: Roman Madecki - prezes, Jolanta Reková - wiceprezes, Renata Putzlacher-Buchta - sekretarz, Czesław Kaczor - skarbnik. Zarząd pracuje do dnia dzisiejszego w tym samym składzie, liczba członków klubu waha się w granicach 100 osób. Klub jest jedną z organizacji zrzeszonych w Kongresie Polaków w RC.

CZESŁAWA RUDNIK



Widokówka z Brna - fot. FRANCISZEK BAŁON



Kurator Franciszek Sikora wręcza kwiaty dyrygentowi Chóru Nauczycieli Polskich podczas koncertu chóru w Olsztynie 18.11.1967

Z SIBICY NA WARMIĘ I MAZURY

W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN FRANCISZKA SIKORY, NAUCZYCIELA I KURATORA OŚWIATY

Nieco zapomnianą postacią na Zaolziu jest Franciszek Sikora (1905–1977), nauczyciel rodem z Sibicy, wieloletni inspektor i kurator oświaty w Chorzowie i Katowicach, a po wojnie w Mrągowie, Piszu i Olsztynie. Pomimo znacznego oddalenia od rodzinnych stron nigdy nie zapominał o swoich zaolziańskich korzeniach. Dzięki jego zaproszeniu z okazji Dnia Nauczyciela ZNP w listopadzie 1967 roku w Olsztynie gościł Chór Nauczycieli Polskich PZKO pod batutą Emanuela Guziura. W 2001 roku z inicjatywy prof. dr. hab. Tadeusza Filipkowskiego, olsztyńskiego historyka dziejów polskości na Warmii i Mazurach (także członka Koła MZC w Olsztynie), na Warmińsko-Mazurskim Uniwersytecie obroniona została praca dyplomowa Małgorzaty Kowalczyk poświęcona cieszyniakowi Franciszkowi Sikorze. Niniejszy skrótowy artykuł opracowany został w oparciu o materiały i dane cytowanej pracy M. Kowalczyk.

Franciszek Sikora urodził się 13 września 1905 w Sibicy na Zaolziu jako syn Pawła Sikory i Anny z domu Hanisz. Ojciec był robotnikiem, a matka prowadziła dom i wychowywała siedmioro rodzeństwa. W 1916 roku Franciszek Sikora ukończył pięcioklasową szkołę ludową na Bobrku w Cieszynie i rozpoczął naukę w gimnazjum cieszyńskim, które ukończył w 1920 roku, po czym kontynuował naukę w seminarium nauczycielskim. Po maturze w 1924 roku wyjechał na Górny Śląsk i rozpoczął nauczać w powszechnej ewangelickiej Szkole Podstawowej w Królewskiej Hucie (obecnie Chorzów). W 1927 roku na podstawie złożonego w Wydziale Oświecenia Publicznego Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego egzaminu z praktyki szkolnej i studiów zawodowych Sikora zostaje mianowany nauczycielem stałym. Pracuje tam do końca 1934 roku. Nie przerywając pracy w szkole, od 14 stycznia 1929 roku Sikora dokształcał się zawodowo w Instytucie Pedagogicznym w Katowicach, uzyskując 19 września 1935 roku dyplom.

Równocześnie rozpoczyna szeroką działalność społeczno-narodową (od 1930) w Związku Nauczycielstwa Polskiego oraz Związku Kresów Zachodnich. Z racji swego wyznania niezwykle aktywnie pracuje także w Towarzystwie Polaków Ewangelików.

W międzyczasie zawiera związek małżeński (1928) ze Stefania Gernand, nauczycielką szkoły ewangelickiej w Ruptawie. W listopadzie 1929 roku rodzi im się pierwsza córka Wanda Stefania (po wojnie mieszkała w Olsztynie, zmarła tragicznie w 1995 roku [w jez. Długim]), a we wrześniu 1935 roku druga córka Barbara.

W sierpniu 1934 roku przeniesiony zostaje do Szkoły Podstawowej nr 21, a następnie do SP nr 12 w Chorzowie, gdzie wskutek spartańskich warunków zmuszony jest organizować szkołę z zapleczem od podstaw. Po 2 latach trudów przenosi się do SP nr 11 w Katowicach, po czym przyjął kolejną ofertę i przenosi się do Szkoły Ludowej w rodzinnym Nawsiu.

Po wybuchu wojny rozpoczynają się na Śląsku aresztowania polskiej inteligencji, w tym także nauczycieli. Taki los nie ominął Franciszka Sikory, który zostaje aresztowany w kwietniu 1940 roku. Kilka tygodni jest uwięziony w Cieszynie, po czym zostaje wywieziony do KL Dachau, a następnie Mauthausen-Gusen w Austrii. Dzięki usilnym staraniom najbliższych do rodziny wraca w grudniu 1940 roku. Długo nie cieszy się wolnością, gdyż już w marcu 1941 r. wywieziony zostaje na roboty przymusowe (Łabędy, Kędzierzyn), pracuje jako robotnik budowlany, murarski, ciesielski, betoniarski i ślusarski. 20 stycznia 1945 roku ucieka z Kędzierzyna, ale do rodziny w Nawsiu wraca dopiero po wyzwoleniu w dniu 2 maja 1945. Ponieważ po wyzwoleniu Nawsie i całe Zaolzie ponownie przypadło Czechosłowacji, Sikora podejmuje starania, aby z rodziną przedostać się na ziemie polskie, co mu się udaje. Od 18 maja 1945 pracuje już w szkole podstawowej w Zamarskach pod polskim Cieszynem.

W styczniu 1946 roku otrzymuje interesującą propozycję przeniesienia się na Warmię i Mazury - ziemie, które wówczas zamieszkane były w 80% przez Mazurów - autochtonów wyznania ewangelickiego (pozostałą część byłych Prus Wschodnich zajmuje katolicka Warmia [na linii Olsztyn - Braniewo - Frombork]). Dotąd nie ustalono, kto złożył mu taką propozycję. Mogli to być dwaj znajomi Sikory: Jan Bohucki - naczelnik w Kuratorium Okręgu Szkolnego Mazurskiego w Olsztynie, bądź też Emil Babisz - z Olsztyna, obaj z pochodzenia Ślązacy i ewangelicy. I tak Franciszek Sikora wraz z rodziną przenosi się na Warmię i Mazury.

Warto tu także nadmienić, że w tym samym czasie z Cieszyna na Mazury delegowany przez bp. J. Burschego jest inny cieszyński ewangelik - pastor Władysław Pilch-Pilchowski (ks. Władysław Pilch [ur. 1913 w Cieszynie], emerytowany proboszcz parafii ewangelickiej i założyciel Muzeum Reformacji Polskiej w Mikołajkach, senior i członek Warmińsko-Mazurskiego Koła MZC w Olsztynie).

W wyzwolonym Olsztynie (22.1.1945) już w kwietniu 1945 roku powo-

łany zostaje Wydział Oświaty Okręgu Mazurskiego, organizowany przez znaną poetkę warmińską Marię Zientarową i działacza narodowego Pawła Sowę. Dzięki nim już do czerwca 1945 roku obsadzono inspektoraty oświaty w całym niemałym Okręgu Mazurskim. W Mrągowie (zwanym teraz Ządźborkiem) od 1 marca 1946 roku F. Sikora zostaje najpierw podinspektorem, a następnie inspektorem oświaty. W całym powiecie mieszkało wtedy 349 Polaków, 154 Mazurów oraz ponad 20,2 tys. Niemców, z czego 85% stanowiła ludność miejscowa (znaczna część Mazurów w spisach figurowała jako Niemcy). Na uruchomienie czekało 281 placówek oraz wacaty 410 pedagogów.

Nie dane było F. Sikorze spokojnie pracować i organizować w tym mieście oświatę, gdyż już po pół roku skierowany zostaje na inspektora oświatowego do peryferyjnego Pisza. Mimo ogromnych starań i dużego wysiłku, przy braku poparcia lokalnych władz, nie potrafił się zaaklimatyzować w tym powiecie. W opanowanym przez napływową katolicką ludność kurpiowską w regionie nie był po prostu „swój". Od 1 sierpnia 1947 roku Sikora ponownie jest, i to na dłuższy czas, inspektorem oświaty w Mrągowie. Przystępuje tam do generalnej organizacji oświaty i sieci szkolnej, którą zasadniczo kończy w roku 1951/52. Oczkiem w głowie Sikory było zorganizowanie (1946) Liceum Pedagogicznego w Mrągowie, przygotowującego nowe kadry nauczycielskie dla szkół w mazurskich wsiach. W 1955 roku dzięki staraniom F. Sikory w powiecie mrągowskim czynnych było już 75 szkół (w tym 4 w mieście), a odsetek uczniów uczęszczających do szkół wyniósł 69%.

Podczas pobytu w Mrągowie Franciszek Sikora poświęca się także pracy społeczno-politycznej, od 1946 r. jest członkiem PPS, zaś od 1948 roku - po Kongresie Zjednoczeniowym także członkiem PPR, zaś od 1950 roku dodatkowo członkiem Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Mrągowie. Znaczne zaangażowanie w sprawy szkolnictwa i uzyskiwane sukcesy zawodowe zostały dostrzeżone przez wojewódzkie władze oświatowe, które złożyły mu w 1955 roku propozycję objęcia stanowiska zastępcy kierownika Wydziału Oświaty w Olsztynie. Przyjeżdża z rodziną do Olsztyna, szybko awansuje i od 1 lutego 1956 roku jest już kierownikiem Wydziału Oświaty i dodatkowo członkiem Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Olsztynie. W lipcu 1958 roku awansuje na Kuratora Okręgu Szkolnego Olsztyńskiego. Funkcję tę piastuje przez blisko 15 lat, aż do przejścia na emeryturę 1 lutego 1970 roku.

W okresie pracy w Olsztynie Franciszek Sikora skupia się głównie na dalszym rozwoju sieci szkół wyżej zorganizowanych (siedmioklasowych) i zapewnieniu możliwości edukacji jak największej liczby dzieci. Oba pro-

blemy dobrze rozwiązuje, dzięki czemu od 1955 do 1970 roku liczba dzieci w szkołach podstawowych wzrosła o 97 %, a liczba nauczycieli aż o 108%. Na jego konto należy przypisać w Olsztyńskiem udaną reformę oświatową dawnej szkoły siedmioklasowej (1966).

Dzięki pobytowi w Olsztynie F. Sikora styka się bliżej z większą grupą Cieszyniaków, głównie wyznania ewangelickiego, zatrudnioną w ówczesnej Akademii Rolniczo-Technicznej. Większość ich przyjechała do Olsztyna w 1950 roku wraz z przeniesioną z Cieszyna Państwową Wyższą Szkołą Gospodarstwa Wiejskiego. Nie sposób ich tu wszystkich wymienić, niemal wszyscy są członkami stuosobowego obecnie Koła Macierzy Ziemi Cieszyńskiej w Olsztynie. Także znaczna liczba olsztyńskich pastorów Diecezji Mazurskiej pochodzi ze Śląska Cieszyńskiego i Zaolzia, jak np. senior Paweł Kubiczek (1924–1999), rodem z Gutów, wspomniany ks. Władysław Pilch-Pilchowski (1913) z Mikołajek, czy długoletni proboszcz parafii ewangelickiej w Olsztynie ks. Franciszek Duda (1935), rodem spod Czechowic. Z nowej generacji cieszyńskich pastorów wymienić należy ks. Rolanda Zagórę (1966) z Nidzicy, a biskupem Diecezji Mazurskiej w Olsztynie jest ks. Rudolf Bażanowski (1952), rodem spod Skoczowa (od 2003 r. Członek Honorowy Macierzy MZC). Nic dziwnego, że na zaproszenie kuratora Franciszka Sikory, a także prof. Wiktora Wawrzyczka i prezesa ZNP prof. Karola Bijoka, Cieszyniaków olsztyńskiej uczelni, w 1967 roku na uroczystości z okazji Dnia Nauczyciela zaproszony zostaje Chór Nauczycieli Polskich z Czeskiego Cieszyna, prowadzony wówczas przez prof. Emanuela Guziura. Koncert tego wspaniałego chóru w teatrze miejskim był *wielkim wydarzeniem artystycznym miasta i wspaniałą reklamą cieszyńskiego śpiewactwa"* (artykuł Łady Krumniklowej w Głosie Olsztyńskim, 1967)

Po przejściu na emeryturę były kurator nie zerwał kontaktu z oświatą. Przez kolejne 4 lata pracował jeszcze w Instytucie Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych w Olsztynie. Tam doczekał się 50-lecia swojej pracy zawodowej. Piastował też funkcję prezesa wojewódzkiego oddziału ZNP w Olsztynie, gdzie poza sprawami organizacyjnymi poświęcał się opracowywaniu dziejów polskiej oświaty na Warmii i Mazurach. Za wszystkie swoje zasługi uhonorowany został najwyższymi odznaczeniami, w tym Złotą Odznaką Honorową Zasłużony dla Warmii i Mazur (1964) oraz Krzyżem Kawalerskim (1959) i Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (1975).

Zmarł w 1977 roku i pochowany jest w Olsztynie.

Opr. JANUSZ GUZIUR (Olsztyn)

WSPOMNIENIA Z LAT DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ (8)

Również naszemu szwadronowi przypadło w udziale przyjmowanie kapitulacji od załogi jednego z bunkrów w systemie obronnym tzw. Kanalkueste. Były to z wyglądu normalne dwupiętrowe budynki, w których działa potężnego kalibru były zabudowane na strychu, a które wraz z dachem były zwrotne we wszystkich kierunkach. Lufy były ukryte pod dachem i dopiero przed wystrzałem dach się rozwarł i z działa można było strzelać w dowolnym kierunku. Liczebność załogi wynosiła około 50 osób. Służbę w łączności pełniły przeważnie kobiety - tzw. Blitzmädel. Przy przekazywaniu bunkru przez niemieckiego dowódcę w randze kapitana naszemu dowódcy szwadronu porucznikowi Sokołowskiemu pełniłem rolę tłumacza. Przyznaję, że moja znajomość języka niemieckiego była raczej pasywna, to znaczy rozumiałem prawie wszystko, ale mówić płynnie i poprawnie nie potrafiłem. Jak mówi ludowe przysłowie: na bezrybiu i rak ryba, tak samo było w mym przypadku. Ponieważ nikt nie zgłosił się na tłumacza, więc porucznik wyznaczył mnie do tej roli, chociaż zwracałem mu uwagę na braki w mej aktywnej znajomości, tego języka. Przyjmowanie kapitulacji miało następujący przebieg:

Kiedy dowódca szwadronu, jego zastępca i ja weszliśmy do bunkra, zostaliśmy zaprowadzeni do jego dowódcy. Ten w obecności swych adiutantów w pozycji na baczność złożył krótki raport o stanie załogi i wyraził chęć przekazania bunkra do naszej dyspozycji w myśl odgórnych instrukcji o całkowitej kapitulacji. Tłumaczenie tej części rozmowy z niemieckiego na język polski nie stwarzało mi żadnych trudności. Nasz porucznik podziękował za złożony raport i dalsze rozmowy toczyły się już w pozycji spocznij. Mimo że byłem uprzednio informowany przez porucznika o naszych warunkach i żądaniach, to przy tłumaczeniu ich na język niemiecki szło mi jak po grudzie. Nie potrafiłem należycie zbudować zdania, z mej strony były to raczej fragmenty zdań. Oberleutnant, widząc moją językową nieporadność, zorientował się, że tłumaczenie z języka niemieckiego na polski idzie mi daleko łatwiej i, zrozumiawszy sens naszych żądań, powtórzył nasze warunki w swej ojczystej mowie, ja z kolei przetłumaczyłem je na nasz język. W ten sposób mieliśmy pewność, że wie, o co nam chodzi, a były to następujące warunki:

1. Załoga miała pozostać w bunkrze tak długo, dopóki nie nadejdą nowe instrukcje od władz okupacyjnych, z wyjątkiem zatrudnionych tam kobiet.

2. Wszelką broń osobistą i maszynową należało zebrać i umieścić w składzie, a klucz od niego przekazać naszemu dowódcy. Nasi żołnierze mieli przeprowadzić kontrolę.

3. Natychmiast należało wymontować z działa zamek wraz z mechanizmem odpalającym i przekazać go naszemu dowództwu.

4. Żołnierzom załogi wolno było poruszać się tylko w obrębie bunkra i jego terenie otoczonym wodną fosą. Zaopatrzenie i wewnętrzny regulamin mieli zabezpieczać Niemcy sami, tak jak to czynili dotychczas.

5. W budynku wartowni miała zostać umieszczona i pełnić służbę wartowniczą nasza jednostka.

6. Zaopatrzenie jak również służba medyczna mogły odbywać się jedynie drogą koło wartowni. Nasi żołnierze mieli prawo kontroli pojazdów i osób.

7. Wszelkie sporne sprawy rozstrzygać mieli wspólnie dowódca załogi i nasz dowódca lub przez nich upoważnione osoby.

Po oznajmieniu naszych warunków i ich akceptacji bez zastrzeżeń ze strony niemieckiej komendant bunkra oprowadził nas po nim i zaznajomił nas z jego wyposażeniem bojowym. Na mnie uczyniło największe wrażenie zabudowane działo o dużym kalibrze, jego obrotności i donośności do 30 km. Takich budynków-bunkrów widziałem kilkanaście, nie wiem, czy wszystkie były żelbetonowymi budowlami. Pomyślałem sobie, jak to dobrze, że wojna już się skończyła, bo niedługo i nasze jednostki byłyby w ich zasięgu i na pewno nie obyłoby się bez ofiar. Po wizytacji bunkra wróciliśmy do szwadronu i moja rola tłumacza skończyła się. Służbę wartowniczą pełniliśmy przeszło tydzień i w tym czasie nie doszło do żadnych starć ze stroną niemiecką. Raz tylko wartownik zauważył kobiety wchodzące przez kładkę z tylnej strony bunkra i zameldował o tym dowódcy warty. Ten w myśl uzgodnień zarządził kontrolę bunkra, w której wziąłem udział i ja. Było nas czterech uzbrojonych w steny, po wejściu do budynku zastaliśmy zupełną ciemność. Bunkier nie miał okien. Widocznie ktoś zauważył, kiedy szliśmy w kierunku bunkra i wyłączył bezpieczniki, by w ten sposób uniemożliwić nam kontrolę. Na szczęście jeden z nas miał latarkę i na korytarzu odszukaliśmy korki elektryczne i włączyli je. Natychmiast zapaliły się światła i mogliśmy realizować nasze "szczytne" zadanie. Rzeczywiście, w pomieszczeniach załogi znaleźliśmy pod kocami trzy półnagie "Blitzmädle". Sami nie wiedzieliśmy, co z nimi zrobić, choć niejeden z nas miał grzeszne myśli, ale liczebna przewaga żołnierzy niemieckich odradzała od wszelkich pokus. W końcu kazaliśmy im się ubrać i pod naszą eskortą wyprowadziliśmy je poza bramę. Żołnierzom zaś pogroziliśmy tylko meldunkiem komendantowi bunkra o tym zajściu. Prawdę powiedziawszy, to zachowaliśmy się jak ten pies, co sam kości nie zgryzie, ale drugiemu ruszyć nie da. Po tygodniu zluzowali nas Kanadyjczycy, a nasz pułk przemieszczono w inny rejon.

Nasz szwadron zakwaterowano w budynku jakiejś restauracji, ale nazwy

miejscowości nie zapamiętałem. Dopiero tutaj zaczęliśmy naprawdę odpoczywać i rozkoszować się spokojnym snem, którego nam przez ostatnie dwa miesiące tak bardzo brakowało. Po niespełna tygodniu w okolicy miejsca naszego postoju zaczęło dochodzić do nocnych rabunków z bronią w ręku u niemieckich rolników. Ci oskarżali nas u Anglików, twierdząc, że uzbrojeni rabusie byli w mundurach "battledress" i rozmawiali po polsku. Wiedzieliśmy, że to kłamstwo, i dowódca szwadronu kategorycznie odrzucił ten zarzut, szkalujący dobre imię i honor polskiego żołnierza. W celu wyjaśnienia tego oszczerstwa powziął następującą decyzję: W każdym z okolicznych gospodarstw rolnych na noc rozlokował po dwóch uzbrojonych żołnierzy, którzy mieli za zadanie złapać rabusiów na gorącym uczynku i przyprowadzić ich żywych lub martwych. Wśród grona stróżów niemieckiego mienia znalazłem się i ja. O zmierzchu zapukaliśmy z kolegą do przydzielonego nam domu. Niemiec, uprzednio powiadomiony przez niemieckie władze lokalne o tej akcji, oczekiwał nas i nie było potrzeby dalszych wyjaśnień. Dał nam do dyspozycji osobny pokój. My, uzbrojeni w pistolety maszynowe wraz z zapasowymi magazynkami i z czterema ręcznymi granatami, postanowiliśmy czuwać na zmianę, jeden do północy, a drugi do rana. Zdecydowaliśmy, by nie rozbierać się, chociaż łóżka były przez gospodarzy przygotowane do snu. Noc w naszym gospodarstwie przebiegła spokojnie, natomiast koło północy gdzieś w okolicy było słychać strzały. Rzeczywiście, rano po powrocie do oddziału zobaczyłem dziewięciu mężczyzn w "battledressach" bez naszywki Poland na ramieniu porządnie poturbowanych przez naszych. Okazało się, że byli to Ukraińcy wywiezieni do Niemiec na roboty, którym udało się skraść Anglikom ze składu zapasowe mundury i którzy, udając żołnierzy, przeprowadzali rabunki. Poszkodowani rolnicy, nie rozróżniając mowy polskiej od ukraińskiej, uważali, że są to Polacy, gdyż na terenach tych była rozlokowana polska dywizja pancerna. Schwytanych na gorącym uczynku Ukraińców przekazano Anglikom jako "corpus delicti" naszej niewinności, zaś wśród miejscowej ludności zyskaliśmy należyty respekt.

Z Anglikami mieliśmy do czynienia w innej, choć podobnej materii. W Niemczech znajdowało się na przymusowych robotach bardzo dużo Polek i Polaków. Anglicy w swoim sektorze, w Celle niedaleko Hanoweru, założyli dla nich przejściowy obóz. Stamtąd ludzie ci mieli być repatriowani do Polski lub wyjechać do przez siebie wybranego kraju. W obozie mieli zapewniony wikt i nocleg, a niektórzy z nich pracowali u Anglików w służbach pomocniczych. Obóz umieszczono w zabudowaniach częściowo zniszczonej fabryczki, ogrodzonej płotem z siatki. Początkowo służbę porządkową i wartowniczą pełnili angielscy żołnierze. Utrzymanie ładu i porządku w tak różnorodnym

pod względem wieku i płci towarzystwie było ponad ich siły. Zwrócili się więc o pomoc do dowództwa naszej dywizji, wychodząc z założenia, że Polak z Polakiem prędzej się dogada. Z naszego pułku do tej wartowniczo-porządkowej służby odkomenderowano 50 żołnierzy. Oczywiście znów wśród nich znalazłem się i ja z Bronkiem. Przedtem jednak w szwadronie stanąłem do raportu i zgłosiłem chęć kontynuowania nauki w polskim gimnazjum w Szkocji. Powołałem się na moją prośbę, którą podałem w Komendzie Uzupełnień przed wyjazdem na front. Dowódca szwadronu porucznik Sokołowski, ten sam, przy którym pełniłem rolę tłumacza, przyjął do wiadomości mą prośbę i polecił mi złożyć podanie na piśmie. Podanie zawierające moje dane personalne i dane o moim dotychczasowym wykształceniu skierowałem do działu kadr przy sztabie dywizji.

Po naszym przybyciu do Celle mieszkańcy tego obozu przywitali nas z mieszanymi uczuciami. Jedni ucieszyli się, inni "bywalcy" widzieli w nas tych, którzy będą patrzeć im na ręce. Był tam różnorodny ludzki element, który nie zawsze działał zgodnie z prawem. Niektórzy, chcąc sobie niejako odbić na Niemcach za doznane od nich krzywdy, po prostu okradali ich. Ci z kolei skarżyli się u Anglików. Anglicy, nie umiejąc sobie z nimi poradzić, przekazali ich nam, abyśmy utrzymywali w obozie porządek i przeprowadzali śledztwo w wypadku zgłoszonych przez Niemców kradzieży. Dowództwu odkomenderowanej jednostki udało się wprowadzić pewien ład i porządek w obozie i wydać reguły pobytu i współżycia dla osób w nim przebywających. Natomiast drobne kradzieże zdarzały się może nie tak często jak przedtem, ale były, i nigdy nie udało się znaleźć ich sprawców. Już po tygodniu pobytu w Celle nasi żołnierze nawiązali bliższe kontakty z częścią mieszkańców obozu, głównie z młodszą generacją płci odmiennej. Z około 200 mieszkańców obozu 2/3 stanowiły kobiety i dzieci. Byłem również świadkiem zbiorowego zawarcia ślubów małżeńskich przez obozowiczów w miejscowym katolickim kościele. Do piętnastu par zgromadzonych wokół ołtarza przemawiał i udzielał błogosławieństwa sakramentu małżeństwa polski ksiądz. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że był to kapelan wojskowy.

Po miesięcznym pobycie w Celle zostałem odwołany do szwadronu w związku z mym podaniem o studia. Ze sztabu dywizji nadeszła w tej sprawie pozytywna odpowiedź. Tutaj w Celle pożegnałem się z mym najbliższym i najmilszym kolegą Bronkiem Kaliną, towarzyszem mojej wojennej tułaczki od pierwszych dni. Obiecaliśmy sobie wzajemnie utrzymywać dalej kontakt listowny. Były może dwa, trzy listy, ale potem nasza korespondencja osłabła i spotkaliśmy się razem dopiero w rodzinnej wiosce Stonawie po mym powrocie do kraju w 1947 roku. On wrócił pół roku wcześniej. Nasze losy po wojnie

potoczyły się odmiennie i nasze kontakty się rozluźniły. Jednakowoż w roku 1947 wziąłem udział w jego weselu, jak również on i jego żona byli obecni na mym weselu w roku 1953. Z żalem dodaję, że również wziąłem udział w jego pogrzebie, kiedy to po krótkotrwałej i ciężkiej chorobie (raka krwi) zmarł w wieku sześćdziesięciu lat.

W szwadronie zostałem jeszcze około 3 tygodnie, zanim otrzymałem ze sztabu dywizji potrzebne mi dokumenty związane z moim odkomenderowaniem do szkoły. Na początku lipca 1945 roku żegnałem się z kolegami mego 4. szwadronu wsparcia, przede wszystkim z dowódcą działonu kapralem Pietrkiem Pawłowskim, z Kaziem Tycholisem, ochotnikiem z Argentyny, i z Ludwikiem Dembczyńskim, kierowcą naszego pojazdu, z którymi przebyłem szlak bojowy od Falaise aż do okolicy Cloppenburga w Niemczech. Bronek i ja zżyliśmy się z nimi i stworzyli jakby rodzinę. Przeżywaliśmy razem chwile dobre, ale i trudne, w których poznaje się prawdziwy charakter człowieka. Byli to ludzie godni zaufania i szacunku. Mieliśmy to szczęście, że pomimo tylu niebezpieczeństw, jakie wojna nam stwarzała, przeżyliśmy ją i co najważniejsze, przeżyliśmy ją w zdrowiu.

Nie wszystkim jednak to było dane. Świadczą o tym rozsiane na przestrzeni wielu setek kilometrów Europy groby żołnierzy polskiej 1. Dywizji Pancernej, którzy polegli na ziemi francuskiej, belgijskiej i holenderskiej. Zginęli oni, wyzwalając z niewoli niemieckiej ludność tych krajów w imię hasła "Za naszą i waszą wolność". Większość poległych ekshumowano i pochowano na zbiorowych cmentarzach-pomnikach. Oprócz tych cmentarzy-pomników na szlaku 1. Polskiej Dywizji Pancernej pozostały i inne ślady, które są wymownym dokumentem dla po wojnie wyrosłych pokoleń Francuzów, Belgów i Holendrów, że tu w 1944 roku walczyli o ich wyzwolenie Polacy. Dla naszego 10. Pułku Dragonów takim symbolem jest nad kanałem Axel-Hulst w pobliżu Dubosch tzw. Krzyż Dragonów. We wszystkich trzech krajach pozostały po dywizji nie tylko cmentarze, pomniki-tablice i nazwy ulic. Pozostały i utrzymują się po dziś dzień bliskie i gorące stosunki między ludźmi. Jednym z najdalej idących dowodów przyjaźni nawiązanych w tamtych dniach są setki par małżeńskich polsko-francuskich, polsko-belgijskich i polsko-holenderskich. Zaś wszyscy żołnierze 1. Dywizji Pancernej, którzy wzięli udział w walkach o wyzwolenie Bredy, w myśl uchwały rady tego miasta są jego honorowymi obywatelami. Na łamach tygodnika Przekrój w marcu 1994 roku zamieszczono dla nas, wyzwolicieli Bredy, zaproszenie do wzięcia udziału w jubileuszowych uroczystościach z okazji 50-lecia wyzwolenia miasta. To też jest dowodem i przejawem trwającej i niegasnącej polsko-holenderskiej przyjaźni. W spotkaniu tym nie wziąłem udziału ze względów zdrowotnych.

Wracając do opisu okresu po kapitulacji Niemiec, chciałbym zaznaczyć, że chociaż wojna zakończyła się, dla żołnierzy nie był to koniec wojennej tułaczki. Wprawdzie bezpośrednie zagrożenie życia minęło, niemniej, wyjeżdżając z Niemiec do Anglii, czułem się trochę zagubiony. Z mej macierzystej jednostki wyjechałem samochodem zaopatrzeniowym do Antwerpii. Stamtąd razem z angielskimi żołnierzami, jadącymi na urlop do swych rodzin, wyjechałem do słynnego belgijskiego kurortu Ostende, skąd drogą morską pasażerskim statkiem do Dower i dalej koleją do Londynu. Tam na dworcu kolejowym dopiero w całej pełni uświadomiłem sobie moją bezradność, gdy stwierdziłem, że, nie znając języka angielskiego, jestem zagubiony wśród wielomilionowej obcojęzycznej społeczności. Jedynym moim ratunkiem były dokumenty w języku angielskim, stwierdzające moje odkomenderowanie, a co najważniejsze, było w nich napisane, dokąd mam się udać. Na przykład w Londynie miałem się zatrzymać w Domu Polskim, gdzie miał siedzibę Ośrodek Zapasowy Wojska. Pierwszemu napotkanemu na dworcu kolejowym policjantowi przedłożyłem moje papiery i wskazałem w nich na londyński adres, dodając niby po angielsku „i can not speak english". Policjant uśmiechnął się, zrozumiał, o co mi chodzi, i zaprowadził mnie do właściwego środka lokomocji. Był nim piętrowy autobus i tam policjant przekazał mnie konduktorce z prośbą, by mnie wysadziła na odpowiednim przystanku. Rzeczywiście przystanek, gdzie mnie dorodna Angielka pożegnała, znajdował się naprzeciw Domu Polskiego.

Tutaj w odpowiednim biurze złożyłem dyżurującemu oficerowi raport o celu mej podróży. Właściwie raport nie był potrzebny, bo wszystko było napisane w dokumentach, ale zachowałem wojskowe „decorum". Porucznik przyjął mnie bardzo życzliwie i jako frontowego żołnierza wypytywał o udział w walkach. Skrótowo opowiedziałem mu, i tu nie będę skromny, z pewną żołnierską dumą o całej mej kampanii od Falaise po Wilhelmshaven. On sam był uczestnikiem bitwy pod Chambois w 8. batalionie strzelców, gdzie został ranny, i po rekonwalescencji nie wrócił już ze względów zdrowotnych do swej macierzystej jednostki. Mundur miał ten sam co i ja, „battledress" z jednym czarnym naramiennikiem, napisem Poland w górnej części rękawów, a pod nim dywizyjny emblemat „husarskie skrzydło z kołem", tylko proporczyki na kołnierzu były innego koloru. W Londynie zostałem jeszcze jeden dzień i przy okazji zwiedziłem niedaleki słynny Hyde Park. Dla mnie park jak park, potężne drzewa, krzewy, alejki z ławkami, ale i kilka podiów w różnych miejscach parku. Na jednym z nich ktoś przemawiał do grupki ludzi stojących pod mównicą. Zatrzymałem się chwilkę, ale chociaż nie rozumiałem treści przemówienia, wydedukowałem z pojedynczych słów mówcy, że był to temat religijny.

Hyde Park w Londynie, założony w latach 1648-1649, był obozem armii rewolucyjnej Cromwella. W połowie XVII wieku został otwarty dla publiczności, a od XIX wieku jest miejscem nieskrępowanej agitacji politycznej, spotkań i demonstracji ludu oraz przemówień przygodnych działaczy i reformatorów.

Nazajutrz z odpowiednim skierowaniem wyjechałem do Glasgow. Podobnie jak w Londynie w Glasgow skorzystałem z uprzejmości policjanta, który wskazał mi autobus mający mnie zawieźć do miasteczka Crieff, gdzie w pięknym środowisku Hydrohotelu było polskie gimnazjum w Szkocji wraz z internatem. Była to szkoła średnia o czterech gimnazjalnych i dwóch klasach licealnych, czyli sześcioklasowa. Przed wojną ukończyłem u nas w ośmioklasowym gimnazjum klasę trzecią. Tutaj zgłosiłem się do klasy drugiej, która odpowiadała w ośmioklasowym gimnazjum klasie czwartej. Była prawie połowa wakacji i w tych przepięknych warunkach Hydrohotelu z pływalnią wewnątrz budynku starałem się zapoznać z materiałem nauczania, głównie z matematyki i polskiego. Niestety był koniec wojny i właściciel Hydrohotelu nie wynajął budynku na dalsze lata, i szkoła musiała się przenieść do Bridge of Allan, gdzie zamieszkaliśmy w podłużnych, pokrytych blachą barakach. W tych samych barakach, gdzie spaliśmy, odbywała się i nauka. Funkcje krzeseł spełniały prycze, na których spaliśmy, zaś stoły wstawione między łóżka spełniały rolę ławek szkolnych, na których pisaliśmy zadania i spożywali posiłki. W tyle baraku była umieszczona tablica.

Dla mnie warunki mieszkaniowe w porównaniu z frontowymi były nienajgorsze, ale dla większości z piętnastoosobowej klasy, która poprzedni rok szkolny spędziła w cieplarnianych warunkach Hydrohotelu, był to prawdziwy szok. Drugi miesiąc wakacji w związku z przeprowadzką minął szybko i we wrześniu 1945 roku rozpoczęła się regularna nauka. Wśród kolegów klasowych, z wyjątkiem dwóch czy trzech, wszyscy byli żołnierzami. Z nich tylko kolega Wojciechowski i ja byliśmy żołnierzami frontowymi. Wojciechowski był spadochroniarzem i uczestnikiem alianckiego desantu pod Ahrnem i Nijmegen. Z jego ust dowiedziałem się o udziale polskiej Brygady Spadochronowej w tych walkach, i o tym, jak przy źle przygotowanym przez Anglików desancie Niemcy strzelali do nich w powietrzu jak do kaczek. Jemu udało się szczęśliwie wylądować na ziemi i później wraz z resztkami brygady przepłynąć Ren na stronę aliantów. Reszta uczniów to byli żołnierze tworzącej się 3. Dywizji Piechoty, która nie wzięła już udziału w walkach. Wszyscy byliśmy w wieku od osiemnastu do dwudziestu lat. Grono profesorskie na czele z dyrektorem Włodarczykiem składało się z profesorów przedwojennych z Polski, z wyjątkiem profesorki języka angielskiego, która była rodowitą

Angielką i żoną polskiego kapitana. Religii uczyło dwóch księży - katolicki i ewangelicki. Naszym gospodarzem klasy był ksiądz Małaszek, jezuita i zatwardziały nieprzyjaciel „innowierców". Odczułem to na własnej skórze. Od czasu od czasu musiałem się do niego jako do gospodarza klasy zwracać w sprawach zwolnień lub wyjazdów, wówczas on prawie ze mną nie rozmawiał, coś tam bąknął pod nosem, co miało oznaczać zgodę. Klasowi koledzy zazdrościli mi tej wyznaniowej odrębności, bo nie musiałem obowiązkowo uczęszczać co niedzielę na nabożeństwa lub na inne związane ze świętami kościelnymi obrządki. Kto bez usprawiedliwienia opuścił mszę świętą, dostawał z religii gorszy stopień. Przy maturze jezuita ks. Małaszek dał dwom absolwentom z religii stopnie niedostateczne i mieli oni zdawać poprawkę po wakacjach. Poprawkę zdawali, ale już nie jako katolicy, bo w czasie wakacji przeszli na ewangelicyzm i z tego wyznania zdawali poprawkę, i oczywiście zdali. Największą frajdę miała klasa, kiedy to, chcąc księdzu cokolwiek dokuczyć za jego zbyt rygorystyczne postępowanie wobec niej, prosiła go o wyjaśnienie niezgodności, które istniały między jego wykładem a wykładem historyka prof. Wiecznego na temat przyczyn i przebiegu reformacji. Wówczas to w sali konferencyjnej dochodziło do ostrych starć między jezuitą Małaszkiem, a profesorem Wiecznym, któremu Małaszek zarzucał celowe wprowadzanie w błąd uczniów i głoszenie fałszywych poglądów. Spór ten starał się załagodzić spokojny i opanowany dyrektor Włodarczyk, któremu z trudem udawało się uspokoić zwaśnionych. Ja w czasie niepogody lub w zimie w czasie religii katolickiej leżałem na swoim łóżku i słuchałem jego wykładów. Czasami z jego ust padały pod adresem innych religii uwagi niegodne ust kaznodziei. W ogóle to jedyny raz w życiu spotkałem takiego fanatyka religijnego i człowieka tak nietolerancyjnego. Religii ewangelickiej uczył nas, pięciu ewangelików, dojeżdżający z Edynburga ksiądz Cieńciała. Z nauką jakoś sobie radziłem. Nie należałem do prymusów, ale też nie byłem najgorszy, o czym świadczyło moje świadectwo o ukończeniu klasy drugiej A i otrzymaniu promocji do klasy trzeciej. Na świadectwie widnieje czerwona okrągła pieczątka z pełną nazwą szkoły: Polskie Liceum i Gimnazjum Męskie w Szkocji im. Juliusza Słowackiego. Skala ocen była czterostopniowa: bardzo dobry, dobry, dostateczny i niedostateczny. Z dziesięciu otrzymanych stopni dwa miałem bardzo dobry, a to z zachowania i religii, zaś u reszty był stopień dobry: z języków polskiego, łacińskiego, angielskiego, historii, geografii, biologii, matematyki i ćwiczeń cielesnych.

KAROL BARTULEC

(dokończenie w następnym numerze)

JĘZYKOWE POGRANICZE CIESZYŃSKO-LASKIE (3)

KSIĘSTWO CIESZYŃSKIE

Początki dziejów Śląska Cieszyńskiego jako niezależnego organizmu politycznego sięgają również końca XIII wieku. Zgon księcia opolsko-raciborskiego Władysława w 1282 r. doprowadził do podziału jego rozległej dzielnicy piastowskiej opolsko-raciborskiej na cztery mniejsze odrębne państewka. Najstarszy z synów, Mieczysław (Mieszko), otrzymał kasztelanię cieszyńską oraz ziemię oświęcimską. W 1290 roku pojawia się pierwszy znany dokument, w którym Mieczysław tytułuje się księciem cieszyńskim i odtąd też datują się dzieje samodzielnego księstwa cieszyńskiego połączonego dość zresztą luźnym stosunkiem lennym z Koroną Czeską. Związek ten przyczynił się do zaistnienia na obszarach Śląska Cieszyńskiego kolonizacji niemieckiej, podobnej do tej, która popierana przez króla czeskiego Przemysła Ottokara II i biskupstwo ołomunieckie pod koniec XIII w. zmieniła skład etniczny ziem opawskiej i jesionickiej, ale przyczyniła się do ich rozwoju gospodarczego.

Ważnym wydarzeniem historycznym mającym istotny wpływ na kształtowanie się stosunków językowych w południowo-zachodniej części Śląska Cieszyńskiego było wyzbycie się przez księcia Wacława Adama około połowy XVI wieku całego Frydeckiego. Lekkomyślnie zadłużony książę oddał tę graniczącą z Morawami część w zastaw w 1545 roku, a następnie w latach 1571-1573 ostatecznie sprzedał ją przedstawicielom napływowego ziemiaństwa (panom z Logowa i Altendorfu)[1]. Odtąd miasto Frydek wraz z wsiami Leskowiec, Siedliszcze, Kaniowice, Żermanice, Bruzowice, Październa, Stare Miasto, Wojkowice, Dobroziemica (dziś Dobra), Potmienoszowice (dziś Noszowice), Baszka, Skalica, Ligota Dolna, Ligota Górna, Perzno, Raszkowice, Lubno, Janowice i późniejsze wsie Krasna, Morawka, Malinowice (dziś Malenowice), Nowa Wieś i Hamrowice (dziś Stare Hamry) były zasilane osadnikami z Moraw, na skutek czego mieszkańcy tych miejscowości ulegli z biegiem czasu czechizacji. Na mapie Homana *Atlas Silesiae*, wydanej w r. 1750 w Norymberdze, wymienione wyżej miejscowości są za-

znaczone w obrębie Księstwa Cieszyńskiego jako osobny *status minor fridecensis*, frydeckie państwo stanowe niższego rzędu. Jego właściciele podlegali bezpośrednio monarsze.

Podobny los spotkał północno-zachodni region księstwa, na którego obszarze powstały państwa stanowe niższego rzędu Bogumin i Frysztat. Do państwa bogumińskiego należały miejscowości Bogumin, Kopytów, Szonychel i Pudłów. Do państwa frysztackiego wchodziły w roku 1571 miejscowości: Frysztat, Stare Miasto, Kąkolna, Zawada, Piotrowice, Raj, Darków, Łąki, Wierzniowice, Dziećmorowice, Lutynia Niemiecka, Lutynia Polska, Skrzeczoń, Rychwałd oraz pobenedyktyńskie wsie Orłowa, Poręba, Dąbrowa i Łazy. W dobrach tych coraz bardziej zniemczone ziemiaństwo wprowadziło niemiecki język urzędowy. Klasztor benedyktynów tynieckich w Orłowej został zniesiony w roku 1560, a ziemie jego włączono wówczas do Księstwa Cieszyńskiego[2].

Dynastia książąt piastowskich panowała na Śląsku Cieszyńskim do r. 1653, kiedy to zmarła ostatnia jej członkini, księżna Elżbieta Lukrecja. Księstwo Cieszyńskie dostało się wtedy bezpośrednio w ręce cesarzy niemieckich jako królów czeskich. Dawne dobra książąt cieszyńskich nazwane zostały Komorą Cieszyńską i pod jej zarządem pozostały aż do r. 1918.

Po przegranej przez Austrię wojnie sukcesyjnej z Prusami i utracie większości ziem śląskich w r. 1742 resztki Śląska (tzw. Śląsk Austriacki) były przyłączone administracyjnie w latach 1782-1849 do Moraw i podporządkowane Gubernium Morawsko-Śląskiemu z siedzibą w Brnie. Dopiero w 1849 roku Śląsk Austriacki ponownie się usamodzielnił jako osobny kraj. Głównym miastem Śląska Austriackiego stała się Opawa, w której zasiadał później aż do r. 1928 (z krótką przerwą w latach 1860-1861) krajowy sejm śląski. W jego dawnym okazałym gmachu znajduje się dziś Krajowe Archiwum (Zemský archiv v Opavě, ul. Sněmovní 1).

W XX wieku Śląsk Cieszyński dotknęły liczne zmiany historyczne. Jego zachodnia część, tzw. Zaolzie, w ciągu 75 lat wielokrotnie zmieniła przynależność państwową. Do roku 1918 wchodziła w skład monarchii Austro-Węgierskiej, (w latach 1918-1920 była terenem spornym między Czechosłowacją i Polską), potem do roku 1938 należała do Czechosłowacji, w latach 1938-1939 została przyłączona do Polski, w czasie drugiej wojny światowej 1939-1945 była okupowana przez Niemcy i włączona do okręgu Śląsk Górny, po zakończeniu wojny ponownie należała do Republiki Czechosłowackiej, a od roku 1993 wchodzi w skład Republiki Czeskiej.

LASI I GWARY LASKIE

Cały obszar gwar laskich leży na północ i na wschód od Beskidów Morawsko-Śląskich i Jesioników, w dorzeczu górnej Odry. Od Moraw oddzielały ten obszar przed tysiącem lat góry i duży las pograniczny. Anonim, zwany Gallem, autor najstarszej kroniki polskiej (spisanej po łacinie na przełomie w. XI i XII) mówi, że Morawy są od Polski do tego stopnia odgrodzone wysokimi górami i gęstymi lasami, iż przebycie ich przez pieszo idących spokojnych podróżnych lub przez lekko uzbrojonych żołnierzy uchodzi za niebezpieczne i nadmiernie trudne[3].

Ludność zamieszkującą te lasy nazywali późniejsi przybysze wałascy (pasterze górscy) *Lachami*. Jeszcze w XIX wieku Lucjan Tatomir pisał: "Ci, co zamieszkują wyżej, nazywają tych, co obsiedli niższe podgórze, równiakami, lachami". Wyraz *lach*, czy w liczbie mnogiej *lachy* znaczył też 'gąszcz, wielkie, ciemne, gęste lasy'. Z nazwą *Lachy* spotkali się wołoscy pasterze górscy podczas swych wędrówek karpackich ze wschodu na zachód. Lachami nazywali lud małopolski zamieszkujący krainę lubelską, sandomierską, krakowską i wreszcie dorzecze górnej Odry. Ludność tych krain żyła z łowów i produktów leśnych. Owa prastara nazwa dochowała się w językach sąsiadów. Lachami nazwała naród polski Litwa, Ruś i wszystkie narody Wschodu. Potwierdza to najstarsza kronika ruska z lat 1113-1118, tzw. latopis Nestora, w której użyte są formy *Ljach, Ljasi, Ljachowie* i nazwa kraju *Ljachy*. Zygmunt Gloger podaje w swej *Encyklopedii staropolskiej*[4] za wybitnym językoznawcą Janem Karłowiczem, że wyraz *Lach* pochodzi "najprawdopodobniej ze zgrubienia wyrazu *las*, tak jak *piachy* = piaski, *micha* = misa, *nochal* = nosal itp. *Lachami* nazywano pierwotnie kraj pokryty lasami w przeciwstawieństwie do polnego czyli polskiego, tj. wykarczowanego, i do górskiego, a dziś jeszcze góral mówi o równinach: *„na lachach, chłop od Lachów"*, a jedną z grup ludności nazywa Lachami Sądeckimi. Oboczność *-ch // -s* potwierdzają też staropolskie nazwy osobowe: *Biech // Bies, Ciech // Ciesz, Jach // Jaś, Jasz, Kwach // Kwas, Stach // Staś, Stasz, Pietrach // Pietras, Pietrasz, Wałach // Wałasi* itp.

Ludność krainy laskiej nigdy nie nazywała siebie Lachami. Tak nazywali ją obcy przybysze. Dopiero w ostatnich wiekach, prawdopodobnie w związku z przyłączeniem administracyjnym Śląska Austriackiego do Moraw i z narastającym budzeniem się poczucia narodowości, zaczęła się przyznawać do narodowości morawskiej. Mieszkańcy krainy laskiej twierdzą, że mówią *"morawsky", "po morawsky"* czy *"po morawsku"*; *"my tu ňesu Češi, my su Moravcy"*.[5] Na Śląsku Cieszyńskim natomiast

Morawcem nazywano przybysza z Moraw. Po czesku gwary laskie są najczęściej nazywane *nářečí lašská*, chociaż są też nazywane mniej dokładnymi terminami *nářečí slezská* (Bělič 1972) i *nářečí slezskomoravská* (Knop i in. 1967, s. 283). W Polsce nazywane są *gwarami laskimi.*

Ottův Slovník naučný (XV. díl, str. 563, Praha 1900) podaje: "L a c h obyvatel severových[odního] cípu Moravy (od Štramberka přes Příbor až za Morav[skou] Ostravu). Laši mluví nářečím podobným valašskému, jež pak při Ostravici přechází ve slezštinu (polštinu). Lid lašský praví o sobě, že mluví moravsky; sebe pak nenazývá L[ach]em, nýbrž buď Valachem nebo nijak; za to sousedům, třeba nejbližším, přezdívají jménem L[ach]".

Z. Stieber w swej pracy "Geneza gwar laskich"[6] pisze: "Zgodność granic dialektów laskich z granicami tej części Śląska, która już w XI w. została włączona do Moraw, jest wyraźna. Tylko na południowym wschodzie posunęły się gwary laskie nieco poza Ostrawicę, na teren Śląska Cieszyńskiego". Chodzi o całe Frydeckie, dawny *status minor fridecensis*, językowo dziś prawie zupełnie laski[7].

Jeśli w średniowieczu Opawszczyzna oddzielona była ostro od Moraw pasmem gór i puszczańskich lasów, to nie był to teren nadający się do powstawania dialektów przejściowych, przeciwnie - pas górsko-lesisty na dziale wód pomiędzy Odrą i Beczwą, choć oczywiście nie mógł całkowicie uniemożliwić kontaktu języka polskiego z czeskim, to jednak niewątpliwie mógł stanowić dość ostrą granicę tych języków. Skoro zaś przy tym wiemy, że kraj, w którym mówi się po lasku, od początku państwowości polskiej do XI w. należał politycznie do Polski, to mamy wszelkie prawo przypuszczać, że ludność zamieszkująca pierwotnie ten kraj mówiła po polsku. Dopiero wieki XII i XIII - to dla Śląska „okres wypełniony intensywną czechizacją, ciągłymi wyludniającymi walkami osłabiającymi miejscowy żywioł etniczny[8]".

Laszczyzna jest dialektem przejściowym "mającym konsekwentnie przeprowadzone jedne cechy polskie, drugie czeskie". Dzisiejszy swój przeważnie czeski charakter zawdzięczają więc gwary laskie zapewne faktowi, że od XI w. podlegały ciągle wpływowi języka czeskiego jako państwowego i kościelnego, podczas gdy polski język kulturalny nigdy już tu nie dotarł. Trzeba też pamiętać, że po włączeniu tego pogranicznego kraju do Moraw osiadła tam na pewno znaczna ilość Czechów, choćby tylko załogi czeskie w grodach. Później, gdy na tronie księstwa opawskiego zasiedli czescy Przemyślidzi (1278), na pewno dwór opawski zapełnił się Czechami. Z czasem, gdy wytrzebiono pograniczne lasy, kolonizacja pierwotnie polska zetknęła się z czeską i mieszanie się ludności musiało przybrać duże rozmiary [9].

Dialekt przejściowy występuje na pograniczu dwóch języków lub szerzej używanych dialektów. Wykazuje w pewnej części swego systemu konsekwentnie przeprowadzone cechy jednego z tych języków czy dialektów, zaś w innej części - cechy drugiego. Gwary laskie są klasycznym przykładem dialektu przejściowego. Wykazują w swej fonetyce z jednej strony konsekwentnie przeprowadzone cechy polskie, z drugiej - czeskie.

Przejściowy charakter laszczyzny starał się obalić František Trávníček [10], twierdząc, że w dialekcie laskim mamy znikomą wprost ilość "czesko-polskich zjawisk przechodnich", tzn. - jak sądził - takich cech, które rozwinęły się na gruncie polskim i dopiero stąd rozszerzyły się, "przeszły" na "pierwotnie czeskie obszary terytorium laskiego". Do cech "przechodnich" zaliczał tylko zatratę iloczasu (czasu wymawiania samogłosek długich) i przejście *ā* > *o*. Twierdził, że "ono přesahování jazykového vývoje z území polského na naše je celkem dosti nepatrné". Podobny pogląd wyraził Bohuslav Havránek [11]: "Není pochyby o tom, že mají lašská nářečí v západní skupině československých nářečí zvláštní postavení proti užšímu celku, který tvoří nářečí česká a hanácká, ale nesmíme zapomínati, že nářečí lašská jako celek nemají kromě zkrácení dlouhých vokálů žádných podstatných společných změn hláskových a že jsou přes hojné vlivy cizí a speciální změny některých částí nejarchaičtějším typem našich nářečí". Zapomniał tylko dodać, że większość archaizmów w laszczyźnie była wspólna zarówno językowi staroczeskiemu jak i staropolskiemu. Przypomnieć tu należy zresztą zasadę, że **przy ustalaniu pokrewieństwa dwu dialektów "decydują nie wspólnie przez nie hodowane archaizmy, lecz wspólnie przeprowadzone zmiany w stosunku do stanu dawnego"** [12].

Dziwić się trzeba, że wymienieni językoznawcy czescy tak uporczywie twierdzą, iż laszczyzna nie jest dialektem przejściowym, chociaż w innym wypadku zgadzają się z faktem, iż "pomiędzy zachodnią i wschodnią grupą czechosłowackich dialektów rzeczywiście istnieje pasmo przejściowe między dialektami hanackimi i słowackimi, a również między narzeczami laskimi i słowackimi" [13].

Przypomnieć tu należy, że dialekt to inaczej zespół gwar, którymi posługuje się ludność wiejska danego regionu. Dialekty laski i śląski są kontynuacją języka dawnych przedpiastowskich skupisk etniczno-plemiennych. Dialekt przejściowy występuje na pograniczach zespołów gwarowych, charakteryzując się tym, że w różnych pozycjach fonetycznych, kategoriach gramatycznych i funkcjach występują regularnie cechy jednego z dialektów stykowych. Powstają przede wszystkim na pograniczu różnojęzycznym. Nie ma wątpliwości co do tego, że dialekt

laski jest dialektem przejściowym czesko-polskim. Obaj wymienieni wybitni językoznawcy czescy wykombinowali sobie swoje twierdzenia o "nieprzejściowości" dialektu laskiego bynajmniej nie ze względów naukowych, lecz tylko do użytku politycznego. Podobnie ma się też sprawa wokół oszukańczo rozreklamowanego Petra Bezruča jako "barda cieszyńskiego", czy Adolfa Kellnera z jego niechlubnie wydumanym pojęciem "východolašska nářečí".

Laskie struktury leksykalne (odnoszące się do słownictwa) i semantyczne (dotyczące znaczenia wyrazów) oraz ich dzisiejszy system fonetyczny mają charakter ogólnolaski. Podstawowa ich część jest charakterystyczna dla wszystkich gwar laskich, tj. dla grupy opawskiej (hulczyńsko-opawskiej), ostrawskiej, górnoostrawickiej i lasko-morawskiej (przyborsko-sztramberskiej).

Ciekawe światło na pochodzenie gwar laskich rzuca fakt, że przybysze z Czech mają trudności w zrozumieniu ludzi mówiących po lasku (o tym będzie mowa w dalszej części), a natomiast biznesmeni z okolic hulczyńsko-opawskich z zadowoleniem ostatnio stwierdzają, że dzięki znajomości gwary laskiej łatwo potrafią się porozumieć z handlowcami polskimi.

WŁADYSŁAW MILERSKI
(cdn.)

[1] **Němec E.- Šefčík E.**, Listinář Těšínska 1571-1600, Český Těšín 1978, s. 14.
[2] **G. Biermann**, Geschichte des Herzogthums Teschen (wyd. II), Teschen 1894, s. 113-114.
[3] **Chronicon Polonorum**, liber I, cap. XXVI. "Nam de parte Polonie Moravia arduitate moncium ac densitate silvarum adeo est obstrusa, quod et pacificis viatoribus ac peditibus expeditis periculosa videntur, ac per nimium onerosa".
[4] **Z. Gloger**, Encyklopedia staropolska, wyd. V, t. III, Warszawa 1985, s. 130-131.
[5] **B. Havránek**, Československá vlastivěda, díl III. Jazyk, Praha 1934, s. 199.
[6] **Z. Stieber**, Geneza gwar laskich, Polska Akademia Umiejętności, Wydawnictwa Śląskie, Kraków 1934, s. 12. Zdzisław Stieber (1903-1980), wybitny językoznawca, slawista, dialektolog i komparatysta, profesor uniwersytetów we Lwowie, Łodzi i Warszawie, od 1961 kierownik Zakładu Słowianoznawstwa Polskiej Akademii Nauk, autor licznych prac językoznawczych z fonologii, dialektologii i gramatyki porównawczej języków słowiańskich.
[7] **W. Milerski**, Nazwiska Cieszyńskie, Wydawnictwo Energeia, Warszawa 1996, s. 27.
[8] **Jan Tyszkiewicz**, Z badań nad wczesnośredniowiecznym osadnictwem górnego dorzecza Odry [w:] Studia z dziejów osadnictwa, tom I, Warszawa 1963, s. 23.
[9] **Z. Stieber**, op. cit. s. 13.
[10] **F. Trávniček**, Příspěvky k dějinám českého jazyka. Spisy filosofické fakulty Masarykovy university v Brně, č. 19, Brno 1927. František Trávniček (1888-1961), bohemista, rektor Uniwersytetu Masaryka w Brnie.
[11] **B Havránek**, Hranice slovensko-lašská [w:] Československá vlastivěda, díl III. Jazyk, Praha 1934, s. 94. Bohuslav Havránek (1893-1978), bohemista, profesor uniwersytetu w Brnie i Uniwersytetu Karola w Pradze.
[12] **M. Malecki**, Nowsze kierunki dialektologii, Biuletyn Polskiego Towarzystwa Językoznawczego, t. VII, Kraków 1938, s. 40.
[13] **B. Havránek**, op. cit. s. 100.

POLSKIE FASCYNACJE LITERATURĄ CZESKĄ

W dniach 28 VI - 3 VII odbył się w Pradze Kongres Światowej Bohemistyki Literaturoznawczej, którego temat brzmiał: *Hodnoty a hranice. Svět v české literatuře, česká literatura ve světě*. Poniższy tekst jest wolnym nawiązaniem do prac Kongresu, wydaje się bowiem, że nasze pismo może i powinno reagować na wypadki z czeskiego życia literackiego.

Zamieszczony w tegorocznym numerze marcowym Zwrotu fragment świetnej prozy Andrzeja Stasiuka „Jak zostałem pisarzem (Próba autobiografii intelektualnej)" zwraca uwagę na bardzo ciekawe, a chyba zbyt słabo wydobywane zjawisko współczesnych, polskich - już nie tylko zainteresowań, ale wprost zauroczeń czy fascynacji - literaturą i kulturą czeską. Potwierdzają je opublikowane w Zwrocie 6/2005 materiały Hrabalowskie. Można powiedzieć, iż są to fascynacje rzeczywiste i niesłychanie głęboko w Polsce przeżywane, o czym świadczą zarówno liczne tłumaczenia dzieł pisarzy czeskich, aprobatywne ich oceny ze strony krytyki, jak i dosłownie "tłumne" uczestnictwo polskich studentów w wykładach o literaturze czeskiej na polskich uczelniach (informacje o tym mam np. z Poznania, gdzie na wykłady prowadzone przez dr Lenkę Vítovą, wychowankę brneńskiego uniwersytetu, przychodzi około 150 studentów, a chętnych byłoby więcej, gdyby sala nie pękała w szwach).

Krytyka wypowiada się o czeskiej literaturze, a szczególnie o prozie, bardzo przychylnie, mało: często w superlatywach. Dotyczy to nie tylko pisarzy najbardziej znanych w świecie: Jaroslava Haška, Karola Čapka, Bohumila Hrabala czy Milana Kundery, ale także Josefa Škvoreckiego, Ivana Klímy, Oty Pavla, a spośród młodszej generacji - Jáchyma Topola, czy Michala Ajvaza, o którym byskotliwy krytyk i felietonista Nowych Książek Jan Gondowicz pisze, iż odznacza się on *Schulzowską osobowością, wspartą równie świetnym umysłem i iście wizjonerską filozofią literatury*, dodając: *Z całym naciskiem powiadam, że Ajvaz to najwybitniejszy obecnie pisarz Europy Środkowej* (NK 4/2005).

Pisarze starsi - np. Hrabal - stają się przedmiotem analiz najlepszych piór historyczno- czy teoretycznoliterackich. Tytułem przykładu niech mi będzie wolno wspomnieć o świetnym studium Zofii Mitosek o „Weselach w domu" Hrabala, uznanych za arcydzieło narracji (Z. Mitosek, *„Poznanie (w) powieści"*, 2003).

Od razu więc narzuca się pytanie: skąd się owo zjawisko bierze i o czym może świadczyć? Pełna odpowiedź wymagałaby głębokich analiz socjologiczno- i historycznoliterackich. My możemy tylko sprawę zasygnalizować.

Kultura polska chłonęła w siebie literaturę czy szerzej kulturę czeską bardzo wcześnie, bo już w wiekach średnich, u początku państwowości polskiej. Przyjęcie chrześcijaństwa za pośrednictwem Czech wprowadziło nas w krąg kultury zachodniej, z którą związaliśmy się na stałe. Natomiast związki z Czechami miały kształt sinusoidy: raz bywały bardzo ścisłe, bogate i bliskie, kiedy indziej drogi nasze rozchodziły się znacznie, jak np. w dobie Renesansu. Miały na to wpływ odmienne ścieżki rozwojowe, walki religijne, generujące określony typ twórczości czeskiej, ale i rozkwit literatury polskiej, jej żywe związki z zachodnimi prądami kulturalnymi, jej bogactwo w Renesansie, swoistość w baroku (barok dworski, "europejski" Morsztyna obok oryginalnego, polskiego baroku sarmackiego), dydaktyzm, ale i różnorodność, bogactwo myślowe polskiego Oświecenia i wreszcie wspaniały polski romantym, będący jedną z najbardziej godnych podziwu realizacji założeń tego prądu w Europie.

Bogactwo literatury polskiej, rozwijającej się od Renesansu bez większych zakłóceń, dość długo nie posiadało odpowiednika w literaturze czeskiej, która na początku XIX wieku budziła się po uciążliwym zastoju do życia, szukając dróg własnego rozwoju. Słusznie też o czeskich procesach odrodzeniowych pisał Marian Szyjkowski, stwierdzając, iż był to *jedyny swego rodzaju cud w historii:* ["odrodzeniowcy"] *obudzili naród z letargu a uczynili to za pomocą nauki, która w tym wypadku działała "ku pokrzepieniu serc" - i zwyciężyła, choć musiała nawiązywać stargane więzy z przeszłością, choć musiała wytworzyć słownik, ustalić ortografię, wprowadzić alfabet łaciński na miejsce szwabachy, zrekonstruować budowę gramatyczną, dać prawidła prozodii i metrum. W tej niezmiernie trudnej pracy sięgano po pomoc Słowian, zwłaszcza najbliższych geograficznie, językowo, religijnie i kulturalnie, [dlatego] ... Polska stoi u kolebki czeskiego odrodzenia w dziedzinie literatury pięknej...* („Polská účast v českém národním obrození", 1931, t.1, s.7)

Rozziew między polską i czeską literaturą zaczął się jednak stopniowo wyrównywać, a na przełomie XIX i XX wieku literatura czeska ma już osiągnięcia, które budzą w Polsce niekłamany podziw i zachwyt. Sprzyjał temu okres pozytywizmu warszawskiego, dla którego - jak stwierdza nieżyjący już bohemista Józef Magnuszewski - *nowocześniejszy model społeczeństwa czeskiego*, przynoszącą sukces *organizację życia kulturalnego* nagle zaczęto postrzegać jako godne naśladowania. Zbratanie polsko-czeskie

w czasie jubileuszu Kraszewskiego owocowało powstaniem w r. 1880 Kółka Czeskiego zawiązanego przez studentów warszawskich. Z tego zaś grona wyszedł m.in. Zenon Przesmycki, który chciał i umiał propagować literaturę czeską.

Inna rzecz, że literatura ta mogła się już poszczycić dużymi osiągnięciami. Szczególnie zauroczył Polaka Jaroslav Vrchlický, którego Przesmycki, piszący pod pseudonimem "Miriam", zaczął z powodzeniem popularyzować w Polsce. Miriama zachwycił w twórczości Czecha europejski oddech, włączenie poezji czeskiej w nurt światowy, jego powiązania z kulturą francuską, parnasizm, bogactwo formalne utworów, erudycyjność tematyki. Program poetów skupionych wokół czasopisma Lumír (stąd: "lumirowcy"), wśród których Vrchlický był talentem najwybitniejszym, stawał się do pewnego stopnia wzorem i dla zmieniającej postpozytywistyczne orientacje literatury polskiej. Miriam tłumaczył czeskiego poetę gęsto, wprowadzając za jego pośrednictwem nie tylko nową tematykę, ale i wiele przejętych z literatury czeskiej wyrazów (chram, mir, gędźba).

Zachwyt dla Vrchlickiego ze strony Miriama z czasem zaczął maleć, zwłaszcza gdy próba wystawienia jego dramatów w Warszawie skończyła się niepowodzeniem i skwitowana została dość kąśliwą krytyką. Ale to swoje zauroczenie uwieńczył obszernym studium „Jaroslav Vrchlický (Emil Frída)" z 1893 roku, a jak powiada przywoływany już Magnuszewski – *tak obszernego i gruntownego studium o Vrchlickim nie mieli wtedy sami Czesi.* Piękne było i to, że owo studium ukazało się wówczas, gdy Czesi atakowali swego poetę. Właśnie do tych atakujących starego mistrza literatów skierował Miriam słowa: *...indywidualność poetycka Vrchlickiego jest uniwersalnością prawie. Rzucający się nań dziś tak zajadle "realiści" i "pseudosymboliści" czescy ... mogą z łatwością przekonać się, że gdyby Vrchlickiego nie było i ich by nie było, że on dał początek wszystkim owym kierunkom, że oni mogli specjalnie ten i ów poszerzyć, ale on jest i pozostanie magnus parens całej współczesnej poezji czeskiej.* (Świat 1895, cyt. za Magnuszewskim „Literatura polska w kręgu literatur słowiańskich", 1993, s. 287).

Po wygasającym zainteresowaniu Vrchlickim w latach dziewięćdziesiątych Miriam poznał Zeyera. I rozpoczął się okres fascynacji tym pisarzem. Wydał jego „Wybór pism", ale głównie sławił tę twórczość w rozchwytywanej wśród polskiej inteligencji Chimerze – piśmie, które bardzo wyraźnie zaznaczyło swoją obecność w dziejach kultury polskiej. Miriam znów dał się unieść emocjom, pisząc, iż *Zeyer to jeden z najwyższych duchów świata, wskrzesiciel eposu w całej jego świetności i potędze z przedhomerowską mitów głębią, poeta otchłannego marzenia i tęsknoty nieukojonej.*

Podobnymi superlatywami obdarzał powieść *Jan Maria Plojhar*, zaliczając ją do *najlepszych, jakie się w ostatnich latach w Europie ukazały*. Wprawdzie wydany już po śmierci Zeyera jego „Wybór pism" (1901) polska krytyka przyjęła z tzw. "uczuciami mieszanymi", ale w pamięci polskich twórców czeski poeta pozostawał jednak długo (wymieńmy tytułem przykładu choćby W. Liedera - autora „Ballady o Juliuszu Zeyerze" A. Langego, B. Leśmiana; pod koniec życia wspominał go z uznaniem Jarosław Iwaszkiewicz).

Następnym poetą czeskiego modernizmu, któremu "łowca piękna" - Miriam - poświęcił sporo uwagi, był Otokar Březina. W liście do czeskiego poety Przesmycki pisał: *...jest Pan dla mnie zjawiskiem niezmiernie interesującym, jest Pan chyba pierwszym i jedynym w najmłodszej generacji poetów czeskich grawitujących ku symbolizmowi, pierwszym i jedynym, powtarzam, który świadomie i pewny celu wykorzystuje wspaniałość sytych barw i przezroczystych niuansów wprowadzonych do świata poezji przez najnowsze szkoły francuskie, pierwszym i jedynym, u którego przez całą tę wspaniałość przeświecają transcendentalne perspektywy i rysują się boskie kontury platońskich Idei...*

Miriam zaproponował nawet czeskiemu poecie napisanie symbolistycznej powieści, której pierwodruk miałby ukazać się w polskim przekładzie. Propozycja ta Březinę dość nęciła, ale w końcu z niej zrezygnował.

Józef Magnuszewski przywiązuje dość duże znaczenie do działalności przekładowej Miriama, która uwolniła *stosunki literackie polsko-czeskie od tradycyjnych słowianofilskich i politycznych przesłanek* i podstawą ich uczyniła *prądy i kierunki literackie procesu ogólnoeuropejskiego*. Te ostatnie współzależności zaczęły odtąd, jak się wydaje, dominować w powiązaniach czeskiej i polskiej literatury. Tak przynajmniej kształtowały się one w międzywojniu, kiedy odrębnie się rozwijające w obu literaturach kierunki awangardowe przyjmowane bywały jako zjawiska paralelne "z Europą w tle". Nie wolno również zapominać, że w tym właśnie okresie, mimo trudności i nieporozumień politycznych, środowisko zaolziańskie dość wyraźnie zaznaczyło nie tylko swoją obecność w literaturze polskiej, ale także próbowało pośredniczyć między literaturą polską i czeską poprzez dość liczne przekłady dzieł pisarzy czeskich.

Po drugiej wojnie światowej nastąpiła eksplozja tłumaczeń z języka czeskiego. Przyczyna była prosta: realizacja wspólnego, "socjalistycznego" modelu kulturowego obligowała do poznawania dzieł "bratniej" literatury. Ujemną stroną sytuacji sprzyjającej na pozór kontaktom było to, że czynnikiem normującym stawały się dwustronne umowy kulturalne, które miały swoje uzależnienia polityczne. Powodowało to odpływ cenniej-

szych tłumaczeń do tzw. "drugiego obiegu", a więc wydawnictw podziemnych, nielegalnych. Pozytywną natomiast rolę odegrał w procesie wzajemnych stosunków literackich rozwój slawistyki na polskich uczelniach i w PAN-ie. Przygotowywała ona i nadal przygotowuje fachowych tłumaczy, podnosząc walory przekładów. Warto przy okazji zaznaczyć, że dość szczegółowo sprawy te omawia prof. Jacek Baluch w „Słowniku literatury polskiej XX wieku", (1995, s. 159 i n.).

Mimo przeszkód politycznych polska publiczność literacka dość szybko zaznajomiła się nie tylko z twórczością pisarzy oficjalnie aprobowanych, ale i tych będących na czeskim "indeksie". Od lat sześćdziesiątych zaczęła rosnąć zwłaszcza legenda Hrabala i uwielbienie dla jego twórczości. Korci zapytać - dlaczego? Nie bez znaczenia była jego rozbłyskująca sława, europejska i światowa. Ale jak się wydaje, istniały i polskie wewnątrzliterackie i socjologiczne przyczyny tego zjawiska.

Już Witold Gombrowicz w swych utworach dążył do ukazania i łączenia w twórczości polskich i uniwersalnych aporii (sprzeczności), chodziło mu o *gigantyczne zagadnienie wiązania wyższości z niższością, pogodzenie codzienności i zwykłości z wielkością czy też wzniosłością, "dojrzałości z niedojrzałością"*. Otóż takie właśnie tendencje znalazły swe artystyczne spełnienie w twórczości choćby Bohumila Hrabala czy filmach Jiřího Menzla lub Miloša Formana, słowem - w kulturze czeskiej.

Przytakiwałaby temu sądowi obecna, głęboka i bujna, polska recepcja dzieł Hrabala, sprawiająca wrażenie, iż pełnią one jakąś rolę komplementarną, uzupełniającą dotkliwie odczuwane braki w literaturze czy kulturze polskiej. Przyświadcza temu i fakt, że polscy pisarze zaczynają nawet pisać "hrabalem". Myślę tu o znanej książce Pawła Huelle „Mercedes-benz: z listów do Hrabala", 2001. Ostatnio zaś, w czasie „rekolekcji narodowych" w związku ze śmiercią Jana Pawła II, wystąpił w telewizji Jerzy Pilch ze swoją prozą o polskim Papieżu, napisaną również „hrabalem", prozą zapożyczającą od czeskiego pisarza gatunkowo-narracyjną ramę, grę językową, literacki koncept, hrabalowską „naiwną hiperboliczność". W prozie tej za pomocą narracji stylizowanej na wypowiedź kibica sportowego przedstawił Karola Wojtyłę jako czempiona polskiej ligi, co zresztą - jako ujęcie w danej chwili może nazbyt kontrastowe - nie spotkało się z entuzjazmem współdyskutujących osób starszych.

W polskiej prozie narracyjnej obraz świata wytwarzany przez technikę pisarską zaczyna kształtować się na wzór narracji Hrabala, pisarze odwołują się do jego mówionych wypowiedzi, do jego podważania wiarygodności i odpowiedzialności narratorskiej, do jego ujęć roli pisarza jako *autora kolaży zbierającego resztki, czerepy kultury i z nich budującego swo-*

je pałace (cytat z pracy Z. Mitosek). Coraz bardziej zachwycać zaczyna styl pogrążający czytelnika w żywiole mowy dzisiejszej, codziennej, trywialnej, w której trafiają się niespodziewane perły, a eschatologia (problematyka spraw ostatecznych) może łączyć się ze skatologią (odnoszącą się do ludzkich rejonów najniższych); styl zanurzony w mowie, w której aktualizuje się postawa manifestacji własnego antybohaterstwa.

Czy w owej przemianie gustu i smaku odbiły się zmiany, jakie zaszły wśród polskich elit? - trudno orzec. Faktem jest jednak, iż w dobie obu totalitaryzmów, którymi obdarzyła nas Historia, wymordowana i stłamszona została polska inteligencja wraz z jej romantycznym i poszlacheckim etosem, a Ważykowski „lud" *de facto* „wszedł do śródmieścia", przynosząc ze sobą odmienną świadomość estetyczną, odmienne (co nie znaczy: gorsze) upodobania. Ale to już zupełnie inna historia.

KRYSTYNA KARDYNI-PELIKÁNOVÁ

KRONIKA

ZRZESZENIE ŚPIEWACZO-MUZYCZNE NIEZALEŻNE

Nową umowę założycielską samodzielnego Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego podpisano podczas Walnego Zgromadzenia tej organizacji 17 czerwca br. Prezesem ZŚM został Leszek Kalina, reprezentujący chóry PTA Ars Musica. Ponadto do zarządu weszli: Jadwiga Karolczyk (chór Piotrowice-Marklowice), Magdalena Schwarz (Godulan-Ropica), Halina Siedlaczek (Melodia), Ewa Sikora (Harfa), Ksenia Stuchlik (Dźwięk), Alojzy Suchanek (Chór Nauczycieli Polskich), Andrzej Szyja (Hejnał-Echo). Komisja rewizyjna pracować będzie w składzie: Halina Pribula (Collegium Canticorum) - przewodnicząca, Jan Hławiczka (Hutnik), Antoni Tomanek (Dźwięk).

(red)

DNI KULTURY STUDENCKIEJ 2005

Już po raz czwarty Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej w RC (SMP – www.smp.wz.cz) zorganizowało festiwal Dni Kultury Studenckiej, na którym prezentowano część dorobku kultury młodzieżowej z terytorium Śląska Cieszyńskiego i okolic. Cała impreza przebiegała w dniach 10–11 czerwca i podobnie jak w poprzednich edycjach organizatorzy skoncentrowali się na prezentacji twórczości muzycznej, plastycznej, teatralnej i filmowej.

Niestety z powodu deszczu nie można było w pełni odtworzyć atmosfery open-airowego festiwalu, tak więc ponad 200 uczestników musiało zadowolić się wnętrzami Domu PZKO w bystrzyckim parku miejskim.

Według tradycji i zwyczaju tej imprezy pierwszy dzień (piątek) wypełniony był programem muzycznych koncertów studencko-młodzieżowych. Udział wzięły zespoły: Fusate Łachtacze – czyli młodzi interpretatorzy z Nydku, John Ball – grająca w stylu Hard Core grupa niezależnych muzyków, prezentująca twarde i mocne brzmienie, Blissten – muzycy z różnych części Zaolzia, których muzyka nie ma jednoznacznie określonego stylu, bo można w niej znaleźć elementy współczesnej muzyki elektronicznej wraz z hard rockiem, progressive aż do granic alternatywnego rocka, Flegma – matadorzy sceny muzycznej Śląska Cieszyńskiego, którzy swoją działalność prowadzą już od lat gimnazjalnych, zaprezentowali słuchaczom jazzowo-rockowy melancholijny godzinny program muzyczny, uspokajając nieco atmosferę po poprzednich wykonawcach, wprowadzając nastrój romantycznego wieczoru do lokalu bystrzyckiego PZKO, 4 Dohody – ostrawska formacja młodych wykonawców z energicznym repertuarem czerpiącym to z jazzu, to z funky i lekko z muzyki pop. Ten zespół przygotował dobrze widownię na główną gwiazdę wieczoru, czyli grupę Arka Taty Marka – polski zespół, który gra muzykę Ska, czyli muzyczna fala czystej rytmicznej energii, która każdego słuchacza wciąga do poruszania się w rytm wygrywanych skocznie melodii. W piątek miał jeszcze przebiegać Chillout, czyli przylądek spokoju dla tych, którzy potrzebowali wypocząć po wyczerpującej imprezie, ale niestety z powodu pogody i braku miejsca w lokalu ten pomysł będzie mógł być zrealizowany dopiero na przyszłym DKS-sie.

Następny dzień prowadzony był pod znakiem teatru, filmu i kabaretu. Zainteresowani sztuką plastyczną uczestnicy mieli możliwość obejrzenia dzieł Ewy Słowik. Była też prelekcja turystyczna na temat Bułgarii, która samowolnie przeistoczyła się w kabaret braci Kidoňów na temat:

Bułgaria kraj bratni naszemu sercu górala. Następnym punktem programu był występ grupy aktorów amatorów Kursujący Tramwaj, pod bacznym okiem reżysera Bogdana Kokotka. Popisali się spektaklem „Agata szuka pracy". Potem ponownie na scenie pojawili się młodzi artyści z Nydku – Klub Młodych Nydek. Za swój program kabaretowy, tak samo jak w zeszłym roku, otrzymali wielkie brawa.

Bardzo ciekawe intermezzo pomiędzy teatrami stanowiła grupa filmowców z polskiego Podlasia. Krótkimi filmami pod tytułem „Filmowe Podlasie atakuje", nie tylko z ich własnej kuchni twórczej, przedstawili część dorobku filmowego młodych twórców z ich regionu. Według wypowiedzi jednego z podlaskich gości, Macieja Rajta, to bardzo popularna działalność twórcza wśród tamtejszej młodzieży. Jak sam powiedział, *prawie każdy, kto ma kamerę, aparat fotograficzny czy komputer, robi w Polsce filmy. W dzisiejszym czasie stanowi to swoisty boom w działalności twórczej. Naprawdę wiele ludzi kręci w ten sposób swoje filmy i eksperymentuje z dostępnymi technologiami.*

Na sam koniec festiwalu wystąpił Szczyt, zespół teatralny z Ostrawy, który swoim spektaklem „Sumeryja" wywołał wśród widzów długotrwały i niepohamowany śmiech oraz burzliwe oklaski.

Tegoroczny DKS odbył się bez większych problemów. Jedynym problemem, który organizatorom komplikuje co roku etap przygotowawczy, to zbieranie środków finansowych na realizację projektów, ale jak sami powiedzieli i w przyszłym roku będą się starali, aby DKS mógł się odbyć z jeszcze większą porcją atrakcji.

JAN KIDOŃ



KONTAKTY MK PZKO W SKRZECZONIU Z POLSKĄ

Skrzeczoń – dawniej wieś, dziś jedna z dzielnic Bogumina – uroczyście obchodził 700-lecie swego istnienia. W uroczyste obchody jubileuszowe włączyło się także Miejscowe Koło PZKO. Podczas centralnych uroczystości zorganizowanych przez władze miasta wystąpił chór mieszany Hasło. Wkładem Koła w jubileuszowe obchody był także festyn zorganizowany 18 czerwca w ogrodzie przy tutejszym Domu PZKO. Oprócz występu rodzimego chóru Hasło pod batutą Ireny Szeligi zaprezentował się po raz pierwszy w Skrzeczoniu zespół Cisownickie Bezkuryje pod kierownictwem Eugenii Larysz z Cisownicy koło Goleszowa. Dwa lata temu występowali tam Andrusi ze Skrzeczonia. Cisownickie Bezkuryje podobały się uczestnikom festynu, bo ich repertuar czerpiący z bogatych zasobów miejscowej kultury ludowej często przypomina tutejszy. Była więc okazja do wspólnego śpiewania i towarzyskiego spotkania, podczas którego członkowie zespołu z Cisownicy obejrzeli Izbę Tradycji tutejszego Koła PZKO i wpisali się do pamiątkowej księgi. Wizyta w Skrzeczoniu zespołu z Cisownicy pozwoli z pewnością na nawiązanie ściślejszych kontaktów w przyszłości, a już jesienią pojawi się ku temu stosowna okazja, bo na 15 października zaplanowano obchody 50-lecia istnienia zespołu Andrusi.

Gwoli przypomnienia trzeba wspomnieć, że PZKO w Skrzeczoniu już od ponad trzydziestu lat utrzymuje przyjazne kontakty z Towarzystwem Miłośników Ziemi Grodkowskiej w Polsce. Te od lat owocują wymianą zespołów muzycz-



nych, a więc do Skrzeczonia przyjeżdża chór i zespół muzyczny z Grodkowa, a w Grodkowie wielokrotnie występował chór Hasło i Andrusi. Od lat dzięki Towarzystwu Miłośników Ziemi Grodkowskiej członkowie MK PZKO w Skrzeczoniu mogą wypoczywać latem na Warmii. Również w dziedzinie sportu pomyślnie rozwija się współpraca, czego efektem jest już kilkakrotny udział skrzeczoniaków w Halowym Turnieju Mini Piłki Nożnej o Puchar Grodkowa, skąd w lutym br. przywieźli puchar za zajęcie III miejsca. Rewanżowe spotkanie odbyło się na początku lipca br. w Wierzniowicach. I tym razem lepsi byli zawodnicy z Grodkowa. Po meczu w Domu PZKO w Skrzeczoniu odbyło się spotkanie towarzyskie.

Współpraca z Grodkowem z Opolszczyzny została w tym roku przypieczętowana podpisaniem porozumienia ramowego między organizacjami przy wsparciu władz miasta Grodków i Bogumin. Podpisali je burmistrz Grodkowa Marek Antoniewicz i wiceburmistrz Bogumina Věra Palkowa oraz przewodniczący Towarzystwa Miłośników Ziemi Grodkowskiej Józef Kośla i sekretarz MK PZKO w Skrzeczoniu Tadeusz Guziur. Porozumienie zostało podpisane 26 maja br. w Grodkowie podczas uroczystego spotkania przedstawicieli miast partnerskich Grodkowa z Francji, Niemiec i Ukrainy.

Być może dzięki aktywności PZKO ze Skrzeczonia Bogumin zyska partnera w polskim Grodkowie, co pozwoli wykorzystać doświadczenia obu partnerów do współpracy regionów w ramach Unii Europejskiej.

E.S.



Fot. TADEUSZ GUZIUR



ZPiT Olza

JUBILEUSZOWY MAJ NAD OLZĄ

Maj nad Olzą, impreza folklorystyczna, która co roku odbywa się w Karwinie Darkowie w majowe weekendy, obchodziła w tym roku swój jubileusz dziesięciolecia. Organizatorzy, którymi było miasto Karwina, Uzdrowisko Darków i Miejscowe Koło PZKO Karwina Raj, zaprosili kilkanaście zespołów tanecznych, muzycznych i śpiewaczych, by na scenie Parku Zdrojowego darkowskiego uzdrowiska zaprezentowały się widzom i słuchaczom z Karwiny i okolic bliższych i dalszych, a także gościom sanatorium.

Cykl imprez kulturalnych pod wspólną nazwą Maj nad Olzą rozpoczęła 1 maja o godz. 13.30 tradycyjnie już karwińska orkiestra dęta Májovák, która tym razem w towarzystwie małych mażoretek przeszła do parku z wyremontowanego mostu na Olzie. Coroczne "stawiani moja" należało do członków ZPiT Olza, reprezentacyjnego zespołu ZG PZKO w Czeskim Cieszynie. Ich program taneczny uzupełniła śpiewająca solistka Urszula Niedoba-Szczepaniak oraz kapela góralska.

8 maja deszczowa pogoda zmusiła organizatorów do przeniesienia imprezy do sali Domu Zdrojowego. W programie wystąpił chór Dźwięk pracujący przy Miejscowym Kole PZKO w Karwinie Raju i gość z Polski, zaprzyjaźniony z Dźwiękiem chór Słowiczek z Rept Śląskich. Z Ostrawy przyjechał do Darkowa ZPiT Hlubina.

15 maja rozpoczęła program inna orkiestra dęta z Karwiny Akordanka. Zaprezentował się też i w nagrodę za występ, tak samo jak



wszystkie inne zespoły, odebrał serce z piernika obchodzący niedawno swoje pięćdziesięciolecie ZPiT Suszanie, działający przy Miejscowym Kole PZKO w Suchej Górnej.

W sobotę 21 maja w ramach imprezy Maj nad Olzą w hali karwińskiego stadionu zimowego odbył się koncert galowy Zespołu Pieśni i Tańca Śląsk im. Stanisława Hadyny. Program "W Europie ze Śląskiem" w wykonaniu ponad stuosobowego zespołu, który niejednokrotnie gościł na zaolziańskiej ziemi i którego twórca Stanisław Hadyna z tej ziemi się wywodzi, był okazją do przypomnienia pierwszego zagranicznego występu Śląska przed pięćdziesięcioma laty właśnie w Karwinie. W podzięce za piękny koncert widzowie zaśpiewali zespołowi "Sto lat", a organizatorzy wręczyli lampkę górniczą i zrobioną przez Józefa Chmiela trombitę.



ZPiT Śląsk *Foto z archiwum Józefa Chmiela*

Bogaty i urozmaicony był program imprezy 22 maja. Rozpoczął go gość najdalszy – z południa Europy – orkiestra dęta Rawna Gora z Chorwacji. Jak co roku zaśpiewał potem chór mieszany Lira, który ma na Maj nad Olzą najbliżej, bo jego działalność rozwija się przy Miejscowym Kole PZKO w Karwinie Darkowie. Z Orłowej zaś przyjechały reprezentujące Koło PZKO w Lutyni zespoły folklorystyczne Skotnica i Skotniczka.

29 maj był ostatnim dniem cyklu imprez Maja nad Olzą. Na program złożyły się występy karwińskiej orkiestry dętej Malá černá hudba oraz zespołów folklorystycznych Slezan i Slezánek z Czeskiego Cieszyna, których zadaniem było także "bulani moja".

C.R.

WIANKI W JABŁONKOWIE

Klub Młodych przy MK PZKO w Jabłonkowie zorganizował w sobotę 2 lipca na Mazurowicach tradycyjne wianki. W oczekiwaniu na zmrok zebranym w zabawie i rozmowach towarzyszyła kapela Nowina i zespół Zaolzi. Kulinarną atrakcją były kotlety mielone z rusztu przygotowane i podawane przez prezesa jabłonkowskiego Koła Jana Rylkę.

Wśród osób, które mile spędzały tu czas, znalazła się również Halina Młynek-Nowicka z mężem i synkiem.

O zmroku grupa młodzieży z pochodniami spuściła na wody Łomnianki wianki. A potem do późnych godzin trwała zabawa młodzieży.

E.S.















Fot. FRANCISZEK BAŁON



28 sierpnia kończy osiemdziesiąt lat wybitny znawca muzyki, pedagog i publicysta, dyrygent i skrzypek, dobrze znany społeczności zaolziańskiej działacz związany z amatorskim ruchem muzycznym i śpiewaczym

prof. BRUNON RYGIEL

z Karwiny. Z okazji jubileuszu życiowego najserdeczniejsze życzenia zdrowia i wszelkiej pomyślności składa redakcja Zwrotu.





...jeszcze nas śpiewają tysiące... *Fot. FRANCISZEK BAŁON*



Fot. LESZEK ŁAKOTA

CO W LESIE SZUŚCI?
MIONSZ

Puszcza bukowo-jodłowa z 250-letnimi drzewami osiągającymi wysokość 60 m, niezalesione polany, liczne źródła, wiele chronionych oraz zagrożonych gatunków roślin i zwierząt, chata łowiecka arcyksięcia Henryka, znanego jako markiz Gero. Rezerwat po szesnastu latach 24 maja br. na nowo otwarty dla miłośników przyrody. Jego obszar zajmuje około 170 ha.

Do niedawna do rezerwatu nie było wolno wchodzić. Byłem tu jeszcze przed otwarciem. Z głównej drogi do Górnej Łomnej skręcam w lewo i wzdłuż potoku Mionsz dochodzę do granicy rezerwatu. Idę stromo pod górę i dochodzę na najwyższe wzniesienie puszczy, zwane Upłaz (949 m), które ogranicza rezerwat od strony południowej. Schodząc na północny zachód, mijam cudownie ukształtowane skałki, do których są uczepione i wrośnięte jarzębiny. Widok dech zapiera. Pode mną stromy stok z potężnymi bukami i jaworami. Jest wiosna, drzewa ledwo pączkują, więc prześwit promieni słonecznych jest znaczny. Trzymam się grzebienia i podchodzę na Wielką Polanę (893 m), z której rozciąga się widok przez dolinę Łomnej na polanę Kamienity. Rezerwat ogarnia mnie całego, więc schodzę znów na jego granicę, by nie drażnić leśnych duchów i prawo. Mijam kolejne tablice ze znakiem przekreślonego piechura i wychodzę w miejscu, gdzie rozpoczynałem marsz. Pierwsza runda jest za mną.

Mija czas i znów wybieram się na to uroczysko. Szczęście mi sprzyja. Koło leśniczówki markiza Gero spotykam gajowego i po dłuższej serdecznej rozmowie zezwala mi na wejście do rezerwatu. Rozpoczynam rundę drugą. Wchodzę w głąb puszczy, siadam na powalonym wiekiem potężnym pniu buka obrosłego mchem i zamieniam się w część składową przyrody.

Człowiek żyjący w lasach miał szacunek do ogromnych pni drzew, podziwiał je, bał się ich i dlatego je czcił. W szeleście i szumie liści słyszał głosy różnych bóstw. Zwłaszcza wieczorem albo w nocy tajemnicza szarość lasu napełniała człowieka szacunkiem i grozą zarazem, a jego fantazja widziała w każdym ruchu cienia różne postacie. To były powody, dlaczego powstały święte gaje, które praktycznie były pierwszymi kościołami świata. Na tych świętych miejscach składano ofiary bogom, rozpoczynały się narady i sądy. Gaje stawały się zarazem miejscem ostatniego spoczynku człowieka. Dziś nawet sobie nie uświadamiamy, że niektóre używane przez nas wyrazy mają swoje korzenie w czasach odległych od nas kilka tysięcy lat. Przecież słowo gaj, dziś tak częste z różnymi dopiskami, znaczyło na początku miejsce chro-

nione, a dopiero potem przeniosło się na lasek i las. Te miejsca były ściśle chronione. Nie wolno było ścinać drzew i nikt obcy nie mógł do nich wstępować. Silny stosunek ludzi do świętych gajów dokumentuje zapis historyczny, kiedy to w kronice jest zaznaczone, że książę Brzetysław w roku 1093 wydał rozporządzenie, by wszystkie te gaje wyciąć i wypalić, ponieważ były mocną przeszkodą w szerzeniu chrześcijaństwa.

Podświadomy szacunek do poszczególnych starych drzew, choć w innej formie, przetrwał do dziś. Przejawia się zawieszaniem różnych obrazków, tabliczek czy wycinanych na korze napisów. W różnych baśniach spotykamy się z motywem przemieszczania duszy zmarłych do roślin. Na cmentarzach wysadzano drzewa lub kwiaty i pozostali wierzyli, że rośliny są jakimś pośrednikiem między nimi i zmarłymi. Zrywanie kwiatów na grobach było uważane za świętokradztwo. Panowało przekonanie, że zmarły w nocy po kwiaty wróci i śmiałka ukarze lub przynajmniej wystraszy.

Las w fantazji ludzkiej był siedliskiem stworzeń od krasnoludków, karłów, rusałek, wiedźm po olbrzymy. Jedne pomagały, inne szkodziły. Te właściwości były im przypisane od szumu i huku wiatru w koronach drzew i od migotania cieni pod baldachimem leśnych olbrzymów. Zarazem stworzenia te uważane były za znawców tajemniczej siły leczniczej roślin. Wyobraźnia ta nie jest właściwie niczym innym jak tylko wyrażeniem właściwości lasu ze wszystkim, co się w nim dzieje i co w nim żyje. Olbrzymy wyrywały stuletnie drzewa, wymachując nimi, lub rzucały ogromne głazy na duże odległości. Z tego może wypływa ludowe wytłumaczenie powstawania połomów, wykrotów czy lawin.

Im bardziej wzrasta kultura życia, tym bardziej człowiek interesuje się roślinami. Oczywiście chodzi tu głównie o ich gospodarcze wykorzystanie. A może nie tylko. Stosunek człowieka do przyrody jest jedną z miar jego dojrzałości kulturowej i barometrem rozwoju duchowego. Bo tylko wrażliwą duszę może przyroda atakować swym pięknem.

Promienie słońca wiązkami przeciskają się przez korony drzew i oświetlają pień, na którym siedzę. Mech iskrzy się tysiącem kropelek wody prześwietlonej promieniami i widzę całą tęczę kolorów. Wszystko tętni życiem. Nad ściółką leśną unosi się ledwo widoczna mgła. Schodzę wąską ścieżką wijącą się po stoku. Stare drzewa, stojące czy powalone, gdzieniegdzie obrośnięte są grzybami z grupy żagwiowatych, łączą żywe z nieżywym. Łączą żywe z prawie całą tablicą Mendelejewa. Jedne są partnerami określonych roślin wyższych, na przykład wielu drzew, które zaopatrują w ważne związki mineralne, a także organiczne, inne żyjące na martwych szczątkach roślinnych przyczyniają się do rozkładu materii organicznej i powrotu składników wyjściowych do obiegu, jeszcze inne są pasożytami. Na ścieżce do doliny czu-

łem się po części symbiontem, po części saprofitem, po części pasożytem przyrody.

W październiku 1961 roku w puszczy Mionsz znaleziono największego owocnika grzyba, jaki kiedykolwiek urósł na terenie naszego kraju. Chodziło o żagiew płaską (lesklokorka ploská - Ganoderma lipsiense), pasożyta drzewnego. Kapelusz odstawał od pnia buka na odległość 180 cm, po obwodzie mierzył 420 cm, szerokość 80 cm. Przy oddzielaniu tego olbrzyma ważącego 96 kg pracowało kilku mężczyzn, a z lasu na gałęziach - jak na sankach - transportowało go czterech rosłych górali.

Ja wróciłem na własnych nogach, umyłem się w górskim potoku i przekroczyłem próg do świata cywilizacji. Wystarczyło posiedzieć na starym pniu drzewa, by uzmysłowić sobie ogrom wiedzy stąd płynący.

LESZEK ŁAKOTA





Fot. LESZEK ŁAKOTA



VILÉM ZÁVADA

BARANEK

Płakał jak małe dziecko
gdy oderwali go od matki
ścisnęli między kolanami
i naostrzonym nożem poderżnęli gardło

Ścisnęła nam się krtań
od żalu i litości
W oczach nam zaświeciły łzy
lecz jak uliczni gapie
staliśmy przyglądając się
jak rozpruwają go ściągają skórę
wybebeszają
nawlekają na pręt żelazny
odrutowują szyję i nogi
żeby nie zsunął się do ognia
i zakładają na rożen
Gdy zasyczały pierwsze krople tłuszczu
a ciepły dym unosił się pod niebo
był naszym nozdrzom tak miły tak luby
żeśmy sycili się samym jego zapachem
A potem jak po pogrzebie
poszliśmy szybko do ciepłej gospody

Jakże to jagnię było smaczne
kiedy po upieczeniu przyniesiono je na stół
i czuliśmy jak nam się mięso rozpływa
w ustach

Jakże jest dobrze na świecie
gdzie można piec takie jagnięta
i w ciepłym wnętrzu zapijać je zimnym
białym winem

Wokół jednego stołu
odziani w skóry motocykliści
turyści z eleganckich samochodów
wszyscy siedzą i jak w czas godów
piją jedzą i jak dzikusy
ogryzają kości wysysają z nich szpik
chlebem wycierają usta
i chlebem wycierają talerze
a przy tym oblizują się ze smakiem

Ile to człowiek zmęczy i przetrawi
I na koniec uspokoi nawet własne sumienie

TRAWA NA RUMOWISKACH

Padają bogowie anieli tytani
Padają królowie książęta tyrani
Padają gwiazdy pada sadza pada śnieg
Ziemia to spadły skamieniały obłok pyłu
Morze to spadły skroplony firmament
Nie ma innego końca niż upadek i rozpad

W ruinach jednak wiecznie zieleni się trawa
O świcie na niej jarzą się krople
czyste jak rosa szczere jak łzy
Ludzie kochają się podczas wojen i trzęsień ziemi
a życie tryska nawet z dna piekieł

Nikt nie zatrzyma tego co dojrzało do upadku
Nikt nie zatłamsi tego co wyrywa się do światła

Przełożył JÓZEF WACZKÓW

KATARZYNA GROCHOLA

OSOBOWOŚĆ ĆMY

(fragment)

Rozpadało się na dobre. Roman cofnął się do mieszkania tym chętniej, że w ten sposób mógł uniknąć spotkania z panem Janem, którego chrząkanie dobiegało z dołu. Zerwał z wieszaka nieprzemakalną kurtkę i wyskoczył z powrotem na schody. Pan Jan widać słyszał trzaśnięcie drzwi na górze, bo nie dał za wygraną, stał na półpiętrze i patrzył do góry.

– No i co pan, panie Romanie, na te komisje do spraw komisji?

– Ja nie oglądam telewizji, panie Janku.

– Błąd, błąd, inteligentny człowiek powinien wiedzieć, co się dzieje. – Pan Jan oparł się o poręcz schodów, Roman musiał się zatrzymać. – Wiesz pan, widziałem rekiny w telewizji, one mają o dwa zmysły więcej niż my i to są, proszę pana, prawdziwi mordercy. One bokiem wyczuwają, czy krew w żyłach, proszę pana, płynie w jakiejś rybie, one nie muszą patrzyć, żeby wyniuchać i zabić. Ale, proszę pana, jak pan postawisz rekina naprzeciwko któregoś naszego ministra, to, panie Romku, niech się rekin boi! Pan Jan zachichotał.

Roman zrobił nieokreślony ruch ręką. Owszem, ogólnie rzecz biorąc, nie szalał za rekinami, na co niewątpliwie miał wpływ obejrzany we wczesnej młodości film "Szczęki", ale zawsze mu się zdawało, że rekiny trzeba wziąć pod ochronę, zanim człowiek je zagryzie na śmierć, kompletnie wyniszczając środowisko, natomiast z niektórych osób należy zdjąć ochronę, zanim zagryzą innych na śmierć i kompletnie wyniszczą środowisko.

W gruncie rzeczy więc w tej kwestii gotów był zgodzić się z panem Janem, tylko że naprawdę się spieszył. Coś mruczał pod nosem, wycofując się prawie tyłem (nie chciał obrazić sąsiada) z ostatnich schodków ku wyjściu, szybciej, szybciej, byle tylko zejść z linii celnych słów pana Janka. Potknął się i wypadł na ulicę prosto w kałużę i prosto na kobietę.

Bryznęła woda, a kobieta, która pojawiła się znikąd na plecach Romana, odrzucona impetem odskoczyła na jezdnię. Roman błyskawicznie się odwrócił, wyciągnął rękę, pochwycił przez połę czarnego płaszcza jej dłoń i pociągnął ją ku sobie, zanim czerwony autobus lunął w nich błotnistą breją.

– Jezu – powiedział i zrobiło mu się słabo z wrażenia.

Kobieta była snem snów, a rękę miała zimną i tak dopraszającą się ciepła, że głęboka pretensja do tamtej, której imienia nie wymieniał, zmieniła się w jednej chwili we wdzięczność, że namyśla się, czy go kocha, już tak długo. I może czas przestać czekać na wnioski wynikające z jej namysłu.

– Mam inaczej na imię – powiedziała dziewczyna, wyciągnęła dłoń z jego dłoni. Odwróciła się na pięcie i mimo ulewy poszła dalej, pustą ulicą, bo przechodnie pochowali się w bramach.

Roman stał i patrzył, krople deszczu spływały mu za kołnierz i nie mógł oderwać wzroku od jej smukłej postaci, jasnych włosów przylepionych do czarnego długiego płaszcza, jej płynnego kroku. Płyty chodnikowe błyszczały i odbijały matowo jej sylwetkę, czarny płaszcz szarpany wiatrem unosił przezroczyste poły, jakby chciał, żeby odfrunęła. Ciemne domy, rozrzedzona ciemność zasnutego nieba, ona ze skrzydłami z czarnego plastiku i błyskawica, która przecięła rzeczywistość krótkim fleszem, obrysowując kontury portalu oszklonych drzwi biblioteki miejskiej, utrwaliła na sekundę ten obraz. Lew nad drzwiami zaryczał i Roman cofnął się do swojej bramy. Minął susami drzwi pana Jana i wbiegł na strych niesiony niesłabnącym porywem. Nareszcie, nareszcie ma!

Otworzył drzwi, ściągnął kurtkę, przetarł głowę ręcznikiem i rzucił go na tapczan. Chciał stanąć przy sztalugach i szkicować, póki jeszcze zdjęcie, zrobione przez Pana Boga, miał przed oczyma.

Julia, potrącona przez jakiegoś idiotę, który widać miał w zwyczaju tyłem wyskakiwać na przechodniów i wpychać ich pod środki komunikacji miejskiej, była dopiero teraz w szoku. Jezu, przed chwilą niemal chciała upaść na jezdnię i tam zostać, przemoczona do cna i zziębnięta – taki koniec wydał się jej nagle romantyczny. Ale zanim zdążyła pomyśleć, wyciągnęła rękę i o dziwo, tym razem (a przecież ile razy wyciągała rękę, napotykała pustkę) jej dłoń trafiła na dłoń innego człowieka, mężczyzny na dodatek, który chwycił ją mocno, pomógł zachować równowagę. I nie tylko chwycił i przytrzymał, ale jeszcze przyciągnął do siebie i nagle wydarzyło się coś, czemu nie mogła tak od razu dać wiary, a jednak ta ciepła dłoń to była dłoń mężczyzny jej życia. Teraz, po przejściu dwudziestu albo trzydziestu metrów, była tego pewna. Ogrzałaby ją i uchroniła.

Takie rzeczy nie dzieją się naprawdę, ale właśnie po to wróciła z Londynu, żeby znak prosto z nieba temu zaprzeczył, bo błyskawice na przedwiośniu nie istnieją, a przecież nic jej się nie wydawało, daleki poszum grzmotu poniósł się w przestrzeń, kamienne lwy nad drzwiami zaryczały, a deszcz obmywał ją z przeszłości. Głos tego mężczyzny zapamięta na całe życie, w tym "Jezu!" był zachwyt i strach, może o nią, autobus był blisko, no, może strach przed fontanną brudnej wody, ale nie, nie będzie tak myśleć, bo przyjemniej jest myśleć, że o nią, strach, czyli troskliwość, czyli... Julia zatrzymała się i odwróciła.

Ulica była pusta jak okiem sięgnąć, wyjąwszy następny autobus, który też chlusnął spod kół fontanną wody, tam gdzie przed chwilą był mężczyzna, któremu mogła pozwolić, żeby jej dał wszystko.

Wobec tego Julia skręciła za róg i weszła do hotelu, zostawiając mokre ślady na czerwonym dywanie. Stanęła przy kontuarze, gdzie wesoły napis obwieszczał "Wymiana pieniędzy", i powiedziała:

- Poproszę dziesięć deko.

ZMARŁ POLSKI TŁUMACZ JÓZEF WACZKÓW

Józefa Waczkówa spotkałem po raz pierwszy na Międzynarodowym Festiwalu Poetyckim Warszawska Jesień Poetycka. Kiedy przedstawiono nas sobie przy stoliku w Kawiarni Literackiej w centrum Warszawy, rozpocząłem rozmowę tymi słowami: *Ja przecież wiem, kim pan jest. Przetłumaczył pan Bohumila Hrabala.* Na twarzy tego świetnego tłumacza (nie tylko) literatury czeskiej i słowackiej pojawił się przyjazny uśmiech i przy kieliszku czerwonego wina popłynęła rozmowa o warsztacie tłumacza, z tym, że w wypadku kolegi Waczkówa możemy powiedzieć wprost o sztuce przekładu.

Józef Waczków był z wykształcenia polonistą i romanistą. Najpierw tłumaczył z języka francuskiego, rosyjskiego i serbochorwackiego, później z portugalskiego. Zajmował się krytyką literacką i eseistyką, pisał poezję. Jego pierwsze przekłady z języka czeskiego i słowackiego powstały po jego pierwszym dłuższym pobycie w Pradze, przyjechał do Czechosłowacji w okresie Praskiej Wiosny. Życie kulturalne stolicy zrobiło na nim wielkie wrażenie. W pełnym toku były programy w klubach jazzowych, powstawały teatry małych form, wielką popularnością cieszył się Semafor, powstała charakterystyczna szkoła czeskiego filmu. W literaturze czeskiej pojawił się cały

szereg wybitnych dziś nazwisk - J. Škvorecký, M. Kundera, V. Havel, M. Kohout, B. Hrabal i inni. Czytelnikowi polskiemu Waczków przedstawił najpierw najmłodszą czeską poezję, w roku 1969 ukazała się w jego tłumaczeniu antologia „Drzewo rośnie zielono". Potem zainteresował się czeską i słowacką poezją awangardową lat 20. i 30. XX wieku. W jego warsztacie tłumacza powstały przekłady K. Biebla, F. Halasa, V. Holana, V. Nezvala, J. Seiferta, R. Weinera, J. Wolkera, V. Závady, Słowaków R. Fábry'a, P. Horova, L. Novomeskiego i innych. Wśród nich chyba najbardziej zainteresował Waczkówa F. Halas i z jego poezji przygotował obszerny wybór „Imagena" (1982), do którego zaszeregował wiersze od zbioru „Sépie" (1927) aż po wydany pośmiertnie zbiór „A co?" (1957). Napisał też o tym rodaku z Kunštátu studium monograficzne „Franciszek Halas" (1980), które do dziś jest dla polskiego czytelnika ważnym narzędziem do zrozumienia poezji Halasa.

Z prozą B. Hrabala zmagało się kilku polskich tłumaczy (m.in. A. Czcibor-Piotrowski, P. Godlewski, S. Góra, A. Jagodziński, A. Stachowski), przekłady J. Waczkówa należą do najbardziej udanych, jak sądzi polonistka Agata Firlej z UAM w Poznaniu w studium porównawczym (Slavia Occidentalis, 2001, z. 58). Waczków nie tylko nie bał się tłumaczyć wulgaryzmów Hrabala, ale nawet skopiował błędy językowe oryginału i znalazł ekwiwalenty dla szeregu kolokwializmów czeskiego oryginału itp., jak można sądzić na podstawie autorskiego wyboru prozy Hrabala „Rozpirzony bęben" (2000). O prozie Hrabala pisał potem Waczków w swojej książce „O sztuce przekładu" (1998). Interesujące jest jego porównanie twórczości Hrabala z twórczością Mirona Białoszewskiego.

Innym misternym przekładem Waczkówa była bezsprzecznie próba przekładu prozy Vančury, którą wyróżnia wielka stylizacja języka, dla którego naprawdę trudno znaleźć ekwiwalent w języku, na który się tłumaczy. Niemniej Waczkówowi udało się kongenialnie przetłumaczyć tak Boccaciowską nowelę Vančury „Rozmarné léto" (w zbiorze „Opowieści przekorne", 1978), jak „Hrdelní při aneb přísloví" (1976), która konsekwentnie wykorzystuje w toku opowiadania czeskie przysłowia. Polska krytyka była zgodna co do tego, że przekład brzmi bardzo naturalnie: *Było nie było, wiosna za płotem. I znowu fartuch rzeźnicki na kołku, którym naganialiśmy wczoraj tucznika, a mistrz szlachtunku ze śmiechu pały nie mógł unieść. Ach, nie ten kucharz, co długi nóż nosi za pasem, skołować bydlę to nie w kij dmuchał. Namachaliśmy się tym kołem aż do wieczora.*

Ważną pracą Waczkówa był przekład powieści Haška „Osudy dobrého vojáka Švejka za světové války". Wcześniejsze tłumaczenie Pawła Hulki-Laskowskiego było już przestarzałe i, mówiąc ogólnie, nieudane. Polskie tłumaczenie, które niesie nazwę „Dole i niedole dzielnego żołnierza Szwejka" (1991), wywołało burzliwą polemikę wśród czytelników i krytyki, ponieważ

starsze tłumaczenie „wojaka Szwejka" mimo pewnych niedociągnięć wryło się polskiemu czytelnikowi głęboko w pamięć. Trzeba będzie zaczekać jeszcze całe lata, nim nowy, inny językowo i „filozoficznie" przekład przyjmie się w polskim społeczeństwie.

Przypomnijmy jeszcze Waczkówa przekłady poezji słowackiej w „Antologii poezji słowackiej" (1981), przekłady czeskiej i słowackiej poezji romantycznej („Maj" Machy i „Marina" Sládkoviča) i surrealistycznej („Odarci ze skóry"), bajek J. Drdy („Bajki czeskie"), prozy P. Kohouta („Kacica"), prozy Słowaka P. Vilikovskiego („Wiecznie zielony"), dramatu V. Havla (dramat „Puzuk, czyli Uporczywa niemożność koncentracji" zaprezentowany został jako pierwsze w ogóle dzieło Havla w Polsce, premiera w Starym Teatrze w Krakowie 21.12.1968), i nie można nie wspomnieć, że Waczków wraz z A. Czciborem-Piotrowskim przetłumaczyli bardzo popularną w Polsce nowelę O. Pavla „Smrt krásných srnců" („Śmierć pięknych saren").

Józef Waczków nie był typem tłumacza-historyka literatury, tłumaczył to, co mu się podobało, co lubił i co uważał za wielkie wyzwanie dla swojej sztuki przekładu. Czeska i słowacka literatura utraciła przez jego odejście w grudniu ubiegłego roku swojego wybitnego propagatora.

LIBOR MARTINEK
Tłum. M.R.

NAUKA, LITERATURA I MIŁOŚĆ

12 listopada 1897 roku w wiedeńskim hotelu przy Josefstaedterstrasse rozległ się strzał. Usiłował pozbawić się życia w średnim wieku mężczyzna. Z powodzeniem. Śmierć nie była wprawdzie natychmiastowa, ale w szpitalu, do którego przewieziono ciężko rannego, lekarze nie zdołali go uratować.

Samobójstwa się od czasu do czasu zdarzają, więc i to nie zasługiwałoby na więcej niż notatkę w kronice wypadków, gdyby nie osoby dramatu. Ale po kolei...

Mężczyzną, który targnął się na życie, był Maksymilian Gumplowicz - obiecujący naukowiec, lektor języka polskiego na Uniwersytecie Wiedeńskim. Miał wówczas 33 lata (urodził się w 1864). Zajmował się średniowieczną historią Polski, ale jego dorobek poszedł w zapomnienie.

LUDZIE "NIESTELA"

W każdej encyklopedii można znaleźć natomiast nazwisko jego ojca Ludwika Gumplowicza (1838-1909), który był wybitnym socjologiem, a także profesorem

prawa państwowego na uniwersytecie w Grazu. Na gruncie socjologii rozwijał teorię darwinizmu społecznego. Głównymi jego dziełami są "System socjologii" i "Filozofia społeczna".

Mniej znane są związki L. Gumplowicza ze Śląskiem Cieszyńskim. Warto przypomnieć, że w 1869 roku uczestniczył w tak zwanej zabawie narodowej w Sibicy, a w 1870 roku bronił w cieszyńskim sądzie mieszkańców Lutyni, oskarżonych w procesie o zaprowadzenie języka polskiego w kościele. Nie wziął za to od chłopów ani grosza. Na długo przed "odkryciem" Wisły jako uzdrowiska przyjeżdżał do tej miejscowości na wypoczynek.

Trzeba tu przywołać jeszcze jedną osobę, też "nie stela", mianowicie Józefa Bolesława Piotrowskiego, znanego jako Józef Zaleski. Był ginekologiem, a także polskim działaczem kulturalno-oświatowym, czym naraził się carskim władzom. Opuścił więc Królestwo i wyjechał do Konstantynopola, a stamtąd do Styrii. Niedaleko Grazu kupił winnicę i w Grazu właśnie poznał się z Ludwikiem Gumplowiczem. Za jego radą kupił nieduże gospodarstwo w podcieszyńskim Puńcowie, które przekształcił we wzorowe. Ponieważ stosował nowoczesne metody uprawy i chowu, zjeżdżały je zwiedzać wycieczki z całego kraju.

ZACZĘŁO SIĘ W GRAZU

Był także współzałożycielem, a następnie prezesem Towarzystwa Rolniczego i cenionym współpracownikiem Rolnika Śląskiego, na łamach którego drukował, oprócz artykułów fachowych i publicystycznych, "Listy znad Puńcówki". Nie ograniczał się do felietonów, jest bowiem również autorem niezbyt udanej obszernej powieści "Ondraszek".

W 1894 roku syn L. Gumplowicza Maksymilian poznał w domu rodziców Marię Konopnicką. Mimo że poetka była od niego o 22 lata starsza, na zabój się w niej zakochał. Jeździł za nią na Śląsku Cieszyńskim, jeździł po Austrii. W listopadzie 1897 roku dokonał w Wiedniu desperackiej próby pozbawienia się życia. Od tego właśnie rozpoczęliśmy tę opowieść.

Co doprowadziło do tej tragedii? Nigdy nie uzyskalibyśmy odpowiedzi na to pytanie, gdyby nie przypadek. Jedna z córek Zaleskiego, Jadwiga, wyszła za Antoniego Marcinka, który gospodarował na tak zwanym "Winogradzie" w Cieszynie. Były tam przechowywane papiery po autorze "Ondraszka", wśród nich listy, jakie pisał do niego L. Gumplowicz. W 1976 roku Głos Ziemi Cieszyńskiej, któremu wówczas szefowałem, zaczął publikować te listy, poprzedzone wstępem kustosza Muzeum w Cieszynie Ludwika Brożka. Ocalały właściwie cudem. Oddajmy głos Brożkowi, który pisał w Głosie:

LISTY ZE ŚMIETNIKA

Z biegiem lat, wraz ze śmiercią właścicieli, gospodarstwo to [Marcinków - R.D.] *upadło i poszło w rozsypkę, a taki sam los spotkał spuściznę po zasłużonym działaczu - papiery po Zaleskim nowi, obcy mieszkańcy "Winogradu" wyrzucili po prostu*

na śmietnik. Garść zbutwiałych już i zabrudzonych papierów dostała się w roku 1956 przypadkowo do rąk podpisanego. Był wśród nich rękopis niedrukowanego jeszcze wstępu do "Ondraszka", były notatki i szkic do powieści, a także kilka na pozór nic niemówiących i trudnych do odczytania listów, które okazały się listami Gumplowicza do Zaleskiego.

Listy, które opublikował L. Brożek w Głosie Ziemi Cieszyńskiej, zaginęły, w posiadaniu Janiny i Kazimierza Marcinków z Cieszyna znajdowało się natomiast kilka innych. Trzy, związane z dziejami tragicznej miłości młodego naukowca do autorki "Roty", opublikował Edmund Rosner w Kwartalniku Opolskim i w Głosie.

Ludwik Gumplowicz pisał do Zaleskiego głównie po to, by ten wyperswadował Maksymilianowi, że związek z Konopnicką nie ma perspektyw. Jakoż pisarz kilkakrotnie rozmawiał z zakochanym, niewiele to jednak dało.

Listy socjologa dowodzą, że całą winą za "awanturę", jak określał stosunki syna z poetką, obarczał tę drugą. Wynika to już z pierwszego listu. Czytamy w nim: *Maksymilian, 30-letni dzieciak, zadurzył się w starej babie Konopnickiej i gniewa się na rodziców, że mu nie pozwalają "ożenić się" z nią (od czego ona by nie była?!).*

OBELGI I ZNIEWAGI

L. Gumplowicz oskarżał Konopnicką o to, że szczuje syna przeciw rodzicom. *Oczywiście, gdyby Konop*[nicka] *była osobą uczciwą, można by z nią wejść w układy - ale całe jej postępowanie z Maksiem pokazuje, że - co podobno Warszawa dobrze wie - o uczciwości u niej nie ma mowy* - pisał do Zaleskiego. Działo najcięższego kalibru wyciągnął już po zgonie Maksymiliana: *Ostatecznie jednak do samobójstwa pchnęły go niesłychanie brutalne obelgi i zniewagi, które mu ona wyrządziła (mam na to list, bo mi doniosła o tym, że to uczyniła, mszcząc się na mnie! Jest to ciekawy dokument charakteryzujący "liryczną poetkę"!, "wieszczkę"!).*

W liście do Zaleskiego datowanym 22 września 1896 roku jest fragment mówiący o genezie uczucia uniwersyteckiego lektora do sławnej poetki. Oto on:

Zbłądziła może w samym początku, tolerując jego oświadczenia i zwierzając się jemu, że "nigdy miłości nie znała, bo ojciec ją, nie pytając, wydał za pijaka". Obudziła w nim takimi zwierzeniami litość - i on chciał jej (za późno) powetować stracone życie bezmiłosne!

Oczywiście on w tych rzeczach dzieciuch brał te liryki Konopnickiej za dobrą monetę. Teraz dopiero się dowiedział, że ona nie czekała na niego, aby sobie wynagrodzić brak miłości w małżeństwie, ale z jakimś tam Gadrowskim miała nieślubną córkę.

Drugim wątkiem, który przewija się przez korespondencję, jest stan psychiczny Maksymiliana. L. Gumplowicz stara się go zrozumieć, ale nie do końca mu się to udaje.

PSYCHOLOGICZNA ZAGADKA

W każdym razie jest on zagadką psychologiczną - pisze. - *Bo wobec Konopnickiej postępuje jak czysty wariat - a we wszystkich innych sprawach (lektorat wiedeński,*

rozprawa o Zbigniewie, habilitacja na docenta historii w Wiedniu) postępuje zupełnie rozsądnie. O ile to paranoidalne wariactwo się rozwinie, trudno powiedzieć.

W jednym z listów L. Gumplowicz pisze, że Maksymilian jest *dziedzicznie obciążony*. Najstarszy brat Ludwika, który z pracą zawodową doskonale sobie radził, *obok tego miał takie bziki oraz inne, i także takie jak Maksym*. Dodajmy, że matka Maksymiliana leczyła się w zakładzie psychiatrycznym (zdaniem jej męża wyzwoliły chorobę umizgi syna).

POPLĄTANE STOSUNKI

O tym, jak poplątane były stosunki w rodzinie Gumplowiczów, pisze przyjaciółka Konopnickiej Maria Dulębianka do córki poetki Laury Pytlińskiej. Maksymilian zatem *to był człowiek umysłowo niezdrów, idiota prawie. Matka jego jest w domu obłąkanych, brat (ten anarchista) także niezupełnie normalny. Przy tym różnie się tu okoliczności złożyły. W domu go* (Maksymiliana - R.D.) *nie lubili, jak mi to sam opowiadał już w szpitalu. Matka mówiła mu nieraz, kiedy jeszcze zdrowa była, "czemu ty sobie w łeb nie palniesz, kiedy i tobie, i z tobą wszystkim źle".*

Na współczucie zasługują wszystkie osoby dramatu, także Konopnicka. W liście Elizy Orzeszkowej do Tadeusza Grabowskiego czytamy: *Wiele, wiele dałabym za to, aby Pan był z nami, widział i słyszał, bo prysnęłyby w umyśle Pana bańki tych oszczerstw, którymi świat obryzguje kobietę bardzo nieszczęśliwą, lecz jeszcze więcej szlachetną i dobrą.*

Sądzę, że komentarz jest zbędny.

ROBERT DANEL

OSTATNI ŁUŻYCZANIE WALCZĄ O PRZETRWANIE

W Niemczech grupa działaczy walczy, by uchronić od wymarcia małą słowiańską mniejszość narodową - Dolnych Łużyczan. Czy ich zaangażowanie wystarczy, by wygrać z bezduszną biurokracją i naturalnymi tendencjami asymilacyjnymi?

Malutka wioska Turjec, na północ od Chociebuża (niem. Cottbus). W drugi dzień Zielonych Świątek odprawiane jest tutaj nabożeństwo ewangelickie. Zjawia się około 30 osób, prawie wyłącznie w podeszłym lub bardzo podeszłym wieku. Wszyscy są elegancko ubrani i mają dziwnie swojski wygląd. Widać wśród nich pewne ożywienie - wiedzą, że następne nabożeństwo tego rodzaju odbędzie się dopiero w sierpniu, w innym kościele i że to dla nich jedyna okazja, by porozmawiać w swoim języku, dolnołużyckim. Ta słowiańska mowa na naszych oczach bezpowrotnie ginie.

Ernst Mucha, gospodarz Turjeca, uważa, że ratunku już nie ma. - Widzi pan - mówi zażywny 70-latek - za młodu to ja ze wszystkimi w wiosce rozmawiałem po łużycku. Tak było jeszcze 40 lat temu. A teraz? Kto w Turjecu jeszcze zna łużycki? - pyta retorycznie. - Pojedynczy dziadkowie, tacy jak ja.

Statystyki dają inny, fałszywy obraz. Według nich w Brandenburgii mieszka 20 tys. ewangelickich Łużyczan, którzy mówią podobnym do polszczyzny językiem dolnołużyckim, a w Saksonii 40 tys. Łużyczan - katolików, którzy mówią zbliżonym do czeskiego górnołużyckim. Obraz jest fałszywy, bo podobnie jak za czasów NRD statystyki sugerują, iż wszyscy Niemcy łużyckiego pochodzenia znają łużycki. A to nieprawda - zgodnie zapewniają moi rozmówcy. Faktycznie zaledwie w kilku rodzinach dzieci rozmawiają z rodzicami po dolnołużycku. Język wymiera - przyznają.

PRZEDSZKOLA PRZYSZŁOŚCIĄ NARODU

Nadzieją na jego odrodzenie jest projekt "Witaj", który przewiduje wychowanie dzieci, które z domu znają tylko niemiecki, w łużyckich przedszkolach, gdzie opiekunka mówi do maluchów tylko po łużycku, a bajki w tym języku opowiadają im staruszkowie, którzy specjalnie przychodzą na zajęcia. Wszyscy działacze łużyccy uważają, że ten istniejący od 1998 r. projekt jest jedyną szansą na uratowanie języka. Tym bardziej, że szerzy się moda na łużyckość, która daje się od pewnego czasu zauważyć u młodego pokolenia mieszkańców Łużyc.

Niestety na "Witaj" brakuje pieniędzy. W programie bierze udział 287 dzieci. Im więcej środków, tym będzie on atrakcyjniejszy, tym większe zainteresowanie, tym więcej dzieci można przyjąć. Dlatego ogromną gorycz wywołują u Łużyczan ostatnie decyzje rządu Brandenburgii, który obciął środki na projekt. Decyzji socjaldemokratycznego rządu nie rozumie dr Madlena Norberg z Rady ds. Łużyczan przy Landtagu Brandenburgii: - Co z tego, że ministerstwo szkolnictwa projekt "Witaj" popiera. Pieniądze daje ministerstwo nauki, a tam zrozumienie dla racji Łużyczan jest o wiele mniejsze. A potrzebne są duże pieniądze. Holger Drews, rzecznik ministerstwa kultury, wskazuje na dramatyczną sytuację budżetu Brandenburgii: - Środki na łużyckie przedszkola obcięto bardzo umiarkowanie w porównaniu z innymi projektami.

Łużyczanie zagrozili skargą do trybunału konstytucyjnego. Najmocniej wspiera ich postkomunistyczna PDS. To właśnie za czasów NRD Łużyczanie otrzymali pewną autonomię, podczas gdy w czasach hitlerowskich groziła im fizyczna zagłada, a wcześniej, pod pruską władzą, byli brutalnie germanizowani. Złośliwi wręcz uważają, że dla Ericha Honeckera Łużyczanie byli "wzorcową mniejszością", którą się chwalono w świecie. Niemniej jednak temu, że język wymiera, władze NRD też są winne, bo traktowały Łużyczan jako potencjalną "piątą kolumnę" sojuszników: Polski bądź Czechosłowacji. W latach 60. czterokrotnie zredukowano liczbę szkół uczących po łużycku. Administracyjnie teren zamieszkany przez Dolnych Łużyczan rozdzielono na trzy powia-

ty, tak by wszędzie stanowili mniejszość. Na nabożeństwa w języku łużyckim zgodzono się dopiero w 1987 r. Łużyckie organizacje były ściśle kontrolowane przez partię i państwo.

BAGNISKA I WYSYPISKA

Jadąc do Turjeca, przejeżdżam przez Spreewald. Z okien samochodu obserwuję bociany, po obu stronach wąskich dróg rozpościerają się bujne łąki, lasy. Niemal wszędzie małe i większe rzeczki oraz kanały. Ta bagnista kraina, nazywana przez Łużyczan "błotami", skrywała słowiańskie wioski, które przez wiele stuleci dawały schronienie ich mieszkańcom przed falą germanizacyjną. O słowiańskim charakterze okolicy świadczą dwujęzyczne napisy. Dowiaduję się, że Hauptstrasse to Głowna Droga, widzę "mosty" i gory".

Ale całe Łużyce nie są tak piękne. Na południe od Chociebuża krajobraz się zmienia. W NRD pobudowano tam ogromne odkrywkowe kopalnie węgla brunatnego. Ludzi wysiedlano do miast, a wioski niszczono. Łużyce, czyli w dosłownym tłumaczeniu - Kałużyce, kraina kałuż, przypominają tam Księżyc. Widać wielkie hałdy, rozległe wyrobiska i dymiące kominy. Miarę plag dopełniły lata po zjednoczeniu, które Łużycom, podobnie jak całemu NRD, przyniosły ogromne bezrobocie i wyjazd prawie wszystkich młodych ludzi na zachód Niemiec, za pracą.

Niedawno wielki szwedzki koncern energetyczny Vattenfall postanowił poszerzyć obszar wydobywania węgla na Łużycach. Łużyczanie zapowiadają ostre sprzeciwy. Po 1989 r. uroczyście obiecywano, że żadne wioski nie będą już likwidowane.

PUDROWANA OCHRONA?

- Te łużyckie napisy przy drogach nic nie znaczą - wzdycha pastor Helmut Huppatz, który odprawiał nabożeństwo w Turjecu. - To tylko pozory. Niemcy żyją w błogim przekonaniu, iż Łużyczanie mają wszelkie prawa należne mniejszościom narodowym. A Łużyczan już tam dawno nie ma.

Rzeczywiście, wydawałoby się, iż Łużyczanie cieszą się w zjednoczonych Niemczech pełnią przywilejów. W Brandenburgii radio i telewizja nadają krótkie programy po dolnołużycku. Oba łużyckie narody wspiera finansowo specjalna fundacja rządu Niemiec, Saksonii i Brandenburgii. Na Górnych Łużycach istnieje cała sieć szkół łużyckich, na Dolnych - kilka podstawowych oraz gimnazjum w Chociebużu. Łużyczanie mogą posługiwać się swoją mową w kontaktach z niemieckimi władzami tam, gdzie mieszkają. Faktycznie jednak ich racje ustępują rachunkowi ekonomicznemu, zwłaszcza od czasu, gdy Niemcy trapi kryzys gospodarczy.

- Niedawno w Chróścicach zamknięto nam szkołę - mówi Jan Nuk, przewodniczący Domowiny, organizacji grupującej oba łużyckie narody. - To samo grozi kolejnej, w Radiborze. Dla tak małej społeczności jak nasza to niepowetowana strata. Niektórzy sądzą, że żądamy dla siebie więcej praw. Niemcy

mówią, że wszędzie szkoły się zamyka, więc my nie możemy być oszczędzeni. Ale jak się zamknie jedną szkołę łużycką, to w całej wsi kultura łużycka zamiera. Jak w ogóle można stosować takie same kryteria? A przecież rzadkie rośliny chroni się bardziej - oburza się.

Prof. Dietrich Scholze z Instytutu Łużyckiego w Budziszynie twierdzi jednak, że Łużyczanie bić się powinni także we własne piersi. Z pewnością odpowiedzialnym za wynaradawianie Łużyczan jest zwykły, ludzki konformizm: mów po niemiecku, a będzie ci łatwiej. Taka filozofia sprawiła, że zwłaszcza na Dolnych Łużycach nastąpiło załamanie w przekazywaniu języka z pokolenia na pokolenie.

"UCHODZIMY ZA POLAKÓW"

Zrozumienie Łużyczanie znajdują wśród niemieckiej inteligencji. Niektórzy z własnej woli nauczyli się języka tak płynnie, że zadziwiają samych Łużyczan. Do nich należy np. prof. Eduard Werner, który mówi doskonale w obu łużyckich językach. Instytut Sorabistyki Uniwersytetu w Lipsku, którym prof. Werner kieruje, to jedyne w świecie miejsce, gdzie można ukończyć filologię dolno- bądź górnołużycką.

Przeciętni Niemcy mają inny stosunek. Tak przynajmniej uważa pastor Huppatz. - Żądają od nas, by przy nich nie mówić po łużycku, nawet gdy mówi Łużyczanin z Łużyczaninem, np. w urzędzie. A przecież to oficjalny język - mówi. Zdominowane przez Niemców rady parafialne nie zgłaszają zapotrzebowania na łużyckie nabożeństwa.

Sam pastor Huppatz pochodzi z łużyckiej rodziny, ale nie zna już łużyckiego z domu. Nauczył się go dopiero w szkole. Słychać to u niego. Dziwi mnie trochę północnoniemieckie gardłowe "r", niespotykane w językach słowiańskich. Nad zatratą pierwotnej słowiańskiej wymowy ubolewa też Hannes Kell, 34-letni doradca majątkowy z Dešna. - Już tylko najstarsze pokolenie cechuje nieskażona wymowa - mówi. - Inni nauczyli się jej w szkole i mówią z akcentem. Ja sam też - śmieje się.

- Kiedy ze swoją rodziną spaceruję po Chociebużu - opowiada - i mówię po łużycku, ludzie biorą nas najczęściej za Polaków. Nasze języki są strasznie podobne.

Ja rozmawiam z nim po niemiecku, w jego ojczystym języku, ale żona - Antje Kellowa - woli, jeśli mówię po polsku. Ona odpowiada mi po swojemu. Bo język zna od rodziców. Patrząc na jej zaangażowanie i urok, pomyśleć można, iż to ona zrobiła z męża Łużyczanina najczystszej wody. (...)

JAK POMÓC?

Po nabożeństwie w Turjecu gościnni Łużyczanie zaprosili mnie na poczęstunek. Wprawdzie tradycyjnego napoju, który łączy Słowian, zabrakło, ale kawa i ciasto były bardzo smaczne. Mówiący po polsku chłopak, który studiował w Krakowie, prosi, by przekazać pozdrowienia Polsce. - Pięknie dziękujemy

za wsparcie - mówi z uroczym akcentem. A potem wszyscy obecni śpiewają hymn: R'dna Łużyca, spšawna, psijazna, mojich serbskich wošcow kraj, sw'te su m' twoje strony.

Tysiąc lat temu praktycznie całe Niemcy Wschodnie były zasiedlone przez Słowian. Wielu Niemców ma słowiańskie korzenie. W czasach Lutra słowiańskie plemiona zamieszkiwały okolice Berlina i Drezna. Język Obodrytów w enklawie koło Hanoweru przetrwał do połowy XVIII wieku. Nawet w końcu XIX wieku starsze mieszkanki wsi nosiły tam - jak można się dowiedzieć w Muzeum Łużyckim w Chociebużu - typowo słowiański ubiór. Teraz po Obodrytach i po innych Słowianach prócz nazw miejscowości śladu nie ma. Ostały się jedynie dwa małe łużyckie narody. Jeden chroniony przez spreewaldzkie bagna, drugi - przez swój katolicyzm i w miarę liberalną politykę władz Saksonii.

Ożywienie obumierającej kultury jest bardzo trudne, ale nie niemożliwe. Sto lat temu ożywiono przecież w Palestynie zupełnie martwy język hebrajski. Dla Żydów był to jedynie język świętych ksiąg i modlitwy, nikt nim na co dzień nie mówił. Łużyczanie są w lepszej sytuacji, jednak potrzebują pomocy, także ze strony Polski. Liczyć się będą nawet drobne gesty. Ot, choćby używanie polsko-łużyckiej nazwy Chociebuż, zamiast niemieckiego Cottbus.

ŁUKASZ ADAMSKI, współpraca MIKOŁAJ MAŚLUK

Od redakcji:
Tekst pochodzi z portalu www.gazeta.pl. Przedstawiamy go naszym Czytelnikom nie tylko z szacunku dla bratniej słowiańskiej mniejszości, która walczy o przetrwanie, ale może także ku rozwadze.

NA NASZEJ SCENIE

BAJKA O WOJTKU MUZYKANCIE

W maju zaprosił Teatr Lalek Bajka swoich widzów na trzecią w sezonie 2004/2005 premierę. Wcześniej jesienią zaprezentował przedstawienie "Wyrwidąb i Waligóra" Joanny Gutowskiej i Mirosława Huszcza w reżyserii Rudolfa Molińskiego, zimą "Skarb Pusteckigo" Andrzeja Żaka w reżyserii Wandy Michałek, zaś wiosną pokazał, co może się zdarzyć, kiedy człowiek nieopatrznie zdrzemnie się w podróży.

Sztuka "Jak Wojtek muzykant odwiedził piekło" Marii Siedmiograj opowiada historię czarodziejskiej fujarki, którą Wojtek nabył na jarmarku. Pod palcami odpowiedniej osoby, którą w tym wypadku jest właśnie ów Wojtek, fujarka zaczyna

wydawać dźwięki łączące się w melodię, przy której nogi same podrygują i słuchacz tańczy w jej takt niezależnie od swojej woli. Wojtek wracał z jarmarku, ale płacząca wierzba nie była dla niego drogowskazem. Nie mógł znaleźć drogi do domu i zmęczony zdrzemnął się pod rozłożystym drzewem. A tu nagle zjawiły się małe Bieski, Kukuś, Bubuś i Kizia, i zaczęły figlować. Wojtek obudził się, wystraszone tchórzliwe diabełki dały nogę, ale Wojtek złapał Kukusia za ogon. Na pomoc diabelskiemu dziecku przybył Stary Bies, który wskazał Wojtkowi drogę do domu, ale skorzystał z okazji i skradł fujarkę. Wojtek postanowił pójść do samego Belzebuba, by ją odzyskać. Droga najwidoczniej była nieskomplikowana, bo trafił bez trudu aż pod bramę piekieł. Stary, ziewający, bojaźliwy i wcale niebudzący grozy Belzebub, by Wojtek nie rozwalił mu bramy i nie zniszczył królestwa, zgodził się w końcu nie tylko na wydanie łupu, ale i rekompensatę w postaci takiej ilości złota, jaka zmieściła się w ogromnie długiej czapce Wojtka.

Reżyserem przedstawienia był Marek Mokrowiecki, scenografię (zielono-brązowy krajobraz z wierzbą oraz czerwono-czarne piekielne królestwo) opracowała Halina Szkopek, muzykę napisał Andrzej Macoszek. Zagrał cały zespół Bajki. W roli Wojtka wystąpił Jakub Tomoszek, Belzebubem był Jan Szymanik, Starym Biesem Pawełka Niedoba. Sympatyczne Bieski - lalki - to Wanda Michałek (Kukuś), Krystyna Czech (Bubuś) i Pawełka Niedoba (Kizia).

A jaka z tej bajki nauka? Pilnuj swojej fujarki, nie śpij, bo cię okradną! Uważaj, byś nie musiał tańczyć, jak ci zagrają! I może jeszcze kilka innych piekielnie ważnych ostrzeżeń.

CZESŁAW RUDNIK

PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY SEZON SCENY POLSKIEJ PLANY REPERTUAROWE

Scena Polska Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie przedstawiła swoje plany repertuarowe na następny, pięćdziesiąty piąty już sezon. Rozpocznie go "Szatan z siódmej klasy" według Kornela Makuszyńskiego, którego premiera miała miejsce w czerwcu na zakończenie sezonu poprzedniego. "Szatan z siódmej klasy" grany był z powodzeniem w Scenie Polskiej nie tak dawno, bo w 1994 roku. Jest to propozycja dla młodego widza, ale obejrzą ją na pewno chętnie także widzowie dojrzali, dla których opowieść o zdolnym uczniu Adamie Cisowskim i jego sukcesie w rozwiązaniu zagadki kryminalnej będzie powrotem do czasów lektur szkolnych.

Na wrzesień planuje teatr adaptację powieści "Inne rozkosze", której autor Jerzy Pilch, znany polski pisarz współczesny, pochodzący z Wisły, swoją małą ojczyznę, a zwłaszcza sposób myślenia jej mieszkańców przemyca do swojej prozy. W wywiadzie udzielonym po napisaniu felietonu "Ja - człowiek teatru" Jerzy Pilch stwierdził: *Próby scenicznych adaptacji mojej prozy dokonywane przez reżyserów są dla mnie dowodem na upadek polskiego teatru. To się nie nadaje... choć dobry aktor zagra i płytkę PCW.* Po czym napisał, na zamówienie Teatru Narodowego w Warszawie, swój pierwszy dramat "Narty Ojca Świętego".

Grudniowe premiery Sceny Polskiej mają przebiegać pod znakiem muzyki i humoru. Spektaklem muzycznym będzie "Apetyt na czereśnie" Agnieszki Osieckiej. Rok 2005 powinna zakończyć realizacja małżeńskiej komedii omyłek "Kiedy kota nie ma", której autorami są Johnnie Mortimer i Brian Cooke.

Wiosna 2006 roku to w planach teatru klasyka światowa, wybitne dzieła dramatyczne: tragedia i komedia. W kwietniu zaproponuje widzom "Makbeta" Williama Szekspira, którego zapowiada w sposób następujący: *"Makbet", tragedia w pięciu aktach, to spektakl o żądzy władzy, której nie można pogodzić z uczciwością i szlachetnością. O chorej miłości, która prowadzi do zbrodni. O utracie ludzkich uczuć i wyrzutach sumienia. Ale też o baśniowym, fantastycznym świecie, który - być może - rządzi światem ludzkim.*

Ostatnią premierą pięćdziesiątego piątego sezonu Sceny Polskiej ma być kolejna, po niedawnym "Świętoszku", komedia Moliera, sztuka o władzy pieniądza "Skąpiec". Teatr zastrzega sobie możliwość zmian w programie.

W repertuarze Sceny Polskiej pozostaje też kilka pozycji scenicznych, których premiery odbyły się w sezonach poprzednich. Od marca 1998 roku grana jest "Ania z Zielonego Wzgórza" Lucy Maud Montgomery w reżyserii Jerzego Batyckiego, w czerwcu 2004 roku miała premierę "Królowa śniegu" Hansa Christiana Andersena w reżyserii Karola Suszki. Szkolnym spektaklem jest też grany od marca 2003 roku "Hermes przeszedł, czyli Mitologia grecka" Macieja Wojtyszki w reżyserii Bogdana Kokotka oraz klasyczna "Opowieść wigilijna" Karola Dickensa wyreżyserowana przez Józefa Czerneckiego w listopadzie 2004 roku. Do nowego sezonu przechodzą tegoroczne premiery "Ondraszek - Pan Łysej Góry" Renaty Putzlacher, Tomáša Kočki i Bogdana Kokotka w reżyserii Bogdana Kokotka oraz "Bambini di Praga" Bohumila Hrabala w reżyserii Marka Mokrowieckiego. Kameralną propozycją jest grany od marca 2001 roku dwuosobowy spektakl "Proszę... zrób mi dziecko", który napisał Mirko Stieber, a wyreżyserował Karol Suszka. W repertuarze Teatru Cieszyńskiego pozostaje także wspólny projekt obu Scen, Polskiej i Czeskiej, grany z powodzeniem przy pełnej widowni od maja 2004 roku spektakl muzyczny Jaromíra Nohavicy, Renaty Putzlacher, Radovana Lipusa i Tomáša Kočki "Těšínské niebo - Cieszyńskie nebe" w reżyserii Radovana Lipusa.

C.R.

WSPOMNIENIE O ZOFII WANOK

Dzisiaj zrobiła się ładna pogoda, wsiadam na rower i zastanawiam się, dokąd pojechać, już dawno nie odwiedziłam Śmiłowic. Nie mogłam, nie potrafiłam tam pojechać, za bardzo bolały wspomnienia o tej wspaniałej osobie, którą los wysłał do mojego życia. I tak dziękuję za dziesięć lat, z których ona uczyniła może najlepsze lata mojego życia. Bo przy niej dopiero poznałam, że raj na ziemi to tam, gdzie ktoś na kogoś czeka z gorącym, nie fałszywym, lecz miłym sercem i gdzie gość jest zawsze witany. Ten raj dla mnie był i zostanie pod Godulą, gdzie ona swoją obecnością i osobą stworzyła ciepło, którego nam wszystkim tak brak. Przejeżdżam koło jej małego domku i ogródka, ale wszystko tak smutne i puste, nie stoją tu już samochody, a odwiedzali ją ludzie z całego kraju i można powiedzieć, że jej obrazy kupowali ludzie z całego świata. Ta jej "kocia farma", jak wszyscy mówili, kiedy widzieli w jej ogródku dwanaście kotów, rozpadła się już także. Opustoszało jej pianino, na którym nauczyła grać dzieci z całej wsi i nie tylko. Tylu ludzi, którzy ją znali i odwiedzali, nie widziałam u nikogo innego. Ale czy oni jeszcze w ogóle o niej pamiętają?

Błagałam Boga, wtedy, kiedy poważnie zachorowała, by mi jej jeszcze nie zabierał, przecież miałam się od niej jeszcze wiele nauczyć, ale zabrał mi ją, a ona już także śpieszyła za swoją największą miłością życia - Adkiem, bo na pewno już na nią na tym drugim świecie czekał, nie chciała już jakoś tu być, to widziałam i poznałam po niej w szpitalu, kiedy do mnie mówiła, że poradzę sobie i bez niej. Tak, maluję sama, bez niej, ale brakuje mi jej człowieczeństwa, jej gościnności, jej pokory, szacunku i respektu do życia, brakuje mi jej ciasta z kawą, brakuje mi jej w teatrze cieszyńskim, gdzie zostało po niej puste miejsce.

Pomimo tego, że w swoim życiu doznała wielu przykrości, nie zgorzkniała, lecz kochała ludzi i rozdawała im całe swoje serce. Puste są te Śmiłowice bez niej, pusta jest Godula bez niej, bo ona ją znała najlepiej, bo przecież całą swoją młodość, a później lata dojrzałe oddała jej, ona znała jej radości, łzy i smutki, które czasami przed nami ukrywała. Wspominam pierwsze dni, kiedy ją odwiedziłam, przyjęła mnie jak własną córkę. Zawsze wszystkich chwaliła, choć wiedzieliśmy, że nasze obrazy były z początku beznadziejne. Nie wiem, może mam sentyment do starszych ludzi, ale dla mnie ona była drugą mamą, najlepszą przyjaciółką. Zawsze mnie wysłuchała i doradziła. Jej skromny dom był otwarty dla wszystkich. Czasami zastanawiałam się, jak ona to wszystko potrafiła zdążyć, w ciągu jednego dnia malowała obrazy,

uczyła dzieci gry na pianinie, przyjmowała gości i klientów i jeszcze jakiś wierszyk stworzyła, poza tym dla wszystkich wspaniałe jedzenie ugotowała. Nie wpadała w tak dziś popularną depresję, choć nie była najzdrowsza. Poza tym śpiewała także w chórze, bo miała dobry głos.

Odpędzam myśli, że już nadchodzi trzeci rok, kiedy nas opuściła, bo wciąż nie mogę uwierzyć, że po prostu odeszła sobie. Pamiętam, że umówiłyśmy się podczas naszej rozmowy o tym, czy istnieje coś na tamtym świecie, że kiedy umrze, to da mi znać, czy coś tam jest, ale nie dała i ciągle na ten znak czekam, a może to, że maluję dalej i bez niej, chociaż jest mi czasami bardzo ciężko, to ten znak, że ona tam jest, że istnieje nadal. Bo czasami czuję, że prowadzi mój pędzel, i może by się gniewała, gdybym przestała. Od niej nauczyłam się najwięcej, a sądzę, że nie tylko ja.

Jesienią pod Godulą i w okolicy mnóstwo ostrężyn, czekają na nią, lecz ona już nie przyjdzie ich obrać. Taki wspaniały sok potrafiła z nich zrobić, żałuję, że nie wzięłam od niej przepisu. To wszystko było takie proste, uczciwe, pokorne, nie fałszywe, ilu takich ludzi jeszcze istnieje?

Często przyjeżdżałam do niej, będąc w niezbyt dobrym humorze, a wracałam do domu tak pełna energii, że jeszcze rozdawałam ją innym. Nie widziałam jej w złym humorze, nawet już w szpitalu, ciężko chora, żartowała i kpiła ze śmierci. I ja wracałam pełna nadziei, że wygra tę walkę z chorobą. Nauczyła nas, że w malarstwie i nie tylko tam pieniądze i sława to nie wszystko. Ważny jest charakter człowieka. Może dlatego wszyscy szukali u niej czegoś, czego w dzisiejszym świecie już tak brakuje. Otwartego serca, skromności, a przede wszystkim wielkiej pokory i respektu do natury.

Jadę koło jej domku, skrzynka pocztowa ciągle wisi na furtce, może ktoś jeszcze wysyła do niej listy, może nie wszyscy wiedzą, że odeszła. Ciągle ją widzę i czuję w tym domku, może odjechała po prostu na rowerku po obiad do pobliskiej szkoły, bo właśnie mija dwunasta, poczekam jeszcze, może zaraz przyjedzie. Ktoś wychodzi z jej domku, Boże, ta osoba tak podobna do niej, ale to nie ona, to jej starsza siostra.

Chociaż zwiedziłam już kawał świata, nie spotkałam drugiego takiego człowieka jak ona i obawiam się, że już nigdy nikogo takiego nie spotkam. Im więcej ludzi poznaję, tym wyraźniej widzę, że ona była osobą niepowtarzalną. W tych czasach, w których nikt nie ma czasu, ona zawsze go miała, dla wszystkich i nawet, kiedy była już ciężko chora, przyjmowała wizyty i nie dała po sobie niczego poznać. Po prostu umiała stworzyć zawsze taką atmosferę w tym swoim domku, że każdy u niej czuł się jak u siebie.

RENATA DROPCZYNSKA

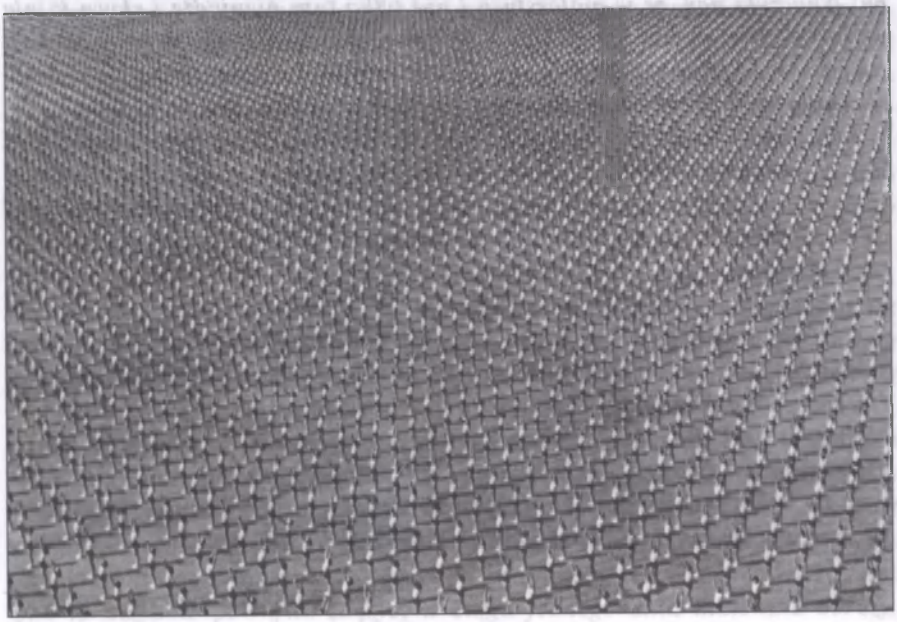
I OGÓLNOPAŃSTWOWA SPARTAKIADA 1955

Pod hasłem spartakiada czytamy w encyklopediach: *Masowe zawody sportowe rozgrywane w wielu dyscyplinach. Pierwsza spartakiada 1928 w ZSRR.* Po II wojnie światowej rozgrywane głównie w krajach socjalistycznych. Nazwa pochodzi od imienia Spartakusa, przywódcy powstania niewolników rzymskich.

Ponieważ w tym roku mija dokładnie 50 lat od czasu, kiedy odbywała się I Ogólnopaństwowa Spartakiada w Czechosłowacji, przyszło mi na myśl, że warto trochę powspominać i przypomnieć jeszcze żyjącym uczestnikom i widzom to bądź co bądź wspaniałe, wielkie i niepowtarzalne widowisko sportowe.

Tak się złożyło, że znalazłem się wśród setek tysięcy młodych ludzi, którzy brali aktywny udział w przygotowaniach poszczególnych układów, a następnie sami ćwiczyli na spartakiadach powiatowych, okręgowych i na Strahowie w Pradze.

Po studiach w Ołomuńcu w 1953 roku i dwumiesięcznym nauczaniu w nowo powstałym dziwolągu szkolnym, który nosił nazwę Jedenastoletniej Szkoły Średniej i był niezbyt udanym wytworem ówczesnego osiemdziesięcioletniego ministra szkolnictwa Z. Nejedlego, zostałem powołany do woj-



ska, gdzie później w 1954 roku trafiłem do dywizji w Brnie w charakterze zastępcy naczelnika wychowania fizycznego.

Moim zadaniem były kontrole i ćwiczenia żołnierzy na I OS (Ogólnopaństwowa Spartakiada). Osobiście prowadziłem ćwiczenia z żołnierzami i oficerami układów "żołnierze z karabinem" i "ćwiczenia żołnierzy na poręczach". Z naszej dywizji ćwiczyło w Pradze 2000 żołnierzy z karabinem i zaraz na pierwszej próbie na lotnisku w Ruzyni komisja kontrolna stwierdziła, że są z wszystkich najlepiej przygotowani. Otrzymali więc zwolnienie z zajęć i dopiero po trzech dniach musieli się stawić na próbę generalną na Strahowie. Dowódcą naszej grupy żołnierzy został paradoksalnie mianowany ślamazarny podpułkownik Bačkora (jego podwładni mówili, że ma "přiléhavé jméno"), który w organizowaniu ćwiczeń na spartakiadę raczej przeszkadzał, a jednak później otrzymał razem ze mną państwowe odznaczenie "Za wybitną pracę" i stopień pułkownika. W układzie żołnierze z karabinem występowało 8160 żołnierzy.

Najbardziej widowiskowym i trudnym ćwiczeniem żołnierzy był jednak układ na poręczach. Występowało 1920 mężczyzn na 160 poręczach. Według opinii różnych fachowców z całej Europy tak masowy, zharmonizowany i fantastycznie wykonany układ ćwiczeń na poręczach nie został chyba zrealizowany jeszcze nigdzie na świecie.

Do moich niezapomnianych przeżyć w czasie koordynowania ćwiczeń na



poręczach z muzyką przed stadionem na Strahowie należą odwiedziny ministra obrony narodowej generała Lomského. W mojej wyobraźni pojęcie żołnierz zawodowy łączyło się zawsze ze sprawnym, dobrze wysportowanym mężczyzną, a tu trafiłem na generała, który zamiast żołnierza przypominał zawodnika sumo, a raczej dobrze odżywianego pasibrzucha. Na placu przed Strahowem ćwiczyliśmy już trzeci dzień po 6–8 godzin dziennie i większość z nas miała odciski na stopach (następstwo zeskoków z poręczy na beton) i obandażowane ramiona, a on, przypatrując się zajęciom, zauważył, że na poręczach czasami ćwiczy tylko jeden żołnierz, a jedenastu czeka na swoją kolejkę. Wydał więc pamiętny rozkaz "zařídit pro každého muže jedny bradla!" Ten absurdalny rozkaz utwierdził mnie w przekonaniu, że sprawność fizyczna, a zwłaszcza poziom umysłowy wielu oficerów i generałów w Czechosłowackiej Armii Ludowej to tylko pobożne życzenie.

Spartakiada 1955 w liczbach: W bardzo krótkim czasie, bo w ciągu niespełna 9 miesięcy, wyćwiczono 28 układów. Na spartakiadach powiatowych i okręgowych ćwiczyło 1 150 000 dzieci, młodzieży i dorosłych, a połowa z nich ćwiczyła na Strahowie. W obszernych jadłodajniach podawano dziennie ponad 60 000 obiadów. Dziewięć olbrzymich wielopiętrowych szatni pomieściło jednorazowo 65 000 ćwiczących. W szatniach były też umieszczone całe zespoły służby zdrowia, fryzjerów, krawców, fotografów, zegarmistrzów itp. Poczta przyjmowała dziennie od 50–80 000 pocztówek, a praska komunikacja kolejowa i autobusowa przetransportowała na stadion prawie 3 miliony ćwiczących i widzów.

Ta doskonała i niespotykana dotąd na taką skalę sprawność organizacyjna wywodziła się na pewno z długoletnich doświadczeń Sokoła.

Pierwsza spartakiada była więc w 1955 roku, ostatnia zaś w 1985 roku, ponieważ planowana na rok 1990, pomimo zaawansowanych przygotowań, nie odbyła się.

W tym tekście nie chodzi mi o to, żeby gloryfikować masowe zawody sportowe, które były często nie bardzo lubiane przez instruktorów (w znacznym stopniu nauczycieli wychowania fizycznego), a czasami i znienawidzone przez wielu uczniów. Ale bądź co bądź dzięki temu setki tysięcy dzieci, młodzieży i dorosłych spędzało wiele godzin w salach gimnastycznych i na boiskach, a nie tak, jak teraz często to bywa, że młodzież ślęczy przy komputerach, a co gorsza wysiaduje w podejrzanych spelunkach, popija i konsumuje różne świństwa, a następnie wyje po nocach, plądruje różne urządzenia miejskie (niszczy ławki w parkach, rozbija gabloty, przewraca różne pojemniki itp.), zaś na boiska przychodzi jako pseudokibic z krzyżem na piersiach, pomalowaną głową i kijem baseballowym w ręku nie po to, żeby dodawać otuchy swojej drużynie, ale aby przeszkadzać, rozrabiać i niszczyć. *Tempora mutantur et nos mutamur in illis* – czasy się zmieniają i my razem z nimi. Szkoda tylko, że niestety bardzo często na gorsze!

WILHELM FRANEK



W środku autor artykułu

O JEZUITACH NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM

Pokłosiem konferencji naukowej, która odbyła się w październiku ub. r. w cieszyńskiej Filii Uniwersytetu Śląskiego, jest obszerna monografia „Towarzystwo Jezusowe na Śląsku Cieszyńskim", praca zbiorowa pod redakcją ks. Józefa Budniaka i ks. Karola Mozora. Ukazała się nakładem Wydawnictwa WAM w Krakowie - najstarszego wydawnictwa katolickiego w Polsce, które zostało założone w r. 1872 przez ks. Stanisława Stojałowskiego jako Wydawnictwo Księży Jezuitów.

Jak czytamy w podtytule, książka niniejsza to studium ekumeniczne, bowiem obok zamieszczonych tu materiałów dotyczących historii i dziedzictwa jezuitów na Śląsku Cieszyńskim są również takie, które wskazują na wzajemne relacje na tych ziemiach między luteranami a jezuitami. Zresztą taki był cel organizatorów konferencji - Komisji ds. Stosunków Polsko-Czeskich i Polsko-Słowackich Polskiej Akademii Nauk oraz Stowarzyszenia Inteligencji Chrześcijańskiej. Referaty wygłaszane w języku polskim i czeskim w takim zapisie znalazły swoje miejsce w książce. A ich zakres tematyczny wymaga szczególnej uwagi. Znajdują się tu bowiem opracowania naukowe i popularnonaukowe prezentujące ogólnie historię jezuitów na Śląsku Cieszyńskim od początku XVII wieku aż do XX stulecia, a także szczegółowe opracowania np. działalności jednego domu zakonnego czy też postaci jezuitów wielce zasłużonych, jak Leopolda Szersznika, obok postaci mało znanych, ale dla zrozumienia historii tej ziemi niezwykle istotnych. Taką postacią jest ks. Franciszek Kałuża SI, urodzony na Śląsku Cieszyńskim, duszpasterz i działacz chrześcijańsko-społeczny zaangażowany w pracy Związku Śląskich Katolików i Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego, który na początku XX wieku w różnych miejscowościach Śląska Cieszyńskiego, m.in. w Łazach, gdzie był duszpasterzem (1903-1908), wygłaszając referaty, walczył o polskie szkoły, podniesienie poziomu oświaty i godną pracę i płacę w myśl zasad chrześcijaństwa. W roku 1938 został przeniesiony na parafię Serca Pana Jezusa w Cieszynie (dziś Czeski Cieszyn). Tu rok później został aresztowany przez Niemców i po pobycie w więzieniu w Cieszynie przewieziony do obozu w Sachsenhausen, gdzie zmarł w styczniu 1941 roku.

Monografia „Towarzystwo Jezusowe na Śląsku Cieszyńskim" skierowana jest głównie do historyków, archiwistów, regionalistów, duchownych, mieszkańców Śląska, którym bliska jest historia tego regionu widziana również przez pryzmat zagadnień religijnych. Pozwala zobaczyć bogate, ale i trudne religijne dzieje Śląska Cieszyńskiego, a jej zróżnicowany poziom pozwala sięgnąć po tę książkę każdemu, komu nie jest obca historia i refleksja nad przeszłością i przyszłością ekumenizmu.

E.S.

NAJSTARSZY PEZETKAOWIEC STANISŁOWIC

GUSTAW SŁOWIK NIE ŻYJE

Z boleścią w sercu żegnano 16 czerwca br. na błędowickim cmentarzu zmarłego nauczyciela i społecznika Gustawa Słowika.

Urodził się 11 lipca 1918 roku w Błędowicach Dolnych - na Podlesiu. Tu rozpoczął edukację w polskiej szkole. W 1938 roku zdał maturę w Polskim Gimnazjum im. J. Słowackiego w Orłowej. Po wojnie ukończył seminarium nauczycielskie i podjął pracę w swej rodzinnej wsi. Do roku 1964 był dyrektorem polskiej szkoły w Błędowicach, a następnie w Stanisłowicach.

Od wczesnej młodości był aktywnym działaczem społecznym, sportowcem, a przede wszystkim rozkochanym w muzyce pedagogiem. Już w Błędowicach udzielał się aktywnie w SMP, pracował w MK PZKO, przez 4 lata piastując funkcję prezesa. Zakłada wtedy chór szkolny z własną orkiestrą, reżyseruje przedstawienia, gra w piłkę nożną. Także w Stanisłowicach organizuje chór szkolny, reżyseruje przedstawienia, ofiarnie udziela się w zarządzie MK PZKO, piastując nawet krótko funkcję prezesa. Był też świetnym organizatorem w radzie nadzorczej Jednoty-Jedność. Wielkie zasługi zdobył w ruchu śpiewaczym. Starał się nie tylko ożywić śpiewactwo w MK PZKO, lecz aktywnie uczestniczył w Chórze Nauczycieli Polskich, pełnił funkcję kierownika organizacyjnego i prezesa.

Uhonorowany został wszystkimi odznakami PZKO, łącznie z wpisem do Złotej Księgi, oraz kilkoma wyróżnieniami z Polski.

Cześć jego świetlanej pamięci!

JÓZEF KULA

Dziękuję za artykuł Stanisława Zahradnika „Skutki hitleryzmu i stalinizmu na Zaolziu" w Zwrocie nr 6/2005, który sygnalizuje sprawę od dawna palącą wielu Zaolziaków: pomijanie narodowości bliskich, których straciliśmy.

Pozwolę sobie przytoczyć historię mego Ojca Teodora Knaba, który podał na palcówce narodowość polską i przy niej obstawał nadal w krytycznym momencie. Dlatego musiał zginąć.

24 kwietnia 1940 roku gestapo zabrało go prosto z pracy i został odwieziony do Cieszyna, skąd - jak później się okazało - zatrzymani zostali przetransportowani do Dachau, a następnie do Mauthausen-Gusen. Jego żona Helena natychmiast rozpoczęła starania, by go wyreklamować (ówczesny termin uzyskania zwolnienia). Szanse wydawały się duże, bo akurat jego chrześniak Walter Knab, który po wybuchu wojny dobrowolnie zgłosił się do Wehrmachtu, był na urlopie. Dołączył do desperacji mej matki swą młodzieńczą wiarę w sprawiedliwość, oświadczył: „wuj jest niewinny, wcześniej nie wrócę na front, zanim tego nie udowodnię" i uzyskał zapewnienie, że wszystko jest na dobrej drodze, jeszcze jutro zostanie przesłuchany i zwolniony. Jutro - to był ostatni dzień przed transportem z Cieszyna do obozu w Dachau. Przesłuchanie rzeczywiście się odbyło, zgodnie z protokołem, przebieg był następujący:

- Panie Knab, pan znalazł się tu przez pomyłkę. Przecież pan nosi niemieckie nazwisko, mówi płynnie po niemiecku. Czy pan się dopuścił jakiegoś czynu karalnego?

- Na pewno nie, jestem niewinny.

- Wobec tego proszę tu oto podpisać oświadczenie i jest pan wolny.

Treścią oświadczenia było przyznanie się do narodowości niemieckiej.

- Nie, tego podpisać nie mogę. Noszę niemieckie nazwisko, mówię płynnie po niemiecku oraz innymi językami, ale jestem Polakiem.

Przesłuchujący go oficer zaprotokołował jeszcze, że po rozmowie wyjaśniającej podejrzany nadal obstawał przy swoim.

Według późniejszych wspomnień kolegów niedoli Ojciec z tego przesłuchania wrócił pobity. Podpadł i cały czas tułaczki po obozach było mu ciężko.

W kamieniołomach Gusen zginął uczciwy człowiek, który dbał o to, by nigdy nikogo nie skrzywdzić, zachować godność ludzką i wartości, które wyniósł z domu. 8 listopada 1940 roku około godz. 12.30 zginął, jak wielu z Zaolzia, jako Polak.

ZOFIA KORPAK z domu KNAB

ZŁODZIEJE I ŚMIERĆ

Jednym czasym w Karwinej - już tymu grómade roków - srómotnie sie rozpanoszyli złodzieje. Nie było pómału nocy, żeby sie kómu kaj nie były straciły kury, gyńsi, ba i kormik na trokach albo wyrosołowany już i uwyndzóny z góry. Kiesi ludzie nie byli nauczóni tak zamykać swojóm gospodarke na noc, jak sie to robi dzisio; tóż złodzieje mieli lekóm robote, chodzili se jak po swoji. Wiedzieli psiopary zowdy, kieryndy u kogo nejprostszy sie lezie do kumory, do chlywa, do piwnice, na góre czy kaj. Zagrodził im ceste rygiel abo zopora, umieli jóm psiodusze wywożyć; a było trzeba kónsek drabiny, to prziniyśli i przistawili pod okiynko albo ku dachu na prziszłapku. I z psami u budy se wiedzieli dać rady.

Dy już tymu złodziejstwu nie było kónca, poczyni ludzie wiyncej zamykać i dować pozór. Ponikiery sie wybroł na przeszpiegi i do Wrysztota na torg, czy tam baji gyńsi swojich nie zezdrze i złodzieja nie przicapnie. Hale, katać by też tam złodziyj cudze gyńsi (w miechu isto uduszóne) niós aż kańsi do miasta. Tela norodu roztomajntego już przeca miyszkało w Karwinej! A ludzie jako ludzie: nie każdymu wóniała robota, abo ji ni móg nigdzi dostać, po strejku na przikłod; abo robił, a zarobioł mało na ludzki żywobyci. A jeść sie każdymu chciało... Tryfiała sie też wtedy dość czynsto tako wiycie choroba, że nikierymu biydokowi dokuczoł dziyń w dziyń przeokropicielny żyżyń, pić sie mu chciało wiecznie i tak strasznie, że wypłaty caluśki musioł niechować w gospodzie. Tak potym trza było roz za czas w miechu cosi przismyczyć na plecach, aby było do gorka, czy jaki tłóściejszy kónsek na brótfane. Gospodz-kimu do putyki sie też ponikiedy zaniósło i przedało.

Kogo okradli, tyn narzykoł i pierónowoł na łachów piekielnych, na chacharów i daryboków przeklyntych, co ludzki procy nie uszanujóm, na cudzym sie jyny pasóm; jowejczoł, przeklinoł, obiecowoł pasy drzyć i solić. Do szantarów? Nie było bardzo po co chodzić. Dyć óni sami swojigo kormika we chlywku przed złodziejami nie uwachowali!... Jeszcze im nocni rabusie krejdóm cały chlywek spisali, na wyśmiych!... Dy już prziszoł do nich z lutónkym jaki tym okradzióny, szantarzi wziyni, pieknie pospisowali, wypytali sie, na kogo mo podezdrzyni jaki, i tela. I dość dłógo

ani óni, ani żodyn cywil złodzieji żodnych nie przidyboł ani nie wykrył.

Prawie w te noc - pamiyntóm - jak umrzył nasz Janek, złodzieje ukradli babucia z chlywka kopidołowi przi starym kościele. Niedowno, jak sie ożynił i przekludził ku kościołu, ledwa zaczón gospodarzić i biydzie sie brónić, a tu zaroz tako urwa wielko i krziwda. Dobry pół dnia zmitrynżył u szantarów. W grudniu przed godami dziyń był krótki, od samego rana śniyg fujoł i śćmiywało sie już nadobrze, dy se spómnioł (albo baba mu przipómniała), że na jutro mo mieć dwa groby wykopane. Robota sie sama nie zrobi, a zrobióno być musiała. Tóż zjod cosi małowiela, latarke wzión i podeptoł we śniegu na kierchów. Cesta główno kole kierchowa była cosi ujeżdżóno wozami i chodnik wedle wydeptany za dnia, ale terazy o mało żywej dusze już nie potkoł. Prawie dwóch ludzi młodych widzioł zdalsza; ónego poznoł, bo przed miesióncym robił mu wielkóm i drogóm pukete niewieście ku ślubu.

Szli ci dwa młodzi ze Szustego do swoji ciotki na Dół. Ciotka dzisio wieczór robili doszkubki. Na ty doszkubki wiesiołe gotowali sie pachołcy i dziełuchy sie obiecowały, a ónych (już niby pobranych) też ciotka pozywali downo. Tak sie oto wybrali oba, że we wiesiołej bańdzie posiedzóm na chwile. Ale stało sie, miało sie stać, że sie porzóndnie zasiedzieli, dłógo do nocy. Bo ciotka sie postawili; upiykli hołde kołoczy, kapuśnioków, syrzoków, z powidłami, nawarzili fajnej kawy, teju, co gdo woloł; młodziocy przyniyśli malowane butelki z gorzołkóm słodkóm, warzónka też była, a piyrzo ostatek do szkubanio zbyło ledwa tak na zegłowke; beleby sie to nazywały doszkubki. Tóż jyny jod każdy pełnóm gymbóm, piło sie, czynstowoł jedyn za drugim, śpiwało sie, figle zmyślało, błoznowało. A opowiadaniu nie było kónca. Nejprzódź szły bojki o zielónych utopcach, o nocznicach, fajermónach, o obieszónych, potym co wyczytoł gdosi strasznego w rómanach, tak przeokropnie strasznego, że od posłóchanio samego aż włosy stowały na głowie. Na to sie ciotce Kupkuli przipómniały głodne roki, potym opowiadała o tym, jak to po Karwinej śmierć z kosóm chodziła i ścinała żywoty starych, młodych, jak był mór, ta kolera za wojny z Prusokami. Czas przi tym bojaniu, piciu, jedzyniu uciekoł jak woda we Stónowce i było już godnie po jedynostej - hawiyrze z popołedniajszej już byli downo przyjńdzóni - jak młodzi ze Szustego stanyli, że już muszóm iść dudóm. Bo obiecali mamulce, że na Dole u ciotki nie zabydóm sie na noc, ale że przidóm, na isto przidóm.

Przi swoji robocie na kierchowie kopidoł ni móg zapómnieć na swojigo

podkormiónego babucia. Tela se naobiecował, ślinki nałykoł, a prawie terazy isto oblizujóm sie z jego pracy jakisi chachary, przeklynte do gróntu piekła. Ale patrzoł roboty. Rył, proł kopoczym od złości, a gline wyciepował ź dziury łopatóm, aże furczało. Czoło uciyroł, klón w duchu na tyn złodziejski świat, spluwoł i kopoł zawziyńcie, jakby bez opamiyntanio. Aż przeca sie mu zazdało, że jutro po widoku ostatek już leko dokopie. Pochynół norzyńdzi, wyloz ź dziury, otrzepoł sie z gliny. Na ramie wzión kónsek ściyntego krzoka (żeby darymnie nie zawadzoł miyndzy grobami) i puścił sie ku bramie, dudóm. Latarke zgasił. Szoł pómału, bo i stropióny był, i śniyg siyngoł blisko do kolan. Dogramuloł sie ku bramie, w tym na kościele bliziutko poczyno bić północ: bónc!... bónc!... rozgłośnie, jakby umrzytych tu wszystkich naokoło miało pobudzić. Nasz kopidoł nie umrzytych mo w głowie, jyny swojigo babucia ukradziónego i złodzieji przegrzeszónych. "Skóre z ancykrystów drzyć i solić!" - prawi se do siebie w duchu i karkoszkóm na ramiyniu potrzónso od złości. Otwiyro fórtke, widzi, po drugi strónie krajym cesty do kopca skrodajóm sie dwa ciynie jakisi; wiynkszy ś nich niesie cosi pod pażóm w miechu. "Isto złodzieje!" - pomyśloł od razu. Fórtka otwiyrano zaskrzipiała, jakby sto diobłów zazgrzitało na zymbach, a tamci dwa, jakby jich z frónkaczki wystrzelił, gzuć poczyni i uciekać. "Móm was, rabusie!" - zawrzeszczoł kopidoł chrapliwie i w nogi za nimi. Musi ich dogónić, musi rozpoznać drabów, uwidzieć, co w miechu niesóm; gdo wiy, czy ni chodzioż połcie z jego babucia!... Uciekajóm jak szolóni, kopidoł, gibki jak młody cygón, za nimi. Wiynkszy ze złodzieji wypuścił spod paże tłómok, łap tego miynszego za rynke i lecóm. Kopidoł też swojóm karkoszke odciepnył i wio! Uwzión sie, że jich musi dogónić, chycić. Na rowniejszej ceście ci z przodku pruli jak dyby warciejszy. "Złodzieje!, chytejcie złodzieji!" - woło kopidoł. Ale kole chałup cicho, jakby były wymrzyte. Już sie mu widzi, że tamtych nie dogóni, że mu tak spod nosa uciekóm, tu znienacka miynszy złodziej siod na ceście, a wiynkszy go darymnie smyczy, obłapio i cosi upytuje. Dobiyg ich kopidoł, dziwo sie z bliska, do oczy i... zdymbioł: na ceście oto klynczy młodo żyńsko w pieknych szatach, oczy na niego wywalo, dyszy jakby sie topiła, za rynke jóm dzierży młody człowiek. Poznoł terazy obóch. Dyć przeca ich widzioł na śćmiywoku, z daleka sie mijali, jak szoł kopać groby. Mierzko zabyło go strasznie.

- Wyście sóm ko...kopidoł? - pyto sie ta na klynczkach i rynke przcisko do piersi.

- Tóż, tóż czymu ście uciekali? - przedciepuje im kopidoł głosym, jakby mu na płacz skrowało.

- My se myśleli, że to je już nasz kóniec! Że to śmierć z kosóm leci za nami!...

- Bylichmy na szkubaczkach u ciotki - wmiyszoł sie do rzeczy młody człowiek, też porzóndnie zdyszany, ale już miyni obałuszóny. - Opowiadali tam pełno o duchach, o obieszónych, o śmierci, jak chodziła z kosóm po Karwinej i zabijała ludzi. Prosto od bojanio my szli. Ćma było, cicho, nigdzi żywej duszyczki. Z daleka widzymy, na kierchowie światełko migo jakisi miyndzy grobami. "Żeby to duchy chodziły teraz ku samej północy?" - prawi moja. Strach nas obóch oblecioł. Idymy krajym walcówki, żeby jyny przyjńść. Światełko sie straciło. Na kościele za naszymi plecami zaczyno wybijać północ, godzine duchów. Tu, sóm my naprzeciwko bramy, w bramie stoji widziadło jakisi czorne i kose dzierży na ramiyniu, oganio sie. Naroz zazgrzitało na zymbach przeokropicielnie!

- Zawrzeszczała śmierć na nas, słyszałach to wyraźnie, wołała: "Móm was grzyszne dusze, ha!" Jużech sie widziała w grobie, mój ty kandy!...

- Dali my sie do ucieczki oba, a wy z kosóm za nami!...

- Żodno śmierć i z żodnóm kosóm! - przerwoł im kopidoł. - Grobych kopoł na jutro, przi latarce, potym niós ech suchego krzoka dudóm na spolyni. To fórtka w bramie zazgrzitała, wy z miechym porwaliście sie do uciekanio. Myślołech świyńcie, że złodzieji chytóm, co mi przeszłej nocy kormika ukradli z chlywka.

- To nie był miech - młody człowiek wtrónćił - to był zogłowek nowy, co mi go ciotka z Dołu usypali na prezynt! To my sie ale, babeczko moja, po próżnu wylynkali, głupio najedli strachu!

- A jo jeszcze głupszy złodzieji chytoł - rzecy kopidoł. - Ale pódźmy, bo sie terazy przed ludziami na ostatku jeszcze pospołu najymy gańby.

Pobudzóne psy szczekały jak wściekłe i ruch sie zrobił kole chałup, tak wszyscy trze sie puścili nazodź walcówkóm ku kierchowu. Młodzi sie wracali po zogłowek pochynióny; bo by wieczno szkoda było pożytecznego prezyntu. Kopidoł też podniós swojóm karkoczke. Prawili se "Dobranoc!" i rozeszli sie. Młodzi ku Szustymu, ón ku starymu kościołu.

Co wszyscy trze zażyli tej nocy, to sie ni mieli światu co chwolić, ni. Ale kopidoł sie kómusi znajómymu polutowoł, jak chytoł złodzieji swojigo babucia; i tak sie stało, żech móg wóm oto kónsek starokarwiński historyje opowiedzieć. Jesich co przidoł małowiela, to mi - pieknie was proszym -przeboczcie.

LECH

WYKREŚLANKA

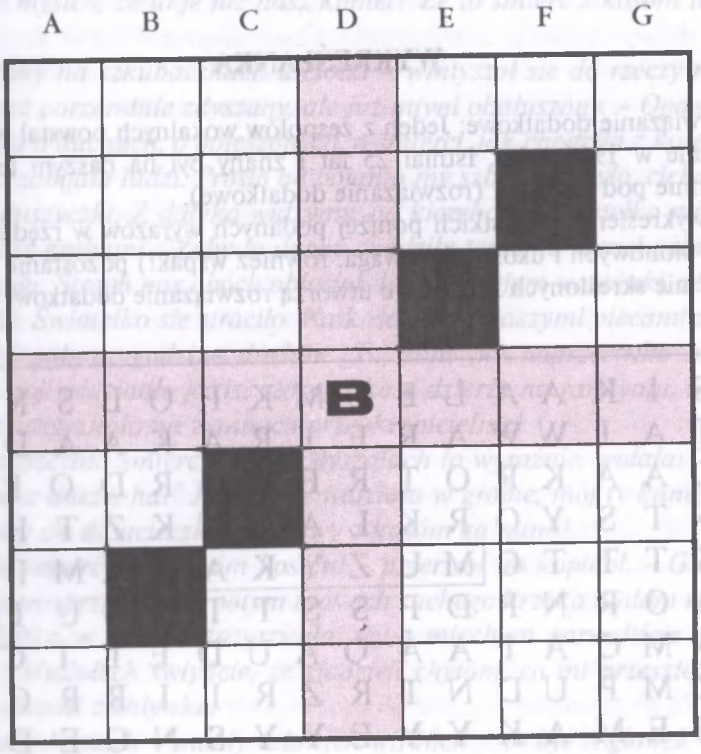
Rozwiązanie dodatkowe: Jeden z zespołów wokalnych powstał w Trzyńcu oficjalnie w 1955 roku. Istniał 25 lat i znany był na naszym terenie powszechnie pod nazwą ... (rozwiązanie dodatkowe).

Po wykreśleniu wszystkich poniżej podanych wyrazów w rzędach poziomych, pionowych i ukośnych (uwaga: również wspak!) pozostanie w diagramie 17 nie skreślonych liter, które utworzą rozwiązanie dodatkowe zadania.

O	S	I	K	A	A	L	B	U	M	K	P	O	L	S	K	A	K
R	T	A	I	W	W	A	R	E	I	R	A	K	A	A	D	A	A
T	O	A	A	K	R	O	T	R	E	M	O	R	D	O	R	P	P
S	N	T	S	Y	O	R	K	L	A	Ł	T	K	Z	T	E	O	O
L	K	T	T	T	O	M	U	Z	Y	K	A	R	A	M	P	R	K
O	A	O	R	N	P	D	P	S	S	T	T	P	G	U	I	C	E
S	N	M	O	A	I	A	A	O	A	U	D	E	L	I	C	J	E
K	Z	M	P	U	D	N	T	R	Z	R	I	I	R	R	C	A	U
A	H	E	M	A	K	Y	Y	E	Y	Y	S	N	O	E	D	O	R
L	D	O	L	A	R	N	T	B	F	T	T	A	O	P	P	C	O
A	T	E	S	A	K	T	A	U	A	O	T	O	I	M	D	O	P
Z	C	K	N	A	K	K	N	S	A	T	N	A	R	I	P	S	A

ALBUM, ANTYKWA, ASPIRANT, BARYTON, DELICJE, DOLAR, EUROPA, GAZDA, IMPERIUM, KAPOK, KARIERA, KARTA, KASETA, KATARYNKA, KOŁYSANKA, KOMPOZYTOR, KORAL, LAMPART, METRONOM, MONIUSZKO, ODEON, OKTAWA, OLSTRO, OPERETKA, OSIKA, PADALEC, PATEFON, PODMIOT, POLSKA, POPULISTA, PORCJA, PRELUDIUM, PRODROM, REBUS, RYBAK, SKALA, STONKA, STROP, SZELAK, TRZODA, TYRAN, TYTAN, WIATR.

KRZYŻÓWKA MAGICZNA

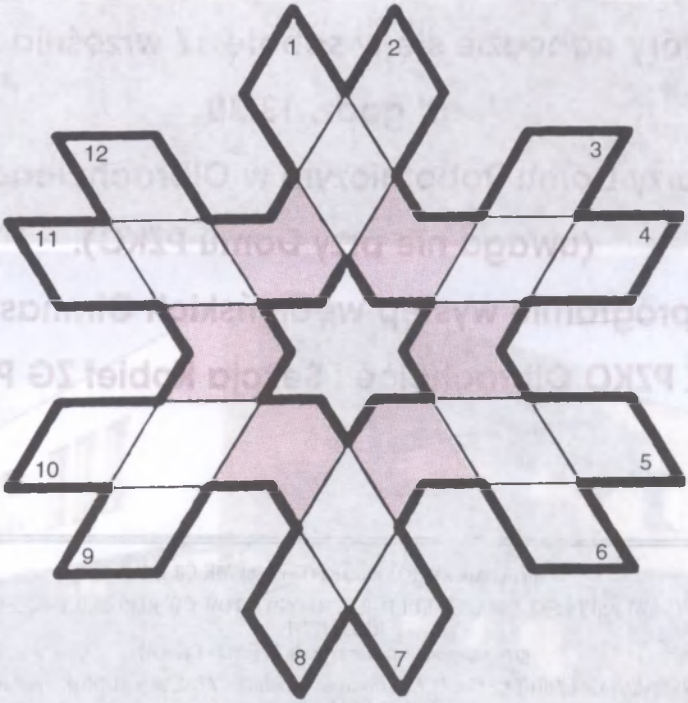


Rozwiązanie dodatkowe: Zespół dziecięcy działający w latach 1964–69 w Orłowej Mieście.

POZIOMO i PIONOWO jednakowo:

- **A.** Poważne zagadnienie. - **B.** Imię Polańskiego. - **C.** Halucynacja; symbol prazeodynu. - **D. ROZWIĄZANIE DODATKOWE.** - **E.** Skrót Ligi Narodów; przełożony klasztoru. - **F.** Arkusz nie składany. - **G.** Ma długość 42 195 metrów.

LOGOGRYF ŁAMANY



Rozwiązanie dodatkowe: Poprzednik i konkurent ZPiT Olza.
1-4. Jezioro w Równinie Augustowskiej. - **3-6.** Eksperyment. - **5-8.** Bitwa pod Grunwaldem Jana Matejki. - **7-10.** Gwiazdozbiór i znak zodiaku. - **9-12.** Opad atmosferyczny. - **11-2.** Drapieżna i bardzo żarłoczna ryba.

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe. Rozwiązanie prosimy przesyłać do końca sierpnia.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru czerwcowego:
FESTIWAL PZKO W TRZYŃCU

Nagrody książkowe wylosowali: **Helena Kraus** - Trzyniec
Otto Santarius - Orłowa Miasto

Zapraszamy na BABSKI FESTYN,
który odbędzie się w sobotę 17 września br.
od godz. 13.30
przy Domu Robotniczym w Olbrachcicach
(uwaga nie przy Domu PZKO).
W programie występ wędryńskich Gimnastów.
MK PZKO Olbrachcice i Sekcja Kobiet ZG PZKO

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Strzelnicza 28, P.O.Box 97, 737 01 CZESKI CIESZYN,
tel. i fax: 558 712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI,
Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK,
Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów - Infiniti art, s. r. o., Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 240 Kč, z wysyłką pocztową 324 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02
z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE DOMY PZKO



DOM PZKO
w Błędowicach

Odes.: Redakce ZWROT
Střelniční 28
737 01 Český Těšín

O.P.
P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE SZKOŁY

TRZYNIEC 6

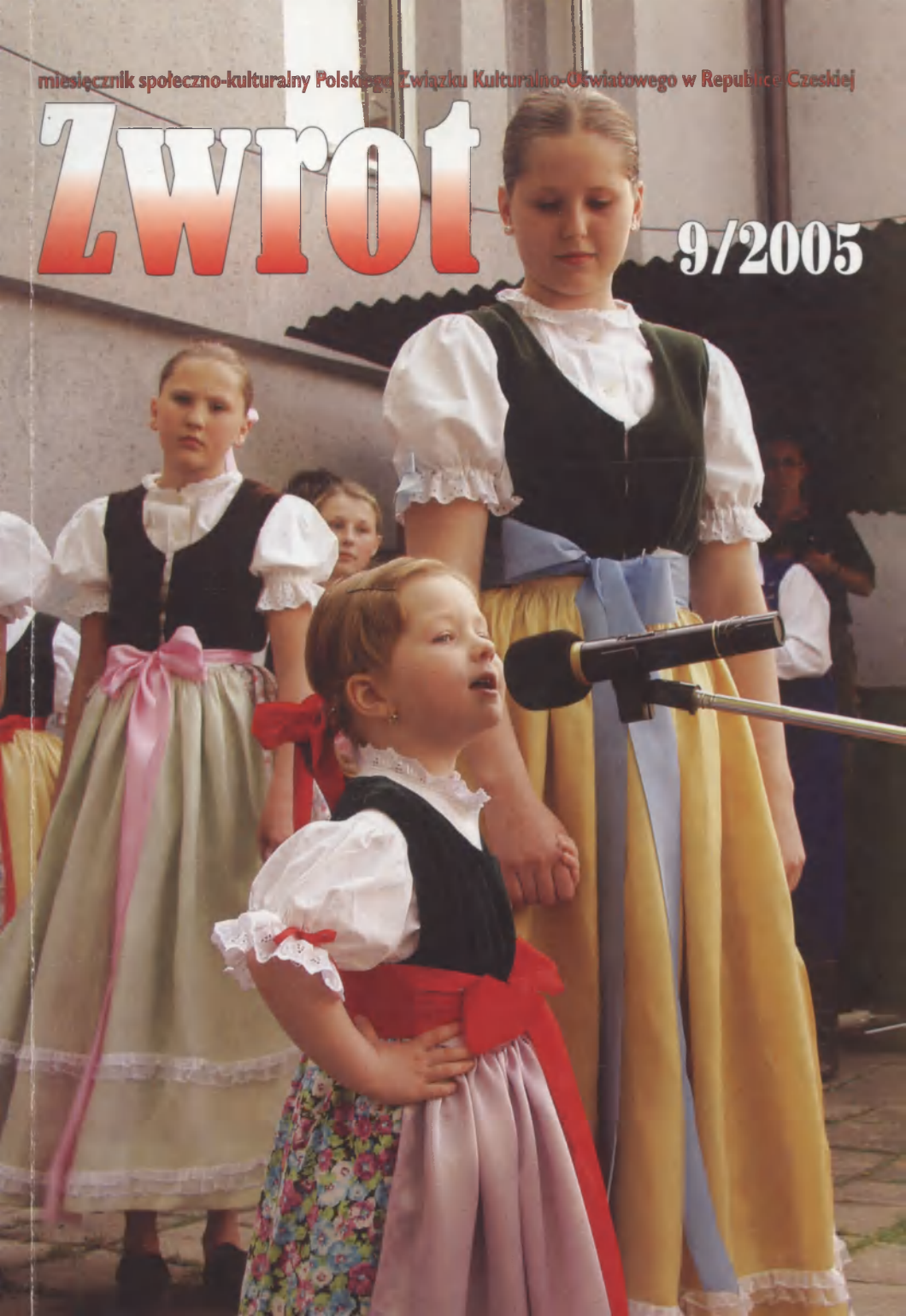


ISSN 0139-6277

miesięcznik społeczno-kulturalny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej

Zwrot

9/2005



TACY BYLIŚMY



Oldrzychowice Wieś – szkoła ludowa.
Zdjęcie wykonano 23 czerwca 1925 roku na zakończenie roku szkolnego.
Po prawej stronie stoi kierownik szkoły p. Kantor,
a obok tablicy nauczyciel p. Sikora.
Trójka chłopców na pierwszym planie (dwóch w pozycji leżącej)
to z lewej Karol Kisza, w środku Jan Kowalczyk
i z prawej strony Jan Jadamus.
W rzędzie siedzących pierwszy z lewej strony to właściciel zdjęcia
Jan Ciahotny zamieszkały w Karwinie, który chętnie spotkałby się
w Trzyńcu z kimkolwiek, kto jest na tym zdjęciu (nr tel. 596 364 112).

STANISŁAW BARAŃCZAK

OKREŚLONA EPOKA

Żyjemy w określonej epoce (odchrząknięcie) i z tego
trzeba sobie, nieprawda, zdać z całą jasnością.
Sprawę. Żyjemy w (bulgot
z karafki) określonej, nieprawda,
epoce, w epoce
ciągłych wysiłków na rzecz, w
epoce narastających i zaostrzających się i
tak dalej (siorbnięcie), nieprawda, konfliktów.
Żyjemy w określonej e (brzęk odstawianej
szklanki) poce i ja bym tu podkreślił,
nieprawda, że na tej podstawie zostaną
określone perspektywy, wykreślane będą
zdania, które nie podkreślają dostatecznie, oraz
przekreślone zostaną, nieprawda, rachuby
(odkaszlnięcie) tych, którzy. Kto ma pytania? Nie widzę.
Skoro nie widzę, widzę, że będę wyrazicielem,
wyrażając na zakończenie przeświadczenie, że

Żyjemy w określonej epoce, taka
jest prawda, nieprawda,
i innej prawdy nie ma.

CZ III 6/2005

Zwrot

Rok LVI, Nr 670
Cena numeru 20,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 27,00 Kč

9/2005

KSIĄŻNICA CIESZYŃSKA

W NUMERZE

3	Towarzystwo Avion	CZESŁAWA RUDNIK
6	Spór o jeńców z Zaolzia pomiędzy CSR a Polską w latach 1943-45	JIŘÍ FRIEDL
14	Wspomnienia z lat drugiej wojny światowej (9)	KAROL BARTULEC
20	Językowe pogranicze cieszyńsko-laskie (4)	WŁADYSŁAW MILERSKI
28	Prawodawca awangardy i prorok zagłady (Stanisław Ignacy Witkiewicz)	KRYSTYNA KARDYNI-PELIKÁNOVÁ
33	Kronika: Szkolne jubileusze, Wycieczka poznawcza Sekcji Ludoznawczej, XIII Światowy Festiwal Polonijnych Zespołów Folklorystycznych, 58. Gorolski Święto, Kawiarenka Świętogóralska 2005 Książka Zaolzia - konkurs	
48	Poezja: Daria Donocik, Tadeusz Pietrzyk, Jolanta Filipek-Čepcova	
50	Stanisław Ignacy Witkiewicz: 622 upadki Bunga czyli demoniczna kobieta (fragment)	
52	Libor Martinek o literaturze zaolziańskiej	LESZEK ENGELKING
57	Polsko-austriackie kontakty kulturalne i literackie w twórczości Edmunda Rosnera	LIBOR MARTINEK
60	Hans Christian Andersen	DANUTA GAUDYN-ONDRUCHOWA
64	Na półkach księgarskich	
70	Na naszej scenie	CZESŁAWA RUDNIK
73	Festiwal Filmowy Era Nowe Horyzonty	
74	Sekcja Historii Regionu przy ZG PZKO w mych wspomnieniach	ROMAN BARON
76	Pożegnania: Elżbieta Ocisk	
77	Wspómniynia o Gorolskim Święcie	WŁADEK Z GRÓNIA

Numer zamknięto 15. 8. 2005

TOWARZYSTWO AVION

Jedną z najmłodszych organizacji zrzeszonych w Kongresie Polaków w RC jest polsko-czeskie stowarzyszenie artystyczne Spolek-Towarzystwo Avion. Oficjalnie zarejestrowane zostało w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych 20 stycznia 2000 roku. Członkami-założycielami byli Jaromír Nohavica, Zbigniew Siwek i Renata Putzlacher-Buchta, która 5 lutego tego samego roku stała się prezesem stowarzyszenia.

Jednak literacka Kawiarnia Avion rozpoczęła swoją działalność już w 1996 roku. Wyremontowany klub w podziemiach Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie był świadkiem narodzin nowej „Kawiarni Avion, której nie ma...", bo tak nazwano inaugurujący jej działalność wieczór 23 lutego 1996 roku. Wykonawcy występowali na tle błękitnego fresku z latającą szaloną Małgosią i skrzypkiem Kohnem autorstwa Ladislava Szpyrca. W założeniach twórców kawiarnia nawiązywać miała do tradycji lokalu o nazwie Avion, który istniał nad Olzą w Czeskim Cieszynie w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Nowy Avion działał początkowo pod auspicjami Teatru Cieszyńskiego. Aktorzy tego teatru byli głównymi wykonawcami programów literacko-muzycznych Kawiarni Avion, a kierownik literacki Sceny Polskiej tego teatru Renata Putzlacher była współtwórcą kawiarni.

Polska poetka, a także tłumaczka, autorka scenariuszy i prowadząca wieczory Renata Putzlacher oraz czeski pieśniarz Jaromír Nohavica wymyślili dwujęzyczny Avion i oni byli autorami i głównymi bohaterami pierwszego programu. Jaromír Nohavica wpadał potem od czasu do czasu do kawiarni, patronując jej poczynaniom czy biorąc udział w programie, natomiast Renata Putzlacher realizowała tu programy autorskie, przygotowywała programy literackie i muzyczne, promocje książek, spotkania z ciekawymi ludźmi, roztaczała pieczę nad młodymi twórcami. Po przeprowadzce Renaty Putzlacher do Brna programy Avionu częściej gościć zaczęły także w tym i innych miastach, powstawały też spektakle, które prezentowane były na wielkiej scenie teatru, niektóre realizowano w Brnie i tam miały swoją premierę.

Należy podkreślić, że od początku działalności Kawiarni Avion jedną z najważniejszych spraw, która determinowała jej poczynania, było miejsce, region, z którego się wywodziła i któremu została przypisana, stanowiące konglomerat narodów i kultur Cieszyn i Ziemia Cieszyńska, toteż bohaterowie kawiarnianych wieczorów - zaproszeni goście, ale także postacie z prezentowanych w Avionie

spektakli - mówili różnymi językami: po polsku, po czesku i oczywiście gwarą śląską, ale też na przykład po niemiecku czy w języku jidysz.

W niedługim przecież okresie istnienia Avionu powstało trzydzieści programów, przez scenę przewinęło się stu wykonawców. Avion nigdy nie musiał walczyć o świadków swoich zdarzeń kawiarnianych, ambitne propozycje artystyczne sprawiały, że pełne były widzów i słuchaczy sale, w których występował. Wiele z wieczorów kawiarni zapisało się mocno w pamięci uczestników tych spotkań.

Krótko po inauguracji działalności, bo już w marcu 1996 roku, odbył się wieczór wspomnień i poezji lubianego na Zaolziu nieżyjącego już polskiego pisarza Tadeusza Nowaka pn. „Prorocy już odchodzą", szczególną okazją była premiera przedstawienia Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego „A jak królem, a jak katem będziesz" wg Nowaka. Twórców, którzy urodzili się w latach zakończonych cyfrą 6, prezentował 7 czerwca 1996 roku *pierwszy historyczny wieczór benefisowy zaolziańskich (i nie tylko) twórców w ramach polsko-czeskiej imprezy poetyckiej „Kamień czy słowo" nazwany „Kolumbowie rocznik ...6"*. 9 listopada tego samego roku odbyła się uroczysta promocja pierwszej książki wydanej w edycji Avion, którą był polsko-czeski zbiór wierszy Renaty Putzlacher „Małgorzata poszukuje mistrza - Markétka hledá mistra".

Pierwszą rocznicę istnienia kawiarni w lutym 1997 roku uczczono drugim polsko-czeskim programem poetycko-kabaretowym „W kawiarni Avion, której nie ma...". Był on symbolicznym pożegnaniem Renaty Putzlacher z Czeskim Cieszynem, a motywem przewodnim stała się piosenka Jaromíra Nohavicy o tym, że „Z Cieszyna wyjeżdżają pociągi co kwadrans". Trzynaste spotkanie w kawiarni Avion 3 października 1997 roku to „Benefis Bronka Liberdy", na który złożyły się *widowisko benefisowe, wystawa obrazów oraz promocja zbiorku rysunków jubilata pt. "Szóstka wygrywa"*.

Wiosną 1998 roku przedstawiła Renata Putzlacher autorski program poetycko-muzyczny o tematyce żydowskiej, *poświęcony mieszkańcom Cieszyna, których już nie ma*, nazwany „Historia prosta, w Cieszynie żył Kohn..." 13 czerwca tego samego roku w galerii Strych w ośrodku kultury Strzelnica wspominano pisarza zaolziańskiego Wiesława Adama Bergera w programie „Księga o nieumieraniu, czyli Dzisiaj miałbym urodziny", spektaklowi, który powstał na podstawie utworów i listów zmarłego pisarza, towarzyszyła wystawa prac jego żony Helgi. Inny zaolziański prozaik - Władysław Sikora - był bohaterem spotkania grudniowego, odbyła się promocja jego nowej książki „Ojcowizna".

29 listopada 1998 roku Kawiarnia Avion po raz pierwszy wystąpiła poza Cieszynem. Wieczór nazwany „W Kawiarni Avion, której nie ma, czyli Między Cieszynem a Brnem" zaprezentowany został na Scenie Kameralnej Divadla Husa na provázku w Brnie.

Czwarte urodziny Kawiarni Avion obchodzono na scenie Teatru Cieszyńskiego 26 lutego 2000 roku, wystąpił m.in. Jaromír Nohavica, odbyła się też promocja

pierwszej płyty Avionu. Na płycie zatytułowanej „Lamus" znalazły się piosenki skomponowane przez głównego muzyka Avionu Zbigniewa Siwka do słów Renaty Putzlacher, a zaśpiewali je Lena Pešák, Małgorzata Pikus i Sebastian Pawlak.

W Brnie i w Pradze przedstawiono po raz pierwszy w listopadzie 2000 roku program muzyczno-poetycki Bogdana Trojaka, Renaty Putzlacher i Zbigniewa Siwka „Genius loci (geniusz loce?) Śląska". Zaolziańską wersję *spektaklu po polsku, czesku i „po naszymu"* zobaczyli widzowie w Teatrze Cieszyńskim 11 listopada 2001 roku. Wcześniej, bo 11 marca 2001 roku, odbyła się tu polsko-czesko-słowacka rewia z okazji piątych urodzin Café Avion „W Kawiarni Avion, której nie ma... III albo Divertimento cieszyńskie". W tej samej sali obejrzeli widzowie 26 października 2002 roku *dziennik podróży i literackich zauroczeń* Renaty Putzlacher „Przez kresy i pogranicza". Renata Putzlacher, Jerzy Kronhold, Petr Hruška i Bogdan Trojak byli bohaterami *czesko-polskiego wieczoru twórców morawsko-śląskich* pod nazwą „Małe ojczyzny Renaty, Jerzego, Petra, Bogdana", który odbył się w listopadzie 2002 roku w ramach II Festiwalu Teatrów Moraw i Śląska w Czeskim Cieszynie.

We współpracy z Klubem Polskim Polonus w Brnie przygotowało Towarzystwo Avion Czesko-Polskie Konfrontacje Artystyczne „Dvojhlas - Dwugłos", które po raz pierwszy odbyły się w Brnie 30 października 2003 roku, a gośćmi byli m.in. pisarze Olga Tokarczuk i Bogdan Trojak, reżyser Radovan Lipus. „Dwugłos" stał się coroczną brneńską imprezą czesko-polską, w tym roku jesienią powinien zostać zrealizowany po raz trzeci.

Siedemdziesiąta rocznica otwarcia Café Avion koło Mostu Przyjaźni w Czeskim Cieszynie i siódma rocznica powstania Towarzystwa Avion obchodzone były 29 marca 2003 roku w teatrze w Czeskim Cieszynie. Na program „Avion Fest 70+7? Tak jest!" złożyły się: „Skarga wałkonia kawiarnianego" - popołudnie opowieści o kawiarniach z Radovanem Lipusem, „Młodzi górą" - prezentacja młodych adeptów pióra, pędzla i piosenki, „Pomiędzy - Mezi řádky" - promocja pierwszego wydanego w języku czeskim zbiorku poezji Renaty Putzlacher, „Koncert niespodzianka: Bliss.wz.cz". Na drugi polsko-czeski „Avion Fest" zaprosili organizatorzy 13 marca 2004 roku, odbyło się wtedy spotkanie kilku generacji poetów zaolziańskich nazwane „Spotkanie - Paranoja - Młodzi", promocja debiutanckiego czesko-polskiego tomiku Darka Jedzoka „Pusto" oraz promocja drugiej płyty Avionu „Divertimento cieszyńskie" z piosenkami Zbigniewa Siwka i Renaty Putzlacher w wykonaniu Małgorzaty Pikus, Barbary Humel i Dariusza Waraksy.

Założone u schyłku dziwnego stulecia i na przełomie wieków stowarzyszenie artystyczne Spolek-Towarzystwo Avion nie jest tylko instytucją, to także grono osób, które łączą więzy przyjaźni i podobne zainteresowania - twierdzi Renata Putzlacher, główna organizatorka i autorka wieczorów w Kawiarni Avion. W roku przyszłym kawiarnia literacka obchodzić będzie swoje dziesięciolecie.

CZESŁAWA RUDNIK

SPÓR O JEŃCÓW Z ZAOLZIA POMIĘDZY CSR A POLSKĄ W LATACH 1943-1945

Zarówno czechosłowackim, jak i polskim siłom zbrojnym na zachodzie w latach II wojny światowej przyszło powstawać w specyficznych warunkach. Jedną z cech charakterystycznych był brak dostępu do naturalnego źródła rezerw, za pomocą których możliwe byłoby uzupełnianie strat poniesionych na frontach. Zarazem było rzeczą wiadomą, że Niemcy na okupowanym terytorium Zaolzia, przyłączonym do Rzeszy, prowadzili działania germanizacyjne przy pomocy wpisów na tzw. volkslistę, czyli urzędowy wykaz obywateli narodowości niemieckiej na terytoriach włączonych do Rzeszy. Wykorzystali w tym celu fakt, iż proces uświadomienia narodowościowego mieszkańców Śląska Cieszyńskiego nie został jeszcze zakończony i że często panowało wśród nich poczucie o miejscowym, „śląskim" pochodzeniu. Często, pod groźbą różnorakich sankcji, dochodziło również do wmuszania volkslisty, zwłaszcza, że armia niemiecka potrzebowała kolejnych zasobów ludzkich w celu uzupełnienia swoich jednostek, a posiadacze volkslisty podlegali poborowi. Przykładowo w armii niemieckiej służyło ponad 9000 mężczyzn z obszaru powiatu czeskocieszyńskiego, a jedynie niewielką część spośród nich stanowili Niemcy. Gdyby większości udało się dostać do niewoli alianckiej, mogłoby to stanowić poważne wzmocnienie dla polskiej i czechosłowackiej armii.

Zasadniczy problem polegał jednak na nierozwiązanym sporze o Zaolzie. Polacy obstawali przy integralności swojego terytorium w granicach z 1 września 1939, które obejmowało również obszar Zaolzia, anektowany przez Polskę w październiku 1938. Tego z kolei nie zamierzał zaakceptować rząd czechosłowacki i prezydent Edward Beneš, którzy odmawiali uznania dla jakichkolwiek zmian terytorialnych, które zaszły w wyniku układu monachijskiego i w okresie po jego zawarciu. W wypadku jeńców pochodzących z Zaolzia prowadziło to do sytuacji, w której obydwie strony uważały ich za swoich obywateli, a więc również za swoich żołnierzy, których zarówno polskie, jak i czechosłowackie oddziały pilnie potrzebowały.

Pierwsi jeńcy niemieccy pochodzący z Zaolzia pojawili się w obozach jenieckich aliantów zachodnich w maju 1943 r., po likwidacji resztek wojsk Osi w Afryce północnej. W obozie w pobliżu Casablanki znalazła

się grupa Czechów z Zaolzia, licząca według polskich źródeł 33 osoby, na czele z Václavem Michalem. Podczas późniejszych przesłuchań, przeprowadzonych przez czechosłowackie ministerstwo obrony narodowej, wszyscy członkowie grupy podawali, że polscy dowódcy przekonywali ich w obozie do wstąpienia do armii polskiej, twierdząc, że nic nie wiedzą o istnieniu czechosłowackiej armii, jak również o czechosłowackich organach w północnej Afryce, z którymi jeńcy chcieli nawiązać kontakt. Przedstawiciele polskiego konsulatu w Casablance okazali nawet niektórym członkom grupy dokument, zgodnie z którym Zaolzie miało po wojnie przypaść Polsce, i uprzedzili, iż w wypadku odmowy wstąpienia do polskich sił zbrojnych będą musieli wraz z rodzinami opuścić Zaolzie. Czesi jednak nie dali się przekonać nawet po przyjeździe do Wielkiej Brytanii, za co spotkał ich ostracyzm ze strony pozostałych Polaków, doszło nawet do napaści fizycznej.

Ministerstwo obrony narodowej (MNO) rządu czechosłowackiego w Londynie 30 października 1943 r. wysłało pismo do ministerstwa spraw zagranicznych, w którym uznało wypowiedzi polskich oficerów-dyplomatów za niedorzeczne i zażądało podjęcia kroków dyplomatycznych. W jego następstwie 10 grudnia czechosłowacki ambasador przy polskim rządzie J. Skalický przekazał na ręce sekretarza generalnego polskiego ministerstwa spraw zagranicznych Feliksa Frankowskiego notę protestacyjną. Frankowski wyraził przypuszczenie, że wypowiedzi polskich oficerów były prawdopodobnie spowodowane oficjalnym polskim stanowiskiem prawnym w kwestii granic. Zapowiedział jednak dokładne zbadanie całej sprawy i poinformowanie o wynikach rządu czechosłowackiego.

Polscy oficerowie, a także polski konsul w Algierze Czapski, w swoich zeznaniach zaprzeczyli, by kiedykolwiek zmuszali Czechów z Zaolzia do wstępowania do armii polskiej, a tym bardziej nie grozili im żadnymi sankcjami. Przeciwnie, przytaczali cały szereg przykładów antypolskiej propagandy prowadzonej przez Michala i zwracali uwagę na fakt, że nawet czechosłowackie instytucje wojskowe i dyplomatyczne w Afryce północnej nie posiadały informacji na temat antyczeskiej propagandy prowadzonej wśród jeńców z Zaolzia. Niektórzy polscy oficerowie twierdzili, że w Algierii i w Tunezji panowała wręcz wzorcowa współpraca z organami czechosłowackimi i że obydwie strony nawzajem informowały się o swoich obywatelach, znajdujących się również w innych obozach, a w razie konieczności wzajemnie ich sobie przekazywały. Współpracę z czechosłowackim attaché wojskowym w Algierze ppłk. sztabu generalnego R. Bulanderem chwalił zwłaszcza kpt. Tadeusz Gluza, przytaczając konkretne przypadki, w których polskie organy wojskowe opiekowały się czeskimi jeńcami. Informacje te w pełni potwierdził również ppłk Bulan-

der, który stwierdził, iż nie posiada żadnych informacji na temat antyczeskiej propagandy prowadzonej przez Polaków i zarzucił ministerstwu spraw zagranicznych podejmowanie niepotrzebnych interwencji. Słowa Bulandera potwierdził również przedstawiciel rządu Czechosłowacji przy Francuskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego F. Černý, który sporządził w tej sprawie notatkę dla prezydenta Beneša.

Interwencja ministerstwa spraw zagranicznych z grudnia 1943 r. okazała się niewątpliwie zbyt pochopna i wydaje się rzeczą niezwykłą, że wcześniej nie skonsultowano tej sprawy z czechosłowackimi przedstawicielami przy Francuskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego w Algierze, Františkiem Černym i ppłk. Bulanderem. Nota protestacyjna, jak się wkrótce okazało, spowodowała efekt odwrotny od zamierzonego: współpraca pomiędzy czechosłowackimi a polskimi oddziałami, w kształcie zbudowanym przez ppłk. Bulandera, praktycznie przestała istnieć.

Kolejny napływ jeńców pochodzących z Zaolzia miał miejsce po inwazji aliantów w Normandii. Wkrótce po ich przybyciu do obozów w Szkocji pojawił się tam polski oficer, który oświadczył stanowczo, że wszyscy zamieszkujący we wrześniu 1939 terytorium Polski muszą wstąpić do polskich sił zbrojnych. Miroslav Novák oświadczył polskiemu majorowi, że jest Czechem, na co ten odpowiedział mu: *Tutaj w Anglii nie istnieje żadna czechosłowacka armia. Jest tu jedynie armia polska. Polska będzie sięgała nie tylko do Ostrawicy, ale również za Ostrawicę, aż do Berlina. Polska będzie sięgała od morza do morza*! Później Novák trafił do obozu jenieckiego w pobliżu Edynburga, gdzie inny polski dowódca wezwał do wstępowania do polskich oddziałów również jeńców pochodzących z Zaolzia. Groził jednocześnie, że ci, którzy odmówią, zostaną odesłani z powrotem do obozu dla jeńców niemieckich. Niektórzy, w obawie przed takim rozwiązaniem, wyrazili w końcu zgodę. Pod koniec 1944 roku oficer łącznikowy przy 5. armii amerykańskiej we Włoszech donosił, że na front włoski dotarł batalion armii polskiej złożony z byłych jeńców z Normandii. Doliczył się wśród nich 21 obywateli czechosłowackich, 17 z nich pochodziło z Zaolzia. Jednak ich przekazanie armii czechosłowackiej okazało się bardzo trudnym i praktycznie niemożliwym do zrealizowania problemem. Obrazuje to przykład Vladislava Windholza z Czeskiego Cieszyna, którego zwolnienia polskie dowództwo odmówiło, argumentując, że jest on obywatelem polskim.

Jeńcy, którzy opierali się naleganiu polskich oficerów (dowódców), spotykali się z wyzwiskami i agresją fizyczną ze strony niektórych jeńców Polaków. *Mówili nam również*, stwierdził Rudolf Sochacký, *że u Czechów nie będziemy walczyć, że będziemy ciągle siedzieć w koszarach, że Czesi nie potrafią walczyć i że będziemy żałować, że nie wstąpiliśmy do polskiej armii....*

Sytuację jeńców z Zaolzia dodatkowo utrudniali alianccy (zwłaszcza amerykańscy) dowódcy, gdyż dla większości z nich sprawa sporu o Zaolzie była całkowicie nieznana. Jeńcy często bowiem określali siebie Ślązakami, co alianci traktowali jako narodowość polską i wysyłali ich do polskich grup, z którymi następnie udawali się oni do centralnego obozu jenieckiego w szkockim Woodhouselee. Tam wprawdzie byli już obecni czechosłowaccy oficerowie, jednak wydostanie tych ludzi z polskiej grupy okazywało się często problematyczne.

Czeskie ministerstwo obrony narodowej 30 czerwca 1944 r. ponownie zażądało podjęcia kroków dyplomatycznych w stosunku do rządu polskiego. Tekst noty napotkał jednak na opór ze strony części urzędników ministerstwa, jak również samego Jana Masaryka. Uznał on pierwotną wersję tekstu za zbyt ostrą i zażądał korekty niektórych sformułowań. Treść noty została złagodzona, jednak 4 sierpnia 1944 r. Masaryk zdecydował nie przekazywać jej na razie ambasadorowi przy rządzie czechosłowackim A. Tarnowskiemu, uznając ówczesną sytuację za niedogodną. Doszło do tego dopiero 29 sierpnia 1944 r. W trakcie rozmowy Masaryk ujawnił Tarnowskiemu, że starał się jak najbardziej przesunąć w czasie przekazanie noty i że nie nalega na szybką odpowiedź polskiego rządu. Treść noty, w porównaniu z poprzednią z 10 grudnia 1943 r., była rzeczywiście stosunkowo łagodna. Ponownie podkreślała stanowisko rządu czechosłowackiego w kwestii Zaolzia, zaś jako jedyny przykład sporu w sprawie jeńców z Zaolzia podawała odmowę polskiego dowództwa w sprawie zwolnienia V. Windholza.

Czechosłowacka nota pozostała bez odzewu ze strony polskiej. Zasoby archiwalne wskazują jednak, że Polacy również gromadzili materiały na temat antypolskiej propagandy prowadzonej w obozach jenieckich przez oficerów czechosłowackich. W akcję zbierania dowodów zaangażowało się również Koło Ślązaków Cieszyńskich w Wielkiej Brytanii. Przykładowo npor. Večerek miał podkreślać różnorodne korzyści płynące ze służby w armii czechosłowackiej. Władysławowi Koskowi z Frysztatu powiedział rzekomo, że dzięki temu, iż czechosłowacka armia na zachodzie składa się z jednej tylko dywizji (!), możliwe będzie obsadzenie weteranów w wyzwolonym kraju na dobrze opłacanych posadach urzędników państwowych, co w wypadku armii polskiej, liczącej 4 dywizje, nie będzie równie łatwe. Miał również wskazywać, że w Polsce po wojnie wszyscy będą zaangażowani w odbudowę zniszczonego kraju, tymczasem Czechosłowacja, która ustrzegła się większych zniszczeń wojennych, będzie mogła zaoferować lepsze warunki. Wyraził jednocześnie gotowość udzielenia Koskowi pomocy w uzyskaniu obywatelstwa czechosłowackiego. W ten sposób rzekomo udało się kpt. Večerkovi przekonać kilku je-

ńców do wstąpienia w szeregi armii czechosłowackiej. Znacznie bardziej radykalnie od kpt. Večerka poczynał sobie kpt. Josef Obručka, który zelżył Józefa Gmuzdka z Karwiny, kiedy ten nie chciał podpisać zobowiązania do wstąpienia do armii czechosłowackiej. Obručka groził nawet Gmuzdkowi odesłaniem do obozu dla Niemców. Pewien czechosłowacki porucznik odgrażał się Władysławowi Macurze z Ropicy koło Czeskiego Cieszyna, że jeśli nie wstąpi do armii czechosłowackiej, nie będzie mógł wrócić na Zaolzie, mimo iż posiada tam rodzinę.

Można więc jasno stwierdzić, że obydwie strony, dążąc do pozyskania jak największej liczby żołnierzy, skłaniały się do działań niehonorowych, oszustw i wywierania presji.

Pod koniec roku sytuacja w obozach jenieckich w Wielkiej Brytanii uległa poprawie. Dowództwo alianckie umożliwiło bowiem, by podczas przesłuchań jeńców w tzw. obozach rozdzielczych (screening camps) obecni byli oficerowie czechosłowaccy, którzy mogliby zadać przesłuchiwanym pytanie o ich narodowość i chęć przystąpienia do armii czechosłowackiej.

Należy jednak w tym miejscu zauważyć, że swoją część winy w konflikcie wokół jeńców z Zaolzia w Wielkiej Brytanii ponosiło również czechosłowackie ministerstwo obrony narodowej. Sytuacja Polaków była co prawda o tyle lepsza, że ich jednostki znajdowały się na froncie francuskim, dzięki czemu mogli kierować jeńców zaolziańskich bezpośrednio do jednostek bojowych, z drugiej jednak strony okazywali znacznie większą elastyczność i szybkość, a polscy oficerowie należeli do pierwszych nieanglosaskich wojskowych, z którymi jeńcy z Zaolzia mieli kontakt. Niektórzy jeńcy wiedzieli co prawda o istnieniu armii czechosłowackiej z audycji radia londyńskiego, byli jednak całkowicie skazani na informacje, które uzyskiwali w obozie i, jeżeli nie chcieli powrotu do obozu przeznaczonego dla Niemców, nie pozostawało im nic innego, niż wstąpienie do polskich sił zbrojnych. Czechosłowaccy oficerowie do obozów docierali zazwyczaj znacznie później, co wydaje się nieco zdumiewające. Zdarzało się, że grupy Czechów oczekiwały nawet kilka miesięcy, zanim zgłosił się po nich czechosłowacki oficer. W wypadku Afryki północnej i Włoch, jak zobaczymy dalej, ze względu na ograniczone możliwości tamtejszych czechosłowackich władz wojskowych, taka sytuacja mogłaby być zrozumiała, jednakże w Wielkiej Brytanii ministerstwo obrony narodowej posiadało wystarczającą ilość oficerów, którzy mogli być kierowani do tych zadań.

Poniekąd specyficzna sytuacja panowała we Włoszech. Również na tamtejszym froncie walczyły dywizje niemieckie, w których szeregach znalazło się wielu żołnierzy pochodzących z Zaolzia. Wyobrażenie ich

liczby może obrazować doroczny raport misji wojskowej we Włoszech, skierowanej w to miejsce pod koniec 1943 roku. Dokument podaje, że w 1944 roku misja wysłała do Wielkiej Brytanii ogółem 1125 byłych jeńców, głównie z terenów Zaolzia. W skład misji wojskowej początkowo wchodziło tylko dwóch oficerów, którym zostały zlecone również inne działania, w momentach ofensyw alianckich nie mogli więc wystarczająco zapanować nad napływem jeńców. Sytuację dodatkowo znacznie komplikowała obecność polskiego 2. Korpusu Polskiego generała W. Andersa. W bitwie pod Monte Cassino Korpus doznał znacznych strat i pojawiło się zagrożenie, że dojdzie do jego rozwiązania, a z pozostałych żołnierzy sformowana zostanie tylko jedna dywizja. Generał Anders, nie chcąc do tego dopuścić, przekonał dowódcę wojsk alianckich we Włoszech gen. H. Alexandra, że straty mogą zostać uzupełnione przez Polaków, zmuszanych do służby w armii niemieckiej. Nie ma wątpliwości, że miał na myśli również obywateli spornego Zaolzia. Polscy oficerowie posiadali także, w odróżnieniu od czechosłowackich, dostęp do wysuniętych obozów jenieckich, co naczelne dowództwo alianckie uzasadniało koniecznością prowadzenia działalności informacyjnej wśród Polaków. Również fakt, że w niemieckich dywizjach służyło więcej Polaków niż Czechów stawiał w uprzywilejowanej pozycji żądania Polaków, by zezwolić na obecność większej ilości oficerów zajmujących się werbunkiem żołnierzy. Obecność Korpusu Polskiego gwarantowała jeńcom zgłaszającym się do polskich sił zbrojnych natychmiastową poprawę warunków materialnych. Większość członków Korpusu nie kryła swojego antyradzieckiego nastawienia, natomiast Czechów uznawała za sowieckich sojuszników. Oficjalne pismo Korpusu Orzeł Biały otwarcie wspierało słowackie tendencje separatystyczne.

Kompleksowo problematyką Czechów w armii polskiej zajmował się oficer czechosłowackiej misji we Włoszech mjr sztabu generalnego V. Podhora. Między innymi dzięki pomocy niektórych polskich oficerów udało mu się ustalić, w których jednostkach służą czescy żołnierze, i zamierzał starać się o ich zwolnienie. W dniach od 5 do 6 grudnia 1944 r. złożył wizytę dowództwu Korpusu z postanowieniem interwencji w sztabie Korpusu. Atmosfera była napięta - Polacy odmówili uznania, że Czechosłowacja ma prawo do Zaolzia i nie wyrażali chęci spełnienia żądań Podhory. Ten domagał się możliwości wystąpienia przed polskimi oddziałami i zadania, w obecności polskiego oficera, pytania, czy w jednostce jest jakiś Czech. Podobną metodę działania zastosował już wcześniej w polskiej jednostce w mieście Aversa, gdzie, w obecności amerykańskiego oficera, do czeskiej narodowości przyznało się 21 żołnierzy. Fakt ten prawdopodobnie przyczynił się do odrzucenia przez polskie do-

wództwo żądań Podhory. Major jednak nie zamierzał tak łatwo się poddawać i zbierał kolejne materiały, które potwierdzałyby prowadzenie antyczeskiej propagandy wśród jeńców z Zaolzia. Przygotowywał nawet, z pomocą amerykańskich organów wojskowych (przyjmujących w stosunku do czechosłowackiej misji bardziej wyrozumiałe stanowisko), akcję stawiającą sobie za cel „wyzwolenie" Czechów z Zaolzia służących w polskich jednostkach w okolicach Bari i Taranto. Nie posiadamy jednak żadnych informacji na temat realizacji tego planu.

11 stycznia 1945 r. gen. Anders wydał rozkaz, zgodnie z którym wszyscy ochotnicy narodowości czeskiej mieli zostać natychmiast zwolnieni z czeskich oddziałów. Do tej grupy nie zaliczał jednak osób pochodzących z Zaolzia, co spowodowało, że rozkaz ten nie miał dla strony czechosłowackiej praktycznie żadnego znaczenia. Zarazem rząd czechosłowacki wówczas nie mógł już przekazać oficjalnego protestu na ręce polskiego rządu w Londynie, gdyż było rzeczą oczywistą, że w krótkim czasie zamierza zerwać z nim stosunki dyplomatyczne. Czechosłowacka misja wojskowa we Włoszech ponownie interweniowała w dowództwie alianckim, uzasadniając, że w Korpusie Polskim służy, wbrew swej woli, szereg Czechów z Zaolzia. Moment kulminacyjny sporu miał miejsce dopiero po zakończeniu wojny, na jesień 1945 r., kiedy to w związku z repatriacją części członków Korpusu do Polski do misji dotarła delegacja reprezentująca Czechów z Zaolzia przymuszonych do walki w armii polskiej i zażądała, by misja zapewniła, że zostaną repatriowani nie do Polski, lecz do Czechosłowacji. Sukcesywnie misji udało się opracować imienne listy zawierające ostatecznie nazwiska około 160 osób, by następnie w grudniu 1945 r. pierwszy transport byłych żołnierzy Andersa dotarł do Czechosłowacji.

Nadal czekamy na szczegółowe opracowanie zagadnienia repatriacji byłych żołnierzy polskich sił zbrojnych, wydaje się jednak, że czechosłowackie władze wywierały pewien nacisk na repatriantów, żeby deklarowali czeską narodowość, nawet jeśli byli Polakami. Dokumentują to również wspomnienia Józefa Franka, który opisuje spotkanie z oficerem misji repatriacyjnej płk. L. Kašpárkiem. Wypełniając dokumenty Franka, w rubryce „narodowość" chciał on automatycznie wpisać „czeska". Kiedy Franek zaprotestował, płk Kašpárek odpowiedział mu, że *obecnie nie jest modne afiszowanie się obcą narodowością i że to się nawet nie opłaca.* Dlaczego miałoby się to „nie opłacać", wytłumaczył Frankowi jeden z kapitanów sztabowych czechosłowackiej misji wojskowej w Wielkiej Brytanii: *Wie pan, chcemy republiki dla Czechów i Słowaków, dla Niemców, Węgrów i innych hotentotów nie ma tam miejsca.* Bez wątpienia na stosunek do Polaków po wojnie miały wpływ wydarzenia monachijskie i przyłącze-

nia Zaolzia do Polski. W archiwach można znaleźć sporo materiałów świadczących o złożoności sytuacji narodowościowej w regionie cieszyńskim po wyzwoleniu, co znalazło następnie odbicie w stosunkach pomiędzy Czechosłowacją a Polską w pierwszych latach powojennych. Naszym zdaniem w końcowym rozrachunku prowadziło to również do sytuacji, w której wielu Polaków, bądź też Ślązaków, z obawy przed odwetem za Monachium wolało przyznawać się do czeskiej narodowości. Ma to odbicie również w danych statystycznych Urzędu Bezpieczeństwa na temat liczby byłych członków polskich sił zbrojnych w regionie cieszyńskim na dzień 30 września 1948 r. Dokument podaje, że ponad połowa spośród tych weteranów wojennych posiada czeską narodowość, co wydaje się być mało prawdopodobne (z ogólnej liczby 1672 osób, 997 miało być Czechami). Po wojnie bowiem szereg posiadaczy volkslisty narodowości polskiej, wśród których było również wielu byłych członków polskich sił zbrojnych, deklarowało czeską narodowość, by w ten sposób uzyskać czeskie obywatelstwo i „zmazać" grzech służby w armii niemieckiej.

Nieufności w stosunku do byłych członków polskich sił zbrojnych (często określanych Andersowcami, gdyż większość z nich służyła w 2. Korpusie Polskim we Włoszech) nie ukrywały również czechosłowackie urzędy. Na posiedzeniu ostrawskiego oddziału Morawskośląskiej Ziemskiej Rady Narodowej Viktor Linhart scharakteryzował Andersowców następująco: *Są do ludzie, którzy zdradzili czeską i polską narodowość, deklarowali narodowość niemiecką, służyli w armii niemieckiej, większość z nich została wzięta do niewoli. Przeszli przeszkolenie w armii niemieckiej i polskiej, większość z nich posiada przeszkolenie specjalistyczne i włada kilkoma językami.* Linhart, w obawie przed efektami działań tych żołnierzy, żądał wzmocnienia w regionie cieszyńskim oddziałów Sboru národní bezpečnosti (SNB; Korpus Bezpieczeństwa Narodowego). Nie wiemy, czy ministerstwo spraw wewnętrznych spełniło jego żądania. Jednak przytaczane statystyki Urzędu Bezpieczeństwa i inne źródła zachowane w czeskich archiwach dowodzą, że również w latach powojennych czechosłowackie organy odpowiedzialne za zbieranie informacji intensywnie interesowały się byłymi żołnierzami polskich sił zbrojnych. Problematyka ta jednak nadal czeka na szczegółową analizę.

JIŘÍ FRIEDL

Jest to fragment pracy doktorskiej „Kontakty między czechosłowackimi i polskimi siłami zbrojnymi w latach 1939 - 1945" obronionej na Uniwersytecie Śląskim w Opawie.

WSPOMNIENIA Z LAT DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ (9)

Radosnym dla mnie zaskoczeniem było otrzymanie wiosną 1946 roku listu od rodziców, z którymi nie miałem żadnego kontaktu od wysłania do nich ostatniego listu w lipcu 1944 roku jeszcze z niemieckiego wojska. Zdziwiłem się, skąd wzięli mój adres. Po przeczytaniu listu sprawa się wyjaśniła. W Święta Bożego Narodzenia w 1945 roku pojechałem na nabożeństwo do Edynburga. Tam wdałem się w rozmowę z nieznajomym żołnierzem i okazało się, że pochodzi z sąsiedniej wioski, z Olbrachcic i nazywa się Karol Szelong. Jego ojca z nazwiska znałem, bo był leśniczym. Karol Szelong był również w wojsku niemieckim, a w polskim wojsku był zaszeregowany w tworzącej się 3. Dywizji Piechoty. Również i ja przedstawiłem się z nazwiska, imię mieliśmy to samo. Określiłem mu miejsce zamieszkania mych rodziców w Stonawie i stwierdziłem, że okolice Stonawy Meksyku są mu znane. Z rozmowy z nim wypłynęło, że już wówczas nosił się z zamiarem powrotu do domu, kiedy to miało nastąpić, jeszcze nie wiedział, ale w każdym wypadku transporty drogą morską odchodziły już do Polski. Ja, uczęszczając do szkoły, jeszcze takiego zamiaru nie miałem i przy rozstaniu wymieniliśmy adresy na wypadek, gdyby stało się coś nadzwyczajnego. W Anglii już nie spotkaliśmy się i, prawdę powiedziawszy, to o nim zapomniałem. Z treści listu od rodziców dowiedziałem się, że to właśnie ten kolega Szelong odwiedził ich osobiście, opowiedział im o naszym spotkaniu i podał im mój adres. W liście rodzice wyrazili radość z tego, że się odnalazłem, bo od kapitana kompanii, w której służyłem w niemieckim wojsku, otrzymali wiadomość, że jestem „vermist", czyli zaginiony, nie wiedzieli więc, co się ze mną stało. Jeszcze dwukrotnie od niego przyszły zapytania, czy dałem znać o sobie. Od kolegi Szelonga dowiedzieli się również, że chodzę do szkoły, i zaproponowali mi w razie mego powrotu umożliwienie dalszej nauki w Orłowej. Rzeczywiście uderzyli w mą słabą strunę, bowiem tęskniłem za domem. Odpisałem im od razu, że zastanowię się nad ich propozycją, jednak rozpoczęty już rok szkolny chciałbym dokończyć. Bezzwłocznie wysłałem do czechosłowackiej ambasady w Londynie zgłoszenie chęci powrotu do Czechosłowacji.

Tymczasem z powodu uznania przez aliantów rządu w Warszawie jako jedynego przedstawiciela Polski na międzynarodowym forum emigracyjny rząd polski w Londynie wraz z podległym mu wojskiem znalazł się w sytuacji niejasnej pod względem prawnym. Anglicy w uznaniu zasług wkładu Pols-

kich Sił Zbrojnych na Zachodzie w zwycięstwo nad hitlerowskimi Niemcami stworzyli dla tych polskich żołnierzy, którzy nie chcieli wracać do kraju, tak zwany Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia. Jego głównym zadaniem było stworzenie warunków przejścia do cywilnego życia, zyskania kwalifikacji zawodowych i możliwości zatrudnienia. Tym, którzy zdecydowali się na powrót do kraju, organizowano wyjazd do Polski, dając im finansową odprawę. Po tych decyzjach angielskiego rządu nastało wśród żołnierzy i reszty polskiej emigracji rozczarowanie i zawód, odczuli to jako zdradę ich marzeń o powrocie do Polski w zwartych szeregach. Pracowała również propaganda przeciw powrotowi, argumentująca, że powracających w kraju czekają szykany i nawet wywózka na Sybir. Była również szeroko poruszana sprawa popełnienia przez ZSSR zbrodni na polskich oficerach w Katyniu. Z początku chętnych do powrotu pod wpływem tych argumentów było niewielu. Z czasem jednak tęsknota za krajem, za rodziną stawała się silniejsza od propozycji pozostania na emigracji, niepewnych widoków na przyszłość i zgłoszeń do powrotu przybywało coraz więcej.

Ja do ukończenia roku szkolnego i pierwszego miesiąca wakacji nie podjąłem żadnej decyzji w sprawie mego powrotu do domu i czekałem na odpowiedź z czechosłowackiej ambasady w Londynie. Niejasna przyszłość szkoły, następne listy od rodziców i wreszcie kategoryczne żądanie władz angielskich, by pisemnie wypowiedzieć się, kto zamierza pozostać w Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia, a kto decyduje się na powrót do kraju lub innego dowolnie wybranego państwa, zaważyło na mojej ostatecznej decyzji. W sierpniu 1946 roku postanowiłem powrócić do kraju. Tym samym zostałem skreślony ze spisu uczniów gimnazjum i odkomenderowany do przejściowego obozu w Gaerlochhead. Tam załatwiano wszelkie sprawy związane z demobilizacją i transportem do Polski. W obozie tym spędziłem prawie pięć miesięcy, od sierpnia 1946 roku do stycznia 1947 roku, czekając na wyjazd. W obozie nie mieliśmy żadnego programu zajęć i jeśli były, to były związane z naszym wyjazdem. Każdy swój wolny czas wykorzystywał według własnego uznania. Ja korzystałem z obozowej biblioteki i spacerów po okolicy. Pewnego razu, idąc na popołudniową przechadzkę, oglądałem przydomowe ogródki, pięknie strzyżone trawniki, klomby kwiatów i w jednym z ogrodków zobaczyłem mężczyznę z kobietą nie bardzo sobie radzących ze ścinaniem drzewa. Mając w sobie zapas niewykorzystanej energii, zaofiarowałem im swą pomoc, którą chętnie przyjęli. Przychodziłem potem do nich częściej, by im pomagać w jesiennych pracach w ogródku. Ponieważ nie potrafiłem się jeszcze swobodnie posługiwać językiem angielskim, chciałem tę znajomość wykorzystać

do lepszego opanowania angielszczyzny. Było to bezdzietne małżeństwo w średnim wieku, on nazywał się Dawid Mc Kichan, z zawodu był ślusarzem i miał własny warsztat ślusarski w pobliskim mieście Stirling, jego żona Mojra krzątała się koło gospodarstwa domowego. Razem z nimi mieszkała siostra Dawida panna Margareth Mc Kichan i pracowała jako pielęgniarka w szpitalu w Glasgow. Mieli samochód osobowy i czas od czasu zabierali mnie do pobliskiego Stirlingu lub powiatowego miasta Dumbarton. Byli bardzo sympatyczną rodziną, a ich zdjęcia na tle domu i ogrodu znajdują się wśród kolekcji mych wojennych fotografii.

W obozie była polska biblioteka i chętnie z niej korzystałem. Zaś moimi ulubionymi autorami byli Józef Ignacy Kraszewski, Stefan Żeromski, Zofia Kossak-Szczucka i Tadeusz Dołęga-Mostowicz. Książką i pracą u moich szkockich znajomych, dyskusjami z kolegami na tematy polityczne i ogólne skracałem sobie czas oczekiwania na wyjazd. Chociaż rodzicom w listach wspominałem, że być może nadchodzące Święta Godowe spędzę już z nimi, to niestety zostałem wyznaczony do transportu dopiero na początek 1947 roku.

Według zaświadczenia z Ośrodka Zapasowego Wojska - Home Depot Polish Forces zostałem skreślony ze stanu ewidencyjnego Polskich Sił Zbrojnych poza krajem 4 listopada 1946 roku. Pełniłem w nich służbę od 12 sierpnia 1944 roku. Za udział na froncie otrzymałem brytyjskie odznaczenia 1939-1945 Star, France and Germany Star oraz The War Medal 1939-1945.

Po załatwieniu wszystkich formalności związanych z demobilizacją, takich jak szczepienia ochronne, fasowanie cywilnego ubrania i bielizny, pobrania odstępnego (otrzymałem 250 funtów szterlingów) i po załatwieniu sprawunków 4 stycznia 1947 roku odwieziono nas do Edynburga, gdzie zaokrętowano nas na statku towarowym średniej wielkości. Nie było nas dużo, około 60 osób. Dwóch demobilizowanych zabrała ze statku angielska policja, ponieważ nie mieli uregulowanych obowiązków alimentacyjnych. Tego samego dnia wypłynęliśmy w morze. Właśnie układaliśmy się do snu, kiedy zaczęły pracować motory i statek wyruszał w rejs do Gdańska. Ogarnął mnie niepokój, czy ten ostatni etap mej wojennej tułaczki zakończy się pomyślnie, ponieważ przed wypłynięciem słyszeliśmy od marynarzy o szalejącej na Morzu Północnym burzy. Spaliśmy w marynarskich kojach w hamakach. Dla szczurów lądowych było to łoże niezbyt wygodne, stale kołyszące się w rytm statku. Z początku nie mogłem zasnąć z podniecenia i emocji związanych z wyjazdem. Monotonny szum motorów i lekko kołyszący się hamak jednak dokonały swego. Zasnąłem, ale sen był niespokojny i niedługi. Gdzieś między drugą a trzecią godziną nad ranem przebudziłem się, odczuwając w żo-

łądku lekki ucisk. Hamak kołysał się gwałtowniej, wylazłem z niego i chciałem pójść do ustępu. Ogarnęły mnie bowiem nudności, a kołyszący się statek i słabo oświetlone międzypokładzie utrudniały mi utrzymanie ciała w równowadze. W końcu dowlokłem się do zbawczej ubikacji i zwymiotowałem. W ustępie stwierdziłem, że nie byłem jedyny, którego w tak krótkim czasie zmogła choroba morska. Przyczyniła się do tego szalejąca na zewnątrz burza, o której mówiono wieczorem. O spaniu nie było już mowy, chorych przybywało, a wyjście na górny pokład statku było niemożliwe. Wyjściowe drzwi na pokład były zamknięte. Rano gwałtowne kołysanie statku nie zmalało i wszyscy zostaliśmy wyposażeni w kamizelki ratunkowe. Ponoć nadano nawet sygnał SOS. O jedzeniu śniadania czy też obiadu nie było mowy. Niewielu tylko oprócz marynarzy decydowało się na to. Całą grozę szalejącej burzy obserwowałem przez okienko w wodoszczelnych, żelaznych drzwiach wychodzących na pokład statku. Olbrzymie, może nawet ośmiometrowe fale wynosiły na swój grzbiet statek niby łupinkę, by następnie pogrążyć go w morskiej otchłani i zalać z góry wodą. Pod taką ilością wody statek, używając określenia lądowego, aż zadrżał w posadach. Walka marynarzy z żywiołem trwała do następnej nocy. Słaby, wycieńczony chorobą morską nawet nie próbowałem położyć się w hamaku i w pozycji siedząco-leżącej na podłodze oczekiwałem, nie tylko ja, niedobrego zakończenia rejsu. Dopiero może gdzieś po północy drugiego dnia podróży kołysanie statku zmalało i rankiem trzeciego dnia wypłynęliśmy na spokojne wody cieśnin duńskich Skagerak i Kattegat. Chociaż bezpośrednie niebezpieczeństwo zatopienia statku minęło, to jednak uczucie zagrożenia w mej psychice pozostało. Tego dnia o jedzeniu nie było mowy, co najwyżej napiłem się gorzkiej herbaty, ale i tej mój organizm nie zniósł. Morska choroba przestała działać dopiero czwartego dnia, kiedy to po ominięciu duńskich cieśnin wpłynęliśmy na wody Bałtyku. Po spożyciu posiłku i przespanej w hamaku nocy mój organizm powracał do normalnego stanu i wówczas zaczynałem się niecierpliwić, że podróż drogą morską tak długo trwa.

Do Gdańska przybyliśmy 10 stycznia 1947 roku w godzinach porannych. Od wyjścia na ląd wraz ze swoim bagażem byliśmy eskortowani przez uzbrojonych żołnierzy do obozu otoczonego kolczastym drutem. Sprawiało to nienajlepsze wrażenie, biorąc pod uwagę, że dotąd uchodziliśmy za ludzi godnych szacunku i poważania, tak przynajmniej było w mowach pożegnalnych, tu zamiast powitania nas jako bohaterów była zbrojna eskorta za druty. W obozie sprawowanym przez państwowy urząd repatriacyjny po krótkiej powitalnej mowie dowódcy obozu w randze kapitana oznajmiono nam najbliż-

szy program działania. Rejestracja danych personalnych, podanie docelowych stacji i fotografowanie. Zdjęcia były potrzebne do zaświadczenia, które służyło jako bilet jednorazowego przejazdu wszelkimi środkami lokomocji do docelowej stacji. Ja podałem dokładny adres Cieszyn, ul. Zamkowa 7, chociaż nie wiedziałem, czy taki numer istnieje. Miałem się również w terminie do 8 dni zameldować w Rezerwowej Komendzie Uzupełnień w Cieszynie. Na drugi dzień wieczorem, to jest 11 stycznia 1947 roku, wyposażony w potrzebny dokument z bagażem udałem się na dworzec kolejowy, by zdążyć na nocny pociąg pośpieszny relacji Gdańsk - Katowice. Już w obozie zwracano nam uwagę, by nie dać się okraść zorganizowanym bandom. Zazwyczaj pod pozorem pomocy przy niesieniu bagaży złodzieje, niosąc walizki i worki, zaczęli uciekać w przeciwne strony. Gdy poszkodowany gonił jednego, ten rzucał bagaż i salwował się ucieczką po znanych mu ulicach. Tymczasem drugi spokojnie zdążył zniknąć wraz z bagażem i ukryć się w zakamarkach miasta. Podobne kradzieże zdarzały się i w pociągach. Wiedząc o tym, po wtłoczeniu się do korytarza przepełnionego wagonu dla pewności usiadłem na walizce, zaś na worku trzymałem rękę. O spaniu nie było mowy, trochę jednak drzemałem. Do Katowic przyjechaliśmy po południu i przesiadłem się do pociągu jadącego do Bielska-Białej a tam dosłownie w ostatniej chwili złapałem pociąg jadący do Cieszyna. W Cieszynie na dworcu kolejowym znalazłem się gdzieś koło północy. W pociągach z Katowic do Bielska-Białej i stamtąd do Cieszyna był już luz, trochę odetchnąłem, niemniej jednak dalej pilnowałem swych bagaży. W Cieszynie mieszkał mój stryj, brat mego ojca, lecz nie znałem jego adresu, wiedziałem tylko, że jest zatrudniony jako prawnik w miejskim magistracie. Przeczekałem więc całą noc w poczekalni dworcowej w towarzystwie młodej kobiety, która czekała na poranny pociąg do Zebrzydowic. Dość długo się jej przypatrywałem i myślałem, że jest w ciąży, ale w czasie naszej pogawędki dowiedziałem się, że jest dookoła ciała wypchana papierosami, które chciała przeszmuglować na czeską stronę w okolicach Kaczyc.

Rano przed godziną ósmą już czekałem przed drzwiami magistratu. Po powitaniu się z stryjem Józefem trochę się pod kranem umyłem, potem po śniadaniu stryj załatwił mi przepustkę. Na zaświadczeniu z Gdańska napisano, że dokument uprawnia mnie do przekroczenia granicy polsko-czechosłowackiej 13 stycznia 1947 roku. Podczas nocnego czuwania na dworcu stwierdziłem, że w południe jedzie pociąg z Cieszyna do Cz. Cieszyna. Wróciłem na dworzec i z przepustką w ręku przed godziną dwunastą wyjechałem na czeskocieszyński dworzec. Na dworcu jako osoba w mundurze polskiego żołnierza od razu stałem się obiektem zainteresowania najbliższego otoczenia,

ale przede wszystkich celników. Ci wymagali zapłacenia cła, głównie za przywiezione w większej ilości papierosy. Oczywiście czeskich koron nie miałem, na szczęście miał służbę znajomy celnik i pożyczył mi pieniądze nie tylko na zapłacenie cła, ale i na drogę do Łąk nad Olzą. Ów celnik nazywał się Morawec, mieszkał w Łąkach n/Olzą i do szkoły ludowej codziennie chodziłem koło jego domu. Zaufał mi i pożyczył mi potrzebną kwotę, którą mu ojciec na drugi dzień z podziękowaniami zwrócił.

Na tym jednak moje perypetie nie skończyły się. W urzędzie celnym zostawiłem bagaże i musiałem zgłosić się w powiatowej komendzie policji w Cz. Cieszynie, która mieściła się w śródmieściu. Tam o mało mnie nie zamknęli za nielegalne przekroczenie granicy. Według prowadzącego przesłuchanie oficera miałem najpierw zgłosić się w czechosłowackim konsulacie w Katowicach i stamtąd otrzymać potrzebne mi dokumenty. W rozmowie ze mną, spisując dane personalne moje i mych rodziców, zapytał również o panieńskie nazwisko matki. Odpowiedziałem Wojnar i tu zastanowił się nad czymś, po chwili zapytał, skąd matka pochodzi, odpowiedziałem, że z Nydku. Złagodził tok przesłuchania i przyznał się, że i on również nazywa się Wojnar. Wojnarowie to częste pod górami nazwisko i chyba nie był pewien, czy aby nie należymy do rodziny. Zmienił ton, załatwił resztę formalności i kazał zgłosić się na policji w miejscu zamieszkania. Po opuszczeniu komendy policji udałem się z powrotem na dworzec, podjąłem bagaże i po zakupieniu biletu gdzieś koło godziny trzeciej po południu dojechałem do Łąk n/Olzą. Wysiadłem na tym samym przystanku, skąd niemal cztery lata temu wyjechałem w nieznane. Tam u służbę pełniącego dróżnika zostawiłem bagaże i pędem pobiegłem do domu, szczęśliwy, że skończyła się wreszcie moja wojenna tułaczka.

Cóż, dzisiaj po 50 latach trudno oddać odczucia i radość, jaką wszyscy przeżywaliśmy przy powitaniu i tę szczególną atmosferę przelać na papier. Pierwszy raz zobaczyłem małego braciszka Janka, który niezupełnie rozumiał, co się właściwie dzieje. Matka, ojciec, siostra Milka i ja wszyscy przeżywaliśmy chwile ogromnego wzruszenia, a on, kiedy go chciałem podnieść i ucałować, szukał u mamy ratunku przez obcym intruzem.

Na tym kończę moje wspomnienia z lat wojennych. Dodam tylko w formie „post scriptum", że dopiero po roku od mego powrotu w rodzinne strony na miejscowy posterunek policji w Stonawie przyszło zapytanie z ambasady czechosłowackiej w Londynie, czy mogą mi dać pozwolenie na powrót do Czechosłowacji!

KAROL BARTULEC

JĘZYKOWE POGRANICZE CIESZYŃSKO-LASKIE (4)

CECHY GWAR LASKICH

Pomiędzy terytorium językowym polskim a czeskim nie ma ostrej granicy. Na pograniczu tych języków ciągnie się obszar, gdzie lud wiejski mówi gwarami o jednych cechach polskich, innych czeskich. Ten obszar dialektów pogranicznych, zwanych "laskiemi", obejmuje najbardziej zachodni pas Śląska Cieszyńskiego (nad Ostrawicą), całą niezniemczoną dawniej część Śląska Opawskiego, skrawek Moraw koło Frensztatu i Sztramberka oraz małą część przedwojennego Śląska pruskiego na południe od Raciborza i Głubczyc. Im dalej na południowy zachód, tym bardziej ubywa cech polskich, a przybywa czeskich, ale jeszcze koło Starego Jiczyna na Morawach mamy fakty językowe, które by można uważać za polonizmy. Najbliższe polszczyźnie są oczywiście gwary, najbardziej wysunięte na północ i wschód omawianego terytorium.

Jakkolwiek nikomu nie przyjdzie na myśl wmawiać ludności posługującej się dialektem laskim, że mówią jednym z dialektów polskich, to jednak na płaszczyźnie rozważań czysto lingwistycznych twierdzenie o wyłącznej czeskości i absolutnej niepolskości językowej laszczyzny byłoby nieuzasadnione[1].

Odróżnienie gwar laskich od gwar czeskich można stwierdzić od XIII wieku (F. Kopecký 1955). Gwary laskie odróżniają się wyraźnie od gwar czeskich i hanackich zwłaszcza pod względem systemu jakościowego samogłosek. Najstarszym ich znamieniem jest też wielki zakres miękkości spółgłosek. W zakresie spółgłoskowego systemu fonologicznego podobieństwa lasko-polskie są wprost zastanawiające. Wykażą to niektóre najważniejsze cechy gwar laskich. Wymienione tu będą cechy ogólnolaskie, bez szczegółowego rozpatrywania subtelnych różnic pomiędzy poszczególnymi gwarami laskiemi.

W podanych przykładach systemu głosowego laszczyzny będę używał pisowni półfonetycznej.

CECHY WSPÓLNE Z DIALEKTAMI POLSKIMI A OBCE CZESKIM

1. Ogólna utrata długości samogłosek

We wcześniejszych fazach czeszczenia się gwar polskich na południowym zachodzie dawnego Śląska, a więc w XI-XIII wieku, zapewne w ca-

łej polszczyźnie utrzymał się jeszcze iloczas. Ale różnica między samogłoską długą a krótką była może już wtedy w polskich dialektach mniejsza niż w czeskich, innymi słowy, iloczas był w drodze do zaniku. Rozwój poszedł na całym tym obszarze w kierunku zgodnym z rozwojem polskim i w tym zakresie, co w języku polskim[2]. Współcześnie jednym z najbardziej typowych zjawisk w gwarach laskich jest ogólna utrata długości samogłosek *a, o, e, u, i (y);* wszystkie te samogłoski są krótkie. Długość pojawia się w laszczyźnie jedynie w wymowie afektywnej oraz w wykrzyknikach dźwiękonaśladowczych, np.: *ták* (zdziwienie), *héj rup! bác* itp. Fakty te przyznaje B. Havránek: "O společném životě celého území lašských nářečí v jisté době s polskými nářečími Horního Slezska svědčí ztráta kvantity na straně české".

2. Wspólną z językiem polskim cechą laszczyzny jest stałe **akcentowanie przedostatniej zgłoski**: *bezrobotny, jazero, pijatyka, přychodzić, vyposłuchać, zapora.* Również w zakresie ustalenia miejsca akcentu (przycisku) dialekt laski odbył taką samą drogę rozwojową jak przeważna część dialektów polskich[3]. Przeniesienie akcentu ze zgłoski pierwszej na przedostatnią jest w stosunku do dawnego akcentu zachodniosłowiańskiego inowacją, która powstała w Polsce i stąd rozszerzyła się na gwary dziś lub dawniej z polszczyzną sąsiadujące[4]. Akcent na przedostatniej zgłosce jest cechą łączącą standardowy język polski, większość gwar cieszyńskich, gwary laskie, północne gwary wschodniomorawskie i niektóre gwary słowackie. Wszystkie te gwary zatraciły charakterystyczną długość samogłosek[5]. W centrum obszaru języka czeskiego akcent na pierwszej zgłosce ustalił się już w XII wieku[6].

3. Trzecią cechą wspólną z językiem polskim jest **przejście ť, ď > ć, dź**. Chodzi o tzw. asybilację polegającą na wytwarzaniu się w końcowej fazie artykulacji spółgłoski zwartej szczeliny, której rezultatem są np. polskie spółgłoski *ć, dź*, powstałe z dawnych *ť, ď*.

W XI w. w całej laszczyźnie, podobnie jak w języku polskim, prasłowiańskie *t, d* przed każdą samogłoską przednią brzmiały jak silnie zmiękczone *ť, ď*. Wschodnie gwary laskie typu ostrawskiego razem z całym obszarem polskim przeprowadziły pod koniec w. XII zmianę *ť, ď > ć, dź*, np. *po ceśće, chyćić, czuć, ćicho, ćetka, ćma, dosć, jesć, kość, maće, maćeřynka, ńeść, otevřić, pamatujeće, radosć, śedźeć, swęećić, vařyć, veźeće, zapęać, zapęoć; budźeće, chodźi, dźedźina, dźelić, dźełać, dźeń, dźura, dźuravy, dźivać se, dźivny, hodźina, idźe, kadźić, podźivać se, vidźeł, vodźanka, zachładźić.* (W południowo-zachodnich gwarach laskich jest *ticho, ďivny.*) Pod wpływem czeskiego języka literackiego typ *ť, ď* jest w ostatnich latach coraz więcej używany kosztem typu *ć, dź*.

4. Za przedhistoryczne **dj* mają gwary laskie *dz*, tak samo jak polszczyzna. Dźwięk *dz* jest dla języka czeskiego obcy. Przykłady z laszczyzny: *bodze* (od *bodać*), *chodzovać, cudzy, dochadzam, kradzeny, narodzeny, padze* (od *padać*), *pokludzać, pov'edzeny, przadza, sadzać / sodzać, skludzać, ukradzeny, uvidzeny, vadzeńica, k vidzeńu, vysvobodzeny, vyvadzać, zachładzeny, okna su zajdzene, zavedzeny.*

5. Również **pełna miękkość** *ś, ź* zgadza się z rozwojem polskiego języka, a nie zgadza się z ewolucją języka czeskiego (*hdośi, kośec, kośić, v leśe, męśic, muśeli, ńeśe, nośiła, prośba, pśik, śeno, śiń, śitko, śivy, mi śe zdo, veźe, veźemy, na voźe, vźał, źać, źima*)[7]. Nie zmiękczane są w ogóle spółgłoski syczące tylko w południowo-zachodnim morawskim obszarze gwar laskich, koło miast Štramberk, Frenštát i Příbor. Tłumaczy się to tym, że im dalej na zachód, tym przymieszka ludności czeskiej (morawskiej) była większa i tym samym również element polski w nowo tworzących się gwarach musiał być na zachodzie słabiej reprezentowany niż na wschodzie. Zaznaczyć należy, że wymawianie zmiękczonych głosek (ich stopień palatalizacji) nie jest ani na wschodzie jednolite. Wielki rozmiar zmiękczania spółgłosek przed samogłoskami miękkimi jest najstarszą oznaką różniącą narzecza laskie od narzeczy czeskich.

6. Wspólnie z językiem polskim rozwinęła się i zachowała (za wyjątkiem części południowo-zachodniej obszaru laskiego) **pełna miękkość** ***pę, bę, mę, wę*** (np. *p'ata, p'aść, b'ida, b'ił, b'yda, hrzyb'a (hrzib'a), oni rob'o, m'aga, m'e, m'eć, m'iły, v'adnuć, v'eszak, hov'eźi*) oraz **miękkość** ***k', g'*** przed *i* (np. *k'ij, k'isać, k'iška, k'ipać, k'ita, k'ivać, g'ichać, g'izd*). W języku czeskim są grupy *ky, gy*.

7. Wspólnie z językiem polskim istnieją w laszczyźnie **dwie odrębne fonetycznie i wyraźnie odróżniane głoski *y* oraz *i***, np. *bić - być, biła - była, mišek - myš, pisk - pysk, pivo - pytel, vidać - vydać se.* Cecha ta odróżnia wyraźnie gwary laskie od gwar morawskich i czeskich. Czeski język literacki ma jedną głoskę, pozycyjny wariant jednego fonemu (*i*)[8], lecz dla jej oznaczenia w piśmie używa ze względu na potrzeby wyrażenia niektórych znaczeń leksykalnych i gramatycznych dwóch wariantów: *i* oraz *y*. Czesi z głębi kraju mają poważne trudności z poprawnym pisaniem wyrazów zawierających *y* (*byla - bílá, byt - být - bít, mýlí se - milý, pýcha - pichá, pysk - pisk, sýrový - sírový, za psy - psi - psí, sami - samy* itp.), natomiast użytkownicy gwary laskiej takich kłopotów nie mają, potrafią (podobnie jak cieszynianie) obie te samogłoski łatwo odróżnić.

8. W laszczyźnie, podobnie jak w języku polskim, **brak zgłoskotwórczych *l, r*** i dlatego w wymienionych przykładowo słowach niepierwotna samogłoska *y (e)* rozwinęła się między spółgłoskami płynnymi *l, r* i są-

siednią spółgłoską: laskie *sylza* i czeskie *slza, brater, dyržim, hyrńec, kyrk, kyrvavy, mylsny, myrtvy, opatyrny, pylny, smyrć, smyrk, syrna, tyrh (tyrch), tyrpim, vylhńe, vylk, vylna / vyłna / velna; vyrba, vyrch, zyrnko*[9].

9. Od rdzennych gwar czeskich laszczyznę odróżnia **wymawianie twardej głoski ł** tak jak w języku polskim. Przykłady: *buła, bydło, był, chłop, cieło, cymbał, dłubać, gałgan, hłupy, hoły, jałuvka, koło, kopidoł, łach, łacny, łakomy, łaska, łata, łava, łeż, łokeć, łoni, łopata, łožo, łykać, łyko, łysina, mały, młuvić, oreł, osełka, pałach, pavłač, płachta, pływać, połednio, pryšeł, rosoł, ruła, sałat, słon, społem, stołek, śmatłać, tłuc, vałovać, vuł, vypłaćić, vyposłuchać, złodźej, zły, żuchłać.* W języku czeskim jest w tych i innych jeszcze wyrazach *l*.

10. W języku czeskim i jego gwarach **spółgłoska *g*** już w XII wieku **przeszła w *h***, w laszczyźnie natomiast *g* często pozostało, tak samo jak w języku polskim, np.: *bigus, cygan, cyganić, cygorka, drobęazg, flagać, gabać, gaće, gagać, gagotać, gajdovać, galan, galaty, galety, gałgan, garać, garbęirz, garbovńa, gbeł, gdo, gdośi, gdy, gdykolvęek, gemłać, gęichać, gęichnuć, gęičały, gęizd, glan, głemb, goral, gořała, gořałka, grabnuć, grambać, grambędło, grambochy, grcać, grgolec, grgolaty, gruch, gruchnuć, grušpan, guvno, gvałt, gvałtować, mazglavy, męaga, męagać, męig (ho), męigać, męiglanc, męignuć, męigořynka, muzg, ńargać, ńigdźi, oflagać, ogun, ogura, ogurka, omęigać, pogabovać, pogrcać se, požgać, přegrada, přežgać, rozgajdany, rozšurgany, ščergać, ščergotka, uzgřivec, vargać, vargała, vyžgać, zagałka, zgarbi, zgardźić (kemu co), zgebnu, zgęiźdźić, zygary, žgać, žgnuć, žgarać.* W języku czeskim *g* występuje tylko w pożyczkach, np. *galoše, garnýž, gauč, generál, geografie, gól, gubernie, guláš.*

11. Istnieją w laszczyźnie **odpowiedniki staropolskich samogłosek długich i krótkich** zgodne ze staropolskim a nie czeskim iloczasem. Że w XI lub XII w. musiały istnieć jeszcze w pralaszczyźnie samogłoski długie, świadczą formy i oboczności, zwłaszcza we wschodnich gwarach laskich, np. *baba - bob (bop), dum - domu, hława - hłovka (hłofka), hrup - hroby, krava - krov (krof), kuń - końa, ruh (ruch) - rohy, uhur - uhory...* Tendencja ta na gruncie laskim została przeprowadzona w tym zakresie, co w języku polskim.

W gwarach wschodniolaskich mamy przejście *Č* > *o*, np. *chłop, krova, ptok, trova.*

12. Wprawdzie w laszczyźnie brak samogłosek nosowych; pierwotne *-ą-* zmieniło się w *-u-* lub *-a-* (np. *hałuź* 'gałąź', *hłub* 'głąb', *holub* 'gołąb', *huśeńica* 'gąsienica', *jadro* 'jądro' (ale gostr. *jodro*), *jačeć* 'jęczeć', *jastřab* 'jastrząb', *kłubo* 'kłębo', *kut* 'kąt', *maso* 'mięso', *muka* 'mąka', *pęaść* 'pięść', *pęata* pięta', *pupek* 'pępek', *ruka* 'ręka', *zastupić* 'zastąpić', *zub* 'ząb', *żału-*

dek 'żołądek', *żać* 'zięć'), lecz **niektóre odmiany wyrazów odzwierciedlają nosówki**, np. *s każdum dźewuchum, za tum kravum, oni lećum, za ržum, pod słumum, za tum stodołum, s tebum.*

13. Wspólna dla gwar laskich i polskich jest **końcówka *-my* czasowników** w pierwszej osobie liczby mnogiej czasu teraźniejszego: *budźemy, dostańemy, ńesemy, robęimy, suśedźimy, vęidźimy, vołamy, vožimy*. W gwarach czeskich jest *-me*.

14. Wspólne dla gwar laskich i polskich są **końcówki *-ym* w miejscowniku i narzędniku liczby pojedynczej przymiotników i zaimków**, np. *o tym dobrym, s tym dobrym*. W języku czeskim są odpowiedniki *-ém* (w miejscowniku) i *-ým* (w narzędniku).

15. Wspólna dla gwar laskich i polskich **końcówka *-u* w miejscowniku liczby pojedynczej tematów -jo-, -nt-**, np. *na polu, při ćelaću*. W języku czeskim jest *-i*.

16. Wspólna dla gwar laskich i polskich **końcówka *-ami* w narzędniku liczby mnogiej wszystkich rzeczowników**, np. *z chłopami, z robami, z dźeckami*.

17. Wspólna dla gwar laskich i polskich jest **końcówka -ach w liczbie mnogiej wszystkich rzeczowników**, np. *o chłopach, o robach, o dźeckach*.

18. Wspólna dla gwar laskich i polskich **końcówka w dopełniaczu i bierniku liczby mnogiej rzeczowników męskoosobowych**, np *mam dobrych suseduv, naši maju troch synkuv.*

19. Spółgłoski *b, c, ch, č, ć, d, dź, f, g, h, j, k, l, ł, m, n, ń, p, r, ř, s, š, ś, t, v, ž, ź*

są w laszczyźnie wymawiane na ogół tak jak w języku polskim, lecz głoska *ř* jest wymawiana z wibracją koniuszka języka (frykatywne *rz*), a głoska *h* jest krtaniowa i dźwięczna. W dawnej polszczyźnie miało *ř* swój wibracyjny charakter, lecz dopiero w XVIII wieku utożsamiło się w wymowie ze spółgłoskami *ž, š*.

20. W gwarach laskich **brak przejścia *szcz* w *szť*** (np. *dešč, ešče, ščasny, ščaśće, ščepęić, ščerbaty, ščerbina, ščerk, ščeśći, ščetka, ščipa, ščit, ščur, ščuka, ščypać, ščypka*). Na obszarach języka czeskiego zmiana *szcz* > *szť* dokonała się w XIV i XV w.[10].

21. Prasłowiańskie **l'* zostało w laszczyźnie wymienione w ***-uł-*** (podobnie jak w języku polskim *-ół-*), a nie w czeskie czy hanackie *-lu-, -łu-*, np. *žułty, žułtne, žułć, čułno*, tak jak polskie *żółty, żółknie, żółć, czółno*, a nie jak czeskie *žlutý, žloutne, žluč, člun*.

22. Laskie ***u*** odpowiada w wielu wypadkach czeskiemu *ou*, którego w gwarach laskich nie ma (np. *dłuhy, hlupy, mudry*) lub polskiemu *ą* (np. *fusaty, kut, puć, putnik*) .

Wszystkie te powyższe cechy i silne nawyki artykulacyjne są u rdzennych mieszkańców krainy laskiej bardzo trwałe[11]. Podkreślić należy, że cechy polskie są w laszczyźnie co najmniej tak samo ważne jak czeskie.

CECHY WSPÓLNE Z DIALEKTAMI CZESKIMI A OBCE POLSKIM

1. Prasłowiańskie *-or-* i *-ol-* w położeniu między dwiema spółgłoskami **uległy przeobrażeniu w *-ra-* i *-ła-*** (w językoznawstwie są to tak zwane konwencjonalnie grupy *tort, tolt*, gdzie *t* jest symbolem jakiejkolwiek spółgłoski). Na przykład: *borda* > *brada*, *korva* > *krava*, *vorna* > *vrana*, *bolto* > *błato*, *golva* > *glava* > *hlava*, *solma* > *slama*, *zolto* > *zlato*. (Por. polskie *broda, krowa, wrona, błoto, głowa, słoma, złoto*.).

2. Prasłowiańskie *-o* rozwinęło się w *-u* , np. *dobú* > *dub*, *golobú* > *golubę* > *holub*, *roka* > *ruka*. (Por. polskie dąb, gołąb, ręka.)

3. Brak przegłosu *ě, e* > *ęa* lub *ęo*, np. *bęełka, leto, pęena, střela, śeno, ćetka, sestra, ščetka, vesno*. (Por. polskie *białka, lato, piana, strzała, siano, ciotka, siostra, szczotka, wiosna*.) Przegłos polski dokonał się w X wieku i jest najstarszym zjawiskiem fonetycznym w języku polskim.

4. Zmiana prasłowiańskiego *g* na *h*, np. *dłuhy, hałuška, hałuź, hlista, hłas, hława, hruby, huś*. (Por. polskie *długi, gałuszka, gałąź, glista, głos, głowa, gruby, gęś*.)

5. Odnosowienie pierwotnych samogłosek nosowych i zastąpienie ich samogłoskami ustnymi, np. *maso, ruka, muka*. (Por. polskie *mięso, ręka, mąka*.)

6. Stwardnienie *p, b, m, w* oraz ***s, z*** przed ***e***, np. *pec, pekař, pes, bedřýnec, metła, meno, vesno, sedmy, ńeseće, vezeće*. (Por. polskie *p'ec, p'ekař, p'es, b'edřeńec, m'otła, m'ano, v'osna, śódmy, ńeśeće, v'eźeće*.)

7. Twarde *k, h (g)* przed ***e, y (i),*** np. *kelišek, keł, kyj, překysać, take dłuhe, na špęehy*.

8. Zatrata miękkości *s, z, n*, np. *lesny, pasć, jazvec, słónco*. Z wyjątkiem północno-wschodnich gwar laskich.

9. Brak upodobnienia pod względem miękkości *s, z* do następnych miękkich wargowych oraz *ń, l*, np. *spivać, sv'ećić, sv'ińa, kvasńice, śnić, chasńik, hlisńik, hrozńe, slimak, sliva*. Z wyjątkiem północno-wschodnich gwar laskich.

10. Zachowanie *i* w grupach *szi, żi, czi*, np. *olšina, strašidło, šidło, położić, žić, čitać, svačina, ščit*.

11. Typ *umřył, umřyty* (umarł, umarły).

12. Czas przeszły z *sem*, np. *ja sem to vzał* 'ja to wziąłem'.

13. Zmiana *dz* > *z* w języku czeskim należy do najstarszych różnic pomiędzy językiem polskim i czeskim. (Polskie *między* i laskie *mezy*, *cudzy - cuzy, chodzić - chuza, sadze - saze, pieniądz - peniz, przędza - přaza, powiedz - povez albo poviz*).

Wykazaliśmy wyżej (wbrew zaprzeczeniom F. Trávníčka) wielkie podobieństwo fonologicznych systemów przeważnej części gwar dialektu laskiego z językiem polskim, jednakże na podstawie dzisiejszych materiałów gwarowych nie potrafimy definitywnie rozwiązać zagadnień pierwotnej przynależności językowej ludności zamieszkującej dziś terytorium laskie. Przypuszczenie Adolfa Kellnera, że cały obszar Gołęszyców po Kozielskie, Raciborskie i Cieszyńskie włącznie należał do gwarowego kompleksu czesko-morawskiego[12] i dopiero po roku 1137, gdy "celé Ratibořsko a Těšínsko - jako součást knížetství Opolského - dostávají se do přímé sféry zájmů polských knížat", ludność tych okolic "ocitá se pod tlakem ethnického živlu polského a podléhá mu časem jazykově"[13] nie jest oparte na żadnych dowodach językowych czy historycznych.

(cdn.)

WŁADYSŁAW MILERSKI

Przypisy

[1] **Z. Stieber**, Geneza gwar laskich., Polska Akademia Umiejętności, str. 5.

[2] **A. Šembera**, *Jazyk moravský v pruském Slezsku*. Časopis českého museum, r. XVI, Praha 1842, str. 298.

[3] **Z Stieber**, op. cit. str. 21.

[4] **Z. Stieber**, op. cit., str. 22.

[5] **K. Hannan**, *Borders of language and identity in Teschen Silesia* (granice języka i tożsamości na Śląsku Cieszyńskim), New York 1996. Kevin Hannan jest lingwistą amerykańskim.

[6] **A. Lamprecht, D. Šlosar, J. Bauer**, *Historický vývoj češtiny*, Praha 1977, str. 67. Arnošt Lamprecht (1919-1985), językoznawca, dialektolog, profesor Uniwersytetu Masaryka w Brnie, autor *Slovníka středoopavského nářečí*.

[7] **S. Lamprecht, D. Šlosar, J. Bauer**, op. cit., str. 79.

[8] *Historický vývoj češtiny*, str. 46.

[9] **V. Křístek**, op. cit. str, 282.

[10] **S. Lamprecht, D. Šlosar, J. Bauer,** op. cit, str. 110.

[11] **Z. Sochová**, Lašská slovní zásoba (jihovýchodní okraj západolašské oblasti). Academia Praha 2001, s.15.

[12] **A. Kellner,** Jazykové poměry v levém horním Poodří. Naše země - náš lid... Opava 1946. str. 91. Adolf Kellner (1904-1953), dialektolog, profesor uniwersytetu w Brnie.

[13] **A. Kellner**, op. cit., str. 92; *Východolašská nářečí*, II, Brno 1949, str. 74.



..."Latoś na Gorolu" - fot. FRANCISZEK BAŁON

"PRAWODAWCA AWANGARDY I PROROK ZAGŁADY"

STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ (24.02.1885-18.09.1939)

Być może wyda się komuś zbyteczna, może nawet śmieszna, owa uparta pamięć o rocznicach literackich, pielęgnowana na tych łamach. Sądzę jednak, że ma to swą rację bytu, zwłaszcza w dobie dzisiejszej, pełnej rozwichrzenia i zamętu, nie tylko zresztą w dziedzinie literatury. Czasy obecne, określane nieraz jako era postmodernistyczna czy po-nowoczesna, w narodzie "postnarodowym" wywołują nierzadko jakiś rodzaj samonienawiści, a przynajmniej autoniechęci. Często pobrzmiewają tymi tonami wypowiedzi przygodnie spotykanych w Polsce ludzi: od taksówkarza, instalatora - po lekarza czy inżyniera. Ludzie owi zdają się chłostać samych siebie stereotypowymi sformułowaniami w rodzaju, "pani, bo Polacy to nigdy...", "my tak zawsze..." (tu następuje pełne zniechęcenia machnięcie dłonią nad jakimś zdarzeniem czy sytuacją).

Kiedy to słyszę, przychodzą mi na myśl słowa nieżyjącego już literaturoznawcy Kazimierza Wyki, wzywającego do konieczności pamiętania o tradycji, która "jest tym samym, czym węgiel dla górnika". To w jej nawarstwianych jak węgiel pokładach przechowuje się kultura - kto wie, czy nie najważniejszy dorobek w tysiącletniej historii naszego narodu. Pilnować jej trzeba tym bardziej, że przez ostatnie dziesiątki lat tyle było wobec niej oskarżeń, przemilczeń i celowych zafałszowań. I pamiętać. I przypominać. Choćby przy okazji "okrągłych" rocznic, takich jak 120. rocznica urodzin Witkiewicza.

A wracając do dzisiejszego tematu: tytuł został zapożyczony od innego wybitnego badacza współczesnej literatury polskiej Jana Błońskiego, autora dwutomowej monografii S. I. Witkiewicza (cz. I *Od Stasia do Witkacego,* cz. II *Witkacy: Sztukmistrz, filozof, estetyk,* Kraków 2000). W zacytowanych w nagłówku słowach krakowski krytyk i historyk literatury uchwycił dwa zasadnicze wątki twórczości Witkacego (takiego pisarz używał pseudonimu), które dotyczą tak poetyki i historiozofii jego utworów, jak i odniesień owych dzieł do nowoczesnej literatury, już nie tylko polskiej, lecz i światowej. A - trzeba dodać - nie tak znów często działo się tak, jak w przypadku Witkacego, że bywaliśmy nie tylko zdolnymi uczniami, wybitnymi realizatorami, ale wręcz prekursorami jakiegoś kierunku literackiego.

Witkacy był synem krytyka i malarza Stanisława Witkiewicza, twórcy stylu zakopiańskiego w budownictwie. Do szkół nie chodził, uczył go ojciec ze swymi uczonymi przyjaciółmi, egzaminy zdawał eksternistycznie. W latach 1904-1905 studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Ojciec wcześnie obudził w nim zainteresowania literaturą, malarstwem i sztuką w ogóle, a mały Staś zaczął przejawiać swe zdolności, pisząc "sztuki" teatralne i odbijając je na własnej drukarce. Z niecodziennego eksperymentu pedagogicznego Witkiewicza-ojca, a także pod wpływem zakopiańskiego otoczenia literatów, malarzy, muzyków zaczęła wyłaniać się osobowość niezwykła, nawet chwilami dla przeciętnych "zjadaczy chleba" - dziwaczna. Znalazło to swój odblask w jego twórczości, ocenianej często paradoksami: "materialistyczny metafizyk" (tak o nim pisał Tadeusz Kotarbiński, filozof i logik ze słynnej w świecie szkoły lwowsko-warszawskiej), "genialny grafoman" (to znów słowa znanego krytyka literackiego Karola Irzykowskiego), "piśmiennictwo nizinne, literacki śmietnik" (to już w okresie powojennym powiedział poeta Adam Ważyk).

Przyszły dramaturg, powieściopisarz, malarz i filozof przeżył dość gwałtowny romans ze znaną aktorką Ireną Solską, który stał się impulsem do napisania groteskowej powieści *622 upadki Bunga, czyli Demoniczna kobieta* (1910, wyd. 1972). To wówczas rozpoznał typ swego talentu, pisząc do innego twórcy polskiej groteski, Romana Jaworskiego: "najsilniej pobudzająca perwersja językowa jest nam obu wspólna". Zachwycał się też zawartymi w *Historii maniaków* Jaworskiego podwalinami "nowej artystycznej analizy najokrutniejszej perwersji duszy ludzkiej, dziwactw i cudactw codzienności". Wkrótce sam zamienił ową "perwersję codzienności" (wykazującą wiele punktów wspólnych z modernizmem) na niezwykłe przygody z egzotyką i rewolucją rosyjską.

Po samobójczej śmierci swej narzeczonej udał się w r. 1914 w podróż naukową do Australii z przyjacielem, polskim antropologiem, etnografem i badaczem kultury ludów prymitywnych Bronisławem Malinowskim, który zdobył sławę światową. Witkiewicz służył wyprawie jako fotograf i rysownik. Po wybuchu I wojny światowej niespodziewanie wyjechał do Petersburga (po ojcu był poddanym rosyjskiego cara), tam zgłosił się do oficerskiej szkoły wojskowej. W stopniu porucznika brał udział w walkach na froncie, był nawet odznaczony orderem św. Anny. Po przewrocie rewolucyjnym został wybrany na komisarza ludowego (ponoć dlatego, że jako jedyny oficer nie bił żołnierzy po twarzy). O swych rosyjskich przeżyciach mówił niechętnie, ale znalazły one swój refleks w całej jego późniejszej twórczości, w zawartej w niej katastroficznej wizji dziejów.

Do Polski wrócił w r. 1918 i zamieszkał w Zakopanem. W latach 1918-1922 współpracował z krakowską grupą awangardową "formista-

mi". Jesteśmy w okresie międzywojennym, kiedy w Europie, a więc i w Polsce, rodziły się różne awangardowe, nowatorskie kierunki artystyczne, często określane jako "-izmy". Do takich grup zaliczyć się dają formiści, którzy podjęli walkę o nowe wartości estetyczne, opowiadając się za sztuką "instyktowną", a przeciw ciążeniu romantyzmu i symbolizmu na sztuce polskiej. To z tym okresem wiążą się teoretyczne prace Witkacego *Nowe formy w malarstwie* (1919), *Szkice estetyczne* (1922), *Teatr. Wstęp do teorii czystej formy w teatrze* (1923). Poruszał w nich problematykę filozofii historii, ontologii (nauka o bycie), estetyki.

W oparciu o te sformułowania teoretyczne i zawarte w nich sądy tworzył swoje sztuki teatralne (napisał ich blisko 40, wiele z nich zaginęło). Jest w nich jednocześnie awangardzistą i katastrofistą. W dramatach króluje groteska. Brak w nich życiowego prawdopodobieństwa (postaci zmarłe w jednym akcie, w następnym ożywają jakby nigdy nic), panuje w nich nastrój oniryczny (snu), halucynacyjny, ale i błazeńska improwizacja karnawałowa. Autor wykorzystuje w nich tematycznie swoje doświadczenia życiowe, ale całkowicie przetransponowane w inny, nierealny wymiar. Oto niektóre z dramatów: *Mister Price, czyli Bzik Tropikalny. Dramat w 3 aktach,* powst. 1920, (tłumaczony na czeski); *Bezimienne dzieło. 4 akty dość przykrego koszmaru,* powst. w 1921 r.; *Gyubal Wahazar, czy Na przełęczach Bezsensu. Nie-euklidesowy dramat w 4 aktach*, powst. 1924; *Kurka wodna. Tragedia sferyczna w 3 aktach,* powst. 1922; *Metafizyka dwugłowego cielęcia. Tropikalno-australijska sztuka w 3 aktach,* powst. 1921; *Tumor Mózgowicz. Dramat w 3 aktach z prologiem,* powst. 1921; *W małym dworku. Dramat w 3 aktach,* powst. 1921, (tłum. czeskie); *Jan Maciej Karol Wścieklica. Dramat w 3 aktach bez trupów,* powst. 1922; *Mątwa, czyli Hyrkaniczny światopogląd, Sztuka w 1 akcie*, powst. 1922, (tłum. czeskie); *Nowe wyzwolenie. Dramat w 1 akcie,* druk: Zwrotnica 1922, (tłum. czesk.); *Szalona lokomotywa. Sztuka bez tezy w 2 aktach z epilogiem,* powst. 1923, (tłum. czeskie); *Wariat i zakonnica, czyli nie ma złego, co by na jeszcze gorsze nie wyszło. Krótka sztuka w 3 aktach i 4 odsłonach,* powst. 1923, (tłum. czeskie); *Matka. Niesmaczna sztuka w 2 aktach z popularnym epilogiem,* 1924, (tłum. czeskie); *Sonata Belzebuba, czyli prawdziwe zdarzenie w Mordowarze. Sztuka w 3 aktach,* powst. 1925; *Szewcy. Naukowa sztuka "ze śpiewkami" w 3 aktach,* powst. 1931-34, (tłum. czeskie).

Już same tytuły i objaśnienia typu utworu, za pomocą których pisarze zazwyczaj sterują odbiorem, odwołując się do czytelniczych doświadczeń literackich (np. powieść, nowela, obrazek itp.) - u Witkacego mają zaskoczyć, wytrącić odbiorcę z jego dotychczasowych przyzwyczajeń, obiecać coś nowego. I obietnicy dotrzymują w swych treściach. Przede wszystkim - i to rzuca się w oczy - wybijają na plan pierwszy własną groteskowość.

Nurt groteskowy we współczesnej literaturze polskiej miał wybitne osiągnięcia. Otwiera go nazwisko R. Jaworskiego, potem przychodzą Witkacy, Witold Gombrowicz, ale i Konstanty Gałczyński, po wojnie dołączają do nich Sławomir Mrożek, Tadeusz Różewicz i wielu innych, a co nazwisko to wybitna osobowość pisarska.

Groteska znana już była antyce jako łączenie w zdobnictwie niejednorodnych motywów, dziwacznych kształtów. Przypomniało ją odrodzenie, wykorzystywał romantyzm. Dziś pojmujemy ją jako kategorię estetyczną, z którą wiąże się szereg właściwości: fantastyka, absurd, sprzeczności. Utwory groteskowe cechuje niejednolitość nastroju, pomieszanie pierwiastków antagonistycznych: baśni i naturalizmu, komizmu i tragizmu, błazenady i rozpaczy, przerażenia, demoniczności i trywialności. Wszytko to wiąże się z parodystycznym stosunkiem do konwencji literackiej, czarnym humorem, z niejednolitością stylową, z mieszaniem mowy wykwintnej i wulgarnej, z brakiem zasady przyczynowo-skutkowej w rozwijaniu akcji, z permanentną dysharmonią. Groteska nie poddaje się logicznej interpretacji, zwłaszcza wówczas, gdy filozofuje się w niej, jak u Witkacego, o tajemnicy bytu czy sensie istnienia, o tym, jak ostatni, skarlali ludzie chcą przeżyć Tajemnicę Istnienia, ale nie zdołają tego osiągnąć, więc szukają form zastępczych: erotyki, polityki, sztuki, nigdzie nie znajdując spełnienia.

Często z twórczości wspomnianych wyżej pisarzy (może ze względu na trudności interpretacyjne) do obiegu powszechnego przechodzą zaledwie pewne zwroty. Tak za Gombrowiczem powtarzamy powiedzenia pochodzące z utworu *Ferdydurke:* "zrobić komuś gębę" czy "upupić kogoś". Witkacy znów kojarzy się nam z "Czystą Formą", "Tajemnicą Istnienia", "Istnieniem Poszczególnym" i nie bardzo uświadamiamy sobie, że za tymi określeniami kryją się głębokie treści filozoficzne. Sensu jego sztuk nie pojął np. zasłużony dla współpracy polsko-czeskiej, wykształcony na pozytywizmie i realizmie Marian Szyjkowski, który pisał (wprawdzie w 1921 roku), że to "absurd bezwzględny, z którego nic i nigdy nie może się począć", a więc twórczość ta "powinna być włożona w spirytus i badana przez psychiatrów".

Tymczasem Witkacy zarówno w swych dramatach, jak i powieściach, które gatunkowo oznaczył jako "powieści-worki" i w których odbywa się rewia groteskowa dotychczasowych konwencji prozaicznych (*Pożegnanie jesieni,* 1927, *Nienasycenie,* 1930, *Jedyne wyjście,* powst. 1931–33, wyd. 1968, *Niemyte dusze,* powst. 1936, wyd. 1975) – daje prorocze wizje upadku cywilizacji europejskiej, prowadzącej do uniformizacji, do zwulgaryzowanej kultury masowej, do rewolucji i totalitarnych systemów dyktatorskich. Już wówczas (być może pod wpływem własnych doświadczeń

rewolucji rosyjskiej) dostrzegł grożący ludzkości rozpad więzi społecznych, zanik wspólnych wartości i uczuć metafizycznych, skarlenie indywidualności, powstanie społeczeństw mrowiskowych, przemianę ludzi w "umysły zniewolone", ludzkie automaty (jak dzieje się to w np. po zażyciu zmieniających światopogląd pigułek mongolskiego filozofa Murti-Binga w *Nienasyceniu)*; jako wynik tych procesów następuje, mówiąc słowami pisarza, "ostateczna mechanizacja i zbaranienie", ucieczka sztuki do elitarnych wynaturzeń i zmierzanie ludzkości ku końcowi cywilizacji.

Przed wojną sztuki Witkacego nie doczekały się wielu realizacji teatralnych, a wystawione spotykały się z krytyką podobną do cytowanej krytyki Szyjkowskiego. Wydaje się, że krytycy przedwojenni nie mieli narzędzi teoretycznych do analizy teatru absurdu i siłą bezwładu utwory te czytali przez pryzmat realizmu. Nic dziwnego, że widzieli w nich jakiś nie-do-realizm, realizm zepsuty, nieudany. Powojenny, narzucony "realizm socjalistyczny" wykreślił pisarza całkowicie z kultury polskiej, a uczynił to tym pochopniej, że wizja rewolucji, jaką pisarz przedstawiał, była związana z upadkiem i degradacją człowieka, z zapowiedziami końca cywilizacji.

Dopiero po polskim "październiku" 1956 roku, a zwłaszcza po wydaniu dramatów Witkacego przez Konstantego Puzynę w r. 1962 rozpoczął się renesans pisarza i to nie tylko w Polsce, ale i w Europie i Ameryce. To wtedy dostąpił on zaszczytu porównywania z powstałym w międzyczasie na Zachodzie nurtem dramatu absurdalnego (Ionesco, Beckett), którego był rzeczywistym prekursorem.

W Czechach zaczęto o nim pisać w końcu lat sześćdziesiątych. Jak dotąd wyszły dwa tomy jego dramatów: *Hry,* wydane przez Odeon w serii "Světová četba" w r. 1985 (ze wstępem J. Pelikána) oraz *Hry II* wydane przez Votobię w 2002 roku. Wśród tłumaczów znaleźli się tak świetni translatorzy z języka polskiego jak Helena Stachová, Jaroslav Simonides, Erich Sojka, Iveta Mikešová, Irena Lexová, Petra Zavřelová.

Stanisław Ignacy Witkiewicz popełnił samobójstwo w Jeziorach na Polesiu (wschodnie tereny Polski), uciekając przed hitlerowskimi najeźdźcami. Stało się to 18 września 1939 roku, a więc dzień po wkroczeniu na tereny polskie wojsk sowieckich, realizujących tajną umowę Ribbentrop-Mołotow. Rozpaczliwy czyn pisarza był nie tylko odpowiedzią na bezwyjściowość sytuacji politycznej, ale także chciał może być gestem symbolicznym, a nawet wręcz krzykiem, przesłaniem, podkreśleniem wypowiadanych przez niego wcześniej obaw; stał się też dowodnym ukazaniem tego, jak łatwo fantastyczna groteska może zmienić się w rzeczywistą tragedię.

KRYSTYNA KARDYNI-PELIKÁNOVÁ



Uroczysta Akademia PSP w Czeskim Cieszynie - fot. WIESŁAW PRZECZEK

SZKOLNE JUBILEUSZE

Po wakacjach wypoczęci i pełni energii wrócili do szkół uczniowie i ich pedagodzy, by rozpocząć kolejny rok szkolny. Wróćmy jednak jeszcze na chwilę do roku poprzedniego i przypomnijmy jubileusze, które odchodziły nasze szkoły przed wakacjami.

130 lat szkoły "Pod Dzwonem" w Łomnej Dolnej, która wybudowana została w latach 1874-75, obchodzono uroczyście 21 maja br. W latach największego rozkwitu na początku XX wieku szkoła liczyła 180 uczniów, kiedy miała 100 lat, chodziło do niej 33 uczniów. Dziś jest częścią

PSP w Jabłonkowie. Jej dyrektor Bogusław Słowiaczek także obecny był na uroczystości. Podczas akademii jubileuszowej wystąpili uczniowie szkoły i przedszkola, dziecięce zespoły folklorystyczne z Jabłonkowa Torka i Lipka, historię szkoły przypomniał jej długoletni kierownik Bronisław Procner, a kierująca przedszkolem Beata Rytko przekazała pozdrowienia od byłych kierowników szkoły Jana Korzennego i Lidii Kalety. Byli wychowankowie zwiedzili szkołę, a uroczystość zakończono festynem.

110 lat polskiej szkoły w Gródku było okazją do przedstawienia podczas uroczystego festynu szkolnego 11 czerwca br. programu "Przez stulecia". W budynku, wyremontowanym przed dziesięcioma laty na stulecie tej placówki, oglądać można było też wystawę o historii szkoły, którą kieruje Renata Czader. W roku szkolnym 2004/2005 do polskiej szkoły uczęszczało 33 uczniów, do przedszkola pod wspólną dyrekcją 21 uczniów.

90 lat swojej szkoły świętowali nauczyciele, uczniowie i byli wychowankowie PSP w Lutyni Dolnej. Wiosną 1914 roku rozpoczęto prace przy budowie polskiej szkoły wydziałowej, pierwsza wojna światowa zniweczyła te plany i naukę prowadzono w domu państwa Babiszów. Budynek szkoły, który stoi do dnia dzisiejszego, oddano do użytku w roku 1930. Całodzienny program obchodów jubileuszowych 4 czerwca br. rozpoczęto mszą św. w kościele św. Jana Chrzciciela w Lutyni Dolnej, w południe zwiedzano kierowaną przez Alicję Berki szkołę, oglądano zgromadzone na wystawie okolicznościowej eksponaty dotyczące dziejów szkół w Lutyni i w Boguminie, ale także zajęć pozaszkolnych, życia harcerzy i osiągnięć sportowców, a po południu w Domu Kultury odbyła się akademia nazwana "Urodziny szkoły", do której scenariusz napisała Aleksandra Sembol, a w której udział wzięli wszyscy uczniowie szkoły. Wspólna zabawa podczas Balu Wspomnień zakończyła uroczystości.

Z okazji 80 lat istnienia publikację jubileuszową pod redakcją dyrektora Stanisława Folwarcznego i nauczycielek Janiny Kúdeľki i Beaty Siostrzonek wydała PSP w Czeskim Cieszynie. Program uroczystości jubileuszowych rozłożony został na kilka imprez. 21 maja br. odbyło się najpierw spotkanie byłych pedagogów na uroczystym wernisażu prac uczniów, a następnie wszyscy wzięli udział w Akademii Jubileuszowej w sali teatru. Uczniowie klas młodszych zaprezentowali się w widowisku ludowym "Hej, koło Cieszyna..." według scenariusza i w reżyserii Marka Grycza, uczniowie klas starszych przedstawili bajkę muzyczną "Przygody Matołka", którą scenarzystka Beata Brzóska wyreżyserowała wraz z Kamilą Roszak. Następny poniedziałek 23 maja był w szkole Dniem Ucznia. Zaś 25 czerwca połączono tradycyjny festyn szkolny ze zwiedzaniem budynku szkoły i przygotowanych tam wystaw: ekspozycji historycznej, wystawki prac uczniów i nowej ekspozycji w Izbie Regionalnej.

(red)



WYCIECZKA POZNAWCZA SEKCJI LUDOZNAWCZEJ

Jeden z wielu cyklicznie organizowanych przez Sekcję Ludoznawczą wyjazdów skierowany był w okolice Ružomberka na Słowacji.

Pierwszym punktem programu była osada Vlkolínec, znajdująca się na wysokości 718 m n.p.m. na południowym, skalistym zboczu Sidorovo w masywie Wielkiej Fatry, nad Revúcką doliną. Jest to najbardziej zachowany rezerwat ludowej architektury drewnianej (45 pierwotnych chat zrębowych, część z nich pokrytych szyndziołem, pochodzących z XIX w.) – jedyny żywy skansen – na Słowacji. Z tej racji w roku 1993 wioskę wpisano na listę Światowego Dziedzictwa

Kulturowego i Przyrodniczego UNESCO. Poza Rolnickym Domom z 1886 r., zamienionym na muzeum, do unikatowych obiektów, które zwróciły naszą uwagę, należy studnia z 1860 r. oraz drewniana dzwonnica z r. 1770, znajdujące się w centrum osady. Szkoda tylko, że nie w pełni są wykorzystywane atuty krajobrazowo-urbanistyczne tej perły środkowej Słowacji. W ciągu naszego ponad godzinnego pobytu gospodarz muzeum nie zjawił się, mimo że byliśmy tam w godzinach otwarcia. Razi również brak dbałości o szczegóły etnograficzno-estetyczne (moiczki przystrojone czym popadnie – np. folią, nylonowe firanki itp.). Widać, że po pierwotnym zrywie (u części budynków wymieniono blaszane poszycie na pierwotne szyndziołowe) obecnie panuje zastój. Pomimo to wszystkim miłośnikom architektury ludowej gorąco polecamy zwiedzenie tej miejscowości.

W drodze do Pribyliny zahaczyliśmy w miejscowości Ludrová o nieczynny rzymskokatolicki kościół św. Andrzeja. Kościół datowany jest na drugą połowę XIII wieku. Ostatnia rekonstrukcja odbyła się w latach 60. XX wieku, kiedy odnawiano XIV wieczne freski naścienne, przedstawiające sceny z życia Jezusa oraz niektórych świętych. Od tego czasu gotycka budowla popada w ruinę.

Główną atrakcją niedzielnej wycieczki, a zarazem ostatnim punktem programu były Ovenalia – Ovčiarska nedeľa w Múzeum liptovskej dediny w Pribylinie. Skansen jest najmłodszym tego typu obiektem na Słowacji. Zwiedzającym został udostępniony w 1991 roku. Powstał podczas budowania zalewu Liptovská Mara, kiedy tu przeniesiono najcenniejsze pamiątki z zagrożonego obszaru. Skansen w Pribylinie jest ciekawy ze względu na stałą ekspozycję, w której, oprócz domów drewnianych tworzących typową ulicówkę, znajdują się również dwa obiekty murowane. Pierwszym jest kasztel myśliwski przeniesiony z miejscowości Parížovce, którego najstarsza gotycka część została wybudowana na początku XIV wieku. Drugim – wczesnogotycki kościół pod wezwaniem św. Marii Panny.

Ovčiarskej nedeľi towarzyszył jarmark z pokazem tradycyjnego rzemiosła i rękodzieła ludowego. Na scenie można było obejrzeć występy zespołów folklorystycznych, których program nie był jednak związany z tematem imprezy. Poza degustacją i możliwością zakupu produktów z owczego mleka zabrakło w programie imprezy czegokolwiek związanego z gospodarką pasterską – szałasznictwem. Szwankowało również zaplecze gastronomiczne.

TOMASZ ONDEREK

XIII ŚWIATOWY FESTIWAL POLONIJNYCH ZESPOŁÓW FOLKLORYSTYCZNYCH

Czterdzieści zespołów z trzynastu krajów świata zjechało w dniach 22–27 lipca br. do Rzeszowa na kolejne święto folkloru. Republikę Czeską reprezentowały dwa zespoły Olza, która obecna była na I Światowym Festiwalu Polonijnych Zespołów Folklorystycznych w roku 1969, a potem gościła tam łącznie jedenaście razy, i Suszanie (uczestnicy czterech festiwali w Rzeszowie). Najwięcej zespołów, bo aż 11, przyjechało z Kanady, osiem z USA, po trzy z Wielkiej Brytanii i Litwy, po dwa z Australii, Brazylii, Francji, Szwecji i Ukrainy, po jednym z Belgii i Rosji. Zespoły z Zaolzia tradycyjnie już wzbudzały podziw publiczności Rzeszowa i okolicznych miejscowości nie tylko ciekawym i mało znanym repertuarem tanecznym, ale także perfekcją jego wykonania i pięknymi strojami.

Pobyt zespołów w Rzeszowie to nie tylko wielogodzinne próby do dwu głównych festiwalowych pokazów: Koncertu Galowego i Koncertu Pieśni i Tańców Krajów Zamieszkania, ale także koncerty w terenie i spotkania z tamtejszymi zespołami w różnych miejscowościach Rzeszowszczyzny. I to także jest niezwykle istotne dla Polonusów, bo nawiązują nowe kontakty między sobą nie tylko jako zespoły zamieszkałe w różnych krajach świata, ale także z zespołami z Polski. Ilość zespołów biorących udział w tegorocznym festiwalu świadczy, że zainteresowanie folklorem wśród młodego pokolenia Polonii wzrasta i, co ciekawe, dzieje się to w krajach, gdzie młodzi są już którymś z kolei pokoleniem potomków emigracji Polaków z początku wieku XX. Dziś folklor właśnie (często przy nieznajomości języka polskiego) stał się znakiem przynależności do polskiej kultury i łącznikiem kolejnego pokolenia Polonusów z Polską.

Na zakończenie święta tańca i śpiewu w Rzeszowie, po spotkaniu przedstawicieli zespołów biorących w nim udział, powstała Światowa Rada Polonijnych Zespołów Folklorystycznych, do której przystąpiły 33 zespoły. Głównym celem Rady ma być współpraca i integracja polonijnych zespołów folklorystycznych z całego świata. Rada chce doprowadzić do utworzenia w Rzeszowie – jako stolicy polonijnego folkloru – studium kształcenia kadry zajmującej się zespołami. Radzie na razie przewodniczył będzie Tadeusz Piłat ze Szwecji.

Organizatorem XIII Światowego Festiwalu Polonijnych Zespołów Folklorystycznych był Oddział Rzeszowski Stowarzyszenia Wspólnota Polska, prezydent miasta Rzeszowa i marszałek województwa podkarpackiego. Patronat honorowy nad festiwalem objął marszałek senatu RP prof. Longin Pastusiak.

E.S.






ŽIELEZAR
SŁOWACJA
Železiar



58. GOROLSKI ŚWIĘTO

Wspólnym znakiem rozpoznawczym wszystkich powracających z tegorocznego Gorolskigo Święta w Jabłonkowie (6 i 7 sierpnia) były zabłocone buty. Niesprzyjająca aura popsuła nieco szyki organizatorom, ale wierni corocznym spotkaniom podczas międzynarodowego święta folkloru, jakim stało się Gorolski Święto, i tak przybyli. Cieszyć mogli się sprzedający dania i napoje regionalne, bowiem stoiska oblegane były z wszystkich stron ze zdwojoną energią, oferowały przecież gorące posiłki, a także kawałek dachu nad głową.

W tym roku po raz pierwszy Gorolski Święto zorganizowane zostało jako impreza Stowarzyszenia Folklorystycznego RC. Stowarzyszenie Folklorystyczne (Folklorní sdružení) założone zostało w 1990 roku, jest organizacją pozarządową, a tworzą go członkowie zespołów folklorystycznych. Organizuje czy współorganizuje co roku ponad pięćdziesiąt międzynarodowych festiwali folklorystycznych i festynów ludowych w całej Republice Czeskiej. Prezes Stowarzyszenia Zdeněk Pšenica obecny był na tegorocznym Gorolskim Święcie.

58. Gorolski Święto, przygotowane głównie przez Miejscowe Koło PZKO w Jabłonkowie, było jednocześnie częścią programu odbywającego się od 30 lipca do 7 sierpnia po polskiej stronie Beskidów w Wiśle, Szczyrku,





Żywcu, Makowie Podhalańskim, Oświęcimiu, Ujsołach i Istebnej 42. Tygodnia Kultury Beskidzkiej, przebiegającego pod egidą Międzynarodowej Rady Stowarzyszeń Folklorystycznych, Festiwali i Sztuki Ludowej CIOFF.

Program Gorolskigo Święta rozpoczęły w sobotni poranek sportowe imprezy towarzyszące. Popularyzacja turystyki pieszej w Beskidach jest celem organizowanego przez PTTS Beskid Śląski w RC oraz Komitet Organizacyjny Gorolskigo Święta co roku Rajdu o kyrpce Macieja. Do pokonania było tym razem osiem tras do wyboru, liczących od 10 do 20 kilometrów. ZG PZKO z MK PZKO w Jabłonkowie był organizatorem tradycyjnego biegu przełajowego O dzbanek mleka.

Na scenie w jabłonkowskim Lasku Miejskim o godzinie piętnastej rozpoczęła się prezentacja zespołów folklorystycznych. W przeglądzie zespołów dziecięcych wystąpiły: Torka i Lipka z Jabłonkowa, Łączka z Bystrzycy, Błędowianie z Błędowic, Mały Śląsk z Radzionkowa z Polski i soliści. O innej, niż zaplanowano, porze zatańczył i zaśpiewał zespół Kägara z Pärnu w Estonii. W strugach deszczu bawił publiczność zespół Komes z Kędzierzyna-Koźla z Polski. Powoli zaczęło się wypogadzać podczas występu zespołu Dudoski z Bielska-Białej. Sobotnie popołudnie folklorystyczne prowadzili i jego scenariusz opracowali muzycy z kapeli Nowina,





która zakończyła program, Grzegorz Stopa i Radek Matuszny. A potem na karnawale gorolskim przy dźwiękach grup muzycznych Glayzy i Hec bawiła się przede wszystkim młodzież. Zaś w Domu PZKO w sobotni wieczór spotkali się miłośnicy poezji na kolejnej edycji Świętogóralskiej Kawiarenki Pod Pegazem.

Kapele folklorystyczne, a potem orkiestry dęte koncertowały na jabłonkowskim rynku w niedzielne przedpołudnie. Uroczysty charakter miało otwarcie nowej przybudówki w jabłonkowskim Domu PZKO, w obecności wielu gości oficjalnych wstęgę przecięli radca handlowy Ambasady RP w Pradze Bernard Błaszczyk, konsul RP w Ostrawie Piotr Czarkowski i prezes MK PZKO w Jabłonkowie Jan Ryłko. W przybudówce, którą wzniesiono głównie dzięki pomocy Senatu RP i Stowarzyszenia Wspólnota Polska, a także sponsorów, którzy przybyli na uroczystość otwarcia, znajduje się scena i Izba Regionalna im. Adama Sikory, którą goście obejrzeli, ale na razie bez eksponatów. Jak zapowiedział Leszek Richter, w przyszłości Izba Regionalna im. Adama Sikory będzie również miejscem prowadzenia kursów nauki unikalnych już dziś rzemiosł ludowych.

Izba Regionalna im. Adama Sikory i Sekcja Ludoznawcza ZG PZKO kierowane przez Leszka Richtera zorganizowały już po raz drugi spotkanie







mistrzów rzemiosła i rękodzieła z Polski, Słowacji i Zaolzia nazwane „Szikowne gorolski rynce". Przez dwa dni w Lasku Miejskim w Jabłonkowie obejrzeć można było wytwory druciarzy, garncarzy, rzeźbiarzy, kowali, koronczarek, obejrzeć wyrób dzwonków, szyndziołów, kierpców, malowanie pierników i zakupić niecodzienne pamiątki ludowe. A w szałasie można było spróbować owczego sera, którego wyrób przygotowali również członkowie Izby Regionalnej im. Adama Sikory i Sekcji Ludoznawczej. Nie zabrakło na tegorocznym Gorolskim Święcie Koliby Wydawców, gdzie swoją książkę „Starczyn dukat" podpisywała Anna Wacławik przez długie lata związana z Zespołem Regionalnym Sibica, zbieraczka i popularyzator zwyczajów i obrzędów ludowych na Śląsku Cieszyńskim.

W południe wyruszył z Rynku Mariackiego do Lasku Miejskiego barwny korowód uczestników Gorolskigo Święta, licznie przybyłych gości oficjalnych z Polski, Pragi, Ostrawy, członków zespołów, i jakże gorąco jak zwykle witanych przez zgromadzoną na poboczach trasy korowodu publiczność, przedstawicieli Kół PZKO z miejscowości sąsiadujących z Jabłonkowem, prezentujących różne scenki na wozach alegorycznych. Aby tradycji stało się zadość, na czele korowodu na siwym koniu jechał Adam Ryłko, jak ongiś czynił to wieloletni hetman Gorolskigo Święta



Władysław Niedoba. Podczas uroczystego otwarcia, którego dokonali prezes MK PZKO w Jabłonkowie Jan Ryłko i burmistrz Jabłonkowa Petr Sagitarius, przyznano po raz pierwszy Medal im. Stanisława Jareckiego, redaktora Radia Katowice, który przez długie lata propagował na antenie radiowej Gorolski Święto. Otrzymał go Tadeusz Kijonka, redaktor naczelny miesięcznika Śląsk ukazującego się w Katowicach. Były także życzenia urodzinowe dla prowadzącego kolejne Gorolskie Święta Tadeusza Filipczyka. Po prezentacji uczestników korowodu publiczności i gościom zgromadzonym na scenie hodowcy gołębi z Jabłonkowa wypuścili gołębie.

W programie folklorystycznym przedstawiły się najpierw zespoły z najbliższej okolicy: Melodia z Nawsia, Przełęcz z Mostów koło Jabłonkowa, Gorol, Zaolzi, Jackové z Jabłonkowa. Z Polski przyjechały zespoły Wisła z Wisły, Juhas z Ujsół i Komes z Kędzierzyna-Koźla, z Moraw Kyjov, ze Słowacji Železar z Koszyc. Najbardziej egzotycznym dla widza zaolziańskiego był zespół z Włoch Sikania z Favary na Sycylii. 58. Gorolski Święto zakończył koncert orkiestr dętych.

C.R. i E.S.







Fot. FRANCISZEK BAŁON





Fot. JACEK SIKORA

KAWIARENKA ŚWIĘTOGÓRALSKA 2005

W sobotni wieczór 6 sierpnia br. podczas 58. Gorolskigo Święta w Jabłonkowie spotkali się w Domu PZKO w Kawiarence Pod Pegazem miłośnicy słowa poetyckiego, by posłuchać wierszy młodych poetów zaolziańskich i podyskutować o sprawach literatury. Uczestników wieczoru powitał Stanisław Gawlik, jeden z pomysłodawców Kawiarenki. Prezes MK PZKO w Jabłonkowie Jan Ryłko przypomniał, że wieczory literackie pod obrazem Pegaza autorstwa Stanisława Krausa odbywają się już szesnaście lat. Tym razem gospodarzami Kawiarenki byli Stanisław Gawlik, Marek Słowiaczek i Beata Ryłko, wiersze czytał Rudolf Moliński. Góralskim słowem poprzedzającym młodą poezję stał się wiersz Anny Filipek „Spowiedź górala", który przedstawił Tadeusz Filipczyk. Wstawki muzyczne wykonała kapela Zaolzi.

Marek Słowiaczek, który od dwóch lat prowadzi Kawiarenkę, wytłumaczył słuchaczom swój punkt widzenia na sens jej istnienia. Kawiarenka to spotkania ze słowem literatury zaolziańskiej, słowem, które powinno być odkrywane i kontynuowane. Stąd potrzeba skupienia uwagi na twórczości młodych poetów. Przykładem młodej poezji zaolziańskiej stały się tego wieczoru wiersze Lucyny Pyszki, Hanny Rybickiej i Darka Jedzoka. Gościem Kawiarenki miał być Maciej Szczawiński, poeta i redaktor Polskiego Radia Katowice, który na falach eteru prowadzi witrynę poetycką. Gość nie mógł przybyć, przesłał jednak na taśmie swoją recenzję prezentowanych wierszy.

Marek Słowiaczek zwrócił uwagę na różnice, jakie dzielą najmłodszych poetów i ich starszych kolegów. Młodzi nie czują już potrzeby utożsamiania się z regionem, w którym wyrośli, nie tworzą grup lite-

rackich, ich twórczość nie jest uwarunkowana historycznie, są dwujęzyczni i często piszą tak po polsku jak i po czesku. Mimo to w poezji młodych i starszych można znaleźć wiele punktów stycznych, wiele podobieństw.

O recenzję czytanych wierszy poproszono też gości z Poznania profesora Bogusława Bakułę i jego żonę. Profesor Bakuła sentyment do Zaolzia odziedziczył po swoim ojcu, który przyjaźnił się z Wilhelmem Przeczkiem. Na spotkaniu w Kawiarence Świętogóralskiej stwierdził, że w młodej poezji zaolziańskiej nie widać już cech lokalnych. Podkreślił, że poezja to laboratorium języka, poeci wykuwają język, tak więc rozmowa o przyszłości literatury zaolziańskiej jest też rozmową o przyszłości języka polskiego w tym regionie.

Wieczór pod Pegazem zakończono jak zawsze dyskusją, nie tylko o poezji.

C.R.





KSIĄŻKA ZAOLZIA

W ubiegłym roku mieszkańcy Zaolzia wybierali swoją ulubioną książkę. W ankiecie na temat "Ulubiona książka Zaolziaków" podawali swoje propozycje publikacji wydawniczych, które odcisnęły ślad w ich życiu. Wśród wybranych pozycji znalazło się także kilka autorstwa twórców zaolziańskich. Był to "Łysek z pokładu Idy" i "Czarna Julka" Gustawa Morcinka, "Z Adamowej dzichty" Adama Wawrosza oraz najnowsza "Lutyńskie tango" Otylii Toboły.

Organizatorzy ankiety Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie wraz ze Stowarzyszeniem Przyjaciół Polskiej Książki z siedzibą w Czeskim Cieszynie proponują w tym roku Zaolziakom nową zabawę. Pragną przypomnieć bogaty dorobek wydawniczy Zaolzia, rodzimych twórców oraz wykorzystane w publikacjach książkowych tematy regionu. Zadaniem uczestników ankiety jest wytypowanie "Książki Zaolzia".

Co to jest książka Zaolzia? W nazwie ankiety nie ma żadnego naj-, najpopularniejsza, najlepsza, najwartościowsza... Właściwie jedynym kryterium, którym muszą się kierować wypełniający ankietę, jest słowo Zaolzie. Chodzi o książkę, która napisana została przez autora zaolziańskiego, lub o książkę, która wydana została na Zaolziu, może to też być książka na temat Zaolzia.

Należy poszperać w bibliotekach publicznych czy na półkach własnych domowych biblioteczek i przypomnieć sobie, która książka

związana w jakikolwiek sposób z Zaolziem, poprzez nazwisko autora, wydawnictwo czy temat, stała się dla głosującego na tyle ważna, odegrała w jego życiu taką rolę, że zapamiętał ją i chętnie powróciłby do jej lektury. Może to być pozycja z gatunku literatury pięknej, ale też naukowej czy popularnonaukowej, także książka pisana gwarą.

Na "Książkę Zaolzia" można głosować od 1 września do 30 listopada br. We wszystkich bibliotekach regionu jest do dyspozycji ankieta, w której podać należy imię i nazwisko autora oraz tytuł wybranej książki. Jeśli głosujący ujawni swoje nazwisko i adres, weźmie udział w losowaniu nagród książkowych. Każdy uczestnik zabawy może głosować tylko jeden raz. Ankieta znajduje się również w Głosie Ludu i na jego łamach prezentowane są w czasie trwania akcji propozycje książek i autorów. Ponadto ankietę znaleźć można na stronach internetowych www.publikacja.rkka.cz. W listopadzie dodatkową okazją do oddania swojego głosu będzie Wystawa Polskiej Książki, podczas wszystkich jej edycji wystawione zostaną ankiety do głosowania.

W imieniu organizatorów także Czytelników Zwrotu zapraszamy do wypełnienia ankiety, która przyczyni się do powstania rankingu książek Zaolzia, które żyją w naszej świadomości.

C.R.





DARIA DONOCIK

JESIENNE WZGÓRZE

nie wiedzieć czemu
tam zawsze pachnie
jesienią
bo czyż wspomnienia
inny
zapach mieć mogą
niż przemijania?
(a każde jak piasku ziarenko
w klepsydrze czasu...)

kto słuchać potrafi
usłyszy
głosy sprzed wieków
sukni do ziemi szelest
i stukot dorożek o bruk

nocą zobaczyć można
cichą alejką idącą postać...
a może to tylko jej cień...?

kto patrzeć potrafi
zobaczy

i czy to przypadek
że
tutaj właśnie pierwszego pocałunku
wspomnienie?

kamiennym murem otoczony
czas
zastyga
pod nogami kasztany
szum zardzewiałych liści
i trudno pominąć banalne słowo
magia

księżniczek warkocze z wieży wysokiej
spuszczane
czekają
...to samo od wieków w niebo patrzenie
...to samo niezmienne gwiazd nazywanie

co dzień przemijamy
co świt gaśniemy
i za lat tysiąc
stóp naszych ślady będą
historią

żadnego momentu
nie wolno ominąć
klepsydra na pamięć
uczy się
ziarenek piasku

TADEUSZ PIETRZYK

ROTUNDA

We wnętrzu jak kosmos
okrągłym Bóg mieszka
od wieków - na wieki
Cisza absolutna pamięta
chóry mnichów
i dworzan hymny
Rankiem światło zwycięża
ciemność sprawiedliwie
Anioły szepcą tam pacierze...

JOLANTA FILIPEK ČEPCOVA

SAŁAJKA

Przez nie
przyszedł
niechciany
nieoczekiwany
mór
zapłakało jeszcze
niemowlę
chciane
oczekiwane
i łzy matki
po raz ostatni
ozdobiły koronki
białe
uprane
i w cieniu krzyża
stanął krzyż

Trysnęła woda
i czyste myśli
skierowane do Boga
i człowiek
otworzył drzwi

Wiersze nagrodzone w zeszłorocznej edycji Konkursu Jednego Wiersza w ramach corocznej wrześniowej akcji "Skarby z cieszyńskiej trówły" w obu częściach Cieszyna

STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ

622 UPADKI BUNGA CZYLI DEMONICZNA KOBIETA

(fragment)

Trzymał się, żeby nie myśleć o pani Akne, ale bez skutku. W nocy przeżywał jakieś potworne sny, których nie pamiętał, choć wiedział, że główną ich bohaterką jest pani Akne, i budził się z uczuciem nieznośnej ociężałości, zmieszanej z niepokojem. Dotąd albo był z nią, albo o niej myślał. Teraz, kiedy nie mógł sobie nawet pozwolić, aby myśleć o niej, zaczynał odczuwać okropną pustkę i nudę, na tle której przesuwały się męczące, nieokreślone wizje przeszłości. Starał się z tym walczyć i wprowadzał siebie siłą woli w sztuczny stan zupełnego braku wszelkich uczuć i myśli, i pracował bezmyślnie, chcąc zabić wlokący się z irytującą powolnością czas. Na dalszy dystans nie widział nic przed sobą i chwilami miał wrażenie, że on jako indywidualna egzystencja przestaje powoli istnieć. Mimo że faktycznie dławił wszelką myśl o Akne, rozrastała się ona w jego nieujętych pojęciowo treściach duszy jak jakiś okropny, mgławy i lepiący się nowotwór i chwilami, mimo całej zaciętości, Bungo czuł, że musi ustąpić w tej walce, i czuł, że wtedy zgubiony byłby bez ratunku. Bywał czasem u barona, ale wskutek zdenerwowania nie mógł dojść z nim do głębszego porozumienia, ponieważ Brummel au fond lubił, aby go traktować jak kobietę, której względy zamierza się zdobyć. Z Tymbeuszem pokłócił się znowu. Zlekceważył go mianowicie w chwili rozdrażnienia w jakimś towarzystwie w kawiarni. Na drugim końcu sali widział panią Akne siedzącą w towarzystwie Zdyba i Dolfia Montecalfi, a ponieważ wypił parę wódek, nie mógł wytrzymać mglistych wywodów Tymbcia i wyśmiał je w naiwny spo-

sób. Tymbeusz jednak zirytowany, że działo się to w obecności jakiejś damy o czarnych, silnie podbitych oczach, której przed chwilą przedstawił Bunga, rozgniewał się na dobre.

– Pan jest dureń, panie Bungo – rzekł swoim ciągnącym się głosem i słowo "dureń" miało w tej interpretacji niezmiernie komiczny urok. Bungo nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Tymbeusz zachował nadal prawo obrażania ludzi bezkarnie i nikt właściwie nic sobie z jego obelg nie robił. To rozdrażniło jeszcze więcej Tymbcia. – Pan jest lichy człowiek – mówił głośno na całą salę. – Pan się kryje przed sobą. Pan mnie uznaje i pan mnie poniża, aby odnieść zwycięstwo. O panu ludzie to mówią, panie Bungo, obcy ludzie to widzą. Tym sposobem pan daleko nie zajdzie. – Wszyscy pękali ze śmiechu, a Bungo płakał wprost, opierając głowę o marmurowy blat stolika.

– Pan jest fujara, która gryzie sama siebie w ogon, w ogon, którego nie ma – mówił Bungo do Tymbeusza, naśladując jego głos i ruchy. – Pan jest flakiem dla samego sflaczenia. – Tymbeusz wstał, ukłonił się towarzystwu i wyszedł. Wkrótce wyszło i całe towarzystwo, a z nimi Bungo.

Czuł się niedobrze. Zaczął go ogarniać okropny żal, że zerwał z panią Akne. "Psiakrew! – myślał – gdyby nie to, że ten mąż jest, poszedłbym do niej zaraz. – I w tej chwili przeraził się swoich myśli. – Trzeba uciekać, uciekać, bo będzie źle. Jeżeli teraz wrócę, to Tymbeusz ma rację. Będę ostatnia świnia, jeżeli słowo powiem jeszcze do tej kokoty". W tej chwili minął go powóz, w którym jechała Akne w towarzystwie męża. W świetle latarni zobaczył jej profil spod wielkiego czarnego kapelusza i przypomniał sobie te chwile, kiedy szli razem na muzykę do Bałwanowa. "Czemu, czemu ona jest taką świnią" – powiedział półgłosem i już czuł, że zaczyna go ogarniać litość. Opanował się ostatnim wysiłkiem i miarowym krokiem poszedł w stronę domu. Postanowił jutro wyjść na parę dni w góry i w samotności zupełnej skupić się i opanować, a po powrocie zacząć radykalnie inne życie.

LIBOR MARTINEK O LITERATURZE ZAOLZIAŃSKIEJ

Libor Martinek (ur. 15.1.1965 w Krnowie w powiecie bruntalskim), literaturoznawca związany z Uniwersytetem Śląskim w Opawie, od wielu lat sporo uwagi poświęca twórczości literackiej polskiej mniejszości narodowej w Czechosłowacji i Republice Czeskiej i to zarówno jako historyk literatury, krytyk, jak i w pewnej mierze jako tłumacz, a także nauczyciel akademicki. Można wręcz powiedzieć, że polska literatura czeskiej części Śląska Cieszyńskiego stanowi główny obszar jego zainteresowań.

Pierwsze publikacje krytyczne Martinka pochodzą z roku 1990, a jego pierwsze teksty o polskiej literaturze zaolziańskiej ukazują się w 1996 i od tej pory autor ów zajmuje się tą literaturą regularnie i konsekwentnie, ogłaszając liczne studia, artykuły i recenzje zarówno w języku czeskim jak i polskim, zarówno w Czechach jak i Polsce, a także na Węgrzech i Słowacji, oraz wygłaszając referaty na rozmaitych sesjach i konferencjach literaturoznawczych.

Ukoronowaniem dotychczasowych badań Martinka jest wydana jako publikacja Instytutu Bohemistyki i Bibliotekarstwa Wydziału Filozoficzno-Przyrodoznawczego Uniwersytetu w Opawie książka o polskiej literaturze czeskiego regionu cieszyńskiego po roku 1945 „Polská literatura českého Těšínska po roce 1945" (Opava 2004, Slezská univerzita v Opavě), będąca pierwszą edycją książkową jego prac literaturoznawczych.

Podtytuł książki brzmi „zbiór studiów", co odpowiada jej zawartości. Z wyjątkiem wstępu i jednego ze studiów ogłoszone w tomie teksty powstały na podstawie publikowanych już wcześniej artykułów, jednakże - jak zaznacza autor - ich większość na potrzeby edycji książkowej została zmieniona, a niekiedy zasadniczo przepracowana, co jednak nie zawsze pozwoliło uniknąć pewnych zbędnych powtórzeń.

W „Nocie od autora" Martinek pisze, że jego książka nawiązuje do badań polskiego historyka literatury Edmunda Rosnera (1930-1998), u którego w Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie był w roku 1996 na stażu. Rosner, jak wiadomo, jest autorem najobszerniejszej i mającej największe ambicje pracy o literaturze zaolziańskiej („Literatura polska z czeskiego Śląska", Cieszyn 1995, Uniwersytet Śląski - Filia w Cieszynie). Opawski autor powołuje się we wstępie do książki również na innych swoich poprzedników, historyka piśmiennictwa śląskiego Zdzisława

Hierowskiego (1911-1967) oraz autorów mniej lub bardziej obszernych czasopiśmiennych publikacji o literaturze zaolziańskiej: czeskiego polonistę Otakara Bartoša (1928-1995), a także pochodzących z regionu cieszyńskiego Pawła Kubisza (1907-1968), Władysława Sikorę (ur. 1933) i Kazimierza Kaszpera (ur. 1946) oraz zamieszkałą na stałe w RC polską badaczkę literatury Krystynę Kardyni-Pelikánovą (ur. 1930). Opawski badacz wspomina też o artykułach analizujących związki polskich pisarzy zaolziańskich z literaturą czeską pióra Jiřiego Svobody (ur. 1931) oraz socjologicznoliterackich uwagach Svatavy Urbanovej (ur. 1946). Prace tych badaczy, cytowany w dalszych partiach książki, tłumaczony przez samego Martinka artykuł Wojciecha Bonowicza o młodej literaturze zaolziańskiej („Současná polská a mladá literatura na Záolží", Alternativa nova 1997, nr 9), a także teksty o poszczególnych zaolziańskich autorach składają się na dotychczasowy stan badań.

W poszczególnych zamieszczonych w książce studiach Martinek zajmuje się polską literaturą czeskiej części Śląska Cieszyńskiego jako literaturą regionalną i jej pozycją na styku kultur, latami 1945-1959 w twórczości polskich pisarzy zaolziańskich, stosunkiem polskich pisarzy regionu do Juliana Tuwima i Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego (choć raczej do ich osób, a nie poetyki), postacią pisarza Henryka Jasiczka (1919-1976), zarysem problematyki przemian w polskim życiu literackim na Zaolziu po roku 1990, działalnością wydawniczą polskiej mniejszości narodowej w regionie, dorobkiem translatorskim polskich pisarzy w Czechach, recepcją twórczości literackiej polskiej mniejszości po roku 1990, prozą polskich pisarzy zaolziańskich po r. 1990 oraz intertekstualnością w dziele Renaty Putzlacher, zjawiskiem traktowanym jako przykład tendencji zmierzających do postmodernizmu w piśmiennictwie polskich twórców z czeskiego Śląska. Jak więc widać, tematyka studiów jest dość różnorodna i badacz zajmuje się zarówno ogólnym stanem piśmiennictwa polskiej mniejszości, jak i zagadnieniami dość szczegółowymi. Niejednorodna jest też jego metodologia, do czego zresztą autor otwarcie się przyznaje i co w związku z dużym zróżnicowaniem obszarów tematycznych, na które się zapuszcza, wydaje się zrozumiałe.

Niemal za monografię, ujętą zresztą bardzo tradycyjnie według wzoru „życie i dzieło", można uznać rozległe studium poświęcone Henrykowi Jasiczkowi (1919-1976), szczegółowo zaznajamiające czytelnika zarówno z biografią pisarza, pozbawionego w ostatnich latach życia możliwości publikacji i skazanego przez politycznych decydentów na wymazanie z dziejów literatury, jak i z jego twórczości, jej motywiką, symboliką oraz repertuarem środków artystycznych. Osobną uwagę Martinek poświęcił stosunkowi lite-

ratury i muzyki w twórczości pisarza, jak również umiejscowieniu jego dzieła w podwójnym kontekście literackim, polskim i czeskim.

Opawski autor nie proponuje własnej periodyzacji dziejów literatury Zaolzian, trzymając się tej, którą zaproponował Edmund Rosner: 1. okres międzywojenny naznaczony literackim regionalizmem (1920-1939), 2. (po przerwie wojennej) etap formowania piśmiennictwa polskiej mniejszości, wyraźnie nawiązujący do literackiej tradycji międzywojnia (1945–1956 z wewnętrzną cezurą w 1948), 3. okres współistnienia tradycji i nowoczesności (1956–1968), 4. etap niejednorodnej ideowo i artystycznie twórczości literackiej, stopniowo coraz mocniej orientującej się na czytelników poza regionem, przede wszystkim w Polsce, (1969–1989) i 5. okres transformacji po roku 1989. Nietrudno zauważyć, że tak jak w wypadku wielu periodyzacji historycznoliterackich przełomowe daty wyznacza raczej historia polityczna niż wydarzenia literackie, w tym wypadku jest to historia polityczna Czechosłowacji. Tendencji literackich dotyczy natomiast charakterystyka poszczególnych okresów. Martinka interesują w książce wszystkie te okresy z wyjątkiem pierwszego, który służy jedynie jako tło historyczne dla późniejszych zjawisk.

Jak przyznaje sam autor: *Piętą achillesową regionalizmu literackiego Śląska Cieszyńskiego jest, podobnie jak w innych przypadkach nakierowanego na jakiś region piśmiennictwa polskiego, akcentowanie tematyki społecznej oraz nieduża wartość artystyczna dzieł.* Istotnie, w gruncie rzeczy do lat sześćdziesiątych XX wieku powody zainteresowania literaturą zaolziańską nie mogły mieć raczej charakteru czysto estetycznego. Ciekawe wydawały się raczej mechanizmy literatury regionalnej i sposób, w jaki pisarze spełniali specyficzne potrzeby swojej publiczności, wyznaczonej wspólnym obszarem zamieszkania, wyraźnie odmiennej od publiczności ogólnopolskiej. W późniejszych latach daje o sobie znać zmiana wpisanego w utwory odbiorcy, nakierowanie na czytelnika polskiego nie tylko mieszkającego w regionie, próba włączenia się twórczości Zaolzian do polskiej kultury ogólnonarodowej. Wiąże się to z podniesieniem ambicji artystycznych oraz większą oryginalnością i silniejszym indywidualnym nacechowaniem tekstów. Tacy twórcy jak autor m.in. powieści „Kazinkowe granie" (1994) Wilhelm Przeczek (ur. 1936) czy Renata Putzlacher (ur. 1966) wnieśli niewątpliwie do literatury polskiej odrębne wartości. Ich dzieła zostały dostrzeżone i wysoko ocenione przez polską krytykę literacką. Publikują oni zresztą nie tylko w oficynach regionalnych, ale również w wydawnictwach ogólnokrajowych w Polsce. Usytuowanie w wielokulturowym regionie przynosi jedynie dodatkowe inspiracje. *Funkcjonowanie na pograniczu kultur wzbogaca twórczość polskich pisarzy o dużych ambicjach artystycznych* – pisze Martinek

w artykule opublikowanym niedawno na łamach łódzkiego Tygla Kultury, z którym współpracował już niejednokrotnie. Artykuł ów poświęcony jest tendencjom w zaolziańskiej literaturze po roku 1990, a więc z grubsza traktuje o tym samym, o czym siódme studium książki („K transformaci literárního života polských spisovatelů českého Těšínska w České republice po roce 1990. Nástin problematiky" ["Transformacja życia literackiego polskich pisarzy czeskiego regionu cieszyńskiego w Republice Czeskiej po roku 1990. Zarys problematyki"]). W polskojęzycznym artykule badacz skrótowo porusza jednak również zagadnienia obecne w innych fragmentach książki. Martinek zwraca uwagę, że po roku 1990 ukształtowały się warunki instytucjonalne sprzyjające działalności twórczej pisarzy polskich na Zaolziu. *Powstało* – podkreśla badacz – *Zrzeszenie Literatów Polskich w Republice Czeskiej – ZLPC, będące zbiorowym członkiem Wspólnoty Pisarzy w Pradze. Niektórzy twórcy należą równocześnie do niego i do Związku Literatów Polskich lub do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, a także do Cieszyńsko-Zaolziańskiego Koła Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego z ośrodkiem w Katowicach*. To oczywiście ramy instytucjonalne, ale – zauważmy – wraz z innymi czynnikami (swoboda publikacji, swoboda podróżowania) stanowią one o innej niż przed „aksamitną rewolucją" i ogólniej: przed przemianami ustrojowymi w Europie Środkowej sytuacji mniejszościowego twórcy.

Opawski badacz podkreśla, że w Czechach wzrasta ostatnio liczba publikacji autorstwa polskich pisarzy zaolziańskich i to mimo zmniejszenia się dotacji państwowych. Powiada też, że począwszy od lat dwudziestych minionego stulecia, choć na większą skalę jest to zjawisko nieco późniejsze, utrzymuje się tendencja integracji kultury zaolziańskiej z polską kulturą narodową, a literackie wzory piśmiennictwa w regionie to najwybitniejsi polscy poeci współcześni (szczególnie silnie oddziaływa tu od lat sześćdziesiątych minionego stulecia twórczość Tadeusza Różewicza). Literatura zaolziańska wydobywa się z kompleksu prowincjalizmu, ale za cenę przynajmniej częściowej utraty szczególnego regionalnego posłannictwa kulturalnego. Z drugiej strony w najmłodszym dobrze już usadowionym w literaturze pokoleniu daje o sobie znać to, co opawski badacz nazywa „aspektem asymilacyjnym", tendencja do pogłębienia związków ze środowiskiem czeskim. Jako przykład Martinek podaje Bogdana Trojaka (ur. 1975), Lecha Przeczka (ur. 1961) i Renatę Putzlacher.

Nakierowanie Renaty Putzlacher na literaturę czeską, zauważmy, wiąże się – inaczej niż u piszącego i publikującego niemal wyłącznie po czesku Trojaka – z nakierowaniem na polską, chodzi bowiem o jej działalność translatorską, była m.in. współtłumaczką antologii współczesnej poezji

polskiej „Bílé propasti" (1997, „Białe otchłanie"), później zaś przekładała m.in. wiersze Andrzeja Sosnowskiego i Marzanny Bogumiły Kielar (tłumaczenia te drukiem ukazały się w czołowym czeskim periodyku kulturalno-literackim, brneńskim miesięczniku Host). Wszelkie natomiast jej własne książki poetyckie powstały w języku polskim, niektóre opublikowane przez polskie wydawnictwa. Putzlacher tłumaczy również twórczość czeską na polski, jest między innymi autorką sporego bloku przekładów piosenek popularnego barda Jaromíra Nohavicy, za które otrzymała nagrodę polskiego konsula generalnego w Ostrawie.

Martinek w swej książce nie próbuje dać choćby zarysu historii polskiej literatury zaolziańskiej, o czym wyraźnie pisze. Jak jednak powiada w recenzji tej publikacji brneński literaturoznawca Ladislav Soldán (Ladislav Soldán „Literatura polské menšiny u nás", Duha 2005, nr 1, s. 24), poszczególne zawarte w niej szkice *należy uznać za pobudzające także i z tego punktu widzenia,* z punktu widzenia dążeń do syntezy historycznoliterackiej. We wstępie do swej książki Martinek powiada, że nie zastępuje ona *dziejów literatury polskiej czeskiej części regionu cieszyńskiego, których powstanie nie jest na razie realne, także z tego powodu, że historia literatury nie ma do dyspozycji historiograficznych monografii, zwłaszcza dotyczących okresu po roku 1945 na czeskim Śląsku Cieszyńskim, choć istnieje cały szereg obszernych historiograficznych artykułów. W dodatku chodzi o teren bardzo skomplikowany z punktu widzenia politycznych, ekonomicznych, kulturalnych i społecznych procesów, które często postrzegane są bardzo różnie przez historiografów czeskim i polskich.* Jedno jest pewne: ewentualna przyszła synteza historycznoliteracka (a także ewentualna historia polskiej kultury regionu) nie będzie mogła pominąć prac Martinka, już choćby ze względu na jego rzetelny i wyczerpujący opis faktów literackich i wokółliterackich. Miejmy nadzieją, że ten młody wciąż badacz jeszcze niejedną publikacją przyczyni się w przyszłości do poszerzenia wiedzy o literaturze polskiej mniejszości i o jej polskich i czeskich kontekstach. A może nawet to właśnie on pokusi się kiedyś o stworzenie historii literatury zaolziańskiej.

LESZEK ENGELKING

Dr Leszek Engelking – ur. 2.2.1955 w Bytomiu, mieszka w Brwinowie pod Warszawą, adiunkt w Instytucie Teorii Literatury, Teatru i Sztuk Audiowizualnych Uniwersytetu Łódzkiego, historyk literatury, krytyk literacki, poeta, nowelista, tłumacz z angielskiego, czeskiego, hiszpańskiego, rosyjskiego, słowackiego i ukraińskiego.

POLSKO-AUSTRIACKIE KONTAKTY KULTURALNE I LITERACKIE W TWÓRCZOŚCI EDMUNDA ROSNERA

Profesora Edmunda Rosnera poznałem podczas konferencji "Literatura v českém a polském Slezsku - Literatura na Śląsku czeskim i polskim", która odbyła się w listopadzie 1995 roku na Uniwersytecie Śląskim w Opawie i zapoczątkowała tradycję corocznych spotkań literacko-naukowych fachowców z Republiki Czeskiej i Polski. Byłem w tym czasie stypendystą studiów doktoranckich historii czeskiej literatury na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Masaryka w Brnie i w ramach swych obowiązków naukowych miałem zaliczyć staż na którymś z zagranicznych uniwersytetów. Rozważałem pobyt w Polsce, ponieważ już wcześniej zajmowałem się problematyką literatury na pograniczu czesko-polskim. Wybór padł więc logicznie na Filię UŚ w Cieszynie i bezsprzecznie największego znawcę dziejów literatury na Śląsku Cieszyńskim prof. dra hab. Edmunda Rosnera. Należy dodać, że chodziło o naukowca, który śledził historię nie tylko literatury polskiej, ale dzięki znajomości języków także literaturę niemiecką i żydowską w regionie.

Odejście prof. Rosnera 17.5.1998 przeżyłem bardzo boleśnie, ponieważ utraciłem nie tylko doświadczonego doradcę i konsultanta w sprawach problematyki piśmiennictwa Śląska Cieszyńskiego, ale także polskiego redaktora publikacji materiałów z opawskich konferencji i patrona tych konferencji z polskiej strony. Od roku 1997 organizujemy te konferencje we współpracy z wykładowcami polonistyki Uniwersytetu Opolskiego, przy czym gwarantem polskiej strony jest prof. Grzegorz Gazda, z którym również bardzo dobrze nam się współpracuje. Tematyka konferencji jest obecnie mniej skierowana na tematykę śląską, a o wiele bardziej na tematy uniwersalne - literatura romantyczna, emigracyjna, drugiego obiegu i współczesna, aktualne tematy obu literatur narodowych itd.

Śmierć prof. Rosnera skomentowałem nekrologiem w Gazecie Uniwersytetu Śląskiego (1998, nr 1) i bio-bibliograficzną sylwetką w Zwrocie (1999, nr 5), obecnie chciałbym zająć się pracą badawczą Rosnera w sferze stosunków polsko-austriackich (polsko-niemieckich).

Szersze zainteresowanie E. Rosnera problematyką związków polsko-austriackich obserwujemy w jego pracy od początku lat 80. XX wieku. Wcześniej chodziło głównie o badanie dziejów literatury polskiej Śląska Cieszyńskiego i teoretyczne zagadnienia regionalizmu. Niemniej już

w pracy dyplomowej Rosnera "Stosunek Stefana Żeromskiego do literatury niemieckiej" (WSP Katowice, 1961) widoczne jest zainteresowanie polsko-niemieckimi związkami kulturalnymi i literackimi. Pod koniec lat 80. rezultat jego badań przedstawia praca habilitacyjna "Między erosem a caritas. Życie i twórczość Almy Johanny Koenig (1887-1942?)", którą obronił w roku 1987 na UAM w Poznaniu.

Edmund Rosner urodził się 12.5.1930 w Bielsku-Białej, ale to nie tylko jego doskonała znajomość języka niemieckiego predestynowała go do badań związków polsko-austriackich, lecz także specyficzne rysy Śląska Cieszyńskiego, gdzie od dawien dawna przecinały się różne prądy duchowe i religijne, gdzie istniała obok siebie kultura polska, niemiecka, żydowska i czeska. To właśnie Edmund Rosner w roku 1988 założył Oddział w Cieszynie Towarzystwa Polsko-Austriackiego. Ponad dziesięć lat był nie tylko jego prezesem, którego autorytet i rosnąca popularność przyciągały wielką ilość prelegentów - polityków, pisarzy, naukowców, muzyków, plastyków - z kraju i z zagranicy, ale prawdziwą duszą tego stowarzyszenia. Nie doczekał niestety jubileuszu dziesięciolecia towarzystwa. Już po jego śmierci wydany został Biuletyn z okazji 10-lecia istnienia cieszyńskiego Oddziału TPA pod nazwą "Ku wzajemnemu poznaniu" (Cieszyn 1998) pod redakcją Ludwika Rosnera. Przypomniano tam o nawiązaniu współpracy Filii UŚ z Pädagogische Hochschule der Diözese Graz-Seckau w Austrii. Dowiadujemy się tu m.in., że powstanie TPA nie uszło uwagi organów bezpieczeństwa, ale już w roku 1988 zebrał się komitet organizacyjny TPA i 8 grudnia tego samego roku założony został oddział w Bielsku-Białej. Dzięki poparciu prorektora Wojciecha Kojsy powstał oddział TPA przy Filii UŚ, którego celem był rozwój działalności w szkole i wśród obywateli Cieszyna.

Ze względu na to, że działalność TPA ukierunkowana była na poznanie dawnej i współczesnej kultury austriackiej i prezentację wysiłku twórczego wiedeńskiej Polonii, kierownictwo oddziału kładło nacisk na działalność oświatową i kulturalną. W latach 1989-1998 zorganizowało około 85 programów, takich jak wieczory autorskie, spotkania literackie i inne, udział w przedstawieniach teatralnych, projekcjach filmowych, promocje książek. Spis gości i artystów biorących udział w tych spotkaniach, zamieszczony w opracowanym przez Otylię Pieczkę Kalendarium imprez TPA w latach 1988-1998, świadczy o wysokim poziomie akcji towarzystwa.

W ciągu tych dziesięciu lat TPA stało się niewątpliwie ważnym ogniwem kultury regionu. Nawiązywało do wielonarodowej i wielokulturowej tradycji Podbeskidzia. *W miejsce odnawiania antagonizmów, szerzenia nieufności i podejrzliwości zmierza ono do budowania klimatu wzajemnego zro-*

zumienia i życzliwości oraz kształtowania akceptacji dla odmienności kulturalnych, podkreśla to, co ludzi łączy i nastawia do siebie pozytywnie - napisał o PTA przed śmiercią prof. Rosner.

Fachową syntezę działalności badawczej Rosnera w dziedzinie wzajemnych stosunków polsko-austriackich podaje zbiór materiałów naukowych "Znad Wisły i Dunaju" (Cieszyn 1998). Chodzi o publikację ukazującą na podstawie losów szeregu pisarzy polskich i austriackich bliskość ich światopoglądów, podobieństwo wrażliwości estetycznej, wypływające ze wspólnych środkowoeuropejskich doświadczeń historycznych. Znajdujemy tu prace na temat związków Marii Konopnickiej i Romana Brandstaettera z Austrią, o powojennej działalności Stanisława Jerzego Leca w Wiedniu (w latach 1946-1950), sylwetkę wiedeńskiego slawisty, księdza i poety prof. Bonifacego Miązka, życiorys pisarza pogranicza polsko-austriackiego Adama Zielińskiego (do Wiednia wyemigrował w roku 1957), część książki zajmują portrety austriackich polonofilów i tłumaczy, tak tych już dziś zapomnianych, jak i tych godnych zapamiętania (O. J. Tauschinski, G. Hagenau), następną część wypełniają materiały do słownika austriackich tłumaczy polskiej literatury, część końcowa poświęcona została austriackim rodakom ze Śląska (pisarz z Cieszyna F. Uhl, slawista rodem z Karwiny Sowińca G. Wytrzens), żydowskim pisarzom ze Śląska, a zamyka książkę posłowie prof. Stefana H. Kaszyńskiego.

Nic dziwnego, że za długoletnią i sensowną działalność na tym polu otrzymał E. Rosner Odznakę "Zasłużony dla Towarzystwa Polsko-Austriackiego" w Warszawie 25 kwietnia 1995 roku.

Do pracy naukowej prof. Rosnera w dziedzinie historii literatury polskiej czeskiego Śląska Cieszyńskiego nawiązałem, jako jego były słuchacz, m.in. zbiorem opracowań "Polska literatura czeskiego Śląska Cieszyńskiego po roku 1945" (Opawa 2004), do jego pracy popularyzatorskiej w zakresie stosunków polsko-austriackich (nie licząc udziału w tłumaczeniu zbioru polskiego poety mieszkającego na stałe w Wiedniu Michała Bukowskiego "Laskavost oblaků", Czeski Cieszyn 1999, tłumaczenie z Lucyną i Wilhelmem Przeczkami) głównie czeskim przekładem zbioru wierszy ks. prof. Bonifacego Miązka "Návrat" (Opawa 2005) i obszernym posłowiem do tej książki.

LIBOR MARTINEK
Tłum. M.R.

HANS CHRISTIAN ANDERSEN

Wirtuoz uczuć, zostawił nam klucz do ludzkiego serca oraz niezatarte przesłanie swojego życia - warto sięgać gwiazd.

Dariusz Rossowski

Cały postępowy świat odchodzi w tym roku 200 rocznicę urodzin i 130 śmierci jednego z najpopularniejszych bajkopisarzy świata Hansa Christiana Andersena. Wielcy poeci duńscy o nim powiedzieli: *jest w nim siła i drzemiąca wrażliwość* (Oehlenschlager), *miał umiejętność przedstawiania codziennego życia* (Ingemann), Heiberg oświadczył, że od czasu Wessela żaden duński poeta *nie dysponował takimi pokładami humoru jak on,* a Tiele mówił o sile, którą w nim zauważył i która każe mu walczyć z niedolą. Andersen miał olbrzymi hart ducha, wytrzymałość w walce z przeciwnościami życia, biedą i niedolą, a pasja życiowa umiłowania teatru i postanowienia, że zostanie poetą i okryje się sławą, ziściły się. W "Baśni mojego życia" powiedział autor o sobie wszystko, co stanowi o wartości człowieka. Pokazał tu swoje czyste serce, wielką ufność i wiarę, pokazał miłość względem ludzi i udowodnił światu, że ma talent, że jest poetą. Najwymowniej, a zarazem najpiękniej o Andersenie powiedziała tłumaczka "Baśni mojego życia" na język angielski Hary Howitt: *Nie ma dla mnie pracy literackiej bardziej zachwycającej, niż tłumaczenie pięknych myśli i idei H. Ch. Andersena. Ta historia jego życia nie stanowi wcale najmniej interesującej z jego prac. Wręcz przeciwnie, mnie wydaje się ona najciekawsza. Stanowi klucz do wszystkich pozostałych, a skarby, które ten klucz otwiera, okazują mieć dodatkową wartość.*

Ten sławny Duńczyk urodził się 2 kwietnia 1805 roku na pięknej wyspie Fionii w małych miasteczku Odense (około 140 km od Kopenhagi) z ojca szewca i matki praczki, która była prawie że analfabetką, bo czytała tylko, i to z trudem, drukowane litery. Pisać nie umiała. Ojciec nie zdobył wykształcenia, choć bardzo tego pragnął, więc nie był z życia zadowolony, a swoje rzemiosło traktował jak konieczne zło. Czytał Hansowi na głos komedie i bajki, rysował mu różne widoczki, zmajstrował dla niego teatrzyk. Lubił czytać i zatapiać się w medytacji. Kochał swojego syna i dla niego żył. Był wielbicielem Napoleona, więc kiedy dowiedział się o wojnie w Niemczech, zaciągnął się do wojska pod jego sztandary i po powrocie wkrótce zmarł (1816). Matka wyszła powtórnie za mąż, ale ojczym nie darzył pasierba miłością, co Andersen odczuwał boleśnie.

Bardzo kochał babcię i to z wzajemnością. Babcia, opiekując się ogrodem przy miejskim szpitalu dla umysłowo chorych, często zabierała ze sobą wnuka. Nie bał się ich, wręcz odwrotnie, zachowanie tych ludzi fascynowało go. Dziadka, umysłowo chorego, zapamiętał przystrojonego w kwiaty i wędrującego po wsiach i miasteczkach, rozdającego własnoręcznie wystrugane figurki ludzi ze zwierzęcymi głowami albo skrzydlate zwierzęta. Dziadka się bał i uciekał przed nim. Z babcią często odwiedzał przytułek dla starych kobiet, gdzie nasłuchał się opowiadań o zjawach i siłach fantastycznych. Był kochany przez matkę i babcię, ale dzieciństwo miał bardzo smutne, bo żył w biedzie. Zapamiętał, jak matka bardzo płakała, kiedy zmuszano ją, by szła żebrać, a ona nic nie wyżebrała. Z matką chodził podczas zbiorów zbierać pokłosie. Wspominał zdarzenie: Raz zobaczył ich ekonom z batem, wszyscy uciekli, a jemu w ucieczce przeszkadzały drewniane chodaki. Ekonom chciał go uderzyć, lecz Hans mu powiedział: *Jak śmiesz mnie bić, kiedy Bóg na cię patrzy*. Ekonom złagodniał i nawet obdarował go pieniędzmi. Hans Christian Andersen był bardzo wrażliwym dzieckiem, wychowywanym w specyficznym otoczeniu, w którym prawda mieszała się z fantazją, co kształtowało wyobraźnię nader wrażliwego, chorowitego, z duszą romantyczną, dziecka. Był samotnikiem. Dzieci naśmiewały się z jego wyglądu, bo był chudy, wysoki, o cienkim piskliwym głosie. Rzadko się więc z nimi bawił. Najbardziej lubił szyć ubranka dla lalek. Największym szczęściem dla niego było kolekcjonowanie kolorowych kawałków płótna i jedwabiu, które zszywał, więc matka myślała, że zostanie krawcem. Andersen chciał zostać aktorem. Niekiedy z rodzicami chodził do teatru. Pasjonowały go książki, których nie miał, a które bardzo chciał mieć. Marzył o własnej twórczości dramatycznej i bawił się w teatr marionetek, dla którego tworzył sztuki sceniczne i pieśni. Strugał laleczki, szył kostiumy, był aktorem. Andersen kochał teatr i wyrastał na poetę. Zaczął kształcić się w szkole towarzystwa dobroczynnego, gdzie uczył się religii, rachunków i pisania. W Odense wiedziano o jego pasji teatralnej i o tym, że ma swój własny teatrzyk marionetkowy. W 14 roku życia wyjechał z Odense do Kopenhagi, by stać się sławnym, by zostać aktorem. Przed wyjazdem matka poszła do wróżki, która wywróżyła mu wielką sławę, powiedziała, że na jego cześć w Odense zabłysną kiedyś światła. W Kopenhadze nie miał szczęścia. Madam Schall, tancerka, do której szedł z rekomendacją starego drukarza z Odense, wzięła go za obłąkanego, od dyrektora teatru usłyszał odpowiedź, że do teatru przyjmują ludzi tylko z wykształceniem, półroczne kształcenie głosu u dyrektora Akademii Muzycznej, Włocha Siboni, z pomocą sławnego kompozytora Weyse, również nie przyniosło efektów, ani

nie nauczył się tańca, bo nie miał talentu. Nie rezygnował. Wciąż marzył o teatrze. Za zaoszczędzone pieniądze (pracował u stolarza i finansowo wsparł go Weyse) kupował stare książki ze sztukami teatralnymi, których uczył się na pamięć. Raz miał okazję zagrać tłum, raz trolla i raz tańczył w balecie. Był bardzo szczęśliwy, bo nazwisko jego pojawiło się na afiszu teatralnym. Aby zarobić pieniądze, napisał dramat dla Teatru Królewskiego "Zbójcy z Wissenberga". Za pół roku otrzymał odmowną odpowiedź z dopiskiem: "brak elementarnej wiedzy". Cierpiał biedę i upokorzenia. W roku 1823 uśmiechnął się do niego los. Poznał członka dyrekcji teatru, sekretarza prywatnej fundacji królewskiej Jonasa Collina, który pomagał takim jak Andersen. Uzyskał stypendium królewskie i darmową naukę w gimnazjum w Slagelse. Collin i jego najbliżsi stali się "rodziną" Andersena. Edward Collin, syn Jonasa, przekazał potomnym najwięcej wiadomości o tym wielkim bajkopisarzu i poecie.

Siedemnastoletni Andersen zaczyna się uczyć, najpierw łacińska szkoła, czyli gimnazjum, gdzie koledzy naśmiewali się z niego, drwili z każdego niepowodzenia. Nauka nie interesowała go, ale tu i ówdzie uzyskiwał pochwałę w dzienniczku, z czego się bardzo cieszył. Jasnymi chwilami pobytu w gimnazjum była obecność na próbach generalnych w prywatnym teatrze oraz pisanie wierszy. Tu napisał 4 może 5 wierszy i najpopularniejszy z nich "Umierające dziecko". W 24 roku życia zostaje studentem uniwersytetu (1827). Marzenia o zostaniu poetą nie opuszczają go. Próbuje wszystkich gatunków literackich, ale stale spotyka się z krytyką i brakiem uznania. Pisał wiersze humorystyczne, był autorem wodewilu, wprowadzając go na scenę duńską. Nigdy nie zasłynął jako dramatopisarz, choć napisał 7 sztuk, a Teatr Królewski w Kopenhadzie wystawiał je. Pierwszą powieść "Podróż piechotą do Amager" napisał, mając 23 lata. Był szczęśliwy, bo wydano ją w Szwecji. Napisał pierwszy dramat miłosny "Miłość na wieży Nicholasa", który podobał się studentom, i również wydał tomik wierszy (1830). Pisał: *Stałem się szczęśliwym człowiekiem. Wszystkie domy stoją dla mnie otworem, nauka dobrze mi idzie, chlubnie zdałem egzamin z filozofii. Zbiór moich wierszy został przyjęty. Życie moje zapowiada się słonecznie.* Wtedy już utrzymywał się z pisarstwa. Nie miał szczęścia w miłości. Zakochiwał się w pannach bogatych i wysoce postawionych. Rozterki miłosne opisał w wodewilu "Rozstania i spotkania". Collin namówił go do podróży do Niemiec (1831). Wrażenia opisał w "Malowanych cieniach". Duńczycy zastanawiali się, czy ta podróż miała na Andersena dobry wpływ. Oskarżali go o pychę i próżność, a on w pochwalnych słowach wyrażał się o każdym duńskim poecie, pisząc "Winiety duńskich poetów", ale stypendium królewskie przyznano

poecie Hertzowi. Podróżując po Francji w 1833 roku, spotkał się z Heinem, Hugo, we Włoszech poznał Thorvaldsena, rzeźbiarza duńskiego, tu skończył pierwszy tom "Improwizatora", największej swojej powieści, a napisał ich jeszcze 13. Uzyskał uznanie w Szwecji, Anglii, Rosji, Holandii, więc wrogowie przycichli. Dobrze czuł się w Szwecji.

Zaczynał się nowy okres jego życia. W kraju był ceniony, otrzymywał wyższe honoraria, rentę królewską i wsparcie na wypadek choroby. Znany już był i jako bajkopisarz (1835). W "Baśniach opowiedzianych dzieciom" opowiedział w własny sposób bajki usłyszane w dzieciństwie: "Krzesiwo", "Księżniczka na ziarnku grochu", "Kwiatek małej Idy", a tom II i III nazwał "Nowe baśnie". Nareszcie ma sławę. Podróżuje w towarzystwie pary królewskiej, zasiada do stołu królewskiego, czyta królowi Chrystianowi VIII bajki. Podróżuje po Europie, wszędzie ma szczerych przyjaciół. Był w Pradze, gdzie widział wojska przygotowujące się do tłumienia powstania krakowskiego (1846), w Wiedniu przyjęła go żona Franciszka I, Zofia Austriaczka, Sisi, we Włoszech zachwycał się architekturą, ale nie znosił upałów i hałasu włoskiego. Zapadał na zdrowiu.

Baśnie przyniosły mu rozgłos i popularność. Przyszła sława, o którą tak żarliwie usiłował. Był znany nie tylko w Danii, ale szeroko w świecie. Jego rodzinne miasto Odense nadało mu tytuł honorowego obywatela, a Kopenhaga wiwatowała na jego cześć. Kiedy obchodzono jego 70 urodziny, był już bardzo słaby i chory. Zmarł 4 sierpnia 1875 roku.

H. Ch. Andersen jest jednym z najpopularniejszych pisarzy świata. W Kopenhadze w Królewskiej Bibliotece znajdują się wszystkie dowody sławy wielkiego pisarza. Są jego dzieła, są tłumaczenia dzieł na wszystkie języki europejskie, azjatyckie, języki Afryki, esperanto i in. Baśnie dla Polaków tłumaczyła S. Beylin i J. Iwaszkiewicz. Ze 177 baśni, które napisał, Polska wydała 155. W 1952 r. wyszły w Polsce "Baśnie Andersena na scenie" ("Nowe szaty cesarza", "Królowa śniegu", "Świniopas", "Calineczka").

Sen o sławie spełnił się Andersenowi jak w bajce. Został wielkim i sławnym, był przyjmowany na dworach królewskich i książęcych, w salonach ludzi bogatych i wpływowych, którzy ubiegali się o znajomość z tak sławnym pisarzem. Wielu z nich, Dickens, Heine, Balzak, Hugo, de Vigny, List, Mendelson, Schumann i inni, ofiarowali mu swoje dzieła lub dedykowali poszczególne utwory. H. Ch. Andersen stał się własnością całego świata.

DANUTA GAUDYN ONDRUCHOWA

POLSKA KEVINA HANNANA

Twórczość pisarska Kevina Hannana z Teksasu od wielu lat jest już znana i rozpoznawalna nad Olzą. Tym razem posiadający także śląskie korzenie amerykański etnolingwista proponuje czytelnikom "Moją Polskę / My Poland" - wydany po polsku i angielsku (284 ss.) zbiór siedmiu esejów na temat szeroko pojętej problematyki polskości (*Geografia i kultura, Język Polski i jego pochodzenie, Od Indoeuropejczyków do Słowian, Polskość na pograniczach, O urokach i stereotypach polskości, Symbole wspólnoty i tradycji, Wiara i religia*). W ich fragmentach Autor nawiązuje także do problematyki cieszyńskiej, nie ukrywając, iż jest mu ona szczególnie bliska. Książkę opublikowano w Wydawnictwie Poznańskim.

O swoim stosunku do Ziemi Cieszyńskiej Autor pisze już we *Wstępie* i *Wprowadzeniu* do swoich rozważań. Region ten jest najlepiej przez niego poznaną częścią Jego Polski, która rozciąga się od Wrocławia i Kłodzka po Bieszczady i Lublin na wschodzie. *W mojej ocenie* - pisze K. Hannan - *jednym z miejsc o szczególnym znaczeniu w Polsce jest Cieszyn. Bycie wielbicielem Polski i polskości wcale nie musi prowadzić do przymykania oczu na polskie niedoskonałości* - kontynuuje w innym miejscu, uznając np., iż nie ma w Polsce tradycji muzyki chóralnej, a współczesne budownictwo sakralne robi na nim negatywne wrażenie.

Tym, co spaja naród polski, są dla Hannana wspólne tradycje i postawy, obchodzenie całorocznego kalendarza świąt i uroczystości, wspólnotowa pamięć o przeszłości. Na tym tle różnorodność kulturowa Ameryki jest nienaturalna, z bezsensownym mieszaniem kultur i ideologiami wywodzącymi się z jej purytańskich podwalin, które Autor odrzuca. Hannan odkrył w Polsce wartości, których nie napotkał gdzie indziej. W porównaniu z Ameryką Polacy przejawiają otwartość i brak zahamowań w kontaktach z realiami ich egzystencji. *Cechą, którą najbardziej cenię u Polaków i innych Słowian, jest ich prostota i szczerość serca. Stwierdzenie, iż najbardziej uroczy i sympatyczni z Polaków są jak dzieci, nie oznacza braku szacunku dla ich intelektu, lecz hołd oddany ich sercu. A to właśnie serce przemawia do mnie bardziej niż jakikolwiek inny aspekt ludzkiej natury. Czuję, że życie w Polsce obejmuje wszystko to, co powinny zawierać doświadczenia człowieka. Jest ono proste, szczere, spokojne, poważne lub radosne w zależności od okoliczności. Jest jednak coś irracjonalnego w moim zau-*

roczeniu tym krajem - niektóre z negatywnych cech, jak na przykład anarchia i brak porządku, nie odpychają mnie w takim stopniu, w jakim być może powinny. Polska dokładna i dobrze zorganizowana nie byłaby tą Polską, która by mnie pociągała. Te i inne spostrzeżenia Autor rozwija szczegółowo w kolejnych rozdziałach.

Cieszyńskie ślady w publikacji Hannana mają swoje źródło w dużym stopniu w jego własnych przeżyciach, zapoczątkowanych kontaktami rodzinnymi. Ich początki sięgają 1983 r., kiedy to przybył na ślub swojej dalekiej kuzynki do *ponurej przemysłowej Karwiny*, przy okazji odwiedzając kolejnych swoich krewnych w Zebrzydowicach. Jak podaje, czas jego przybycia nad Olzę zbiegł się z ówczesną amerykańską modą na poszukiwanie przodków, wywołaną emisją serialu "Korzenie", z którą jednak on sam się nie utożsamia. Od razu też natknął się na bariery dzielące Polaków i Czechów na pograniczu. Polacy robili na nim wrażenie znacznie mniej niż Czesi zastraszonych przez komunizm, ze swoją hardą niezależnością, charakterystyczną dla polskiej tradycji. Omawiając losy Zaolzia, Autor wskazuje na mechanizmy asymilacyjne oraz na mniejsze niż u krytykowanych dawniej przez Pragę za nacjonalizm Węgrów na Słowacji swobody językowe zaolziańskich Polaków.

Za symboliczny dla dochodzenia prawdy o swoich cieszyńskich korzeniach (rodziny Szyrockich i Fójcików) Hannan uznał także fakt, iż ojcowizna tych ostatnich w Marklowicach Dolnych znalazła się dokładnie na granicy, która w XX wieku przyczyniła się do nienawiści i wzajemnego niezrozumienia Polaków i Czechów oraz wpłynęła na czechizację części Zaolzian, niezależnie od stałego posługiwania się gwarą. Końcem lat 80. XIX w. jedna z sióstr prababci K. Hannana, zamężna Antończyk, wyemigrowała z rodziną do Ameryki, a po kilku latach to samo uczynił pradziadek Autora Izydor Szyrocki, który ze swoją rodziną dołączył do szwagierki. Okolice, w których osiedli, były zdominowane przez emigrantów morawskich z okolic Mistku, Frensztatu i Vsetina i z nimi to cieszyńskich Ślązaków z reguły utożsamiano. Generalnie, żyjąc w plątaninie wielu dialektów i kultur, nie potrafili oni podówczas określić swojego etnicznego pochodzenia. *Niepowtarzalne, spokojne wioski byłego księstwa cieszyńskiego* nadal wywierają wpływ na związane z Autorem rodziny za oceanem.

Wątek emigracyjny stał się dla Autora okazją do prezentacji postrzegania polskości w USA. Wiele negatywnych amerykańskich stereotypów na temat Polaków ma związek z faktem określonego statusu majątkowego i kulturalnego osób, które stanowiły większość emigrantów. Elity polskie, które w XIX w. emigrowały z ziem pod zaborami, wyjeżdżały głównie z przyczyn politycznych i to nie za ocean. Do Ameryki wyjeżdżano za chlebem. Inaczej postrzega się Polaków w Wielkiej Brytanii, gdzie w czasie wojny trafiali ludzie wykształceni. Autor wskazuje przy tym, iż w tyg-

lu amerykańskim kultura słowiańska jest często ignorowana. To, co Autorowi podoba się w Polakach i czego brak jest nieszczęściem wielu narodów zachodnich, to fascynacja abstrakcyjnymi ideami, poczucie obowiązku społecznego i moralnego (jest to - jego zdaniem - pozytywny spadek po szlachcie), brak chytrości i przebiegłości, wiara w ideały. Z braków, które Autor dostrzega w kulturze polskiej, wymienia m.in. upadek znaczenia w codziennym życiu muzycznej kultury ludowej, co u innych Słowian nie wystąpiło. Pozytywne opinie Autor wystawia także polskim kobietom, które potrafią zachować się w każdej sytuacji i mają swój specyficzny wdzięk, wyróżniający je np. na tle Rosjanek. Prawdziwy pomnik wystawia polskim babciom. *Polska babcia jest jednocześnie kochająca i silna, dostojna i pobożna, elegancka we właściwy sobie sposób. Polki starzeją się z wdziękiem, choć społeczeństwo tradycyjnie niewiele robi, by miały dobre samopoczucie czy też mogły zatroszczyć się o swój wygląd. Gdy porównuję Polkę w starszym wieku z jej amerykańską odpowiedniczką, mój podziw niezmiennie budzi naturalna, bezpretensjonalna godność tej pierwszej. Moim zdaniem, w ostatecznym rozrachunku Polkom na dobre wyszła i stała się dla nich błogosławionym darem naturalność, dalece przewyższająca ów powab, jaki może dać kosmetyczka; Polki bowiem tradycyjnie nie doświadczały nadmiaru środków materialnych, aby móc przyswoić sobie uniwersalną kobiecą próżność.*

Problematykę Śląska Cieszyńskiego Autor prezentuje najobszerniej w rozdziale *Polskość na pograniczach*. W tle polsko-czeskich konfliktów politycznych wskazuje na podobieństwa i różnice między Polakami a Czechami, które miały także wpływy na kształtowanie się pozytywnych i negatywnych stereotypów we wzajemnym postrzeganiu, a także na rodzenie się polskich i czeskich kompleksów. Jedną z przyczyn negatywnego odbioru Polski nad Wełtawą Hannan dopatruje w stabilniejszej w XIX i XX stuleciu gospodarce ziem Korony Czeskiej, a więc i Śląska, który graniczył z ubogą ekonomicznie Galicją. Przysłowiowa nędza galicyjska przez lata tkwiła w zbiorowej pamięci czeskiej, a obraz wsi podkrakowskiej przenoszony był na resztę narodu polskiego. Stąd praktycznie do 1989 r. dla przeciętnego Czecha niepokoje polityczne w Polsce kojarzyły się głównie z brakiem gospodarności wśród Polaków i zacofaniem ich gospodarki. Upadek komunizmu wielu Czechów wiąże z "aksamitną rewolucją", co w Polsce jest nie do przyjęcia. Poza tym Autor wskazuje na inne, znane już z wielu publikacji opinie o: negatywnym stosunku Polaków do czeskiej akceptacji każdej władzy państwowej, braku wśród potomków Czecha wojowniczości (fakt czeskiej agresji zbrojnej ze stycznia 1919 r. był tu wyjątkiem, co świadczy o znaczeniu cieszyńskiego pogranicza dla Pragi). Zdaniem Autora, niezależnie od różnego definiowania polskości na pograniczach przejściowy, "zachodnio-wschodni"

stereotyp narodowy na Śląsku Cieszyńskim, wraz z Zaolziem, przypominają pewne zjawiska na pograniczu polsko-białoruskim: zachód - pracowity i zaawansowany technicznie, wschód - rozluźniony i bardziej emocjonalny. W współistnieniu tych cech Autor widzi jednak dobrą stronę polskości.

Autor dostrzega tu i ówdzie polskie ubóstwo materialne, ale Polacy rekompensują je sobie intensywnością i dynamiką życia. Optymistycznie widzi tez przyszłość polskiego Kościoła katolickiego, który tak jak dawniej znajdzie sobie miejsce i we współczesnej kulturze polskiej.

Wypowiedzi Autora wyraźnie wskazują, iż mamy do czynienia z prawdziwym polonofilem. Być może u polskiego czytelnika zrodzą się jednak wątpliwości, jaki sens miało tłumaczenie tekstu także na język polski, w sytuacji, gdy wiele z tego, co Hannan napisał, jest powszechnie znane i budzić może u niektórych z nich co najwyżej podziw - ile Autor wie o naszej części Europy! Wydaje się jednak, iż po zakończeniu lektury "Mojej Polski" wątpliwości te pójdą głęboko w niepamięć. Książka Hannana jest bowiem robotą fachowca. Jest jednak także uzewnętrznieniem jego pewnych bardzo osobistych uczuć, których przelanie na papier wywołuje nie tyle zachwyt, ile raczej rumieniec wstydu.

KRZYSZTOF NOWAK

SIEDEMSETLETNIA HISTORIA ZAOLZIAŃSKICH MIEJSCOWOŚCI

W roku 2005 mija siedemset lat od pierwszej wzmianki w roku 1305 (Księga uposażeń biskupstwa wrocławskiego - Liber fundationis episcopatus Vratislaviensis) o wielu (w sumie 73) miejscowościach Śląska Cieszyńskiego, które powstały w ramach kolonizacji i zakładania wczesnośredniowiecznych osad za panowania pierwszego księcia cieszyńskiego Mieszka. Dla ilustracji przytoczmy niektóre z terenów dzisiejszego Zaolzia: Raj, Frysztat, Leszna Górna i Dolna, Wędrynia, Końska, Guty, Oldrzychowice, Ropica, Trzycież, Gnojnik, Toszonowice, Domasłowice, Szonów, Łazy, Pietwałd, Sucha Górna i Dolna, Karwina, Dziećmorowice, Rychwałd, Lutynia, Skrzeczoń itd.

W związku z tym wiele gmin zmobilizowało odpowiednich ludzi i zafundowało sobie publikacje przedstawiające swoje dzieje. Z różnym zresztą powodzeniem.

Solidnego opracowania doczekała się Ropica już w roku 2004 "Ropice - Ropica", autorstwa Stanisława Zahradnika. Książka została napisana w wersji czesko-polskiej, a sama publikacja prezentuje się dobrze, co zresztą zostało odnotowane na łamach Zwrotu 1/2005. W roku bieżącym pokazała się

też w dobrej szacie graficznej publikacja "Vendryně - Wędrynia 1305-2005", też w wersji czesko-polskiej. Niestety pozycja ta ma pewne braki, niekonsekwencje, nie wszystko zostało tu odnotowane, wielu autorów i pośpiech sprawiły, że czytelnik ma pewien niedosyt. Uwagi na ten temat w Zwrocie 3/2005.

Zupełnym niewypałem okazała się skromniejsza w założeniach, lecz skandalicznie tendencyjna, bo pomijająca obecność w gminie Polaków, pozycja "700 let obce Hnojník 1305-2005" autorstwa Rudolfa Bydloška. Pozycja ta oraz jeszcze niektóre inne są przykładem tego, w jaki sposób nie można i nie wolno pisać historii na naszym wielonarodowym pograniczu.

Ostatnio ukazały się kolejne dwie pozycje z okazji 700-lecia istnienia gminny. Chodzi mianowicie o szczupłą publikację "700. výročí vzniku obce Skřečoň - 95 let školy". Nie jest to w ścisłym tego słowa znaczeniu historia gminy, ale raczej swoisty almanach na różne tematy i fakty z życia mieszkańców Skrzeczonia, wydany z okazji przypadającej rocznicy. Brak tu scalającego opracowania jednego autora lub redaktora. Pozycja ta jest napisana w wersji czesko-polskiej, jednak na zasadzie każdy sobie rzepkę skrobie. Są to w zasadzie króciutkie teksty kronikarskie uzupełnione jeszcze krótszymi wstawkami na różne tematy - wierszykami uczniowskimi, wspomnieniami itp. Jest tekst poświęcony 95-leciu czeskiej szkoły, jest krótka historia miejscowej biblioteki publicznej, czeskiego klubu sportowego Sokół oraz Ochotniczej Straży Pożarnej itd.

Polski tekst "Polacy w Skrzeczoniu" dotyczy właściwie tylko powojennej działalności MK PZKO, jest jeszcze króciutki fragment wspomnień Wincentego Szeligi i na tym koniec.

Naturalnie tego rodzaju opracowywanie historii przeszłości gminy polegające na zebraniu kilku przyczynków różnych autorów i w różnych językach prowadzi czasami do paradoksów. Dla przykładu w czeskiej historii szkolnictwa pisze się, iż pierwsza szkoła w tej wsi powstała w roku 1850 i że była to szkoła, gdzie uczyło się w języku czeskim, z założeniem, iż była to szkoła czeska, później spolonizowana, zaś w tekście polskim jest wzmianka, że początki szkolnictwa polskiego sięgają tu lat 50. XIX wieku...

Słowem wszystko tu jest zbyt powierzchowne i przypadkowe i tyle też czytelnik może z tej lektury wynieść. Publikacja jest ilustrowana i ma 40 stron.

Przykładem solidnego i obiektywnego opracowania historii wielonarodowej miejscowości w naszym regionie jest jubileuszowa publikacja "Rychvald (Richinwalde, Rychwałd, Reichwaldau) 1305-2005" autorstwa Tadeusza Siwka. Jest to 150-stronicowa książka dużego formatu w twardej oprawie, napisana w języku czeskim z obszernymi streszczeniami w języku polskim, niemieckim i angielskim. Publikacja zaopatrzona jest w mapkę Rychwałdu klasyczną i lotniczą, w wiele zdjęć kolorowych i czarno-białych oraz reprodukcje dokumentów, tabele itp.

Drażliwe sprawy sporów narodowościowych, jakich w Rychwałdzie, podobnie jak gdzie indziej w przeszłości nie brakowało, autor potraktował

z wyczuciem, stwierdzając fakty i przedstawiając, jak która strona je interpretowała. Tak jakoś należy u nas pisać historię - nie unikać spraw drażliwych, nie pomijać faktów, nie eliminować niewygodnych tematów, słowem pisać prawdę historycznie obiektywną i nie narzucać odautorskiej interpretacji wydarzeń. Inteligentny i tolerancyjny czytelnik zrozumie, zaś dla zaślepionego nacjonalisty obiektywna prawda jest w zasadzie niedostępna.

Tytuły poszczególnych rozdziałów świadczą o solidnym podejściu do tematu. Dla ilustracji przytaczam niektóre z nich: "Położenie i warunki naturalne Rychwałdu", "Najstarsze dzieje Rychwałdu", "Rozwój stosunków narodowościowych", "Czesko-polski konflikt w okresie 1918-1920", "Rychwałd w Republice Czechosłowackiej 1920-1938", "Rychwałd w Polsce 1938-1939", "Druga wojna światowa 1939-1945", "Pierwsze lata po drugiej wojnie światowej 1945-1948", "Okres socjalizmu 1948-1989", "Rychwałd w Republice Czeskiej", "Osobistości Rychwałdu" itd.

Uważam, iż rychwałdzianie mają szansę zobaczenia swej lokalnej historii we właściwym świetle. Zaś wiele naszych gmin oraz piszący o ich dziejach z tej publikacji mogliby się uczyć, jak z chlubą i korzyścią pisać o przeszłości i współczesności swych mieszkańców.

KAZIMIERZ JAWORSKI

CIESZYŃSKIE STUDIA MUZEALNE 2

15 lipca br. w Muzeum Śląska Cieszyńskiego w Cieszynie odbyła się promocja drugiego tomu czasopisma muzealnego Cieszyńskie Studia Muzealne / Těšínský muzejní sborník 2/2005, które wydało Muzeum Śląska Cieszyńskiego w Cieszynie we współpracy z Muzeum Śląska Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie. Redaktorami publikacji są Janusz Spyra i Karel Müller. Przypomnijmy, iż tom pierwszy ukazał się w roku 2003. Obszerna, licząca blisko czterysta stron, publikacja zawiera przeszło dwadzieścia pozycji autorów polskich i czeskich z Cieszyna, Czeskiego Cieszyna oraz ośrodków uniwersyteckich we Wrocławiu, Krakowie, Lublinie, Katowicach i Opawie. Opublikowane tu materiały dotyczą teoretycznych i praktycznych aspektów działalności placówek muzealnych oraz różnorodnych zagadnień sakralnej i świeckiej kultury materialnej Śląska Cieszyńskiego z czasów dawniejszych i nowszych.

Żeby zwrócić uwagę zainteresowanym dziejami Śląska Cieszyńskiego, przytoczę przynajmniej kilkanaście tytułów omawianego czasopisma muzealnego, pomijając zagadnienia fachowe muzealnicze i informacje o działalności tych placówek.

A więc: Średniowieczne i nowożytne zabytki archeologiczne wydobyte ze studni na Starym Mieście w Cieszynie (Zofia Jagosz-Zarzycka), W cieniu pradziada. Mecenat artystyczny księcia Kazimierza II w księstwie cieszyń-

skim (Bogusław Czechowicz), Znaleziska monet z Brennej i Cieszyna w zbiorze Muzeum Śląska Cieszyńskiego (Borys Paszkiewicz), Konserwacja czterech nakryć trumiennych z połowy XVII w. ze zbiorów Muzeum Śląska Cieszyńskiego (Barbara Kalfas), Polskie postylle ewangelickie na Śląsku Cieszyńskim (Renata Czyż), Uwagi o sztuce Śląska Cieszyńskiego w dobie konfesjonalizacji (Jerzy Gorzelik), Přepychové paláce, anebo dřevěnice s kurloky? K bydlení měšťanských vrstev na Těšínsku v pozdní barokní době (Irena Korbelařová), Zamek w Skoczowie. Uwagi o historii i architekturze (Halina Szotek), Jablunkovské šance – plány a mapy uložené ve Válečném archivu ve Vídni, Zemském archivu v Opavě a Vojenském historickém archivu v Praze (Pavlina Nováková), Najstarsze plany Cieszyna (Janusz Spyra), Papírové pohřební štíty ve sbírkách Muzeum Śląska Cieszyńskiego (Karel Müller), Dzieła malarzy kościelnych z pruskiej części Śląska w klasztorze Sióstr Miłosierdzia św. Karola Boromeusza w Cieszynie (Joanna Lubos-Kozieł), Továrna na nábytek z ohýbaného dřeva rodiny Kohnů v Českém Těšíně (Václav Štěpán), Židovské památky na Frýdecko-Místecku (Jaromír Polášek), Tradycja i postęp jako tworzywo pedagogicznej aktywności Bernarda Kotuli (Marzena Bogus), Symbolika "drzewka" oraz jego funkcja magiczno-religijna w cyklu obrzędów dorocznych na przykładzie Śląska Cieszyńskiego (Grzegorz Studnicki), Początki automobilizmu na Śląsku Cieszyńskim (Grzegorz M. Chromik), Stylové proměny architektury Českého Těšína v meziválečném dvacetiletí (Pavel Šopák) oraz Sylwetki cieszyńskich muzealników (1) Albin Heinrich (1785-1864) (Janusz Spyra).

Wystarczy, żeby zauważyć, iż Cieszyńskie Studia Muzealne są czasopismem ambitnym, o charakterze międzynarodowym, gdzie autorzy poświęcają uwagę dotychczas mało zbadanym zagadnieniom naszej lokalnej historii.

Całość zawiera około setki czarno-białych oraz kilkanaście kolorowych ilustracji.

KAZIMIERZ JAWORSKI

NA NASZEJ SCENIE

SKARB WANDY I ADAMA

Nazwisko Kornela Makuszyńskiego na afiszu teatralnym daje widzom przedstawienia zrealizowanego w teatrze na podstawie powieści tego autora pewną gwarancję przeżycia wieczoru optymistycznego, pełnego serdecznego i życzliwego humoru oraz dobrej zabawy. Jeśli zaś w gronie twórców owego przedstawienia znajdzie się reżyser, który potrafi archaiczny już przecież dla młodego widza język powieści pisarza pierwszej połowy dwudziestego wieku

przetworzyć na widowisko współczesne z postaciami, dla których utożsamienie się z dzisiejszymi młodymi ludźmi nie stanowiłoby problemu, to sukces murowany. Młodzi bohaterowie Makuszyńskiego mogą i dziś chodzić w mundurkach z tamtej epoki, mogą mieć tamte maniery, ważne jedynie, by ich sposób myślenia odpowiadał obecnemu, charakterystycznemu dla młodego pokolenia początku dwudziestego pierwszego wieku. Konwencja spektaklu "Szatan z siódmej klasy" Kornela Makuszyńskiego w adaptacji i reżyserii, oraz scenografii, kierownika artystycznego Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego Bogdana Kokotka odpowiada tym kryteriom.

"Szatan z siódmej klasy" to jedna z niewielu pozycji klasyki gatunku powieści młodzieżowej, w dodatku z wątkiem kryminalnym, które uchowały się w szczuplejącym kanonie lektur szkolnych. A jako że dużej części grona uczniowskiego nie można zmusić do przeczytania nawet tych niewielu pozycji obowiązkowych, przedkłada mu się lektury w formie zastępczej, łatwiejszej w odbiorze, obrazkowej, filmowej czy teatralnej. To też było głównym powodem, dla którego "Szatan z siódmej klasy", choć grany był w Scenie Polskiej niedawno, bo w 1994 roku, mógł na deskach tego teatru zaistnieć ponownie. Tegoroczna premiera odbyła się tuż przed wakacjami, 12 czerwca, spektakl grany jest dla publiczności abonamentowej od początku nowego, pięćdziesiątego piątego już sezonu Sceny Polskiej.

"Szatana z siódmej klasy" chętnie obejrzą długoletni widzowie tego teatru, którzy z sentymentem powrócą w czasy własnej młodości, ale nie powinni się na tym przedstawieniu nudzić ani uczniowie. Reżyserowi udało się bowiem stworzyć na scenie świat żywy, choć nieco zbyt idealny, jak to u Makuszyńskiego. Akcja płynie wartko, nie ma przestojów, pustych miejsc, mimo skomplikowanej nieco historii prawie kryminalnej, o zakończeniu znanym zresztą wielu z lektury czy wcześniejszych adaptacji, widz nie musi bawić się w detektywa, wystarczy, że śledzi działania bohaterów, którzy sprawnie rozwikłają zagadkę. W formie przystępnej podaje się widzowi pewne wiadomości z historii. Nastroje na scenie świetnie uzupełnia muzyka Zbigniewa Siwka, która wydaje się tu czymś więcej niż tłem. Jest elementem, który widz zauważa i w pełni akceptuje.

Wielki wpływ na odbiór tego spektaklu ma scenografia, którą zaprojektował Bogdan Kokotek (kostiumy są dziełem Anety Kobińskiej). Przedstawienie rozpoczyna się od sceny w klasie, kiedy zdolny uczeń Adam Cisowski, który odkrył system egzaminowania podopiecznych przez profesora Pawła Gąsowskiego, zostaje zdemaskowany, a później zaproszony przez profesora na wakacje do Bejgoły, gdzie rozwikłać ma zagadkę tajemniczego zniknięcia drzwi. Scena rozgrywa się na proscenium przed tablicą szkolną i częściowo na widowni, której krzesła spełniają rolę ławek szkolnych. Na proscenium dzieją się też sceny z bandytami o wyglądzie bardzo eleganckich gangsterów, którym do przemieszczania się służy rower typu "Ukraina". Krajobraz sce-

niczny z bocianem w tle wzbogacony został o drzewa, które można dowolnie przestawiać. Bejgoła na dawnym wschodzie Polski to na scenie przede wszystkim siedziba rodu państwa Gąsowskich, dworek z charakterystycznym gankiem z kolumienkami na środku sceny, a po odwróceniu, niby na scenie obrotowej, salonem ze stołem i kanapą. Ciekawie rozwiązana została scena retrospektywna z przemarszem żołnierzy napoleońskich obok dworku - grą świateł, efektami dźwiękowymi.

Młodzi bohaterowie Wanda Gąsowska i Adam Cisowski w wykonaniu Katarzyny Wojczyk i Dariusza Waraksy nie są może osobami, których sam wygląd kwalifikuje na pierwsze strony okładek i z tego tylko tytułu mogą stać się jakimś wzorcem, idolem, dla swych rówieśników, ale mają osobowość. Wanda to dziewczyna z charakterem, która wie, że silnego ramienia i wrodzonej inteligencji mężczyzny, którego wypatrzyła, musi pilnować z ukrycia, delikatnie go wspierać, taktownie nim kierować, by jej nie zginął. Adam to zdolny młody człowiek, który umie kojarzyć fakty, sympatyczny, bo lubią go koledzy ze szkoły i dobre wrażenie robi na rodzinie profesora Gąsowskiego, a poza tym zwyczajny chłopak, na którym pierwsze spotkanie z dziewczyną w bieliźnie wywiera niezatarte wrażenie. Szkoda, że w drodze od jednej z prób generalnych, podczas której wykonano zdjęcia do programu teatralnego, do premiery "Szatana z siódmej klasy" zgubił gdzieś swoje okulary młodego intelektualisty.

Nie brakuje w tym przedstawieniu barwnych postaci, które potraktowane zostały z przymrużeniem oka. Reżyser okroił rolę Ryszarda Pochronia jako nauczyciela historii profesora Pawła Gąsowskiego, zrezygnował z wygłaszania przez niego charakterystycznych zabawnych powiedzonek i tylko na marginesie jakby mowa jest o jego ukochanym kawałku historii, którym był okres napoleoński. Zabawniejszy jest Ryszard Malinowski jako jego brat matematyk Iwo Gąsowski, z grzywą rozwianych włosów, nieobecnym spojrzeniem, ale za to pięknym wschodnim przednio-językowo-zębowym eł. Dystyngowaną, ale i skorą do flirtów panią domu jest Anna Paprzyca jako jego żona Ewa Gąsowska. Charakterystyczne postacie niezbyt dobrze, bo bez sukcesu, parających się swoim rzemiosłem bandytów stworzyli Mariusz Osmelak jako Bandyta udający Malarza (na początku spektaklu był Janem Wnukiem, rudowłosym gimnazjalistą) i Janusz Kaczmarski jako główny Bandyta (wcześniej uczeń Stanisław Ostrowicki). Poszkodowanego Francuza zagrał Rudolf Moliński. Pozostał jeszcze uczeń Tomasz Kaczanowski (Klaudiusz Szymiczek), podczas wakacji niosący pomoc harcerz.

Dopiero w finale przedstawienia okazuje się, co tak naprawdę w całej tej historii jest najważniejsze. *Bo miłość, miłość to największy skarb...* - śpiewają aktorzy. Tak więc to tego przede wszystkim skarbu szukali Wanda i Adam, spotykając się potajemnie wieczorami. W tej materii jakoś od wieków nic się nie zmienia.

CZESŁAWA RUDNIK

FESTIWAL FILMOWY ERA NOWE HORYZONTY

Od 21 do 31 lipca br. odbywał się w Cieszynie i Czeskim Cieszynie 5. Festiwal Filmowy Era Nowe Horyzonty. Zaprezentowano 292 filmy (w tym 170 pełnometrażowych) z 42 krajów, z czego około 100 było pokazami premierowymi. Na około 315 seansów granych w pięciu salach po polskiej i dwóch po czeskiej stronie granicy sprzedano ponad 92 tysiące biletów. Organizatorem festiwalu było Stowarzyszenie Nowe Horyzonty z Warszawy, a Centrum Festiwalowe mieściło się w Śląskim Zamku Sztuki i Przedsiębiorczości w Cieszynie.

Festiwal rozpoczął film "Dziecko" (Belgia, Francja 2005), laureat tegorocznej Złotej Palmy w Cannes, na uroczystości otwarcia obecni byli reżyserzy filmu Jean-Pierre i Luc Dardenne. Do Cieszyna przyjechał minister kultury RP Waldemar Dąbrowski, twórcy filmowi z Polski i zagranicy. Lekcje mistrzowskie, spotkania i wykłady, prowadził reżyser Andrzej Wajda, zaprezentowano kilka jego filmów. Były cykle retrospektywne Rainera Wernera Fassbindera, Gábora Bódy i Edwarda Żebrowskiego, portret artystki Meredith Monk.

W cyklach tematycznych znalazły się ponadto m.in.: Panorama - przegląd ciekawych filmów nagradzanych na międzynarodowych festiwalach filmowych, W stronę Indii - przegląd filmów z Indii, Nocne szaleństwo - filmy Takashi Miike, Kino latynoamerykańskie, Sztuka dokumentu - przegląd filmów w środku Europy, Dokumenty/Eseje, Sezon 2004/2005, Debiuty szkoły katowickiej.

W dwóch plebiscytach publiczność wybierała najlepsze jej zdaniem filmy fabularne oraz dokumentalne i animowane. Główną nagrodę festiwalu Grand Prix przyznano filmowi "Tarnation" (USA 2004), reżyseria Jonathan Caoutte, kolejne miejsca zajęły filmy "4" (Rosja 2004), reż. Ilya Khrzhanovsky, "13 jezior" (USA 2004), reż. James Benning, "20 palców" (Iran, Wielka Brytania 2004), reż. Mania Akbari, "Kapryśna chmura" ((Tajwan, Francja 2005), reż. Tsai Ming-Liang. W kategorii polskich filmów dokumentalnych i animowanych, taki konkurs odbywał się po raz pierwszy, pierwszą nagrodę w serii dokumentów otrzymała "Ballada o kozie" w reżyserii Bartka Konopki, a wyróżnienie "Olter" Krystiana Matyska, zaś w serii filmów animowanych nagroda przypadła Izabeli Plucińskiej za "Jam Session". Ponadto Michał Oleszczyk otrzymał na festiwalu przyznaną przez jury IX Konkursu o Nagrodę im. Krzysztofa Mętraka główną nagrodę dla młodych krytyków filmowych.

Festiwalowi towarzyszyły wystawy i koncerty, spektakle, spotkania, warsztaty. Przez cały czas trwania festiwalu działał wieczorami Klub Festiwalowy.

C.R.

SEKCJA HISTORII REGIONU PRZY ZG PZKO W MYCH WSPOMNIENIACH

Co prawda poniższy niedługi tekst powinien ukazać się w przygotowywanej aktualnie Jednodniówce Sekcji Historii Regionu PZKO (pod wiele mówiącym tytułem *Z myślą o potomnych*), jednak z uwagi na stosunkowo wąski krąg odbiorców tego rodzaju publikacji postanowiłem umożliwić również Czytelnikom Zwrotu zapoznanie się z treścią niniejszego szkicu. Z góry uprzejmie dziękuję za wszelkie uzupełnienia, krytyczne uwagi i sugestie dotyczące poruszanych w nim kwestii. Mym zamiarem nie było w tym miejscu podjęcie próby całościowego spojrzenia, a jedynie podkreślenie znaczenia badań nad historią regionalną dla społeczeństwa polskiego na Zaolziu. Zwróciłem też uwagę na niektóre trudności w realizacji tego zadania. Nie stanowiło mego celu także przypomnienie wszystkich ważnych postaci należących do SHR w latach mego aktywnego członkostwa (1993–2000).

Przede wszystkim należy stwierdzić, iż rola SHR dla zaolziańskiej historiografii, czyli tym samym również dla polskiej mniejszości narodowej w Republice Czechosłowackiej/Czeskiej jest trudna do przecenienia. Wystarczy chociażby pobieżne zapoznanie się z wynikami kilkudziesięcioletniej działalności SHR w postaci między innymi licznych seminariów, wystaw i wydawnictw, by sobie uzmysłowić ogrom jej dokonań na niwie badań i upowszechniania wiedzy na temat historii Zaolzia. O ile bowiem międzynarodowy kontekst sporu terytorialnego o Zaolzie pomiędzy Czechosłowacją a Polską (1918–1920, 1938, 1945–1947) budził szerokie zainteresowanie historyków obu państw, to takie aspekty jak różnorodne przejawy życia społeczno-kulturalnego i gospodarczego polskiej grupy narodowej zamieszkałej w czechosłowackiej/czeskiej części Śląska Cieszyńskiego znacznie rzadziej znajdowały się na warsztatach historyków polskich i czeskich. Ponadto ważne miejsce w badaniach historii regionalnej i mikrohistorii mają zazwyczaj także edycje źródeł, prace publicystyczne, popularnonaukowe i naukowe autorów wywodzących się z miejscowego społeczeństwa. Wyrażają one bowiem własne – często przy tym odmienne od pozostałych – spojrzenie na szereg wydarzeń i procesów dokonujących się wewnątrz stosunkowo nielicznej i hermetycznej społeczności żyjącej na niewielkim obszarze o wyraźnie zarysowanych granicach.

Raczej nie powinno budzić zastrzeżeń stwierdzenie, iż inną rolę i funkcje pełni historia regionalna i lokalna w przypadku społeczeństw większościowych, a inną w przypadku mniejszościowych (i to nie tylko pod względem narodowym, lecz także np. wyznaniowym, rasowym czy językowym). Chyba nie jestem odosobniony w przekonaniu, iż całkowity brak prezentacji dziejów regionalnych w trakcie lekcji historii w szkolnictwie powszechnym jest o wiele więcej odczuwalny w procesie kształtowania tożsamości narodowej u osób należących do mniejszości narodowych. Albowiem dla nich historia regionalna jest bardziej istotnym składnikiem tejże tożsamości.

Do dnia dzisiejszego w szeroko rozumianej edukacji historycznej – pomimo np. szybko postępującego upowszechnienia korzystania z multimediów – nadal znaczące miejsce zajmuje nauka szkolna. Przeto jest rzeczą dużej wagi, by historia regionalna trafiała do uczniów szkół podstawowych i średnich za pośrednictwem nauczycieli. W warunkach minionego systemu społeczno-politycznego w Czechosłowacji zadanie to w tutejszym polskim szkolnictwie mniejszościowym z pewnością nie było realizowane na skutek odgórnych dyrektyw, a co najwyżej czasami w wyniku własnej inicjatywy niektó-

rych pedagogów. Natomiast w warunkach demokratycznego państwa wśród przeszkód w realizacji nauczania historii regionalnej należy wymienić w pierwszej kolejności z jednej strony braki w odpowiednim wykształceniu nauczycieli historii, z drugiej zaś strony przeładowane programy nauczania tego przedmiotu przy jednoczesnej niedostatecznej ilości godzin lekcyjnych (Republika Czeska należy do państw europejskich o najniższej liczbie lekcji historii).

Tym większa jest moja wdzięczność wobec członków SHR, którzy w trakcie regularnych, najczęściej comiesięcznych, zebrań dzielili się swoją ogromną wiedzą z zakresu dziejów małej ojczyzny. Nie sposób w tym miejscu oddać tej szczególnej atmosfery panującej w niedużym pomieszczeniu (salce) w siedzibie PZKO, gdy kilku lub kilkunastu znawców i miłośników historii regionalnej podejmowało dyskusje nad przeróżnymi przejawami życia polskiej mniejszości narodowej w Czechosłowacji (1920–1992).
W czasie mego aktywnego członkostwa prezesem był niezmiennie Otokar Matuszek. Mimo zaawansowanego wieku ze swadą prowadził kolejne spotkania, które obok teatru amatorskiego były chyba dla niego najważniejszymi dziedzinami społecznego zaangażowania. Pełne powagi, majestatu i ważkich treści były zawsze wypowiedzi Władysława Milerskiego. Jako rzadko zabierającego głos mędrca zapamiętałem Jana Rusnoka. Z kolei Józef Kazik utkwił w mej pamięci głównie jako lokalny patriota ze Stonawy i były więzień obozu koncentracyjnego w Gusen. O swych tragicznych doświadczeniach z tamtych lat opowiadał też mym uczniom z PSP w Karwinie Nowym Mieście w ramach pozalekcyjnej działalności Kółka Historycznego (ta interesująca pogadanka przebiegała w otoczeniu księgozbioru Biblioteki Regionalnej w Karwinie Frysztacie). Z pewnością do barwnych postaci o dużym doświadczeniu życiowym należał również Erwin Jonszta, stanowczo broniący swych poglądów i polskich spraw w swoim mieście i okolicy. Swoją wszechstronną wiedzą historyczną i kulturą osobistą w naturalny sposób imponował profesor gimnazjalny dr Władysław Josiek. Bliżej mogłem go jednak poznać dopiero podczas podróży do Sankt Petersburga, gdzie wspólnie z prezesem Macierzy Szkolnej Janem Brannym braliśmy udział w polonijnej sesji naukowej (XII 1996). Trudno było nie dostrzec wówczas jedynego oprócz mnie młodego człowieka w SHR, który nadto od początku zdradzał nieprzeciętne zdolności, wsparte przy tym solidnym warsztatem zawodowego historyka. Tym moim prawie rówieśnikiem był ówczesny student Uniwersytetu Ostrawskiego, a obecnie wykładowca tejże uczelni oraz prezes Rady Kongresu Polaków w RC Józef Szymeczek. Wielokrotnie brał udział w zebraniach Sekcji prezes ZG PZKO Jerzy Czap. Ze znajomością poruszanych zagadnień i zdolnością do syntetycznego ujęcia potrafił m.in. odpowiednio formułować wnioski – nawet z burzliwych niekiedy dyskusji. Intelektualistą par excellence w tym gronie był dla mnie bez wątpienia Kazimierz Jaworski. Szeroka wiedza humanistyczna i rozległe horyzonty myślowe najwyraźniej sprawiały, iż w rzadko spotykany sposób potrafił łączyć treści regionalne i ogólnonarodowe z uniwersalistycznymi. Swą niezwykle prężną działalnością wydawniczą i nietuzinkowymi zainteresowaniami (np. sporządzenie trombity, która trafiła do Księgi Rekordów Guinessa) wzbudzał zdumienie i uznanie kolegów Józef Chmiel z Darkowa. W miarę upływającego czasu członkowie w podeszłym już wieku opuszczali szeregi SHR, a ich miejsce zajmowali inni – czasami tylko nieznacznie młodsi. Z końca lat 90. minionego wieku zapamiętałem zwłaszcza energicznego Józefa Kulę, który był także dosyć długo autorem (szczegółowych) protokołów z posiedzeń, otrzymywanych wówczas jeszcze za pośrednictwem tzw. zwykłej poczty. Obecnie te protokoły wysyła pocztą elektroniczną ich kolejny autor, przedstawiciel młodej gene-

racji zaolziańskich historyków, nowo wybrany wiceprezes SHR i pracownik Ośrodka Dokumentacyjnego Kongresu Polaków w RC Marian Steffek. Jednak nie byłoby (sądzę, że nie tylko moim zdaniem) w ogóle SHR bez współczesnego nestora zaolziańskiej historiografii dra Stanisława Zahradnika, który nie tylko stał u narodzin tego szczególnego stowarzyszenia, dwukrotnie stawał na jego czele, był inicjatorem zdecydowanej większości przedsięwzięć Sekcji oraz niestrudzonym badaczem *bogatego życia organizacyjnego naszego społeczeństwa w przeszłości* (zob. *Pamięć ziemi ojczystej. Jednodniówka Sekcji Historii Regionu ZG PZKO*, red. K. Jaworski, Czeski Cie-szyn 1995, s. 8). Pamiętał przy tym zawsze o młodych, którym pomagał, widząc w nich naturalnych kontynuatorów rozpoczętej przez niego i jego generację pracy.

Nie można wreszcie choć słowem nie wspomnieć o tym, iż Sekcja Historii Regionu była otwarta na dialog ze środowiskiem historyków polskich i czeskich. O ile mnie pamięć nie myli, w czasach mego aktywnego członkostwa najbliższa współpraca układała się z doc. PhDr. Mečislavem Borákiem, CSc. z Instytutu Śląskiego w Opawie oraz z dr. hab. Krzysztofem Nowakiem z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Jednak w niektórych sesjach SHR brało oczywiście udział znacznie szersze grono polskich i czeskich historyków, i to z różnych ośrodków naukowych.

Kończąc, chciałbym życzyć swym byłym i obecnym kolegom z SHR wszelkiej pomyślności w dalszej pracy na rzecz społeczeństwa polskiego w Republice Czeskiej.

ROMAN BARON

POŻEGNANIA

ELŻBIETA OCISK (1933-2005)

Coraz częściej kościół św. Barbary w Łąkach staje się miejscem pożegnania odchodzących do wieczności mieszkańców niegdyś tak urokliwej wioski. I tym razem na pogrzebie Barbary Ocisk, długoletniej członkini Miejscowego Koła i chórzystki zespołu śpiewaczego Olzianka, nie zabrakło jej przyjaciół.

Barbara Ocisk (z domu Raszyk) urodziła się w Łąkach, tu rozpoczęła naukę w polskiej szkole ludowej. Po ukończeniu Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie zdobywa kwalifikacje nauczycielskie i podejmuje swoją pierwszą pracę pedagoga w szkole w Bystrzycy. Po wielu latach wspominała: „grono bystrzyckie zrobiło ze mnie rechtorkę". Jej kolejną placówką oświatową była szkoła w Łąkach, a potem w Czeskim Cieszynie, gdzie przez wiele lat pełniła funkcję dyrektora. Nigdy nie poprzestawała tylko na pracy w szkole, pamiętała o swoim Kole PZKO i wtedy, gdy odeszła na emeryturę, zawsze energiczna i gotowa do poświęcenia czasu na społeczne działania.

Dziś dziękujemy Jej za ofiarność, zapał i patriotyzm, którego nas wszystkich uczyła. Zachowamy w pamięci wspólne dokonania. Będzie Cię nam brakowało.

JÓZEF KULA

HO! HO! HO! BYŁECH TAM!

(Wspómniynia o Gorolskim Święcie)

Prawicie se, Ludkowie, isto: - Kiery sie to do nas odzywo? Abo też: - Nale, kocur zdechnie, że sie tyn Władо z grónia odezwoł... Wiycie, jo se odzywoł uż downo, a pore razy, bo rozmaite rzeczy mi spać nie dowały. Jyny żech sie przerachowoł, bo to moji pisani jakosi ni a ni se do tego naszigo „Głosu Ludu" wlyźć (i przipasować).

Nie był tyn latosi Gorol żodyn jubileuszowy, jyny se taki „normalny", 58. Po mojimu je ale każde Święto czymsi wyjątkowe, jako było i to latosi. Całego programu Wóm tu opisowoł nie bedym, bo od tego sóm insi ludzie i miejsca. Powybiyróm jyny pore programowych i inszych rodzynków. W sobote se mi ogrómnie podobali ci dwo muzykanci z kapeli Nowina - basista Stopa, a huślista Matuszny, co to tak fajnie tych konferansyjerów robili. Aji se ludzie przi tym uśmioli, jak mało kiedy (jak naprzikład o tradycyji opowiadali). Nie wiym, czi ci chłapcy lepi mówióm, abo grajóm a śpiywajóm. Szumne też były wszecki nasze dziecięce a młodzieżowe zespoły, co swoim śpiywanim a granim rozgrzywały troche zmarzłych „gorolowych" gości. Piekne, że mómy tela młodych talyntów.

Egzotyki kansi z drugigo kónca świata nie było, ale zagraniczni goście ja. Jedni - zespół Kägara aże z Estónije przijechali. Byłech ogrómnie ciekawy, co to bedzie, bo - jesi mie skleroza nie myli - Estóńców my na „Gorolu" jeszcze nimieli. Taki insze było to jejich tańcowani a grani, ale też piekne - aji bez tego, coby my aspóń pół słowa symtam zrozumieli. A to słowo, co go wszecy w jednej jejich pieśniczce słyszeli, na isto znacziło ganc co inszego a ni sprostego, jak se każdy myśloł. Nikiere zespoły, głównie znómy uż Komes z Kędzierzyna, miały pierónskóm smołe, bo akurat przi jejich występie zaczyno padać a loć dlo odmiany. Ludziska w nogi i pochowali sie pod dachi chatek (a stamtąd to dziwani różnie wyglądało). Na szczęści aspón wieczór se deszcz spoczón, tak młodzi se mógli używać na karnawale. Tak sie wydarził, że ponikierzi aż rano przichodzili do chałupy.

Jeszcze w sobote po nocy, jak se my wrócili do dómu, moja połowica powyciągała śląskóm suknie, wybiglowała kabotek i fortuch, narychtowała, co było trzeba. Strasznie wczas była w niedziele przed połedniym wyoblykano i gotowo, bo se uż ni mógła doczkać, jak zaś pójdymy na Gorola. Fórt mie poganiała. Ale dobre, bo aspóń my potym w Jabłónkowie mieli czas poogląda, jakóm paradnóm scyne majóm teraz w nowej przibudówce PZKO-wcy. Fajne, że aji miejsce dlo Izby Regionalnej se tam naszło.

Korowód wszeckich zespołów był jako dycki szumny i wydarzóny. Jyny tymu, kiery se nieopatrnie oglóndnył kansi za Kozubowóm a uwidzioł ty czorne chmurziska, co sie tam uż na nas rychtowały, sie aże miękko kole żołądka robiło. Ale jeszcze to wydzierżało. Fajnie, że w korowodzie też kupa najrozmaitszych wozów alegorycznych było, a na przodku zaś gorol na siwku se jechoł. (Jyny se myślym, że ci agenci z ryngiszpilami i inszymi pierónstwami, co przi Gorolu na te łąke przi Lasku dycki wlezóm, mógli aspóń przi pochodzie ty swoji szarpidrutowe wrzaski wypnyć. Nikiedy sie mi zdo, że to wszecko robióm naschwol). O powitalnej oficyjalnej części programu mogliście se uż poczytać. Jo chcym jyny przipómnieć, co między inszymi móndrościami było powiedziane w urodzi-

nowych życzyniach dlo niedownego jubilata, naszigo Filipa: że dobre je pamiętać, do kogo trza z dobrym słowym i pieśniczkóm, a do kogo zaś z ciupagóm. Piekne!

Teraz se Wóm, Ludkowie, ku czymusi przizнóm: jak na tym naszim Święcie w niedziele w Lasku ze scyny zahokajóm kamraci z Gorola i zaśpiywajóm „Witómy was", to dycki sie mi oczy pocóm i zdo sie mi, że za chwile naszigo Gorolskigo Hetmana, Jure spod Grónia, usłyszim. Telki roki to śpiywoł. Spómniym se przi tym aji na inszych „Goroli", co sie uż stracili na lepsze i „dziwajóm sie na nas prosto z nieba"... Wiycie, tyn poczóntek - występ Gorola z nowsiańskóm Melodióm, mosteckóm Przełęczóm, a po nowymu aji z Zaolzim - sie mi dycki ogrómnie podobo. Nikierzi jyny prawióm, coby swój program mógli kóńczyć naszim „hymnym", czyli pieśniczkóm „Szumi jawor". Że by to było piekne, prowda?

A co prawicie, Ludkowie, na tych Talijanów ze Sycylije? To było cosi! Wiela ich nie było, ale co jedyn, to lepszy. To jejich grani, tańcowani, temperamynt (aji ty figle ze dżbónkym) - no, przepiekne! A moji połowicy tak sie spodobali, że zaroz zaczyna rozmyślać, jako by sie dało na te Sycylije aspóń na czas pojechać... Aji dalszy zagraniczny gość - zespół Żeleziar z Koszyc mioł przepiekny program. Kupa by szło jeszcze o programie całym pisać, ale co za moc, to niezdrowo. Chciołbych aspóń o jednej rzeczy powiedzieć jeszcze. Uż po drugi roz były na Gorolu „Szikowne gorolski ręce", czyli spotkani rozmaitych majstrów od nas, z Polski i ze Słowiok. Ponikierzi goście piyrszy roz na własne oczi widzieli przedstawióne downe rzymiosła - na przikład jako sie robi szyndzioły, lepi gorki z gliny, co sie robi z wełnóm, aby na kóniec z ni były - dejmy tymu powrozy abo nodkóńcza, abo jacy szikowni muszóm być przi robocie kowole, druciorze, aji ty babki, co ty szumności z korónek robiły. Wszeckigo se ani tu nie do powspóminać. Moji ślubne szczęści roz przileciało od tych rzemieślniczych bud całe blade i niewyraźne. Myślolech, że ji ciepło, słodko żynczyca w kolibie zaszkodziła, ale że ni. Prawiła mi, że widziała, jako sie robi srebrny pas ku śląskimu stroju, a że akurat taki by sie ji podoboł, a że tam aji cało dalszo biżuteryja srebrno ku stroju była. Spytała sie na cene i pogorszyło sie ji, bo sie dowiedziała, że jyny u tego szumnego pasa by była pięciocyfrowo suma. Tak żech musioł ji na pocieszyni kupić piernikowe serce, a wylyczyć jóm z tego cenowego szoku miodulóm przi budzie pod scynóm.

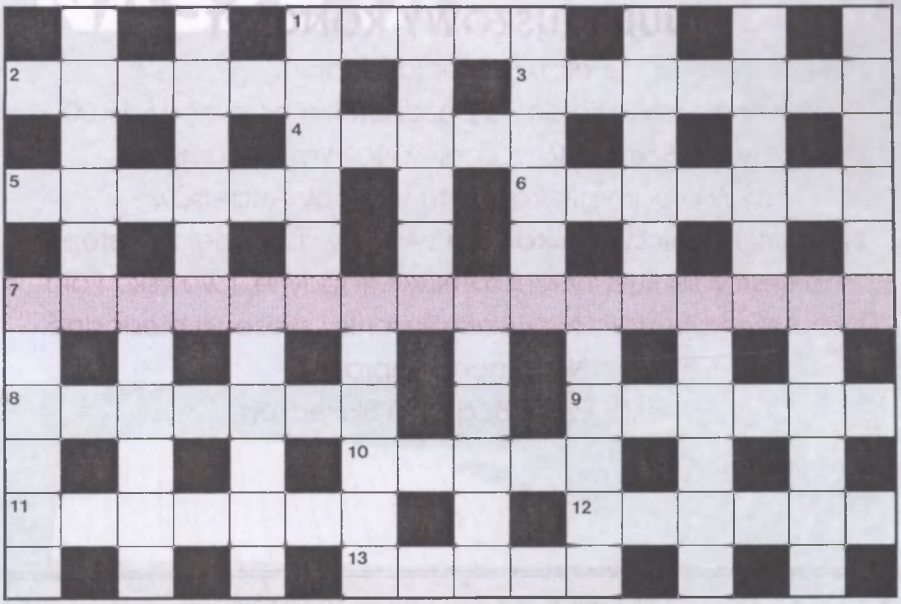
Teraz mi zaglóndo przez ramióno i powiado: - Nie fulej tela, od tego sóm insi. A kóńcz pumału, bo to pisani bedzie długi jak czternost dni przed wypłatóm... Dyć ja. Ale Gorola przeca nie idzie zbyć poru słowami. Bo - jako rzekła jedna dobro dusza - Gorol, to je sprawa sercowo.

Wiycie, Ludkowie, to nasze Gorolski Święto je wielko i szumno impreza, jyny sie trza przi nij kupa narobić. Wierzcie, że każdy, co mo cosi z jego organizacyjóm do czyniynio, staro sie, jako może, coby wszecko było jak najlepi i Wóm sie na Święcie podobało. Od zespołów aż po wszeckich, co ty domowe specyjoły dlo Was rychtowali, po babki, co od nocy piykły kołocze, po tych, co Was w goroskich chatkach obsługowali... Wszeckim sie trza za jejich wysiłek i poświęcyni pokłónić i pieknie podziękować. A Wóm, kochani Ludkowie, coście do nas goroli na 58. GŚ prziszli, też z całego serca dziękujym!

Dobrej kóndycyje ciała i ducha na dalsze dni po Goroskim Święcie życzy wszeckim

Władek z grónia

KRZYŻÓWKA



W historii PZKO powstało wiele różnorakich zespołów. Przypomnijmy sobie, chyba z nostalgią, kolejny zespół, który niestety już nie istnieje.

KRZYŻÓWKA KOMBINOWANA

Rozwiązanie dodatkowe: Popularny nowobogumiński zespół prezentujący w latach 1976-82 folklor miejski.

POZIOMO: - **1.** Jaskrawe, mocne światło. - **2.** Stała płaca. - **3.** Masarz. - **4.** Droga, trakt. - **5.** Gruczoł krokowy. - **6.** Rodzaj bufetu. - **7. ROZWIĄZANIE DODATKOWE.** - **8.** Krój czcionek drukarskich. - **9.** Jeden z kontynentów. - **10.** Skarbiec w baśniach. - **11.** Pagórek. - **12.** Wieńczy dzieło. - **13.** Replika, odbitka.

PIONOWO (w kolejności alfabetycznej): APOLLO, BASZTA, DYSZEL, INDYGO, KELNER, KORUND, KRAKÓW, KRAKWA, LEKARZ, OKTAWA, OSTRZE, ÓSEMKA, PESTKA, PIASEK, POTĘGA, WAPIEŃ.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe.

Rozwiązanie prosimy przesyłać do końca września.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru lipcowego: WIERSZ JEST ARYSTOKRATĄ MOWY

Nagrody książkowe wylosowali: Janina Procházka - Karwina Mizerów

Roman Ruśniok - Czeski Cieszyn

ZESPÓŁ ESTRADOWO-KABARETOWY **ANDRUSI**

zaprasza na

JUBILEUSZOWY KONCERT

z okazji 50-lecia zespołu.

Koncert odbędzie się 15 października br. o godz. 15.00 w sali Szkoły Muzycznej w Nowym Boguminie.

W programie koncertu występy Andrusów i polskiej kapeli **Lwowska Fala** ze Lwowa, znanej z występów na Festiwalu Kultury Kresowej w Mrągowie. Lwowska Fala zaprezentuje stare lwowskie piosenki i piosenki biesiadne.

Na koncert zaprasza

MK PZKO Bogumin Skrzeczoń

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Strzelnicza 28, P.O.Box 97, 737 01 CZESKI CIESZYN, tel. i fax: 558 712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI, Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK, Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów - Infiniti art, s. r. o., Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 240 Kč, z wysyłką pocztową 324 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02 z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE DOMY PZKO



DOM PZKO
w Koszarzyskach

Odes.: Redakce ZWROT
Střelniční 28
737 01 Český Těšín

O.P. P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE SZKOŁY

ORŁOWA LUTYNIA

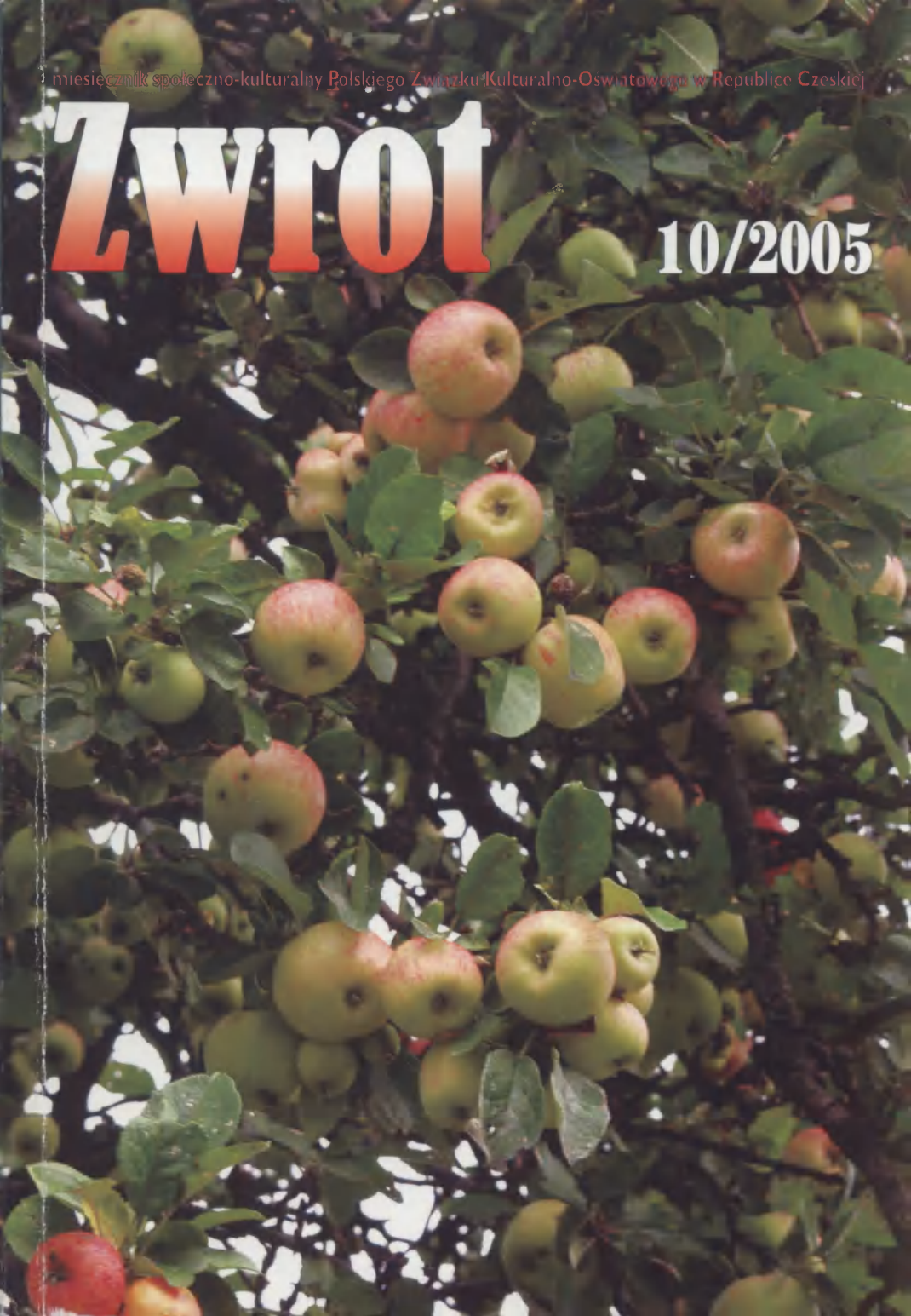


ISSN 0139-6277

miesięcznik społeczno-kulturalny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej

Zwrot

10/2005



TACY BYLIŚMY





Powitanie wojska polskiego na Rynku w Jabłonkowie – październik 1938.
Zdjęcia udostępniła redakcji p. Maria Sikora.



ADOLF DOSTAL

LEĆ PIEŚNI

muzo gminna
leć
i nigdy mi
nie cichnij
nie gaśnij
ty która
jesteś lżejsza
od lotu jaskółki
dosięgniesz
każdego serca
i wszystko dopowiesz
dośpiewasz
ty
która
sama jesteś sercem

Pieśni rodzinna

CZ III 6/2005

KSIĄŻNICA CIESZYŃSKA

Zwrot

Rok LVI, Nr 671
Cena numeru 20,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 27,00 Kč

10/2005

W NUMERZE

3	Stowarzyszenie Osób Pracujących i Uczących się za Granicą	CZESŁAWA RUDNIK
6	Solidarność. Pamiętajmy o polskiej drodze do wolności	ELŻBIETA STRÓŻCZYK
9	Od wielonarodowych mocarstw do państw narodowych. Europa Środkowo-Wschodnia od połowy XIX do początku XXI wieku	ROMAN BARON
15	Ze wspomnień Oswalda Guziura (1910–1996) z Suchej Górnej	
21	Językowe pogranicze cieszyńsko-laskie (5)	WŁADYSŁAW MILERSKI
25	Beskidy rodzone (1)	WŁADYSŁAW SIKORA
29	Z Osówek do Suczawy, czyli z Zaolzia na Bukowinę	WŁADYSŁAW KUBIEŃ
34	Kronika: Sesja w Wiśle, Dożynki, Granice wytyczone słowami, Wystawa o działalności PZKO w Hawierzowie, Rodzina Katyńska w Warszawie, Święto źródła, Biblioteka frysztacka w nowej szacie, Skrzeczoński chór Hasło w sezonie 2004–2005	
47	Pożegnania: Władysław Oszelda	
48	Poezja Lenki Daňhelovej	
50	Jerzy Pilch: Inne rozkosze (fragment)	
52	Aforyzmy Lecha Przeczka	
54	Telewizja żywcem pogrzebana	JAN TREFULKA
55	Zaolzie w dawnych kronikach filmowych	KAZIMIERZ JAWORSKI
58	Podróż po gminach przed wyborami 2006	WŁADYSŁAW DRONG
61	Chór Nauczycieli Polskich zaprasza na swój jubileusz	CZESŁAWA RUDNIK
64	Moje spotkanie z profesorem	JÓZEF KULA
66	Ze Szwecji donos na Polonię	C.R.
68	To i owo	
71	Trybuna czytelników	
72	Z dorobku Leona Derlicha	
74	Mozaika	ANNA BOSZCZYK
76	Opowiadania na szarą godzinę	DAR. JOCHEL

Numer zamknięto 15. 9. 2005

STOWARZYSZENIE OSÓB PRACUJĄCYCH I UCZĄCYCH SIĘ ZA GRANICĄ

Wśród organizacji polskich na Zaolziu, które w latach dziewięćdziesiątych złożyły akces do Kongresu Polaków, jest także Stowarzyszenie Osób Pracujących i Uczących się za Granicą z siedzibą w Czeskim Cieszynie. Założone zostało i zarejestrowane w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych RC w roku 1997.

Członkami tej organizacji zostały osoby pracujące i studiujące w Polsce, a zamieszkałe na stałe w różnych miejscowościach Zaolzia od Bogumina po Jabłonków. Najczęściej chodziło o obywateli Rzeczypospolitej Polskiej, ale nie tylko, bo znaleźli się wśród członków towarzystwa także obywatele Republiki Czeskiej. Większość z tych osób codziennie przekraczała granicę, byli to ludzie różnych zawodów pracujący nie tylko w Cieszynie, ale i w bardziej odległych miejscowościach za Olzą, oraz rozsiani po różnych ośrodkach akademickich w Polsce studenci wyższych uczelni.

Jednak cele i zadania, jakie wytyczyła sobie organizacja, problemy, które starała się rozwiązać, dotyczyły wszystkich pracujących (czy studiujących) w jednym, a zamieszkałych w drugim kraju. *Nie wyszczególnialiśmy naszych członków* - wyjaśnia wiceprezes stowarzyszenia Jerzy Cienciała - *działaliśmy ogólnie w imieniu wszystkich, także tych, którzy nie zgłosili się do nas, natomiast jeśli chodzi o ilość członków stowarzyszenia, to liczba ta szacunkowo, bo była trochę płynna, ponieważ ludzie przeprowadzali się, rezygnowali z pracy w Polsce, przechodzili na emeryturę, wynosiła około trzystu osób.*

Stowarzyszenie Osób Pracujących i Uczących się za Granicą powstało z potrzeby chwili. Jego głównym zadaniem było rozwiązywanie problemów związanych z jednej strony z częstym przekraczaniem granicy państwowej przez osoby zatrudnione i uczące się w Polsce, z drugiej zaś z podwójnym, przez urzędy czeskie i polskie, naliczaniem pracownikom składek ubezpieczeniowych i podatków. Stowarzyszenie służyło radą studentom, pomagało zdobywać potrzebne kontakty i załatwiać np. zaświadczenia czeskiego ministerstwa szkolnictwa o zezwoleniu na naukę w Polsce. Zajmowało się też konkretnymi sprawami jednostkowymi.

W celu kontaktów z członkami, by informować o sprawach bieżących - mówi na temat działalności stowarzyszenia Jerzy Cienciała - *korzystaliśmy z lokalnej prasy. Bardzo dobrze układała nam się współpraca z panem Bronisławem*

Walickim, który dużo spraw nam sugerował. Byliśmy w stałym kontakcie z Konsulatem Generalnym RP w Ostrawie. W szczególnych przypadkach, w celu ułatwienia przekroczenia granicy, kontaktowaliśmy się z komendantami straży granicznych po jednej i drugiej stronie. Dużo było korespondencji, tak do polskich jak i czeskich ministerstw. Różne były reakcje urzędów, najczęściej na naszą niekorzyść. Ale były też sukcesy, w każdym razie monitowaliśmy, byliśmy aktywni. Jednym z naszych pierwszych postulatów było wprowadzenie dla pieszych ruchu dwukierunkowego na mostach granicznych w Cieszynie. Zrodził się nawet pomysł utworzenia jakiegoś banku, który ułatwiałby wszystkie transfery wynagrodzeń i emerytur z Polski.

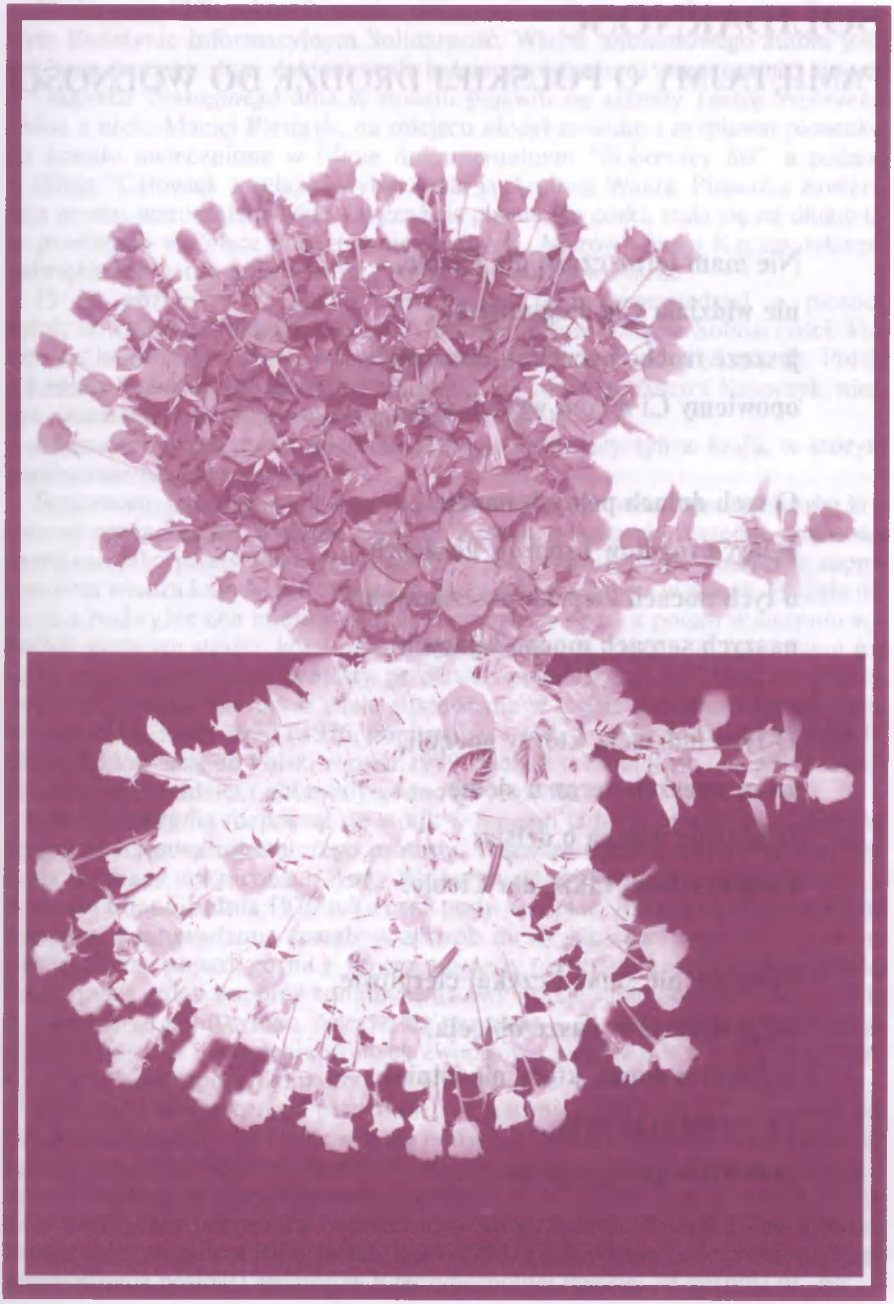
Stowarzyszenie działało równolegle ze Stowarzyszeniem Emerytów Polskich, wiele spraw jednej i drugiej organizacji zazębiało się, omawiano wspólne tematy. Starsi członkowie Stowarzyszenia Osób Pracujących i Uczących się za Granicą to zresztą potencjalni kandydaci do członkostwa w Stowarzyszeniu Emerytów Polskich w RC, organizacji zaolziańskiej skupiającej osoby kiedyś w Polsce pracujące, a dziś pobierające stamtąd emeryturę.

W zarządzie Stowarzyszenia Osób Pracujących i Uczących się za Granicą angażowało się sześć osób. Na czele organizacji od początku stoi prof. Halina Rusek. Kadencja zarządu jest czteroletnia, po wyborach skład zarządu został zachowany. Na początku działalności, kiedy było wiele problemów i spraw do załatwienia, zarząd zbierał się regularnie co dwa miesiące. Po kilku latach zmniejszyła się ilość osób, które zainteresowane były pracą organizacji i szukaniem u niej pomocy w swoich sprawach. Zaś najważniejsze problemy, które najbardziej zaprzątały uwagę działaczy stowarzyszenia w pierwszych latach istnienia organizacji, czyli przede wszystkim sprawy płacenia podwójnych ubezpieczeń i podatków przez osoby zamieszkałe po tej, a pracujące po tamtej stronie granicy i trudności w przekraczaniu granicy, zostały rozwiązane na szczeblach ministerialnych czy międzyrządowych. Stowarzyszenie zaprzestało organizowania obowiązkowych zebrań. Do pewnej mobilizacji doszło jeszcze w 2001 roku, kiedy w związku z atakiem terrorystycznym w Stanach Zjednoczonych wprowadzono obostrzenia na granicy. Od tamtej pory spotkania zarządu odbywają się raz w roku i mają mniej formalny charakter.

W chwili obecnej po wejściu Polski i Republiki Czeskiej do Unii Europejskiej, kiedy nie ma żadnych problemów z przekraczaniem granicy, a wiele spraw normy unijne rozwiązały jakby automatycznie, działalność stowarzyszenia straciła rację bytu. Należałoby się zastanowić, czy ma sens istnienie takiej organizacji w ramach Kongresu Polaków.

Podsumowując dotychczasową działalność Stowarzyszenia - i biorąc pod uwagę jej społeczny charakter - można powiedzieć, że organizacja ta pomogła w wielu bieżących sprawach mieszkańcom Zaolzia - dodaje Jerzy Cienciała.

CZESŁAWA RUDNIK



Collage FRANCISZEK BAŁON

SOLIDARNOŚĆ

PAMIĘTAJMY O POLSKIEJ DRODZE DO WOLNOŚCI

Nie mam teraz czasu dla Ciebie,
nie widziała Cię długo matka,
jeszcze trochę poczekaj, dorośnij,
opowiemy Ci o tych wypadkach.

O tych dniach pełnych nadziei,
pełnych rozmów i sporów gorących,
o tych nocach kiepsko przespanych,
naszych sercach mocno bijących.

O tych ludziach, którzy poczuli,
że są wreszcie teraz u siebie,
solidarnie walczą o dzisiaj
i o przyszłość, także dla Ciebie.

Więc się nie smuć i czekaj cierpliwie,
aż powrócisz w nasze objęcia,
w naszym domu, który nie istniał,
bo w nim brak było...
prawdziwego szczęścia.

27 sierpnia 1980 roku "Piosenka dla córki" została wydrukowana w Strajkowym Biuletynie Informacyjnym Solidarność. Wiersz anonimowego autora jeszcze tego samego dnia deklamowali ludzie zgromadzeni przy bramie stoczni w Gdańsku. Następnego dnia w stoczni pojawili się aktorzy Teatru Wybrzeże. Jeden z nich, Maciej Pietrzyk, na miejscu ułożył melodię i zaśpiewał piosenkę, co zostało uwiecznione w filmie dokumentalnym "Robotnicy 80", a później w filmie "Człowiek z żelaza" wykorzystał ją Andrzej Wajda. Piosenka zawierająca prosty, wzruszający tekst - wyznanie pisane dla córki, stała się na długie lata przebojem w Polsce obok równie słynnych „Murów" Jacka Kaczmarskiego, największego barda Solidarności i stanu wojennego w Polsce.

25 lat później w Gdańsku spotkali się, jak przepowiedział w piosnce autor, ci, którzy tę historię tworzyli, i pokolenie rówieśników Solidarności, którym ta historia po latach jest opowiadana. Po latach przybył też do Polski z Kanady i ujawnił się jako autor „Piosenki dla córki" Krzysztof Kasprzyk, niegdyś dziennikarz i redaktor biuletynów strajkowych.

Aż trudno uwierzyć, że zaledwie 25 lat temu Polacy żyli w kraju, w którym praktycznie nie było niczego.

Tymczasem partyjni dygnitarze zdawali się ufać wirtualnej rzeczywistości kreowanej przez kolejne wydania Polskiej Kroniki Filmowej. Wszelkie trudności określano jako przejściowe. Jednak wobec permanentnych problemów z zaopatrzeniem władza ludowa nie mogła już dłużej chować głowy w piasek. Podjęła decyzję o podwyżce cen mięsa i wędlin. Kiedy już w lipcu, a potem w sierpniu wybuchły pierwsze strajki, komuniści nie zdawali sobie sprawy, że tym razem nie są to zwykłe robotnicze protesty przeciwko podwyżkom, do których się przyzwyczaili. Polacy byli już o wiele silniejsi niż w czasie protestów społecznych w roku 1956, 1968, 1970 i 1976, ponieważ w czasie I pielgrzymki Jana Pawła II, polskiego Papieża, do Polski w roku 1979 słuchali w kościołach i na publicznych placach głosu nadziei i pochwały godności człowieka.

Gdy 14 sierpnia rozpoczął się strajk w Stoczni Gdańskiej, nikt nie mógł być pewny zwycięstwa robotniczego protestu. Pierwsze żądania dotyczyły przywrócenia do pracy wyrzuconych Anny Walentynowicz i Lecha Wałęsy, postawienia pomnika ofiar Grudnia 1970 roku oraz podwyżki płac. Ale sierpniowe strajki od początku poprowadzone zostały w sposób niezwykle skoordynowany, protesty stoczniowców poparli górnicy. Po raz pierwszy różne strajkujące zakłady z całej Polski miały jeden wspólny komitet strajkowy i takie same postulaty, również te o charakterze politycznym. Niezwykły paradoks - 21 postulatów sierpniowych otwierał postulat utworzenia wolnych związków zawodowych w kraju, w którego konstytucji był zapis o dyktaturze proletariatu.

Podpisanie historycznych porozumień 31 sierpnia 1980 roku nie oznaczało jednak końca kłopotów, ale ludzie w kraju oddychali inaczej. Była zgoda władz na niezależne związki zawodowe, zagwarantowane prawo do strajku, prawo do wolności słowa i wolność dla więźniów politycznych. A stało się tak dlatego, że jak powiedział historyczny przywódca Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Solidarność, prezydent RP w latach 1990-1995, Lech Wałęsa podczas uroczystego zgromadzenia posłów i senatorów Rzeczypospolitej Polskiej 29 sierpnia br., bo:

To w nas, w naszych sercach i umysłach, zaczęło się to, co później odmieniło oblicze tej ziemi. To właśnie w 1980 r., w pochodzie wolności, ramię w ramię ruszyli robotnicy i intelektualiści, a nawet w jakiejś części do niedawna przeciwnicy. Pod jednym sztandarem Solidarności zgromadziły się po raz pierwszy w czasach powojennych wszystkie grupy społeczne. To był klucz do sukcesu. Stan wojenny to zrujnował.

Z dumą podnosimy czoła, mimo ceny, którą zapłaciliśmy. Wolność jest jednak bezcenna. Wierzę, że zwycięstwo solidarnościowe wejdzie na stałe do naszego dziedzictwa narodowego i zapisze się w zbiorowej pamięci. Wierzę też, że będzie wskazówką dla młodego pokolenia, jak niegdyś dla nas wzorem były narodowe powstańcze zrywy i bohaterskie losy naszych przodków.

Gdyby przyszło nam - Polakom - oceniać działania Solidarności w latach 1980-1981 tylko na podstawie ich skutków, to być może bilans ten nie byłby w pełni optymistyczny, bo przecież wielki entuzjazm wyzwolony w ludziach po latach społecznego marazmu został brutalnie przerwany przez stan wojenny. Tysiące młodych ludzi musiało Polskę opuścić w obawie przed represjami, szukając szansy poprawy swojego losu w krajach całego świata. Ale patrząc z drugiej strony, oni tam stali się nośnikami idei Solidarności i bezsprzecznie przyczynili się do innego spojrzenia Zachodu na nasz kraj. I choć przyszło nam czekać prawie 10 lat, by świętować całkowity upadek komuny, było warto. Wydarzenia w Polsce - Polski Sierpień, powstanie wielomilionowego ruchu niezależnego od władzy, wielki udział w nim robotników był dotkliwym ciosem dla systemu, który swe panowanie uzasadniał ideologicznie reprezentowaniem interesów klasy robotniczej. Po Sierpniu partia komunistyczna nigdy nie odzyskała w Polsce sterowności nad społeczeństwem.

Dziś nikt już w Europie nie kwestionuje, że bez Sierpnia i Solidarności nie byłoby w Polsce przełomu ustrojowego 1989 roku, a bez niego z kolei trudno sobie wyobrazić „jesień ludów" tamtego pamiętnego roku. Dali temu wyraz czołowi europejscy politycy biorący udział w uroczystościach z okazji 25. rocznicy powstania Solidarności, które odbyły się w Gdańsku i w Warszawie.

Madeleine Albright powiedziała, że wiele narodów jest wdzięcznych Polakom za ich odwagę i decyzje. I wyznała, że w chwili powstania Solidarności czuła się bardzo związana z Polską, i mimo że urodziła się w Czechosłowacji, w dniach Solidarności chciała być Polką i uczestniczyć w tym zwycięstwie.

Václav Havel na rocznicowej gdańskiej konferencji wspominał, że 25 lat temu, kiedy w Polsce wybuchły strajki, on siedział w więzieniu z sygnatariuszami Karty 77. *O tym, co działo się w Polsce, mówiła tylko oficjalna prasa. Możecie sobie wyobrazić, co pisali o tych wydarzeniach. Ale my czytaliśmy między zdaniami. Milicjanci mówili do nas: „Nie miejcie nadziei, to nie jest Polska". My już wiedzieliśmy, że jest to początek końca.*

Polski zryw wolności, odwaga i determinacja społeczeństw Europy Środkowo-Wschodniej spowodowały, że zniknął podział na Europę wolną i zniewoloną.

ELŻBIETA STRÓŻCZYK

OD WIELONARODOWYCH MOCARSTW DO PAŃSTW NARODOWYCH
EUROPA ŚRODKOWO-WSCHODNIA
OD POŁOWY XIX DO POCZĄTKU XXI WIEKU

Badacze europejskiej cywilizacji są na ogół zgodni co do tego, że po widocznym podziale Europy na rozwinięte Południe i zacofaną, barbarzyńską Północ w okresie starożytności można było w średniowieczu pod względem społeczno-gospodarczym wyraźnie rozróżniać centrum, półperyferie oraz peryferie. Uogólniając, półperyferie zaczynały się na zachód od Pirenejów i na wschód od Łaby, a do peryferii należała wówczas Skandynawia, Litwa, Rosja i Bałkany. W przypadku obszarów położonych na wschód i północ od centrum mamy dodatkowo do czynienia z cywilizacyjnie młodszą Europą (J. Kłoczowski, *Młodsza Europa. Europa Środkowo-Wschodnia w kręgu cywilizacji chrześcijańskiej średniowiecza*, Warszawa 1998). To znaczy przede wszystkim z niewchodzącą nigdy w skład imperium rzymskiego oraz przyjmującą chrześcijaństwo z opóźnieniem w stosunku do Europy Zachodniej („karolińskiej"). Właśnie to zapóźnienie cywilizacyjne jest powszechnie uważane za jedną z głównych cech charakterystycznych całego regionu Europy Środkowo-Wschodniej.

Jednak współczesne rozumienie terminu Europy Środkowo-Wschodniej jako obszaru pomiędzy Niemcami i Rosją jest oczywiście o wiele świeższej daty. Dotyczy zaś przede wszystkim XX wieku, gdyż jeszcze w XIX stuleciu dla dużej części żyjących tu narodów niepożądana centralizacja oraz ograniczanie ich praw narodowych kojarzyło się bardziej z monarchią habsburską lub z imperium osmańskim. Należy też wyraźnie stwierdzić, iż określenie Europa Środkowo-Wschodnia łączy się przede wszystkim z polską historiografią (zob. zwłaszcza O. Halecki, *Historia Europy - jej granice i podziały*, Lublin 1994; Piotr S. Wandycz, *Cena Wolności*, Kraków 1995; *Historia Europy Środkowo-Wschodniej*, red. J. Kłoczowski, t. I-II, Lublin 2000) oraz z polską myślą polityczną (idea federacyjna Józefa Piłsudskiego, koncepcja "Międzymorza" oraz projekt konfederacji Władysława Sikorskiego).

Inaczej bowiem postrzegały swe dziejowe miejsce w Europie czeskie i słowackie elity społeczno-polityczne, dla których adekwatnym terminem była Europa Środkowa, względnie Europa Centralna (por. T. G. Masaryk, *Nová Evropa*, Brno 1994; M. Hodža, *Federácia v strednej Európe a iné štúdie*, Bratislava 1997; M. Kundera, *Únos Západu*, w: *Západní, východní a střední Evropa jako kulturní a politické pojmy*, red. M. Havelka - L. Cabada, Plzeň 2000, s. 103-115). W odróżnieniu od koncepcji Mitteleuropy (J. Partsh,

Central Europe, New York 1903; F. Naumann, *Mitteleuropa*, Berlin 1915) nie miało tu chodzić jednak o obszar niemieckiej hegemonii, lecz o region położony pomiędzy Niemcami a Rosją i zamieszkiwany - co było podkreślane - przez małe narody.

Natomiast węgierscy intelektualiści nie unikali ani pojęcia Europa Środkowo-Wschodnia, ani Europa Środkowa, ani nawet - aczkolwiek w nieco innym kontekście - Europa Wschodnia (zob. J. Szücs, *Trzy Europy*, Lublin 1995; I. Bibó, *Bída malých národů východní Evropy. Vybrané spisy*, Brno-Bratislava 1997).

Można przyjąć, iż zaznaczone różnice odzwierciadlają nieco odmienny rozwój historycznych ziem polskich, czeskich i węgierskich, które zostały łącznie nazwane rdzeniem (dosłownie *heartlands*) omawianego obszaru europejskiego (Timothy Garton Ash). Nie ulega przy tym wątpliwości, iż właśnie patrząc z bardziej odległej perspektywy - czyli jak w tym wypadku z Wysp Brytyjskich - o wiele bardziej widoczne są wspólne cechy obszaru leżącego pomiędzy europejskim Zachodem i Wschodem (N. Davies, *Europa. Rozprawa historyka z historią*, Kraków 1999, s. 38.). Natomiast w odniesieniu do Bałkanów bardziej adekwatne wydaje się stosowanie terminu Europa Południowo-Wschodnia, który zresztą jest obecnie w naukach humanistycznych powszechnie używany.

Jeżeli natomiast chcielibyśmy wskazać wspólny mianownik państw i narodów znajdujących się między Niemcami a Rosjanami, to był nim w minionym stuleciu zwłaszcza fakt, iż musiały się one zmierzyć zarówno z niemieckim (lub włoskim) faszyzmem, jak i z sowieckim komunizmem. Mimo niejednokrotnie różnorodnej postawy wobec tych obcych ideologii i systemów totalitarnych faktem pozostaje wspólne doświadczenie, które stało się częścią składową pamięci historycznej poszczególnych narodów, które w drugiej połowie XX w. nie chciały być uważane za wschodnioeuropejskie. Wyraźny wyjątek stanowiła tu Finlandia, której udało się oprzeć sowieckiej agresji podczas drugiej wojny światowej, co w konsekwencji pozwoliło jej uniknąć "oderwania od Zachodu".

Oceniając z obecnego punktu dziejowego - początków XXI w. - rozwój historyczny w Europie, ze szczególnym uwzględnieniem jej centralnej i centralno-wschodniej części, można postawić tezę, iż od czasu narodzin tutejszych nowoczesnych narodów naturalnym punktem docelowym było stworzenie przez nich własnego, czyli narodowego, państwa. Z uwagi na istniejące różnice - zarówno w procesie kształtowania się tych narodów jak i w jednostkowych uwarunkowaniach geopolitycznych - cel ten był osiągany w innym okresie oraz w innej skali. Pierwotną, nazwijmy to, "przeszkodą" na tej drodze była polityka mocarstw, które w epoce nowożytnej podporządkowały sobie tę część Europy. Drugą zaś była bogata mozaika narodowościowa, która właściwie uniemożliwiała wytyczenie granic państw rzeczywiście naro-

dowo homogenicznych. Natomiast przewaga sił nacjonalistycznych w poszczególnych ruchach narodowych właściwie przekreślała wszelkie plany dobrowolnych integracji w postaci utworzenia organizmów państwowych o charakterze ponadnarodowym.

Pierwsza z wymienionych "przeszkód" została usunięta wraz z osłabieniem Turcji i rywalizacją mocarstw na Bałkanach (Europa Południowo-Wschodnia), klęską państw centralnych w pierwszej wojnie światowej i na skutek ówczesnej sytuacji wewnętrznej w Rosji oraz ponownie w czasie "Jesieni Narodów", która z kolei zamknęła trwający ponad czterdzieści lat okres sowieckiej dominacji w tym regionie. Umożliwiło to od schyłku XIX w. powstanie i następny rozwój nowych państw. Proces ten nasilił się pod koniec drugiej dekady XX w., kiedy na mapie politycznej Europy pojawił się cały szereg państw - od Finlandii po Jugosławię, do których po rozpadzie Związku Sowieckiego dołączyły następne. Pomijając w tym miejscu, skądinąd istotny aspekt całego splotu sporów terytorialnych pomiędzy "państwami sukcesorskimi", właściwie wszystkie istniejące na tym obszarze ruchy narodowe niewielkich i małych narodów (M. Hroch, *Małe narody Europy. Perspektywa historyczna*, Wrocław 2003) - bądź to po I wojnie światowej, bądź to po 1989 roku - osiągnęły swój cel w postaci posiadania własnego państwa. Warto w tym miejscu przypomnieć, iż konflikty terytorialne odzwierciedlały zarazem dążenia do włączenia w obręb własnego państwa narodowego wszystkich członków własnego narodu, jak również dążenia do odzyskania własnych granic historycznych (w możliwie najszerszym zasięgu).

Z kolei drugi "problem" stanowiły mniejszości narodowe, które na ogół nie utożsamiały się z "nowym" państwem narodowym. Ze zrozumiałych względów dotyczyło to zwłaszcza liczebnie dużych w danym państwie mniejszości narodowych. Z jednej strony obawa tych mniejszości przed przymusową asymilacją i wynarodowieniem, z drugiej zaś obawa narodu (względnie narodów) większościowego przed destabilizacją "jego" państwa stanowiły istotną polityczną linię podziału, która ulegała wyraźnemu pogłębieniu w sytuacjach kryzysu o charakterze międzynarodowym.

Przebieg i wynik drugiej wojny światowej zadecydował o zniknięciu z Europy Środkowo-Wschodniej Żydów i Niemców. Właściwie brak niemieckiej mniejszości narodowej był szczególnie istotny dla dalszego rozwoju Polski i Czechosłowacji. Na skutek "przesunięcia na Zachód" (oraz w znacznie mniejszym stopniu wymiany ludności) największe w tym regionie państwo, czyli Polska, stało się właściwie jednolite pod względem narodowym. To samo dotyczy Republiki Czeskiej po rozpadzie Czechosłowacji. Kwestia wysiedlenia po drugiej wojnie światowej ludności niemieckiej znalazła odbicie w stosunkach tych państw ze zjednoczonymi ponownie Niemcami (współczesną polsko-niemiecko-czeską dyskusję poświęconą tej kwestii dobrze ilustruje antologia nazwana *Pamięć wypędzonych. Grass, Beneš i środkowoeu-*

ropejskie rozrachunki, wybór i opracowanie P. Buras i P. M. Majewski, Warszawa 2003). Z kolei narodowe państwo węgierskie już od czasu traktatu z Trianon zmaga się z problemem licznej mniejszości węgierskiej żyjącej poza własnymi granicami - na Słowacji, w byłej Jugosławii (głównie w Wojwodinie), Rumunii oraz na Ukrainie. Jest to oczywiście (poza Ukrainą) także problem wymienionych tu państw.

Upadek bloku sowieckiego uruchomił proces powstawania kolejnych państw narodowych. Część z nich powstała na gruzach Związku Sowieckiego, jak z własnymi tradycjami nowoczesnej państwowości Litwa, Łotwa i Estonia lub bez tych tradycji jak Ukraina, Białoruś i Mołdawia. Część powstała w wyniku wspomnianego pokojowego rozpadu Czechosłowacji oraz dramatycznego demontażu Jugosławii - Słowenia, Chorwacja, Bośnia i Hercegowina, Macedonia oraz Serbia i Czarnogóra (Bośnię i Hercegowinę trudno oczywiście nazwać państwem narodowym, oficjalnie składa się z Muzułmańsko-Chorwackiej Federacji oraz Republiki Serbskiej, faktycznie jednak wszystkie trzy narody funkcjonują oddzielnie jako „narzucona wspólnota" Bośniaków, Chorwatów i Serbów). Nieprzypadkowo rolę spadkobierców zanikłych w ten sposób państw przejęły kolejno Rosja, Czechy i nowa Jugosławia, czyli obecna Serbia i Czarnogóra. Te państwa mogły bowiem najlepiej nawiązywać do własnych ugruntowanych tradycji państwowotwórczych.

W świetle powyższych stwierdzeń wszelkie koncepcje federacyjne i konfederacyjne małych i średnich nowoczesnych narodów szeroko rozumianej Europy Środkowo-Wschodniej jawią się jako z góry skazane (wcześniej czy później) na niepowodzenie. Narody w danym państwie dominujące bowiem nie chciały (i w dalszym ciągu nie chcą) stracić swej uprzywilejowanej pozycji, dążąc przy tym niejednokrotnie - mniej lub bardziej świadomie - do stworzenia narodu-państwa, czyli językowo i kulturowo homogenicznego organizmu państwowego. To dotyczyło także tych narodów, którym udało się zmienić swe położenie z narodu mniejszościowego na większościowy. Skłonność sąsiadujących ze sobą narodów do tworzenia związków regionalnych, a tym bardziej państw związkowych, nie była zatem raczej wynikiem dążeń do pogłębiania kulturowej czy cywilizacyjnej bliskości (np. wzajemność słowiańska, wspólnota ziem historycznych), lecz przejawem bądź to ich "słabości" w stosunku do narodu (narodów) - hegemona, bądź to obaw płynących z zagrożenia ich państwowości i wolności ze strony mocarstw. Tak czy inaczej chodziło więc o rozwiązania (w tzw. dłuższym trwaniu) tymczasowe.

Kiedy ojciec nowoczesnego narodu czeskiego, znany polityk i historyk František Palacký formułował w połowie XIX w. swą koncepcję przebudowy monarchii habsburskiej w państwo związkowe, opierał się o zasadę wolności obywatelskich i równouprawnienia narodów. Istotny jest jednak przy tym fakt, iż Cesarstwu Austriackiemu przypisywał rolę obrońcy małych narodów

środkowej i środkowo-wschodniej Europy (przed przewagą Rosji oraz Niemiec). Dopiero, gdy spotkał się z niezrozumieniem ze strony niemieckich i węgierskich rewolucjonistów, opowiedział się za ideą austrosławizmu (dużą część narodów naddunajskiej monarchii tworzyli jak wiadomo Słowianie). Z późniejszego osłabienia państwa Habsburgów na skutek klęski w wojnie z Prusami w 1866 roku skorzystali tylko Węgrzy.

Niepowodzenia w doprowadzeniu do federacyjnego zreformowania Austro-Węgier legły u podstaw innego rozwiązania "kwestii czeskiej" (*česká otázka*). W ramach koncepcji "Nowej Europy" Masaryka (powstającej podczas pierwszej wojny światowej) do rzeczywistej federacji narodów miało dojść dopiero wówczas, kiedy będą one wolne i same się połączą. Dezyderat można uznać za słuszny, lecz z pewnością niewystarczający, jak to pokazał dalszy rozwój historyczny w środkowo-wschodniej Europie. Trudno bowiem uznać za przypadek, iż nie powiodły się żadne projekty federacyjne (Piłsudskiego, Masaryka, Eleftheriosa Venizelosa i Take Ionescu), a nawet takie nowo powstałe państwa jak Czechosłowacja czy Jugosławia nie były federacjami.

Tym, co udało się urzeczywistnić, był blok państw nazywany Małą Ententą. Jednak siłą sprawczą jego egzystencji nie było raczej opowiedzenie się za czymś, lecz przeciw czemuś (restauracja monarchii habsburskiej, rewizjonizm węgierski). Współtwórca i pierwszy prezydent Czechosłowacji myślał co prawda o utworzeniu swego rodzaju nowych Austro-Węgier poprzez zjednoczenie Austrii, Czechosłowacji i Węgier, jak o tym wspominał w rozmowach z pierwszym i długoletnim posłem austriackim w Pradze Ferdynandem Markiem. Jednak w ówczesnych warunkach "Europy wersalskiej" było to nierealne. Podobnie niewykonalna okazała się również koncepcja "Międzymorza" (nazywana też, co znamienne, "Trzecią Europą") z drugiej połowy lat 30. w ujęciu marszałka Piłsudskiego i ministra spraw zagranicznych Józefa Becka. Główną przyczyną były w tym przypadku ogromne wpływy hitlerowskich Niemiec w tej części Europy - szczególnie po "Anschlussie" Austrii i rozbiciu Czechosłowacji. Bliską współpracę w tym samym okresie podjęły Litwa, Łotwa i Estonia (właściwie Europa Północno-Wschodnia), tworząc tzw. Ententę Bałtycką.

Plany federacyjne w Europie Środkowo i Południowo-Wschodniej odżyły ponownie na skutek agresji III Rzeszy i Związku Sowieckiego na kraje tego regionu. Wówczas szczególnie rozważane były możliwości utworzenia po wojnie polsko-czechosłowackiej konfederacji oraz podobnego związku grecko-jugosłowiańskiego. Oba miały stać się podstawą szerszych unii, które, współdziałając ze sobą, utworzyłyby blok państw pomiędzy Bałtykiem i Morzem Egejskim. Gdy hegemonię Niemiec zastąpiła hegemonia ZSRS, realizacja tych planów skazana była na niepowodzenie. Nawet w ramach bloku sowieckiego na skutek sprzeciwu Moskwy nie mogło dość do przekształcenia

bułgarsko-jugosłowiańskiego paktu politycznego w szerszą unię bałkańską, a nawet środkowoeuropejską (Josip Broz-Tito, Georgi Dymitrow).

W porównaniu do przedwojennej mapy politycznej Europy Środkowo-Wschodniej liczba państw, które można by określić jako narodowe, uległa zmniejszeniu. Zarówno utrata niepodległości przez państwa bałtyckie, jak i ponowna niemożność wybicia się na niepodległość narodu ukraińskiego były wynikiem imperializmu sowieckiego. Dlatego po osłabieniu i rozpadzie ZSRS proces powstawania państw narodowych (nie tylko w tej części Europy, lecz także w Azji) mógł być kontynuowany. Odmienne uwarunkowania geopolityczne w Europie Zachodniej zapoczątkowały powojenny proces integracyjny, który w chwili odzyskania niezależności przez państwa "nowej" Europy Środkowo-Wschodniej był już mocno zaawansowany. Ten fakt nie mógł oczywiście pozostać bez wpływu na kierunki polityki zagranicznej poszczególnych państw leżących pomiędzy jednoczącą i rozwijającą się Europą Zachodnią, a dezintegrującą się i przeżywającą kryzys gospodarczy Eurazją. Dokonane lub dokonywane od początku lat 90. XX w. wybory są z dzisiejszej perspektywy już wyraźnie widoczne (współpraca regionalna, NATO, UE). Między innymi w ich wyniku szeroko pojmowana Europa Środkowo-Wschodnia nie tworzy obecnie jednolitej całości, a tym bardziej nie posiada wspólnej tożsamości. Postępująca pomimo tego integracja nie dokonuje się na zasadzie bliskiej współpracy regionalnej, lecz przede wszystkim na skutek wchodzenia poszczególnych państw regionu do struktur Unii Europejskiej.

Jak zdaje się dowodzić niedawna rewolucja pomarańczowa na Ukrainie, uwieńczenie procesu powstawania państw narodowych pomiędzy Niemcami a Rosją należy uznać za przesądzone. Drugorzędne znaczenie ma przy tym to, jaki kierunek integracyjny z innymi państwami lub związkami państw one obiorą czy urzeczywistnią (Białoruś, kraje bałkańskie).

O wiele ważniejsze natomiast będzie, jak poszczególne państwa narodowe odpowiedzą na pytanie dotyczące granic procesów integracyjnych z innymi państwami europejskimi (a nawet pozaeuropejskimi np. w przypadku przystąpienia do UE Turcji). Dotychczasowy rozwój historyczny każe w tym względzie przypuszczać, iż bez poważnych zagrożeń zewnętrznych lub dyktatu ze strony mocarstw małe narody środkowo-wschodniej Europy nie zechcą zrezygnować z posiadania własnych państw na rzecz wielonarodowych czy też ponadnarodowych organizmów państwowych. Istotna może być w tym względzie również współzależność pomiędzy tożsamością narodową, a nową tożsamością europejską.

ROMAN BARON

ZE WSPOMNIEŃ OSWALDA GUZIURA (1910-1996) Z SUCHEJ GÓRNEJ

Autor wspomnień mgr inż. Oswald Guziur urodził się 1 maja 1910 roku w Suchej Górnej. Był jednym z pięciorga dzieci Adolfa Guziura (1873-1947 - rzeźnika i szefa cechu, burmistrza Suchej Górnej w latach trzydziestych), który z kolei był dziesiątym potomkiem z wielkiej dwunastki braci Guziurów, potomków prapradziada Alojzego Guziura (ur. 1750), zagrodnika z Suchej. Oswald ukończył gimnazjum polskie w Cieszynie (1928), po czym studiował na Politechnice Lwowskiej (1935). Jako podchorąży rezerwy brał udział w wojnie 1939 roku. Po ucieczce z niewoli niemieckiej powrócił na Zaolzie, biorąc aktywny udział w ruchu oporu. W listopadzie 1939 roku stał się członkiem organizacji podziemnej, założonej na Śląsku Cieszyńskim przez dra Pawła Musioła, która na wiosnę roku 1940 włączona została do jednolitej organizacji Związek Walki Zbrojnej (ZWZ). Jej dywersyjną i sabotażową sekcją kierował na Górnym Śląsku inż. Franciszek Kwaśnicki. W lipcu 1940 r. po aresztowaniu Jana Matuszka został Oswald Guziur dowódcą obwodu Jabłonków cieszyńskiego Inspektoratu ZWZ (placówki: Czeski Cieszyn, Ligotka Kameralna, Trzyniec, Mosty, Bystrzyca), organizując akcje ruchu oporu aż do swojej ucieczki przed aresztowaniem w styczniu 1941. Ścigany przez Gestapo schronił się do GG (1941), gdzie poznał swoją żonę Jadwigę Krzehlik, absolwentkę słynnego liceum w Krzemieńcu na Wołyniu. Po wojnie pozostał na Górnym Śląsku, pracując w przemyśle elektrotechnicznym. Ojciec piątki dzieci. Aktywny działacz społeczny Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, był m.in. prezesem Koła MZC w Katowicach (podobnie jak brat mgr inż. Leonard), a w 1992 r. uhonorowany został prestiżową godnością Członka Honorowego Macierzy. Autor kilkudziesięciu artykułów i wspomnień z okresu okupacji i stosunków polsko-czeskich (nie zawsze „zdrowych"), publikowanych w prasie śląskiej, centralnej, kresowej, katolickiej i polonijnej, w tym także w Zwrocie i Głosie Ludu.

Niniejszy cykl artykułów opracowany został z niewielkimi skrótami na podstawie bogatych wspomnień mojego wujka Oswalda, opublikowanych w różnych periodykach polskich i czeskich (często pod konspiracyjnym pseud. Tadeusz Borowy) i za zgodą ciągle niezwykle aktywnej jego żony i mojej cioci z Katowic Jadwigi Krzehlik-Guziur.

My z Zaolzia we Lwowie

Ze Lwowem zetknąłem się po raz pierwszy we wrześniu 1928 roku, przyjeżdżając wraz z kilkoma kolegami Zaolziakami na studia na Politechnice, gdzie kształcił się już starszy brat Leosz (Leonard Guziur 1903–1990). *Na pięknym dworcu powitał nas znamienny napis Leopolis semper fidelis (Lwów zawsze wierny). Wiedzieliśmy, że nie były to czcze słowa. Wiedzieliśmy, że w czasie pierwszej wojny światowej w cieszyńskim parku im. Adama Sikory (który później po roku 1920 znalazł się w Czeskim Cieszynie) odbył się masowy werbunek ochotników do Legionów Piłsudskiego. Zgłosiło się wówczas kilkuset ochotników do Legionów. Aż tylu z tego małego skrawka śląskiej ziemi, oderwanego przed sześciu wiekami od ojczyzny (1335).*

Ludzie ci walczyli na kresach wschodnich, m.in. w obronie Lwowa. Lwów też nie pozostał Śląskowi nic winien. Młodzież lwowskiego Korpusu Kadetów, wychowywana w patriotycznej atmosferze, zgłaszała się ochotniczo do powstań śląskich.

W pobliżu tego Korpusu przyszło mi spędzić lata studiów. Zamieszkiwałem bowiem przez cały ten czas w II Domu Techników na Wzgórzu Wóleckim (Na Wólce), w domu zbudowanym w dużej mierze rękami studentów, którzy byli zobowiązani, jako członkowie Bratniej Pomocy, przepracować przy jego budowie po 120 godzin. Gdy przyjechałem do Lwowa, trzy mieszkalne skrzydła były już gotowe, przeznaczone dla ponad czterystu studentów. Mnie przypadło pracować przy budowie „sali balowej", zamykającej dziedziniec. Budując ten dom, nie przypuszczaliśmy, że budujemy go nie dla naszych następców czy naszych synów. Owo wzgórze Na Wólce, które było terenem naszych najbliższych spacerów, stało się kilka lat później miejscem zbiorowej zbrodni, popełnionej przez hitlerowców na profesorach lwowskich uczelni. Kiedy się o tym dowiedziałem po latach, wiadomość ta wstrząsnęła mną dogłębnie. Było bowiem wśród rozstrzelanych trzech moich znakomitych, cenionych przez nas profesorów, których podpisy przechowuję w moich studenckim indeksie. Profesor Antoni Łomnicki, świetny wykładowca matematyki, szczupły, przystojny, elegancki. Tak sobie wówczas wyobrażałem angielskiego dżentelmena. Miał on tuż obok II Domu Techników niewielką, białą, piętrową willę, która być może jeszcze istnieje. Profesor Witkiewicz, przemiły w obejściu, wprowadzał nas w zasady termodynamiki i maszyn cieplnych. Był współtwórcą budowy naszego gmachu laboratoryjno-wykładowego wydziału mechanicznego, zlokalizowanego na zapleczu głównego budynku Politechniki.

I wreszcie profesor Włodzimierz Krukowski, znakomity wykładowca z dzie-

dziny pomiarów elektrycznych, pracujący od lat w znanej niemieckiej firmie Siemens, gdzie zajmował eksponowane stanowisko w dziale badań i rozwoju. O jego randze świadczy fakt, że kiedy zachodziła w Niemczech potrzeba opracowania i wydania książki na temat pomiarów energii elektrycznej, Związek Elektryków Niemieckich (VDE) powierzył opracowanie tej książki właśnie jemu, jako osobie najbardziej kompetentnej. Miałem tę kilkusetstronicową książkę w ręku. Jej autorem był W. von Krukowski.

Profesorowie ci, i wielu innych, zginęli wówczas z rąk niemieckich, ale inspiracja pochodziła zapewne skądinąd. Mówiąc o profesorach, nie sposób pominąć profesora Reczyńskiego, znakomitego fizyka, który, pracując za granicą, był asystentem słynnego prof. Roentgena, twórcy rentgenologii.

Wspomnieć także muszę profesora uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, geografa i geofizyka Henryka Arctowskiego. Był on w latach 1898-1899 uczestnikiem belgijskiej wyprawy polarnej do bieguna południowego, odbytej na statku Belgica. Jego żona, cudzoziemka, udzielała bezinteresownie nauki języka angielskiego dla wyselekcjonowanych grup studentów uniwersytetu i politechniki. W karnawale obydwoje podejmowali nas w swoim dworku opodal Lwowa, dowożąc swoich gości kuligiem. Byliśmy świadkami, jak miejscowi chłopi ukraińscy podchodzili z ogromnym szacunkiem do niego, schylając się, obejmując jego kolana. Dla nas ze Śląska było to przeżycie wyjęte jakby z innego, dawno minionego świata.

Było nas ze Śląska Cieszyńskiego na studiach we Lwowie kilkudziesięciu, skupionych w Stowarzyszeniu Studentów Polaków Znicz. Prawie połowę tej organizacji stanowiliśmy my z Zaolzia, absolwenci gimnazjum cieszyńskiego, a także gimnazjum w Orłowej, utrzymywanego przez Macierz Szkolną w Czechosłowacji, wspieraną przez rodaków, m.in. środowisko lwowskie. Ściśle współpracowaliśmy z tamtejszym Związkiem Obrony Kresów Zachodnich (przemianowanym później na Polski Związek Zachodni), kierowanym wówczas przez entuzjastkę spraw Śląska Helenę Popielową. Wspólnie postanowiliśmy urządzić „miesiąc propagandy Śląska", którego kulminacyjnym punktem stała się uroczysta akademia w Teatrze Wielkim we Lwowie 6 grudnia 1931 roku. Organizując tę imprezę, wpadliśmy na myśl, aby sprowadzić do Lwowa Gustawa Morcinka (1891-1963), pisarza urodzonego w Karwinie, który jako górnik rozpoczynał ongiś swe młodzieńcze lata ciężką pracą na jednej z tamtejszych kopalń, a teraz stawał się chlubą Zaolzia. W tymże bowiem 1931 roku otrzymał śląską nagrodę literacką za „Wyrąbany chodnik", dzieło opiewające pasjonującą drogę Ślązaków do Polski. Na wspomnianej akademii Morcinek odczytał fragment z „Wyrąbanego chodnika", który spotkał się z ciepłym przyjęciem publiczności. Po akademii odbyło

się w kasynie literacko- artystycznym przy ulicy Akademickiej uroczyste przyjęcie na cześć Morcinka. Zebrała się śmietanka kulturalna Lwowa, aby fetować pojawienie się nowego, autentycznie śląskiego talentu. Morcinek był szczerze ukontentowany przyjęciem zgotowanym w kasynie i z nawiązania tam licznych kontaktów. Sam określił to jako „pokumanie się" ze światem literackim Lwowa i przyjęcie do grona pisarzy ogólnopolskich.

Część artystyczna owej akademii, w wykonaniu Lwowskiego Chóru Technickiego (studentów Politechniki) i naszej koleżanki gimnazjalnej Marii Dobrowolskiej (po wojnie solistka warszawskiej operetki), *wówczas studentki wokalistyki konserwatorium lwowskiego, stała pod znakiem pieśni cieszyńskich.*

O opracowanie pieśni śląskich dla Marysi Dobrowolskiej zwróciłem się do Jerzego Hadyny (1888-1968), profesora muzyki w Cieszynie, ośmielony tym, że jako uczeń gimnazjalny uczyłem się u niego gry na skrzypcach. Spełnił moją prośbę chętnie, bezinteresownie i z talentem. Wspominam o tym ze szczególnego powodu. Pamiętam, że gdy chodziłem ze skrzypcami do owego domu Hadyny w Cieszynie (dom przy ul. Różanej - obecnie dra W. Olszaka), *po mieszkaniu pętał się i przeszkadzał ojcu w komponowaniu kilkuletni chłopak, nazywany Staszkiem. Nie wiedziałem wówczas, że ten Staszek, urodzony w Karpętnej, położonej na beskidzkich stokach spływających ku Olzie, stanie się z czasem wielkim prof. Stanisławem Hadyną* (1914-1999), *twórcą sławnego Zespołu Pieśni i Tańca Śląsk.*

A Lwowski Chór Technicki? W roku poprzednim (1930) odbył ponad miesięczną podróż artystyczną po krajach bałkańskich i dotarł nawet do Egiptu. Po drodze w Stambule, nazywanym wówczas jeszcze Konstantynopolem, daliśmy koncert z okazji 3 Maja, a potem u stóp sfinksa w Gizeh odśpiewaliśmy „Jeszcze Polska nie zginęła...". Chyba po raz pierwszy w historii na tym miejscu popłynął chóralnie odśpiewany nasz hymn narodowy. A potem na spotkaniu w poselstwie polskim poznaliśmy Polkę, właścicielkę pensjonatu w miejscowości wypoczynkowej Heluan pod Kairem, u której kilka lat wcześniej marszałek Józef Piłsudski spędził swój urlop zdrowotny.

Jeszcze jedno wspomnienie związane ze śpiewem. Z Kołem Kresów Zachodnich współpracowała żona profesora uniwersytetu Ernsta. Jej syn był twórcą i kierownikiem słynnego chóru rewelersów Eriana. Za moją namową obiecał on odwiedzić Zaolzie, na zakończenie objazdu koncertowego Sądecczyzny i Podhala. Był rok 1932, w którym doszło do największej chyba powodzi wieku dwudziestego na tym terenie. Wzburzone wody Dunajca, niosące nieraz całe drewniane chałupy i pozrywane mosty, odgrodziły zespół Eriana od celu podróży, jakim był Cieszyn. Zaryzykowali i jakąś łodzią przeprawili się, ledwo zdążając na koncert, który się odbył w sali hotelu





Agnieszka (1877-1962) i Adolf (1873-1947) Guziur, rodzice Oswalda Guziiura

Polonia (obecnie hotel Piast) *w Czeskim Cieszynie. Znakomitych, choć nieco sfatygowanych, gości ze Lwowa powitał na scenie dyrektor Polskiego Gimnazjum w Orłowej i prezes Macierzy Szkolnej w Czechosłowacji Piotr Feliks (1883-1941), zamordowany później w Oświęcimiu.*

Przed nami studiowali we Lwowie już inni Cieszyniacy, co zdjąwszy mundury wojskowe rozpoczęli studia. Wśród nich był inż. Ferdynand Buchta, w latach trzydziestych dyrektor naczelny Lwowskiego Okręgu Lasów Państwowych, obejmującego obszar południowo-wschodniej Polski. Dzięki niemu korzystaliśmy podczas wycieczek w Gorgany i Czarnohorę z kolejek leśnych, niedostępnych dla „zwykłych" turystów.

Studia we Lwowie ukończył również inż. Karol Czerner z zaolziańskiej Lutyni Polskiej. Dlaczego o nim wspominam? Jego syn - prof. dr hab. inż. arch. Olgierd Czerner, osiadły po wojnie na stałe we Wrocławiu, zasłużony konserwator zabytków tego miasta, związał się z tym, co dla Lwowiaków poza Ossolineum jest najcenniejsze: Panoramą Racławicką. Usilnie zabiegał o to, aby zwinięty rulon obrazu, leżący tam od lat, mógł ujrzeć wreszcie światło dzienne. Zabiegi czynione przez niego i innych w Warszawie nie odnosiły skutku. Nie odnosiły, bo Warszawa nie była w tej sprawie kompeten-

tna. Nie ten szczebel. Aż wreszcie nadszedł czas, gdy pan Olgierd otrzymał sygnał, że może już w określonym dniu przyjechać w tej sprawie do Ministerstwa Kultury. Okazało się jednak, że premier Piotr Jaroszewicz nie wrócił jeszcze z Moskwy i trzeba zaczekać. Umówiono się - jak relacjonował później pan Olgierd - że skoro premier wróci, dyżurny pracownik ministerstwa przedzwoni natychmiast do hotelu pod wskazany numer. Tego samego wieczoru, tuż przed północą, odezwał się telefon. Nazajutrz wszystko zostało załatwione. Moskwa wyraziła zgodę.

Nasze lata spędzone we Lwowie zaliczamy zawsze do najmilszych. Atmosfera tego miasta całkowicie nas zawojowała. Wychodząc na wysoki Zamek, by spojrzeć na urokliwą panoramę miasta, odczuwaliśmy ze wzruszeniem pod stopami grudki naszej śląskiej ziemi rodzinnej. Bo w okresie, gdy budowano Kopiec Unii Lubelskiej, zwożono tutaj z całej Polski grudki ziemi, by z nich usypać symbol jedności serc i uczuć.

Wśród tych grudek nie zabrakło ziemi z kilku miejscowości dzisiejszego Zaolzia. Wśród nich była ziemia z mojej rodzinnej wsi Suchej Górnej...

wyboru dokonał JANUSZ GUZIUR

cdn.



Fot. FRANCISZEK BAŁON

JĘZYKOWE POGRANICZE CIESZYŃSKO-LASKIE (5)
PRZYKŁADY TEKSTÓW GWAROWYCH Z CIESZYŃSKO-LASKIEGO POGRANICZA

Przykłady gwarowych tekstów mówionych z cieszyńsko-laskiego pogranicza są zapisane według polskich norm ortograficznych.

Gwara hulczyńsko-opawska

Z Chuchelnej, na północny wschód od Opawy:

W lesze my zostali stacz, a byli my tam aż do połednia. Baby nam odeszły do kosteła, a my tam zostali. Nas tam było piet, piet tych wozuf, ni. Jag ony przyszły, tag my prawime, my tu nie możem bycz, my muszyme ene dale jechacz. I my jeli aż do Beniszowa, w Beniszowie my zostali stacz. Tam naz nie chcześ żaden do stodoły wzacz, tag my se ubrali a jechali my ku Haju, tu sztreku. Kaj se uczynicz? Dale my jechali, aż my przyszli do lesa, aż na Jozefowec. Tam ptawieli, że to je Jozefowec. My tam zostali s końma na łukach stać.

Ze Skřipova, na południe od Opawy:

Była sem zawrzena, że pry sme posłuchali radyjo. Tu byli susiedzi a oni tam posłuchali wiec to radyjo a potem tam był wedle eszcze jeden, ten potem nas przezradził. We trzyasztyrycatym mie zawrzeli a aż do konca walky. Gdyby nie był przyszeł przewrat, to ci polityćci przyszli fszecy precz. Najprem sem była w Opawie, potem w Litomierzycach, potem w Jaworech a potem smy dziełali w lesie, ale ja sem była rada, że sem przyszła wenky. To było lepszy, bo to ście byli aspoń na wzduchu, nie byliście f tym małym kamrliku zawrzeni. Tak sem se hłaśiła tesz, że raczy pujdu do prace. Przez źimu to sme perzy drzeli, a na wesno, tuż wybirali, ja sem se też hłaśiła. Tam sme byli w lesie. To sme duby rzezali a ta kura se oklepawała, takowe ty cienke i hrube duby, a potem tusz se sadziły stromky w lesie a jedno druhe. Tosz tam sme se tag gor zle nie mieli.

Z Neplachowic, na północny zachód od Opawy:

Jedneho stareho szfeca z Niepłachojic dzieuchu chodźyła dycky mora dušyć. Ta dzieucha mieła taku mudru cietku, a tej se lutowała. Tusz ta ji poradziyła, aby zrobiła kole łoża sfiecenum krejdum kruh, a dwie szkrtaczky krzyżem położyła do nieho. Dzieucha to tag zrobiła, ale nidz nie pomahało. Tusz ta cietka praji: "To nie budzie jinacza ene ja budu musiedź jednu noc przy tobie zostać". Jak przyszła pułnoc, tag dzieucha zaczła narzykać. Tak ta cietka wyskoczy a praji: "Przyć-se zytra pro snidani". A rychtyg na druhy dzień przyszła jedna roba s Kamenca na snidani a ot tej doby mieła dzieucha po trapeniu.

Gwara ostrawska

Z Hrabowej, na południe od Morawskiej Ostrawy:

A siaciu nic nie budzie. Buł sem se podziwać, pieknie zeszło. Enem aby trochu zaprchło. Siena je mało. Koniam nie budzie co dać żhrać. A co ten statek w zimu wystoi. Mi je teho aż luto, ale pomodz mu nie lźa. - A tusz ten synek Franckulin už umrził. Na, synczisko take młade; dyć to eszcze mohło baj żić. Stara temu po cały rok zeliny warziła, ale nic nie pomohło. Tuż raczi mie miał ten Pambu zebrać. Co je tu po mie? Ja sem na obcis. Fszecy czekaju, eż zgebnu. A to musieł isć taky młady. Doma fszecy lamentyruju, ja ja muśime tam fszecy. Mieł sem strach, aby se to Franckowa nie wzała do hlawy. Enem beczi.

Ze Lhotki, na zachód od Frydlantu:

No to jeden wojak se tu przez walku schowawał. Buł tu u nas sztyry razy. A zas przyszoł w nocy a burzi. No toż ja wyletim wen a żadneho. Tak sem wołała swojiho chłapa: "Ty chłape, hybaj, bo se hdośi do naz lame". Idem oba. Esz tu naras prziwedu wojaka. Pachołcy s nim prziszli. A ja chcu rożihać swietło a un prawi: "Jezuzmaryja, nie rożihajte, bo po mie strzilaju". Tak tu buł - no trzi dni. Nośiła sem mu od jeho selky jidło w drywach. Dycky mi dała noszu drzewa a w drzewie jidło.

Gwara górnoostrawicka

Z Bruzovic:

- No esli brzo niezaprszi tuż letoz budzie mało żimniokuf. - A dy mi sie zdo, że už i dyby zaprszeło, to už nie pomoże, bo nacionka je usz sucho. - No możne, że baj by to eszcze skrzišił tyn deszcz. A je už ho isto trzeja. Dy zym už je tag rospukano a fszecko to schnie. - To budzie jak f sedymnastym roku tesz takowne sucho. - Możne, że zasie potym jag budu mieć lude košić, to budzie im do teho prszeć. Iny że potym už budzie nieskoro, jak budzie fszecko suche. - A bezmal je fszadzie takowne sucho. Aspoń nowiny pisaju. - A tusz suchy rog nom nigdy nie zrobi takownu szkodu jag mokry.

Z Siedliszcza:

Fczil inadź mluwio. No ci mładzi, co už zase su inacz poszkoleni a szkoły maju, prawda, a my zmy su usz starzi lude, tak to oni tak se posmiech s teho robio. No że szkaredzie mluwimy. A my se we szkole uczili morafsky, pieknie, aj to, ale że aż tak... Wicie, my se usz tesz tag drżimy w opchodzie, aby se z nas nie smioli. To už je f człowieku, że to nie może... Eśi jedno słowo rzeknecie dobrze, tag druhe usz po swoimu, w naszim narzeczu, że.

Z Metylovic, na północny zachód od Frydlantu:

O swatbie. To przisżła staro roba otewrzić a prawiła jim, że zabłudzili. Ale oni na to nidz nie dali, enem se ćpali do śinie. Esz potem przisżli do jizby, tusz prziwedli staru robu. A ta sziła a mieła nidz bez uzełka. Tusz ju musiuł żenich wypłacić. Potem prziwedli druszku a ta se ho nie chcieła zbawić. Przinisła mu jeho fajku, keru mu przettym ukradła, a to doswieczowało, że za niu chodziuł. Tuż ju zas musiuł wypłacić, eśi se ji chciuł zbyć. A potem dep-



ryf prziwedli niewiestu. Potem ji rodiczowe dali pożehnani a szli do kosteła ku zdowce. To było radości.

Ze Pstruži:

Stary Literag inwalida, pasiekarz, kopał kanał, a tu cygan szeł a nis pot kabatem kuru. Tuż un szeł k temu cyganowi a pytał se ho: "Co to masz, cygane, pot-tym kabatem?" Cygan prawił, że kupił kuru. A zatel mu tu kuru

pot-tym kabatem poznał, że je to jeho kura. Ten cygan tu kuru wytahnuł spot kabata a zakruťił i kryk. Literaka to rospajeďiło, że je to jeho kura, a cygana łopatu rypnuł przez hławu. Eż Literak tu kuru obhlidnuł, tak cygan stanuł a bezitwu mu chteł kryk podrzezať. Zaz ho praszcził tu łopatu - ten Literak teho cygana - a brzitwu mu wydrzeł.

Gwara morawsko-łaska

Z Kozlovic, między Frýdłantem i Kopřivnicą:

To było wesełe. To dycky przed swaďbu, eż była ta swaďba, to choďili drużbi, dycky choďili ťi drużbi, owienczeni. To były druszky a ony mieły powinosť ty drużby nastrojiť, wite. To mieli hułky a przi tych hułkach mieli maszle. To miawali aj żeniszi. Drużbi mieli czerwene, biłe a bledomodre, żenih mieł zelenu, modru a biłu. Woniczky mieli za kłobukami, woniczky welke, a na prysiah mieli też woniczku, takowu kyťicu tude. A toż dycky szli po tych chałupach, jak mieli ty czisła, kere mieli zwať. Toż dycky tam szli na tu swaďbu zwať. A tosz - to dycky eszcze trochu pomnim s teho, jak to zwali: Niemiejťe nam za złe, że sme do waszeho przibytku stupili ... To sem sebie eszcze zapamatowała.

Z Rybí, między Nowym Jičínem i Kopřivnicą:

Tak - było puł jedne w nocy, mieła sem małe swietełko uďełane, taku noczni lampiczku. Gdozy ťuka na okno. Yu ja jidu otfirať. Jeminaczku, wojak! Z wreckem na rzbeťe, jak nosili ťi ... a ja sem honem chteła, jak sem widełа wojaka, zawirať dwerzy. On ale do nih ždurnuł a dostał se do synie a dale a fczył ... Proboha prosył, aď ho tam niecham na noc, że zabłuďił. Że co? Ja prawim: Toż hďe śe pochoďił? No toż mi to powiedał, że dostał se aż nawrch - tam je takowe, powiedaju temu Potoczysko, takowe rastoky, szkareda cesta, same krzowi a to a toż jak tam przyszeł, toż se wraťił, wideł, że jiďe zle, a u mie gdysz to swietełko było, tag zaťukał a tosz.

Ze Studénki:

Muj bratr robił we werku f Trzyncu a maminka mie wyprawili k niemu, że mu budu warzycz a po połedniu se uczicz szicz. Dali mi sebu łożo, almaru, dywan a almarku na hrnce. Tag mie wysztafirowali. A kufr, tam sem mieła halt pradło a tag ledyco. Maminka mieli zwyk poznaczicz se dycky do almary s krzydu, gdy jim biehała krawa, co by to widżeli a nie straczili to. Tuż zmy to nałożili a odwezli na banhof. Ja sem uż była taka sleczinka, tesz sem se uż o sobie mysleła, tu se naraz na banhofie almara otewrzeła a na dwerzah było napsane welkymi literami: Strakula biehała piedadwacateho dubnia. To wicze, jaku sem mieła hańbu.

cdn.

WŁADYSŁAW MILERSKI

Chochlik drukarsko-komputerowy spowodował w części 4 opracowania "Językowe pogranicze cieszyńsko-laskie" szereg błędów. Na stronach 21-25 w 29 wypadkach pojawiła się litera ę zamiast zmiękczającego znaku diakrytycznego (‘). Jeden raz na str. 23 ma być zamiast litery č litera ă. Za błędy przepraszamy.

BESKIDY RODZONE (1)

Beskidy są moją bliższą ojczyzną. Wiejski chłopak, pobierałem naturalne nauki w podgórskim gospodarstwie, zwłaszcza jako pasterz krówek na miedzach lub na rozległych pastwiskach „po Jadwidze", wchłaniałem więc swe otoczenie wszystkimi dziecięcymi zmysłami i jak głodne wrażeń i słodkich soków zwierzątko przetrząsałem wszelkie szczegóły krajobrazu, gmerałem w snozach pod Przyporem lub Groniczkiem. Idzie zatem o rozległą i bogatą w szczegółach bliższą ojczyznę, stąd bez przerwy, chociaż już siedemdziesięcioletni emeryt, idę myślami i wyobraźnią przez beskidzkie zakamarki, wyłaniam z pamięci zapachy oraz smaki wszystkich swoich podgórskich zim, wiosen, lat i jesieni.

Urodzony pod Brzegami, na terenie późniejszego jabłonkowskiego sanatorium, rozglądam się bez przerwy od horyzontu po horyzont jabłonkowskiej łomniańsko-olziańskiej niecki i coraz bardziej się upewniam, że to ona właśnie ukształtowała mą biografię pisarską, jak również życiowe kontynuowanie rodowego postępowania.

Do mamy niebogiej wracam, za odeszłym ojcem idę, trafiam nad bracke źródełko na tyłach późniejszej strzelnicy myśliwskiej w łomniańsko-boconowickich Równiach. Po niedzielnym obiedzie, zanim jeszcze wyprowadziliśmy krówki na pastwisko, szliśmy na rodzinny spacer do lasu. Trójka chłopców nas była z Józkiem i Antkiem (Hanka jeszcze spała pod sercem matczynym). Ojciec po Sienkiewiczowskich lekturach i rozmowach z Fojtem-Szkanderą, co to w Ameryce bywał i ludzi teraz przeinaczał z krajobrazem, stanął nad źródełkiem w Równiach i nazwał je bracką studzienką, studnią trzech braci. Piliśmy dłońmi uświęconą wodę ze źródła na znak rodowej przysięgi. Co las słyszał, to i zapamiętał, stąd nie sposób było nam wobec niego zbaczać z ustalonej drogi.

Potem szło się po św. Annie (nasza mała Hanka pozostała w domu pod opieką babci Anny z Ramszów - Sikorowej) wzwyż chłopskiej Kozubowej, na poświąckę kaplicy odpustowej na szczycie. Był rok 1937. Z tamtego czasu niosę w sobie zauroczenie sterczącymi, bo schodzonymi przez ludzi kamieniami i korzeniami beskidzkich chodniczków i dróżek na stoku, podobnych do zmarszczek i bruzd na góralskich obliczach i spękanych dłoniach. Noszę w sobie z tamtego czasu także wiatr w rozkwieconych łąkach na górskim grzbietowisku. Koszono je z góry w dół, rankami, póki rosa nie zeszła. Kosy klepano wieczorami, na noc zaś klecono szałasy i długo w noc gawędzono o zagadkach i tajemnicach górskiego świata naokół. Albo śpiewano nad ogniskiem wsiowe pieśni.

* * *

Skąd bierze się ojcowizna? Ojcowizna jest określeniem smaku, dotyku, a także powonienia i wyobraźni. Za dnia się zjawia, nocą przychodzi pod postacią wspomnienia lub tęsknoty. Ojcowizna jest miarą upływania czasu, prostego przemijania. Zwłaszcza latem, pod wysokim niebem, kiedy nabrzmiałe spiekotą łąki spodziewają się kosy, koniki polne zaś tną przejrzyste powietrze lustrzanymi piłami i rozsadzają swymi koncertami owadziej orkiestry umówiony z upałem wszechświat trawy, kiedy połyskliwe fale wiatru, cieknąc szeroko, wsiąkają w zachłanne przystanie buczników i strzelają na odczepne bzykającymi błękitnymi pociskami muszymi. Łąka wtedy stacza się i zsuwa ze słonecznych połaci Kozubowej z Kamienitem, góralki zaś, szurając grabiami, wiążą na wyrost pękate dzichty siana - dla oszczędzenia sobie drogi ku skulonym niżej chałupom. Następnie chlustają po sobie z putenek niedopitą, dobrą na wszystko krystaliczną wodą...

O ojcowiźnie stanowi czyjeś przywiązanie do najpierwszych u człowieka spraw, stąd owa afirmacja i składanie podzięki niebiosom oraz, jak chce rosyjski poeta Osip Mandelsztam, przypominanie tego, co jeszcze nie zostało wypowiedziane. U wspólnego naszego przyjaciela rechtora i rzeźbiarza Bronka Procnera z Łomnej nawet Frasobliwy okazuje się lipowym góralem, górale bowiem przywykli tak do rozległości, jak do skrótów.

To stąd biorą się intertekstualne echa sięgające rozdroży i bezdroży w powszechnym czasie i w głodnej przestrzeni. Nie przypadkiem więc, z rosyjska zaś "nie darom", ekipy śledcze z epilogu "Mistrza i Małgorzaty" Michała Bułhakowa, goniąc po całej Rosji piekielnika Wolanda z jego nachalną świtą, trafiają na stronicy 467 warszawskiego wydania z roku 1997 - po Wolmanach, Wolperach, Wołodicach także na Wołocha, i to, jakby nie było, w samym Kazaniu! Wołoch zaś lub Wałach jest sygnałem bałkańsko-karpackiego pramitu, zaczynu wspólnej ludzkiej opowieści na kontynencie.

Grzbiety i granie górskie, jak skibka chleba względnie placek - podpłomyk, mają to do siebie, że podobnie jak istota metafory przełamują się w coś, czego się głośno nie mówi. A bo wtedy utopiec, zauważmy, okazuje się lękiem przed wodą, podobnie jak głód z kolei - zdaniem Piotra Kuncewicza oraz Stanisława Grochowiaka - jest opisem chleba. Ówże Kuncewicz dopatrzył się wartości u szwajcarskiego emigranta z Jaworzynki, profesora Pawła Łyska, nie tyle w literackiej materii o skąpej fabule, ile w wizji umierającej, ba, umarłej kultury beskidzkiej. Co zaś pozostaje niewymówione, jak za kimś tam powtarza noblista Czesław Miłosz, zmierza do nieistnienia. Z odrzucaniem ceremoniału pługa i mo-

tyki oraz zgiełku na sałaszu odchodzi zatem sama góralszczyzna, która tutaj właśnie, w tzw. tylnych lasach beskidzkich, wraz z uszanowaniem obyczaju w nazywaniu dni i nocy nadal zdaje się zachowywać strzępy glebowego, kamiennego honoru. Ale także mitu, przywidzenia, przyzwolenia.

Ojcowizna zatem jest tą krainą, do której idzie się na piechotę wśród skwaru i spiekoty, z nieodzowną zadyszką oraz w przekonaniu, że póty nam życia, póki ponoszonego zań trudu i póki horyzontu... Albert Camus, nic nie wiedząc o Beskidach, ponoć zamierzał napisać powieść, której bohater leczy się ze swych niepokojów, cierpień i rozdarć duchowych samą tylko długą kontemplacją pejzażu. Idzie tu o zwyczajne, proste doznanie agonii wieku XX, który Ryszard Przybylski nazwał niedopoznaniem nad niedopoznawaniem. Bo też umykał nam ów wiek - jak go tutaj nie wspomnieć - przesypując nas sobie jak piach w dłoniach albo przelewając niby wodę w koszu, stąd nasza żywa tęsknota do miejsc bez dozorców oraz czasu bez sług i raportów. Wiek nowy, XXI, zdawało się, nałoży swoich starań... Jednakże nie takie to proste: udawać się z Beskidami w mieszczańską Europę? One w sumie nadal jeszcze cieszą się własną niezależną duszą, która nie poddaje się łatwo ani nie ujawnia się nieopatrznie przez zwichrzoną szybę. Przychodzimy na świat z pępowiną, schodzimy zeń z takąż pępowiną, która nastaje w nas jak ojcowizna.

Aby było wierniej oraz prawdziwiej, nie należy łączyć ani też całkiem odsączać poszczególnych składników beskidzkiej typowości ani sentymentu. Żadna w tym złośliwość ani nieżyczliwość, jednak wydaje się, że rzeźbiarz Bronek Procner takoż zauważył, jacy my górale jesteśmy kostropaci, herczawi, krokaci, tacy jak samo życie. Ono zaś nigdy nie unikało własnej konsekwencji. Pisarz Janek Goczoł z Opola również zauważył tę prawdę-zadrę, kiedy wróciwszy z Jabłonkowa wpisał nam w zeszycie domowym: "... zafascynowany spórnością i krokatością..." Bo też czasy szły niespokojne, w Swierciniu w Piosecznej zaś znaleziono z kośćmi tamtą srebrną szablę żołdacką, nietutejszą, bo z czasu wojny trzydziestoletniej... Górale jednakże nie do szabli, a do dnia rzetelnego, od rana podążającego za swym sednem, od urodzenia po scharlenie i po to jedynie, po co sięga się ręką, skoro w ręce, w dłoni wszelka nadzieja na przeżycie...

Lipowe beskidziołki Procnera, skoro już czynimy te wycieczki, jakby zapożyczyły się u kolędziołek Emila Zegadłowicza, stąd te skojarzenia; jednakże, śmiem twierdzić, były pierwsze, gdyż stać je na to: były, odkąd są górale na świecie.

Na szczytach gór doznaje się skrzydeł. Dodajmy dlatego, iż według Platona istotną siłą skrzydeł jest unosić rzeczy ciężkie ku górze, gdzie przebywa ród bogów. Góry zaś czynią to od niepamięci.

❄ ❄ ❄

Głęboko w drewnie lipowym tkwi lipiec, zżył się z wysokimi słonecznymi południami i z pszczelim poszumem po zapłociach. Nasuwa swoim brzmieniem żniwo słowiańskiej pasieki z takimiż jak pszczele, ludzkimi zabiegami. Nasze białe drewno lipowe napatrzyło a napatrzyło się na niepowtarzalne typy beskidzkie i zatrzymało je w sobie, stąd one idą za sobą w rojnym orszaku...

Jestem zwolennikiem lipca, lipy (tilia), lipcowego miodu (wg dawnych wierzeń jest on niebiańską rosą spijaną przez pszczoły), lipowego kwiecia. Lipa oznacza szczęście, rzadko trafiają w nią pioruny, przynosi prorocze sny z doskonałym wypoczynkiem. Była zawsze drzewem słowiańskim i rosła zazwyczaj w samym środku świętych gajów, noszono do niej dary: masło, mleko, sery - dla zapewnienia zdrowia rodzinom. W rytuałach używano gałązek lipowych jako kropielnic. W trakcie szerzenia wiary chrześcijańskiej łączono nieraz lipę z kultem Maryjnym, z Bogurodzicą. Stąd też lipy wskazują z dala święte miejsca kaplic i krzyży. Ścinanie lipy było naganne, nie należało też palić nią w piecach. Spotkamy ją w nazwach: Lipowa (Libawa), Lipin, Lipnik (gaj lipowy), Lipowa, Lipsk, Lipsko, Lipowiec... Z lipiny zaś, "drzewa lipowego zdatnego dla stolarzów, sznicerów" (to Linde z niemiecka lipowy) rzeźbią twórcy nie tylko ludowi, figury Wita Stwosza też są lipowe. Podobnie podbeskidzkie kołyski. Albo trumny, zwłaszcza dla młodych, zapewniające im spokojną wieczność...

Jestem z nauczycieli Podbeskidzia. Pokolenie młodych nauczycieli z przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych podążało w dwóch przeciwnych kierunkach: jedni szli w dół Olzy za "głosem ludu", inni, doświadczeńsi, przymykali do gór. Gdyby zatem zmierzyć stopień góralskości w naszych żyłach, to moja góralskość z chłopskich Boconowic może okazać się genetycznym obciążeniem; góralskość wspominanego tu Bronka Procnera zaś, urodzonego pomiędzy Łąkami a Stonawą, jest faktem świadomego wyboru, zatem dorosłego już wchodzenia w góry, dawniejszego (w rodzinnej pamięci) i teraźniejszego, zatem "na szerszym okręgu świata". Czy wtenczas rozmijaliśmy się po drodze, ja z jabłonkowskich Mostów do Hawierzowa i Czeskiego Cieszyna, on zaś na zacne Ondrasze w łomniańskiej dolinie? Niekoniecznie. Nasze pozostawanie i nabywanie ulotności powiązało nas dozgonnie, jako że góry beskidzkie to także sposób, czyli rodzaj widzenia, filozofowania, gustu, pewności w sercu i w ręku...

WŁADYSŁAW SIKORA

cdn.

Z OSÓWEK DO SUCZAWY, CZYLI Z ZAOLZIA NA BUKOWINĘ cz. I

Na początku było...

Skromny folderek z karwińskiej wystawy w Bibliotece Regionalnej i kilka zdjęć. Grudniowy wieczór 2004 roku. Przyjemna atmosfera w kręgu przyjaciół zebranych w pewnym bardzo gościnnym białostockim domu. Już doprawdy nie wiem, kto wpadł na pomysł, by obrazy inspirowane Bukowiną wystawić w tym właśnie miejscu, które stanowiło dla nich inspirację. Pomysł... i słowo. A później kilka miesięcy wytężonej pracy. Głównie wieczorami i w każdej wolnej chwili - szkice, pomysły, próby, poszukiwania. Chwile radości i zwątpienia, nadziei i niepewności. Powstało dwadzieścia kilka nowych prac. Teraz tylko starannie dobrać jeszcze trochę starszych, skomponować to wszystko w całość, zaprojektować zaproszenie, folder, zapakować. Dograć sprawę transportu i kilkanaście innych szczegółów... I już!

Podróż

Słoneczny ranek ostatniego czerwcowego dnia. Pierwsze urodziny córki, a tu tylko krótkie "Pa", trzaskają zamykane drzwi i wyruszamy w drogę pełną przygód - do Rumunii. Pod ręką mapa samochodowa, komórka i aparat fotograficzny z zapasowymi akumulatorkami. W bagażniku fordzika oprócz plecaków, śpiworów i ... jedzie też prawie pięćdziesiąt obrazów. Ale o nich... psst! Cichutko, po co drażnić celników.

Pierwszy etap podróży, który można nazwać rozgrzewką, prowadzi nas na Słowację. Kilka kilometrów za przejściem granicznym pogoda się zmienia. Niebo zaciąga się chmurami, ale nie pada i jest stosunkowo ciepło. W takim chmurkowatym nastroju przejeżdżamy pod Tatrami, zahaczamy o Lewoczę - ratusz na żywo, dzieła Mistrza Pawła na reprodukcjach w kiosku. Mijamy majestatyczną sylwetkę Zamku Spiskiego. Drobny postój w Preszowie i dobijamy do celu. Czeka na nas gościnny dom pod Kassą, czyli Koszycami. Gospodarze - Jana i Tomasz - lalkarze z "Maškrty" witają nas ciepło i serdecznie, częstują przepyszną kolacją. Ta wywołała we mnie skojarzenia z nazwą teatrzyku, który autorsko prowadzą. Przy kieliszku dobrego greckiego Ouzo na masywnym stole w jadalni przygotowywana na osówczańskim odludziu wystawa ma swą prapremierę. Komentarze publiczności, wymagającej - bo zaangażowanej na co dzień w twórcze sprawy i obytej w świecie, są przychylne i szczere. Rozmowa przetacza się z tema-

tu na temat. Robi się tak jakoś swojsko i bardzo przyjemnie, lecz długa droga jeszcze przed nami, więc pora spać. Żegnamy się już teraz, by rano nie pogłębiać zamieszania, które towarzyszy zazwyczaj odjazdowi. Pożegnanie bez pompy, lecz wylewne, czuje się falę wzajemnej sympatii, która będzie jeszcze długo grzała serca i myśli. I na pewno zaowocuje jeszcze kiedyś w przyszłości.

Słońce wita nas uśmiechnięte, jasne. My - na skróty do najbliższego przejścia granicznego Sátorajla.... Ale trudny ten węgierski. Sławka - spokojna, skupiona, prowadzi bezpiecznie i lekko. Na tylnym siedzeniu Weronika i Futrzak = Kuba smacznie odsypiają wczesną pobudkę. Obudzi ich dopiero głód i wtedy zatrzymamy się na postój i śniadanko. Przed nami krótki skok przez Węgry. Drogi wydają się wąskie, miniaturowe. Ale to tylko wrażenie.

Miasteczka i wioski ładne, uporządkowane. Szeregi domków z ogródkami proste, a nawet ascetyczne. Płasko, a wokół pola, ogrody i winnice. Diesel mruczy swą monotonną piosenkę, a Rumunia coraz bliżej.

Petea. Odprawa celna szybka, grzeczna i nawet sympatyczna. Zaproszenie z muzeum i inne papierzyska związane z planowaną wystawą i przewożonymi pracami okazują się niepotrzebne. Celnik, przeglądając paszporty, życzy nam miłego pobytu. Ruszamy. Przed nami jeszcze około 400 kilometrów drogi przez górki i ...."dziurki". Wyprzedzając trochę zdarzenia i fakty, muszę stwierdzić, że dopiero w czasie opisywanego tu pobytu zrozumiałem w pełni stary dowcip, który po raz pierwszy usłyszałem przed trzema laty:

"Po czym poznamy, że rumuński kierowca jest pijany?

Po tym, że jedzie prosto!"

Czyli nie dba o dziury i zawieszenie własnego samochodu. Chociaż w tym roku ministerstwo komunikacji wydało oświadczenie, że stan dróg uległ w 50% poprawie. Głównie za sprawą tego, że dwie mniejsze dziury połączyły się w jedną większą. Ale żarty - żartami. Gwoli sprawiedliwości muszę dodać, że, przejechawszy około 2000 km po rumuńskich drogach, spotkałem się również z odcinkami bardzo dobrymi. Pośrednio ten dowcip wskazuje jednak na jeszcze jedną sprawę, którą warto sobie uświadomić, wyjeżdżając do tego bardzo ciekawego i pełnego niespodzianek kraju: Rumunia jest krajem kontrastów. Doświadczałem tego w czasie tych trzech tygodni nieraz.

Pierwsze kilometry na terytorium Rumunii to kilka kółeczek po uliczkach Satu Mare w marnym poszukiwaniu właściwego drogowskazu. Nos w mapie. A na papierze wszystko proste i jasne. Dojeżdżamy i odbijamy w lewo, w kierunku granicy z Ukrainą. Z opresji wydostał nas sympatyczny mężczyzna w kombinezonie roboczym. Odręcznie rysuje na skrawku pa-

pieru drogę, uzupełniając gesty krótkimi uwagami typu: links, rechts, links... Podziałało to jak zaklęcie, poskutkowało. Wydostaliśmy się z labiryntu uliczek na drogę numer 19. Ta prowadzi nas w region Maramuresz. Tak oto odbyłem chrzest w roli nawigatora, z której później wywiązywałem się coraz lepiej. Rumuńskie drogi są specyficzne nie tylko z powodu nawierzchni, ale pod wieloma innymi jeszcze względami. Na przykład tego, co się na nich dzieje, co można na nich spotkać, jak są oznakowane. Do widoku wszechobecnych "daczek", starych i nowych, o różnym kolorze i stopniu zużycia, przyzwyczajamy się szybciutko. To najpopularniejszy chyba samochód w Rumunii. Zresztą nie tak dawno na polskich czy czeskich drogach też przeważały "maluchy" i "szkodóweczki". Podobnie jak z samochodami rzecz ma się z zaprzęgami konnymi. Futrzak dla zabicia czasu postanowił policzyć, ile furmanek spotkamy po drodze do Suczawy. Jednak po godzinie jazdy dał za wygraną i zrezygnował. Naliczył ich 79. W tej materii też oczywiście istnieją wyjątki. Wóz ciągnięty przez parę wołów lub osiołka jest rzadkością. Pomimo problemów w Satu Mare drogi w Rumunii są oznakowane raczej solidnie. Moją uwagę absorbowały od samego początku kamienie przydrożne, które bardzo dokładnie podawały odległości tak do najbliższej większej miejscowości, jak też do tej odleglejszej. Na czerwonej czapie takiego słupka - menhiru - widniał numer drogi, po której się jedzie. Praktyczne i pomocne w nawigowaniu.

Wrócę teraz do wzmianki o kontrastach. Wspinając się na pierwsze górki, przejeżdżamy przez miejscowości Certeze i Huta Certeze. Drogę po obu stronach okalają piętrowe rezydencje - owszem, wystawne, pokazowe, ale kiczowate. Płoty z polerowanych różnokolorowych marmurów lub stali nierdzewnej wymyślnie powyginanej, miedziane dachy, szkło, baseny, balkony... A za nimi lub kawałek dalej przycupnięte i zbiedzone zębem czasu typowe drewniane obejścia. W taki sposób ci, którzy dorobili się za granicą, dają znać o swoich możliwościach.

Obecnie droga prowadzi nas wzdłuż granicy z Ukrainą. Lasy, serpentyny. Domyślamy się, że tam, kawałek dalej za tą kępą zarośli, płynie Cisa. Na horyzoncie z lewej migają dachy ukraińskich wsi i miasteczek. Przed nami pierwszy wielki cel dzisiejszego dnia - Săpânța. Wieś w Maramuresz, która zasłynęła na całym świecie dzięki szczególnemu zabytkowi, który jest określany mianem *Cimitirul Vesel* lub ewentualnie z francuska *le gai cimetiere*. Czyli po polsku chodzi o "wesoły cmentarz". Ta atrakcja leży w samym środku wioski. Bogato rzeźbione i malowane krzyże nagrobne zafascynują nie tylko miłośnika sztuki naiwnej. Oglądając awers krzyża, rzuca nam się w oko rzeźbiony obraz, który najczęściej pokazuje nam "portret zawodowy" zmarłego. Na odwrocie najczęściej widać okoliczności, w jakich odszedł ze świata doczesnego. Te ikonograficzne cudeńka są dodatko-

wo uzupełnione wyciętymi pod obrazkami epitafiami. Ich teksty z dużą dozą humoru opisują życie spoczywającej tu osoby. To wszystko dodatkowo udekorowane typowymi dla folkloru regionu Maramureszu motywami. Krzyże są wykonane z drewna, gdyż to podstawowy materiał, z którym i z którego miejscowi ludzie żyją. Specyficzny klimat tego miejsca potęguje dominujący na krzyżach-nagrobkach jasnogranatowy kolor. Wywołuje w zwiedzających wrażenie niebiańskości. Może kiedyś ten *albastru din Săpânța* dorówna sławą "błękitowi woroneckiemu"? Pierwsze krzyże powstały w 1935 roku. Ich autor Ioan Stan Pătraș tworzył je aż do swej śmierci w roku 1977. Zdążył za życia wykonać własny krzyż nagrobny i wychować swego następcę - Dumitru Popa. Tak więc i współcześnie "wesołych nagrobków" przybywa. Polecam wszystkim, by zwiedzili ten unikatowy zbiór dzieł sztuki ludowej. Jakby nie dość na tym, w wiosce powstaje jeszcze jeden rarytas, tym razem dla miłośników budownictwa drewnianego. Trochę w bok od głównej drogi rodzi się kompleks klasztorny, którego główną świątynię - cerkiew w stylu marmaroskim - zdobi najwyższa drewniana wieża w Rumunii.

Pora już ruszać. Dojeżdżamy do Sygietu, historycznego ośrodka regionu. Chwila wahania. Skręcamy na lokalną drogę biegnącą wzdłuż rzeki Izy w kierunku miejscowości Bogdan Vodă. Po drodze mijamy szereg przepięknych monastyrów, ale mnie zauroczyły niezwykle okazałe i nadzwyczaj ozdobne bramy, które strzegły wejścia na podwórka przyległych domów. Każda z bram to majstersztyk ludowego rzeźbiarstwa, ludowej architektury. Począłem zastanawiać się nad fenomenem zdobienia, dekorowania... Kilka zdjęć. Od miłej pani w przydrożnym straganiku kupujemy przepyszne drożdżowe bułki i pędzimy dalej, bo przed nami jeszcze wysokie góry i ładnych kilkadziesiąt kilometrów.

Ponownie pod kołami główna droga. Przejeżdżamy przez miasteczko Borșa. Tuż za jego granicami droga zaczyna się piąć coraz bardziej stromo. Napotykamy na ciekawy znak drogowy, który zwięźle informuje, iż na odcinku najbliższych 24 kilometrów spotkamy dużo zakrętów. Dodam, że czekały na nas jeszcze dziury i owce, ale o tych już mowy na lekko podniszczonej tablicy nie było. Mozolnie i zygzakiem wspinamy się na przełęcz Prislop (1416 m n.p.m.). Zatrzymujemy się na krótki postój, by rozprostować nogi, nabrać w płuca rześkiego powietrza i zachłysnąć się panoramą Gór Marmaroskich i Gór Rodniańskich. Na horyzoncie widać nawet jakieś dwutysięczniki. Ach.... aż chce się zamienić samochód za plecak! Kilka metrów od samochodu położył się duży biały pies. Nie wiadomo, kiedy i skąd się tu wziął. Może pilnuje przełęczy? Faktem jest, że w Rumunii błąka się mnóstwo bezpańskich psów i trzeba uważać. Zwłaszcza, jeżeli są w grupie. Ten samotnik spogląda na nas ze znudzeniem. Jedynie resztki bułki, które podrzucili mu Weronika z Futrzakiem, zmusiły go do zmiany pozycji. Sielankowy widok

psuje jedynie betonowy obelisk i niedokończona cerkiew. Przełęcz jest granicą kotliny Maramuresz i Mołdawii. Trudno też sobie obecnie wyobrazić, że z tego właśnie miejsca do dawnej granicy z Polską - chodzi tu zarówno o I, jak i II Rzeczpospolitą - było tylko 15 km!

Po drugiej stronie przełęczy powtórka z rozrywki. Z mnogości serpentyn można dostać kręćka, ale za to widoki... zapierają dech w piersiach. Droga prowadzi przez las i schodzi w dolinę Złotej Bystrzycy - Bistrita Aurie. Wjeżdżamy na Bukowinę. Hura! Ostatnie kilometry, równie urokliwe jak poprzednie, prowadzą przez malownicze grzbiety gór, przełęcz Mestecăniş, doliny, osady, wsie i miasteczka. To wszystko zalane pozłotą zachodzącego słońca. Kiedy wjeżdżamy do Gura Humorului, Paltinoasy, to odżywają wspomnienia z okresu poprzedniej wyprawy do Rumunii. Zmęczenie daje jednak znać o sobie. Na szczęście cel coraz bliżej. Ulga.

WŁADYSŁAW KUBIEŃ











Fot. WŁADYSŁAW KUBIEŃ

SESJA W WIŚLE

W Muzeum Beskidzkim w Wiśle w ramach imprez towarzyszących tegorocznego 42 Tygodnia Kultury Beskidzkiej Filia UŚ w Cieszynie wraz z Euroregionem Śląsk Cieszyński zorganizowała sesję popularnonaukową na temat „Podania i legendy Śląska Cieszyńskiego po obu stronach Olzy". Sesja ta zbiegła się z poplenerową wystawą grafiki i malarstwa studentów i pracowników Instytutu Sztuki UŚ „Mitologie Ziemi Cieszyńskiej". W czasie sesji wystąpił prof. dr hab. Krzysztof Wrocławski z UW, dr hab. prof. Zygmunt Kłodnicki z UŚ, dr Janusz Spyra z UŚ oraz kierownik Muzeum Beskidzkiego mgr Małgorzata Kiereś, mgr Agnieszka Bielesz i Michał Kowulok z Wisły. Jan Szymik, członek Sekcji Ludoznawczej przy ZG PZKO w Czeskim Cieszynie, przedstawił sylwetkę Józefa Ondrusza, zbieracza i badacza podań i legend Śląska Cieszyńskiego. Wszystkie przedstawione i awizowane prace mają być opublikowane we wspólnym tomie wydanym przez Filię Uniwersytetu Śląskiego pod redakcją Lesława Werpachowskiego.

ROMAN CHOWANIEC



DOŻYNKI

Tak się w tym roku złożyło, że tradycyjne dożynki, niezwykle popularne nie tylko wśród mieszkańców miejscowości, w których są organizowane, odbyły się w dniach 27 i 28 sierpnia. Na sobotnie święto plonów zaprosili wielbicieli tych imprez pezetkaowcy z Oldrzychowic, Błędowic i Orłowej Lutyni.

Niezwykle atrakcyjne były dożynki w Oldrzychowicach, na co złożyło się wiele czynników, a więc pogoda sprzyjająca biesiadowaniu pod gołym niebem, atrakcyjny program artystyczny w wykonaniu zespołu Oldrzychowice pod kierownictwem Romana Grycza, gościnni gospodarze uroczystości Zbigniew i Janina Steblowie, a przede wszystkim miejsce, w którym się to odbyło. Bez wątpienia to jeden z najpiękniejszych zakątków pobudzający do wspomnień, dzięki pieczołowitej rekonstrukcji starego oldrzychowickiego "fojstwi", którego dokonali obecni właściciele obiektów – tegoroczni gospodarze dożynek. Trudno sobie wymarzyć lepsze miejsce do dożynkowego obrzędu i biesiadowania w otoczeniu starych drzew, stawów i dzikich kaczek.

W Błędowicach okolicznościowe widowisko opracowane choreograficznie przez Dagmar Owczarzy i Marcina Pisulę zaprezentowali



Fot. FRANCISZEK BAŁON

członkowie zespołu Błędowianie i kapeli Kamraci. Gospodarzami dożynek byli Ewa i Jerzy Bilanowie.

Gospodarzami dożynek w Orłowej Lutyni byli Danuta i Bogusław Chwajolowie. W ogrodzie Domu PZKO zaprezentowały się zespoły Skotnica i Skotniczka oraz gościnnie zaprzyjaźnione z MK PZKO w Orłowej Lutyni zespoły z Polski – chór Johanki oraz zespół muzyczny Standard z Niewiadomia.

W niedzielę odbyły się Dożynki Śląskie w Gutach. Mimo niesprzyjającej aury jak zwykle przybyło tu wielu gości, bowiem tutejsze dożynki mają swoich wiernych sympatyków nie tylko na Zaolziu, toteż nikogo już nie dziwią stojące tu co roku na parkingu autokary z Polski. Tak było i teraz. A trzeba przyznać, że nawet deszcz nie popsuł humoru gościom, którzy pod parasolami oglądali bogaty program artystyczny. Dożynkowy obrzęd zaprezentował zespół Oldrzychowice, przekazując dożynkowy wieniec tegorocznym gospodarzom Józefowi Szymeczkowi, prezesowi Rady Kongresu Polaków i jego narzeczonej Andrei Wałach. W programie zaprezentowali się także zespół Bystrzyca, chór męski Grónie z Wisły i orkiestra Jablunkovanka.

E.S.











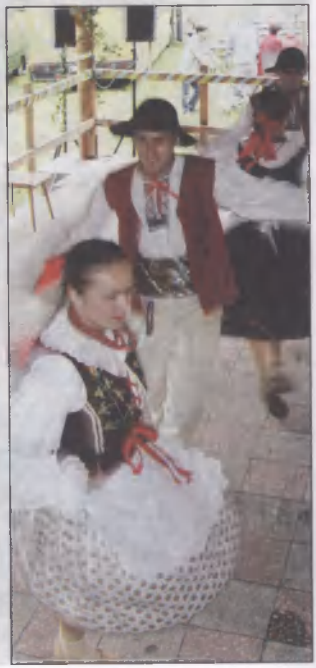




Fot. FRANCISZEK BAŁON


GUTY















Fot. FRANCISZEK BAŁON

GRANICE WYTYCZANE SŁOWAMI

"Granice wytyczane słowami. Konflikty na Śląsku Cieszyńskim w świetle literatury politycznej (1848–1947)" to tytuł wystawy w Książnicy Cieszyńskiej czynnej od 8 lipca do 27 października 2005. Jest to wystawa bardzo ciekawa i potrzebna. Ciągle jeszcze nie znamy całokształtu stosunków narodowościowych i wyznaniowych na Śląsku Cieszyńskim. Znamy je jednostronnie, bądź z punktu widzenia polskiego lub czeskiego, bardzo mało z punktu widzenia niemieckiego (austriackiego).

Wspomniana tu wystawa to swoisty przełom w przedstawianiu tych skomplikowanych spraw. Ukazuje bowiem szeroki wachlarz wzajemnych kontaktów miejscowej ludności śląskiej: polskiej, niemieckiej i czeskiej; kontaktów rzadziej przyjaznych, częściej wrogich, zwłaszcza na początku XX wieku, w okresie plebiscytu oraz w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej.

Zwiedzający w piętnastu gablotach znajdzie udokumentowane świadectwa (dokumenty, druki okolicznościowe, ulotki, broszury, książki itd.) tego, jak kształtowały się (współpraca, rywalizacja i walka) odrębne światy poszczególnych grup narodowych, żyjących na tym skrawku ziemi. Kto i kiedy optował za niemieckością, jak kształtował się polski ruch narodowy, jakie w Cieszynie były polskie i niemieckie towarzystwa kulturalno-oświatowe i gospodarcze. Można tu również znaleźć świadectwa rozbicia polskiego ruchu narodowego w wyniku sporów religijnych między katolickim Związkiem Śląskich Katolików, a ewangelickim Politycznym Towarzystwem Ludowym.

Są też na wystawie dokumenty ilustrujące tendencje niemieckiej partii liberalno-demokratycznej i Śląskiej Partii Ludowej. Są materiały o polskich tak zwanych "frysztackich radykałach" z ich organem Głos Ludu Śląskiego, którzy swym radykalizmem przyczynili się do zaostrzenia stosunków polsko-czeskich itp.

Sporo miejsca poświęcono polskim i czeskim drukom z czasów plebiscytu w latach 1918–1920, sytuacji na Zaolziu w okresie międzywojennym oraz w latach 1945–1947.

Niech mówią za siebie tytuły krótkich opracowań w poszczególnych gablotkach: "Korzenie ruchów narodowościowych na Śląsku Cieszyńskim", "Słowiańskie więzi", "Formowanie się stronnictw politycznych", "Liberałowie i ślązakowcy", "Skrajne skrzydło: nacjonaliści i socjaliści", "Struktura ludności według statystyki", "Lata przełomowe 1918–1920", "Literatura polityczno-propagandowa narzędziem walki w sporze polsko-czeskim", "Ulotki podstawową bronią propagandy plebiscytowej", "Poezja i ikonografia w propagandzie plebiscytowej", "Zmienne losy i granice: 1920–1945" itd.

Wystawa "Granice wytyczane słowami" ilustruje długi i skomplikowany okres naszych dziejów, i co najważniejsze, czyni to w sposób obiektywny i kompleksowy, na ile pozwalają na to warunki ekspozycji. Oby stała się inspiracją do solidnego socjologiczno-historycznego opracowania tego tematu, pozwalającego lepiej zrozumieć naszą przeszłość. Trudną, bo trudną, chociaż nie aż tak tragiczną, jak miało to miejsce na innych rubieżach i pograniczach Europy.

KAZIMIERZ JAWORSKI

WYSTAWA O DZIAŁALNOŚCI PZKO W HAWIERZOWIE

W ramach obchodów jubileuszowych pięćdziesięciolecia miasta Hawierzowa zorganizowana została w galerii Spirala wystawa nazwana „PZKO w Hawierzowie". Opowiada o działalności kulturalno-oświatowej Miejscowych Kół PZKO na terenie Hawierzowa, o zespołach tanecznych, śpiewaczych, muzycznych, teatralnych, o pracy z młodzieżą, inicjatywach sportowych itd. Podczas wernisażu, który odbył się 23 sierpnia br., a na którym wśród gości oficjalnych nie zabrakło prezydenta miasta Milady Halíkovej, przewodniczącego komisji kultury Rady Miasta Milana Nogola i prezesa ZG PZKO Zygmunta Stopy, przewodniczący Komitetu Miejskiego PZKO w Hawierzowie Oswald Siwek podkreślił, że jest to pierwsza tego rodzaju ekspozycja w prawie sześćdziesięcioletniej historii PZKO w tym mieście. Wyrazy podziękowania złożono przede wszystkim na ręce Tadeusza Nierostka za przygotowanie materiału faktograficznego do wystawy, opracowanie tekstów i wybór zdjęć. Opracowania graficznego dokonał Marek Chmiel, instalację ekspozycji przeprowadziła agencja reklamowa Radian.

(red)

RODZINA KATYŃSKA W WARSZAWIE

Stowarzyszenie Rodzina Katyńska w RC dzięki dofinansowaniu Stowarzyszenia Wspólnota Polska odbyło 6 i 7 września br. wycieczkę do Warszawy i Pułtuska. Trzydziestoosobowa grupa podczas pobytu w Polsce spotkała się w siedzibie Wspólnoty Polskiej z jej prezesem prof. Andrzejem Stelmachowskim, zwiedziła Wilanów, fragment Łazienek i warszawską Starówkę oraz Dom Polonii w Pułtusku, gdzie również spędziła noc.

Prof. Stelmachowski w rozmowie z naszą Rodziną Katyńską wyraził

uznanie dla jej członków, którzy zachowują i kultywują pamięć o ofiarach zbrodni dokonanej przez oprawców sowieckich na oficerach polskich. Natomiast szef środowiska zaolziańskich Katyniaków Józef Pilich podziękował profesorowi za serdeczny stosunek Wspólnoty Polskiej, który umożliwia powstałej w 1991 roku Rodzinie Katyńskiej lepiej i skuteczniej wypełniać zadania statutowe.

Według prezesa Pilicha do Stowarzyszenia Rodzina Katyńska w RC początkowo należało około 150 osób. Z czasem jednak baza ta zaczęła maleć. Kiedy bowiem okazało się, że nie można liczyć na żadne odszkodowanie ze strony rosyjskiej, wiele osób zrezygnowało z członkostwa. Inni członkowie odchodzili ze względu na podeszły wiek i choroby. Obecnie Rodzinę Katyńską tworzy niespełna 80 osób w wieku emerytalnym. Z tym, że aktywnością wykazuje się przeszło połowa tego gremium.

Rola Stowarzyszenia to także utrwalanie i szerzenie wiedzy o mordzie katyńskim, dziś choćby poprzez pogadanki dla uczniów w szkołach i w Kołach PZKO, które ilustrowane są filmami. Pierwszym efektem działalności Rodziny Katyńskiej było zorganizowanie kwesty na sfinansowanie płyty i urny z ziemią katyńską, które umieszczono na pomniku na czeskocieszyńskim Konteszyńcu. Zaolziańska Rodzina Katyńska utrzymuje również kontakty z Rodzinami Katyńskimi w Polsce oraz innymi instytucjami pamięci narodowej.



Prezes Józef Pilich podkreśla, że do Rodziny Katyńskiej mogą należeć nie tylko potomkowie ofiar Katynia, Miednoje i Ostaszkowa, lecz każdy, komu ta problematyka jest bliska i jest przekonany, że pamięć o Polakach zamordowanych na nieludzkiej ziemi należy kultywować.

KAZIMIERZ SANTARIUS

Przed pierwszym obiadem w warszawskiej siedzibie Wspólnoty Polskiej uczestnicy wycieczki naszej Rodziny Katyńskiej sprawili szefostwu, państwu Marcie i Józefowi Pilichom, niespodziankę, urządzając im na dziedzińcu małe przyjęcie z okazji ich... rocznicy ślubu. Uroczystość celebrował Tadeusz Filipczyk. Znalazły się kwiaty i kieliszki. Nie obyło się bez gromkiego "Sto lat".

Fot. KAZIMIERZ SANTARIUS

ŚWIĘTO ŹRÓDŁA

Jak co roku 9 września przybyli pod Gańczorkę do jednego z siedmiu źródeł rzeki Olzy uczestnicy zaolziańskiej wycieczki zorganizowanej przez Zarząd Główny PZKO. W czerwcu do źródła Olzy pojechali rowerzyści, we wrześniowej wyprawie mogły wziąć udział także osoby o gorszej kondycji, mniej sprawne fizycznie. Tak się przynajmniej wydawało na początku.

Piękna pogoda sprawiła, że autobus, który z dworca w Nawsiu miał zawieźć wycieczkowiczów do przejścia granicznego w Bukowcu, ledwo pomieścił wszystkich chętnych. Za granicą w Jasnowicach czekały na turystów dwa autobusy. Pomysłodawca akcji Władysław Kristen wyjaśnił, że mniejszy z nich zawiezie chętnych na Stecówkę, należącego do Istebnej przysiółka z drewnianym kościółkiem Matki Boskiej Fatimskiej, a stamtąd trudniejszym do pokonania szlakiem dojdą do źródła Olzy. Drugi autobus jechał przez Koniaków na Koczy Zamek, wzniesienie, z którego rozciąga się piękny widok na panoramę otaczających go wzgórz. Stąd część turystów na czele z prezesem ZG PZKO Zygmuntem Stopą udała się autobusem pod Gańczorkę, by piechotą pokonać potem tylko niezbędny ostatni etap drogi do źródła, zaś druga część grupy przez Przełęcz Koniakowską po niebieskim szlaku na własnych nogach okrążyła wzgórze Gańczorki. Po spotkaniu wszystkich trzech grup





Fot. CZESŁAWA RUDNIK

uczestników wycieczki przy źródle okazało się, że żadna z tras nie była łatwa do przebycia, albowiem szalejące wcześniej także w Beskidach wichury dosłownie rzuciły turystom kłody pod nogi. Powyrywane z korzeniami drzewa zatarasowały szlaki. Trzeba było przeskakiwać przez duże pnie, przedzierać się między gałęziami. Niedaleko źródła robotnicy leśni pracowali przy zwózce drewna, pomagały im konie, ale w niektórych miejscach nie zdążyli jeszcze oczyścić ścieżek.

Mimo tych niezaplanowanych przeszkód wszyscy uczestnicy wycieczki pod hasłem Święto Źródła szczęśliwie dotarli na miejsce. Przedstawiciel gospodarzy – gminy Istebna – powitał orzeźwionych czystą źródlaną wodą turystów, młody góral zadął w róg pasterski, akompaniował potem także rozśpiewanym Zaolziakom na akordeonie. Rozpoczęto oczywiście od pieśni "Płyniesz Olzo", do której Władysław Kristen dopisał dziesiątą zwrotkę, rozpoczynającą się od słów: *I usiądzie przy twym źródle dumać nad przyszłością*. Wysłuchano gawędy Władysława Kristena o Olzie, Irena Małysz przeczytała wiersz Władysława Strzondały o źródłach Olzy. Bawił też obecnych dowcipami, opowieścią o Olzie i wierszem o bliskich sobie górnikach Józef Chmiel. Zaś na zakończenie wycieczki, tak samo jak po każdym jej etapie, na dworcu kolejowym w Nawsiu zabrzmiał głos jego trombity.

C.R.



Fot. CZESŁAWA RUDNIK

BIBLIOTEKA FRYSZTACKA W NOWEJ SZACIE

14 września br. odbyło się w budynku karwińskiej Biblioteki Regionalnej przy fryszłackim rynku uroczyste otwarcie zrekonstruowanych i nowo wyposażonych wnętrz Oddziału Literatury Polskiej oraz Oddziału Muzyki i Sztuki. Remont odbywał się w kilku etapach i trwał trzy lata. Odnowione sale przyszli obejrzeć najwyżsi przedstawiciele władz miasta z wiceprezydent Gabrielą Mrózek na czele. Przywitała ich dyrektor Biblioteki Regionalnej Halina Molin. Krótki program kulturalny wykonali pracownicy biblioteki. Kierownicy oddziałów biblioteki fryszłackiej Helena Legowicz i Petr Ženč zaznajomili obecnych z ofertą usług i oprowadzili po bibliotece. W holu można było obejrzeć zainstalowaną tu wystawę prezesa Polskiego Stowarzyszenia Artystów Plastyków Dariny Krygiel.

C.R.

SKRZECZOŃSKI CHÓR HASŁO W SEZONIE 2004/2005

Po wakacyjnej przerwie chór mieszany Hasło działający przy Miejscowym Kole PZKO w Skrzeczoniu rozpoczął przygotowania do kolejnego już 79 sezonu swojej działalności.

Pierwsza próba przebiegła w uroczystym nastroju, bowiem kierownik organizacyjny zespołu Stanisław Górniok w imieniu wszystkich chórzystów złożył dyrygentce Irenie Szelidze serdeczne gratulacje z okazji ukończenia pięcioletniego studium dyrygentów chórów polonijnych w Koszalinie, które organizowało Stowarzyszenie Wspólnota Polska. Irena Szeliga złożyła 21.7.2005 przed komisją egzaminacyjną egzamin końcowy z dziedziny chóralistyki z wynikiem bardzo dobrym. W bieżącym roku spośród 30 uczestników dziewięciu zdobyło dyplom z okazji ukończenia studium. Gra-

tulacje złożono także chórzystom, którzy obchodzili urodziny w okresie wakacyjnym, a zwłaszcza długoletniemu chórzyście, wiceprezesowi Koła Bogusławowi Czapkowi, który miał abrahamowiny.

W sezonie 2004/2005 chór zaliczył 12 występów. Do najważniejszych należą występy podczas Festiwalu PZKO w Trzyńcu oraz podczas uroczystych obchodów 700-lecia Skrzeczonia. W ramach działalności Koła chór śpiewał podczas takich tradycyjnych akcji jak obchody Miesiąca Oświaty, Książki i Prasy, Powitanie Wiosny, festyn ogrodowy, a także na walnym zebraniu. Chór występował z kolędami w Domu PZKO podczas wigilijki połączonej ze spotkaniem z jubilatami Koła oraz w bogumińskim i skrzeczońskim kościele podczas Świąt Bożego Narodzenia, a ponadto w miejscowym kościele podczas odpustu. Chórzyści także godnie pożegnali się ze zmarłymi członkami Koła podczas obrzędów pogrzebowych. W ubiegłym sezonie zorganizowano także dwudniową wycieczkę chóru do Dolnej Łomnej.

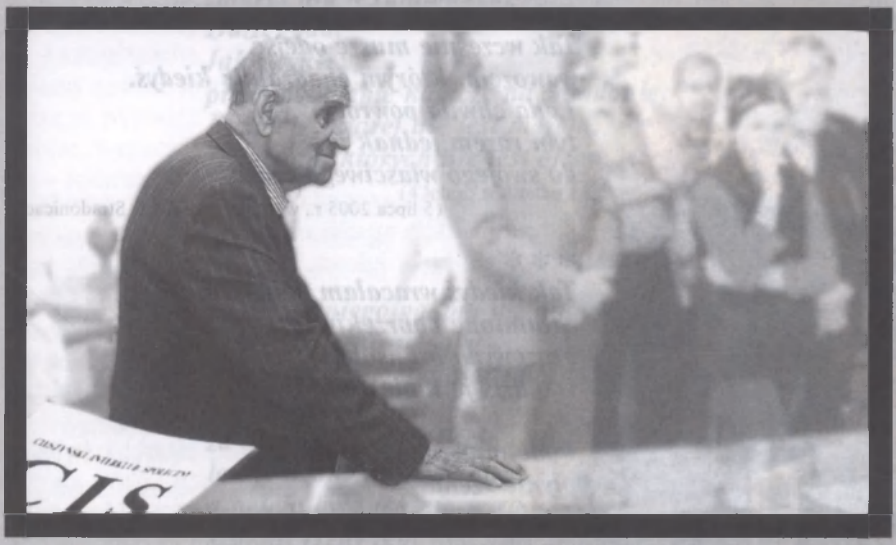
Obecnie chór liczy blisko 30 członków, próby odbywają się w poniedziałki w Domu PZKO. Zastępcą dyrygenta jest Aleksandra Sładeczek, funkcję akompaniatora gościnnie pełni Władysław Rusek z Rychwałdu.

Podczas pierwszej próby powakacyjnej omówiono plan działalności na najbliższą przyszłość, zwłaszcza listopadowy występ chóru w Grodkowie w ramach obchodów Dnia Niepodległości.

D.G.



Fot. TADEUSZ GUZIUR



WŁADYSŁAW OSZELDA (1907-2005)

Są ludzie, którzy tu na ziemi wydają się być nieśmiertelni przez to, że rozsiewają wokół dobro i optymizm. Takim człowiekiem był Władysław Oszelda. Nikt, kto Go znał, nie myślał o tym, że przyjdzie dzień, kiedy zabraknie Go wśród nas.

Mądry i wierny umiłowanemu zawodowi dziennikarza do ostatnich swoich dni. Wszechobecny wszędzie, gdzie działo się coś ważnego. Często zaglądał na Zaolzie, przez długie, długie lata pisywał do Głosu Ludu i Zwrotu. Czytał regularnie nasze zaolziańskie czasopisma, a wieści stąd zaczerpnięte poprzez swój biuletyn CIS przekazywał Polonusom w wielu krajach świata. Ta głęboko zakorzeniona potrzeba wymiany informacji wśród Polonii wynikała z przedwojennych doświadczeń nabytych przez Władysława Oszeldę w Światowym Związku Polaków z Zagranicy. Toteż nie mogło Go zabraknąć w roku 1990 w Rzymie na pierwszym spotkaniu przedstawicieli organizacji polonijnych z Zachodu i Wschodu, a potem na kolejnych dwu Zjazdach Polonii i Polaków z Zagranicy.

Za swą dziennikarską służbę Władysław Oszelda - nestor polskiego i polonijnego dziennikarstwa - uhonorowany był wieloma odznaczeniami, z okazji 95 urodzin najwyższym - Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski z Gwiazdą.

Redakcja



LENKA DAŇHELOVÁ

* * *

Tak wcześnie muszę odejść
wąwozem, którym chadzałam kiedyś.
Lada chwila powrócę,
tym razem jednak już
do swojego właściwego czasu.

(5 lipca 2005 r., w drodze z osady w Stradonicach)

* * *

Tak kiedyś wracałam do domu.
Stłumione pobrzękiwanie
brązowych bransolet
(do dziś je lubię).

Pode mną stale leniwie
płynie rzeka.
I tak samo jak wtedy śledzę
ślad kogoś,
kto wspinał się do bramy przede mną.

(5 lipca 2005 r., w drodze do osady w Stradonicach)

* * *

Cały dzień obszywać zasłony.
Z ulicy głosów słuchać,
z okna nie spojrzeć.
Rozmyślać, czy w tym domu
zdąży mieć jakichś gości.

(20 czerwca 2005 r., Beroun)

* * *

Był piękny wiosenny dzień i cały świat
się śmiał
ptaki na drzewach
pszczoły we włosach
i pierwsza jaszczurka na pniu topoli
i nasze śmieszne śmieszne starania
zatrzymać jakoś utrzymać
wyciekające życie
w rowie pomiędzy polami

(25 marca 2005 r. w drodze autobusem
z Boszina do Kosteleckych Horek)

* * *

Kiedyś ukochana
zmarła mu w ramionach.
Dużo gada.
Jak zwykle
przyniósł ciepłe kołacze na śniadanie.
Kobiecie, której nie jest mężem.
Dzieciom, których nie jest ojcem.

(4 lutego w drodze z Krnowa do Chocni)

* * *

tego ostatniego pokoju już nie opuścił
klucz zabierali ze sobą
emeryci się przyzwyczaili pozdrawiali
ich zawsze pierwsi
za oknem opadały liście
latały wrony prószył śnieg
a potem była ich pierwsza wiosna
szukali rzeki żeby nad nią
mogli usiąść i przeglądać
swoje pierwsze wspólne
wspomnienia tkać
następne sny i niczego oprócz
siebie nie odczuwać

przekład Franciszek Nastulczyk

Wiersze ukazały się w najnowszym numerze kwartalnika kulturalnego Pobocza, wydawanego przez Krajeńskie Stowarzyszenie Kulturalne w Więcborku. Autorka Lenka Daňhelová, ur. 1973 w Krnowie, poetka, tłumaczka z języka francuskiego, włoskiego i polskiego, malarka, pisze wiersze, opowiadania, powieści. W roku 2004 wydała powieść "Cizinci".

JERZY PILCH

INNE ROZKOSZE

(fragment)

Istotnie, gdy Oma kolejny raz powtórzyła, iż ktoś jest w ogrodzie, wszyscy z nadmierną skwapliwością rzucili się do okien.

- Kto! Gdzie! Czuj duch! Zdrada! Zdrada! Łapaj! Trzymaj! Do broni! Huzia na Józia! - krzyczeli, jakby chcieli wszczętym rumorem, okrzykami, odsuwaniem krzeseł wypełnić tak wiele znaczące nagłe zamilknięcie doktora. I nic nie pomogło, że Oyermah nagle odżył, że tubalnym głosem nawoływał, by kontynuować biesiadę, że hamował zapały, że próbował ponownie wznosić toasty, nic nie pomogło.

Mężczyźni narzucili na ramiona palta, zapalono latarki i świece, szukano podręcznego oręża, lasek, parasoli, narciarskich kijków, ojciec Kohoutka wydobywał z dna szafy pistolet gazowy i stary Oyermah, widząc, iż nie da rady powstrzymać pospolitego ruszenia, postanowił objąć zwodnicze, wiodące byle jaką armię na manowce przywództwo.

- Dobrze, panowie oficerowie - Oyermah wstał i narzucił na ramiona ten sam, co prawda, pociemniały, tu i ówdzie pokryty łatami, ale ten sam, wiekuisty ogromny barani kożuch. - Dobrze, panowie oficerowie, ruszymy na plac boju, ale zgodnie z regułami wojennej strategii. Pan, Panie Naczelniku, pozostanie na tarasie i będzie osłaniał tyły. Pan, Panie Inżynierze - tak Oyermah zwracał się do ojca Kohoutka, który był z zawodu mierniczym - ruszy wraz ze swoim browningiem w stronę starej rzeźni, my zaś, wielebny Pastor oraz ja, będziemy powoli obchodzić dom dookoła. Ty natomiast, Kohoutku, idź dołem - Oyermah bardzo stanowczym ruchem pchnął Kohoutka w wyznaczonym kierunku. - Gotowi? Gotowi! - ryknął potwornym, słyszalnym na całej ziemi cieszyńskiej basem Oyermah. - Zabić! Zabić! - krzyknął ojciec Kohoutka. - Nie zabijać, żywcem brać! - odpowiedział doktor i obława powoli pogrążyła się w ciemności.

Kohoutek z walącym jak młot sercem szedł szlakiem wskazanym przez doktora, dobrze znał swojego mistrza, wyczuwał w jego kabotyńskich działaniach rodzaj świadomej strategii i przemyślanej reżyserii, i istotnie, ledwo uczynił kilka kroków, ujrzał ją. Aktualna kobieta Kohoutka stała pod pniem starej jabłoni i najwidoczniej trzęsła się ze strachu i zimna.

– Co ty robisz, kobieto, co ty robisz! – Kohoutek podbiegł do niej. – Błagam cię, poczekaj jeszcze trochę, a wszystko się wyjaśni. Wiesz, jak cię kocham. – Kohoutek schylił się, objął boskie uda swojej aktualnej kobiety i uniósł ją w górę. – Kocham cię nad życie, trzymaj się gałęzi, kocham cię, kocham, podciągnij się jeszcze trochę, jutro się wszystko wyjaśni – szeptał zdyszany Kohoutek – będziemy zawsze razem i nigdy się nie rozstaniemy, wejdź trochę wyżej, tam jest całkiem wygodne rozgałęzienie, kocham cię – powiedział Kohoutek – bardzo dobrze, wypocznij trochę, a jak się wszystko skończy, wracaj do siebie. Kocham cię – spojrzał w górę i istotnie było to chyba dobre schronienie, bo w gęstwinie konarów starej, nigdy nieprzycinanej jabłoni niczego nie było widać. Aktualna kobieta Kohoutka nie odzywała się ani słowem. Kohoutek spojrzał jeszcze raz i, nie widząc nawet cienia, nawet zarysu postaci, odniósł przedziwne wrażenie, że korona starej jabłoni pochłonęła jego aktualną kobietę, że przepadła ona raz na zawsze, że wpierw po gałęziach, potem zaś po powietrznych szczeblach wspięła się na wysokości, z których nie ma powrotu.

– Ho, ho, ho, helo, helo – słychać było z góry ostrzegawcze nawoływania Oyermaha. – Ho, ho, helo, helo, helo – odpowiedział Kohoutek. – "Helo, Helo, Helenko" – śpiewny głos Oyermaha był coraz bliżej. "Helo, Helo, Helenko" – odpowiedział, już nie nucąc, a śpiewając, Kohoutek, z następnym krokiem i następnym oddechem dołączył do ich duetu wyrobiony baryton Pastora. "Helo, Helo, Helenko, jako ci się pasie, Helo, Helenko, Helo". Z mroku wyłonił się ojciec Kohoutka z gazowym pistoletem w garści i, choć to po nim Kohoutek odziedziczył muzyczne nieudolności, również dołączył do śpiewających. "Helo, Helo, Helenko" – cała czwórka śpiewała starą pasterską pieśń i kroczyła przez ogród, który był kiedyś dziedzińcem wielkiej rzeźni. Na tarasie dołączył do nich Pan Naczelnik, potem kobiety wyszły przed dom i wszyscy śpiewali stare cieszyńskie piosenki. Śpiewali "Hej swoboda, swobodziczka", "Ojcowski dom", "Płyniesz, Olzo, po dolinie", śpiewali "Kolinie, Kolinie", śpiewali "Pognała wołki" i "Tam, gdzie Czantoria". A kiedy zaczęli śpiewać "Wczoraj była niedzieliczka", Oyermah, który czuł się tu jak u siebie, nie przerywając śpiewu, zniknął w domu i po chwili pojawił się na tarasie z tacą, na której stały kieliszki i butelka gorzałki, i, śpiewając "Wczoraj była niedzieliczka, dzisiaj smutny dzień, rozbolała mnie głowiczka na cały tydzień", jął rozlewać gorzałkę i, nie przerywając śpiewu, jął przepijać do wszystkich śpiewających, i wszyscy, śpiewając, wychylali kielich za kielichem, a potem – dalej śpiewając całą masę pożegnalnych pieśni – zaczęli się żegnać, ściskać i całować. "Do widzenia, do widzenia, do miłego zobaczenia" śpiewali i raz jeszcze żegnali się, ściskali i całowali, bo przecież było w tym domu tak, jakby wraz z końcem urodzin Omy kończył się jeden rok, a nazajutrz miał rozpocząć nowy, jakby kończyły się wielkie święta i nadchodziły wielkie święta, jakby niepojęte pierwiastki końca i początku teraz właśnie łączyły się ze sobą.

LECH PRZECZEK

AFORYZMY

- Bezsensowne reguły wymagają wielu wyjątków, które je mają potwierdzić.
- Dopóki nie wiesz, czego właściwie chcesz, trudno ci to osiągnąć.
- Najgorzej bywa, kiedy dobry pomysł zrodzi się w niewłaściwej głowie.
- Stwierdził, że do prania brudnych pieniędzy nie wystarczy mu nawet najnowocześniejsza pralka automatyczna.
- Życie jest grą z niejasnymi regułami i z góry określonym zakończeniem. Mimo to wszyscy bierzemy w niej udział.
- Do zagadek, których nie można nigdy rozwiązać do końca, należy zachowanie kobiety.
- Na scenie politycznej często odgrywają główne role ludzie, którym brakuje talentu nawet do tego, żeby zostać statystami.
- Lepiej być zdolnym do wszystkiego, niż niezdolnym do niczego.
- Kobiety dla jednych się ubierają, a zazwyczaj dla drugich rozbierają.
- Nawet kolosalne głupstwa można czynić z rozmysłem.
- Miał przygotowane odpowiedzi na wszystkie pytania. Nawet na te, których do tej pory nie zadano.
- Zdobywanie doświadczeń przyśpiesza utratę złudzeń.
- Prawdziwy znawca kobiet niekoniecznie musi być równocześnie ich miłośnikiem.
- Wielu ludzi odczuwa wprost piekielną żądzę, by dostać się do nieba.
- Kiedy mądrzejszy zbyt często ustępuje, popełnia głupstwo.

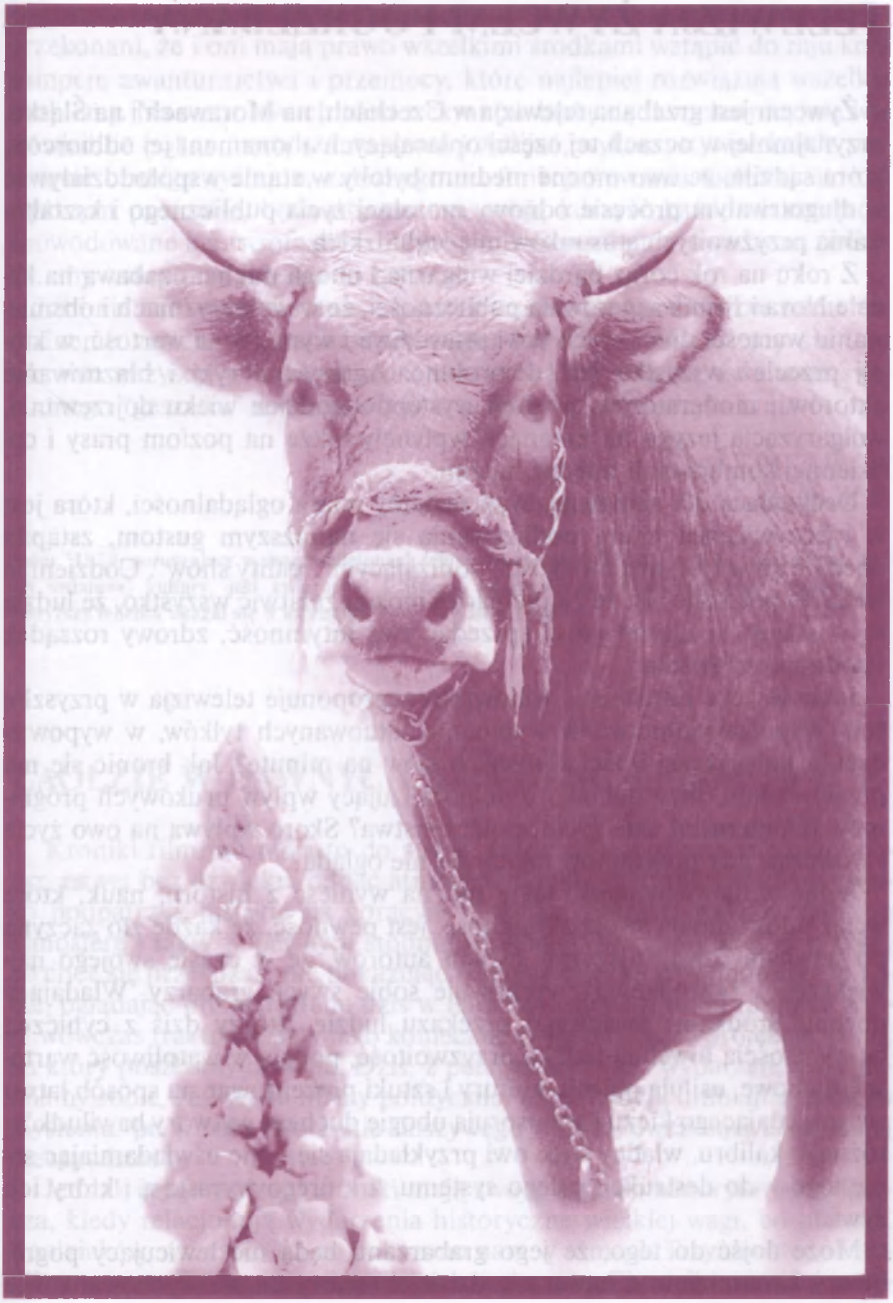


Foto-grafika: FRANCISZEK BAŁON

TELEWIZJA ŻYWCEM POGRZEBANA

Żywcem jest grzebana telewizja w Czechach, na Morawach i na Śląsku, przynajmniej w oczach tej części opłacających abonament jej odbiorców, która sądziła, że owo mocne medium byłoby w stanie współoddziaływać w długotrwałym procesie odnowy moralnej życia publicznego i kształtowania przyzwoitych stosunków międzyludzkich.

Z roku na rok coraz bardziej wulgarna i uboga duchem zabawa na kanale Nova i Prima sugerowała publiczności, że w wulgaryzmach i obśmiewaniu wartości duchowych tkwi prawdziwa i wymarzona wartość, w której przecież wszystko jest dozwolone. Agresywne ryki i błaznowanie aktorów i moderatorów, poziom występów godzien wieku dojrzewania, wulgaryzacja języka na ekranach wpłynęły także na poziom prasy i codziennej komunikacji między ludźmi.

Decydująca dla zamawiających reklamy miara oglądalności, która jest w rzeczywistości miarą podlizywania się najniższym gustom, zstąpiła obecnie ku wyzutym z ludzkości, poniżającym "reality show". Codziennie widzowi pokazuje się, że za pieniądze można załatwić wszystko, że ludzie są w stanie za marny grosz sprzedać swą intymność, zdrowy rozsądek i godność człowieka.

Jakie jeszcze odrażające widowisko zaproponuje telewizja w przyszłości? Współzawodnictwo w wypinaniu tatuowanych tyłków, w wypowiedzeniu największej ilości sprośnych słów na minutę? Jak bronić się ma przeciw temu obywatel, skoro demoralizujący wpływ brukowych programów poprzerastał całe życie społeczeństwa? Skoro wpływa na owo życie i wówczas, gdy programów takich się nie ogląda?

Jedną z niewielu nauk, jakie można wynieść z historii, nauk, które wciąż udowodniają swoją aktualność, jest pewność, że każde zło zaczyna po pewnym czasie niszczyć swoich autorów, że w czasie swojego największego "powodzenia" wychowuje sobie swych grabarzy. Władający obecnie środkami masowego przekazu ludzie, którzy dziś z cyniczną oczywistością niwelują ludzką przyzwoitość, podają w wątpliwość wartości duchowe, usiłują pojęcia kultury i sztuki prezentować na sposób łatwo się sprzedającego kiczu i sponsorują ubogie duchem wytwory bawiludków różnego kalibru, władcy więc owi przykładają się - nie uświadamiając sobie tego - do destrukcji całego systemu, z którego wyrastają i który ich żywi.

Może dojść do tego, że jego grabarzami będą nie lewicujący pogrobowcy komunizmu, a nawet nie dzisiejsi terroryści, ale wychowankowie

wykorzystywanych w złym celu mediów: ludzie bez zasad i sumienia, przekonani, że i oni mają prawo wszelkimi środkami wstąpić do raju konsumpcji, awanturnictwa i przemocy, które najlepiej rozwiązują wszelkie problemy. Na wzór swoich idoli z ekranów będą się demonstracyjnie wystawiać na pokaz, będą szantażować i zabijać, wykorzystywać każde potknięcie czułego systemu, zależnego od funkcjonowania techniki na najwyższym poziomie, będą obracać na swoją korzyść każde nieszczęście spowodowane katastrofą przyrodniczą lub nieudolnie prowadzoną polityką, aby wstąpić zwycięsko do historii.

Jeśli nie będziemy w stanie znaleźć sposobu, jak stawić czoła temu medialnemu zejściu do najniższych pięter ludzkości, znajdziemy się tam wkrótce wszyscy, winni i niewinni, wszyscy, którzy sądzą, że interes swobodnego "geszeftu" można postawić ponad wszelkie przykazania.

JAN TREFULKA
tłum. K.P.

Autor *1929, poruszający w swych felietonach tematy ważne nie tylko dla czeskiej, ale i europejskiej czy światowej kultury, jest związanym z Brnem pisarzem, krytykiem literackim, scenarzystą. Powyższy felieton ukazał się w dzienniku Rovnost z 14.9.2005.

ZAOLZIE W DAWNYCH KRONIKACH FILMOWYCH

Kroniki filmowe mają to do siebie, że potrafią poprzez ruchomy obraz, nawet bez dźwięku, oddać atmosferę chwili, pozwolą naocznie niejako podpatrzyć historię na gorącym uczynku; potrafią równocześnie tę atmosferę i fakty w pewnym stopniu zakłamać, przez podkreślenie tego, co chce się przekazać, nie pokazując reszty. Najlepiej uświadomimy to sobie, oglądając prezentowane dziś w telewizji dawne kroniki filmowe, które wówczas traktowaliśmy jako konieczne zło, oddalające projekcję filmu, na który poszliśmy do kina. Dziś, z perspektywy lat i wydarzeń, uświadamiamy sobie, że były to formy politycznej manipulacji, urabiania naszego myślenia, po prostu tworzenie fałszywego obrazu ówczesnej codziennej rzeczywistości.

Jednak i tego rodzaju kroniki mają swoją wartość historyczną, zwłaszcza, kiedy relacjonują wydarzenia historyczne wielkiej wagi, bo dla nas, Zaolziaków, wszystko to, co pokazano nam w ramach Trzynieckiego Lata Filmowego w Bystrzycy, miało istotne znaczenie. Chodziło przecież o wy-

darzenia (agresja czeska po pierwszej wojnie światowej, podział Śląska Cieszyńskiego, wcielenie Zaolzia do Polski w roku 1938 itp.), które tak a nie inaczej pokierowały losami naszych przodków, a w konsekwencji nas samych.

Naturalnie to był polski punkt widzenia, czeskie kroniki co innego i inaczej by pokazywały. Interpretacje wydarzeń narodowych i politycznych też należą do historii. Dla przykładu, wiele słyszeliśmy lub czytaliśmy o entuzjazmie miejscowych Polaków, jaki towarzyszył wkraczaniu wojsk polskich na Zaolzie w roku 1938. Kroniki filmowe z tych wydarzeń przekonały nas, że to była prawda, że nie była to wymuszona manifestacja pierwszomajowa, jakie mamy jeszcze w swej pamięci, ale autentyczna radość wielotysięcznych rzesz. Tego nie dało się naprędce wyreżyserować. Historią były też portrety-migawki wszystkich tych miejscowości, gdzie rozgrywały się pokazywane relacje filmowe - Cieszyn, Frysztat, Karwina, Jabłonków, Trzyniec ze swą hutą itp.

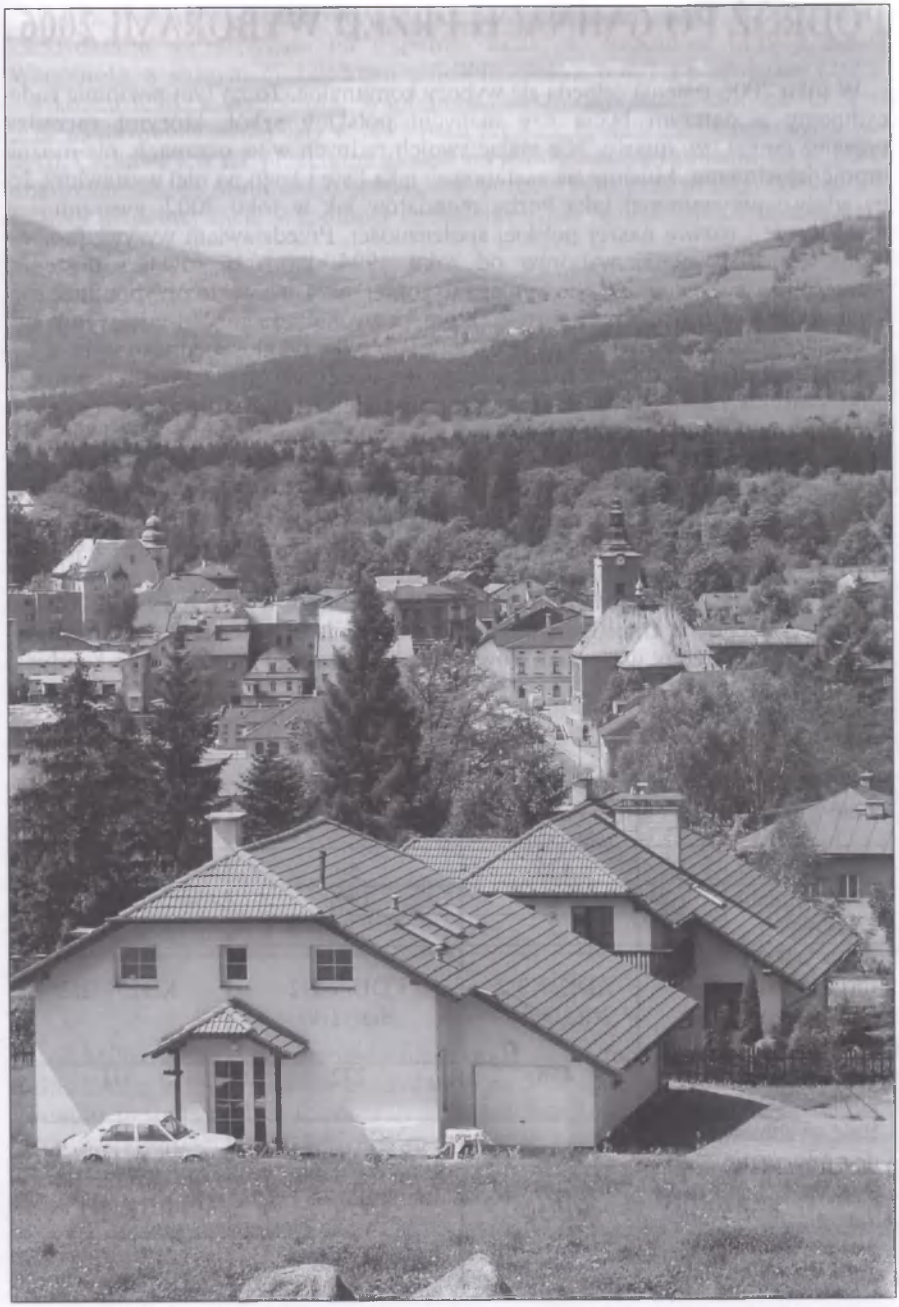
Wniosek stąd prosty. Moim zdaniem należy tamte czasy znać, a jeżeli znajdzie się tego rodzaju dokument filmowy, to należy go pokazać. Historii nie da się cofnąć, nawet tego bolesnego jej oblicza. Winniśmy jednak wiedzieć, jak było naprawdę, chociaż, wiadomo, każda strona, każdy człowiek, tę prawdę widzi w czym innym, i to, co zobaczy, na swój sposób zinterpretuje, ale taki jest właśnie człowiek.

Dzięki inicjatywie TLF i uprzejmości Filmoteki Narodowej w Warszawie kroniki ówczesnej Polskiej Agencji Telegraficznej (1918-1945) o naszym terenie dały nam wiele do myślenia, ale przede wszystkim w pewnym stopniu unaoczniły nam to, co na swój sposób wiedzieliśmy, nie wiedzieliśmy tylko, jak to wyglądało.

Widzenie tych wydarzeń przez współczesnych ludzi pokazał film dokumentalny "Těšínsko - divné století", z roku 2003, który częściowo znamy już z Telewizji Czeskiej. Zamysł realizatorów z ostrawskiej telewizji był szczytny, chcieli oni pokazać prawdę o tym regionie. Jednak prawdy nawet o tak małej ziemi nie da się zmieścić w godzinnej relacji filmowej. Każdy z historyków bronił tu swej wiedzy i racji historycznej, a wypowiedzi ludzi na te tematy były wyrywkowe i też subiektywne, chociaż czegoś innego trudno od nich oczekiwać. Poza tym nie jest sprawą łatwą wypowiedzenie w kilku słowach, w dodatku przed kamerą telewizyjną, nawet tego, co w towarzystwie omawiało się niemal przez całe życie.

Lepiej prawdę poznać, niż ją we właściwym świetle zinterpretować, ale żeby tę prawdę lepiej poznać, trzeba być otwartym na wszystkie fakty i ich interpretacje. To, co oglądali widzowie w sobotę 3 września w bystrzyckim kinie, było udaną próbą wzbogacenia naszej wiedzy o nas samych.

KAZIMIERZ JAWORSKI



Fot. FRANCISZEK BAŁON

PODRÓŻ PO GMINACH PRZED WYBORAMI 2006

W roku 2006 jesienią odbędą się wybory komunalne. To na tym poziomie zadecydujemy o dalszym byciu czy niebyciu polskich szkół, którymi zarządza przecież gmina czy miasto. Nie mając swoich radnych w jej organach, nie można bronić jej istnienia. Musimy się zastanowić, jaką listę i kogo na niej wystawimy, żeby zdobyć przynajmniej taką liczbę mandatów jak w roku 2002, gwarantującą przetrwanie i rozwój naszej polskiej społeczności. Przedstawiam wyrywkowo wybrane gminy i wyniki wyborów od roku 1994, które są również dostępne w Internecie www.volby.cz. Nie wymaga to komentarza, ale warto przypomnieć różnego rodzaju mechanizmy i fortele, które pozwoliły osiągnąć dobry wynik np. w gminie, gdzie uzyskanie 2 mandatów zależało tylko od głosu jednego wyborcy.

Chyba nie trzeba nikogo przekonywać, że obecność przedstawicieli polskiej mniejszości w radzie gminy daje szansą na pełniejszą realizację przysługujących jej praw w zakresie dwujęzyczności czy większą szansę utrzymania polskiej placówki oświatowej.

Do zobrazowania obecnego stanu w kilku gminach posłużyłem się tabelką, gdzie zawarte zostały dane uzyskane z Internetu. A więc tabelka zawiera dane dotyczące ilości mieszkańców gminy deklarujących narodowość polską w roku 2001, liczbę głosów na polską listę lub osoby, które dostały głosy prawdopodobnie od Polaków. Tabelka przedstawia wyniki wyborów w latach 1994-2002, bo tyle jest dostępne w Internecie, a jej rozszerzoną kopię otrzymają wszyscy prezesi Kół PZKO, żeby już przed Nowym Rokiem zacząć tworzyć listę kandydatów w swojej gminie.

KOSZARZYSKA

Ilość obywateli	Polacy	Ilość potrzebnych podpisów na petycję	Procentowa ilość Polaków w gminie
365	126	50	34,52
ilość mandatów	1994	1998	2002
do zdobycia	7	9	9
partie startujące /ilość kandydatów /kandydaci Polacy /polscy radni	KDU/7/3/2 Niez/3/0/0	KDU/9/2/2 Niez/1/0/	KDU/9/2/2
suma głosów na polskich kandydatów	408	272	311
Ilość wyborców/ do urn przyszło/%	Brak danych	Brak danych	300/212/70.67 %
Wspólnota kandydaci/ ilość głosów/ radni	6/293/2	9/479 /2	6/388/2
Suma głosów: ilość polskich kandydatów	78	68	87

Walka o mandaty rozegrała się między przedstawicielami KDU, trzema kandydatami niezależnymi na wspólnej liście, a Wspólnotą (1994); KDU, Wspólnotą, a jednym niezależnym z ilością głosów poniżej przeciętnej (1998) i w końcu KDU i Wspólnotą. Wspólnota zawsze uzyskała 2 radnych, chociaż przy wystawieniu pełnej listy w 1998 roku niewiele brakowało i mogło być 3 radnych. Ciekawa jest też przeciętna głosów na jednego polskiego kandydata. Może ona oznaczać, ile minimalnie polskich wyborców było przy urnach. Widać też, że przy niepełnej liście Wspólnoty dodatkowe głosy były dawane Polakom na liście KDU.

MILIKÓW

Ilość obywateli	Polacy	Ilość potrzebnych podpisów na petycję	Procentowa ilość Polaków w gminie
1300	**443**	**177**	**34,08**
ilość mandatów	**1994**	**1998**	**2002**
do zdobycia	**13**	**13**	**13**
partie startujące /ilość kandydatów /kandydaci Polacy /polscy radni	KDU/13/**1**/**1** Niez/4/4/**0**/**0**	KDU/7/**0**/**0** Niez/4/**0**/**0**	KDU/13/**2**/**1** Niez/4/**0**/**0**/
suma głosów na polskich kandydatów	**234**	**0**	**462**
Ilość wyborców/ do urn przyszło/%	Brak danych	Brak danych	1018/634/**62,28 %**
Wspólnota kandydaci/ ilość głosów/ radni	13/**2501**/**5**	13/**2474**/**5**	13/**2488**/**5**
Suma głosów: ilość polskich kandydatów	**195**	**190**	**196**

W Milikowie walka o mandaty rozgrywała się następująco: rok 1994 - KDU pełna lista z jednym polskim kandydatem na 5. miejscu na liście i czterech kandydatów niezależnych oraz pełna lista Wspólnoty. Tutaj mandaty zdobyło 4 kandydatów niezależnych, KDU - 4 mandaty, w tym 1 dla Polaka na tej liście i Wspólnota 5 mandatów. W roku 1998 było tak samo na listach kandydackich z tym, iż KDU wystawiło tylko 7 kandydatów, polski kandydat nie wszedł na listę, więc Wspólnota go dała na swoją, a czterech niezależnych kandydowało osobno. Wyniki były takie same: KDU - 4 mandaty, kandydaci niezależni - 4, Wspólnota - 5. Ostatnie wybory w roku 2002 przyniosły wyraźny przełom

w gminie. KDU wystawiła 13 kandydatów, w tym dwu Polaków na miejscu 4. i 6., niezależni znów startowali pojedynczo, a Wspólnota wystawiła pełną listę. KDU zyskała 6 mandatów, w tym 1 polski, mandat uzyskał jeden kandydat niezależny (starosta ubiegłej kadencji) i 6 mandatów Wspólnota. Na przewagę Polaków w gminie 7:6, mimo takiej samej obecności przy urnach, złożyły się dwie przyczyny:

a) 5% próg wyborczy, którego nie mogło przeskoczyć 3 kandydatów niezależnych i tak z każdymi wyborami ze spadającym poparciem. Czwarty niezależny starosta gminy otrzymał jednak 474 głosy (w roku 1998 - 349) tzn. 7,39 %, co jest dwukrotnie więcej niż trzej niezależni - każdy osobno. Można śmiało powiedzieć, że swoim pozytywnym stosunkiem do Polaków starosta połowę głosów otrzymał od Polaków.
b) Drugą przyczyną była prośba Wspólnoty przed wyborami, by dodatkowym głosem poprzeć 1 kandydata na liście KDU, i w ulotkach wskazała, o kogo chodzi. Przeskoczył z 6. miejsca do przodu.

Kończąc powyższe analizy, nie sposób nie zauważyć, że odpowiednia strategia przedwyborcza leży w naszym interesie. Koszarzyska i Milików dają tego przykład.

WŁADYSŁAW DRONG



Fot. FRANCISZEK BAŁON

CHÓR NAUCZYCIELI POLSKICH ZAPRASZA NA SWÓJ JUBILEUSZ

Kiedy przed pięcioma laty obchodził Chór Nauczycieli Polskich, działający przy Zarządzie Głównym PZKO w Czeskim Cieszynie, swoje siedemdziesięciopięciolecie, jego śpiewacy, w przeważającej liczbie panowie w wieku emerytalnym, zastanawiali się, jak długo starczy im jeszcze sił na tę pracę społeczną. I nie planowali następnego jubileuszu. A tu minęło kolejnych pięć lat pilnej pracy zespołu i Chór Nauczycieli Polskich z dumą zaprasza wszystkich swoich sympatyków na kolejny koncert jubileuszowy.

Historia chóru rozpoczyna się w roku 1925, kiedy nauczycielowi z Karwiny Janowi Kiszy udało się przekonać członków działającego od roku 1921 w ramach Republiki Czechosłowackiej Towarzystwa Nauczycieli Polskich o sensowności założenia stałego chóru polskich nauczycieli. Pierwsza próba chóru odbyła się 28 lutego 1926 roku, pierwszy koncert publiczny, który wspaniale odebrany został tak przez publiczność jak i przez krytykę, dał chór pod batutą Jana Kiszy w Karwinie 6 marca 1927 roku. Pierwszym prezesem chóru był Fryderyk Kreczman. Przed wojną chórem dyrygowali jeszcze Ernest Berger i Karol Berger.

Próbę wznowienia chóru po wojnie podjął w 1945 roku z garstką śpiewaków Rudolf Wojnar. Jednak wydany przez władze państwowe zakaz działalności polskich organizacji objął także chór. I tak dopiero w 1955 roku ponownie zaczęli śpiewać polscy nauczyciele na Zaolziu jako Chór Nauczycieli Polskich przy Zarządzie Głównym PZKO. Dyrygentem chóru został nauczyciel z Jabłonkowa Karol Heczko. Od 1965 roku prowadzili chór Emanuel Guziur i Eugeniusz Fierla, w latach 1972-1980 Henryk Kotas, potem krótko Jan Gojniczek. Od roku 1981 śpiewa zespół pod batutą profesora Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie Alojzego Suchanka.

Długa historia Chóru Nauczycieli Polskich to wiele godzin śpiewu na próbach, to setki koncertów własnych i występów okolicznościowych, na terenie Zaolzia i poza nim, a także w Polsce, to dziesiątki koncertów wychowawczych w szkołach. Chór zdobywał serca słuchaczy, a niejednokrotnie również nagrody w konkursach i laury na festiwalach. Jego występy uświetniali soliści i małe zespoły wokalne, akompaniator i konferansjer. Chór śpiewał m.in. na Festiwalu Chórów w Poznaniu (1965), skąd przywiózł Złoty Laur XX-lecia, w Trójmieście, w Warszawie, w Olsztynie, na Międzynarodowym Festiwalu Pieśni Chóralnej w Międzyzdrojach, gdzie w 1972 roku zdobył Złotą Lirę, a w roku 1985 nagrodę im. E. Maćkowiaka, na Okręgowym Festiwalu Chórów, gdzie zyskał pierwsze miejsce za dobór repertuaru, na V Festiwalu Chórów Polonijnych w Koszalinie (1982), na jubileuszu chóru Harmonia w Cieszynie (1984), w Szczecinie (1985). W latach 90. brał udział m.in. w Praskich Dniach Śpiewu Chóralnego, gdzie zdobył Srebrne Pasmo, w Trojoku Śląskim w Katowicach, w Święcie Pieśni Gaude Cantem w Oświęcimiu, występował w Żywcu, w Katowicach. Pieśń "Gaude Mater"



Koncert ChNP w Olszynie w roku 1967

w wykonaniu chóru zabrzmiała w kaplicy św. Kingi w podziemiach Kopalni Soli w Wieliczce.

Przed pięcioma laty z okazji jubileuszu 75-lecia istnienia Chór Nauczycieli Polskich wydał broszurkę jubileuszową i kasetę z nagraniami. Podczas koncertu jubileuszowego (26.11.2000) zaśpiewał dla swoich sympatyków w teatrze w Czeskim Cieszynie, zaprosił też gości, którymi byli: zespół kameralny Absolwent z Filii UŚ w Cieszynie, chór mieszany Lutnia z Lutyni Dolnej, grupa taneczna ZPiT Olza oraz solistka Jadwiga Niemiec i akompaniatorka na fortepianie Wanda Miech. I nie planował następnego jubileuszu. Choć niejeden z chórzystów był już w poważnym wieku i zdarzało się chórowi śpiewać na pogrzebach swoich kolegów, zespół działał nadal i tak minęło kolejnych pięć lat. Co działo się przez te lata?

Chór wziął udział w koncercie z okazji stulecia Domu Narodowego w Cieszynie. Do Ustronia wyjechał na I Festiwal Śląskich Chórów Olza 2001. W przeglądzie chórów Gaude Cantem w Bielsku-Białej zyskał Srebrne Pasmo. Koncertował w Czechowicach-Dziedzicach. Zaproszony został na uroczystość otwarcia Domu Spadochroniarza w Goleszowie Równi. Wystąpił na zakończeniu Roku Żwirki i Wigury w Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. Podczas uroczystości stulecia Związku Nauczycielstwa Polskiego w Katowicach otrzymał Złotą Odznakę ZNP za działalność kulturalno-oświatową.

Na Zaolziu śpiewał m.in. na rozpoczęciu XIX Zjazdu PZKO w Kocobędzu, na uroczystości 95-lecia śpiewactwa w Stonawie, na koncercie z okazji wydania płyty kompaktowej Wandy Miech w Karwinie, podczas corocznych uroczystości wspomnieniowych w Cierlicku na Żwirkowisku, dla mieszkańców Domu Spokojnej Starości



Chór Nauczycieli Polskich w roku 2005

w Ligotce Kameralnej, na Festiwalu PZKO. Pieśnią uświetnił obchody 60 rocznicy tragedii żywocickiej, odsłonięcie tablicy pamiątkowej poświęconej gen. Władysławowi Sikorskiemu w Nawsiu, spotkanie opłatkowe w Konsulacie Generalnym RP w Ostrawie, spotkanie z okazji urodzin poetki ludowej Anieli Kupiec. Wziął udział w przeglądzie chórów męskich w Ostrawie. Występował też nadal w szkołach, dając koncerty wychowawcze.

W sumie do 368 koncertów własnych do roku 2000 dodał w ostatnim pięcioleciu 24 koncerty, do 90 koncertów wychowawczych następnych 18, do 341 występów okolicznościowych 22 nowe. Z prowadzonej przez chór statystyki wynika, że w ciągu osiemdziesięciu lat istnienia zespół śpiewał przed publicznością 863 razy. Repertuar zespołu to głównie pieśni tradycyjne, chór pozostaje wierny idei, która towarzyszyła mu od chwili założenia: by zapoznawać nasz lud z pieśnią rodzimą, melodią swojską i artystyczną. W roku bieżącym chór, zasilony także przez głosy męskie osób niezwiązanych ze szkolnictwem, liczy 19 członków, po 5 I i II tenorów oraz basów, 4 barytony. Prezesem chóru jest od 1991 roku Gustaw Walek, kierownikiem artystycznym i dyrygentem Alojzy Suchanek, drugim dyrygentem Władysław Rusek. Zespół śpiewa przy akompaniamencie fortepianowym Marty Bury, a koncerty prowadzi Aleksandra Opioł.

Chór Nauczycieli Polskich zaprasza wszystkich miłośników śpiewu chóralnego na swój jubileusz osiemdziesięciolecia. Koncert odbędzie się w sobotę 22 października br. o godz. 15,30 w Domu PZKO w Stonawie. W programie oprócz Chóru-Jubilata zaśpiewa Chór Mieszany Stonawa oraz laureaci Festiwalu Piosenki Dziecięcej, na fortepianie zagra Wanda Miech.

CZESŁAWA RUDNIK

MOJE SPOTKANIE Z PROFESOREM

Zdarzają się w życiu spotkania, których nie zapomina się przez całe życie. Tak było w środę 10 sierpnia br. Oniemiałem z radości, kiedy zaproponowano mi towarzyszenie w zwiedzaniu pomników polskości Zaolzia wielkiemu miłośnikowi Polski, historykowi i pisarzowi prof. Normanowi Daviesowi.

Pan profesor urodził się w 1939 roku w Bolton w północnej Anglii. Wiedzę zdobywał na najbardziej znaczących uniwersytetach świata. Jest m.in. członkiem korespondentem Akademii Umiejętności w Krakowie. Wiele czasu poświęcił pracy naukowej na placówkach zagranicznych w Kanadzie, Japonii czy USA. Uhonorowany został wieloma najbardziej znaczącymi odznaczeniami, również i w Polsce, od Krzyża Kawalerskiego do orderu Polonia Restituta. Posiada niejeden zagraniczny doktorat honoris causa, jest honorowym obywatelem Krakowa, Lublina i Wrocławia. Po przejściu w 1996 roku na emeryturę poświęcił się pisaniu książek. Nie sposób wymienić tu wszystkich jego dzieł, pragnę wyszczególnić chociaż historyczną tematykę Polski. Najpierw jego pomnikowe dzieło - "Boże Igrzysko. Historia Polski" (Znak 1989-1991, 1999). Z dużym powodzeniem przedstawił historię wojny polsko-bolszewickiej 1919-1920 - "Orzeł Biały, czerwona gwiazda" (Znak 1997). Za swe monumentalne dzieło sam uważa "Europę", rozprawę historyka z historią (Znak 1998). Niecodziennym dziełem jest wydana w 2002 roku monografia Wrocławia "Mikrokosmos. Portret miasta środkowoeuropejskiego" (Znak 2002).

Memu sercu najbliższe jest jedno z jego ostatnio opublikowanych dzieł: "Powstanie 44". To pasjonujące dzieło, poświęcone powstaniu warszawskiemu, opisujące na szerszym tle wydarzenia lat 1939-1956 w nowym świetle, wydane w Znaku w Krakowie w 2004 r., otrzymałem za zwycięstwo w konkursie Radia Polonia w Warszawie pt. "Ruch na piątkę" już w październiku 2004 roku. Dziś pochlubić się mogę i wspaniałą dedykacją samego Pana Profesora: *Józefowi Kuli z gratulacjami za nagrodę Radia Polonia - Norman Davies (10.8.2005).*

Zaolzie zwiedzał po raz pierwszy, uprzednio był jednak w Opawie, gdzie studiował materiały dotyczące konfliktu czesko-polskiego o Śląsk Cieszyński w latach 1919-1920. Kongres Polaków (szczególnie Józef Szymeczek) przygotował dla Zacnego Gościa atrakcyjną trasę po zaolziańskich miejscach pamięci. Mnie wyznaczono jakże miłą rolę przewodnika.

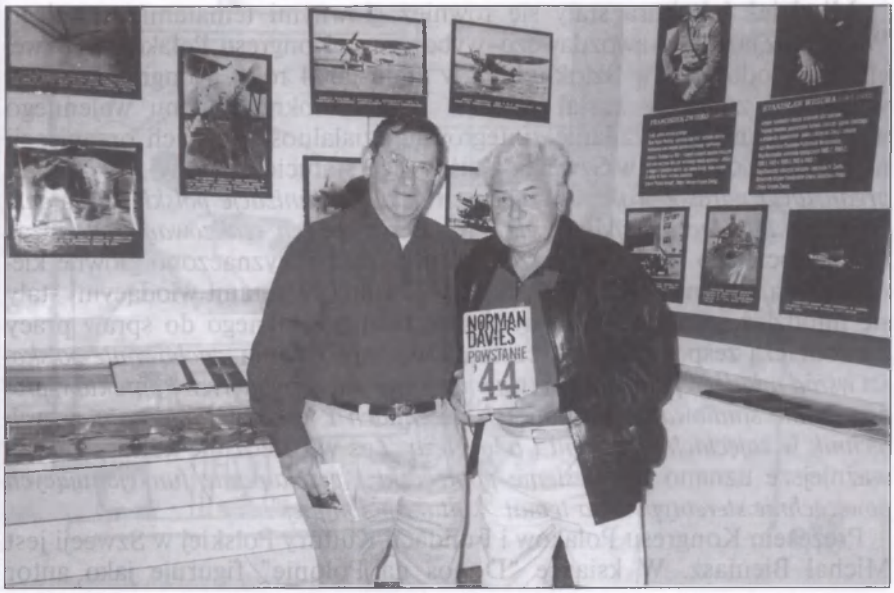
Pierwszym postojem było Kościeleckie Wzgórze z Domem Polskim im. Żwirki i Wigury oraz Żwirkowiskiem, gdzie zakończyli swój lot do wieczności bohaterowie przestworzy Żwirko i Wigura. Profesor Davies żywo interesował się szczegółami, wiele dowiedział się o historii Cierlicka, o posłannictwie Domu Polskiego. Na zakończenie pobytu wpisał się do Kroniki.

Następnym celem podróży były Żywocice, gdzie przedstawiłem przebieg tragicznych wydarzeń z 1944 roku. Przypomniałem również postać autora Pomnika Żywocickiej Matki Franciszka Świdra i perypetie związane z tym pomnikiem. W żywocickim Muzeum wielce się dziwił Norman Davies interpretacji niektórych dokumentów.

Trzecim i ostatnim celem naszej podróży był stonawski cmentarz. Z nostalgiczną zadumą zatrzymał się prof. Davies przy grobie pomordowanych w 1919 roku legionistów polskich. Mogiła ta była zawsze zadbana, a w Dzień Zaduszny płonęły tam znicze i były kwiaty, jednak dopiero po latach dzięki finansowemu wsparciu dra Jana Pyszki, dziś kandydata na prezydenta RP, doszło do renowacji otoczenia mogiły. Na zakończenie zatrzymaliśmy się przy grobie ks. proboszcza Franciszka Krzystka, dzięki któremu dochowały się drastyczne zdjęcia pomordowanych oraz dokumentacja ich nazwisk.

Dziś z satysfakcją i czystym sumieniem mogę stwierdzić, iż swoje posłannictwo w spotkaniu z zacnym człowiekiem Normanem Daviesem spełniłem z nawiązką. Przeżytych wrażeń nigdy nie zapomnę. Należy mieć nadzieję, że tematyka zaolziańska znajdzie odzwierciedlenie w nowych książkach Normana Daviesa.

JÓZEF KULA



ZE SZWECJI DONOS NA POLONIĘ

"Donos na Polonię, czyli jest, jak jest... bo gdyby miało być inaczej, to by było" tak brzmi cała nazwa książki zawierającej wybór tekstów z lat 1998-2005 pióra Andrzeja Niewinnego Dobrowolskiego. Publikacja wydana została w roku bieżącym przez Fundację Kultury Polskiej w Szwecji przy współpracy Domu Wydawniczego Bellona w Warszawie.

Fundacja Kultury Polskiej w Szwecji powołana została do życia w lipcu 2003 roku na mocy decyzji Prezydium Kongresu Polaków w Szwecji. Głównym celem Fundacji jest rozwijanie życia kulturalnego polskiej mniejszości etnicznej w Szwecji i promocja polskiego dziedzictwa kulturowego. Do zadań Fundacji należy wspieranie i inspirowanie aktywności kulturalnych w środowisku polskim w Szwecji, obszarem jej zainteresowania jest szeroko pojęta kultura polska, także ta, która powstaje za granicami kraju, dorobek kulturowy i współczesne działania, łącznie z poszukiwaniami nowatorskimi i awangardowymi. Szczególny nacisk kładzie Fundacja na wspieranie młodego pokolenia Polaków żyjących poza Macierzą.

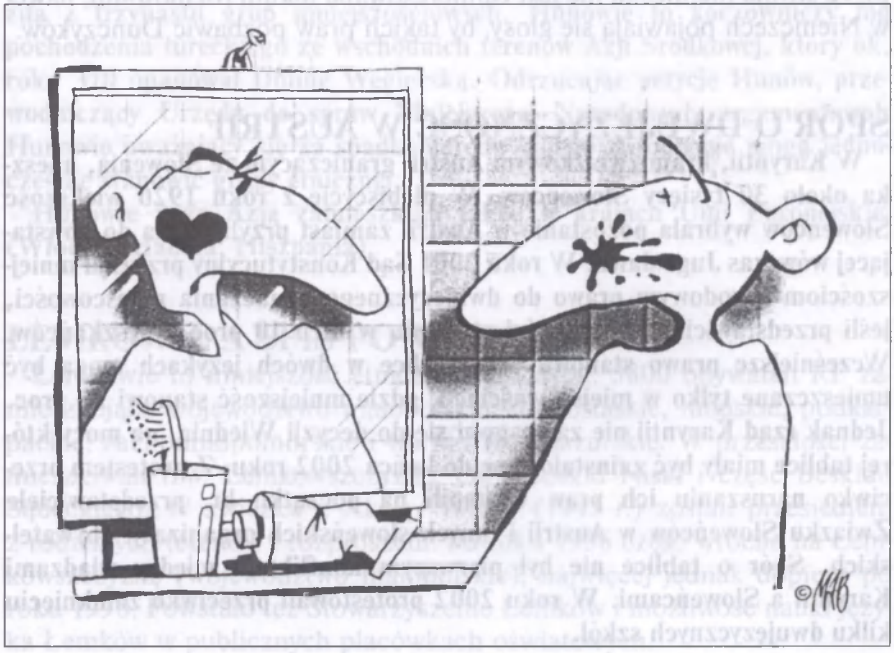
.Młodzież i kultura stały się również głównymi tematami ostatniego Walnego Zjazdu sprawozdawczo-wyborczego Kongresu Polaków w Szwecji, który odbył się w Sztokholmie w maju 2004 roku. Kongres Polaków w Szwecji założony został w roku 1982, w okresie stanu wojennego w Polsce, i miał za zadanie zintegrować działalność polskich organizacji niepodległościowych w Szwecji. Dziś w jego statucie czytamy: *Kongres jest organizacją parasolową, zrzeszającą związki i organizacje polskie na terenie Szwecji, które łączą wspólne cele i wspólna chęć ich realizowania.* Podczas ubiegłorocznego Walnego Zjazdu tej organizacji wyznaczono główne kierunki działania na następną kadencję. Dwoma tematami wiodącymi stały się młodzież i kultura. Głównym zadaniem powołanego do spraw pracy z młodzieżą zespołu jest, jak czytamy w sprawozdaniu, *zachowanie polskości wśród młodego pokolenia przy pomocy szeroko rozwiniętych kontaktów, propagowanie studiowania na polskich uczelniach i wykorzystanie najnowszych technik w zajęciach z dziećmi i młodzieżą.* Zaś w dziedzinie kultury za najważniejsze uznano *podniesienie poprzeczki i przełamanie funkcjonujących powszechnie stereotypów na temat "kultury polonijnej".*

Prezesem Kongresu Polaków i Fundacji Kultury Polskiej w Szwecji jest Michał Bieniasz. W książce "Donos na Polonię" figuruje jako autor

okładki, ilustracji i układu graficznego. Natomiast autorem zamieszczonych w publikacji tekstów jest Andrzej Niewinny Dobrowolski, znany także czytelnikom Zwrotu, jako że kilka jego felietonów drukowaliśmy na łamach naszego miesięcznika. Urodził się w 1945 roku w Częstochowie, w roku 1968 wyjechał jako muzyk na kontrakt do Finlandii i tam pozostał, później przeniósł się do Szwecji, gdzie mieszka do dziś. Zajmuje się przekładami z języka angielskiego, szwedzkiego i duńskiego, współpracuje z wydawnictwami polskimi i polonijnymi, pisze opowiadania, felietony, wiersze.

Zebrane w "Donosie na Polonię" teksty to kilkadziesiąt odzwierciedlających współczesną rzeczywistość felietonów i kilkanaście opowiadań o Polsce lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Książka wiele mówi o Polakach. Tych w kraju i tych na obczyźnie, łączą bowiem wszystkich podobieństwa cech charakteru, obyczajów i upodobań. *Rzadko zdarza się* - pisze we wstępie wydawca - *by w lekkiej, niestroniącej od humoru formie zawarto tak wiele ważnych, płynących z osobistego doświadczenia refleksji. Ich charakterystyczną wartością jest to, że nie objawiają prawdy ex cathedra, lecz prowokują do konfrontacji myśli autora z wiedzą o życiu samego czytelnika.*

C.R.



Ilustracja z książki „DONOS NA POLONIĘ"

MNIEJSZOŚCI NARODOWE W RFN

W RFN są oficjalnie tylko dwie mniejszości narodowe. Za mniejszość narodową są tu uznawani zamieszkujący Szlezwik-Holsztyn Duńczycy, których według spisu ludności jest 50 tysięcy, oraz rozproszeni już dziś Serbołużyczanie. Teoretycznie warunki dla uzyskania statusu mniejszości narodowej mogłaby spełnić także część Polaków. Około miliona osób posługuje się bowiem językiem polskim jako ojczystym, ale około 360 tysięcy z nich ma obywatelstwo polskie, co pozbawia je szans na uzyskanie statusu mniejszości narodowej. Na podstawie traktatu polsko-niemieckiego z roku 1991 Polacy w Niemczech uznani zostali za grupę narodowościową, a nie mniejszość. Niemcy w Polsce mają status mniejszości narodowej. Od kilku już lat w środowiskach polonijnych Niemiec pojawiają się żądania, by władze RP rozpoczęły starania o przyznanie Polakom w Niemczech statusu mniejszości narodowej. Ale wszystko wskazuje na to, że strona niemiecka nie jest zainteresowana takimi rozmowami, nawet w Niemczech pojawiają się głosy, by takich praw pozbawić Duńczyków.

SPÓR O DWUJĘZYCZNOŚĆ W AUSTRII

W Karyntii, kraju związkowym Austrii graniczącym ze Słowenią, mieszka około 30 tysięcy Słoweńców. W plebiscycie z roku 1920 większość Słoweńców wybrała pozostanie w Austrii zamiast przyłączenia do powstającej wówczas Jugosławii. W roku 2001 Sąd Konstytucyjny przyznał mniejszościom narodowym prawo do dwujęzycznego oznaczania miejscowości, jeśli przedstawiciele mniejszości stanowią w nich 10 proc. mieszkańców. Wcześniejsze prawo stanowiło, że tablice w dwóch językach mogą być umieszczane tylko w miejscowościach, gdzie mniejszość stanowi 25 proc. Jednak rząd Karyntii nie zastosował się do decyzji Wiednia, na mocy której tablice miały być zainstalowane do końca 2002 roku. Z protestem przeciwko naruszaniu ich praw wystąpili na początku br. przedstawiciele Związku Słoweńców w Austrii i innych słoweńskich organizacji obywatelskich. Spór o tablice nie był pierwszym konfliktem między władzami Karyntii a Słoweńcami. W roku 2002 protestowali przeciwko zamknięciu kilku dwujęzycznych szkół.

PROBLEMY WĘGRÓW NA SŁOWACJI

Pod koniec maja br. węgierska mniejszość zamieszkała na terenie województwa nitrańskiego niedaleko granicy z Węgrami nie kryła oburzenia z powodu bezczeszczenia jej pomników i cmentarzy, kiedy to poznikały z nich posągi turula - świętego ptaka uważanego za symbol węgierskiej państwowości. Brązowe i platynowe rzeźby osadzono z inicjatywy węgierskich samorządów przed 80 laty na trzymetrowych cokołach. Na te pomniki składały się całe miasteczka. Symbolizowały one historyczną przynależność tych ziem do Węgier i stanowiły narodową pamiątkę.

WĘGIERSCY HUNOWIE

Dwa i pół tysiąca węgierskich Hunów po odrzuceniu ich petycji przez parlament Węgier w sprawie uznania ich za mniejszość narodową postanowiło odwołać się Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Gdyby Hunowie uzyskali status grupy mniejszościowej, to zgodnie z ustawą z roku 1993 otrzymaliby prawo kształcenia dzieci w swoich szkołach i tworzenia ośrodków kulturalnych. Ich przedstawiciele wchodziliby w skład samorządów terytorialnych i otrzymaliby dotacje od węgierskiego rządu, podobnie jak każda z trzynastu grup mniejszościowych. Hunowie to koczowniczy lud pochodzenia tureckiego ze wschodnich terenów Azji Środkowej, który ok. roku 370 opanował Dolinę Węgierską. Odrzucając petycję Hunów, przewodniczący Urzędu do spraw Mniejszości Narodowych argumentował: Hunowie uważający się za spadkobierców całego narodu nie mogą jednocześnie stanowić grupy etnicznej.

Hunowie poza Azją zamieszkują także w krajach Unii Europejskiej (Włochy, Irlandia, Hiszpania).

ŁEMKOWIE A SPIS POWSZECHNY

Łemkowie to mniejszość etniczna licząca ok. 5800 obywateli RP zamieszkująca województwo małopolskie, dolnośląskie, lubuskie, podkarpackie, zachodniopomorskie i warmińsko-mazurskie. W przeszłości zamieszkiwali tzw. Łemkowszczyznę, czyli Beskid Niski i część Beskidu Sądeckiego. W związku z Akcją "Wisła" (1947 r.) zostali przesiedleni z rodzimych terenów i rozproszeni. Po roku 1956 część wróciła na Łemkowszczyznę (województwo małopolskie), najwięcej jednak dopiero po roku 1990. Powstało też Stowarzyszenie Łemków i możliwość nauki języka Łemków w publicznych placówkach oświatowych.

Powszechny spis ludności z roku 2002 zafałszował dane o etnicznych mniejszościach z południowej Polski, szczególnie w woj. podkarpackim. Z oficjalnych danych wynika bowiem, że żyje tu zaledwie 147 Łemków, choć w rzeczywistości jest ich ponad dwa i pół tysiąca. Dyrektor Południowo-Wschodniego Instytutu w Przemyślu uważa, że w czasie spisu Łemkowie bali się przyznać do swojego pochodzenia, ale także, że do fałszowania danych przyczynili się niedouczeni rachmistrzowie, nieodróżniający narodowości od grupy etnicznej, co w przypadku Łemków jest istotne, bo część z nich uważa się za mniejszość narodową, a część za ukraińską grupę etniczną.

JĘZYKI MNIEJSZOŚCI W POLSKICH URZĘDACH

Z dniem 25 czerwca w Polsce weszły w życie rozporządzenia pozwalające osobom należącym do mniejszości narodowych i etnicznych na używanie i pisanie imion i nazwisk zgodnie z zasadami ich języków, na używanie tych języków w urzędach gmin, a także na wprowadzanie dodatkowych nazw ulic i miejscowości w językach tych mniejszości. Prawo dotyczy gmin, w których mniejszość stanowi co najmniej 20 proc. liczby ludności. Na przykład na Opolszczyźnie mniejszość niemiecka przekracza ten próg w 27 z nich, takie prawo ma także 12 podlaskich gmin, gdzie żyje mniejszość białoruska, gmina Puńsk zdominowana przez mniejszość litewską i 10 gmin kaszubskich na Pomorzu. W sumie pięćdziesiąt gmin w Polsce mogło wprowadzić do oficjalnego użytku tzw. język pomocniczy, czyli język mniejszości narodowej i etnicznej. Umożliwiła to przyjęta wcześniej Ustawa o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym. Odtąd mniejszości będą mogły załatwiać oficjalne sprawy urzędowe w swoich językach. Przywilej ten nie objął jednak Ukraińców, którzy żyją na terenie Polski w rozproszeniu.

Ciekawy przypadek stanowią Kaszubi, którzy nie deklarują przynależności do mniejszości narodowej, uważają się za Polaków, chcą natomiast posługiwać się językiem kaszubskim, który w ustawie został uznany za język regionalny. Już w roku ubiegłym na etapie starań o używanie języka kaszubskiego w urzędach wprowadzili kaszubski edytor tekstów KaszEd, który umożliwia pisanie w tym języku i służy także do przygotowywania w nim tekstów do różnych kaszubskich gazet i czasopism. Kaszubski edytor tekstu pozwolił również na kontakty w ich rodzimym języku internautom Kaszubom zamieszkałym w różnych miejscowościach w Polsce i innych krajach.

Na podstawie polskiej prasy
opracowała E.S.

SZANOWNA REDAKCJO!

Na każdy kolejny numer Zwrotu z artykułem Karola Bartulca "Wspomnienia z lat drugiej wojny światowej" czekałem z wielką niecierpliwością. Różnica wieku między autorem, a mną wynosi tylko trzy lata i łączą nas wspólne, dramatyczne przeżycia wojenne na frontach Zachodniej Europy i podobny los żołnierza w szeregach Polskiej Armii na Zachodzie.

We wspomnieniach Karola Bartulca nie znajdujemy pychy, cechuje je skromność i szczerość. Jestem przekonany, że są wierne, opisane zgodnie z prawdą. Myślę, że do ich oceny mam moralne prawo. Wojnę przeżywałem w okupowanej Francji. Kiedy na frontach Zachodniej Europy przebiegały decydujące o losach wojny rozgrywki, braliśmy w nich udział już obaj. Odnoszę wrażenie, że miałem może trochę więcej żołnierskiego szczęścia, wśród dojrzewających winnic, nad spokojnie płynącą środkiem Francji jej największą rzeką Loirą, kiedy z jej przeciwnego brzegu świstały kule amerykańskich snajperów.

Relacja Pana Karola o tych wydarzeniach pisana jest zaskakująco prawdziwie i wzbudza podziw. Znów staje mi przed oczyma Normandia, z plażami nad Atlantykiem, chaotyczna ucieczka żołnierzy Wehrmachtu wzdłuż Loiry na kradzionych rowerach do tworzonego przez Wehrmacht nowego frontu obronnego nad rzeką Mosellą, mój los dumnego żołnierza Wehrmachtu w amerykańskiej niewoli, który znów wzdłuż dobrze już znanej Loiry wraca do brzegów Atlantyku, w kierunku Normandii, gdzie znajduje wstrząsające cmentarze poległych w czasie inwazji żołnierzy amerykańskich. W Cherbourgu już jako ochotnik zgłaszający się do Polskiej Armii w Wielkiej Brytanii późnym wieczorem ze wzgórza nad zatoką ogląda jasno oświetlone tysiące okrętów dostawczych aliantów, zupełnie bezpiecznych, bo nie ma już na niebie ani śladu po Luftwaffe agresora. Losy drugiej wojny światowej były już wtedy rozstrzygnięte.

Były rozstrzygnięte także nasze losy, żołnierzy w mundurach z naszywką Poland, żyliśmy potem zachodnią kulturą w Wielkiej Brytanii i w Szkocji. Pan Karol do rodzinnego kraju wrócił rok później, z trudnościami, z jakimi wracała większość zaolziańskich kombatantów.

Za te pełne prawdy wspomnienia Kolegi ze Stonawy w imieniu błędowickich kombatantów również redakcji Zwrotu serdecznie dziękuje

ANDRZEJ PAWLAS z Błędowic.
Szanownego Pana Bartulca serdecznie pozdrawiam.

ZAOLZIE - GDAŃSK
W OBRONIE PRAWDY KILKA UWAG

Narodowo uświadomiona ludność tzw. Zaolzia upatrzyła w powrocie swego kraju do Polski w 1938 roku głównie trzy momenty. Były nimi: 1. zagrodzenie sobie czechosłowackiej drogi do Monachium i kapitulacji, 2. usankcjonowanie praw i pragnień narodowych ludu polskiego między Olzą i Ostrawicą, 3. gwarancja, że Polska, stanąwszy twardo w sprawie Zaolzia, nie ustąpi Niemcom w Gdańsku i na Pomorzu.

Istota chwilowego rządu RP, jego charakteru i zamiarów, musiała być w danej sytuacji dla nas rzeczą uboczną. Jako liczebnie najszczuplejsza i nieprzyjaźnie traktowana odrębność etniczna w granicach Czechosłowacji nie znaliśmy tajemnic urzędów centralnych i kancelarii dyplomatycznych - postanowiliśmy w groźnych chwilach być odpowiedzialnymi przede wszystkim za siebie.

Wiernymi zasadzie takiej odpowiedzialności byliśmy cały, dla polskości naszego kraju jakże straszliwy czas wojny. Powiaty frysztacki i cieszyński wykazały przy pierwszym okupacyjnym spisie ludności spośród ogółu powiatów województwa śląskiego najwyższy procent narodowości polskiej. Wśród osad górniczych Śląska Karwina otrzymała ciężko okupiony prymat w jawnym przyznawaniu się do polskości. W Nadolziu napotkała akcja "Volkslisty" największy opór, pomimo więzień, obozów, wysiedleń i egzekucji publicznych, dokonywanych tu na Polakach od pierwszych aż do ostatnich dni wojny. - A stanąwszy tak zdecydowanie przy zasadzie sumienia i samostanowienia o sobie wytrwamy w usiłowaniach, dopóki kraj nasz nie znajdzie się na za-wsze w granicach Polski.

W roku 1938 i przed tym nie był nam bynajmniej obojętny los Czechosłowacji i pobratymczego narodu czeskiego. Od dawna dawaliśmy wyraz przekonaniu, że zbrodniczy kolos niemiecki, pokonawszy przeszkody uboczne, drugorzędne, powróci na swój front główny, a wtedy naród polski, osłabiony wiekową niewolą, polityką wersalską i sporami wewnętrznymi o oblicze polskiej demokracji, dzierżył będzie w swym ręku honor i los nie tylko swój, ale całego rodzaju ludzkiego. Więc także Czechów i Czechosłowacji.

Termin oraz okoliczności monachijskie umowy prezydentów z 1.10.1938 były naprawdę bardzo paskudne, ale nie dobierał ich lud polski nad Olzą ani naród polski. Zaolzie i Gdańsk stały się zawiasami frontu, do którego przypadło się ustawiać samotnym, materialnie nieuzbrojonym Polakom. Akcja zaolziańska, acz z pozorów drastyczna, była w tej sytuacji potrzebną, a dziejami Śląska i kierunkiem myśli polskiej uzasadnioną demonstracją polskiej determinacji.

W podpisach czeskich pod fatalną umową nie szukaliśmy dowodów szantażu ze strony ministra Becka i kompanii. Widzieliśmy w nich częściowe naprawienie błędów przeszłości i duży wkład czeski na rzecz własnej przyszłości narodu czeskiego i jego republiki. Czyżby bracia Czesi uważali, że, po zwycięstwie Narodów Zjednoczonych nad furią germańskiego bestialstwa i po względnie największych ofiarach wojennych Polski, przyszła dla nich chwila na wycofanie tego wkładu? Czyżby sądzili, że w pogoni za domniemanymi śladami Monachium i kapitulanctwa prohitlerowskiego wolno im podeptać stosunkowo olbrzymie ofiary Zaolzia, złożone na ołtarzu niepodległości Polski? I że w wyniku własnego wysiłku zbrojeniowo-wojennego i swej rewolucji zdobyli prawo moralne do zgłoszenia postulatu, aby wierny ojców mowie żywioł śląski opuścił swoją piastowską ziemię i niepoliczone groby swoich poległych?

Między Olzą i Ostrawicą stoi filar stosunków sąsiedzkich między Polską a Czechosłowacją. W tragicznym momencie ślemy nasze S O S do Katowic, Warszawy i Pragi. Wyślemy ewentualnie również na przyszłą konferencję pokojową.

Andrzej Sowa-Silesius,
były współpracownik prasy
polskiej w Czechosłowacji

W Olzawie (Frysztacie), dnia 9 lipca 1945 r.

Grupa turystyczna Gorole zaprasza na prelekcję audiowizualną "Diashow", która odbędzie się w Domu PZKO w Karwinie Frysztacie w sobotę 12 listopada 2005 roku o godz. 18.00.

Młodzi turyści zaolziańscy, którzy podczas tegorocznych wakacji spędzili miesiąc w Kirgistanie, a w latach ubiegłych byli na Kaukazie, Ałtaju czy w Norwegii, zaprezentują przeźrocza i zdjęcia z wyprawy do Kirgistanu, egzotycznego kraju w sercu Azji, z niebosiężnymi górami lodowcowymi i ogromnym jeziorem Issyk-kul, opowiedzą o życiu górali kirgiskich i o swoich przygodach.

CHOROBA

Dzisio, Johanko, pujdziesz sama do szkoły, bo Andrzejek w nocy nie społ, płakoł, a teraz rano je słaby, mo zawrzyte oczy i je rozpolóny, bo mo gorączke.

Było to wiosną, śniega na polach już prawie że nie było, ale jeszcze sie schowowoł na polu w bruzdach i we szkarpie przi ceście. Chłódny wiaterek pofukowoł od zachodu, ale jasne wiosenne słónce rozsiywało już biołe stokrótki po miedzach, zaś nad pioskowiną swoji żółte główki zwiedawie wystyrkowały podbioły. W krzokach głogu wiesioło ćwiyrkały ptoszki, krzyk sojek sie rozległ w lesie i było słyszeć terkot dzięcioła. Johanka szła jakosi tako lyniwie, bo smutno ji było iść bez brata do szkoły, przywykła była, że dycki wroz chodzili, a w zimie Andrzejek szeł naprzód, bo robił chodnik we śniegu aż tam, kaj już potym była cesta wyjeżdżóno saniami i wyszłapano. Na wiosne zaś uczył ją poznować u potoka kaczyńce i niezapóminajki, a jak postoli cicho na mostku, to było we wodzie widać drobne rybki. Andrzejek też mówił, że we wodzie żyją raki, a schowują sie pod brzegym, tak ich nie widać. Johanka była od Andrzeja młodszo o trzi roki i latoś chodziła do drugi klasy. Smutek poszeł w zapómniyni, jak weszła między chałupy, a dziecka zaczyny z chałup wylazować, a iść do szkoły. Syncy pokrzikowali: "Kaj mosz Jyndryska? Torka, torka niezdrzało je, a tyn Jyndrysek ospały je!" Nie odpowiedziała, bo nie chciała ani pomyśleć, że brat je nimocny, aż dziepro sie rechtór spytoł, to odpowiedziała, jak to w nocy z bratym było, a mamulka prawili, że to isto bedóm czorne ośpice. To w tyn czas była szpatno choroba, gorączka, a ośpice na twarzi, tyn, gdo sie wylyczył, to potym mioł skóre na twarzi po strupach, dołki, jakoby go ptoki podziubały.

Ze szkoły do dómu se Johanka śpichała z myślą, że przeca ni ma możne, aby brat był nimocny, isto uż mu je lepszy, a w szopie bydzie rąboł drzewo, tak myślała, ale tak nie było. Weszła do kuchynie, a tu jakisi cudzy chłop, okulory na oczach, fusa pod nosym, stoi przi łóżku i wyciągo bratowi spod paże jakisi szkiełko. Dziwo sie na nie i potym mówi mamulce: "Gorączka je wysoko, dowejcie mu ty pruszki, a uwidzimy, nie bedzie to tak hónym, miyjmy nadzieje, że sie z tego dostanie, bo młodego człowieka je organizm silny. Nó, prawim wóm, matko, ciyrpliwości a czasu, po zbadaniu je to nimoc szkaredo, a nazywo sie tetanus, jeśli sie wylyczy, ale bydźcie przygotowani, bo po taki

chorobie bywają niemiłe następstwa". Pan dochtor poskłodoł do swoji torby też to szkiełko, co pokazowało gorączke, i wzion ze sobą, doł kłobuk na głowe, krziwak do ręki i poszeł. Mamulka opadli na stołek przi łóżku, złożyli ręce jak do modlitwy, a po licu łzy jim zciykały, tatulek zaś tóm wiadomość wziyni jakosi tak po chłopsku, obojętnie, nasadzili mycke na głowe i bez słowa poszli do stodoły naściepować siana z piętra. U łóżka zustali: starszo siostra Hanka i brat Pawełek. Dalsze dziecka, a było ich pięć, uż były żónate i wydane.

Johanka nie pojmowała, co słowo tetanus znaczy, ale mamulczyne łzy ją przerażały, tak myślała, że to isto cosi gorszego niż czorne ośpice, wtuliła głowe do mamulczynej szyroki suknie, też popłakiwała, a na łóżku w gorączce i skurczach majaczył i jęczoł półprzytomny Andrzejek.

Sąsiadki zżyrała zwiedawość, bo dochtór w dziedzinie to musi być cosi strasznie ważnego, dyć dochtora trzeba płacić, a ludzie wiynkszyną byli bez piniędzy, tak po niego szli, jak sami byli bezradni, jak choroba dłógo trwała, potym go wypłacili kęsem wędzonej szpyrki, wajcami albo też sztwiertką masła, a dochtór chodził pieszo za nimocnym i dwie godziny cesty czasym aż do trzeci dziedziny.

Nejodważniejszo była Szlachetkula, ta sie odwożyła iść spytać, gdo je nimocny, jak usłyszała, jako straszno choroba tropi Andrzejka, kalopym poleciała powiedzieć sąsiadkóm nowine, kierą sie dowiedziała. Baby sie aż przeżegnały i na drugi dziyń cało dziedzina wiedziała, że u Ryszki je choroba, co sie tetanus nazywo. Ci pobożniejszy ludzie aż w kościele dali na modlyni, aby choroba ich rodzine nie nawiedziła. We szkole ani rechtór sie uż Johanki nie pytoł o brata, jyny poważnie sie na nią podziwoł i pokiwoł głową.

Mamulka prawie że od syna nie odchodziła, nocami siedziała u łóżka, podowała prószki, co dochtór przedpisoł, zmiyniała octowe obkłady i kwaśną kapustą nogi obkłodała. Andrzejek nic jeść nie chcioł, jyny troche ziołowej herbaty popijoł, a mamulka biydowali, że ni mają tego szkiełka, co gorączke pokazuje, ani żodyn ze sąsiadów też tego ni mioł. Ludzie myśleli, że taki szkiełko może mieć jyny dochtór, bo tymu rozumi.

Była to dłógotrwało choroba, aż jednego dnia rano przyszła Johanka pozdrowić brata i z radości zawołała; "Mamulko, mamulko, ón odewrzył oczy". Tej nocy Andrzejek społ spokojnie i zdało sie, że i ty skurcze maleją. Choroba powoli ustępowała, a teraz oczyma błądził po powale, oblizowoł wargi i cosi niezrozumiale bączoł. Cało rodzina miała radość, bo Andrzejek powolutku, wychudzóny i słaby, przichodził do zdrowia, aż wreszcie choroba minóła, ale ślady zostały. Andrzejek przez te chorobe zustoł głuchy i mowa jego też nie była sprawno. Do szkoły już potym nie chodził, ale czytać, a liczby odejmować i dodawać umioł, a nieskorzi sie od siostry też iloraz nauczył.

ANNA BOSZCZYK

O SZKUBACZKACH, JEDZYNIU, TAŃCOWANIU I ZWYCZAJACH

Downo, strasznie downo sóm za nami czasy pełne rozmańtych opowiadań starych ludzi o tym, co se u nas działo, jak se jadło, jak se ludzie bawili i jaki były zwyczaje. Złości, nienawiści nie było miyndzy ludziami tela jako dzisio. Ludzie sie nawzajem mieli radzi, jedyn drugimu pumogoł. A to może tymu, że ludzie nie wiedzieli, co to je tewizyja, radijo to była rzodko wiec, wiynkszościóm to była tzw. "kryształka". I tymu też było wiyncyj dziecek w rodzinach.

Nejwiyncyj se opowiadało w dłógi zimowe wieczory. Zwłaszcza na tzw. "szkubaczkach". Na tych szkubaczkach spotykały se sómsiadki, starki i mamulki i żeby nie było cicho jak w marowni, tak se opowiadały rozmańte rzeczy. Czy już cosikej z gospodarki, wydarzynia i rozmajte bojki i powiarki.

Pamiyntóm se jako mały synek, jak mie mamulka sym tam zebrała na szkubaczke, żeby późnym wieczorym nie musiała iść ku chałupie sama. Bo kiejsikej, jak szoł człowiek późnym wieczorym sóm, tak se stowało, że go napotykały rozmańte straszydła, nocznice i inne cudaczne stworzynia.

Dzisio też, jak idziecie wieczorym sóm, też was napotykajóm ni upiory, czarownice atd., ale taki prowdziwe postacie, przed kierymi je nikiedy kómszt se ubrónić, a ze zdrowóm skórom przijść do dómu. No troche żech wyboczył.

I tak se nikiedy myślym, że dzisio ci młodsi, głównie ci z tych paneloków, nimajóm szajnu ani pojyncio, co to sóm ty szkubaczki. Tóż do wyjaśniynio i przipómniynio. Ty se odbywały w dómach, kaj se chowały gynsi, a dóma były dziołchy, kierym było trzeba zrobić wybawe, jak se wydajóm, i to głównie pierziny. W lecie, jak gynsi były dość obrosłe piyrzim, tak se ich oszkubało-podszkubało z tego piyrza, kiere im zaś dorosło. I jak se gyńś zabiło, to se jóm do czysta oszkubało i to piyrzi se dowało do papiyrowych pytli. A po Nowym Roku, jak były dłógi zimowe wieczory, to se szkubało, to znaczy, że piyrzi se odszkubało od trzónka piórka. Trzónki se wyciepało albo z nikierych wjynkszych se robiły wiónzanki i było czym smarować, jak se piykły buchty abo jak se smażyła pieczónka.

Była to ni ciynżko, ale tako żmudno robota. I tymu chodziły babki i mamulki na ty szkubaczki, by gaździnie pumóc. Ludzie se pumogali jedyn drugimu we wszystkim i szkubali to piyrzi, by dziołcha, jak se wydo, miała pierziny. A tym rozmańtym bojkóm, opowiadanióm końca nie było.

Spóminóm se na jednóm stareczke, kiero umiała nejlepi opowiadać ty rozmańte przigody. Mówili ji Lola. Tóż jóm wszyndzi zapraszali, kaj se szkubało. A my młodzi,

siedzieli my kole ściany na dłaszce i posłóchali tego opowiadanio z gymbami odewrzitymi jak wrota od stodoły i wytrzeszczónymi oczyskami, skoro my ani nie dychali. Roz też jedna z babek powiado: "Lola, opowiydzcie nóm o tym, jak ta Maryśka szła za potke małymu wasermónowi", a Lola se nie dała nigdy dwa razy pytać.

"Tóż posłóchejcie, to wóm było tak: U jednego siedloka w dziedzinie słóżyła dzieweczka, Marysia ji było na miano. Chodziła każde rano siyc trowe krowóm ku dojyniu. Jednego rana siykła tóm trowe na łónce przi Olzie. Naroz wyskoczyła ku ni żaba. Marysia se ji wylynkała i powiedziała do ni: Uciecz żabko, bo cie utnym. Jak to powiedziała, żaba se naroz przemiyniła w chłopka. Przedstowcie se, był to wasermón. Mioł zielóne oczy, czyrwiónóm czopeczke i zielóny kabot, z kierego mu kapała woda. Wasermón se do ni odezwoł: Kiedy tyś je tako dobro, a nie chcesz mi ubliżyć, to jo cie bydym o cosikej pytać: Maryśko, spełni mi mojóm prośbe. Pódź mi za potke mojimu małymu synkowi. Zaniesiesz mi synka ku krztu. Marysia, jak to usłyszała, ogrómnie se polynkała i powiedziała: Ni mogym iść, bo mie gazda nie puszczóm. A wasermón powiado: Jo tam przydym za tym gazdóm i popytóm go, żeby cie puścił za tóm potke. Na drugi dziyń rano młócili u gazdy we stodole. I tu naroz idzie wasermón ku stodole. Jak go Maryśka uwidziała, tak se zlynkła, że i cep puściła z rynki. Wasermón pieknie pozdrowił po krześciańsku: Boże, pumogej! I powiado do gazdy: Gazdoszku, jo was przyszoł pieknie pytać, żebyście puścił oto Maryśke, aby szła za potke mojimu synkowi. Gazda dobrze wiedzioł, że taki bytości se nie śmi odmowiać i powiado: Wiysz, jo ci jóm puszczym, jyny tak rób, aby se nic złego nie stało. Otoczył se ku Maryście i powiado: Tóż se oblykej jak do kościoła, a idź. Maryśka se oblykła i poszła z wasermónym. Szli, aż przyszli na łónke, kaj Marysia wczora siykła trowe. Jak byli w postrzodku łónki, wasermón trzi razy rznył złotym pryntym o ziym. Tu sie naroz odewrzyły dwiyrze jak do jakigo zómku. Jak przekroczyli próg, dwiyrze se zaroz za nimi zawrziły. Potym szli po schodach na dół. Marysia se ni mógła nadziwać tej szumnocie dookoła, co tam wszystkigo pieknego było. Tu nadeszła słóżónco i zakludziła Maryśke do jednej szumnej izby i tam jóm należycie ugościła. Poszli do drugi izby. Tam se Maryśka prziwitała z wasermónkóm i zaczły oblykać do krztu małego wasermónka. Tu naroz kole okna przejechała złoto kolasa, a w ni siedzioł szumny, pieknie obleczóny chłop, był to potek. Maryśka se pyto wasermónki: Jaki chcecie dać miano waszymu syneczkowi? - Na Kubuś! Potym wziyna małego wasermónka na rynce i z potkym pojechali ku krztu. Jak przijechali od krztu, potek se grzecznie pożegnoł z Maryśkóm i odjechoł kolasóm. Tata wasermón zakludził ją do dalszej izby. Posadził jóm ku stołu i ugościł należycie. Jedzynio i picio były pełne stoły. Jak tak jadła i piła, dziwo se, że w izbie żodnego ni ma. Stanyła od stołu i rozglóndo se po izbie. Przyglóndo se wszystki tej krasie. Naroz uwidziała na jednej półce same malowane żbóneczki. Wszystki były ustawióne do góry nogami. Rozmyślo, co to znaczy, co pod tymi żbóneczkami może być. Dźwigła jedyn i tu spod niebo wyfyrknył bioły gołómbek i wylecioł przez odewrzite okno. Wtym wloz do izby wasermón i powiado: Nale, łobościkany! Maryśko coś to zrobiła. Dyć żeś mi wypuściła jednóm utopiónóm duszyczke! Już tu

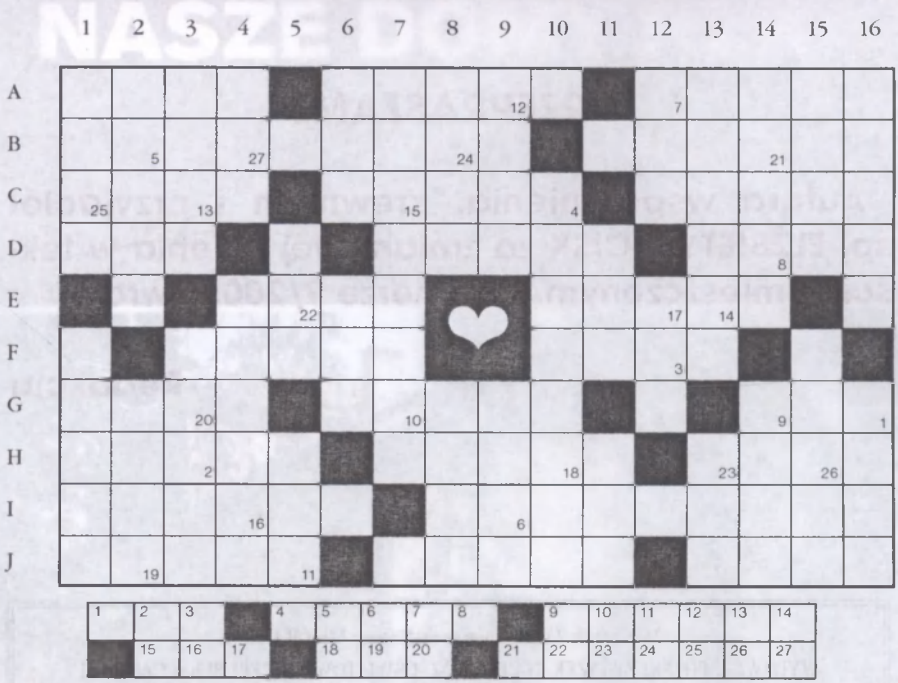
deli ni możesz zustać. Piniyndzy ci nie dóm. Dóm ci zaczarowanóm chuste. Jak bydziesz co potrzebować, to rozcióng chuste i powiydz: Chusto, dej mi to a to! Zaroz to bydziesz miała. Ta chusta bydzie posłóchać jyny ciebie, powiela bydziesz tak skromno a uczciwo. Innego óna posłóchać nie bydzie. Pożegnoł se ś nióm, podziynkowoł i wyprowadził jóm spatki na świat. Maryśka szła ku chałupie i jak przyszła, wszyscy se ji pytali: Kaj mosz kołocze, wysłószke z gościny? Maryśka im powiado: Poczkejcie, poczkejcie ni tak z hórta. Jak weszła do izby, wszyscy jóm obstómpili i byli ciekawi. Maryśka zdjyna chuste z głowy, rozciónga na stole i rzekła: - Chusto, dej mi piekne szaty! I tu zaroz na stole były przepiekne szaty. Wszyscy zcichli w tej chwili. Óna dali powiado: Chusto, dej nóm wszystkim najeść i napić. I zaroz na stole było pełno jedzynio i picio dlo wszystkich. Od tego czasu Maryśka se miała dobrze i że była dali skromno i uczciwo, chusta ji dobrze cały żywot słóżyła."

To było jedno z opowiadań stareczki Loli.

Jak szkubaczki se kóńczyły, tak były tzw. doszkubki. Gaździno przigotowała należytóm gościne, na kieróm przyszły dziołchy ze swojimi galanami i tańcowało se i śpiywało. No a co se takigo jadło? Ni, takich dobroci, jaki sóm dzisio, żodnymu nie nadbywało. Były warzóne gałuszki z jynczmynio, kukurziczno krupica. To se kukurzica zemleła na żarnach i przesioła. Z tego drobnego se zrobiła plutyna, to grubsze se uwarziło we wodzie i jak to było twarde, tak se to jadło, wziyno se kónsek do rynki i jadło se z kwaśnóm kapustóm. To gaździno na takóm okazyje zrobiła lepszóm putyne, kiero była uwarzóno w mlyku. Jedli też ziymioki, ty drobnioki, ty se nie szkrobały, to se ich opłókało i uwarziło i wysypało na stół na bónclokowóm mise. Na talyrziku była nasypano sól, w kierej ziymioki troche obzolali i jedli. Gaździno nagotowała domowego syra z mlykym. Jak było zło uroda ziymioków i obilo było mało, to gaździno upiykła placek rzepowy. Zetrzyła rzepe, wsuła do ni rężnej krupice i upiykła na kwasku placek w trómbie. A bawić jak se umieli na doszkubkach, szkoda mówić. Tańcowało se o sto sześć: żarocze-kroczki-kowola-kołomajke-kocurki i kajby. Kiery człowiek by se to wszystko pamiyntoł. A śpiywanio było pełno pieknych starodownych pieśniczek. Syncy na polu dziołchy wyściskali i pusy se dowały i tak se bawiło skoro do rana.

U nas w dziedzinie wóm był taki starodowny zwyczaj. A to tzw. łupani pni. Kiedy mieli siedlocy porobióne przed żniwami w polu, to przed żniwami urzóndzali to łupani pni. Co to takigo było, to wóm opowiym. Zbiyrali se ku wieczoru w topolinie przi Olzie. Gazdowie se poskłodali na beczke piwa i na cosikej ostrzejszego. Każdo gaździnka przyniósła gyńś pod parzóm. Gynsi se pozabijało, wykuchało, napełniło se oszkrobanymi i pokrotymi na drobno ziymiokami i piykło se to nad ogniym. Moc fajne to je. No i ludzie popijali, pojodali i pieknie aż do rana śpiywali. A że ludziska w naszej dziedzinie radzi śpiywali, bo było dobrych śpiywoków i śpiywoczek dość, tak w 1910 r. powstoł w naszej dziedzinie miyszany chór, kiery śpiywo o sto sześć po dzisiejszy dziyń.

DAR. JOCHEL



KRZYŻÓWKA

Gdy wioska płonie, wznoszą się dymy, ... (rozwiązanie dodatkowe krzyżówki).

Przysłowie malajskie

POZIOMO: A. Unosi się nad mokradłami; motyw dekoracyjny; miejscowość we Francji. - **B.** Figura stylistyczna (omówienie); miasto nad Wieprzą. - **C.** Posłanka Zeusa i Hery; inserat; jeden z gwiazdozbiorów. - **D.** Legendarna dynasta chińska; ojczyzna Odyseusza, rzeka w Rosji. - **E.** Psalmista albo sługa cerkiewny; przyłączenie się do czegoś. - **F.** Opera Paderewskiego; półwysep na Ukrainie. - **G.** Rzeka w Niemczech; używana jest jako podściółka; przybrzeżna wyspa chorwacka. - **H.** Miasto i prowincja we Włoszech; kochanek; królowa w szachach. - **I.** Składnik naturalnych olejów; cesarz rzymski (378-408). - **J.** Posag; lasso; płynie po dolinie jak przed laty.

PIONOWO: 1. Charakterystyka; fizyk rosyjski (Aleksander). - **2.** Okręg administracyjny w Grecji; bogini indyjska. - **3.** Solo w operze; pomogła Jazonowi zdobyć złote runo. - **4.** Cecha (charakteru); twórca teorii ewolucji organizmów. - **5.** Ryba; „tak" po czesku. - **6.** Papuga; „sztuka" po łacinie. - **7.** Okres upałów. - **8.** Składnik powietrza; imię Sharifa. - **9.** Tytuł powieści Zoli; imię Twaina. - **10.** Zabawka dziecięca używana do ćwiczeń sportowych. - **11.** 4047 m^2; pląs. - **12.** Opłata graniczna; przydomek pogromcy Maurów. - **13.** Dzielnica murzyńska w Nowym Jorku; historyk rzymski (Kasjusz). - **14.** Roślina pastewna i zbożowa; pisarz niemiecki (Jean). - **15.** Rzeka w Mongolii i Rosji; skóra z usuniętym licem. - **16.** Pas lub sznur noszony przez chrześcijan w Turcji; merla.

Wyrazy trudne lub mniej znane: CHOOZ, PAG, PERIA.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną rozlosowane nagrody książkowe.

Rozwiązania prosimy przesyłać do końca października.

Rozwiązanie z numeru sierpniowego: **Wykreślanka: KWARTET PIECHACZKA**
Krzyżówka magiczna: BAMBOLA
Logogryf łamany: GÓRNIK

Nagrody książkowe wylosowali: **Janina Kotas** - Oldrzychowice
Maria Dzwigoń - Sucha Górna

PRZEPRASZAMY

Autora wspomnienia, krewnych i przyjaciół śp. ELŻBIETY OCISK za zmianę Jej imienia w tekście umieszczonym w numerze 9/2005 Zwrotu.

Redakcja

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Strzelnicza 28, P.O.Box 97, 737 01 CZESKI CIESZYN,
tel. i fax: 558 712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI,
Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK,
Józef WIERZGON, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów - Infiniti art, s. r. o., Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 240 Kč, z wysyłką pocztową 324 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02
z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE DOMY PZKO



DOM PZKO
w Rychwałdzie

Odes.: Redakce ZWROT
Střelniční 28
737 01 Český Těšín

O.P. P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE SZKOŁY

BŁĘDOWICE

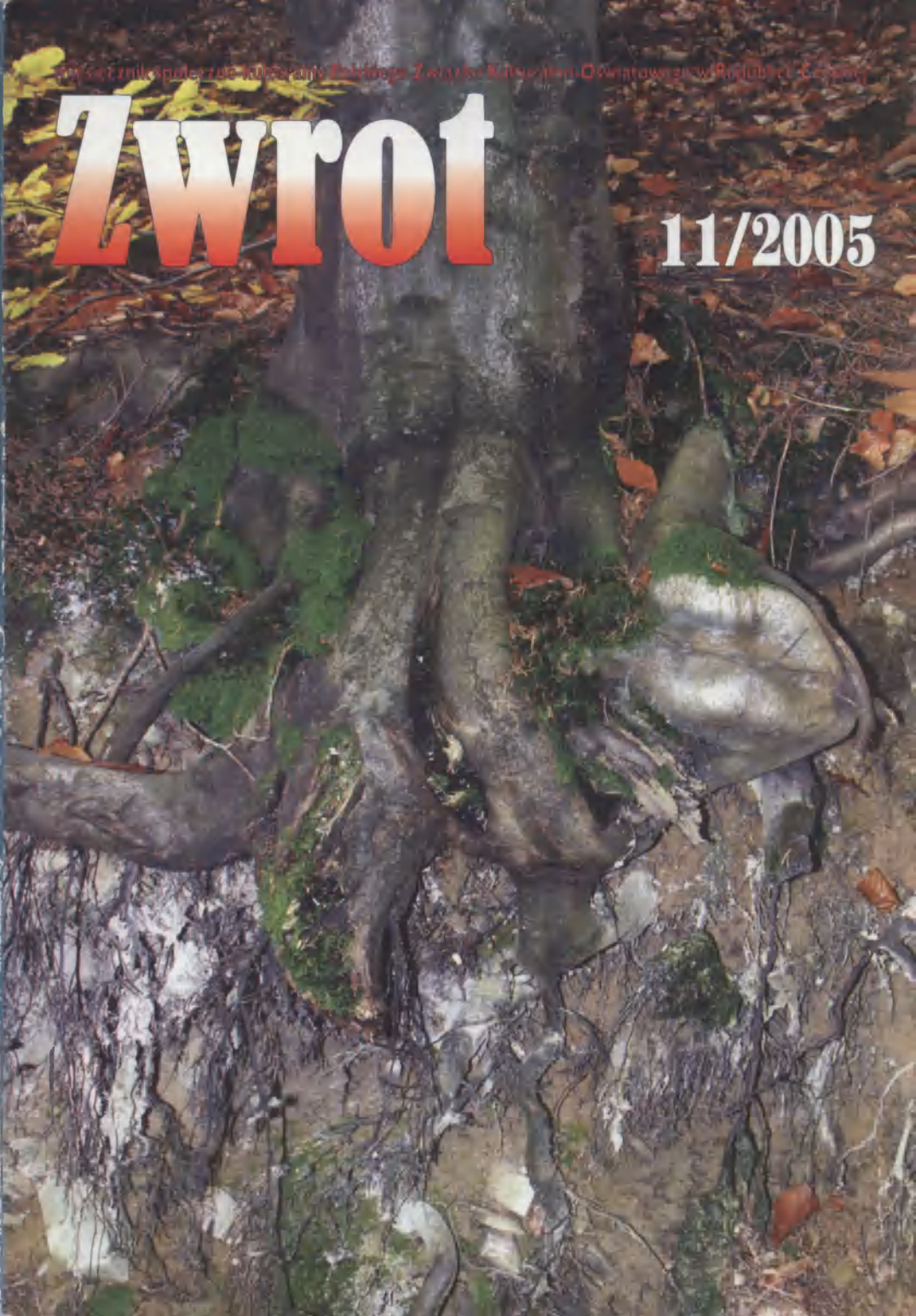


ISSN 0139-6277

Kwartalnik społeczno-kulturalny Polskiego Związku Kolarstwa Downhillowego w Rudzicach Górnych

Zwrot

11/2005



TACY BYLIŚMY



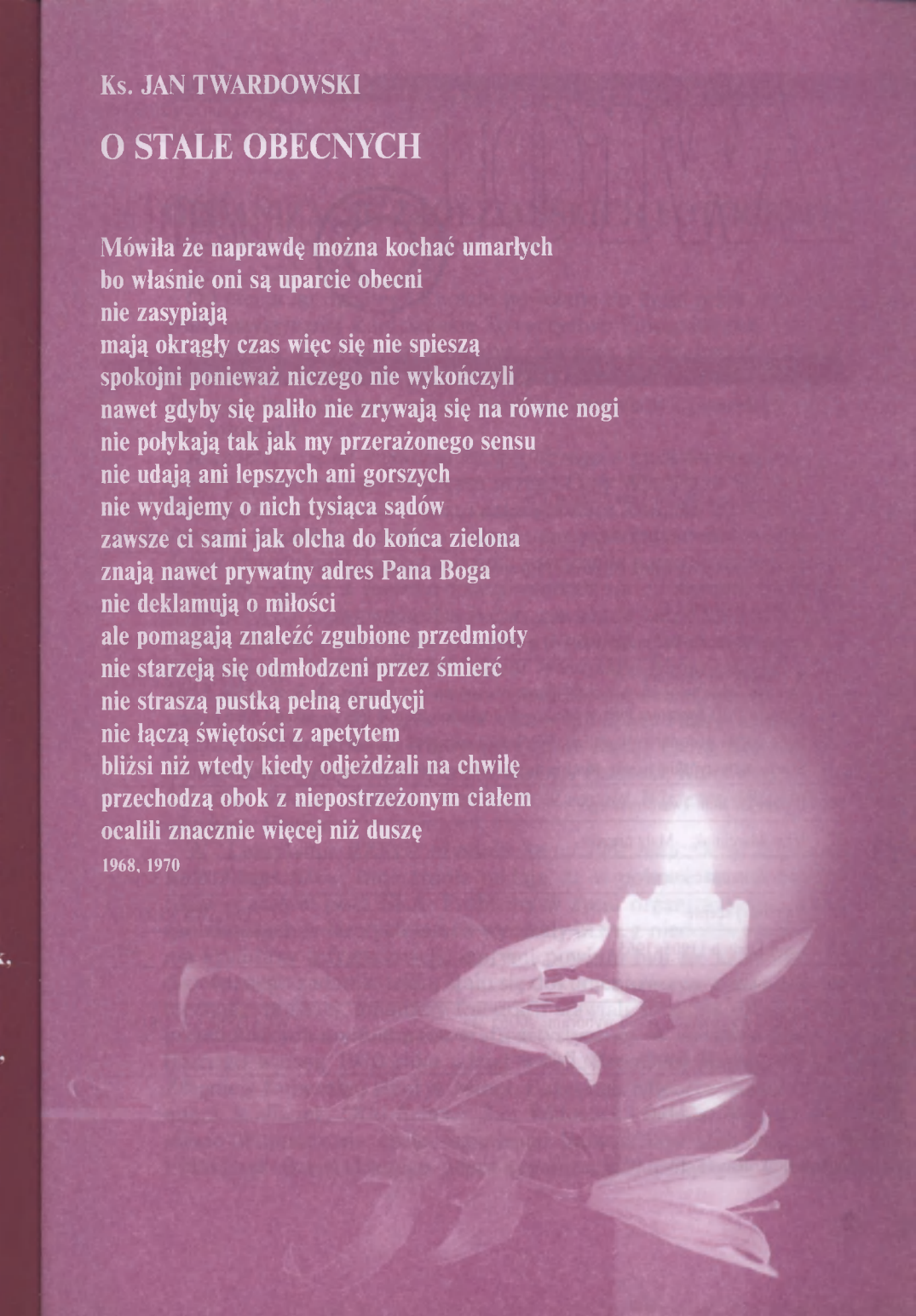
Zarząd Koła Macierzy Szkolnej w Skrzeczoniu – rok 1933.
Siedzą od lewej: Adolf Retek, Emil Popek, Hugo Szewczyk, Jan Wałoszek, Jan Zyder – kierownik szkoły, Wilhelm Klos, Engelbert Zajic.
Stoją od lewej: Maksymilian Guziur, Franciszek Klima, Józef Krzystek, Wilhelm Czempiel, Olga Babiszowa – nauczycielka, Stanisław Grzebień, Rudolf Opic, Adam Jaworzyn, Antoni Sedlaczek.
Fotografię udostępnił redakcji p. Albert Grzebień.

Ks. JAN TWARDOWSKI

O STALE OBECNYCH

Mówiła że naprawdę można kochać umarłych
bo właśnie oni są uparcie obecni
nie zasypiają
mają okrągły czas więc się nie spieszą
spokojni ponieważ niczego nie wykończyli
nawet gdyby się paliło nie zrywają się na równe nogi
nie połykają tak jak my przerażonego sensu
nie udają ani lepszych ani gorszych
nie wydajemy o nich tysiąca sądów
zawsze ci sami jak olcha do końca zielona
znają nawet prywatny adres Pana Boga
nie deklamują o miłości
ale pomagają znaleźć zgubione przedmioty
nie starzeją się odmłodzeni przez śmierć
nie straszą pustką pełną erudycji
nie łączą świętości z apetytem
bliżsi niż wtedy kiedy odjeżdżali na chwilę
przechodzą obok z niepostrzeżonym ciałem
ocalili znacznie więcej niż duszę

1968, 1970



Zwrot

Rok LVI, Nr 672
Cena numeru 20,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 27,00 Kč

11/2005

KSIĄŻNICA CIESZYŃSKA
cz III 6

W NUMERZE

3	Organizacje zaolziańskich fotografików	CZESŁAWA RUDNIK
6	SHR - 40 lat pożytecznej pracy	STANISŁAW ZAHRADNIK
14	Ze wspomnień Oswalda Guziura (1910-1996) z Suchej Górnej (2)	
18	Beskidy rodzone (2)	WŁADYSŁAW SIKORA
22	Językowe pogranicze cieszyńsko-laskie (6)	WŁADYSŁAW MILERSKI
26	Z Osówek do Suczawy	WŁADYSŁAW KUBIEŃ
34	Kronika: XIII Światowe Forum Mediów Polonijnych, Babski Festyn, 60 lat Głosu Ludu, Stare i nowe w domu i w ogrodzie, Wycieczka poznawcza Sekcji Ludoznawczej, Skarby z cieszyńskiej trówły, Ruch polityczny Coexistentia - Wspólnota po kongresie	
50	Poezja ks. Jana Twardowskiego	
52	Jerzy Marciniak: ...Mały prezent	
59	Łatwiej napisać księgę	FRANCISZEK SZOPA
64	Na naszej scenie	CZESŁAWA RUDNIK
68	Leon Derlich (1905-1965)	C.R.
69	Z dorobku Leona Derlicha	
70	Podróż po gminach przed wyborami 2006 (2)	WŁADYSŁAW DRONG
75	Pożegnania: Ela Sekula, Alojzy Babiński	

Numer zamknięto 14. 10. 2005

ORGANIZACJE ZAOLZIAŃSKICH FOTOGRAFIKÓW

Od pięciu lat działa na Zaolziu powołane do życia przez miłośników fotografii artystycznej Zaolziańskie Towarzystwo Fotograficzne. Jego założyciele wywodzą się z grona członków dawnego pionu foto-filmowego Sekcji Literacko-Artystycznej przy Zarządzie Głównym PZKO, która przez kilka dziesięcioleci zrzeszała oprócz literatów, muzyków i plastyków także amatorów fotografii.

Rozpoczęło się od konkursu fotograficznego - pisał o początkach polskiego ruchu fotograficznego na lewym brzegu Olzy Władysław Sikora - *zorganizowanego przez ZG PZKO z okazji dziesięciolecia Związku w roku 1957. Chodziło wówczas w większej mierze o dokumentację obchodów niż o indywidualne widzenie fotograficzne, lecz od początku odczuwano potrzebę stworzenia szansy dla fotografiki. Jeden z jurorów, którzy spotkali się 17 grudnia 1957 roku, prof. Gustaw Fierla zaproponował wówczas powołanie sekcji fotograficznej przy ZG PZKO. Myśl tę zrealizowano w kilka lat później. Pierwsze spotkanie pionu foto-filmowego, na którego czele stanął Władysław Wojnar, odbyło się 13 lutego 1963 roku, zaś do pierwszej wystawy połączonej z ekspozycją malarską SLA doszło od 22 czerwca do 5 lipca 1964 roku w sali hotelu Piast w Czeskim Cieszynie. Uczestniczyli w wystawie: Władysław Cieślar, Rudolf Fierla, Zbigniew Kubeczka, Henryk Minol, Eugeniusz Mleczko, Gabriel Palowski, Karol Piegza, Rudolf Pindur, Otto Szlauer, Tadeusz Trzaskalik, Leopold Wiszczor, Władysław Wojnar i Tadeusz Wratny.*

W "Leksykonie PZKO" czytamy, że *od 1961 roku zaczął działać przy SLA Klub Fotografików*, inne źródła podają, że w połowie lat 60. Klub Fotografików pracował poza SLA. Problemy w życiu organizacyjnym fotografików zaolziańskich w tamtych latach wynikały m.in. z niedokładnego sprecyzowania kryteriów artystycznych, którymi powinni byli się kierować. Obok bardzo ważnego zadania, jakim stało się dokumentowanie wydarzeń z życia społeczności polskiej, amatorzy fotografii stawiali sobie za cel tworzenie dzieł pretendujących do miana fotografii artystycznej. W wystawie Klubu Fotograficznego wiosną 1970 roku udział wzięli: Bronisław Bielan, Rudolf Fierla, Zbigniew Kubeczka, Henryk Minol, Eugeniusz Mleczko, Karol Piegza, Kazimierz Suchanek, Otto Szlauer, Jan Wałoszek, Tadeusz Wratny. Po Władysławie Wojnarze na czele organizacji fotografików stali Tadeusz Wratny, Franciszek Bałon, którego talent organizacyjny połączony z umiłowaniem

sztuki fotografii przyczynił się do rozkwitu działalności zaolziańskiego środowiska fotografii artystycznej w latach 70. i 80., Adam Szop.

Pion foto-filmowy SLA współpracował w drugiej połowie lat 70. ze Studiem Filmu Amatorskiego pod kierownictwem Stanisława Orszulika, działającym przy MK PZKO na nowym osiedlu w Karwinie Granicach. Zorganizowano kilka roczników Przeglądu Filmów Amatorskich PZKO. W planie pracy pionu foto-filmowego SLA były seminaria, kursy, szkolenia, konkursy i oczywiście wystawy zbiorowe i indywidualne. Nie sposób wymienić tu wszystkich akcji fotografików. Oto przykładowo kilka z nich. W 1978 miała miejsce wystawa zbiorowa fotografii Franciszka Bałona, Bronisława Bielana, Zbigniewa Kubeczki, Eugeniusza Mleczki, Tadeusza Wratnego, Kazimierza Suchanka, Otto Szlauera. W roku 1979 z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka zorganizowano wystawę "Dziecko w obiektywie", na której znalazły się prace nadesłane na konkurs pod taką samą nazwą. W roku 1980 ogłoszono konkurs fotograficzny "Moje miasto, moja wieś", pion foto-filmowy liczył wtedy 14 członków. W roku 1984 odbyło się w Koszarzyskach Jesienne Spotkanie Robocze, w roku 1985 Seminarium Plenerowe na Jaworowym, w roku 1986 Wiosenne Spotkanie Fotografików w Łomnej Dolnej i Jesienne Spotkanie Fotografików w Śmiłowicach. W tym samym roku zaczęło pracować kółko młodych fotografików i klub filmowca. W 1987 roku odbył się mini plener fotograficzny w Gutach, fotograficy wystawiali także poza regionem w Ostrawie, a także w Polsce, w Opolu, Krakowie. W roku następnym zorganizowano I Akcję Fotograficzną "24 godziny w Czeskim Cieszynie" i Konkurs Fotografii Artystycznej o Laur Roku, uczestnicy akcji pezetkaowskich w Błędowicach i Stonawie obejrzeli także wystawy zbiorowe fotografików, jesienne spotkanie przebiegało pod hasłem "Jeden dzień w Gutach". W roku 1989 odbyły się warsztaty fotograficzne SLA wiosną w Orłowej i Dąbrowie, jesienią w Milikowie.

Po 1989 roku zorganizowana działalność fotografików zanikła - czytamy w „Leksykonie PZKO". Jednak w materiałach zgromadzonych w Archiwum PZKO znajduje się spis członków pionu foto-filmowego SLA z roku 1993. Były to następujące osoby: Adam Szop, Franciszek Bałon, Jan Kraina, Radomir Krygiel, Bogdan Krzywoń, Stanisław Orszulik, Bogusław Rajski, Otto Szlauer, Piotr Wojoczek, Tadeusz Wratny, Czesław Góral, Tadeusz Kotas, Kazimierz Branny, Wiesław Przeczek. Działania fotografików miały w owym czasie charakter mniej formalny, spotykali się np. w redakcji Zwrotu przy wybieraniu zdjęć do kolejnego numeru miesięcznika, a plon ich pracy widoczny był przede wszystkim na łamach wydawnictw zaolziańskich, w periodykach polskich i w publikacjach książkowych. To zadanie zresztą, by nie tylko służyć czytelnikowi swoją fotografią jako materiałem ilustrującym życie mniejszości polskiej, ale także prezentować pewien program artystyczny poprzez wnoszenie nowych wartości estetycznych, przyświecało amatorom fo-

tografii twórczej od początku ich działalności. W drugiej połowie lat 90., chociaż nie było wtedy jeszcze mowy o założeniu nowej organizacji, fotograficy zaolziańscy brali udział w wystawach, plenerach, odbywały się np. plenery w Śmiłowicach, spotkania u Adama Szopa, rozwijała się też współpraca z fotografikami po drugiej stronie Olzy zrzeszonymi w Cieszyńskim Towarzystwie Fotograficznym.

Bezpośrednim impulsem do założenia oficjalnej organizacji, ze statutem i numerem identyfikacyjnym, był pomysł, by napisać projekt umożliwiający otrzymanie pieniędzy z funduszu Phare. Pod koniec 2000 roku powstała nowa organizacja zrzeszająca fotografików Zaolzia. Z hasłem *Amatorzy dobrej fotografii, wystąp!* zwróciła się grupa członków dawnego pionu foto-filmowego SLA nie tylko do fotografików zawodowych, ale do wszystkich osób lubiących fotografować, a nawet kolekcjonerów np. starych zdjęć. *Fotografia to twórcza, żywa dziedzina, rozwijająca się w różnych kierunkach* - pisali pomysłodawcy w odezwie do miłośników dobrej fotografii. - *Pod wspólnym nagłówkiem łatwiej zdobyć potrzebne środki finansowe, łatwiej o prezentację własnego dorobku. Otwierają się szersze możliwości współpracy i wymiany doświadczeń z podobnymi towarzystwami.*

Zebranie założycielskie Zaolziańskiego Towarzystwa Fotograficznego odbyło się 14 grudnia 2000 roku w Domu Polskim im. Żwirki i Wigury w Cierlicku Kościelcu. Prezesem Towarzystwa wybrany został Kazimierz Branny. 7 lutego 2001 roku ZTF zarejestrowane zostało w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i jest dziś jedną z organizacji zrzeszonych w Kongresie Polaków.

Kilku współczesnych fotografików zaolziańskich - krótkie biografie i zdjęcia ich autorstwa - reprezentantów różnych pokoleń, przedstawiliśmy na łamach Zwrotu w 2001 roku, byli to: Wiesław Przeczek, Marek Santarius, Radomir Krygiel, Tomasz Zwyrtek, Bruno Michalik, Kazimierz Jaworski, Tadeusz Gabryś i Kazimierz Branny.

Głównym celem Zaolziańskiego Towarzystwa Fotograficznego jest szeroka popularyzacja sztuki fotograficznej, pogłębianie wiedzy i rozwijanie umiejętności w tej dziedzinie. Organizacja liczy w tej chwili ośmiu członków, do tego dochodzi grupka osób, które dorywczo uczestniczą w działaniach Towarzystwa. Próbki twórczości można znaleźć na stronie internetowej sweb.cz/ztf, osoby zainteresowane sprawami organizacji czy ogólnie fotografią mogą kierować swoje pytania i uwagi na adres internetowy ztf@seznam.cz. Jak przyznaje prezes ZTF, kuleje trochę współpraca z Głosem Ludu i Zwrotem, mała aktywność Towarzystwa sprawia, że czytelnicy polskiej prasy na Zaolziu mają niewiele okazji do oglądania fotografii artystycznej członków ZTF na łamach swoich pism.

Spotkania ZTF, podczas których prowadzone są dyskusje na tematy fotograficzne i oglądane fotografie, odbywają się co miesiąc. Działalność ZTF

poza tym polega na przygotowywaniu wystaw, organizowaniu plenerów. Dwu-, trzydniowym plenerem są Śmiłowickie Spotkania Artystyczne, od czterech do ośmiu dni trwają plenery w Beskidach, zdjęcia powstają też podczas jednodniowych wycieczek organizowanych wraz z Cieszyńskim Towarzystwem Fotograficznym z Cieszyna. Plon plenerów fotograficznych podziwiać można na wystawach, które odbywają się co najmniej raz w roku np. w ośrodku kultury Strzelnica czy w Teatrze Cieszyńskim w Czeskim Cieszynie, oprócz tego członkowie ZTF indywidualnie uczestniczą w wystawach przygotowywanych przez inne organizacje, współpracują z Fotoklubem w Karwinie, w Jabłonkowie. Po polskiej stronie wystawiają fotograficy w Cieszynie w Domu Narodowym, w galerii CTF w Księgarni Piastowskiej, jeżdżą na wystawy do Bielska, Katowic. W ramach akcji "Skarby z cieszyńskiej trówły" 24 września bieżącego roku odbył się w Oranżerii cieszyńskiego Zamku Sztuki i Przedsiębiorczości wernisaż wystawy fotografii członków CTF i ZTF nazwanej "Magiczne Zaolzie".

W 2003 roku ogłosili członkowie Zaolziańskiego Towarzystwa Fotograficznego konkurs fotograficzny dla młodzieży oraz zorganizowali warsztaty - cykl zajęć na temat fotografii tradycyjnej. W planach Towarzystwa jest kontynuacja pracy z młodzieżą, wspólnych wycieczek i plenerów oraz rozwijanie kontaktów z innymi organizacjami.

CZESŁAWA RUDNIK

CZTERDZIEŚCI LAT POŻYTECZNEJ PRACY

Sekcja Historii Regionu należy do najstarszych i najaktywniejszych sekcji ZG PZKO działających do czasów obecnych.

Narodziny Sekcji Historii Regionu - do 1983 r. noszącej nazwę Sekcja Historyczna (dalej w tekście Sekcja lub SHR) - odbywały się w specyficznych warunkach władzy totalitarnej. Praca społeczna opierała się na innych podstawach prawnych, inne były potrzeby społeczności polskiej, przejawiającej wówczas większe zaangażowanie w pracy społeczno-narodowej. Działalność SHR w pierwszych dziesięcioleciach nie była mile widziana przez władze państwowe, nie była też hołubiona przez władze naczelne PZKO. Fakt ten wyraźnie wpływał na poczynania SHR i ich efekty.

Panujące stosunki społeczno-polityczne nie sprzyjały rzetelnemu odtwarzaniu przeszłości zaolziańskiej. Świadomość narodową, patriotyzm, przywiązanie do tradycji uważano wówczas za sprawy drugorzędne, podporząd-

kowane zagadnieniu naczelnemu - walce klasowej, potrzebom budowania socjalizmu, a w perspektywie komunizmu. Ówczesny model kwestii narodowościowej ograniczał możliwości samorealizacji narodowej do kultury i szkolnictwa z polskim językiem nauczania.

Po wyzwoleniu spod okupacji hitlerowskiej pozostał w świadomości Polaków na Zaolziu bogaty przedwojenny dorobek moralny i materialny. Pomyślnie rozwijające się życie narodowe bezpośrednio po II wojnie światowej na początku lat 50. zostało mocno stłumione, w większości wypadków nawet uniemożliwione. Coraz wyraźniej zaczęto odczuwać brak rzetelnych opracowań historycznych dotyczących Zaolzia, dlatego PZKO, jedyna wówczas działająca organizacja polska, postanowiła wziąć pod swoje skrzydła opiekuńcze budzącą się do życia tego rodzaju działalność.

W połowie lat 60. ub. wieku nastają warunki do zwrócenia uwagi na sprawy historyczne. Wykorzystało to kilku zainteresowanych tą problematyką działaczy i przystąpiło do dzieła. Jesienią 1964 r. zwrócił się Stanisław Zahradnik do ZG PZKO z propozycją założenia przy ZG PZKO Sekcji Historycznej. Ponieważ propozycja została bez odpowiedzi, S. Zahradnik przedstawił ją w swym przyczynku dyskusyjnym na IX Zjeździe PZKO wiosną 1965 roku. Tym razem wniosek spotkał się z przychylnym przyjęciem ze strony delegatów i znalazł się w uchwale zjazdowej.

W zebraniu inauguracyjnym, 29 IX 1965, w obecności sześciu osób ustalono następujący zakres pracy Sekcji:

1) będzie ona pracować na prawach komisji i sekcji ZG PZKO;

2) ma stwarzać warunki do pracy tym członkom, którzy zajmują się badaniami historycznymi;

3) Sekcja zaopiekuje się materiałami źródłowymi dotyczącymi historii naszego terenu;

4) w celu zaznajamiania naszego społeczeństwa z tradycjami będzie publikować na łamach naszej prasy i w inny sposób wyniki swych badań i prac oraz uwagi do wydanych publikacji;

5) członkowie Sekcji będą się nawzajem informować o swych poczynaniach i uzgadniać poglądy na poszczególne zagadnienia;

6) Sekcja będzie pomagać ZG PZKO przy realizacji różnych imprez związanych z problematyką historyczną (kroniki, publikacje jubileuszowe itp.);

7) w swej działalności pragnie Sekcja przyczynić się do wychowania naszego społeczeństwa w duchu szczerej przyjaźni i współpracy między narodami oraz ugruntować poczucie przynależności narodowej i prawdziwą dumę narodową.

Śmiałe założenia działalności Sekcji przekraczały jej możliwości, tym bardziej, że była odgórnie sterowana.

Sekcja zrzeszała początkowo 16 członków, z których część w ogóle nie włączyła się do pracy. Przewodniczącym wybrano Stanisława Zahradnika, archiwistę z Trzyńca, instruktorem sekcji została etatowa pracowniczka ZG PZKO Janina Czermińska. Pierwszy skład Sekcji obejmował kwiat ówczesnych działaczy społecznych. Byli to: Henryk Bolek, Karol Cieńciała, Paweł Cieślar, Wilhelm Godula, Henryk Jasiczek, Józef Mazurek, Karol Mrózek, Józef Ondrusz, Karol Piegza, Jan Rusnok, Władysław Sikora, Tadeusz Siwek, Józef Stebel, Paweł Trombik, Stanisław Zahradnik, Gustaw Zuczek. Znaczącą pomocą w początkowych poczynaniach Sekcji byli goście zza Olzy Józef Chlebowczyk i Ludwik Brożek, którzy brali udział w zebraniach Sekcji i służyli jej swymi bogatymi wiadomościami i doświadczeniami. Z wielkim zapałem zabrano się do pracy. Pierwsze kroki nie zawsze odzwierciedlały aktualne potrzeby społeczności polskiej i PZKO. Przekraczały też możliwości skromnego grona historyków-amatorów zrzeszonych w Sekcji, lecz jej działalność powoli nabierała wyraźniejszych konturów koncepcyjnych.

Zwrócono się z apelem do społeczeństwa z prośbą o ratowanie wszelkich pamiątek świadczących o dorobku przeszłości i postanowiono zająć się pomijanym dotychczas zagadnieniem okupacji hitlerowskiej, a także opracowaniem przewodnika po Zaolziu. Postanowiono, że członkowie na zebraniach będą się wzajemnie informowali o wynikach swej pracy, o materiałach źródłowych, że będą koordynowali swe plany nad badaniami przeszłości Śląska Cieszyńskiego, a następnie publikowali na łamach Zwrotu, względnie Głosu Ludu materiały historyczne i uwagi do wydanych publikacji. Członków Sekcji zobowiązano do zbierania i ratowania przed zniszczeniem materiałów źródłowych, do wypracowania prelekcji z zakresu historii na aktualne tematy i do wygłaszania ich w terenie.

Zebrania Sekcji odbywały się raz na kwartał, w razie potrzeby częściej. Wyniki pracy uwarunkowane były w znacznej mierze składem osobowym. Nie byli to zawodowi historycy, ale raczej amatorzy i hobbyści. Przedsięwzięcia Sekcji musiały być dostosowane do posiadanej wiedzy i czasowych możliwości członków.

Wyrazem tych przedsięwzięć był cykl prelekcji dla PZKO, przymierzanie się do opracowania historii poszczególnych miejscowości zaolziańskich, gromadzenie materiałów dokumentacyjnych, próby nawiązania form współpracy z Klubem Nauczycieli Emerytów i Sekcją Folklorystyczną.

Przyczynek dyskusyjny wygłoszony na X Zjeździe PZKO w 1968 r. przez przewodniczącego S. Zahradnika zawierał dotychczasowe osiągnięcia Sekcji oraz wytyczał szereg postulatów z żądaniem ich zaakceptowania i włączenia do uchwał Zjazdu. Postulatów, z których niektóre do czasów obecnych nie

utraciły aktualności. Większość postulatów przekraczających zakres działania Sekcji była z góry skazana na niepowodzenie.

W okresie odwilży społeczno-politycznej w 1968 r. i walki o „socjalizm z ludzką twarzą" działalność Sekcji wyraźnie ożywiła się. Była inicjatorem budowy pomnika Jana Kubisza w Końskiej. Była współorganizatorem publicznego sympozjum 30-31 marca 1968 r. w Czeskim Cieszynie na temat początków polskiego odrodzenia narodowego na Śląsku Cieszyńskim. Wykładowcami byli najwybitniejsi znawcy tej tematyki z Czechosłowacji i Polski. Sekcja była głównym organizatorem obchodów jesienią 1968 roku 60. rocznicy założenia Siły i 100. rocznicy powstania Towarzystwa Rolniczego. W następnym roku Sekcja przygotowała seminarium nt. okupacji hitlerowskiej na Śląsku Cieszyńskim, które jednak z przyczyn od Sekcji niezależnych nie doszło do skutku.

Z ważniejszych imprez 1970 r. należy wymienić seminarium na temat polskiego szkolnictwa, wydanie jednodniówki z okazji 85-lecia Macierzy Szkolnej, wspólne z Sekcją Folklorystyczną ZG PZKO seminarium i wycieczka do Muzeum Etnograficznego w Krakowie. Podejmowano zabiegi o utworzenie placówki naukowej na Zaolziu. Z kolei Sekcja przygotowała i wydała biuletyn historyczny (zlikwidowany już po wydrukowaniu przez ZG PZKO). Poczyniono próby odkupienia zbiorów po śp. Józefie Mazurku. Omówiono publikacje książkowe dotyczące Cieszyńskiego oraz artykuły o tematyce zaolziańskiej w Zaraniu Śląskim, Slezskim sborniku i Těšínsku.

W 1970 roku Sekcja Historyczna zaczęła coraz bardziej odczuwać nieprzychylność, a nawet wprost ograniczanie możliwości działania. Było to spowodowane procesem „normalizacji" i usuwaniem następstw okresu odwilży. W tych warunkach uaktywnienie sekcji zajmującej się tematami podkreślającymi patriotyzm i polskość nie leżało w interesie nowej linii partyjno-rządowej. Ówczesne kierownictwo PZKO wiernie realizujące ową linię postanowiło wstrzymać działalność Sekcji Historycznej bez podania powodów. 21 czerwca 1971 r. odbyło się ostatnie zebranie Sekcji.

Dopiero pod koniec 1977 r. ZG PZKO mianował nowym przewodniczącym Sekcji Bogdana Kiszę, wicedyrektora czeskocieszyńskiego Polskiego Gimnazjum. Już 5 maja 1977 r. odbyło się zebranie poświęcone głównie sprawom organizacyjnym i ustaleniu programu działania. Pod względem organizacyjnym Sekcję zaszeregowano do Komisji ds. Nauki. Członkiem mógł być każdy pezetkaowiec, skład osobowy zatwierdzało i Sekcję mogło rozwiązać Plenum ZG PZKO. Sekcja powinna była zajmować się zagadnieniami dotyczącymi historii zaolziańskiej ludności polskiej i PZKO, należało podkreślać postępowe tradycje społeczne, aspekty internacjonalistyczne, współpracę czechosłowacko-polską i nie zamykać się tylko w zagad-

nieniach polskich. W praktyce oznaczało to mocną polityzację poczynań Sekcji.

Działalność Sekcji pod kierownictwem B. Kiszy (maj 1977 - listopad 1979) była ociężała. Program nie zawsze dostosowano do możliwości szczupłego grona członków Sekcji, odczuwano brak szczerej opieki ze strony ZG PZKO. W dodatku wszelkie poczynania krępował „doradca partyjny" (dr Kývala), którego zadaniem było ukierunkowanie pracy Sekcji.

Jedną z większych imprez w tym okresie było seminarium 4 lutego 1978 r. na temat „Zwycięski Luty 1948" i wydanie biuletynu historycznego. Na seminarium doszło do zgrzytu z „doradcą", który nie chciał dopuścić do zmiany jednego z referatów, ustalonych przez władze odgórnie.

Jesienią 1979 roku B. Kisza zrezygnował z przewodnictwa Sekcji. ZG PZKO mianował do tej funkcji w listopadzie 1979 r. zasłużonego działacza społecznego Jana Kotasa. Funkcję przyjął on z oporami tylko na okres przejściowy. Pełnił ją do kwietnia 1980 roku. Również jemu nie udało się zmobilizować Sekcji do większej aktywności. W październiku 1980 r. przewodnictwo Sekcji przejmuje Władysław Josiek, nauczyciel z bogatym dorobkiem badań historycznych. Funkcję tę wykonuje do listopada 1985 roku. W okresie jego przewodnictwa Sekcja Historii Regionu była komórką najbardziej pilnowaną przez władze komunistyczne w ZG PZKO.

Mimo zniechęcenia takim stanem rzeczy SHR działała. Akcja poszerzenia bazy członkowskiej o historyków-nauczycieli zaolziańskich przyniosła częściowe efekty. Śmiałe zamierzenia „penetracji terenu" zapowiadały się nieźle. W prywatnych zbiorach wielu byłych działaczy znajdowały się cenne materiały źródłowe. W listopadzie 1981 r. zorganizowano w Czeskim Cieszynie seminarium nt. polityki narodowościowej w Czechosłowacji. W. Josiek wspólnie z Wandą Wójcik opracowali i wydali publikację *Życie i działalność Władysława Wójcika*. 17 kwietnia 1984 r. w Domu PZKO im. K. Śliwki w Bystrzycy odbyło się zebranie wyjazdowe sztabu organizacyjnego sesji z okazji 90. rocznicy urodzin Karola Śliwki. Sesja zorganizowana pod patronatem KP KPC we Frydku-Mistku miała miejsce w Domu Kultury w Trzyńcu 4 czerwca 1984 r. W roku następnym SHR nosiła się z zamiarem wydania monografii Harcerstwa Polskiego w Czechosłowacji. Niestety władze pezetkaowskie nie pozwoliły na jej wydanie.

W pierwszej połowie lat 80. większość działań SHR pozostała bardziej w sferze marzeń niż realizacji. Pod koniec 1985 roku ZG PZKO przyjął rezygnację W. Jośka z funkcji przewodniczącego SHR. Zaistniała konieczność szukania człowieka, który podjąłby się tego zaszczytnego, ale wcale nie łatwego zadania, wymagającego ofiarności i poświęcenia. Znany działacz związkowy Otokar Matuszek z Suchej Górnej, pedagog, autor wielu artyku-

łów publikowanych w prasie z zakresu szkolnictwa, teatru amatorskiego, śpiewactwa oraz historii naszego regionu, nie bez oporu zgodził się ostatecznie stanąć na czele Sekcji.

Nastaje najbardziej intensywny okres działalności SHR. Jej pracę zaczęto dokładnie planować z uwzględnieniem realiów i konsekwentnie dążyć do spełnienia podjętych zadań. Efekty tych zmagań były coraz bardziej odczuwalne. W drugiej połowie lat 80. zorganizowano sześć seminariów na tematy: „65. rocznica założenia KPC"; „40. rocznica podpisania umowy o współpracy i pomocy wzajemnej między CSRS i PRL"; „40-lecie PZKO"; „Od Wiosny Ludów do zwycięstwa lutowego"; „80-lecie założenia gimnazjum w Orłowej i 40-lecie usamodzielnienia gimnazjum w Czeskim Cieszynie", „50. rocznica wybuchu II wojny światowej". Wykładowcami byli historycy czescy i polscy oraz członkowie SHR.

Z kolei SHR ogłosiła i zorganizowała 3 konkursy z różnych dziedzin życia narodowego. Przy współudziale SHR wydano dwie cenne publikacje: Józefa Kazika *Pamiętamy - Jednodniówka z okazji 40. rocznicy wyzwolenia obozu Mauthausen-Gusen* oraz pracę zbiorową *Domy Robotnicze* pod redakcją Jana Rusnoka.

Wydarzenia listopadowe 1989 roku oraz postępująca demokratyzacja życia publicznego i społecznego zapoczątkowały okres nowych możliwości, niczym nie skrępowanego działania, bez interwencji i ograniczeń ze strony władz partyjnych, a w konsekwencji władz związkowych. Nadszedł czas właściwej oceny faktów historycznych tego specyficznego „terenu" i odkrywania „białych plam". Fakt ten znalazł odbicie w śmielszych planach działalności SHR na następne lata. Kierunki działania były różnorodne, organizowano seminaria, konkursy dla dzieci i dorosłych, które spełniały istotną rolę jako źródło niepodważalnych faktów historycznych. Akcje te były ściślej związane z przeszłością regionu cieszyńskiego i miały charakter popularnonaukowy.

Krótko o działalności SHR na przestrzeni ubiegłego piętnastolecia (1990-2004). Zorganizowano samodzielnie lub przy współpracy innych organizacji 26 seminariów poruszających węzłowe zagadnienia przeszłości Zaolzia. Najpoważniejsza z nich to konferencja „Polacy na Zaolziu 1920-2000", zorganizowana przez SHR PZKO i Ośrodek Dokumentacyjny Kongresu Polaków 13-14 października 2000 r. w Czeskim Cieszynie. Wygłoszono tu 16 referatów historyków czeskich, polskich i miejscowych. Warto przypomnieć referat nt. „Zaolzie XX wieku - historia, legenda, stereotyp" bodajże największego ze strony czeskiej znawcy zagadnień zaolziańskich prof. Jaroslava Valenty (zmarł w 2004 r.). Seminariom zazwyczaj towarzyszyła wystawa związana z omawianym tematem. Najobszerniejszą z nich, zorganizowaną przez SHR i Ośrodek Dokumentacyjny KP w 1999 r.,

była wystawa w związku z seminarium o polskim sporcie zaolziańskim. Z innych akcji wymieńmy: zebranie wyjazdowe w MK PZKO w Skrzeczoniu (1995) i w Stonawie (2004). Było kilka spotkań tematycznych lub wspomnieniowych, np. 75. rocznica podziału Śląska Cieszyńskiego (1995), spotkanie z działaczami zakładającymi PZKO i SMP (1997), uroczyste spotkanie z Otokarem Matuszkiem (2004). Zorganizowano 6 konkursów dla szkół i dorosłych, w tym „O najlepszą kronikę PZKO" (1993). Urządzono dwie ekskursje, zwiedzono Park Etnograficzny w Chorzowie i Książnicę Cieszyńską w Cieszynie. Członkowie Sekcji brali udział w odsłonięciu tablic pamiątkowych, uczestniczyli w wielu sesjach naukowych, w których poruszano tematy zaolziańskie.

Stosunkowo słaby dorobek SHR na polu wydawniczym był spowodowany przyczynami zewnętrznymi. Najpierw były to przeszkody ze strony władz partyjno-rządowych. Po 1989 r. znikły, ale pojawiły się trudności wynikające z braku środków materialnych. Pomimo tego udało się Sekcji w latach 90. wydać sześć samodzielnych pozycji. Można tu wymienić pracę zbiorową pod redakcją Jana Rusnoka *Okupacja hitlerowska na Śląsku Cieszyńskim* (1993) i publikację jubileuszową *Pamięć ziemi ojczystej* na 30-lecie SHR.

Na szczególną uwagę zasługuje wystawa „Polacy na Zaolziu" zainstalowana w 1993 r. w Muzeum Niepodległości w Warszawie. Scenariusz wystawy i przygotowanie eksponatów wykonał Stanisław Zahradnik, część etnograficzną Antoni Szpyrc. Z Warszawy wędrowała wystawa do Torunia, Katowic, Zawiercia, Bielska-Białej, Ustronia. W 1995 roku gościła w Muzeum Ziemi Cieszyńskiej w Czeskim Cieszynie, skąd powędrowała do Pałacu Martinickiego w Pradze. Wernisaż odbył się 13 czerwca 1995 r. w obecności przedstawicieli władz państwowych, ambasady RP oraz Polaków mieszkających w Pradze i zrzeszonych w Klubie Polskim. Po powrocie z Pragi skorzystało z wystawy ponad 10 Kół Miejscowych PZKO oraz Muzeum Huty i Miasta Trzyńca. Wystawa dobrze przygotowana zarówno pod względem merytorycznym jak i graficznym wzbudzała duże zainteresowanie, a czeskie społeczeństwo mogło zapoznać się po raz pierwszy z historią Zaolzia przedstawioną przez Polaków zaolziańskich.

SHR współpracowała dorywczo z różnymi instytucjami. Początkowo był to Klub Nauczycieli Emerytów i Sekcja Folklorystyczna ZG PZKO, później niektóre instytucje w Polsce. Bardzo dobrze zapowiadała się współpraca z Muzeum Ziemi Cieszyńskiej w Czeskim Cieszynie, natomiast rokująca dobre nadzieje współpraca z Instytutem Śląskim w Opawie nie doszła do skutku z winy opawskiej placówki. Owocna była też współpraca z niektórymi naukowcami polskimi, np. Zenonem Jasińskim, Oswaldem Guziurem, Edwardem Buławą, Krzysztofem Nowakiem, Krzysztofem Brożkiem, z czeskich przede wszystkich Mečislavem Borákiem i Jaroslavem Valentą.

Narastające problemy zdrowotne przewodniczącego SHR Otokara Matuszka spowodowały, że nie mógł już w pełni wywiązywać się ze swych obowiązków. Dlatego pod koniec 2003 roku zrezygnował z funkcji prezesa, pozostając nadal członkiem Sekcji. Nowym przewodniczącym wybrano Stanisława Zahradnika, członka, który był inicjatorem założenia Sekcji przed 40 laty i jej pierwszym przewodniczącym.

Przygotowanie, zorganizowanie i zrealizowanie zamierzeń Sekcji wymagało od członków SHR dużego wkładu pracy społecznej, do której nierzadko należało dopłacać z własnej kieszeni, zwłaszcza po upadku rządów totalitarnych. Na spotkaniach SHR panowała robocza atmosfera, członkowie według swych możliwości wywiązywali się ze swych zadań. W ciągu 40 lat istnienia SHR przewinęło się przez jej szeregi około 80 członków. Przeciętnie liczyła od 15 do 20 członków, w tym większość aktywnych. Czas trwania ich członkostwa był uzależniony od różnych czynników, czasami musieli niedobrowolnie opuszczać szeregi SHR. Przeciętny wiek bazy członkowskiej wzrastał, a młodych pomimo apeli do naszego społeczeństwa nie udało się pozyskać. W ubiegłym dziesięcioleciu śmierć mocno zredukowała szeregi Sekcji. Zmarli najbardziej zasłużeni członkowie: Józef Ondrusz (1996), Władysław Josiek (1997), Józef Kazik (1997), Karol Polak (2000), Edward Buława (2002), Erwin Jonszta (2003), Jan Rusnok (2003), Karol Mrózek (2005).

Stosunek kierownictwa PZKO do SHR uzależniony był od polityki władz totalitarnych. PZKO uznawało zasadność istnienia Sekcji, ale zarazem była ona dla niego ciężarem. Do połowy lat 90. XX wieku opiekę bezpośrednią nad SHR wykonywali pracownicy etatowi - instruktorzy ZG PZKO. Później ZG zapewniał w ramach swych skromnych możliwości niezbędne środki materialne i usługi biurowe oraz udostępniał lokale do zebrań.

Większość członków Sekcji może poszczycić się bogatą działalnością społeczną, wielu osiągało bardzo dobre wyniki w badaniach nad przeszłością Zaolzia. Wyniki te poza nielicznymi wyjątkami nie znalazły uznania ze strony historyków czeskich, natomiast były uhonorowane nieraz wysokimi odznaczeniami ze strony władz i instytucji polskich. Kilka przykładów: Jerzy Czap: Krzyż Oficerski Orderu Zasługi RP (Warszawa 1997), Władysław Gałuszka: Złoty Medal Opiekuna Walk i Męczeństwa (Warszawa 1999), Władysław Josiek: Zasłużony dla Kultury Polskiej (Warszawa 1997), Józef Kazik: Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi RP (Warszawa 1997), Otokar Matuszek: Zasłużony dla Kultury Polskiej (Warszawa 1995); Władysław Milerski: Zasłużony dla Kultury Polskiej (Warszawa 1995); Jan Rusnok: Zasłużony dla Kultury Polskiej (Warszawa 1997), Roman Suchanek: Zasłużony dla Kultury Polskiej (Warszawa 1995); Stanisław Zahradnik: Krzyż Oficerski Orderu Zasługi RP (Warszawa 1997).

Dotychczasowe osiągnięcia SHR są niezaprzeczalne, a jej istnienie w pełni uzasadnione. Dorobek o szerokim wachlarzu tematycznym osiągnięto przy skromnych możliwościach personalnych i materialnych, bez zaplecza nowoczesnych wymogów badawczych. Rodziły się w trudnych warunkach, z przekonania o potrzebie zachowania świadectwa dla potomnych. Warto podkreślić fakt, że poruszanej przez SHR tematyce żadna oficjalna instytucja nie poświęcała uwagi, pomimo iż wchodziło to w zakres jej działalności, np. Instytut Śląski w Opawie.

Sekcja Historii Regionu, aby przetrwać, musiała po upadku komunizmu odpowiednio przystosować się do nowych realiów, do zmienionych zasad pracy społecznej. Jej przyszłość zależy od nowych entuzjastów pracy dla idei zachowania pamięci dla potomnych.

STANISŁAW ZAHRADNIK
przewodniczący SHR ZG PZKO

ZE WSPOMNIEŃ OSWALDA GUZIURA (1910-1996) Z SUCHEJ GÓRNEJ (cz. II)

Ucieczka przed śmiercią

Był dzień 9 stycznia 1941 roku. Od rana byłem pełen niepokoju. Od kilku dni przebywałem w Trzyńcu "na Ściskałówce" u swojej siostry Anny (Anna Luzarowa, 1906-1985 - przyp. J. G.) *w budynku mieszkalnym Huty Trzynieckiej. Żeby zabić niepokój, poszedłem do piwnicy i przez kilka dopołudniowych godzin rąbałem zawzięcie drewno. Około południa wyszedłem na górę, zjadłem obiad, ubrałem się do wyjścia, aby odwiedzić kolegę - dra Pawła Rusza i odebrać od niego comiesięczny "haracz" na rzecz rodzin dotkniętych aresztowaniami swych żywicieli. W tej chwili wpadła zadyszana i zalękniona moja piętnastoletnia wówczas siostrzenica Irka Mazurkówna* (starsza córka Olgi, 1905-1985, i dra med. Józefa Mazurka, 1891-1968, z Bystrzycy - przyp. J. G.) *i od progu woła:*

- Wujku, ciebie szukają, a ciocię zabrali!

A więc nastąpiło to, przed czym schroniłem się do Trzyńca. W pierwszych bowiem dniach stycznia zostałem ostrzeżony. Do domu moich rodziców w Suchej Górnej nr 366, gdzie mieszkałem po wrześniu 1939 roku, przyszedł nieznany mi młody człowiek, jak twierdził - z Błędowic, i upewniwszy się, że ma ze mną do czynienia, powiedział, że gestapo mnie poszukuje. Wiado-

mość taką przekazał mu ktoś z ruchu oporu, aresztowany, któremu jednak w czasie transportu do więzienia udało się zbiec i ukryć właśnie w Błędowicach. Opowiadał, że gestapo bardzo energicznie dopytywało się o człowieka nazwiskiem "Górski" (mój pseudonim okupacyjny). Gestapo wiedziało także, że pod koniec grudnia tenże "Górski" kupował w Cieszynie Zachodnim bilet kolejowy do Obersuchau, czyli do Suchej Górnej.

Informacja ta była prawdziwa, bo istotnie w tym czasie po raz ostatni spotkałem się z inżynierem Franciszkiem Kwaśnickim, szefem organizacji dywersyjno-sabotażowej Związek Odwetu. Było to w Sibicy w mieszkaniu łączniczki tej organizacji Bronki Beneszówny i potem wracałem koleją do Suchej Górnej. W jaki sposób ktoś, kogo nie znałem, potrafił na podstawie pseudonimu odnaleźć moje miejsce zamieszkania, pozostaje do dziś dla mnie tajemnicą, zwłaszcza że Błędowice nie były terenem mojego działania i w czasie okupacji tam nie bywałem.

Widać konspiracja nie była dosyć szczelna. Poszukiwanie po wojnie tej osoby, która mnie ostrzegła, nie dało rezultatu. Nie pomogło nawet ogłoszenie w Głosie Ludu. A tak chciałbym jej podziękować.

Byłem gotów do wyjścia. Czasu, jak to miało się za kilka minut okazać, było niewiele. Obecna przy mnie w tej chwili moja matka położyła na moim czole znak, który miał mnie chronić przez lata tułaczki. Jeszcze krótki pożegnalny uścisk i szybkim krokiem opuściłem zabudowania, udając się drogą w kierunku Oldrzychowic. Dochodząc do skraju lasu, usłyszałem za sobą warkot samochodu. Nie odwracałem się - miałem pewność, że to właśnie oni. Zobaczyłem ścieżkę skręcającą przez rów przydrożny w prawo w las. Przeskoczyłem ów rów i w tym momencie minął mnie samochód, na którego tylnej tabliczce odczytałem Poli, czyli Polizei. Był to właśnie - jak potem stwierdzono - ten samochód, którym gestapo jechało, nie znalazłszy mnie w Suchej Górnej, (a przed chwilą i w Trzyńcu), pognało za mną do Bystrzycy, do mojej siostry Olgi Mazurkowej. Ja też tam zdążałem, ale bez pośpiechu. Odczekałem w lesie oldrzychowickim do zmroku i dopiero pod osłoną ciemności udałem się do Bystrzycy, ale oczywiście nie do siostry, lecz do jednego z sąsiednich domów, w którym u swoich rodziców mieszkał mój serdeczny kolega szkolny inżynier-hutnik Karol Goryl.

W tym miejscu nie mogę się oprzeć pokusie, aby nie powiedzieć, że zatrzymałem się na kwaterze brygadiera Józefa Piłsudskiego. W tym bowiem domu polskiego hutnika trzynieckiego Jana Goryla (zam. w Bystrzycy nr 311 - przyp. J. G.) *pod koniec 1914 roku, w okresie, gdy jego legiony przybyły na "leże zimowe" do okręgu jabłonkowskiego, Józef Piłsudski miał tam swoją kancelarię sztabową. Siedmioletni wówczas Karol zapamiętał dobrze "dziadka" z wąsami.*

Od sprowadzonej do tego domu mojej starszej siostry Olgi (Mazurkowej) dowiedziałem się, co zaszło. Rano, około godziny 11, gestapo zajechało pod dom moich rodziców w Suchej Górnej, gdzie zastało mojego ojca Adolfa

i siostrę Zytkę (Zofia Bonczek, 1915-1973, najmłodsza siostra autora, po wojnie mieszkała na Górnym Śląsku w Rybniku - przyp. J. G.). *Gestapowcy przewrócili wszystko do góry nogami, ale nie znaleźli niczego oprócz moich zdjęć, które zabrali. Zabrali też adresy mojej najbliższej rodziny, a przede wszystkim - niestety - również moją siostrę. Ponieważ pora była południowa, spracowani gestapowcy odkładają obowiązki służbowe na później, wstąpili na obiad do restauracji prowadzonej ongiś przez Żyda Steinhauera. Ten obiad zadecydował o moim życiu, bo zdążono mnie ostrzec. Wynika stąd prosty wniosek, że jeżeli kogoś się ściga, nie należy wstępować do gospody na piwo.*

Tymczasem obiad się szczęśliwie przeciągał...

Moja siostrzenica Irka Mazurkówna (po wojnie inż. arch. Irena Trombik, 1926-1980, pracownik m.in. Huty Trzynieckiej - przyp. J. G.), *która przyjechała do Suchej w odwiedziny do dziadków, podczas rewizji była nieobecna, gdyż chwilowo wyszła do innych krewnych (tak naprawdę, to do fryzjera). Wracając, spotkała mojego ojca, który po wizycie gestapo wyszedł jej naprzeciw z moją teczką w ręku i polecił, żeby prędko biegła na przystanek kolejowy i łapała pociąg do Cieszyna, a następnie do Trzyńca, aby mnie ostrzec. W teczce, jak się okazało, oprócz zmian bielizny było kilkanaście pustych, lecz prawidłowo opieczętowanych i podpisanych przez zarząd miejski w Jabłonkowie druków, tzw. "palcówek" (Fingerabdruck), do dowodów tożsamości, przeznaczonych do zaopatrywania w kręgach konspiracji ludzi "spalonych". W takiej dramatycznej sytuacji ojciec pomyślał o tym! W domu nigdy nie mówiło się o konspiracji, nigdy nie pytano mnie, dokąd wyjeżdżam, było więc dla mnie zagadką, skąd ojciec mógł wiedzieć, że coś takiego mam, zwłaszcza że dokumenty te były dobrze ukryte. Okazało się, że w domu niczego ukryć nie można. Czego nie znalazło gestapo, znalazł ojciec, za co niech będą mu wielkie dzięki, bo papier okazał się przydatny.*

Wobec aresztowania w Suchej mojej siostry postanowiłem działać. Swego czasu inż. Kwaśnicki mówił mi, że w Cieszynie jest pewien gestapowiec, na którego możemy liczyć w przypadku aresztowania naszego człowieka. Warunkiem było, aby informacja o aresztowaniu doszła do niego natychmiast, dopóki śledztwo nie było zaawansowane. Uradziliśmy więc na spotkaniu z moją siostrą Olgą, że nazajutrz rano uda się do mieszkania Kwaśnickiego w Cieszynie przy ulicy Sienkiewicza 10. Uprzedziłem siostrę, że jeżeli w określonym oknie tego mieszkania będzie stała doniczka lub flakon z kwiatem, to absolutnie nie należy wchodzić. Był to umówiony znak, świadczący o grożącym niebezpieczeństwie. Kwiatem tym miała sterować Zosia Kubiszówna, córka właścicielki mieszkania.

Po nocy spędzonej u Gorylów wczesnym rankiem przypiąłem pożyczone narty do własnych butów narciarskich, w których przez zimę normalnie chodziłem, i udałem się do Anny Ruckiej w Nydku, siostry Jana Bajtka, komendanta placówki ZWZ Nydek - Bystrzyca, który w tym czasie był już od kilku

miesięcy (od lipca 1940 roku) aresztowany. Pani Ruckiej dotąd nie znałem, lecz wystarczyło, że powołałem się na jej brata Janka. Zgodziła się bez wahania pojechać do Cieszyna i Bystrzycy na wywiad. Wróciła tego samego dnia pod wieczór z przerażającymi wieściami. Moja siostra Olga nie wróciła z Cieszyna, bo została aresztowana.

W dniu poprzednim, czyli 9 stycznia, gestapo aresztowało Kwaśnickiego, a w jego mieszkaniu urządzono "kocioł".

Wszyscy, którzy wchodzili do tego mieszkania, byli zatrzymywani. A wchodzili - jak to później zostało wyjaśnione - dlatego, że brak było w oknie umówionego kwiatka, sygnalizującego niebezpieczeństwo. A kwiatka nie było, bo obie panie Kubisz były osadzone w pokoju od podwórka, a gestapo siedziało w pokojach od ulicy i kwiatka wystawić nie można było. W tym samym dniu zostały aresztowane obydwie łączniczki: Helena Kynast i Bronka Beneszówna. W mieszkaniu została aresztowana Stefania Michejdowa (wdowa po byłym burmistrzu Cieszyna doktorze Władysławie Michejdzie, 1876-1937, urodzonym w Nawsiu - przyp. J. G.), *a także siostra Olga Mazurkowa oraz Franciszek Czudek z Gródku koło Jabłonkowa - jeden z najbliższych współpracowników Kwaśnickiego - i inni.*

wyboru dokonał JANUSZ GUZIUR

cdn.



Rok 1933. Rodzeństwo Oswalda Guziura: Anna, Leonard, Oswald (w okularach), Olga i Zytka

BESKIDY RODZONE (2)

Górę spotyka się na osobności. Stąpa naprzeciwko samojedna, tając przed ludzkimi gromadami swój mit pierwotny. Górę się oswaja w oczekiwaniu i skrusze. Przy uderzeniach porywistego wichru, w przepastnej mgle rozwierają się groty leśne z poukładanymi na skalnych półkach latami oraz kolejnymi generacjami flory i fauny, z zaległymi śniegami i lodami, ze spiętrzonymi w niebo burzami, z górskimi księgami powszednich przemyśleń.

Nie wierzysz, Czytelniku? Leśniczy Krop pogrzebał w roku 1977 swego psa gończego z dala, w ostatnim ostępie z Kozińca na Zarąbek. Na psim grobie jego ustawił głaz z brązowym reliefem psiej głowy: "Za służbę i wierność" - ukrył na uboczu swe odosobnione męskie wzruszenie. Koło pierwszego głazu stanął po czasie następny, pojawiły się dalsze, pomniejsze. Odtąd myśliwi niezmiennie odnajdują w dniu św. Huberta tamtą psią polankę i milczą na wspólne tematy...

Góry kształtują światopogląd, porządkują obraz świata. Cała przyroda zresztą oddziałuje bezpośrednio na życie człowieka, reguluje plany - sądzi Michał Szczepański. Fotografik i dyplomata, inż. Ivo Petřík, nazwał góry ekstazą przyrody. Kiedy człowiekowi najbliżej do Boga? Wobec bliskiej śmierci! *W Himalajach np. owo intensywne parcie przedśmiertne odczuwa się na każdym kroku: tędy może zejść lawina, tamta szczelina zaś może okazać się dla nas fatalna... Wobec podobnego zagrożenia, w nieustannej gotowości do rozliczenia - co w swym życiu zdążyłem, czego zaś nie zdążyłem, co jeszcze chciałbym zrobić - człowiek jest bliżej Boga.*

Moja żona Helena jednak - schodziliśmy od Filipki na Zimne - stojąc zdumiona nad kolejnymi horyzontami gór za górami, przypomniała sobie zapomnianą pieśń ze "Spotkań z balladą": *Odczep się, kochanie, ja z tobą jeszcze nie chcę być... za chudaś na mój gust!* A to już temat samotności w górach. *Bez samotności nie ma swobody prawdziwej* - pisał Homer karpacki Stanisław Vincenz. - *Gdy człowiek przez całe lato daleko od osiedli jest watahem, deputatem czy pasterzem na połoninie wysokiej, wszystko zeń odpada, pierwowieczny świat przed nim staje, jak za prastarych dni ludzkości.* Rozmawia wtedy z drzewem, rozumie drzewu, dziękuje mu za życzliwość uczestnictwa. Po to, *by coś nie wlazło w człowieka, by z tych pustkowi nie nastała jaka groźna tęsknota, by mara nie ugrzęzła w sercu.* Rozmawia z drzewem, prawi mu swoje sny nocne. *W samotności, jak w głębinach nocy, toną granice światów, jakby we mgle górskiej zacierają się miedze między pragnieniem a posiadaniem, między snem a jawą. Czasem pragnienia i tęsknoty długo męczą niejednego. Czasem i najtajniejsze, nieziszczalne - spełniają się. Oddalają się dawne troski, dawne radości i pociechy, a zjawiają się całkiem inne.* Nie ominął tutaj S. Vincenz Hucuła Andrijki: *A Andrijko mądry, co wie, że ten wielki świat gór wcale nie jest dziedzi-*

ną człowieczą, tylko, ot, znosi człowieka, tak jak każdą inną zwierkę, ptaszkę i muszkę. Wcale ich nie szukał, szedł za opowieścią starą. - Moje fotografie też poświadczają - twierdzi inż. Ivo Petřík - *iż efekt powtórnej wizyty odbiega od efektu spotkania pierwszego. Za pierwszym razem zazwyczaj wołamy olśnieni: Boże, jakie to piękne! Za następnym już wiemy, jak tam pięknie; człowiek wtedy dostrzega detale, kwiaty, struktury skalne... Owe powroty warunkują też mój wiek. W miarę jak się starzejemy, stępia się nasza gotowość przeżycia. Na znanych miejscach przywołujemy wtedy to, co utkwiło nam w pamięci, jesteśmy nawet zdolni do powtórnego przeżywania.*

* * *

Dżdże pomedardowe, więc świętojankę, z morawska zaś jańską pluchę kończy zazwyczaj wezbranie wód. Tyle mam ziemi, co w doniczkach na balkonie, lecz spędzałem młodość na roli i wiem, co to umiarkowanie w przyrodzie. Zerkam też ku górom jako rodzonym stronom: tramping - notuję - to wyjazdy w dzikie rejony globu, z dala od masowych tras turystycznych, luksusowych hoteli i wykwintnych restauracji. Dla emerytów raczej nieosiągalny. Treking zaś to piesze pokonywanie trasy łącznie z całym sprzętem biwakowym... Mi wystarczy wsiąść w pociąg, zabrać trochę herbaty, zapakować skibę chleba z masłem i cebulą...

Po odejściu dżdży, ściślej w przerwach między medardowymi ulewami, tuż za grobelkami igliwia na leśnych dróżkach tworzą się piaskowe zalewy. Las rusza przed siebie. Podaniowe i literackie chodniczki dobrych chłopców - zbójników były najpierw wołoskimi, pasterskimi ścieżkami, drożynami. To one między wojnami sprowadzały z dolin w góry miłośników górskich przestrzeni, aby ustanowili kult beskidzkich szlaków. Górskie łąki wtenczas, w pierwszych latach kozubowskiego schroniska oraz pątniczej kaplicy św. Anny, wiały na wietrze najrzetelniejszym drobnym kwieciem. Rozkwitłe łąki też zdążyły poodchodzić za wołoskim światem. Zaborcza dla gór cywilizacja tak jakby wybrała w miejsce naturalnego ładu jakieś chaotyczne przeplatańce, dziczenie zatem, zaprzepaszczanie pospolitej użyteczności. Jednak góry potrafią wracać.

Władysław Sosna w swej "Refleksji przewodnika" (Kalendarz Cieszyński 2003, ss. 160-168) uważa, że pożywką dla rozwoju turystyki był romantyzm. *O ile oświecenie w większym stopniu mobilizowało bardziej zamożną i głównie niemieckojęzyczną część mieszkańców ziemi cieszyńskiej, romantyzm z racji zainteresowania się ludem i jego kulturą rozpoczął drążenie "dołów" społecznych, a te niemieckimi nie były... Tak więc w drugiej połowie XIX wieku stopniowo rozwijają się obok siebie dwa nurty turystyki o coraz wyraźniejszym obliczu narodowym: niemiecki i polski. Pierwszy korzystał z nieporównywalnie lepszej sytuacji ekonomicznej... Niewątpliwym katalizatorem rozwoju turystyki była budowa kolei z Dziedzic do Bielska (1855), z Bogumina do Czadcy (1871), wreszcie*

z Frydku do Bielska (1888) z odgałęzieniami,... co umożliwiało szybsze dotarcie do podnóża gór. Już w 1893 roku środowisko niemieckich turystów powołało swoją organizację Beskiden-Verein, która przystąpiła do intensywnego zagospodarowania gór poprzez budowę sieci własnych schronisk i wytyczenia szlaków dojściowych; nieco wcześniej pojawiły się pierwsze przewodniki (1890) i mapy turystyczne. Charakterystyczną cechą tej turystyki był racjonalny wypoczynek na łonie natury...

Po dziś dzień odczuwamy tutaj podziały kulturowe, długo potem ideologizowane i upolitycznione. Romantyzm stykania się z górami był wszak ogólniejszy. Paweł Kotas z Rzeki-Ujmiska opowiedział przed czasem w bielsko-bialskim Kalendarzu Beskidzkim 1988 o swoim tacie. Również w tym przypadku góry stanowiły dla cieszyńskiej idei słowiańskiej jej romantyczne potwierdzenie. *Mój ojciec Paweł Kotas, ur. w 1871 r. na Goduli w Śmiłowicach, rolnik, kamieniarz i bibliofil, był również miłośnikiem gór. Kiedy miałem pół roku, wybrał się w pojedynkę na Babią Górę.* Często też urządzał wycieczki wokół Rzeki - przez grzbietowiska Ropiczki, Przysłopia, Szyndzielni i Jaworowego. Już jako 14-letni chłopak przez dwa lata budował z luźnego kamienia górskiego kaplicę opodal chałupy swych rodziców na Goduli.

Zatem wzajemne oddziaływanie kulturowe poprzez przeciwstawienia? Inspiracja poprzez współzawodnictwo?

Idę za oswojonymi, ustalonymi jak graniczne słupy bukami, dębami, bo inaczej nie można. Jak biała chmura idzie za mną od Dziurawego zamyślona w sobie tarnina, zanim cierpka i cierpliwa nie napotka pierwszego mrozu. Bo też beskidzki krajobraz głogów, tarnin i wszelakiego ciernia, twierdzę, nie jest sielankowy, a własny, podług tego, co zdążył wymóc dla siebie u "czynników" klimatu i swego uporczywego trwania na zaprożu dżdżystych, wietrznych chłodów północnych. Wie zwyczajnie, co się należy i kiedy te wszystkie drogi zaczynają biec w jakieś inne strony. Ujawnia się tutaj nie tylko sam czas w swojej istocie: tamte buki moje z Małej Kikuli też już ścięto, odeszły takie oblodzone i herczawe zimą, sękate od północnych wiatrów i nieświadome prawideł klasyki, jak je ongi pomieściłem w swym poemacie, zdrożone i zwichrzone całe.

Smukła arnika się zjawia pod lampionikami naparstnicy, obok popłoch zajęczej kapusty na obrzeżach kopytnika i skrzypów z widłakami goździstymi, zanim ruszą wrzosy, podbiałowe piętra w łopianowych zaświatach - rozliczam swe chodniczki przez odległość półwiecza. Głęboko też zachowuję w pamięci tamte twarde doznania kamienistych szlaków w siatkach korzeni, spętanych bzykającymi sznurkami owadów w smolnych półcieniach Ostrego, Filipki, zanim nie wybiegną na spalone słońcem polany z osuwającymi się piachami miniaturowych uwraci z macierzanką, poziomkami i przetacznikiem...

Podchodząc na grzbietowisko Kamienitego, uświadamiam sobie, że w swych doznaniach pozostajemy bez świadków. Stukają nam niedorzeczne

jubileusze i znowu stwierdzamy, że sporo tego odeszło, ale nie oddajemy ostatniej koszuli.

Wnuki biegną po lemolody, my, siadając pod wiatr ze znajomymi sprzed lat, wchłaniamy piersią przejrzyste krajobrazy, one zaś mają to do siebie, że mówią do nas z osobna: bądź poprzez wspomnienia i legendę, bądź w swej dosłowności. Moje i kamratów Kamienite gruntownie się odmieniło. Coraz częściej zresztą się rozglądamy, co tu nad Olzą pozostaje trwałe? Mój wnuk też nie wie, co począć z mym, dziadkowym Mionszym zza doliny, nie chce zatartej opowieści, skoro ona dziś okazuje się inna, od początku indywidualna, stosownie do lodowatego radegastowego kufla pod zadyszkę stromych podejść.

Szkoła z dawnych wieczorów autorskich z Jasiczkiem i Wawroszem... Istniało wtenczas na Kamienitem Koło PZKO, przychodzili folklorysta Ondrusz z rysownikiem Żebrokiem, ruszaliśmy dlatego z kursu SLA na Kozubowej do stareczki Bojkuli przy fajce i kołowrotku. Spotykaliśmy się też u Baranka nad osadą, zanim stare schronisko nie spłonęło. Nostalgia nic tu nie wskóra. Udogodnienia cywilizacyjne nadwerężyły blokady i bariery psychiczne górali. Zjawisko Kamienitego zasadzało się na trudzie i uporze. Bez nich zwyczajnie zrezygnowano i zaczęto schodzić w doliny. Góry od razu poddano przeinaczeniom, w których już terkotał motor. Zbocze ku dolinie Łomnej teraz nie śpiewa jak w książce Władka Młynka, a gdera, zarasta, zasnuwa się badylami. Łagodzą je jeszcze, w moim pojęciu, oddale Miąsznego i Sałajki z poranną panoramą górskich łańcuchów, wycofujących się ku Słowacji.

Bór jeden ciasno przystaje, korzeniami podtrzymując stoki w ich chybotliwej niestałości. Czas wieje i szumi, niecierpliwie odnotowuje w pniach niewiarygodny rok: 2000, nie wie, czy koniec to lub początek legendy. Nastaje kłopotliwe niezdecydowanie: w schronisku za Łączackami, na Hadaszczoku, mówią dziś z angielska, było zaś, że pokrzykiwano wyłącznie po niemiecku, ba, po ukraińsku, kiedy ciągnęli banderowcy. Dr Piotr z naszego miejskiego sąsiedztwa pilnuje dziś zdrowia zajętych Albionem kursistów; ów rok 2000 stanął przecież przede drzwiami...

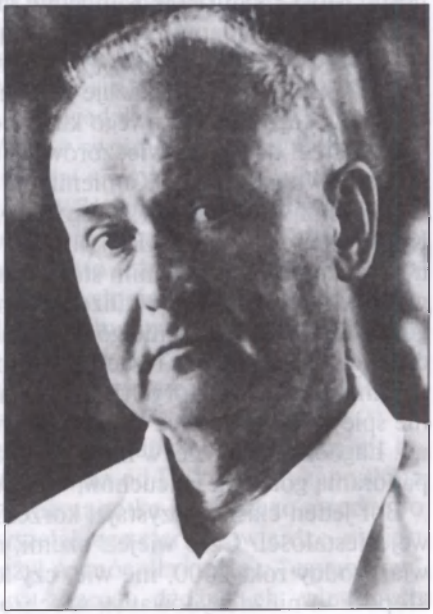
Dziewczyna z Koszarzysk roznosi posiłki, wiatr szasta latami jak ścierką na płocie. Dwukrotnie otwierano tutaj szkołę górskimi festynami: w latach 1934 i 1954, żegnano zaś dożynkami w roku 1973. Półka poszły w pasionki, obydwie osady wykupili letnicy, szkołę zaś dostosowano do nowych potrzeb, tym razem turystycznych. Po budowniczych Jerzym i Pawle Zwyrtkach przychodzili wychowawcy i nauczyciele, przed wojną: Maroszczyk, Wrombel, Korzenna, księża Gwóźdź i Szurman, po wojnie: Sajdok, Jachnicki, Suchanek, Zwyrtkowa, Szpakówna, Kawulok, Janiczek, Procner, Młynek. Takież te żniwa. Zanim górale nie zaczną wracać, aby znowu odmieniać i ułatwiać życie. Tymczasem nastaje czas oczekiwania i zawracania tamtych źródeł, które odkrywali i osłaniali od złych spojrzeń wołoscy pasterze, drwale, ludzie wolni i nieustępliwi.

WŁADYSŁAW SIKORA

cdn.

JĘZYKOWE POGRANICZE CIESZYŃSKO-LASKIE (6)

ÓNDRA ŁYSOHORSKY



Óndra Łysohorsky, poeta światowego formatu, zacny syn regionu laskiego, jest pseudonimem doc. PhDr. Erwina Goja, który urodził się 6 czerwca 1905 we Frydku jako dziewiąte dziecko górnika Józefa Goja i Alojzji z domu Palik. Wyrósł w środowisku wielojęzycznym. W domu rozmawiano gwarą laską. Jego matka, z zawodu położna, życzyła sobie, aby jej syn otrzymał wykształcenie w języku niemieckim, dlatego też uczęszczał we Frydku do niemieckiej szkoły ludowej. Egzamin dojrzałości zdał w niemieckim gimnazjum w Ostrawie w roku 1924. W siedemnastym roku życia Erwin Goj zaczął pisać utwory poetyckie w języku niemieckim. Na uniwersytecie niemieckim w Pradze studiował języki francuski, niemiecki, czeski, filozofię, literatury komparatystyczne i historię sztuki. W roku 1928 został promowany na doktora filozofii.

Po promocji przez dwa i pół roku nadaremnie szukał jakiejkolwiek posady i wegetował jako bezrobotny. Dorywczo zarabiał prywatnym nauczaniem języków. Od końca 1930 roku pracował na Słowacji jako nauczyciel gimnazjum niemieckiego najpierw w Kremnicy, później w Bratysławie. Krytyczne spojrzenie na ówczesne bardzo poważne problemy socjalne zbliżyło go do lewicowych kręgów intelektualnych, a jego przyjaciółmi byli dr. Vlado Clementis - „adwokat ubogich", Fraňo Král i Petr Jilemnický.

W 1930 roku odwiedził dr Goj w Brnie Petra Bezruča (właściwie Vladimíra Vaška), autora tomiku wierszy „Slezské písně", przejął się jego regionalizmem. Zaczął pisać utwory poetyckie w ojczystej gwarze laskiej. Był pierwszym poetą, który mówioną gwarę laską przekształcił w język lite-

racki. Pierwszy laski wiersz „Prolog" napisał w kwietniu 1931 roku i opublikował trzy lata później pod pseudonimem Óndra Łysohorsky.

Pierwszy tom wierszy „Spiwajuco piaść" wydał w r. 1934 za poparciem znakomitego krytyka literackiego F. X. Šaldy, profesora Uniwersytetu Karola w Pradze. „Spiwajuco piaść" jest w większości poezją oskarżającą rządzącą Pragę i pragocentryzm - metodę wyzysku i ucisku kraju laskiego. Matka jest w tym zbiorze portretem matki poety i równocześnie śląsko-laskiego kraju ojczystego.

W 1935 roku ukazał się drugi tom wierszy Ó. Łysohorskiego „Hłos hrudy". F. X. Šalda o autorze napisał: *Co na Łysohorskim jest piękne, to sposób, w jaki on z ziemi ojczystej wyrastał, z jej bólów, z jej uciemiężenia, z jej buntu, jak pełne ciepłych uczuć albo też oburzone spojrzenie wyprzedza abstrakcyjną wolę [...] On tworzy wiersze twarde jak monety, mocno rozbrzmiewające jak echo skalne w górach.*

W roku 1934 nawiązał współpracę z Bedřichem Václavkiem i publikował w jego czasopiśmie U Blok. W latach 1936-1938 zorganizował w Ostrawskiem grupę literacką „Lašsko perspektywa", która w duchu jego poglądów skupiła autorów i publicystów piszących po lasku. Należeli do niej głównie Jan Stunavský (właśc. J. Lisník), Josef Šinovský (właśc. J. Bilan), Jura Hanys (właśc. B. Marek), Karel Kavan i in. Po powstaniu skłaniającego się ku faszyzmowi Państwa Słowackiego dr Goj stał się dla nowych władz słowackich uciążliwym i dlatego zwolniono go ze szkolnictwa 30 czerwca 1939 roku.

Postanowił wyemigrować ze względów politycznych do Polski czy też Anglii i w tym celu nawiązał kontakt listowny z Ludwikiem Brożkiem. Pisze o tym Wilhelm Szewczyk w numerze 1-2/1985 „Zarania Śląskiego" w artykule „Laski separatyzm czy tragedia poety". 16 sierpnia 1939 roku przekroczył nielegalnie granicę słowacko-polską w okolicach Jabłonkowa i udał się do Katowic, gdzie przyłączył się do grupy czeskich emigrantów. Po wybuchu wojny grupa ta próbowała przedostać się do Rumunii, lecz 18 września 1939 została internowana przez wojska radzieckie w pobliżu granicy polsko-rumuńskiej. Wydarzenia te Łysohorsky przedstawił reportażowo w swoim poemacie „Polsky podźim". Wkrótce potem cała jednostka dostała się do sowieckiego obozu dla internowanych. Łysohorsky przeżył w nim ciężkich dziewięć miesięcy i stracił wiarę w sensowność emigracji. Wreszcie specjalna komisja wybrała go do pracy w Moskwie.

We wrześniu 1940 roku rozpoczął wykłady w Pierwszej Państwowej Wyższej Uczelni Pedagogicznej Języków Obcych w Moskwie. Nawiązał kontakty z czołowymi rosyjskimi poetami, krytykami literatury i naukowcami Borysem Pasternakiem, Mariną Cwietajewą, Wiktorem Szkłow-

skim, Piotrem Bogatyriowem i in., którzy jego utwory poetyckie tłumaczyli, a jego samego uważali za znaczącą osobistość. Z zagrożonej przez wojska niemieckie Moskwy ewakuowano go do Taszkientu, gdzie pobył rok, a na wiosnę 1944 roku został mianowany docentem w Wyższej Uczelni Języków Obcych Armii Czerwonej w Moskwie. Na stanowisku tym pracował aż do 30 maja 1946.

Po powrocie do kraju był przez dziewięć miesięcy bez pracy. Jego zdolności pedagogiczne nie zostały wykorzystane z powodu wrogiego stosunku do niego ministra szkolnictwa Zdeňka Nejedlego i całej grupy moskiewskiej komunistycznej emigracji czeskiej pod kierownictwem Klementa Gottwalda. Powodem była moskiewska odmowa pisania przez dr. Goja utworów poetyckich w języku czeskim, jego starania o autonomię dla kraju laskiego (w tej sprawie napisał list do Stalina) oraz odmowa pisania czeskich materiałów propagandowych na temat Śląska. Wprawdzie ostatecznie otrzymał posadę w gimnazjum, lecz zlecono mu jedynie prowadzenie kursów języka niemieckiego dla nauczycielek przedszkoli. Bardziej poniżyć go nie mogli. Później został kierownikiem katedry języków obcych na fakultecie filozoficznym Uniwersytetu J. A. Komenskiego w Bratysławie. Ale jeszcze na początku roku 1956 był śledzony i przesłuchiwany przez policję. Dr Kevin Hannan twierdzi: *Zapewne nikt z nowoczesnych artystów nie był tak prześladowany i ośmieszany przez swoich rodaków jak Ondra Łysohorsky*. Otaczał go mur niesprawiedliwej i pseudonaukowej krytyki, stawał się ofiarą intryg i ataków, na skutek których wreszcie załamał się nerwowo i musiał podjąć leczenie. Kilka dni przed otrzymaniem renty inwalidzkiej mianowano go jak na ironię docentem. Zmarł w Bratysławie 19 grudnia 1989 roku. W obrzędzie pogrzebowym w bratysławskim krematorium wziął udział szereg gości zagranicznych (m.in. z Republiki Federalnej Niemiec, Australii), nadeszły kondolencje z całego świata, tylko rodzinny kraj laski o jego zgonie niemal nie wiedział.

Pod koniec życia poeta dożył wydarzenia, w które już nie wierzył. W roku 1988 ukazała się jego „Lašsko poezyja 1931-1977" pod patronatem UNESCO, dzięki Hansowi Rothemu, profesorowi slawistyki na Uniwersytecie w Bonn. Książka ma 850 stron i zawiera prawie wszystkie wiersze Ondry Łysohorskiego. W przedmowie poeta pisze: *Lašsky jazyk je řeč ślónskych hawjérów a tkoćów. Je měkky a twérdy jak kwjétko a skała. Zbjérołch ty kwjétka a wozołch do bukety we chwilach smutku a radośći, łómołch skały w mračnych chwilach, łómołch cestu, kěro wedźe k ludskośći. Stojim pŕy tej ceśće jak stróm s hłybokimi koŕeńami. Wichry ho ńezłómaju.* Niestety, tak już bywa, że *gdy geniusz odezwie się do ludzkości, ona mu na-*

przód odpowie klątwą, a później dopiero błogosławieństwem (Aleksander Świętochowski).

Dr Karel Bogar opublikował w numerze 2/1990 kwartalnika Těšínsko ładny artykuł zatytułowany „Zemřel básník Óndra Łysohorsky?", zaś Muzeum Beskyd Frýdek-Místek zorganizowało w latach 1990 i 1995 dwa kolokwia międzynarodowe poświęcone twórczości wielkiego poety laskiego. Trzecie kolokwium odbyło się na frydeckim zamku 8 listopada br.

O ile wiem, w czasopismach polskich na Zaolziu nie poświęcano dotychczas poecie Óndrze Łysohorskiemu większej uwagi, a szkoda, ponieważ zrozumienie jego dążeń, dokonań i poglądów pozwala poznać problemy bratniej nam laszczyzny, jej diachroniczne przemiany dziejowe i jej współczesny stosunek do innych dialektów śląskich. Dobrze więc, że w setną rocznicę urodzin poświęciliśmy temu największemu poecie laskiemu niniejszy artykuł. Należy tu zaznaczyć, że dr Goj był poetą, a nie był politykiem ani członkiem jakiejkolwiek partii politycznej. Jego wielką zasługą na polu językoznawstwa była ustalona przez niego kodyfikacja literackiego języka laskiego. O tym mowa będzie w dalszym odcinku.

cdn.

WŁADYSŁAW MILERSKI

Powiatowa Rada ČSŽ, Klub Kobiet przy MK PZKO i Miejski Ośrodek Kultury w Hawierzowie zapraszają z okazji pięćdziesięciolecia miasta na wystawę robót ręcznych

ŚWIĘTA GODOWE SIĘ ZBLIŻAJĄ...

w sali wystaw Viléma Wünschego w Domu Kultury im. L. Janáčka w Hawierzowie od 14 do 19 listopada 2005 w godz. 9.00-17.00.

Wernisaż odbędzie się 14 listopada o godz. 17.00, w programie wystąpią Hawierzowskie Babki i chór mieszany Sucha MK PZKO w Suchej Górnej.

W czasie trwania wystawy codziennie o godz. 16.00 będzie program kulturalny, oprócz tego odbędą się pokazy rzemiosł artystycznych.

Z OSÓWEK DO SUCZAWY, CZYLI Z ZAOLZIA NA BUKOWINĘ cz. II

Wystawa

Ulga. Okolica ubrana w inną, bo letnią szatę, ale znajoma. Mijamy skrzyżowanie z betonowym monumentem upamiętniającym kompozytora Cipriana Porumbescu, który też ma ponoć polskie korzenie. Na horyzoncie maszt radionadajnika, kolorowa przekładanka pól i poletek, no i wjeżdżamy do Suczawy (Suceava). Przyjemnie jest znaleźć się w znajomych miejscach, rozpoznawać uliczki, skrzyżowania, place... Silnik cichnie, stoimy pod gościnnym domem naszej wspólnej koleżanki Eli, z którą witamy się długo i serdecznie. Tyle chce się powiedzieć, przecież to szmat czasu i ... już z uśmiechem raczymy się wspaniałą kolacją. Rozładunek samochodu przebiegł szybko i sprawnie. Wyciszeni, przy herbatce układamy plan działania na jutro. Ela, jak przystało na naczelnego spiskowca, który ma największe zasługi na zorganizowaniu całej tej imprezy pod nazwą „Szyte idee", ma już wszystko przygotowane i zaplanowane. Pora udać się na spoczynek, bo przed nami kolejny długi i męczący dzień.

Po śniadaniu, sklep fotograficzny, Dom Polski w Suczawie i jeszcze kilka innych miejsc, w których kupujemy i zabieramy to, co może się okazać potrzebne do instalacji. Prace i antyramy, katalogi, plakaty, zaproszenia, taśma, drucik, nóż, szmatka... Wreszcie lądujemy w Muzeum Historycznym, które jest częścią składową Kompleksu Muzealnego „Bukowina". Wnosimy wszystko na pierwsze piętro do trzech sal, które udostępniono nam do zagospodarowania. Zasapani i zabiegani udajemy się dopełnić formalności i przywitać się z gospodarzami - dyrektorem generalnym kompleksu muzealnego Constantinem Emilem Ursu i Georgem Ostafim. George to też spiskowiec, który poparł pomysł umieszczenia wystawy właśnie w tym gmachu w centrum Suczawy. Poza tym to kolega „po pędzlu" - malarz, który na co dzień pracuje w muzeum jako spec od spraw „public relation". Ela tłumaczy, ja staram się uruchomić i wykorzystać strzępy znajomości niemieckiego i angielskiego. Ale lody przełamane, pierwsza wymiana grzeczności za nami. W postawie dyrektora wyczuwa się pewien dystans i sztywność. Nie dziwię mu się. Tak do końca nie wie, co to za prace, jak zostaną przyjęte itd. George jest zorientowany, spokojny i otwarty. Od razu zaprasza nas do swego domu, pracowni, obrazów. Robi się bardzo sympatycznie i budująco. Skorzystaliśmy z tej okazji dwa tygodnie później i muszę przyznać, że było to bardzo piękne

i inspirujące spotkanie. Wracamy do pracy. Zainstalować wystawę to tylko pozornie łatwa sprawa. Oglądając efekt końcowy, mamy wrażenie czegoś prostego i lekkiego, ale poprzedza go szereg uciążliwych i nieraz żmudnych operacji: rozkładanie, przekładanie, przenoszenie, czyszczenie, cięcie, przymierzanie, zdejmowanie, dopasowywanie, klejenie... Panie z muzeum pomagają. My z Elą jak w transie. Przy okazji uczę się rumuńskiego - *bun* = dobrze; *gata* = gotowe. Zdążyliśmy się uporać ze wszystkim o przyzwoitej porze. Nie obyło się jednak bez przygód. Chwila nieuwagi i pęka szyba jednej z antyram. Pierwsza strata. Jeden z obrazów należących do „Tryptyku z Humoru" nie wytrzymał i poleciał. Brzęk rozbitego szkła. Druga strata, ale to szkło, to na szczęście. Pakujemy manatki, jeszcze rzut oka na całość, kontrola. Tak. Tak może być. Konkretyzujemy sprawy dotyczące wernisażu i wychodzimy na świeże powietrze. Jutro niedziela, więc luz. W poniedziałek zagajamy.

Pomimo dobrych i przyjaznych znaków na niebie i ziemi, pomimo wewnętrznego przekonania, że to, co wisi na ścianach muzeum, jest tym aktualnie najświeższym, najszczerszym i najczystszym ekstraktem artystycznej wypowiedzi, zawsze w kąciku duszy plącze się kilka zjadliwych nitek wątpliwości. Czy mieszkańcy Bukowiny zrozumieją to obce spojrzenie na tak dobrze znany im świat, koloryt... Czy zrozumieją? Odpowiedzią mogą być reakcje podczas wernisażu. Poniedziałek, czwarty dzień lipca. Zbliża się godzina 13.00. Trochę nietypowa jak dla nas pora otwarcia wystawy. No cóż - co kraj, to inny obyczaj. A sale powoli zaczynają ożywać. Już rozpoczął się przecież „sezon ogórkowy", urlopy, wakacje, a tu zebrała się całkiem spora grupka osób. Jeszcze moment. Ela pociesza, ale sama jest skupiona - ponownie przed nią niełatwa tłumacza dola.

Wystawę otworzyli dyrektor Kompleksu Muzealnego „Bukowina" Emil Ursu i prezes Związku Polaków w Rumunii, deputowany do parlamentu rumuńskiego Gerwazy Longher. W swoich wystąpieniach między innymi podkreślili zjawisko, które dotarło do mnie właśnie dzięki ich wypowiedziom, mianowicie: *Na wieloetnicznej Bukowinie wystawia swoje dzieła artysta plastyk polskiego pochodzenia z Republiki Czeskiej.* Jeden z gości - Tiberiu Cosowan, redaktor naczelny Monitora, najpoczytniejszej gazety w regionie, określił wystawione obrazy jako *prace z uniwersalnym przesłaniem metaforycznym.* Dostrzegł też wpływy malowideł monastyrów - złoty kolor i głęboki błękit. Udało się! Dekodyfikacja miejsca i klimatu przedstawionego na kolażach, powstałych tak daleko, powiodła się. Jak widać „zszyłem" się z Bukowiną mocnymi więzami. Owe zjadliwe nitki zniknęły, a w ich miejsce wkradł się spokój, poczucie spełnienia i radości, że cały autorski wysiłek oraz pomoc przyjaciół nie poszła na marne. Z Eli też promieniowało zadowolenie.

Pomysł, który ot tak pojawił się przed pół rokiem w Białymstoku, został pomyślnie zrealizowany. Na wernisażu padło jeszcze wiele słów pod adresem prac i autora. Jedna wszakże była szczególnie miła: *Muzeum Historyczne w Suczawie nie gościło do tej pory tak interesujących prac żyjącego współcześnie artysty*. Słowa, gratulacje, ciasteczka, symboliczny kieliszek, starzy znajomi sprzed trzech lat i nowi wspaniali ludzie jak chociażby artysta rzeźbiarz Toader Ignatescu, czy ksiądz Andrzej Ziółkowski - to wernisaż. Ten oficjalny. Tak się bowiem w tym dniu wszystko poukładało, że wieczorem już w Paltinoasie (miejscowość, w której spędzimy następne dwa tygodnie na warsztatach teatralno-plastycznych), w pobliżu wzgórza Bukowiec, w letnim domu Toadera kontynuowaliśmy wernisaż, ale już na spokojnie przy piwku i kulinarnych przysmakach z rożna, zwanych „micze". To był ze strony naszego nowego przyjaciela cudowny gest nie tylko twórczej przyjaźni. Poza tym lubię poznawać obce kraje od kuchni.

Kolonie

Tuż po wernisażu przenosiny - zresztą już anonsowane wyżej. Suczawę i mieszkanko Eli zamieniamy tym samym na równie gościnne progi Domu Polskiego w Paltinoasie. Teraz przez kilkanaście dni będziemy bawić się wspólnie z ponad trzydziestką dzieci w aktorów, malarzy i rzeźbiarzy. Już bowiem po raz piąty Związek Polaków w Rumunii przy wsparciu Podlaskiego Oddziału Wspólnoty Polskiej zorganizował warsztaty artystyczne dla bukowińskiej młodzieży. Pora zamienić koszulkę plastyka na dresik instruktora. Z tej zmiany skorzystał też Futrzak, który zaaklimatyzował się natychmiast i wzbogacił przede wszystkim swe doświadczenia towarzyskie i językowe.

Program warsztatów to głównie praca nad spektaklami i zajęcia plastyczne. Ale były też wycieczki, dyskoteki, sport, współzawodnictwa i inne atrakcje, które spowodowały, że czas zleciał jak woda. Pani Sława z grupką młodszych kolonistów przygotowała pomysłowy i kolorowy spektakl pod tytułem „Abecadło", w którym pełno było piosenek i kreacji tanecznych. Pan Mariusz zaś ze skarbnicy polskich legend wybrał tę o kwiecie paproci. Powstało bardzo ciekawe przedstawienie, w którym oprócz aktorów zagrały dodatkowo jeszcze stare muzealne sprzęty. Jako plastyk wtrąciłem tu kilka grosików do scenografii. Wyniki naszych eksperymentów plastycznych ozdobiły ściany, okna, sufit, płoty, drzwi i wiele innych miejsc w i wokół Domu Polskiego. Młodzież zamieniła pędzel za kawałek drewna, patyk, kamień, wiązkę trawy - powstały tak urocze pejzaże, spróbowała monotypii i, naśladując artystów tworzących w duchu „sztuki śmietnika", stworzyła pomysłowe obiekty-sztandary, które nazwaliśmy roboczo „Strachy". Nie mogło też

zabraknąć malowania twarzy i pochodu przez wieś. To już kolonijna tradycja - wyjaśnia Mariusz.

Poza tym kadra dopisała, kucharki się popisały, a nasza „Pani Ela" była przewspaniała. Wcielała się w coraz to nowe role: kwatermistrza, pielęgniarki, sprzątaczki, praczki.... Z pogodą nie było większych problemów, chociaż deszcz też dał się nam we znaki, jednak nie tak mocno jak w innych regionach Rumunii, gdzie woda wyrządziła wielkie szkody. Ostatni dzień kolonii to gala. Rodzice i goście obejrzeli przedstawienia, zwiedzili wystawę i... po kolacji przyszła pora się pożegnać. Uściski, całusy, serdeczności, a nawet łzy towarzyszyły tym momentom, które pozostają później jeszcze długo w pamięci. Kto wie, może kiedyś znów...?

Wędrówki, wędrówki

Pracowite te wakacje! Uf! Lecz nie ukrywam, były też chwile, kiedy razem z naszymi młodymi kolonistami lub korzystając z uprzejmości Sławy i Mariusza oraz moich rumuńskich przyjaciół, miałem możliwość poznać arcyprzeurocze zakątki Bukowiny i nie tylko.

Na początek jeszcze raz powrót na „stare śmieci" - czyli do Nowego Sołońca (Solonetu Nou), największej polskiej wsi w Rumunii, która została założona w 1834 roku przez górali czadeckich! To tu przed trzema laty rozpoczynała się moja przygoda z „krainą łagodności". Koła samochodu rytmicznie wystukują rytm spoin betonowej „drogi Aleksandra" (Kwaśniewskiego). Rozglądam się uważnie. Trochę zmian jednak zaszło. Kilka nowych domów, niektóre murowane jeszcze w budowie. Kilka opustoszało. Zatrzymujemy się przed Domem Polskim. Dalej nasza droga prowadzi pod górkę i już piechotą. Mijamy legendarny bar U Tekli i Magazin mixt. Tu akurat nic się nie zmieniło, pozostały tylko wspomnienia. Ostatni betonowy płat pod nogami, koniec drogi - koniec wsi. Przed nami tylko furmanka pnie się grząskim traktem pod górę. My też chcemy dotrzeć do Pleszy (Pleşa) - wzgórza na zboczu którego malowniczo położona jest jedna z osobliwych polskich wiosek. Ta ulicówka nosi tę samą nazwę co wspominany już szczyt. Przechodzimy koło kościoła św. Anny. Zamknięty. Dzieciaki obserwują nas z ciekawością, dorośli uprzejmie odpowiadają na pozdrowienia „dzień dobry" i dalej zajmują się swoimi sprawami. Kawałek za wsią trzeba dojść polną drogą (chociaż tu zastanawiam się, która właściwie jest polna bardziej, a która mniej) do Skały Jastrzębia. A warto. W tej wapiennej opoce miejscowy artysta rzeźbiarz i poeta w jednej osobie Bolek Majerik wyrzeźbił szereg płaskorzeźb. Są wśród nich postacie lwa, Matki Boskiej, Jezusa... Specyficzne miejsce. Pora wracać. Przed nami jeszcze kolejny ciekawy punkt.

Wyjeżdżamy z „małej Warszawy", jak też czasami nazywany jest Sołoniec. Zmierzamy na umówione wcześniej spotkanie do Kaczyki (Cacica), miejscowości, która stała się sławna w 1785 roku, kiedy odkryto tu znaczne pokłady soli kamiennej. W siedem lat później sprowadzono tu pierwszych warzelników i górników spod Bochni. Ich potomkowie żyją tu do dnia dzisiejszego. W skromnym domku niedaleko głównego wejścia na teren zakładu czeka na nas Antonela, której ojciec pracuje w kopalni i załatwił nam darmowe wejście do podziemi. Tak procentują dawne kresowe znajomości. Trasę można przebyć bez przewodnika, ale Antonela okazała się niezastąpiona. Stary szyb, kręte wilgotne drewniane schody, osady soli na skale, migotliwe światło żarówek, dziełka Bolka na ścianach korytarza, jeziorko z solanką, sztolnie. Wracamy tą samą trasą. Jakże dobrze odetchnąć świeżym powietrzem, bowiem drewniane elementy chodników w podziemiu zakonserwowane są według miejscowego patentu ropą i jej zapach staje się z czasem męczący. Polecam jednak mimo wszystko odwiedziny tej „bukowińskiej Wieliczki". Naprzeciw wejścia do kopalni stoi jedno z największych sanktuariów maryjnych w Rumunii - neogotycki kościół Wniebowzięcia NMP z cudownym obrazem Czarnej Madonny Kaczyckiej. Nic dziwnego, że to miejsce jest też nazywane „rumuńską Częstochową". Tu żegnamy się z naszą uśmiechniętą przewodniczką i dziękujemy.

Ale Rumunia to też szereg pięknych pomników natury. Jednym z takich cudów jest wąwóz Bikaz (Bicaz). Wśród górskich szczytów Wschodnich Karpat oddzielających Transylwanię od Bukowiny droga winie się wśród stromych skalnych ścian. Widok i wrażenie zniewala. Zwiedzanie warto rozpocząć od uroczego jeziorka Laku Roszu (Lacu Roşu) położonego na wysokości około 1200 m n.p.m. Później serpentynami i 155 metrowym tunelem schodzimy w kierunku Bicaz-Chei. Po drodze mijamy szereg stoisk z upominkami, czyli lokalną cepeliadę. Jednak to, co dominuje, to majestatyczna sceneria i trudna do opisania atmosfera tego głębokiego wąwozu, którego dnem z hukiem przetacza się rwący potok.

Bikaz to też miasto (oddalone o kilkanaście kilometrów od samego wąwozu), w którym jest bardzo ciekawy polski ślad. Jak mówi nam tablica pamiątkowa umieszczona na budynku obecnego Urzędu Miejskiego, w okresie od 19.09 do 04.11.1939 w tym domu mieszkał jako uchodźca chemik, profesor Politechniki Lwowskiej Ignacy Mościcki - Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1926-1939. Ale Bikaz to także zapora, której tama ma prawie 130 m wysokości i 2 km długości. To miejsce, w którym w latach pięćdziesiątych zginęło wielu więźniów politycznych, którzy pracowali tu przy budowie tego dzieła wodnego na rzece Bystrzycy.

Jednak wróćmy na Bukowinę do urzekających skarbów duchowości, które

ją rozsławiły i stanowią silny magnes dla turystów. Zapraszam na wycieczkę po kilku „malowanych" cerkwiach i monastyrach. Wygospodarowaliśmy z Mariuszem jeden wolny dzień i ruszamy. W tym miejscu jeszcze jeden typowy rumuński klimat. Prawie na każdym ważniejszym skrzyżowaniu stoi grupka ludzi w podróży, którzy czekają na „okazję". Pociągami i autobusami, które kursują rzadko, trudno się gdzieś dostarczyć. Czyli autostop to najprostsze rozwiązanie. Podwozimy kilka osób, które dziwią się, że nie przyjmujemy oferowanych pieniędzy. Okazje mają w Rumunii ustalone stawki.

Z Paltinoasy droga prowadzi nas do Solcy. Tu skręcamy w prawo. Po 6 km dojeżdżamy do wsi Arbore. Zwalniamy i po lewej stronie drogi wypatrujemy malowanej cerkwi Ścięcia św. Jana Chrzciciela... Jest. Niepozorna, stoi pośród porosłego wysoką trawą cmentarza już od 1503 roku. Wpisano ją na Listę światowego dziedzictwa kulturowego UNESCO. O dziwo jesteśmy sami, nie ma tłumów. W przedsionku świątyni pracuje grupka restauratorów, ale przed samym ikonostasem po raz kolejny doznaję olśnienia - autentyczność tych na wpół wyblakłych fresków, zakurzonych malowideł sprawia niesamowite wrażenie. Trzeba samemu stanąć wobec tej przebogatej narracji przedstawionych scen, odczuć polifonię barw, która spływa na nas ze ścian. A na wszystko ze sklepienia kopuły spogląda Chrystus Pantokrator. Nasyciwszy się świątynią, oglądam z zaciekawieniem cmentarz. Tu odżywa kolejna moja pasja - krzyże. Zwłaszcza te stare, samotne, opuszczone, poniszczone, porzucone... zapomniane. Karta aparatu łyka kolejne ujęcia. Selekcja później. Czas jechać. Rozpoczęliśmy mocnym akordem. Wracamy do Solcy i zabieramy okazyjnie sympatyczną gospodynię, która cały czas usiłuje wyjaśnić nam coś po rumuńsku, ale z potoku słów deszyfrujemy tylko - polona, poloneze. Żegnamy się serdecznie - każdy w swoim języku.

Przejeżdżamy przez miejscowość Marginea. Tu działa znana manufaktura ceramiczna. Wyroby o charakterystycznym czarnym kolorze można kupić na miejscu, można też obejrzeć proces ich powstawania, a nawet czasami spróbować, jak pracuje się na kole garncarskim. Ceny tej oryginalnej ceramiki są bardzo przystępne. Przed nami otwiera się powoli widok na malowniczo położony wśród łagodnych wzgórz monaster Sucevița, założony w latach 1581-1584. To jeden z najpiękniejszych kompleksów klasztornych nie tylko na Bukowinie. Jest to ostatnie wielkie dzieło architektury i malarstwa staromołdawskiego. Historycy sztuki używają w tym wypadku nawet określenia „testament starej sztuki mołdawskiej". Spośród pięknie zachowanych fresków największą uwagę skupia na sobie monumentalna i dramatyczna kompozycja na ścianie północnej - Drabina cnót. To malowidło jest wspaniałą ilustracją życiowej prawdy - im wyżej stoisz, tym niżej możesz spaść!

My też wspinamy się serpentynami coraz wyżej, na przełęcz (czyli *pasul*)

Ciumârna (1106 m n.p.m.). Postój. Słońce jasno oświetla wierzchołki pasma górskiego Obcina Mare. Podziwiając malownicze okolice, zjeżdżamy w dolinę rzeki Mołdawicy. Kolejnym wspaniałym zabytkiem na naszej drodze jest Monastyr Moldovița. Pierwotny klasztor stał tu już na początku XV wieku. Ten obecny zbudowano w latach 1532-1537. Cerkiew Zwiastowania Bogurodzicy bogato zdobiona w malowidła robi wrażenie bajkowej lub raczej teatralnej dekoracji. Dużo kwiatów, ścieżki wysypane żwirem zadbane. Widać i czuć tu kobiecą rękę sióstr zakonnych. Przed klasztorem na płocie otaczającym parking rozłożył swe wyszywane koszule i bluzki sympatyczny mężczyzna w okularach. Podchodzę i przymierzam. Waham się, próbuję się targować... Jednak nie ten rozmiar. Szkoda, ale trudno, na pamiątkę pozostanie mi przynajmniej wspólne zdjęcie ze sprzedawcą. Pozujemy. Ja w przyciasnej koszuli, on w czarnym płaszczu z grubej wełny. Malowniczą doliną Mołdawicy docieramy do głównej drogi, która zaprowadzi nas do Paltinoasy. Jak na jedną eskapadę wrażeń było mnóstwo.

Oczywiście, że „malowanych monastyrów" jest na Bukowinie sporo i każdy ma swój specyficzny klimat, koloryt (a była już mowa choćby o „błękicie woroneckim"). Może poszczycić się ciekawym rozwiązaniem architektonicznym, ikonograficznym itp. Zwiedziłem jeszcze kilka frapujących miejsc (Humor, Poiana Mikuli, Voronet...), poznałem szereg ciekawych ludzi, razem z moimi przyjaciółmi przeżyłem jeszcze kilka przygód (z pękniętym wałem korbowym i perypetiami w warsztacie samochodowym włącznie), lecz coraz częściej myśl uciekała do tych, którzy zostali w domu. Pora wracać. Pakujemy manatki, jeszcze ostatnie... Ale przed wyjazdem warto się posilić. Polecam więc wszystkim, nawet tym, którzy nie lubią, flaczki na sposób rumuński, czyli potrawę, która figuruje w jadłospisie pod nazwą *ciorba de burta*. W tłumaczeniu - pycha z pysznościami. Smacznego! Droga powrotna przebiegła już bez większych przygód, za to z dalszą masą wrażeń - urokliwe łany słoneczników, zachód słońca nad winnicami Tokaju... Żegnam się ze wszystkimi, którzy zechcieli razem ze mną odbyć tę wędrówkę z Osówek aż na Bukowinę rumuńskim - DRUM BUN! - dosłownie Dobrej drogi!

WŁADYSŁAW KUBIEŃ

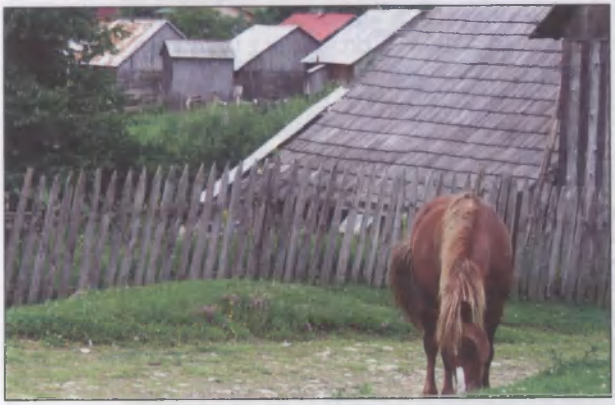
P.S.

W tym momencie pragnę z serca podziękować wszystkim, którzy pomogli mi i Futrzakowi przeżyć tyle wspaniałych wakacyjnych przygód. Szczególnie zaś Eli, Sławce, Mariuszowi i George.











Fot. WŁADYSŁAW KUBIEŃ

XIII ŚWIATOWE FORUM MEDIÓW POLONIJNYCH

Po raz trzynasty odbyło się na początku września (5–12.9.2005) Światowe Forum Mediów Polonijnych. Program tegorocznego Forum realizowany był w Tarnowie, mieście, w którym zrodziło się w 1993 roku jako Światowe Forum Prasy Polonijnej, oraz w województwie śląskim. Od roku 1999 podczas trwania Forum dziennikarzom polonijnym prezentowane jest jedno polskie województwo, najpierw była to oczywiście Małopolska, następnie Podkarpacie, województwo łódzkie, świętokrzyskie, lubelskie, pomorskie. Główny organizator Światowego Forum Mediów Polonijnych to Stowarzyszenie Małopolskie Forum Współpracy z Polonią, a tematem wiodącym jest rola mediów polonijnych w tworzeniu kontaktów środowiskowych i utrzymywaniu więzi z krajem oraz promocja Polski w świecie.

Na tegoroczne Forum przyjechali dziennikarze polonijni z 23 krajów z czterech kontynentów (zaolziańską prasę oraz polskojęzyczne programy radiowe i telewizyjne z Ostrawy reprezentowało osiem osób). Dwa dni spędzili w Tarnowie, tam też rozdane zostały coroczne nagrody Fidelis Poloniae, nagrody w Konkursie Literackim Powroty do źródeł im. Henryka Cyganika oraz w konkursie na reportaż z poprzedniego Forum.

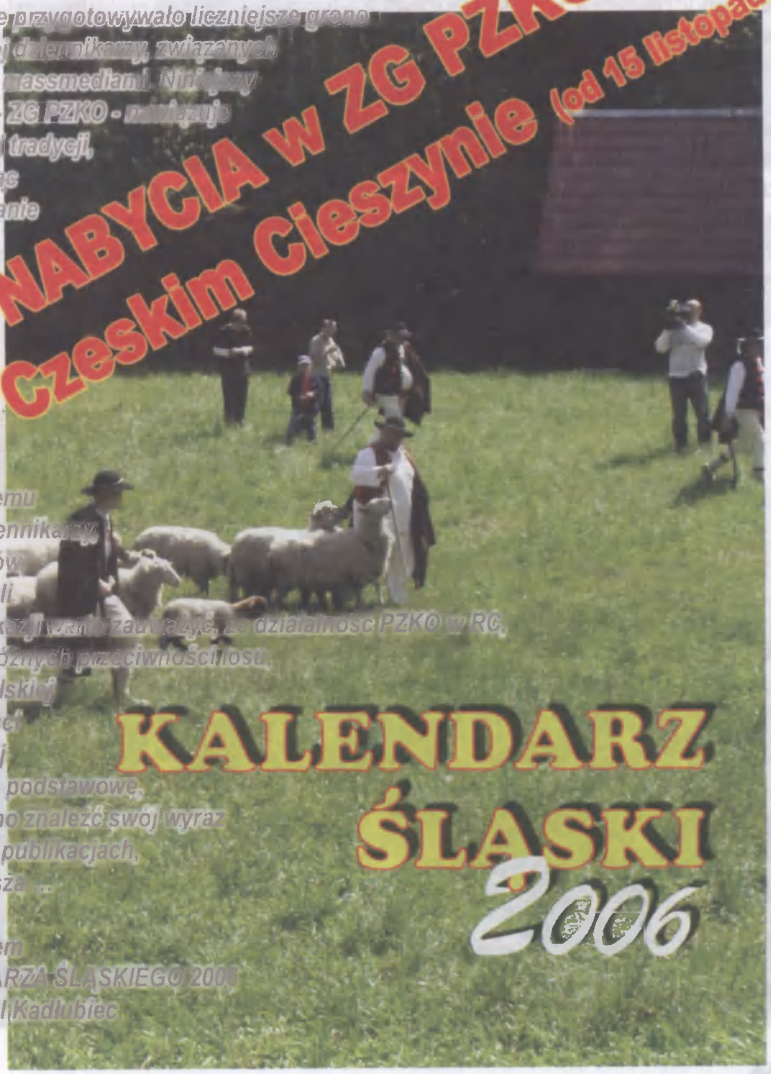
Perspektywa europejska regionu śląskiego w XXI wieku, przemysł, kultura, turystyka – tak brzmiało hasło Forum, z którym zawitano do województwa śląskiego. Nie zabrakło wystawy gospodarczej Wektory rozwoju – Śląsk – Europa' 2005 oraz Meetingu Proeuropejskiego Media – Śląsk – Europa' 2005, a pomysłodawca i szef Forum Stanisław Lis przedstawił swoją najnowszą publikację książkową "Obraz Polski w mediach – kontekst regionalny i europejski". Były warsztaty w mediach lokalnych, a przede wszystkim wiele spotkań i rozmów indywidualnych, zbliżających dziennikarzy polonijnych prasy, radia i telewizji z różnych stron świata, których łączy wspólny język i serdeczne uczucia do swojej Macierzy.

Prezentację województwa rozpoczęto w Sali Sejmu Śląskiego w Urzędzie Wojewódzkim w Katowicach od konferencji prasowej z udziałem władz województwa i miasta. Podczas spotkania mowa była o trzech jakże różniących się częściach obecnego województwa, które powstało przez połączenie trzech dawnych województw: śląskiego, częstochowskiego i bielskiego. Jednak w programie Forum zabrakło miejsca na zwiedzanie regionu pod względem turystycznym bardzo atrakcyjnego, a Zaolziu i sercom Zaolziaków najbliższego, regionu Beskidów i Śląska Cieszyńskiego. W ofercie Forum były miasta Górnego Śląska i Zagłębia: Katowice, Chorzów, Ruda Śląska, Świętochłowice, Tychy i Pszczyna, Wyżyna Krakowsko-Częstochowska z Zawierciem i Częstochową, gdzie na Jasnej Górze wzięli udział uczestnicy Forum w mszy św. Na zakończenie Forum zawitali dziennikarze polonijni do siedziby ZPiT Śląsk w Koszęcinie.

C.R.

Ten KALENDARZ ŚLĄSKI jest próbą powrotu do dawnych kalendarzy Głosu Ludu, potem Zwrotu, których kontynuatorem stał się Kalendarz Śląski. Powrót ten nie jest jednak powrotem do tradycyjnych form, ale do odpowiedniego rozłożenia akcentów między tradycją i współczesnością, by prócz tego nowego, współczesnego przypomnieć coś, co jest niezauważane, zapomniane niesłusznie czy zagubione gdzieś po drodze. Kalendarz Śląski jest od dziesiątków lat publikacją wydawaną przez ZG PZKO, lecz przeznaczoną nie tylko dla jego członków i sympatyków, ale dla wszystkich, którym są bliskie sprawy Zaolzia czy Śląska Cieszyńskiego w szerszym lub węższym kontekście. Kalendarze tradycyjnie przygotowywało liczniejsze grono najczęściej dziennikarzy związanych z naszymi masmediami. Niniejszy wydawca - ZG PZKO - nawiązuje tutaj do tej tradycji, powierzając zredagowanie tego

DO NABYCIA w ZG PZKO w Czeskim Cieszynie (od 15 listopada)



periodyku liczniejszemu gronu dziennikarzy, publicystów, nauczycieli. Przy tej okazji warto zauważyć, że działalność PZKO w RC, pomimo różnych przeciwności losu, ma dla polskiej mniejszości narodowej znaczenie podstawowe, co powinno znaleźć swój wyraz i w takich publikacjach, jak niniejsza ...

Redaktorem KALENDARZA ŚLĄSKIEGO 2006 jest Daniel Kadlubiec.

BABSKI FESTYN

Sekcja Kobiet ZG PZKO na czele z jej przewodniczącą Henryką Żabińską i Miejscowe Koło PZKO w Olbrachcicach, a w szczególności Klub Kobiet pod kierownictwem Marii Witoszek, były w tym roku organizatorami tradycyjnego, organizowanego co dwa lata Babskiego Festynu, który w tym roku odbył się 17 września w Domu Robotniczym w Olbrachcicach. Spotkanie organizowane w głównej mierze przez panie w różnych miejscowościach Zaolzia zawsze cieszy się olbrzymim powodzeniem, toteż i w tym roku nie było inaczej, choć pogoda nie sprzyjała. Ale Dom Robotniczy pomieścił wszystkich chcących skorzystać z wybornej zabawy, koleżeńskich spotkań i dobrej kuchni. A i otaczający Dom Robotniczy ogród, gdzie ulokowało się zaplecze kulinarne, cieszył się nie mniejszym powodzeniem.

Program artystyczny IX Babskiego Festynu prowadziła Helena Legowicz, a na scenie Domu Robotniczego zaprezentowali się i publiczność zabawiali: orkiestra rodzinna państwa Palowskich, Teatrzyk Drops pod kierownictwem Jadwigi Czapowej, chór mieszany Olbrachcice pod kierunkiem Bruno Kaliny i popularny nie tylko na Zaolziu piosenkarz Michał Rzeszut. A na koniec paraliżujący oddech wszystkim uczestnikom imprezy pokaz wędryńskich gimnastyków.

E. S.









60 LAT GŁOSU LUDU

Nasi koledzy po piórze z Głosu Ludu świętowali 60-lecie polskiej gazety. Z tej okazji 1 października br. w auli Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie odbyła się konferencja, podczas której swoje przyczynki wygłosili: dr Stanisław Zahradnik, dr Andrej Sulitka (Praga), dr Krzysztof Nowak (UŚ Katowice), Stefan Król (Książnica Cieszyńska) i dr Małgorzata Michalska (Uniwersytet Wrocławski). Była mowa o czasopiśmiennictwie na Śląsku Cieszyńskim w Czechosłowacji i Republice Czeskiej, o finansowaniu prasy mniejszości narodowych w RC, polskiej prasie w RC po roku 1989 i o niektórych wątkach życia społecznego odzwierciedlonych na łamach Głosu Ludu w latach 1945–1970. W kuluarach auli można było obejrzeć okolicznościową wystawę poświęconą historii pisma.

Miało być trochę naukowo, trochę wspomnieniowo, a przede wszystkim radośnie, bo przecież to jubileusz pisma, a na dodatek jedynego w swoim rodzaju dziennika wydawanego w RC wśród wszystkich mniejszości. Ale wyszło inaczej, a to za sprawą dyskusji rozliczeniowej byłych redaktorów Głosu Ludu. Od przeszłości nie da się odciąć, ale zgorzkniałość jej aktorów nie może przesłaniać teraźniejszości i przyszłości pisma.

E.S.








GAZETA
POLAKÓW
W REPUBLICE
CZESKIEJ


Głos Ludu
Głos Ludu
Głos Ludu
głos ludu
GŁOS LUDU
GŁOS LUDU



STARE I NOWE W DOMU I W OGRODZIE

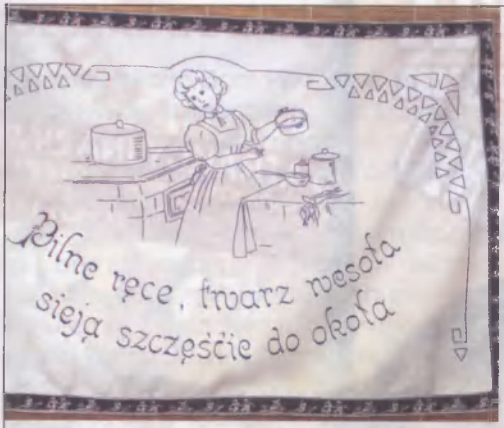
To kolejna atrakcyjna wystawa zorganizowana przez Koło PZKO w Orłowej Lutyni. Trzeba przyznać, że wszystkie wystawy prezentowane w tutejszym Kole miały zawsze specyficzny charakter, bowiem w zamyśle ich organizatorów wyraźnie zaznaczał się poza faktem dokumentowania odchodzącej historii i obyczajowości regionu wątek edukacyjny. I ten wyraźnie dominował w tym roku. Aż szkoda, że wystawę można było oglądać tylko w sobotę i w niedzielę 1 i 2 października, bowiem mogły z jej niezwykłych eksponatów skorzystać z pożytkiem dla własnej wiedzy tylko te dzieci, które przyprowadzili rodzice czy dziadkowie. A uczniom z pewnością dałaby najwięcej.

W dużej Sali Domu PZKO zgromadzono sprzęty gospodarstwa domowego stare i nowe. I tak idąc po kolei można było przenieść się na moment do dawnej kuchni, spiżarni pełnej zimowych zapasów, jadalni, zajrzeć do pralni i na pole, i do ogrodu. Kosy, sierpy a obok nowe kosiarki. A w ogrodzie Domu kolejne stare sprzęty rolnicze.

A po obejrzeniu wystawy można było zjeść smaczną golonkę i zakupić polską książkę, bowiem zawsze wystawie towarzyszy kiermasz polskich książek, które dostarcza księgarnia Alfa z Czeskiego Cieszyna.

Chwała prezesowi Miejscowego Koła Marianowi Jędrzejczykowi i jego współpracownikom za godną podziwu chęć utrwalania przeszłości w świadomości młodych.

E.S.


Pilne ręce, twarz wesoła
sieją szczęście do okoła











Od dnia WYSTAWY POLSKIEJ KSIĄŻKI w Jabłonkowie **11. 11. - 16.00** (inauguracja MOKiP) jest do nabycia kontynuacja OPOWIADAŃ O NASZYM GOTOWANIU, książka tego samego autora, Franciszka Bałona, poświęcona domowym wypiekom - **OPOWIADANIA O NASZYM PIECZENIU**, wydana staraniem MK PZKO w Skrzeczoniu. Publikacja ma 288 stron z 170 przepisami (uzupełnionymi opowiadaniami i ciekawostkami historycznymi związanymi z pieczeniem) i licznymi kolorowymi ilustracjami. Książkę można nabyć bezpośrednio w MK PZKO w Skrzeczoniu (kontakt telefoniczny - Danuta Guziur, tel.: 596 033 334), w księgarni ALFA w Czeskim Cieszynie, w redakcji ZWROTU w Czeskim Cieszynie **za cenę 180,- Kcz.**

MK PZKO, Kluby Kobiet i inne grupy zainteresowanych mogą kupić książkę hurtowo, przy odbiorze 10 i więcej egzemplarzy za cenę 160,- Kcz za jeden egzemplarz.

Dystrybucję hurtową zapewnia MK PZKO w Skrzeczoniu i redakcja ZWROTU w Czeskim Cieszynie. Oprócz tego we wszystkich wyżej wymienionych punktach sprzedaży będzie do dyspozycji ograniczona ilość obu książek - OPOWIADANIA O NASZYM PIECZENIU i OPOWIADANIA O NASZYM GOTOWANIU w kompletach ze znaczną obniżką ceny - komplet za cenę 290,- Kcz.

Stali prenumeratorzy ZWROTU mogą nabyć OPOWIADANIA O NASZYM PIECZENIU w redakcji pisma za cenę 170,- Kcz!

TA KSIĄŻKA JEST PROPOZYCJĄ NA PODARUNEK POD CHOINKĘ - DLA ŻONY, DLA CÓRKI, DLA WNUCZKI...

Strona sponsorowana

OLBRACHCICKIE JUBILEUSZE

We wrześniu 1995 roku w Olbrachcicach uroczyście otwarto Dom PZKO. Było to wielkie wydarzenie dla miejscowej pezetkaowskiej społeczności, na które przybyli w pierwszej kolejności ci, którzy przez siedem lat zmagali się z budową. Z troską myślano o przyszłości, by Dom był w pełni wykorzystany i służył Olbrachcicom w zakresie rozwijania działalności kulturalnej.

10 lat później na jubileuszowym spotkaniu 8 października br. można było z dumą przypomnieć, czego dokonali tu członkowie Koła PZKO. Dom, jak wcześniej zakładano, pobudził wszystkich do systematycznej pracy kulturalnej. I tak działa tu chór mieszany Olbrachcice pod kierownictwem Bruno Kaliny, Zespół Drops – teatrzyk dziecięcy MK PZKO, który prowadzi Jadwiga Czapowa, w roku 1995 na krótko wznowił działalność, niegdyś słynny, Zespół Teatralny. Niestety śmierć jego pomysłodawcy i reżysera przekreśliła plany artystyczne. W Domu znalazł również miejsce Klub Młodych (mają swoją oddzielną salkę w suterenie budynku) i Klub Kobiet prowadzony kolejno przez Małgorzatę Fajową, Olgę Cieślową i obecnie przez Marię Witoszkową oraz Klub Seniora, któremu przewodniczy Otto Kloza. Taka ilość zgodnie pracujących zespołów i klubów (a wszyscy razem to Miejscowe Koło PZKO) organizuje co roku kilka imprez, wiele z nich





wspólnie z miejscową polską szkołą i przedszkolem. Dom nigdy nie świeci pustką, bo swoimi lokalami świadczy także usługi dla wszystkich mieszkańców Olbrachcic. Od strony organizacyjnej czuwa nad wszystkim prezes Koła Iwona Gunka, a wspierają ją panie z Klubu Kobiet, gospodarz Maria Harokowa i gospodarz techniczny Gustaw Gunka. Wszystkie ważne wydarzenia i bieżącą działalność koła i Domu PZKO w Olbrachcicach skrzętnie odnotowuje w Kronice Franciszek Jeżowicz.

Podczas jubileuszowej uroczystości 85-lecia zorganizowanego śpiewactwa w Olbrachcicach i 10-lecia Domu PZKO zaprezentował się chór mieszany Olbrachcice pod kierownictwem Bruno Kaliny. Jego historię przypomniała prowadząca koncert Helena Legowicz, zachęcając do zapoznania się z nistorią śpiewactwa w Olbrachcicach spisaną w wydanej z tej okazji broszurze.

Gościem jubileuszowej uroczystości był chór mieszany Stonawa i Michał Feber – gitara. A na koniec zaprezentowały się dzieci z Teatrzyku Drops w przedstawieniu „Ptasi gaj". A podczas spotkania towarzyskiego można było obejrzeć wystawę dokumentującą działalność Miejscowego Koła i Domu PZKO.

E.S.









Fotografie w Kronice FRANCISZEK BAŁON



W zebraniu założycielskim Ogniska Oddziału Górali Śląskich w Jabłonkowie wzięli udział przedstawiciele zarządu Oddziału działającego w polskiej Trójwsi (z prawej): wiceprezes Piotr Kohut oraz Józef Michałek. Z lewej sekretarz zarządu Ogniska Jan Rylko i prezes Leszek Richter. **Fot. JACEK SIKORA**

POWSTAŁY GÓRALSKIE OGNISKA

Od września istnieją na Zaolziu dwa Ogniska Oddziału Górali Śląskich, działającego w ramach Związku Podhalan. Oddział Związku Podhalan powstał w maju br. w polskiej części Beskidu Śląskiego, członkiem jego zarządu został także Andrzej Niedoba z Mostów k. Jabłonkowa, jeden z założycieli mosteckiego zespołu Górole i pomysłodawców organizowania tradycyjnych Bali Gorolskich. To on właśnie założył pierwsze zaolziańskie Ognisko w Mostach i to jego wybrano na prezesa. Członkami trzyosobowego zarządu są ponadto Alojzy Martynek i Bolesław Niedoba.

Drugie Ognisko powołano 18 września w Jabłonkowie. Liczy ono obecnie 10 członków, a na jego czele stoi trzyosobowy zarząd w składzie: Leszek Richter (prezes), Jan Rylko (sekretarz) i Łucja Tomek (skarbnik).

Jak powiedział Jan Rylko, Ognisko działać będzie przy jabłonkowskim MK PZKO. Co nie oznacza, że jego członkami nie mogą zostać osoby deklarujące narodowość czeską. Poinformował też o powodach utworzenia nowej organizacji. Chodzi m.in. o lepszy dostęp do środków finansowych, konieczność połączenia sił w regionie, który tworzył niegdyś jedną całość (w ramach parafii jabłonkowskiej), a przede wszystkim utrzymywanie kultury góralskiej, zwłaszcza pasterskiej, dawnej ludowej architektury oraz gwary. *Liczymy też na to, że Oddział pomoże nam chociażby przy organizowaniu Gorolskigo Święta i innych imprez lub warsztatów tematycznych* – dodał Rylko.

(kor)

WYCIECZKA POZNAWCZA SEKCJI LUDOZNAWCZEJ

Sekcja Ludoznawcza, oprócz swej działalności badawczej w zakresie kultury ludowej nie tylko Zaolzia, ale szerzej pojętego Śląska Cieszyńskiego, organizuje corocznie zebrania wyjazdowe oraz wycieczki poznawcze. Cieszą się one popularnością wśród członków, przede wszystkim ze względu na możliwość poznania (przynajmniej w pewnym stopniu) tradycyjnego dziedzictwa kulturowego wybranych regionów. Ostatnia wycieczka miała miejsce w październiku (28–29.10.2005). Ludoznawcy odwiedzili prawobrzeżną część Śląska Cieszyńskiego, a mianowicie Trójwieś. Popularna nazwa Trójwieś odnosi się do trzech podgórskich wsi, którymi są Jaworzynka, Istebna oraz Koniaków, słynny przede wszystkim dzięki koniakowskim koronkarkom. Jednak koronkarstwo to nie jedyna działalność wspierająca czy co najmniej upamiętniająca dziedzictwo kulturowe tamtego regionu.

Pierwszy punkt programu stanowiło wyjście na Ochodzitą (895 m n.p.m.), z której jak na dłoni można zobaczyć niektóre szczyty górskie Republiki Czeskiej, Słowacji i oczywiście Polski. Po zejściu z Ochodzitej droga uczestników poprowadziła do galerii „Na Szańcach" w Koniakowie.

W galerii „Na Szańcach", prowadzonej przez Tadeusza Ruckiego, ludoznawcy obejrzeli dzieła nieprofesjonalnych malarzy oraz rzeźbiarzy. Nie zabrakło także mini-koncertu wykonanego przez Tadeusza Ruckiego. Otóż codziennie, także w czasie naszej wizyty, o godzinie 19,00 w Koniakowie rozlegają się słynne pieśni wykonywane przez niego na trombach i rogach łowczorskich. Jako ostatnia, po zachodzie słońca, brzmi pieśń harcerska „Cisza". W galerii „Na Szańcach" można usłyszeć nie mniej potężne brzmienie rogów alpejskich.

Drugi dzień wycieczki był również obfity pod względem „kulturowym". Wojaże etnograficzne rozpoczęliśmy w Izbie Regionalnej, która mieści się w Szkole Podstawowej nr 2 w Koniakowie Rastoce. Jest udaną realizacją świetnego pomysłu jednej z miejscowych nauczycielek, Lucyny Bytów. Założona przed dwoma laty cieszy się popularnością wśród koniakowskich uczniów. Celem Izby Regionalnej jest przybliżenie dzieciom tradycyjnego życia ich regionu. Oczywiście izba nie służy tylko najmłodszym członkom społeczeństwa, zaprasza wszystkich zainteresowanych. Po jej oglądnięciu członkowie Sekcji Ludoznawczej odwiedzili Muzeum Koronki, prowadzone przez Marią Gwarek. Po krótkim wykładzie na temat koronkarstwa udano się do kolyby Piotra Kohuta, łowczorza, muzyka oraz poety. Wyrabia on także sery owcze tradycyjnym sposobem. O ich wyśmienitym smaku oczywiście można się było samemu przekonać.

Na trasie wycieczki poznawczej do Trójwsi nie można absolutnie pominąć ostatniego dochowanego „kurloka" (czyli chaty kurnej) w Istebnej z 1863 roku. W „Chacie u Kawuloka" ludoznawcy wysłuchali wykładu Janusza Macoszka, który opowiadał z niezwykłym zafascynowaniem, od

czasu do czasu przygrywając na rozmaitych instrumentach pasterskich (piszczołka, łokaryna, trómba łowczorsko czy sowa). Zostały one zrobione przez samego Jana Kawuloka, długoletniego właściciela chałupy, człowieka zasłużonego dla kultury regionalnej, laureata nagrody im. Oskara Kolberga.

Przedostatnim punktem wycieczki było zwiedzanie kościółka z 1794 r. pw. Dobrego Pasterza w Istebnej ze zdobieniami i polichromią wykonaną przez miejscowych artystów, Konarzewskiego i Wałacha.

Na zakończenie poznawczej części wycieczki jej uczestnicy udali się do muzeum regionalnego – skansenu „Na Grapie" w Jaworzynce. Muzeum zostało założone przez Jerzego Ruckiego. Mieszczą się w nim stałe ekspozycje, m.in. wystawa stroju ludowego. Obecnie można tam podziwiać rzeźby Józefa Motyki, czy lalki autorstwa Joanny i Józefa Burych wykonane przy pomocy tradycyjnych narzędzi. Uwagę przyciągają także drzeworyty Jana Wałacha.

Udaną wycieczkę zakończono w Domu PZKO w Koszarzyskach, ogrzewając się przy ogniu i smakując pieczonej baraniny. Dyskutowano także na temat przyszłych planów działalności Sekcji Ludoznawczej.

DARIA RONCHETTI

SKARBY Z CIESZYŃSKIEJ TRÓWŁY

Od pięciu lat realizowany jest w Czeskim Cieszynie i Cieszynie projekt nazwany Skarby z cieszyńskiej trówły. Symboliczna trówła, kiedyś malowana skrzynia, w której przechowywano stroje, dziś oferuje wiele atrakcji. Wśród organizatorów przedsięwzięcia są instytucje zajmujące się kulturą i edukacją. Głównym celem akcji jest zainteresowanie mieszkańców regionu i turystów lokalną historią, kulturą, tradycją. W programie, obejmującym zarówno sztuki nowoczesne jak i ginące rzemiosła, w którym prezentują się związani z regionem Śląska Cieszyńskiego artyści profesjonalni i amatorzy, jest miejsce także na aktywność widzów i słuchaczy. Dla uczniów szkół przygotowywane są konkursy literackie i plastyczne, warsztaty artystyczne, wycieczki edukacyjne. Odbywają się koncerty, wystawy, pokazy rzemiosł artystycznych.

Podczas tegorocznej imprezy otwarcie trówły nastąpiło 15 września po spektaklu Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego "Ondraszek", zaś zamknięto trówłę 2 października. Teatr Cieszyński oprócz "Ondraszka" zagrał także "Cieszyńskie niebo". Organizatorzy zaprosili na cały szereg imprez o bardzo różnorodnym charakterze, np. na spotkanie z pisarzem Jerzym Pilchem, na zwiedzanie Góry Zamkowej, browaru, na pokaz walk rycerskich, na przedstawienia teatralne i koncerty muzyczne, spotkania z żywym słowem, na wystawy obrazów (m.in. Franciszka Świdra), fotografii

(m.in. Magiczne Zaolzie), wikliny, koronki, kafli, plonów ogrodniczych itd. Odbył się IV Konkurs Pieczenia Strucla, Biojarmark na temat zdrowego sposobu życia i ekologicznej żywności i Festiwal Ezoteryczny. W Bibliotece Miejskiej czytano głośno ulubione książki i bajki na dobranoc, z okazji rozpoczęcia Tygodnia Bibliotek na czeskocieszyńskim rynku odbył się happening. Pracowano w warsztatach twórczych sztuki ludowej. Czar starych rzemiosł był prezentacją sztuki kowalstwa, druciarstwa, koronczarstwa, garncarstwa, wyrobu ludowych instrumentów muzycznych i biżuterii, pieczenia pierników, domowej produkcji masła i sera, pracy na kołowrotku, nie zapomniano o takich rzemiosłach jak wikliniarstwo, wyrób kafli, obróbka i konserwacja drewna i in., odbyły się pokazy w warsztatach tkackich i ceramicznych. Pod okiem fachowców odbyły się lekcje tańca ludowego i towarzyskiego. Nie zabrakło śpiewu i tańców zespołów ludowych, "gorolski grani" przedstawiła kapela Torka, wystąpił ZPiT Oldrzychowice, a na zakończenie akcji "Skarby z cieszyńskiej trówły" program "Ojcowski dom to istny raj..." wykonał ZPiT Ziemi Cieszyńskiej.

C.R.

RUCH POLITYCZNY COEXISTENTIA–WSPÓLNOTA PO KONGRESIE

W maju br. obradował w Czeskim Cieszynie Kongres, najwyższy organ Ruchu Politycznego Coexistentia–Wspólnota. Wybrano na nim centralne organy Ruchu, przewodniczącym został członek sekcji węgierskiej László Kocsis, i 37–osobową Radę Republikową, znowelizowano statut oraz zatwierdzono program na okres dwu lat. 10 września br. Rada Republikowa przyjęła uchwały związane z udziałem Ruchu w wyborach. W wyborach komunalnych na jesieni przyszłego roku Wspólnota zgłosi listy kandydackie w gminach, w których tradycyjnie ma poparcie wyborców i mandaty przedstawicielskie, lub zgłosi listy stowarzyszenia z kandydatami niezależnymi. Natomiast w większych miastach, gdzie konieczne jest szersze poparcie ze względu na obowiązujący 5% próg wyborczy, chce współpracować w ramach koalicji wyborczych z pro–europejskimi partiami politycznymi. W pierwszej kolejności współpracę proponuje Stowarzyszeniu Niezależnych. Działacze Wspólnoty dyskutowali też o poparciu w wyborach parlamentarnych, które odbędą się na wiosnę przyszłego roku, tj. przed wyborami komunalnymi. Rozpoczęto już konsultacje z prezesami Kongresu Polaków i PZKO.

W ramach Wspólnoty aktywnie działają trzy sekcje narodowe: polska, węgierska i ukraińsko–rusińska. Najważniejsze uchwały podejmowane są w sekcjach narodowych, a dopiero potem są akceptowane przez cent-

ralne organy Ruchu. Wspólnota realizuje cele programowe zapisane w statucie, przede wszystkim działa w interesie mniejszości narodowych. Chodzi o zapewnienie: a) prawa do korzystania z własnego języka w kontaktach urzędowych, b) prawa do kształcenia w języku ojczystym, gwarantowanego przez państwo, c) prawa do udziału w rozwiązywaniu spraw dotyczących mniejszości narodowych, d) prawa do szerzenia informacji we własnym języku, e) prawa do rozwoju własnej kultury, f) prawa do zachowania własnych zabytków kultury i majątków. Cele te są realizowane metodami dostosowanymi do aktualnej sytuacji politycznej, przede wszystkim do faktu wprowadzania konwencji wynikających z członkostwa w Unii Europejskiej.

Polska Sekcja Narodowa wybrała zarząd sekcji, który pracuje w 15-osobowym składzie. Przewodniczącym sekcji jest Władysław Niedoba, prezydium zarządu pracuje w składzie: Wiesław Sikora (wiceprzewodniczący Ruchu), Tadeusz Toman (sekretarz Rady Wykonawczej), Władysław Drong i Józef Toboła. W ramach Sekcji pracują grupy robocze ds. polityki komunalnej, ds. organizacji wyborów i ds. szkolnictwa. Powołano też sztab wyborczy do wyborów komunalnych.

Z okazji 15. rocznicy założenia Ruchu odbędzie się 19 listopada br. seminarium pt. „15 lat w polityce z realizacją praw mniejszości narodowych". Jego organizacją zajmie się prezydium robocze na czele ze Stanisławem Gawlikiem. W programie przewidziano krótkie odczyty prezesów sekcji narodowych Ruchu oraz wystąpienia zaproszonych gości, m.in. posłów do Parlamentu Europejskiego.

TADEUSZ TOMAN



Foto-grafiki WŁADYSŁAW KUBIEŃ



KS. JAN TWARDOWSKI

SKĄD PRZYSZŁO

Zło jest romantyczne a dobro zwyczajne
dobro wciąż na ostatku bo zło jest ciekawe
a przecież białych kwiatów najwięcej na świecie
dopiero po nich żółte a potem czerwone

czemu się rozum karmi tajemnicą
a chwila niepewności wciąż sprzyja nauce
po tylu rewolucjach biedne ptaki bose
i ćma tak bardzo mała że żyje za krótko

czemu deszcz słyszysz z góry a śnieg trochę
z boku
i skąd nagle przyszło to wielkie wzruszenie
jakby dzwonek z lat szkolnych przyłożył do ucha
dzieciństwo co minęło na zawsze zostało
tylko się z młodości zrobiła starucha
1976, 1986

ŻEBY WRÓCIĆ

Można mieć wszystko żeby odejść
czas młodość wiarę własne siły
świętej pamięci dom rodzinny
skrzynkę dla szpaków i sikorek
miłość wiadomość nieomylną
że nawet Pan Bóg niepotrzebny

potem już tylko sama ufność
trzeba nic nie mieć
żeby wrócić
1977

MALOWANI ŚWIĘCI

Jak się czują malowani święci na wystawach
nie mogąc rozpoznać pod szminką świętości
swojej tajemnicy
milczącego dramatu
skuleni w reprezentacyjnej zbroi
nie mogą się nadziwić
że złote palce wymalowano im żółcią
srebrne twarze - błyszczącą bielą
do lśniącej czerni dolewano kleju
tylko oczy mają naprawdę niebieskie jak gęś domowa
wstydzą się
tytułów biżuterii i innych podrobów
onieśmieleni robią karierę w sklepach z dewocjonaliami

Co w nich prawdziwego
ucho
każdy obraz święty słyszy
nawet taki mały który dostałem przed maturą od matki
z głodnego dziobu pamięci
trzymam go za nitkę o wiele za krótką
1961, 1996

JERZY MARCINIAK

...MAŁY PREZENT

Pamięci Marianny i Włodzimierza Dzierugo

Ranek budził się powoli, jakby leniwie, nieśmiało. Dolina była ciągle pełna gęstych mgieł, mimo że sporo czasu upłynęło od wschodu słońca. Często patrzyłem z tego miejsca w dół, jak z białych oparów wynurzał się powoli las, potem łąka delikatnie schodząca szerokimi uskokami ku polnej drodze i na koniec ukazywał się szumiący życzliwie strumyk wijący się zakolami na dnie doliny.

Schodziłem w dół wąską ścieżką obrośniętą po obu stronach wysoką trawą i paprociami. W głębokich cieniach pod strzelistymi świer-kami wysokie trawy gięły się pod kroplami perlistej rosy. Od strony polany dolatywał śpiew kosa czy szpaka, zawsze miałem trudności z ich odróżnieniem. Miejscami ścieżka była tak wąska, że liście paproci i baziaste główki traw ocierały się o moje spodnie. Lubiłem to miejsce wieczorami o zachodzie słońca, długie cienie wysokich drzew kładły się na łąkę i miękko falowały w podmuchach fenów, łagodnie pochylały się kępy wysokich traw, słychać było szelest rozrosłych nad strumykiem łopuchów, złociły się żółte place kwitnących mleczów, a po ich szybkim przekwitnięciu widać było, jak wiatr roznosił ich puszyste główki.

Ojca nie poznałem, ale domyśliłem się, że to on. Wydał mi się jakiś strasznie mały, zasuszony jak sucharek. On mnie też chyba nie poznał, bo tak jakoś długo mi się przyglądał. Musiał czekać na mnie od wczesnego rana, bo był bardzo zziębnięty.

– Synu...

Zatrzęsła mu się broda i w oczach zaskrzyły łzy. Wspiął się tak na palce i rękę uniósł do góry, jakby chciał mnie objąć lub przytulić, a może nawet i pocałować. Ręka mu mocno drżała. Wczepił się rozdygotanymi palcami w rękaw mojej marynarki i znów ponowił próbę objęcia mnie za szyję lub przytulenia, ale ta druga ręka opadała mu w dół, jakby była bezwładna, więc oparł się tylko twarzą o moje ramię. Obok niego stało pudełko przewiązane sznurkiem. Zresztą wyglądał jakby był bezdomny, miał na sobie kilka swetrów i obszerną marynarkę. Niegolony był co najmniej tydzień. Rzadki, siwy zarost pokrywał jego zapadnięte policzki.

- Zimno mi...

Wziąłem to jego tekturowe pudełko i ręką wskazałem na drzwi kawiarni. On przytaknął głową, jednak nie mógł iść. Zrobił kilka kroków, rozstawił szeroko nogi i tą zdrową ręką zaczął szukać jakiego oparcia. Znowu wczepił się kurczowo w moją marynarkę. Jakaś młoda dziewczyna z długimi rozpuszczonymi włosami wzięła go z drugiej strony i weszliśmy do środka.

Zaczął pić herbatę małą łyżeczką, ale szło mu źle. Ręka mu się trzęsła, grube krople skapywały na klapy marynarki i szybko wsiąkały w materiał, tworząc gęste, ciemne plamy.

- ...dobrze, że przyszedłeś, dobrze... dzisiaj jest Dzień Dziecka, mam dla ciebie prezent...

Podał mi małą gumową piłkę do palanta.

- ...ja kupiłem ją dawno... ty miałeś wtedy osiem, nie dziewięć lat, jak... jak się rozstawaliśmy... tak, pamiętam, dzisiaj masz pięćdziesiąt dwa, tak... ja osiemdziesiąt jeden.

Przytaknąłem mu głową, mimo że to, co mówił, to się w ogóle nie zgadzało. Miałem o dwa lata więcej, on o trzy był starszy, a odszedł od nas, kiedy miałem siedem lat i rozpocząłem akurat naukę w szkole podstawowej.

- Wiesz synu, jak to było... jak myślisz, że to ja ciebie się wtedy wyparłem, to cię przepraszam, tak... a jak to ty się mnie wyparłeś, to nie mów nic, nie musisz mnie przepraszać, zresztą wtedy mały byłeś... a wiesz, zmarła twoja chrzestna, ciocia Marysia, pochowaliśmy ją obok męża, wujka Władka na Tyńcu w Kaliszu.

Obok siedziała korpulentna brunetka (czasami blondyna lub ruda) i patrzyła zezem na mnie i na mojego zeschniętego jak sucharek ojca. Kiedyś powiedziałem jej komplement na jej dwudzieste ósme urodziny: pani nie wygląda na dwadzieścia osiem lat, pani wygląda młodziej, na dwadzieścia siedem i pół.

Ojciec chciwie wpatrywał się we mnie, tak jakby chciał się napatrzyć do syta, żeby mu to napatrzenie starczyło na wiele lat, być może do końca życia. Chyba jakimś tam odległym zmysłem zakładał, że więcej nie będę chciał spotkać się z nim. Od czasu do czasu nachylał się głęboko nad stołem i tą swoją zdrową rękę wyciągał daleko do przodu, jakby chciał pogłaskać mnie po dłoni lub uchwycić za palec, jakby chciał tą moją małą cząstką ciała nacieszyć się. Chwilami jego wzrok wbity zachłannie we mnie, jego starość, choroba deprymowały mnie, budziły jakieś odczucia litości, współczucia.

- Wiesz, synu... spotkamy się jeszcze kiedyś na Dzień Dziecka, to ja... to ja postaram się jakiś prezent dla ciebie... może drugą piłkę do palanta... nie, raczej coś innego... nie odtrącaj mnie, proszę...

Znów zatrzęsła mu się broda i w oczach zaskrzyły te same łzy. A może to

były już nowe, które gdzieś tam wypłynęły ze środka oczodołów lub raczej ze środka jego starczej duszy.

Kelner podał nam po dwa pączki. On jadł łapczywie, prawie że się krztusił. Do korpulentnej brunetki przysiadła się równie korpulentna druga brunetka (czasami czarna, czasami jasnoblond) i obie zaczęły zezować w moją stronę. Patrzyły na mnie i zaraz następował między nimi jakiś komentarz, bo pochylały się do siebie, prawie zderzając głowami, i szybko coś szeptały. Patrzyły potem na ojca i znowu następował przypuszczalnie komentarz, bo znów ich głowy stykały się i szept przekrzykiwał szept. Zerknęły na pudełko ojca i kalka ich poprzednich zachowań: przybliżenie głów + szept + cichy śmiech + mimika twarzy + jakieś zadowolenie w twarzach, mimo, że do takiego stanu emocjonalnego nie miały praktycznie żadnych powodów.

Ojciec wyjął z pudełka kawałek mydła.

- Pomóż mi, synu... do toalety... szczać chcę, pomóż, kochany...

Niespokojnie zerknął na kelnera i schował mydło do kieszeni.

Dochodziło południe. Szerokim strumieniem wlewały się przez okno promienie słońca i kładły jasnymi smugami w środku kawiarni, na stołach, podłodze i przeciwległej ścianie. W tej jasności wirowały odrobiny kurzu, tworząc taką bezwymiarową ruchomą przestrzeń, a raczej płaszczyznę. W dolinach na pewno mgły uniosły się ku górze, rozpłynęły w świetle słońca, odsłaniając łąkę i srebrzyste wody strumyka. Kos, który zawsze pierwszy rozpoczynał śpiew, odpoczywał zapewne gdzieś w gąszczu liści, a jego śpiew zastąpiły trele skowronków, by wieczorem ustąpić kląskaniu słowików.

Ojciec wstał, ale zaczął się chwiać. Wbił się we mnie takim chciwym, nieruchomym wzrokiem.

- Zdrowy jesteś?

- Tak!

- Nic ci nie dolega?

- Nic.

Nachylił się nad pudełkiem i coś zaczął grzebać w środku. Wyjął jeszcze jeden kawałek mydła, kawałek szmatki i jakieś papiery.

- To jest opis naszego domu w Zajączkach Bankowych... wiesz, jak ja dostałem ten wyrok, to mój ojciec powiedział, Tadeusz już z więzienia nie wyjdzie... podpalił dom i usiadł na podwórzu na tym starym fotelu obitym skórą i patrzył, jak płomienie połykają to, co on budował dla mnie...

Z kącika ust wytoczyło mu się kilka kropli krwi i spłynęły bruzdami w dół po brodzie. Wziąłem go pod rękę i zaczęliśmy iść w stronę toalety. On wsunął mi do kieszeni marynarki te papiery..

Weszliśmy do środka. Ojciec nachylił się nad umywalką, puścił wodę i zaczął powoli namydlać twarz. Szło mu słabo, gdyż ta jego druga ręka wyg-

lądała jak sparaliżowana. Pomieszczenie było bardzo ciasne, więc wyszedłem.

Usiadłem przy stoliku i wyjąłem z kieszeni te kilka kartek. Było to jego pismo: - ...za wysokim płotem (...) starego domu już nie ma, pozostał on jednak w mojej pamięci. Był drewniany i bardzo duży, kryty słomą. Składał się z trzech pomieszczeń, ogromnej kuchni, dużego pokoju i małego pokoiku zwanego komorą. W kuchni pod oknem stał stół - ogromny. Przed wojną jadało przy nim dwanaście osób: ojciec Franciszek, matka Katarzyna, ośmioro dzieci i dwóch służących, którzy pomagali w kuźni. Matka strugała wiadro kartofli, potem stawiała michę na stole i tylko zapyłyło zamyłyło i po kartoflach, bo każdy łapał jak najwięcej. Za stołem stały dwa łóżka (...) czterech spało w jednym i czterech w drugim, jak było za ciasno, to ojciec (VIII Ordynat) brał pas, podnosił pierzynę, zlał po nogach i już było luźno. Służący spali na spichrzu (...) za kuchnią był zapiecek, tam na baranich skórach spał ojciec Franciszek. Pod ręką miał zawsze nabitą dubeltówkę, a druga wisiała na ścianie, trzecią mieli służący na spichrzu (...) z Ziomkami trwały od dawna procesy sądowe i dosyć często bójki. Każdej jesieni, po sprzątnięciu zbiorów z pól, a mieliśmy dwadzieścia cztery hektary, zakładał ojciec surdut, na głowę kapelusz, zaprzęgał konia do bryczki i jechał do Kalisza wznawiać procesy. Powoził służący. Jechał wznawiać procesy sądowe o to, że oni kopali rów w poprzek drogi i to taki głęboki, że ojciec nie mógł przejechać w niedzielę bryczką do kościoła do Godziesz (...) Wracał z Kalisza za każdym razem szczęśliwy, adwokaci bowiem wzięli co prawda sporo, ale przyrzekli, że to ostatnia zima procesów i na wiosnę sprawy będą wygrane, Ziomka pójdzie do więzienia, a o ile nie pójdzie, to zapłaci taką karę, że mu się odechce kopać z dzieciakami rów w poprzek drogi (...) Bryczka był duża, ale siedział w niej tylko ojciec. Zgodnie z tradycją panującą w naszej rodzinie matka z dzieciakami, z butami w rękach, szła za bryczką na piechotę (...) Wiosną okazywało się jednak, że ojciec na jesień będzie musiał ponownie jechać do Kalisza z gotówką do adwokatów, gdyż Ziomki nie przestały kopać, a wręcz przeciwnie, dzieciaki podrosły, a sąsiad miał ich trzynaście, więc im łopaty i szpadle jeszcze lepiej śmigają w rękach, sądów i komornika w dalszym ciągu się nie boją i, słysząc o tych instytucjach, postępują po staremu, odwracają się plecami, nachylają głęboko i dają do zrozumienia, gdzie umieszczają (...) Ojciec nie wypinał się w ich stronę, gdyż miał dużo pola i kuźnię, więc mu nie wypadało naśladować kogoś, kto miał tylko trzy hektary ziemi i któremu w zimie starczało jedzenia, przy obfitych zbiorach, do połowy grudnia (...) Reszta kartek była w ogóle nie do odczytania.

Przy stoliku pod oknem siedział Marian, mój kolega szkolny. Nawet nie zauważyłem, kiedy zjawił się w kawiarni. Tak jakoś wszedł cicho i znienacka,

jakby wyłonił się znikąd, jakby popiół w popielniczce zmienił się w Feniksa, a Feniks w Mariana. Mimo wczesnej godziny był pijany, mimo młodego wieku był już bez zdrowia, mimo krótkiego stażu małżeńskiego był już bez żony, mimo że dzieci jego były jeszcze z nieukształtowaną świadomością, to już nie poznawały go na ulicy, mimo że... Tych: mimo że... - to można byłoby dorzucić jeszcze kilka, przy dokładniejszej analizie jego sytuacji: kilkanaście, a przy takiej bardzo dokładnej to i kilkadziesiąt mogłoby być aktualne. A wszystko to przez jego... grzeczność. Wysiadał kiedyś z żoną z taksówki i, dziękując za podwiezienie, wręczył taksiarzowi duży napiwek. Tamten wziął i powiedział: jak pan taki szczery, to i ja będę szczery, parę dni temu wy... pańską żonę. Taksówka ruszyła z piskiem opon przed siebie, a Marian z piskiem podeszew ruszył za taksiarzem. Szedł w pogodni z piskiem podeszew kilka miesięcy, dopóki nie wyszło na jaw, że taksiarz zmyślał, że mówił w ten sposób i kawalerom, którzy nigdy żon nie mieli.

Z Marianem siedzieliśmy w jednej ławce, razem wygłupialiśmy się na przerwach, razem graliśmy w piłkę, razem okładaliśmy się pięściami, razem nacieraliśmy w zimie śniegiem twarze dziewczyn, razem... On, mimo że syn furmana z PGR-u, był wychowywany przez ojca pijaka w takim pięknym, starym stylu. Przed wyjściem do szkoły podchodził i całował matkę w rękę, a matka mówiła: idź z Bogiem! Po powrocie ze szkoły mówił na progu: pochwalony Jezus Chrystus! Podchodził do matki i ponownie całował ją w rękę. A dzisiaj? Nieraz chciałem podejść do niego, złapać za klapy, potrząsnąć i zawołać: Marian, co się stało z nami! Dlaczego tak daleko odeszliśmy od nas samych, dlaczego potraciliśmy twarze?!

Kelner zaczął przywoływać mnie kiwnięciami ręki.

Weszliśmy do toalety, ojciec siedział oparty o ścianę i spał. Z ust ciekł mu strumyczek krwi i krzepł na brodzie, trochę skapywało na marynarkę. Podnieśliśmy go i przyprowadziliśmy do stolika.

- Zdrowy jesteś?

- Tak.

- Nic ci nie dolega?

- Nic.

Rękawem wytarł usta i zaczął wpatrywać się we mnie.

- Jakbym znalazł jakąś pracę stróża, przypilnować komuś mieszkanie, to... bym wam coś kupił na Dzień Dziecka, no... a kto jest starszy?... chyba Zbysio, dwa lata chyba, tak?... a co u niego, widzicie się nieraz?

Wypiliśmy po kieliszku i ojciec zakrztusił się, zakaszlał i splunął krwią pod stolik. Kelner pokręcił z dezaprobatą głową.

- Zrób pan coś z ojcem, co on mi tu będzie siedział i rzygał krwią pod stolik!

Ojciec zakrył dłonią usta i przesunął się trochę w bok na krześle.

- Wiesz, jak siedziałem w więzieniu, to... to cały czas nasłuchiwałem bicia zegara na wieży kościoła, w dzień i w noc, w dzień i w noc, rok za rokiem, rok za rokiem... wiesz, jak spotkasz Zbysia, to powiedz, że... że go chcę przeprosić za to, że... jak wyszedłem pierwszy raz na przepustkę, to... to pojechałem na cmentarz, bo chciałem, no... iść na grób waszej matki, mojej żony, żeby... jej bracia stali w bramie i czekali na mnie, powiedzieli, zabiłeś naszą siostrę, zabiłeś ją... nigdy nie zbliżysz się do jej grobu... wiesz, miałem jeszcze dwa dni wolne, ale wróciłem do więzienia, dzień wcześniej wróciłem...

Zamilkł, po chwili opuścił głowę i zasnął. Wstałem cicho, by...

- Idziesz już?

Ocknął się i nachylił do mnie. Usiadłem z powrotem, bo... bo, sam nie wiedziałem zresztą, dlaczego.

- Posiedź jeszcze... wiesz. Sądy mnie osądziły i wy mnie możecie sądzić po swojemu, ja o łaskę nie proszę, ale pamiętaj, synu, że ze wszystkich Sądów to sprawiedliwy jest tylko Sąd Ostateczny... jak dostawałem później przepustki, po kilku latach, to chciałem popatrzyć na dom, ten, który budował dla mnie mój ojciec, który miał później być dla was... byłem tam, siedziałem na tym samym miejscu, na tym samym zniszczonym fotelu i patrzyłem, patrzyłem jak ten mój dom zapadał się w ziemię, nikł w badylach na późną wiosnę, porywiste wiatry na jesień roznosiły kruszyna za kruszyną jego ściany...

Ojciec zakrył dłonią usta i zaczął rozglądać się za kelnerem. Tamten stał odwrócony plecami, więc szybko wypluł to, co miał w ustach, na podłogę i przykrył butem.

- Zdrowy jesteś?
- Zdrowy.
- Nic ci nie jest?
- Nic.

Mała dziewczynka wprowadziła niewidomego skrzypka. Zaczęli zaraz za progiem. On przejechał smyczkiem po strunach i dziewczynka rozpoczęła śpiew:

la, la, la...
ktoś melodię
na skrzypcach gra
la, la, la,
tam daleko
u końca ulicy
tańczy karzeł
w objęciach wilczycy...

Kelner nie był jakoś nastrojony artystycznie, bo zaczął ich wypychać z lokalu. Pomagał sobie przy tym słowami: wynocha... poszli stąd... spieprzać...

Oni byli chyba przyzwyczajeni do reakcji kelnera, bo specjalnie się nią nie przejmowali.

la, la, la
tańczy dwoje
na skraju dnia
tańczą, tańczą
a pusta ulica
martwy karzeł
i martwa wilczyca...

Kilka osób podało dziewczynie jakieś drobne monety.

puste place
gęsty mrok
słychać czyjś
bezwładny krok
to nadchodzą
poeci wyklęci
między dniem
między snem,
na skraj życia zepchnięci...

Kelner natarł energiczniej i wypchnął ich na ulicę.

Ojciec spał. Rdzawo świeciły krople krwi zakrzepłe na jego brodzie. Wstałem i chciałem powiedzieć kelnerowi, żeby ojciec mógł sobie trochę tutaj posiedzieć i nabrać sił, ale on jakby odgadł moje myśli, bo wskazał palcem na ojca i aprobująco przytaknął głową. Cicho wyszedłem na ulicę.

Przed kawiarnią skrzypek i dziewczyna kontynuowali swoją działalność artystyczną.

ktoś coś gra
inny łka
oni wszyscy
odejdą o świcie
szukać snów
pięknych słów
dla których przegrali
swe życie.

Podałem dziewczynce kilka monet i ona zaczęła śpiewać jakby radośniej.

kto zaśpiewa
to piękniej niż ty
i kto weźmie mnie
czule za rękę
kto przyniesie

mi kwiaty z mgły
i nad ranem
nałoży sukienkę

Dziewczynka śpiewała praktycznie bez akompaniamentu, bo skrzypek zajął się komentowaniem aktualnej sytuacji w sferze kultury.

- Jak człowiek podniesie poziom artystyczny, to praktycznie jeszcze gorzej, bo mniej odbiorców i gorszy zarobek, co za wredny kraj.

wzejdzie brzask
ptaków wrzask
nad ulicą przeleci
zniknie mrok
ścichnie krok
bo odejdą wyklęci poeci...

Zacząłem iść w stronę gór. Słońce świeciło mocno i skrzypiał pod butami wyschnięty żwir. W górach, na dużych kamieniach, na pewno wygrzewały się zaskrońce. Wyglądało na to, że kelner nie dotrzymał słowa, bo z jakimś innym mężczyzną wyprowadzili ojca z kawiarni. Obok postawili jego tekturowe pudełko. Ojciec miał kłopoty z utrzymaniem równowagi. Chwiejąc się, zaczął rozglądać się na boki. Zapewne wypatrywał mnie. Tą samą wąską ścieżką ruszyłem przed siebie. Po chwili wyszedłem na otwartą przestrzeń. Idąc, widziałem, jak w dolinie kosiarz kosił trawę i ścinał też te polne kwiaty, które wczoraj o świcie wąchałem i patrzyłem, jak krople rosy perlą się w ich kielichach.

ŁATWIEJ NAPISAĆ KSIĘGĘ

Często słyszymy, że na innych planetach życie jest niemożliwe. Na naszej Ziemi wprawdzie ono jest, lecz każdemu z nas sprawia oprócz radości także wiele zmartwień i kłopotów. Na drodze życiowej każdego człowieka, młodego czy też starego, bogatego czy biednego, przeważają dni szare, pełne pracy, obowiązków, bieganiny i różnych problemów. Rano trzeba wcześnie wstawać, iść do pracy, tam sumiennie pełnić zadania, borykać się z trudnościami, załatwiać sprawunki, troszczyć się o dom rodzinny, a nam Polakom tu na Zaolziu nie wolno również zapominać o pracy kulturalno-oświatowej.

Nierzadko zdarza się, że przychodzą chwile niepowodzeń i klęsk, chorób i bólu, dni takie, że żyć się nie chce, że lepiej by było, gdyby się człowiek nie

narodził. Takie dni wymagają od każdego z nas wiele rozwagi, męstwa, poświęcenia, samozaparcia, a czasem nawet i bohaterstwa. W tych trudnych chwilach nie wolno jednak zapominać, że podobnie jak po straszliwej burzy znów zaświeci słońce, tak i w życiu człowieka po cierpieniach i kłopotach nadejdą dni pełne szczęścia, radości i zadowolenia z osiągniętych wyników. Są one jakby zapłatą, ukoronowaniem włożonego trudu i poświęcenia w ciężkich chwilach, przynoszą wewnętrzne zadowolenie i poczucie dumy, inspirują do dalszych czynów.

Mądrzy ludzie kiedyś powiedzieli, że łatwiej napisać grubą księgę, niż dobrze przeżyć jeden dzień. Ta głęboka maksyma jest prawdziwa, bowiem życie jest nieustanną walką o lepsze jutro, o zwycięstwo dobra nad złem, sprawiedliwości nad krzywdą, jest pełne troski o właściwe załatwianie codziennych potrzeb materialnych i kulturalnych.

Drobne, a przede wszystkim duże kłopoty, które utrudniają każdemu człowiekowi życie, zmuszają nas nieraz do zastanowienia się, co od jutra zrobić, by dalsze dni były jeśli nie radośniejsze to przynajmniej znośne.

W sytuacjach niekłopotliwych zadowolonym z życia potrafi być nawet największy ciamajda. Nietrudno bowiem cieszyć się, gdy w życiu nie ma żadnych przeszkód ani też problemów. Natomiast niełatwo osiągnąć zadowolenie w sytuacjach trudnych, stresowych, których nie brakuje we współczesnym świecie. Dla zachowania optymizmu życiowego ważna jest zasada, która nie polega na przekonaniu, że wszystko pójdzie dobrze, lecz na przekonaniu, że nie wszystko pójdzie źle.

Należy poznać swe możliwości

Chcąc sprostać codziennym zadaniom, nie chcąc zniszczyć swego poczucia zadowolenia, należy przede wszystkim poznać swe możliwości i cechy swego charakteru, słowem należy poznać samego siebie, swą osobowość. Młodzi ludzie mają zazwyczaj wyobrażenia o wartościach, jakie chcieliby osiągnąć, lecz niestety nie wiedzą przeważnie, jak to zrobić. Natomiast dorośli, im są starsi, tym więcej mają doświadczenia, lecz niestety nie widzą wielu celów przed sobą. Młodzież chciałaby "z posad ruszyć bryłę świata", ludzie starsi są bardziej ostrożni i konserwatywni.

Szczęście i zadowolenie w życiu można osiągnąć wtedy, gdy człowiek ma przed sobą cele i zna sposoby ich realizacji. W życiu nie wolno rezygnować z celów, ale wytyczać sobie tylko takie, które są osiągalne. Nie mogą być one ani małe, bo wtedy radość jest niewielka, ani też zbyt duże, bo stają się wtedy niemożliwe do spełnienia. Należy zatem wybierać cele współmierne do swych możliwości. By określić ich granice, niezbędne jest poznanie samego siebie.

W procesie poznawania samego siebie powinniśmy często oceniać swoje postępowanie, a na podstawie wyników swych poczynań kierować dalszym rozwojem swej osobowości. Powinniśmy zdawać sobie sprawę z rozbieżności między cechami pożądanymi i posiadanymi, określać zadania i wymagania w stosunku do samego siebie, a co najważniejsze, co pewien czas przeprowadzać ocenę realizacji swych postanowień, by stwierdzić, że wysiłek nasz ma jakiś sens.

Poznawanie samego siebie nie jest sprawą łatwą. Wymaga bowiem krytycznego podejścia do własnej osoby. Jest to jednak konieczna czynność, przede wszystkim w czasach dzisiejszej demokracji, kiedy każdy sam decyduje o sobie, sam planuje własny rozwój i kieruje nim. Pozytywna ocena osiągniętych wyników daje zadowolenie z życia. Jest największą zapłatą za naszą postawę, jest ukoronowaniem włożonego trudu i poświęcenia, przynosi poczucie dumy oraz inspiruje do dalszych czynów.

Wytyczanie celów i stopniowa z nich rezygnacja to wielka sztuka

W okresie dojrzewania każdy człowiek pragnie wyrwać się z szarzyzny codziennego życia, w marzeniach unosi się wysoko, ulatuje często do nierealnego świata, pełnego ułudy i fantazji. Z upływem czasu, w miarę nabytych doświadczeń, życie, ten najtwardszy i bezkompromisowy nauczyciel, zmusza młodego człowieka do powrotu na ziemię, do realnej rzeczywistości i żąda, by zastanowił się nad sobą. Obiektywna ocena dotychczasowych osiągnięć, krytyczne spojrzenie na własne możliwości wkrótce przekonają każdego, że chcąc, czy też nie chcąc, należy trzymać się twardego gruntu i stopniowo rezygnować z nieosiągalnych, wymarzonych celów, z przerostów ambicji, że należy je w najlepszym wypadku przynajmniej częściowo korygować, bo inaczej łatwo można popaść w rozpacz i depresję.

Niestety, życie jest twarde i bezwzględne. Wymaga pracy nad sobą, poświęceń, a z biegiem lat i wyrzeczeń. Zmusza nas do zrzeczenia się coraz to innych ambicji, nadziei i celów, które stają się niedostępne, i nie ma znaczenia, czy z własnej winy, czy też z przyczyn od nas niezależnych. Rzecz w tym, że rezygnacji trzeba się uczyć, bowiem wymaga ona logicznego rozumowania, skutecznej decyzji, a przede wszystkim silnej woli.

Najwięcej rozczarowań, przykrości, zawodu i bólu doznaje ten człowiek, który w porę nie chce zrezygnować z tego, co dla niego jest nieosiągalne. Każdy, kto doszedł do przekonania, że danej sytuacji nie może ani opanować, ani też zmienić, i mimo to w odpowiednim czasie nie rezygnuje z nierealnych celów oraz ambicji, jest nie tylko sam nieszczęśliwy, ale staje się też uciążliwy dla innych. Szybko traci przyjaciół, z wielkim trudem nawiązuje

nowe kontakty. Jego wiecznie zasępiona i niezadowolona twarz budzi niechęć otoczenia. Natomiast ludzie znający właściwy czas i właściwą hierarchię rezygnacji są pogodni, mimo wszystkich problemów i przeciwności, na jakie w życiu natrafiają. W żadnym wypadku nikomu nie wolno rezygnować z celów, które bezpośrednio formują życie każdego człowieka.

Wytyczanie celów, a potem przeprowadzanie wśród nich właściwej selekcji, to wielka sztuka, której koniecznie trzeba się nauczyć. Jeżeli nie chcemy stracić pogody ducha i szczerych przyjaciół, należy nieustannie pamiętać o stopniowej rezygnacji z tych celów, do spełnienia których brak nam już sił i jakiejkolwiek perspektywy.

Umiejętność właściwego współżycia

W dzisiejszych czasach nikt nie może być Robinsonem. Każdy z nas urodził się w społeczności ludzkiej, stopniowo do niej wrasta, uczy się żyć z innymi, pomaga rozwiązywać problemy, a nieraz sam oczekuje od innych pomocy.

Nie jest rzeczą obojętną, czy człowiek żyjący w otoczeniu ludzi obcych wśród znajomych, krewnych i współpracowników czuje się dobrze albo jest tylko tolerowany czy wręcz nielubiany. I oto nasuwa się pytanie – co kształtuje wzajemne stosunki międzyludzkie? Gdzie szukać winy, o ile ludzie traktują nas nieprzychylnie, u siebie czy też u innych?

Badania socjologów wykazały, że od ludzi doznajemy tyle wdzięczności i przychylności, ile jej wobec nich świadczymy. Taką samą ilością nienawiści i niechęci ludzie nas częstują, ile my względem nich jej przejawiamy. Natomiast tyle nam życie daje radości, ile jej codziennie potrafimy okazywać wobec innych. Zastanawiając się nad stosunkami międzyludzkimi, nie mogę się oprzeć przekonaniu, że coraz bardziej negatywny wpływ ma na nie samolubstwo. Losy, nawet najbliższych członków rodziny i przyjaciół, w wielu wypadkach znajdują miejsce na drugim planie, ważny jest tylko własny dobrobyt. Ludzie niestety coraz częściej nie uświadamiają sobie, że w życiu nie znajdzie radości ten, kto tylko dba o siebie, kto zapomina, że radość życia to nie sfera stosunków "ja – ja", ale "ja i społeczeństwo", w którym żyję.

W codziennym działaniu osiąga człowiek szczęście i zadowolenie wtedy, gdy opanuje umiejętność właściwego współżycia z innymi ludźmi. Psychicznie zdrowy człowiek nie może czuć zadowolenia z życia, o ile żyje tylko dla siebie, siedzi w domu i załatwia tylko osobiste sprawy. Taki człowiek, o ile mu się dobrze powodzi, ma może koło siebie kilku chcących go wykorzystać ludzi, lecz jak tylko noga mu się podwinie, straci od razu wszystkich, zgodnie z przysłowiem, iż prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie.

Jest dobrze, jeśli w codziennym życiu mamy wypróbowanych przyjaciół.

Lecz czy ich zawsze znajdziemy? Zastanówmy się, czy w czasach beztroskich staraliśmy się stwarzać takie sytuacje, które ludzi wiążą ze sobą i rodzą szczere przyjaźnie. Nie oczekujmy dziś przyjaźni, wdzięczności i jakiejkolwiek pomocy, o ile wczoraj było nam wygodniej zachować się wobec drugich samolubnie i pogardliwie. Jeżeli nas kiedyś wszyscy opuszczą, to nie obwiniajmy nikogo, sami bowiem przyczynialiśmy się w chwilach beztroskich do wytworzenia atmosfery izolacji, niechęci i obojętności.

Radosną atmosferę współżycia mogą szerzyć tylko ci, którzy wiedzą, po co żyją, którzy nawet w trudnych okolicznościach zachowują optymizm życiowy i nie pozwolą się sprowokować byle głupstwem.

Treścią życia ludzkiego jest praca i rodzina

Zadowolenie związane z całością życia każdego człowieka jest w znacznym stopniu zależne od tego, jaki sens nadaje on swemu życiu. Zadowolenie może być krótkie i ulotne albo też trwałe, które nie opuszcza ludzi, dla których życie jest procesem spełnienia czegoś - idei, celu.

Ludzie, którzy z przekonaniem przyjęli myśl przewodnią, twórczą, wyznaczającą kierunek działania, i to bez znaczenia, czy idealistyczną, czy też materialistyczną, łatwiej przeżywają spadające na nich nieszczęścia i niepowodzenia.

Bardzo ważnym punktem widzenia, z którego możemy rozpatrywać jakiś problem lub też niebagatelne zjawisko, jest również praca, i to obojętnie, jakiego rodzaju. Człowiek, dla którego praca zawodowa, jak również społeczna, jest rzeczywiście główną treścią życia, chcąc sprostać nowym zadaniom, chcąc iść z prądem czasu, powinien się stale dokształcać. Osiągnięte coraz to lepsze wyniki wzbudzają w nim zadowolenie i poczucie własnej godności, a co najważniejsze, czuje się wobec innych potrzebnym. Dla kogo praca przestała być radością i sensem życia, a z różnych powodów stała się męczącym obowiązkiem, a czasem nawet i karą, komu wolny czas upływa na jego "zabijaniu", ten nie znajdzie w sobie miejsca na radość.

W osiąganiu radości i zadowolenia w życiu u większości ludzi odgrywa bardzo ważną rolę rodzina, która po codziennych kłopotach, bieganinach i burzliwych przeżyciach powinna być dla każdego spokojną przystanią, azylem, miejscem bezpiecznego pobytu. Rodzina powinna być miejscem ustronnym, do którego każdy jej członek chce z radością wrócić, by odpocząć od nerwic i niepokoju świata zewnętrznego wśród sercu najbliższych.

Nie ma takiej rodziny, w której by nie rozstrzygano jakichś problemów. W rozwiązywaniu różnych spraw i kłopotów prędzej uzgodnią swe stanowisko małżonkowie, których podstawą ślubnej przysięgi była szczera i głęboka miłość, szacunek oraz wspólne zainteresowania, a nie majątek i kariera.

Oprócz materialnego zabezpieczenia rodziny do najważniejszych zadań obu rodziców należy właściwe wychowanie dzieci, ich wykształcenie i przygotowanie do samodzielnego życia. Oprócz powyższych zadań w polskich rodzinach jest jeszcze jeden, niezwykle ważny obowiązek - wpojenie swym dzieciom głębokiej świadomości narodowej, bycie przykładem w pielęgnowaniu tradycji narodowych oraz w poznawaniu kultury i historii polskiej.

To zadanie dotyczy również wielu Polaków, którzy zawarli małżeństwa narodowościowo mieszane. Jeżeli w takich małżeństwach łączy partnerów szczera miłość, a przede wszystkim wzajemne poszanowanie, to tak matka jak i ojciec będą dbali, by dzieci zapoznawały się już od kolebki z obu ich językami ojczystymi. Tak wychowane pociechy będą znały nie tylko dwa języki, ale przede wszystkim będą od najmłodszych lat szanowały i kochały jednakowo swych rodziców, a dziadkowie z obydwu stron będą mieli wielką radość, kiedy przychodzące w odwiedziny wnuki będą rozmawiać z nimi w ich języku.

Rodzice w małżeństwie narodowościowo mieszanym, zanim przed zapisem dzieci do szkoły podejmą właściwą decyzję, zdobędą dokładne informacje, w której szkole ich dziecko będzie miało możliwość kontynuowania rozpoczętego w domu rodzinnym wychowania patriotycznego, w której szkole pozna dobrze język, historię, kulturę i tradycje narodów, z których oni obydwaj się wywodzą.

FRANCISZEK SZOPA

NA NASZEJ SCENIE

SWOJSKIE KLIMATY

Na konferencji prasowej na temat przedstawienia Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego „Inne rozkosze" według prozy Jerzego Pilcha czeski dziennikarz zapytał o przekład Pilcha na język czeski i uzyskał odpowiedź przeczącą. Jerzego Pilcha nie ma w świadomości czeskiego czytelnika. Wydaje się jednak, że powinien zostać przetłumaczony. Jerzy Pilch jest jednym z najpopularniejszych polskich pisarzy współczesnych, laureatem największej polskiej Nagrody Literackiej Nike, którą otrzymał w 2001 roku za książkę „Pod mocnym aniołem". A przecież Czesi też piją. Sposób narracji Pilcha krytycy literaccy porównują nawet do stylu Hrabala czy Kundery. Na dodatek bohater „Innych rozkoszy" nosi nazwisko Kohoutek, które kojarzyć się może z językiem południowych sąsiadów Polski.

Jerzy Pilch, urodzony w 1952 roku w Wiśle prozaik i publicysta, dopiero

całkiem niedawno, bo przed rokiem, dał się poznać jako dramatopisarz, tworząc wystawione następnie w warszawskim Teatrze Narodowym „Narty Ojca Świętego". To nowe, żywe zainteresowanie dialogiem jako formą wypowiedzi artystycznej każe przypuszczać, że pisarz nie poprzestanie na jednej tylko sztuce teatralnej. Wcześniej, bo w roku 2000, miała miejsce premiera adaptacji jego prozy, gdyż Rudolf Zioło wystawił w Teatrze Powszechnym w Warszawie „Inne rozkosze". Pilch stwierdził potem, że jego teksty nie nadają się do grania na scenie. Jednak teoria, że proza Pilcha jest nieprzetłumaczalna na język teatru, nie przeszkodziła w realizacji następnego przedstawienia według powieści Pilcha. W „Innych rozkoszach" wystawionych w Scenie Polskiej Teatru Cieszyńskiego (premiera 24.9.2005) jako autor adaptacji scenicznej widnieje już nie tylko jak w warszawskiej Rudolf Zioło, ale także sam Jerzy Pilch. Jako anegdotkę można dodać, że Jerzy Pilch nie chciał przyjechać na premierę, jednak podobno przybędzie na setny spektakl.

Reżyserem „Innych rozkoszy" w Scenie Polskiej jest Katarzyna Deszcz, która podjęła się także muzycznego opracowania przedstawienia. Ciekawie zapowiadało się, choć w rezultacie nie do końca było widoczne, to spojrzenie kobiety na męski sposób myślenia, który prezentują książki Pilcha, na psychikę bohatera powieści, przeciętnego mężczyzny, ba, często erotomana i alkoholika. Charakterystyczny sposób narracji z elementami autoironii z delikatną czasem nutką nostalgii, który składa się na niepowtarzalny styl Pilcha, wymaga od reżysera znalezienia takiej koncepcji, która nie kłóciłaby się z przesłaniem autora pierwowzoru, a jednocześnie użyłaby do przekazania owego przesłania środków teatralnych. Konwencja przedstawienia Katarzyny Deszcz jest pewnym pójściem na łatwiznę.

Sztuka dramatu polega, co nie jest żadnym odkryciem, na dialogu, czego w spektaklu prawie nie ma. Są monologi, długie, a także krótsze, zastępujące normalną komunikację werbalną między osobami. Każdy mówi jakby do siebie, wygłasza to, co ma do powiedzenia, nie oczekując odpowiedzi. Wielkim przewinieniem tej inscenizacji jest „odgórny" głos narratora, który ma do spełnienia kilka zadań: po pierwsze odsłonić życie wewnętrzne Kohoutka, chociaż do tego celu można by użyć starego jak świat chwytu teatralnego, tzw. mówienia na stronie, po drugie przekazać co nieco z didaskaliów, gdyby przypadkiem widz sam się nie domyślił, a po trzecie, najważniejsze, pochwycić i zatrzymać atmosferę prozy Pilcha, kunszt języka i stylu, na pokazanie którego środkami teatralnymi zabrakło autorom przedstawienia pomysłu. I tak na przykład Małgorzata Pikus jako Aktualna Kobieta Kohoutka stoi sobie na proscenium, a widz słyszy z głośników o tym, jak to właśnie idzie ona przez ogród, albo Bogdan Kokotek jako Kohoutek zatrzymuje się nagle i robi bardzo zamyśloną minę, a głos zza sceny objaśnia, o czym on to właściwie myśli, itd.

Bohater „Innych rozkoszy" Paweł Kohoutek jest w przedstawieniu Sceny Polskiej postacią niezbyt ciekawą, ot, przeciętny czterdziestolatek, któremu

zabrakło już młodzieńczego wigoru, a i sylwetka nie ta, aż dziw bierze, co proponuje swoim „aktualnym kobietom", że idą za nim. Miota się między matką, żoną, babką i kochanką, rozczula się nad sobą, zachodzi po radę do doktora Oyermaha i w końcu opuszcza gniazdo rodzinne, bo w tym samym mieście postanowiła zamieszkać na stałe jego Aktualna Kobieta, i wyjeżdża, zabierając Dziecko (Łucja Pochroń). Prześladują też kobiety, choć tu jedynie we śnie, Oyermaha (Karol Suszka), dla Kohoutka mistrza przecież i nauczyciela, to u niego uczył się Kohoutek leczenia zwierząt i sztuki życia. Ojciec Kohoutka (Ryszard Malinowski) przyjmuje wygodną dla siebie pozycję, przypominając swoją postawą trochę Dulskiego, bohatera innej epoki i innych kresów. Matka Kohoutka (Anna Paprzyca) swym tubalnym głosem przygniata i wymusza posłuszeństwo. (Tylko nie rozumiem, dlaczego Kohoutek, jego Żona, ale także Matka są mniej więcej w tym samym wieku?) Żona Kohoutka (Lidia Chrzanówna) i jego Aktualna Kobieta, w odróżnieniu od Pawła Kohoutka, lubią zagłębiać się w lekturach, w miejscach odosobnienia, w łazience czy na strychu, dowartościowują się intelektualnie. Niewiele mówi, ale wszystko wie, Oma (Halina Paseková), sprawna umysłowo, a kiedy trzeba to i fizycznie, bo całkiem dobrze porusza się bez wózka inwalidzkiego i potrafi sama schować pulpety aż na strychu. Naczelnik (Ryszard Pochroń) swoją osobą dostraja swojskie klimaty, przypomina bowiem zasłużonego działacza społecznego na zebraniu związkowym, czuwa, drzemiąc, drzemie, czuwając, a jednocześnie do każdego tematu potrafi dorzucić swoje trzy grosze. Miejsce przy stole zajmują także Pastor (Mariusz Osmelak), którego słów zawsze wszyscy słuchają w skupieniu, niezależnie od okoliczności, i zasuszona Pastorowa (Barbara Szotek-Stonawski po raz wtóry udowadnia, że stać ją na zagranie, z powodzeniem, nawet tej przysłowiowej płytki PCW).

Pozytywne wrażenie wywiera scenografia autorstwa Andrzeja Sadowskiego. Dekoracja zbudowana została na wzór sceny symultanicznej, która odsłania od razu wszystkie miejsca akcji. Na proscenium po jednej stronie stoi fotel symbolizujący mieszkanie Oyermaha, po drugiej pomnik cmentarny, a na środku domyślić można się ogrodu przed domem, w głębi sceny zaś jest dom Kohoutków: jadalnia, sypialnia, łazienka, a na górze strych.

Najmocniejszą stroną spektaklu są sceny zbiorowe, ceremonie związane ze spożywaniem posiłków razem przez wszystkich mieszkańców domu, czteropokoleniową rodzinę Kohoutków i sublokatorów, z napomnieniami Matki Kohoutka kierowanymi w stronę od dawna dorosłego syna, z przemowami Pastora, a wszystko pod czujnym okiem seniorki rodu Omy, której urodziny są najważniejszym dniem w roku.

Jerzy Pilch włącza do swoich książek wątki autobiograficzne, tym bliższe sercu Zaolziaka, że jego małą ojczyzną jest Śląsk Cieszyński. Katarzynie Deszcz udało się uderzyć w naszą strunę i śpiewamy wszyscy, scena i widownia, pełnym głosem „Płyniesz Olzo", i nucimy cicho inne pieśni patriotyczne i ludowe z tego regionu.

CZESŁAWA RUDNIK







Fot. TC - KATEŘINA CZERNÁ

LEON DERLICH (1905-1965)

W roku bieżącym mija setna rocznica urodzin i czterdziesta rocznica śmierci Leona Derlicha, dobrze władającego piórem etnografa i językoznawcy amatora, wielkiego polskiego patrioty. Przez czterdzieści dwa lata był sparaliżowany. Miłość i pomoc najbliższej rodziny, zwłaszcza siostry Herminy, oraz pogodne usposobienie, hart ducha i optymizm życiowy sprawiły, że potrafił przezwyciężyć fizyczną słabość, mimo kalectwa odnalazł swoje miejsce w życiu i w miarę swoich sił i możliwości służył innym.

Leon Derlich urodził się 28 listopada 1905 roku w starej Karwinie, potem rodzina przeprowadziła się do nowego domu we Frysztacie, w którym Leon spędził resztę życia. Naukę rozpoczął we frysztackiej szkole ludowej i wydziałowej, niemieckiej, bo innej tam wtedy nie było. Kilka lat uczył się w Polskim Gimnazjum Realnym w Orłowej. Marzył o nauce w Wyższej Szkole Przemysłowej w Krakowie. Miał 18 lat i wielkie plany na przyszłość, kiedy zaczął chorować na zapalenie chrząstki stawowej. Nie pomogły kolejne operacje, po pięciu latach lekarze stracili nadzieję na jego uzdrowienie. Jednak paraliż obejmujący fizyczne członki nie pozbawił go jasności umysłu i optymizmu życiowego. Zdanie "gdyby dziecko miało wszystko, co by chciało, to by nigdy nie płakało", powtarzane potem często, stało się jakby życiowym credo Leona Derlicha.

W samouctwie i pisaniu znalazłem rychło przeciwstawienie dla mojego stanu fizycznego, odkryłem możliwość uciekania się do krainy zdrowia i siły, do krainy czystej, nieskrępowanej idei - pisał później. Studiował literaturę fachową o historii regionu, w którym mieszkał, by móc prowadzić fachowe polemiki z osobami narodowości czeskiej i niemieckiej. Publikował artykuły w prasie zaolziańskiej, ale pisał także np. wiersze satyryczne, opowiadania. Działalność publicystyczną Derlicha przerwał wybuch drugiej wojny światowej.

Okres okupacji hitlerowskiej przeżył w domu, który stał się wtedy małym ośrodkiem ruchu oporu. Wokół łóżka Derlicha gromadzili się ludzie potrzebujący konkretnej pomocy, a niekiedy tylko pociechy duchowej. Derlich pomagał organizować pomoc materialną dla więźniów obozów koncentracyjnych.

Po wojnie boleśnie przeżył powrót swojej małej ojczyzny w granice z lat 1920-1938, nie tracił nadziei, że Polska upomni się o Zaolzie. Pod koniec lat 40. zaniechał działalności politycznej, postanowił swą walkę o polskość przenieść na inną płaszczyznę i udowadniać wciąż na nowo polskie korzenie swego regionu. Rozpoczął intensywnie studiować prace naukowe z dziedziny językoznawstwa, folklorystyki, historii, kultury i tradycji regionu, prenumerował pisma fachowe, prowadził korespondencję z naukowcami polskimi. Interesowały go zagadnienia dialektologii, toponomastyki. Swoje artykuły wystukiwał jednym palcem na maszynie stojącej na specjalnym stoliku nad łóżkiem, patrząc przy tym w umieszczone u góry lusterko. W latach 50. jego artykuły ukazywały się w Zwrocie ("Płaźnik. Studium topograficzne z dziejów górniczej

Karwiny", "Prawidłowość w budowie dialektu cieszyńskiego", "Rola języka polskiego na Śląsku Cieszyńskim w wiekach XVI i XVII", "Ludowe nazwy w Skrzeczoniu" i in.) i Kalendarzach Zwrotu ("Nazwy osobowe chłopów śląskich sprzed 200 lat", "Zapomniany salasz na Ropiczce"), w latach 60. drukował w Zaraniu Śląskim w Katowicach ("Ludowe nazwy miejscowe w Suchej Górnej", "Ludowe nazwy miejscowe Lutyni Dolnej") i Języku Polskim w Krakowie ("Rachunek ślusarza frysztackiego z roku 1589", "Prastara nazwa słowiańska. W obronie Olzy"). Opracował materiały gwarowe do "Małego atlasu gwar polskich", "Atlasu językowego Śląska", "Słownika gwar polskich". Zbierał też przysłowia i powiedzenia ludowe, owe zbiory nazwane Pokłosiem pozostały w maszynopisie. Nagrywał również i zapisywał w prawidłowej fonetycznej formie opowiadania gwarowe.

Leon Derlich zmarł 18 lipca 1965 roku.

C.R.

Z DOROBKU LEONA DERLICHA

Garść wspomnień - Mimo woli (fragment)

O możliwościach ludzi nauki i wiedzy miałem kiedyś - prostak, patrzący przez różowe okulary - nader wysokie mniemanie. Już w moich nacjonalizmem obciążonych pierwocinach, pisanych do Gazety Kresowej, podnosiłem myśl, że naukowcy Polski i Czechosłowacji powinni zasiąść do wspólnego stołu i uwolnić życie na Śląsku Cieszyńskim spod ucisku agresywnie nacjonalistycznej mitologii.

Dlatego doprawdy niewesoło mi było, gdy na swym stanowisku cichego obserwatora wertowałem manifest naukowców czeskich (morawskich) zatytułowany "Česko, český stát a česká kultura", zaś później dwutomową monografię "Východolášská nářečí", rzecz monumentalną o cieszyńskim dialekcie ludowym. Stałem u jednego z korzeni wielkiego nieporozumienia, urosłego nagle między Polakami i Czechami po drugiej wojnie światowej; nieporozumienia, które całym ciężarem doległo na umęczony krwawą okupacją hitlerowską lud polski na Śląsku Cieszyńskim... Bo jakże nie mogło smucić człowieka i boleć, gdy - ledwo przestały dymić krematoria niemieckiej trzeciej rzeszy - z wysokości katedr uniwersytetu słowiańskiego rozległo się wołanie: "Bezruč objevil polský problém". Ten Bezrucz, który drugą wojnę światową i jej obozy koncentracyjne przeżył najspokojniej i dla którego Polacy nie przestali być bliską rodziną ze stworzeniami jedzącymi z koryta... A obok tego zawołania całkiem autorytatywne: "Jsou věci, o nichž se nediskutuje ani mezi národy a státy sobě sebebližšími". To i inne można było czytać w naukowej publikacji, której tytułu pozwolę sobie nie powtarzać.

Cieszyński dialekt ludowy to mój od dziecka chleb powszedni, dlatego mam do niego szczególny sentyment. Gdyby mi było danym po wtóre w życiu obierać kierunek studiów, to chyba wybrałbym bez namysłu dialektologię słowiańską, aby móc poświęcić się badaniu w pierwszym rzędzie rodzimego dialektu oraz dziejów języka polskiego na Śląsku. Cóż, kiedy "nieskoro po śmierci wandrować", prawi stare przysłowie (spisywałem te przysłowia kiedyś dla własnego użytku i zabawy, potem jeszcze raz drugi). Teraz, przeglądając materiały gwarowe zebrane i w okazałej monografii, opublikowane przez prof. Adolfa Kellnera, wdzięczny naprawdę byłem autorowi zbioru. Gdy jednak przeszedłem do wniosków historycznych, jakie autor wyciągał z uszeregowanych materiałów, począłem się z nim nie zgadzać i w duchu kłócić. A gdy skończyłem czytanie ostatniego paragrafu, byliśmy na dobre poróżnieni. Byłem wtedy laikiem, znałem jednakowoż nasz dialekt od strony praktycznej i miałem pewne wiadomości o tym, jak się docieka obiektywnej prawdy. Dostrzegłem w badaniu oraz tezach prof. K. poważne uchybienia rzeczowe i metodologiczne. I jąłem swoje uwagi notować.

Jeszcze w roku 1948 usłyszałem zarzut, że jakoby bojkotuję dziennikarstwo, mające służyć potrzebom ludności polskiej w CSR. Uderzyłem się w pierś i napisałem od serca artykuł w obronie rugowanej oryginalnej toponomastyki naszego kraju. Rzekłem sobie: albo zamieszczą w Szyńdziołach, albo uznają, jak dużo mi brakuje do wymaganej normy konformizmu. Nie zamieścili ani nawet nie potwierdzili odbioru przesyłki. Jakby kamień do wody... No dobrze, pomyślałem, ale interesować się dalej sprawą pomiataną i badać imiona własne Ziemi Cieszyńskiej chyba wolno. Wziąłem się na odwagę i napisałem do Muzeum w Cieszynie, prosząc o źródła. Nie mieli ich, coś jednak pożyczyli. Odpisał mi osobiście dyrektor Ludwik Brożek: wyczerpująco i najżyczliwiej. Pierwszy mój kontakt w życiu ze światem nauki był nawiązany. Gdy później, zwracając książki, dopisałem okazyjnie słówko zdziwienia nad milczeniem Zwrotu w tak ważnych sprawach jak monografia naukowa o naszym dialekcie ludowym, dowiedziałem się, że właśnie w Zwro-cie źle o mnie mówią i czegoś ode mnie się spodziewają.

Mój start na łamach Zwrotu był raczej przypadkowy i dosyć nieszczęśliwy. Między innymi może i dlatego, że zasłoniłem się jednym z moich przedwojennych pseudonimów: Andrzejem Sową. Akt pierwszy dramatu zakończył się zlinczowaniem przestępcy na Placu Dworcowym w Opawie. Że delikwent zawisnął na głupim stryczku własnego pomysłu, to słuszne. Że w ogłoszonym publicznie wyroku wszakże sędziowie ominęli meritum sprawy, a przysądzili mu zbrodnie niepopełnione, to mu kazało egzekucję przeżyć i... mścić się na swój sposób: przeciwstawianiem świeżo odkrywanych źródeł historycznych dostrzeganym produktom mitologii. Także w Zwrocie, dopóki go za burtę tego nabierającego wodę statku nie wyrzucono. (Miał pójść na dno, rybom na pożarcie, ale znowu nic z tego...)

Z moich osiągnięć dialektologa-amatora byłyby cztery znaczniejsze. Praca na polu paremiografii cieszyńskiej (dozbieranie około 3000 pozycji oraz po-

moc techniczna dwom innym zbieraczom). Monografie ludowych nazw miejscowych poszczególnych miejscowości: 3 opublikowane, 2 czekające na sposobność druku i 9 mniej lub więcej zaawansowanych. Opracowanie gwary miejscowej Karwiny dla Pracowni Małego Atlasu Gwar Polskich (według prof. K. Dejny jakoby na celująco). W zakresie źródeł pisanych rzecz najefektowniejsza: odkrycie i opracowanie Rachunku ślusarza frysztackiego z roku 1589, opublikowane w Języku Polskim (w tym wypadku jednak więcej szczęścia niż zasługi).

Moje sukcesy na polu badań nad cieszyńskim dialektem ludowym zawdzięczam w znacznej mierze radom i wskazówkom korespondencyjnym prof. dra Karola Dejny, a także wysokiej protekcji śp. prof. Kazimierza Nitscha.

1959

PODRÓŻ PO GMINACH PRZED WYBORAMI 2006 (2)

W tym odcinku cyklu omówione zostały trzy wioski najbardziej wysuniętej na południowy wschód części RC. Prezentujemy przy okazji fotografię szyldu każdej gminy, umieszczonego na budynku urzędu. Ta informacja to także świadectwo stosunku gminy do historii wsi i zamieszkałej tu polskiej mniejszości.

ŁOMNA GÓRNA

Ilość obywateli	Polacy	Ilość potrzebnych podpisów na petycję	Procentowa ilość Polaków w gminie
394	**112**	**36**	**28,42**
ilość mandatów	**1994**	**1998**	**2002**
do zdobycia	7	7	7
partie startujące /ilość kandydatów /kandydaci Polacy /polscy radni	ODS/5/**0**/**0** KDU/7/**2**/**2**	Niez 1/7/**1**/**1** Niez 2/7/**1**/**0** KDU/7/**2**/**2**	CSSD/9/**2**/**1** KDU/7/**2**/**1**
suma głosów na polskich kandydatów	**262**	**296**	**435**
Ilość wyborców/ do urn przyszło/%	307/228/**74,2 %**	304/215/**70,7 %**	301/202/**67,1 %**
Wspólnota kandydaci/ ilość głosów/ radni	0	0	0
Suma głosów: ilość polskich kandydatów	**131**	**74**	**109**

W Łomnej Górnej na początku lat 80. nastąpiła likwidacja polskiej szkoły podstawowej i przeniesienie nauczania do Łomnej Dolnej. Nieco wcześniej jej mieszkańcy, podobnie jak i wsi sąsiednich, zostali pozbawieni możliwości odbioru telewizji Katowice na skutek zmiany kierunku jej nadawania. To m.in. spowodowało brak kontaktu z polską mową, kulturą i z pewnością odbiło się w ogromnej mierze na świadomości narodowej tutejszych Polaków. Ciągle działa tu Koło PZKO, ale zaledwie dwie rodziny są abonentami Głosu Ludu, a żadna Zwrotu. Ale są jeszcze rodziny, które swoje dzieci posyłają do dolnołomniańskiej polskiej szkoły. Chwała im za to. W Łomnej Górnej niedawno zlikwidowano i czeską szkołę.

W roku 1994 rozgrywała się walka o mandaty między ODS z 5 kandydatami bez Polaków na liście, a KDU z 7 kandydatami, w tym 2 Polakami. Finał 2 radnych. W roku 1998 były dwie listy niezależnych z 1 polskim kandydatem na każdej i lista KDU z 2 polskimi kandydatami. Finał - 3 radnych. W 2002 lista niezależnych obejmowała 9 kandydatów (bo i tak można), a KDU wystawiła 7 kandydatów. Na obu listach było po 2 Polaków. I w rezultacie z każdej listy wybrany został jeden Polak. Można zauważyć pewną prawidłowość, a mianowicie Polacy zdobywają zawsze procentowo tyle miejsc w gminie, ilu jest mieszkańców polskiej narodowości, czyli w tym przypadku 30%. W innych gminach taki sam rezultat osiągano przy pomocy listy Wspólnoty, której tu nie było.

BOCONOWICE

Ilość obywateli	Polacy	Ilość potrzebnych podpisów na petycję	Procentowa ilość Polaków w gminie
428	**132**	**42**	**30,84**
ilość mandatów	**1994**	**1998**	**2002**
do zdobycia	7	7	7
partie startujące /ilość kandydatów /kandydaci Polacy /polscy radni	KDU/3/**0**/**0** Niez /5/**3**/**3**	Niez 1/6/**5**/**1** Niez 2/5/**2**/**1** KDU/1/**0**/**0**	KDU/3/**0**/**0** pojedynczy kandyd. **9**/**3**/**2**
suma głosów na polskich kandydatów	**371**	**352**	**235**
Ilość wyborców/ do urn przyszło/%	280/210/**75** %	318/164/**51,6** %	311/182/**58,2** %
Wspólnota kandydaci/ ilość głosów/ radni	0	0	0
Suma głosów: ilość polskich kandydatów	**123**	**88**	**78**

Ta wioska również jak poprzednia pozbawiona była kontaktu z TVP do 1994 roku (potem zaczął działać nadajnik na Skrzycznem i sytuacja się poprawiła dla jednej trzeciej mieszkańców). Nie ma tu już też ani polskiej, ani czeskiej szkoły,

jest tylko przedszkole czeskie, do którego kilkoro polskich rodziców posyła swoje pociechy. Jednak jest tutaj świetlica i działające prężnie Miejscowe Koło PZKO.

W pierwszych wyborach wystawiono dwie listy, na których suma kandydatów tylko o jeden przekroczyła liczbę radnych. A więc z 8 odpadł tylko 1 i było trzech radnych Polaków. Podczas następnych wyborów wystawiono dwie niepełne listy z 2 Polakami na każdej, a z trzeciej listy startował jeden kandydat, uzyskując minimalne poparcie. Radnymi zostało dwóch Polaków. W roku 2002 powstała nowa lista KDU, ale bez Polaków. Natomiast 9 osób kandydowało samodzielnie. Było wśród nich 3 Polaków i 2 zostali radnymi. Tu również nie ma zwolenników tworzenia listy Wspólnoty.

ŁOMNA DOLNA

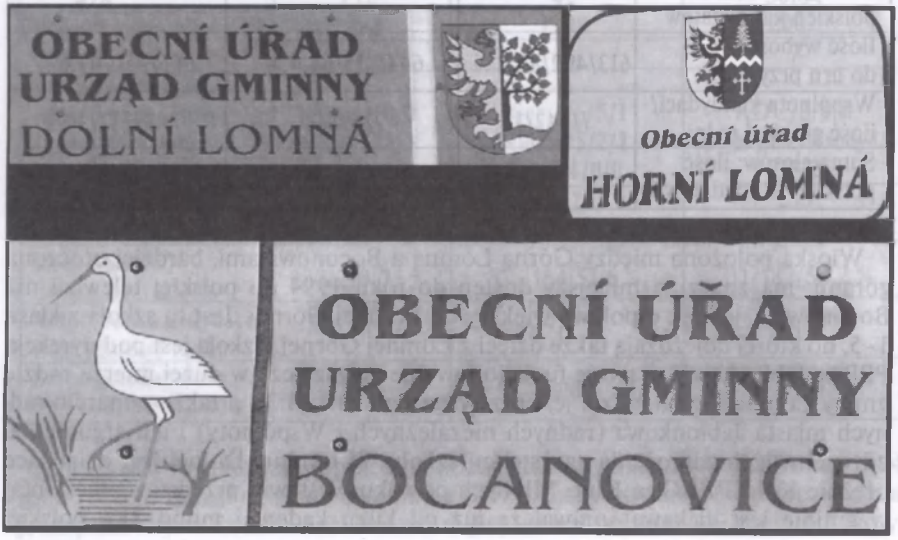
Ilość obywateli	Polacy	Ilość potrzebnych podpisów na petycję	Procentowa ilość Polaków w gminie
867	**269**	**90**	**31,02**
ilość mandatów do zdobycia	**1994**	**1998**	**2002**
	7	7	7
partie startujące /ilość kandydatów /kandydaci Polacy /polscy radni	Ziel/7/**3/1** ODS/7/**0/0** Niez /1/**3/1** Niez/3/**1/1**	CSSD/7/**3/1** KDU/7/**2/1** Niez 1/7/**0/0** Niez 2/1/**0/0**	KDU/7/**5/1** CSSD/7/**2/0** Niez 1/6/**0/0** Niez 2/7/**0/0** Niez 3/8/**3/1** Niez 4/6/**4/1**
suma głosów na polskich kandydatów	**524**	**497**	**916**
Ilość wyborców/ do urn przyszło/%	613/492/**87,2 %**	644/415/**64,4 %**	666/450/**67,6 %**
Wspólnota kandydaci/ ilość głosów/ radni	7/**542/1**	7/**498/2**	9/**371/1**
Suma głosów: ilość polskich kandydatów	**76**	**82**	**53**

Wioska położona między Górną Łomną a Boconowicami, bardziej otoczona górami, ma znacznie mniejszy dostęp do roku 1994 do polskiej telewizji niż Boconowice, jednak o połowę większy od Łomnej Górnej. Jest tu szkoła z klasą 1-5, do której dojeżdżają także dzieci z Łomnej Górnej. Szkoła jest pod dyrekcją PSP w Jabłonkowie, a swoje funkcjonowanie zawdzięcza w dużej mierze radzie gminy Łomna Dolna, gdzie jest przewaga Polaków (4:3), a także poparciu radnych miasta Jabłonkowa (radnych niezależnych i Wspólnoty) i ich argumentacji w chwilach zagrożenia egzystencji szkoły. W Łomnej Dolnej jest działające prężnie Koło PZKO, a Klub Młodych co roku wystawia przedstawienie. Tutaj w gminie jest ciekawa sprawa, że już od kilku kadencji mimo 31% polskiej

mniejszości jest zawsze lekka przewaga po stronie Polaków w radzie gminy. Wybory w poszczególnych latach kształtowały się następująco: W roku 1994 startowały obok Wspólnoty 4 partie, w tym trzy z Polakami na listach, z których weszło do rady po jednym z każdej, a czwarta radna była ze Wspólnoty. W następnej kadencji dwie z 4 partii wystawiły pięciu Polaków na swoich listach. Wybory wygrało dwóch polskich kandydatów. Dwaj kolejni byli wybrani z listy Wspólnoty. Rok 2002 był także w Łomnej eksperymentem. Startowało aż 8 partii, w tym jedna tylko z 1 kandydatem. KDU z pięcioma i CSSD z dwoma Polakami, z nich jeden został radnym, dwie listy niezależnych miały pełne listy kandydatów lub sześciu i ani jednego Polaka na nich. Dwie kolejne niezależne wystawiły razem 14 kandydatów, w tym połowę Polaków i dwóch radnych wprowadziły do gminy. Radnym został też kandydat Wspólnoty. Tutaj ciekawe są dwie sprawy. Pierwsza to malejąca liczba głosów na jednego polskiego kandydata, w tym i Wspólnoty. W roku 1994 to **76** na jednego przy 14 kandydatach, rok 1998 to **82** przy 12 i rok 2002 spadek na **53** przy 21 kandydatach. W ostatnich wyborach kandydowało 51 kandydatów na radnych, w tym **21** Polaków. Musiano więc głosy podzielić, stąd malejąca liczba głosów na Wspólnotę niespotykana w innych gminach, gdzie jest raczej wzrost. Pierwsi na tej liście zawsze otrzymują około 100 głosów.

Szanowni czytelnicy. Pragnę przeprosić za błąd, który się wkradł do tabelki Milikowa w poprzednim numerze Zwrotu. Po wyborach w roku 2002 Wspólnota ma **6,** a nie **5** radnych, jak jest w tabelce.

WŁADYSŁAW DRONG



Fot. WŁADYSŁAW DRONG

ELA SEKULA
(1926-2005)

Żegnaj, Elu!

We wtorek 6 września br. odprowadziliśmy na miejsce wiecznego spoczynku Drogą Koleżankę śp. Elę Sekulową z Trzyńca, długoletnią członkinię Sekcji Kobiet ZG PZKO.

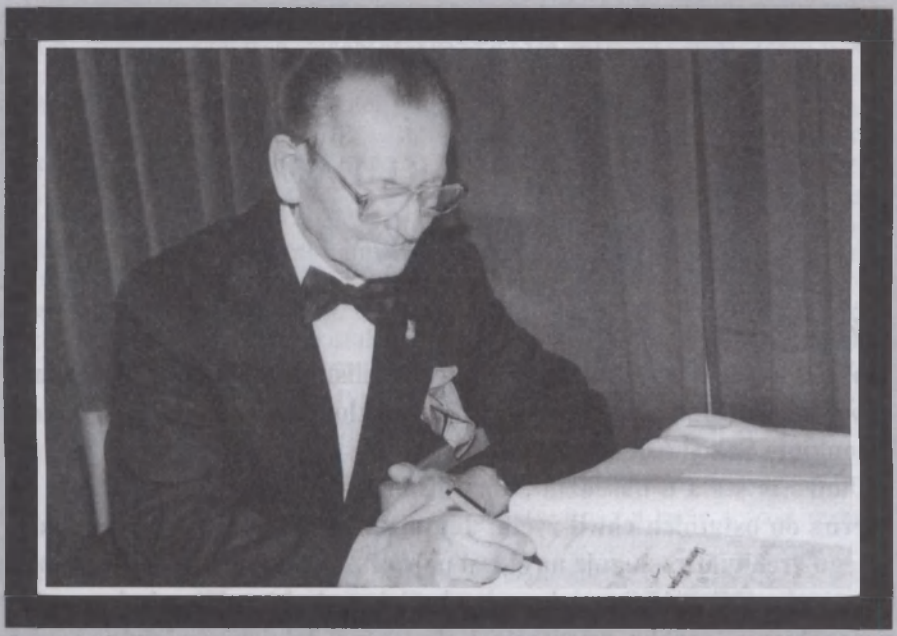
Pani Ela stała u narodzin Sekcji Kobiet w 1968 roku i pozostała jej wierna do ostatnich chwil życia. Jej udział w pracy tego społecznikowskiego gremium zasługuje na słowa najwyższego uznania. Jako była pracowniczka ZG PZKO opiekowała się Sekcją Kobiet. Wesołe i pogodne usposobienie, szybka orientacja i skuteczne działanie miały znaczący wpływ na funkcjonowanie Sekcji. Śp. Ela była wszędzie tam, gdzie zaszła potrzeba, nie lękała się bowiem żadnej pracy. Członkinią Sekcji Kobiet pozostała i po przejściu na emeryturę, była również członkinią trzynieckiego Klubu Kobiet.

Pracy społecznej poświęcała się pomimo różnych dolegliwości, których, niestety, przybywało. Do ostatniej chwili wierzyłyśmy, że wyjdzie ze szpitala z podreperowanym zdrowiem. Stało się jednak inaczej. Nie zdążyłyśmy Jej podziękować za ofiarną, bezinteresowną działalność społeczną na rzecz zaolziańskiej społeczności polskiej. Uczyniłyśmy tak dopiero nad Jej otwartą mogiłą.

Śp. Ela Sekulowa kochała ziemię rodzinną, szczególnie bliska była Jej Sucha, skąd się wywodziła, ale spoczywa w Trzyńcu, gdzie przeżyła z rodziną kilkadziesiąt lat. Niech więc ta ziemia trzyniecka będzie Jej lekką, przygarnie Ją i otuli.

Cześć Jej pamięci.

Koleżanki z Sekcji Kobiet ZG PZKO



ALOJZY BABIŃSKI
DYRYGENT O WIELKIM SERCU

Alojzy Babiński urodził się 14 listopada 1924 roku w Lutyni Dolnej. Umiłowanie śpiewu, wielką pasję społecznikowską i śpiewaczą wyniósł z domu rodzinnego. Jako ośmioletni chłopiec uczył się gry na skrzypcach, śpiewał w chórze szkolnym. W następnych latach był członkiem chóru mieszanego Macierzy Szkolnej oraz zespołu muzycznego. Wielki wpływ na rozwój jego zdolności miał szanowany w okolicy i oddany pracy społecznej dyrygent chóru w Lutyni Górnej Emil Hila.

Podczas drugiej wojny światowej pracował Alojzy Babiński w hucie bogumińskiej jako odlewnik w odlewni żeliwa. Sam uczył się gry na instrumentach dętych i został członkiem orkiestry dętej w hucie.

W roku 1952 był inicjatorem założenia orkiestry Melodia przy MK PZKO w Lutyni Dolnej, sam prowadził oktet męski Promyk. Kolejny szczebel wtajemniczenia muzycznego stanowiło jego członkostwo od roku 1965 w orłowskim chórze męskim Hasło z doświadczonym dyrygentem Brunonem Ryglem.

Od niego uczył się poprawnego śpiewu i zgłębiał tajniki wiedzy o śpiewie. Wszystkie nowe doświadczenia przekazywał chórzystom dolnolutyńskiego chóru mieszanego MK PZKO, którego kierownikiem został w 1958 roku. Pod jego kierownictwem chór podniósł swój poziom artystyczny, dał wiele udanych koncertów. Chór odmłodzono, panowała w nim wspaniała atmosfera, zarówno twórcza, jak i koleżeńsko-towarzyska. Alojzy Babiński był przykładem społecznikowskiej bezinteresowności i ofiarności. Dobierał piosenki, które podobały się chórzystom, ale musiały mieć wartość muzyczną. Był przekonany o tym, że nie można niczego robić połowicznie, lecz z pełnym zaangażowaniem i poświęceniem.

Choć nie posiadał wyższego wykształcenia muzycznego, potrafił wykrzesać ze swojego chóru artyzm takiej klasy, że w Konkursie Chórów PZKO w roku 1984, kiedy przewodniczącym jury był Józef Świder, Lutnia uzyskała 1 miejsce w kategorii II chórów mieszanych i wytypowana została do udziału w VI światowym Festiwalu Chórów Polonijnych w Koszalinie. Dwa tygodnie spędzone nad polskim morzem, występy i spotkania z polskimi chórami z całego świata dostarczyły chórzystom i dyrygentowi niezapomnianych, wspaniałych wrażeń.

Alojzy Babiński przygotowywał swoich chórzystów do wyjazdu na warsztaty polonijne do Koszalina również w roku 1999, niestety nasilająca się choroba nie pozwoliła mu już kontynuować pracy z zespołem.

Zmarł 15 czerwca 2005 roku.

Dyrygent Alojzy Babiński i cały zespół Lutnia tworzyli ponad 40 lat jedną wielką rodzinę, darzącą się nawzajem szacunkiem i zaufaniem. Razem cieszyli się z pięknych osiągnięć, razem wspominali piękne chwile przeżyte na próbach, występach, wyjazdach. W pamięci dolnolutyńskich śpiewaków pozostanie na zawsze okres współpracy z zacnym człowiekiem o wielkim sercu, a przede wszystkim jego skromność i gotowość służenia innym.

Odznaczenia dyrygenta Alojzego Babińskiego:

1994 - Zasłużony dla Związku - złoto z wpisem do Złotej Księgi PZKO,

1994 - Odznaka Honorowa z Laurem od PZChiO w Warszawie,

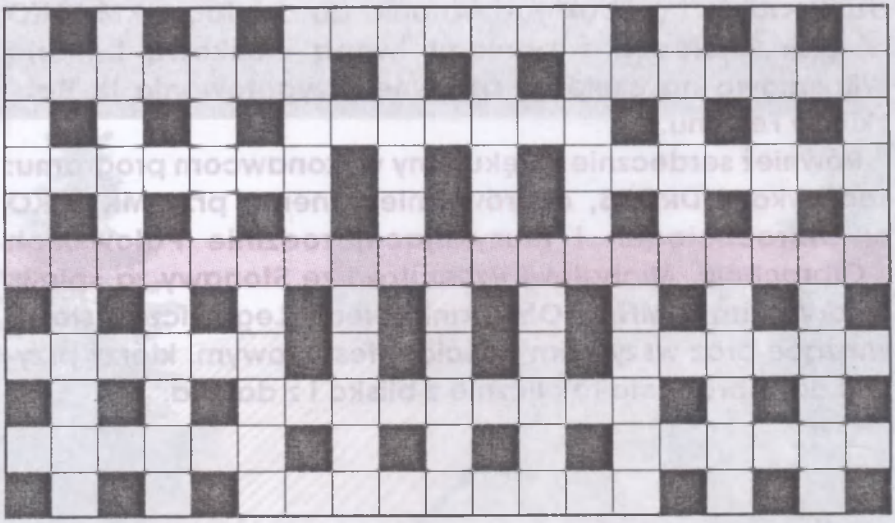
1997 - Odznaka Zasłużony dla Kultury Polskiej z okazji 50-lecia PZKO od Ministerstwa Kultury RP,

2003 - tytuł Herolda Śpiewactwa PZChiO ze słowami najwyższego uznania za czyn niezwykle szlachetny - 40 lat honorowego wypełniania funkcji dyrygenta i wspaniałe wyniki w pracy wzbogacającej skarbnicę kultury polskiej, czeskiej i ogólnoludzkiej.

MARIA SZTWIERTNIA



Foto-grafika WŁADYSŁAW KUBIEŃ



SYNTEZA KRZYŻÓWKI ALIAS KRIS-KROS

Tym razem zapraszamy Szanownych Czytelników do ułożenia krzyżówki.
Oto zestaw odpowiednio dobranych wyrazów, z których można ułożyć krzyżówkę nawet z rozwiązaniem dodatkowym, którym jest w tym wypadku przysłowie polskie. Życzymy miłej zabawy!

Wyrazy 6-literowe: ANATRI, BANDAŻ, CZAUSZ, DZIWAK, HINDUS, IKAROS, INCEST, JASKRA, KAPRAL, KARATE, KAWIOR, KRAŚKO, LEKTOR, ŁODZIA, ŁOWICZ, OPTYKA, RANDKA, SZAMBO, WARMIA, WIADRO, WOALKA, ZARZĄD, ZASIĘG.

Wyrazy 7-literowe: DYLEMAT, ILOCZYN, RIPOSTA, ROZSADA, ŚLUSARZ, ZAKRZÓW.

Wyrazy 9-literowe: ANASTAZJA, KRYTERIUM.
(ANATRI = język używany przez Czuwaszów; CZAUSZ = dawniej goniec, poseł turecki).

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesłać do końca listopada.
Rozwiązanie krzyżówki z numeru wrześniowego: KAPELA PODWÓRKOWA

Nagrody książkowe wylosowali: **Hania Wojnar** - Karwina Raj
Irena Onderek - Czeski Cieszyn

PODZIĘKOWANIE

Sekcja Kobiet ZG PZKO kieruje wyrazy serdecznego podziękowania i głębokiego uznania do działaczy KM PZKO w Olbrachcicach z paniami Iwoną Gunkową i Marią Wiłoszkową na czele za sprawne przygotowanie IX Babskiego Festynu.

Również serdecznie dziękujemy wykonawcom programu: Teatrzykowi DROPS, chórowi mieszanemu przy MK PZKO w Olbrachcicach i muzykującej rodzinie Palowskich z Olbrachcic, Michałowi Rzeszutowi ze Stonawy za śpiew, wędryńskim GIMNASTOM, pani Helenie Legowicz za słowo wiążące oraz wszystkim gościom festynowym, którzy przybyli do Olbrachcic tak licznie z bliska i z daleka.

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Strzelnicza 28, P.O.Box 97, 737 01 CZESKI CIESZYN,
tel. i fax: 558 712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI,
Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK,
Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – Infiniti art, s. r. o., Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 240 Kč, z wysyłką pocztową 324 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02
z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE DOMY PZKO



DOM PZKO
w Sibicy

Odes.: Redakce ZWROT
Střelniční 28
737 01 Český Těšín

O.P.
P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE SZKOŁY

OLDRZYCHOWICE

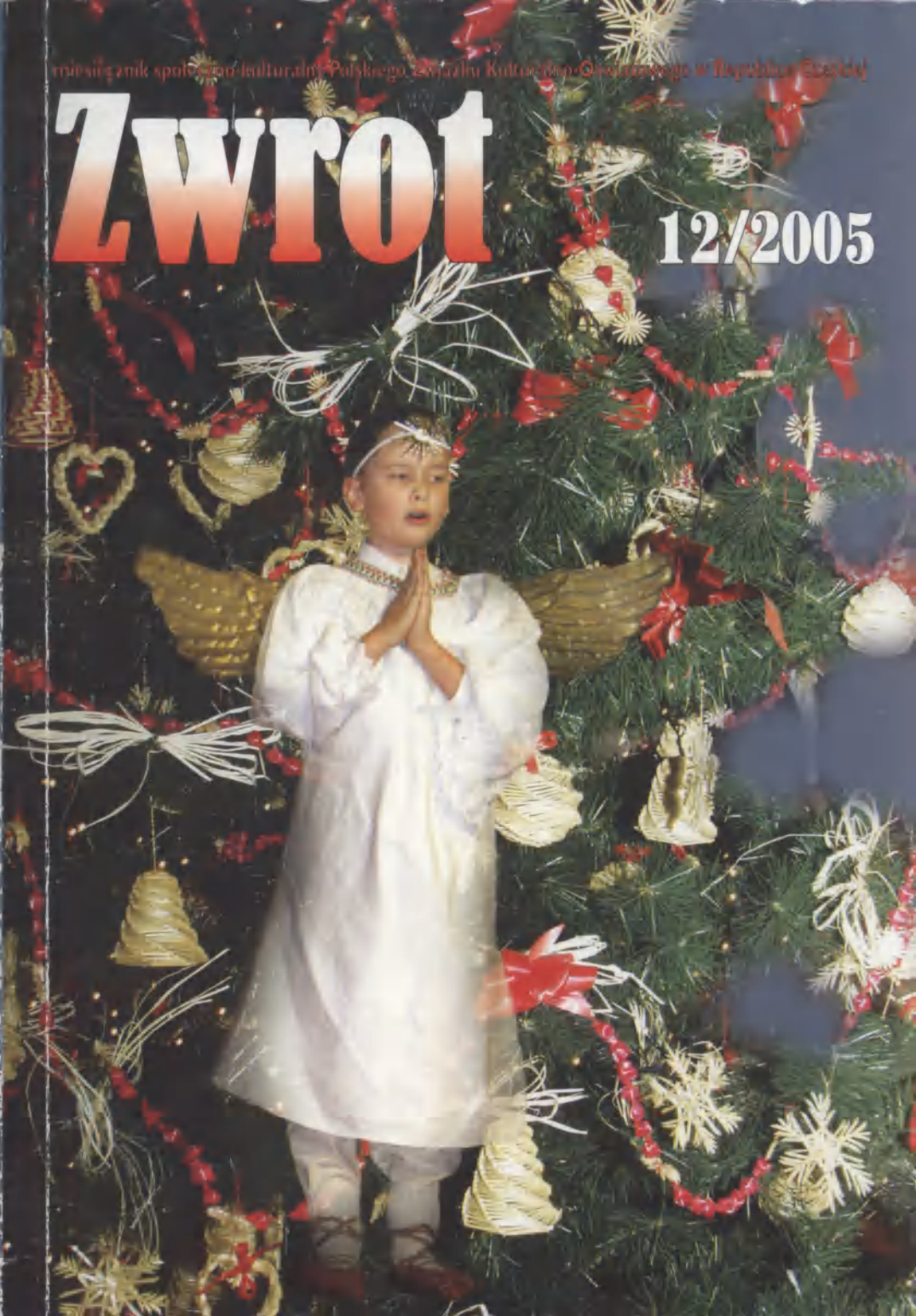


ISSN 0139-6277

miesięcznik społeczno-kulturalny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej

Zwrot

12/2005



TACY BYLIŚMY





Jan i Emilia (z Ożanów) Mrózek.
Jan Mrózek urodził się w roku 1881 w Karpętnej.
Potem mieszkał w Bystrzycy. Był nauczycielem w Pudłowie.
Podczas I wojny światowej znalazł się na froncie wschodnim,
gdzie został ranny. Zmarł w Krakowie na tyfus.
Fotografię udostępniła redakcji p. Anna Wacławik.
Jan Mrózek był bratem dziadka pani Anny.

ANTONI GABREL SDB

SPIESZNO NAM DO BETLEJEM

Spieszno nam już do Betlejem,
więc pucujemy szare domy.
Coś trzeba dać dzieciątku Jezus,
aby zagarnąć Boże dary.
Odświeżamy stary slogan:
Bóg zrodził się człowiekiem,
ażebyś mógł być dzieckiem Boga.
Czekamy na cud:
Staniemy się lepsi
i wszystkim będzie dobrze.
Im więcej szczęścia wokół ciebie,
tym bielszy twój opłatek.
W szopie gorąco,
bo ktoś chucha,
siano rozpieszcza,
a dziura w dachu
przybliża niebo.
Pucujmy bracia głowy i serca,
by gwiazda mogła zabłysnąć.



Rok LVI, Nr 673
Cena numeru 20,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 27,00 Kč

Zwrot

12/2005

KSIĄŻNICA CIESZYŃSKA
cz. III 6/2005

W NUMERZE

3	Organizacje plastyków zaolziańskich	CZESŁAWA RUDNIK
10	Poezja pod choinkę	ROBERT DANEL
16	Ze wspomnień Oswalda Guziura z Suchej Górnej (cz. III)	
23	Beskidy rodzone (3)	WŁADYSŁAW SIKORA
26	Językowe pogranicze cieszyńsko-laskie (7)	WŁADYSŁAW MILERSKI
30	Notatki z autokaru	WŁADYSŁAW KUBIEŃ
35	Kronika: Andrusi i Lwowska Fala, Jubileuszowy Koncert Chóru Nauczycieli Polskich, Benefis Jana Pyszki, Wystawa MK PZKO Błędowice, Avion poetycki, Sto lat ropickiej szkoły, Koncert w Karwinie Mizerowie, Pejzaże Jana Rusnoka, Wycieczka na krakowskie Targi Książki, Uśmiech dobry na wszystko	
50	Poezja Kazimierza Józefa Węgrzyna	
52	Leon Derlich: Barborka	
60	Poeta i tłumacz	KRYSTYNA KARDYNI-PELIKÁNOVÁ
66	Echo wydarzeń muzycznych	ALOJZY SUCHANEK
68	Mozaika	KAROL KAJZER
71	Pożegnania: Stefania Szmejowa	

Numer zamknięto 16. 11. 2005

ORGANIZACJE PLASTYKÓW ZAOLZIAŃSKICH

Polskie Stowarzyszenie Artystów Plastyków, najnowsza organizacja zrzeszająca plastyków Zaolzia, jest kontynuatorem działalności związku malarzy, rzeźbiarzy, grafików założonego na Zaolziu w okresie międzywojennym. Kronikarze tamtych wydarzeń wspominają pierwszą polską, prezentującą 70 prac, wystawę malarską w Orłowej w 1922 roku, zorganizowaną przez studenta ASP w Krakowie, późniejszego nauczyciela orłowskiego gimnazjum Gustawa Fierlę i nauczyciela z Łazów Karola Piegzę. Do działalności wystawienniczej namówili następnych malarzy: Adame Ciompę, Tadeusza Michejdę, Jerzego Trombika, wystawa tych 5 plastyków w Czeskim Cieszynie miała miejsce w roku 1926. Największa wystawa w okresie przedwojennym została zorganizowana w roku 1937 w Czeskim Cieszynie, wystawiono tam 150 prac, w tym 30 rzeźb. Ważną rolę pełniły też w tym okresie kursy plastyczne dla nauczycieli, członków sekcji plastycznej Macierzy Szkolnej.

Pod koniec 1936 roku zrodziła się myśl założenia organizacji literacko-artystycznej, która zrzeszałaby twórców zaolziańskich, literatów, muzyków i plastyków. Z inicjatywy Macierzy Szkolnej doszło do spotkania 30 grudnia, na którym Karol Piegza przedstawił projekt statutu Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego. Tymczasowym przewodniczącym został Karol Berger. 29 czerwca 1937 roku odbyło się w Czeskim Cieszynie walne zebranie ŚZLA, w którym uczestniczyli: Dominik Figurny, Eugeniusz Fierla, Gustaw Fierla, Adolf Fierla, Władysław Pasz, Henryk Nitra, Karol Piegza, Józef Niemiec, Jerzy Trombik, Jerzy Tomoszek i Paweł Kubisz, który został przewodniczącym.

Po drugiej wojnie światowej plastycy, jak samo jak inni twórcy kultury, organizować mogli się w ramach Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. Pierwsze zebranie Sekcji Literacko-Artystycznej przy PZKO odbyło się w Czeskim Cieszynie 7 października 1947 roku (nazwę Sekcji przyjęto oficjalnie na zebraniu tydzień później), wzięli w nim udział Władysław Pasz, Franciszek Świder, Paweł Kubisz, Gustaw Fierla, Gustaw Przeczek, Dominik Figurny, Paweł Rdacz, Rudolf Żebrok i Karol Piegza, który je prowadził. Przewodniczącym został Paweł Kubisz, zastępcą Gustaw Fierla, sekretarzem Gustaw Przeczek. Pieczątkę według projektu Pawła Zabystrzana ufundował redaktor Andrzej Kubisz. W roku 1956 doszło do podziału SLA, pionem plastycznym kierował Gustaw Fierla.

W pierwszych konkursach malarskich SLA laureatami głównych nagród byli: w roku 1953 Franciszek Świder i Rudolf Żebrok, w roku 1955 Gustaw Nowak, w roku 1957 Franciszek Świder oraz Bronisław Firla (nagroda młodych na dziesięciolecie PZKO), w roku 1959 w pionie "kwalifikowanych" plastyków Rudolf Żebrok, w pionie "amatorów" Bogumił Swoboda. W konkursie na prace plastyczne z okazji piętnastolecia PZKO (1962) w pionie malarskim zwyciężył Władysław Cejnar, w pionie graficznym Bronisław Liberda. W połowie lat 60. doszło do rozwoju działań oświatowych w SLA, organizowane były liczne seminaria i kursy o sztuce. W roku 1964 odbyła się pierwsza wystawa grafiki połączona z konkursem, którego laureatami zostali: Karol Piegza, Tadeusz Berger, Bronisław Firla, Bronisław Liberda. Indywidualne wystawy plastyków były w Jabłonkowie, Karwinie, Orłowej, Suchej Górnej, Olbrachcicach, Trzyńcu. Plastycy brali udział w konkursach na plakaty, winiety, karty życzeń, np. w roku 1966 ogłoszone zostały konkursy na plakat dwudziestolecia PZKO, afisz na Festiwal PZKO, ekslibris związkowy, konkurs na okładkę Zwrotu.

W latach 70. pomyślnie rozwijały się kontakty nie tylko z czeskimi organizacjami plastyków, ale przede wszystkim ze środowiskami twórczymi w Polsce, które pozwalały plastykom zaolziańskim poprzez udział w plenerach w Polsce na uczestniczenie w życiu artystycznym Macierzy. Zaś plastycy z Polski przyjeżdżali na plenery SLA. W roku 1973 odbył się po raz pierwszy plener malarski pod hasłem Beskidy, które następnie uzupełniano o kolejne lata, plener Beskidy '73 miał miejsce na Kozińcu. Każdy uczestnik jedną z powstałych tam prac pozostawiał do dyspozycji organizatorów. Uroczyste były rozpoczęcia i zakończenia plenerów, brali w nich udział nie tylko plastycy. Wystawom na zakończenie plenerów nieraz towarzyszyły aukcje wystawionych prac, zebrane pieniądze przeznaczano na szczytne cele. Uzupełnieniem plenerów były często tzw. wystawy poplenerowe, organizowane w różnych zakątkach Zaolzia, pozwalające szerokim rzeszom miłośników sztuk plastycznych na zapoznanie się z najnowszą twórczością plastyków. W plenerach brali udział przedstawiciele SLA oraz artyści z Polski. Plenery organizowane były co dwa lata. Plener malarski Beskidy '75 odbył się w Ligotce Kameralnej. Plastycy zaolziańscy, którzy jeździli na plenery malarskie do Polski, w Polsce pokazywali potem swoje prace. W roku 1976 w wystawie poplenerowej w Opolu brali udział Bronisław Firla i Gustaw Nowak, w Tucholi Tadeusz Berger, Stanisław Kraus i Bronisław Liberda, we Włocławku Józef Drong i Tadeusz Ramik. W salce wystaw, która powstała w Czeskim Cieszynie, otwarto Salon SLA z udziałem 10 autorów.

W 1977 roku odbyły się w Czeskim Cieszynie obchody jubileuszowe SLA. Sekcja składająca się z pionu literackiego, muzycznego, plastycznego i foto-filmowego liczyła wtedy siedemdziesięciu członków, z tego pion plastycz-

ny 21 członków (Tadeusz Berger, Władysław Cejnar, Józef Drong, Gustaw Fierla, Dominik Figurny, Bronisław Firla, Edward Kaim, Stanisław Kraus, Zbigniew Kubeczka, Bronisław Liberda, Gustaw Nowak, Władysław Pasz, Oskar Pawlas, Karol Piegza, Tadeusz Ramik, Józef Rozbrój, Jan Szkwara, Franciszek Świder, Walter Taszek, Tadeusz Wratny, Rudolf Żebrok). W Klubie PZKO otwarto wystawę z okazji czterdziestolecia Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego i trzydziestolecia Sekcji Literacko-Artystycznej. Trzydzieści lat pionu plastycznego to, jak policzono, 53 wystawy zbiorowe i 33 indywidualne. Prace plastyków to jednak także wiele ilustracji i opraw graficznych w publikacjach książkowych i prasie, przede wszystkim na Zaolziu. Podczas Walnego Zebrania SLA wybrano nowe kierownictwo. Przewodniczącym Sekcji pozostał Bronisław Bielan, pionem plastycznym kierował Bronisław Firla.

Wiele dokumentów, materiałów na temat bogatej działalności plastyków w tamtym okresie zachowało się w Archiwum PZKO w Czeskim Cieszynie. Oto najważniejsze z tych działań. W 1977 roku w majowej wystawie jubileuszowej malarstwa, grafiki i rzeźby SLA w Czeskim Cieszynie osiemnastu twórców wystawiło 124 prace. We wrześniowym plenerze malarskim Beskidy '77 w Nydku wzięło udział 8 plastyków z Polski i Józef Drong jako przedstawiciel SLA. W sierpniu 1978 otwarto wystawę malarstwa Stanisława Krausa i Oskara Pawlasa w Opolu. W sierpniu i wrześniu w Ośrodku Informacji i Kultury Polskiej w Pradze miała miejsce przekrojowa wystawa 75 obrazów i grafik 15 plastyków Zaolzia nazwana "Twórczość artystyczna polskich plastyków w CSRS". Analogiczne wystawy odbyły się w roku 1979 w Starej Kordegardzie w Warszawie i w Muzeum Archeologicznym w Krakowie. Plener malarski Beskidy '79 odbył się we wrześniu w Gutach. Powstało ponad 70 obrazów, przybyli goście ze środowisk plastycznych z Bydgoszczy, Bielska-Białej, Koszalina, Katowic, Rzeszowa, Opola i Ostrawy, SLA reprezentowali Bronisław Firla, Oskar Pawlas i Stanisław Kraus. Plon artystyczny *rozmów z kolorową ciszą beskidzką* wystawiono potem w galerii SLA w siedzibie ZG PZKO w Czeskim Cieszynie. We wrześniu wystawiali w Opolu Józef Drong i Tadeusz Ramik. Wystawy zbiorowe odbyły się w maju w Trzyńcu podczas Festiwalu PZKO, jak zresztą podczas każdego Festiwalu PZKO, i w grudniu w Karwinie. W grudniu podczas Walnego Zebrania SLA przeprowadzono aukcję obrazów.

Prace 17 osób znalazły się na wystawie zbiorowej plastyków SLA w lecie 1980 roku. 56 prac slaowskich wystawiono w sierpniu w Opolu na wystawie "Plastyka z Czeskiego Cieszyna". W październiku odbył się w krakowskim Domu Polonii wernisaż wystawy "Twórcy zaolziańscy Krakowowi", 20 z wystawionych tam prac przeznaczono na aukcję na rewaloryzację Krakowa. W maju 1981 roku otwarto w galerii SLA w Czeskim Cieszynie wystawę

"Ziemia nadolziańska w oczach plastyków SLA". Dwudniowe seminarium plastyczne odbyło się w jesienią w Nydku. We wrześniu był plener malarski w Jabłonkowie Jasieniu. W grudniu zaprezentowano w Czeskim Cieszynie najciekawsze prace ostatniego roku. W roku 1982 na wystawie zbiorowej w Klubie PZKO w Czeskim Cieszynie 22 plastyków SLA zaprezentowało ponad 80 prac. Wiosną 1984 roku odbyło się w Żywocicach Wiosenne Seminarium SLA na temat "Żywocice symbolem walki o pokój", które było przygotowaniem do pleneru malarskiego Żywocice '84 na przełomie czerwca i lipca 1984 roku. Prace, które powstały podczas pleneru, przekazane zostały m.in. do muzeum w Żywocicach i Lidicach. Wystawę zbiorową SLA otwarto jesienią w Karwinie. Karwińska wystawa ukazywała prace z lat 70. i 80., wzięły w niej udział cztery pokolenia twórców: najstarszy Karol Piegza, następnie Franciszek Świder, Dominik Figurny, Władysław Pasz, Bogumił Swoboda, młodsi Stanisław Kraus, Bronisław Firla, Oskar Pawlas, Tadeusz Berger, Bronisław Liberda, Edward Kaim, Zbigniew Kubeczka, Tadeusz Wratny, Rudolf Kobiela i najmłodsi Walter Taszek, Józef Drong, Lidia Ramik, Tadeusz Ramik, Jan Rusnok, Józef Kneis, Janina Szotkowska, Halina Szkopek i Monika Chrząszcz. W 1985 roku 14 plastyków zaolziańskich wystawiło swe prace w Katowicach. W maju odbyła się wystawa SLA w Trzyńcu, w lipcu w Orłowej. W listopadzie zaś miało miejsce w Orłowej dwudniowe szkolenie plenerowe plastyków. W dwutygodniowym plenerze malarskim Beskidy '86 w Gutach SLA reprezentowali: Bronisław Firla, Oskar Pawlas, Józef Drong i Edward Kaim, z Polski gościli plastycy z Katowic, Torunia, Inowrocławia, Opola, Raciborza, na zakończenie odbyła się aukcja plenerowych prac plastycznych, pieniądze przekazane zostały na Centrum Zdrowia Matki Polki. Wystawa poplenerowa otwarta została w listopadzie w Teatrze Cieszyńskim. W roku 1987 z okazji czterdziestolecia PZKO zaplanowano wystawy plastyków SLA w Karwinie oraz w Opolu, Krakowie, Cieszynie, zaś we Frydlancie nad Ostrawicą i w Wiśle pokazano wystawę SLA "Beskidy". Temat pleneru plastycznego w Cierlicku brzmiał "Żwirko i Wigura". W roku 1988 ogłoszono konkurs plastyczny o "Laur roku". Wystawa zbiorowa SLA miała miejsce we wrześniu w Pszczynie, pokazano 52 prace 10 autorów. Plener malarski Beskidy '88 odbył się we wrześniu w Gutach, oprócz gości z Polski wzięli w nim udział Józef Drong, Edward Kaim, Bronisław Firla, Oskar Pawlas, Stanisław Kraus. W 1989 roku w marcu 12 plastyków wystawiało w Bibliotece Regionalnej w Karwinie, w kwietniu 17 plastyków w Mostach koło Czeskiego Cieszyna, w maju 14 plastyków w Błędowicach, w sierpniu w Jabłonkowie. Na lipiec zaplanowano wystawę zbiorową plastyków SLA podczas Światowego Festiwalu Polonijnych Zespołów Folklorystycznych w Rzeszowie, na październik do Domu Polonii w Krakowie, na pierwszą połowę listopada w Warszawie. W październiku

prace plastyków SLA obejrzeli ponadto pezetkaowcy obwodu bogumińskiego, w grudniu odbył się w Czeskim Cieszynie Salon SLA. Ogłoszono też konkursy: "Młodzi zdolni" i "Laur roku".

W roku 1990 największą wystawą zbiorową plastyków SLA była wrześniowa wystawa w ramach Zlotu Polaków w Błędowicach, plastycy zaolziańscy brali udział w plenerach malarskich w Kędzierzynie, Nysie, Raciborzu, Ojcowie i Bratysławie, w plenerze PZKO w Tyrze uczestniczyło osiem osób. Podczas Walnego Zebrania SLA w marcu 1991 roku powstał projekt założenia nowego stowarzyszenia literacko-artystycznego. We wrześniu 1991 roku na zebraniu pionu plastycznego ustalono, że będzie on kontynuował działalność w dotychczasowym zakresie, wybrano nowe tymczasowe kierownictwo: Oskar Pawlas i Władysław Kubień. W 1992 roku zbiorowa wystawa plastyków miała miejsce w maju w Trzyńcu w ramach Festiwalu Kultury Polskiej, pokazano tam prace Józefa Dronga, Bronisława Firli, Edwarda Kaima, Zbigniewa Kubeczki, Rudolfa Kobieli, Władysława Kubienia, Moniki Milerskiej, Władysława Pasza, Oskara Pawlasa, Haliny Szkopek i Tadeusza Wratnego. Wystawę tę w czerwcu i lipcu oglądać można było w Orłowej. Odbył się plener malarski w Milikowie, a następnie wystawa poplenerowa. W dolnośląskim Brzegu zorganizowano Dni Zaolzia, podczas których pokazano prace plastyków zaolziańskich. W roku 1993 Dni Zaolzia z udziałem plastyków były także w Toruniu. W 1994 roku w Nieborach wystawiali Oskar Pawlas, Józef Drong, Tadeusz Wratny, Alicja Bartulcowa. W lecie odbył się plener malarski Beskidy '94 w Gutach, w którym udział wzięli oprócz plastyków z Opola, Krakowa, Bydgoszczy, Torunia i Tarnowskich Gór członkowie SLA Oskar Pawlas, Alicja Bartulcowa, Monika Milerska, Bronisław Firla, Paweł Wałach. W październiku miała miejsce wystawa zbiorowa w teatrze w Czeskim Cieszynie. W marcu 1995 roku w Bielsku-Białej odbył się wernisaż wystawy 150 prac nazwanej "Artyści polscy na Zaolziu 1945-1995", przygotowanej przez Muzeum Okręgowe w Bielsku-Białej, w obszernym katalogu zamieszczono sylwetki 35 plastyków zaolziańskich. W czerwcu wystawę przeniesiono do Domu Polonii w Krakowie, jesienią pokazana została czeskiej publiczności w Instytucie Polskim w Pradze, obejrzeli ją także mieszkańcy Ostrawy i Bratysławy, zakończeniem cyklu była wystawa w kwietniu 1996 roku w Karwinie. W tym samym roku 14 członków SLA przekazało swe prace na aukcję, z której dochód miał pomóc w wydaniu folderu i zorganizowaniu wystawy z okazji setnej rocznicy urodzin Gustawa Fierli. W Łomnej Górnej odbył się w drugiej połowie września plener malarski Beskidy '96 z udziałem sześciu gości z Polski z Raciborza, Tychów, Inowrocławia, Katowic, Opola, Torunia i czterech reprezentantów SLA (Stanisław Kraus, Oskar Pawlas, Aneta Sedláková i Tadeusz Wratny), na wystawie na zakończenie pleneru pokazano 108 prac.

24 marca 1997 roku pion plastyczny Sekcji Literacko-Artystycznej zmienił nazwę na Stowarzyszenie Artystów Plastyków przy ZG PZKO, ale zakres działalności nie uległ zmianie. Prezesem SAP został Oskar Pawlas, organizacja liczyła 23 członków. Czytelnicy Zwrotu mogli na łamach pisma zapoznać się z corocznym bilansem pracy SAP. I tak w roku 1997 uczcili plastycy jubileusz pięćdziesięciolecia PZKO, podczas Festiwalu PZKO w Karwinie 17 plastyków wystawiło 60 prac. Odbyły się cztery wystawy zbiorowe SAP, siedmiu członków miało swój wkład w wystawie Salonu Karwińskich Plastyków. W ramach Dni Zaolzia w Kędzierzynie, a następnie w Brzegu pokazano prace 16 autorów. Wydano katalog i zrealizowano wystawę Gustawa Fierli. Plastycy zaolziańscy uczestniczyli w plenerach w Kędzierzynie, Toruniu i Zwierzyńcu. W Bukowcu zorganizowano dwudniowe seminarium. W następnym roku we wrześniu odbył się Międzynarodowy Plener Malarski Beskidy '98 w Łomnej Górnej z udziałem 6 plastyków z Polski i 5 członków SAP (Oskar Pawlas, Edgar Baran, Józef Drong, Monika Milerska, Paweł Wałach). Prace prezentowano na wystawach w Błędowicach i Karwinie. Trzech malarzy przekazało swoje obrazy na aukcję, z której dochód przeznaczony został na monografię Franciszka Świdra. W Muzeum Okręgowym w Bielsku-Białej otwarto Salę Polskiej Sztuki na Zaolziu, znalazły się tam prace Alicji Bartulcowej, Józefa Bergera, Tadeusza Bergera, Władysława Cejnara, Gustawa Fierli, Dominika Figurnego, Stanisława Krausa, Henryka Nitry, Gustawa Nowaka, Władysława Pasza, Oskara Pawlasa, Karola Piegzy, Bogumiła Swobody, Franciszka Świdra, Tadeusza Wratnego i Rudolfa Żebroka. Na spotkaniu noworocznym w Konsulacie Generalnym RP w Ostrawie w roku 1999 plastycy z zadowoleniem przyjęli propozycję, by wystawiać tam swoje prace. Wystawy zbiorowe odbyły się w Trzyńcu, a także w Rybniku i Raciborzu, kilku plastyków brało udział w plenerach malarskich w Polsce. W roku 2000 był m.in. kolejny plener malarski w Łomnej Górnej, a plastycy z Zaolzia wyjeżdżali na plenery do Polski, otwarto wystawę SAP podczas Festiwalu PZKO. Wybrano nowy zarząd Stowarzyszenia: Zbigniew Kubeczka, Monika Milerska, Halina Szkopek, Paweł Wałach, Oskar Pawlas, który pozostał prezesem, sekretarzem została Lidia Pawlas, skarbnikiem i gospodarzem Erna Wratna. W roku 2001 odbyły się trzy wystawy zbiorowe z udziałem 14 plastyków, w Jabłonkowie, Czeskim Cieszynie i Orłowej Lutyni, 8 członków SAP uczestniczyło w Salonie Karwińskim, kontynuowano współpracę z Polską. Międzynarodowy Plener Malarski w Beskidach w roku 2002 nawiązywał do Roku Żwirki i Wigury.

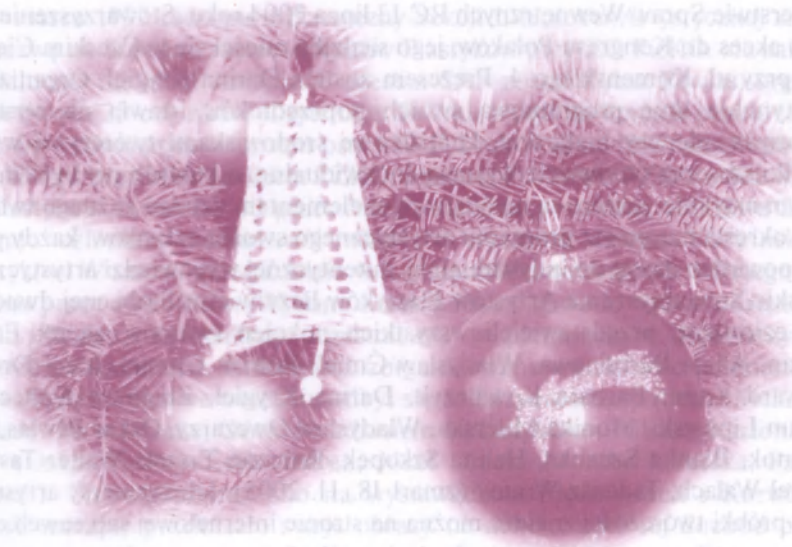
W roku ubiegłym pałeczkę przewodnictwa organizacji plastyków przejęli przedstawiciele młodszego pokolenia. Założona została nowa samodzielna organizacja pod nazwą Polskie Stowarzyszenie Artystów Plastyków (członkowie pozostali jednak przy znanym już skrócie SAP), zarejestrowana w Mi-

nisterstwie Spraw Wewnętrznych RC 13 lipca 2004 roku. Stowarzyszenie złożyło akces do Kongresu Polaków, jego siedziba mieści się w Czeskim Cieszynie przy ul. Komenskiego 4. Prezesem została Darina Krygiel. Organizacja kontynuuje linię programową swoich poprzedników, stawia na wystawy zbiorowe, plenery malarskie, kontakty ze środowiskami twórczymi w RC i w Polsce oraz oczywiście wystawy indywidualne, o których nie było mowy w tym artykule, a które są nieodzownym elementem działań każdego twórcy. Nie określa natomiast programu artystycznego swoich członków, każdy plastyk powinien dążyć do indywidualnej, autentycznej wypowiedzi artystycznej. Polskie Stowarzyszenie Artystów Plastyków liczy w chwili obecnej dwudziestu członków, przedstawicieli wszystkich pokoleń twórców, są to: Edgar Baran, Alicja Bartulcowa, Władysław Ćmiel, Roman Chmiel, Józef Drong, Edward Kaim, Barbara Kowalczyk, Darina Krygiel, Zbigniew Kubeczka, Adam Lipowski, Monika Milerska, Władysław Owczarzy, Oskar Pawlas, Jan Rusnok, Blanka Szczuka, Halina Szkopek, Romana Taszek, Walter Taszek, Paweł Wałach, Tadeusz Wratny (zmarł 18. 11. 2005). Ich życiorysy artystyczne i próbki twórczości znaleźć można na stronie internetowej sap.euweb.cz.

CZESŁAWA RUDNIK



TADEUSZ WRATNY - olej



POEZJA POD CHOINKĘ

Pisarz ludowy Adam Sikora z Jabłonkowa (1819-1871) był tkaczem. Jego syn Ludwik, na odmianę krawiec, tak pisał o swym ojcu w 1907 roku:

Kiedy w niedziele lub święta, przyszedłszy po nabożeństwie z kościoła do domu, inni używali sobie spoczynku, on siada i pisze, i spisuje do całości wiersze, które wśród tygodnia przy pracy sobie ponotował na kawałkach papieru. A gdy wieczorem przychodzą sąsiedzi lub krewni i znajomi, siadają na ławach latem na podsieniu, a zimą koło pieca i gawędzą, nasz Sikora zawsze potrafi coś zajmującego opowiedzieć, a kiedy otrzymał wypożyczoną do przeczytania Gwiazdkę Cieszyńską, to wszystko opowiedział, co wyczytał nowego.

(...) A kiedy dziatki jego przychodzą z prośbą do niego o powinszowanie dla nauczyciela albo też dla któregoś z krewnych na imieniny, nie odmówił im nigdy - uśmiechnął się tylko, a w najbliższą niedzielę, kiedy przychodzono z nieszporów, zawołał do siebie dzieci, umiejące już czytać, i znów wszyscy mogli usłyszeć i zaśpiewać nową piosenkę. Takim sposobem powstały: "Kolęda pasterska", "Przychód Trzech Króli", i "Pieśń o św. Dorocie".

U siebie potem chłopców wraz ze swymi dziećmi uczył w domu śpiewania tych pieśni, a za jego wskazówkami razem sprawiali i lepili, co im do tego grania było potrzebnym; przy tej okazji niejedną piękną powiastkę na zakończenie im opowiedział lub też na jakąś zabawę w domu pozwolił.

Utwory, o których wspomniał syn utalentowanego tkacza, weszły w skład "Pieśni nabożnych". Pokaźny ten zbiór doczekał się kilku wydań, także w okresie międzywojennym; opublikowało go wówczas Dziedzictwo bł. Jana Sarkandra. "Pieśni" przyniosły sporo, bo niemal trzydzieści utworów związanych tematycznie z Bożym Narodzeniem. Niektóre dowodzą nie tylko inwencji, ale także kultury literackiej autora. Oto po pokłonie oddanym Nowonarodzonemu przez pastuszków

I ptaszęta się zlatują,
Bardzo pięknie wyśpiewują.
(...) Gołąb przy nim pogruchuje,
Synogarlica cukruje,
Cukruj, cukruj Dzieciątku.
Cukruj zaraz z początku
Papeczkę Niemowlątku.

Teksty jabłonkowskiego tkacza zostały szybko wprowadzone do ludowego obiegu i są śpiewane do dziś, po obu stronach Olzy. Niektóre zapisał redaktor katowickiego radia Stanisław Jarecki.

A. Sikora nie był w pełni oryginalny. Kantyczki, czyli zbiory kolęd, powstawały najpierw przy klasztorach. Najstarszy, puławski, pochodzi z 1521 roku. Twórczość tę, najczęściej anonimową, wysoko cenił Adam Mickiewicz, czemu dał wyraz w wykładach paryskich. Olbrzymi zbiór, scalający rozproszone utwory drukowane i rękopiśmienne, wydał w Krakowie, pod tytułem "Pastorałki i kolędy z melodiami", ks. Michał Marcin Mioduszewski (1843).

W Cieszyńskiem pojawiły się polskie kolędy już w "Prawdziwej jedzinej do niebios drodze" z 1761 roku. Ksiądz Antoni Janusz, proboszcz w Zebrzydowicach, jest autorem druku pod tytułem "Praca codzienna i całożywotnia (...) albo książka modlitewna i kancjonał dla katolików, z różnych książek modlitewnych i śpiewników zebrana". Pierwsze wydania ukazały się w latach 1857 i 1858.

Zamieszczona tam pastorałka tak się zaczyna: *Wygnana jest niewiasta/ dla jabłka skuszonego/ przez węża zleconego/ Wędrujże, Ewo, z raju/ jak cię tu dobrze znają/ Fora, Adamie, fora/ z tak rozkosznego dwora.*

Pastorałki Sikory są mocno osadzone w beskidzkich realiach. Niekiedy odnosi się wrażenie, iż stajenka, w której zatrzymała się Święta Rodzina, została wzniesiona gdzieś w górach koło Jabłonkowa, a pasterze, składający pokłon Dzieciątku, przyszli z pobliskiego sałaszu:

Zaraz pastuszkowie śmiele
Zbierali swoje kobiele,
A każdy czym prędzej
Brał, co mógł najwięcej.
Walek grysu pszenicznego,
Faseczkę masła świeżego,
Dwuuszniak śmietanki
I wina do szklanki,

Bartosz słodziuchnych gruszek
I czerwonych jabłuszek,
Grześ kołacze, na połacie miodu garnuszek,
A Szymko dzbanek słodkiego mleka,
Kopę jaj Franek wziął do koszyka,
A czerwone grudki sera
Pozawijał do papiera. (...)

Pastorałki Sikory przeszły z czasem do folkloru; były i są przekazywane drogą ustną. Konsekwencją tego jest przekształcanie oryginalnego wariantu. Oto fragment oracji trzech pastuszków, kolędujących w okresie od Bożego Narodzenia do Trzech Króli po naszych wioskach.

Pastuszek pierwszy:

Ja Mu wezmę faskę sera,
poleśników do papiera,
masła osełeczkę
i świeżą bułeczkę.

Pastuszek drugi:

Ja Mu wezmę z trzód barana,
słodkiej śmietany do dzbana,
koszyk słodkich gruszek
i miodu garnuszek.

Pastuszek trzeci:

Ja Mu wezmę tłuste ciele,
pięknych jabłek do kobiele
i flaszeczkę wina
dla Bożego Syna.

Podobne w konwencji są kolędy pasterskie śpiewane w Wiśle. Rzecz charakterystyczna, pasterze nazywają siebie Wałaszkami, czyli młodymi Wałachami:

Pojmy, Wałaszkowie, już czas mamy,
Małemu Dzieciątku my zagramy.
Jura, zagrej z Jonkym do hajduka,
Niesie Paweł jarkę do obucha,
A tak se obuszkym zaszeruje,
A wokół kopieczka podskakuje.
Dej, baczo, żeńczycy, napiję się,
A złotym rzetażem opaszę się.
Hopsa w dół kopieczkiem ku Betlejem,
Przewrócił koziełka, na mu wierę.

Pierwotnie kolędy były pieśniami związanymi z obrzędami noworocznymi i ze zwyczajem składania sobie życzeń w okresie Godów. Po kolędzie następowała prośba o datek, a po jego otrzymaniu składano podziękowanie. W śląskich Beskidach chodzenie z życzeniami nosi nazwę połazów. Winszownicy, czyli połaźnicy, chodzą z pięknie przyozdobioną gałązką jodły lub świerku, połaźniczką.

A oto tekst życzeń złożonych w 1967 roku przez Annę Koleniak spokrewnionej z nią rodzinie Marii i Jana Burych w Jaworzynce:

Szczynścia wóm tu życzim na cały rok/ cobyście byli zdrowi a wiesieli/ jako w niebie anieli/ Coby sie wóm w polu rodziło/ a w chlywie darziło/ Cobyście mieli tela beczków/ jako w lesie smyreczków/ tela cieliczek/ jako w lesie jedliczek/ a w chlywkach tela szumnych świnich/ jako w lesie korzynich/ Coby były na górze pełne strychi/ w kumorze pełne pudła/ coby wóm też gaździnka u pieca nie schudła/ A winszować wóm nie przestanym,/ pokiel kyns kołocza lebi jakigo grosza nie dostanym/ Ale hónym mi dowejcie/ jak mi mocie co dować/ bo mi jeszcze trzeba iść dali połazować.

O tym, że tradycja tworzenia wierszowanych życzeń jest nadal żywa, może świadczyć tekst znanego gawędziarza z Jaworzynki Pawła Ruckiego, zanotowany przeze mnie w tymże 1967 roku:

Nasi przodkowie taki obyczaj miywali/ że jedyn do drugigo chodzowali/ i se pieknie winszowali/ Tóż jo też dziśka do was wstympujym/ szczęścia, zdrowia wóm winszujym/ Coby sie wóm wszecko na polu rodziło/ pszynica, jarzina, reż/ kapusta, ziymnioki, jynczmiyń też/ Na gruncie coby sie nie harowało/ traktora w szopie nie brakowało/ W chlywie coby dojne krowy stały/ wielki kormiki w chlywkach chrechtały.

Bywają życzenia o większej dozie humoru, jak na przykład to, zanotowane u Zuzanny Polokowej:

Winszujym wóm winsz/ mocie w piecu gęś/ a na piecu kohóta/ mocie łujca hóncwóta/ U Burego sadło wisi/ dejże, Boże, coby spadło/ coby my sie podzielili/ do Burego zaś chodzili.

Boże Narodzenie i Nowy Rok są opiewane także przez cieszyńskich poetów. Pełno w ich utworach ciepłych uczuć, liryzmu, radości. Ale wszystko zależy od osobistych przeżyć i konstrukcji psychicznej poety. Po 1969 roku, gdy objął go zakaz publikacji, Henryk Jasiczek skreślił nostalgiczny wiersz "Wigilia":

Już w zamszu pszczół lśni miodu poświata,
w skorupkach orzechów drzemią wróżby zdrowia,
choinki przeglądają się w złotych zwierciadłach,
kalendarz kolęduje w ludowych przysłowiach.

Wspomnienia do rąk się garną jak owce do soli,
radość się wsącza w serce po cichutku
i tylko blady anioł z opłatkami smutku
przypomina szczęśliwym, co tak boli.

Władysław Młynek uderzył w ton ludowy i włożył w usta pasterza z Filipki życzenia:

Aby wóm też przez rok cały
Nie chybiło chleba
Ani soli, ani mąki,
Ani słónka z nieba.

Abyście też, gazdoszkowie,
Wszeccy zdrowi byli,
A Wilije w przisłym roku
W szczęściu sie dożyli.

Wilhelm Przeczek wyczarowuje liryczny nastrój ze zwykłych wigilijnych akcesoriów:

Ciekawość dzwonek na choince szarpie,
w mieszkaniu mieszają się wonie
cynamonu ze smażonym karpiem.

Obrus bielutki jak śnieg
w blasku rozchwianych świec.
Zamieszkaliśmy razem z uciechą
wśród pozłacanych orzechów.

Czytając "Boże Narodzenie" Beaty Sabath poddajemy się nastrojowi czegoś podniosłego, tajemniczego:

świat nakryty kolędą jak białym obrusem
dzień chyli się kornie przed nocy ołtarzem
w ciszy wschodzi modlitwa i w radość nas wiedzie
która spojrzeniem dziecka rozjaśnia nam twarze

Najwięcej utworów o tematyce godowej ma na swoim koncie Kazimierz Józef Węgrzyn. Jedne jego kolędy dają wyraz głębokiej religijności autora, inne wyrażają zachwyt beskidzkim krajobrazem:

niebo spadło na ziemię
z wszystkimi gwiazdami
i turla się po zboczach
pomiędzy świerkami

puka w okna domów
zdyszana od biegu
sarny tropem haftują
biały obrus śniegu

świerki w komżach śniegu
odświętnie ubrane
nad groniami srebrzyście
dzwoni lodu ornament

Najbardziej przejmujące są jednak kolędy osadzone w niełatwej współczesnej rzeczywistości. Węgrzyn operuje tu na przemian współczuciem, oburzeniem, nadzieją. Przemawia do sumień czytelników, do ich wrażliwości na cudze nieszczęście. W "Kolędzie gorzkiej" czytamy:

na śmietniku leży
Jezus malusieńki
nieprzytomny z głodu
bez swojej Mateńki...

w kołysce z pogardy
w pieluszce z gazety
kto ten los zgotował
czy to czasem nie ty...?!

"Kolęda ciszy" nawiązuje natomiast do pamiętnego osiemdziesiątego pierwszego roku:

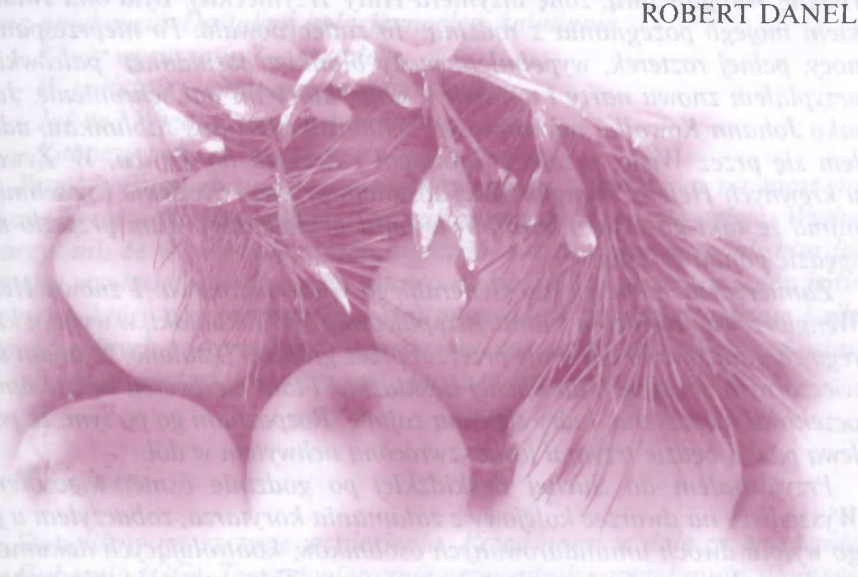
grudzień się słońcem nisko w lesie błąka
zdziwione sarny przystają w pół kroku
świerki mrocznieją w srebrzystej kąpieli
lęk po kolędzie chodzi tego roku...

przy stole widmo przed pustym talerzem
dzwoni o krawędź obudzonym nożem
dla nich opłatek biały w kratach krzyży
okruch pamięci... ciszy kwiat położę...

Gody są okresem szczególnym. Czasem Mikołajów, Adwentu, bieli śniegu i opłatka, jarzącej się światłami choinki, wspólnego śpiewania, radości "wszystkiego stworzenia". Ale także smutnej refleksji, wspominania tych, co odeszli.

W ten szczególny czas wpisuje się także poezja Godów - i ta ludowa, nieraz archaiczna, i ta wysmakowana, wykorzystująca cały rozległy arsenał środków artystycznego wyrazu. Warto do niej sięgnąć...

ROBERT DANEL



Fotografie ilustracyjne FRANCISZEK BAŁON

ZE WSPOMNIEŃ OSWALDA GUZIURA (1910-1996) Z SUCHEJ GÓRNEJ (cz. III)

Z Zaolzia do Krakowa i Guberni

Powstał dylemat, co robić dalej. Miałem do wyboru albo opuścić teren, albo zgłosić się do gestapo. Zgłoszenie nie spowodowałoby, jak wskazywały doświadczenia, zwolnienia sióstr, bo gestapowcy potrafili nieskończenie długo przetrzymywać osoby podejrzewane o kontakty z konspiracją. Ponadto nie miałem dość odwagi. Pozostał mi w uszach przeraźliwy krzyk człowieka, zapewne torturowanego w śledztwie, który usłyszałem, przechodząc pewnego razu koło siedziby policji w Trzyńcu. Takiego krzyku nie zapomina się do końca życia. Nie miałem też pewności, czy wytrzymałbym śledztwo. A chodziło tu o życie tych wszystkich, z którymi współpracowałem i którzy mi zaufali. Miałem w kieszeni żywiecki adres, wsunięty mi jeszcze w Trzyńcu przez zaprzyjaźnioną z moją rodziną Helenę Wenglorzową, żonę inżyniera Huty Trzynieckiej. Była ona świadkiem mojego pożegnania z rodziną. To zadecydowało. Po nieprzespanej nocy, pełnej rozterek, wypełniłem pusty blankiet posiadanej "palcówki", przypiąłem znowu narty i opuściłem dom, który mi dał schronienie. Już jako Johann Kowalla, narodowości "schlonsakisch" aus Jablunkau, udałem się przez Wisłę, przełęcz Salmopol i Szczyrk do Żywca. W Żywcu u krewnych Heleny Wenglorzowej zostałem przyjęty życzliwie i gościnnie, mimo że taki gość był niewątpliwie bardzo kłopotliwy. Tam przyszło mi spędzić ponad miesiąc.

Zamierzałem udać się do Generalnego Gubernatorstwa. I znowu Hela Wenglorzowa nawiązała z tamtejszą placówką ZWZ kontakt, w wyniku którego zorganizowano dla mnie przerzut przez granicę. Ustalono, że udam się wieczornym pociągiem do Suchej Beskidzkiej i tam na dworcu będzie mnie oczekiwał mężczyzna, który się mną zajmie. Rozpoznam go po tym, że pod lewą pachą będzie trzymał laskę, zwróconą uchwytem w dół.

Przyjechałem do Suchej Beskidzkiej po godzinie ósmej wieczorem. Wyszedłszy na dworzec kolejowy z załamania korytarza, zobaczyłem u jego wylotu dwóch umundurowanych osobników, kontrolujących dokumenty. Odruchowo cofnąłem się za róg ściany. Taka sytuacja nie została przewidziana. Rychło jednak uświadomiłem sobie, że dworzec może być obstawiony i próba jego opuszczenia inną drogą mogłaby się skończyć fa-

talnie. Jednocześnie uprzytomniłem sobie, że przecież mam dokument i że wymyślonego przeze mnie Johanna Kowalli gestapo nie poszukuje listem gończym. Wobec tego, starając się iść w miarę pewnym krokiem, udałem się na spotkanie z władzą.

- Ausweis?

- Bitte sehr!

- Danke schön!

Ta nieskomplikowana rozmowa zakończyła się uprzejmym gestem podziękowania z tamtej strony. Oszołomiony ze szczęścia niczego nie widziałem oprócz szerokich drzwi prowadzących z hollu na ulicę. Znalazłem się w kompletnej ciemności. Wtedy dopiero uświadomiłem sobie, że przecież ktoś miał na mnie czekać. Zacząłem spacerować tam i z powrotem. Ostatni pasażerowie opuszczali dworzec, udając się w stronę miasta. Zbliżała się godzina policyjna, sytuacja moja stawała się kłopotliwa. Ale oto jeszcze jeden spóźniony pasażer mija mnie. Zatrzymuję się i zawracam. On robi to samo. Zbliżamy się do siebie. Z trudem dostrzegam, że trzyma pod lewą pachą laskę. A więc to on. Ogromnie się ucieszył, bo obawiał się, że wpadnę, nie mając dokumentów. Tego rodzaju kontrole należały tam wtedy do rzadkości. Po przejściu przez most na rzece Skawie zostałem przekazany w najbliższym domu w ręce człowieka, który miał się już dalej mną opiekować. Dostałem kolację, nocleg, śniadanie.

- Kiedy wyruszamy? - spytałem.

- W południe - otrzymałem odpowiedź.

- Jak to? Wtedy, kiedy jest najjaśniej?

- Zobaczy pan.

Przed godziną dwunastą do mojego pokoju z widokiem na most na Skawie przyszedł przewodnik i zaczął obserwować, co się dzieje. Wytłumaczył mi, że w południe straż graniczna, rozstawiona na pobliskim łańcuchu wzniesień, udaje się do miasta na obiad i to przez ten jeden jedyny most, który obserwowaliśmy. Mój przewodnik znał rozstawienie i siłę poszczególnych posterunków i informował, co robią tamci. Wreszcie ostatni spóźniony posterunek przeszedł. Teraz można wyruszyć dalej....

W Guberni

Stanęliśmy na szczycie wzniesienia. Przed nami w dole rozpościerała się Gubernia (GG). Teraz dopiero mój przewodnik zapytał mnie, dlaczego tak wędruję po świecie. Mimo moich nalegań nie przyjął ode mnie dwudziestu marek (cały mój majątek), jakie chciałem mu wręczyć za nocleg,

wyżywienie, przewodnictwo, i kilku złotych, za które chciałem od niego odkupić bilet do Krakowa. A był to człowiek - jak wywnioskowałem - żyjący na tej granicy z przemytu. Poradził mi jeszcze, żebym nie wsiadał do pociągu na najbliższej stacji, bo to jest stacja graniczna po stronie GG i może tam być kontrola, lecz żebym poszedł dalej i wsiadł dopiero na następnej. Serdecznie się pożegnaliśmy. Zostałem sam. Zniszczyłem "palcówkę", bo dokumentem tym nie mogłem posługiwać się w GG. I tak stałem na tym szczycie - człowiek bez nazwiska, bez papierka, z jedną zapasową zmianą bielizny i dwudziestoma markami na dalszą drogę życia. U stóp moich leżał kraj rządzony przez Hansa Franka (dr praw Hans Frank, 1900-1946, generalny gubernator GG, rezydujący na Wawelu, powieszony - przyp. J. G.). *I jedna wielka niewiadoma: jak ten kraj mnie przyjmie, co mi przyniesie przyszłość?*

Zszedłem w dolinę i w Strzyszowie wsiadłem do pociągu osobowego jadącego z Suchej Beskidzkiej i dalej do Krakowa. A tu szok! Był to jeszcze okres kolędowania. Na jednej ze stacji wsiadło do pociągu czterech wyrostków i, chodząc od wagonu do wagonu (były to wagony otwarte, bez przedziałów), kolędowali. Kolędę śpiewali tylko jedną, na melodię popularnego "Dzisiaj w Betlejem", a brzmiała ona tak:

"Dzisiaj z Londynu, dzisiaj z Londynu, wesoła nowina,
Tysiąc bombowców, tysiąc bombowców - leci do Berlina,
Berlin się pali, Hamburg się wali,
Hitler z Goeringiem - w portki nas...li,
Cuda, cuda..... wyczyniali..."

Było jeszcze kilka zwrotek, ale nie spamiętałem. Obok naszego mieścił się wagon "Nur für Deutsche". Byłem pewien, że na jakiejś stacji pociąg zostanie zatrzymany, otoczony i w pień wycięty. Nic takiego się jednak nie zdarzyło. To nie był Śląsk, ale jakiś zupełnie inny kraj. W Krakowie skończyły się jednak te swawole. Tu już czuło się terror, choć nie taki jak na Śląsku. Zatrzymałem się przy rodzinie inżyniera Karola Czernera, zam. w Krakowie przy ul. Prochowej 11. Trzeba było stanąć na własnych nogach. Niemcy wówczas wysiedlili całą reprezentacyjną ulicę Dietla, zamieszkałą przeważnie przez bogatych Żydów, i przeznaczyli ją dla swoich. Przedtem jednak postanowili wszystkie domy, czy trzeba, czy nie trzeba, odrobaczyć i odwszawić. Nigdy nie byłem specjalistą od walki z tego typu prusakami, ale przyjąłem to zajęcie, bo miało wielką zaletę: przychodziło się rano do pracy, majster nie pytał o żadne papiery, przydzielał robotę, a po dniówce z ręki do ręki przekładał gotówkę, nie pytając o nazwisko. A było tego tyle, że można było kupić cały kilogram doskonałej wiejskiej wieprzowo-czosnkowej kiełbasy. W mojej sytuacji był to majątek. Stanąłem na nogi.

W tym czasie odkryłem, że w Krakowie (przy ul. Halczynej) mieszka mój nieco starszy kolega z Politechniki Lwowskiej, pochodzący z Cieszyna inż. Eugeniusz Kożdoń. Zatrudniony był on wówczas w wydziale drogowym krakowskiego magistratu. Wobec ciasnoty w mieszkaniu Czernerów zacząłem korzystać z nowego lokum. Pewnego wieczoru wracam do kolegi Kożdonia tramwajem z bochenkiem chleba przydziałowego, odstąpionego mi przez dr Jadwigę Czernerową. Na końcowym przystanku w Bronowicach (dzielnica Krakowa) zatrzymuje mnie granatowy policjant, pytając o dokumenty. Zacząłem niby szukać po kieszeniach i zakląłem:

- O cholera, zapomniałem zabrać.

- A gdzie pan mieszka?

- Przy ulicy Halczynej - odpowiadam.

Policjant się rozgląda, spostrzega jakiegoś brodatego mężczyznę, którego zna (jak się później okazało - stróża jednej z willi przy tej ulicy), przyciąga mnie pod latarnię i pyta go:

- Czy pan zna tego pana?

- Nie - brzmi odpowiedź

- A u kogo pan mieszka? - pyta stróż.

- U inżyniera Kożdonia - odpowiadam.

- U tego z magistratu?

- No, oczywiście.

- O, to bardzo przepraszam, że pana nie poznałem od razu. Jakoś tu ciemno.

Zaręczam, że stróż ten nie mógł mnie poznać, bo mnie nigdy przedtem na oczy nie widział. Mogłem utracić zarówno wolność, jak i niesiony pod pachą bochenek chleba. Zdarzenie to jednak było dla mnie ostrzeżeniem, że bez dokumentów po Krakowie błąkać się nie mogę.

Niedługo potem, poprzez kuzynkę inżyniera H. Riessa z Cieszyna, udało mi się nawiązać kontakt z organizacją ZWZ. Spotkałem się więc z jej przedstawicielem, którego poprosiłem o przekazanie Komendzie Krakowskiego Obszaru ZWZ meldunku o rozmiarach aresztowań w cieszyńskiej organizacji.

- A jak możemy panu pomóc ?

- Potrzebuję dowodu osobistego.

- Proszę podać dane.

Wymyśliłem imię i nazwisko, datę urodzenia oraz podałem Lwów jako bezpieczne miejsce urodzenia. Nazajutrz odebrałem od tego samego człowieka nowiutki dowód osobisty, wystawiony w Haliczu w roku 1938, prawidłowo podpisany i opieczętowany. Do tego dowodu była dołączona od-

bitka wykonana na powielaczu, informująca mnie, gdzie leży Halicz oraz szereg danych o tym miasteczku, z podaniem nazwiska burmistrza, którego podpis widniał w dowodzie. Treść ulotki należało zapamiętać, odbitkę zniszczyć, a sam dowód nieco "podniszczyć", żeby nosił ślady dłuższego używania.

Miałem więc nazwisko i dokument. Teraz trzeba było pomyśleć o zatrudnieniu na uboczu, bo w samym Krakowie było zbyt wielu Ślązaków i kręciło się zbyt wielu szpiclów. I tu znowu pomogła mi owa pani, której krewny był wówczas dyrektorem technicznym niemieckiej firmy Radloff z siedzibą w Krakowie, budującej drogi w Generalnej Gubernii (GG). Dyrektor ten, wspomniany już inż. Henryk Riess (1883-1966) pochodzący z Cieszyna, przed wojną naczelnik wydziału dróg publicznych w Urzędzie Wojewódzkim w Katowicach, w czasie okupacji odgrzebał w szpargałach rodzinnych notatkę, że jest synem płk. Alojzego R. i jego pełne nazwisko brzmi Riess von Riesenhorst. Uzyskał więc zaliczenie do uprzywilejowanej Volkslisty nr 2 i jako von Riesenhorst swoją wizytówką wzbudzał respekt u Reichsdeutschów, zwłaszcza że bezbłędnie mówił po niemiecku. Firma Radloff budowała między innymi drogę w rejonie Bieszczad, co mi bardzo odpowiadało.

Aby nikogo nie narazić, ustalono, że firma da ogłoszenie do Gońca Krakowskiego, że potrzebuje walcmistrza do obsługi walca drogowego oraz (ponieważ takich kwalifikacji nie miałem) technika obeznanego z budową silników spalinowych. Z tym ogłoszeniem w ręku zjawiłem się w firmie i oczywiście z miejsca zostałem przyjęty. Na takiego właśnie czekali. Do mojego dowodu osobistego doszedł nowy, bardzo ważny dokument o zatrudnieniu i to w firmie niemieckiej, wykonującej "ważne dla celów wojskowych roboty", co "stało" wydrukowane w legitymacji służbowej.

Na miejscu w Bieszczadach okazało się (co było do przewidzenia), że walcmistrz nie jest potrzebny i zostałem brygadzistą przy budowie nowego odcinka drogi Kalnica - Mchawa koło Baligrodu, nawiązującej do szosy prowadzącej od Medzilaborec po drugiej słowackiej stronie Karpat. Tą drogą miały iść w bój na front wschodni dywizje słowackie. Ale o tym mieliśmy się dowiedzieć nieco później.

Na razie był marzec 1941 roku i do 22 czerwca 1941 roku - wojny niemiecko-sowieckiej - było jeszcze dość daleko. Cały personel kierowniczy tego oddziału firmy aż do brygadzisty włącznie był polski i składał się z ludzi różnych zawodów, często z wyższym wykształceniem, przy czym najmniej fachowców było chyba od budowy dróg. Robotnicy to przeważnie miejscowi Łemkowie (ludność greko-katolicka, rusko-ukraińska, od XV wieku zamieszkująca w Beskidzie Niskim - przyp. J. G.) *oraz bar-*

dzo nieliczni Polacy. Po okupacyjnym piekle Śląska była to oaza spokoju. Całymi tygodniami nie widziało się tu Niemca. Atmosfera wśród personelu firmy była pełna życzliwości. Mieszkałem na środkowym odcinku drogi, na przełęczy, w przysiółku Kiełczawa. W pobliżu wznosił się najwyższy szczyt tamtej partii gór Chryszczata - pokryty dziewiczym lasem, żyjącym bez ingerencji człowieka swoim pierwotnym, naturalnym życiem. Świat gdzieś tam walił się w gruzy, a tu wszystko toczyło się jak przed wiekami, w ciszy i spokoju.

Pewnego dnia zbudził mnie z tej ciszy ogromny huk. Poranek był jeszcze ciemny. Za chwilę druga fala łomotu. Wyskoczyłem w bieliźnie przed dom. I nowa fala czarnych skrzydeł nisko lecących 100-200 metrów nad przełęczą w kierunku wschodnim. A więc koniec słynnego Paktu Ribbentrop - Mołotow. Był wtedy dzień 22 czerwca 1941 roku.

Chyba w dwa dni później na przełęczy pojawiła się idąca od Medzilaborca słowacka dywizja piechoty, która biwakowała w Kalnicy. Jedyna dywizja, jaka w owym czasie tamtędy przeszła. Dla niej budowaliśmy od szeregu miesięcy ową drogę. Czy aby warto było? Zostawmy tę kalkulację naszym pracodawcom, czyli Niemcom. Po jej odejściu chłopcy wiejscy znajdowali i zbierali amunicję porzuconą wokół cerkwi. Żołnierze, wychodząc z założenia, że chlebak, jak sama nazwa wskazuje, służy do noszenia chleba, a nie granatów, pozbywali się uciążliwego balastu. Szli kompaniami szykiem luźnym, kolumna się rwała. Na końcu dwóch maruderów. W oddali odezwał się huk artylerii:

- Co je to? - pytają mnie.

- Nie słyszycie? - odpowiadam. To było zaskoczenie. Wreszcie jeden się odzywa:

- Vieš, Jano, tam je fronta, a ked' tam je fronta, tak pojdeme tam.... - i, wskazując ręką na południe, skręcili na ścieżkę prowadzącą w ich strony rodzinne.

Rzuciwszy budowę niepotrzebnych dróg, znalazłem się w Rozwadowie nad Sanem (ośrodek dóbr Lubomirskich, prawa miejskie 1693 r., liczne zabytki, obecnie część m. Stalowa Wola - przyp. J. G.), *aby tym razem poświęcić się produkcji kafli, na czym znałem się równie dobrze jak na budowie dróg. Kierowałem małą, bo zatrudniającą zaledwie ponad dwadzieścia kilka osób wytwórnią kafli do pieców kaflowych. Większych ambicji nie miałem. Rozwadów w owym czasie był małą, typowo galicyjską mieściną, o dużym procencie ludności żydowskiej, ścieśnionej do granic możliwości na małym terenie wyznaczonego jej getta.*

Aż nadszedł sądny dzień. Wszystkim Żydom polecono zebrać się z podręcznym bagażem na obszernym rynku. Tymczasem domy ich plombowano.

Na rynku przeprowadzono segregację. Wszystkich starców ustawiono w jednym szeregu i kazano usiąść na tobołach, twarzą na wschód. Było ich kilkudziesięciu. A potem esesmani urządzili sobie ostre strzelanie. Z odległości kilku centymetrów nie pudłowali, strzelając w tył czaszki. Krzyk i krew. Oglądaliśmy tę scenę z przerażeniem przez firany okna wychodzącego na rynek. Była to bowiem w tym mieście pierwsza na taką skalę lekcja hitleryzmu. Po niej miały przyjść dalsze.

W majątku Horodyńskich, w pobliskim Zbydniowie, odbywało się wesele syna. Przed północą goście udali się na spoczynek, rozlokowani w dość obszernym dworze. Po północy dom został otoczony i wszyscy, ponad trzydzieści osób, zostali wymordowani. Ocalała tylko młoda para, która wieczornym pociągiem wyjechała, prawdopodobnie do rodziny.

Oddział likwidacyjny po wykonaniu zadania zatrzymał się na jedną dobę w Zbydniowie. Jeden z żołnierzy skierowanych do tej akcji, jak się okazało Austriak, ulokowany na kwaterze w domu polskim, z ogromnym wzruszeniem i ze łzami w oczach opowiadał o tym, jak zastrzelił dziecko klęczące w łóżku, błagające o życie. Na ten widok zawahał się. Ale za nim stanął esesman i zmusił go do oddania strzału. Znałem Horodyńskiego seniora osobiście. Był to rzadkiej zacności człowiek, patriota i wzorowy gospodarz.

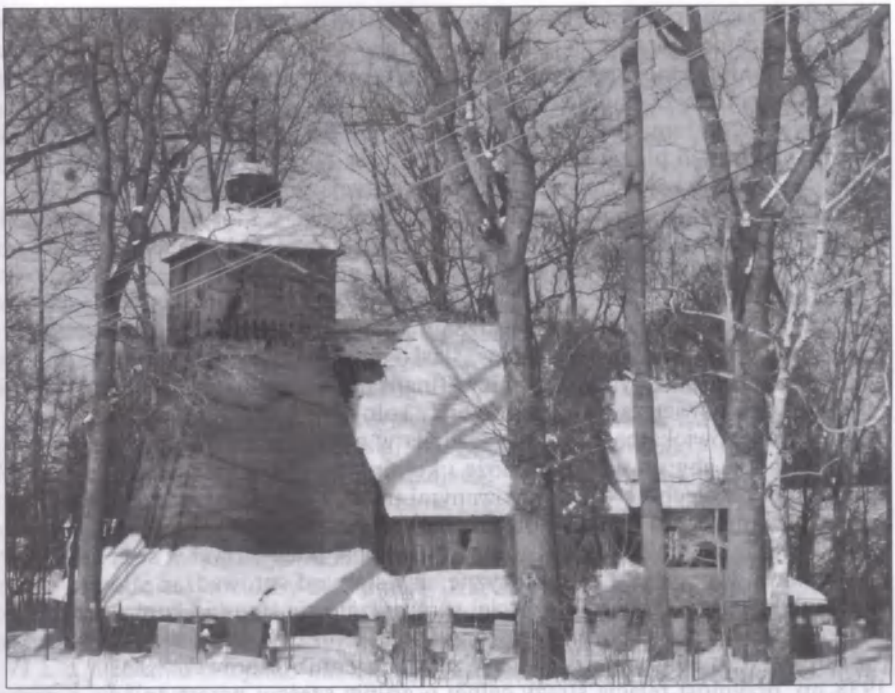
Znowu Rozwadów nad Sanem. Od wschodu słychać strzały artyleryjskie, choć front jest jeszcze daleko od nas. Wychodzimy na skraj miasteczka na brzeg Sanu i z niepokojem obserwujemy nad lasami janowskimi wzmagającą się łunę i odgłosy walki. Walki - ale z kim? Żadnej wieści z tamtej strony, mimo że trwa to już kilkanaście godzin. Ogarniało nas przygnębienie i niepokój. Czuliśmy, że dzieje się tam coś złego, strasznego.

Dopiero po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że w okolicy Janowa Lubelskiego Niemcy otaczali leżące wśród lasów wioski, ostrzeliwali je i niszczyli systematycznie, paląc i mordując ich mieszkańców łącznie z kobietami i dziećmi. Znacznie później dowiedzieliśmy się, że był to tylko fragment wielkiej akcji likwidacji i wywożenia ludności polskiej na Zamojszczyźnie w celu przygotowania tych terenów pod osadnictwo niemieckie.

W ten sposób ginęły dziesiątki wsi - dziesiątki spalonych Lidic - tyle, że bezimiennych, bo któż w świecie zdołałby spamiętać tyle nazw, tak nieraz trudnych do wymówienia. Łatwiej zapamiętać jedną - dlatego tych kilkadziesiąt ucieka w zapomnienie.

wyboru dokonał JANUSZ GUZIUR

cdn.



BESKIDY RODZONE (3)

Poeta i historyk Ivan Motýl obserwuje w czeskiej prasie tzw. szwerc. Miotające się na Śląsku Cieszyńskim granice – węgierska (słowacka), pruska, polska i czeska – umożliwiały niekiedy mieszkańcom pograniczy korzystać z aktualnych różnic cenowych lub z niedoborów towarowych w poszczególnych państwach. Stąd spotykamy w prasie sprzed wielu lat względnie w tzw. groszowej literaturze jarmarcznej postaci paszerów, przemytników, szmuglerzy, szwerców... Przerzucano niejednokrotnie z religijną względnie rewolucyjną bibułą także broń. I tak w latach dwudziestych XVIII wieku szmuglowano z Cieszyna do Suchdolu nad Odrą literaturę ewangelicką; w roku polskiego powstania styczniowego (1863) zatrzymano w Gruszowie bądź w Przywozie setki funtów prochu strzelniczego ukrytego wśród worków z mąką, ale także strzelby, bagnety, tasaki i szable, które szły z zachodniej Europy; przerzut bibuły marksistowskiej kwitł w latach międzywojennych XX wieku na Czantorii. Często też szły przez granice, zwłaszcza w górach, towary spożywcze z bydłem. Przemyt był zatem niekiedy pokątnym, lecz rentownym zawodem górali. Za dawnej Austrii kwitł zwłasz-

cza przerzut soli (przeważnie polskiej) na Węgry (Słowację), z powrotem zaś tytoniu. Po stronie morawskiej ponoć dochodziło do prób korupcji na przejściach granicznych: furmani przewożący pod sianem worki z węgierską tabaką unikali kontroli w zamian za flaszkę śliwowicy bądź baryłkę wina. Tak było w Baranim pod Białym Krzyżem. "Cicha zmowa" wszak nie zawsze się sprawdzała, dlatego przemytnicy woleli piesze wędrówki od turzowskich Żydów przez głębokie lasy. Podobnie było wzdłuż naszych granic z Przelaczą w Łomnej i Przełęczą Jabłonkowską w Mostach. Zdarzały się tutaj wypadki, w których niekiedy ciekła po obu stronach krew: "financi" tropili z karabinami każdy ruch na granicy, mściwi przemytnicy zaś w zamian wsadzali im noże pod żebra.

Południowy tytoń szedł u nas w sklepach jeszcze za Ferdynanda II, czarny handel ruszył dopiero po wprowadzeniu oficjalnej kontroli solno-tytoniowej. Znany z wycieczek Biały Krzyż ze śląsko-morawsko-słowackiego pogranicza wiążą podania z poległymi na granicy "finansami", bądź z dawniejszymi ofiarami morowego powietrza (stąd ponoć biały kolor owego krzyża).

Moja boconowicka babcia Anna jeździła w młodości ze swą matką Ramszową do Czadcy, aby szwercować zboże i kukurydzę: chodziły ze Świerczynowca do Mostów na piechotę - z umocowanymi między nogami woreczkami z towarem. Po ustanowieniu granicy polsko-czechosłowackiej (1920) przyszła kolej na konie i bydło. Mój teść, Józef Krężelok z Bagińca, podejmował w swej młodości kilkudniowe wyprawy na Żywiecczyznę, aby stamtąd sprowadzać jałówki; trasy w górach były umówione. Najczęściej sprowadzało się stamtąd konie: te z trylogii Jindřicha Zogaty o Istebnej, Jaworzynce i Herczawie przepadały z młodymi "szwercami" po słowackiej stronie. Czeski Dziennik Morawsko-Śląski z 2 IV 1938 np. przyniósł relację straży celnej o grupie sześciu przemytników z większą ilością koni; kiedy wezwano ich do zatrzymania się, przepadli w leśnej gęstwie. W Bukowcu w tamtych czasach międzywojnia stracił życie niejaki Paweł Ćmiel; koledzy przemytnicy ostrzelali potem dom komendanta straży granicznej i omal nie zabili jego córki. Mój wuj nauczyciel Józef Szkandera w okresie polskim wyprawiał się z kolegami na nartach po cukier na Morawkę.

***

Pierwsze Święto Gorolski było dla mnie, czternastolatka, drugim aktem jabłonkowskiego festynu szkolnego. Wydziałówka przygotowała wtenczas pokazowe ćwiczenia gimnastyczne: chłopcy - biliśmy młotami dłoni w kolano, dziewczęta w luźnych sukienkach krążyły wokół nas. Śliczne były te panny nasze, mocno dlatego nadrabialiśmy minami. Wkrótce potem: Józek Mazur, Terenia Niedobianka... zachodziliśmy na lekcje łaciny do zacnego pana kapitana Lorenczuka - przed egzaminami w czeskocieszyńskim gimnazjum przy ul. Frydeckiej. Łączę te dwa fakty na zasadzie ich przystawania.

Święto Gorolski od razu trafiło w regionalne zamówienie kulturalne i stało się dla Nadolzia doroczną atrakcją śpiewu, tańca, uciechy, uiszczania się uczuć i powinności. Nie dość na tym. Było też Święto Gorolski okazją spotkań rodzinnych, powracaniem do źródeł, sięganiem pamięcią, a i sumieniem w rodowe dzieje, utwierdzaniem się we wspólnej góralskiej i cieszyńskiej wierze.

Jeśliby poszło o próby ponownego ustosunkowania się do historii, odpowiada mi takie oto zdanie Miłosza: Historia jest środkiem ratunku od rozpaczy. "Nie

można zamknąć drzwi na przeszłość i nie próbować szukać innych sposobów wyrażania jej. Dlatego tak bardzo interesujące są dla mnie próby regionalne - twórczość ludzi z Gdańska, Olsztyna, Wrocławia (do Jabłonkowa pan Czesław już nie dotarł). Próby określenia siebie. To zawsze odbywa się wobec przeszłości. Bo co to znaczy 'określić się'? Należy określić się wobec swoich rodziców, dziadków, a tym samym wobec całego kompleksu spraw, które się z tym wiążą".

Ładne mi regiony, jeśli nie prowincje!... Ale stamtąd także przyjeżdżano do Jabłonkowa po naukę. Niestety zatrzymywano, zdarzało się, chętnych na granicy w Cieszynie, np. prof. Andrzeja Brożka z Katowic i Krakowa. Pewnie dla pewnej szczególnej sprawy nie do wiary: dla niespodzianego zanikania w jabłonkowskim Lasku Miejskim granic geopolitycznych i czasowych? Dla nagłych, nieprzewidywanych powrotów Europy oraz autentycznego Śląska nadolziańskiego naszych dziadów dzierżących w swoich tęgich dłoniach obydwa dni Kubiszowskie z jego poematu: ten roboczy i ten świąteczny.

Pisząc o tomiku poetyckim przyjaciela z Opola, bywalca Świąt Gorolskich, pomyślałem o tym, co nam dzisiaj po XX wieku pozostało? Jedna miłość? Miłość wtenczas była sprawą obowiązującą? Trudno mi uniknąć wrażenia, że tymczasem zaciera się wiele szczegółów przemian i przemijania, powszednich szczegółów odstawianych w minionym stu i tysiącleciu w dziwnej wierze nieuczestnictwa... Obcy samym sobie? Wnukom naszym, przypuszczam, niewiele z tego wypadnie, chociażby ktoś z nich i zaczął wertować w profesjonalnym interesie wszechwiedne archiwa i choćby mu nawet zakręciło się w głowie: kiedyż to było takie? i po co? Mówcież, rymotwórcy i pacykarze!

Czas pochłania wszystko naokół, ścierając kanty. Skwary, nieskwary, siadam w cieniu i biorę do rąk notatki. Jakże to było z naszą-moją pełnią życia w tamtym czasie niewłasnym? Jakież to dzisiaj sumowanie? Mamyż je całe spisać na oczywiste straty? "Cóż ci podaruję Mario na rocznicę ślubu / chyba te pola niechciane i sierpniowe noce / rozgwieżdżone marzeniami / o spokojnej starości / Pamiętasz były żniwa / przy snopach wiązaliśmy nasze nadzieje" (T. Soroczyński). Tamte i wszelkie inne żniwa mają dziś wymowę nieokreśloną.

Skwar czy nie, ciągnę twoim, Tadziu, sadem za sadem własnym. Pod rozwartym niebem nadal wietrzno, i jakieś tam morze w dole beskidzieje. Domowi moi nadal rozglądają się za spokojniejszą przystanią. W żniwa poczęci, ponosimy swój wiek jak niezawinioną wieloraką winę. Zamiast wyciszeń aury nastają kolejne szarugi od Europy. Te sady, wiadomo, już takie pozostaną: będziemy w nich czytać o pięknych polach narodowych pachnących "zbożem rozmaitem", nadal też będziemy się spodziewać niespodzianych komplikacji, znamy to: tak jakby ów świat był światem dla innego gatunku - uprawnionego, uprzywilejowanego, dla którego - poprzednie generacje - stanowimy zaledwie potrzebną osłonę z barów naszych, niejako falochron, bez którego, idiotycznego, świat niestety traci swoje racje. Nam jednak, przypomnę, też się należało trochę sedna? Pozostały żniwa. Takież to owocowanie? Któż nam i kiedy, jeśli spory plon zaszeleści, wieniec uwije? Na wyrost, ale przecież próbowaliśmy wtenczas zasiać. Zapominając się niejako. Tak też w Beskidach mawiano. Bo to przecież zasługa: mocować się ze stokiem!?

WŁADYSŁAW SIKORA

JĘZYKOWE POGRANICZE CIESZYŃSKO-LASKIE (7)

WYMOWA I PISOWNIA LASKA (według Ondry Łysohorskiego)

Akcent jest w laszczyźnie na przedostatniej zgłosce (tak samo jak w języku polskim): *balada, březina, červény, darémně, Hukwołdy, maćeřónka, margaryna, nesměły, roboty, spröbować.*

Wszystkie **samogłoski** są w laszczyźnie krótkie.

ó = *u: dziwów, łóżko, różowy, spróbować, štatów, wagóny, wóla, wóz, zanóćić, zóstać, żółtko, żółty.*

Każde *o* przed *m, n, ń* zamienia się w ***ó*** (wymawia się *u*): *bróń, cygón, dóm, jabłóń, kóń, mój, nóm, skrywómy, wagóny, wónny, żandarmów, żbóneček.*

Każde *e* przed *m, n, ń* zamienia się w ***é***, które wymawia się jak *y* lub *i*.

é wymawia się jak ***y*** po *b, c, d, dz, f, g, h, ch, k, ł, m, n, p, r, ř, s, t, w, z*: *šrubém* (wym.szrubym), *spocéne, hładém, ňewidzeného, férkaju, generał, hérnu, strachém, wojském, stołém, jačméňe, éném, pérsty, krématoryju, řéky, koséni, městém, červéne, zém.*

é wymawia się jak ***i*** po *č, ć, dź, j, l, ň, š, ž*: *inačéj* (wym. inaczij), *ňechćéł, pójdźémy, wystrojéno, létaju, sňéh, našéj, ženichów.*

Aby ***é*** można było wymawiać po *b, m, p, w* jak ***i***, pisze się ***jé***: *pozbjérali* (wym. pozbirali), *smjéch, spjéwómy, swjéro.*

Po ***k*** wymawia się i pisze miękkie ***i***, jeśli jest pod akcentem albo przed akcentem: *Beskidy, ruskimi, kij, kija, Beskidami, kijami*; po akcencie wymawia się i pisze twarde ***y***: *Beskyd, rusky.*

Kontynuantem dawnego ***á*** długiego jest głoska ***o*** *(ó)*: *cygón, dóm* (= 'dam'), *doće, jo, kozać, nodźéj, norod, noruč, skłodać, sóm* (= 'sam'), *šedłok, šoć, wojok, wtok, wzocny, zokón, zowišć, žebrok.* (To samo zjawisko istnieje w gwarach cieszyńskich i innych gwarach śląsko-polskich.)

Laskie ***u*** w wielu wypadkach odpowiada czeskiemu *ou*, którego w laszczyźnie nie ma: *ćichunky* (czes. *tichounky*), *dłuhy* (czes. *dlouhý*), *fusaty* (czes. *vousatý*), *kut* (czes. *kout*), *kuřyć* (czes. *kouřiti*), *pušč* (czes. *poušť*), *skumać* (czes. *zkoumati*), *słup* (czes. *sloup*).

Spółgłoski ***ć, dź, ś, ź, ł*** są wymawiane na ogół tak samo jak w języku polskim.

Czasownik ***być***

-ch, -ech jest resztką dawnego aorystu i służy do tworzenia 1. osoby czasu przeszłego: *přéňes ech* ('przyniosłem'), *zřéłch* ('widziałem'), *wyrwołch* ('wyrwałem'), *wyšełch* ('wyszedłem'), *kéjch přyšeł* ('gdy przyszedłem'), *za ok-*

němch słyšeł (za oknem słyszałem'), *čitołch* ('czytałem'), *hledołch* ('szukałem'), *wyrosnułch* ('wyrosłem'), *daremňech błudźił* ('daremnie błądziłem'), *kělach napisoł* ('ile napisałem'), *coch ňewidźeł* ('czego nie widziałem'), *joch był* ('ja byłem'), *sómch śe wyprawił* ('sam się wyprawiłem'), *boch ňezažehnoł* ('bo nie zażegnałem');

-ch, -ech służy też do tworzenia 1. osoby czasu teraźniejszego: *jech strom* ('jestem drzewem'), *oprétych je* ('jestem oparty'), *choć eščech je daleko* ('chociaż jeszcze jestem daleko').

Odmiana czasownika *być*:

joch je (jech), tyś je, ón je, my smy su, wy śće su, óni su; joch ňéni (ňénich), tyś ňéni, ón ňéni, my smy ňesu, wy śće ňesu, óni ňesu.

Powyższe zasady pisowni laskiej nie zostały przyjęte przychylnie przez językoznawców czeskich, których drażniły niektóre polskie elementy w laskim systemie ortograficznym. Łysohorsky jako pierwszy wynalazł sposób pisemnego utrwalania mowy laskiej i powinien być uważany za ojca literatury laskiej. Podobnie jak słowacki poeta i filolog Ľudovít Štúr (1815–1856) opracował normy literackiego języka słowackiego, przyjmując za podstawę słowackiego języka literackiego gwary środkowosłowackie, tak samo Łysohorsky był przekonany, że podstawą literackiego języka laskiego powinna być gwara górnoostrawicka. Był przekonany, że tak, jak Słowacy potrafili odrodzić swój naród, tak samo dzięki laskiej literaturze może być powołany do godnego życia uciemiężany naród laski. Różnił się krańcowo z Petrem Bezručem, który tylko wplatał niektóre wyrazy laskie do swoich wierszy w celu nadania im laskiego kolorytu, ale w zasadzie używał języka czeskiego jako języka literackiego. Bezruč był wprawdzie także przeciwnikiem pragocentryzmu, lecz twardo bronił interesów czeskich, natomiast Łysohorsky, chociaż był poetą, a nie politykiem, przejawiał tendencje separatystyczne i tego mu narodowcy czescy nie wybaczyli.

WYBRANE WYRAZY LASKIE

Bardzo bliskie językowi polskiemu i cieszyńsko-polskiej gwarze są wyrazy laskie używane w twórczości Óndry Łysohorskiego. Większość z nich wykazuje staropolskie pochodzenie i wspólne z resztą gwar śląskich korzenie. Wiele wyrazów różni się od polszczyzny tylko tym, że nie używa się w ich pisowni starszych dwuznaków *cz, sz, rz,* a stosuje się praktyczniejsze *č, š, ř.* Oto wybór wyrazów z ogółu jego utworów poetyckich:

bałwan
boleść
brodzić
bróń
brzeźina
brydky
budować
budzić
bunt
burka
čarodzéj
čekać, čeko
černidło
chcémy
chłod
chłop
chodzić
choji, -jo
chrości, -ćo
cudzy
cyganić, -ićе
cygón
ćéň // ćyň
ćežor
ćichy
ćmawy
ćmok
čopka
darémňe
deptać
dešč
dować, dowo
dóm
drewiany
dřymać
dwór, na dworе
dychać, dycho
dzecko
dzénny
dzeucha
dźiw, dźiwów
dźiwny
dźiwoki
dźoboł, -błém
dźura
echo
én (= 'tylko')
ferečina
fusaty, fusaći
galoty
gdo
harénda
Hučin
Hukwołdy
iść, idźeš
jabko, jabkach
jabłóń
jak
jasność
jech (= 'jestem')
jedźémy
jedźiny
jeśéň
jodro
joščérka
Jónowice
kamyň // kaméň
kancelaryja
kat, kaći
kějśi
kělich
kěry
kérchow
kładźiwo
kłaść
kłos
kłośi
kolco
kořéň
kość
kośec
kowol
kozać, kože
kozok
kół
kóndukter
kónewka
kóniček
kónoř
kóň
kóńec
krajobraz
kret
krómpoč
krupobići
kryštał
křok
kwak
kyrw // kérw // krew
lén
listek, listków
liśći, -ćo
lubość
lud
ludskość
ludźe
łotka
łóžko
łupać
maćeřónka
maćizna
medzy
milijón
młoćić
óni młoćo
Morowka
moře, o mořach
most, po mośće
mój
mřéć

mur
nabrołch
někéj
ňenowiść
ňeść, ňeśeće
ňeščeści
nić
nodźéj // nodźeja
nojbliżšo
nojsktyćejši
norod
obraz, -ów
obroćić, obrocóm
odejdźeš
odpowědź
okulary
opěwać, -wowoł
oswobodzéńi
otruty
padać, padze
paść
perełka
pěrón
pélny
pérwši
piaść
płačky
płodność
płotno
pochodzić
podłość
pole, polóm
połotany
pořodek
posłuchać, -cho
pośćel
powětřy
powicher
pójdźémy
północ
praskać
prorok, -ków
přebudźić
přejść
přepaść
přešłość
přychodźić
óni přychodźo
přykludźić
přykopa
přynośić, -šo
přyroda
pustyňa
pytać śe, -tóm
pytani
Raćimow
radość
radować
rod (= 'rad')
rodźić
rok, roków
rozmajty
rozróść
rój
różowy
rujina
rukow
rumowisko
rybiorka
řéka
řykać, řykoj!
řykańi, -ňo
sałaš
scéna
schodźić
schód, schodów
sén
sérna
skłodać, -dóm
skłóňać, -ńić, -ňo
skokać, skokóm
skrómność
skřydła, -lóm
smyrć // směrć
słowansky
słónco
słónko
słup
słychać
spěw
spróbować
spuščać, -čo
stoć
stół, za stołém
stróm
swjéčka
śćelać
śćéna
śćiskać, -koš
śe
śedlok
śedźeć
śilny
śiła
śiwy
śklany
śkło
Ślónsk
ślónsky
śoć
śohać, śoho
ščur
šept
škobrónek
špara
šuměć
šury
šušćeć, -ći
tajność
tóm (4. i 6. przyp.)

traćić	wojok	zaś
tróm	wołać, -ło	zdrały
trón	wóla	złość
twórčy	wónny	zokón
ućekać	wóz	zowiść
wchodźić	wrocić śe	zóstać, -ańe
wdźečność	wróbel	zwóńić, óni zwóńo
wesno	wróna	zym // zém
wěčność	wtok	żebrok
wicher	wstować, -wo	żéńe (= 'gna')
wichřyca	wyrostać	żgorać, żgoro
widźeć, óni widźo	wyrwać	żłob
wiśi	wzocny	żółtko
wjém, wjéće	zakěl	żółty
własny	zanóćić	żajać, żaje
włos	zapómńeć	

Nie używał Łysohorsky w swojej twórczości wyrazów laskich z zakresu rolnictwa, ale o tym w następnym odcinku.

cdn.

WŁADYSŁAW MILERSKI

NOTATKI Z AUTOKARU

Florencja

Jakoś rozpodróżował nam się ten koniec roku. Kolejnych kilka tysięcy kilometrów przed nami. Kolejna podróż na południe - tym razem do Włoch. Kolejne próby rozprostowania obolałych kolan. W tej chwili współczuję również Futrzakowi, który próbuje obok mnie znaleźć jak najwygodniejszą pozycję. Bezskutecznie. Przestrzeń życiowa nawet w wygodnym turystycznym autokarze jest bardzo ograniczona. Za to przestrzeń duchowa, do której zbliżamy się z każdą chwilą, ma wymiary iście kosmiczne. Trasa obecnej tułaczki prowadzi nas bowiem do miejsc bezpośrednio związanych z fundamentami europejskiej cywilizacji i kultury. Za oknem... tunel, pobocze, tunel, pobocze i ponownie tunel. Tak oto wygląda nocna podróż przez Alpy i Apeniny z perspektywy pędzącego autobusu. Rozpływająca się powoli poranna mgiełka zapowiada pogodny dzień i pozwala nam coraz do-

kładniej przyjrzeć się perle Toskanii i jednej z pierwszych potęg Italii - Florencji. Ile wrażeń uda się pomieścić w 8 godzinach - tych obowiązkowych 8, które przepisy przewidują na wypoczynek kierowców? Kto to wie, zobaczymy. Skromne śniadanko, prosta higiena. Jeszcze spakować niezbędny ekwipunek - przewodnik, aparat i kilka euro. Ruszamy. Na początek bardzo mocny akcent - *Palazzo Degli Uffizi,* czyli najstarsza galeria sztuki w dziejach naszej cywilizacji, największa we Włoszech. W tym szarym "biurowcu" wystawione są obecnie przede wszystkim bezcenne zbiory malarstwa. Cała rodzinna kolekcja Medyceuszy została bowiem w XIX wieku rozdzielona - dzieła rzeźbiarskie przeniesiono do *Bargello* (dawnego więzienia miejskiego), a w *Muzeum Archeologicznym* umieszczono zestaw obiektów sztuki starożytnej. Podejmujemy zarezerwowane wcześniej bilety, przechodzimy przez pieczołowitą kontrolę, którą znamy raczej z lotnisk niż z galerii, i po schodkach, też jakoś urzędowo - szarych, na ucztę. W przebogatym menu aż roi się od smakołyków. Nie ukrywam, wielu z pewnością może już po obejrzeniu kilku pierwszych sal doznać uczucia przesytu, ale... Dzieła takich prekursorów renesansu jak Cimabue, Giotto czy Duccio zachwycają. Wczesnorenesansowe perły pędzla Ucella (*Bitwa pod San Romano),* Lippiego, a przede wszystkim Botticellego urzekają. To właśnie poetyckie wizje i zauroczenie światem antycznym pozwoliły temu ostatniemu artyście stworzyć na dwuwymiarowym płótnie tak efemeryczne wizje *Primavery* i *Narodzin Wenus.* Nazwiska twórców, którzy znaleźli się w następnych salach, kojarzą nawet przeciętni konsumenci - Leonardo, Dürer, Rafael, Michał Anioł, Tycjan...

Ich dzieła powalają. Co sala, to nowe odkrycia, nowe wrażenia. Związane zwłaszcza z tymi artystami, którzy raczej rzadko goszczą na naszych stołach - Perugino, Mantegna, Correggio, Pontormo, Bronzino, Parmigianino, Cranach itd. Wrócę teraz do przerwanego wyżej zdania. ...ale w tym wypadku warto doczekać do końca. W sali z numerem 43 wiszą trzy wspaniałe prace Caravaggia - *Meduza, Bachus* i wczesny majstersztyk mistrza *Ofiarowanie Izaka.* W sali numer 44, która została poświęcona malarstwu z północy Europy, trzy urzekające swą psychologiczną głębią portrety Rembrandta - *Portret starego mężczyzny* i dwa autoportrety mistrza z Amsterdamu. Jeden z czasów młodzieńczych, a drugi z okresu starczego, namalowany na pięć lat przed śmiercią. Wymiar zapisanego w tych twarzach człowieczeństwa jest ponadczasowy. Nic dodać, nic ująć. *Uffizi* - to wspaniały przegląd malarstwa europejskiego od XIII po XVIII wiek. Smacznego. Szczerze polecam!

Nadmiar wrażeń duchowych najlepiej zrównoważyć wysiłkiem fizycznym. Za jedyne 6 - "od łebka" fundujemy sobie niezłą rozgrzewkę. *Duomo Santa Maria Del Fiore* i zadziwiające po dziś dzień rozwiązania techniczne Filippa Brunelleschiego przy budowie jego słynnej kopuły. By wejść na ta-

ras widokowy, trzeba pokonać 463 schody... Szkoda, że w drodze powrotnej schodów jest też tyle. Kręćka można dostać, wchodząc po tych kręconych stopniach. Obejście u podnóża kopuły pozwala z ciekawej perspektywy oglądać tak piękne freski *Sądu Ostatecznego* Vasariego i Zuccariego, jak posadzkę - barwną marmurową, pokrytą skomplikowanymi mozaikowymi wzorami. Orzeźwiający podmuch wiatru, panorama otwierająca się przed nami daje zapomnieć o przebytej drodze. Chwila refleksji, czas na to, by ochłonąć i wchłonąć nowe klimaty. Schodzimy.

Przyglądając się katedrze i kampanili, trudno odróżnić neogotycką "podróbkę" od oryginału dokończonego w 1359 r. Trzy rodzaje marmuru - biały, różowy, zielony i misterna dekoracja rzeźbiarska robią wrażenie. Cacko. Przed katedrą, ukryte w gąszczu parasolek przewodników kolejna perełka. Jeden z najstarszych budynków w mieście, gdyż jego początków należy szukać w IV wieku, oktogonalne *Baptysterium*, ze słynnymi *Rajskimi Wrotami* autorstwa Lorenza Ghibertiegio. Oglądając 10 kwater tych wschodnich drzwi nie czuje się 27 lat pracy, które pochłonęło wykonanie *Porta del Paradiso* - jak nazwał je zachwycony Michał Anioł.

Pozostańmy jeszcze przez chwilę na placu przed katedrą, czyli na *Piazza Di San Giovanni.* W narożniku jednego z domów ozdobne arkady i furtka. To *Loggia del Bigallo.* W tym właśnie miejscu porzucane były niechciane dzieci. Jeżeli znaleźli się opiekunowie, dziecko przechodziło pod ich skrzydła. W przeciwnym wypadku oddawano je do przytułków, gdzie otrzymywały oprócz podstawowego wykształcenia również nazwisko Innocenti. Jak twierdzą sami Włosi, w książkach telefonicznych najwięcej jest właśnie "Niewinnych". Czyli chodzi o taki odpowiednik polskich Kowalskich. Przyznam się, nie sprawdzałem, gdyż nie było okazji. Ale ten moment wywołał we mnie szereg skojarzeń. Pierwszy w Europie sierociniec *Spedale degli Innocenti,* który praktycznie od swego otwarcia w 1444 roku służy swemu pierwotnemu celowi do dziś; reklamowane swego czasu w telewizji urządzenie zwane Baby Box, którego ówczesnym odpowiednikiem może być też *rota* - kamienne obrotowe koło; Herod i biblijna rzeź niewiniątek...

Florencja i ród Medyceuszy to pojęcia powiązane ze sobą nierozerwalną siecią dat, faktów, zdarzeń i legend. Koniecznie trzeba zwiedzić parafialny kościół tej rodziny - *San Lorenzo.* Surowa - bo nie została dokończona, można powiedzieć, minimalistyczna kamienna fasada kryje w środku wiele skarbów. Mnie zafascynowały ostatnie prace Donatella - dwie ambony z brązu z bardzo sugestywnymi obrazami *Pasji* i *Zmartwychwstania.* Tuż obok bazyliki *Biblioteka Laurenziana* ze słynnymi schodami Michała Anioła, a praktycznie po przeciwnej stronie zespół *Kaplic Medyceuszy* ze wspaniałymi rzeźbami tegoż autora. Nasze kroki prowadzą dalej przed dominikański kościół *Santa Maria Novella,* w którego gotyckim wnętrzu uwagę zwiedzających przyciągają przede wszystkim wspaniałe freski Massacia,

Ucella. Przechodząc wśród tłumów turystów i tubylców, mijamy szereg innych jeszcze wspaniałości. W tym nawale różnorakich informacji, spostrzeżeń i doznań zapomniałem o samym sercu miasta *Piazza della Signoria*. Dominującą budowlą jest tak zwany Stary Pałac, czyli *Palazzo Vecchio* - pierwotna siedziba Medyceuszy, nim przenieśli się na drugi brzeg Arno do *Palazzo Pitti*. Budowla ta do dnia dzisiejszego pełni funkcję ratusza. Przed wejściem do pałacu stoi kolejny symbol Florencji - posąg Dawida, konkretnie kopia słynnej rzeźby Michała Anioła. Kawałek dalej *Marzocco* - słynny heraldyczny lew wyrzeźbiony przez Donatella. Generalnie rzeźbiarskich zabytków znajduje się tu stosunkowo dużo. Najcenniejsze z nich znajdują się w miejscu dawnego zakwaterowania straży przybocznej Kosmy I - *Loggia dei Lanzi*. Pod ścianą ustawiono szereg rzymskich rzeźb - najprawdopodobniej wizerunków cesarzy. Magnetyzują nas jednak dwie inne. Pierwszą z nich jest *Perseusz*. Zwycięski bohater trzyma w geście przestrogi i tryumfu wysoko podniesioną głowę Meduzy. Ten posąg z brązu zdradza dzięki precyzji szczegółów, że jego autorem jest raczej złotnik niż rzeźbiarz, no i wiadomo, jak legendarnym mistrzem był jego autor Benvenuto Cellini. Drugą zaś jest dynamiczna grupa rzeźbiarska *Porwanie Sabinek* dłuta Giambologni. Na nagich i powykręcanych ciałach postaci widnieje kolorystyczna skaza, która zaś z drugiej strony jest dowodem na to, że dzieło zostało wykute z jednego bloku marmuru. Całkiem przyjemnie odpoczywało się w cieniu arkad i w tak artystycznym towarzystwie. Tłum na placu przewalał się, gęstniał, błyskał fleszami, gwarzył w różnych językach. Rzadko kto zwrócił uwagę na prostą kamienną płytę wprawioną w bruk rynku nieopodal loggii. To właśnie w tym miejscu płonął w 1498 roku stos pod fanatycznym i charyzmatycznym zarazem przywódcą tłumów Girolamo Savonarolą. Zmęczenie daje znać o sobie. Więc szybko uzupełnić akumulatory. Drobna przekąska i 0,25 l Coca Coli za jedyne 6,50 -! No trudno, u nas za tę cenę zjesz praktycznie dwa godziwe obiady. Ruszamy jednak w dalszą drogę. Czas przeznaczony na lekkie zaledwie muśnięcie tego miasta naszpikowanego zabytkami i ciekawostkami dobiega końca. I tu dobre miejsce na jedną drobną dygresję o "krówkach". Florencja po wzorze wielu innych miast i metropolii dała szansę tym spokojnym stworzeniom i ich autorom, by w różnych miejscach, pozach i wzorach zaistniały obok zacnych, sędziwych i poważnych gmachów, pałaców, placów i uliczek. Ten sympatyczny kontrast ożywił i rozładował klimat zabytkowości i muzealności, który człowiek czasami w takich miejscach odczuwa. Poza tym, co ciekawsze pomysły stanowiły bardzo dobrą inspirację.

Jeszcze zahaczyć o franciszkański kościół *Santa Croce* - czyli jak zwykło się mówić, Panteon Włoski. W posadzce znajduje się około 280 płyt nagrobnych. Grobowce Galileusza, Michała Anioła, Rossiniego... cenotaf Dantego a w K*aplicy Salviatich* polski ślad - nagrobek Zofii z Czartoryskich

Zamoyskiej. Poza tym na każdym kroku arcydzieła malarstwa - freski Giotta w *Kaplicy Bardich* ze wzruszającą sceną śmierci św. Franciszka, architektury - *Kaplica Pazzich* i rzeźby - symboliczne ucieleśnienie wymienionych przed chwilą dziedzin sztuki Vasariego na nagrobku Michała Anioła...

Szybko ostatnie zdjęcia. Rzut oka na *Ponte Vecchio* i wzdłuż Arno szybkim krokiem po nabrzeżu do miejsca, z którego zabierze nas autokar. Czas nagli. A tu tyle jeszcze jest do zwiedzenia... No trudno. Trzeba będzie się do tego "żywego muzeum" wybrać raz jeszcze, a najlepiej na dłużej. W tej chwili możemy tylko westchnąć i podziwiać, co w wirze wieków wyrosło z małej kolonii założonej w 59 roku p.n.e. przez Rzymian.

Na horyzoncie migają obrysy wzgórz z dumnymi sylwetkami kampanili i cyprysów. Wszystko skąpane w złotawo rudych promieniach zachodzącego słońca. Opuszczamy kolebkę renesansu. Przed nami główny cel naszej wyprawy - Wieczne Miasto - Rzym.

WŁADYSŁAW KUBIEŃ

cdn.





Campanilla... i Dawid - fot. WŁADYSŁAW KUBIEŃ

ANDRUSI I LWOWSKA FALA

15 października br. w sali koncertowej Szkoły Muzycznej w Boguminie odbył się koncert dwu zespołów Zespołu Estradowo-Kabaretowego Andrusi z Bogumina Skrzeczonia i Lwowskiej Fali ze Lwowa, które dzielą granice, ale łączy wiele. Po pierwsze oba zespoły preferują folklor miejski, po drugie członkowie obu są Polakami, którzy sami nie przekraczając granicy, za sprawą historii znaleźli się w innym kraju, po trzecie odtwarzają historię wielokulturowych kresów Polski, na których przyszło urodzić się ich przodkom.

Skrzeczońscy Andrusi jako zespół swój początek biorą z wydarzenia rodzinnego, kiedy to w roku 1955 odbywał się ślub Marii Halfarówny i Alberta Grzebienia (na fot. poniżej). Ich koledzy, z którymi razem działali już w ramach zespołu śpiewaczego i teatralnego przy MK PZKO w Skrzeczoniu, zjawili się na weselu dziwacznie poubierani, by zaśpiewać młodym. Ktoś nazwał ich andrusami i nazwa przylgnęła do tak spontanicznie zawiązanej grupy. Później śpiewali po festynach w całej okolicy. Po latach Czesław Bugdol, syn Józefa, który był jednym z założycieli zespołu, postanowił odnowić zespół i zaprezentować go na balu karnawałowym w Kole skrzeczońskim. Sam przyszedł na próbę ze skrzypcami, Stanisław Górniok przygotował własnoręcznie nowy ozembuch, a Bronisław Waluszczyk przyniósł na próbę akordeon i walizkę. W walizce był nowy model stroju andrusa – frak i melonik, który obowiązuje w zespole do dziś. Przez 10 lat zespołem kierował Konstanty Krzystek, człowiek niezwykły, którego żywiołem był teatr amatorski i estrada.



Od roku 1996 zespół występuje w „odmłodzonym" składzie. Jego kierownikiem jest Czesław Bugdol (skrzypce i śpiew), Irena Szeliga gra na pianinie, Alojzy Sładeczek jest konferansjerem zespołu, śpiewa i opowiada dowcipy. Stanisław Górniok pozostaje od lat przy swoim ozembuchu, Bogusław Czapek śpiewa z powodzeniem kuplety żydowskie i nie tylko. Czesław Gałuszka i Marek Chorzempa grają na gitarach śpiewają. I od początku z zespołem zwią-









zany jest Albert Grzebień, na którego weselu wszystko się zaczęło. Postać skrzeczonianki, w którą się wciela, ciągle wywołuje aplauz widzów.

Zespół Andrusi występuje na Zaolziu i w Polsce. Do najbardziej egzotycznych występów zalicza te z Grodkowa na Opolszczyźnie dla więźniów w miejscowym areszcie.

Jubileusz 50-lecia zespołu Andrusi to koncert, podczas którego zaprezentowali jego członkowie z bogatego repertuaru zespołu to, co przez lata stało się ich wyróżnikiem, a więc piosenki tutejszego folkloru miejskiego, kuplety żydowskie i piosenki popularne, które śpiewamy wszyscy. Za wytrwałość i wierność i ten specyficzny kunszt zabawiania publiczności otrzymali wiele życzeń od innych zespołów, ZG i Kół PZKO, władz Bogumina, które przy tej okazji wsparły zespół finansowo. Była oficjalna delegacja władz miasta Grodków na czele z burmistrzem Markiem Antoniewiczem i gorące życzenia. Były też życzenia od Zarządu Krajowego Wspólnoty Polskiej w Warszawie i dar w postaci wizyty zespołu ze Lwowa. Toteż w drugiej części koncertu zaprezentowała się Lwowska Fala, która co prawda nie może się pochwalić stażem, jak jubilaci, ale za to sukcesów ma już co nie miara.

Lwowska Fala to siedmioosobowy zespół, który tworzy czterech muzyków i troje solistów. Działa od roku 1999, ale na swoim koncie ma już wiele występów w Polsce i sukcesy podczas trzykrotnego udziału w Festiwalu Kultury Kresowej w Mrągowie, gdzie w roku 2002 otrzymała puchar Prezesa



Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Ratowania Folkloru Miejskiego. Rok wcześniej kapela przygrywała zespołowi tanecznemu Weseli Lwowiacy na spotkaniu papieża Jana Pawła II z młodzieżą we Lwowie. Kierownikiem obu zespołów jest Edward Sosulski. Jego talent muzyczny, temperament i artystyczną wszechstronność podziwiali uczestnicy jubileuszowego koncertu.

Lwowska Fala oczarowała słuchaczy starymi lwowskimi piosenkami i kupletami. Trudno było nie zachwycić się pięknymi głosami solistek i grą muzyków, którzy na co dzień zawodowo czynią to w filharmonii. Niepowtarzalny klimat występu Lwowskiej Fali z pewnością w dużej mierze był zasługą kierownika zespołu Edwarda Sosulskiego, który starał się przybliżyć publiczności zaoloziańskiej niepowtarzalny urok lwowskich kresów w piosence, tańcu i monologu. Lwowiacy przygotowali też w darze dla Andrusów obraz z widokiem Lwowa i specjalnie na tę okazję ułożoną piosenkę. I aż trudno uwierzyć, ale kresów czar w melodii i piosence połączył daleki Lwów i Zaolzie.

A gdy przebrzmiały ostatnie akordy koncertu w Boguminie, Zaolziacy i Lwowiacy zasiedli do wspólnej biesiady w Domu PZKO w Skrzeczoniu, gdzie śpiewanie i tańce zadzierzgnęły przyjaźń. Członkowie Lwowskiej Fali, przyjeżdżając na Zaolzie, pokonali po raz pierwszy kolejną granicę, tym razem polsko-czeską. I jak przyznali, było warto pokonać trud zdobycia czeskiej wizy i podróży.

ELŻBIETA STRÓŻCZYK

JUBILEUSZOWY KONCERT CHÓRU NAUCZYCIELI POLSKICH

Chór Nauczycieli Polskich, o którym pisaliśmy wielokrotnie na łamach naszego miesięcznika, 22 października br. obchodził uroczyście jubileusz 80-lecia. Jubileuszowy koncert odbył się w Domu PZKO w Stonawie. Ilość słuchaczy przybyłych z tej okazji z wielu stron Zaolzia świadczy dobitnie o sympatii, którą niezmiennie od lat cieszy się ChNP. Potwierdzeniem tej sympatii były życzenia i kwiaty. Bo też trzeba przyznać, że chór repertuarem i radością śpiewania potrafi zjednać wszystkich słuchaczy. I tak było na jubileuszu – z chórem pod kierownictwem prof. Alojzego Suchanka śpiewali wszyscy. Gościnnie podczas koncertu wystąpił Chór Mieszany Stonawa z dyrygent Martą Orszulik, pianistka Wanda Miech oraz laureatki Festiwalu Piosenki Dziecięcej Natalia Bajger, Jolanta Szwed, Natalia Orszulik, Andrea Połednik.

Koncert zaszczycili swoją obecnością konsul generalny RP w Ostrawie Antoni Sadowski i konsul Grażyna Kostrusiak.

Z okazji jubileuszu Chór Nauczycieli Polskich wydał okolicznościową publikację nawiązującą do poprzedniej wydanej przed pięciu laty, dotyczącą historii chóru.

E.S.











BENEFIS JANA PYSZKI

W Kawiarence Pod Pegazem – bo jakże można było inaczej – postanowili przyjaciele Jana Pyszki uczcić 14 października br. jubileusz życiowy – 80. urodziny – nawiejskiego poety, nauczyciela, no i jednego z ojców i długoletnich gospodarzy tej najstarszej na Zaolziu kawiarenki literackiej.

Benefis poety prowadzili Stanisław Gawlik, Karol Suszka i Kazimierz Kaszper, zagrały aż dwie góralskie kapele: Zaolzi i Nowina, zaśpiewał Chór Nauczycieli Polskich pod batutą Alojzego Suchanka. O tym zaś, że Jan Pyszko przez wiele lat był związany z amatorskim ruchem teatralnym, przypomniał krótki gwarowy skecz „Randka na rymby", który przedstawili młodzi aktorzy z dolnołomniańskiego Klubu Młodych.

W trakcie benefisu odbył się też chrzest najnowszego tomiku poetyckiego jubilata „Kamyki światła". Karol Suszka i Kazimierz Kaszper wręczyli zaś poecie płytę kompaktową z jego wierszami, nagraną z okazji urodzin w studiu Teatru Cieszyńskiego.

(kor)



Fot. JACEK SIKORA



WYSTAWA MK PZKO BŁĘDOWICE

Przez trzy dni październikowe (28, 29 i 30) można było w Domu PZKO w Hawierzowie Błędowicach oglądać wystawę zatytułowaną "Cztery pory roku". Jej organizatorami był tutejszy Klub Kobiet, któremu przewodniczy Anna Stasiowa, i Klub Seniora z Tadeuszem Nierostkiem, postacią niezwykle dla Miejscowego Koła zasłużoną, na czele. Nie jest łatwo przygotować wystawę z tak dużą, jak to zaprezentowano, ilością eksponatów. Toteż organizatorzy przyznają, że na efekt końcowy składa się praca członków Klubów z całego roku. W dużej sali błędowickiego Domu znalazły miejsce różnego rodzaju przedmioty w większości przygotowane w domowym zaciszu, przydzielone do oddzielnych części wystawy zgodnie z jej nazwą "Cztery pory roku". Znalazły się tu więc stoły nakryte zgodnie z tradycją na Boże Narodzenie i Wielkanoc i inne rodzinne uroczystości, a na nich pięknie haftowane serwetki, własnej produkcji

świeczki, bukiety suszonych kwiatów, pierniczki domowe – szczególny podziw wzbudzała piernikowa bożonarodzeniowa szopka. Zajmująca czołowe miejsce w sali choinka ze śnieżnobiałymi ozdobami wykonanymi na szydełku przypominała również o zbliżających się świętach. W mniejszej sali zgromadzono dokumenty związane z historią działalności tutejszych Polaków nie tylko w ramach PZKO, ale i przed wojną. Wystawie towarzyszyła loteria i bufet, z którego chętnie korzystali zwiedzający.

Dom PZKO w Hawierzowie Błędowicach został otwarty dwadzieścia lat temu. Z tej okazji 13 listopada Zarząd Miejscowego Koła zorganizował spotkanie poświęcone wspomnieniom z okresu budowy i dwudziestu lat działalności. W programie kulturalnym zaprezentowali się uczniowie z sąsiadującej z Domem PZKO polskiej szkoły i zespół Błędowianie.

E.S.









Fot. JACEK SIKORA

AVION POETYCKI

Tegoroczna trzecia edycja Avion Festu, którą Spolek–Towarzystwo Avion zorganizowało 22 października w Teatrze Cieszyńskim, była w pełni poświęcona poezji. Wieczór w literackiej „Kawiarni AVION, której nie ma..." rozpoczęło spotkanie trójki poetów średniej generacji: gospodarza wieczoru Renaty Putzlacher, Petra Hruški z Ostrawy oraz Jacka Sikory. Zabrzmiały nie tylko wiersze – swoje utwory do tekstów P. Hruški i Zbyňka Hejdy zaśpiewała też Yvetta Ellerová z Ostrawy.

Bohaterką drugiej części Avion Festu była młoda zaolziańska poetka Hanna Rybicka, która w Klubie Teatralnym chrzciła swój debiutancki tomik, polsko-czeski zbiorek pt. „Obrazki – Oblázky", wydany przez Spolek-Towarzystwo Avion. Hanna Rybicka zaśpiewała też kilka swoich utworów z kolegami z zespołu Czwórka Okazjonalna. Zaś jej wiersze przeczytali Lena Pešák i Jacek Rybicki.

(kor)



Fot. JACEK SIKORA

STO LAT ROPICKIEJ SZKOŁY

Na akademii szkolnej w sali restauracji Centrum uczcili mieszkańcy Ropicy 4 listopada br. setne urodziny budynku miejscowej szkoły. Dzieci przygotowały dla swoich rodziców i znajomych prawie trzygodzinny program pn. „TV Ropiczanka". Autorką scenariusza i reżyserem przedstawienia była nauczycielka polskich klas Katarzyna Heczko (pod jedną dyrekcją mieszczą się obecnie w budynku szkoły polska i czeska), wspomogły ją oczywiście wszystkie jej koleżanki. W programie wzięli udział wszyscy uczniowie, przedszkolaki, a także kilku absolwentów szkoły-jubilatki.

Program „telewizyjny" był bogaty. Wszystkim podobały się audycje „Śniadanie z Ropiczanką", „Lista przebojów", „Wiadomości" czy „Spotkanie z poezją". A także „filmy" – scenki na podstawie „Antka" Bolesława Prusa i opowiadania „Cyrkus w starej szkole" Adama Wawrosza. Ciekawym pomysłem było nakręcenie filmu, w którym mali dziennikarze spowiadali swoich krewnych i znajomych wspominających swoje szkolne czasy...

Program zakończył krótki koncert chóru Godulan-Ropica pod kierownictwem Alojzego Kalety.

Warto dodać, że podczas weekendu rodzice, absolwenci i wszyscy sympatycy szkoły mogli zwiedzić budynek jubilatki, gdzie zainstalowano jubileuszową wystawę z częścią poświęconą jubileuszowi 700-lecia Ropicy.

(kor)

KONCERT W KARWINIE MIZEROWIE

Tegoroczna jesień obfitowała w jubileuszowe koncerty naszych zaolziańskich chórów. 5 listopada w sali koncertowej Podstawowej Szkoły Artystycznej w Karwinie Mizerowie miał miejsce koncert jubileuszowy chóru męskiego Hejnał-Echo, który działa przy MK PZKO w Karwinie Frysztacie. Jubileusz szczególny, bo dotyczył działalności niegdyś dwu oddzielnych chórów, Echa, który rozpoczął działalność w roku 1920, i Hejnału, który powstał w roku 1935. Razem śpiewają ponad czterdzieści lat.



Koncert rozpoczął chór-jubilat pod batutą młodego dyrygenta Andrzeja Szyi, prezentując pieśni Mozarta, Janáčka, Świdra, Kalety. Prowadząca koncert Aleksandra Opioł przypomniała bogatą historię chóru i jej dyrygentów. Nie omieszkała też wskazać na optymistyczną przyszłość chóru, którego prowadzący jest obecnie najmłodszym dyrygentem chórów zrzeszonych w Zrzeszeniu Śpiewaczo-Muzycznym, absolwentem UŚ i przedstawicielem trzeciej już generacji chóru Hejnał-Echo.

W drugiej części koncertu wystąpiła solistka praskiej filharmonii Grażyna Wilk-Biernot i współpracująca z chórem jako akompaniatorka Wanda Miech.

Gościem chóru-jubilata podczas koncertu był zespół Kompania Osób Prywatnych Amici Cantionis Antiquae, działający w ramach Polskiego Towarzystwa Artystycznego Ars Musica pod kierownictwem dr. Leszka Kaliny. Wykonali, budząc powszechny aplauz, utwory średniowieczne, w czym się specjalizują, i współczesne.

Na zakończenie koncertu Amici Cantionis Antiquae i Hejnał-Echo wspólnie wykonali pieśń "O ziemio ojców" S. Surzyńskiego z udziałem seniorów, honorowych członków chóru Henryka Berbalka i Józefa Foltyna, który jak przed laty stanął przed chórem jako dyrygent.

E.S.







Niepodpisane foto w KRONICE – FRANCISZEK BAŁON

PEJZAŻE JANA RUSNOKA

Od 23 października do 18 listopada w Białej Galerii Teatru Cieszyńskiego swe obrazy olejne "Pejzaże / Krajiny" wystawiał Jan Rusnok, malarz pochodzący z naszego terenu (urodził się w 1956 w Cieszynie), który w roku 1990 zamieszkał w Stargardzie Szczecińskim. Miłośnicy malarstwa pamiętają go niewątpliwie z jego dawnej działalności artystycznej w ramach SLA.

Przypomnijmy, że Jan Rusnok swe dzieła wystawiał na licznych wystawach zbiorowych na naszym terenie i w Polsce; ma również na swym koncie 12 wystaw indywidualnych (Karwina, Czeski Cieszyn, dwukrotnie wystawiał w Cieszynie, czterokrotnie w Stargardzie, poza tym w Szczecinie, Katowicach, Gorzowie i Sierakowie). Omawiana wystawa była więc z kolei trzynastą wystawą, moim zdaniem bardzo ciekawego malarza.

Malarstwo Jana Rusnoka jest realistyczne, prawdziwe, jak woli sam malarz; poza tym jest to malarstwo na swój sposób także poetyckie, bo jego nieostre na ogół krajobrazy zawierają sporo poezji i uroku. Wystawione niedawno w Czeskim Cieszynie obrazy są świadectwem jeszcze jednego faktu z życia artysty – zmiany kolorystyki z początkowo ciemnej do jasnej i bardziej przez to optymistycznej. Związane jest to niewątpliwie, co malarz sam potwierdza, ze zmianą miejsca zamieszkania oraz zmianą ustrojową. Ciemne obrazy pochodziły z lat poprzedzających wyjazd malarza do Polski w roku 1990, większość obrazów o jasnej kolorystyce powstała po tamtej dacie. Podkreślić tu wypada, iż obrazy te w zasadzie wszystkie zostały namalowane u nas, w domu na nydeckiej ojcowiźnie, gdzie twórca lubi spędzać urlopy, jak się okazuje, są to twórcze wczasy.

Na wspomnianej wystawie zauroczyły mnie szczególnie jakby fragmenty pejzażu ujęte w wąskie i wysokie ramy, przypominające obrazy japońskie, które, gdyby je złożyć w jedną całość, tworzyłyby na swój sposób wiarygodną całość pejzażu.

Cenną pamiątką po tej pięknej wystawie zostanie czterostronicowy katalog, zawierający reprodukcje niektórych obrazów oraz analizę dorobku malarza, a także przegląd wystaw indywidualnych i zbiorowych na przestrzeni lat 1985–2005.

KAZIMIERZ JAWORSKI

WYCIECZKA NA KRAKOWSKIE TARGI KSIĄŻKI

Jak co roku zaolziańscy miłośnicy książek wyjechali na jednodniową wycieczkę na Targi Książki do Krakowa. Uczestnikami wycieczki byli głównie członkowie Stowarzyszenia Przyjaciół Polskiej Książki, które zorganizowało wyjazd, i bibliotekarze. Kilkugodzinny pobyt w grodzie pod Wawelem był nie tylko okazją do nabycia ciekawej publikacji książkowej, a w niejednym wypadku także dedykacji jej autora, ale również do krótkiego odwiedzenia zabytkowego centrum miasta.

Tegoroczne 9. Targi Książki w Krakowie przeniesione zostały w inny niż w poprzednich latach rejon miasta, na Czyżyny, do obszernej hali targowej przy ulicy Centralnej, niedaleko osiedli Nowej Huty i dymiącej elektrowni w Łęgu. Wzięła w nich udział rekordowa liczba ponad 360 wydawców oraz przedstawiciele kilku drukarń. W ciągu czterech dni od 27 do 30 października odwiedziło je około 23 tysiące osób, dla których Targi były okazją do kupienia nowości książkowej i spotkania z ulubionym autorem. Odbyło się około 150 imprez towarzyszących, dyskusji i spotkań, seminariów i konferencji. Gośćmi Targów byli m.in. pisarze Stefan Chwin, Wojciech Kuczok, Stanisław Lem, Ewa Lipska, ks. Mieczysław Maliński, Jacek Podsiadło, Andrzej Sapkowski, Sławomir Shuty, Andrzej Stasiuk, Olga Tokarczuk, Janusz Wiśniewski i Adam Zagajewski. Na Targi przyjechał David Camus, wnuk Alberta Camusa. Z czytelnikami spotkali się ponadto: Krzysztof Penderecki, Adam Bujak, Anna Szałapak, prof. Władysław Bartoszewski i ojciec Leon Knabit. Jak co roku nie zabrakło konkursów z nagrodami. Nagrodę im. Jana Długosza dla autora najlepszej wydanej w ostatnim roku książki humanistycznej otrzymały Mirosława Marody i Anna Giza-Poleszczuk, autorki książki "Przemiany więzi społecznych". Laureatką tegorocznej edycji nagrody "Lista Goncourt'ów – polski wybór 2005" została Sylvie Germain, autorka powieści "Magnus". W opracowanym przez redakcję Magazynu Literackiego Książki rankingu na najlepszą polską drukarnię wydającą dzieła literackie po raz drugi wygrała Drukarnia Naukowo-Techniczna, należąca do Polskiej Agencji Prasowej SA.

Organizator krakowskich Targów Książki, którym jest firma Targi w Krakowie SA, zapowiedział, że w roku przyszłym podczas jubileuszowych dziesiątych Targów część imprezy poświęcona zostanie pamięci Jerzego Giedroycia.

C.R.

UŚMIECH DOBRY NA WSZYSTKO!

Złota polska jesień, Wisły modra toń i zanurzone w to wszystko małe miasto o 680-letniej tradycji to sceneria, w której już po raz trzeci odbył się Europejski Przegląd Małych Form Teatralnych Osób Niepełnosprawnych – Terapia Śmiechem. Mowa tu o Solcu Kujawskim, który leży na skraju Puszczy Bydgoskiej prawie w połowie drogi między Toruniem a Bydgoszczą. To właśnie tu 21 października br. na scenie Soleckiego Centrum Kultury wystąpiła grupka niepełnosprawnych aktorów z ośrodka Diakonii Śląskiej w Żukowie razem ze swoimi kolegami z czeskocieszyńskiego gimnazjum, rekrutującymi się przede wszystkim ze Szkapy, czyli jednym słowem "Kontakty". Tak bowiem nazwano ten wspólny projekt, który ma już za sobą siódmą jesień i wiele udanych wystaw plastycznych i występów. Ten ostatni także należy zaliczyć do bardzo dobrych. Zupełnie nowy skład grupy i zmiany w obu zaprezentowanych etiudach – "Ręce" i "Sny" – nie miały poważniejszych konsekwencji dla powodzenia przedsięwzięcia. Zresztą widownia nagrodziła gromkimi oklaskami to, co zobaczyła. Oba nasze spektakle odbiegały trochę od estradowo-kabaretowego klimatu, jaki panował w większości prezentacji, ale dzięki kontrastowi i szczęśliwym zakończeniom przegląd wzbogacił się o nowe wartości i przeżycia. A my sami też skorzystaliśmy, widząc wiele nowych i pomysłowych rozwiązań.

W ramach tegorocznego przeglądu uczestnicy mieli możliwość obejrzeć wielce ciekawą wystawę karykatur Lesława Kuczerskiego, która świetnie komentowała mnóstwo współczesnych nam spraw i sprawek. Była też okazja do odbycia Warsztatów Terapii Śmiechem, które prowadził wraz ze swoimi wolontariuszami sam "Dr Clown" z fundacji o tej samej nazwie. Piękna lekcja tego, jak można połączyć przyjemne z pożytecznym. Imprezę z werwą i szykiem prowadziła Joanna Bartel, znana z telewizyjnego serialu "Święta wojna". Cały przegląd, czyli 24 przedstawienia w wykonaniu 197 aktorów, był na żywo relacjonowany w Internecie! A to jeszcze nie wspominam o masie innych niespodzianek i pomysłów, które miały tu miejsce.

Co dodać jeszcze na zakończenie? Przed grupą zapalonych organizatorów trzeba chylić czoła, gdyż wszystko przebiegało sprawnie i z uśmiechem. Zaś niezmordowanej pomysłodawczyni Irenie Osińskiej należy pogratulować pomysłu, podziękować za gościnność i życzyć jeszcze wielu tak udanych "terapii", gdyż: *Śmiech to zdrowie, w Solcu każdy ci odpowie!*

WŁADYSŁAW KUBIEŃ

KAZIMIERZ JÓZEF WĘGRZYN

POWITANIE

kłębią się tłumy
w supermarkecie
już dziś wigilia
czy państwo wiecie?

świecą reklamy
tęczą pozorów
aby wywołać
magię wieczoru

głośniki wrzeszczą
że Jezus przyszedł
a Matka niesie
Jezusa w ciszę

wśród nocnych krzyków
kłótni i sporów
czekali Boga
tego wieczoru

a On w stajence
leżąc na sianie
cicho zapłakał
na powitanie

KOLĘDA CIESZYŃSKA

nie latarnia a serce
niechaj ją ogrzeje
gdy siedzi pod rotundą
kołysząc nadzieję

anioł z głębi nocy
patrzy poprzez drzewa
pies wierniejszy niż człowiek
stopy jej ogrzewa

śnieg już świerki otulił
gwiazda dziwnie płonie
Matka Bogu okrywa
i ciało... i dłonie...

pod Rotundą wśród nocy
Matka Boska czeka
kiedy gwiazda pierwszego
sprowadzi człowieka

aby mogła tej nocy
bez obawy i trwogi
móc przekroczyć przyjazne
wszystkie ludzkie progi

TYLKO CI CO MOCNO WIERZĄ...

już nie będzie tak jak kiedyś
na niebieskim niebie
chociaż złotych gwiazdek więcej
to żadna dla ciebie

gwiazdy świecą dla bogaczy
dla tych co uznali
że to oni będą dzielić
to co nam zabrali

więc uznają taką wolność
i opiszą wzorem
że co dla nas jest najświętsze
to dla nich folklorem

i z dystansem będą patrzeć
pokrętnie dowodzić
bo nie mają w konstytucji
że dziś Bóg się rodzi

i wydzielą ci w procentach
czerwieni i bieli
pot zostanie w polskiej ziemi
a złoto w Brukseli

tylko ci co mocno wierzą
ocalą nadzieję
bo gdy Bóg się w sercu rodzi
wtedy noc truchleje

Z tomiku: WIGILIA POD PSIĄ GWIAZDĄ
(kolędy i elegie)
Kubalonka 2004

LEON DERLICH

BARBORKA

(Opowiadanie z Karwiny lat dziewięćdziesiątych XIX wieku)

Kiedy wiadomym się stało, że Francek Wicherek i Ząbkulina Barborka mają wkrótce zmienić swoje narzeczeństwo w uświęcony związek małżeński, ludzie w Dziedzinie, żywo poruszeni tą niezwykłą nowiną, nie mogli się uspokoić. Biorąc pod sąd i ocenę wszelkie możliwe powody tego ich nagłego i nieoczekiwanego postanowienia, nie umieli zwłaszcza doszukać się jaśniejszych stron sprawy, to jest takich niezbędnych u obu zalet charakteru tudzież okoliczności, które by wróżyły dłuższe trwanie związku i które by pozwoliły przewidywać wierność wzajemną i pełną miarę szczęścia w ich przyszłym pożyciu. Zaiste niełatwo było wyrokować sprawiedliwie, pomimo że wszyscy, młodzi czy starzy, znali obu całkiem z bliska. Od dziecka wprawdzie wyrastali zarówno on jak i ona na oczach nawsia oraz okolicznych kolonii górniczych, ale każdy jakże zgoła inaczej.

Francka zaliczano już od paru pięknych lat do dojrzałej części młodzieży i nazywano "lekkim", co nie było bynajmniej pochwałą, choć także nie potępieniem ostatecznym. Boć żył on sobie doprawdy jak wicherek lekko, beztrosko. Lubił ruch nieustanny wokół siebie, rad się bawił społecznie, tańczył, dokazywał. Niejeden wieczór - między potańcówkami, czyli muzykami weselnymi we wtorki czy soboty - spędzał w dobrej kompanii, do udziału w zabawach różnych, kawałach figlarskich albo do zwykłej gry w karty usilnie pociągany. W domu zjawiał się i miejsce zagrzewał prawie tyle jeno, żeby po szychcie się umyć i przespać chwilkę albo pojeść trochę przed pójściem do pracy. Zawsze wesół i dowcipny, przy tym wcale postawny, był mile widzianym gościem na szkubaczkach i częstym drużbą na weselach, mimo to spośród roju dorodnych panien na wydaniu żadnej nie wyróżniał dotąd przez dłuższy czas; jak mawiał - ażeby innych nie krzywdzić i wszystkich z wyjątkiem jednej wybranej sobie nie zrazić. Zarabiał nieźle, jako młody robotą jeszcze niezużyty rębacz, ale pieniądze się go nie trzymały i od prawdziwej biedy ratowała go każda nowa wypłata. Sam nie wyobrażał sobie, jak mógłby się kiedykolwiek ożenić.

Gdy wybuchła bomba o zaręczynach Francka z Barborką przeciwnej Ząbkule i o bliskim już jakoby weselu, nikt z początku nie chciał wierzyć. Powątpiewano powszechnie. Później, gdy to i owo z zapowiedzi się sprawdzało, gdy wreszcie jednej niedzieli narzeczeni "spadli z kazalnicy" po raz pierwszy i nie dało się już zaprzeczać, wtedy krążyć poczęła wśród ludzi wiadomość poufna, że owszem, musi się Wicherek z Ząbkuliną na gwałt żenić. Bo obaj coś tam "nawarzyli społem" i stara teraz gotowa by go zaszczuć i zatłuc na śmierć, gdyby jej córkę, oszukaną, w sromotnej hańbie zostawił. Jak się wszak miało okazać po weselu, była to plotka tylko, złośliwa i wstrętna. Barborka była dziewuchą niezepsutą, ale wprost przykładnie posłuszną i porządną. Zaś jej matka, kobieta wielce doświadczona i zapobiegliwa, uparta, wytrwała i nieulękniona, w dodatku władająca językiem obrotnym, zdolna była obronić swoją córkę najmłodszą zawsze przed wszelką krzywdą, ustrzec przed niecnymi zamiarami kogokolwiek. Przy sposobności właśnie ożyły niezapomniane wspomnienia o nieboszczyku Ząbku. Był on za swojego życia górnikiem nad wszelką miarę tęgim i pracowitym, atoli poza kopalnią, poza pracą na dole myślała za niego i wszystko postanawiała prawie wyłącznie żona. Przed laty przyszedł spod Cieszyna, tu w Dziedzinie się ożenił, po czasie żona zakupiła niewielkie gospodarstwo. To niestety, zaledwie długi pospłacała, zgorzało i było trzeba się odbudowywać, własnoręcznie rzecz oczywista, bo od czegóż był zręcznym murarzem i cieślą... Doprawdy, niemało natrudził się górnik Ząbek koło chałupy, z myślą o rodzinie, o żonie i dzieciach. Do szynku na półkę, dla zwykłego spłukania prochu w gardle, nie odważył się wstąpić wespół z kamratami jak długi rok. Zawsze miał spieszno do domu, bo tam czekała na niego niecierpliwiąca się żona i nieustannie pełno roboty. W izbie czy kuchni wolno mu było usiąść - tak opowiadano sobie między bracią górniczą - tylko tam, gdzie mu wyznaczyła żona. Kiedy razu pewnego w przodku nad głową klęczącego Ząbka uwolnił się nagle ogromny klin skalny i zabił go na miejscu, towarzysze pracy, stojący w skupieniu nad stygnącymi zwłokami, orzekli zgodnie: "Mioł boroczek ciynżki żywot, ale lekóm śmierć!"... Wdowie, kobiecie nawet dzielnej, lecz ponad zdrową miarę zawziętej, nie zapomniano nigdy tamtych szczegółów, obecnie zaś powiększały one ogólne powątpiewanie. Niektórzy, zwłaszcza górnicy pamiętający Ząbka szczególnie dobrze, wprost powiadali: "Wpod Francek nieszczyńśliwie i utopi sie borok!" Aczkolwiek z drugiej strony byli znowu tacy, co znali Barborkę całkiem z bliska i byli święcie przekonani, głośno wypowiadając swoje zdanie, że zasłużyła sobie porządniejszego człowieka i choćby najlepszego z karwińskich pachołków za męża. Dowiedziano się na koniec, że młodzi będą mieszkać ze starą pod jednym dachem, w jej chałupie, i wtedy zawyroko-

wano prawie jednomyślnie: Wicherek nie da się starej komenderować, rychło naje się i młodej i najdalej do pół roku wystrzeli Ząbkulom z chałupy, ucieknie jak ptak z klatki i raz na zawsze. Bo gdzieżby tam on pokutował u starej sekutnicy, jak zdołałby żyć tak bez wesołej gromady, bez muzyki, zabaw, pohulanek... widział to świat?!

Po uroczystym ślubie, obfitej uczcie weselnej oraz hucznej muzyce u Sakrajdy mijały miesiące. Co dbalsze o należytą obyczajowość swoich znajomych i bliźnich osoby w Dziedzinie śledziły uważnie i wytrwale, lecz zgoła żadne z licznych złowieszczych przepowiedni nie chciały się spełnić. W niedziele i często przez tydzień widywano młodych razem i bez końca rozmiłowanych w sobie. Tacy ukazali się na jednej i drugiej zabawie karnawałowej. Sławny wodzirej Francek Wicherek, owszem, to żadne dziwy. Ale Barborka, ta pod fartuchem przeciwnej Ząbkule wychowana, czujnym okiem pilnie strzeżona na każdym kroku, nagle oto tak bez dozoru, bez matczynej asysty... widział to świat?! ... Na dobitkę nikt nigdzie jeszcze nie dosłyszał, żeby stara pomstowała albo co pół gębą jeno wygadywała na zięcia. Chodziła nieraz nachmurzona i dziwnie jakaś małomówna, zamknięta w sobie. Gdy na zapytania bliższych znajomych było już trzeba koniecznie coś odpowiedzieć, to raczej tylko chwaliła. Chwalił też sobie ożenek, a nawet swoją teściową Francek. Twarz Barborki stale promieniała pogodą i szczęściem. Minęły tak trzy lata i stara Ząbkula już drugie Barborczyne niemowlę pomagała kolebać albo nosiła w piastowaczce. Zauważano nierzadko, jak w czynnościach tych żonę albo teściową wyręczał Francek, wcale zadowolony z tej swojej roli. Wszystko w ogóle zdawało się świadczyć niezbicie o tym, że w Ząbkulinej chałupie, na złość proroctwom wszelkim oraz przewidywaniom, panuje zgoda przykładna i błogie, niezamącone szczęście.

Nie znali ludzie całej istotnej prawdy. Nawet najbliżsi sąsiedzi bardziej domyślali się niż wiedzieli, że życie w chałupie drży niepokojem bezustannym, że między starą, a zięciem pełno tłumionych tarć i nieporozumień dla spraw codziennych i przedawnionych całkiem, że ciąży zwłaszcza nad wszystkim długi, zaciekły spór z racji przyrzeczenia, które Francek dał starej przed ślubem i na uczcie weselnej wobec gości powtórzył głośno. Zdawało się mu wówczas, że wypowiada je ot tak, z grzeczności tylko, Ząbkula wszakże rozumiała dane słowo jako uroczystą przysięgę, ślub, jedynie mogący zabezpieczyć Barborce godziwe życie, bez ujmy oraz trosk o dzień jutrzejszy. Niewątpliwie Francek, za swobody swojej kawalerskiej znany szeroko z beztroski lekkoduch, jako małżonek i zięć ustatkował się nadspodziewanie. Wypłaty swoje oddawał Barborce w całości i ona pamiętać musiała, żeby nie chodził bez grosza w kieszeni. Ochotnie, jak gdyby wzorem starego Ząbka, krzątał się koło domostwa

oraz kawałka pola, teściowej nie zapomniał drew narąbać i wody zawsze do wspólnego baniaka nanosił ze studni w jarudze. Jeśli więc czasem coś małowiela zgrzeszył przeciwko uświęconemu obyczajowi domowemu, córka ukrywała to skrzętnie przed matką. Ilekroć zanosiło się w domu na burzę, zapobiegliwa Barborka łagodziła wszystko zręcznie, zasłaniała jednego przed drugim. Gdy stara na osobności łajała córkę za brak stanowczości i pobłażliwość wobec Franckowych uchybień, ta rozbrajała ją potokiem gorących słów i łez, a w ostateczności i cichą groźbą, że w razie czego z dziećmi oraz Franckiem ucieknie do kolonii, a na dom ani nie popatrzy, i zawsze zwyciężała. Zdarzało się niestety od czasu do czasu, że Francek, wciągnięty przez kamratów do grona dla liczby albo jakiej nadzwyczajnej sprawy związkowej czy towarzyskiej, powrócił do domu późną porą, podchmielony. Po takim to wypadku zwykle stara, uniesiona świętym gniewem, wytaczała sprawę danego jej przez Francka uroczyście zapewnienia, że po weselu zmieni kopalnię, że przejdzie z szybu Jana na Gabrielę. Tam brat jej, zajmujący stanowisko starszego, wielce poważanego dozorcy, był każdej chwili gotów przedeptać mu miejsce, zapewnić przyjęcie za hajera albo i za maszynistę wyciągowego, tedy robotę z widokiem pięknego zarobku. Domyślny Francek rozumiał dalekosiężne zamiary teściowej. Małoż to nasłuchał się choćby tylko wszelakich przestróg?... Kochał pewną miarę wolności osobistej i bał się, by go ludzkie języki nie przyrównywały zanadto do starego Ząbka, tragicznie zmarłego ojca Barborczynego. Z wielu powodów tedy, pomimo że był z natury zgodliwy i skory do ustępstw, wykręcał się. Co pewien czas obiecał, tłumaczył zwłokę, zapominał i znowu przyrzekał, na koniec okazało się, że go z kopalni po prostu nie myślą zwolnić, że mu nie chcą dać książki. Uparł się któryś tam urzędnik czy inżynier i jak tu znaleźć uprzejmy, a skuteczny sposób na takiego. Stara Ząbkula trochę wierzyła, lecz z biegiem czasu dostrzegała coraz wyraźniej krętactwo i wyczuwała zmowę podstępną przeciwko sobie. Wrzała wewnętrznie i nabrzmiewała gniewem coraz sroższym.

Aż raz przebrała się miara wszystkiego.

Francek wyszedł z domu pod wieczór jakoby na krótko całkiem. Zapadł atoli zmrok, minął długi wieczór, na wieży kościelnej dawno odbiła północ... Coś podobnego, jak był żonaty, jeszcze mu się nigdy nie przydarzyło! Nareszcie dały się słyszeć nierówne kroki, szedł słaniający się mocno; nieśmiało zastukał w okno. Żona, śmierdzącego z daleka gorzałą i usprawiedliwiającego się rozpaczliwie czułymi słowy, odepchnęła szorstko i zniknęła za drzwiami izby, gdzie spały dzieci. Z ciemnych kątów kuchni wypełzło i Francka otoczyło głuche, złowrogie milczenie. Świadom przewiny swojej usiadł ciężko na ławie jako prawdziwa kupka nieszczęścia.

częścia, srodze zakłopotany, bezradny. Aż oto i dojrzał zjawiającą się postać teściowej.

- Kajś ty sie tak świńsko dorómboł? - rzuciła pytanie nabrzmiałe złością.

- Po kieliszku-chmy wypili, mamulko... - zaczął się bronić.

- A to z jednego kieliszka tak cie pamiyńć odeszła, żeś zapómnioł, kiedy sie chodzi dudóm, przi miesiónczku nie rozeznoł cesty ku chałupie i błónkoł sie kajsi do trzeci w nocy, co?... Mów prowde, chacharze, z kim eś kaj chlastoł, z mandorami sie całowoł?! - przerwała mu i pytała niczym prokurator zbrodniarza.

Podniósł głowę, ubodnięty obelżywym przezwiskiem "chachar". Zabolało go, że żona za drzwiami słyszała i może również podejrzewa go o wdawanie się z kobietkami. Odezwał się podniecony:

- Kie prowde, tak niech bydzie prowda! Byłech na Kryku, Matuszowi-chmy winszowali na piyńdziesióntke, potym do Fafuły my sie stawili. Radzili my o robocie, o polityce, popijali... i zasiedzieli sie.

- Pinióndze utracosz, iskierki sumiynio ni mosz z babóm, dzieckami, ze żodnym!

- Na dyć, przeca dowóm Barce całóm wypłate, dycki do grejcara...

- Toć! A za co ście pili caluśkóm noc, jak ni ze zorobku, z wypłaty? Za czyji wóm żyd nalywoł, rada bych wiedziała! Powiydz, za co, ty diobli kocyndrze!?

Znowu obelga, której nie znosił, jakiej tu w domu jeszcze nie słyszał. Wezbrał gniewem, ale opanował się. Zapatrzony w kąt pod oknem naprzód powtórzył pytanie, po czym jął opowiadać powoli, jak gdyby nic, dziwnie spokojny:

- Za co-chmy pili? - Chm, wielko sztuka. Każdy zwyńdzi cosi we werku i przedo, i tak mo za co pić, drugim fóndować. Na przikłod jo. Oto-ch ukrod szwóngrot, koło od wodniory. Nie mówcie tego, mamulko żodnymu! I sprzedoł ech go jednymu panoczkowi do Ostrawy za piyńć ryńskich: bo tela zóń płacóm. I tak ech też dzisio fóndnół, po kamracku-chmy wypili.

- A ni ma to wieczno szkoda, nie było ci łuto? Piyńć ryńskich, Pónbóczku świynty! Ni ma rozumu!... Dobrze... Coch miała prawić... a kiedy ty mie roz przestaniesz już cyganić, że cie nie chcą puścić ze szachty? Kiedy ty przyńdziesz na te Gabryjele? Odpowiadej, jak cie sie pytóm!

Ale tego nagłego zwrotu do najistotniejszej sprawy winowajca już nie dosłyszał, udający śpiącego albo rzeczywiście snem zmorzony.

- Ty, Francek! - wrzasnęła, trącając na wpół leżącego.

Zakrztusił się lekko, skurczył, jak gdyby mu było zimno i... głośno zachrapał. Nie było rady.

– Poczkej, ty łachu, ty kocyndrze stodiobelny! Już jo ci pómogym! – pogroziła śpiącemu pięścią.

Odchodząc, rzuciła złe spojrzenie na córkę, stojącą milcząco w uchylonych drzwiach pokoju. Zawarła za sobą drzwi do sieni z trzaskiem. W odpowiedzi szyby w oknie zajęczały cicho i chałupa cała utonęła w ciszy grobowej.

O świcie Francek cicho wymknął się z domu na drogę do pracy. W oddali na końcu zagonów zobaczył teściową, pochylającą się raz po raz do ziemi, pewno zbierała w ziemniakach liście oraz chwasty krowie ku dojeniu. Później, w dzień powszedni jak inne, stara Ząbkuła, po świątecznemu przyodziana, zapukała do drzwi zawiadowcy Franckowej kopalni. Dosłyszawszy stłumione "Herein!", weszła.

– Pochwalóny... – pozdrowiła nieśmiało. Ogromnie rada była w duchu, że dobrze trafiła, a głównie, że zastała go samego.

– Was ist los... co chcete? – rzucił zawiadowca przybyłej sucho.

– Jo, panie dyrechtór – zaczęła – jo przisłach sie polutować na ziyńcia moigo, a ónym doradzić, żeby sie nie dali tak okrodać tej zgraji. Bo szachte im całóm rozkradnóm i przepijóm!

– A kterzi, odkud to wite? – zapytał.

– Dyć sie jyny podziwajóm, pieknie proszym, co sie to dorobio wszyńdzi po gospodach! Mało, że utracajóm wypłaty całe, to jeszcze każdy kradnie na szachcie, co uwidzi! Sprzedujóm to, a potym sie pije w putykach do rana, przezywo na grofa, na panów!

– Socyjaliste?!

– Czym gdo wiynkszy darybok abo złodziej, tym wiynkszy socyjalista, świynto prowda to jest, panie dyrechtór! – przytaknęła żywo, pewna już swego. – Złodzieji wyciepać z roboty, gospody pozawiyrać...

– Gut, gut! A mate dukazy, gdo co ukrad? – przerwał jej zawiadowca.

– Na dyć oto, nie przimiyrzając, mój ziyńć piyrszy! Ale... niechajóm se to dlo siebie, pieknie ich proszym, panie dyrechtór, nie dowajóm tego bróń Boże szantaróm! Jo całóm szkode zapłacym szachcie! Jyny tego mojigo ziyńcia wydalóm z roboty, dajóm mu ksiónżke. Jo już móm dlo niego insze miejsce, robote kaj indzi, co nie bydzie mioł tela tej zgraje kole siebie, nie bydzie móg tela gałganić! A cera bydzie mieć moja spokojniejsze życi!...

– No gut, ale co on ukrad?

– Koło od wodniory, panie dyrechtór! Szwóngrot jakisi! Piyńć ryńskich mu doł zóń jakisi panoczek z Ostrawy! I całe piniónądze przepił ze swojóm bandóm ze szachty! Przisoł dzisio po północy nieskoro, pijany jak świnia. Tóż jo na niego schórta, że babe ożebraczo z dzieckami. On mi na to, że z wypłaty nie przepił ani grejcara. Jo z gymbóm, skónd mioł piniądzie, wywijałach mu piyńściami nad głowóm, aż sie przizno. Wyśpiy-

wol wszystko, co i jak było! Ale, panie dyrechtór, żeby sóndu nie było z tego jakigo, rozgłosu i gańby dlo moji cery, nó i dlo mie, panie dyrechtór, bardzo pieknie ich proszym! Ónymu jyny, ziyńciowi mojimu, dajóm ksiónżke! Szkoda jo szachcie...

- Hergot, a wite wy - przerwał jej zawiadowca, ubawiony historią - co to jest szwungrad od wodniory? To je koło żelazne takowe, żeby ho tu do kancelarza ani polowiczka newlezła. Rozhani maszinu, ktera wodu pumpuje z celeho dolu na wyrch! Gdyż ho nowe stawieli, wite, to patnact lidzi mielo cały tyden co dziełać, haha! Sakra, ale was ten wasz zieć podarzeny ociganil, hergot, ten si z was udziełał blazna! Jak se on menuje, ten wasz zieć? Haha!

Daremnie pytał, bo stała oniemiała, dysząca ciężko, jakby z obłędnym przerażeniem w oczach. Dopiero, gdy ubrany już zmierzał do wyjścia, oprzytomniała na tyle, że, potykając się za wychodzącym, jąkała:

- Pa... panie dyyrrechtór, prze... przeboczóm! Jo... nie chciała żżodnymu źle... Przebo... - Zamilkła wobec pustej sieni. Wyszła.

Dopiero na wolnym powietrzu oprzytomniała z oszołomienia. Przyśpieszyła kroku, żeby już być jak najdalej od kopalni. Po drodze do domu porządkowała w myśli przeżyte sceny, całą treść niesamowitego wydarzenia. Tak zakończeniem wszystkiego, całego jej nieszczęścia, może być teraz tylko zemsta, zemsta straszliwa i nieubłagana na szubrawcu przeklętym. Nie znajdowała wyzwiska dostatecznie potępiającego ani kary dość srogiej dla niego. Progu nie pozwoli mu więcej przestąpić, wrzątkiem go oparzy, pomyjami obleje, niech się cały świat dowie!... Winowajca i skazaniec znajdował się tymczasem jednak z dala od jej ręki, głęboko pod ziemią, nieosiągalny. Tak tedy przed córką rozlała całe morze goryczy swojej oraz żądzy odpłaty piekielnikowi nikczemnemu za krzywdę swoją, za sromotny wstyd, za upokorzenie okrutne, nieopisane. Współczująca najszczerzej z matką Barborka słuchała cierpliwie i czekała, aż uspokoją się cośkolwiek najgwałtowniejsze fale wzburzonych uczuć. Sama potrzebowała czasu, ażeby się uspokoić i zebrać myśli. Wreszcie zapytała powoli, słowo za słowem:

- Mówiliście, mamulko moja, dyrechtorowi, jak sie nazywocie, albo Francek jak sie nazywo. Spómnijcie se dokładnie, mamulko!

Zaskoczona dziwnym, a dobitnym pytaniem córki nie umiała naprawdę sobie przypomnieć, jak było właściwie. Coś zdawało się jej, że zawiadowca zapytał o nazwisko zięcia, a ona, jakby rażona, nie była zdolna pół słowa wyrzec. Nie, chyba nie powiedziała nic, ani swojego nazwiska, ani Francka. Na sam koniec zaprzeczyła stanowczo.

- A był tam u dyrechtora jeszcze gdo, taki, co by was znoł? - wywiadywała się dociekająca dalej.

– Ni! Żodnego tam nie było oprócz nas dwóch! – odrzekła stara bez wahania.

– Tak widzicie, mamulko moja złoto! – zauważyła Barborka triumfująco. – Dyrechtór was nie zno, ni może znać, bo skónd by was znoł! Tak ani nie wiy, gdo to był u niego, ani też nie wiy, o kierym hawiyrzu sie mówiło; mo ich pore set pod sobóm! Tak ni ma sie co boć ani sie starać. Jakby sie dyrechtór chwolił przed ludziami i Francek to słyszoł? Francek był w nocy pijany i naisto nic z tego nie pamiynto, co po pijanymu bojoł! Tóż widzicie, mamulko, czymu byście mieli zaczynać wojne z Franckym, aby sie dowcipił? Aby świat dowiedzioł sie o ostudzie w naszej chałupie, usłyszoł, jak eście wpadli nieszczyńśliwie? To by było radości!... Wiycie, mamuliczko, co? Nie mówmy nic – nie bydzie nic i basta! – zakończyła swoje roztropne wywody z mocą i w serdecznym uścisku objęła matczyne ramiona.

Stara Ząbkula poczuła się rozbrojoną. Historii nie było co zaczynać, zbytecznie robić rozgłos; niepotrzebnie by się jeno ośmieszała. Źli ludzie wzięliby sprawę na wielki bęben i tyle. Światu by zgotowała radość, a w domu, kto wie, na czym by się skończyło. Nie ma co, Barborka najmądrzej radzi: nie mówmy nic, nie bydzie nic. Stłumiła w sobie tedy największy gniew, tylko jedno postanowiła mocno, że długo słowem nie odezwie się do zięcia; choćby ją kto prosił i błagał. Na szczęście Francek nic nie pamiętał, co pijany w nocy i senny opowiadał. Albo może złajany surowo przez Barborkę świetnie udawał, że nic nie pamięta, prócz tego, że Matusz z Kryku oraz kamraci przytrzymali go u Fafuły i że kiedyś nad razem przywlókł się do domu. Czuł się winnym, dlatego teraz tudzież w następnych dniach oraz tygodniach starał się zgadywać myśli żony, teściowej, żeby jeno nie było trzeba dużo mówić. Na zajścia fatalnej nocy oraz następnego dnia padła w domu na zawsze szczelna zasłona milczenia. Zawiadowca kopalni ten, owszem, opowiedział zdarzenie szczegółowo na najbliższej herbatce u znajomych. Lecz nie zdołał przy najlepszej swej chęci podać nazwisk, ani kobiety, ani jej zięcia-górnika. Dlatego ostatecznie uznano słyszane za znakomity dowcip, sposobny, żeby go opowiadać dalej, innym.

Z upływem czasu pompy jak i inne urządzenia kopalniane znacznie zmieniły swój wygląd. Starodawne "wodniory", lokomobile z olbrzymimi kołami rozpędowymi dawno poznikały z kopalń karwińskich. Zmarła stara Ząbkula, dożywszy sędziwego wieku, otoczona miłością córki Barborki, zięcia, ich dzieci oraz całej licznej rodziny, poważana przez szeroki krąg sąsiadów i znajomych. Pomarli wreszcie – nieznani – wszyscy bezpośredni uczestnicy zdarzenia. Pozostała tylko i żyje sobie wśród ludu górniczego wesoła pijacka anegdota o gniewliwej teściowej oraz jej niepoprawnym zięciu, co koło rozpędowe maszyny parowej na kopalni ukradł i przepił.

POETA I TŁUMACZ

Dziwnym trafem zbiegły się w bieżącym roku dwie wielkie rocznice: oto niedawno Czesi uczcili setną rocznicę urodzin i dwudziestą śmierci swego wybitnego poety Vladimíra Holana (1905–1980), my zaś obchodzimy 150 rocznicę śmierci Adama Mickiewicza (zmarł 26 listopada 1855 roku). Może i niewiele wynikałoby z tego zbiegu dat, ważnych dla każdej z osobna kultury: czeskiej i polskiej, gdyby nie istniał pewien fakt intertekstowy, który obie owe kultury ku sobie zbliżył. Otóż Holan, który prócz wybitnej twórczości własnej ma w swym dorobku także przekłady dzieł poetyckich, i to z wielu języków, był między innymi tłumaczem Mickiewicza, przełożył bowiem jego młodzieńcze arcydzieło – dwa cykle sonetów: sonety erotyczne (nazywane także *Sonetami odeskimi*) oraz *Sonety krymskie*. Oba te cykle wydane zostały przez poetę w jednym tomie w Moskwie w roku 1826, w czasie jego pobytu na zesłaniu w Rosji.

Nikołaj N. Nowosilcow, carski urzędnik i inspirator procesów przeciwko młodzieży polskiej w Wilnie, w tym przeciwko Towarzystwu Filomatów, którego członkiem był Mickiewicz, nigdy by się nie spodziewał, że zesłanie poety, mające tego ostatniego "nauczyć rozumu" poprzez pokazanie mu potęgi Rosji i uświadomienie bezowocności jakichkolwiek spisków przeciw niej, że więc zesłanie owo stanie się dla młodego twórcy szkołą samouświadomienia własnych poetyckich możliwości. Mickiewicz trafił bowiem w 1824 r. do Rosji, w której narastała opozycja przeciw despotyzmowi caratu, Rosji spisku dekabrystowskiego, a towarzysząca mu fama zesłańca politycznego i poety była wizytówką otwierającą przed nim drzwi zarówno arystokratycznych salonów literackich jak i kręgów spiskujących.

Młodego romantyka przyjmowano więc jako polskiego Byrona, powiew kultury Zachodu, którą uważnie śledzono i podziwiano, zapraszano go też na wieczorki towarzyskie czy literackie, a nawet na atrakcyjną wycieczkę na Krym. Odbył ją w towarzystwie emablującej go, pięknej, choć – jak się w późniejszych badaniach okazało – zabawiającej się szpiegostwem Karoliny Sobańskiej (siostry uwielbianej przez Balzaca Eweliny z Rzewuskich Hańskiej), adorującego ją rosyjskiego generała Wittego (wysłanego na Krym z tajną misją), Henryka Rzewuskiego (twórcy nowego gatunku literackiego – polskiej gawędy) i kilku innych osób. Nowe wrażenia z nigdy nieoglądanych okolic (morze i góry, Orient w pigułce), adoracja pięknej i wytwornej kobiety (nie tej zresztą jedynej), możliwość prowadzenia rozmów literackich – wszystko to stwarzało atmosferę, która wzmagała siły twórcze Polaka, i nic dziwnego, że wkrótce zaowocowało niezwykłymi utworami, jakimi z pewnością były oba cykle sonetów.

Mickiewicz sięgnął po starą formę literacką, powstałą we Włoszech, doprowadzoną do szczytów artyzmu przez Petrarkę i uprawianą w Polsce od czasów Kochanowskiego. Formę bardzo trudną, bowiem wymaga ona niezwykłej dyscypliny i pomysłowości od twórcy. Sonet składa się z dwu czterowierszy (tetrastychy) i dwu trójwierszy (tercyny). Dwie pierwsze zwrotki rymujące się według określonego wzoru (abba abba) przynoszą zazwyczaj opis sytuacji uczuciowej lub krainy; dwie zwrotki trójwersowe o schemacie rymowym bardziej urozmaiconym (cdc dcd, ale i innym) zawierają refleksję, uogólnienie sensu całości, często wyrażone w formie sentencji, która łatwo staje się przysłowiem (jak np. słynne Mickiewiczowskie zakończenie *Stepów akermańskich:* "Jedźmy, nikt nie woła!").

Tę klasyczną, wyrafinowaną formę Mickiewicz pojął jednak w sposób zgoła nowatorski. Wywołało to z kolei oburzenie tzw. "pseudoklasyków" warszawskich i kiedy *Sonety* dotarły do stolicy, jedna z czołowych osobistości Parnasu warszawskiego - Kajetan Koźmian - ze zgrozą pisała, że "wszystko to bezecne, wszystko może krymskie, tureckie, tatarskie, ale nie polskie". A było to po prostu: romantyczne.

Sam pierwszy cykl zresztą, a więc *Sonety odeskie,* nie poruszyłby tak klasycyzującego środowiska warszawskiego. Będąc odbiciem przeżyć i nastrojów okresu, w którym według słów samego poety żył on "jak basza", cykl ten bliski stawał się treściami tzw. anakreontykom - utworom sławiącym życie, erotykę, wino, biesiady. Ale Mickiewicz nie byłby sobą, gdyby i tutaj nie wprowadził czegoś nowego, związanego z romantyzmem. Owym *novum* jest bohater sonetów nazywany także podmiotem lirycznym, nierzadko tożsamy z autorem. Nie jest nim człowiek, który sławi jedynie rozkosze życia, lecz człowiek, który ulega wyraźnym przemianom: z początku jakby jeszcze hołduje sentymentalizmowi, idealizując "kochankę" - przedmiot swych "miłośnych zapałów" (mówiąc słownikiem ballad Mickiewicza). Ale wkrótce ów podmiot-bohater wierszy, obserwując życie pełne rozkoszy, miłości zmysłowej, dziś byśmy powiedzieli: śmiałej erotyki, seksu - zaczyna odczuwać gorycz obcości, by w końcowych sonetach wyrósć ponad ów świat i osądzić go. Następuje zderzenie ideologii i estetyki dwu prądów: klasycyzmu i romantyzmu i zwycięża ten drugi. Nic dziwnego, że wywołało to zdumienie i oburzenie.

Jeszcze większy szok czekał klasycyzujących czytelników cyklu drugiego, poświęconego Krymowi. Klasycystyczny poemat opisowy (a w takiej formie ujmowano do czasów Mickiewicza opis poznawanej krainy) musiał zawierać dydaktyzm, musiał wykazać nie tylko, co podmiot liryczny widzi, ale i co wie o obserwowanym przedmiocie. Tymczasem spójrzmy na *Sonety* Mickiewicza: same tu domysły, pytania, dialog! Romantyk bowiem też opisywał, co widzi, ale przy tym ujawniał, jak to przeżywa. W utworach pojawiły się światłocienie, koloryt lokalny, perspektywa, pojawiły się te same - a jakże inne! - widoki obserwowane w dzień i w nocy. Pojawiła się emocja. A najważniejsze: pojawiła się nowoczesna psychika, która wie, że spostrzeżenia zmysłowe mogą być

złudne (jak często Pielgrzyma koryguje przewodnik-Mirza!). A przy tym, co za logika i dokładność obserwacji choćby w *Stepach akermańskich!* Najpierw widok, jakże pięknie ujęty w konsekwentne porównanie stepu do oceanu i wozu do łodzi, a więc obserwacja wzrokowa, potem, kiedy się ściemniło, trwa jeszcze obserwacja wzrokowa - poszukiwanie gwiazd, którymi kierowali się żeglarze - ale następnie oddziałują już tylko dźwięki, doskonale słyszalne na pustkowiu, w wielkiej, wieczornej ciszy.

Cykl Mickiewicza układa się jednak w uporządkowaną terytorialnie podróż. Podróż egzotyczną. Romantycy uwielbiali Wschód. Najczęściej był to Bliski Wschód. Temat *Sonetów krymskich* objawił Wschód bliższy polskiej kulturze, Wschód, z którym łączyły (i dzieliły) Polskę wielowiekowe zmagania. Wschód podany w wirze obrazów uwewnętrznionych, na tyle jednak odległy, by historia nie wyzwalała politycznych emocji. Jest tam jedynie historiozoficzne zamyślenie nad przemijalnością świata, które odebrać można jako profetyczne (prorocze) spojrzenie na mocarstwowość Rosji. Jest romantyczne przeświadczenie o tajemnicach i potędze Natury, zwyciężającej nad człowiekiem i jego cywilizacją. *Sonety* ustaliły nowy wzorzec opisowości w literaturze polskiej.

W Czechach *Sonety* przeniknęły do środowiska literackiego bardzo wcześnie. Już w 1827 roku pisał o nich pochwalnie F. L. Čelakovský, wynosząc je ponad sonety Kollára. Wielokrotnie je również tłumaczono (m.in. Josef Kolář, Václav Štulc, Jaromír Borecký, Václav Renč). Inspirowały też Czechów do przedsiębrania "podróży poetyckich" śladem Mickiewicza. Najczęściej motywem bywała chęć konfrontacji własnych wrażeń z tymi, które zamknął w swym dziele polski poeta. Dochodziło i do rozczarowań. Szczególnie przykrym rozczarowaniem była podróż na Krym dla J. S. Machara. Opisał ją w tomiku wierszy *Výlet na Krym* (1900), wśród których zamieścił cykl własnych *Sonetów krymskich,* a jest to jawna polemika z Mickiewiczem. Machar reprezentował odmienny od romantycznego, bo realistyczny kanon lektury (styl odbioru). *Sonety* czytał jak reportaż, zaś obrazy Mickiewiczowskie odbierał jak romantyczno-wschodnią, pełną przesady konwencję. Zaatakował więc romantyczną poetykę, a zwłaszcza jeden z głównych jej składników - wzniosłość.

Z o ileż większym zrozumieniem spotkało się dzieło Mickiewicza u Vladimíra Holana! Poeta ten ma w swym dorobku translatorskim (przekładowym) wiele utworów poezji światowej, w tym poezji orientalnej. Wyraźnie też, jako mistrz kunsztu poetyckiego, lubił opór stawiany twórcy przez sonet. Sonetów różnych autorów tłumaczył dużo i wychodził zwycięsko ze spotkań z tą trudną formą. Nie mogło być inaczej i w przypadku Mickiewicza, którego - jak i wielu innych autorów - tłumaczył z obcą pomocą; w tym wypadku posłużył się filologicznym przekładem Josefa Matouša.

Jeśli porównać przekłady różnych tłumaczy choćby tylko sonetu wprowadzającego, a więc wspomnianych *Stepów akermańskich* (a porównań takich dokonywali pracownicy uniwersytetu w Ołomuńcu - Hana Jechová i Oldřich Králík, i wyniki swych badań publikowali w uniwersyteckim piśmie naukowym

w r. 1956 i 1962), można zauważyć, jak daleko Holan odbiegł od nieudolnych, dosłownych przekładów swoich poprzedników (którzy na swoją obronę mają wszakże fakt, iż musieli się łamać nie tylko z trudnym poetycko tekstem, ale i z własnym językiem, nie zawsze - zwłaszcza z początku - zdolnym do wyrażenia wszystkich Mickiewiczowskich niuansów i finezji). Králík nawet przesadnie twierdzi, że Holan prześcignął samego Mickiewicza, bo spotęgował w sonecie wrażenie kontrastu ciszy i nasłuchiwania "głosu z Litwy".

Králík chyba jednak nie ma racji. Holan odczytał *Sonety* Mickiewicza jako cykl, całość z wyraźnym zamknięciem, którym jest sonet *Ajudah.* Poeta oznajmia w nim swoje zwycięstwo nad wszelkimi burzami żywota, namiętnościami, raniącymi głęboko, ale jednocześnie będącymi pożywką dla twórcy. To zakończenie wydało się Holanowi - patrzącemu na dzieło Mickiewicza z oddali stukilkudziesięciu lat, z perspektywy tragizmu dalszych losów Mickiewicza i tragicznego losu własnego - zakończeniem zbyt optymistycznym. Dlatego chyba zamknął całość niewłączonym do cyklu, niedokończonym sonetem *Jastrząb*, który rozpoczyna się strofą zawierającą symbol tułaczego ptaka-poety: *Biedny jastrząb, śród niebios porwała go chmura, / w obcy zaniosła żywioł i dalekie strony; / Morską przesiąkły rosą, wichrami znużony, / Śród ludzi na tym maszcie roztoczył swe pióra.* Zdaje się, że ślad takiej koncepcji twórcy skazanego na przeciwności i samotność odnajdziemy i w sonecie wprowadzającym, gdzie Mickiewiczowskie *Jedźmy, nikt nie woła!* tłumacz zastąpił słowami *Jeďme dál, vždyť nikdo nezavolá!* Formę dokonaną wprowadzono tu nie tylko dla wzmocnienia dramatycznego wydźwięku wiersza; słowa te stanowią własne dopowiedzenie Holana, dopowiedzenie jakby z perspektywy znajomości dalszego losu polskiego poety, ale i znajomości kondycji ludzkiej, skazującej człowieka często na samotność.

KRYSTYNA KARDYNI-PELIKÁNOVÁ

PS. A dla satysfakcji samodzielnego porównania oryginału i tłumaczenia przeczytajmy oba teksty. Może warto dokonać tego właśnie dziś, kiedy wiele utworów naszej i światowej literatury, niewciągniętych do kanonu lektur szkolnych, zapada w niepamięć, nicestwieje. Ale jedynie dopóty, dopóki ktoś - nierzadko przypadkiem, może właśnie z okazji rocznicy - nie zajrzy do nich, nie odkryje ponownie zamkniętego w nich piękna i nie poda z Archimedesowskim okrzykiem "Eureka!" swego odkrycia do publicznej wiadomości. Bo my, tkwiący w rzeczywistości medialnej, bełkocący jej językiem, zanurzeni w niebieskich światłach telewizorów coraz rzadziej zdajemy sobie sprawę z tego, że to oni, owe Miłoszowe "duchy lotne" przeszłości trwają jednak w nas w postaci dziedzictwa kulturowego. My żyjemy z nich, karmimy się ich myślą i odżywiamy ich pięknem, a oni wciąż - jeśli tylko im na to pozwolimy - mogą nam ukazać bogactwo świata, bo to oni są rzeczywiście żywi, nie zaś ci pozornie żyjący, a tak naprawdę martwi, otaczający nas bohaterowie bezmyślnej kultury obrazkowej.

Stepy akermańskie

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu,
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu;
Patrzę w niebo, gwiazd szukam przewodniczek łodzi;
Tam z dala błyszczy obłok - tam jutrzenka wschodzi;
To błyszczy Dniestr, to wzeszła lampa Akermanu.

Stójmy! - jak cicho! - słyszę ciągnące żurawie,
Których by nie doścignęły źrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,

Kędy wąż śliską piersią dotyka się zioła.
W takiej ciszy tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy. - Jedźmy, nikt nie woła!

Akermanské stepi *(thum. Vladimír Holan)*

Veplul jsem na prostor suchého oceánu,
Vůz v zeleň noří se a jako loďka plyne.
Šumivou vlnou louk a květů mým stinné
Korálové ostrovy, vonící po buřanu.

Stmívá se, nikde cest ni stopy po kurhanu,
I hledám na nebi hvězdy, průvodce lodí:
Zda oblak svítí tam, či jitřenka se rodí?
To Dněstr třpytí se, plá lampa Akermanu!

Ach jaké ticho...! Stůj...! Jeřáby táhnout slyším...
Ni zraky sokola nedostihnou k těm výším...
Slyším, jak na trávě se motýl houpá zpola,

Jak slizkou hrudí svou had klouže kdesi v proutí...
Svým sluchem pátrám tak, že měl bych zaslechnouti
Hlas z Litvy... Jeďme dál, vždyť nikdo nezavolá!

PODANIA I LEGENDY

Nakładem Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie ukazała się cenna praca folklorystyczna "Podania i legendy Śląska Cieszyńskiego". Przynosi teksty o postaciach demonicznych, podania lokalne i opowieści z życia; w sumie grubo ponad setkę.

Choć zbiorów tradycyjnej prozy ludowej z Cieszyńskiego nie brak, tego rodzaju opracowania dotąd nie było. Redaktorzy tomu posłużyli się bowiem niedokonanymi przez siebie zapisami prozy ludowej, nawet nie własnymi opracowaniami wątków folklorystycznych. Zdecydowali się, jak czytamy w przedmowie Zygmunta Kłodnickiego, *na zgromadzenie tekstów wprawdzie już opublikowanych, ale rozproszonych w trudno dostępnych wydawnictwach. Przydatność tej pracy* - dodaje - *wydała nam się bezsporna.*

Można się pod takim stwierdzeniem oburącz podpisać. Tym niemniej cisną się pod pióro pewne uwagi niejako na marginesie, z którymi warto się, jak sądzę, zapoznać przed lekturą omawianej książki.

Redaktorzy tomu korzystali przede wszystkim z tekstów zamieszczanych w ukazujących się na Śląsku Cieszyńskim kalendarzach, w Těšínsku oraz - w jednym wypadku - w Zaraniu Śląskim. Wyznaczyli sobie przy tym cezurę czasową - od lat trzydziestych XX wieku po czasy współczesne. Zebrało się tego sporo. Można sobie jednak zadać pytanie, czy takie zawężenie zakresu penetracji nie było aby pójściem na łatwiznę. Jeszcze trudniej dostępna od kalendarzy jest wszak niewątpliwie prasa, na łamach której ukazywało się i ukazuje mnóstwo tekstów folklorystycznych. Dotyczy to między innymi Gwiazdki Cieszyńskiej, wspomnianego już Zarania Śląskiego, Zwrotu, Głosu Ziemi Cieszyńskiej. Szkoda, że do tego źródła nie sięgnięto.

A teraz kilka uwag szczegółowych. Zacznę od tekstu "Jako sie Czubaniok dostoł do nieba". Opatrzono go notką *zapisał 15 I 1971 r. R.D.*. Niby w porządku, ale brak nazwiska gawędziarza, którym był nie byle kto, bo Jan Kawulok. A nazwisko to w Kalendarzu Cieszyńskim, z którego przedrukowano tekst, figuruje.

Inny przykład. Podanie "O zbójniku śląskim Ondraszku" opatrzono dopiskiem *brak nazwiska osoby, która opracowała tekst.* Brak także, dodajmy, nazwiska narratora, nazwy miejscowości, w której zapisano wątek, a w dodatku tekst operuje językiem literackim. Po co go zatem w ogóle zamieszczono?

Kilka "perełek" ze Wstępu do czytelnika polskiego, skreślonego przez jednego z redaktorów tomu Jana Kajfosza: *Za nią granicą rozlega się już tylko Polska; czczą konstrukcją; transkrybujemy w oparciu na polskiej ortografii...* Spotyka się również w książce błędy interpunkcyjne i potknięcia natury edytorskiej, na przykład "bękart" na stronie 168, gdzie na końcu kolumny (strony) znalazł się sam tytuł gawędy ("Kulfryc"), bez jednego choćby wiersza tekstu.

Tom został dofinansowany ze środków Unii Europejskiej (Phare CBC Polska Czechy 2002). Dołączono do niego krążek CD z nagraniami kilkunastu wątków.

ROBERT DANEL

"Podania i legendy Śląska Cieszyńskiego. Antologia", wybór i opracowanie Anna Drożdż, Jan Kajfosz, Agnieszka Pieńczak. Uniwersytet Śląski Filia w Cieszynie 2005, ss. 254.

FESTIWAL MUZYKI DAWNEJ W CIESZYNIE
EDYCJA 2005 ROKU

Sam pomysł takiego Festiwalu zasługuje na najwyższe uznanie. Jego organizatorami są Cieszyńskie Towarzystwo Muzyczne, Cieszyn, Zamkowa 3, oraz Kulturní a společenské středisko Střelnice, Czeski Cieszyn, Strzelnicza 1. Program układał i redagował dyrektor artystyczny Witold Raszka. Koncerty prowadziły z kulturą i wdziękiem, zwięźle i treściwie Grażyna Durlow i Alena Hasáková. Dwanaście koncertów odbyło się od 2 września do 6 listopada 2005 r. w salach koncertowych PSM na Zamku w Cieszynie i w Ośrodku Kultury na Strzelnicy w Czeskim Cieszynie oraz w kościołach: św. Trójcy, św. Krzyża w Cieszynie, Na Rozwoju i Na Niwach w Czeskim Cieszynie.

Oto kilka uwag, jakie mi się nasunęły w trakcie koncertów, prezentowanych przez zespoły wokalne, między innymi **Amici Cantionis Antiquae**, działający pod skrzydłami Polskiego Towarzystwa Artystycznego Ars Musica w Czeskim Cieszynie.

Sam Festiwal pomyślany został jako forma popularyzacji muzyki dawnej, a także jako przegląd możliwości i osiągnięć prezentujących się zespołów. Myślę, że w latach następnych każdy taki przegląd winien się kończyć prasową dyskusją naszych wybitnych specjalistów o stanie aktualnym wykonawstwa w zakresie muzyki dawnej.

Pragnę więc w tym miejscu tylko przypomnieć, iż w XVI wieku istniały najwyraźniej dwa nurty wykonawstwa wokalnego - pierwszy wiązał się z muzyką religijną i liczniejszą obsadą wykonawczą, drugi z muzyką świecką, głównie madrygałową i śpiewem solowym, będącym domeną dobrze wyszkolonych, nierzadko sławnych wirtuozów. Już *Gioseffo Zarlino*, jeden z najwybitniejszych autorytetów na polu teorii XVI w., pisząc o śpiewie (*Istitutioni harmoniche, 1558)* zaznacza, że "w inny sposób śpiewa się w kościołach czy kapelach publicznych (*chór śpiewaków przy klasztorach i na dworach*), a w inny w prywatnych komnatach; w kapelach śpiewa się pełnym głosem, zaś w komnatach głosem bardziej przyciszonym i słodkim, bez czynienia jakiegokolwiek hałasu".

Podobne rozróżnienie pomiędzy dwoma typami - czy, ściślej, technikami śpiewu uczyni blisko czterdzieści lat później *Ludovico Zacconi* (*Prattica di musica, 1592*), rozgraniczając zdecydowanie cichy, posługujący się subtelnymi niuansami dynamicznymi śpiew kameralny od głośnego śpiewu chóralnego w kapeli. Zacconi określa także nieco bliżej wymagania, stawiane solistom - wirtuozom dworskim; są oni "uczeni subtelnie posługiwać się głosem, tak, by nie górował nad innymi", wielokrotnie także przestrzega artystów, by nie forsowali głosu" śpiewając tak głośno, jak tylko potrafią". Owo wzmiankowane przez teoretyków ciche, subtelne śpiewnie komnatowe równoznaczne jest z nurtem madrygałowym: tutaj niewielkie oddalenie od słuchaczy zwalniało śpiewaków od koniecz-



ności natężenia głosu, zaś intymny związek muzyki z poezją nakładał obowiązek wnikliwego oddawania drobnych nawet odcieni emocjonalnych.

Osobnym problemem wykonawczym stała się realizacja powstałej u schyłku XVI w. monodii akompaniowanej. Ten styl, powołany dla celów ekspresyjnych, by muzyka mogła bez przeszkód stwarzanych przez polifonie podążać za intonacją i akcentami mowy, wniósł wiele nieznanych przedtem sugestii i manier wykonawczych. Wiemy o nich stosunkowo dużo dzięki licznie zachowanym tekstom z epoki. Monodia uzyskiwała dopiero wówczas właściwy nastrój i wyraz, gdy wykonywano ją "bez poddawania się uporządkowanej mierze taktu, nieraz zmniejszając wartości nut o połowę" - tak pisał *Giulio Caccini* we wstępie do *Nuove Musiche 1601 r.*, zbioru, który miał stać się manifestem ówczesnej awangardy. Owa swoboda, nazywana przez Cacciniego *spezzatura*, musiała być najwyraźniej elementem niezwykle istotnym, skoro także i inni kompozytorzy pisali o niej w swych wskazówkach interpretacyjnych. Nie należy więc zapominać, iż jest to sztuka wyrastająca z nieco innych założeń estetycznych i oparta na innych manierach wykonawczych, które trzeba poznać, by ją zrozumieć w pełni.

Program Festiwalu zespołów wokalnych był dość bogaty w zestaw arcydzieł muzyki dawnej (choć mniej zwarty), wykonany z niemałą rutyną zawodową i większą pewnością, a nawet swoistą brawurą. Ale podobnie jak w Ars antiqua - trudności z oddaniem ekspresji stylu późnego średniowiecza wydają się ciągle jeszcze słabszą stroną prezentujących zespołów muzykę dawną. Muzycy na pewno dużo o tych stylach (XIII, XIV, XV w.) wiedzą, nie przyswoili sobie jednak

jeszcze sedna - swoistych idiomów stylu: rytmicznych (polirytmia), polifonicznych, brzmieniowych i - co nad wyraz istotne - poetycko-muzycznych, gdzie principium szlachetnego piękna śpiewu jest wprost nadrzędne.

W ramach Festiwalu w kościele św. Krzyża w Cieszynie wystąpił 17 września 2005 r. zespół wokalny Amici Cantionis Antiquae pod kierunkiem dra Leszka Kaliny. Wykonawcami byli młodzi artyści w składzie: kontratenor - Leszek Kalina, Witosław Szwarc; tenor - Jacek Rybicki, Marian Jeżowicz; tenor, baryton - Witold Rybicki, Roman Kaszper; bas - Ryszard Wania, Jan Pieter. Zespół przedstawił blok najważniejszych zabytków średniowiecza: najstarsze utwory jednogłosowe i wielogłosowe, a dalej anonimowe canzony, następnie twórczość Wacława z Szamotuł, Mikołaja z Krakowa, Jerzego Trzanowskiego, Orlanda di Lasso, Giovanni Pierluigi da Palestrina, Michaela Praetoriusa, Adriano Banchieri, Bedřicha Smetany, Andrzeja Koszewskiego, Raya Hedersona. Tak rozległy wachlarz stylów historycznych wydaje się jeszcze przerastać możliwości zespołu, zwłaszcza w pierwszej części koncertu. Wyuczone partie nie wznosiły się ponad poprawność. Mimo trafnego doboru środków (kontratenor w utworach średniowiecza) brak było czegoś istotnego: atmosfery, ekspresji odrębnej w każdym z przedstawionych stylów. Natomiast druga część koncertu, to jakby nie ten zespół, zafascynował mnie bardzo. Była to bowiem przede wszystkim prezentacja, która zachwyciła wysoką kulturą i przybliżoną doskonałością interpretacji oraz czystą urodą brzmieniową głosów. Dr Leszek Kalina ze swym zespołem pokazał znowu poziom godny szacunku. W tym wykonaniu wybrane utwory drugiej części koncertu jaśniały pełnym blaskiem, a prosty homofoniczny styl a cappella ujawnił swe ukryte kunsztowności. Ogólnie - produkcja zespołu wokalnego Amici Cantionis Antiquae z Czeskiego Cieszyna wydała mi się pasmem szlachetnych wysiłków i pracowitych dążeń, wspinaniem się dopiero do pełnej doskonałości, którą może uda się kiedyś osiągnąć (doskonałość zaś znaczy tutaj: muzyczno-poetycki duch czasów i piękno). W przygotowanie tego programu zespół włożył na pewno wiele pracy, dlatego poziom wykonawczy koncertu był bardzo zadowalający, o czym świadczyły brawa, którym nie było końca.

ALOJZY SUCHANEK

MOZAIKA

JAK SIE KIESI WILIJOWAŁO

(Opowiadani starki)

- Opowiydzcie, stareczko, jaki to były ty Godni Świynta, jakżeście byli młodzi i jakżeście łodprawiali wilije.

- Ha dziołuszki, na piekne były kiesi świynta i wilija, a piekne. Jak sie mie uż tak pytocie, tóż wóm łopowiym.

Wiycie, jak sie uż też ta zima zbliżała, to my jako dziecka ni mógli sie tych świónt doczkać, a nejbardzi wilije. A zima przichodziła doś wczas. Pamiyntóm, jak żech była takóm dziołuszkóm, jako baji wy, to już aji w listopadzie abo na początku grudnia nawaliło śniega po kolana, mrozy czasym chyciły taki, że człowiek móg se aji roz dwa łuszy abo nos łodmrozić, jak se ich dobrze nie łobabuloł.

Pore dni przed wilijóm dycki zabijało sie świnie, bo na świynta musiały być jelita i wieprzowina na łobiod. Przi świniobiciu było też uciechy aż hej. Człowiek był ciekawy wszyckigo, jako to tyn masorz tóm świnie guszył i zarzinoł, a potym łoprawioł, jako ty bachora szlamowoł, płókoł, żeby były czyste strzewa na jelita. W jednym garcu warziła sie kasza, w drugim pluca, serce, nyrki i inksze kónski miynsa. Potym sie to mleło, miyszało pospołu z kaszóm i krwióm z tej świni i to nazywało sie gardawa. Tóm gardawóm filowało sie ty strzewa i tak sie robiło jelita. Choć roboty przi tym było co niemiara, a babraniny też moc, strasznie my radzi w tym pumogali, a czasym aji my zawadzali, ale do dziecek to było cosikej nowego, bo sie to roz w roku jyny robiło. A przi tym pojadło sie też dobrze. Potym miynso i szpyrki zasoliło sie na korycie, a po Nowym Roku sie wyndziło, aby zaś były szónki na Wielkanoc. Ale o tym, jak sie biło świnie łopowiym inkszym razym.

Jak uż tak było ze dwa dni przed wilijóm, tatulek kupowali we folwarku karpy z pogorskich stawów. Ryby dzierżało sie aż do wilije we wodzie, we waniynce, żeby sie jeszcze wypłókały z tego glónu stawowego. Rano we wilije tata ryby zabił, a mamulka wypitwała i pokroła na kónski do smażynio.

Pore dni przed wilijóm tatulek przyniyśli też z lasa strómek, smreczka abo jedliczke. Ale jakby gojny chycił go z jedliczkóm, to by zapłacił sztrof, bo jodły nie śmiało sie ścinać. We wilije dopołednia, jak mamulka warziła roztomaite jedzyni na wieczerze, dziołchy stroiły gojiczek. Tóż to była dlo nas radość. Na strómku wieszało sie rozmaite świycónce bańki, gwiozdki, bómbóny w kolorowych papiórkach i złotkach, łańcuszki, włosy anielski. Wieszali my też pierniczki, co mama w trómbie napiykła, taki fajne ze zozworym, orzechy włoski, jabka, a na kóniec zapinało sie na gałónski żabki ze świyczkami. Lampek elektrycznych, takich jako to dzisio, wtedy jeszcze nie było, ani elektryki nie było, a ludzie świycili lampami naftowyimi i świyczkami.

Kiej uż to było wszycko porobióne, tóż my uż ni mógli sie na tóm wieczerze doczkać. Kożdy był głodny, bo we wilije cały dziyń sie pościło. Kapke, małowiela sie zjadło na śniodani, ale nic masnego, a na połednie mamula uwarzili takóm wodziónke z chleba i czosku, co sie nazywała "chudo jewa". Tóż tela zjadło sie przez cały dziyń. Za to potym, na wieczerze, najedli my sie do syta.

Na wieczerze stół przikrywało sie biołym serwetym, a pod serwet rozkłodało sie kapke siana na pamióntke, że Jezusek na sianie sie urodził. Na stole stawiało sie krziżyczek, dwa świyczniki ze świyczkami i talyrz z łopłatkami, a kole niego słojiczek z miodym. Trzeja było też pamiyntać, aby pod stół dać jakisi gornek, móg to być zieleźniok abo gliniok, co już tam. Przed jedzynim z kożdego jodła trzi piyrsze łyżki odkłodało sie do tego garca dlo kur. Rano w piyrsze świynto wsypało sie to wszycko do obrónczki z koła abo z beczki, aby przez cały rok kury w jednym miejscu wajca nosiły, a nie chodziły po sómsiadach.

Jak sie porzykało, zaczynało sie jeś. Było tych potraw roztomaitych aż dwanoście. Tak było u nas. Może kaj indzi było inaczy. Tóż jadło sie groch z pieczkami, polywke grzibowóm, polywke z ryby - to sie warziło z głów i dodowało sie podroba z ryby, potym były gałuszki, gryzek, ziymioki z kapustóm, aji maślónka była ku ziymiokóm, a potym jeszcze cosi, co uż nie pamiyntóm. A na kóniec jadło sie smażónóm rybe łobzolanóm w brezlach. Hm, jaki to było fajne. Ale uż też człowiek miół pełny brzuch. Na kóniec jeszcze trzeja było zjeś orzecha, jabko, abo jeszcze inkszy owoc. Musiała też być herbata. I opłatkym sie dzieliło i skłodało sie życzynia, to uż tak, jak sie aji teraz robi.

Już też aji przi tym sie wrożyło. Baji, jak orzech był w środku pełny, zdrowy, znaczyło to, że tyn, co go rozłupoł, bydzie cały rok zdrowy. Jak zaś był taki pokyrczóny, wysuszóny, czorny i szpatny, to przepowiadało na chorobe, a może aji na śmierć. Potym sie gasiło świyczki, co stoły w tych świycznikach na stole. Jak sie zdmuchło płómyczek, a dym szeł prościutko do góry, znaczyło to, że bydzie zdrowy, a kómu sie dym na wszycki stróny kryńcił zamiast iś do góry abo sie hnet stracił, był to znak, że czako go choroba, a jak sie skierowoł ku dwiyrzóm, przepowiadało to śmierć.

Na kóniec wieczerzy zaś sie porzykało i śpiywało sie kolyndy. Na goiczku zapoliło sie rachetle (gdo ich miół) i ty iskierki tak sie rozpryskowały na wszycki stróny, tóż to było dziepro pieknie. Wtedy sie uż mógło łodyńś od stołu. Pryndzy, jak sie wieczerzało, to ni, bo gdo by od stołu łodeszeł, to mógby nie dożyć przisłej wilije. Jyny mamulka mógła odchodzić, żeby przinosić jodło na stół.

Po wieczerzy też kożdy stowoł zadkym do drzwi i ciepoł ku nim bótek przez ramie. Jak sie bótek ustawił przodkym do wyjścio, był to znak, że tyn, co go ciepnył, w przisłym roku pujdzie z chałpy we świat.

Jak żech uż też była w takich rokach ku wydaniu, to po wieczerzy wychodziłach przed chałpe i posłóchałach, z kierej stróny zaszczeko pies, bo tam stela miół być mój przisły chłop. Ale to i tak sie nie spełniło.

Tatulek wynosił po wieczerzy szupy z łorzechów i jabłek do zogrody i rosypowoł pod drzewka owocowe, żeby w przisłym roku dobrze obrodziły.

Wierzili my też świyńcie, że we wilije o północy zwiyrzynta rzóndzóm ludzkim głosym. Strasznie byli my też ciekawi, co bydóm godać, chcieli my też iś ku chlywu, żeby posłóchać, co też nasza Krasula i Kontesa abo świnki w chlywku bydóm ze sobóm rzóndzić. Ale jednako żodyn z nas sie nie opowożył. Bo ludzie powiadali, że gdo usłyszy ludzkóm mowe zwiyrzónt, zaroz umrze, żeby żodnymu ni móg opowiedzieć. Tóż po dzisio nie wiym, czy to prowda.

O północy zaczynała sie w kościele jutrznia i pastyrka. To uż tak, jako baji w teraźnich czasach.

Taki to było kiesi to wilijowani i ty świynta. Jeszcze wiela inkszych zwyczajów było i powiarek kiesi na Godni Świynta, ale jo uż i tak tego moc opowiedziała. Piekne to jednak były czasy. Dzisio, choć niby też je pieknie, ale jednak inaczyj i to uż ni ma to.

KAROL KAJZER

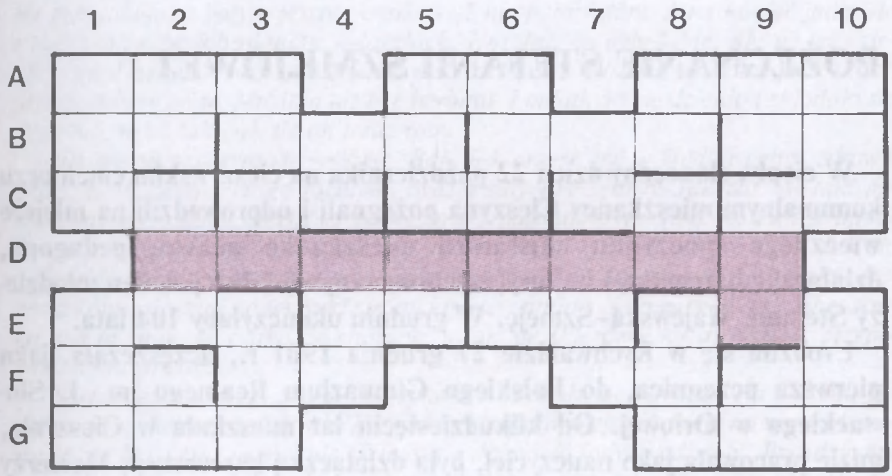
POŻEGNANIE STEFANII SZMEJOWEJ

W ciepły, słoneczny dzień 22 października na cieszyńskim cmentarzu komunalnym mieszkańcy Cieszyna pożegnali i odprowadzili na miejsce wiecznego spoczynku najstarszą mieszkankę miasta, pedagoga, działaczkę harcerską i kultury, wychowawczynię kilku pokoleń młodzieży Stefanię Majewską-Szmeję. W grudniu ukończyłaby 104 lata.

Urodziła się w Rychwałdzie 27 grudnia 1901 r., uczęszczała, jako pierwsza uczennica, do Polskiego Gimnazjum Realnego im. J. Słowackiego w Orłowej. Od kilkudziesięciu lat mieszkała w Cieszynie, gdzie pracowała jako nauczyciel, była działaczką harcerstwa, Macierzy Szkolnej, Macierzy Ziemi Cieszyńskiej. W działalności kulturalnej poświęcała się życiu teatralnemu, uczyła młodzież sztuki aktorskiej, reżyserowała spektakle sceniczne. Swoje talenty ujawniała w publikacjach, głównie wspomnień. Publikowała m.in. w Głosie Ludu, Głosie Ziemi Cieszyńskiej, Kalendarzu Cieszyńskim. Zbiór swoich refleksji z działalności zawodowej, społecznej, opisów wojennej tułaczki wydała przed dwoma laty drukiem w książce "Wspomnienia z lat odległych". W 1998 r. Walny Zjazd Delegatów Macierzy Ziemi Cieszyńskiej nadał pani Stefanii godność członka honorowego Macierzy. Zmarła 18 października br.

W ostatniej drodze na Cmentarz Komunalny żegnali ją byli uczniowie, pedagodzy, działacze społeczni oraz poczty sztandarowe Związku Harcerstwa Polskiego i Macierzy Ziemi Cieszyńskiej. Pani Stefania spoczęła w miejscu, gdzie przed 39 laty pochowany został jej mąż Leon Szmeja, równie zasłużony pedagog i działacz. Uroczystość pogrzebową zakończono odśpiewaniem pieśni "Płyniesz Olzo".

(K-r)



KRZYŻÓWKA SYLABOWA

ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA spędzamy przeważnie w gronie najbliższych nam osób, stąd nazwa rodzinne.

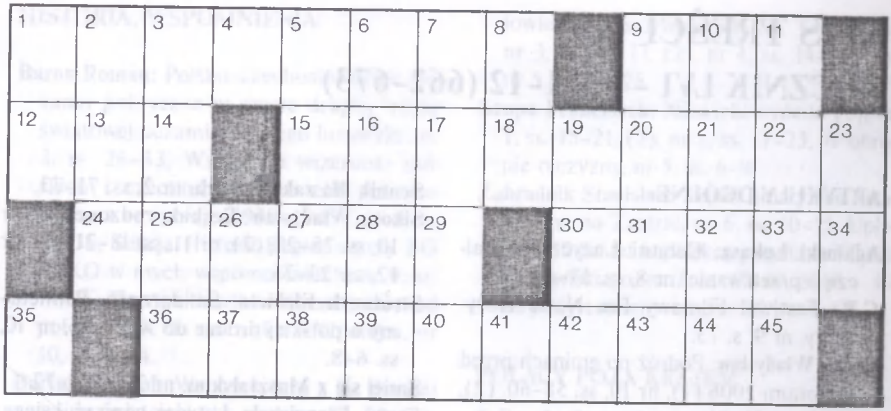
ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA nie miałyby odświętnego nastroju bez tradycyjnych kolęd polskich.

POZIOMO:

A. Zawodnik wolny; miasto z krzywą wieżą; niższy stopień duchownego w dawnym judaizmie. - **B.** Twierdzenie; używany jest do zakręcania loków; władca starożytnego Egiptu; język hotentocki. - **C.** Wczesna pora dnia; ... Pugaczowa; przyprawa korzenna; są w atlasie; środek represyjny. - **D. ROZWIĄZANIE DODATKOWE** - znana kolęda polska. - **E.** Księstwo europejskie; długowieczne drzewo; kościół parafialny; formacja wojsk lekkiej jazdy. - **F.** Imię żeńskie; pora roku; dźwignia do podnoszenia ciężarów; ekstraklasa. - **G.** Autobus produkcji czeskiej; wygłaszane jest przez duchownego.

PIONOWO:

1. Znak graficzny głoski; imię Pyrek. - **2.** Ciastko z ubitego białka; znana kapela góralska; kolor w kartach. - **3.** ... naftowa; góry w Azji Środkowej; lekka odkryta bryczka. - **4.** Służy do przecinania drewna; część przewodu pokarmowego. - **5.** Rodzaj czapki; pierwsze danie obiadu. - **6.** Karawana wyprawy myśliwskiej; miasto i rzeka w Rosji. - **7.** Wcielenie Wisznu; naszyjnik z paciorków. - **8.** Imię Teligi; zarozumiałość; maszyna do kucia. - **9.** Culpa; aktor czeski (Jan); imię Minelli. - **10.** Królowa Gruzji, córka Jerzego IV; lud koczowniczy.



SZYFROGRAM

Rozwiązanie dodatkowe: Fragment jednej z kolęd polskich.

4-30-14-43-36-3-12-10-42-35

40-19-11-34-2-9-6-22-38
45-7-20-26-16-33
18-13-31-44-23

5-15-32-24-29
37-8-39-28-21
25-17-1-41-27

- głowonóg z gruczołem czernidłowym;
- sługa Robinsona Kruzoe;
- cyfra;
- dawna siedziba królów polskich w Krakowie;
- cudo, straszydło, zjawa;
- zaciągnięte pożyczki;
- pojazd na płozach.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe.

Rozwiązania obu zadań świątecznych prosimy przesyłać do końca grudnia.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru październikowego:
GDY SERCE PŁONIE, NIC NIE WIDZIMY

Nagrody książkowe wylosowali: **Helena Gruszka** - Bystrzyca n. Olzą
Wanda Gągola - Orłowa Lutynia

SPIS TREŚCI
ROCZNIK LVI - NR 1-12 (662-673)

ARTYKUŁY OGÓLNE

Adamski Łukasz: Ostatni Łużyczanie walczą o przetrwanie, nr 8, ss. 57-61.

C.R.: Festiwal Filmowy Era Nowe Horyzonty, nr 9, s. 73.

Drong Władysław: Podróż po gminach przed wyborami 2006 (1), nr 10, ss. 58-60, (2), nr 11, ss. 71-74,

Girys-Czagowiec Weronika: Istoty demoniczne w opowieściach wierzeniowych Śląska Cieszyńskiego, nr 7, ss. 14-16.

Jak sprawny i giętki masz język, nr 4, ss. 68-69.

Jaworski Kazimierz: Zaolzie w dawnych kronikach filmowych, nr 10, ss. 55-56.

Kadłubiec Daniel: Pofestiwalowych parę uwag, nr 7, ss. 30-35.

Kajzer Karol: "Plosoczek" ze Skoczowa, nr 2, ss. 69-71.

Kubień Władysław: Białostockie spotkanie z recytacją po raz trzynasty, nr 2, ss. 31-34, Jak nas słyszą, tak nas piszą, nr 6, ss. 66-67, Z Osówek do Suczawy (1), nr 10, ss. 29-33, (2), nr 11, ss. 26-33, Notatki z autokaru, nr 12, ss. 30-34.

Kula Józef: Moje spotkanie z profesorem, nr 10, ss. 64-65.

Łakota Leszek: U sąsiadów - skansen mało znany, nr 6, ss. 76-78, Zagadka przyrody - kamienne kule, nr 7, ss. 71-72, Co w lesie szuści? Mionsz, nr 8, ss. 44-47.

M.P.: Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej w pierwszej połowie 2005 roku, nr 5, s. 74.

Milerski Władysław: Językowe pogranicze cieszyńsko-laskie (1), nr 6, ss. 29-33, (2), nr 7, ss. 17-20, (3), nr 8, ss. 21-26, (4), nr 9, ss. 20-26, (5), nr 10, ss. 21-24, (6), nr 11, ss. 22-25, (7), nr 12, ss. 26-30.

Sennik dla zakochanych, nr 2, ss. 71-73.

Sikora Władysław: Beskidy rodzone (1), nr 10, ss. 25-28, (2), nr 11, ss. 18-21, (3), nr 12, ss. 23-25.

Stróżczyk Elżbieta: Solidarność. Pamiętajmy o polskiej drodze do wolności, nr 10, ss. 6-8.

Śmiej się z Masztalskim, nr 7, ss. 76-77.

Szopa Franciszek: Łatwiej napisać księgę, nr 11, ss. 59-64.

Szyndler Magdalena: Penetracja zaolziańskiej części Śląska Cieszyńskiego, nr 6, ss. 60-63.

Trefulka Jan: Telewizja żywcem pogrzebana, nr 10, s. 54-55.

Waluszczykowa Elżbieta: Wspomnienia ze Skrzeczonia, nr 5, ss. 72-74.

Zahradnik Stanisław: Działalność SHR w 2004 roku i zamierzenia na rok 2005, nr 2, ss. 29-30, Na osiemdziesięciolecie Otokara Matuszka, nr 3, ss. 68-70.

NASZE ORGANIZACJE

Rudnik Czesława: Stowarzyszenie Przyjaciół Polskiej Książki, nr 1, ss. 3-7, Zespół Śpiewaczo-Muzyczny Przyjaźń, nr 2, ss. 3-7, Organizacje literatów zaolziańskich, nr 3, ss. 3-9, Stowarzyszenie Rodzina Katyńska, nr 4, ss. 3-5, Związek byłych więźniów politycznych, nr 5, ss. 4-6, Kongres Polaków, nr 6, ss. 4-9, Klub Polski w Pradze, nr 7, ss. 3-7, Polonus - Klub Polski w Brnie, nr 8, ss. 3-7, Towarzystwo Avion, nr 9, ss. 3-5, Stowarzyszenie Osób Pracujących i Uczących się za Granicą, nr 10, ss. 3-4, Organizacje zaolziańskich fotografików, nr 11, s. 3-6, Organizacje plastyków zaolziańskich, nr 12, ss. 3-9.

HISTORIA, WSPOMNIENIA

Baron Roman: Polsko-czechosłowackie stosunki polityczne w czasie drugiej wojny światowej oczami czeskiego historyka, nr 3, ss. 26-33, Wzajemne wizerunki polskich i czechosłowackich elit politycznych na emigracji (1939-1945), nr 4, ss. 31-36, Sekcja Historii Regionu przy ZG PZKO w mych wspomnieniach, nr 9, ss. 74-76, Europa środkowo-wschodnia od połowy XIX do początku XXI wieku, nr 10, ss. 9-14.

Bartulec Karol: Wspomnienia z lat drugiej wojny światowej (1), nr 1, ss. 22-32, (2), nr 2, ss. 8-17, (3), nr 3, ss. 18-25, (4), nr 4, ss. 19-25, (5), nr 5, ss. 10-16, (6), nr 6, ss. 16-23, (7), nr 7, ss. 8-13, (8), nr 8, ss. 13-20, (9), nr 9, ss. 14-19.

Borák Mečislav: Zbrodnia katyńska nie zniknie z pamięci, nr 4, ss. 5-12.

C.R.: Pasja działania, nr 5, ss. 57-61, Leon Derlich, nr 11, ss. 68-69.

Chmiel Józef: Ksiądz Leopold Biłko, nr 6, ss. 23-28.

Danel Robert: Wyprzedził swoją epokę, nr 4, ss. 26-30, Przyjaciel Polaków, nr 7, ss. 21-24.

Franek Wilhelm: I Ogólnopaństwowa Spartakiada 1955, nr 8, ss. 66-69.

Friedl Jiří: Spór o jeńców z Zaolzia pomiędzy CSR a Polską w latach 1943-1945, nr 9, ss. 6-13.

Guziur Janusz: Z Sibicy na Warmię i Mazury, nr 8, ss. 8-12, Ze wspomnień Oswalda Guziura (1910-1996) z Suchej Górnej (1), nr 10, ss. 15-20, (2), nr 11, ss. 14-17, (3), nr 12, ss. 16-22.

Grzebień Bruno: Wspomnienia, nr 1, ss. 72-73.

Kamiński Łukasz: Mniejszość polska w CSRS w 1968 roku w oczach władz PRL, nr 1, ss. 8-14.

Kula Józef: Augustyn Łukosz (1884-1940), nr 5, ss. 63-65.

Marusiak Juraj: Polacy na Zaolziu w 2. połowie lat pięćdziesiątych XX wieku (1), nr 3, ss. 10-17, (2), nr 4, ss. 14-18, (3), nr 5, ss. 17-25.

Szopa Franciszek: Niewielu wróciło (1), nr 1, ss. 15-21, (2), nr 2, ss. 17-23, W obronie ojczyzny, nr 5, ss. 6-9.

Zahradnik Stanisław: Skutki hitleryzmu i stalinizmu na Zaolziu, nr 6, ss. 10-15, Upłynęło 50 lat od największej wystawy Śląska Cieszyńskiego, nr 7, ss. 67-69, SHR - 40 lat pożytecznej pracy, nr 11, ss. 6-14.

POLACY POZA KRAJEM

C.R.: Ze Szwecji donos na Polonię, nr 10, ss. 66-67.

Chatkiewicz Renata: Polacy na Litwie, nr 4, ss. 56-63.

KRONIKA

Bator Mirosław: Oskar Pawlas w Szczyrku, nr 6, ss. 34-35.

BJK: XXXIV Zjazd Gwiaździsty, nr 3, ss. 36-37.

C.R: Teatr Lalek Bajka gra także z Wielką Orkiestrą Świątecznej Pomocy, nr 2, ss. 44-45, Walne Zgromadzenie SPPK, nr 4, s. 47, Na cześć Jubilatki Anieli Kupiec, nr 5, ss. 34-35, Poranek poetycki w gimnazjum, nr 5, ss. 40-41, IX Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC, nr 5, ss. 41-42, Kino na granicy, nr 6, s. 40, Mistrz krzyżówek Przekroju, nr 7, s. 42, Widokówki Karwiny na wystawie, nr 7, s. 47, Jubileuszowy Maj nad Olzą, nr 8, ss. 37-39, Kawiarenka Świętogóralska 2005, nr 9, ss. 44-45, Książka Zaolzia, nr 9, ss. 46-47, Święto źródła, nr 10, ss. 43-44, Biblioteka frysztacka w nowej szacie, nr 10, s. 45, XIII Światowe Forum Mediów Polonijnych, nr 11, s. 34, Skarby z cieszyńskiej trówły, nr 11, ss. 47-48, Wycieczka na krakowskie Targi Książki, nr 12, s. 48.

C.R. i E.S.: 58. Gorolski Święto, nr 9, ss. 38-43.

Chowaniec Roman: Sesja w Wiśle, nr 10, s. 34.
D.G.: Skrzeczoński chór Hasło w sezonie 2004/2005, nr 10, ss. 45-46.
E.S.: Koncert Świąteczny, nr 2, ss. 35-37, Olza na zamku w Pszczynie, nr 2, s. 51, Na Jarmarku w Grodkowie, nr 5, ss. 36-37, Wielkanoc z teatrem w Milikowie, nr 5, ss. 38-39, Droga do Dover, nr 6, ss. 37-39, Kombatanckie uroczystości, nr 6, ss. 44-45, Miyszani owiec, nr 6, ss. 46-47, Dzień Oszeldy w Nieborach, nr 7, ss. 36-37, Gimnaści, nr 7, s. 38-41, Wystawa w Cierlicku, nr 7, ss. 42-43, W Śmiłowicach i Łomnej Dolnej na wesoło, nr 7, ss. 44-46, Kontakty MK PZKO w Skrzeczoniu z Polską, nr 8, ss. 35-36, Wianki w Jabłonkowie, nr 8, ss. 40-41, XIII Światowy Festiwal Polonijnych Zespołów Folklorystycznych, nr 9, s. 37, Dożynki, nr 10, ss. 35-39, Babski Festyn, nr 11, ss. 36-37, 60 lat Głosu Ludu, nr 11, ss. 38-39, Stare i nowe w domu i w ogrodzie, nr 11, ss. 40-41, Olbrachcickie jubileusze, nr 11, ss. 43-44, Andrusi i Lwowska Fala, nr 12, ss. 35-37, Jubileuszowy koncert Chóru Nauczycieli Polskich, nr 12, ss. 38-39, Wystawa MK PZKO Błędowice, nr 12, ss. 41-42, Koncert w Karwinie Mizerowie, nr 12, ss. 45-46.
F.B.: 220 lat szkoły i 75 lat przedszkola w Nawsiu, nr 1, ss. 42-43, Bal Gorolski, nr 2, ss. 38-40, Babski Bal, nr 2, ss. 41-43, "Rozśpiewały się obłoki", nr 3, s. 34.
Firla Bronisław: Wystawa Józefa Dronga w teatrze w Czeskim Cieszynie, nr 4, ss. 37-39.
Guziur Janusz: Olsztyńscy cieszyniacy z wizytą na Litwie, nr 5, ss. 42-43.
J.G.: Działalność darkowskich pezetkaowców w roku 2004, nr 1, ss. 40-41.
Jaworski Kazimierz: Granice wytyczane słowami, nr 10, ss. 40-41, Pejzaże Jana Rusnoka, nr 12, s. 47.
kaja: Ta książka jest moja, nr 4, s. 42, Elektroniczny słownik, nr 5, s. 44, Wiosenne spotkanie z piosenką, nr 6, s. 36, Bogdan Trojak laureatem nagrody "Magnesia Litera", nr 6, s. 41.
Kidoń Jan: Dni Kultury Studenckiej 2005, nr 8, ss. 33-34.
K.K.: Zebranie sprawozdawczo-wyborcze koła nr 1 Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, nr 4, s. 46.
kor: Powitanie wiosny w Żukowie, nr 4, s. 40, Powstały góralskie ogniska, nr 11, s. 45, Benefis Jana Pyszki, nr 12, s. 40, Avion poetycki, nr 12, s. 43, Sto lat ropickiej szkoły, nr 12, s. 44.
Kubień Władysław: Uśmiech dobry na wszystko, nr 12, s. 49.
Onderek Tomasz: Wycieczka poznawcza Sekcji Ludoznawczej, nr 9, ss. 35-36.
red.: Tacy Jesteśmy 2004, nr 1, ss. 44-46, Wystawa z okazji jubileuszu życiowego - 60-lecia Józefa Dronga, nr 1, s. 47, Nowe władze PTM, nr 2, s. 44, Nowe władze TNP, nr 6, s. 41, IX Festiwal Piosenki Dziecięcej, nr 6, ss. 42-43, Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne niezależne, nr 8, s. 32, Szkolne jubileusze, nr 9, ss. 33-34, Wystawa o działalności PZKO w Hawierzowie, nr 10, s. 41.
Ronchetti Daria: Wycieczka poznawcza Sekcji Ludoznawczej, nr 11, ss. 46-47.
Santarius Kazimierz: Rodzina Katyńska w Warszawie, nr 10, ss. 41-42.
T.T.: Aktywni elektrycy, nr 3, s. 35.
Toman Tadeusz: Ruch Polityczny Coexistentia-Wspólnota po kongresie, nr 11, ss. 48-49.
W.O.: Działalność Polskiego Stowarzyszenia Artystów Plastyków w RC, nr 3, ss. 40-41.
Wierzgoń Józef: Cieszynianka dla prof. Janusza Guziura, nr 1, ss. 39-40.

POEZJA

Barańczak Stanisław: Określona epoka, nr 9, s. 1.
Daňhelová Lenka: nr 10, ss. 48-49.

Donocik Daria: Jesienne wzgórze, nr 9, s. 48.
Dostał Adolf: Leć pieśni, nr 10, s. 1.
Filipek Čepcova Jolanta: Sałajka, nr 9, s. 49.
Gabrel Antoni: Spieszno nam..., nr 12, s. 1.
Gaudyn Janusz: Śląskie dziewczyny, nr 2, s. 1.
Gellner Dorota: W lesie, Potwór dziki, nr 6, ss. 50-51.
Jan Paweł II: Tryptyk rzymski, nr 5, ss. 2-3.
Kostrzewa Wacław: Białe tango, Konik bujany, Pragnienie, Jestem chłopcem z małego miasteczka, nr 5, ss. 48-49.
Kulmowa Joanna: Nie wyrastaj z marzeń, nr 6, ss. 50-51.
Kupiec Aniela: Uczę sie ciebie, Tu sie radość urodziła, Wierzę, nr 4, ss. 48-49, Świętojańsko noc, nr 6, s. 3.
Miązek Bonifacy: Rozmyślanie, O pisaniu wierszy, nr 7, ss. 48-49.
Mikulski Wiesław Janusz: Z cyklu Wiry słońca, Z cyklu Wodospady miłości, nr 2, ss. 46-47.
Młynek Władysław: Jubileuszowe rozważania, nr 4, s. 1.
Nastulczyk Franciszek: Z tomiku Przewodnik ślepego psa, nr 3, ss. 48-49.
Pietrzyk Tadeusz: Rotunda, nr 9, s. 49.
Przeczek Wilhelm: Z psałterza zaolziańskiego, nr 7, s. 1.
Putzlacher Renata: Biały tornister, Ojcowie, Rumieniec, nr 1, ss. 48-49.
Pyszko Jan: Świątynia pod Hadaszczokiem w Sałajce z Drogą Krzyżową, nr 3, s. 1.
Ratajczak Józef: Stary kotek, nr 6, s. 51.
Twardowski Jan ks.: O stale obecnych, nr 11, s. 1, Skąd przyszło, Żeby wrócić, Malowani święci, nr 11, ss. 50-51.
Wawiłow Danuta: Czego mi się chce?, nr 6, s. 51.
Węgrzyn Kazimierz Józef: Powitanie, Kolęda cieszyńska, Tylko ci, co mocno wierzą..., nr 12, ss. 50-51.
Závada Vilém: Baranek, Trawa na rumowiskach, nr 8, ss. 48-49.
Ziemianin Adam: Blues sierpniowy, nr 8, s. 1.

AFORYZMY

Małysz Bohdan: nr 3, ss. 38-39.
Przeczek Lech: nr 1, s. 54, nr 10, s. 52.

PROZA

Boczarska Bożena: Anna już tu nie mieszka, nr 2, ss. 52-54.
Derlich Leon: Barborka, nr 12, ss. 52-59.
Grochola Katarzyna: Osobowość cmy, nr 8, ss. 50-52.
Kaczorowski Aleksander: Gra w życie. Opowieść o Bohumilu Hrabalu, nr 6, ss. 52-56.
Karol Kardynał Wojtyła: Ojczyzna, nr 5, ss. 32-33.
Marciniak Jerzy: Panna wodna, nr 7, ss. 50-55, ...Mały prezent, nr 11, ss. 52-59.
Pamiętniki znalezione w Katyniu, nr 4, ss. 50-55.
Pilch Jerzy: Inne rozkosze, nr 10, ss. 50-51.
Starzycka M. Magdalena: Maria bez ziemi, nr 1, ss. 50-52.
Stasiuk Andrzej: Jak zostałem pisarzem, nr 3, ss. 50-52.
Witkiewicz Stanisław Ignacy: 622 upadki Bunga czyli demoniczna kobieta, nr 9, ss. 50-51.

SZKICE O LITERATURZE

C.R.: O Bohumilu Hrabalu i czeskiej mentalności. Spotkanie z dziennikarzem Aleksandrem Kaczorowskim, nr 6, ss. 57-59.
Danel Robert: Nauka, literatura i miłość, nr 8, ss. 54-57, Poezja pod choinkę (Adam Sikora), nr 12, ss. 10-15.
Engelking Leszek: Libor Martinek o literaturze zaolziańskiej, nr 9, ss. 52-56.
Gaudyn-Ondruchowa Danuta: Hans Christian Andersen, nr 9, ss. 60-63.
Kardyni-Pelikánová Krystyna: Wizerunk poćciwego ślachcica polskiego Mikołaja Reja z Nagłowic, nr 3, ss. 54-58, Czeska recepcja twórczości poetyckiej Karola

Wojtyły, nr 5, ss. 26-31, Polskie fascynacje literaturą czeską, nr 8, ss. 27-32, "Prawodawca awangardy i prorok zagłady" Stanisław Ignacy Witkiewicz, nr 9, ss. 28-32, Poeta i tłumacz, nr 12, ss. 60-64.

Martinek Libor: Zmarł polski tłumacz Józef Waczków, nr 8, ss. 52-54, Polsko-austriackie kontakty kulturalne i literackie w twórczości Edmunda Rosnera, nr 9, ss. 57-59.

OKRUCHY LITERACKIE

Jaworski Kazimierz: Polsko-czeskie ciekawostki literackie, nr 7, ss. 56-57, Literatura skazana na zagładę, nr 7, ss. 57-58.

kaja: "Dilo Władysława Sikory", nr 1, s. 56.

Martinek Libor: W Opawie dyskutowano także o literaturze na Zaolziu, nr 1, ss. 55-56, Przemyślenia nad wynikami konkursu poetyckiego o Skrzydło Ikara, nr 2, ss. 60-61, Próba autobiografii literackiej, czyli jak Andrzej Stasiuk został pisarzem, nr 3, ss. 53-54.

MŁODE PIÓRO

Krzyżok Katarzyna: Wiersze, nr 2, ss. 62-63.

Rudnik Joanna: Autostopem do Rzymu, nr 5, ss. 50-51.

NA NASZEJ SCENIE

C.R.: Cieszyńskie niebo na płycie, nr 1, ss. 63-64, Pięćdziesiąty piąty sezon Sceny Polskiej, nr 8, ss. 62-63.

Rudnik Czesława: IV Festiwal Teatrów Moraw i Śląska, nr 1, ss. 61-63, Chłop z morgami i profilem Janosika, nr 2, ss. 48-51, Postmodernistyczna wizja dygresyjna Rudolfa Kowalewskiego, nr 3, ss. 42-46, Od czego zdychają konie, nr 4, ss. 43-45, Ballada dydaktyczna, nr 6, ss. 64-66, Bo teatr po to jest, żeby były piękne wieczory. Rozmowa z Markiem Perepeczką, nr 7, ss. 24-29, Dzieci Hrabala, nr 7, ss. 60-62, Scena otwarta dla wszystkich, nr 7, ss. 63-64, Festiwal Teatralny bez Granic, nr 7, ss. 64-66, Bajka o Wojtku muzykancie, nr 8, ss. 61-62, Skarb Wandy i Adama, nr 9, ss. 70-72, Swojskie klimaty, nr 11, ss. 64-67.

PLASTYCY I ICH DZIEŁA

Dropczyńska Renáta: Wspomnienie o Zofii Wanok, nr 8, ss. 64-65.

Z DOROBKU LEONA DERLICHA:

Pokłosie. Przysłowia i powiedzenia ludowe ze Śląska Cieszyńskiego, nr 1, s. 65, Dziennik czasu wojny, nr 2, ss. 25-28, Dziennik czasu wojny, nr 3, ss. 63-65, Szkapino, nr 4, ss. 70-72, W kwestii cieszyńskiej list otwarty do prezydenta Republiki Czechosłowackiej prof. dra Eduarda Beneša, nr 5, ss. 65-68, Ostatnia przeszkoda, nr 6, ss. 70-72, Straszydło nocne, Mondro planeciorka, nr 7, s. 78, Złodzieje i śmierć, nr 8, ss. 73-76, Zaolzie - Gdańsk. W obronie prawdy kilka uwag, nr 10, ss. 72-73, Garść wspomnień - Mimo woli, nr 11, ss. 69-71.

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

Danel Robert: Podania i legendy, nr 12, s. 65.

E.S.: O Jezuitach na Śląsku Cieszyńskim, nr 8, s. 70.

Humel Aleksandra: Ropica - dzieje gminy, nr 1, ss. 58-59.

Jaworski Kazimierz: Z naszych wydawnictw w roku 2004, nr 2, ss. 55-58, Dotknięcia mego życia, czyli..., nr 4, ss. 66-67, Czeski sposób fałszowania prawdy, nr 5, ss. 54-56, Sałasznictwo w Beskidach, nr 7, ss. 59-60, Siedemsetletnia historia

zaolziańskich miejscowości, nr 9, ss. 67-69, Cieszyńskie studia muzealne 2, nr 9, ss. 69-70.
Kadłubiec Daniel: Literatura niemiecka na czeskim Śląsku, nr 1, ss. 60-61.
kaja: Bibliografia Stanisława Zahradnika, nr 2, s. 59.
Martinek Libor: Stryj Trojaka Kaich żeni się, nr 5, ss. 52-54.
Nowak Krzysztof: Polska Kevina Hannana, nr 9, ss. 64-67.
Zahradnik Stanisław: Vendryně Wędrynia 1305-2005. Uwagi metodyczno-merytoryczne, nr 3, ss. 65-67.

ECHO WYDARZEŃ MUZYCZNYCH

Rudnik Czesława: Chór Nauczycieli Polskich zaprasza na swój jubileusz, nr 10, ss. 61-63.
Suchanek Alojzy: Festiwal Muzyki Dawnej w Cieszynie, nr 12, ss. 66-68.
Suszka Krystyna: Koncert na rozpoczęcie adwentu, nr 1, ss. 32-38.
Wierzgoń Józef: Władysław Balicki (1924-2004), nr 2, ss. 64-65, Radosne kolędowanie, nr 3, ss. 71-73, Sto lat śpiewu chóralnego w Stonawie, nr 6, ss. 73-76.

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

Korpak Zofia: nr 8, s. 72.
Lanc Oskar: Tak było jeszcze przed 30 laty, nr 2, ss. 66-67.
Pawlas Andrzej: nr 10, s. 71.
Poradowski Stanisław: 700-lecie gminy Wędrynia, nr 7, s. 73.
red: nr 4, s. 76.

TO I OWO

E.S.: nr 10, ss. 68-70.

POLEMIKI:

Kaszper Kazimierz: Kulisy Ikara. Odpowiedź na żałosny tren żałobny Libora Martinka, nr 3, ss. 59-62.
Martinek Libor: Mitu ciąg dalszy, prawda jest przemilczana. Odpowiedź na polemikę Kazimierza Kaszpera, nr 5, ss. 61-63.

ZE STARYCH KALENDARZY:

Siostrzyczki, nr 1, ss. 67-71.

POŻEGNANIA

MVDR. Jan Rucki, nr 3, ss. 74-75.
Rudolf Juranek, nr 5, ss. 69-71.
Karol Mrózek, nr 7, ss. 74-75.
Gustaw Słowik, nr 8, s. 71.
Elżbieta Ocisk, nr 9, s. 76.
Władysław Oszelda, nr 10, s. 47.
Ela Sekula, nr 11, s. 75.
Alojzy Babiński, nr 11, ss. 76-77.
Stefania Szmeja, nr 12, s. 71.

OPOWIADANIA NA SZARĄ GODZINĘ

DAR.JOCHEL: Jak Francik Dejrybka prziszoł o cholewioki, nr 1, ss. 72-74, Czorno róża starego hawiyrskigo pyndzyjónisty Antoniego Głucha, nr 2, ss. 73-78, W cyrkusie, nr 3, s. 47, Jak Ferda Moczygymba zabił..., nr 4, ss. 72-74, Jak mój starzik umioł lyczyć, nr 5, ss. 75-77, O szkubaczkach, jedzyniu, tańcowaniu i zwyczajach, nr 10, ss. 76-78.

MOZAIKA

Boszczykowa Anna: Cesta ku ołtorzu, nr 1, ss. 75-77, Dziedzińsko chałupa, nr 3, ss. 76-78, Też bohater, nr 5, ss. 77-78, Choroba, nr 10, ss. 74-75.
Kajzer Karol: Jak sie kiesi wilijowało, nr 12, ss. 68-70.
Kristen Władysław: Hohenegger, nr 4, ss. 77-78.
Władek z grónia: Ho! Ho! Ho! Byłech tam!, nr 9, ss. 77-78.

Czytelnikom Zwrotu
i Ich Rodzinom
błogosławionych Świąt Bożego Narodzenia
i wszelkiej pomyślności w Nowym Roku
życzy
redakcja

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Strzelnicza 28, P.O.Box 97, 737 01 CZESKI CIESZYN,
tel. i fax: 558 712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI,
Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK,
Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – Infiniti art, s. r. o., Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 240 Kč, z wysyłką pocztową 324 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02
z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE DOMY PZKO



DOM PZKO
w Wędryni Zaolziu

Książnica Cieszyńska
cz III 6/2005
nr 12

s.: Redakce ZWROT
Střelniční 28
01 Český Těšín

O.P.
P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE SZKOŁY

TRZYNIEC



ISSN 0139-6277